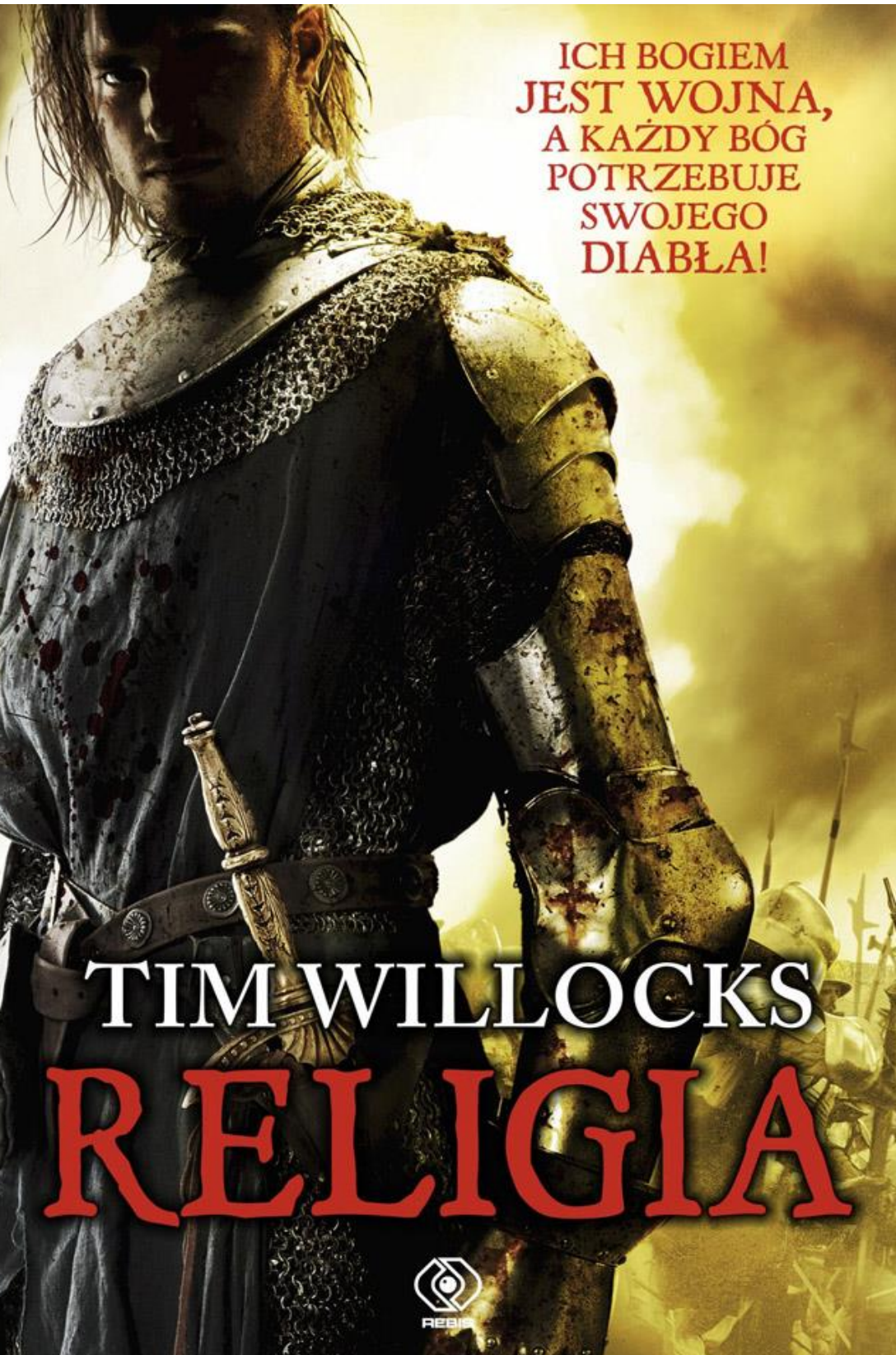
ICH BOGIEM
JEST WOJNA,
A KAŻDY BÓG
POTRZEBUJE
SWOJEGO
DIABŁA!
TIM WILLOCKS
RELIGIA

Prolog - Dewszirme

Góry Fogaraskie –kampania siedmiogrodzka - Wiosna A.D. 1540

Tej nocy, gdy zabrali go szkarłatni jeźdźcy – z tego, co wiedział i co mógł wiedzieć – na niebie panował Skorpion, ten sam znak, w którym przyszedł na świat. Wydawało się, że to ręka Boga podzieliła blaskiem księżyca górską dolinę na dwie części – tę, która była ciemnością, i tę, która była światłem, a światło rozjaśniło diabłom ścieżkę do jego drzwi. Gdyby psy wojny nie zgubiły drogi, chłopak nie zostałby znaleziony, a pokój, miłość oraz praca wypełniłyby cały jego żywot. Jednakże taką właśnie ma naturę Los w czasach chaosu. A czy kiedykolwiek czas nie był chaosem? Czy kiedykolwiek wojna nie była wylęgarnią demonów? Kto osuszy łzy bezimiennych, gdy nawet święci i męczennicy drzemią w swoich kryptach? Król umarł i cesarze rzucili się jak szakale do walki o schedę po nim. A jeśli cesarze niewiele dbają o to, że ich szlak znaczą świeże cmentarzyska, dlaczego mieliby się tym przejmować ich słudzy? „Jako na górze, tak i na dole", mawiają mędrcy, i tak też się działo tej nocy.

Na imię mu było Mattias, miał dwanaście lat i o sprawach państwa i polityki nie wiedział absolutnie nic. Pochodził z rodziny saskich kowali, przeszczepionej przez dziadka, niespokojnego ducha, na strome zbocze karpackiej doliny, do wioski nieznaczącej nic dla nikogo prócz tych, którzy nazywali ją domem. Sypiał w kuchni, przy palenisku, śniąc o ogniu i stali. Obudził się w mroku, przed świtem, czując, że serce w jego piersi szamoce się jak dziki ptak. Włożył wysokie buty i kurtkę naznaczoną sadzą, a potem cicho – bo jego matka i dwie siostry spały w sąsiedniej izbie – dorzucił drewna i rozdmuchał ogień z bladoróżowych drobin żaru tlących się w palenisku, by ciepło powitało dziewczęta, gdy się obudzą.

Jak wszyscy pierworodni w jego rodzie, Mattias był kowalem. Tego dnia zamierzył dokończyć sztylet i myśl o tym zadaniu napawała go radością, bo który chłopiec nie chciałby stworzyć prawdziwej broni, gdyby tylko mógł? Wyjął z ognia płonące polano i wyszedł na podwórze. Zatrzymał się za progiem, gdy rześkie powietrze napełniło jego pierś. Świat wokół niego tonął w czerni i srebrzystej poświacie księżyca. Ponad wierzchołkami gór, na nieboskłonie, zobaczył znajome konstelacje i bezgłośnie wymówił ich nazwy: Panna, Wolarz, Kasjopeja. Na zboczu lśniły nitki rozwidlonego strumienia, a poniżej granicy lasu mgła spowijała pastwiska. Kuźnia ojca trwała zaś pośrodku podwórza niczym świątynia

nieznanego proroka, a blask ognia na ścianach z jasnego kamienia obiecywał magię i cuda oraz stworzenie rzeczy, jakich nikt jeszcze nie stworzył.

Tak jak nauczył go ojciec, Kristofer, Mattias przeżegnał się na progu i odmówił szeptem modlitwę do świętego Jakuba. Kristofer był w podróży – podkuwał konie i ostrzył narzędzia wieśniakom i mieszkańcom pobliskich dworów. Czy będzie wściekły, kiedy wróci i przekona się, że Mattias stracił trzy dni na kucie sztyletu, podczas gdy mógł zrobić haczyki na ryby, piłę do drewna albo kosę, czyli dobra, na które zawsze znajdzie się chętny? Nie, jeśli ostrze będzie proste. Jeśli wykona je solidnie, ojciec będzie dumny. Mattias przeżegnał się jeszcze raz i wszedł do środka.

Kuźnia pachniała kopytami wołów, morską solą, zimnym żużlem, końmi i węglem. Palenisko było gotowe, bo w takim stanie zostawił je wieczorem, a podpałka natychmiast zajęła się od płonącego polana. Dorzucił koksu z poprzedniego dnia i popracował miechami, by podsycić ogień, aż warstwa węgla drzewnego w dyszy powietrznej sięgnęła odpowiedniej grubości. Zapalił lampę i wygrzebał ostrze z popiołów, w których zostawił je po pracy.

Prostowanie i hartowanie stali zajęło mu dwa dni, a efektem pracy było sześciocalowe ostrze z czterocalowym trzpieniem. Wykuwał już wcześniej noże, ale to był jego pierwszy sztylet. Stworzenie broni o obusiecznej, symetrycznej, odpowiednio wytrzymałej klindze wymagało szczególnych umiejętności. Symetria nie była jeszcze doskonała, ale przynajmniej krawędzie nie uciekały mu spod pilnika. Zdmuchnął z ostrza popiół i spojrzawszy na jego ukośnie spiłowane brzegi, nie dostrzegł ani jednej nierówności. Przetarł stal wilgotną szmatką i zabrał się do szlifowania pumeksem obu stron klingi, a gdy skończył, polerował ją masłem z proszkiem Emrila tak długo, aż zaczęła lśnić granatowym blaskiem. Teraz miał dowieść swej biegłości w hartowaniu.

Rozsypał na rozżarzonych węglach cienką warstwę popiołu, a na niej ułożył ostrze. Patrzył, jak z wolna nabiera barwy, i od czasu do czasu przewracał je na drugą stronę, by rozgrzewało się równomiernie. Gdy krawędzie stały się jasne jak słoma, uniósł klingę szczypcami i zanurzył w wiadrze wilgotnej ziemi. Buchnęła para, od której woni zakręciło mu się w głowie. To pierwsze hartowanie, jak mawiał dziadek Mattiasa, jest hołdem, który powstające ostrze składa czterem żywiołom: ogniowi, wodzie, powietrzu i ziemi. Taka klinga ma trwać. Rozniecił żar na nowo i raz jeszcze posypał popiołem. Uniósł pokrywę drugiego wiadra, w którym poprzedniego dnia zebrał mocz najśmiglejszego rumaka w całej wiosce.

– Mattie, mogę popatrzeć?

W pierwszej chwili zirytowało go pytanie siostrzyczki. To była jego praca, jego miejsce, miejsce mężczyzny, nie pięcioletnich dziewczynek. Ale Britta go uwielbiała. Zawsze widział w jej oczach blask, gdy na niego patrzyła. Była ulubienicą rodziny. Mattias nigdy nie zapomniał o dwóch młodszych braciach, którzy umarli, zanim nauczyli się chodzić, choć tak naprawdę pamiętał nie samą śmierć, ale rozpacz matki i milczenie przygnębionego ojca. Gdy się odwracał, nie czuł już gniewu i uśmiechał się do stojącej w drzwiach Britty. W szarej poświacie świtu wyglądała jak lalka; ubrana w koszulę nocną i trepy zaciskała dłonie na ramionach, drżąc z zimna. Mattias zdjął kurtkę i opatulił nią siostrę. Podniósł Brittę i usadził na workach z solą leżących tuż za drzwiami.

– Możesz przyglądać się stąd, tylko nie podchodź do ognia. – Widział, że niezupełnie o to jej chodziło, ale nie zaprotestowała. – Mama i Gerta jeszcze śpią? – spytał.

Britta skinęła głową.

– Tak. Przestraszyłam się, bo psy we wsi szczekały.

Mattias nadstawił ucha. Prawda, pomyślał. Gdzieś na stoku rozbrzmiewał chór zajadłych psich głosów. Zasłuchany w trzask ognia nie zwrócił na nie wcześniej uwagi.

– Pewnie wywęszyły lisa – stwierdził.

– Albo wilka.

Uśmiechnął się.

– Wilki już tu nie przychodzą.

Pochylił się znowu nad ostrzem i stwierdził, że przestygło już na tyle, by mógł go dotknąć. Wytarł je do czysta i ponownie umieścił w ogniu. Kusiło go, żeby popracować miechami, bo uwielbiał widok gasnących węgli, w które nagle powraca życie, ale nie zrobił tego, bo wiedział, że jeśli zmiana koloru będzie zbyt szybka, stal osłabnie.

– Dlaczego wilki już tu nie przychodzą?

Mattias odwrócił ostrze.

– Bo się nas boją.

– A dlaczego wilki się nas boją?

Krawędzie ostrza jarzyły się płową barwą jesiennej szaty jelenia. Szczypce raz jeszcze odwróciły rozżarzony metal. Tak, stal równomiernie nabierała koloru; tylko najgrubsza, środkowa część klingi oraz trzpień świeciły czerwonawym blaskiem. Zbliżał się czas drugiego hartowania. Mattias wyjął swe dzieło z płomieni i zanurzył w moczu. Odwrócił głowę, gdy z głośnym sykiem uwolniły się cuchnące amoniakiem opary. Zaczął odmawiać Ave Maria i nim dotarł do połowy, Britta dołączyła do niego, łamiąc sobie język na obco brzmiących, łacińskich słowach. Nie przerywał, modlitwą odmierzając czas do końca

procesu. Wreszcie wydobył dymiącą stal ze żrącego płynu, zagrzebał w pojemniku z popiołem i otarł pot z czoła.

Drugie hartowanie dobiegło końca i miał nadzieję, że jest całkiem udane. Żrące końskie szczyny miały nadać krawędziom klingi trwałą ostrość. Mattias miał też nadzieję, że rączość dawcy uczyni sztylet szybszym. Trzecie, najbardziej magiczne hartowanie wymagało wyniesienia broni na zewnątrz, gdzie przy grządce warzyw rosła bujna, zielona trawa pokryta świeżą rosą. Nie było czystszej wody niż ta, której przybycia nikt nawet nigdy nie oglądał, choćby czuwał całą noc; wody, która musiała pochodzić wprost z Niebios. Niektórzy wierzyli, że krople te są łzami samego Boga, który płacze nad swymi śpiącymi dziećmi. Poprzez chłodną rosę duch gór miał wniknąć do serca sztyletu i związać się z nim, nadając mu moc służenia słusznej sprawie. Mattias wsunął szczypce w żar i zaczął pompować miechami, aż pogrubione końcówki rozjarzyły się pomarańczowo.

– Mattie, dlaczego wilki się nas boją?

– Boją się, że będziemy na nie polować i zabijać je.

– A dlaczego mielibyśmy polować i zabijać je?

– Dlatego że one zabijają nasze owce. I dlatego że ich futra ogrzewają nas w zimie. Tata nosi przecież wilczą skórę.

– Sam zabił wilka?

Kristofer istotnie sam tego dokonał, ale nie była to historia odpowiednia dla dziewczynki. Mattias starł popiół z ostrza i położył je przy palenisku. Wiedział, że Britty nie można ignorować, ale w tej chwili musiał się skupić na pracy.

– Może zaśpiewasz mi piosenkę? – zaproponował. – Piosenka połączy się ze stalą, a przez nią i cząstka ciebie, więc ten sztylet będzie i mój, i twój.

– Którą piosenkę? Powiedz prędko, Mattie, którą?

Gdy spojrzał na jej rozpromienioną twarzyczkę, przeszło mu przez myśl, że być może – przynajmniej w wyobraźni siostry – sztylet już stał się na wieki jej własnością.

– O Kruku – odparł.

Piosenkę tę często śpiewała im matka. Britta zadziwiła wszystkich, gdy jako trzylatka powtórzyła z pamięci wszystkie strofki. Była to historia księcia, którego zazdrosna macocha zamieniła w kruka, oraz księżniczki, która naraziła życie własnego dziecka, by przywrócić księciu dawną postać. Ponure przygody obojga kończyły się szczęśliwie, ale Mattias już nie wierzył w prawdziwość tej opowieści tak jak dawniej. Britta natomiast święcie wierzyła w każde słowo. Zaczęła śpiewać wysokim, drżącym głosem, napełniając swym nierdzewnym duchem ponure wnętrze kuźni. Mattias zaś ucieszył się skrycie, że wpadł na

pomysł z piosenką, bo przypomniał sobie słowa ojca, Kristofera: nikt nie potrafi zgłębić do końca tajemnic stali. Skoro inna jest klinga ukuta podczas śnieżnej burzy, inna w słoneczny dzień – a przecież nikt nie zaprzeczyłby, że tak jest – to czy dźwięk słodkiego głosu mógł nie pozostawić śladu zaklętego w stal?

Britta wciąż jeszcze śpiewała, gdy przystępował do ostatniego hartowania. Zacisnął rozżarzone końcówki szczypiec na „kręgosłupie" ostrza, by nadać mu twardość, która sama w sobie nie jest jeszcze mocą. Gdy metal nabrał ciemnoniebieskiej barwy, zabrał się do pracy nad trzpieniem i podkrzyżem. Po chwili sam czubek klingi stał się bladobłękitny jak niebo noworocznym świtem. Pracował, słuchając śpiewnej opowieści Britty o tym, jak Kruk zdobywał serce księżniczki, a w jego sercu narastało przekonanie, że ojciec będzie dumny z tak doskonałego ostrza. Odłożył rozgrzane szczypce do zimnej wody i chwycił inne, już schłodzone. Rozgrzebał żar i popiół na nowo i umieścił ostrze tak, by czubkiem spoczywało na bryle węgla drzewnego. Czekał, aż krawędzie rozkwitną barwą włosów jego matki, ognistym kolorem miedzi, by poddać klingę ostatecznej próbie przez zmoczenie rosą. Wpatrywał się w stal z taką intensywnością, jakby od tego zależało jego miejsce w wieczności. Nie słyszał, jak Britta upadała na ziemię; jego uwagę przykuło tylko to, że nagle ucichł jej śpiew.

– Nie przerywaj teraz, Britto – zawołał przez ramię. – Już prawie gotowe.

Metal zmieniał barwę na jego oczach, jarząc się jak alchemiczne złoto, ale ciszy nie przerywała piosenka, której tak bardzo teraz potrzebował. Wiedział już w głębi serca, że głos siostry naprawdę stopi się właśnie z tym ostrzem i że sztylet rzeczywiście będzie ich wspólną własnością, ponieważ oboje włożyli weń po cząstce swej duszy, przydając mu szlachetności. Odwrócił się od ognia, wciąż zaciskając dłonie na szczypcach, by poszukać spojrzeniem jej oczu.

– Prawie gotowe! – powiedział.

Leżała na klepisku. Jej czaszka była rozłupana jak gliniany dzban na wino. Kurtka Mattiasa opadła z jej ramion, a koszula nocna zdążyła już nasiąknąć czymś czarnym, lśniącym jak melasa pod burzą rozsypanych w nieładzie jasnych włosów.

Nad ciałem Britty, z obojętną miną chłopa, który właśnie uśmiercił szpadlem kreta, stał krępy młodzik o rzadkim zaroście, o pół głowy niższy od Mattiasa. Odziany był grubo w łachmany, a na głowie miał brudną, zieloną czapkę. Trzymał w dłoni krótką, zagiętą szablę splamioną ową gęstą melasą, do której przylgnęły kosmyki włosów zamordowanej dziewczynki. Gdy uniósł głowę, jego oczy były martwe jak kamienie. Wodząc spojrzeniem

po wnętrzu kuźni, nie poświęcił Mattiasowi więcej uwagi niż jego narzędziom czy kowadłu. Warknął tylko pytająco w obcym języku.

Mattias stał w żarze paleniska, ale w duszy czuł lodowatą pustkę. To, co zobaczył, pozbawiło go tchu. Pozbawiło woli. Pozbawiło wszystkich uczuć, które dotąd znał. Jakaś cząstka jego umysłu pytała uporczywie, czy tak właśnie czuje się stalowa klinga, gdy się ją hartuje. A jeśli tak, to w której kąpieli? Uciekł myślą ku ogniowi, w którym zostawił coś, co tak dobrze znał. Odwrócił się i spojrzał na ostrze, którego krawędzie miały teraz barwę włosów matki – nitki ognistego brązu z wolna sięgały ku jarzącemu się ciemnym błękitem rdzeniowi sztyletu. Poczuł, że do reszty traci panowanie nad sobą; prysła też cała magia, którą stworzył z Brittą tego ranka, a wraz z nią marzenie o ojcowskiej dumie. Nie mógł tego tak zostawić: mocno chwycił szczypcami podkrzyże sztyletu i wyciągnął go z paleniska. Odwrócił się.

Morderca ruszył już w jego stronę, a na jego twarzy nie było ani śladu niepokoju, póki nie zobaczył broni w rękach Mattiasa. Ukłucie strachu, które poczuł w tym momencie, było oznaką niedoświadczenia, ale nie zyskało mu przebaczenia. Sztylet pomknął naprzód, jakby niesiony własną wolą, ze świstem tnąc powietrze. Czyniąc pierwszy krok, Mattias miał wrażenie, że jego stopy zmieniły się w ołów, ale drugi napędzany był już wściekłością, która ściskała go za gardło. W trzecim kroku chłopak i jego sztylet byli już tylko narzędziem ślepej nienawiści. Młodzik wykrzyknął coś w obcej mowie i w tej samej chwili Mattias zatopił klingę w jego brzuchu. Ciało zaskwierczało w zetknięciu ze stalą, gdy przycisnął je do ściany. Czując smród palącej się wełny i tłuszczu, patrzył w kamienne oczy, wybałuszone w śmiertelnym przerażeniu. Morderca krzyknął i upuścił szablę. Zaczął wrzeszczeć i odruchowo chwycił rozżarzony trzpień, który natychmiast wypalił mu skórę dłoni, odsłaniając ścięgna. Mattias zacisnął lewą rękę na szeroko otwartych ustach intruza. Naparł mocniej na szczypce, aż ich szczęki dotknęły falującego brzucha, a czubek sztyletu zgrzytnął o coś twardego – zapewne kość. I wtedy zaczął się modlić.

– Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus.

Gardło młodzika zacisnęło się konwulsyjnie, a z ust, przez palce Mattiasa, popłynęła krew. Ścisnął mocniej. Czerwone strugi pojawiły się w nozdrzach. Dłonie pozbawione skóry chwyciły szczypce, a szeroką piersią targnęły daremne spazmy. Blask rozpalonych oczu gasł powoli, konwulsje słabły, a Mattias kończył modlitwę.

– Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Mattias czuł, że coś się ulatnia z ciała zabójcy; uchodzi z niego w ciszy mrożącej szpik. Coś w nim było i nagle przestało być. Ciało młodzika sflaczało i stało się ciężarem, jakiego Mattias nigdy jeszcze nie dźwigał. Twarz pod zaciśniętą dłonią rozluźniła się, blada jak płótno. Półprzymknięte oczy stały się mętne i znikła z nich resztka światła; niczym nie różniły się od oczu świńskiego łba na rzeźnickim straganie. Zatem tak wygląda śmierć. Tak wygląda zabijanie.

– Amen – powiedział Mattias.

Hartowanie, dodał w myśli.

Wyszarpnął sztylet z ciała. Ostrze było czarne jak grzech aż po samo podkrzyże. Pozwolił bezwładnemu ciału złożyć się wpół i opaść, więcej na nie nie patrząc. Słyszał dalekie szczekanie psów i ochrypłe, niezrozumiałe wrzaski, a także okrzyki przerażenia. Britta leżała przy drzwiach, zakrwawiona i nieruchoma. I z niej uszło coś niewidzialnego. Szczypce w dłoni Mattiasa drżały, podobnie jak jego kolana. Ogarnęły go mdłości, a obraz przed oczami stał się rozmazany. Chłopak zwrócił się ku bezpiecznym przedmiotom, które znał: palenisku, narzędziom, płomieniom. Przetarł parujące ostrze wilgotną szmatą, ale stal pozostała czarna. Czuł instynktownie, że nic już nie zmieni jej barwy. Broń była jeszcze zbyt gorąca, by mógł ją utrzymać w dłoni, ale nie chciał poddawać jej kolejnej kąpieli, bo choć cały jego świat stanął na głowie, rozpaczliwie starał się przestrzegać prawideł sztuki. Zmoczył kawałek płótna w zimnej wodzie i zawinął wokół trzpienia. Znieruchomiał.

Z kakofonii dźwięków dobiegających zza drzwi kuźni wyłowił głos – bliższy niż inne, wzywający Boga, ale nie proszący o Jego miłosierdzie, lecz o gniew i pomstę. Był to pierwszy głos, który Mattias usłyszał w swoim życiu. Głos matki.

Ścisnął w dłoni mokrą, prowizoryczną rękojeść sztyletu. Temperatura trzpienia opadła do znośnego poziomu. Ostatnie hartowanie ostrza dokonało się nie w najczystszej rosie, ale we krwi mordercy. Mattias wiedział już, że jego los i przeznaczenie będą takie same jak los i przeznaczenie, które wróżył swemu sztyletowi. Zastanawiał się – nie po raz ostatni – czy to nie fakt, że w ogóle zabrał się do kucia tego diabelskiego ostrza, sprawił, że utracił najbliższych. Chciał odszukać w sobie duszę, z którą obudził się tego ranka, ale nie znalazł jej. Szukał też w myśli modlitwy, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Jakaś siła wyrwała z jego wnętrza coś, czego istnienia nawet nie podejrzewał, póki nie dostrzegł pustki zionącej rozpaczą. Coś utracił i nawet sam Bóg nie mógł mu tego przywrócić. Gniew matki nie dawał mu spokoju. W szalonym gniewie, nie w smutku, postanowiła umrzeć. Gniew przyzywał go do niej. Podszedł do drzwi i pochylił się nad Brittą, by okryć ją kurtką. Ona przynajmniej odeszła w jednej chwili, z pieśnią na ustach i radością tworzenia w sercu. W klindze sztyletu

mieszkał teraz nie tylko anioł, ale i diabeł. Mattias miał zabrać siostrę ze sobą. Zabrać do serca anioła i diabła.

Para uniosła się nad czarnym ostrzem, gdy wyszedł na chłód, jakby niewidzialna sztolnia łączyła kuźnię z piekłem, a on sam był nowo narodzonym demonem-zabójcą. Podwórze było puste. Wierzchołki gór tonęły w zmierzwionej, cynobrowej chmurze. Ku niebu nad wioską unosiły się kolumny dymu, a wraz z nimi rozpaczliwe krzyki i trzaski płomieni. Mattias szedł po nierównym bruku chory ze strachu. Ze strachu przed złym losem, który spotkał jego matkę. Przed hańbą. Przed tchórzostwem. Przed świadomością, że nie mógł jej ocalić. Przed ciemnością, która zagościła w jego duszy. Lecz to właśnie ciemność przemawiała do niego z dziką mocą, nie pozwalając ani na wahanie, ani na odmowę.

„Zanurz się we mnie", mówiła.

Mattias odwrócił się i spojrzał na kuźnię. Po raz pierwszy w życiu zobaczył w niej tylko ponurą chatę z kamienia. Chatę kryjącą zwłoki jego siostry i człowieka, którego zabił.

„Jak to ostrze, które hartowałeś".

„Zanurz się".

Gerta leżała w kuchni, na płycie nad paleniskiem. Na jej twarzy zastygł wyraz zdumienia; z jej krwi rozlanej na żarzących się węglach wydzielał się cuchnący dym. Rozprostował jej delikatne członki i ucałował usta. Przykrył ciało kocem, pod którym zwykł sypiać. I zanurzył się. Drzwi na końcu izby skrzypiały, wisząc krzywo na jednym zawiasie. Na klepisku przed domem panował zamęt. Mattias podszedł bliżej. Zobaczył księdza, ojca Giorgiego, któremu służył przy ołtarzu w niedzielne poranki. Ojciec Giorgi krzyczał ku niewidocznym napastnikom, w obu dłoniach unosząc nad głową krucyfiks. Upadł na ziemię, gdy krępa postać cięła go w szyję. Mattias zrobił jeszcze krok. Co za człowiek mógł zamordować księdza? Zaraz potem znieruchomiał i odwrócił się gwałtownie; jego umysł natychmiast wymazał z pamięci to, co zobaczyły oczy.

Zamrugał nerwowo i odetchnął głęboko. Zakazany obraz powrócił. Nagie ciało matki, jej blade piersi i grube, ciemne sutki. Jasna skóra na brzuchu, kępka włosów między udami. Paraliżował go wstyd, ale jednocześnie czuł potrzebę ucieczki. Po drugiej stronie podwórza, za kuźnią, ciągnęły się lasy, w których nigdy by go nie znaleźli. Jednak ciemność, która była mu teraz jedynym przewodnikiem i doradcą, kazała mu obrócić się znowu ku drzwiom i spojrzeć raz jeszcze.

Koń naszpikowany strzałami dogorywał, leżąc na boku; potrząsał jeszcze łbem i przewracał oczami, tocząc z pyska różową pianę. Tuż obok leżał jeden z wieśniaków; strzały dopadły go najwyraźniej podczas ucieczki. Kałuża krwi wokół spoczywającego obok ojca

Giorgiego rozlewała się coraz szerzej. Na końskim truchle, niczym na obscenicznym materacu, leżała matka Mattiasa. Jej miedziane włosy powiewały, bo wciąż próbowała się wyrwać czterem mężczyznom, którzy klnąc wściekle, usiłowali ją poskromić. Jej nagie ciało było marmurowo białe, choć naznaczone już zadrapaniami i siniakami od uścisku brutalnych rąk. Twarz kobiety była ściągnięta bólem, a na obnażonych zębach widać było krew. W uderzająco błękitnych oczach płonął szalony blask. Nie widziała Mattiasa, który jakąś cząstką duszy bardzo pragnął, by na niego spojrzała, lecz zarazem wiedział, że gdyby spotkały się ich oczy, matka straciłaby wolę walki – ostatni dar, który miała dla niego.

Ktoś uderzył ją pięścią i wrzasnął coś do ucha. Odwróciła głowę i napluła mu w twarz krwistoczerwoną śliną. Piąty napastnik klęknął między jej nogami, spuściwszy szarawary. Teraz już wszyscy krzyczeli – na nią i na siebie nawzajem w obcym, szczekliwym języku. Jeden z nich dłubał przy tym w nosie. Gwałcili kobietę wyciągniętą z łóżka w półśnie, zachowując się przy tym jak pasterze uwalniający cielę z trzęsawiska: gestykulowali, oskarżali się nawzajem, zachęcali do wysiłku i doradzali; w ich twarzach nie było ani litości, ani podłości. Brutal między nogami wreszcie stracił cierpliwość, kobieta bowiem zdołała zaprzeć kolano o jego pierś i nie pozwoliła mu wejść. Wyjął nóż z buta, odsunął w górę jej pierś i wymierzywszy dobrze, wbił ostrze prosto w serce. Nikt nie próbował go powstrzymać. Nikt się nie poskarżył. Znieruchomiała, a jej głowa opadła bezwładnie do tyłu. Mattias chciał zapłakać, ale oddech zamarzł w jego płucach. Napastnik rzucił nóż, sięgnął do swego krocza, wsunął coś sztywnego w nieruchome ciało i zaczął poruszać biodrami. Ktoś musiał powiedzieć coś zabawnego, bo wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Mattias powstrzymał łzy, na które nie zasłużył. Zawiódł swoje siostry. Zawiódł ojca. Dzikie bestie bezcześciły ciało jego matki. Został sam, pozbawiony najbliższych i bezsilny, zagubiony. Ocknął się z odrętwienia, dopiero gdy poczuł, że wbił sobie w dłoń czubek sztyletu. Jasna krew lśniła na czarnych od brudu palcach. Ból był czysty i prawdziwy; pomógł mu oczyścić umysł. Matka odmówiła, gdy zechcieli czegoś więcej niż jej ciała: jej uległości i upokorzenia. Ofiary z jej dumy. Mattias poczuł przemożne pragnienie połączenia się z jej duszą. Chciał śmierci, a wraz z nią tej bliskości, którą cenił teraz bardziej niż życie. Przycisnął klingę do przedramienia, tak by nie była widoczna. Bez pośpiechu – bo choć ostrze było jeszcze ciepłe, jego krew stała się zimna – ruszył przed siebie, by odegrać swą rolę w tej okrutnej scenie.

Zwierzęcy spazm wstrząsnął pierwszym z napastników, a jego jękom zawtórowały wiwaty pozostałych. Wstał i w portkach wciąż opuszczonych do kolan cofnął się o kilka kroków. Następny klęknął przed martwą kobietą; gdy ją penetrował, pozostali

obmacywali jej uda i piersi, by podniecić się w oczekiwaniu na swoją kolej. Wszyscy prócz drugiego spojrzeli na nadchodzącego Mattiasa, ale dostrzegli w nim jedynie wynędzniałego chłystka. Ich uwagę przykuł nagle tętent podkutych kopyt dobiegający od strony wioski. Na młodym kowalu dźwięk ten nie zrobił żadnego wrażenia. Narastała w nim ciemność i czuł się wolny.

Zanurzył się w niej.

W porównaniu z młotem czy szczypcami sztylet wydawał mu się delikatny jak papier, a jednak klinga dwukrotnie przeszyła plecy pierwszego diabła tak, jakby jego żebra upleciono z trawy. Trafiony westchnął i – spętany w kostkach opuszczonymi szarawarami – opadł na kolana i dłonie, celując zadkiem w niebo, wpatrzony w ziemię pomiędzy własnymi łokciami. Dyszał jak zgrzany pies, póki Mattias nie cisnął go kopniakiem w piach.

Drugi postękiwał jeszcze między rozrzuconymi nogami matki Mattiasa. Nie wiedział, co się święci, póki chłopak nie strącił czapki z jego głowy, nie złapał za włosy i nie pociągnął mocno do tyłu. W jego oczach pojawiło się, prócz zdumienia, poczucie krzywdy, jak u dziecka, które siłą odciągnięto od garnczka konfitury. Mattias przebił sztyletem jego policzek, wyszarpnął ostrze i poprawił nieco wyżej, wydłubując oko, które zawisło na nitce nerwów i żył. Pracując ramieniem w dobrze znanym rytmie kuźni, orał dziecinną twarz napastnika krwawymi bruzdami. Raz po raz rozbijał pięścią krwawą miazgę krzyczącej twarzy, pchając ostrze w głąb, przez zęby, język i kości. Nie zważał na ręce, które próbowały dosięgnąć go w obronnym odruchu.

Wreszcie skończył i zaczerpnął powietrza – wcześniej nie pamiętał o oddychaniu. Spojrzał na pozostałych trzech diabłów, którzy wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Nieartykułowany krzyk wyrwał się z jego gardła, gdy rzucał na ziemię wyjącego ślepca. Teraz był gorszą bestią niż oni. Trzej cofnęli się instynktownie, szukając osłony za końskim truchłem. Wreszcie jeden z nich otrząsnął się i sięgnął za plecy po łuk. Drżącą ręką wydobył z kołczanu strzałę i upuścił ją na ziemię. Mattias odwrócił się i spojrzał na matkę. Napad szału minął. Chłopak przyklęknął, chwycił ją za rękę i przycisnął jej spracowane palce do policzka. Były ciepłe. Jego serce przeszył grot nadziei, ale gdy uniósł głowę, zobaczył jej niewidzące, błękitne, martwe oczy. Grot poruszył się, zadając ból. Ze ściśniętym gardłem przytulił twarz do jej dłoni. Tętent kopyt był coraz głośniejszy, ale Mattias nie zważał już na sprawy tego świata. Liczyła się tylko ta jedna: dotyk dłoni matki.

Poderwał głowę, dopiero gdy rozległ się huk donośny jak grzmot. Intruz, który próbował założyć strzałę na cięciwę łuku, padał właśnie na ziemię. Szara masa wylewała się

na jego ramiona z roztrzaskanej czaszki. Dwaj pozostali gwałciciele padli na kolana w smudze niebieskawego dymu i szwargocząc jak oszalali, tłukli czołami o ziemię.

Mattias odwrócił się i zobaczył widok, którego jego oczy jeszcze nie znały.

Mężczyzna – choć równie dobrze mógł być bogiem – siedział na grzbiecie siwego ogiera arabskiej krwi, z którego nozdrzy buchała para upodabniająca obu do zjaw rodem z baśni. Był młody, dumnej postury i śniadej cery. Miał wysokie, delikatnie zarysowane kości policzkowe oraz brodę przystrzyżoną na kształt grotu włóczni. Ubrany w szkarłatny kaftan zdobiony sobolowym futrem i luźne, szkarłatne szarawary, nosił wysokie żółte buty oraz śnieżnobiały turban ozdobiony niezliczonymi diamentami, mieniącymi się przy każdym jego ruchu. U pasa miał krzywą szablę o rękojeści i pochwie wysadzanych drogimi kamieniami. W dłoni trzymał zdobiony srebrem pistolet, z którego długiej lufy unosił się dym. Miał brązowe oczy, których spojrzenie przeszywało właśnie Mattiasa. Było w nich coś na kształt podziwu, ale nie tylko. Choć było to niemożliwe, Mattias wyczuwał w nich także miłość.

Spojrzenie brązowych oczu trwało, a młody kowal nie śmiał nawet mrugnąć. Właśnie w tej chwili dusza mężczyzny i dusza chłopca sięgnęły ku sobie i splotły się. Żaden z nich nie umiał wyjaśnić tego fenomenu i żaden nie śmiał kwestionować jego mocy, ponieważ pochodziła od Boga.

Z czasem Mattias miał się dowiedzieć, że wojownik, którego wówczas zobaczył, jest kapitanem Sari Bajrak, najdzielniejszej gwardii przybocznej sułtana, i że nazywa się Abbas Ibn Murad. Teraz jednak był po prostu człowiekiem. Człowiekiem, w którego sercu nie było ani krzty złych intencji.

Za jego plecami Mattias zobaczył jeszcze dwóch szkarłatnych jeźdźców. Dalej, na drodze wiodącej w głąb wioski, mieszkańcy próbowali walczyć z pożarami lub przynajmniej ratować z płomieni dzieci, starców i dobytek. Nad tłumem wieśniaków górował, niczym zaganiacze nad stadem owiec, jeszcze tuzin podobnych jeźdźców. Wymachując lancami i strzelając z batów, przywoływali do porządku piechurów zajętych plądrowaniem wioski. Abbas wsunął pistolet do olstra i popatrzył na nagie ciało zgwałconej kobiety, leżące na końskim truchle. Po chwili przeniósł spojrzenie na Mattiasa i przemówił. Nie posługiwał się tym samym językiem co diabły. Mattias nie rozumiał słów, ale wiedział, o co jest pytany.

– To twoja matka?

Przełknął ślinę i skinął głową.

Abbas zauważył sztylet w dłoni chłopaka oraz krew, która przykleiła koszulę do jego ciała. Zacisnął wargi i pokręcił głową. Spojrzał ponad Mattiasem, który odwrócił się, podążając za jego wzrokiem. Pierwszy napastnik, ugodzony sztyletem, już się nie poruszał.

Drugi pełzł półnagi po piachu, oślepiony i pozbawiony twarzy, mamrocząc niezrozumiale pociętymi ustami. Abbas skinął dłonią. Jeden z jego towarzyszy podjechał bliżej i dobył szabli. Mattias patrzył z podziwem na damasceńską klingę. Wojownik zatrzymał się przy rannym i pochylił się w przód. Ostrze uniosło się i opadło niemal bezgłośnie; chlusnęła krew, a ścięta głowa potoczyła się do rynsztoka.

Abbas zbliżył się do Mattiasa i wyciągnął rękę.

Mattias puścił dłoń matki i najpierw wytarł w rękaw ostrze, a potem i trzpień, odwinąwszy spowijającą go szmatę. Trzymając sztylet za czubek klingi, podał go Abbasowi. Nie czuł strachu. W chwili, gdy Abbas dotknął stali, jego brwi uniosły się w zdziwieniu. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy ułożył broń na otwartej dłoni. Mattias przypomniał sobie, że metal jest jeszcze ciepły. Abbas skinął sztyletem w jego stronę.

– Ty go zrobiłeś?

I tym razem Mattias zrozumiał pytanie, choć nie pojmował słów. Kiwnął głową, a Abbas ponownie zacisnął usta. Trącił bok wierzchowca i zbliżył się do domu. Wychyliwszy się, wsunął ostrze sztyletu głęboko w szczelinę między framugą drzwi a ścianą. Oparł się całym ciężarem ciała na trzpieniu i Mattias skrzywił się mimowolnie, widząc, jak stal ugina się znacznie mocniej, niż sam odważyłby się sprawdzić. Poczuł paniczny lęk, gdy trzpień niemal dotknął ściany, ale stal nie pękła. Gdy Abbas odpuścił, klinga natychmiast wróciła do pierwotnego kształtu. Jeździec wyjął sztylet ze ściany, obejrzał raz jeszcze i popatrzył na Mattiasa. Obaj wiedzieli, że mają przed sobą broń wyjątkową. Zaraz potem sztylet zniknął w dolamie kapitana i Mattias nie zobaczył go nigdy więcej.

Abbas wydał rozkazy i drugi z adiutantów spiął konia i odjechał. Pierwszy tymczasem, wciąż z nagą szablą w dłoni, zbliżył się do dwóch klęczących niedoszłych gwałcicieli, których żądze miały pozostać niezaspokojone. Obaj mieli już pełne spodnie i nie przestawali błagać o litość; jeździec szturchnął ich bezceremonialnie, zmuszając do biegu w stronę drogi.

Abbas sięgnął za tylny łęk, po mlecznobiały pled utkany z najdelikatniejszej, jagnięcej wełny. Odpiął go i rzucił Mattiasowi, który jeszcze nigdy nie trzymał w ręku czegoś tak wspaniałego i w pierwszej chwili wystraszył się, że jego szorstkie dłonie uszkodzą delikatną materię. Spoglądał na Abbasa pustym wzrokiem, zdumiony tak hojnym darem. Kapitan wskazał na nagie ciało jego matki.

Mattias poczuł ucisk w gardle i pieczenie łez w oczach, darem nie był bowiem pled, ale godność kobiety; życzliwość obcego poruszyła go do głębi. Z twarzy kapitana wyczytał jednak ostrzeżenie i zrozumiał je instynktownie: nie pozwolił, by łzy popłynęły

swobodnie. Abbas dostrzegł ten wysiłek i raz jeszcze z uznaniem skinął głową. Mattias odwrócił się i rozpostarł koc, który opadł na ciało jego matki jak ostatnia pieszczota. Łzy ponownie zebrały się w jego oczach, gdy zniknęła pod nim na zawsze, ale zmusił je, by się cofnęły. Matka była martwa, a przecież jakaś jej cząstka musiała pozostać żywa i teraz rozsadzała jego serce uczuciem miłości. Mattias zastanawiał się, czy matka jest już w Niebie i czy Bóg pozwoli mu zobaczyć ją raz jeszcze. W tym momencie usłyszał głos Abbasa i odwrócił się. Obcy powtórzył zdanie. I choć Mattias nie rozumiał słów, znalazł pocieszenie w samej ich intencji. Zapamiętał ich brzmienie. W najbliższych miesiącach miał słyszeć je wiele razy i dobrze poznać ich znaczenie.

– Ciało jest prochem – powiedział Abbas.

Z torby przytroczonej do siodła wyjął książkę. Oprawę z zielonej skóry zdobiły cudownie fantazyjne złote litery. Abbas otworzył książkę w przypadkowo wybranym miejscu, jakby sam Bóg prowadził jego rękę. Przebiegł wzrokiem po wersach i zatrzymał się nagle, jakby napotkał wyjątkowo święte i głębokie słowa. Uniósł głowę i wskazał palcem na chłopaka.

– Ibrahim – rzekł.

Mattias spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

Abbas powtórzył gest.

– Ibrahim – powiedział, tym razem bardziej natarczywie.

Mattias pojął, że tym imieniem kapitan chce go nazywać. W istocie było to imię, które wybrał sam Allah, ponieważ przypadkowo otwartą książką był święty Koran. Mattias przymknął oczy. Jego matka nie żyje, podobnie jak Britta i Gerta. Nie ma już domu. Ojciec powróci do zgliszcz, które nie tak dawno były prosperującym warsztatem i siedzibą jego rodu. Szkarłatny kapitan czekał cierpliwie, siedząc na grzbiecie siwego araba. Mattias dotknął palcem własnej piersi.

– Ibrahim – powiedział.

W tym momencie wyrzekł się imienia, które nadał mu ojciec.

Abbas skinął głową, a potem zamknął i schował Świętą Księgę. Jego adiutant powrócił z luzakiem. Gdy podał wodze Mattiasowi, chłopak zrozumiał, że musi odjechać ze szkarłatnymi jeźdźcami i że wielki świat otwiera się przed nim jak nieskończona otchłań. Abbas nie dawał mu wyboru; to raczej Mattias został przezeń wybrany. Chłopak nie wahał się. Dosiadł konia i poczuł między udami jego żywą siłę; świat wyglądał z wysoka zupełnie inaczej. Pochylił się nad uchem wierzchowca i tak jak ojciec uczył go przemawiać do koni przed podkuwaniem, wyszeptał:

– Nie bój się, przyjacielu.

Abbas odjechał, a adiutant podążył za nim. Mattias spojrzał w dół, na okryte ciało, i pomyślał o ojcu. Nie dane mu było poznać jego magii ani miłości silniejszej od wszelkich zaklęć. Może gdyby czarna klinga pękła albo gdyby Mattias nie umiał powstrzymać łez, może wtedy jeźdźcy zostawiliby go w spokoju, pozwalając pogrzebać zabitych. Był jednak tylko chłopcem i nie wiedział tego. Stłumił narastający smutek i popędził konia. Nie obejrzał się ani razu. Choć i tego jeszcze nie wiedział, odtąd wojna była jego rzemiosłem i jego panią – zazdrosną, bo niezezwalającą na miłość inną niż ku niej samej.

Gdy jechali kłusem, mijając płonące chaty i wieśniaków z pochylonymi głowami, Mattias dostrzegł ciała ostatnich dwóch diabłów. Leżały w wielkich kałużach krwi; wyblakłe oczy odciętych głów martwo spoglądały w błoto.

Pokorni towarzysze zabitych stali w ponurych szeregach, pod lufami pistoletów swych tureckich panów. Mattias miał się wkrótce dowiedzieć, że byli to Wołosi i Bułgarzy, którzy jako ochotnicy garnęli się pod sztandary sułtana w poszukiwaniu łatwych łupów, nieudacznicy bez grosza przy duszy i przestępcy, szumowiny nieznające dyscypliny i niemające pojęcia o wojennym rzemiośle. Egzekucja miała im uświadomić, że ziemia, na której się znaleźli, jest teraz lennem sułtana i wszystko, co na niej znajdą, należy do niego. Każde ziarno pszenicy, każdy kielich wina, każda owca, każdy muł, każda wioska. Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko. Każda kropla deszczu, która spadnie z nieba. Wszystko to należało do sułtana, a teraz należał do niego i młody Ibrahim.

Tym sposobem w roku 1540 Mattiasa, syna kowala, dosięgło dewszirme – chrześcijański chłopiec został wcielony do służby u Niewolników Porty. Miał przemierzyć wiele obcych ziem i zobaczyć wiele dziwów, zanim ujrzał słynne minarety Stambułu lśniące w słońcu nad Złotym Rogiem. Jako że stał się zabójcą, zanim stał się mężczyzną, miał się szkolić w Enderunie w pałacu Topkapı Sarayı. Miał wstąpić w szeregi janczarów, nauczyć się obcych języków i obyczajów oraz poznać liczne tajniki sztuki wojennej. Miał pamiętać, że Bóg jest jeden i że Mahomet jest jego wysłannikiem. Miał zapragnąć walczyć i umrzeć w imię Allaha. Nieznany los, który umieścił go na końskim grzbiecie, szykował mu życie w służbie Boskiego Cienia na Ziemi. Padyszacha Morza Białego i Czarnego. Ucieczki Wszelkich Ludów Świata. Sułtana Sułtanów i Króla Królów. Prawodawcy. Władcy imperium osmańskiego, Sulejmana Wspaniałego.

Część pierwsza - Świat marzeń

Niedziela, 13 maja 1565 - Fort Świętego Anioła, Il Borgo, Malta

Zdaniem Starkeya, sytuacja przedstawiała się następująco:

Najpotężniejsza armada od czasów starożytnych, wioząca najlepszą armię współczesnego świata, została wysłana przez Sulejmana z zadaniem zdobycia Malty. Zwycięstwo Turków odsłoniłoby południową Europę na falę muzułmańskiego terroru. Sycylia byłaby do wzięcia. Nietrudno byłoby wyobrazić sobie odbicie Grenady. Sam Rzym mógłby zadrżeć w posadach. Ponad te strategiczne sukcesy Sulejman przedkładał wszakże najważniejszy ze swych celów: wytępienie rycerzy świętego Jana, owej niezwykłej kompanii mnichów-wojowników i uzdrowicieli, znanej niektórym jako rycerze morscy, a innym jako szpitalnicy. Sami joannici mieli dość śmiałości, by w dobie inkwizycji nazywać swe zgromadzenie Religią.

Wielką turecką armią dowodził Lala Mustafa Pasza, który raz już pokonał rycerzy, broniących się w cytadeli nieporównywalnie potężniejszej od maltańskiej, gdy przyszło mu świętować zwycięstwo na Rodos w roku 1522. Od tamtej pory Sulejman, który wyżej niż inne zadania stawiał święty obowiązek podboju świata i oddawania go islamowi, zdołał zająć także Belgrad, Budę, Bagdad i Tebryz. Podporządkował sobie Węgry, Syrię, Egipt, Persję, Siedmiogród i Bałkany. Dwadzieścia pięć wysp weneckich oraz wszystkie porty Afryki Północnej padły łupem jego piratów. Jego okręty wojenne rozniosły Świętą Ligę pod Prewezą. Dopiero zima zmusiła go do odwrotu spod bram Wiednia. Nikt nie wątpił w to, jaki będzie wynik kolejnej fazy świętej wojny w wydaniu Sulejmana – ataku na Maltę.

Być może z wyjątkiem garstki samych rycerzy.

Brat Oliver Starkey, porucznik turkopolier Langue Angielskiej, stał przy oknie w komnacie wielkiego mistrza. Z tego miejsca, wysoko na południowej ścianie twierdzy Świętego Anioła, widział jak na dłoni geograficzną złożoność przyszłego pola bitwy. Otoczone wzgórzami trzy trójkątne cyple wyznaczały granice Wielkiego Portu, domu zakonu. Fort Świętego Anioła stał w najwyższym punkcie pierwszego cypla, górując nad Il Borgo – najważniejszym z miast, w którym znajdowały się domy rycerzy i mieszczan, Święty Szpital, kościół pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca, największe doki i magazyny oraz cała reszta instytucji niezbędnych do istnienia miniaturowej metropolii. Od strony lądu Il Borgo chronił

potężny mur obronny z licznymi bastionami, w których pełnili służbę rycerze i ochotnicy z miasta.

Starkey przeniósł spojrzenie na drugą stronę Porto delle Galere, ku L'Isoli, drugiemu pasmu ziemi, nad którym z zadziwiającym spokojem obracały się skrzydła tuzina wiatraków. Kompanie milicji ćwiczyły na równinie, błyskając hełmami w pełnym słońcu, a dalej zastępy nagich muzułmańskich niewolników prężyły się w rytmie gwizdów nadzorcy, wciągając bloki piaskowca w górę, po murach Świętego Michała, twierdzy broniącej dostępu do L'Isoli od strony lądu. Po rozpoczęciu oblężenia jedynym połączeniem między L'Isolą a Il Borgo miał pozostać kruchy most z łodzi, spinający Porto delle Galere. Pół mili na północ, naprzeciwko Wielkiego Portu, na samym końcu trzeciego cypla, stał fort Świętego Elma. Była to warownia całkiem odizolowana i podczas oblężenia można było dotrzeć do niej jedynie od strony wody.

Wszędzie widać było gorączkowe przygotowania. Trwały wykopy, budowa umocnień i musztra; zbiory, solenie i magazynowanie; polerowanie, ostrzenie i modlitwy. Słychać było pokrzykiwanie rycerzy na pikinierów i brzęk rusznikarskich młotków. W rozbrzmiewających dzwonami kościołach trwały nowenny, a kobiety dzień i noc modliły się do Najświętszej Maryi Panny. Ośmiu na dziesięciu obrońców stanowili niedoświadczeni chłopi w skórzanych zbrojach domowej roboty, uzbrojeni we włócznie. Waleczni Maltańczycy nie wahali się ani chwili, gdy przyszło im wybierać między śmiercią a niewolą. W mieście dawał się wyczuć nastrój ponurej determinacji.

Starkey uniósł głowę, kątem oka dostrzegłszy jakiś ruch. Para czarnoskrzydłych sokołów runęła ku ziemi z turkusowego nieba. Wydawało się, że będą spadać w nieskończoność, lecz nagle zmieniły kurs, poderwały się i omalże nieruchome poszybowały ku zachodowi. W chwili, gdy ginęły na horyzoncie, Starkey pomyślał, że mogłyby być ostatnimi ptakami na świecie. Z zadumy wyrwał go nagle głos dochodzący z przeciwległego krańca przestronnej komnaty.

– Kto nie poznał wojny, ten nie poznał Boga.

Starkey nie pierwszy raz słyszał to bezbożne motto. Zawsze burzyło spokój jego sumienia, a tego dnia wzbudziło w nim lęk: obawiał się, że już wkrótce przekona się na własnej skórze o jego prawdziwości. Odwrócił się plecami do okna, by powrócić do konferujących.

Jean Parisot de la Valette, wielki mistrz zakonu, stał przy stole usłanym mapami w towarzystwie słynnego pułkownika le Masa. Rosły i szczupły, ubrany w czarny habit przyozdobiony krzyżem świętego Jana, de la Valette miał już za sobą siedemdziesiąt jeden

wiosen. Pięćdziesiąt lat zabijania na otwartym morzu utwardziło jego ścięgna i należało przypuszczać, że kiedy wygłasza takie poglądy, to wie, o czym mówi. Jako dwudziestokilkulatek przeżył krwawą tragedię Rodos, gdy niedobitki zakonu udały się na wygnanie na nielicznych ocalałych okrętach. Mając lat czterdzieści sześć, przez prawie rok był galernikiem na okręcie należącym do Abd ar-Rahmana. W wieku, w jakim inni wybraliby wysokie stanowiska w hierarchii zakonu – i bezpieczne życie na lądzie – de la Valette wciąż wiódł żywot pirata, tytoniem chroniąc nos przed smrodem. Miał wysokie czoło, a jego włosy i broda były teraz całkiem siwe. Jego oczy wyblakły od słońca i były barwy kamienia, cała zaś twarz przypominała maskę z brązu. Dla niego wieść o inwazji była jak eliksir młodości ze starożytnego mitu. Z żarliwością kochanka powitał wizję rychłej zagłady. Był niestrudzony. Pełen entuzjazmu. Natchniony. Jak ktoś, komu nareszcie wolno wyzwolić całą nagromadzoną nienawiść, bez odrobiny żalu i bez ograniczeń. De la Valette nienawidził bowiem islamu i wszelkich jego niegodziwości. Kochał natomiast Boga oraz Religię. A teraz, w ostatnich dniach jego życia, Bóg nareszcie zesłał Religii błogosławieństwo wojny. Wojny jako apoteozy. Wojny jako manifestacji woli bożej. Wojny nieograniczonej i czystej, rozgrywanej aż po krwawy finał za pomocą najstraszliwszych środków znanych ludzkości.

„Kto nie poznał wojny, ten nie poznał Boga”? Chrystus wszak nigdy nie wsparł zbrojnej walki choćby jednym słowem. Zdarzały się chwile, gdy Starkey był pewny, że de la Valette oszalał. Że wizja potworności wojny odebrała mu rozum. Że jak obłąkany wierzy w moc Boga, która miała napełniać jego ciało. Któż inny, jeśli nie szaleniec, mógł trzymać w garści los tylu ludzi i z takim spokojem przewidywać rzeź tysięcy z nich? Starkey przemierzył komnatę, by dołączyć do dwóch starych towarzyszy przy stole z mapami.

– Jak długo jeszcze musimy czekać? – spytał pułkownik le Mas.

– Dziesięć dni? Tydzień? Może krócej – odparł de la Valette.

– Zdawało mi się, że mamy jeszcze miesiąc.

– Byliśmy w błędzie.

Wystrój komnaty de la Valette’a był odzwierciedleniem jego ascetycznej natury. Gobeliny, portrety i ozdobne meble poprzedników zniknęły. Zastąpiły je kamień, drewno, papier, atrament i świece. Do ściany przybito prosty drewniany krucyfiks. Tego ranka pułkownik Pierre le Mas przywiózł z Mesyny niespodziewane posiłki w postaci czterystu żołnierzy hiszpańskich oraz trzydziestu dwóch rycerzy zakonu. Był typem krzepkiego zabijaki, a dobiegał już sześćdziesiątki. Skinął Starkeyowi głową i wskazał na mapę.

– Tylko mędrzec umiałby rozszyfrować te hieroglify.

Mapa – ku lekkiemu niezadowoleniu Starkeya, który sam nadzorował prace kartograficzne – była upstrzona tajemniczymi notatkami i symbolami naniesionymi przez de la Valette'a. Zakon Świętego Jana był podzielony na osiem Langues – czyli Języków – z których każda skupiała rycerzy z innej krainy: Francji, Prowansji, Owernii, Italii, Kastylii, Aragonii, Niemiec i Anglii. De la Valette wyznaczył linię, która wielkim łukiem z zachodu na wschód otaczała Il Borgo; każda Langue miała stanowić załogę innego bastionu.

– Francja – rzekł, wskazując na punkt po prawej stronie, tuż nad Porto delle Galere. Podobnie jak le Mas, de la Valette był jednym z wojowniczych synów Gaskonii. – Tuż obok szlachetna Langue Prowansalska, na najbardziej wysuniętym bastionie.

– Ilu mamy z Prowansji? – wtrącił le Mas.

– Siedemdziesięciu sześciu braci i rycerzy. – Palec de la Valette'a przesunął się po mapie na zachód. – Po lewej mamy Langue Owernijską. Potem Italię – sto sześćdziesiąt dziewięć lanc – a dalej Aragonię. Kastylię. Niemcy. Na wezwanie do broni odpowiedziało w sumie pięciuset dwudziestu dwóch braci.

Le Mas zmarszczył brwi. Była to żałośnie mała liczba.

– Razem z tymi, których sprowadziłeś – dodał de la Valette – mamy osiem setek hiszpańskich tercios oraz ze czterdziestu łowców przygód. Maltańskiej milicji jest nieco ponad pięć tysięcy.

– Słyszałem, że Sulejman wysłał sześćdziesiąt tysięcy gazi, żeby nas zapędzili aż do morza.

– Wliczając marynarzy, bataliony robotników i całą resztę wsparcia, jest ich znacznie więcej – odrzekł de la Valette. – Psy Proroka odpychają nas od pięciu stuleci. Z Jerozolimy do Krak des Chevaliers, z Krak do Akki, z Akki na Cypr i Rodos… a każdą milę naszego odwrotu znaczą krew, popioły i kości. Na Rodos wybraliśmy życie, nie śmierć, lecz choć dla całego świata jest to chlubny epizod, dla mnie to plama na honorze. Tym razem nie będzie „honorowej kapitulacji". Nie cofniemy się. Malta to ostatni bastion.

Le Mas zatarł ręce.

– Proszę zatem o przydział na Posterunek Honoru. – Miał na myśli najbardziej niebezpieczne miejsce; właściwie „posterunek śmierci". Nie on pierwszy upomniał się o ten zaszczyt i dobrze o tym wiedział, bo dodał zaraz: – Jesteś mi to winien.

Starkey nie wiedział, co miała znaczyć ta uwaga; mistrz i pułkownik wymienili spojrzenia.

– Później o tym porozmawiamy – powiedział de la Valette – gdy lepiej poznamy zamiary Mustafy. – Wskazał na skrajną część fortyfikacji. – Brama Kalkara należy do Anglii.

Le Mas roześmiał się.

– Cały bastion dla jednego człowieka?

Prastara i szlachetna Langue Angielska, niegdyś należąca do najwspanialszych w zakonie, została zniszczona przez spasionego lubieżnika i heretyka, Henryka VIII. Starkey był ostatnim Anglikiem w Zakonie Świętego Jana.

– Brat Oliver jest Langue Angielską – oświadczył de la Valette. – Jest również moją prawą ręką. Bez niego bylibyśmy zgubieni.

Zażenowany Starkey postanowił zmienić temat.

– Ci ludzie, których ze sobą przywiozłeś… Jak byś ich ocenił?

– Dobrze wyszkoleni, dobrze uzbrojeni i wszyscy bez wyjątku oddani Chrystusowi – odparł le Mas. – Wycisnąłem z gubernatora Toledo dodatkowe dwie setki ochotników, grożąc, że spalę jego galery. Resztę zwerbował Niemiec w naszym imieniu.

De la Valette uniósł brew.

– Mattias Tannhäuser – uściślił le Mas.

– Ten sam – dodał Starkey – który uprzedził nas o planach Sulejmana.

De la Valette zapatrzył się w przestrzeń, jakby próbował przypomnieć sobie twarz. Po chwili skinął głową.

– Tannhäuser przyniósł nam te informacje? – zdziwił się le Mas.

– Nie zrobił tego z dobrego serca – odrzekł Starkey. – Sprzedał nam przy okazji ogromną ilość broni i amunicji, żebyśmy mieli czym prowadzić tę wojnę.

– Chytry z niego lis – przyznał le Mas z niemałym podziwem. – Niewiele dzieje się w Mesynie bez jego wiedzy. Potrafi postępować z ludźmi, a i w walce musi być z niego nie byle jaki towarzysz, bo przecież odsłużył trzynaście lat w sułtańskim korpusie janczarów.

De la Valette zamrugał.

– Lwy Islamu – powiedział.

Janczarowie byli najbardziej bitną formacją piechoty na świecie, elitą osmańskiej armii, ostrzem sułtańskiej włóczni. Jej szeregi tworzyli wyłącznie chrześcijańscy chłopcy, których wychowywano i szkolono – wedle surowych zasad bektaszytów – tak, by pragnęli śmierci w imię Proroka. De la Valette spojrzał na Anglika pytająco.

Starkey odszukał w pamięci szczegóły dotyczące kariery Tannhäusera.

– Podbój Persji, jezioro Wan, zdławienie rebelii Safawidów, złupienie Nachiczewanu. – Starkey zauważył, że de la Valette znów zamrugał; wcześniej się to nie zdarzało. – Tannhäuser został kapitanem janczarów i należał do gwardii przybocznej pierworodnego syna Sulejmana.

– Dlaczego rzucił tę służbę? – spytał de la Valette.

– Nie wiem.

– Nie pytałeś?

– Nie odpowiedziałby.

Wyraz twarzy de la Valette'a uległ nieznacznej zmianie – Starkey wyczuł, że w jego głowie pojawił się pewien plan.

Mistrz położył dłonie na barkach le Masa.

– Bracie Pierre, wkrótce porozmawiamy. O Posterunku Honoru.

Le Mas zrozumiał, że powinien odejść. Ruszył w stronę drzwi.

– Powiedz no mi jeszcze – rzucił za nim de la Valette. – Wspomniałeś, że Tannhäuser umie sobie radzić z ludźmi. Z kobietami też?

– Można mu pozazdrościć zastępu piękności, które dla niego pracują! – Le Mas poczerwieniał, zawstydzony własnym entuzjazmem, jako że wiedziano powszechnie, iż od czasu do czasu sam ulega pokusie rozpusty. – Spieszę jednak dodać, że nie są one do wynajęcia. Tannhäuser nie złożył ślubów zakonnych, więc będąc na jego miejscu… Cóż, kiedy mężczyzna gustuje w kobietach… a on gust ma doskonały… trudno mieć mu to za złe.

– Dziękuję – odparł de la Valette. – Więc i ja nie będę miał.

Le Mas zamknął za sobą drzwi, a wielki mistrz usiadł na krześle i zaplótł palce.

– Tannhäuser. Nie brzmi to jak szlacheckie nazwisko.

Kto chciał zostać rycerzem Zakonu Świętego Jana, musiał dowieść, że ma w swym rodowodzie szesnastu przodków szlachetnego rodu. Wielki mistrz głęboko wierzył w słuszność tej reguły.

– Tannhäuser to jego nom de guerre – wyjaśnił Starkey. – Zdaje się, że wzięte z germańskiej legendy. Przyjął je w czasach, gdy służył Alvie w wojnach francusko-hiszpańskich.

– Skoro Tannhäuser spędził trzynaście lat wśród Lwów Islamu, wie o naszym wrogu – o jego taktyce, formacji, morale, nastrojach – więcej niż ktokolwiek w naszym obozie. Potrzebuję go tu, na Malcie, na czas oblężenia.

– Bracie Jeanie – zdumiał się Starkey – ale dlaczego on miałby się do nas przyłączyć?

– W południe Giovanni Castrucco wypływa na Couronne do Mesyny.

– Castrucco nie zdoła przekonać Tannhäusera.

– Słusznie – zgodził się de la Valette. – I dlatego ty z nim popłyniesz. A gdy Castrucco będzie wracał na Maltę, przywieziesz ze sobą niemieckiego janczara.

– Ależ nie będzie mnie pięć dni, a mam tu niezliczone obowiązki…

– Jakoś przeżyjemy bez ciebie.

– Dlaczego on jest taki ważny?

– Może i nie jest. Mimo to popłyniesz. – De la Valette wstał. Powrócił do mapy i omiótł spojrzeniem teren, na którym wkrótce tysiące ludzi miało walczyć o życie. – Tej bitwy o naszą Religię nie wygra się ani nie przegra jednym wybitnym posunięciem – powiedział. – Nie będzie genialnego, decydującego manewru. Nie będzie Achillesa i Hektora ani Samsona z oślą szczęką; to są pieśni przeszłości. Czeka nas mnóstwo drobnych potyczek z udziałem niezliczonych pomniejszych bohaterów – naszych mężczyzn, kobiet i dzieci – z których niewielu pozna wynik tej konfrontacji i niewielu pożyje dość długo, by zobaczyć finał.

Starkey po raz pierwszy dostrzegł w oczach de la Valette'a coś na kształt lęku.

– W Bożym tyglu miesza się nieskończenie wiele rozwiązań i tylko sam Pan wie, kto ostatecznie przechyli szalę zwycięstwa na swoją stronę. Może będzie to rycerz, który zginie, broniąc wyłomu w murach, może chłopiec, który nosząc wodę, będzie mu pomagał gasić pragnienie, może piekarz, który dostarczy mu chleba, a może pszczoła, która użądli wroga w oko. Tak precyzyjna jest waga w wojennej próbie sił. I dlatego potrzebny mi Tannhäuser. Przez wzgląd na jego wiedzę, na jego miecz oraz na jego miłość lub nienawiść do Turków.

– Wybacz, bracie Jeanie, ale zapewniam cię, że Tannhäuser tu nie przybędzie.

– Czy signora Carla wciąż dręczy nas swoimi listami?

Trywialność pytania spowodowała, że Starkey ze zdziwieniem zmrużył oczy.

– Hrabina de la Penautier? O tak, wciąż pisze. Zdaje się, że ta kobieta nie rozumie, co znaczy odmowa. Skąd to pytanie?

– Użyj jej jako dźwigni.

– Przeciwko Tannhäuserowi?

– On lubi kobiety – rzekł de la Valette. – Niech polubi i tę.

– Ja nawet nie znam hrabiny… – zaprotestował Starkey.

– W młodości była wyjątkowo piękna i sądzę, że upływ czasu niewiele ją zmienił.

– Całkiem możliwe, ale ona jest szlachetnie urodzona, Tannhäuser zaś to… cóż, to prawie barbarzyńca i…

Grymas na twarzy de la Valette'a oznaczał koniec dyskusji.

– Popłyniesz na Couronne. I sprowadzisz Tannhäusera na Maltę. – De la Valette wziął Starkeya pod ramię i poprowadził do drzwi. – Wychodząc, przyślij tu inkwizytora.

– Mam nie uczestniczyć w waszej naradzie?

– Ludovico będzie ci towarzyszył na pokładzie Couronne. – De la Valette zauważył, że Starkey jest zdezorientowany, i obdarzył go rzadko widywanym uśmiechem. – Bracie Oliverze, wiedz, że miłuję cię głęboko.

Siedzący w przedsionku Ludovico Ludovici, sędzia i jurysta Świętej Kongregacji Inkwizycji, przesuwał w palcach paciorki różańca z przykładną obojętnością. Posłał Starkeyowi spojrzenie absolutnie bez wyrazu, na moment odbierając mu mowę.

Ludovico, podobnie jak Starkey, był mężczyzną czterdziestoletnim, a jednak włosy okalające jego tonsurę wciąż były kruczoczarne, ich linia zaś nie zaczęła się jeszcze cofać. Miał gładkie czoło i starannie ogoloną twarz; jego czaszka przypominała skałę wyrzeźbioną pierwotnymi siłami natury. Długi tułów i szerokie bary okrywał biały habit i czarna peleryna – szata dominikanina. Oczy Ludovica błyszczały jak obsydianowe kule i próżno by szukać w nich śladu złych czy dobrych intencji. Obserwowały upadły świat tak, jakby czyniły to od czasów Adama, z trzeźwością wykluczającą zarówno rozbawienie, jak i strach, a przy tym wiedzione wybitną inteligencją gotową spenetrować duszę każdego, kto znalazłby się w polu widzenia. Na dnie oczu czaił się wszelako cień bajecznej melancholii – żalu, który skłaniał do nieustannego opłakiwania – jak gdyby widziały już kiedyś lepszy świat i wiedziały, że nie zobaczą go nigdy więcej.

Uczyń mnie strażnikiem sekretów twojej duszy, mówiły niezgłębione, czarne oczy. Złóż swoje brzemię na moich ramionach, a życie wieczne będzie twoje.

Starkey czuł nieznośne pragnienie zwierzenia się, a zarazem nieokreślony niepokój. Ludovico był specjalnym wysłannikiem papieża Piusa IV do maltańskiej inkwizycji. Co roku przebywał tysiące mil w poszukiwaniu źródeł herezji. Miał niebanalne osiągnięcia: posłał na stos na campo del Flor między innymi Sebastiana Mollio, znanego bolońskiego profesora. Doradzał księciu Albertowi Bawarskiemu w brutalnym dziele odnowienia jedynie prawdziwej wiary. Podczas oczyszczania Piemontu wysłał na autos da fé w Rzymie całe zastępy więźniów z pokutnymi świecami. A przecież pokora Ludovica była tak głęboka, że trudno było ją dostrzec. Starkey nie widział też nigdy, by ktokolwiek z taką lekkością nosił brzemię tak wielkiej władzy. Zadaniem Ludovica na Malcie było wytropienie ognisk luterańskiej herezji wśród braci z Zakonu Świętego Jana, lecz jak dotąd nie aresztował jeszcze nikogo. Bezczynność ta czyniła zeń jednak jeszcze większy postrach. Czy de la Valette chciał, by Ludovico pozostał bezpieczny na Sycylii? A może intryga polegała na czymś innym? Starkey uświadomił sobie nagle, że stanowczo zbyt długo przygląda się inkwizytorowi. Skłonił się więc i powiedział:

– Wasza ekscelencjo, wielki mistrz oczekuje.

Ludovico wstał. Zręcznym ruchem przepasał się grzechoczącym różańcem i bez słowa minąwszy Starkeya, wszedł do komnaty de la Valette'a. Gdy zamknął za sobą drzwi, Anglik poczuł ulgę, ale zaraz o niej zapomniał na myśl o dwudniowej podróży w towarzystwie dominikanina. Ruszył w stronę swojej kwatery, aby przygotować się do drogi. Nie celował w podstępnym, nieuczciwym działaniu, lecz w tych czasach tylko głupiec mylił oddanie Bogu z moralnością. Starkey kochał de la Valette'a. Kochał Religię. W służbie jednego bądź drugiego, bez względu na cenę, jaką musiałaby zapłacić jego dusza, był gotów uczynić absolutnie wszystko.

Wtorek, 15 maja 1565 - Willa Saliba, Mesyna, Włochy

…Krótko mówiąc, względy wojskowe wciąż nie pozwalają mi udzielić Pani zgody na odwiedzenie Malty. Jednakże pozwolę sobie zasugerować inny sposób, w jaki być może uda się Pani zrealizować to najszczersze pragnienie.

W mesyńskim porcie przebywa niejaki Mattias Tannhäuser, osobnik o życiorysie tak splątanym, że nie warto go zgłębiać. Dość powiedzieć, że jest to człowiek chadzający własnymi ścieżkami. Wprawdzie należy do niższego stanu, nie ma wielkiego szacunku dla prawa, a według niektórych jest niedowiarkiem – a może i gorzej – lecz mimo to mogę ręczyć za jego słowność i zapewniam, że nie ma żadnego powodu, by Panią skrzywdzić. Prawdą jednak jest i to, że nie mam powodu sądzić, iż zechce udzielić Pani pomocy. Z drugiej strony, niepodobna ogarnąć mocy, z jaką dama tak piękna i wrażliwa jak Pani pobudzić może szlachetniejsze instynkty kapitana Tannhäusera – jeśli takowe posiada.

Nie będę Pani zwodził, signora Carla. W obliczu tureckiej nawały obecność kapitana Tannhäusera na Malcie byłaby dla nas wielce korzystna. Jak dotąd jednak, świadomy zagrożenia i w żaden sposób niezobowiązany do lojalności wobec zakonu, nie wykazywał ochoty, by się do nas przyłączyć. Gdyby zdołała Pani skłonić go do podróży we własnej sprawie, mógłbym zezwolić Jej na powrót na wyspę w charakterze osoby towarzyszącej. Couronne opuszcza Mesynę dziś o północy. Jeśli najświeższe raporty wywiadowcze okażą się prawdziwe, będzie ostatnim chrześcijańskim statkiem, który zdąży przed turecką blokadą.

Znajdzie Pani Tannhäusera w tawernie na południowym krańcu nabrzeża, zwanej Wyrocznią. Nie śmiem prosić, by odwiedzała Pani osobiście tak obskurne miejsce, lecz z drugiej strony muszę uprzedzić, że posłańców Tannhäuser z zasady odprawia z niczym. To, w jaki sposób nawiąże Pani kontakt z kapitanem, zależy więc tylko od tego, jak bardzo zależy Pani na postępach w Jej sprawie.

Sumienie nakazuje mi powtórzyć ostrzeżenie: wyspa znalazła się w stanie wojny, a dla osób, które tu przebywają, ryzyko śmierci czy niewoli będzie w najbliższych dniach wprost ogromne. Jeśli mogę zaproponować Pani większą pomoc lub poradę, nim Couronne wypłynie w morze, znajdzie mnie Pani w klasztorze Szpitalników Świętego Jana z Jerozolimy w Mesynie.

Odręczne pismo Starkeya było najpiękniejszym, jakie Carla kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się, jak wiele godzin musiał spędzić jako chłopiec, ćwicząc te

doskonałe krzywizny, eleganckie przejścia między szerokimi liniami prowadzonymi w dół i wąskimi biegnącymi w górę, a także stosowanie idealnie dobranych odstępów między literami, słowami i wersami. To pismo było oznaką mocy. Nawet króla przekonałoby do racji piszącego – i rzeczywiście przekonywało, to Starkey bowiem odpowiadał za dyplomatyczną korespondencję zakonu. Carla jeszcze go nie spotkała. Zastanawiała się, czy jest równie gładki jak jego pismo, czy może jest pomarszczonym i zakurzonym mnichem pochylonym nad stołem. Rozmyślała też o swoim synu i bardzo chciała wiedzieć, czy w ogóle umie czytać i pisać. Jak zawsze, gdy wspominała swą porażkę w roli matki, ból ścisnął jej żołądek, a pragnienie powrotu na Maltę – i lęk, że być może nigdy nie zdoła tego uczynić – wspięło się na nowy poziom intensywności.

Carla złożyła list i zmięła go w dłoni. Od sześciu tygodni korespondowała ze Starkeyem. Poprzednie odmowy były odpowiedziami bardzo zajętego człowieka, który zmuszony jest zająć się nieistotnym drobiazgiem i sili się na uprzejmość wyłącznie przez wzgląd na jej szlacheckie pochodzenie. Jednocześnie wszyscy kapitanowie statków i wszyscy rycerze zmierzający na Maltę, których prosiła o pomoc, wysłuchiwali jej argumentów z wielką uprzejmością, lecz tylko niektórzy ofiarowali czynne wsparcie. Na słowach jednak się kończyło i tak oto signora Carla wciąż oglądała wschody słońca z okien willi Saliba.

Wielki mistrz de la Valette orzekł, że każdy, kto nie jest zdolny do udziału w obronie wyspy, jest „bezużyteczną gębą do wykarmienia". Setki starców i chorych, kobiet w ciąży, a także nieliczną grupę maltańskiej arystokracji odprawiono na drugi brzeg cieśniny, na Sycylię. Każdy Maltańczyk zdolny dźwignąć pikę czy choćby łopatę pozostał na wyspie, bez względu na płeć i wiek. Carla, którą jako wątłą szlachciankę rycerze czuliby się w obowiązku chronić, była dla nich zbędnym ciężarem. Co więcej, miejsce na okrętach zmierzających do Wielkiego Portu było zarezerwowane dla żołnierzy, ich ekwipunku i żywności, a nie dla próżniaczących się dam ogarniętych niewyjaśnionym pragnieniem śmierci. Carla jednak gardziła próżniactwem i nie uważała się za osobę wątłą. Samodzielnie zarządzała swą skromną posiadłością w Akwitanii. Nie podlegała władzy żadnego mężczyzny. Wraz ze swą wierną towarzyszką, Amparo, przemierzyła całą Langwedocję, chroniona wyłącznie łaską bożą i własnym sprytem. Niedawne wojny hugenockie pogrążyły kraj w chaosie i zniszczeniu, a przecież udało im się bez niczyjej pomocy dotrzeć cało i zdrowo do Marsylii, a potem do Neapolu i na Sycylię. Wyczyn ten zszokował wielu ludzi, których napotkały po drodze, i spoglądając nań z perspektywy czasu, Carla musiała przyznać, że był nie tylko dowodem braku rozwagi, ale może wręcz głupoty. Mimo to przez myśl jej nie przeszło, że mogłyby nie dotrzeć aż tak daleko albo zawrócić. Dla kobiety tak samodzielnej i

przedsiębiorczej trzy tygodnie bezczynności w Mesynie były powodem głębokiej frustracji. Tym bardziej więc list Starkeya jawił się Carli jako pierwszy promyk nadziei. Nareszcie zyskała przynajmniej potencjalną wartość militarną. Jeśli tylko zdoła przed północą sprowadzić tego Tannhäusera na pokład Couronne, wolno jej będzie wyruszyć w rejs razem z nim.

We wszystkich negocjacjach ze Starkeyem, kapitanami i rycerzami ani razu nie zdradziła prawdziwej przyczyny, dla której tak bardzo pragnęła wrócić w rodzinne strony. Gdyby to uczyniła, tylko utwierdziłaby ich w przekonaniu – które i tak żywili – że jest osobą niezrównoważoną. Jedynie Amparo znała prawdę. Carla zaś pragnęła utrzymać tajemnicę nie tylko z dyplomatycznych pobudek, ale i dlatego, że był to sekret wstydliwy. Miała syna. Syna z nieprawego łoża, którego wyrwano z jej objęć przed dwunastu laty. Wierzyła, że jej syn wciąż przebywa na Malcie.

Otworzyła przeszklone drzwi, za którymi rozciągały się ogrody. Rodzina Saliba, dalecy krewni jej rodu, Manduca, przenieśli się na Capri, by uciec przed skwarnym sycylijskim latem, i pozwolili Carli zamieszkać w domu dla gości. Było tu elegancko i wygodnie, a pomocą służyli gościom kucharz, pokojówka i otwarcie pogardliwy z natury służący imieniem Bertholdo. Carla zdążyła już poprosić Bertholda, by zajął się dostarczeniem stosownej wiadomości kapitanowi Tannhäuserowi przebywającemu w Wyroczni, lecz fałszywe zdumienie, które odmalowało się na jego twarzy, przekonało ją, że minie wiele dni, nim sługa raczy wykonać polecenie. Zresztą wrodzona arogancja sprawiłaby, że jego misja zakończyłaby się nie tylko niepowodzeniem, ale i ciężkim uszkodzeniem ciała, gdyby zdarzyło mu się rozmawiać z właścicielem Wyroczni.

Carla spojrzała na ogród. Amparo klęczała wśród kwiatów, tuląc wysoką, białą różę. Było to zachowanie typowe dla tej dziewczyny; patrząc na swobodę jej ducha, Carla czuła niekiedy znużenie. Teraz jednak, gdy na nią spoglądała, przyszła jej do głowy nowa myśl. Nie bałaby się odwiedzić Wyroczni osobiście i taki też był pierwszy impuls – wystarczająco często miała okazję negocjować z kupcami z Bordeaux. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że gdyby odwiedziła Tannhäusera na jego terenie, automatycznie znalazłaby się na gorszej pozycji. Gdyby natomiast zdołała zwabić go do siebie, do tego imponującego domu, przewaga byłaby po jej stronie. A jeśli nie myliło jej przeczucie, Amparo sprowadziłaby Tannhäusera do Saliby z jeszcze większą łatwością. Być może nie przyjmował zwykłych posłańców, ale kogoś tak osobliwego zapewne nigdy jeszcze nie spotkał.

Carla wyszła do ogrodu i schroniła się pod palmami, których cień umożliwiał kwiatom przetrwanie. Amparo ucałowała białą różę i wstała, by otrzepać spódnicę z piasku. Wciąż jeszcze wpatrywała się w kwiaty, gdy Carla przystanęła u jej boku. Amparo sprawiała wrażenie spokojnej. Rano wciąż jeszcze była poruszona tym, co poprzedniego wieczoru zobaczyła w swym szkle wizji. Obrazy, o których mówiła, były tak różnorodne i tak niezwykłe, że gdy jeden z nich zdał się mieć wiele wspólnego z rzeczywistością, Carla była skłonna wierzyć, że to coś więcej niż zbieg okoliczności. Wiedziała, że symbole mogą mieć dowolne znaczenie, w zależności od intencji interpretującego… Tylko że Amparo nigdy nie interpretowała. Po prostu widziała.

A zobaczyła czarny okręt pod czerwonymi żaglami, z załogą małych małp dmących w trąbki. Zobaczyła wielkiego, białego mastifa w obroży najeżonej żelaznymi kolcami, trzymającego w zębach płonącą pochodnię. Zobaczyła nagiego mężczyznę o ciele pokrytym hieroglifami, jadącego na koniu o maści w kolorze roztopionego złota. Mężczyzna jechał, a anielski głos mówił: „Brama jest szeroka, ale wiodąca do niej ścieżka jest jak ostrze brzytwy".

– Amparo? – odezwała się Carla.

Dziewczyna odwróciła głowę. Zawsze w takich chwilach Carla miała wrażenie, że obrót potrwa dłużej, a spojrzenie Amparo skieruje się ku horyzontowi, jakby kontakt wzrokowy z drugim człowiekiem sprawiał jej ból i jakby wolała szukać w otoczeniu czegoś pięknego, ale widzialnego jedynie dla niej. Tak zachowywała się w pierwszych miesiącach znajomości i taka pozostała dla wszystkich z wyjątkiem Carli. Amparo spojrzała jej prosto w oczy. Miała różnobarwne oczy – lewe brązowe jak jesień, a prawe szare jak atlantycki wiatr. Oba zdawały się żyć tymi samymi, nigdy niezadanymi pytaniami, jak gdyby nie istniały słowa, w które można by je oprawić. Miała mniej więcej dziewiętnaście lat; Carla nie znała jej dokładnego wieku. Jej twarz była świeża jak jabłko i delikatna jak płatki kwiatu, ale zagłębienie w kości pod lewym okiem nadawało jej rysom wyraz niepokojącej asymetrii. Jej wargi nigdy nie układały się do uśmiechu. Wydawało się, że to Bóg nie ofiarował jej tej umiejętności, tak jak ślepcowi poskąpił wzroku. Odmówił jej zresztą i innych darów. Była naznaczona – może geniuszem, może szaleństwem, może ręką diabła, a może kombinacją wszystkich tych sił. Nie przyjmowała sakramentów i wydawała się niezdolna do modlitwy. Przerażały ją zegary i lustra. Twierdziła, że rozmawia z aniołami oraz słyszy myśli zwierząt i drzew. Z pasją miłowała wszelkie żywe stworzenia. Była promieniem gwiezdnego światła uwięzionym w ciele i czekającym na właściwy moment, by podjąć przerwaną wędrówkę ku nieskończoności.

– Czy już czas zagrać? – spytała Amparo.

– Nie, jeszcze nie.

– Ale zagramy?

– Oczywiście, że tak.

– Boisz się.

– Tylko o twoje bezpieczeństwo.

Amparo spojrzała na róże.

– Nie rozumiem.

Carla zawahała się. Tak bardzo przywykła do nieustannej troski o Amparo, że myśl o wysłaniu dziewczyny między szumowiny wydała jej się zbrodnią. Lecz z drugiej strony, Amparo przeżyła na ulicach Barcelony, cierpiąc nędzę i przemoc, jakich Carla nawet nie śmiała sobie wyobrazić. I z pewnością nie była skażona tchórzostwem, nawet jeśli Carla w głębi serca uważała samą siebie za niewolną od tej wady.

Uśmiechnęła się.

– Co strasznego jest dla światła gwiazd w ciemności?

– Nic – odparła Amparo, marszcząc brwi. – To zagadka?

– Nie. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Coś bardzo ważnego.

– Chcesz, żebym odnalazła mężczyznę na złotym koniu.

Głos Amparo był cichy jak deszcz. Spoglądała na świat oczami mistyczki. Carla tak bardzo się przyzwyczaiła do obcowania z jej niezwykłą wyobraźnią, że nie dostrzegała w niej już niczego nienaturalnego.

– Nazywa się Mattias Tannhäuser – powiedziała.

– Tannhäuser – powtórzyła Amparo, jakby próbowała dźwięk świeżo odlanego dzwonu. – Tannhäuser. Tannhäuser. – Wydawała się zadowolona.

– Muszę z nim dziś porozmawiać. Jak najszybciej. Chcę, żebyś poszła do portu i sprowadziła tu tego człowieka.

Amparo skinęła głową.

– Jeśli odmówi… – ciągnęła Carla.

– Przyjdzie – przerwała jej Amparo, jakby inne rozwiązanie wydawało jej się nie do pomyślenia.

– Jeśli odmówi, spytasz go, czy zechce mnie przyjąć w dogodnej chwili, ale koniecznie dzisiaj. Rozumiesz? Dzisiaj.

– Przyjdzie. – Twarz Amparo jaśniała tajemniczą radością, odpowiednikiem prawdziwego uśmiechu. W pewnym sensie było to nawet coś więcej niż uśmiech.

– Powiem Bertholdowi, żeby przygotował powóz.

– Nie cierpię powozu – odrzekła Amparo. – Duszno w nim, jest powolny i okrutny dla koni. Pojadę wierzchem. A jeśli Tannhäuser nie wróci ze mną, to nie jest mężczyzną, który ma przejść po ostrzu brzytwy, a skoro tak, to po co miałby cię przyjmować w późniejszym terminie?

Carla wiedziała, że nie należy się spierać z Amparo. Skinęła głową.

Dziewczyna ruszyła w stronę domu, ale zatrzymała się jeszcze i obejrzała przez ramię.

– Ale zagramy, kiedy wrócę? Gdy tylko wrócę?

W życiu Amparo istniały dwie stałe, bez których odczuwała głęboki niepokój: godzina, którą każdego popołudnia spędzały na wspólnym muzykowaniu, oraz wieczorne sesje przy kamieniu, w którym oglądała swoje wizje. Poza tym każdego ranka bywała na mszy, ale raczej z chęci towarzyszenia Carli niż z własnej pobożności.

– Nie, jeśli Tannhäuser przyjedzie z tobą – odparła Carla. – To, co mam mu do powiedzenia, jest naprawdę pilne. Tym razem muzyka będzie musiała zaczekać.

Amparo była zdumiona jej głupotą.

– Musisz dla niego zagrać! Musisz zagrać dla Tannhäusera. To dla niego ćwiczyłyśmy tak długo.

Brzmiało to absurdalnie, bo przecież ćwiczyły od lat, a pomysł wydawał się Carli całkiem niedorzeczny. Amparo zauważyła jej wahanie, chwyciła ją za ręce i zaczęła poruszać nimi miarowo w górę i w dół, jakby tańczyła z małym dzieckiem.

– Dla Tannhäusera! Dla Tannhäusera! – Nazwisko znowu zadźwięczało w jej ustach jak dzwon. Jej twarz promieniała. – Wyobraź sobie, kochana! Zagramy dla niego jak nigdy dotąd.

Początki z Amparo były trudne. Carla znalazła ją podczas porannej przejażdżki, w rześki lutowy poranek, gdy mgła otaczała jeszcze kolana jej konia, a wiśnie dopiero zaczynały kwitnąć. Mgła spowijała też Amparo i być może ich drogi nigdy by się nie skrzyżowały, gdyby nie to, że Carla usłyszała wysoki, przepełniony słodyczą głos, który niósł się nad równiną jak żałobna pieśń aniołów. Była to pieśń w jednym z kastylijskich dialektów, do zmyślonej melodii, przejmująca jak bicie skrzydeł samej śmierci. Słowa były niezrozumiałe, ale nieziemskie piękno śpiewu przyciągnęło Carlę jak magnes.

Znalazła Amparo w kępie wierzb. Gdyby nie głos, nie umiałaby powiedzieć, czy to ciało skulone wokół pnia drzewa i na wpół pogrzebane w masie gnijących liści należy do kobiety czy mężczyzny, i czy w ogóle jest to człowiek czy może leśny stwór niewiadomego

pochodzenia. Jeśli nie liczyć strzępka zwierzęcego futra zawiązanego na szyi oraz resztek wełnianych pończoch, dziewczyna była naga. Jej stopy były wielkie w stosunku do reszty ciała, błękitnawe, podobnie jak dłonie, które ściskała kurczowo między piersiami. Ramiona, od barków aż po nadgarstki, były potwornie posiniaczone, podobnie jak blada, prawie przezroczysta skóra opinająca jej żebra. Miała kruczoczarne włosy, niedbale przycięte i przyklejone do głowy grudami błota. Jej usta były sine z zimna. W różnobarwnych oczach nie było jednak ani śladu smutku czy użalania się nad sobą i może z tej przyczyny widok ów wydał się Carli tak żałosny. Amparo nigdy nie opowiadała o tym, jak znalazła się w lesie, wygłodzona, brudna i bliska śmierci z wyziębienia. W ogóle rzadko wspominała o przeszłości, a jeśli już, to tylko odpowiadając „tak" lub „nie" na pytania Carli. Jednak owego pierwszego dnia w gorącej kąpieli Carla dostrzegła ślady krwi i śluzu na jej kroczu; zauważyła też, że niektóre ślady na jej ciele pochodzą od ludzkich zębów.

Gdy się spotkały, Amparo nie spojrzała jej w oczy. Minęły tygodnie, zanim odważyła się to zrobić, i na zawsze pozostał to zaszczyt zarezerwowany dla nielicznych. Gdy Carla zsiadła z konia i chwyciła ją pod ramię, Amparo krzyknęła tak przeraźliwie, że omal nie spłoszyła wierzchowca. Widząc lęk zwierzęcia, sama podniosła się z ziemi. Pocieszała konia, szepcąc mu coś do ucha, zupełnie nie zrażona tym, że sama jest w znacznie gorszym stanie. Gdy Carla okryła ją swoim płaszczem, Amparo nie zaprotestowała; nie chciała jednak wspiąć się na siodło – wolała maszerować, trzymając konia za uzdę. Tym sposobem trafiła przed siedmioma laty do domu Carli, krocząc niczym bosy i obdarty giermek u boku swej pani w długim, zielonym płaszczu, który ciągnął się za nią po ziemi.

Domownicy, zaprzyjaźniony ksiądz, nieliczni znajomi z wioski i znacznie liczniejsi plotkarze byli zgodni w jednym: Carla popełniła błąd – a może była równie szalona jak ta dziewczyna – przyjmując znajdę pod swój dach. Amparo, wówczas jeszcze ledwie nastolatka, często reagowała gwałtownie z niejasnych powodów, a także spędzała długie godziny na rozmowach z końmi i psami, niekiedy z pasją śpiewając im swym srebrzystym głosem. Nie jadała mięsa, nawet drobiu, a czasem odmawiała przyjęcia świeżego chleba. Wolała orzechy, jagody i surowe warzywa, choć na tej diecie nie przybrała ani grama ciała i wciąż była równie mizerna jak w dniu, gdy została znaleziona. Jako że nigdy nie patrzyła księdzu w oczy, a jej tęczówki różniły się barwą, powszechnie uchodziła za diabelskie nasienie.

Carla jednak była przy niej w każdej trudnej chwili, podczas ataków szału i transu, nagłych zniknięć, które trwały czasem kilka dni, znosząc upokorzenia w towarzystwie i wysłuchując propozycji egzorcyzmów, a nade wszystko tolerując fakt, że Amparo

najwyraźniej nie potrafi odwzajemnić miłości. Wydawało się, że jest niewrażliwa na uczucia innych, a jeśli nie niewrażliwa, to przynajmniej całkiem obojętna. A jednak, poprzez lojalność, którą okazywała Carli, poprzez zaufanie, którym ją obdarzyła, ujawniając sekret szkła wizji i jego objawień, poprzez uparte zgłębianie niepojętych tajników etykiety, a przede wszystkim poprzez naiwny geniusz, którym wzbogacała sesje wspólnego muzykowania, Amparo ujawniała miłość głębszą i trwalszą niż ta, której doświadcza większość śmiertelników. Były dziwnymi przyjaciółkami, ale nie było nigdy bliższej sobie pary.

Carla zastanawiała się niekiedy, czy kocha tę dziewczynę z powodu jakiegoś zaklęcia rzuconego na zwierciadło rozpoznania. Zwierciadło, w którym każdy może zobaczyć odbicie siebie samego. A może kocha ją dlatego, że w swej samotności potrzebowała kogoś, kogo mogłaby obdarzyć uczuciem, a los przypadkiem podsunął jej Amparo? A może była ta miłość wspólnym, tajemnym spiskiem samotności, próby samopoznania i przypadku? Nie miało to wielkiego znaczenia. Dziewczyna zdobyła jej serce. To właśnie Amparo, istota bez przeszłości, zainspirowała Carlę do odbycia tej krucjaty w poszukiwaniu odkupienia własnych grzechów.

– Nie pojadę do Mesyny, póki mi nie powiesz – upierała się Amparo. – Zagramy dla niego czy nie?

Serce Carli zabiło szybciej na samą myśl. Zaprosić mężczyznę – obcego, o wątpliwej reputacji – do nie swojego domu i bez zbędnych wstępów czarować go sztuką? Kto słyszał o takich obyczajach? Tannhäuser musiałby uznać je za wariatki. Umysł podpowiadał Carli, że koncert dla kapitana będzie szaleństwem, ale serce czuło, że będzie to coś wspaniałego. Amparo czekała na odpowiedź.

– Tak – powiedziała Carla. – Zagramy dla niego. Tak jak jeszcze nigdy nie zagrałyśmy.

– I zabierzesz mnie ze sobą, prawda? – dopytywała się Amparo. – Nie zniosłabym, gdybyś mnie zostawiła.

Zadawała to pytanie nieustannie, odkąd wyruszyły w podróż, ale teraz warunki mogły ulec zmianie. Czy Starkey pozwoli? A Tannhäuser? Po raz pierwszy Carla udzieliła odpowiedzi, nie mając pewności, czy uda jej się dotrzymać obietnicy:

– Nigdy cię nie zostawię.

Wewnętrzna radość bez uśmiechu ponownie rozjaśniła twarz Amparo. Zaraz też pojawił się kolejny natchniony pomysł.

– Włóż czerwoną suknię – powiedziała. – Tak, tak, czerwoną suknię! – dodała, widząc minę Carli. – Musisz.

Carla zamówiła tę suknię podczas pobytu w Neapolu, z przyczyn, których nie umiała zgłębić nawet wtedy. Jej uwagę przykuła szlachetność jedwabiu; tkanina o fantastycznej barwie musiała przebyć pustynię i morze, by dotrzeć tu aż z Samarkandy. Krawiec dostrzegł jej odbicie w oczach Carli i aż klasnął w dłonie, gdy wyobraził sobie tak cudowne zjednoczenie materii i ciała. Obiecał klientce, iż jedwab stworzy z jej naturą parę tak cudowną, że jej urokowi nie oprze się nawet głaz.

Gdy tydzień później włożyła suknię po raz pierwszy, jej skóra westchnęła, serce zabiło mocniej, a coś dziwnie przypominającego panikę chwyciło ją za gardło, jakby przypomniała sobie o czymś, czego bała się najbardziej i co dawno temu postanowiła wyrzucić z pamięci. Gdy wyszła z przebieralni, oczy Amparo rozszerzyły się i napełniły łzami. Gdy stanęła przed lustrem, zobaczyła kobietę, której nie znała i którą nie mogła być. I choć strój ten stał się natychmiast ulubionym przedmiotem, jaki posiadała, wiedziała, że nigdy nie będzie go nosić, ponieważ nigdy nie nadejdzie chwila, w której stanie się – lub ośmieli się stać – kobietą ze szklanej wizji. Była to suknia dla kobiety kwitnącej, ona zaś miała już za sobą wiosnę i lato swego życia. Czerwony jedwab spoczął więc w skrzyni, spowity w tę samą tkaninę, w którą zapakował go krawiec.

– Nigdy nie było stosownej okazji – powiedziała Carla. – I tym razem nie ma.

– Kiedy, jeśli nie teraz? – spytała Amparo.

Carla przymknęła oczy i odwróciła głowę.

– Jeśli Tannhäuser ma iść po ostrzu brzytwy, ty musisz dotrzymać mu kroku.

Była w tym pewna logika, logika Amparo.

– Bez względu na to, jak wyjątkowym jest człowiekiem, na pewno nie przyjdzie do mnie w czerwonym jedwabiu.

Kręcąc głową, Amparo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– A teraz wystarczy tych głupstw – dodała Carla. – Proszę, ruszaj w drogę.

Patrzyła, jak Amparo biegnie w stronę domu, i zastanawiała się, jak to jest żyć bez strachu. Bez poczucia winy i wstydu. Tak jak żyje Amparo. Carla poczuła coś podobnego ostatniej wiosny, gdy rankiem wyruszały z Akwitanii w długą drogę ku Sycylii. Dwie szalone kobiety w podróży, której, jak przeczuwała, miały nigdy nie ukończyć. Tamtego ranka czuła się tak wolna jak wiatr, który szarpał jej włosy. Carla wróciła do domu z postanowieniem, że uda się do kaplicy i będzie odmawiać różaniec za powodzenie misji Amparo. Jeśliby dziewczyna miała wrócić z Wyroczni sama, byłby to koniec podróży.

Wtorek, 15 maja 1565 - Tawerna Wyrocznia, Mesyna, Sycylia

Ostre, białe światło dnia oraz stęchła woń portowych wód wdzierały się przez uchylone drzwi magazynu, docierając do barwnej hordy ludzi rozmaitego stanu i pochodzenia, w tym żołnierzy i przestępców, których jednoczyło tylko uczucie podniecenia. Żeglarze, przemytnicy, żołnierze, bravi, malarze, zbieracze i złodzieje tłoczyli się przy z grubsza oheblowanych blatach wspartych na kozłach, przelewając swe marne zarobki wprost do brzuchów z ponurą determinacją potępionych. Rozprawiali, jak zwykle, o zbliżającej się inwazji na Maltę, o okrutnych degeneratach, za jakich mieli Turków, a także o wynaturzeniach islamu. Ich znajomość rzeczy była niemal dokładnie zerowa, ale póki pili, Tannhäuser nie miał powodu do narzekania. Zamierzał zarobić na tej wojnie bez względu na to, kto zwycięży, więc starał się zachować spokój, jak to mają w zwyczaju mądrzy ludzie, i koncentrował się przede wszystkim na zwyczajowo późnym śniadaniu: tego dnia była to nadzwyczaj smaczna krwawa kiszka od benedyktynów z Maniacio, którą popijał młodym czerwonym winem z tego samego źródła.

Jego ramiona wypełniały oparcie wielkiego orzechowego krzesła obitego wytartą już, zieloną skórą i ozdobionego motywem złotego liścia z napisem Usque ad finem. Mebel ten znany był jako tron Tannhäusera; każdemu wystarczająco pijanemu nieszczęśnikowi, który ośmieliłby się na nim zasiąść, groziło błyskawiczne lanie zakończone równie szybkim wyrzuceniem wprost do rynsztoka. Tannhäuser całkiem niedawno został człowiekiem interesu i właścicielem nieruchomości – i to wbrew wszelkim planom z dawnych lat – ale zdążył już poczuć, że dobrze mu z tym nowym powołaniem. Jak zawsze, gdy imał się czegoś nowego, uczynił to całą duszą i całym ciałem.

Tawerna zrodziła się, jakby kierowana własną wolą, z zalążka lokalu umieszczonego w przedsionku magazynu, w którym Tannhäuser-handlarz bronią przechowywał swoje towary. Stół, przy którym jadał, stał na tyłach pomieszczenia, w alkowie pośród piętrzących się dokoła baryłek, skąd widać było jak na dłoni całą salę. Ściany zacisznego kąta były przybrane egzotycznymi tkaninami o fantastycznych wzorach i kolorach, nadających mu klimat karawanseraju. Na stole leżał zepsuty zegar sprowadzony z Pragi – Tannhäuser zamierzał go naprawić, używając części własnej produkcji – a obok niego mosiężne astrolabium, za pomocą którego można było obliczać położenie ciał niebieskich (profesor Maurolico osobiście nauczył go posługiwać się tym przyrządem). Dokoła spoczywały jedna na drugiej osobliwe księgi spisane w różnych językach – nie wszystkie z

nich Tannhäuser rozumiał – a wśród nich i takie, z których znieczuliwszy się mocniejszym trunkiem, deklamował niekiedy po turecku gazele lub pieśni żałobne Fuzuliego i Bakiego. W jego księgozbiorze znajdowało się też zakazane tłumaczenie Nowego Testamentu, autorstwa Brucioliego, który za to dokonanie miał przyjemność skonać w więzieniu inkwizycji, a także traktaty Rajmunda Lullusa i Jana Trithemiusa ze Sponheim. Posiadał też książki poświęcone magii naturalnej, cudom oraz poglądom dawnych filozofów. W takim to otoczeniu, będąc typem o masywnych przedramionach pokrytych tatuażami, o twarzy pooranej bliznami, ocienionej grzywą w kolorze brązu i rozjaśnionej spojrzeniem lazurowych oczu, Tannhäuser wydawał się tym, którzy z nim obcowali, władcą dalekiej, egzotycznej krainy – i nawet podobał mu się ten stan rzeczy, w tajemniczości drzemała bowiem siła, a w niej z kolei poczucie wolności.

Gdy dokończył kiszkę i dopił wino, Dana zbliżyła się doń, kołysząc biodrami, by zabrać brudny talerz. Miała pełne, jędrne ciało i tryskała młodością. Podobnie jak trzy pozostałe kobiety zatrudnione w tawernie, Dana pochodziła z Belgradu. Całą czwórkę uratowano z burdelu algierskich korsarzy, gdy ich okręt został przechwycony przez jednostki Religii. Tannhäuser z kolei uratował je przed karierą w burdelach Mesyny, choć nie obyło się przy tym bez odrobiny przemocy w starciu ze stadkiem miejscowych – słusznie rozczarowanych – stręczycieli. Czyn ten sprawił, że dziewczęta uznały kapitana za mężczyznę szlachetnego, zwłaszcza gdy się przekonały, że w Wyroczni zabronione jest nie tylko wymiotowanie i oddawanie moczu, ale także kupczenie ciałem. Ich obecność przyczyniła się zresztą do rozkwitu interesu, ponieważ żądni wrażeń klienci zaglądali do tawerny nie tylko po to, by zaspokoić pragnienie, ale i po to, by nasycić oczy. Wiedziały też, że nadmierne zainteresowanie gości ich wdziękami karane jest jeszcze surowiej niż siadanie na krześle właściciela, toteż z upodobaniem nosiły się dość bezwstydnie, ku udręce podziwiających i szczeremu podziwowi Tannhäusera.

Dana uniosła porcelanowy dzbanek, obdarzając szefa uśmiechem, który tylko na pozór był skromny. Tannhäuser oparł się pokusie dobrego wina, zasłaniając kielich dłonią, ale nie mógł odmówić sobie przyjemności pogładzenia drugą ręką łydki dziewczyny. Skóra pod jego palcami była gładka, chłodna i pociągająca; Dana pochyliła się mocniej, muskając piersią jego policzek, i wymruczała po serbsku kilka czułych słów. Poruszył się na siedzisku lekko podniecony i przesunął dłoń wyżej, pod spódnicę. W ostatnich tygodniach dzielili już łoże – a także zdarzały im się spontaniczne zbliżenia w przepastnych trzewiach magazynu, niekiedy nawet kilka razy dziennie – choć Tannhäuser dobrze wiedział, że nie powinien na to pozwalać. Jednakże wielce kusząca wydawała mu się myśl o wizycie w sypialni właśnie

teraz, gdy wino i kiszka tak miło wypełniały jego żołądek. Miłość sprzyjała wszak trawieniu, a wśród licznych obowiązków żaden nie wydawał się teraz nazbyt pilny. Odetchnął głęboko perfumami jej ciała i westchnął. I jeszcze krótka drzemka po wszystkim… Czyż wszechświat mógł zaoferować coś piękniejszego?

Zacisnął dłoń na jej muskularnym pośladku i wsunął palce w przedziałek, rozważając geniusz dzieła Stworzenia, objawiający się między innymi w takich cudach. Dana pociągnęła go lekko za włosy i posłusznie odsunął krzesło do tyłu… lecz w erotycznym skupieniu zwlekał zbyt długo, bo zanim zdążył wziąć dziewczynę pod ramię i oddalić się, Sabato Svi wychynął z czeluści Wyroczni i usiadł przy jego stole.

Skłonił się uprzejmie Danie, a ona odpowiedziała mu raczej wrogim spojrzeniem. Rozsunął książki, by podeprzeć się na łokciach, a potem potrząsnął natłuszczonymi lokami, które wystawały spod jego jarmułki. W jego głęboko osadzonych oczach tliły się rozbawienie oraz, jak zawsze, płomień boskiego szaleństwa. Tannhäuser skrzywił się, gdy Sabato wyjął z rękawa list. Nie umiał zdobyć się na wyjęcie ręki spod spódnicy Dany, ale w ramach przestrzegania etykiety miętosił teraz jej pupę z mniejszym zapałem, a nawet zdobył się na krótkie powitanie.

– Sabato – rzekł. – Co nowego?

– Pieprz – odparł równie krótko Sabato Svi.

Nieustraszony Sabato był Żydem z weneckiej wysepki Il Ghetto. Miał dwadzieścia siedem lat, czyli o dziesięć mniej niż Tannhäuser, ale to właśnie on był mózgiem działalności, która obu przynosiła godziwy zysk. Byli partnerami w interesach od pięciu sezonów i przez cały ten czas nie pokłócili się ani razu, nawet gdy z powodu drobnego przeoczenia groziła im niewola lub coś gorszego. Sabato uwielbiał prowokować sprytnie obmyślonymi oszczerstwami, z udawaną wściekłością zrywać negocjacje w szczytowym punkcie albo zadawać impertynenckie pytania jegomościom trzykrotnie większych gabarytów. Lecz mimo kilku – jakże doskonale pamiętanych – potknięć, Sabato niemal zawsze wychodził na swoje. Tannhäuser był ostrożny w inwestowaniu uczuć, bo tych, których zdarzyło mu się lubić, często spotykał marny los, ale jeśli ktoś miał kiedyś i jego pogrzebać, to właśnie Sabato Svi. Tannhäuser nigdy nie darzył nikogo tak silną przyjaźnią.

– Już ci mówiłem – powiedział. – Niewiele wiem o pieprzu, a może nawet nic. I wcale mnie nie korci, żeby się dowiedzieć.

– A ja ci mówiłem o wszystkim, co powinieneś wiedzieć na ten temat – odparował Sabato. – A mianowicie to, że cena pieprzu wzrasta czterokrotnie w drodze z magazynu w Aleksandrii na weneckie stragany.

– Oczywiście pod warunkiem, że ładunek uniknie podatku i bastinado …

– A oczywiście uniknie, jak zawsze.

– …i pod warunkiem, że nie skończę przykuty łańcuchem do wiosła na galerze Ulucha Alego…

– Który jest w drodze, bo chce dołączyć do armady sułtana, wraz z Turgutem Reisem, Alim Fartaksem i całą resztą śródziemnomorskich korsarzy.

– A skąd wyprawiają się na Maltę mamelucy Sulejmana? Z Aleksandrii! – nie bez satysfakcji skontrował Tannhäuser.

Sabato machnął listem w kierunku drzwi i portu za nimi.

– Spójrz na genueńczyków. Tchórze, trzymają się samej zatoki, ale dla ludzi takich jak ty morze nigdy nie było bardziej bezpieczne.

Tannhäuser, jak zawsze wrażliwy na takie wyzwania, znieruchomiał, zaprzestając pieszczoty. Dana naprężyła pośladki, sygnalizując rozczarowanie, więc podjął przerwaną czynność, ale jakby bez przekonania. Gdyby udało mu się uniknąć muzułmańskiej floty zbliżającej się do Malty – co przy dobrym wyczuciu chwili i odrobinie szczęścia było całkiem możliwe – na pozostałych wodach miałby spokój jak nigdy dotąd. W niezmiennym odruchu, którego nauczył się oczekiwać od kobiet, Dana zaczęła gładzić go po włosach.

– Nie kocham morza – rzekł. – To kamieniste pole, które orałem stanowczo za długo. Zresztą mam wiele obowiązków, które zatrzymują mnie tutaj.

Sabato spojrzał na biust Dany, która w rewanżu lubieżnie wydęła usta.

– Mattiasie, mój przyjacielu – odparł. – Osiemdziesiąt pięć kwintali jawajskiego pieprzu czeka na nas w Egipcie. – Sabato pomachał listem przed nosem Tannhäusera, jakby uperfumował go mirrą. – W dodatku w najodpowiedniejszym dla nas magazynie.

Tannhäuser dostrzegł fragment hebrajskiego pisma.

– Mosze Mosseri?

Sabato skinął głową.

– Osiemdziesiąt pięć kwintali. Ale za miesiąc towar przepadnie na zawsze – dodał, pochylając się ku Tannhäuserowi. – Wszystkie europejskie miasta domagają się pieprzu. Francuzi zupy bez niego nie zjedzą! Wyobraź sobie, jak Zeno, d'Este i Gritti licytują się nawzajem. Masz pojęcie, ile będą gotowi zapłacić?

Tannhäuser skrzywił się z niechęcią.

– Za trzy tygodnie będziesz w Aleksandrii, uzupełnisz ładunek gałką muszkatołową, woskiem i jedwabiami, a za osiem będziemy już liczyć nasze złoto na placu Świętego Marka. – Sabato miał w Wenecji żonę i dwóch synów, za którymi tęsknił, ale same

sentymenty nie były dlań wystarczającym powodem, by wrócić do domu. – Chcesz usłyszeć moją prognozę? Ostrożną prognozę?

– Jeśli muszę.

– Piętnaście tysięcy florenów. Choć bardziej prawdopodobne, że dwadzieścia.

Suma była tak ogromna, że Tannhäuser wyjął rękę spod spódnicy Dany i zaczął z namysłem masować brodę. Zarost zaszeleścił pod jego palcami, a Dana aż cmoknęła z oburzenia, ale kwota pozostała równie bajeczna, jak była chwilę wcześniej.

– Załatwiłem ładunek trzciny cukrowej na drogę do Aleksandrii – niby od niechcenia dodał Sabato.

Sabato był już w tak zaawansowanej fazie planowania, że Tannhäuserowi nie pozostało nic innego, jak zrealizować przedsięwzięcie. Sukces Wyroczni był tak spektakularny, że mogli korzystać z nowych linii kredytowych i zwiększyć wartość poprzednich – w zasadzie bez ograniczeń. Tannhäuser już bez przekonania szukał kolejnych kontrargumentów.

– A kapitan? A statek? Mówię o przyzwoitym, nie o zżartej przez robactwo łajbie, jaką załatwiłeś ostatnim razem.

– Dimitrianos. Centaur.

Myśl o nieznośnym smrodzie, tygodniach nudy w palącym słońcu oraz niekończących się zwycięstwach Greka w grze w karty i tryktraka przyprawiła Tannhäusera o bolesny skurcz brzucha, ale przez wzgląd na Danę powstrzymał się od puszczenia gazów.

– Jeśli włożysz za wiele żelaza do ognia, zacznie stygnąć – powiedział. – Poza tym nie przepadam za tym Grekiem.

Tak jak przypuszczał, jego obiekcje zostały zignorowane.

– Grek już czeka, z pustymi kieszeniami. Możemy załadować statek w trzy dni. A najlepsza pora na wyjście w morze… – Sabato wzruszył ramionami i uśmiechnął się, zwalając decyzję na barki Tannhäusera – …zależy jak zawsze od twoich informacji.

Tannhäuser stał niejako jedną nogą w każdym z dwóch wrogich światów. Dla wenecjan, hiszpańskich władców Sycylii oraz rycerzy maltańskich był kondotierem, kapitanem piechoty, pamiętającym włoską kampanię Alvy oraz rzeź Francuzów pod Saint Quentin, a ostatnio szanowanym kupcem handlującym opium, bronią i amunicją. Dla muzułmanów był Ibrahimem Kirmizim – Ibrahimem Czerwonym – weteranem rzezi we wschodniej Anatolii i w Persji. Znał zwyczaje Osmanów, ich języki i rytuały. Czuł się w ich imperium jak obywatel, którym dawniej był i którym jakąś cząstką duszy pozostał. Miał wspólników w Bursie, Smyrnie, Trypolisie i Bejrucie. Wysyłał jedwabie i opium z

Mazandaranu. Nikt z chrześcijańskiej Europy nie znał tak jak on okolic Stambułu, Eminönü, Üsküdaru i Bujuk Carsi, tamtejszych łaźni, karczm i bazarów. W Mesynie trzymał się blisko z pilotami, spedytorami i kapitanami, którzy mogli mu dostarczać cennych informacji o dobrach i statkach w drodze, o konkurentach pnących się w górę lub upadających, o skonfiskowanych ładunkach wystawianych na aukcjach, o zajazdach i intrygach w dalekich krajach, a także o tamtejszych zmianach politycznych klimatów. Przepytywał też niewolników przetrzymywanych w portach, zwłaszcza muzułmanów, którzy z nikim innym nie chcieli rozmawiać. Tylko oni wiedzieli, co się dzieje na północno-wschodnim wybrzeżu Afryki. W czasach, gdy wieści rozchodziły się tak powoli, kilka dni przewagi nad konkurencją miało wielką wartość, kilka tygodni zaś było wprost bezcennych.

I właśnie w ten sposób rozpoczął handel z Zakonem Maltańskim. Gdy na własne oczy zobaczył z nabrzeża Unkapani pod Stambułem surowe bale kilów nowej floty Sulejmana, natychmiast zrozumiał, że taka informacja może uczynić jego i Sabata Svi ludźmi zamożnymi.

Jeszcze tej samej nocy wypłynęli ze starego portu – Sabato do Wenecji, po ładunek prochu i broni, a Tannhäuser do Mesyny, by wynająć magazyn, a następnie na Maltę, by rozmówić się z Religią. Bezcenną informację o flocie Sulejmana oddał zakonowi za darmo, jako akt dobrej woli oraz argument za powierzeniem mu lukratywnego kontraktu na dostawę broni. „Wojna jest rzeką złota – powiedział wtedy do Sabata – a my staniemy z wiadrami na jej brzegu". I tak właśnie było, ponieważ apetyt Religii na proch strzelniczy, działa i kule do nich był nienasycony, jej kieszenie zaś, dzięki bogatemu zapleczu w katolickiej Europie – niezmiernie głębokie.

– Według moich informacji – rzekł Tannhäuser – jesteśmy bogaci i będziemy jeszcze bogatsi bez względu na to, czy Francuzi będą przyprawiać zupę pieprzem czy miksturą na syfilis.

Sabato zarechotał irytująco, jak czynił to zwykle w obecności swych ulubieńców. Dana trąciła biodrem ramię Tannhäusera, ale w tym momencie rozkosze ukryte pod jej spódnicą już się nie liczyły. Odesłał ją gestem, za co zapłaciła jego rozmówcy jeszcze jednym wrogim spojrzeniem. Tannhäuser zaś popatrzył tęsknie, jak się oddalają jej rozkołysane biodra, po czym odwrócił się i postukał palcem wskazującym w blat stołu.

– Prosisz mnie, żebym spędził na morzu dwa miesiące, akurat wtedy, gdy u naszego progu ma się rozegrać najbardziej krwawa bitwa tego pokolenia?

– Zatem o to chodzi. Zamiast wzmacniać naszą pozycję, wolałbyś siedzieć z tymi opojami i wymieniać się z nimi ploteczkami z portu – powiedział Sabato, ruchem głowy

wskazując na tłum wypełniający tawernę. – Tak wiele czasu spędziłeś z tymi wieprzami, że stałeś się taki jak oni!

– Uspokój się – Tannhäuser mitygował go bezskutecznie.

– Handel bronią jest całkiem niezły, ale huk dział nie będzie trwał wiecznie. Niewiele mamy dobytku. Nie mamy ziemi ani statków. – Sabato w pogardliwym geście wyciągnął rękę w stronę hałastry przy stolikach. – To nie jest bogactwo. To ledwie szansa na bogactwo. Szansa na snucie marzeń.

– Nie bardzo wierzę w marzenia – odparł Tannhäuser. Jego ostatnim marzeniem było wykucie ostrza, z którego ojciec byłby naprawdę dumny, lecz on nigdy nie zobaczył jego dzieła. Po tamtym marzeniu została w nim pustka, której nigdy nie zdołał zapełnić. – Nie będziemy już gadać o pieprzu – rzucił. – A przynajmniej nie dziś.

Sabato wyczuł zmianę nastroju Tannhäusera i zacisnął dłoń na jego mocnym przedramieniu.

– Jakoś nie pasuje mi do ciebie melancholia. W dodatku szkodzi na wątrobę, podobnie jak powietrze w tej parszywej dziurze. Przejedźmy się do Palermo i zobaczmy, czy nie uda się wykombinować jakiegoś zyskownego interesu.

Tannhäuser położył rękę na dłoni Sabata i uśmiechnął się szeroko.

– Przeklęty Żydzie – rzekł – przez ciebie za tydzień będę się pocił na statku tego Greka i dobrze o tym wiesz.

Uniósł głowę, gdy potężna postać przesłoniła światło wpadające przez otwarte podwójne drzwi. Był to Bors z Carlisle, zarządzający tawerną, ostatni z niezwykłej trójcy wspólników utrzymującej Wyrocznię na powierzchni. Rankiem, gdy jak co dnia ćwiczyli fechtunek, Tannhäuser drasnął go w policzek koniuszkiem szabli. Bors ani myślał się skarżyć, ale błąd w walce zwarzył mu humor, a sina opuchlizna pod okiem była doskonale widoczna. Gdy Bors stanął na szali wagi towarowej w urzędzie celnym, trzeba było dwudziestu kamieni, by zrównoważyć ciężar jego ciała, którego większość stanowiły potężne uda, ramiona i klatka piersiowa. Jako że jego twarz przypominała urodą kowadło, siniaki na niej nie były aż tak bardzo nie na miejscu, gdy jednak przestąpił próg tawerny, usłyszał czyjś złośliwy komentarz na temat świeżej opuchlizny, a zaraz potem – co gorsza – salwę nierozważnego śmiechu. Nie gubiąc kroku, zamachnął się i palnął bezczelnego komentatora ogromnym kułakiem w kark. Ofiara zakrztusiła się, zachwiała i padła między swych kompanów, Bors zaś, nie oglądając się, przemierzył salę, by zasiąść jak zawsze po lewej stronie Tannhäusera. Gdy to zrobił, Dana postawiła przed nim jego osobisty puchar oraz dzbanek.

Puchar był w istocie pięknie zdobionym ludzkim czerepem. Bors napełnił czaszkę winem i wychylił je duszkiem, po czym nalał sobie ponownie, a resztką – ze spóźnioną uprzejmością – uraczył Tannhäusera. Pusty dzbanek rzucił Danie, która wyszła zaraz, by go napełnić. Bors miał stalowoszare włosy, a od początków łysiny skutecznie odwracały uwagę potężne, krzaczaste brwi, piękna broda oraz kępki włosów sterczące z jego nozdrzy. Skinął głową w stronę Sabata Svi i zwrócił się do Tannhäusera.

– Czerwony okręt zacumował przy kei szpitalników.

– Widzisz? – odrzekł Tannhäuser, spoglądając na Sabata. – Żelazo Religii jeszcze gorące. Złoto płynie do naszych kieszeni.

– Kazałem Gasparowi ładować wozy i siodłać konie – dodał Bors. – Twojego też ma osiodłać? – spytał, patrząc na Żyda.

Sabato pokręcił głową.

– Nie mam nic przeciwko pieniądzom Religii, ale dla tych zakonników jestem tylko jednym z morderców Chrystusa.

– To święci mężowie od Chrzciciela – odparł Bors i przeżegnał się.

– A ich lochy pełne są zniewolonych Żydów lewantyńskich, którzy modlą się o sukces Turków, zresztą podobnie jak ja – powiedział Sabato Svi. – Plotka głosi, że to Żydzi ze Stambułu finansują tę inwazję, a ja – choć jest to plotka fałszywa, jak wszystkie podobne – bardzo bym chciał, żeby naprawdę tak było. Gdy Malta padnie, każdy Żyd będzie chwalił Boga.

– Jako że i tak wszyscy skończycie w piekle, chwalcie sobie, kogo chcecie.

Sabato spojrzał na Tannhäusera.

– Osobiście zapłaciłem okup za dwóch aleksandryjskich jeńców. To dlatego Mosze Mosseri jest mi winien przysługę.

– Co jakoś nie przeszkadza ci brać złota za sprzedaną rycerzom broń – zauważył Bors.

– Z rozkoszą wykorzystam okazję, zanim zostaną zmieceni z powierzchni ziemi – odparł Sabato. – Jakim trzeba być fanatykiem, żeby ginąć za spaloną słońcem skałę?

– Zebrali się tam, by poznać wolę bożą przez szlachetną zbrojną rywalizację – pouczył go Bors. – Poza tym, jeśli nie stawimy muzułmanom czoła na Malcie, pewnego dnia przyjdzie nam walczyć z nimi w Paryżu, bo ich wielkim planem jest podbój całego świata.

– My? – zdziwił się Sabato Svi.

– Uwierz mi, że przyjdzie pora i na ciebie – odrzekł Bors. – Co więcej, zakon zgromadził najmężniejszą drużynę zabijaków, jaką kiedykolwiek zebrano w jednym miejscu.

Na tej wyspie rozpętają piekło – dodał, spoglądając na Tannhäusera. – A ciebie i mnie zabraknie tam i nie sprawdzimy, ile dziś jesteśmy warci. To wbrew prawom natury – zakończył, zaciskając pięść w geście rozpaczy.

– Mattias skończył już z wojną i zabijaniem. Zdawało mi się, że ty też.

Bors zignorował uwagę Sabata i skrzywił się jak wielki dzieciak.

– W porównaniu z tą rzezią Saint Quentin wyda się niewinną zabawą.

– O nie – zaprzeczył Tannhäuser. – Wyda się parą staruszek zapalających świeczki w kościele.

– Zatem się zgadzasz! – zawołał Bors z nadzieją w sercu. – Ten czerwony okręt to nasza ostatnia szansa na wejście do gry. Pakujmy skrzynie z ekwipunkiem i ładujmy je na wozy. Przeznaczenie wzywa; nie mów, że nie słyszysz jego głosu.

Tannhäuser poruszył się niespokojnie, bo i on poczuł żywsze krążenie krwi, a do tego trudno mu było znieść pełne wyrzutu spojrzenie Borsa. W twarzy Sabata, dla odmiany, dostrzegł przerażenie na myśl o totalnej klęsce planów handlowych. Tannhäuser bawił się pierścieniem ozdobionym kostką rosyjskiego złota z przewierconym przez środek otworem tak długo, aż szlachetny metal udzielił mu swej mądrości.

– Borsie – rzekł – jesteś moim najstarszym i najsolidniejszym kompanem. Pamiętaj, że we trzech poprzysięgliśmy sobie, że będziemy bogaci – i stajemy się bogaci. Bez względu na to, czy nam się powiedzie czy nie, nasze pole walki wygląda dziś inaczej. Wspomnij na motto, które dla nas obrałeś: Usque ad finem. Aż do końca. Do samego końca.

Bors ukrył swoje myśli za wzniesionym pucharem.

– Jednakże – ciągnął Tannhäuser – Langue Angielska powitałaby cię z radością. Jeżeli chcesz skorzystać z tej ostatniej okazji, to płyń. Nikt tu nie powie o tobie złego słowa.

Tannhäuser spojrzał głęboko w oczy Borsa, szare, z żółtawą otoczką wokół tęczówek, osadzone w twarzy pomarszczonej już i pokrytej bliznami. Gdyby Bors postanowił włączyć się do wojny Krzyża z Półksiężycem, popłynąłby z nim. Bors o tym nie wiedział, ponieważ był jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie oczekują od bliźniego poświęcenia w ich sprawie, za to Sabato wiedział o tym doskonale i dlatego z zapartym tchem czekał na odpowiedź. Dana wniosła dzbanek pełen wina, w pełni świadoma, że w obliczu ważnych spraw jej wdzięki całkiem przestały się liczyć. Bors warknął cicho i napełnił swój puchar.

– Może i nie jest to przypadkiem – powiedział – że ze wszystkich siedzących przy tym stole tylko ja nie jestem obrzezany.

– Łatwo naprawić tę dysharmonię – odparł Tannhäuser.

– Najpierw musiałbyś mi uciąć łeb.

– Obie operacje jedynie poprawiłyby ci humor. Zdecydujże się wreszcie, człowieku. Jesteś z nami czy z fanatykami?

– Jak powiedziałeś, wiąże nas słowo i na dobre, i na złe czasy – odparł niechętnie Bors, po czym wzniósł puchar z winem. – Aż do gorzkiego końca.

Sabato Svi odetchnął z ulgą.

Tannhäuser wstał.

– Chodźmy, pora wcisnąć ludziom nasz towar.

W swej prywatnej komnacie Tannhäuser przebrał się w jedwabny bordowy kaftan, zdobiony ukośnymi, złotymi haftami. Przypiął do boku miecz, dzieło Juliana del Reya, ze srebrną głowicą w kształcie lamparciego łba, i pogładził dłonią szczecinę na podbródku, stanowczo dopominającą się golenia. Nie miał lustra, ale i tak był pewien, że w całym porcie nikt nie będzie się prezentował równie godnie. Bors zawołał go po imieniu z ulicy, dorzucając dość obsceniczny, drwiący komentarz. Tannhäuser dołączył do niego po chwili.

Osiem dwukółek zaprzężonych w obojętne na upał woły czekało na niego w pełnym słońcu. Wozy były wyładowane po brzegi prochem strzelniczym, mosiężnymi kulami armatnimi, wierzbowym węglem drzewnym i sztabami ołowiu. Bors niecierpliwie wiercił się w siodle, gdy Gasparo podawał Tannhäuserowi wodze Buraqa.

– Co nowego, Gasparo? – spytał Tannhäuser.

Gasparo był dobrze zbudowanym szesnastolatkiem, nieśmiałym, ale lojalnym aż do przesady. Wyszczerzył zęby w odpowiedzi, zaszczycony zainteresowaniem pana. Tannhäuser poklepał go po plecach i dosiadł Buraqa, którego miłość natychmiast napełniła go nieskończoną radością. Buraq był turkmeńskim Teke z oazy Akhal; należał do rasy, którą starożytni nazywali Nisaean i uważali za świętą. Czyngis-chan jeździł na koniu tej krwi. Najśmiglejszym, najsilniejszym i najzgrabniejszym. Rumak z wrodzonym majestatem trzymał łeb wysoko. Jego sierść miała barwę świeżo wybitej złotej monety, a ogon i krótka, kępkowata grzywa – kolor pszenicy. Tannhäuser karmił go baranim sadłem i jęczmieniem, a gdyby pozwolili mu na to wspólnicy, trzymałby go w Wyroczni. Buraq wyciągnął ku niemu swój „rzymski nos” i Tannhäuser czule go pogładził.

– Nazywajcie go najpiękniejszym – rzekł cicho, a Buraq parsknął i potrząsnął łbem.

Tannhäuser wskoczył na siodło i jak zawsze w jednej chwili poczuł się jak cesarz. Buraq nie potrzebował wędzidła; reagował na komendy i bez niego. Jeździec i koń byli sobie bezgranicznie oddani. Buraq ruszył naprzód, jakby cała ekspedycja była jego pomysłem.

Woźnice strzelili z batów, woły naprężyły uprząż i kolumna wozów wolno ruszyła drogą przez port.

O ile Sycylia jako wyspa nieszczególnie sprzyjała niespokojnym duchom, o tyle Mesyna, przez tysiąclecia ulegająca dziesiątkom zdobywców, była otwarta na obcokrajowców, łotrów i wszelkiej maści ludzi interesu. Była wolnym miastem, równie ludnym jak Rzym i równie mało przejętym rządami ostatnich, hiszpańskich najeźdźców jak władzą Rzymian, Arabów, Normanów i całej reszty w poprzednich wiekach. Była miejscem niespokojnym, ale i zamożnym, a bliskość Kalabrii – leżącej tuż za cieśniną mającą ledwie dwie mile szerokości – sprawiała, że schronienia szukała tu niewiarygodnie liczna rzesza wyjętych spod prawa. Gubernator co roku łupił miasto w imieniu hiszpańskiej Korony znacznie skuteczniej niż całą resztę wyspy w pięć lat. Kościół zaś za sprawą Świętej Inkwizycji sformował tu najprawdziwszy legion złożony z porywaczy, zabójców, złodziei, a także rycerzy, baronów, kupców, artystów, bandytów różnych specjalności oraz, ma się rozumieć, większości lokalnej milicji. Tak czy owak, jako miejsce do zrobienia fortuny przez osobników takich jak Tannhäuser Mesyna była wprost idealna.

Zatoka Mesyńska tworzyła w tym miejscu naturalną przystań o sierpowatej linii brzegowej, chronioną przez umocnione groble oraz działa wieńczące monumentalną bryłę arsenału, górującą nad morzem. Za nią ciągnęły się mury starego miasta, a zarysy jego wież i kampanili drżały i rozmywały się nieco w rozgrzanym powietrzu. Nad rozległym portem jeżył się las masztów, drzewc i zrefowanych żagli, na plaży zaś, na tle mieniącej się odbitym światłem toni, spoczywały barki wyładowane koszami i belami. Poza chmarą łódek rybackich i jednym hiszpańskim galeasem patrolującym wyjście z portu wody zatoki były praktycznie puste, jako że większość ludzi morza wolała przeczekać te niebezpieczne dni, nim wyjaśnią się w pełni intencje tureckiej armady.

Keję rycerzy szpitalników dzieliło od Wyroczni ponad półtorej mili. Tannhäuser i jego świta mijali w drodze zaułki i stragany, składy przypraw i spichlerze, burdele i kantory, a także lokale podobne do jego własnej tawerny. Przejeżdżali obok potężnych dźwigów portowych, których napęd stanowiły mięśnie niewolników pchających szprychy wielkich drewnianych kół. Mijali wywleczone na brzeg galery, cuchnące pakułami i smołą; ruszty i stragany sprzedawców mięsa, udekorowane truchłami świeżo zabitych jagniąt; czyścicieli ulic zgarniających szuflami ekskrementy i wrzucających je wprost na śmierdzące wozy, wokół których kłębiły się chmary much; kalekich żebraków i bosych urwisów; kobiety targujące się ze sprzedawcami; bandy buńczucznych bravi z nożami w rękawach – a wszystko to w zgiełku tysiąca klnących głosów i w otoczeniu tysiąca pękających z wysiłku krzyży. Kolosalna skala

interesów, które zawierano jak okiem sięgnąć, przypomniała Tannhäuserowi, że Sabato Svi ma rację: nie są jeszcze wystarczająco zamożni. Postanowił, że w drodze do domu odwiedzi Dimitrianosa i że zaopatrzy się porządnie na podróż.

Couronne była jednostką długą i smukłą, mającą sto osiemdziesiąt stóp od dziobu do rufy i szeroką na dwadzieścia stóp. Jak wszystkie okręty zakonu, zaprojektowano ją i zbudowano tak, by nadawała się do szybkich ataków. Kadłub pomalowano na czarno, wielkie żagle łacińskie miały zaś krwistoczerwoną barwę; ozdobiono je kłującymi w oczy złotymi krzyżami o ośmiu wierzchołkach. Na nabrzeżu czekało już może dwudziestu rycerzy Religii, odzianych w charakterystyczne, długie czarne peleryny. Każdy z nich miał miecz u boku; wyglądali na gotowych na wszystko. Tannhäuser przypuszczał, że dopiero w ostatnich dniach przybyli z najdalszych placówek zakonu, i rzeczywiście, z bliska dostrzegł u kilku z nich typowo niemieckie czy skandynawskie rysy; pozostali przybyli zapewne z Hiszpanii lub Portugalii. Kolejno witali się ze szczupłym bratem, który do nich wyszedł, obejmując go ramionami. Gdy zakonnik odwrócił się ku niemu, by powitać kolejnego rycerza, Tannhäuser rozpoznał Olivera Starkeya. Gdy nawiązali kontakt wzrokowy, uśmiechnął się i zasalutował. Na kościstej twarzy Starkeya pojawił się na moment grymas zawstydzenia, ale zaraz zastąpił go uśmiech. Anglik skinął głową i ponownie zwrócił się ku swoim braciom. Tannhäuser skinął na Borsa.

– Ubijmy interes z kapitanem; później poszukamy brata Starkeya.

Gdy Tannhäuser wstępował na trap, Bors ostrzegawczo położył dłoń na jego ramieniu. W dół schodzili trzej mężczyźni, oświetleni od tyłu tarczą słońca. Dwaj mieli na sobie habity dominikanów, a wyglądali zabawnie, bo jeden był prawie dwa razy potężniejszy od drugiego. Tuż za nimi kroczył dwudziestoparoletni Hiszpan, chudy jak szczapa i ubrany w świetnie skrojony czarny kaftan. Miał oczy i usta człowieka bez żadnych zasad oraz spojrzenie mordercy. U pasa miał przytroczony sztylet i miecz. Większy z mnichów miał posturę księcia, ale skromną minę biedaka. Idąc w stronę Tannhäusera, który zdążył się cofnąć, wreszcie wyszedł z kręgu światła i w tym momencie kapitan poczuł, że jakaś siła ściska mu żołądek.

– Ludovico Ludovici – powiedział cicho Tannhäuser.

– Inkwizytor? – upewnił się Bors.

Świat, w którym żył Tannhäuser, mógł się wydawać wystarczająco rozległy, by pomieścić masy zwykłych ludzi, jednak wybór ścieżek, którymi podążał, znacznie ograniczał jego mapę. A mapa zła była jeszcze mniejsza. Tannhäuser czuł, jak napręża się skóra na jego czaszce.

– Ludovico posłał na stos Petrusa Grubeniusa – powiedział.

Bors pochwycił go za ramiona, próbując pociągnąć w bok, tak by zeszli inkwizytorowi z drogi.

– Przeszłość to przeszłość. Zajmijmy się interesami.

– Byłem prostakiem, a Petrus uczynił ze mnie mężczyznę. Był moim nauczycielem. Moim przyjacielem.

– Tylko głupiec pozwala sobie na wrogów, z którymi nie może walczyć.

Tannhäuser ustąpił pod naporem Borsa i cofnął się o krok, ale nie oderwał wzroku od twarzy Ludovica i już po chwili przekonał się, że inkwizytor odwzajemnia spojrzenie. Niższy mnich, jegomość o ziemistej cerze i pogardliwie wykrzywionej twarzy, spocony pod ciężarem dwóch ciężkich toreb, minął ich szybko, jakby byli wyjątkowo wonną stertą łajna, Ludovico zaś zatrzymał się w ostatniej chwili, odwrócił i uprzejmie skinął głową w stronę Tannhäusera, po czym wskazał na swego towarzysza o woskowej twarzy.

– Pozwolę sobie przedstawić ojca Gonzagę, legata Świętego Oficjum w Mesynie.

Gonzaga, zdumiony zachowaniem Ludovica, zdobył się jedynie na nieznaczny ruch głową.

– A to Anacleto.

Bezduszny młody Hiszpan popatrzył na Tannhäusera bez odrobiny sympatii.

– Ja zaś jestem brat Ludovico… ale zdaje się, panie, że w tej kwestii masz pewną przewagę. – Głos Ludovica falował nieznacznie, jak spokojne i głębokie morze podczas flauty, jednak pod powierzchnią czaiły się potwory.

Tannhäuser wskazał na Borsa.

– Bors z Carlisle – powiedział, po czym skłonił się oszczędnie. – Kapitan Mattias Tannhäuser.

Ludovico spojrzał na niego z większym zainteresowaniem.

– Wyprzedza cię twoja reputacja, mój panie.

– Każdy kogut jest królem na własnej kupie gnoju – odparł Tannhäuser.

Bezceremonialność tej wypowiedzi zaskoczyła Ludovica; jego zmysłowe usta nieśmiało ułożyły się do uśmiechu, jakby czyniły to po raz pierwszy. Ciężko obrażony Gonzaga aż westchnął z wrażenia. Anacleto spoglądał na Tannhäusera tak, jak kot przypatruje się ptakowi uwięzionemu w stodole. Bors obserwował zaś Anacleta, przebierając palcami i żałując, że nie ściska w nich rękojeści noża.

– Filozof – ocenił Ludovico. – I to niezły.

Mimo dawnej nienawiści, która rozpaliła się w nim na nowo, Tannhäuser patrzył teraz na mnicha nieco przyjaźniej. Był to znak, że Ludovico jest znacznie bardziej niebezpieczny, niż to sobie wyobrażał. Tannhäuser pokręcił głową.

– Wasza wielebność mi pochlebia. Jestem może szczęśliwym człowiekiem, ale i prostym.

Tym razem Ludovico roześmiał się w głos.

– A ja jestem skromnym księdzem.

– Zatem spotykamy się jak równy z równym – odparował Tannhäuser.

Tym razem Gonzaga spojrzał w osłupieniu na swego pana.

– Powiedz mi, mój panie kapitanie, skąd mnie znasz – rzekł Ludovico. – Pamiętałbym na pewno, gdybyśmy się kiedyś spotkali.

– Widziałem cię, panie, tylko raz, z daleka, przed wieloma laty. W Mondovì.

Ludovico zapatrzył się w przestrzeń, jakby przywoływał jakąś scenę z przepastnej, dokładnej pamięci. Po chwili skinął głową.

– Jeśli nie liczyć mnie, byłeś najwyższym człowiekiem na całym placu.

Wzrok Ludovica odzyskał ostrość, a na jego twarzy pojawił się na moment wyraz osobliwego smutku. Tannhäuser wiedział, że mają przed oczami tę samą kolumnę ognia i ten sam wściekły, wrzeszczący tłum.

– Świat tonie w morzu zła – rzekł Ludovico – jak wtedy, tak i teraz, a dzieło szatana widać na każdym kroku.

– Nie zaprzeczę waszej wielebności – odparł Tannhäuser.

– Występek zagnieździł się i wśród Piemontczyków – ciągnął Ludovico. – Czystość wiary ucierpiała wskutek wojny, kwitły bluźniercze doktryny. Należało przywrócić dyscyplinę. Cieszę się, kapitanie, że nie znalazłeś się wśród winowajców.

Tannhäuser splunął na keję i roztarł ślinę butem.

– Moje grzechy są zbyt pospolite, by przyciągać uwagę takich osobistości – powiedział. – W Mondovì, mój panie, mordowałeś nieprzeciętnych ludzi. Ludzi nieprzeciętnie wykształconych. Takich jak Petrus Grubenius.

Błysk w oczach Ludovica oznaczał, że nazwisko ofiary nie jest mu obce. Odpowiedź jednak nie padła, więc Tannhäuser wskazał na południe, ku Syrakuzom.

– Nie tak daleko stąd został niegdyś zamordowany wielki Archimedes. Zginął z ręki niepiśmiennego rzymskiego żołnierza za to, że pisał na piasku matematyczne symbole. – Tannhäuser odwrócił się plecami do Ludovica. – To pocieszające, że choć minęło tyle wieków, podziw Rzymu dla uczonych nie ustał.

Nikt nigdy nie słyszał, by inkwizytora oskarżono o morderstwo. Teraz, gdy oskarżenia padły dwukrotnie, Gonzaga i Bors pobledli ze zdumienia.

Ludovico przyjął to wszystko raczej obojętnie.

– A mnie pociesza triumf porządku nad anarchią. Herezja zaś – która jest wrogiem dobrego porządku – wyrasta wprost z zadufania uczonych. Ten, kto słyszy wieczne słowo, nie musi się kształcić, ponieważ nauka sama w sobie nie jest cnotą, a często bywa ścieżką ku nieskończonej ciemności.

– Zgodzę się, że nauka nie jest gwarancją cnoty, bo dowód na to mam właśnie przed oczami. – Tannhäuser czuł, jak spojrzenie Borsa świdruje jego czaszkę, ale nie mógł teraz odpuścić. – A co do ciemności, to prowadzą do niej i szersze drogi niż wiedza.

– Cóż jest dobrego w wiedzy, gdy brak bojaźni bożej?

– Skoro Bóg potrzebuje agentów w ludzkiej skórze, byśmy czuli przed Nim lęk, to powiedz mi, panie, jakiż to marny Bóg?

– Nie jestem agentem Boga – odparł Ludovico. – Służę jedynemu prawdziwemu Kościołowi – dodał, po czym wskazał dłonią na szpitalników stojących opodal. – Ci zacni rycerze Jana Chrzciciela, których odwagę szanujesz, jak mniemam, przybyli tu, żeby bronić Krzyża przed czerwoną bestią islamu. A jednak wojna, którą toczy nasza Matka, Kościół, jest jeszcze straszniejsza, ponieważ występują przeciwko niej wrogowie jeszcze potworniejsi i bardziej wszędobylscy, najgorsi z nich to zaś ci, którzy wywodzą się z jej łona. Czas trwania tej batalii nie będzie mierzony w tygodniach, nie w latach nawet, ale w tysiącleciach. Stawką nie jest tu armia, wyspa ani grupa ludzi, ale przeznaczenie rodzaju ludzkiego na całą wieczność. Moim celem nie jest więc szerzenie strachu, ale bronienie opoki, na której Piotr zbudował zgromadzenie Chrystusowe.

– Istotnie szanuję tych rycerzy – przyznał Tannhäuser – ale oni pojawiają się tu, by skrzyżować miecze z najdzielniejszymi wojownikami świata, a nie po to, by torturować bezsilnych i skazywać na śmierć potulnych.

– I za to raj wszystkich świętych będzie ich nagrodą. Ale i ty, kapitanie, nosisz miecz. Jeżeli w głębi serca – w tym miejscu, w którym nawet ty słyszysz głos Boga – wierzysz, że mógłbyś oczyścić Jego świat ze zła, pozbywając się mnie, proszę, namawiam cię, dobądź chętnie miecza i odbierz mi życie.

Im dłużej Ludovico mówił, tym bardziej Tannhäuser go lubił i tym głębiej był przekonany, że naprawdę usunąłby z powierzchni ziemi wielkie zło, gdyby zgładził tego człowieka.

– Nie będziemy dłużej walczyć na słowa – rzekł z uśmiechem. – Przyznaję, że w tym cię nie prześcignę.

– Wyzwanie rzuciłem całkiem szczerze – powiedział Ludovico. – I zdaje się, kapitanie, że przynajmniej twój towarzysz uwierzył, iż mógłbyś je podjąć.

Tannhäuser spojrzał na Borsa, który rzeczywiście wyglądał tak, jakby miał się na niego rzucić. Rozluźnił się – z niejakim zakłopotaniem – dopiero gdy zobaczył karcący wzrok Mattiasa.

– Nie jest moim celem wykorzenianie zła na świecie – rzekł Tannhäuser. – Jest nim raczej gromadzenie bogactwa – a może i wiedzy – oraz doczekanie śmierci wywołanej wszelkimi grzechami, których tylko zdołam zaznać. Już dawno odwróciłem się od Boga.

– Uwierz mi, człowieku, On żyje w tobie tak samo, jak żyje we mnie – zapewnił go Ludovico. – I równie pewne jest to, że osądzi mnie za każdy uczynek tak samo, jak osądzi ciebie.

– Zatem niewykluczone, że w dniu Sądu Ostatecznego znów staniemy na jednym nabrzeżu, ramię przy ramieniu.

Ludovico skinął głową.

– Co do tego nie wolno nam mieć najmniejszych wątpliwości.

Spojrzał na Gonzagę, który nie tylko wyglądał na głęboko zszokowanego tą wymianą zdań, ale i z największym trudem utrzymywał w rękach bagaże. Ludovico odwrócił się raz jeszcze ku Tannhäuserowi.

– Módlmy się, aby do tego czasu łaska boża uwolniła nas obu od grzechu.

– Zdawało mi się, że tę władzę wy, kapłani, zachowaliście dla siebie.

– Ze scholastycznego punktu widzenia zdania są podzielone – odparł inkwizytor. – Ksiądz może człowieka uwolnić od kary za grzechy, czyli od potępienia, ale zdaniem największych autorytetów, jeśli przyczyną grzechu jest zatwardziałość serca, złamać go może tylko żal.

– Żal widziałem i u ciebie – zauważył Tannhäuser.

– A któż z nas jest odeń wolny? – Ludovico umilkł na moment, a Tannhäuser pokiwał głową. – A skoro żal naprawdę otwiera bramę do łaski bożej, to który prawy człowiek by go unikał?

Tannhäuser nie odpowiedział. Ludovico uśmiechnął się z odrobiną melancholii.

– A ja tymczasem przeszkadzam ci w interesach, kapitanie. Lecz może, mimo bezwstydnych bluźnierstw, które głosisz, chciałbyś przyjąć rozgrzeszenie od skromnego kapłana, zanim się rozstaniemy? Może nie ulży to twojemu sumieniu, ale mojemu na pewno.

Tannhäuser spojrzał na Anacleta i dostrzegł na jego ustach cień uśmiechu. Zawahał się, ale jako że nie był grubianinem, w końcu pochylił głowę. Ludovico uniósł rękę i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

– Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Tannhäuser wyprostował się i pomyślał, że Ludovico Ludovici ma najzimniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział.

– As-Salamu alajkum wa rahmatu Allahi wa barakatuh – powiedział.

– Zatem do następnego spotkania – odparł Ludovico.

– Przyniosę ze sobą drewno na podpałkę.

Tannhäuser popatrzył za odchodzącym dominikaninem i zdyszanym Gonzagą, który pospieszył za nim. Wilcza postać Anacleta zamykała pochód. Gdy oddalili się o dziesięć kroków, Hiszpan obejrzał się przez ramię. Tannhäuser wytrzymał spojrzenie, a Anacleto odwrócił się po chwili i zaraz potem portowy tłum wchłonął trzech przybyszów.

– Czyżbyś chciał, żebyśmy wszyscy skończyli na stosie? – syknął Bors. – W życiu nie widziałem większej głupoty.

– Orły nie polują na robaki – odparł Tannhäuser. – Zdobyczą dla Ludovica jest Religia.

– Patrzyłem na jego twarz, kiedy cię rozgrzeszał – nie ustępował Bors. – Wyglądał tak, jakby już cię wysyłał na szubienicę. Albo na stos. Zapamiętaj moje słowa: to błogosławieństwo okaże się przekleństwem.

Tannhäuser klepnął go między łopatkami.

– Błogosławieństwo czy przekleństwo – nie wierzę ani w jedno, ani w drugie, więc bierzmy się do pracy.

Kapitanem okrętu był kawaler Giovanni Castrucco, którego Tannhäuser już znał, toteż wymiana uprzejmości trwała krótko. Już po chwili weszli na pokład po pieczęć na dokumentach przewozowych. Omówili też kwestię załadunku, który miał potrwać do końca dnia. Zapłata miała trafić na ich konto w weneckim banku; zakon nigdy nie wypierał się swoich długów. Couronne miała wyjść w morze o północy, z odpływem. Pierwsze jednostki tureckie mogły się pojawić w każdej chwili, a Castrucco wcale nie miał ochoty przedzierać się przez blokadę. Gdy interes został ubity, Tannhäuser i Bors zeszli po trapie na keję. Oliver Starkey już na nich czekał. Uścisnął rękę, którą Tannhäuser wyciągnął na powitanie.

– Brat Starkey. Cóż za niespodzianka.

– Tannhäuser. – Starkey odwrócił się, by podać rękę Borsowi. – I Bors z Carlisle.

Imię swego rodaka wypowiedział z ironicznym uśmiechem, bo też prawdą było to, że zawołanie „Bors z Carlisle" brzmiało raczej ekstrawagancko, jakby przyjaciel Tannhäusera był nader szlachetnego rodu. Zresztą i „Tannhäuser" brzmiało podobnie. Obaj wybrali swe noms de guerre przy butelce brandy w Mediolanie, gdy zamierzali zaoferować swe lance Alvie. Nie zaznaczona na mapach dziura, z której pochodził Bors, przynajmniej znajdowała się w okolicy Carlisle; Tannhäuser posunął się dalej, kradnąc nazwisko z jakiejś ballady rycerskiej, w której trubadurzy opiewali dzieje kawalera wręcz obleganego przez damy, skutkiem czego został wygnany z Wiecznego Miasta. Jednak bezprawnie zyskane czy nie nazwiska miewają swą moc i dlatego obaj byli dumni z tych, które sobie wybrali.

– Co cię sprowadza w ostatniej chwili do Mesyny? – spytał Tannhäuser.

– Wy – odparł krótko Starkey.

– Jeśli potrzeba wam więcej ludzi, może i mógłbym paru skrzyknąć, ale wszyscy byliby pijani w sztok i co do jednego – najgorsze szumowiny… – Urwał, widząc, że Starkey chce coś powiedzieć. – Ale całkiem zapomniałem o manierach. Pojedź z nami, zjemy razem…

– Wybacz, Tannhäuser, ale nie mam serca owijać w bawełnę. – Starkey był zakłopotany i nie potrafił tego ukryć. – Nie przyjechałem handlować, tylko prosić o łaskę.

– Jesteś wśród przyjaciół. Proś i bądź potępiony.

– Przyjechałem z powodu pilnego rozkazu wielkiego mistrza, by przekonać cię do walki o wspólną sprawę u boku rycerzy Religii w wojnie przeciwko Turkom.

Tannhäuser zamrugał i zerknął ukradkiem na Borsa.

Bors przygładził wąsy i oblizał usta.

– Krótko mówiąc – ciągnął Starkey – wielki mistrz chce, żebyś do nas dołączył.

– Na Malcie?

– Na Malcie.

Tannhäuser spojrzał na Starkeya z takim niedowierzaniem i niepokojem, że Bors opuścił ręce prawie do kolan i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno i serdecznie, że marynarze refujący żagle i dostawcy pocący się przy wozach z bronią znieruchomieli nagle i spojrzeli nań z otwartymi ustami.

Wtorek, 15 maja 1565 - Tawerna Wyrocznia – Wrota Mesyny – Wzgórza Neptuna

Tannhäuser wrócił z Couronne w fatalnym nastroju. Starkey próbował wszystkich metod perswazji – moralnej, politycznej, finansowej, duchowej, a nawet plemiennej – by pozyskać sobie jego wsparcie. Obiecał mu chwałę, bogactwa, honory i wdzięczność Rzymu. Błagał, namawiał i zastraszał. Powoływał się na Summę Tomasza z Akwinu, na autorytet świętego Bernarda z Clairvaux oraz na poruszające przykłady bohaterstwa w teraźniejszości i przeszłości. Zrobił bodaj wszystko, prócz oskarżenia Tannhäusera o brak odwagi. Mimo to Tannhäuser uparcie i zdecydowanie odmawiał walki po stronie Religii. Maltańska Iliada, jak wyraził się Starkey, musi rozegrać się bez niego. Od lat Tannhäuser nie zabił nikogo i choć na ogół odbieranie życia nie obciążało zbytnio jego sumienia, nie było też praktyką, za którą by tęsknił. Jako nagrodę za poranne kłopoty obiecał sobie solidną kąpiel na zapleczu magazynu. Bors jechał u jego boku, dziwnie milczący. Gdy dojeżdżali do Wyroczni, kiwnął tylko głową w stronę konia uwiązanego w cieniu przed drzwiami i powiedział:

– Kłopoty.

Była to wspaniała gniada klacz, w pięknym czapraku i kosztownym siodle. Poza bardzo nielicznymi wyjątkami goście tawerny mieli nie większe szanse na posiadanie takiego wierzchowca niż na zasiadanie w kolegium kardynałów. Gdy mijali drzwi w drodze do stajni, Tannhäuser pochylił się, by zajrzeć do wnętrza, i stwierdził, że w sali panuje nietypowy rozgardiasz. Banda wrzaskliwych pijaków tłoczyła się ramię w ramię jak publiczność ulicznej burdy. Tannhäuser zeskoczył na ziemię, rzucił Borsowi wodze Buraqa i przekroczył próg karczmy, by spojrzeć w głąb ponad brudnymi głowami bywalców.

Pośrodku sali zobaczył dziewczynę wysoką i smukłą jak bicz, ubraną w zieloną suknię do jazdy konnej i wirującą niczym derwisz z szeroko rozpostartymi ramionami przypominającymi skrzydła. Otaczali ją podkową rozochoceni klienci lokalu; siedząc lub stojąc, rzucali pod jej adresem raczej sprośne sugestie w sycylijskim slangu, ciskając w nią przy tym kulkami z sera, wosku i chleba. Dziewczyna była bliska obłędu, ale jeśli wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazła, trudno było ją za to winić. Co gorsza, w nieświadomej prowokacji prymitywnych umysłów, raz po raz wysokim głosem wykrzykiwała jego nazwisko:

– Tannhäuser! Tannhäuser! Tannhäuser!

Tannhäuser westchnął. Przesunął miecz tak, by prezentował się u pasa nieco groźniej, i wszedł do tawerny, starając się wyglądać, jakby doskonale wiedział, co robi.

Publiczność tak bardzo była pochłonięta rzadkim widowiskiem, że mało kto zauważył jego wejście, co rozdrażniło go jeszcze bardziej. W chwili, gdy krępy osiłek o byczym karku wychylał się z ławy, by cisnąć w stronę dziewczyny jakiś śmieć, Tannhäuser pochwycił go za kark i uderzył jego twarzą o stół z taką siłą, że drugi koniec blatu wystrzelił w powietrze, rozpryskując na siedzących fontanny piwa.

– Wracać do kufli, wieprze! – ryknął.

Ku jego zadowoleniu, w tawernie zapadła cisza. Dziewczyna zatrzymała się w pół obrotu i spojrzała na niego bez śladu zmieszania. Jeśli dobrze widział w marnym świetle, miała jedno oko brązowe, a drugie szare, co było oczywistym przejawem niezrównoważonej natury. Zaintrygowało go to, albowiem mimo okrutnego spektaklu, który rozgrywał się tu jeszcze przed chwilą, jej oczy płonęły wewnętrznym blaskiem niepośledniego ducha. Twarz dziewczyny była nieco asymetryczna, ciało stanowczo za szczupłe, a włosy jakby ucięte jej własną ręką – i bez użycia lustra – lecz mimo to zaczął się zastanawiać, jak by to było, gdyby uprawiał z nią miłość. Sukienka nie odsłaniała zbyt wiele, ale doświadczenie podpowiadało mu, że kryje się pod nią bajeczny biust. Ku swemu zaskoczeniu poczuł nagłą i przyjemną sztywność w swych skórzanych portkach.

– Tannhäuser – powtórzyła dziewczyna głosem, który rozbrzmiewał w jego uszach jak muzyka. Wpatrywała się w jego pierś, nie w oczy, ale w końcu miała prawo do zdenerwowania.

– Do usług, signorina – odparł dwornie i się ukłonił.

Spojrzenie dziewczyny pobiegło na moment ku czemuś, co działo się za jego plecami. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że byczy kark, który właśnie odzyskał świadomość, podnosi się niepewnie z ławy, zaciskając pięści. Zanim jednak namierzył wroga, Bors z ponurą satysfakcją skoczył na niego od tyłu. Wydawało się, że brutalne zajście nie robi na dziewczynie wielkiego wrażenia, jakby takie sceny były już częścią jej życiowego doświadczenia.

– Mówi pan po francusku? – spytała w tym właśnie języku.

Tannhäuser zakaszlał i rozłożył ręce.

– Ależ oczywiście – odparł i z czymś, co bardzo chciał uważać za swobodę i płynność w posługiwaniu się francuskim, zapytał ją o imię.

– Amparo – odrzekła.

Ślicznie, pomyślał Tannhäuser. Wskazał na zaciszną alkowę na końcu sali, czując lekką dumę na myśl o tym, jak elegancko się tam urządził, i powiedział:

– Proszę tędy, mademoiselle Amparo. Usiądźmy.

Amparo potrząsnęła głową, wciąż patrząc na jego pierś, i odpowiedziała potokiem słów, których Tannhäuser nie mógł pojąć, a może raczej wychwytywał co piąte, zupełnie gubiąc się w znaczeniu wszystkich pozostałych. Dorastał, posługując się w rodzinie niemieckim, a potem, jako dwunastolatek, w szkole janczarów zaznał surowej dyscypliny, gdy uczono go dźwięków i znaków pisanych w językach najzupełniej obcych. Później z względną łatwością nauczył się włoskiego. Podczas pobytu u Petrusa Grubeniusa, który każdym swoim zdaniem kluczył po zaułkach języka, nim dotarł do sensu wypowiedzi, pokochał tę ekstrawagancję, którą mowa Rzymian wydobywa z osób o określonym temperamencie. W Mesynie nauczył się też uchodzić za Hiszpana. Lecz francuski był językiem przeklętym, o kompletnie absurdalnej wymowie, a źródłem słownictwa w tej mowie były dla Tannhäusera głównie rozmowy żołdaków.

Podniósł rękę, by zatrzymać potok słów.

– Proszę – powiedział. Spoczywały na nim spojrzenia bywalców tawerny, a ich bełkotliwe rozmowy i nieskrępowane pierdnięcia nie sprzyjały prowadzeniu cywilizowanej konwersacji. – Wyjdźmy na zewnątrz – dodał, wskazując na drzwi.

Amparo kiwnęła głową, lecz gdy podał jej ramię, zignorowała go i przemknęła obok, by na nabrzeżu stanąć w cieniu przy koniach. Zauważył, że przygląda się Buraqowi, którego Bors przywiązał tuż obok jej klaczy. Widać było, że dziewczyna potrafi docenić szlachetną krew.

– To Buraq – powiedział Tannhäuser. Powrócił do włoskiego i miał nadzieję, że jeśli będzie mówił wolno, zostanie zrozumiany. – Nosi imię na cześć skrzydlatego wierzchowca proroka Mahometa.

Odwróciła się i po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Może nie była ładna w normalnym rozumieniu tego słowa, ale emanowała potężnym magnetyzmem. Jej twarz, jak zauważył teraz, zniekształcona rozpadliną w kości policzkowej pod lewym okiem, wydawała się ogarnięta ekstazą, której nie rozumiał. Pozorna niewinność dziewczyny żywo kontrastowała z jej zachowaniem w tawernie. Amparo milczała.

Tannhäuser spróbował jeszcze raz, łamaną francuszczyzną.

– Proszę mi powiedzieć, jak mogę pani pomóc.

Słuchał, a Amparo przemawiała do niego jak do niezbyt rozgarniętego dziecka. I choć tym razem zaczął chwytać sens jej opowieści, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ona

naprawdę tak go traktuje. Było w jej relacji sporo bredni – o nagim mężczyźnie (choć może tego fragmentu nie zrozumiał do końca), o jakimś koniu (w tym momencie wskazała na Buraqa) oraz o psie z ogniem w pysku; w innych słowach również wyczuwał ducha mistycyzmu. Mimo wszystko jednak zdawało mu się, że zdołał pojąć w tej serii zagadek coś w miarę sensownego: chciała, by złożył wizytę jej pani, madame de la Penautier – ni mniej, ni więcej, tylko hrabinie! – w domu zwanym willa Saliba, na wzgórzach za miastem.

– Chcesz, panienko, żebym odwiedził hrabinę de la Penautier w willi Saliba – powtórzył, by się upewnić. Dziewczyna skinęła głową. O ile się orientował, nie wyjawiła celu tego spotkania. – Wybacz, ale po co mam tam jechać?

Amparo wyglądała na zdumioną.

– Bo takie jest jej życzenie. To nie wystarczy?

Tannhäuser zmrużył oczy. Jego doświadczenie w obcowaniu z francuskimi hrabinami czy choćby ich służkami było dokładnie zerowe. Być może zawsze wzywają mężczyzn w taki sposób i być może wszystkie ich służące są tak osobliwe, jak ta elfica… a może nie. Tak czy inaczej, był w tym wszystkim urok nowości i coś, co mu pochlebiało. Zresztą co miał do stracenia? Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Możesz powiedzieć hrabinie, że z przyjemnością odwiedzę jutro Salibę, jeśli ten termin jej pasuje.

Uśmiechnął się zadowolony z szybkich postępów, jakie czynił w posługiwaniu się tym przeklętym językiem.

– Nie – odparła dziewczyna. – Dzisiaj. Teraz.

Stojąc w wąskiej smudze cienia, Tannhäuser popatrzył bez entuzjazmu na rozpalony piec letniego sycylijskiego popołudnia. Wizja kąpieli i wonnych olejków oddalała się.

– Teraz? – powtórzył.

– Zawiozę pana do niej natychmiast – odpowiedziała Amparo.

Teraz dostrzegł w jej twarzy coś niebezpiecznego, jakby była gotowa kręcić się w kółko i krzyczeć, gdyby ośmielił się odmówić. Wskutek tego, co postrzegał dziś jako mroczne lata celibatu – bo taka reguła obowiązywała janczarów – Tannhäuser dopiero niedawno, w dość zaawansowanym wieku, zaczął poznawać naturę płci słabej. Nikomu nie zwierzał się z tego, że dziewictwo stracił dopiero w wieku lat dwudziestu sześciu. W rezultacie przypisywał kobietom moc i mądrość, których, jak zaczynał podejrzewać, wcale nie posiadają. Nie chciał jednak zachować się niegodnie ani wobec hrabiny, ani wobec dziewczyny, którą po niego przysłała.

– Doskonale – powiedział. – Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Posłał w jej stronę coś, co, miał nadzieję, wyglądało na czarujący uśmiech, ale nie doczekał się rewanżu. Amparo odwróciła się, podbiegła do klaczy i wskoczyła na siodło ze zdumiewającą lekkością. Na ułamek sekundy odsłoniła przy tym fragment muskularnej łydki, a ruch jej ciała potwierdził nadzieje Tannhäusera co do rozmiarów jej biustu. Spojrzała na niego z góry z przesadną cierpliwością. Tannhäuser zawahał się jeszcze, bo nie miał zwyczaju pozwalać, by tak nim dyrygowano. Bors pojawił się tymczasem w drzwiach tawerny, ocierając krew z pięści. Popatrzył na dziewczynę w zieleni i posłał kapitanowi pytające spojrzenie.

– Zaproszono mnie, bym złożył wizytę pewnej damie – oznajmił Tannhäuser. – Hrabinie, wyobraź sobie.

Bors wybuchnął lubieżnym śmiechem.

– Dość – rzucił Tannhäuser, podchodząc do Buraqa.

– To twój ojciec? – spytała rzeczowo Amparo.

Bors, który znał francuski lepiej niż Tannhäuser, przestał się śmiać.

– Nie – odparł ze śmiechem kapitan. – Ale na pewno jest wystarczająco stary i tłusty, żeby mógł nim być.

– W takim razie dlaczego pytasz o pozwolenie? – indagowała Amparo.

Tym razem to Tannhäuser przestał się śmiać oburzony, że dziewczyna w taki sposób mogła zinterpretować jego rozmowę z towarzyszem.

– Lepiej już jedźcie do tej hrabiny – rzekł Bors – zanim to stworzenie obu nas położy na łopatki.

Tannhäuser dosiadł konia, ale zanim zdążył ruszyć, kopyta klaczy już zaklekotały o bruk.

Jechali ulicami, z których upał wymiótł wszystkie żywe istoty, cuchnącymi łajnem i pełnymi much krążących nad rynsztokami. Przy północnej bramie miasta minęli pale z poprzecznymi belkami, z których zwisały wypatroszone zwłoki bluźnierców, sodomitów i złodziei. Ich ciała były spalone słońcem, a wnętrzności tak wysuszone, że unikały ich już nawet wrony i robaki. Na tyczkach po obu stronach bramy tkwiły ucięte głowy o twarzach poszarpanych ptasimi dziobami. Zostawiwszy w tyle wszystkie te okropności, wspięli się na Wzgórza Neptuna, gdzie w słodko pachnącym powietrzu szybowały sokoły patrolujące Monti Peloritani.

Dyskretnie wypytując dziewczynę, Tannhäuser odniósł wrażenie, że signora Penautier jest twardą i zaradną młodą wdową, która samotnie zarządza majątkiem w

Akwitanii. O jej zmarłym mężu Amparo nic nie wiedziała, umarł bowiem, nim poznała hrabinę, ale też nigdy nie zauważyła, by jego odejście było dla pani wielką stratą. Wprawdzie nie padły żadne liczby, ale wszystko wskazywało na to, że hrabina nie ma jeszcze trzydziestu lat i jest kobietą nieprzeciętnej urody.

Przez chwilę Tannhäuser rozkoszował się w milczeniu widokiem długich palców Amparo, o paznokciach w kształcie migdałów, a także jej smukłej, łabędziej szyi. Pod zielonym jedwabiem, miejscami pociemniałym już od potu, dostrzegał piersi nawet większe, niż mu się pierwotnie wydawało, wręcz niezwykłe u osoby takiej budowy (którą teraz nazywał raczej smukłą niż chudą). To, że na niego nie patrzyła, było zapewne dowodem jej nieśmiałości. Tannhäuser poczuł ulgę, gdy się dowiedział, że Amparo jest Hiszpanką i dzieciństwo spędziła w Barcelonie. Kastylijski dialekt dawał mu szansę na naprawę wizerunku idioty, za jakiego mogła go dotąd brać. Opowiadał więc o porcie i o pięknej starej katedrze w Santander, choć tak naprawdę nigdy tam nie był, a fakty znał wyłącznie z relacji osób trzecich. Amparo reagowała na jego wysiłki milczeniem, więc po jakimś czasie znowu zaczął zadawać pytania. Była przynajmniej na tyle uprzejma, że udzielała odpowiedzi.

Przybyła wraz z panią z wioski opodal Bordeaux, ale na tym jej wiedza geograficzna w zasadzie się kończyła. Marsylia, Neapol i Sycylia były dla Amparo niczym więcej jak tylko kamieniami rozrzuconymi w bezmiarze płytkich wód Nieznanego. Podjęcie takiej wyprawy bez zbrojnej eskorty było dla dwóch kobiet czynem skrajnie nierozważnym. Amparo jednak wydawała się zadowolona, mogąc towarzyszyć swej pani w podróży „na kraniec świata". Zdaniem Tannhäusera, nie była to lojalność typowa dla „najemnej siły roboczej", nie była typowa nawet jak na przyjaźń między dwiema kobietami. Zanim kępa krzewów wyznaczyła kres ich podróży, był już bardzo, ale to bardzo zaintrygowany.

Willa Saliba była typową budowlą z marmuru w nowoczesnym, dość ostentacyjnym stylu. Tannhäuser miał wrażenie, że dobrze by się czuł w takim domu. Jednak to nie willa była celem tej wycieczki – zostawili konie, by zostały napojone w stajni, a Amparo poprowadziła go do fantastycznego ogrodu pełnego białych i czerwonych róż. Ocieniony palmami i mirtem, był dziełem sztuki, znakomicie usytuowanym i świetnie zaprojektowanym. Tannhäuser zauważył z satysfakcją, że nie ma w nim ani jednej z wszędobylskich magnolii, których woń zagłuszyłaby bardziej delikatne zapachy. Po drugiej stronie ogrodu stał znacznie mniejszy, ale równie efektowny dom z białego kamienia.

Amparo zatrzymała się przed grządką róż i przykucnęła obok białego kwiatu, jakby chciała sprawdzić, czy jest w dobrym stanie. Tannhäuser przyglądał się przez chwilę, słuchając jej szeptów w języku, który nie był ani francuskim, ani kastylijskim. Przyszło mu do

głowy, że to doprawdy wyjątkowa dziewczyna, a ona, jakby czytała w jego myślach, odwróciła się i spojrzała nań buntowniczo w odpowiedzi na lekkie zmarszczenie brwi.

– W Arabii – powiedział – ludzie mówią, że dawno temu wszystkie róże były białe.

Amparo wstała niezmiernie zaciekawiona. Spojrzała najpierw na czerwone pąki, a potem znowu na Tannhäusera.

– Pewnego wieczoru, gdy księżyca już ubywało – ciągnął Tannhäuser – słowik przelatywał obok takiej właśnie róży, wysokiej i białej, a gdy ją zobaczył, natychmiast się zakochał. Wcześniej nigdy nie słyszano, by słowiki śpiewały…

– Słowiki nie umiały śpiewać? – upewniła się Amparo.

Tannhäuser skinął głową.

– Całe życie spędzały w milczeniu, ale ten jeden słowik był tak silny miłością do pięknej białej róży, że z jego gardła popłynęła cudowna pieśń. Otoczył różę skrzydłami w namiętnym uścisku i…

Tannhäuser urwał, bo dziewczyna słuchała go jak w transie, a na jej twarzy malowało się takie napięcie, że bał się zdradzić finał opowieści.

– Proszę, mów – ponagliła.

– Słowik przycisnął różę do piersi tak mocno, że kolce przebiły mu serce i skonał, wciąż otulając kwiat skrzydłami.

Amparo zakryła usta dłońmi i cofnęła się o krok, jakby to jej serce zostało przebite. Tannhäuser zaś wskazał na czerwone pąki.

– Krew słowika zabarwiła białe płatki róży i od tamtej pory niektóre róże kwitną na czerwono.

Amparo zastanawiała się przez długą chwilę, zanim spytała z wielką powagą:

– To prawda?

– Opowieść – odparł Tannhäuser. – Arabowie znają wiele historii o różach, bo darzą je wyjątkowym szacunkiem. Ale prawdziwość opowieści zależy od tego, kto jej wysłuchał.

– Ja wierzę, że to prawda – powiedziała Amparo. – Choć to bardzo smutna historia.

– Słowik z pewnością był szczęśliwy – zauważył Tannhäuser, chcąc podnieść dziewczynę na duchu. – Zdobył dla swych braci i sióstr dar śpiewu, to dzięki niemu słuchamy dziś słowiczych treli.

– I zaznał miłości – dodała Amparo.

Tannhäuser skinął głową; jakoś nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na tę prawdę.

– To coś lepszego, niż większość z nas odczuwa w godzinie śmierci – powiedział.

Uniosła głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Jej oczy były większe, niż mu się wydawało, a gdy tak na niego patrzyła, wydała mu się naga.

– Ja nigdy nie zaznam miłości – powiedziała cicho.

Tannhäuser omal nie zatrzepotał powiekami.

– Wielu ludzi tak uważa – odparł. Sam zresztą był tego zdania, ale wolał o tym nie mówić. – Niektórzy boją się szaleństwa i chaosu, które towarzyszą miłości. Inni uważają się za niegodnych takiego szczęścia. Większość jednak myli się w tej kwestii.

– Nie, ja nie umiem kochać tak jak ten ptak, który nie umiał śpiewać.

– Ptak jednak odnalazł swoją pieśń.

– Ja też bym odnalazła, gdybym była ptakiem, ale nie jestem.

Tannhäuser nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna pociąga go jak bratnia dusza, choć nie wiedział dlaczego.

– Ty jesteś człowiekiem na złotym koniu – stwierdziła Amparo.

Teraz, gdy opuścili grząski grunt francuskiej mowy, wreszcie zrozumiał to zdanie, które w tak wielkim podnieceniu powtarzała u drzwi tawerny. Złoty koń. Buraq.

– Tak – odpowiedział, wzruszając ramionami.

Amparo odwróciła się i ruszyła w stronę domku dla gości.

Tannhäuser poszedł za nią, czując się trochę jak wielki i brzydki pies człapiący za krnąbrnym dzieckiem. Zauważył przy okazji miękkie, kocie ruchy jej bioder oraz to, jak pięknie układał się na nich materiał sukni. Rosnący cień budynku padał już na część drewnianej ławki z widokiem na ogród i morze, na której leżały zdobione motywami roślinnymi poduszki. Amparo gestem wskazała mu miejsce.

– Zaczekaj tu – powiedziała.

Weszła do domu przez przeszklone drzwi, które pozostawiła otwarte. Tannhäuser zajrzał do środka, ale nie zobaczył wiele: sufit był zdobiony dość pospolitą interpretacją klasycznego mitu, dalszą część salonu spowijał mrok, a między nią a drzwiami – jak gdyby przejście Amparo pozostawiło aurę rodem z krainy elfów – unosiły się w powietrzu złociste drobiny kurzu.

Tannhäuser usadowił się na ławce – całkiem wygodnej, jak zauważył z zadowoleniem. W oddali morze zmieniło się w zwierciadło odbijające biel i złoto słonecznego dysku, ponad Scyllą i Charybdą widać było zarys wzgórz Kalabrii, drżący w popołudniowym słońcu. Od miesięcy nie czuł tak pięknego zapachu powietrza; róże, wzgórza

i woda budziły w nim skojarzenia z prywatnym dziedzińcem pałacu w Trebizondzie, gdzie przyszedł na świat Sulejman i gdzie Tannhäuser składał przysięgę, że będzie strzegł pierworodnego syna władcy.

Przeszkadzał mu jedynie zapach własnego ciała, na który wcześniej nie zwracał uwagi. Była to mieszanina woni tawerny, portu, potu i erotycznych szaleństw, którym oddawał się poprzedniej nocy. Być może nie miało to wielkiego znaczenia, jako że chrześcijanie byli na ogół bandą brudasów z chorobliwym wodowstrętem, czuł jednak, że bardzo brakuje mu tej kąpieli, którą zaplanował na popołudnie. Upodobanie do moczenia się w wodzie wykształcił w sobie w czasach, gdy mieszkał w Turcji – Prorok wymagał, by wierni byli czyści przynajmniej podczas modlitwy w piątek w południe, a już koniecznie po tym, jak skalali swe ciała seksem. Tu kąpiel uchodziła za przejaw ekscentryzmu. Tannhäuser odetchnął głęboko. Tak, bez wątpienia śmierdział. Być może właśnie dlatego Amparo zostawiła go w ogrodzie.

Nagle jednak zapomniał o tych obawach, do jego uszu dotarły bowiem boskie dźwięki. Dźwięki tak doskonałe, urody tak przeczystej, że minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że to muzyka. Jej piękno odebrało mu zdolność ruchu – nie miał siły odwrócić się i poszukać jej źródła, jako że przejęła kontrolę nad jego nerwami i wniknęła do serca tak głęboko, iż pragnął już tylko słuchać. Dwa instrumenty, oba strunowe. Jeden szarpany, jeden smyczkowy. Jeden lekki i zwinny, rozbrzmiewający dźwiękami letniego deszczu, drugi mroczny i groźny jak nocna burza. Oba tańczyły, splecione w dzikim, pierwotnym uścisku.

Siedząc w cieniu, w chmurze różanej woni, przymknął oczy i pozwolił, by muzyka przetaczała się przez jego duszę niczym sarabanda, muskając oblicze śmierci tak czule, jak kochanek pieści twarz swej wybranki. Mroczniejszy instrument paraliżował jego zmysły falami ekstatycznej melancholii, chwilami stawał się brutalny, by zaraz nabrać delikatności płomienia świecy. Nic, co znał i pamiętał, nie przygotowało Tannhäusera na tak transcendentne doświadczenie. Jakim magicznym sposobem oddał duszę we władanie tej siły? Jakie czary mogły spreparować takie spektrum dźwięku i wtłoczyć je z rykiem wprost do jego serca i dalej, ku nienazwanej i nieznanej wieczności? I co się działo z każdą nutą, która wybrzmiewała? Jak to możliwe, że dźwięk istniał krótką chwilę i znikał? A może nie znikał, tylko rozbrzmiewał gasnącym echem aż po kres wszechrzeczy, wędrując od krańca do krańca wielkiego dzieła Stworzenia? Muzyka przypływała i odpływała, narastała i falowała, niosąc na przemian radosną nadzieję i straszliwą rozpacz, jakby rodziła się ze skóry, drewna i strun bestii mocą bogów, których nigdy nie czcił żaden kapłan ni prorok. I za każdym razem, gdy wydawało mu się, że melodia musi już umrzeć, wycieńczona bezmiarem własnej

tęsknoty, odradzała się na nowo i wciąż na nowo, frunąc ze szczytu na szczyt, wołając o więcej, domagając się jego duszy, uwolnionej znienacka z samych głębin jego jestestwa, zamkniętych dotąd wszystkimi jego czynami i całą zgromadzoną wiedzą, a także całym strachem, smutkiem i chwałą, których zaznał w życiu.

A potem, równie niespodziewanie jak pojawiła się muzyka, cisza skradła jej miejsce i wszechświat wydał się Tannhäuserowi pusty, on sam zaś pozostał pośrodku owej pustki.

Czas odzyskał panowanie nad światem i powietrze na nowo przeniknęła woń róż, a chłodny wiaterek i ciężar zmęczonych członków z wolna powróciły do świadomości kapitana. Zorientował się, że siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach, a kiedy cofnął ręce, zobaczył na nich łzy. Patrzył na te krople w zdumieniu, od dziesięcioleci bowiem nie zdarzyło mu się zapłakać i był pewny, że nie ma już w sobie łez. Przynajmniej od czasu, gdy się dowiedział, że ciało jest prochem, że jedyny Bóg jest wielki i że na tym świecie łzy są jedynie pocieszeniem pokonanych. Otarł twarz rękawem bordowego kaftana. W samą porę.

– Kawalerze Tannhäuser, dziękuję za przybycie. – Głos był niemal równie uroczy jak muzyka. – Jestem Carla de la Penautier.

Wstał, zebrał się w sobie i odwrócił. Zobaczył kobietę, która przyglądała mu się, stojąc na ścieżce ledwie kilka kroków od niego. Była drobnej budowy ciała; miała cokolwiek wąskie biodra, ale długie uda i prawdopodobnie kształtne łydki oraz zgrabne stopy, choć na ten temat Tannhäuser mógł jedynie spekulować, atrybuty te skrywała bowiem niezwykła suknia. Materiał miał barwę soku z granatu, krój zaś był tak zmysłowy, że kapitan z trudem powstrzymał się przed rozdziawieniem ust. Suknia otaczała jej ciało jak olej, jak pożądanie, lśniąc w słońcu przy każdym ruchu. Tannhäuser poczuł drżenie rąk, ale zapanował nad nim. Wreszcie odzyskał kontrolę nad całym ciałem i spojrzał na twarz hrabiny.

Miała mocne, wyraziste rysy i zielone tęczówki z czarnymi obwódkami. Wbrew nazwisku, wcale nie wyglądała na Francuzkę, ale na Sycylijkę o charakterystycznie ukształtowanych kościach policzkowych. Miała włosy koloru miodu z żółtawymi pasemkami tu i ówdzie, jakby któryś z normańskich zdobywców zostawił swój ślad w krwi jej przodków. Upinała je w kok, ale widać było, że chętnie rozsypałyby się złocistymi falami, gdyby tylko mogły. Wbrew własnej woli skierował spojrzenie na tułów hrabiny. Przemyślny system haftek spinał przednią część sukni, unosząc piersi – średnich rozmiarów i niezwykle białe – niczym cudowne półkule. Tannhäuser pomyślał, że w przedziałek między nimi zagłębiłby się z rozkoszą na resztę życia. Zarys sutków był ledwie widoczny pod materiałem, ale kapitan

miał wrażenie, że pod jego spojrzeniem stał się jakby wyraźniejszy. Być może tylko sobie schlebiał. Jednego był pewny – miał przed sobą autentyczną piękność.

Powrócił spojrzeniem do jej twarzy, do policzków, na których pojawiły się rumieńce. O ile Amparo była ucieleśnieniem twardości zmieszanej z niewinnością, o tyle Carla miała w sobie raczej smutek przesłonięty odwagą. I nie tylko to. Miała też talent muzyczny. Ukłonił się, stwierdzając w duchu, że już zdążył polubić hrabinę de la Penautier.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madame – odparł. – Muszę ci jednak wyznać, pani, że nie jestem kawalerem szlachetnego rodu. – Uśmiechnął się, a Carla odpowiedziała tym samym; Tannhäuser miał wrażenie, że niewielu widywało tak szczery i ciepły jej uśmiech. – Jeśli chcesz, możesz mnie nazywać kapitanem, ponieważ dosłużyłem się tej rangi lub jej odpowiedników w wielu armiach. Być może jednak, łaskawa pani, powinienem też dodać, że obecnie jestem człowiekiem pokoju.

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi, kapitanie, iż nie wyszłam ci prędzej na spotkanie. – Mówiła po włosku w dystyngowany sposób, choć nie umiał określić, z jakim akcentem. – Otóż Amparo nalegała, abyśmy zagrały, jak to mamy w zwyczaju. Niepokoi się, kiedy sprawy układają się inaczej niż zwykle.

– Zatem jestem jej dłużnikiem – odparł Tannhäuser – bo nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. I doprawdy nigdy rozkosz słuchania nie przeniosła mnie w tak dalekie strony.

Hrabina pochyliła głowę, przyjmując komplement, a Tannhäuser wykorzystał okazję, by raz jeszcze przyjrzeć się sukni. Nigdy w życiu nie widział równie wspaniałego stroju, w dodatku przylegającego do jej ciała tak, jak on sam chciałby przylgnąć, gdyby tylko miał okazję. Nigdy też nie doświadczył podobnej przyjemności: jednoczesnego spotkania z dwiema tak niezwykłymi kobietami. Żałował trochę, że są sobie tak bliskie, ale z roztrząsaniem tej niedogodności mógł poczekać do jutra. Znowu spojrzał jej w oczy. Czy potrafiła czytać w jego myślach? Roześmiał się. Jakżeby inaczej?

– Czy to ja jestem taka zabawna? – spytała z uśmiechem.

– Śmieję się z siebie – odparł. – I raduję tym nieoczekiwanym spotkaniem.

Pochylił głowę – miał nadzieję, że z wdziękiem – a hrabina zrewanżowała mu się tym samym, tyle że znacznie efektowniej. Pogładził szczękę i w tym momencie przypomniał sobie, że jest nieogolony i zdecydowanie nie dość zadbany. Nie bardzo wiedząc, jak dalej działać, spróbował najprostszej drogi:

– A teraz, pani – rzekł – powiedz mi, proszę, czym mogę ci służyć.

Wtorek, 15 maja 1565 - Opactwo Santa Maria della Valle

Nawet najskrzętniej skrywane myśli ludzkie są znane Bogu. Podobnie jak ludzkie fantazje i lęki, jak wstyd, marzenia we śnie i na jawie, a przede wszystkim jak te nienarodzone jeszcze pragnienia, do których istnienia człowiek nie śmie się przyznać nawet przed sobą. Z takich tajemnych pragnień wyrastają duchowe pomyłki. Z duchowych błędów zaś bierze się całe zło człowieka. Stąd też pragnienia należy badać, kontrolować je z nieustającą czujnością. Ludovico Ludovici stał nagi i spocony w złoto-marmurowym lawatorium opata. Próbował pozbyć się przenikliwego odoru, którym nasiąkł podczas rejsu galerą. Czyniąc to, zastanawiał się nad sobą. Niepośledni umysł oraz pierwotne siły drzemiące w jego ciele sprawiały, że pokusa nadużycia władzy działała nań silniej niż na innych ludzi. A władzę posiadał ogromną – był nie tylko pełnomocnikiem Jego Świątobliwości, papieża Piusa IV, ale także tajnym agentem Michele Ghislieriego, generalnego inkwizytora całego świata chrześcijańskiego.

Wytarł twarz i czubek głowy, a potem znowu zmoczył szorstką jutową szmatę w beczce wody perfumowanej kwiatami pomarańczy i liśćmi dziko rosnącej bukwicy. Mógł użyć gąbek z Morza Czerwonego, miękkich białych ręczników i wszelkich trudnych do zdobycia aromatów czy balsamów, pokoje bowiem, które oddano mu do dyspozycji, należały na co dzień do ceniącego luksusy opata, Ludovico uważał jednak, że wygody są tylko pułapką na słabych i nieostrożnych. Od trzydziestu lat spał na kamieniach. Od września do Wielkanocy pościł od świtu do zmierzchu. W piątki nosił włosiennicę. Mięso jadał tylko dwa razy w tygodniu, by zachować bystrość umysłu. I choć uwielbiał rozmowy, praktykował milczenie, jeśli tylko obowiązki nie wymagały od niego prowadzenia konwersacji. Udrękę ciała uważał za pancerz duszy.

Wytarł szyję i ramiona. Woda go ochłodziła. Teraz miał zadecydować o losie dwóch istot ludzkich. Zawsze analizował takie sprawy dogłębnie, a te dwa przypadki wyjątkowo ciążyły mu na duszy. Ludovico zmoczył szmatę i przetarł ramiona.

Ludovico dorastał w Neapolu, najbogatszym i najbardziej zdeprawowanym mieście świata. Pochodził z rodziny dworskich dyplomatów i intelektualistów; był drugim synem z pierwszego małżeństwa swego ojca. W wieku lat trzynastu rozpoczął naukę na uniwersytecie w Padwie, a rok później wstąpił do zakonu dominikanów. Wysłano go też na studia do Mediolanu, gdzie z czasem dzięki walorom umysłu objął katedrę teologii i prawa kanonicznego. Zachęcony przez ojca, by „sprytnie i odważnie chwytać wszelkie

sposobności", jako dwudziestoparolatek przeniósł się do Rzymu i zdobył doktorat w tych samych dziedzinach. Tam zwrócił na siebie uwagę papieża Pawła IV, czyli Giovanniego Carafy, a także generalnego inkwizytora, Michele Ghislieriego. To właśnie Carafa, chcąc przywrócić Italii czystość moralną, ustanowił w roku 1542 Święte Oficjum Inkwizycji Rzymskiej, rozpoczynając tym samym erę czystek, które na długo zapełniły więzienia. Młodzieniec tak pobożny i błyskotliwy zarazem jak Ludovico Ludovici był rzadkością, toteż Carafa bez wahania powierzył mu atak na wysoko postawione osobistości, gdyż „od ich ukarania zależeć będzie zbawienie ludzi niższego stanu".

W czasach głębokiego konformizmu, gdy lizanie czyjegoś tyłka było najlepszą metodą na osiągnięcie pomyślności, niewiele było sfer życia, w których nietuzinkowe umysły mogłyby rozkwitać. Takim królestwem była dla Ludovica inkwizycja. Terror i wiara były jej narzędziami, lecz jego zdaniem czarna legenda była fałszem. Bardzo nieliczne egzekucje, wykonywane na odszczepieńcach gorliwie, ale i z zachowaniem wszelkich praw oskarżonych, zapobiegły śmierci setek tysięcy ludzi. Te liczby nie podlegały dyskusji. Luter był akuszerem ery diabła, w której chrześcijanie masowo zabijali chrześcijan nie dla władzy czy ziemi, ale po prostu za to, że byli chrześcijanami. Był to paradoks – i skończony absurd – który obmyślić mógł jedynie sam Lucyfer. Podły i uparty mnich sprawił, że cała Rzesza spłynęła krwią, a kolejne okropności zaznaczyły się na mapie Europy ognistymi literami. We Francji rzezie dopiero się zaczęły – w Vassy i Dreux. Niderlandy stały się mętnym bagnem anabaptyzmu. Heretycy zasiedli na tronach Anglii i Nawarry.

Tylko w Hiszpanii i w Italii nie zaczęły się jeszcze krwawe bratobójcze walki. W Hiszpanii i w Italii Święte Oficjum zadusiło luterańską żmiję, gdy tylko się wykluła. Kampania w północnej Italii, która unicestwiła protestantów, była największym osiągnięciem politycznym współczesności. To, że nie świętowano jej powszechnie, było dowodem sprawności, z jaką ją przeprowadzono. Gdyby Turyn, Bolonia i Mediolan padły, jak setki innych katolickich miast ledwie o kilka dni drogi na północ, po drugiej stronie Alp, luteranizm szturmowałby już bramy Rzymu. Italia pogrążyłaby się w katastrofalnej eksplozji przemocy, a Hiszpania, która kontrolowała południową część kraju, również zostałaby wciągnięta w to szaleństwo. Całe chrześcijaństwo rozpadłoby się na części. I wcale nie było przesądzone, że do tego nie dojdzie. Ludovico nigdy nie wątpił, że inkwizycja jest potęgą stojącą po stronie dobra. Inkwizycja broni Matki-Kościoła. Inkwizycja zapobiegła wojnie. Inkwizycja jest dobrodziejstwem dla zdeprawowanej, upadłej ludzkości. Kto sprzeciwia się inkwizycji, obraża Boga.

Ludovico wypłukał szmatę, wycisnął ją i zaczął ścierać woń ekskrementów ze skóry i włosów marmurowobiałej łydki, a potem z uda. Czyniąc to, odwracał głowę, by nie patrzeć na intymne części swego ciała. Pokusy intelektu i władzy umiał powściągnąć. Zainspirowany postawą Tomasa de Torquemady, odmawiał przyjęcia wszelkich zaszczytów, włącznie z czerwonym kapeluszem, który proponowali mu dwaj kolejni papieże. Wolał pozostać zwykłym zakonnikiem. Znacznie większym poświęceniem była dlań rezygnacja z objęcia katedr teologii i prawa na kilkunastu znakomitych uniwersytetach. Dorastał w dostatku, który wydawał mu się słabością i pustką, toteż nie imponowały mu bogactwa. Żył w drodze, nie dbając o potrzeby, wolny od ludzkich zależności, związany jedynie z Chrystusem i wierny własnym ślubom; był posłem kościelnego terroru, dalekosiężnym mieczem Świętej Kongregacji. Miał czyste sumienie. Raz tylko zdarzyło mu się ulec pożądaniu. Poddał się wtedy mocy znacznie głębszej niż jego wiara. Stanął na granicy apostazji – wciągnięty przez miłość.

Raz jeszcze opłukał szmatę i zabrał się do szorowania drugiej nogi. Żądza była jego najstarszym wrogiem i choć nie gnębiła go już tak jak dawniej, nie mógł powiedzieć, że zapanował nad nią całkowicie. Żądza była jednak sprawą cielesną, a jej maski – całkiem przejrzyste, toteż mógł przemienić ją w ofiarę bólu. Miłość zaś pojawiła się niegdyś pod pozorem duchowej ekstazy i przemawiała głosem Boga. Nic – ani wcześniej, ani później – nie wydawało mu się bardziej święte i wciąż jeszcze zastanawiał się niekiedy, czy wszystko, czego się w życiu nauczył, nie jest wiedzą skażoną, czy skumulowana mądrość wieków nie jest fałszem i czy tamten głos naprawdę nie był najlepszą radą Najwyższego. W takich myślach kryło się niebezpieczeństwo. Głęboko pogrzebane nasienie czekało na właściwy moment, by rozkwitnąć. Widmo kobiety, którą Ludovico niegdyś kochał – i którą, jak dowodziły takie właśnie medytacje, wciąż darzył uczuciem – powracało z mroków przeszłości, by wystawiać jego wierność na ciężką próbę. I nie tylko widmo, ale i żywa osoba. Była tu, nie dalej niż o godzinę drogi od miejsca, w którym stał nagi i podniecony.

Poczuł między nogami potężny wzwód; jego członek zdawał się prężyć jak piekielna bestia na smyczy z pajęczej sieci. Zwilżoną szmatką otarł pot i brud z pachwin i włosów łonowych, a potem z moszny i penisa. Użył całej siły woli, broniąc się przed falą cielesnej żądzy, która uderzyła w niego z wielką mocą.

Oczami umysłu dostrzegł przeraźliwie wyraźny obraz: leżała na plecach, na trawie, pośród kwitnących kwiatów, których aromat odurzał oboje. Smukła, naga i biała jak mleko, z głową odchyloną do tyłu i zmysłowo rozwartymi ustami, z nabiegłymi krwią, twardymi sutkami, z szeroko rozsuniętymi udami, nabrzmiałym sromem i rozrzuconymi na

boki, boskimi ramionami. Drżała i pojękiwała, a jej zielone oczy błądziły, tak wielka była potęga jej pożądania. I właśnie to, że tak bardzo go pożądała, popchnęło go na skraj przepaści. I właśnie jej pożądania miał już nigdy nie zaznać.

Fala pragnienia wciąż narastała, wzbierając gdzieś w głębi jego trzewi. Stęknął, czując, jak ryczące demony domagają się, by pozwolił jej eksplodować. Wiedział, że potrzeba kilku sekund skradzionych z oceanu czasu, aby ból minął. Ale tylko na jakiś czas. Ludovico poczuł, że Anioł Stróż staje u jego boku. Zimna dłoń ducha dotknęła jego głowy i przypomniała, że diabeł już nieraz kusił go w taki sposób: kłamliwą obietnicą, że jeśli popełni mniejszy grzech, to zapobiegnie popełnieniu większego. Tak jakby zło było czymś, co można sączyć z kryształowej czary, a nie cuchnącym bagnem, w które skacze się głową w dół, by już nigdy się nie wynurzyć.

– Oszczędź mnie, Panie – zawołał. – Boże, wybacz mi.

Przez krótką chwilę zdawało mu się, że przegrał. Szmata pozostała jednak czysta, podobnie jak kafle pod jego stopami. Fala opadła, demony odeszły. Ludovico spłukał twarz świeżą wodą i podziękował świętemu Dominikowi. Zmoczywszy szmatę, wytarł brzuch i lędźwie, a potem pierś. Zastanawiał się, jak doszło do jego upadku.

Miał dwadzieścia sześć lat, gdy przybył na Maltę w imieniu swego patrona, Michele Ghislieriego, który domagał się rezygnacji biskupa Mdiny, pragnąc, by zwolniło się miejsce dla jego ulubionego bratanka. To, że w tak młodym wieku powierzono mu misję tak delikatnej natury, było miarą zaufania, jakie pokładał w nim Carafa. Tak się jednak złożyło, że Ludovico spotkał pewną dziewczynę na drodze nad wysokim brzegiem morza i uległ jej czarowi. Nazywała się Carla de Manduca. Obraz jej piękna zakorzenił się w jego sercu i rozniecił płomień, który dręczył go bez ustanku. Samobiczowanie tylko podsyciło trawiącą go żądzę i choć modlił się, aby obsesja ustała, z każdym dniem panowała nad nim coraz silniej. Wreszcie spotkał się z Carlą w nadziei, że odkryje choć obojętność z jej strony, ale tylko pogorszył sprawę. Spacerowali i zgodził się wysłuchać jej spowiedzi. Opowiadała o trywialnych grzeszkach, ale wspomniała i o tym, że miała nieczyste myśli. Na jego temat. Zaprowadziła go do miejsca, w którym wielki posąg pogańskiej bogini stał od czasów, gdy ludzkość była młoda. Tam się kochali i tam oboje stracili dziewictwo.

W kolejnych tygodniach narastała w nich wzajemna fascynacja, a Ludovico, choć sam grzeszył, z powodzeniem odarł z godności biskupa Mdiny. Z młodzieńczym zapałem złamał jego starczego ducha; zmienił kościelnego dostojnika w robaka błagającego o litość, a następnie wygnał na kalabryjskie pustkowia. Jego okrucieństwo napędzane było grzechem, a poczucie winy dręczyło go i otępiało umysł. Szaleństwo i apostazja pogłębiały się, grożąc już

nie tylko potępieniem jego duszy, ale także hańbą dla całej rodziny w Neapolu i zdradą Jego Świątobliwości w Rzymie. Jednak właśnie wtedy, gdy podjął decyzję o porzuceniu swego powołania i związaniu się z dziewczyną, Ludovico sam został zdradzony. Wezwano go do biskupa Malty i oznajmiono, że rodzice jego ukochanej wnieśli przeciwko niemu oskarżenie o nieobyczajne zachowanie. W panice i rozpaczy uciekł do Rzymu i wyznał Ghislieriemu ponurą prawdę.

Przebiegły Ghislieri wyznaczył mu pokutę i nagrodę zarazem: wysłał Ludovica do Kastylii, gdzie miał się uczyć inkwizycyjnego rzemiosła od największego z hiszpańskich mistrzów, Fernanda Valdesa. W hołdzie dla świętego Dominika Ludovico przeszedł pieszo z Rzymu do Valladolid. Była to wędrówka objawienia i duchowego odrodzenia, a u jej kresu powitano go jako świętego szaleńca, opętanego żywym duchem Jezusa Chrystusa. I być może było w tym trochę prawdy, dokonując bowiem tak niezwykłego aktu woli i umartwienia, zdołał zapomnieć o Carli. Teraz jednak, po tylu latach, wydawało się, że nie do końca. Nie zapomnieli też o niej Bóg albo diabeł, bo jeden z nich znowu zbliżył ją do niego, postawił w zasięgu ręki, by wodzić jego duszę na pokuszenie.

Ludovico nie wiedział początkowo, czyje intrygi sprawiły, że zhańbiony musiał uciekać z Malty. Znacznie później odkrył, że do sprzymierzeńców odwołanego biskupa należał de la Valette – wówczas admirał marynarki – i że to właśnie on doprowadził do postawienia młodego dominikanina w stan oskarżenia. Ludovico nie żywił do niego urazy. Uważał, że uraza jest domeną słabych. Z całkiem innych przyczyn pragnął upadku de la Valette'a. Nie życzył też źle Carli – jeśli wówczas rzeczywiście zwróciła się przeciwko niemu, a tego w żaden sposób nie mógł stwierdzić, był to błąd młodości, który Ludovico mógł jej jedynie wybaczyć. Lecz nawet gdyby pozwolił, by kobieta zagroziła jego duszy, w żadnym razie nie mógł pozwolić, by zagroziła jego misji. Był pewny, że Carla nie domyśla się jego obecności w Mesynie. Gdyby jednak powróciła na Maltę, jego plany byłyby zagrożone. Zresztą i on sam byłby w niebezpieczeństwie. Jego reputacja, jego autorytet, a wraz z nimi ambicje jego rzymskich patronów. Kto mógł wiedzieć, czego chce ta kobieta? Kto mógł wiedzieć, w jaki sposób czas zdeformował jej umysł? A skoro przeszłość mogła odezwać się w Ludovicu tak gwałtowną erupcją energii, to równie dobrze mogła zawładnąć Carlą. Czy byłaby to miłość czy nienawiść, nikt nie mógłby pokierować tak silnymi uczuciami. Los Ludovica nie miał znaczenia, ale jego skromna osoba była narzędziem Kościoła. Nie mógł pozwolić, by kobieta stępiła jego ostrze.

Wypłukał szmatę i na zakończenie ablucji oczyścił pachy i pośladki. Jakiś czas spędzony w towarzystwie świętych sióstr z pewnością nie zaszkodziłby Carli. A gdyby

znalazła się w odosobnieniu, pod opieką klarysek, czy należałoby też pozbyć się Mattiasa Tannhäusera? Ludovico nie wiedział nawet o jego istnieniu – podobnie jak o bliskości Carli – póki Starkey nie zaczął mu się zwierzać, gdy Couronne wypłynęła z Wielkiego Portu. Starkey był pewien, że Tannhäuser nie da się przekonać do sprawy Religii. De la Valette zasugerował więc, że to Carla mogłaby zwerbować Niemca w imieniu zakonu.

Ludovico nie próbował udaremnić planów Starkeya. Nie chciał, by w razie niepowodzenia Anglik podejrzewał go o złe zamiary.

– Nie możesz zachowywać się tak, jakbyś błagał hrabinę o pomoc – doradzał Starkeyowi. – Lepiej daj jej odczuć, że spotyka ją z twojej strony łaska. Wyolbrzymiaj trudności, podkreślaj nikłość szans. Maluj Tannhäusera ciemnymi barwami, aby promień nadziei wydawał się wątły.

– Dlaczego? – Ton Starkeya zdradzał, że pierwotne plany wyglądały zgoła odwrotnie.

– Żeby zmusić ją do pomysłowego działania. Manipulując sercami mężczyzn, kobiety uwielbiają dokonywać niemożliwego. Schlebia to jedynej mocy, jaką mają do dyspozycji, a mianowicie mocy pożądania. Jeśli zaś chodzi o Tannhäusera, użyj przeciwnej techniki. Wytocz wszystkie argumenty. Naciskaj mocno. Naciskaj, balansując na granicy obrazy, tak żeby godność nakazywała mu odmówić. I wtedy, gdy do gry wejdzie signora Carla, Tannhäuser będzie zadowolony, że decyzję o wyruszeniu na Maltę podjął sam, bez twojej namowy.

Ludovico zdawał się wspierać i ulepszać plan Starkeya, a jednocześnie zastanawiał się, jak najskuteczniej go udaremnić, ponieważ był to plan sprzeczny z jego knowaniami. A były to knowania tak fantastycznie skomplikowane, że podstępy Anglika wydawały się przy nich dziecinną zabawą. Celem misji Ludovica było sprowadzenie Zakonu Świętego Jana pod zwierzchność papieską. Wielu przed nim próbowało tej sztuki. Dwa wieki wcześniej papiestwo wprowadziło w życie plan, który doprowadził do brutalnej eksterminacji templariuszy, lecz szpitalnicy byli zbyt mocni, zbyt oddaleni od Rzymu i zbyt uwielbiani, by tak prymitywne rozwiązanie mogło zadziałać. Inwazja turecka stwarzała niepowtarzalną sposobność, a gruntowna analiza sytuacji skłoniła Ludovica do podróży na Maltę. Gdyby twierdza Religii została zniszczona, liczne i rozległe posiadłości zakonu, zwłaszcza we Francji, zostałyby zarekwirowane przez miejscowych książąt i monarchów. Gdyby jednak joannici przetrwali, w jeszcze większej chwale, staliby się jeszcze mniej podatni na wpływy Watykanu. Chyba że tron wielkiego mistrza zająłby ktoś bezgranicznie oddany Ojcu Świętemu. Ludovico znał odpowiedniego kandydata i właśnie wybierał się do Rzymu po

środki niezbędne do zainstalowania go na najwyższym stanowisku zakonu. Nic nie mogło teraz zaszkodzić godności Ludovica, a tym samym jego misji.

I dlatego nie mógł pozwolić, by Carla dotarła na Maltę.

Ludovico wyszedł z lawatorium i włożył czysty habit.

Ten Niemiec, Tannhäuser, był groźny, ale jednocześnie podatny na wpływ niebezpiecznych namiętności. Był człowiekiem próżnym. Głupim. Dowiódł tego swą bezczelnością na nabrzeżu. Być może pochlebiałaby mu rola faworyta Carli, bo łajdakom takim jak on nieczęsto trafia się taki zaszczyt. I bez wątpienia hrabina miała czym mu odpłacić. Ludovico wyczuwał także seksualny potencjał Tannhäusera, właściwy wielu ludziom podobnej, zwierzęcej natury. Ukłucie zazdrości było znakiem ostrzegawczym, nie potrzebował dwuznacznych myśli. Ważne było to, że ma do czynienia z bluźniercą i heretykiem. Bo jak doradził mu Michele Ghislieri, mając na myśli prominentnych przedstawicieli wyższych sfer, „usuń człowieka, a usuniesz problem".

Ludovico wszedł do rozmównicy opata, gdzie Gonzaga czekał na jego polecenia.

Gonzaga był miejscowym księdzem służącym inkwizycji i dostarczającym informacji. Ludovico nie ufał mu, wyczuwając złowrogą część jego natury, ale wśród pomocników w Mesynie był powszechnie lubiany – być może z tej samej przyczyny. Owemu gronu, zresztą całkiem licznemu, Gonzaga przypochlebił się, zakładając bractwo zwane Kongregacją Świętego Piotra Męczennika. Mianem pomocników określano świeckich podwładnych Świętego Oficjum, gotowych w każdej chwili do udziału w pracach trybunału oraz mogących nosić broń, na wypadek gdyby inkwizytorom groziło niebezpieczeństwo. Wielu pragnęło dostąpić tego zaszczytu, między innymi dlatego, iż gwarantował on immunitet przed sądami świeckimi. Bez względu na pochodzenie wymagano od pomocników limpieza de sangre – czystości krwi – Świętemu Oficjum nie mógł bowiem służyć ten, kto miał wśród przodków nawróconych Żydów.

Przy drzwiach rozmównicy stał Anacleto, jak zawsze bardziej podobny do ducha niż do istoty ludzkiej. Ludovico znalazł go w Salamance, w roku 1558, gdy poproszono go o zbadanie, czy chłopak jest opętany przez diabła. Osiemnastoletni młodzian szlacheckiego rodu oskarżony był o utrzymywanie kazirodczych stosunków ze swą siostrą Filomeną oraz o zamordowanie obojga rodziców, gdy ci zastali rodzeństwo in flagrante delicto. Anacleto nie wypierał się tych straszliwych zbrodni ani też nie żałował tego, że je popełnił. Na jego oczach Filomenę powieszono, a jej ciało rzucono świniom. Jego egzekucja była już w zasadzie tylko formalnością, jednakże wejrzenie w czarną duszę młodzika poruszyło Ludovica. Co więcej, mnich dostrzegł w Anaclecie wartościowe narzędzie: człowieka bez sumienia, zdolnego do

każdego obrzydliwego czynu. Człowieka, który zaofiarowałby swemu wybawcy dozgonną lojalność. Ludovico spędził cztery dni z Anacletem, wykuwając nierozerwalną więź. Doprowadził do uwolnienia go i odpuścił mu grzechy. Mało tego, dał mu też nowy, wyższy cel i powód do życia. Chroniony przez inkwizycję, towarzyszył Ludovicowi i Fernandowi Valdesowi w podróży po Kastylii, której zwieńczeniem były imponujące autos da fé w Valladolid, gdzie płonącym stosom przyglądał się sam król Filip II. Od tamtej pory Anacleto był cieniem swego mistrza, zawsze gotowym bronić go i dbać, by jego ręce pozostały czyste.

Gonzaga wstał i ukłonił się, ale Ludovico gestem nakazał mu spocząć.

– Jesteśmy na terytorium Hiszpanii – powiedział – i pod jurysdykcją hiszpańskiego ramienia kongregacji. Przynajmniej w teorii nie mam tu żadnych szczególnych praw. – Uniósł dłoń, powstrzymując Gonzagę przed zaoferowaniem wszelkich nadzwyczajnych uprawnień. – I wcale ich nie szukam. Jednakże jest w najpilniejszym interesie Jego Świątobliwości to, by dziś wieczorem przed ósmą zostały wykonane dwa zadania.

– Wśród naszych pomocników mamy najlepszych miejskich strażników – odparł pospiesznie Gonzaga. – Mój kuzyn, kapitan Spano, udzieli nam wszelkiej pomocy.

– Nie chcę wiedzieć, czyimi rękami i jakimi środkami zostanie wykonana ta misja. Żadne działania nie powinny być rozpoznane jako dzieło Świętego Oficjum, lecz raczej jako dzieło władz świeckich. Oba zadania wymagają niezmiernej subtelności i szybkości.

– Tak jest, wasza ekscelencjo. Subtelności i szybkości.

– W domu gościnnym należącym do willi Saliba przebywa szlachetnie urodzona niewiasta, Carla de la Penautier. Chcę, żeby została zabrana i przyjęta do klarysek w klasztorze Grobu Świętego w Santa Croce. Poświęci się tam modlitwom i medytacjom przez czas nie krótszy niż rok.

Klasztor Grobu Świętego był usytuowany pośrodku bezwodnego pustkowia, zasuszonego jak twarz kostuchy, mniej więcej trzy dni drogi w głąb palonej słońcem Sycylii. Zamieszkujące go siostry były klaryskami, a w ich zamkniętym zgromadzeniu praktykowano nadzwyczaj surową regułę. Mniszki żyły w całkowitym milczeniu, nie jadły mięsa, ryb, jaj i produktów mlecznych. Ludovico pomyślał o hiszpańskiej królowej Joannie Szalonej, której przyszło spędzić trzydzieści lat w ciemnicy, i uznał, że los Carli wcale nie będzie taki zły.

– Nie będzie chciała pojechać tam dobrowolnie – ciągnął – ale wiem, że pobyt w odosobnieniu dobrze zrobi jej duszy.

Gonzaga pokiwał głową z wielce pobożną miną.

– Nie wolno oskarżyć jej o żadne przestępstwo, ani cywilne, ani przeciwko moralności, ani przeciwko wierze – dodał Ludovico. – Niczego nie notuj na papierze. Tylko głupiec zapisuje to, co można osiągnąć słowem mówionym, które nie potrzebuje świadków. Zrozumiałeś?

Gonzaga przeżegnał się.

– Wszystko będzie tak, jak sobie życzysz, wasza ekscelencjo.

– Drugie zadanie wymagać będzie użycia broni. Potrzeba wielu ludzi, by unieszkodliwić człeka wrogo nastawionego i zaprawionego w bojach. Możliwe, że będą przy nim wspólnicy. Trzeba go pochwycić dziś rano, na nabrzeżu.

– Niemiec – pisnął Gonzaga. – Powinienem był zadziałać wcześniej; to półmuzułmanin, a w dodatku skumał się z Żydem. Ale prawdą jest, że ma potężnych przyjaciół w Religii.

– Tannhäuser jest przestępcą. Unikanie cła, przekupywanie urzędników państwowych – na pewno znajdzie się coś jeszcze. I niech to nie wygląda na sprawę kościelną. Niech się tym zajmie straż miejska, byle szybko i zdecydowanie.

– Ma być wzięty żywcem? – spytał Gonzaga.

– Życie Tannhäusera nie ma znaczenia.

– Każę im też aresztować Żyda.

Ludovico uważał powszechną nienawiść do Żydów za prostacką i nielogiczną. W przeciwieństwie do luterańskich szumowin, Żydzi nie zagrażali Kościołowi.

– To już sprawa straży.

– Oczywiście wszelkie dobra zatrzymanych zostaną skonfiskowane na rzecz kongregacji – rzekł Gonzaga. – Mamy do nich prawo.

– Czy ja nie wyraziłem się jasno?

Gonzaga zbladł. Jego usta wykrzywił grymas żalu, którego nie ośmielił się wyrazić słowami.

– Moim życzeniem jest to – ciągnął Ludovico – żeby w całej tej sprawie nie pojawił się żaden ślad aktywności Świętego Oficjum. I jeśli stanie się inaczej, znajdziesz się, mój bracie, w bardzo trudnym położeniu.

Gonzaga popatrzył na Anacleta i poczuł na sobie spojrzenie, jakie kobra mogłaby posłać ropusze.

– Wedle rozkazu waszej ekscelencji – powiedział. – Żadnych papierów, żadnych świadków, żadnych śladów. Sprawa czysto cywilna. I nie wezmę ani grosza dla mojej kongregacji.

Wydawało się, że Gonzaga czeka na pochwałę czy choćby słowo wsparcia, ale Ludovico tylko patrzył na niego tak długo, aż jego zawstydzenie stało się krępujące.

– Zdaje się, że masz sporo roboty, ojcze Gonzago. Zajmij się jej wykonaniem.

Zakonnik wyszedł pospiesznie, a Ludovico poczuł lekki niepokój. Jeszcze nigdy nie powierzał Gonzadze takich spraw. Był to człowiek rozpaczliwie próbujący zadowolić zwierzchników; cechowały go przesadna gorliwość i nikczemna ambicja właściwe większości prowincjonalnych funkcjonariuszy Oficjum. Z drugiej jednak strony Gonzaga był w tym mieście ważną postacią. Mimo to Ludovico żałował, że ktoś taki przyłoży rękę do uśmiercenia Tannhäusera. Co do Carli, postanowił, że jeszcze pomyśli nad jej losem.

Podszedł do okna i spojrzał w dół, na podwórze. Osiodłane konie już czekały, by zawieźć ich do Palermo. Tam miał się spotkać z hiszpańskim wicekrólem, Garcią de Toledo, a następnie udać się do Rzymu. Po wicekrólu Neapolu i papieżu Toledo był najpotężniejszym człowiekiem w Italii, a w sprawie inwazji na Maltę – jeszcze ważniejszym niż zwykle. De la Valette prosił Ludovica, by namówił Toleda na udzielenie zakonowi wsparcia, ale ta część planu musiała poczekać na powrót dominikanina z Rzymu; potrzebne były odpowiednie środki przymusu, by skłonić Hiszpana do posłuszeństwa.

Nie była to cała prawda. W Rzymie Ludovico miał też przygotować się do powrotu na Maltę i zinfiltrowania zakonu. W odpowiednich rękach Religia mogła w pełni dorosnąć do swej nazwy i stać się prawdziwą dumą Kościoła. Zakonnicy od świętego Jana nie ślubowali wprawdzie, że będą walczyć przeciwko braciom chrześcijanom, ale i ten zapis ich reguły można było zmienić – jak wszystko, co wiąże się z polityką. Europejska wojna z luteranizmem mogła się okazać bardziej krwawa, niż się to komukolwiek śniło. Oręż i prestiż Religii były nieocenione – pod warunkiem że przetrwałyby turecką inwazję, ale to już było w ręku Boga.

A zaufanie Ludovica do Stwórcy było bezgraniczne.

Opuścili opactwo, gdy gorące słońce stało wysoko. Droga do Palermo była pusta.

Wtorek, 15 maja 1565 - Dom gościnny, willa Saliba

Tannhäuser podniósł się z ławki jak wilk wyrwany z pierwotnego snu – gibki i czujny, ale jeszcze zaplątany w sprawy innego świata. Gdy się wyprostował i spojrzał na nią z góry swymi błyszczącymi, błękitnymi oczami, zapomniała o wszystkim, czego się po nim spodziewała. Jego twarz była poorana bliznami, a zarazem młoda. Lewą stronę szyi, tuż pod żuchwą, zdeformowało oparzenie prochem strzelniczym. Po tej samej stronie biegła cienka, jasna linia blizny przecinająca jego czoło. Włosy opadły mu na twarz, gdy wstawał, lecz mimo to dostrzegła błysk oczu nieokiełznanego zwierzęcia, dla którego świat jest zbyt ciasny i cywilizowany, by mogło nazwać go domem. Przelotne wrażenie umknęło, gdy odgarnął włosy z czoła – i zaraz tego pożałowała. Rozchylił usta w może nieco okrutnym uśmiechu, odsłaniając wyszczerbione i nierówne zęby. Jego bordowy kaftan ze złotymi pasami wydawał się doskonałej jakości, a buty lśniły. Wrażenie psuły nieco tandetne, skórzane bryczesy.

Carla zaniepokoiła się własną reakcją. Wystarczyło, że wstał, a już przebił się przez zasłonę erotycznego mroku, którą otoczyła się tak wiele lat temu. Pobudził jej krążenie bardziej, niż uważała to za możliwe.

Gdy zaprosiła go do salonu i zaproponowała coś orzeźwiającego, zatrzymał się bez słowa, by przyjrzeć się instrumentowi opartemu o stojak.

– Viola da gamba, prawda? To twój instrument, pani.

Z satysfakcją zauważyła, że powiedział to z takim przekonaniem, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Pasja mojego dzieciństwa i młodości.

– Wybór godny pochwały – odrzekł. – Podziwiałem brzmienie violi w salonach Wenecji, gdzie nie brakuje wprawnych muzyków, ale nigdy w życiu nie słyszałem, by ktoś grał tak żarliwie. – Tannhäuser uśmiechnął się. – Powiedziałbym nawet, że z furią.

Carla poczuła gwałtowny ruch w żołądku.

– Czyja kompozycja? – spytał.

– To nasza improwizacja.

– Improwizacja?

– Nasze wymysły… ulepszona wersja suity tanecznej w stylu francuskim.

– Tanecznej – powtórzył kapitan. – Gdyby wszystkie tańce były tak natchnione, może i sam zająłbym się tą sztuką, lecz na razie nic o niej nie wiem.

– Można się tego nauczyć.

– Nie w mesyńskich dokach. I na pewno nie w stylu, który wydałby się wam znajomy. – Tannhäuser wyciągnął rękę w stronę szyjki instrumentu, ale nie dotknął jej. – Mogę? – spytał. – Nigdy dotąd nie przyglądałem się z bliska takiemu cudu.

Skinęła głową, a on poderwał violę ze stojaka i z uwagą popatrzył na zdobienia oraz fakturę tylnej ścianki wykonanej z kloniny.

– Zdumiewająca geometria – mruknął i spojrzał na Carlę. – Domyślam się, że projekt oparto na kombinacji zachodzących na siebie okręgów. Harmonia geometryczna źródłem harmonii dźwięków. Ale ty, łaskawa pani, na pewno rozumiesz się na tym lepiej niż ja.

Tannhäuser się mylił, ale hrabina była na tyle oszołomiona poziomem jego wypowiedzi, że nie mogła zdobyć się nawet na przeczący ruch głową. Kapitan zajrzał do pudła przez faliste szczeliny, szukając sygnatury.

– Kto stworzył to arcydzieło?

– Andreas Amati z Cremony.

– Znakomite. – Tannhäuser trącił strunę i przez chwilę przyglądał się, jak wibruje. – Transmutacja ruchu w dźwięk – oto prawdziwa zagadka! Ale zgodzisz się ze mną, że jeszcze bardziej tajemnicza jest przemiana dźwięku w muzykę?

Carla zatrzepotała powiekami, wciąż zbyt zaabsorbowana słuchaniem, by móc odpowiedzieć. Tannhäuser chyba jednak nie oczekiwał odpowiedzi. Odsunął violę na odległość wyprostowanego ramienia i przyglądał się jej, z autentycznym oczarowaniem obracając pudło na wszystkie strony.

– Mój dawny przyjaciel Petrus Grubenius mawiał, że gdzie piękno i cel łączą się w doskonałości, tam można znaleźć magię w najczystszej postaci. – Wciąż trzymając instrument w wyciągniętej ręce, Tannhäuser spojrzał na Carlę i uśmiechnął się. – Gdyby starczyło mi śmiałości, powiedziałbym, że to samo tyczy się tej sukni.

Carla poczuła, że jej policzki płoną. Czuła, że nie zasługuje na ten komplement, a każda odpowiedź wydawała jej się niestosowna. Miała też wrażenie, że budzi się w niej poczucie grzechu – podobne lęki i wątpliwości gnębiły ją, odkąd sięgała pamięcią. Tyle że ten mężczyzna przebijał się przez nie jak podmuch świeżej bryzy przez dawno niewietrzony pokój.

– Wierzysz w magię? – spytała.

Nie zraził się brakiem odpowiedzi na komplement. Odłożył violę na stojak z precyzją człowieka żyjącego w naturalnej i głębokiej harmonii ze światem fizycznym.

– Nie mam nic wspólnego z zaklęciami ani czarami, jeśli o to chodzi – odparł. – To fałszywe sztuki, oparte na wymysłach i przesądach, a – jak powiedział Platon do Dionizjosa – „Filozofia nigdy nie powinna być prostytutką bluźnierców i nieuków". O nie. Magia wzięła swą nazwę ze starożytnej Persji, gdzie magami nazywano mędrców badających boską mechanikę Natury. Egipcjanie z kolei samą Naturę uważali za magiczną. I w tym sensie – w sensie zadziwienia nad zagadkami wszechrzeczy – wierzę w magię bardziej niż w cokolwiek innego.

Nadzieja Carli na nagięcie tego człowieka do własnej woli topniała w oczach.

Tannhäuser wskazał na drugi instrument.

– Jak się nazywa?

– Teorban.

Uniósł na wysokość oczu lutnię z podwójnym zestawem strun i przyjrzał jej się równie dokładnie jak violi.

– Ta dziewczyna też gra jak opętana – powiedział. – Ale raczej przez anioły niż przez demony.

Popatrzył na Carlę, która po raz trzeci nie znalazła odpowiedzi.

– Naprawdę podziwiam jej mistrzostwo. Nie umiem zliczyć, ile jest tych strun…

– Amparo ma talent. Ja tylko dużo ćwiczyłam, to wszystko.

– Nie doceniasz swoich umiejętności, pani.

Carla poczuła ulgę, gdy pojawił się Bertholdo ze srebrną tacą, na której stały dwa kryształowe kieliszki oraz karafka miętowego likieru. Służący zmarszczył nos i posłał barczystemu przybyszowi spojrzenie pełne dezaprobaty. Tannhäuser jednak nie przejął się tą oznaką nieuprzejmości. Bertholdo postawił tacę na stoliku, napełnił kieliszki i spojrzał pytająco na Carlę.

– To wszystko – powiedziała.

Bertholdo ledwie zauważalnie poruszył głową i poszedł w stronę drzwi. Zatrzymał się jak dźgnięty nożem między łopatki, gdy rozległ się głos Tannhäusera:

– Stój, chłopcze!

Bertholdo odwrócił się z pobielałymi ustami.

– Czyż obyczaj nie nakazuje słudze kłaniać się pani, zanim się oddali?

Carla dostrzegła, że Bertholdo szykuje się do riposty – i wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby ją usłyszała – ale na szczęście w porę dostrzegł w wyrazie twarzy Tannhäusera ostrzeżenie i wiedział, że niewłaściwa odpowiedź może oznaczać poważne lanie. Ukłonił się więc w stronę pani z przesadną uniżonością.

– Proszę o wybaczenie.

Carla stłumiła ironiczny uśmiech. Usiedli przy stole, gdy tylko Bertholdo wycofał się w pośpiechu. Spragniony Tannhäuser spojrzał tęsknie na karafkę. Carla uniosła kieliszek, aby i on mógł uczynić to samo. Dotyk zimnego szkła sprawił, że jego twarz rozciągnęła się w kolejnym wilczym uśmiechu.

– Śnieg z Etny? – upewnił się. – Dom jest dobrze zaopatrzony. Twoje zdrowie, pani – dodał, unosząc kieliszek w jej stronę.

Umoczyła usta, przyglądając się, jak Tannhäuser jednym haustem pochłania likier i z westchnieniem ulgi odstawia kryształ.

– Wyborny trunek. Jeśli wolno, zapytam sługę o przepis.

– Pewnie dodałby trochę cykuty.

Tannhäuser roześmiał się głośno i dźwięcznie, a Carla pomyślała, jak rzadko słyszała w życiu śmiech mężczyzny i jak bardzo jej go brakowało.

– Uważa się za lepszego ode mnie, a jednak musi mi służyć. Sam się prosił o nauczkę; wybaczysz mi, pani, mam nadzieję, że wtarłem trochę soli w jego zranioną duszę.

Carla napełniła kieliszki, rozbrojona bezpośredniością Tannhäusera. Czyniąc to, wiedziała doskonale, że jego oczy chłoną każdy jej ruch. Zastanawiała się, czy wykonała tę prostą czynność z wystarczającą gracją. Zmartwiała, gdy odstawiając karafkę, musnęła jeden z kieliszków, który przechylił się niebezpiecznie. W tym momencie ręka Tannhäusera wystrzeliła – tak, pomyślała Carla, to najlepsze słowo – w przód i pochwyciła kryształ, by ustawić go ponownie, nie uroniwszy ani kropli.

– Pięknie dziękuję – powiedział, podnosząc kieliszek do ust. – A teraz spytam raz jeszcze, łaskawa pani: czym mogę służyć?

Carla zawahała się. Szczere spojrzenie błękitnych oczu odbierało jej mowę.

– Z mojego doświadczenia wynika – dodał po chwili – że w takich sprawach potrzeba odwagi.

Przełknęła ślinę.

– Przyjechałam tu sześć tygodni temu. Od tamtej pory przekonałam się wiele razy, że wszystkie drzwi zamykają się przede mną. Wszystko wskazuje na to, mój kapitanie, że jesteś moją ostatnią nadzieją.

– To dla mnie zaszczyt – odparł. – Muszę jednak wiedzieć, które drzwi miałbym wyważyć.

– Muszę się dostać na Maltę.

Powiedziałaby więcej, gdyby nie uciszył jej wyraz zdumienia malujący się na jego nagle znieruchomiałej twarzy. Znowu dostrzegła w nim wilka, tym razem takiego, który właśnie posłyszał nieostrożny krok myśliwego.

– Pani – rzekł wolno Tannhäuser – na pewno zdajesz sobie sprawę z nierozwagi… z szaleństwa takiego przedsięwzięcia.

– Sto razy słyszałam o wszystkich zagrożeniach i to aż nadto szczegółowo. Stałam się wręcz znawczynią okrucieństwa tureckiej armii oraz nader ponurych perspektyw, jakie malują się przed mieszkańcami Malty. Niestety, choć wielu postanowiło zginąć, broniąc murów twierdzy, mnie odmawia się prawa do podzielenia ich losu.

– Jestem pewien, że nie szukasz ani walki, ani tym bardziej śmierci.

– Nie. Chcę tylko obciążyć rycerzy Religii troską o moje życie, zmarnować trochę ich jedzenia i picia oraz pobyć trochę tym, za kogo mnie mają: przemądrzałą i bezużyteczną kobietą o nieprzesadnie głębokim umyśle. – Wystraszyła się długo ukrywanego gniewu, który dał się słyszeć w jej głosie. Zarumieniła się, choć Tannhäuser nie odpowiedział. Wstała, złożyła dłonie i odwróciła się plecami do niego. – Proszę mi wybaczyć, kapitanie, ale jestem zdesperowana.

– Od tygodni ewakuują tysiące „bezużytecznych gąb do wykarmienia” i trudno doszukać się błędu w ich rozumowaniu. Podczas oblężenia Saint Quentin obrońcy wyrzucali takich za bramę pod bronią, skazując ich na nader nieprzyjemną śmierć.

– Nie zamierzam się spierać, to jasne, że jestem bezużyteczną gębą.

– Zatem dlaczego chcesz dotrzeć na Maltę?

Carla nie odwróciła się.

– Jestem Maltanką. – Nigdy dotąd nie mówiła tak o sobie, jej rodzina bowiem pochodziła z Sycylii. Nie mogła jednak oszukać instynktu. – To mój dom – dodała.

– Nikt nie wbiega do płonącego domu tylko dlatego, że to dom – odparł Tannhäuser. – Chyba że zostawił tam coś cennego. Coś, za co gotów jest umrzeć.

– Mój ojciec mieszka na wyspie, w Mdinie. – Od wielu, wielu lat była dla niego martwa. I on byłby martwy dla niej, gdyby nie ból w sercu, który ożywiał wspomnienia. Tannhäuser nie odpowiedział. Wiedziała, że jej wyjaśnienia nie brzmią przekonująco, i zastanawiała się, czy widać na jego twarzy niedowierzanie, ale nie odwróciła się. – Która córka nie chciałaby stanąć u boku ojca w najczarniejszej godzinie?

– Prosisz mnie, pani, bym ryzykował życie – odparł Tannhäuser. – Jeżeli chcesz mnie przekonać kłamstwami, mogłabyś przynajmniej rzucać je, patrząc mi prosto w oczy.

Spuściła głowę i spojrzała na swoje dłonie. Splecione palce pobielały, ale wciąż jeszcze nie była gotowa, by się odwrócić.

– Dziękuję, panie, że poświęciłeś mi swój cenny czas. Myślę, że powinieneś już odejść.

Zrobiła krok w stronę drzwi, walcząc ze sobą, by nie oddalić się biegiem. Nie słyszała, aby się ruszył, a jednak pojawił się przed nią w jednej chwili, blokując jej drogę nie tylko potężnym ciałem, ale i twardym spojrzeniem. Grzywa znowu przesłaniała mu pół twarzy.

– Słyszałem, jak grałaś na violi da gamba – powiedział. – Gdy ktoś usłyszał najczystszą prawdę dźwięku, każdy fałsz przyprawia go o ból uszu.

Spuściła oczy, próbując nie pogłębić swego upokorzenia wybuchem płaczu. Nie przywykła do łez. Ani do robienia z siebie takiej idiotki.

– Teraz pewnie mną gardzisz – powiedziała.

Bez słowa ujął ją pod ramię. Jego dotyk działał uspokajająco. Gdy odważyła się spojrzeć mu w oczy, zobaczyła w nich dziwny cień współczucia, potrzebę pocieszenia, która mogła wypływać z jego własnych bolesnych doświadczeń. Ruchem głowy wskazał na fantazyjnie zdobiony sufit.

– Pokoje takie jak te budowane są po to, by pomieścić kłamstwa – rzekł. – Wróćmy do ogrodu. Trudno grać fałszywie wśród róż. A jeśli to, co masz mi do powiedzenia, jest gorzką prawdą, osłodzi ją aromat kwiatów.

Poczuła, że serce jej pęknie, jeśli nie otworzy go natychmiast.

– Mam dziecko – wyrzuciła z siebie i urwała. Odetchnęła głęboko. – Mam syna, którego nie widziałam od chwili, gdy wydałam go na świat.

Współczucie w jego oczach nabrało nowej głębi.

– To moja tajemnica i moje więzienie – dodała. – Miałam nadzieję, że właśnie te drzwi otworzysz przede mną, kapitanie.

– Pójdźmy – odparł Tannhäuser. – Opowiedz mi wszystko.

Siedzieli w cieniu palm, a mirt i kwiaty pachniały intensywnie, kołysane bryzą znad morza. Carla spojrzała w oczy Tannhäusera. Miał rację. Nie było tu miejsca na kłamstwa, a tajemnice traciły sens. A jednak się wahała.

– Jestem tchórzem – powiedziała, czując, że tym razem nie kłamie. – Powinieneś o tym wiedzieć.

– Tchórz nie zaszedłby tak daleko.

– Jeśli powiem ci o wszystkim, będziesz mną gardził.

– Czy to znowu gra, którą chcesz wzbudzić moją litość?

– Chciałam tylko powiedzieć, że twoje cierpienia, jakiekolwiek były, z pewnością były większe niż moje, za które ja sama ponoszę odpowiedzialność.

– Moje bolesne doświadczenia nie są przedmiotem tego spotkania – odparł Tannhäuser. – Ale jeśli mam uspokoić twoje z lekka nadwrażliwe sumienie, moja pani, powiem tylko, że cieszę się pełnią życia i mam się doskonale, a przecież… Jeśli chodzi o występek, wstyd czy hańbę – bo zdaje się, że właśnie takie zmory nie pozwalają ci na szczerą rozmowę – wiedz, że popełniałem w życiu zbrodnie, jakich nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Nie siedzę tu po to, żeby cię osądzać; chcę jedynie zadecydować, czy zrobię to, o co mnie prosisz. Czy zabiorę cię na Maltę.

– Zatem to możliwe? Mimo tureckiej blokady?

– Turecka flota jeszcze tam nie dotarła. Zresztą nawet Sulejman nie ma dość okrętów, by skutecznie otoczyć czterdzieści mil linii brzegowej. Niewielki statek, dobry pilot i bezksiężycowa noc, ot co. Dotarcie do wyspy będzie najmniejszym z wyzwań, jakie stanęłyby przed nami.

Carla pojęła, że Tannhäuser zaplanował już całe przedsięwzięcie i poczuła, że ciekawość zmieszana z lękiem ściska jej żołądek. Po raz pierwszy cel wyprawy, którą podjęła, wydał jej się możliwy do osiągnięcia. Nagle zapanowała nad emocjami; zawsze była dumna z tego, że o sprawach praktycznych potrafi myśleć zdumiewająco trzeźwo.

– Jakie jeszcze niebezpieczeństwa będą na nas czyhać? – spytała.

– Nie tak prędko – powstrzymał ją Tannhäuser. – Chcę dowiedzieć się więcej o chłopcu. Ile ma lat?

– Dwanaście.

Tannhäuser przygryzł wargę, jakby była to ważna dla niego informacja.

– Jak mu na imię?

– Nie wiem. Nie dany mi był przywilej wyboru imienia.

– Co jeszcze wiesz? Ma rodzinę? Czym się zajmuje? Jak wygląda?

Carla potrząsnęła głową.

– Okrutny jest dla dzieci ten nasz świat – stwierdził Tannhäuser. – Skąd wiesz, że on w ogóle jeszcze żyje?

– Żyje – odrzekła z przekonaniem. – Amparo widziała go w kamieniu wizji. – Zaraz pożałowała swej gadatliwości, pewna, że tym jednym zdaniem umocniła kapitana w przekonaniu, iż ma do czynienia z wariatką.

Tannhäuser był wszakże zaintrygowany.

– Ta dziewczyna jest wieszczką?

Carla nie znała tego słowa.

– Wieszczką? – powtórzyła.

– Medium zaglądającym w świat nadprzyrodzony, rozmawiającym z duchami albo w niepojęty sposób przewidującym zdarzenia, które jeszcze nie zaszły.

– Tak, Amparo ma taką moc. Anioły przemawiają do niej różnymi językami. Miewa wizje. W jednej z nich zobaczyła ciebie: mężczyznę na złotym koniu.

– Wizje to za mało – zastrzegł Tannhäuser. – Nie zamierzam czuć się związany przepowiednią Amparo. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Carla skinęła głową.

– Oczywiście masz rację. W końcu mężczyzna, którego widziała w swoim kamieniu, miał ciało pokryte hieroglifami.

Tannhäuser cofnął się, jakby coś uderzyło go w pierś.

– Bardzo chciałbym zobaczyć ten niezwykły kamień.

– Zadziwiasz mnie, panie – odpowiedziała. – Odniosłam wrażenie, że nie masz wielkiej wiary w boskie moce.

– W tych ciemnych czasach takie pomówienia mogą człowieka kosztować życie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że zdumiała mnie twoja gotowość dania wiary wizjom Amparo.

– Szarlatanów nie brakuje, lecz ja nie wątpię w szczerość Amparo. Tyle że czystość serca nie jest argumentem w oczach inkwizycji. Prawdę mówiąc, może być nawet poczytana za wadę. Znałem kiedyś kogoś podobnie przenikliwego. Zapłacił słoną cenę. – Tannhäuser spuścił głowę, jakby to wspomnienie należało do najbardziej bolesnych. – Lecz przecież wszyscy jesteśmy zagubieni we wszechświecie nieskończenie większym, niż potrafimy dostrzec. Albo sobie wyobrazić – dodał, spoglądając na Carlę. – Mój przyjaciel, Petrus Grubenius, wierzył, że nawet Słońce zawieszone w samym środku pustki jest niczym więcej, jak tylko garstką kosmicznego pyłu. To, co jest widzialne, co jest nam znane, jest drobiną wobec tego, czego nie znamy, a większość działań Boga bazuje na naszej niewiedzy o świecie. A przecież istnienie gwiazd i konstelacji – i ich wpływ na nas – aniołów dobrych i złych, królestw i wreszcie ukrytych sił będących poza naszym zasięgiem i poza naszymi marzeniami, nie wymaga wcale, by istniała także boska siła, która wszystkim tym zarządza. Podobnie sam fakt istnienia nie wymaga, by obowiązywała teoria Stworzenia, bo choć zakrawa to na paradoks, to przecież może być tak, że skoro wieczność nie ma końca, to nie miała też początku. To, że wszystko ulega przemianom, nie budzi wątpliwości – weźmy

choćby nas, niesionych bezwładnie jak wrak po wzburzonym morzu. Oczywiste jest i to, że w strumień owych zmian wplecione są niezliczone ścieżki możliwości. Nawet ślepy chaos ma swój cel. A przeznaczenie jest siecią, której nitki dostrzegamy wtedy, gdy się w nie zaplączemy. Czy istnieje w tym wszystkim jakiś cel albo sens czy nie, mamy jeszcze religię i jej nieprzebrane zastępy głupców nawzajem nazywających się diabłami i oskarżających się o brak zrozumienia dla prawdziwej natury wszechrzeczy. „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Wysłannikiem" – o tak. A „Bóg zesłał swego jedynego Syna, by umarł na krzyżu" – o tak. Modliłem się już i w meczecie, i przed ołtarzem, ponieważ tak mi kazano i byłem posłuszny. Nigdzie jednak nie usłyszałem głosu Boga i nie doświadczyłem Jego łaski. Słyszałem za to rechot palących książki i jęki przerażonych.

Carla spoglądała na niego w milczeniu, zagubiona jak jeszcze nigdy w życiu. Czuła wszelako, że wiele wie o sprawach, o których on nie miał pojęcia.

– Nie mam dość wiedzy, aby się z tobą spierać – powiedziała – ale wiem, że okrucieństwa ludzi nie wolno składać u drzwi Boga.

– Pocieszająca myśl, będę o niej pamiętał w dniu mojej egzekucji.

– Łaska boża jest darem.

Wypowiedziała te słowa na tyle przekonująco, że Tannhäuser zastanowił się, zanim odpowiedział.

– W takim razie nie dość jeszcze zdziałałem, żeby na nią zasłużyć – rzekł, z szacunkiem kiwając głową. – Mówiono mi, że dozwolonym środkiem do osiągnięcia tego celu jest nadmiar smutku; Kościół rzymski, zdaje się, ceni ten towar nadzwyczaj wysoko.

– Nie można zasłużyć na łaskę bożą. Można ją jedynie przyjąć – ty też możesz, jeśli tylko otworzysz swoje serce. Jeśli otworzysz je na miłość naszego Pana Jezusa Chrystusa.

– Bez wątpienia. – Tannhäuser uśmiechnął się protekcjonalnie. – Ale zostawmy tę dyskusję na inny dzień i zajmijmy się twoją sprawą. Kto jest ojcem dziecka?

Carla znowu się zawahała.

– Mnich.

– Proszę, proszę. Mów dalej.

– Miałam piętnaście lat i byłam jedynaczką. Ciąża sprowadziła wielką hańbę na moją rodzinę i, jak mi powiedziano, przyspieszyła śmierć mojej kochanej matki.

Tannhäuser parsknął z cicha, jakby ostatnie słowa wydały mu się kompletną bzdurą.

– Tak czy owak, ojciec polecił odebrać mi dziecko, gdy tylko się urodziło. Nigdy więcej nie zobaczyłam mojego syna i nie wiem nic o jego losie.

– Typowa historia – orzekł Tannhäuser. Wzruszył ramionami, widząc grymas na twarzy Carli. – Każdy może wpaść w pułapkę namiętności. Sycylijscy ojcowie zazdrośnie strzegą cnoty swych córek. A jeśli chodzi o unikanie konsekwencji własnych żądz, duchowni mają wielką przewagę na innymi. Port w Mesynie pełen jest znajd, których los nie jest godny pozazdroszczenia. – Tannhäuser zacisnął pięść, szukając słów pocieszenia. – Jeśli twój chłopiec przeżył, będzie silny. Domyślasz się, gdzie mógł zostać umieszczony?

– Porzucone dzieci trafiają zwykle do Świętej Infirmerii w Borgo, pod opiekę mamki. Odstawione od piersi przenosi się do camerata, sierocińca, skąd w trzecim roku życia mogą trafić do przybranych rodziców, jeśli znajdą się chętni.

– Dwanaście lat – mruknął Tannhäuser w zamyśleniu. – Długo zwlekałaś, pani, zanim postanowiłaś odzyskać dziecko.

– Mówiłam już, że jestem tchórzem.

Grymas zniecierpliwienia wykrzywił usta Tannhäusera.

– Ta twarz, którą próbujesz się zasłaniać – twarz słabej kobiety bez krzty odwagi – jest twarzą fałszywą. Jej prawdziwości przeczą wszystkie twoje czyny. Bądź pewna, że nie pasuje ona do twojego charakteru i na pewno nie pomoże ci wzbudzić we mnie litości. Zalecałbym raczej stosowanie prawdy.

– Uznano, że nie nadaję się do porządnego małżeństwa, które ojciec już dla mnie zaplanował – zaczęła Carla.

– Takie problemy można rozwiązać – wtrącił Tannhäuser. – Zaschnięta krew gołębia albo zająca, dla przykładu, gdy się ją zwilży…

– Mój panie, nie brałam pod uwagę fałszowania mego dziewictwa. Mdina to nie Paryż; cudzołóstwo nie jest tam w modzie. Nie było mi łatwo, gdy rodziłam syna. Rodzice byli przeciwko mnie, a jedynym pocieszeniem był mi Bóg, którego istnienie tak elegancko negujesz. Powtarzam: miałam piętnaście lat. Mój kontrakt małżeński – miałam zawrzeć związek z mężczyzną, którego nie znałam nawet z imienia – był już uzgodniony. Gdy odebrano mi dziecko, popadłam w stan głębokiej melancholii i nim się otrząsnęłam, wysłano mnie do Akwitanii. Niepotrzebna mi twoja litość. Najbardziej zależy mi na twoich umiejętnościach. – Umilkła na chwilę, by zapanować nad nasilającym się gniewem. Tannhäuser milczał. – Korona hiszpańska – odezwała się wreszcie – pozwala na dziedziczenie tytułów szlacheckich w linii żeńskiej i tylko dlatego moja osoba miała pewną wartość. Miałam szczęście. Mąż, którego znalazł dla mnie pośrednik, był bogatym sędziwym

wdowcem i chciał jedynie wzmocnić swoją pozycję odpowiednim tytułem, natomiast wcale mnie nie pragnął, bo zbytnio dokuczała mu puchlina. Umarł dwa lata po ślubie. Wcześniej jednak kupił tytuł szlachecki od króla Francji i dlatego mój pasierb – nawiasem mówiąc, starszy ode mnie – tytułuje się teraz hrabią de la Penautier. Ja zaś, dzięki małżeńskiemu kontraktowi, odziedziczyłam dość ziemi i majątku, by czuć się bezpieczna do końca życia. Jak więc widzisz, kapitanie, jestem wytworem klasy zbyt cywilizowanej, by silić się na sztuczki z gołębią krwią.

Tannhäuser wyczuł gorycz w jej słowach i pochylił głowę.

– Przyjmuję reprymendę i błagam o wybaczenie – powiedział.

W tym momencie Carla nie miała szczególnej ochoty na spełnienie tej prośby.

– Na swoją obronę – dodał – mogę ci tylko powiedzieć, że jako młodzik wkroczyłem w świat, z którego kobiety całkowicie wykluczono. Była to społeczność mężczyzn, w której ledwie zauważano istnienie płci przeciwnej. Mężczyzna, który zaznał kobiet – pożądał ich, marzył o nich, może nawet kochał – był uważany za słabeusza. Janczarzy byli silni. Dopiero gdy opuściłem ich szeregi, wyrzekłem się wszystkich przekonań i złamałem wszystkie przysięgi, trafiłem do Wenecji i tam na nowo odkryłem towarzystwo kobiet. Przeżycia młodości sprawiły jednak, że pozostajecie dla mnie wielką zagadką i czasem zdarza mi się obrażać was, choć wcale nie mam takiego zamiaru.

Żaden mężczyzna nigdy nie przemawiał do Carli tak otwarcie. Z pewnością nie robił tego, by jej zaimponować, a jednak mu się to udało.

– Nie obrażam się i wybaczam – odrzekła dla zachowania pozorów. Wyczuwała jednak, że Tannhäuser opowiedział o sobie nie tylko po to, by się wytłumaczyć. – Dlaczego mi o tym mówisz?

– Nigdy nie będę znał kobiet tak dobrze jak inni mężczyźni. Ale z tego samego powodu mogę wysłuchać twojej historii i zrozumieć ją tak, jak nikt inny.

Nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć.

– Nigdy nie trzymałaś w ramionach swojego dziecka – kontynuował Tannhäuser. – Nigdy nie karmiłaś go piersią. Nigdy nie prowadziłaś go za rękę przez głupstwa i lęki szczenięcego wieku.

Odetchnęła gwałtownie, jakby pchnięta sztyletem, i odwróciła się.

– Dziecko pozbawiono wszystkiego, czego potrzebowało, podobnie jak tobie odmówiono wszystkiego, czego potrzebuje matka. Nie miałaś siły, by zapobiec tej potwornej zbrodni, a jednak poczucie winy spoczywa nie tam, gdzie powinno. Nie obciąża sprawców, lecz ciebie, niczym wielki głaz miażdżący pierś. Czasem budzisz się w nocy i nie możesz

oddychać. Widzisz w snach twarzyczkę dziecka i twoje serce rozpada się na kawałki. Jego płacz odbija się echem w pustce, której nic na tym świecie nie zdoła zapełnić. Z czasem świadomość własnej niewinności staje się okrutniejszym brzemieniem niż jakiekolwiek zło, które mogłabyś popełnić.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Płonęły mocnym blaskiem, ale nie było w nich ani śladu złych intencji.

– Tak, wysłuchałem twojej historii – dodał. – I zrozumiałem. Lepiej, niż ci się wydaje, pani.

Łzy parzyły jej gardło. Przełknęła je z trudem.

– Jak możesz mówić o tych sprawach tak wzruszająco i prawdziwie?

– To nieistotne – odparł szorstko. – Pytam raz jeszcze, bo nie usłyszałem odpowiedzi: dlaczego dopiero teraz ruszasz na poszukiwanie chłopca.

Zebrała myśli, zapanowała nad emocjami i odchrząknęła.

– Mniej więcej trzy miesiące temu kawaler Adrien de la Rivière zatrzymał się na noc w moim domu w drodze do Marsylii, skąd miał nadzieję popłynąć na Maltę. Wiedział, że stamtąd pochodzę, i dlatego spodziewał się dobrego przyjęcia. Gdy usłyszałam, że wyspa najprawdopodobniej wpadnie w ręce Turków, zrozumiałam, że muszę odnaleźć syna, bez względu na cenę oraz na to, jak niewiele czasu da nam Bóg, kiedy już się spotkamy.

Tannhäuser w żaden sposób nie okazał, że uważa to wyjaśnienie za irracjonalne. Skinął głową, zachęcając ją do kontynuowania opowieści.

– Potem pomyślałam, że to absurdalny pomysł, ale jeszcze tej samej nocy miałam widzenie. Zobaczyłam Ją przy moim łóżku tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie. Nasza Pani stała tuż obok mnie, trzymając w ramionach Najświętsze Dzieciątko Jezus. Poczułam w tym momencie, że ogarnia mnie spokój, i zrozumiałam, że pragnienie odnalezienia syna nie jest moim kaprysem. Że taka jest wola Boga. Moje życie pozostałoby fikcją, gdybym nie spróbowała. A daję ci słowo, kapitanie Tannhäuser, że moje życie było fikcją od dnia, w którym bez walki pozwoliłam, by odebrano mi syna.

Łzy przesłoniły jej oczy. Bała się, że Tannhäuser weźmie je za oznakę użalania się nad sobą, podczas gdy w rzeczywistości były to łzy gniewu. Otarła je i zobaczyła, że Tannhäuser przygląda się jej w milczeniu.

– Powiedziałam ci już wszystko – dodała. – A teraz ty mi powiedz, czy podejmujesz się misji i za jaką cenę. Zapłacę, jakakolwiek by była.

– Ten mnich, ojciec dziecka… – zapytał Tannhäuser – kim właściwie był?

– Czyżby moja opowieść wydała ci się jeszcze za mało skandaliczna, by podzielić się nią z kompanami z tawerny?

Tannhäuser roześmiał się, równie szczerze i bez wysiłku jak poprzednim razem. Carla poczuła gwałtowną potrzebę uderzenia go pięścią w twarz.

– Znacznie soczystszej historii bym potrzebował, żeby rozbawić tamto towarzystwo – odparł. – A moje pytanie ma sens. Cudzołóstwo może i nie jest w modzie w tych stronach, ale uwierz mi, że niejeden bękart półrycerskiej krwi biega dziś po skałach Malty. Jeśli twój kochanek – a używam tego słowa z całym szacunkiem – jest szpitalnikiem i jeśli jest dziś wśród sposobiących się do bitwy, wolałbym o tym wiedzieć.

– Nie był rycerzem, ale zwykłym zakonnikiem, z innego zgromadzenia. Uciekł z Malty bez ostrzeżenia, zanim jeszcze zdałam sobie sprawę, że spodziewam się dziecka. – Umilkła, aby okiełznać kolejną falę gniewu. – Od tamtej pory nie miałam o nim żadnych wieści.

– Złamał ci serce – stwierdził Tannhäuser.

Carla odczekała chwilę, żeby mieć pewność, że jej głos nie zadrży.

– Potrzebowałam wielu lat, by zapomnieć jego twarz. I gdybym tylko umiała, zapomniałabym też jego imienia. Ale jeśli chcesz, żebym je wymówiła, zrobię to.

Tannhäuser machnął ręką.

– Przemawia przez ciebie gorycz niezagojonych ran – powiedział. – Ale jeśli tylko ów braciszek nie jest dziś rządcą Lango albo inną ważną figurą, jego tożsamość nic mnie nie obchodzi. Zapomnij o nim, jeśli chcesz.

Tannhäuser wstał i podszedł do krzewów różanych. Zatrzymał się po kilkunastu krokach i zawrócił.

– Zatem zadanie, jeśli dobrze zrozumiałem, polega na tym, by dotrzeć na Maltę, unikając tureckiej blokady, odnaleźć dwunastoletniego chłopca, którego imienia nie znamy i którego nigdy nie widzieliśmy, a następnie, jeśli nie będzie miał nic przeciwko temu – czego nawiasem mówiąc, wcale nie jestem taki pewny – powrócić z nim tą samą drogą na Sycylię, nie dając się po drodze powiesić ani szpitalnikom jako zdrajcy, ani Turkom jako szpiedzy.

Spojrzała na niego, nie mogąc wykrztusić słowa. Tannhäuser zdziwił się, widząc jej konsternację.

– Czyżbym pomylił fakty? – spytał.

– Nie. Tylko rozbudowałeś swą misję znacznie ponad to, czego się spodziewałam.

– Jak to?

– Powiedziałeś, że sprowadzimy chłopca na Sycylię?

Tannhäuser rozłożył ręce.

– A czy w przeciwnym razie wyprawa w ogóle miałaby sens?

– Nigdy nie sięgnęłam w marzeniach dalej niż do chwili spotkania i ujawnienia, że jestem jego prawdziwą matką. – Jakaś siła ścisnęła gardło Carli. – Podróż na Maltę i spotkanie, a może, gdyby tylko Bóg pozwolił, także przebaczenie… To wszystko, co potrafiłam sobie wyobrazić.

– Ta chwila może pomóc ci oczyścić się z grzechu i uspokoić sumienie. Może nawet przyniosłaby ci pocieszenie i radość. Ale na pewno nie uratowałaby was obojga przed turecką stalą. Chłopak jest w takim wieku, że bez wątpienia każą mu walczyć. Większość garnizonu de la Valette'a stanowią przecież zwyczajni Maltańczycy. I to oni wezmą na siebie ciężar walki. A także ciężar umierania.

Carla poczuła mdłości.

– Jesteś pewny, że dla obrońców nie ma żadnej nadziei?

– Tego bym nie powiedział, ale gdyby ktoś rzucił kością, pięć jej ścianek wróżyłoby zwycięstwo Turków, a tylko jedna wiktorię Religii. Jednak to, co powiedziałem, sprawdzi się bez względu na wynik bitwy. I zwycięzca, i pokonany zapłacą krwią bardzo wysoką cenę. Jeżeli nie chcesz przedzierać się na wyspę tylko po to, żeby zobaczyć, jak twój syn umiera, musimy go stamtąd wykraść.

– Wykraść? – powtórzyła, wzdrygając się. – Czy to możliwe?

Tannhäuser usiadł na ławce obok niej.

– Szmuglowałem już większe ładunki z lepiej strzeżonych miejsc. Najpierw jednak musimy odnaleźć twojego syna.

– Bądź spokojny, rozpoznam go, kiedy go zobaczę.

– Naturalnie – odparł całkiem bez przekonania. – Ale raczej nie możemy stanąć przed de la Valette'em i poprosić, żeby odwołał ze stanowisk wszystkich młodzików w Borgo tylko po to, żebyś mogła wybrać swojego.

Nadzieja, która pojawiła się w sercu Carli, skurczyła się równie szybko, jak wcześniej urosła. Przemierzyła tak daleką drogę, wierząc w bajkę, tak pochłonięta przygodą w wielkim świecie, że nie starczyło jej czasu na rozważania o podstawowych, najbardziej przyziemnych sprawach. Ależ jestem głupia, pomyślała. Lecz Tannhäuser różnił się od niej w tym względzie diametralnie – tego była już pewna.

– Maltańczycy są na śmierć i życie wierni Kościołowi rzymskiemu – odezwał się kapitan po chwili milczenia. – Chłopiec musiał więc zostać ochrzczony, nawet jeśli był bękartem, a jego imię skrupulatnie zapisano w księdze parafialnej. Jeżeli można wierzyć w

twoje informacje na temat losu sierot, także w Świętej Infirmerii powinniśmy natrafić na jakiś ślad.

– Ale jak sam powiedziałeś, nie znamy nawet imienia.

Wysiłek, z jakim Tannhäuser zapanował nad wyrazem twarzy, jeszcze boleśniej uświadomił jej własną głupotę.

– W rzeczy samej – powiedział spokojnie. – Wierzę jednak, że zapamiętałaś przynajmniej datę urodzenia.

– Ostatni dzień października tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Podobnie jak wtedy, gdy wspomniała o wieku chłopca, tak i teraz odniosła wrażenie, że wiadomość ma dla Tannhäusera szczególne znaczenie.

– Wigilia Wszystkich Świętych – powiedział. – Słońce w znaku Skorpiona – dodał i pokręcił głową. – Dziwne są człowiecze ścieżki, hrabino. Dziwne szlaki, które przywiodły nas do tego ogrodu nad brzegiem morza. – Umilkł, a zanim zdążyła zapytać, co chciał przez to powiedzieć, mocno zacisnął pięść. – Dlaczego nie odszukałaś mnie wcześniej? Jesteś tu od sześciu tygodni? Moglibyśmy obrócić w tę i z powrotem, ryzykując najwyżej to, że potopimy się w wodach cieśniny.

Carla poczuła gorycz w gardle.

– Do dzisiejszego ranka nie wiedziałam nawet, że istniejesz.

Tannhäuser spojrzał na nią podejrzliwie, marszcząc brwi.

– A kto ci o mnie doniósł?

– Brat Oliver Starkey z Langue Angielskiej.

Zobaczyła błysk wściekłości w jego oczach, błękitnych jak serce płomienia, i zamarła na krótką chwilę, przerażona myślą, że Tannhäuser mógłby się wycofać. Nie rozumiała, dlaczego osoba Starkeya wywołała w nim taką złość.

– Brat Starkey bardzo chwalił twoje talenty, kapitanie.

– Nie wątpię.

– Jego list…

– Jego list?

– Jego list przekonał mnie, że jesteś człowiekiem niezwykle zdolnym, że nie czujesz lęku przed niczym i że nie uznajesz żadnych autorytetów, ani moralnych, ani prawnych, ani religijnych, a nawet nimi gardzisz. – Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że Tannhäuser przyjmie te słowa jako komplement. – Przede wszystkim jednak brat Starkey pisał, że jesteś człowiekiem słownym.

– Ten Anglik jest zręczniejszy, niż się spodziewałem.

Carla poczuła, że wreszcie może podzielić się z Tannhäuserem przydatną informacją:

– Couronne odpływa dziś o północy.

– Odpłynie bez nas. – Tannhäuser zdusił gniew i uśmiechnął się. – Wojna ma długie ręce, a jej palce chciałyby zacisnąć się na moim gardle, ale tym razem jeszcze się wyśliznę.

– Czy jednak Couronne nie byłaby dla nas najpewniejszym środkiem transportu?

– Być może. Ale zawieranie paktów z diabłem zostawmy sobie na znacznie czarniejszą godzinę. – Tannhäuser urwał, jakby doszedł do krawędzi urwiska. Po chwili skinął głową. – Zostaw wszelkie przygotowania na mojej głowie i zapomnij o bracie Starkeyu. Odezwę się nie później niż za dwa dni.

Nie od razu dotarło do Carli, że tymi słowy potwierdził, iż przyjmuje jej zlecenie. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć właściwych słów. Tannhäuser podniósł się i ukłonił nisko, po czym wskazał na dom.

– A teraz, jeśli wolno, bardzo chciałbym zobaczyć kamień Amparo. To szkło wizji, o którym wspomniałaś.

Carla stanęła obok niego.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o wynagrodzeniu.

Tannhäuser zawahał się, jakby już ustalił cenę, ale uważał ją za absurdalnie wysoką.

– Jeżeli bezpiecznie przywiozę ciebie i twego syna z Malty na Sycylię, zostaniesz moją żoną.

Carla nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Twoją żoną?

Tannhäuser zakaszlał, jakby zawstydzony.

– Wiesz przecież: ślub, święty węzeł małżeński, przysięga wierności i tak dalej.

Na krótką chwilę owładnął nią instynkt: poczuła skurcze gdzieś w głębi łona i zachwiała się, jakby wino uderzyło jej do głowy. Poczuła, że Tannhäuser chwyta ją pod ramię i spojrzała na niego. Jego oczy były czyste, przezroczyste i nie umiała wyczytać z nich absolutnie nic. Nie wiedziała też, co on wyczytał z jej twarzy, ale przypuszczała, że miał ją za ciężko przerażoną.

– Moje życzenie jest szczytem impertynencji – powiedział w końcu Tannhäuser. – Wszelako motywy, które mną kierują, wcale nie są niegodne, mają jedynie wiele wspólnego z chciwością. Z punktu widzenia interesów, które prowadzę, nawet lekki posmak szlachectwa,

który zyskałbym przez taki związek, byłby nieocenionym atutem. Zgadzam się, że to wysoka cena. Biorąc pod uwagę to, jak wielka dzieli nas przepaść, może nawet skandalicznie wysoka. Jednak podobnie wielkie jest ryzyko w tej wyprawie. Jeśli sobie życzysz, możemy zastrzec w umowie, że nie zyskam żadnego prawa do twojego majątku, bo nie jest mi on do niczego potrzebny. Co więcej, daję ci słowo honoru, że nie wykorzystam naszej umowy w żaden sposób, który uznałabyś za niepożądany.

Naiwna fantazja prysła jak bańka mydlana. To był interes, nic więcej. Nie mogli bardziej się różnić temperamentem i pozycją. Carla czuła, że nie powinna żywić urazy. Mało tego, pomyślała nawet, że jeszcze nigdy nie szanowała żadnego mężczyzny tak jak Tannhäusera. Cena, której zażądał za swe usługi, była w istocie śmiesznie niska. Mimo wszystko jednak miała wrażenie, że coś, co na nowo rozkwitło w niej w ciągu ostatniej godziny, teraz po prostu zwiędło. Postarała się zapanować nad drżeniem głosu. Wydawało jej się, że jej słowa brzmią zimno.

– Nie pojmujesz, jak złożoną sprawą jest kwestia szlachectwa – powiedziała. – Małżeństwo pozwoli ci jedynie używać tytułu, nic więcej się nie zmieni.

– Będę więc miał prawo do tego, by nazywano mnie hrabią i zwracano się do mnie „Jaśnie Panie" lub też w inny równie służalczy sposób?

– Tak sądzę.

– W takim razie są to pozory warte fortuny, choćby ich natura była oszukańcza… Będę bardziej niż usatysfakcjonowany.

– Doskonale. Raz już handlowano moim tytułem. Tym razem przynajmniej mam coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Zatem zawarliśmy umowę?

– Mam sprowadzić prawnika, by ją spisał?

– Wystarczy mi uścisk dłoni. – Tannhäuser wyciągnął rękę. Jego dłoń była wielka i szorstka, a po wewnętrznej stronie pokryta odciskami od rękojeści szabli. Cofnął się w ostatniej chwili, gdy Carla chciała ją uścisnąć. – Czy możemy dodać coś jeszcze do naszego paktu? – spytał z chytrym błyskiem, ale i rozbawieniem w oczach.

To, jak potrafił ją oczarować, doprowadzało Carlę do pasji.

– Spróbujmy – odpowiedziała.

– Kiedy wrócimy, zagrasz dla mnie jeszcze raz na violi.

Carla nie mogła dłużej ukrywać sprzecznych uczuć, które nią targały.

– Dlaczego chcesz to dla mnie zrobić?

Tannhäuser spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

– Bo uważam, że to prawdziwa okazja, która świetnie się przysłuży moim interesom.

– Być może nieszczególnie ufasz mojej intuicji – odparła – ale wyczuwam, że coś znacznie poważniejszego niż troska o interesy popycha cię ku tej przygodzie.

Tannhäuser przyglądał jej się przez kilka sekund, które wydały się Carli dłuższe od minut. Pomyślała, że kalkuluje w myśli, jak wiele prawdy o sobie może przed nią ujawnić. Co więcej, wyczuła w nim smutek równie silny i równie zadawniony jak ten, który ją dręczył. A może nawet potężniejszy? Gdyby wziął ją teraz w ramiona, nie opierałaby się.

– Znałem kiedyś inną matkę, która walczyła o swego syna – odezwał się w końcu Tannhäuser.

– To wszystko?

– Przegrała.

Carla czekała jeszcze chwilę, ale Tannhäuser nie odezwał się więcej.

Uśmiechnął się, odsłaniając połamane zęby, i wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęła ją. Mocny dreszcz przebiegł po jej ciele.

Żałowała, że nie przypieczętowali umowy pocałunkiem.

Wtorek, 15 maja 1565 - Droga do Mesyny – tawerna Wyrocznia

Tannhäuser jechał wśród wzgórz malowanych fioletem i złotem przez promienie zachodzącego słońca. Kobiety z Saliby osaczyły go jak ogary jelenia, a przecież nie przeszło mu przez myśl, by się skarżyć.

Amparo na przykład była wyjątkową istotą. Jej seksualny magnetyzm, z którego najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, nieustannie pobudzał jego umysł i nie tylko. Jej „kamień wizji" czy „szkło wizji" okazało się prawdziwym cudem. Zwykle przedmiotami o takich właściwościach były kryształowe kule. Amparo zaś posiadała urządzenie optyczne – zbudowane pewnie jako zwykła ciekawostka, błyskotka – dla którego, dzięki genialnej intuicji otwierającej drogę ku wiedzy, odkryła całkiem nowe zastosowanie. Była to mosiężna tuba z okularem na jednym końcu i dwoma cienkimi kołami na drugim; one również wykonane były z mosiądzu, obracały się niezależnie, choć na wspólnej osi. Pomiędzy krawędziami obu kół znajdowały się misternie dopasowane kawałki szkła, tworzące miniaturowe witraże. Wnętrze tuby zawierało dwa wąskie paski lustra, których płaszczyzny umieszczone były pod kątem trzydziestu stopni.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mosiężne koła są ciemne, ale gdy skierowało się urządzenie ku słońcu lub płomieniowi świecy, ukazywała się wielobarwna mozaika. Wystarczyło palcami puścić koła w ruch, by kolory ożyły i zaczęły się mieszać, tworząc oszałamiające kombinacje. Każdy ruch jednego z kół zmieniał wygląd tego obrazu – Tannhäuser odkrył, że zmieniając prędkość ich obrotów i różnicę prędkości między oboma kołami, można sprawić, iż sam czas zostaje rozbity na nieskończenie małe cząstki. Co więcej, obraz zmieniał się też w zależności od źródła światła – im bliżej był płomień świecy, tym żywsze barwy wzbudzał. Dym, jasność słońca, wilgotność powietrza – wszystkie te elementy zmieniały klimat wizji, zwłaszcza że same podlegały nieustannym przemianom. A gdy koła nieruchomiały, ukazując kombinację światła i koloru wybraną przez przypadek, na krótką chwilę w okularze pojawiał się obraz ułamka wieczności. Krótko mówiąc, w szkle wizji, którym posługiwała się dziewczyna, znajdował się model kosmosu, nieustannej fali przemian, samego przeznaczenia.

Czasem Amparo nie widziała w nim niczego poza urodą samych barw. Niekiedy jednak jej umysł wypełniały obrazy przejmująco wyraziste. Bywało, że słyszała głosy aniołów. Nikt nie umiał przewidzieć przyszłości i Amparo wcale nie twierdziła, że to potrafi. Jednakże w bezmiarze wszystkich spraw, które mogą się zdarzyć, znajdują się i te, które

zdarzą się naprawdę. I właśnie to widziała w swoim wirze barw: możliwość przyszłości. Wszystko, co może się wydarzyć, warzy się w tyglu spraw jeszcze nieistniejących – tak brzmiała prawda, którą zdaniem Tannhäusera Amparo – być może instynktownie – rozumiała.

Noc już zapadała, gdy zbliżał się do północnej bramy. W ostatnich chwilach półmroku najpierw usłyszał, a potem zobaczył dwukółkę jadącą z przeciwka. Woźnica miał hełm na głowie i pancerz na piersi, a pod jego siedziskiem leżał muszkiet z tlącym się lontem. Mijając pojazd, Tannhäuser dostrzegł jeszcze młodą, szczurzą twarz pasażera pod czarnym kapeluszem księdza. Obojętnie minął strażnika czuwającego przy bramie i wjechał do miasta. Gorączkowa krzątanina kończąca dzień już zamierała i lada chwila ulice miały opustoszeć. Tannhäuser dotarł do nabrzeża i skręcił w stronę Wyroczni.

Postanowił, że tej nocy wypije dużo i ulży rozbudzonym żądzom, korzystając z usług Dany. Być może, rozmyślał, będzie to cokolwiek nieszlachetny postępek, bo przecież to Amparo i signora Carla wznieciły tę chuć. Ale takie jest życie. Zastanawiał się, jak brzmiałyby ich głosy w miłosnej gorączce. Zaciekłość, z jaką Carla grała na violi, pamiętał aż nadto wyraźnie. Co więcej, hrabina była kobietą wysoce inteligentną, a to w jego erotycznym doświadczeniu było zupełną nowością. Choć wątpił, by pragnęła zbliżenia z kimś takim jak on, wyobrażał sobie, jak wyłuskuje jej ciało z tej czerwonej jedwabnej sukni. Jedyne miłosne doświadczenie w jej życiu skończyło się karą, hańbą i rozstaniem ze wszystkimi, których kochała. Miała prawo do nieufności. Mimo to musiał zmienić pozycję w siodle, by dać więcej miejsca skutkom swoich rozmyślań.

Nabrzeże tonęło w mroku, rozjaśnianym jedynie żółtymi plamami światła okrętowych latarń. Księżyc, który pojawił się nad morską tonią, poprzedniej nocy był w pełni. Tannhäuser wstrzymał konia, gdy zobaczył, że przed drzwiami tawerny zgromadził się tłumek ciekawskich. Za kordonem gapiów dostrzegł dwa stalowe hełmy w blasku pochodni. Hełmy uzbrojonych ludzi. Konstabli straży miejskiej. A tłum gromadził się zwykle tam, gdzie wydarzyło się nieszczęście. Morderstwo w tawernie? Dotąd nic takiego się nie wydarzyło, głównie dzięki Borsowi, ale z pewnością nie było to niemożliwe.

I wtedy dał się słyszeć wrzask.

Dźwięk był daleki i zgłuszony przez ściany, ale jednak wyraźny. Strach ścisnął wnętrzności Tannhäusera. W ekstremalnym bólu – a taki bez wątpienia zadawano krzyczącemu – głosy ludzkie brzmiały zadziwiająco podobnie.

Tannhäuser był jednak pewny, że ten głos należy do Sabata Svi. Zeskoczył z siodła i poprowadził Buraqa między wąskim warsztatem a siedzibą agenta. Na tyłach budynków stojących najbliżej nabrzeży znajdował się labirynt warsztatów, garaży dla

powozów, magazynów i stajni, wyznaczony przez chaotyczną sieć krętych zaułków, niewiele szerszych niż barki Tannhäusera. Buraq szedł za nim posłusznie i cicho w mroku z rzadka tylko rozświetlanym smugami księżycowego światła. Gdy zbliżali się do zaplecza magazynu, w którym mieściła się tawerna, Tannhäuser usłyszał kolejny krzyk, z bliska jeszcze bardziej rozdzierający, samotny i pełen przerażenia.

Sabato Svi był torturowany.

Buraq zauważył niepokój swego pana i parsknął współczująco. Tannhäuser splunął żółcią i przywiązał konia do żelaznej pętli sterczącej z muru, klepiąc go przy tym po karku. Rozwinął wyłożenie długich butów, by mocna skóra chroniła jego uda i krocze, a potem dobył miecza. Zaczął skradać się w kierunku magazynu, którego dach wyraźnie odcinał się na tle czarnego nieba. Zatrzymał się instynktownie. Nie usłyszał żadnego dźwięku, ale w smrodzie zapuszczonego zaułka wyczuł woń skóry i potu, która nie należała do niego. A potem oddech konia. Zasłonił oczy przed słabym światłem gwiazd i wtopił spojrzenie w ciemność. Potężna postać czaiła się pod nieco bledszą czarną plamą ściany. Tannhäuser zrobił krok naprzód i wtedy rozpoznał ten zapach.

– Bors – wyszeptał.

Postać oderwała się od muru i poruszając się bokiem, jak krab, zaczęła się do niego zbliżać. Z odległości dwóch kroków dostrzegł kuszę mierzącą w jego pierś. Na wypadek, gdyby się pomylił w ocenie sytuacji, Tannhäuser trzymał miecz w pogotowiu. Wreszcie pojawiła się i twarz Borsa. Kusza oparła się o jego biodro, celując w ciemne niebo. Twarz Borsa, pokryta siwym zarostem, stężała w napięciu, a jego cichy głos nieznacznie drżał.

– Straż miejska. Dwóch na zewnątrz, czterech w środku. Kirysy i hełmy. Ci w środku mają dwa arkebuzy i pistolet.

– Znamy ich?

Bors potrząsnął głową.

– Nie są z tej dzielnicy. Przyprowadził ich ten chudy inkwizytor z Couronne.

Tannhäuser miał wrażenie, że słyszy klekot kół, które wprawiają w ruch wszechświat. Była to jedna z tych chwil, kiedy piękny gmach ludzkich ambicji okazuje się burdelem wzniesionym na piasku; kiedy igła kompasu pęka i stają wszystkie zegary; kiedy wyśniona przyszłość i przyszłość już się rysująca rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach, by nigdy się nie spotkać.

– Czego chcą? – spytał.

– Wylazłem z piwnicy, kiedy już kończyli rozróbę. Szukali ciebie.

– A Sabato?

– Uznał za stosowne podyskutować z nimi. Stawiał się dość bezczelnie, więc go pobili. Młody Gasparo nie mógł się z tym pogodzić. – Bors zacisnął usta. – Więc go zastrzelili.

Tannhäuser usłyszał nieprzyjemne zgrzytanie pod czaszką i z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że to jego zęby.

– Siedziałem cicho – ciągnął Bors. – Kiedy straż zaczęła wyganiać towarzystwo z tawerny, zabrałem się ze wszystkimi. Nie zwrócili na mnie uwagi.

– Co z Daną? I z dziewczętami?

– Zostawiłem je całe i zdrowe u Vita Cuorvo, a potem wróciłem.

W ciemności rozbrzmiał kolejny głośny wrzask. Bors się skrzywił.

– Gdzie są teraz nasi wrogowie? – spytał Tannhäuser.

– Przeszukali cały budynek i zebrali się w tawernie. Tylne wejście nie jest strzeżone.

– Inkwizytor jest wśród tych czterech?

Bors skinął głową.

– Jeden z trzech strażników jest w randze kapitana. Myślę, że powinniśmy załatwić rzecz po cichu, żeby nie zaalarmować tych dwóch na zewnątrz.

– Jeden czy dwa okrzyki wezmą pewnie za skargi Sabata, ale nie możemy użyć pistoletów. – Tannhäuser wskazał ruchem głowy na kuszę. – Gotów?

– Jak nigdy.

Bors oparł kuszę na przedramieniu, a drugą ręką wygrzebał z kieszeni kamizelki ogarek świecy. Potem odczepił od pasa małe, żelazne puzdro z podziurawioną klapką, w środku żarzył się kawałek węgla.

– Inkwizytor i pięciu konstabli – mruknął Tannhäuser. – Taki numer ustawi nas daleko poza granicami prawa. Bardzo daleko.

Bladość twarzy Borsa wskazywała na to, że wpadł na to już wcześniej.

– Jeśli teraz zwiejemy – kontynuował Tannhäuser – wątpię, żeby ścigali nas na drugą stronę cieśniny.

– Gdyby ktoś mi powiedział, że będę kiedyś nadstawiał mego brudnego karku za jakiegoś Żydka, roześmiałbym mu się w twarz! – Bors uśmiechnął się z wysiłkiem. – Tak czy inaczej, nie wierzę ci.

Tannhäuser poklepał go po plecach. Bors odpalił od węgielka łojową świecę i w jej wątłym blasku wśliznęli się na tyły Wyroczni.

W magazynie panowała absolutna ciemność i bez odrobiny światła nie mieliby szans. Tannhäuser skradał się między rozrzuconymi resztkami towaru, aż wreszcie znalazł wiązkę oszczepów i drzewc do pik. Przeciął opasujący ją sznurek, schował miecz do pochwy i wybrał trzy smukłe jesionowe oszczepy zwieńczone sztyletowatymi, ostrymi jak igła grotami. Zważył je kolejno w ręku, sprawdzając punkt ciężkości. Na krótki dystans były równie śmiercionośną bronią jak muszkiet, a przy tym znacznie poręczniejszą.

Gdy zbliżyli się do frontowej części budynku, zobaczyli plamę światła rozlaną na podłodze przed otwartym, zwieńczonym łukiem przejściem do głównej sali tawerny. W tej samej chwili dotarły do ich uszu urywki piskliwej tyrady, pełnej ekstatycznego uniesienia i skrajnej bigoterii. Kilka razy rozbrzmiało oskarżycielskie słowo „Żydzie", wypowiedziane tak, jakby samo w sobie było zniewagą. W odpowiedzi Sabato wyrzucił z siebie obolałym głosem stek przekleństw. Urwał nagle i w tym samym momencie rozległo się zduszone gulgotanie. Tannhäuser poczuł mdłości i kolana ugięły się pod nim, zapanował jednak nad odruchem wymiotnym. Minęło sporo czasu, ale przecież pamiętał: to było normalne. Odetchnął głęboko i przykre uczucie ustąpiło. Bors zdmuchnął świecę i uniósł wyżej ciężką kuszę. Tannhäuser podszedł bliżej i ostrożnie zajrzał do sali.

Zobaczył dwóch konstabli i kapitana, uzbrojonych dokładnie tak, jak opisał Bors. Oficer, pulchny jak kuropatwa, stał z rękami wspartymi na biodrach, i przypatrywał się temu, co działo się w alkowie. Dochodziły stamtąd jęki Sabata, ale Tannhäuser nie mógł dostrzec ani jego, ani zakonnika. Jeden ze strażników stał pomiędzy opustoszałymi ławami, mniej więcej w połowie drogi do drzwi frontowych. Arkebuz miał zarzucony na ramię, a w palcach trzymał tlący się lont. Drugi konstabl siedział na ławce, trzymając broń pomiędzy nogami i pijąc prosto z dzbanka. Tannhäuser ocenił, że od pierwszego dzieli go mniej więcej dziewięć kroków, a od drugiego – najwyżej pięć. Wycofał się i najpierw uniósł rękę, naśladując pijącego, a potem wskazał palcem na Borsa. Bors wyjrzał jednym okiem zza krawędzi muru i zaraz odwrócił się do partnera, by skinąć głową na potwierdzenie.

Piskliwy głos z alkowy znowu przybrał na sile:

– …krew i obrzezanie! Ilu porządnych ludzi zmieniłeś w żebraków swymi podstępnymi spiskami i kłamstwami? Gdzie twoje złoto, Żydzie? Złoto ukradzione nam, którzy okazaliśmy takim jak ty ogrom chrześcijańskiej łaski! Pozwoliliśmy ci zamieszkać między nami, jakbyś był człowiekiem, a nie wściekłym, parszywym psem! Jaki diabeł sprowadził cię do naszego kraju? Bóg z pewnością nie zapraszał tu waszej zdradliwej rasy! Złoto, Żydzie! Złoto!

Tannhäuser uniósł oszczep w prawej ręce; w lewej trzymał dwa pozostałe. Kiwnął głową w stronę Borsa i zdecydowanie wkroczył do tawerny. Stawiając drugi krok, zamachnął się i oszczep śmignął koło jego ucha. W tej samej sekundzie wystrzeliła kusza; bełt przemknął ze świstem i z trzaskiem wbił się w cel. Strażnik stęknął, gdy grot oszczepu wbił się w jego ciało poniżej pancerza, dziurawiąc podbrzusze. Drzewce weszło na głębokość dwóch stóp, odrzucając go na ławę, gdzie padł, dygocąc z lekka i dysząc jak śmiertelnie ranne zwierzę. Tannhäuser trzymał już w prawicy drugi oszczep i stał naprzeciwko kapitana, który spoglądał na niego chwilowo jeszcze ze zdumieniem, a nie z przerażeniem. Tannhäuser zrobił krok w jego stronę. Pękata dłoń oficera powędrowała w stronę pasa, ale pistolet był w tej chwili nie bardziej groźny niż pierdnięcie, które wyrwało się w panice spomiędzy jego tłustych pośladków.

– Pomyśl o żonie – polecił mu Tannhäuser. – Pomyśl też o dzieciach.

Kapitan usłuchał i w tym momencie opuściła go resztka ochoty na stawianie oporu. Tannhäuser przystawił grot oszczepu do jego gardła, po czym obrócił się i rzucił Borsowi zapasowy. Wyjął pistolet zza pasa oficera. Była to piękna broń, wyposażona w najnowszy hiszpański zamek skałkowy – dokładnie taka, jaką nadęty dupek pokroju kapitana uważał w swej próżności za niezbędną. Tannhäuser zdmuchnął proch z panewki i wetknął pistolet z powrotem za pas mężczyzny. Rozejrzał się i dostrzegł Gaspara, który leżał na plecach tuż obok schodów, z krwawą dziurą w piersi. Chłopak był lojalny i za to zginął. Tannhäuser musiał zapanować nad bardzo niemiłym pragnieniem, nim odwrócił się z powrotem ku kapitanowi. Tłuste gardło oficera, który daremnie próbował zachować godność, trzęsło się żałośnie na czubku oszczepu.

– Nazywam się…

Tannhäuser uderzył go wierzchem dłoni w policzek. Masywny złoty pierścień otworzył ciało aż do kości.

– Zatrzymaj tę wiadomość dla siebie – poradził oficerowi. – Mnie ona niepotrzebna.

Kapitan straży zaskomlał cicho i zacisnął powieki. Tannhäuser obejrzał się przez ramię. Twarz i broda konstabla leżącego na stole pokryte były jaskrawoczerwoną, świeżą krwią. Bełt wbił się w jego czaszkę tuż obok oka i wszedł tak głęboko, że kość do połowy zdarła z niego lotki. Raniony oszczepem leżał zaś na posadzce, czekając na falę bólu tak potwornego, że nie tylko nie śmiał wzywać pomocy, ale i bał się oddychać. Tannhäuser obrócił się w stronę alkowy. Duchowny wbijał wzrok w podłogę, jakby w nadziei, że taka taktyka czyni go niewidzialnym.

Tannhäuser spojrzał na Sabata Svi. Żyd siedział na jego ozdobnym krześle. Szczęki biedaka rozszerzała siłą wepchnięta żelazna gruszka, wyposażona w mechanizm, który pozwalał za pomocą kluczyka rozkładać tworzące ją płatki, a tym samym zwiększać średnicę przyrządu. Tannhäuser zerknął niżej. Dłonie Sabata zostały przybite gwoździami do podłokietników. Tannhäuser spojrzał w jego ciemne oczy i zobaczył, że z duszy nieszczęsnego towarzysza coś zostało na zawsze wydarte. Coś, co przez resztę życia bezskutecznie będzie próbował odzyskać. Takie jest żniwo tortur.

Tannhäuser popatrzył na Gonzagę.

– Ty. Ksiądz – powiedział. – Wyjmij to draństwo z jego ust.

Gonzaga nie ośmielił się unieść głowy.

– Jeśli usłyszę choćby jego westchnienie – ciągnął Tannhäuser – słono za to zapłacisz.

Mnich sięgnął odruchowo po krzyżyk wiszący na końcu różańca, którym był przepasany, i zaczął mamrotać po łacinie modlitwę. Ten gest rozwścieczył Tannhäusera. Ruszył szybkim krokiem do alkowy, obracając oszczep w dłoni o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy zbliżał się do Gonzagi, ten przemógł się wreszcie i gwałtownym ruchem uniósł głowę.

– Łaski, panie! – zaskrzeczał. – Łaski w imię Chrystusa!

Tannhäuser z rozmachem wbił oszczep w jego lewą stopę. Gonzaga wrzasnął dziko i chwycił się drzewca. Tannhäuser wyszarpnął krzyżyk z jego ręki i kulki z zerwanego sznurka rozsypały się po podłodze. Spojrzał z góry w głębokie tunele strachu, którymi spoglądała na niego pobladła twarz zakonnika. Uniósł krucyfiks w górę i splunął na niego, przy okazji brukając wykrzywione przerażeniem oblicze Gonzagi.

– Dumny jesteś ze swojego okrucieństwa, klecho? – Tannhäuser rzucił krzyż na kamienną posadzkę. – Ja przez trzynaście lat byłem Turkiem. I mówię ci, że to jeszcze nic.

Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i mocniej wraził grot oszczepu między strzaskane kości stopy. Gonzaga nie miał ani siły, ani powietrza w płucach, by krzyczeć. Bezgłośnie rozchylił usta, a jego drżące wargi nabrały koloru purpury.

Tannhäuser chwycił go za gardło.

– Nawet nie zacząłeś jeszcze rozumieć, co to okrucieństwo. Ale zaraz zrozumiesz.

Wyrwał oszczep z rany i z rozmachem wbił go w drugą stopę Gonzagi, który niechybnie upadłby na kolana, gdyby Tannhäuser nie przytrzymał go w pionie. Istniała szkoła myślenia, wedle której czyny tak okrutne powodują, że sprawca zniża się do poziomu swego wroga. Tannhäuser jednak nie wierzył w tę filozofię. Raz jeszcze wcisnął grot głębiej i poczuł, jak w gardle, na którym zaciskał palce, wibruje stłumiony okrzyk bólu. Przewracając

oczami, zakonnik gulgotał rozpaczliwie, błagając o łaskę. Uwagę Tannhäusera zwrócił jednak jęk bólu dochodzący od strony jego krzesła. Odwrócił się.

Spojrzał na Sabata Svi i zobaczył strach w jego oczach. Zrozumiał, że w tawernie zapanował śmiertelny lęk, którego on sam był teraz jedynym źródłem. Wyszarpnął oszczep z rany i odepchnął zakonnika. Gonzaga poślizgnął się na plamie własnej krwi i upadł do jego stóp. Tannhäuser położył oszczep na stole i spojrzał na Borsa.

– A kiedy będzie moja kolej? – spytał ze śmiechem Bors.

Tannhäuser podszedł do Sabata. Zaczął ostrożnie obracać kluczyk, aż obwód gruszki zmniejszył się na tyle, że mógł bezpiecznie wyjąć ją z ust torturowanego.

– Wybacz – powiedział.

Sabato poruszył żuchwą i splunął krwią. Był blady jak płótno. Nie kipiał żądzą brutalnej zemsty, ale był twardy jak te gwoździe, które połączyły go z krzesłem. Tannhäuser przyjrzał im się bliżej. Płaskie łby sterczały może dwa cale ponad grzbietami dłoni Sabata.

– Wytrzymasz jeszcze chwilę, przyjacielu? Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Sabato uśmiechnął się ponuro.

– Nigdzie się nie wybieram.

Tannhäuser znów chwycił oszczep i ruszył w stronę jeńców. Na początek zatrzymał się nad Gonzagą, by wepchnąć żelazną gruszkę w jego usta. Dobił ją mocno otwartą dłonią, czując, jak pod naporem metalu kruszą się zęby.

– Wstawaj – rozkazał.

Zakonnik mógł jedynie odpowiedzieć mu jękami i rzężeniem.

– Wstawaj, powiadam!

Gonzaga z trudem stanął na podziurawionych stopach. Wyprostował się i drżąc, ciężko łapał powietrze nozdrzami. Tannhäuser pchnął go w stronę Borsa.

– Rozbierz go.

Bors rozerwał na strzępy habit Gonzagi, starając się działać jak najbrutalniej. Tannhäuser tymczasem odwrócił się i pochwycił za kark pulchnego kapitana. Bez ceregieli pociągnął go ku konstablowi, który ledwie dychał, skurczony wokół oszczepu sterczącego z jego brzucha.

– Popatrz na niego – powiedział, zmuszając kapitana, by się pochylił. Grot zmasakrował wnętrzności konstabla i skierował się ku najłatwiejszej drodze wyjścia – ku odbytowi. Spodnie rannego zdążyły już nasiąknąć krwią i ekskrementami. Kapitan omal nie zwymiotował. Tannhäuser kopnął tępy koniec oszczepu i grot wbił się jeszcze o kilka cali

głębiej. Strażnik skulił się z przeraźliwym jękiem. Teraz z ust kapitana chlusnęła struga wymiocin, wprost na podwładnego wijącego się w mękach. Bors roześmiał się.

Tannhäuser obrzucił zdemolowaną tawernę szybkim spojrzeniem. Zobaczył kozły, z których zrzucono blaty, przewrócone i puste ławy, plamy żółtego światła i łaty głębokiej ciemności oraz kałuże krwi podobnej do gęstej ropy. Wreszcie popatrzył na kapitana, którego obwisła twarz, mimo marnego oświetlenia wyraźnie odzwierciedlała ciężkie przerażenie. Chwycił go mocno i wycedził wprost do ucha:

– Rozejrzyj się i nasyć oczy widokiem tego, co narobiłeś.

Kapitan usłuchał, coraz bardziej zdenerwowany.

– Popatrz na zabitego, na umierającego, na przerażonego. Posłuchaj barbarzyńskiego śmiechu. Spójrz na nagiego księdza. Na ukrzyżowanego Żyda. Zobacz, jak mszczą się twoi wrogowie.

Kapitan skulił ramiona wokół brody oblepionej wymiocinami. Okrwawionym grotem oszczepu Tannhäuser uniósł jego podbródek, by spojrzeć mu w oczy.

– I wiedz, że trafiłeś do piekła. A my jesteśmy demonami.

Wymiociny polały się z nosa kapitana, który za wszelką cenę starał się nie wybuchnąć płaczem. Otoczył głowę ramionami jak małe, zdezorientowane dziecko. Tannhäuser tymczasem podszedł do konającego konstabla, zamachnął się i wbił grot oszczepu w jego skroń, aż do mózgu. Poczuł wstrząs przeniesiony przez drzewce, a potem leżący znieruchomiał. Zamordował konstabla straży miejskiej, sługę Korony hiszpańskiej. Jego życie miało potoczyć się nowym torem. Znowu był zabójcą. Niech i tak będzie, pomyślał. Wyszarpując oszczep, czuł opór przebitej kości. Spojrzał na kapitana.

– Męki albo miłosierdzie – powiedział. – Masz wybór.

Ulga, którą poczuł kapitan, była tak wielka, że pomogła mu przerwać milczenie.

– Łaskawy panie, jestem twoim sługą! – wyjąkał, z trudem panując nad szlochem. – Wykonam każdy rozkaz.

Tannhäuser wskazał na zwłoki.

– Przeciągnij go tam, pod ścianę.

Gdy kapitan zabrał się do pracy, Tannhäuser spojrzał na Borsa i ruchem głowy wskazał na zakrwawionego trupa leżącego na stole. Bors podszedł do niego, odłożył broń i chwycił nieboszczyka pod ramiona. Zaciągnął go do drzwi magazynu i cisnął w ciemność. Gonzaga stał wciąż nieruchomo, nagi i drżący pośród czarnych i białych strzępów odzieży. Bors powrócił do ławy, podniósł z posadzki arkebuz i mocno dźgnął zakonnika lufą między żebra.

– Klękaj – rozkazał. – Na cztery łapy, jak pies.

Gonzaga padł na ziemię, dławiąc się żelazną gruszką, a Bors znowu wybuchnął śmiechem.

Tannhäuser podniósł z podłogi drugi arkebuz. Dmuchnął na lont, zbliżył się do okna i wyjrzał, uchyliwszy okiennicę. Na ulicy zobaczył dwóch strażników oraz grupkę gapiów. Pstryknął palcami na kapitana, który natychmiast porzucił zwłoki pod ścianą i kłusem podbiegł do niego.

– Wytrzyj brodę – polecił Tannhäuser.

Kapitan starł wymiociny rękawami.

– Przed tawerną stoi dwóch twoich ludzi. Na pewno jesteś na nich rozgniewany.

Na twarzy oficera odmalowało się zdziwienie.

– Rozgniewany?

– Bo ja na przykład jestem. Nie zrobili nic, żeby wygonić stąd ciekawskich. To niesłychane.

– A, tak. Niesłychane. Tak, tak! – zgodził się czym prędzej kapitan.

– Jeśli chcesz ocalić ich życie – a przy okazji swoje – rozkażesz im strzałami rozpędzić tłum. Następnie powiesz, że mają wolny wieczór. Niech idą do domu. A jeśli będą się tu szwendać, każesz ich wychłostać.

– Wychłostać do krwi! – wybełkotał z zapałem kapitan.

– A kiedy już wydasz im rozkaz, zatrzaśniesz im drzwi przed nosem. Bo jesteś rozgniewany.

– Doprawdy wściekły! – wrzasnął kapitan.

Tannhäuser spojrzał na Borsa, który cofnął się na tyle, by nie było go widać przez otwarte drzwi, z arkebuzem na ramieniu i oszczepem w dłoni.

– Jeśli wychylisz nos z tawerny, zabijemy was wszystkich – uprzedził, popychając kapitana w stronę wyjścia.

Zanim oficer zdążył przemyśleć te słowa zbyt gruntownie, Tannhäuser otworzył przed nim lewe skrzydło drzwi. Kapitan zaś, zadowolony, że może wreszcie rozładować stres, ulżył sobie w sposób, w którym uważał się za eksperta: wyżywając się słownie na podwładnych. Gdy groźba chłosty została wzbogacona o cały wachlarz kar mutylacyjnych oraz wizję szubienicy, Tannhäuser dźgnął oficera oszczepem w tyłek. Reakcja była natychmiastowa: drzwi zamknęły się z hukiem, przerywając w połowie ostatnie zdanie. Kapitan spojrzał na Tannhäusera, szukając aprobaty, ale ten tylko ponownie wyciągnął

pistolet zza jego pasa. Rozbrojony bez słowa oddał też mosiężne puzdro z prochem oraz woreczek z kulami.

– Dołącz do ojca Gonzagi – rozkazał Tannhäuser. – Na kolanach.

Gdy kapitan gorliwie wykonywał polecenie, przekonany, że zapewnił sobie łaskę prześladowcy, na zewnątrz rozległ się huk dwóch wystrzałów. Gapie rozpierzchli się, zostawiając na bruku dwie jęczące postacie. Trzeciego pechowca konstable obrabiali właśnie kolbami muszkietów. Taka była cena ciekawości. Tannhäuser wsunął pistolet za pas i oddał Borsowi arkebuz.

Bors skinął głową w stronę Sabata.

– Przyniosę młotek z pazurem.

Sabato drgnął niespokojnie, ale Tannhäuser pokręcił głową.

– Załatwmy to tak, żeby nie połamać mu kości.

Zabrał ze stołu lampę i zniknął w głębi magazynu. Odnalazłszy swoją skrzynię z narzędziami, wyjął z niej piłę o drobniutkich zębach i pospiesznie wrócił do tawerny. Raz jeszcze przyjrzał się gwoździom sterczącym z dłoni Sabata.

– Zapłaciłem piętnaście złotych eskudów za to krzesło – mruknął.

– No to dałeś się oskubać – zauważył Sabato Svi.

Tannhäuser zabrał się do piłowania krótkimi, energicznym pociągnięciami.

– I tak oto kończy się nasza sycylijska przygoda – dodał Sabato.

– Będą i inne, jeszcze ciekawsze i bardziej lukratywne. – Pierwszy łeb gwoździa spadł na posadzkę. – Nie ruszaj się. – Tannhäuser pochylił się nad drugim.

– Przynajmniej nie będziesz musiał płynąć do Egiptu z tym Grekiem.

– Pieprzu też jeszcze nam nie zabraknie. Wiesz, on rośnie na drzewach. – Tannhäuser odpiłował drugi łeb i odłożył piłę. – Rozluźnij rękę – poradził. Złapał Sabata za lewy nadgarstek, a palce drugiej ręki splótł z jego palcami tak, by podeprzeć dłoń od spodu. – Rozluźnij, mówię. – Szarpnął w górę i dłoń Sabata zsunęła się z gwoździa. – Gotowe. Teraz druga ręka. Luźno.

Chwilę później Żyd był już wolny. Wstał z krzesła i ostrożnie poruszał palcami, a potem, cokolwiek zdziwiony, zacisnął pięści.

– To tylko draśnięcia – powiedział Tannhäuser.

– Ulica pusta – zawołał Bors, który czuwał przy oknie.

Trzej przyjaciele zebrali się nad jeńcami, klęczącymi posłusznie na kolanach i łokciach w półmroku tawerny. Między rękami księdza rosła kałuża śliny. Obaj cuchnęli własnymi odchodami. Tannhäuser spojrzał na Sabata.

– Są twoi, jeśli chcesz.

– Ależ miłościwy panie… – zajęczał drżącym głosem kapitan.

Bors poczęstował go kopniakiem w zęby.

Sabato pokręcił głową.

– Nie sprawiłoby mi to przyjemności.

Tannhäuser wskazał na kapitana i zwrócił się do Borsa:

– Zabij go.

Bors opuścił lufę arkebuza, przyłożył wylot do podstawy czaszki oficera i pozwolił lontowi opaść na panewkę. Krótką pauzę wypełniło rozpaczliwe zawodzenie człowieka, który wiedział, że umrze za chwilę bez rozgrzeszenia i namaszczenia. A potem zawartość jego czaszki eksplodowała, brukając kamienną posadzkę w kuli ognia i sadzy. Gonzaga cofnął się odruchowo, gdy w jego twarz trafiły fragmenty mózgu i drobiny ołowiu. Bors odłożył broń i siłą postawił dławiącego się, nagiego zakonnika na zmasakrowane nogi. Pochwycił żelazną gruszkę za kluczyk i wyszarpnął ją z ust Gonzagi, pozostawiając w nich krwawiące kikuty zębów.

– Patrzcie no, jak się księżulo obsrał – zauważył z niesmakiem Bors. – Trzeba nam było wepchnąć mu to w dupę – dodał, ważąc w dłoni żelazną gruszkę.

– Ojcze Gonzaga – odezwał się Tannhäuser.

Zakonnik obrócił się, ukazując splamione brązem uda, i znieruchomiał, wpatrzony w jego buty. Nie był już ludzką istotą, ale workiem strachu i rozpaczy.

– Pora, żebyś oczyścił sumienie – rzekł Tannhäuser. – Zostałeś sam i nie musisz już się bać swoich towarzyszy.

Gonzaga spojrzał na niego, nie rozumiejąc. Bors stanął butem na resztkach głowy kapitana. Zakonnik odwrócił się, ogarnięty falą mdłości, a wtedy Bors uderzył otwartą dłonią w jego gładko wygolone ciemię.

– Słyszałeś, klecho? Jesteś sam. Straciłeś kumpli.

– Pozwoliłeś sobie na te okrucieństwa z rozkazu brata Ludovica? – spytał Tannhäuser.

Gonzaga pokiwał głową.

– Tak, tak, brata Ludovica. – Zawahał się i dodał po chwili: – Ale to kapitan rozkazał, żeby ukrzyżować Żyda, nie ja. W tej sprawie jestem niewinny.

– Gada jak prawnik – zauważył Sabato.

– Nienawidzę prawników – odparł Bors.

Pochwycił głowę Gonzagi obiema rękami i wcisnął kciuki w jego nozdrza z taką mocą, że rozerwał chrząstki i skórę. Gonzaga wrzasnął dziko, wywieszając język spomiędzy połamanych zębów. Bors odpuścił. Tannhäuser sięgnął po kielich z winem stojący na ławie i podał go zakonnikowi. Gonzaga chwycił go obiema rękami i zastygł w oczekiwaniu.

– Pij – powiedział Tannhäuser. Jeniec usłuchał. – Powiedz mi, dlaczego Ludovico zwrócił się przeciwko nam?

Gonzaga opuścił kielich. Strumyki krwi spływały po jego brodzie z rozerwanego nosa.

– Dlaczego? – odpowiedział, zbierając się na odwagę. – Dlatego… dlatego że…

Gonzaga stchórzył jednak i kwiląc cicho, ukrył twarz za kielichem. Gdy Bors wybił mu go z rąk, zakonnik znowu mimowolnie oddał kał. Złożył ręce, patrząc błagalnie na Tannhäusera. Jego twarz była już tylko portretem umęczonego człowieka, któremu przestało zależeć na Bogu i który pragnie już tylko żyć za wszelką cenę. Tannhäuser nie czuł litości; zastanawiał się, jak często Gonzaga miał okazje oglądać podobne sceny.

– Mów swobodnie – powiedział. – Nie bój się, że nas obrazisz.

Bors parsknął śmiechem, ale Gonzaga dostrzegał nadzieję w każdym słowie Tannhäusera.

– Jesteś, panie, muzułmaninem – wydukał. – Heretykiem, przestępcą. Przestajesz z Żydami. Gardzisz Ojcem Świętym – dodał i wskazał na tajemnicze księgi leżące na stole. – Wszyscy widzą, że czytasz zakazane teksty.

– To za mało, żeby skłonić Ludovica do działania. Zdradź mi prawdziwy powód.

– Ależ panie, Ludovico nie powiedział mi nic więcej. – Gonzaga zerknął w panice na Borsa. – Absolutnie nic. Twoja impertynencja w porcie wydawała mi się wystarczającym powodem.

Bors skoczył ku niemu.

– Oj, bo mu urwę kutasika…

Tannhäuser powstrzymał go wyciągniętym ramieniem. Gonzaga trząsł się ze strachu, odruchowo zasłaniając dłońmi genitalia.

– Dostałem rozkaz, żeby zostawić tę sprawę w rękach straży.

Bors spróbował się wyrwać.

– Ale zamiast tego wolałeś przybić mojego przyjaciela gwoździami do krzesła, co?!

Gonzaga zacisnął powieki.

– Na pewno jest coś jeszcze – upierał się Tannhäuser. – Opowiedz mi dokładnie, o czym rozmawialiście.

Gonzaga skoncentrował się z widocznym wysiłkiem.

– Dostałem jeszcze jedno zadanie. Ludovico kazał mi siłą umieścić pewną szlachciankę w klasztorze Grobu Świętego w Santa Croce.

Tannhäuser znał odpowiedź, ale dla formalności zadał pytanie:

– Jak się nazywa ta kobieta?

– Carla de la Penautier. Mieszka w Salibie.

Sabato i Bors jednocześnie spojrzeli na Tannhäusera.

– Kiedy miałeś wykonać to zadanie?

– Już zostało wykonane.

Tannhäuser przypomniał sobie księdza w wozie, który mijał przy bramie miasta.

– Przez kogo?

– Przez kwalifikatora Świętej Kongregacji, ojca Ambrosia.

– Czy to bydlę o szczurzej twarzy?

– Właśnie tak, panie – przytaknął służalczo Gonzaga.

Tannhäuser spojrzał na Borsa, a ten bez słowa uderzył jeńca pięścią w nerki. Gonzaga upadł, ale Tannhäuser zaraz go podniósł, ciągnąc za ucho.

– Miał uczynić tej damie jakąś krzywdę?

Gonzaga z trudem złapał oddech.

– Nie. Ludovico powiedział wyraźnie, że ma pozostać cała i zdrowa.

Zatem tajemniczym mnichem, który rozdziewiczył młodą hrabiankę i nic nie wiedząc, zostawił syna w jej łonie, był Ludovico Ludovici, który teraz pragnął usunąć wszelkie ślady z przeszłości. Tannhäuser pomyślał, że wpadł niechcący w dość pogmatwaną sieć. Ale skąd Ludovico wiedział, że Carla szuka właśnie jego pomocy w dotarciu na Maltę? Od Starkeya? Być może dowiedział się przypadkiem. Gonzaga jednak nie mógł znać odpowiedzi, więc Tannhäuser nie pytał.

– Gdzie jest pismo z zarzutami przeciwko nam? – spytał.

– Nie zostało przygotowane. Ludovico zabronił spisywania czegokolwiek.

To była pierwsza dobra wiadomość.

– Gdzie on teraz jest? – indagował Tannhäuser.

– Brat Ludovico wyjechał dziś po południu, żeby spotkać się z Garcią de Toledo. A z Palermo uda się prosto do Rzymu.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Może chodzi o wielkiego mistrza de la Valette'a. A może o jego własne sprawy? Jemu zawsze chodzi o własne spawy. I nie zwierza mi się z nich.

Tannhäuser popatrzył na zakonnika w milczeniu, a potem skinął głową i spojrzał na Borsa.

– Nic więcej nam nie powie.

Sabato Svi oddalił się.

Bors wyjął sztylet, ale się zawahał.

– Nigdy wcześniej nie zabiłem księdza.

Gonzaga w panice zaczął bełkotać po łacinie:

– Deus meus, ex toto corde poenitet me omnium meorum peccatorum eaque detest…

Tannhäuser odebrał Borsowi sztylet.

– Ja też nie – powiedział.

Przerwał ostatnią modlitwę Gonzagi, wbijając klingę tuż pod obojczyk, by odciąć tętnice prowadzące do serca. Tannhäuser dawno się przekonał, że ta metoda jest znacznie pewniejsza niż podrzynanie gardła. W dodatku większość krwi pozostaje we wnętrzu klatki piersiowej. Gonzaga skonał bez jednego westchnienia. Tannhäuser pozwolił ciału opaść na ziemię, a sztylet zwrócił Borsowi.

– Całkiem tak samo, jakbym zabijał zwykłego człowieka – stwierdził.

Bors wytarł ostrze o udo i wsunął sztylet do pochwy.

– Co teraz? – zapytał.

Tannhäuser zamyślił się. Santa Croce leżało w głębi wyspy, w górach na południowy zachód od Etny. Trasa z Saliby – drogą na Syrakuzy – musiała więc prowadzić opodal południowej bramy Mesyny, czyli nieco na zachód od Wyroczni. Ambrosio i jego eskorta z pewnością jeszcze nie dotarli do willi. Tannhäuser miał tylko nadzieję, że Carla nie wpadnie na pomysł stawiania oporu. A Amparo? Czcze spekulacje, pomyślał. Miał dość czasu, by przeciąć im drogę. Poczuł nagle mdłości i zaraz uświadomił sobie, co jest ich przyczyną.

– Od śniadania nic nie jadłem – powiedział i wskazał na zwłoki. – Przenieśmy te ścierwa do magazynu. Potem, przy jedzeniu, możemy pogadać.

Tannhäuser napoił Buraqa, wyczesał i zostawił sam na sam z workiem owsa i koniczyny. Gdy wrócił, Bors zdążył już spłukać posadzkę octem, dobrze usuwającym przykre wonie. Nieszczęsnego Gaspara ułożył na jednym ze stołów, a potem oddalił się w stronę kuchni. Tannhäuser zajrzał tymczasem do swojej komnaty, by poszukać szkatuły z lekami.

Kiedy wrócił, na stole zobaczył chleb, ser, wino i ćwiartkę pieczonego łabędzia na zimno. Dołożył do tego butelkę brandy i trzy eleganckie kieliszki. Sabato Svi siedział przy stole z głową ukrytą w zakrwawionych dłoniach. Jego ramiona drżały. Tannhäuser postawił obok swą szkatułę i uniósł wieko. Kiedy otoczył przyjaciela ramieniem, wyczuł stłumiony szloch. Zaczekał jeszcze chwilę, zanim powiedział:

– Pokaż ręce.

Sabato otarł twarz rękawem i odetchnął głęboko, unikając wzroku Tannhäusera. Jego broda była zlepiona śluzem i krwią. Tannhäuser wyjął ze szkatuły szmatkę i zaczął wycierać jego twarz. Sabato zabrał mu ją po chwili.

– Pewnie nie uważasz mnie za prawdziwego mężczyznę – powiedział, wycierając się.

– Słyszałem, jak splunąłeś w ich twarze. Nikt nie zachowałby się dzielniej.

Sabato wciąż nie patrzył mu w oczy. Tannhäuser spojrzał na Borsa.

– Uwierz mi, zdarzało się, że srałem pod siebie w znacznie mniej groźnych sytuacjach – zadeklarował Bors.

Sabato popatrzył na Tannhäusera udręczonym wzrokiem.

– Jeszcze nigdy… nie straciłem wszystkiego.

– Mówisz o Wyroczni? – odparł Tannhäuser. – Oni tylko przecięli łańcuch, który nas krępował.

– Nie, nie o to mi chodzi.

Tannhäuser pokiwał głową.

– Wiem. A jednak pomyśl: tracąc wszystko, zyskujesz możliwość odkrycia wszystkiego, co nieznane i cenne.

Sabato czuł, że przyjaciel mówi od serca. Skinął głową.

– A teraz pokaż mi ręce.

Tannhäuser wyjął ze skrzyni zakorkowaną flaszkę. Z konieczności poznał w życiu podstawy wojennej medycyny, a od Petrusa Grubeniusa dostał kilka specyfików pomagających w leczeniu ran. Jeśli nie liczyć sposobu, w jaki je zadano, rany Sabata Svi nie były szczególnie szokującym przypadkiem – właściwie zamknęły się same, niewiele krwawiąc. Tannhäuser oczyścił je tylko wywarem z oczaru i uszczelnił olejkiem Hispanusa. Postanowił, że nie użyje bandaża.

– Niech cię leczą słońce i świeże powietrze – powiedział. – Pilnuj, żeby rany pozostały suche; od wilgoci mogą się jątrzyć. Jeśli wolisz je ukryć, mam w szafie giemzowe

rękawiczki. W najbliższych dniach ból będzie silniejszy niż dzisiaj, lecz mimo to musisz poruszać palcami, inaczej stracisz w nich władzę.

Sabato zacisnął i wyprostował dłonie. Był blady, a jego wrodzona energia jakby przygasła, choć z całą pewnością tliła się jeszcze dość mocno. W tej sytuacji wypadało służyć za wzór dzielności, toteż Tannhäuser zasiadł na swym krześle i ruchem głowy wskazał Borsowi kryształowe tulipany. Gdy napełniły się brandy, podał jeden z nich Sabatowi.

– Takie sprawy pozbawiają nas ducha – powiedział – lecz ogień taki jak ten pomaga odzyskać wolę walki.

Sabato spojrzał mu w oczy i uniósł kieliszek.

– Usque ad finem.

Bors i Tannhäuser również wznieśli szkło.

– Aż do końca!

Wypili do dna, a Bors natychmiast napełnił kieliszki na nowo.

– Spalmy ją – rzekł Sabato Svi.

Spojrzeli na niego bez słowa.

– Wspomniałeś o ogniu. Spalmy Wyrocznię do gołej ziemi.

Tannhäuser popatrzył na Borsa i przekonał się, że i on – w niemym podziwie – oczami wyobraźni widzi piekło płomieni pochłaniające wszelkie ślady czynów, których się dopuścili.

– Znakomicie – mruknął Bors.

– Sabato Svi – powiedział Tannhäuser – wreszcie ujawniłeś, że masz duszę poety. Za ogień i za przeklętych.

– Za ogień.

Wypili. Fala nowej odwagi, która rozprzestrzeniała się z żołądka Tannhäusera, nie mogła się pojawić w lepszym momencie. Sięgnął po pieczonego ptaka i z apetytem zabrał się do jedzenia. Sabato wzbogacił swój pomysł rozsądną myślą, jakby bał się, że sama poezja nie wystarczy, by usprawiedliwić podpalenie:

– Większość naszej gotówki i kredyty mamy w Wenecji. Kiedy się tam znajdziemy, będziemy daleko poza zasięgiem hiszpańskiej Korony.

– Prawda – zgodził się Tannhäuser.

– Ogień w portowej dzielnicy zajmie mieszkańców miasta co najmniej do południa, a wtedy już nas tu nie będzie.

– Zważywszy na to, że mamy na stanie tuzin kwintali, nie będzie też połowy nabrzeża – zauważył Bors. Zdążył już ograbić kapitana z trzech pięknych pierścieni i właśnie

przymierzał je na mały palec. Jako że żaden nie pasował, wrzucił wszystkie do kieszeni i zainteresował się butelką brandy.

– Wybieram się na Maltę – oznajmił Tannhäuser.

Sabato tylko spojrzał na niego, za to Bors zachichotał i ponownie napełnił kieliszek.

– Zatem sam pojadę do Wenecji – powiedział Sabato.

– Żona i dzieci czekają na ciebie – odparł Tannhäuser.

– A na Malcie na ciebie czeka tylko śmierć.

– Nie na mnie – zaprzeczył Tannhäuser. – Podobnie jak ty, nie mam nic do Turków.

– Zatem chodzi o tę hrabinę de la Penautier. To ona stoi za tą katastrofą – westchnął Sabato.

– Nie jest winna niczego poza miłością – odparł Tannhäuser i zignorował spojrzenia, które posłali mu przyjaciele. – Przyczyną naszej ruiny jest inkwizytor Ludovico Ludovici, nikt inny. Nie chciał pozwolić, by hrabina choćby spróbowała go zniesławić.

– Niczego poza miłością? – powtórzył Sabato Svi.

– Taką, którą potrafisz zrozumieć: miłością do jedynego dziecka. Syna.

– A jakim to sposobem miałaby zniesławić inkwizytora?

– Sam dowiedziałem się o tym dopiero tej nocy… Ludovico jest ojcem chłopca.

Sabato i Bors patrzyli na niego z wyczekiwaniem, ale Tannhäuser pokręcił głową.

– Złowieszcza siła niewymownej potęgi splątała los signory Carli i mój. O więcej nie pytajcie. Dość powiedzieć, że wszyscy zyskamy na tej znajomości.

– Jak to? – spytał Bors.

– Gdy nasza umowa zostanie wypełniona, wezmę hrabinę za żonę, a wy tym samym staniecie się wspólnikami arystokraty. Ni mniej, ni więcej, tylko hrabiego.

– Hrabiego Tannhäusera? – upewnił się Sabato.

– Postanowiłem, że raczej „hrabiego von Tannhäusera". I wiem z dobrego źródła, że będziecie mieli obowiązek tytułować mnie „jaśnie panem".

– Chętnie za to wypiję – rzekł Bors i tak też uczynił.

W twarzy Sabata Tannhäuser dostrzegł zwątpienie.

– Powiedz mi, przyjacielu, że taki tytuł nie jest dla nas fortuną. Dla nas wszystkich, Sabato.

– Choćbyś był i królem, nic ci po tym, jeśli będziesz trupem – odparł Żyd.

– Los bardzo się natrudził, żeby przeciąć więzy, które łączyły nas z tym przedsięwzięciem. W końcu wszakże dopiął swego. Każdy z nas zrobi teraz to, co musi.

– Więc ja popłynę z tobą na Maltę – powiedział Sabato.

– Zdaje mi się, że to jedyne głupie słowa, jakie kiedykolwiek od ciebie usłyszałem.

Sabato zmarszczył czoło, a Tannhäuser pochylił się ku niemu.

– Sabato. Przez wszystkie lata, kiedy nazywałeś mnie bratem, żadne miano nie brzmiało słodziej dla mych uszu. Teraz jednak musisz wracać do domu, do Wenecji, by zadbać o naszą przyszłość, bo przecież wrócimy. Nie palę się do udziału w wojnie o Maltę. I nie zwracaj uwagi na ten głupawy uśmieszek Borsa. Zjawimy się w Wenecji najwyżej miesiąc po tobie. Dimitrianos może cię wysadzić w Kalabrii już o świcie. – Tannhäuser wstał i spojrzał na Borsa. – Pod podłogą w mojej komnacie znajdziesz jakieś sześćdziesiąt funtów perskiego opium.

– Dlaczego wcześniej o tym nie wiedziałem? – obruszył się Bors.

– Gdybyś wiedział, dziś byłoby tego znacznie mniej – odparł Tannhäuser i poklepał wieko szkatuły z medykamentami. – To też trzeba wysłać. A także trunki i mięsa; tyle ile się uda znaleźć. Dasz Danie i pozostałym dziewczętom po czterdzieści złotych eskudów na głowę…

– Czterdzieści? – Bors rzadko tracił dech z wrażenia, ale tym razem właśnie to mu się przytrafiło.

– Powiedz im, żeby nie bawiły długo w Mesynie. Jeśli Vito Cuorvo zgodzi się zawieźć je do Neapolu, będzie mógł wziąć w nagrodę nasze zaprzęgi.

– Zabiorę dziewczęta ze sobą do Wenecji – zaoferował Sabato.

– Nie – odparł Tannhäuser. Wiedział, że kiedy zniknie, serce zaboli Danę, ale w zaistniałej sytuacji nie miał wyboru; zresztą niewykluczone, że tylko sobie pochlebiał. – Nikt nie zwróci na ciebie uwagi, jeśli będziesz podróżował samotnie. Z czterema hożymi panienkami przyciągniesz tłum ciekawskich. Niestety, dziewczęta muszą sobie poradzić same, tak jak my wszyscy.

Sabato pokiwał głową, a Tannhäuser zwrócił się do Borsa:

– Zaczekasz na mnie na Couronne. Niech Starkey nie odpływa bez nas. – Tannhäuser obrócił się ku Sabatowi i rozłożył ramiona. – Życz mi szczęścia, przyjacielu. Będzie mi potrzebne, bo przygoda wzywa.

Sabato Svi wstał.

– Niech nikt nie śmie porównywać zwykłej przyjaźni do naszej.

Uścisnęli się mocno. Wreszcie Tannhäuser przemógł ból w sercu i cofnął się o krok.

– A teraz muszę już iść – powiedział – bo nim nastanie przypływ o północy, muszę zabić jeszcze dwóch ludzi.

Wtorek, 15 maja 1565 - Droga do Syrakuz

Wnętrze wozu było zupełnie ciemne, a do jej uszu docierały jedynie skrzypienie szprych i stukot kół. Tylko zapach – a ściślej smród potu, cebuli i wyschniętego moczu, od którego co chwilę brały ją mdłości – wskazywał na to, że na ławce naprzeciwko wciąż siedzi ksiądz. Starała się trzymać twarz jak najbliżej zasłony zakrywającej okno, dziękując Bogu za każdy podmuch świeżego powietrza i każdy z nielicznych błysków gwiazd na nocnym niebie. Gdy spróbowała raz odsunąć zasłonę, ksiądz bez słowa zasunął ją z powrotem.

Nie poznała dotąd ani nazwiska tego człowieka, ani nazwiska tego, kto zlecił mu zadanie. Dowiedziała się tylko, że odtąd wieść będzie żywot wypełniony kontemplacją w klasztorze Grobu Świętego w Santa Croce. Nie pozwolono, by zabrała ze sobą jakiekolwiek przedmioty prócz peleryny, która teraz okrywała jej czerwoną jedwabną suknię. Nie próbowała oponować, bo wiedziała, że w takim miejscu nic nie będzie jej potrzebne. Sycylia była końcem świata. Poza okolicami kosmopolitycznych portów – na wyżynnych terenach mniej cywilizowanych niż pustkowia Hiszpanii – niewiele się tu zmieniło w ostatnim tysiącleciu. Kwartał, rok, dziesięciolecie, pokolenie, era – w tym odizolowanym świecie wszystkie te miary upływu czasu miały niewielkie znaczenie. Był to świat, który widział upadki kolejnych cywilizacji. Widział, jak wicher dziejów pomiata coraz to nowymi imperiami jak suchymi liśćmi. Był to świat rządzony strachem i ślepym posłuszeństwem. Mogła zniknąć w tej głuszy tak, jak zniknęło przed nią wiele niewygodnych kobiet: z obciętymi włosami, odarta z nieprzyzwoitej sukni, zmuszona do wiecznego milczenia i oddana w opiekę nieprzejednanych strażniczek przebranych za służebnice Boga. Nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, że w sensie praktycznym już przestała istnieć.

Jej porwanie przebiegło w zadziwiająco niedramatyczny sposób. Uzbrojony mężczyzna oraz ksiądz pojawili się niezapowiedziani. Bertholdo gdzieś przepadł; dzięki Bogu nie pokazała się też Amparo. Stali przed nią tylko ci dwaj obcy, z których jeden trzymał w dłoniach dymiący muszkiet – cóż za absurdalny widok; czyżby zamierzali ją zastrzelić? Nie, nie złamała żadnego z praw. Nie, nie jest aresztowana. Nie, nie może poznać przyczyny, dla której zabierano ją do klasztoru. Nie, nie może się dowiedzieć, na czyj rozkaz. Ksiądz nic o niej nie wiedział. Powiedziano mu tylko, w jaki sposób ma postąpić z kobietą mieszkającą w willi. Odpowiedzi na wszystkie jej pytania bez wątpienia miały się z czasem pojawić, ale na razie wyczuwała, że postąpi najrozsądniej, jeśli bez sprzeciwu podporządkuje się woli księdza. Była pewna, że jego zdaniem zasługuje na aresztowanie choćby przez wzgląd na tę

niezwykłą suknię. W oczach konstabla dostrzegła zaś błaganie, by nie zmuszała go do zbyt ostrego traktowania.

Nic by nie zyskała, zmuszając ich, żeby zawlekli ją do wozu wrzeszczącą i wierzgającą. Straciłaby wtedy nie tylko wolność, ale i godność, a w dodatku skończyłoby się to katastrofą dla Amparo. Poczucie bezradności obudziło na nowo najstarsze koszmary Carli. Starając się ze wszystkich sił trzymać głowę wysoko, raz jeszcze była tą piętnastolatką, która wsiadała do wozu i na zawsze opuszczała dom swego ojca. Teraz jednak wewnętrzny głos był głosem buntu, popychał ją do walki. Ale jak? Czym? Po co? I co będzie z Amparo? W chwili, gdy Carla opuszczała Salibę, Amparo kręciła swoim szkłem wizji. Żaden szczegół w stroju księdza nie zdradzał, kto mógł być jego mocodawcą, ale sam fakt, że właśnie duchownemu zlecono tę misję, wskazywał na udział inkwizycji. Tannhäuser ostrzegał, że dar Amparo może być niebezpieczny. Myśl o tym, że dziewczyna mogłaby być torturowana i spalona, napełniał Carlę niewymownym przerażeniem. Najlepszą ochroną była dla niej anonimowość, nawet za cenę porzucenia. Amparo umiałaby przetrwać. Znalazłaby drogę do Tannhäusera. On zaś podziwiał ją bardziej niż ktokolwiek inny. Bardziej niż Carla. Obroniłby ją. A Carla nie mogła wiązać przeznaczenia Amparo z własnym.

Wszystkie te kalkulacje skłoniły ją do zaniechania oporu. Jednak inaczej niż kiedyś, gdy sługa ojca wywiózł ją z Malty, tym razem wyraźnie dostrzegała swoją rolę w większej machinie przymusu. Od zarania dziejów ludzkiego świata w każdej sekundzie ktoś używał wobec kogoś siły. Wierną ilustracją tego stanu rzeczy był obraz przedstawiający piekło, który widziała kiedyś w Neapolu: groteskowe postaci strącały się wzajemnie w płomienie, myśląc wyłącznie o sobie. Czyż nie przywiozły jej na Sycylię setki niewolników przykutych do wioseł? Czyż mogła zaprzeczyć, że ich los interesował ją tylko o tyle, że od czasu do czasu drażnił ją zapach ich ciał? Nic o nich nie wiedziała; nie wiedziała nawet, czym zasłużyli na tak marny los, i wcale nie zamierzała pytać. Podobnie jak ten ksiądz, który wywoził ją w niebyt pustelni, choć nie widział o niej nic, nie obchodził go jej los i ani myślał pytać o cokolwiek. Zatem nie była kimś lepszym od niego. Była jeszcze jedną groteskową postacią, zagubioną i przeklętą w pełnym wyrachowania tańcu ludzkiej egzystencji.

Mimo to zastanawiała się, co takiego uczyniła, że ktoś postanowił ją porwać. Wszystko zmieniło się tego dnia, kiedy dostała list od Starkeya i kiedy zjawił się Tannhäuser. Żaden z nich z pewnością nie mógł skorzystać na tym, że miała trafić do klasztoru. Może ktoś ją szpiegował? Bertholdo? Ale w czyim imieniu i z jakiego powodu? Jedynym podejrzanym wydawał jej się ojciec, don Ignacio, którego zostawiła w Mdinie. Nie ukrywała przecież, że pragnie powrócić na wyspę, wspominała także o ojcu – być może po prostu dowiedział się o

tym. Była w stanie uwierzyć, że gardzi nią tak, by nawet po tylu latach chcieć uniemożliwić jej powrót. Człowiek religijny jak on z pewnością uważał za słuszne, by grzeszna córka spędziła resztę życia wśród samobiczujących się mniszek. Carla jednak nie potrafiła go nienawidzić. Pomyślała, że i bez tego dość jest na świecie nienawiści.

Wóz kołysał się, niespiesznie przecinając noc, a oddech księdza wciąż zatruwał ciasne i ciemne wnętrze. Zwolnili, wjeżdżając na strome wzniesienie. Carla miała nadzieję, że woźnica każe im wysiąść, by oszczędzić konia. Marzyła, że jeśli tak właśnie się stanie, zdoła jakoś uciec. W tych śmiesznych butach i śmiesznej sukni. Żałowała, że nie jest mężczyzną, kimś takim jak Tannhäuser, kto nigdy nie zaznał słabości bycia kobietą. Nic dziwnego, że on nie uważa niewiast za wielką zagadkę: są skłonne zaakceptować niewolę, nawet gdy nikt nie zakuwa ich w łańcuchy.

Wóz ledwie się toczył pod górę, aż wreszcie się zatrzymał i Carla usłyszała stuknięcie hamulca o koło. Zaraz potem zza zasłony dobiegło stłumione, wykrzyczane chrapliwym głosem wyzwanie. Coś uderzyło w dach, a potem znowu rozległ się ten głos. Odpowiedział mu huk wystrzału, zdawało się że tuż przy oknie, całkiem niespodziewany, a przez to przerażający. Chudy ksiądz podskoczył w ciemności. Ledwie przebrzmiało echo strzału, rozległ się krzyk i czyjeś ciało runęło na ziemię – mógł to być jedynie woźnica – spłoszony koń szarpnął wozem i zaraz ustąpił, bo hamulec skutecznie powstrzymał koła. Niewidzialny ksiądz wolał nie sprawdzać, co się wydarzyło. Znieruchomiał całkowicie i tylko jeszcze mocniejszy odór ciała był dowodem jego obecności. Carla odsunęła zasłonę – tym razem jej nie przeszkodził.

Po długiej podróży w duszącej ciemności światło księżyca i lamp wozu wydawało jej się oślepiające. Pejzaż, który zobaczyła – migotliwa tafla dalekiego morza, skupiska żółtych punkcików w dole, w rejonie portu oraz blade połacie stoków – napełnił ją radością. Spojrzała na księdza skulonego w przeciwległym kącie. Nie mogła dostrzec jego oczu, ale całe ciało wydawało się sztywne, a usta poruszały się nieznacznie, jakby w cichej modlitwie. Zdała sobie sprawę – ku swemu zaskoczeniu – że wcale nie czuje strachu, choć przecież wśród okolicznych wzgórz roiło się od bandytów. Tannhäuser się nie mylił. Miała w sobie pewnego rodzaju odwagę. W przeciwieństwie do księdza, nie bała się tego, co działo się na zewnątrz. Otworzyła drzwi i wyszła z wozu.

Klinga błysnęła w świetle księżyca, gdy Tannhäuser opuszczał miecz. Jasny metal znaczyły plamy lepkiej, czarnej mazi. Tannhäuser stał na ziemi, w lewej dłoni trzymając pistolet, z którego lufy unosiła się smużka szarego dymu. Jego oczy były jak błękitne węgle żarzące się w oczodołach; wiatr rozwiewał jego włosy, a rozchylone usta odsłaniały zęby,

znowu upodobniając go do wilka, lecz tym razem do wilka zaskoczonego nad świeżo upolowaną zwierzyną. Było to skojarzenie nader trafne, albowiem z głową w koleinach drogi i kirysem splamionym tą samą czarną mazią leżało na ziemi ciało woźnicy.

– Nie ci się nie stało, pani? – spytał Tannhäuser takim tonem, jakby groziło jej na przykład skręcenie kostki.

Carla pokręciła głową i spojrzała na woźnicę. Jeszcze nigdy nie widziała człowieka, który skonał zaledwie przed chwilą.

– Czy on jest martwy?

– Martwy jak kamień, moja pani.

Tannhäuser zastygł w oczekiwaniu, jakby się spodziewał, że hrabina zemdleje lub zaskoczy go czymś równie żenującym. Carla jednak nie miała ochoty na to pierwsze i ze wszystkich sił starała się uniknąć tego drugiego, ale jednocześnie nie bardzo wiedziała, cóż mądrego mogłaby powiedzieć. Spojrzała na usiane gwiazdami niebo.

– Piękny mamy wieczór – zaryzykowała.

Tannhäuser spojrzał na nieboskłon okiem znawcy i wsunął pistolet za pas.

– W rzeczy samej – przytaknął, jakby powiedziała coś szczególnie mądrego. – Orion Myśliwy coraz niżej, a Skorpion coraz wyżej. Gwiazdy nam sprzyjają – dodał, spoglądając na Carlę. – Ludzie niestety jakby mniej. Ksiądz siedzi w środku? – spytał, wskazując na wóz.

Skinęła głową.

– Obawiam się, że nie wiem nawet, jak się nazywa i komu służy.

– To ojciec Ambrosio, a służy inkwizycji. – To, że Tannhäuser wiedział wszystko, a ona nic, wydawało się Carli całkiem na miejscu. – Jest uzbrojony?

– Tylko we własną wiarę.

– Zatem jeśli chodzi o sprawy wieczyste, nie ma się czego obawiać. – Tannhäuser wskazał na drugą stronę wozu. – Tam stoi mój koń i wierny towarzysz, Buraq. Jest nieufny wobec obcych, ale kiedy ci się przyjrzy i nie okażesz mu strachu, a także zachęcisz go dobrym słowem, pozwoli, byś go dosiadła. Zaczekaj na mnie u podnóża tej górki.

Carla pojęła, że Tannhäuser zamierza zamordować księdza z krwią tak zimną, że być może wprost zastygłą w jego żyłach. Popatrzyła na niego, a on uśmiechnął się z przymusem, by dodać jej odwagi. Wiedziała, że ma przed sobą zabójcę spod najciemniejszej gwiazdy, który mimo swej wielkiej inteligencji i równie wielkiego serca nie jest pozbawiony równie wielkiego defektu: w jego sumieniu zieje gigantyczna dziura. Zastanawiała się, co też mogło uczynić tak olbrzymi wyłom w jego duszy i jak dawno temu do tego doszło. Czuła

smutek, ponieważ ową przyczyną musiała być niepojęta rozpacz, cena tak wysoka, że wolał o niej zapomnieć. Pomyślała, że może warto sprzeciwić się kolejnej zbrodni, ale miała świadomość, że on bierze tę rzecz na swoje sumienie w jej interesie, i w porę ugryzła się w język. Postanowiła, że kończy z fałszem. Nie będzie obrażać tego człowieka własną hipokryzją. Otworzy się na świat, z którym łączą ją tak krwawe więzy. Wreszcie nauczy się być szczera przed własnym sumieniem.

– Wolę zostać tu z tobą – odpowiedziała.

– Zaraz do ciebie dołączę – odparł. – Nie ma powodu do obaw.

– Ja się nie obawiam. Choć nie wiem, jak to się stało, ta tragedia rozgrywa się z mojego powodu. Nie zamierzam ukrywać się przed konsekwencjami.

– Być może nie zrozumiałaś – upierał się Tannhäuser – ale ja zamierzam zabić tego klechę.

Rozległ się łomot i wóz zakołysał się nieco. Obejrzała się i zobaczyła, że Ambrosio padł na kolana, splatając dłonie przed sobą. Spoglądał na nią w niemym błaganiu.

– Jak większość podobnych kreatur, prosi o łaskę – rzekł Tannhäuser. – Ale jeśli go oszczędzę, wciąż będzie nam szkodził, możesz mi wierzyć na słowo.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie zwlekaj więc przez wzgląd na mnie.

Tannhäuser przyjął jej opanowanie ze zdumieniem, ale i z ulgą.

– Pewna jesteś? – spytał, wytarłszy usta wierzchem dłoni.

Skinęła głową.

Obszedł otwarte drzwi wozu i spojrzał na księdza.

– Tacy jak on są jak szczury. Wyłażą tylko nocą.

Duchowny skrzywił się boleśnie, a Tannhäuser szybkim ruchem strącił z jego głowy kapelusz.

– Kto cię wysłał z tą niegodną misją?

Ambrosio otworzył i zamknął usta. Tannhäuser pochylił się nad nim, położył dłoń na wygolonym czubku jego głowy i krótkim, zdecydowanym pociągnięciem miecza uciął mu ucho. Carla drgnęła mimowolnie, gdy Ambrosio wydał z siebie pierwszy żałosny jęk, a czarne strużki spłynęły w dół po jego szyi. Zatrzepotał powiekami, spoglądając na nią z niedowierzaniem i lękiem. Nie, pomyślała, nie odwrócę głowy. Tannhäuser obrócił ku sobie twarz księdza.

– Odpowiadaj, psie.

Ambrosio z trudem łapał oddech.

– Ojciec Gonzaga.

– Doskonale. Jakie dostałeś rozkazy?

– Przewieźć signorę do klasztoru Grobu Świętego w Santa Croce, gdzie miała pozostać na czas nieokreślony dla dobra jej nieśmiertelnej duszy.

– A od Ludovica, przełożonego Gonzagi?

Dźwięk tego imienia zszokował Carlę bardziej niż wszystkie inne wydarzenia, których dotąd była świadkiem. Nie słyszała go od trzynastu lat. Czekała w napięciu na odpowiedź Ambrosia.

– Od miesięcy nie słyszałem o jego eminencji, odkąd popłynął na Maltę.

Tannhäuser pochylił się nad głową Ambrosia.

– Teraz musisz umrzeć. Wiedz, że jeśli twój Bóg istotnie stworzył niebo i piekło, to Lucyfer będzie zacierał ręce, patrząc, jak się smażysz.

– Jesu!

Tannhäuser uniósł rękojeść miecza wysoko i wbił czubek klingi w zagłębienie pod gardłem jeńca. Ambrosio westchnął i zagulgotał, obejmując go w ostatnim, śmiertelnym uścisku. Tannhäuser odrzucił go na podłogę i wytarł ostrze o jego habit. Krew nie chciała ustąpić i minęła chwila, zanim z satysfakcją spojrzał na czystą klingę. Na oczach Carli, która przyglądała się temu wszystkiemu jak przez okienko do mrocznego, niepokojącego snu, Tannhäuser przebudowywał jej świat niczym zbroczony krwią murarz, niszcząc jedne ściany i wznosząc inne. Wreszcie schował miecz do pochwy i sięgnął po sztylet.

– Gdzie twoja towarzyszka Amparo? – spytał.

– W domu. Ci dwaj nawet nie wiedzieli o jej istnieniu, a ja nie zamierzałam ich oświecać.

– I bardzo słusznie.

Patrzyła, jak rozcina postronki, w które zaplątało się ciało woźnicy, i usunęła się na bok, gdy unosił zwłoki jak drewniany bal. Wrzucił je do wnętrza wozu i zamknął drzwi. Spojrzał odruchowo na swój wyszywany złotem kaftan, jakby szukał plam. Nie znalazł żadnej, a zadowolenie, które okazał w tym momencie, było zadowoleniem zawodowego rzeźnika wykonującego swą pracę w zgodzie z oczekiwaniami. Wytarł ręce o nogawki spodni i rozpiął uprząż konia, który ciągnął wóz.

– Ze spisku, który przeciwko nam uknuto, wnoszę, że to Ludovico jest ojcem twojego dziecka – powiedział.

– Żałuję, że nie wyznałam ci jego imienia wcześniej. Możliwe, że uniknąłbyś tego nieszczęścia.

Tannhäuser potrząsnął głową.

– Kości już zostały rzucone. Gdy wróciłem od ciebie, czekał na mnie oddział straży miejskiej.

Klepiąc go po karku i przemawiając łagodnie, Tannhäuser zaczął prowadzić uwolnionego konia. Jednocześnie skinął głową w stronę własnego wierzchowca, który czekał posłusznie po drugiej stronie drogi. Potem zaś, jakby chciał przekonać Carlę, że nie jest to tylko uprzejmy gest i przyjemny kaprys, powiedział:

– Proszę. Buraq wystarczająco długo znosił dziś mój ciężar. Niech teraz nacieszy się lżejszym jeźdźcem.

W świetle księżyca rumak wydawał się biały jak mleko.

– Wygląda nieskazitelnie jak alegoria Cnoty – powiedziała hrabina.

– Pewien jestem, że gdyby umiał, rzekłby to samo o tobie – odparł Tannhäuser.

Trzymając nowego konia za uzdę, przypatrywał się Buraqowi i Carli, która zadarła suknię i bez wysiłku wspięła się na siodło. Dostrzegła, że Tannhäuser spogląda na jej krótkie skórzane buty, a jego zadowolenie podnieciło ją. Buraq zaakceptował ją spokojnie, a ona natychmiast wyczuła jego wspaniałą siłę. Zachwyciła się też jego pięknem, szlachetnością, zapachem. Zachwyciła się urodą nocy i gwiazd. A także obecnością mężczyzny, który stał tuż obok niej i przyglądał się jej nogom z nieskrywanym podziwem. Tannhäuser podał jej wodze zdobycznego konia.

Wreszcie zebrała się na odwagę.

– Wspomniałeś, panie, że czekali na ciebie konstable?

Na jego ustach znowu pojawił się uśmiech, który dostrzegła już po południu.

– Przez jakiś czas straż miejska Mesyny cierpieć będzie na braki kadrowe. – Uśmiech zniknął jak duch i na krótką chwilę na jego twarzy odmalowały się całkiem inne uczucia. – Zabili młodego Gaspara, bo ośmielił się bronić Sabata Svi. A Sabata torturowali, ponieważ jest Żydem. Obaj zaszczycili mnie swoją przyjaźnią.

– Przykro mi – szepnęła.

– Gdy możni zwracają się przeciwko nam, musimy działać dokładnie tak jak oni, to znaczy wyłącznie we własnym interesie, nie zważając na nakazy moralne czy odruchy miłosierdzia. Zabiliśmy ich jak psy i mam czyste sumienie. Bądź więc pewna, pani: nie żyje już nikt, kto mógłby wymienić twoje imię w związku z tą sprawą. Nikt, z wyjątkiem Ludovica. On jednak będzie milczał, gdyż zdradziwszy swą rolę w tej sprawie, okryłby hańbą osoby jeszcze potężniejsze. – Tannhäuser ścisnął jej nadgarstek. Jego palce wpiły się aż do kości, jakby próbował obudzić ją ze snu. – Ludovico udał się do Palermo, a stamtąd podąży

do Rzymu. Wracaj do Amparo. Ksiądz nigdy cię nie porwał i nigdy nie widziałaś tego, co się tutaj stało. O niczym nie opowiadaj, a nikt nie będzie zadawał pytań. Weź Buraqa i troszcz się o niego. Jutro rusz w powrotną drogę do Francji, jakby nic się nie wydarzyło.

Uścisk był bolesny, ale ze snu Tannhäuser zbudził ją już w pierwszej chwili, gdy go ujrzała, w ogrodzie różanym, z obliczem wilgotnym od łez. Bóg chciał, by podążyła tą ścieżką, i w tym objawiła się Jego łaska. Tyle wiedziała na pewno, tu i teraz, gdy potężny rumak dyszał między jej udami, gwiazdy płonęły na niebie, a mocarna dłoń mężczyzny miażdżyła jej ciało.

– Sam popłynę na Maltę – ciągnął Tannhäuser. – Do twierdzy piekielnych psów. Zatem Starkey dopnie swego. Ale ja, cokolwiek się stanie, przede wszystkim odszukam twojego chłopca. I sprowadzę bezpiecznie do domu.

Carla nie wątpiła w ani jedno jego słowo. Mimo to odpowiedziała:

– Płynę z tobą. Tak stanowi nasza umowa.

Przypatrywał się jej przez chwilę; jego oczy były nieprzeniknione. Wreszcie zwolnił uścisk, odwrócił się i odszedł. Patrzyła, jak odciąga wóz na skraj drogi, a potem popycha go w dół po stoku, by potoczył się w ciemność ze swym upiornym ładunkiem. Tannhäuser wrócił zaraz i na oklep dosiadł nowego wierzchowca.

– Czerwony okręt odpływa o północy. – Tannhäuser spojrzał na księżyc. – Musimy się spieszyć, jeśli mamy zabrać dziewczynę.

– Amparo? – Carla była pewna, że jej opiekun nie zgodzi się na dodatkowy ciężar.

– W tak powikłanej sprawie nie wolno odrzucać pomocy wróżbitki – wyjaśnił.

Tannhäuser zawrócił konia i pognał na złamanie karku w dół zbocza. Buraq bez wahania z własnej woli ruszył za nim. Carla uniosła się w siodle i wyprostowała ramiona. Wiatr rozwiewał jej włosy. Czuła, że rosną jej skrzydła.

Środa, 16 maja 1565 - Port w Mesynie, Couronne

Couronne zdążyła oddalić się od brzegu na pół mili, gdy Wyrocznia eksplodowała. Kula ognia była tak potężna, że cała zatoka jarzyła się żółto w jej blasku. W porcie zapanował chaos, ale na tle płomieni Bors dostrzegał już tylko cienie pojedynczych, rozpaczliwie rozbieganych postaci.

W miarę jak oddalali się ku ciemności, cichło echo krzyków dobiegające z nabrzeża, a jego miejsce zajmowało skrzypienie desek i lin, chlupot i szmer pięćdziesięciu dwóch potężnych wioseł, donośny dźwięk gongu, trzaskanie biczów oraz dzwonienie kajdan i łańcuchów. Poniżej, na otwartym pokładzie wiosłowym, trudzili się niewolnicy-wioślarze ulokowani po pięciu na jednej ławie. Załatwiali potrzeby fizjologiczne wprost pod siebie, na owcze skóry mokre jeszcze od ekskrementów z poprzedniego dnia. Bors wepchnął sobie w nozdrza kulki tytoniu i oparł się o reling. Wyrocznia przestała istnieć, ale życie wcale nie było złe. Dalekie figurki zdesperowanych należały do swojego świata, on zaś – ku własnemu zadowoleniu – należał do innego.

Mattias pojawił się na kei dokładnie w chwili, gdy Giovanni Castrucco i Oliver Starkey mieli rozstrzygnąć za pomocą wymiany ciosów sporną kwestię, czy należy jeszcze czekać. Bors, który nie miał zwyczaju marnować więcej prochu niż potrzeba do zabicia poganina, zdążył jeszcze przywieźć z Wyroczni na pokład Couronne osiem z tuzina kwintali zgromadzonych w magazynie. Zabrał też skrzynie z ekwipunkiem, uprząż, zapas żywności oraz arkebuzy świętej pamięci konstabli. Mattias dla odmiany przyjechał z gołymi rękami, na oklep, za to w towarzystwie dwóch kobiet z kolekcją instrumentów muzycznych; wyglądali razem jak trupa trubadurów, którzy pomylili drogę i nieświadomie zdążają ku zatraceniu. Jak na człowieka, który właśnie pozbawił życia dwóch księży i trzech funkcjonariuszy w służbie Korony, Tannhäuser zachowywał się całkiem dziarsko i nawet zdobył się na serdeczne pozdrowienie zdumionych rycerzy, obok których przeprowadził swe urodziwe femmes i złocistego ogiera. Zawsze taki był: panował nad sytuacją.

A teraz stał na pokładzie rufowym, konwersując ze słynnym włoskim kapitanem i z porucznikiem turkopolierem Religii, jakby od zawsze był im kompanem, a nie najbardziej poszukiwanym człowiekiem na Sycylii, a może i w całym imperium. Bors wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mattias był niesamowity. A ta jego zdumiona mina, gdy na portowym nabrzeżu rozpętało się ogniste piekło! Bors nie dziwił się ani trochę, że wielki mistrz pragnie mieć po

swojej stronie takiego wojownika. A dostanie jeszcze premię, myślał Bors, bo jeśli chodzi o wojaczkę, to i ja mógłbym nauczyć tych mnichów niejednej sztuczki.

A te kobiety, które Mattias wziął w opiekę? Tylko Bóg jeden wiedział, jakie kłopoty mogły ze sobą sprowadzić. Stały teraz obok Borsa przy samej barierce, obserwując to, co działo się na brzegu – hrabina i dziewczyna o dzikim spojrzeniu. Dał im obu po połówce cytryny, by zniosły jakoś fetor unoszący się z pokładu wiosłowego, i teraz co chwilę przykładały wonny owoc do nosa. Hrabina raz po raz zerkała na mostek, gdzie stał Mattias. Bors rozumiał doskonale, że wszystkie swe nadzieje – i Bóg wie jakie marzenia – zainwestowała w jego przyjaciela, a marzenia i nadzieje kobiet były bodaj największym brzemieniem, jakie mógł wziąć na siebie mężczyzna, zwłaszcza idący na wojnę. Dziewczyna w ogóle nie interesowała się okrętem, a tym bardziej panującym na pokładzie rozgardiaszem. Wpatrywała się w płomienie, jedyny wciąż jeszcze widoczny element dalekiego krajobrazu, jakby była w nich hipnotyczna moc albo jakby umiała dostrzec w nich coś, co umykało uwagi innych. Kobiety czyniły życie mężczyzny bardziej niebezpiecznym. Zacierały jasność spojrzenia. Zatruwały miłością studnię i każdego, kto z niej czerpał. Bors znał jednak swój święty obowiązek: miał strzec swego towarzysza i zamierzał wywiązać się z tego zadania jak najlepiej.

Grupa rycerzy w czarnych kaftanach zachowywała więcej niż przyzwoity dystans do kobiet, wpatrując się zgodnie w niknący w mroku brzeg Europy. Nosili na piersiach białe, ośmiorożne krzyże wycięte z jedwabnej tkaniny, które w świetle księżyca jarzyły się osobliwym blaskiem. Różnica wieku między najstarszym a najmłodszym z nich mogła sięgać czterdziestu lat, ale większość nie miała jeszcze trzydziestki. Wszyscy nosili gęste, bojowo nastroszone brody. I wszyscy mamrotali Ojcze nasz. Reguła zobowiązywała ich do odmawiania tej modlitwy sto pięćdziesiąt razy dziennie, lecz jako że trudno było o precyzyjne rachowanie, po prostu z rzadka przerywali, a podczas morskiej podróży potrafili całymi godzinami modlić się w mistycznym transie. Stopniowo łapali wspólny rytm, aż wreszcie odmawiali pacierz jednym głosem. Słuchając ich, Bors poczuł dreszcz w krzyżu, ponieważ głos tylu wytrawnych zabójców przemawiających w absolutnej harmonii poruszyłby nawet kamień. Zauważył, że hrabina, w przeciwieństwie do swej towarzyszki, przyłączyła się do nich w modlitwie.

Spojrzał znów na sycylijski brzeg. Płynęli ku koszmarnej rzezi, lecz on właśnie tego pragnął. Pożądał tego bardziej niż złota i zaszczytów. Tylko w bitwie pękały okowy moralności. Tylko na polach nasiąkniętych krwią, gdzie wszelkie tytuły traciły znaczenie, mężczyzna stawał się prawdziwie nagą ludzką istotą. Tylko tam mógł znaleźć autentycznie

transcendentne doznania. Większość ludzi trudziła się całe życie i umierała, nie zaznając takiej rozkoszy. Lecz gdy ktoś raz jej skosztował, inne atrakcje traciły smak. Śmiertelny strach – którego nie brakowało w każdym zakątku świata – był niską ceną za to, by skosztować jej jeszcze raz. Z grzechotem bloków, łopotem płótna i skrzypieniem lin wielkie, czerwone żagle opadły z rej i napełniły się wiatrem. Na największym z nich widniał olbrzymi złoty krzyż. Mattias stanął u boku przyjaciela i chwycił go pod ramię.

– Zatem spełniło się twoje życzenie – powiedział. – Dopełnił się naturalny porządek rzeczy.

– Nie życzyłbym sobie tego za tak wysoką cenę – odparł Bors.

– Za to doświadczysz nowych przygód, o których będziesz kiedyś opowiadał przy kominku.

Bors kiwnął głową w stronę kobiet.

– A ty postarałeś się nawet o minstreli w spódnicach, którzy będą opiewać twoje czyny.

– Tam, dokąd zmierzamy, muzyka będzie cenniejsza niż rubiny – odparł Tannhäuser. – Ale posłuchaj mnie teraz i zapamiętaj: nie zamierzam oglądać końca tej walki. Płyniemy tam, żeby wykraść chłopca ze szponów wojny.

Bors miał lat mniej więcej dziewięć, gdy powalił swego ojca na ziemię za pomocą motyki i uciekł z Carlisle łódką, by wstąpić do armii księcia Connaught. Zmarszczył brwi, wspominając tamte chwile.

– A cóż to za chłopak chciałby, żeby wykraść go z takiego miejsca?

– Może nie będzie chciał, ale nie zamierzam dawać mu prawa wyboru.

– Kimkolwiek jest, jestem jego dłużnikiem – oznajmił Bors.

Mattias pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko, a Bors w duchu podziękował Bogu Wszechmogącemu za to, że jakimś cudem na swej długiej i krętej drodze życia zdołał zasłużyć na taką miłość. Pojechałby za Mattiasem, nawet gdyby ten planował porwać samego szatana z jego ognistego tronu. Tannhäuser uścisnął jego ramię i dołączył do kobiet.

Bors odwrócił się i spojrzał na pienisty szlak wyznaczony pracą wioseł. W jakimś innym zakątku tego samego morza dziesiątki tysięcy gazi zbliżały się nieuchronnie ku swojej chwili prawdy. Przez pięćdziesiąt morderczo długich dni tłoczyli się na pokładach sułtańskich okrętów. Po takiej podróży wylądują na wyspie żądni chrześcijańskiej krwi. Bors nigdy nie walczył z Lwami Islamu, ale jeśli wierzyć Mattiasowi, byli godnymi przeciwnikami. Na myśl o tym poczuł drżenie ud i ucisk w trzewiach. Przyczyny, które sprowadziły w te strony jego, Mattiasa i te dwie kobiety, już nie miały znaczenia. Bóg wojny przemówił, a oni

odpowiedzieli na jego wezwanie. Rytmiczna modlitwa rycerzy sączyła się wprost do jego piersi.

– Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum. Adveniat regnum tuum. Fiat voluntas tua sicut in caelo et in terra. Panem nostrum quotidianum da nobis hodie, et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris. Et ne nos inducas in tentationem, sed libera nos a malo. Amen.

Na czarno-czerwonym okręcie po czarno-srebrnym morzu żeglowali w świetle księżyca wprost ku bramie piekła. Gdy rycerze na nowo rozpoczęli modlitwę, Bors dołączył do nich.

Piątek, 18 maja 1565 - Zatoka Kalkara, Il Borgo, Malta

Orlandu polował na tego charta od świtu, kiedy to wystrzał armatni wyrwał go ze snu w kwaterze nad strumieniem i gdy zobaczył jego smukłą sylwetkę na tle nieba. Szkarłatne fałdy chmur napływały ze wschodu, jak armia nocy umykająca przed nawałą dnia, a wiatr, który nigdy nie bywał chłodniejszy i słodszy niż o świcie, niósł na swych skrzydłach męskie głosy śpiewające psalm.

Gdy zagrzmiał drugi wystrzał, chart odwrócił się w jego stronę. Dzieliło ich najwyżej kilka kroków; pies przyglądał mu się z góry, siedząc na stercie opiętych płótnem skrzyń w porcie nad Kalkarą. Promień rannego słońca przebił się w końcu przez chmury i wtedy Orlandu zobaczył, że zwierzę jest zupełnie białe. Nastroszywszy uszy, przyglądało mu się równie uważnie jak on jemu – i tak wpatrywali się w siebie, pies i bosy chłopak, jeden czyściutki jak go pan Bóg stworzył, a drugi pogryziony, pokryty strupami i zakrzepłą krwią. Orlandu chwycił swój rzeźnicki nóż, który leżał nocą tuż przy jego głowie, i podniósł się wolniutko. Oczy psa były jasne i jakby smutne. Miał zranioną duszę, a jej szlachetność poruszyła serce chłopaka.

Jeśli Orlandu się nie mylił, biały chart był ostatnim żywym psem na wyspie. Być może zresztą nie było to prawdą, ale fakt pozostawał faktem: w mieście nie słyszało się już ani szczekania, ani wycia psów. Lecz nawet jeśli było to prawdą, Orlandu zamierzał zabić to piękne białe stworzenie, nim ranek rozpocznie się na dobre.

Za trzecim wystrzałem armatnim chart zeskoczył ze skrzyń i jak duch zniknął w gąszczu uliczek Il Borgo. Orlandu rzucił się w pościg i tak zatracił się w tym polowaniu, że nawet nie zauważył, kiedy słońce wyłoniło się zza horyzontu. Zatrzymał się wreszcie, gdy uświadomił sobie, że trzy wystrzały armatnie z fortu Świętego Anioła były sygnałem, na który wszyscy czekali z niezmiernym lękiem. Wypatrzono turecką armadę. Hordy islamu zbliżały się do brzegów Malty.

Rzeź psów trwała już trzy dni, ten był czwarty. Wybicie ich zarządził wielki mistrz de la Valette. Podobno podczas oblężenia Rodos widział, jak ludzie jedli szczury i psy. Co więcej, psy zjadały ciała zabitych. Dlatego też postanowił, że na Malcie śmierć spotka wszystkich, zanim dojdzie do takiego upadku wszelkich zasad. Orlandu słyszał też, że spośród wszystkich żywych stworzeń de la Valette darzył najczulszą miłością właśnie psy gończe. Zanim więc dekret przedstawiono mieszkańcom wyspy, wielki mistrz sięgnął po miecz i osobiście zabił sześć ukochanych czworonogów. Mówiono, że szlochał potem z żalu.

O ile sam dekret był raczej prosty w swej treści, o tyle jego wykonanie okazało się trudniejsze, niż się wszystkim zdawało. Wielu ludzi poszło za przykładem de la Valette'a i we własnym zakresie pozbyło się swoich psów. Trudno jednak było ukryć taką akcję przed pozostałymi zwierzętami i dlatego o zmroku pierwszego dnia psy domowe i bezpańskie, zaalarmowane wyciem mordowanych pobratymców, zaczęły łączyć się w stada i w bojowym amoku włóczyć się ulicami i zaułkami miasta. Jako że Il Borgo było otoczone murami i jedyna droga ucieczki wiodła na otwarte morze, nie mogły ani umknąć, ani schować się przed prześladowcami.

Psy zachowują się w takich sytuacjach w zadziwiająco ludzki sposób: pozwalają, by stadu przewodził najwaleczniejszy i najsprytniejszy z nich. Wędrując w licznych gromadach, gnane strachem i niepokojone wonią dochodzącą ze stosów, na których palono ciała zabitych zwierząt, stawały się naprawdę niebezpieczne i z każdą chwilą coraz bardziej agresywne. Jako że polowanie na psy było zajęciem zdecydowanie poniżej godności rycerzy zakonnych i żołdaków, jako że większość zwykłych mieszkańców miasta znalazła zajęcie w szykowaniu twierdzy do boju i wreszcie jako że zdecydowanie nie było to zadanie odpowiednie dla kobiet, jeden z rycerzy królewskich wpadł na pomysł, by wykorzystać chłopców-woziwodów, którzy podczas oblężenia mieli dostarczać walczącym napoje. Orlandu, wyznaczony do pracy przy bastionie Kastylii, był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się na ochotnika.

Dla Religii zgłosiłby się zresztą do każdej misji. Jak wszyscy chłopcy w jego wieku i położeniu, spoglądał na rycerzy zakonnych jak na bogów, którzy zstąpili na ziemię. Dano mu rzeźnicki nóż – ostry jak brzytwa, choć stary i półksiężycowaty od częstego ostrzenia – i powiedziano, że skoro wkrótce zacznie się zabijanie muzułmanów, dobrze byłoby poćwiczyć na psach, które w obliczu Boga były stworzeniami podobnej wartości, choć różniły się od tureckich bestii tym, że przyjemniej pachniały, a po śmierci nie szły do piekła. To stwierdzenie skłoniło Orlandu do zastanowienia się, czy psy mogą mieć duszę. Kapelan, ojciec Guillaume, który błogosławił młodych rzeźników przed tą dziwaczną krucjatą twierdził, że nie – tak jak nie mają duszy owce i zające. Ale tak szczególny był sposób, w jaki kolejne psy schodziły z tego świata, i tak przejmująca była ich chęć życia, że już pierwszego dnia o zmroku Orlandu nabrał przekonania, iż jest wręcz odwrotnie.

Wszystkie zabite zwierzęta zanosił do wozu stojącego przy Bramie Prowansalskiej, a tam wypruwano z nich wnętrzności, by w razie potrzeby zatruć nimi studnie w Marsie, gdy zjawią się tam Turcy. To, co pozostało – głównie skóry i kości – odwożono na stos, który płonął za murami miasta. Pod koniec drugiego dnia, kiedy większość chłopców

błagała, by zwolnić ich z tego ohydnego zajęcia, poszarpane ubranie Orlandu było sztywne od posoki i odchodów psów, które schwytał, zabił, wypatroszył i dostarczył na stos. Gorączkował, był odwodniony i czuł mdłości, a na jego ciele widniało więcej śladów zębów, niż umiał zliczyć. Miał serdecznie dosyć tego brutalnego zajęcia. Doszedł też do wniosku, że ojciec Guillaume jednak miał rację w sprawie psich dusz, trwanie w przeciwnej wierze sprawiało bowiem, że polowanie było wysiłkiem ponad ludzkie siły.

Sypiał w porcie samotnie, na workach z ziarnem. Gdy wstawał i zapuszczał się w ciemne zaułki w poszukiwaniu zdobyczy, ludzie schodzili mu z drogi, jakby był szaleńcem zbiegłym z zakładu. Z początku przypuszczał, że to z powodu smrodu, ale spojrzenie pewnego piekarza, u którego kupił bochenek chleba, powiedziało mu, że przyczyną jest raczej odraza zmieszana z podziwem. Innymi słowy, piekarz zwyczajnie się go bał. Od tej pory Orlandu starał się trzymać fason – chodził wyprostowany, z surową i obojętną miną podpatrzoną u rycerzy. Od garbarza dostał kawał owczej skóry, którą natarł kurzym tłuszczem i ciasno obwiązał – wełną do wnętrza – wokół przedramienia. Tak opancerzony mógł rzucić wyzwanie ostrym kłom, zanim poderżnął psu gardło.

Zęby jednak ściskały jego rękę aż do kości, zostawiając bolesne siniaki, jako że przy życiu utrzymały się już tylko najsprytniejsze i najdziksze bestie; drugiego dnia wieczorem jego przedramię było sine aż po kłykcie. Dozorcy w porcie dzielili się z nim grasicą i nerkami pieczonymi na węglu z piecyka, wypytując o nowiny z polowania, a on śmiał się pusto wraz z nimi, choć sprawy, o których mówili, wcale go nie śmieszyły. Pytali, ile psów zabił. Nie pamiętał. Dwadzieścia, trzydzieści, więcej? Zerkali na jego siniaki i rany, gdy sądzili, że na nich nie patrzy. Wymieniali tajemnicze spojrzenia i uważali go za dziwaka. Zostawił ich przy ognisku, a zanim ułożył się na swoich workach z ziarnem i spojrzał w gwiazdy, nie był już tym samym chłopcem, który obudził się tu poprzedniego ranka. Być może nie stał się jeszcze mężczyzną, ale zabójcą – w pewnym sensie – tak, a to już było coś. O ile trudniejsze mogło być zabicie muzułmanina?

Był bękartem i jako mimowolny wyrzutek wybrał życie na portowych nabrzeżach, a nie niewolniczą pracę na świńskiej farmie, gdzie dorastał. Pracował ciężko przy galerach, gotując smołę i uszczelniając cuchnące kadłuby. Była to okropna harówka, ale przynajmniej był wolny. Był wolny i mógł marzyć o tym, że pewnego dnia zostanie pilotem we flocie Religii. Tej nocy przyglądał się na niebie Gwieździe Polarnej w ogonie Małej Niedźwiedzicy, aż wreszcie zasnął niespokojnie i jak zawsze śnił o sprawach mrocznych, krwawych i przygnębiających.

Ranek zaś przyniósł mu widok białego charta, który patrzył na niego tak, jakby znał jego niewesołe sny i czuwał nad nim wiernie. W pierwszej chwili Orlandu sądził, że to duch, i zaraz powróciła weń wiara w istnienie psich dusz, którą nie zachwiało już nawet to, że zwierz okazał się jak najbardziej materialną istotą. Gdy chart puścił się biegiem w uliczki tonące w purpurowych cieniach, Orlandu podążył za nim.

Niczym duch w bajce objaśniającej znaczenie słowa „daremność", biały chart umykał skutecznie między ruderami Kalkary i dalej, ku lepszym dzielnicom miasta, gdzie donośne głosy chwaliły nadejście nowego dnia. Kościół pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca spowijało jeszcze fioletowe światło świtu. Otwarte wrota jaśniały ciepłą żółcią na tle monumentalnej fasady, z wielką siłą przyciągając duszę Orlandu ku świętemu portalowi. Zostawił nóż obok przypory i na palcach wkroczył pod majestatyczny łuk. Pod stopami czuł chłód kamieni. Pieśń, którą słyszał, przyprawiała go o dreszcze. Zanurzył palce w wodzie święconej, przyklęknął i przeżegnał się, a potem zakradł się cicho ku żółtej poświacie emanującej ze środka. Kościół ten należał do rycerzy świętego Jana Chrzciciela, a Orlandu jeszcze nigdy nie ośmielił się przekroczyć jego progu. Serce biło mu jak młotem i ledwie ważył się oddychać, przemykając chyłkiem przez przedsionek. Gdy wyłonił się zza potężnych kolumn ograniczających główną nawę, otworzył się przed nim oszałamiający widok na wnętrze świątyni.

Cały konwent Religii stał w równym szyku, a kamienne mury drżały od głosu pięciu setek rycerzy wzywających Boga. Mnisi-wojownicy stali rzędami, w swych zwyczajnych, czarnych szatach, łagodniejsi od jagniąt i bardziej dzicy niż tygrysy, związani miłością Chrystusa i Jana Chrzciciela, dumni i nieustraszeni, śpiewający z wielkim entuzjazmem. Orlandu poczuł zawroty głowy od kadzidła, którego zapach unosił się w nawie. Przestronne wnętrze rozświetlał tylko migotliwy blask niezliczonych świec, a przecież wydawało się, że to z figury umęczonego Chrystusa zawieszonej nad ołtarzem bije niezmierzona jasność. I właśnie on przyciągał wzrok Orlandu i wszystkich rycerzy zgromadzonych w kościele: wizerunek wychudłej i szlachetnej postaci tego, który cierpiał i oddał życie za cały rodzaj ludzki, zakrwawionej korony cierniowej i dłoni zaciśniętych w bólu, do przebitego i wyniszczonego ciała, skręconego na krzyżu tak, jakby przedśmiertne drgawki jeszcze nie dobiegły końca.

Orlandu poczuł głęboki smutek. Wiedział, że Jezus go kocha. Szloch wyrwał się z jego piersi, gdy składał zakrwawione i posiniaczone ręce, padając na kolana.

– Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, błogosławionej Maryi zawsze dziewicy, błogosławionemu Archaniołowi Michałowi, błogosławionemu Janowi

Chrzcicielowi, świętym apostołom Piotrowi i Pawłowi oraz wszystkim świętym, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową i uczynkiem. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Nie był sam w swoim płaczu i w błaganiu o wybaczenie. Łzy lśniły bez wstydu na twarzach wielu mnichów. Smutek i radość przepełniały świątynię aż po belki wysokiego sklepienia. Od czasu tragedii na Rodos nigdy jeszcze tylu braci Religii nie zebrało się w jednym miejscu. I jeżeli teraz żaden z nich nie wierzył, że kiedykolwiek zbiorą się jeszcze w takiej sile, to tylko dlatego, że przybyli wszyscy na Maltę, aby zginąć za wiarę. Bóg wezwał ich zgromadzenie na wojnę. Ogień i miecz były świętymi narzędziami ich wyznania. Ogarnięty religijnym uniesieniem Orlandu był gotów przyjąć swój los równie chętnie jak każdy z nich. I on pragnął oddać życie za Chrystusa Odkupiciela. Jednakże i w tej podniosłej chwili nie zawiódł go instynkt: obejrzał się w porę, by zobaczyć kapelana, ojca Guillaume'a, który z bardzo gniewną miną spieszył ku niemu z kąta świątyni. Pozbierał się czym prędzej i czmychnął do przedsionka, a potem wprost w liliowy blask poranka. W biegu pochwycił nóż leżący na ziemi i przyspieszył, by zniknąć za węgłem kościoła.

Tam, jakby zaangażowany w grę, której zasad i zakończenia Orlandu nie ogarniał umysłem, czekał na niego śnieżnobiały chart. W mocniejszym świetle dostrzegł, że smukłe boki psa – z wyraźnie zaznaczonymi żebrami, mimo iż zwierzę nie wyglądało na niedożywione – poznaczone są świeżymi ranami zadanymi nożem. Zatem ktoś już próbował go zabić i nie udało mu się tego dokonać. Oczy Orlandu wciąż łzawiły, a pierś rozsadzało mu wzruszenie po niedawnej chwili duchowego zjednoczenia z rycerstwem, toteż chłopak poczuł ucisk w żołądku na samą myśl o kolejnej rzezi, której miał dokonać. Lecz przecież sam de la Valette zabił swoje psy, te, które wszak ukochał ponad inne żywe stworzenia. Zabił je dla dobra ludzi, dla Religii i dla Boga. Chcąc zwabić charta nieco bliżej, Orlandu rozważał wyciągnięcie ku niemu nasiąkniętej tłuszczem owczej skóry, którą wciąż nosił na przedramieniu, ale oszukiwanie tego szlachetnego zwierzęcia – tak jak poprzedniego dnia oszukiwał jego pobratymców – wydało mu się niegodne, a może i grzeszne. Pokazał chartowi nóż.

Pies zawrócił i rzucił się do ucieczki.

Orlandu pobiegł za nim.

Przez cały ranek, w odchodzącym chłodzie i narastającym skwarze, Orlandu ścigał, gubił, tropił, znowu tracił ślad i znowu odnajdywał uciekającego psa. Przemierzyli Il Borgo od Bramy Prowansalskiej w potężnych murach od strony lądu aż po doki Porto delle Galere, od Kalkary do Świętego Anioła, przez targowiska, sterty nawozu, słoneczne place i

cieniste zaułki. Chłopiec i pies prowadzili morderczy wyścig, a samo miasto stopniowo zmieniało się w siedlisko strachu.

Słychać było dudnienie bębnów, ryk trąb i dźwięk dzwonów. Narastał chaos. Zwykli ludzie spodziewali się Turków najwcześniej za miesiąc. Na ogorzałych, zmęczonych twarzach malował się niepokój. Wielu biegło do domów i ryglowało drzwi. Inni miotali się tu i tam, rozpaczliwie szukając sensownego zajęcia. Na całej wyspie zaś ci, którzy jeszcze nie znaleźli się w obrębie murów, zmierzali teraz w stronę Il Borgo, by szukać schronienia. Chłopi przyprowadzali ze sobą wszelkie zwierzęta, które mogły się przydać jako siła pociągowa lub żywy zapas żywności. Na grzbietach osłów i na wozach, a także na własnych barkach zwozili resztki przedwcześnie zebranych upraw; wszystkie sady ogołocono z owoców. Sprowadzali do miasta dzieci i żony, warzywa i kozy, a także niezliczone drobne przedmioty, które miały im przypominać, kim byli i jak żyli do niedawna. Przywozili swe symbole, modlitwy, odwagę i strach. Jak okiem sięgnąć, ku niebu unosiły się kolumny dymu, albowiem wszystkie uprawy, które nie zdążyły dojrzeć lub nie zostały jeszcze zebrane, podpalano, aby zostawić jedynie spaloną ziemię. Ich ziemię. Zatruwali wszystkie studnie psimi wnętrznościami, odchodami oraz trującymi ziołami. Nic nie zostawiali Turkom, którzy byli tuż-tuż.

Wydawało się, że cała Malta stoi w ogniu.

Raz tylko Orlandu przerwał pościg, a zdarzyło się to w porcie, w którym o świcie rozpoczęła się pogoń, a w którym teraz panował nieopisany tumult. Nie miał nic w ustach od skromnej wieczerzy z dozorcami i teraz nagle poczuł mdłości, a obraz ludzi i koni tłoczących się wokół zawirował znienacka przed jego oczami. Chwilę później wymiotował już na czworaka, czując w nozdrzach fetor łajna mułów, a w gardle kwaśny posmak. Przycisnął czoło do bruku i zwrócił jeszcze porcję żółci. W tym momencie czyjeś kościste ręce pochwyciły go za ramiona i postawiły na nogi.

Zamknął oczy, by świat choć na chwilę przestał wirować, a kościste ręce poprowadziły go w bok i posadziły na odwróconym ceberku. Wepchnęły mu do ust coś mokrego i słodko-kwaśnego. Przeżuł i połknął. Żołądek zareagował skurczem, gdy dotarł do niego kęs chleba moczonego w winie. Orlandu opanował odruch wymiotny, a kościste palce na nowo napełniły jego usta strawą. Mdłości i zawroty głowy ustąpiły równie nagle, jak się pojawiły. Zamrugał i wtedy dopiero rozpoznał swego dobroczyńcę.

Oczy starca były tak jasne jak oczy dziecka, a jego nos tak haczykowaty, że zdawał się dotykać zarostu na sterczącym podbródku. Orlandu natychmiast rozpoznał Omara, starego karagözi. Tuż za nim stał maleńki, byle jak sklecony teatrzyk, w którym uprawiał swe

jedyne rzemiosło. Omar mieszkał w portowej dzielnicy dłużej, niż ktokolwiek sięgał pamięcią. Niektórzy mówili, że przybył tu wcześniej niż sami rycerze zakonni. Był najstarszym człowiekiem, jakiego Orlandu kiedykolwiek spotkał, starszym nawet od de la Valette'a i Luigiego Broglii. Wraz ze wszystkimi innymi dzieciakami z okolicy – ale i z wieloma zmęczonymi marynarzami i dokerami – niejeden raz zachwycał się zwariowanymi przedstawieniami lalkowego teatrzyku cieni, które starzec ożywiał na muślinowym ekranie. Jeśli nie liczyć skutych łańcuchami niewolników, Omar był jedynym Turkiem na Malcie. Nikt nie wiedział, skąd się tu wziął i dlaczego tu został – zapewne on sam tego nie wiedział. Był niegroźny i zabawny, zatem nikomu nie przeszkadzało to, że był muzułmaninem. Podobno był też szaleńcem, bo mieszkał samotnie w beczce, a swym papierowym marionetkom akompaniował gulgotami, jękami i piskami tak niesamowitymi, że zdrowy na umyśle człowiek z pewnością nie umiałby ich nawet naśladować.

– Aha! Aha! – zaskrzeczał Omar, wskazując na rany Orlandu. – Od psów! Od psów!

Wypowiedziawszy te słowa w łamanym maltańskim, wydobył z siebie serię znakomitych szczeknięć, którą zakończył smętnym wyciem i bezzębnym uśmiechem. Orlandu skinął głową, a Omar podał mu jeszcze trochę chleba i wina. Chłopak skosztował.

– Wielki mistrz wie! Wie wszystko! – Omar wskazał palcem na wieżę fortu Świętego Anioła. – Tańczą, jak im zagra! Turcy! Rzymianie! Demony! Wszyscy. Służą jego woli. Tak!

Zdziwiony Orlandu pokiwał głową zachęcająco, jak czyni się, rozmawiając z szaleńcem.

– Psy, mężczyźni, kobiety, dzieci, bum! – kontynuował Omar, naśladując dłońmi wielki wybuch. Wreszcie ostentacyjnie otrzepał ręce i pokazał Orlandu, że są puste. – Psy wskazują drogę! – dodał, udając, że ostrzy niewidzialny nóż. – A mistrz pluje na osełkę. Tak!

Orlandu nie rozumiał z tego ani słowa, ale z wdzięczności odparł:

– Tak! – i został nagrodzony kolejną prezentacją nagich dziąseł Omara.

Czuł, że wróciły mu siły. Wzmianka o wielkim mistrzu przywróciła mu wolę wykonania misji. Wstał z cebra – zdecydowanie górował wzrostem nad starcem – i stwierdził, że znów ma pełnię władzy nad kończynami. Dopiero teraz zauważył, że do nabrzeża przybija galera. Marynarze uwijali się przy linach, refując czerwone żagle. Na ląd schodził nowy kontyngent rycerzy.

Flota Religii składała się z siedmiu galer – Orlandu wiedział o tym doskonale, bo zdarzyło mu się skrobać brud i porosty z przesyconych ekskrementami desek każdej z nich.

Ta nazywała się Couronne. Chłopcy tacy jak Orlandu, zaszczyceni przez rycerzy funkcją woziwodów, konkurowali między sobą w tym, który z nich pozna z wyglądu i imienia największą liczbę szlachetnych bohaterów zakonu. Za każdym razem, gdy wypatrzono gdzieś jednego z zakonników, wśród młodzieży rozpalała się dyskusja o tym, który z nich jest najgroźniejszy w walce, który najlepiej radzi sobie na morzu, a który jest najbliższy Bogu. Jednak spośród tych rycerzy, którzy zeszli z pokładu Couronne i nadzorowali teraz rozładunek koni i ekwipunku, Orlandu nie znał ani jednego. Musieli to być przybysze z najdalszych komandorii zakonu – może z Polski lub Skandynawii, a może nawet z Rosji, półlegendarnych krain na krańcu ziemi, gdzie kwitła magia, a pogańskie plemiona wciąż jeszcze piekły chrześcijańskich rycerzy na żywym ogniu wraz ze zbroją.

Wreszcie wypatrzył na trapie postać dobrze znaną, choć nie najwyżej cenioną pod względem zaciekłości w walce. Był to Oliver Starkey. Tuż za nim zeszli na ląd dwaj nieznajomi potężnej i groźnej postury, choć ich stroje wskazywały, że nie są rycerzami. Domyślił się, że to soldados particulares – wojacy szukający przygód – sprowadzeni na Maltę nie tylko przez wzgląd na swą wiarę i szlachetność sprawy, ale i w poszukiwaniu niebezpieczeństw i chwały. Nie przyjmowali pieniędzy i nie uznawali niczyich rozkazów, a walczyli z tym, z kim chcieli walczyć. Ci dwaj może nie wyglądali na specjalnie szlachetnych, za to bez wątpienia urodzili się, by wojować. Pierwszy był szeroki w barach jak wóz, miał rzednące włosy, stalowoszarą brodę i liczne blizny na twarzy. Miał na sobie brygantynę nabijaną mosiężnymi ćwiekami i dźwigał potężny zapas broni, wśród której był dwuręczny miecz niemieckiej roboty, przewieszony przez plecy, oraz potężny muszkiet o lufie, w której zmieściłby się kij od miotły, wsparty na przedramieniu.

Wyższy z dwóch nieznajomych prezentował się jeszcze godniej. Miał lwią grzywę, która zdawała się płonąć w pełnym słońcu jak polerowany brąz. Wśród jednolitych, skromnych płaszczy rycerskich jego kaftan naszywany złotem połyskiwał buńczucznie, a wysokie skórzane buty sięgały aż do połowy muskularnych ud. U jego biodra kołysał się miecz, a zza pasa wystawała bogato zdobiona rękojeść pistoletu o długiej lufie. Szlachetnego rodu czy nie, byli to najprawdziwsi żołnierze i w umyśle Orlandu zrodziła się nowa fantazja. Wiedział, że nigdy nie będzie rycerzem, bo w jego żyłach płynęła nieczysta krew, ale mógł mieć nadzieję, że pewnego dnia stanie się kimś takim jak ci dwaj wojownicy.

W ślad za nimi z pokładu zeszły dwie kobiety. Od miesięcy nie widział, by na wyspę przybyła niewiasta, lecz mimo to nie zainteresowały go zbytnio. W obliczu takich gigantów jak ci, którzy teraz zamaszystym krokiem przemierzali keję, kobiety były jedynie skromnymi, szarymi ptaszynami. Znacznie ciekawszy wydał się chłopcu złocisty ogier,

którego prowadziła młodsza z nich. Widział w życiu wiele pięknych koni – bo tylko takich dosiadali miejscowi rycerze – ale nigdy równie pięknego jak ten. Na pewno nie należał do dziewczyny ani nawet do jej pani (taką przynajmniej miał Orlandu nadzieję). Musiał należeć do mężczyzny z lwią grzywą. Wierzchowiec był wspaniały, lecz i on przestał chłopca interesować, gdy na spotkanie przybyszom wyszedł sam wielki mistrz de la Valette.

Orlandu stanął prosto i obciągnął ramiona. Może de la Valette spojrzy w jego stronę, zobaczy jego rany i zrozumie, że podobnie jak on sam, Orlandu jest zabójcą psów? Może będzie z niego dumny? Patrzył w podziwie, jak wielki mistrz – choć tak sędziwy – sunie po kei sprężystym krokiem pantery, wyższy o głowę od większości gapiów z szacunkiem ustępujących mu drogi, w czarnym habicie sięgającym stóp, z prostym sztyletem za pasem i z jastrzębimi oczami skierowanymi na wprost, a jednak widzącymi wszystko. Tak, pomyślał Orlandu, na pewno widzi i mnie, choć nie patrzy w tę stronę.

De la Valette walczył w osiemdziesięciu siedmiu bitwach morskich; niektórzy mówili nawet, że osiemdziesięciu dziewięciu. De la Valette zabił własną ręką tysiąc Turków. De la Valette był galernikiem podłego Abd ar-Rahmana i przeżył. De la Valette przetrwał straszliwe oblężenie Rodos i siłą został zaciągnięty przez towarzyszy na okręt, bo choć wszystko było stracone, wciąż pragnął walczyć. Nawet król Filip w dalekiej Kastylii ani Ojciec Święty w Rzymie nie mieli nad nim władzy. Jego przemowę do ochotniczej milicji, którą wygłosił tydzień wcześniej, młodzi chłopcy cytowali jak Pismo Święte:

„Dziś stawką jest nasza wiara. Bitwa, która rozegra się na Malcie, rozstrzygnie, czy Ewangelia – słowa i czyny Chrystusa – musi ustąpić przed Koranem. Bóg zażądał od nas ofiary życia, którą Mu obiecaliśmy. Szczęśliwi ci, którzy giną w Jego świętej sprawie".

Serce Orlandu wypełniło się szczęściem. Gdy modlił się do Boga, Bóg widziany oczami jego wyobraźni wyglądał jak de la Valette.

Wielki mistrz powitał dwóch nieustraszonych wojowników i – z nienaganną uprzejmością, acz przelotnie – obie kobiety, a potem natychmiast pogrążył się w rozmowie z nieznajomym o płowych włosach, prowadząc go nabrzeżem w stronę fortu Świętego Anioła. Cały orszak przechodził teraz nie dalej niż dziesięć kroków od miejsca, w którym stał Orlandu. Chłopak wstrzymał oddech, patrząc, jak mistrz opowiada o twierdzy i wskazuje ręką na rozmaite jej punkty. Nieznajomy tymczasem rozglądał się po porcie, mierząc wzrokiem krzątających się robotników. Orlandu omal się nie skulił, gdy i jego przebiło spojrzenie ognistobłękitnych oczu, ale wytrzymał i po chwili przybysz odwrócił głowę.

Gdy kobiety przechodziły obok, niewiele uwagi poświęcił starszej i bardziej dostojnej z nich, akurat zajętej rozmową z Oliverem Starkeyem. Dziewczyna prowadząca

złotego ogiera patrzyła jednak wprost na niego, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. A była to twarz dziwna, niesymetryczna i Orlandu zastanawiał się nawet, czy ta młoda kobieta nie umiałaby rzucić na niego uroku, bo gdy już go minęła, wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, oglądając się przez ramię. Doszedł jednak do wniosku, że to jego groteskowy wygląd przykuł jej uwagę. Miał nadzieję, że plamy krwi na jego ciele i ubraniu dostrzegł i nieznajomy o błękitnych oczach. Tymczasem zbliżył się jego towarzysz, zabijaka byczej postury, który kiwał głową, pozdrawiając portowych robotników, jakby przybyli tu tłumnie specjalnie po to, by go powitać. Gdy zobaczył Orlandu, roześmiał się i zasalutował mu nieznacznym ruchem długiej lufy muszkietu. Chłopak pękał z dumy. Co za dzień! Co za wojownicy! Dziękował Bogu, że znalazł się właśnie tu i właśnie teraz, w tak znakomitym towarzystwie i w tak ważnej chwili dziejów.

– Świat marzeń! Aha! Aha! Tak!

Orlandu zwrócił się ku Omarowi. Starzec znowu szczerzył dziąsła i kołysał się, przestępując z nogi na nogę, jakby to on był choreografem niedawnych wydarzeń, tak jak był choreografem w swym teatrzyku cieni.

– Owszem – zgodził się Orlandu, choć nie bardzo rozumiał, co starzec ma na myśli. – Świat marzeń. – Rozejrzał się i podniósł swój nóż. – Dziękuję ci – dodał, pochylając głowę. – Muszę już iść.

Omar wykonał palcami ruch, który kojarzył się z biegiem pająka.

– Biały dżinn! Tak! – Szczeknął dwa razy i zawył jak pies.

Orlandu pokiwał głową.

– Właśnie. Muszę iść – odpowiedział i zrobił pierwszy krok.

– Ogród… – Omarowi zabrakło maltańskich słów, lecz podobnie jak wszyscy mieszkańcy Wielkiego Portu, nie wyłączając Orlandu, miał w głowie skrawki tuzina języków. Il Borgo było istną wieżą Babel. Dłonie Omara uniosły się w górę, udając rośliny, a potem podały do ust nieistniejące naczynie, usta zaś skrzywiły się, jakby wypiły coś gorzkiego. – Le jardin du physique – powiedział po francusku.

Orlandu skinął głową, bo nieźle rozumiał tę mowę.

– Dom Włochów. Tak! – Omar wrócił do maltańskiego.

Na tyłach jednej z włoskich oberży znajdował się otoczony murem ogród, w którym ojciec Lazaro, mistrz Świętej Infirmerii, hodował krzewy i zioła przydatne w leczeniu. Szpitalnicy byli bowiem nie tylko najwspanialszymi wojownikami świata, ale także najlepszymi medykami. Ale co obłąkany starzec miał na myśli? Orlandu wskazał na pobliską uliczkę – po charcie nie było już śladu.

– Dans le jardin! Biały dżinn! Tak!

Omar odrzucił głowę do tyłu i zawył prosto w niebo.

Orlandu nie miał nic do stracenia, a szaleńcy często wiedzieli co nieco o sprawach nieznanych zwykłym ludziom. Skierował się więc ulicami ogarniętego paniką miasta wprost ku ogrodowi ojca Lazara. Słońce było bezlitosne i chłopak dziękował Bogu za każdy kawałek cienia w wąskich zaułkach. Tam, gdzie nie było nawet bruku, wśród najbiedniejszych domostw, pył wzniesiony tumultem tworzył gęstą chmurę i przylegał do jego mokrych włosów, do języka i do podartego ubrania. Każde podwórze pełne było uchodźców szukających schronienia dla swych bliskich i dla kóz. Orlandu spoglądał pochmurno na ich przerażone twarze, ale wiedział, że to zwykli wieśniacy, z natury strachliwi i nienawykli do wojny – czegóż można było się po nich spodziewać? Rycerze mieli ich bronić, rycerze i inni wojownicy, tacy jak soldados particulares, hiszpańscy tercios, maltańska milicja i wreszcie zwykli zabójcy psów, tacy jak Orlandu. Świecił więc przykładem, trzymając się prosto i nie okazując strachu. I przez cały czas kierował się ku oberży.

Każda Langue Religii miała własne oberże, czyli kwatery. Młodsi zakonnicy i wszyscy rycerze królewscy spali w surowych dormitoriach. Dowódcy i starsi rangą rycerze mieli własne domy kupione za spoglia, pieniądze zarobione na wojaczce. Włosi, najliczniejsza i najbogatsza Langue, posiadali liczne budynki, w tym własny szpital nad brzegiem Porto delle Galere. Mur ogrodu przy oberży ojca Lazara miał sześć stóp wysokości, wejścia na jego tyły broniła brama z kutego żelaza.

Orlandu zajrzał do środka przez jej pręty. I rzeczywiście, biały chart stał u podnóża przeciwległej ściany, skubiąc smukłe liście ciemnozielonego krzewu, jakby miały uleczyć jego rany. Poczucie obowiązku ciążyło chłopakowi coraz bardziej, ale nie mógł się go pozbyć. Wiedział, że wchodząc do ogrodu, ryzykuje chłostę, a może nawet pobyt w lochach fortu Świętego Antoniego, ale gdyby poprosił o pozwolenie, z pewnością by mu odmówiono. Było tak, jakby pies wybrał schronienie właśnie z tej przyczyny. Orlandu uniósł skobel i uchylił furtkę. Pies z gracją odwrócił się ku niemu, kierując uszy na wprost, a potem jego smukłe ciało zamarło w bezruchu.

Orlandu zamknął za sobą bramkę.

Ruszył ścieżką między grządkami. Teraz dopiero, z bliska, po raz pierwszy zobaczył oczy charta. Były wielkie, wilgotne i czarne jak ropa, a także niewymownie smutne. Ich spojrzenie przebijało na wylot. W ostatniej chwili pies położył się na boku i rozłożył łapy, jakby oczekiwał, że chłopak będzie go głaskał po brzuchu. To zaproszenie do zabawy ocaliło mu życie. Przy okazji zdumiony Orlandu zauważył, że ma do czynienia z suką.

Przykucnął obok niej, a wtedy suka zerwała się z ziemi i przycisnęła smukłą głowę i długą, białą szyję do jego piersi. Dyszała ciężko, wysuwając różowy jęzor. Orlandu objął jej korpus ramieniem. Skóra, kości, płuca i mięśnie… ale pod sierścią gładką jak aksamit wyczuł ręką jej mocno bijące serce. Nóż zadrżał w jego dłoni. Nie popełniłby wielkiego grzechu, gdyby się teraz wycofał, zniknął za bramą, zostawiając charta w cienistym ogrodzie.

– Bóg ci wybaczy.

Orlandu opadł na jedno kolano i odwrócił się, jeszcze mocniej obejmując sukę ramieniem. W drzwiach na tyłach oberży stał mnich. Wokół jego nagiej czaszki pozostał ledwie wianuszek srebrzystych włosów. Miał łagodny głos, a jego oczy były równie smutne jak ślepia charta. Orlandu rozpoznał ojca Lazara, bo właśnie on leczył go przed wielu laty, gdy gorączka ogarnęła jego dziecinną pierś. Niewielu rycerzy zadawało sobie trud poznania mowy Maltańczyków, był to bowiem język „małych ludzi", ale jako że większość jego pacjentów stanowili mieszczanie i przybysze z okolicznych wiosek, ojciec Lazaro posługiwał się nim płynnie. Nie był rycerzem zakonu, a jedynie jego kapelanem. Zbliżył się do Orlandu.

– Zasłużysz także na moją wdzięczność – dodał. – Wstyd się przyznać, ale ten czyn był dla mnie zbyt bolesny i nie starczyło mi odwagi.

– Jest twoja, ojcze? – spytał zaskoczony Orlandu.

– Dostałem ją, bo nie była specjalnie zainteresowana zabijaniem zwierzyny. A ostatniej nocy wypuściłem ją, żeby ktoś inny – ktoś taki jak ty – wziął na siebie brzemię jej smutnego losu. I za to muszę cię błagać o wybaczenie.

Orlandu pochylił głowę. Jego serce biło teraz równie szybko jak serce charta. Nagle stał się boleśnie świadomy tego, jak wygląda: koszmarnie brudnych nóg, podartej koszuli i portek, poszarpanej, cuchnącej skóry na przedramieniu i wszystkich innych dowodów, które wskazywały na to, iż w przeciwieństwie do tego łagodnego i świętego mnicha, jest doświadczonym mordercą.

– Ojcze, jeśli pozwolisz… – zaczął, ale poczuł suchość w gardle i musiał przełknąć ślinę. – Proszę, czy zgodzisz się wysłuchać mojej spowiedzi, kiedy już to zrobię?

Lazaro stanął obok niego i położył dłoń na jego głowie. Dotyk przyniósł ulgę, którą Orlandu poczuł całym ciałem.

– Nie wolno ci postępować niezgodnie z głosem sumienia – odrzekł Lazaro. – Jesteś wtedy nieposłuszny Bogu, zatem mniejszym złem jest nieposłuszeństwo wielkiemu mistrzowi.

– Jak ona się wabi, ojcze?

Lazaro cofnął rękę, a Orlandu poczuł, że ten gest pieczętuje smutny los charta.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odrzekł mnich.

– Dlaczego?

– Bo i zwierzę, i człowieka łatwiej zniszczyć, gdy jest bezimienną ofiarą.

– Proszę, ojcze. Bez względu na to, czy poznam jej imię, nie będzie mi łatwo. Wolałbym wiedzieć, jak mam ją wspominać w moich modlitwach.

– Wołałem na nią Persefona.

Imię to nic chłopcu nie mówiło, ale powtórzył je wiernie:

– Persefona.

Lazaro patrzył, jak suka liże szyję Orlandu.

– Zdaje się, że ona też ci wybaczy – powiedział.

Orlandu zacisnął zęby i zbliżył ostrze noża do piersi Persefony.

– Za Chrystusa i Jana Chrzciciela – wyszeptał, naśladując rycerzy.

Prowadził nóż prosto do celu, póki jego dłoń nie zatrzymała się na kości mostkowej. Persefona zaskomlała w dziwnie ludzki sposób i z niepokojącą siłą spróbowała wyrwać się z jego objęć. Uścisnął ją mocniej, wysunął ostrze do połowy, zmienił kąt natarcia i popchnął ponownie. Tym razem poczuł, że coś naciska, a potem gwałtownie otwiera się pod naporem stali. Suka w jednej chwili straciła siły, a jej biała, wiotka szyja opadła na jego kolana.

Orlandu wyjął ostrze z ciała i karmazynowe krople spadły na śnieżnobiałą sierść. Pragnął odrzucić nóż, ale nie śmiał zanieczyszczać ogrodu. Nie wycierając ostrza, wsunął je z tyłu za sznur, którym był przepasany. Chciał dźwignąć ciało i zanieść je do wozu, w którym zostałoby wypatroszone i wywiezione na stos, ale Lazaro położył dłoń na jego ramieniu.

– Ja się tym zajmę. Zostaw ją tu.

Orlandu ułożył Persefonę na ziemi, pod najbliższym krzewem, a potem się przeżegnał.

– Ojcze, czy psy mają dusze?

Lazaro uśmiechnął się.

– Nie jest grzechem mieć nadzieję, że mają. A skoro i ty, i ja musimy się dobrze zatroszczyć o nasze dusze, pójdziemy razem wyspowiadać się u ojca Guillaume'a.

Choć Lazaro nie był Rycerzem Sprawiedliwości i z tego powodu nigdy nie zaliczał się do grona wojowników-idoli Orlandu, chłopak był oszołomiony tym zaszczytem. Skłonił się, po raz kolejny wstydząc się tego, jak nędznie wygląda.

– Najpierw jednak – dodał Lazaro – musisz pozwolić, abym opatrzył twoje rany, zanim zaczną gnić.

Lazaro odszedł w stronę oberży. Orlandu zawahał się jeszcze, nie dowierzając, że naprawdę będzie mógł wejść do środka. Lazaro odwrócił się, skinął dłonią i wtedy dopiero chłopak ruszył za nim. Pomieszczenie za progiem było chłodne i ciemne, a pachniało mieszaniną ostrych woni. Mnich przemył ślady kłów na ciele Orlandu słoną wodą i posmarował maścią. Chłopak przygryzł policzki, ale nie okazał, że czuje ból.

– Widziałeś już okręty? – spytał Lazaro, kiedy skończył.

– Okręty?

– Flotę turecką.

Orlandu przypomniał sobie teraz wystrzały armatnie, które słyszał o świcie, i zamieszanie panujące na ulicach. Przez cały ranek tak bardzo pochłaniało go polowanie na charta, że zapomniał o przyczynie alarmu. Pokręcił głową.

– Nie, ojcze, ale chciałbym zobaczyć.

Lazaro poprowadził go schodami na dach oberży. Stamtąd Orlandu zobaczył dachy sąsiednich domów, wzniesionych z piaskowca, a dalej zatokę Kalkara aż po szubienice na Porto delle Galere i otwarte morze. Błękitne wody przesłaniał jednak dziwny, wielobarwny kobierzec, który drżał lekko jak powietrze w upalny dzień. Był olbrzymi; sięgał aż po horyzont, a jego wschodni kraniec przesłaniała Monte San Salvadore.

Orlandu zmrużył oczy i wtedy dopiero zobaczył, że wielobarwny kobierzec tworzą okręty. Promienie słońca odbijały się od złoconych dziobów i srebrnych tarcz, a źródłem feerii barw były cudowne jedwabne markizy, fantazyjne sztandary i wzdęte wiatrem żagle. W złowrogiej ciszy unosiły się niezliczone rzędy wielkich wioseł, a gdy opadały w jednostajnym rytmie, przypominały niespieszne skrzydła. Okręty płynęły na południe. Były ich setki. Setki? Orlandu przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze. Flota Religii składała się z siedmiu galer, a on uważał ją za najpotężniejszą w świecie.

Wyczuł, że Lazaro go obserwuje, i ośmielony cierpliwością starego mnicha spytał:

– Ojcze, czy ja jestem w świecie marzeń?

Lazaro spoglądał na niego przez chwilę, a w jego kaprawych oczach pojawiła się melancholia.

– Gdy wejdziemy do Królestwa Niebieskiego – odparł – być może tak właśnie będzie nam się wydawało.

Poniedziałek, 21 maja 1565 - Oberża Angielska

Ulica Madżistral była pusta. Wydawało się, że całe to niewielkie miasto wstrzymuje oddech.

Wszyscy mężczyźni pod bronią byli już na murach. Kobiety schroniły się w domach przed morderczym upałem i szeptem modliły się przed obrazami świętych. Groza złych przeczuć wkradła się jak mgła w mury Oberży Angielskiej i tylko pogłębiła frustrację Carli. Bezczynność doprowadzała ją do szału, ale nie miała żadnego pilnego zajęcia, na którym mogłaby się skoncentrować. Okazało się, że Oliver Starkey miał rację: była bezużyteczną gębą do wyżywienia. Dołączyła do Amparo w zaniedbanym ogrodzie. Mattias pojawił się w południe, ubrany w żłobkowany kirys i uzbrojony w miecz, pistolet i strzelbę z zamkiem kołowym, którą dźwigał w lewej ręce. Pod pachą niósł morion.

– Turcy u bram – powiedział. – Zaczyna się maltańska Iliada. Pomyślałem, że zechcesz życzyć mi powodzenia, zanim dołączę do walczących.

Od powrotu Carli w Il Borgo wrzało – rozpacz walczyła o lepsze z rozradowaniem. Emocje zmieniały się wraz z przypływem i odpływem plotek powtarzanych na każdym rogu. Turcy zmierzali na południe. Albo na północ. Turcy, zobaczywszy umocnienia, uciekali z powrotem do Złotego Rogu. Turcy już wylądowali w Marsamxett. Turcy zdobędą wyspę w tydzień. W mieście roi się od szpiegów. I sabotażystów. I zabójców wysłanych specjalnie po to, by zamordować we śnie samego wielkiego mistrza. Przy kamiennych włazach do podziemnych zbiorników z ziarnem i wodą wystawiono straże. Olbrzymi, długi na sześćset stóp łańcuch zamykający wejście do Porto delle Galere został podniesiony z dna morskiego za pomocą wielkiego kabestanu. Tureckie galery patrolowały otwarte morze. Il Borgo, L'Isola i fort Świętego Elma zostały odcięte od reszty chrześcijańskiego świata.

W lawinie tak niepokojących sprzecznych informacji prywatne sprawy wydawały się Carli nieistotne. Mimo wszystko jednak cieszyła się, że znowu trafiła do miejsca, w którym przyszła na świat i w którym sama wydała na świat potomka. A największą radość ze zbliżającej się bitwy okazywali właśnie młodzi chłopcy, którzy – w zdawać by się mogło nieograniczonej liczbie – buszowali po mieście. Nigdy nie szli równym krokiem, kiedy mogli biec. Milkli tylko wtedy, gdy przechodził obok nich rycerz. Bawili się w uliczną wojnę, przepełnieni marzeniami o bohaterskich ofiarach, wśród których najcenniejszą miała być ta z własnego życia. Połowa z nich biegała boso, a wielu nosiło przy sobie drobną broń – noże,

topory ciesielskie, młotki i kije – która wydawała się zdecydowanie nieadekwatna do potrzeby chwili. Ich twarze były ogorzałe i pogodne, choć ukształtowane ubogim, trudnym życiem. Mimo że wszyscy wzruszali ją swoim zachowaniem, żaden nie wywołał w jej sercu drgnienia, które mogłoby świadczyć o tym, że jest jej synem.

Rycerze, jak przystało na męczenników Boga, zachowywali powagę i wiarę. Uzbrojeni po zęby mnisi mijali Carlę na ulicy tak, jakby nie znaczyła więcej niż motyl, a każdy z nich myślał głównie o spełnieniu swego obowiązku i o miejscu, które zajmie pośród świętych. Rodowici Maltańczycy postrzegali sprawy w nieco ciemniejszych barwach. W porównaniu z rycerzami byli raczej marnie uzbrojeni i opancerzeni. Dziesięciokrotnie liczniejsi, mogli też być pewni, że będą znacznie liczniej ginąć. Ci, którzy mieli żony i dzieci, pocieszali je jak mogli i odchodzili na swoje posterunki. Mieli walczyć o coś więcej niż chwałę bożą. Największy ciężar spoczywał na ich kobietach. To one starały się złagodzić lęk swoich mężów i ukryć własny. To one magazynowały żywność i wymieniały się lekarstwami. To one szykowały serca na śmierć i kalectwo ukochanych. Miłość była delikatną i głęboko ukrytą przeciwwagą dla paraliżującego strachu.

Carla czuła się opuszczona. Prosiła, by pozwolono jej na pracę w szpitalu. Odrzucono też ofertę pomocy w kantynie. Wydawało jej się, że w tym drugim zajęciu odnalazłaby się nie najgorzej, ale okazało się, że rycerze za nic mają jej doświadczenie w zarządzaniu akwitańską posiadłością, winnicą, tłocznią winogron oraz czterdziestoma dzierżawcami. Coraz bardziej lękała się, że przypadnie jej rola, którą przewidzieli dla niej: próżnej i słabej kobiety, którą należy karmić i chronić. Oliver Starkey oddał jej w użytkowanie swój mały domek przy ulicy Madżistral. Wnętrza urządzone były surowo i po męsku, z nadmiernym zagęszczeniem ksiąg. W pokoju Carli stało pojedyncze twarde łóżko oraz sekretarzyk. W pomieszczeniu obok ustawiono prowizoryczne łóżko dla Amparo. Sąsiednim budynkiem była od lat pusta Oberża Angielska, w której zainstalowali się Mattias i Bors.

Odkąd przybyli na wyspę, prawie nie widywała się z Tannhäuserem. Wcześniej, w podróży z Mesyny, spędzał długie godziny na rozmowach ze Starkeyem i Giovannim Castrucco. Dzięki temu, gdy schodzili na ląd, wiedział więcej niż większość rycerzy zakonnych o sytuacji militarnej, o rozkładzie sił zakonu, o zapasach i morale obrońców, a także o łączności z Mdiną oraz wicekrólem Garcią de Toledo. Zaraz potem de la Valette porwał go na wycieczkę po murach obronnych, by wskazać mu prawdopodobne pozycje Turków. Mattias wrócił dopiero wieczorem, w towarzystwie dwóch krępych młodzików dźwigających skrzynię świec, baryłkę wina i cztery pieczone kurczaki.

– Obarczono mnie pewnymi obowiązkami – powiedział. – Będę zajęty, póki Turcy nie zejdą na ląd i nie poznamy lepiej ich zamiarów. Ale kiedy dowiodę lojalności, będę wolny, bo tylko moje swobodne działanie mieć będzie wartość w oczach de la Valette'a.

Dla Carli było to oświadczenie całkiem niejasne, ale Bors lepiej znał Mattiasa.

– Pójdziesz między barbarzyńców? – spytał.

– Z odpowiednim ekwipunkiem, o który nie powinno być trudno, mogę uchodzić za jednego z nich równie dobrze, jak uchodzę za jednego z was.

– A jeśli cię złapią? – spytała Carla.

– Tymczasem zaś – ciągnął Mattias, ignorując pytanie – zostawiam ci, pani, zadanie przejrzenia ksiąg w kościele Zwiastowania, w Świętym Szpitalu i w camerata.

– Co mam mówić?

– Powiesz, że chcesz ustalić tożsamość chłopca, bo może się spodziewać spadku – odparł Tannhäuser. Spojrzał na jej wargi, a czynił to ostatnio coraz częściej. – Godziwego spadku. Mów, że działasz w imieniu spadkodawcy, który darzy cię zaufaniem i którego tożsamość masz utrzymać w sekrecie. – Rozłożył ręce, jakby nie wyobrażał sobie prostszego zadania. – Tym sposobem nie skłamiesz, a jednocześnie niczego nie pozostawisz przypadkowi. Nikt nie będzie na tyle bezczelny, by męczyć pytaniami kobietę tak pobożną i szlachetną jak ty.

Spojrzenie jego świetlistych, niebieskich oczu skoczyło – jakby wbrew jego woli – ku jej szyi i rowkowi między piersiami. Wiedziała, że pożąda jej i że w myślach błądzi dłońmi po całym jej ciele. Carla również go pragnęła, i to z nie mniejszą intensywnością. To, że zauważyła, jak Tannhäuser równie lubieżnie spogląda na Amparo, jedynie podsyciło jej żądzę.

Mattias wstał od stołu i skinął na Borsa.

– Idziemy na szańce, przyjrzeć się najemnikom i milicji. W ciemności ludzie zwierzają się z myśli, które za dnia wolą zachować dla siebie.

Z tymi słowy wyszedł, zostawiając Carlę sam na sam z myślami o tym, jak cudowny mógłby być dotyk jego rąk.

W sobotę odwiedził ją po powrocie z rozpoznania. Przywiózł wieści o liczących trzy tysiące ludzi przednich siłach tureckich – w tym o oddziale janczarów – które wylądowały w zatoce Marsaxlokk, pięć mil na południe od miasta. Wróg złupił wieś Zeitun i oskrzydlił patrol chrześcijan, którzy ledwie zdołali uciec, zostawiając w polu kilku zabitych i rannych rycerzy. Jednym z wziętych do niewoli był Adrien de la Rivière, ten sam, którego Carla kilka miesięcy wcześniej gościła pod swym dachem. Gdy spytała o jego los, Mattias

odpowiedział jej, że rycerz będzie torturowany przez najlepszych w tym rzemiośle, a potem czeka go śmierć. Tej nocy Carla nie spała najlepiej. De la Rivière wydawał jej się niezniszczalny, taki młody i odważny… Zastanawiała się, co też dobrego uczyniła, sprowadzając swych towarzyszy do świata tak niebezpiecznego i okrutnego.

W niedzielę nie spotkała Mattiasa ani razu.

Wieczorem tego dnia głównodowodzący sił tureckich, Lala Mustafa Pasza, zszedł na ląd w zatoce Marsaxlokk, a wraz z nim większa część jego ogromnej armii. Turcy stawiali teraz obóz na równinach opodal Marsy, na zachód od Wielkiego Portu. Carla dowiedziała się od Borsa, że trwała zażarta debata, czy mądrym posunięciem było pozwolenie na to, by wróg wylądował bez najmniejszego oporu ze strony obrońców, ale zdaniem de la Valette'a – i zdaniem Mattiasa – było to doskonałe posunięcie. Chrześcijanie nie byli dość liczni, by ryzykować otwartą walkę wprost na plaży. Lepiej więc było pozwolić Turkom rozbić się o mury twierdzy. Gdy zapadła noc, w wiosce Zabbar, leżącej ledwie milę od nich, za połacią rudych wzgórz, zapłonęły ogniska janczarów z przedniej straży tureckiej.

Przez wszystkie te dni Amparo prawie się nie odzywała, obserwując czujnie chaos panujący dokoła i rozumiejąc go w sobie tylko znany sposób. Postanowiła, że ożywi mały ogród na tyłach domu, tłumacząc szafowanie cenną wodą tym, że skoro wszyscy w mieście mają zginąć – a słyszała o tym niepokojąco często – to przynajmniej zostanie po nich coś pięknego: żywy pomnik. W pierwsze trzy wieczory spędzone na wyspie nie wypatrzyła niczego ciekawego w swym szkle wizji, jakby ktoś zasłonił to małe okienko z widokiem na inne światy. Carla nawet nie żałowała, przekonana, że spojrzenie w przyszłość mogło teraz przynieść niezbyt radosne obrazy. Nie muzykowały wspólnie, bo rozrywka ta zdawała się nie pasować do ponurego nastroju miasta. Nietknięte instrumenty leżały w pokoju Carli.

W poniedziałek, gdy Tannhäuser zajrzał do domku w drodze na mury, na krótko przed rozpoczęciem działań wojennych, zastał obie kobiety w zaniedbanym ogrodzie, na kolanach, zajęte wyrywaniem chwastów. Carla odwróciła się i zobaczyła jego uśmiech, jakby ten niedorzeczny widok w jakiś sposób dodał mu otuchy.

– Cieszę się, że podchodzicie do naszej ciężkiej sytuacji z takim rezonem – powiedział.

Carla otrzepała drobniutki pył z dłoni i podeszła do niego. Jej serce biło żywiej, gdy patrzyła na jego twarz i słyszała jego głos. Zastanawiała się, jak bardzo to widać.

– Chciałyśmy się na coś przydać – odrzekła – ale niewiele wolno nam robić. Ojciec Lazaro powiedział, że infirmeria także jest domeną mężczyzn. Do murów, rzecz jasna, nawet nie wolno nam się zbliżać.

– Lazaro zmieni ton, kiedy infirmeria rozleje mu się na ulice miasta.

Spokojna pewność, z jaką wypowiadał się o tak okropnym scenariuszu wydarzeń, lekko ją zaniepokoiła.

– Dowiedziałaś się czegoś o naszym chłopcu? – spytał.

Wzruszyła się, słysząc słowo „naszym". Pokręciła głową.

– Nie mają w księgach camerata nikogo, kto urodziłby się tamtego dnia ani w jego bliskości. W kościele Zwiastowania najbliższe daty urodzin odległe są aż o tydzień i dotyczą w obu przypadkach dziewcząt. Mnisi z infirmerii byli zaś zbyt zajęci, by udzielić mi informacji.

– Jeszcze znajdą czas, choć oczywiście im wcześniej się stąd ulotnimy, tym lepiej.

Stali blisko siebie i przez krótką chwilę milczeli. Jego masywne ciało mocno na nią działało; czuła, że sztywnieje z niepokoju. Sprzeczny z wolą serca odruch, który nakazywał jej cofnąć się o krok, okazał się silniejszy. Z oddali dobiegały dźwięki wojennego koncertu: bębnów, rogów i obco brzmiących piszczałek. W ich muzyce pobrzmiewała bohaterska nuta i po raz pierwszy Carla dostrzegła w Turkach jakiś ludzki pierwiastek. Mattias przechylił głowę na bok, słuchając muzyki. Patrząc na niego, raz jeszcze poczuła żal, że zwabiła go w sam środek konfliktu, którego chciał uniknąć.

– Wybacz mi – powiedziała.

– Co takiego? – zdziwił się.

– Że sprowadziłam śmierć w twoje losy.

– To jedna z moich najstarszych towarzyszek. Nie myśl o tym więcej.

Pochylił się nad nią i zrozumiała, że zamierza pocałować ją w usta. Nie zdążyła zapanować nad instynktem, który kazał jej odchylić głowę. Zaraz tego pożałowała, ale było za późno. Pół życia minęło, odkąd całowała mężczyznę po raz ostatni, ale przecież nie mogła wytłumaczyć mu tego i poprosić, żeby spróbował jeszcze raz. Mattias zmrużył oczy i odwrócił się, na pozór niezrażony, i było tak, jakby ta chwila istniała tylko w jej wyobraźni.

– Amparo, jakie wieści z twojego szkła wizji? – zawołał po hiszpańsku.

Amparo przyglądała się ich rozmowie z daleka. Teraz rozpromieniła się i podbiegła bliżej, zadowolona, że okazano jej zainteresowanie. Wydawało się, że przy Mattiasie czuje się swobodniej niż przy kimkolwiek innym. Z nutą żalu Carla zauważyła, że tak swobodna nie była nawet przy niej.

– Szkło pozostaje ciemne – odpowiedziała Amparo. – Odkąd weszliśmy na pokład okrętu.

– Zatem anioły nas opuściły – stwierdził Tannhäuser z beztroskim uśmiechem. – Nic dziwnego, skoro tysiące ludzi naraz wołają je na pomoc.

Amparo posmutniała, jakby czuła, że go zawiodła. Postanowił jakoś ją pocieszyć.

– Jeśli mogę, chciałbym cię prosić o przysługę – rzekł. – Będzie dziś solidna strzelanina i spory zgiełk w mieście. Buraq nie został wyszkolony do bitwy, a jest bardzo wrażliwy. Będę twoim dłużnikiem, jeśli zechcesz spędzić przy nim godzinę lub dwie.

Amparo pęczniała z dumy, a jej oczy lśniły uwielbieniem. Ciepłe uczucia Carli względem Mattiasa również przybrały na sile. Tym bardziej żałowała, że uniknęła dotyku jego ust.

– Ależ z wielką chęcią – odpowiedziała Amparo. – Buraq ma najszlachetniejszą duszę.

– Wszystkie konie są szlachetniejszymi istotami niż większość ludzi, ale Buraq jest księciem między nimi – zgodził się Mattias. – Znajdziesz go w stajni wielkiego mistrza, przy forcie Świętego Anioła.

Amparo zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta. Carla poczuła, że pieką ją policzki, a Mattias otoczył ramieniem talię Amparo i przycisnął ją najpierw mocno, a potem jeszcze mocniej. Carla musiała się odwrócić. Wreszcie puścił dziewczynę, która cofnęła się o krok, równie zarumieniona jak jej pani.

– Nigdy jeszcze nie szedłem w bój z pocałunkiem na ustach – powiedział Tannhäuser. – Doprawdy znakomity precedens.

Carla starała się nie okazać rozczarowania. Nie wiedziała tylko, co zrobić z oczami.

– Chociaż dwa posłużyłyby mi pewnie jeszcze lepiej – dodał Mattias.

Uśmiechnął się, gdy Carla spojrzała na niego. Policzki wciąż piekły, a niepojęta przekora omal nie kazała jej odmówić. W jej głowie kłębiły się myśli i uczucia, których nie umiała zrozumieć. Zmusiła się, by unieść głowę, a wtedy Mattias pochylił się i złożył pocałunek na jej wargach. Nie był to pocałunek brutalny, jakiego się spodziewała – i jakiego, co tu kryć, nawet pragnęła – ale łagodny; jego czułość wprost odebrała jej zmysły. Krótka chwila ciągnęła się w nieskończoność. Carla zacisnęła powieki, by nie wypuścić łez, które pojawiły się znikąd, był to bowiem pocałunek zamykający otchłań, w którą tak dawno temu ciśnięto jej kobiecość. Lecz ledwie Mattias zdążył musnąć jej usta, a już się cofnął, pozwoliwszy jej zaczerpnąć jedynie odrobinę rozkoszy zbyt intensywnej, by można ją było ogarnąć w całości. Odwróciła głowę, próbując zapanować nad emocjami.

– Teraz nie może mnie spotkać nic złego – powiedział Mattias.

Carla znowu zwróciła się ku niemu.

– Proszę – szepnęła – obiecaj mi, że będziesz ostrożny.

– Zuchwałość jest zaletą młodości – odparł – a ja zostawiłem obie daleko w tyle.

Odprowadziły go do oberży i dalej, aż na próg przy ulicy Madżistral. Dwaj posępni żołnierze w służbie zakonu właśnie mijali drzwi, wlokąc między sobą dziwnego sędziwego człowieka o niespotykanie jasnych oczach i bezzębnych ustach w chudej, półksiężycowatej twarzy. Ręce starca były spętane za plecami. Carla zastanawiała się właśnie, jaką zbrodnię popełnił, gdy zauważyła ponury grymas na twarzy Mattiasa.

– Ziemia wzywa tego starca do siebie – powiedział. Carla nie rozumiała tego wyrażenia, ale Tannhäuser nie zamierzał jej niczego tłumaczyć. – Lepiej już pójdę na mury.

– Będę się za ciebie modliła – rzekła Carla. – Nawet jeśli nie boisz się Boga.

– Chętnie przyjmę wszystkie modlitwy za mnie, bez względu na to, który z bogów je usłyszy.

Spojrzał po raz ostatni na dwie kobiety, zasalutował i wyszedł na ulicę. W głębi Carla widziała jeszcze starca nieustępliwie walczącego z mocnym uchwytem strażników. Wreszcie odrzucił głowę do tyłu i zawył żałośnie. W tym momencie Carla uświadomiła sobie, że odkąd przybyła na wyspę, ani razu nie widziała i nie słyszała psa. Jakie to dziwne, pomyślała. Jeden z żołnierzy zdzielił starca pięścią, a chwilę później wszyscy trzej zniknęli za zakrętem.

Mattias poszedł za nimi, ale wbrew cichym życzeniom Carli nie obejrzał się ani razu.

Odwróciła się po chwili i zobaczyła, że Amparo jest równie smutna jak ona. Wzięła ją w ramiona i przytuliły się mocno. Czuła, że serce Amparo bije równie szybko. Zapewne lęk o Mattiasa ściskał żołądek Carli; lęk i może coś jeszcze… Może początek miłości? Spojrzała na dziewczynę, zastanawiając się, czy Amparo czuje to samo. Instynkt podpowiadał jej, że tak. Zresztą nie tylko instynkt: prawda była wypisana na twarzy dziewczyny. A skoro tak, pomyślała Carla, to taka musi być wola Boga, a Bóg zawsze ma swoje powody. Postanowiła, że przyjmie w pokorze wszystkie Jego wyroki. Narastała w niej mądrość, której źródłem mógł być chyba tylko sam Chrystus. Nadchodzące dni nie miały obfitować w miłość, bez względu w jakiej postaci. A przecież bez miłości byliby niczym. Co gorsza, bez niej byliby przeklęci.

Poniedziałek, 21 maja 1565 - Bastion Kastylii – bastion Italii – bastion Prowansji

Orlandu patrzył od wielu godzin z wysokiego kamiennego muru obronnego, jak na południowym horyzoncie wznosi się kolumna czerwonego pyłu wzniecona przez maszerujące armie sułtana Sulejmana. Muzułmańska horda poruszała się w idealnym porządku, tak długo, aż pod stopami wojowników zniknęły ochrowe wzgórza ciągnące się za Wielką Równiną. Był to spektakl tak wspaniały, że niektórzy z rycerzy nie wstydzili się łez wzruszenia.

Orlandu został nagrodzony za liczne rany, które odniósł podczas rzezi psów: przypadło mu w udziale znakomite miejsce na bastionie Kastylii, który był najdalej wysuniętą placówką lewego skrzydła murów, u podstawy zatoki Kalkara. Zewnętrzny szaniec obsadzili arquebuceros; gryzący dym z lontów ich broni szczypał chłopaka w oczy. Większość z nich stanowili Kastylijczycy z tercios Sycylii i Neapolu. Różne nosili pancerze i różną broń, każdy odpowiadał bowiem za swój ekwipunek. Zalążkiem munduru były jedynie małe, czerwone krzyże burgundzkie naszyte na kamizelkach. Podzieleni na sześcioosobowe drużyny, mówili na siebie las camaradas. Za nimi stała maltańska piechota uzbrojona w szpontony, a chroniona jedynie przez skórzane pancerze domowej roboty i najprostsze hełmy. Rozproszeni w najdalej wysuniętych szeregach rycerze hiszpańscy i portugalscy byli jedynym szlachetnym akcentem w tej formacji; ich lśniące zbroje okrywały karmazynowe płaszcze bojowe, ozdobione na piersi prostym, białym krzyżem – znakiem krzyżowców. Orlandu przykucnął na pokrywie beczki z wodą, na zapleczu owych pierwszych linii, i z tego punktu obserwacyjnego podziwiał manewry wroga. Kontrast w wyglądzie stających naprzeciwko siebie armii wydał mu się uderzający.

Wielka Równina była szeroką połacią płaskiego lądu, ciągnącą się od rowu otaczającego mury miejskie aż po wzgórza Santa Margharita. Właśnie na tych wzgórzach zbierała się teraz nieprzyjacielska horda. Splendor tureckich oddziałów był zdaniem Orlandu wprost niewyobrażalny: chłopak miał przed sobą istną tęczę żywych zieleni i błękitów, jaskrawych żółci i agresywnych czerwieni, srebrne błyski muszkietów, pik i szabel z damasceńskiej stali, ocean białych turbanów i wysokich czapek, łopocące proporce i gigantyczne sztandary zdobione wizerunkami skorpionów, słoni, czapli, jastrzębi, półksiężyców, gwiazd Dawida oraz mieczy o dwu ostrzach, a także znakami dziwacznego

pisma. Nawet konie kawalerii stłoczonej w wielkich, kwadratowych formacjach na obu skrzydłach armii miały złote czapraki i pancerze z polerowanego brązu. Wszystko to lśniło i mieniło się jedwabiście, jak powierzchnia morza albo złoty ornament w pełnym słońcu, jak gdyby możny gospodarz przybył na to pole nie po to, by toczyć bitwę, ale po to, by urządzić radosną i szaloną paradę.

Orlandu zaczął się zastanawiać, dlaczego Turcy przybyli w to miejsce i co zawiodło ich aż tak daleko, a także dlaczego Bóg pobłogosławił i jemu, umieszczając go właśnie tu. Rozmyślając o tym, poczuł podniecenie tak wielkie, że ciężko mu było oddychać. O ile rzesze sułtańskiego wojska wydawały się niepowstrzymane, o tyle mury twierdzy obsadzonej przez rycerzy Religii wydawały się nie do sforsowania – sprzeczność między tymi dwoma stwierdzeniami wydała się chłopcu tak głęboka, że rozsądne byłoby, gdyby wrogowie osiągnęli jakoś porozumienie i po prostu odeszli każdy w swoją stronę. Przez krótką chwilę czuł strach, że wszystko to naprawdę może się rozpłynąć jak niezapomniany sen, który nie ma zakończenia. Nie chciał, by horda niewiernych zawróciła. Na przestrzeni dziejów niewiele było kataklizmów takich jak ten, który miał się rozegrać na jego oczach, i niewielu ich świadków. Wyczytał to w twarzach rycerzy. Mówił mu o tym także dotyk kamieni pod gołymi stopami. Coś w głębi samego ciała podpowiadało mu, że właśnie tak jest. A jako że wiedzieli o tym wszyscy, którzy zgromadzili się pod rozpalonym, lazurowym niebem, Orlandu zdał sobie sprawę, że kataklizm tak naprawdę już się rozpoczął, że jego tempo hamują już tylko rozkazy i że żadna siła na ziemi i w niebie już go nie zatrzyma.

Odwrócił się, słysząc podniesione głosy. Dwaj żołnierze prowadzili spętanego człowieka. Jeniec poruszał się dziwnym, rozkołysanym krokiem i gdy tylko wyłonił się spoza lasu pik, Orlandu rozpoznał w nim Omara, starego karagözi. Usta zapchano mu węzłem liny okrętowej. Chłopak stracił go z oczu, gdy żołnierze ciągnęli go za sobą po schodach na bastion Italii. Gdy się wychylił za mur, zobaczył szubienicę sterczącą pochyło nad rowem, a umocowaną do występu wieńczącego Bramę Prowansalską. Zwisała z niej pętla, odznaczająca się jak czarny atrament na tle turkusowego nieba.

Gdy Omar pojawił się ponownie w polu widzenia, znajdował się tuż pod szubienicą. Odarto go z łachmanów i widać było kości sterczące groteskowo pod pomarszczoną skórą. Orlandu patrzył, jak żołnierze popychają karagözi ku samej krawędzi muru i jak zakładają mu pętlę na szyję. Omar był zbyt stary i zbyt szalony, by być szpiegiem. Nigdy też nie oddalał się zbytnio od swej beczki. Orlandu spojrzał na rzesze barbarzyńców stojących na wzgórzach. Wydawało się, że wszyscy wpatrują się w tego starca o krzywych

nogach, który garbił się, podrygiwał i ślinił pod długą belką szubienicy. I wtedy Orlandu zrozumiał.

Słudzy Religii wieszali Omara, ponieważ był muzułmaninem.

Taka jest prawda, pomyślał.

Stary karagözi był muzułmaninem.

I jego świat marzeń legł w gruzach.

Orlandu wiedział już, że ten sam los spotkał i jego świat.

Tannhäusera zaszczycono stanowiskiem na bastionie Prowansji, ledwie parę kroków od samego de la Valette'a, jego młodego giermka Andreasa, wielkiego pułkownika le Masa oraz grupki najszlachetniejszych braci zakonnych. Nigdy dotąd nie spotkał towarzystwa tak przejętego kwestią rangi i czystości krwi. W imperium osmańskim zwykły niewolnik mógł zostać generałem lub wezyrem, jeśli tylko dowiódł swojej wartości. Admirał Pijal Pasza, którego okręty w tej chwili otaczały Maltę, był serbskim znajdą z Belgradu. Lecz choć trzeba było powiedzieć, że ogół frankońskiej szlachty traktował bycie rycerzem jako coś w rodzaju szarady, to jednak nigdy w życiu nie zdarzyło się Tannhäuserowi służyć w gronie równie zahartowanych zabijaków jak elita Religii. Byli barbarzyńcami z dwunastego wieku, uzbrojonymi w nowoczesną broń. I bez wątpienia pragnęli wojny.

W miarę jak armia, której oddał trzecią część życia, rozwijała szyk na pobliskich pagórkach, burzliwe fale wspomnień przetaczały się przez serce Tannhäusera. Żołnierze Boskiego Cienia na Ziemi nigdy nie wyglądali piękniej i żadne inne słowo nie pasowało tu lepiej. Byli także przerażającą siłą, a z tej strony jeszcze ich nie znał. Bezbłędna precyzja, z jaką czterdzieści tysięcy żołnierzy manewrowało na wzgórzach, była wystarczającym powodem, by poczuć mdłości. Byli niezrównaną armią, wyposażoną w doskonałą broń. Zresztą samo przerzucenie takiej armii na spaloną słońcem skałę na drugim końcu świata było dowodem nieludzkiej potęgi.

Zobaczył załogi artylerii Topchu ustawiające na stanowiskach wielkie działa o smoczych pyskach. Patrzył na sipahów i jajlarów oraz na żółte chorągwie Sari Bajrak i czerwone Kirmizi Bajrak, a pomiędzy tymi oddziałami kawalerii widział jedwabny namiot Lali Mustafy Paszy, który ustawiono w mgnieniu oka i który lśnił jak złota kula na poszarpanym horyzoncie. Ponad nim rozwinięto Sandżak szarif, czarny sztandar wojenny Proroka ozdobiony Szahadą: „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Wysłannikiem". Jeden z przodków Mustafy niósł ten sam sztandar do bitwy za samego Proroka. Myśl o tym również napełniała Tannhäusera podziwem; duch Proroka musiał unosić się nad tym

wzgórzem, a Mustafa i jego żołnierze musieli o tym wiedzieć – zapewne każdy z nich czuł świętą dłoń na swoim ramieniu.

Tannhäuser zobaczył proporce identyfikujące poszczególne pułki, które swego czasu znał z racji ich wyczynów i wśród których walczył niegdyś na pustkowiach wokół jeziora Wan. Lecz między ortą janczarów nie widział sztandaru własnej jednostki – Świętego Koła czwartego agi Boluksa. Janczarzy byli formacją, którą Tannhäuser bodaj najchętniej nazwałby „własnym światem". Jego przywiązanie do ich wspólnego domu, jego lojalność wobec nich i wreszcie jego miłość były równie głębokie jak uczucia de la Valette'a względem Religii. Porzucając przed wielu laty ich szeregi, porzucił część własnej duszy; jednak gdyby tego nie uczynił, straciłby całą duszę, gdyż taka byłaby cena za udział w mrocznych czynach, których od niego wymagano. Choć więc piszczałki i tambury wciąż budziły w nim szybszy obieg krwi i poruszały serce, stawał teraz naprzeciwko swych dawnych braci, by toczyć z nimi bój. Czekał, czując dudnienie w piersi i ucisk w gardle, na dźwięk, którego nigdy nie słyszał, choć sam bywał jego źródłem.

Potężne Lwy Islamu miały wkrótce zaryczeć.

Gdy wszystkie kompanie żołnierzy konnych i pieszych zajęły swoje miejsca w szyku bitewnym, przejmujące dźwięki rogów i pobudzające melodie orkiestry mehterhane urwały się nagle. Nastał bezruch, a nad polem walki zapanowała absolutna, nieziemska cisza. Taki bezruch i taka cisza musiały panować o zmierzchu pierwszego dnia Stworzenia. W głębokim spokoju dziesiątki tysięcy dusz, chrześcijańskich i muzułmańskich, spoglądały na siebie z przeciwległych krańców pola, o które miały walczyć z narażeniem życia. Wspólny rytm serc był jedynym dźwiękiem marszczącym gładką powierzchnię absolutnej ciszy lub bezruchu. Pas ziemi i sterta kamieni – tylko tyle dzieliło je od siebie. Ten pas ziemi i te kamienie miały dla wielu być stacją na drodze do wieczności.

Był to moment, w którym Tannhäuser zrozumiał – zresztą nie tylko on – że bez względu na bohaterskie czyny, które miały się dokonać na tym polu, zbliżająca się bitwa jest tylko jednym z wielu zakrętów drogi usianej grobami. Drogi sięgającej siedmiu stuleci wstecz, do czasów, których nie pamiętał żaden ze zgromadzonych tu wojowników, i której krwawy szlak miał być wytyczany krwią jeszcze przez wiele wieków.

Tannhäuser może i życzył sobie być teraz gdzie indziej, ale los rzucił go tu – widać takie było jego przeznaczenie. Prosta droga i kręta droga nareszcie stały się jednością. Pojął – po raz pierwszy od pewnego zimnego wiosennego poranka w ciepłej kuźni pośród gór – że muzułmanie są wrogami jego rasy. Był potomkiem Sasów. Człowiekiem Północy. Teraz,

gdy przyszło mu stawić czoło nieustępliwym mężom Wschodu, czuł wyraźnie brzemię swojego dziedzictwa, a świadomość ta przenikała go do szpiku kości.

Bors, któremu również pozwolono służyć na Posterunku Honoru, odwrócił się plecami do tureckiej armii i zaciągnął głęboko, jakby wyczuwał cudowny aromat.

– Czujesz? – szepnął, spoglądając na towarzysza.

Mattias patrzył, jak jego szare angielskie oczy giną w zmarszczkach uśmiechu.

– To zapach chwały – wyjaśnił Bors.

Tannhäuser nie odpowiedział. Chwała miała większą moc niż opium. Obawiał się jej potęgi.

Bors spojrzał na mury fortecy, a potem na rozległą i lśniącą panoplię zdobiącą wzgórza.

– Czy to być może? – spytał z niedowierzaniem. – Że tylu z tych ludzi zginie?

Tannhäuser spojrzał w tę samą stronę. I tym razem nie odpowiedział, bo nie było takiej potrzeby.

Efektowny pokaz sprawności i przepychu w wykonaniu armii tureckiej zadał pierwszy cios morale obrońców. Teraz nadeszła pora odwetu. De la Valette skinął na Andreasa, a ten skłonił się, podszedł do blanków i przekazał rozkaz wielkiego mistrza jednemu z braci-rycerzy. Rycerz uniósł i opuścił miecz, który oślepiająco błysnął w słońcu.

Tannhäuser się obrócił.

Pod szubienicą wzniesioną nad Bramą Prowansalską stał nagi i drżący stary lalkarz, za którym nie tak dawno Tannhäuser szedł ulicą Madżistral. Jeden z żołnierzy podszedł do starca i wbił tępy koniec włóczni między jego łopatki. Resztki godności opuściły nieszczęśnika, który zachwiał się na miękkich nogach, narobił pod siebie i z okrzykiem stłumionym węzłem wepchniętym między dziąsła runął w dół na spotkanie śmierci. Wydawało się, że spada niezmiernie długo, a potem lina naprężyła się z trzaskiem podobnym do wystrzału i żołnierze obu armii zobaczyli, jak stary karagözi tańczy i podskakuje w powietrzu niczym jedna z lalek w jego teatrzyku, ponad rowem okalającym mury.

De la Valette rozkazał, by każdego dnia oblężenia wieszać jednego muzułmanina. Tannhäuser uważał, że to wyborny plan – nie tylko dlatego, że jego podłość była świetną odpowiedzią na splendor tureckiej armii, ale przede wszystkim dlatego, że wisielec był jasnym symbolem dla obu armii: konflikt zakończy się dopiero wtedy, gdy jedna ze stron sczeźnie. Jeśli chodzi o wybór pierwszej ofiary, to z punktu widzenia obrońców również był to majstersztyk. Stary lalkarz był znany bodaj wszystkim mieszkańcom wyspy i powszechnie darzono go sympatią. Był tak naprawdę jedynym ludzkim obliczem islamu, jakie tu znano.

Teraz zaś podrygiwał pod belką szubienicy, a zawartość jego jelit i pęcherza wolno skapywała z pokręconych palców jego stóp. Jednym ruchem de la Valette uczynił całą populację Malty wspólnikiem okrutnego i rażąco niesprawiedliwego morderstwa. Zamienił wszystkie serca w kamień. Uczynił wszystkich potworami w oczach wroga. Jeżeli ta walka miała być barbarzyńską, ekstremalną i niemoralną próbą sił, teraz wiedzieli już o tym wszyscy chrześcijanie broniący murów.

Drgawki starca ustały i ohydne, martwe ciało zawisło spokojnie na końcu liny nad Wielką Równiną.

Pułkownik le Mas wzniósł miecz i ryknął w kierunku równiny:

– Za Chrystusa i Jana Chrzciciela!

Ledwie umilkło echo jego głosu, a już stłoczeni na murach chrześcijanie podjęli bojowy okrzyk. Przetoczył się z lewa na prawo, z jednego ciasnego bastionu do następnego, z narastającą furią, a potem przekroczył akwen Porto delle Galere i sięgnął murów fortu Świętego Michała, wzmacniany po drodze niecenzuralnymi wrzaskami żołnierzy. Echo z dalekich szańców Świętego Elma po drugiej stronie Wielkiego Portu podchwyciło bojowy okrzyk po krótkiej chwili. Potem zapadła cisza.

Przerwały ją tureckie rogi, a zaraz potem armaty podskoczyły jak smoki uwięzione łańcuchami, a z ich paszcz bluznął ogień – zaczęła się guerre à outrance.

Deszcz kamiennych kul pomknął łukiem ku Il Borgo. Pociski poczyniły pierwsze pokaźne wyłomy w ścianach twierdzy, a mur pod stopami broniących drżał niebezpiecznie. W tym samym momencie pułk janczarów tufeków opuścił wzgórze, na którym dotąd stacjonował, i pognał do ataku pustą równiną. Tannhäuser patrzył, jak formacja płynnie przyjmuje kształt potrójnego szeregu – ze zdumiewającą perfekcją geometrii – i jak błyszczą w słońcu długie lufy opuszczanych na komendę muszkietów. Rozbrzmiała salwa i strzelcy zniknęli w chmurze dymu. Wydawało się, że są zdecydowanie za daleko od celu, lecz Tannhäuser wiedział, czego należy się spodziewać. Przykucnął za blankiem i słuchał, jak świst zbyt wysoko lecących kul ginie w huku tych, które trafiły w pancerze rycerzy. Młody giermek de la Valette'a dostał w gardło i na oczach Mattiasa legł u stóp swego pana. Żaden mięsień nie drgnął na twarzy wielkiego mistrza, gdy nakazywał sługom, by usunęli ciało.

Tannhäuser wyprostował się i oparł strzelbę o mur.

Dusił się w ciężkim hełmie i pancerzu, ale nie mógł się schować w cieniu. Otarł pot z czoła chustką, którą trzymał w rękawie. Dym nad równiną przerzedził się i widać było, jak janczarzy z pierwszego szeregu ponownie ładują broń. Twarze pod ich wysokimi czapkami wydawały się rozmazane. Tannhäuser przycisnął do ramienia hiszpańską kolbę i

wycelował w stronę strzelca w samym środku szyku. Wziął poprawkę na krzywiznę toru pocisku i pociągnął język spustowy. Koło zgrzytnęło pirytem o metal i rozległ się huk wystrzału. Hałas uzmysłowił Tannhäuserowi, że zapomniał o wosku do uszu. Wychylił się i spojrzał ponad obłokiem dymu. Przeciwnik leżał nieruchomo na piasku, a jeden z jego towarzyszy przestąpił nad nim, zajmując miejsce w szyku. Tannhäuser znowu był na wojnie. Poczuł, że czyjaś ręka zaciska się na jego ramieniu.

– Na Boga! – zawołał Bors. – Powiedziałbym, że należy ci się nagroda za pierwszą zdobycz.

– Nie – odparł Tannhäuser. – Ten zaszczyt przypada katu.

Na całej długości muru zagrzmiały arkebuzy chrześcijan, ale celnością nie dorównywały one długim na dziewięć dłoni muszkietom tureckim. Tylko wąski pas czerwonego pyłu uniósł się w powietrze, gdy zbyt krótka salwa uderzyła w grunt. Komendanci żandarmerii zgodnym wrzaskiem rozkazali wstrzymać ogień. Zanim jeszcze opadł pył, kolejna fala gazi rzuciła się z wyciem do ataku i posłała ku murom nową porcję kul. Działa Religii ulokowane w bastionie Italii i bastionie Kastylii bluznęły ogniem ku gęstniejącej chmurze kurzu i cofnęły się niesione odrzutem; zaraz potem załogi zaczęły pchać je z powrotem na miejsce, w biegu szorując wyciorami lufy. Wielkie metalowe kule odbiły się od gliny tak, jakby sam szatan bawił się nimi, i wydrążyły głębokie, krwawe tunele w osmańskich szeregach. Okrzyk radości rozległ się na murach i znowu świsnęły kule z muszkietów. Batalion rozjuszonych rycerzy stanął u Bramy Prowansalskiej, domagając się otwarcia jej i zaspokojenia głodu krwi w otwartej walce.

Tannhäuser oderwał wzrok od tego szalonego widowiska i spojrzał na szczerzącego zęby Borsa.

– Te mosiężne kule to pewnie z naszych zapasów – powiedział Anglik.

Tannhäuser postawił strzelbę na kolbie i wsypał do lufy porcję prochu. Chwała? Nie, jeszcze nie teraz. Nie z tej odległości. Miał zresztą nadzieję, że odległość nie będzie się zmniejszać. W każdym razie lepsza część jego jestestwa miała taką nadzieję. Podobnie jak zabijanie księży, zabijanie dawnych towarzyszy nie różniło się praktycznie od zabijania kogokolwiek innego. Jeżeli coś czuł, to tylko ciemną stronę radości oraz dreszcz zawsze towarzyszący władaniu mocą zastrzeżoną dawniej dla złośliwych bóstw: mocą zabijania jednym uderzeniem pioruna. Otaczał go wyłącznie swąd dymu, ale wciąż czuł na wargach wonne pocałunki Amparo i Carli. Były zaiste cudowną parą. I jakie cudowne było jego życie!

Tannhäuser postanowił, że pozostanie w dobrym nastroju.

Zwrócił się ku Borsowi, który mrużył oko, tuląc policzek do kolby muszkietu.

– Wziąłeś może trochę wosku? – zawołał Tannhäuser.

Bors poruszył palcem w uchu, pokazując, że jest zatkane.

– Czy wziąłem trochę czego?

Poniedziałek, 21 maja 1565 - Wzgórza Santa Margharita – Wielka Równina

Wedle woli Allaha, walczyli ręka w rękę przez bite sześć godzin. W promieniach zachodzącego słońca wyczerpani wojownicy rzucali długie cienie, które tańczyły jak szalone na splamionej krwią równinie, jakby nie tylko ludzi, ale i ich duchy ogarnęło delirium. A przecież był to zaledwie prolog do jeszcze nienapisanej tragedii.

Abbas Ibn Murad, aga jednostki Sari Bajrak, dosiadał swego czarnego jak węgiel araba, stojąc na czele wiernej brygady. Spoglądał na setki ciał, którymi usiane było pole walki, i nie mógł nie zauważyć, że liczba zabitych wiernych w stosunku do liczby zabitych niewiernych miała się jak dziesięć do jednego. Tak ciężkie straty były naturalnie do zaakceptowania – nie istniała wszak większa rozkosz niż śmierć za Allaha, w służbie Sulejmana, Ucieczki Wszelkich Ludów Świata. Niemniej jednak szpiedzy, którzy zapewniali Mustafę, że Maltę można wziąć w dwa tygodnie, musieli żegnać się z życiem. Abbas nie walczył z Frankami od czasu kampanii węgierskiej sprzed paru dziesięcioleci. Nad Drawą wyrżnęli armię Ferdynanda do nogi, a głowy ich dowódców wysłali do Stambułu w glinianych dzbanach. A kiedy w 1541 roku Ferdynand wykazał się nierozwagą, odbijając Budę, sułtan odpowiedział kampanią wzdłuż Dunaju, która stała się pasmem zwycięstw. Ale ci rycerze Jana Chrzciciela, te dzieci szatana… Tak, oni byli z innej gliny.

Dwaj z nich, Francuz i Portugalczyk, których wzięto do niewoli pod Zeitun, jeszcze w sobotę poddawani byli torturom przez trzydzieści godzin przez najzdolniejszych śledczych Mustafy i żaden nie pisnął ani słowa, jeśli nie liczyć modlitw. A kiedy wreszcie zostali złamani, każdy z nich – całkiem niezależnie od drugiego – przysiągł, że najsłabszym punktem chrześcijańskiej obrony jest bastion Kastylii. Tyle że bastion Kastylii – jak dowiodło tego z pełną brutalnością natarcie poprowadzone tego popołudnia – okazał się najsilniejszym punktem twierdzy.

Abbas spojrzał na powieszonego niewolnika, który wciąż dyndał na sznurze ponad równiną, smażąc się w słońcu jak lalka z demonicznego przedstawienia. Egzekucja była barbarzyństwem i zniewagą, którą Abbas wziął z początku za przejaw zuchwalstwa. Lecz kiedy otworzyły się wrota fortecy i banda rycerzy zakutych w żelazo wypadła na zewnątrz, by z mieczami i maczugami w dłoniach brodzić w masie janczarów, pozbył się tego złudzenia. Piekielne psy zaatakowały z taką zaciekłością, że wydawało się, iż janczarzy nie mają wyboru i będą musieli się wycofać. Jednak nie uczynili tego, mimo wielkich strat,

ponieważ tufekowie wolą raczej dać się wybić do ostatniego człowieka. Uratowali honor, a przy okazji utrzymali morderczą równowagę, nie ustępując pola. Rycerze zaś zostali otoczeni i zmienieni w kwadrat stali wokół mostu zwodzonego. Długi dzień dobiegał końca, a Abbas tylko przypatrywał się totalnemu chaosowi dymu, kurzu i kul, słuchając dźwięków huku muszkietów i brzęku kling, a także lamentów okaleczonych i rozpłatanych wojowników. Twarda, spieczona glina równiny stała się wilgotnym, czerwonawym bajorem krwi, moczu i ziemi. Taplając się w nim podczas tego pierwszego wypadu, obrońcy i atakujący mieli okazję wyrobić sobie opinię na temat przeciwnika.

Wciąż czekając na rozkaz włączenia się do walki, Abbas odwrócił się i spojrzał na swoich ludzi. Tak jak się spodziewał, byli niewzruszeni, a także chętni do walk. Słońce jednak zachodziło już za szczyt góry na zachodzie – Monte Sciberras, jak mu się zdawało – i jeśli jego oddział nie miał trafić do walki lada chwila, to zapewne nie miał trafić do walki w ogóle, a przynajmniej nie tego dnia. Adiutant uniósł rękę i Abbas zawrócił konia, by spojrzeć we wskazanym kierunku. Od strony złotego namiotu Lali Mustafy Paszy stojącego na wzgórzu pędził w ich stronę posłaniec.

Lala Mustafa był Isfendijaroglu; jego przodek dzierżył sztandar Proroka podczas podboju Arabii. Miał siedemdziesiąt lat, a jego osobista odwaga stała się już legendą, podobnie jak wybuchowy temperament i rozwiązłość wobec podwładnych. To on upokorzył rycerzy świętego Jana na Rodos w dwudziestym drugim roku, gdy tylko łaska młodego Sulejmana ocaliła zakon przed całkowitym zniszczeniem. Niewierne psy odwdzięczyły się za tę łaskę czterdziestoleciem terroru wobec muzułmańskich pielgrzymów i kupców. Teraz trzeba było naprawić ten błąd. Twierdza piekielnych psów miała zostać starta na proch, a z życiem miał ujść tylko wielki mistrz – po to jedynie, by skuty łańcuchami mógł klęknąć przed padyszachem. To jednak nie było kwestią dwóch tygodni. W umyśle Abbasa zaświtała niewesoła myśl, że jest to być może kwestia dwóch miesięcy.

Raz jeszcze rozejrzał się po polu walki. Rów wokół twierdzy chrześcijan był głęboki, a jej mury solidne. Fortyfikacje raczej proste, ale dobrze pomyślane. Jego uwagę przykuła szubienica wysoko na murach. Podobno ludzka dusza może nawiedzać w snach mężczyzn i kobiety z tego świata. Czy ktokolwiek chciałby, zastanawiał się Abbas, żeby nawiedziła go w nocy dusza powieszonego niewolnika? Albo janczara gnijącego w szkarłatnym wieczornym upale? Chmura kurzu otaczająca posłańca była coraz bliżej. Abbas wiedział, że silah d-dar dostanie rozkaz ataku. Wezwał trębacza i dobył szabli, mrucząc:

– W imię Boga Miłosiernego i Litościwego!

Chwała Bogu, Panu światów,

Miłosiernemu i Litościwemu,

Królowi Dnia Sądu.

Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc.

Prowadź nas drogą prostą.

Drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami; nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błądzą.

Chwała i wdzięczność Allahowi, Panu wszystkich światów[1].

---

[1] Według przekładu Józefa Bielawskiego.

Część druga - Maltańska Iliada

Poniedziałek, 4 czerwca 1565 - Klasztor Świętej Sabiny, Rzym

Podróż z Neapolu do Rzymu zabrała Ludovicowi Ludoviciemu nieco ponad trzy dni. Był zmęczony i brudny. Anacleto jechał wytrwale u jego boku. Modlili się często, a lud wszystkich ziem, przez które przejeżdżali, kłaniał im się nisko, jakby wierzył, że ma przed sobą parę mściwych duchów powracających na ziemię z niecną misją, o której lepiej nic nie wiedzieć. Mijali niezliczone pogańskie groby i katakumby, znaki dawnej potęgi skazanej na niebyt. Jadali w siodle i przestali liczyć konie, które doprowadzili do skrajnego wyczerpania; nawet wytrzymałość samego Ludovica poddana została ciężkiej próbie. On jednak cieszył się z tego, chciał bowiem zmienić w stal swoje ścięgna przed tym, co czekało go już wkrótce.

Skrajne zmęczenie sprawiło, że ulice Rzymu, wciąż gorące w tę spokojną, gwiaździstą letnią noc, wydawały mu się mniej realne niż zwykle i bardziej nasycone bezprawiem. Wjechał przez Bramę Świętego Pawła ze spuszczoną głową, bo szpiegów nie brakowało, a on wolał pozostać nierozpoznany. Na ulicach Ripy stręczyciele i prostytutki bezwstydnie ofiarowali mu swe usługi, ani trochę nie speszeni jego mnisim habitem; proponowali nawet towarzystwo delikatnych chłopców, gdyby takie było jego życzenie. Egzotyczne ptaki i zwierzęta – papugi wykrzykujące przekleństwa, czepiaki, lemury, maleńkie zielone smoki na czerwonych, jedwabnych smyczach – wpychano mu ze wszystkich stron. Apetyczne wonie dolatujące z ulicznych kuchni drażniły jego podniebienie, ale zapanował nad pokusą. Wiele było takich, którym musiał się oprzeć w tej współczesnej Sodomie.

Rzym był teokratyczną dyktaturą, najbardziej liczącą się tu siłą nie był wszakże Jezus Chrystus, ale żądza. Żądza złota, ziemi i piękna, seksu, strawy i wina, tytułów, splendoru, blichtru, intrygi i zdrady, a nade wszystko – żądza władzy, władzy w czystej postaci i w niezliczonych formach nieistniejących w żadnym innym miejscu na świecie. Nawet pobożność była tu pożądana i sprzedawana jak każdy inny towar. Odwrotnie niż w prężnych krajach Północy i w hiszpańskich dominiach na Południu, w Rzymie królowała bezczynność, zarówno wśród mas biedoty kłębiącej się w dzielnicach nędzy niczym stado bezzębnych psów, jak i wśród pazernej rzeszy bogaczy zamkniętych w wytwornych pałacach. Ogromny strumień gotówki – wyciśniętej z kieszeni wiernych całego chrześcijańskiego

świata, pożyczonej od rosnących w siłę międzynarodowych bankierów oraz wymuszonej podatkami z ziem należących do papiestwa – wlewał się w gardziel Rzymu, służąc głównie nieustającej orgii konsumpcji. Kościoły i katedry były teatrem sztuki rodem z publicznej łaźni, ze wszystkich ścian świeciły tyłki i genitalia pederastów oraz udręczone twarze dziwnie młodych męczenników poddawanych dziwnie erotycznym torturom, a wszystkie te pedofilskie fantazje miały rzekomo służyć krzewieniu wiary. Nastoletni kardynałowie, którzy z trudem potrafili wyrecytować jakiekolwiek błogosławieństwo, włóczyli się po via della Pallacorda – między salą do gry w piłkę, szulernią a burdelem – w obstawie bezczelnych band złożonych z najemnych bravi. W mieście, w którym nie działał ani jeden solidny cech rzemieślniczy i gdzie znalezienie warsztatu kowalskiego było nie lada sztuką, jedyną kwitnącą gałęzią gospodarki była prostytucja (a wraz z nią choroba francuska i brodawki odbytu), a przeznaczeniem każdej dziewuszki o sarnich oczach i każdego gładkoskórego chłopaczka wydawał się nasiąknięty spermą materac. Poza granicami miasta całe armie bandytów – bezrobotnych żołnierzy, wywłaszczonych i bandytów będących produktem ubocznym wojen francusko-hiszpańskich – plądrowały kraj, a z wysokich przełęczy Alp spływała ku Stolicy Apostolskiej spiętrzona i trująca fala protestantyzmu w wydaniu kalwinistów, luteranów, anabaptystów i wszelkich innych heretyków.

Ludovico stąpał po tym szambie tak, jak niegdyś Chrystus stąpał po wodzie. Duchowni dogadzający sobie na wszelkie sposoby w marmurowych pałacach – pod pornograficznymi wizerunkami kopulujących driad i przy stołach jęczących pod ciężarem tłustych mięs, ciast i trunków – z lękiem spoglądali na jego surową, ascetyczną postać. I całkiem słusznie, Ludovico bowiem gardził nimi. Podczas poprzedniego pobytu w Rzymie doprowadził do upadku biskupa Tulonu, niejakiego Marcela d'Estainga, znanego homoseksualisty ze słabością do diamentów i kobiecych strojów. Choć Biblia, święty Paweł i Tomasz z Akwinu oraz wiele innych autorytetów potępiało zarówno cudzołóstwo, jak i seks analny, to jednak bardziej wnikliwa lektura pozwalała zauważyć, że nikt nigdy nie nazywał seksu z chłopcami grzechem – ani lekkim, ani śmiertelnym. To przeoczenie tłumaczyło wszechobecność cherubinkowatych młodzieńców – zwanych bardassos – w licznych rzymskich burdelach. Zapominając o tej furtce i angażując się w seks z dorosłymi mężczyznami – a mówiło się, że częściej widuje palce własnych stóp niż wnętrze swojego kościoła – biskup Tulonu przypieczętował swój los. Ludovico kazał zaszyć szlochającego d'Estainga w worku i wrzucić do Tybru.

A jednak pośród wszystkich tych sodomitów, sybarytów i złodziei działała również sprawna sieć ludzi całkiem innego autoramentu, którym Rzym zawdzięczał

przetrwanie i pozycję najważniejszego ośrodka chrześcijaństwa. Ludzi wiernych Bogu, bezlitosnych i zdolnych, którzy bez wojska, bez okrętów i z kuframi pełnymi jedynie obietnic próbowali sterować polityką całych narodów i czuwać nad moralną kondycją całej ludzkości. Ludzi opętanych najpotężniejszą ze wszystkich żądz: żądzą kształtowania gliny historii, która na ich oczach obracała się na garncarskim kole. Ludovico i kardynał Ghislieri byli właśnie takimi ludźmi. Ich armią było Święte Oficjum Inkwizycji Rzymskiej.

Wreszcie dwaj podróżni dotarli do klasztoru-warowni dominikanów i zsiedli z koni. Ludovico wysłał Anacleta do zakonników, by zjadł z nimi wieczerzę. Oficjalnie służył papieżowi Piusowi IV, znanemu dawniej jako Giovanni Angelo de Medici. W rzeczywistości jednak służył jego zaprzysięgłemu wrogowi – i jeśli szczęście im sprzyjało, przyszłemu papieżowi – Michele Ghislieriemu. Ghislieri powitał Ludovica z radością i razem udali się do kardynalskich pokojów, by spożyć prosty posiłek.

Ludovico jadł, słuchając najnowszych wiadomości. Kulminacją morderczych spisków w kolegium kardynałów między Francuzami a Habsburgami była walka na noże, która rozegrała się w nieukończonym jeszcze transepcie Santa Maria degli Angeli. Spodziewany tej zimy głód – a nikt nie wątpił, że głód zapanuje po ulewnych deszczach i drugim z rzędu nieurodzajnym sezonie – doprowadził do fali spekulacji na rynku zbożowym, dzięki którym papież zamierzał wydatnie powiększyć swą fortunę. Cztery tysiące żebraków wypędzono siłą poza mury miasta, aby znaleźli sobie inne miejsce do umierania z głodu. Rozkładające się ciała groziły wybuchem epidemii, a lęk przed nią doprowadził do rozruchów, w których spalono domy robotniczej biedoty; śmierć w płomieniach znalazło kilkadziesiąt osób.

Krótko mówiąc, wydawało się, że sprawy w Wiecznym Mieście układają się po staremu.

Podobnie było w całej Europie. Hiszpańscy Habsburgowie i francuscy Walezjusze wciąż spierali się ze sobą z wielu powodów, między innymi o prawo do niektórych państw Italii. Dwie rodziny królewskie od stulecia traktowały Półwysep Apeniński jako pole bitwy, dzieląc je między sobą wedle uznania, traktując miejscową ludność nie lepiej niż rdzennych mieszkańców Meksyku. Karol V dopuścił się nawet złupienia Rzymu i uwięzienia papieża. Jego syn Filip regularnie najeżdżał najbogatsze regiony kraju – Mediolan na północy i Neapol na południu. Każdy włoski patriota, nie wyłączając Ludovica i Ghislieriego, gorąco nienawidził obu tych dynastii. Ich wspólnym, odwiecznym marzeniem była Italia niezależna od hiszpańskich i francuskich najeźdźców. Na przeszkodzie w realizacji tego marzenia stali jednak kolejni równie skorumpowani papieże, którym brakowało wyobraźni i zdolności

przywódczych, by trwale związać ze sobą włoskie państewka. Brakowało im również środków dyplomatycznych i militarnych. Z dawna nierozwiązane kryzysy polityczne sprawiały, że Ghislieri tym bardziej pragnął zasiąść na papieskim tronie.

Ludovico zjadł ostatni kawałek sera i powrócił do sprawy, która zmusiła go do tej długiej podróży: do losu Religii, jej miejsca w szerszym planie spraw i do roli, którą on sam mógł jeszcze odegrać.

– Malta? – odpowiedział Ghislieri. Był siwym i kościstym mężczyzną, ale umysł w sześćdziesiątym pierwszym roku życia miał bystrzejszy niż kiedykolwiek wcześniej. – Większość z tych głupców nie potrafi nawet pokazać jej na mapie, a mimo to w mieście nie mówi się o niczym innym. Każdy ród królewski w Europie chciałby otulić się z tej okazji płaszczem pożyczonej chwały. – Ghislieri parsknął pogardliwie. – Nawet Elżbieta, ta angielska heretyczka, miała czelność zamówić msze za wybawienie rycerzy. A jeśli chodzi o Mediciego, można by pomyśleć, że stanie na szańcach, by wymachiwać mieczem, zamiast leżeć w łożu ze swymi chłopaczkami, którzy kolejno obciągają mu fiuta.

– Medici to sutener – zgodził się Ludovico. – Gdyby wiedział, że znalazłem się tutaj, kazałby mnie zabić. Tymczasem jednak cieszę się jego zaufaniem.

– I dobrze. – Ghislieri uścisnął ramię Ludovica. – Bardzo dobrze.

Giovanni Angelo de Medici, papież Pius IV, kierował Kościołem od prawie pięciu lat, ale wobec braku walorów intelektualnych – i jakichkolwiek innych – nigdy tak naprawdę nie powinien był zasiąść na tronie Piotrowym. Jedynym jego osiągnięciem było to, że przeżył jakoś trzy dziesięciolecia w cienistych zakątkach Watykanu. Fakt, że w roku 1559 konklawe wybrało go na papieża po trzech miesiącach jałowych sporów, był bolesnym kompromisem spreparowanym przez klan Farnese, któremu zależało przede wszystkim na niedopuszczeniu Ghislieriego na tron papieski. Medici nie przepadał za inkwizycją. Łagodnie traktował heretyków; otworzył też bramy więzień, by wypuścić wielu dysydentów. Skorumpowany do szpiku kości wyświęcił czterdziestu sześciu nowych kardynałów – więcej, niż przybyło ich w całym poprzednim stuleciu! – z których każdy odwdzięczył mu się w taki czy inny sposób. Pragnąc kupić sobie nieśmiertelność, przeznaczył miliony eskudów wyrwanych z kieszeni chłopstwa na kolejne cuda architektoniczne w i tak krzykliwej stolicy.

Teraz jednak Medici był stary i słaby. Lekceważąc podwójne zagrożenie – ze strony luteranizmu i islamu – przysporzył sobie wielu nowych wrogów. Jego najbardziej zagorzali krytycy przebąkiwali nawet o możliwym zabójstwie. Powszechnie wiedziano, że jedynym wsparciem, jakiego udzielił rycerzom świętego Jana w ich obecnym, trudnym położeniu, było wysłanie żałosnych dziesięciu tysięcy eskudów z jego szczerozłotej szkatuły.

W porze gorących dysput politycznych odwaga maltańskich zakonników była dobrym argumentem dla krytyków papieskiej indolencji. Medici zapragnął więc bardzo, by uznano go za wybawiciela Malty. I właśnie to pragnienie Ludovici chciał wykorzystać.

– Jakie nastroje wśród rycerzy? – spytał Ghislieri.

– Bojowe – odparł Ludovico.

– Są w stanie zwyciężyć?

– Z Bożą pomocą… De la Valette wierzy, że są.

– A ty?

– Jeśli w walce będą tak fanatyczni jak w słowach, to tak.

– Inkwizycja i Religia powinny być naturalnymi sprzymierzeńcami. Księga i miecz – dodał w zadumie Ghislieri, gładząc brodę. – A pod egidą oczyszczonego i odnowionego Watykanu…

– De la Valette nie ufa nikomu spoza zakonu – przerwał tę fantazję Ludovico.

– Nawet Mediciemu?

– Zwłaszcza Mediciemu. Medici od miesięcy ignoruje jego posła.

– Wierz mi, Giovanni Medici nie dożyje końca tego roku – powiedział Ghislieri.

Ludovico zastanawiał się, skąd ta pewność. Ghislieri tak bardzo pragnął włożyć buty Rybaka, że był gotów zlikwidować po drodze wszystkie czerwone kapelusze konklawe, ale wyraz jego twarzy sugerował, że nie należy drążyć tego tematu.

– Gdyby następca Jego Świątobliwości – Ghislieri oczywiście miał na myśli siebie – mógł liczyć na polityczny sojusz z zakonem – zwycięskim zakonem, bohaterem całej Europy – zyskałby potęgę, jaką nie cieszył się od stuleci żaden papież.

Ludovico skinął głową. Wszyscy papieże marzyli o tym, by przejąć kontrolę nad rycerzami świętego Jana, a to ze względu na ich wielką siłę militarną i wielki prestiż, a także rozległe ziemie i niemałe bogactwa. Gdyby Watykan ujął Religię w cugle, znów stałby się potęgą na miarę silnych państw. Tylko że żadnemu papieżowi nie udała się jeszcze ta sztuka.

– Książęta wyżej cenią zwycięstwa niż czystość krwi, a już na pewno wyżej niż pobożność – mówił Ghislieri chrapliwym głosem. – Religia, jeśli przetrwa, stanie się ucieleśnieniem wszystkich tych trzech wartości. Tacy ambasadorowie, wpleceni już w najważniejsze linie europejskiej arystokracji, byliby bezcennym skarbem. – Mętne oczy kardynała zalśniły w blasku świec. – Gdybym mógł – gdyby Watykan mógł – ukuć sojusz z Religią i wykorzystać go do zjednoczenia księstw włoskich oraz zyskania przychylności Francuzów, być może zaczęlibyśmy budować przeciwwagę dla hiszpańskiej potęgi. A wtedy, z upływem czasu, Italia mogłaby sama ukształtować swoje przeznaczenie.

– Rycerze nie pochwalają tych europejskich waśni – odparł Ludovico. – Żyją, by walczyć z islamem. Wciąż marzy im się Jerozolima.

– A tobie?

– Ja, panie, podobnie jak ty, marzę tylko o Italii wolnej od wrogich armii i zjednoczonej pod sztandarem Kościoła. Powiem ci jednak, że nie zawrzesz sojuszu z rycerzami, póki przewodzi im de la Valette. Jest Francuzem z krwi i kości, a na dodatek Gaskończykiem.

– Zapewne pomyślałeś już o innym rozwiązaniu – zasugerował Ghislieri.

– Trzeba zadbać o to, by na nowego wielkiego mistrza wybrano Włocha.

Ghislieri zmarszczył brwi, a Ludovico dobrze wiedział dlaczego. Kolegium elektorskie Religii było najbardziej złożonym wynalazkiem świata, w pełni świadomie skonstruowanym tak, by zapobiec jakimkolwiek wpływom z zewnątrz, a zwłaszcza z Rzymu. Po śmierci wielkiego mistrza wybór następcy musiał nastąpić w ciągu trzech dni. Przepis ten sprawiał, że decyzję podjąć mogli wyłącznie rycerze, którzy w danym momencie znajdowali się na wyspie. Mimo to w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin dochodziło wśród braci z konkurujących ze sobą frakcji do gorączkowych intryg, przekupstwa, przymuszania, szantażowania i składania zdumiewających obietnic. Ludovico słyszał nawet, że niektórzy zakonnicy chodzili wówczas w maskach, by ukryć swą przynależność do tej czy innej Langue. Trzon Religii stanowili w końcu najszlachetniej urodzeni, a zatem noszący we krwi solidną dawkę najstarszej i najbardziej arystokratycznej skazy: obsesji władzy. Skomplikowany system wyborczy, dopracowywany przez stulecia, uczynił współzawodnictwo jeszcze bardziej brutalnym.

– Czy to możliwe? – spytał Ghislieri.

– Mechanizm wyboru jest iście bizantyński – odparł Ludovico. – Każda Langue spotyka się w swojej kaplicy i wybiera jednego przedstawiciela. Tych ośmiu wybiera z kolei przewodniczącego elekcji. Wybierają też triumwirat, w którego skład wchodzi jeden rycerz, jeden kapelan i jeden brat służebny, a każdy musi być z innej Langue. Od tej chwili przewodniczący oraz pierwotnie wybrana ósemka nie biorą udziału w postępowaniu. Triumwirat wybiera czwartego członka, czterej wybierają piątego, pięciu wybiera szóstego, sześciu siódmego i tak dalej – a każdy nowy musi być z innej Langue niż poprzedni – aż wreszcie powstaje grupa szesnastu elektorów. Co najmniej jedenastu z nich musi być Rycerzami Sprawiedliwości, ale żaden nie może być Wielkim Krzyżem. W szesnastu wybierają większością głosów nowego mistrza, przy czym przewodniczący ma głos decydujący w razie nierozstrzygnięcia.

Ghislieri zamyślił się głęboko, zanim odpowiedział.

– Włoski wielki mistrz, to byłoby wyborne rozwiązanie. Sam ustawiłem w Rzymie więcej elekcji niż ktokolwiek inny. Ale kiedy system jest tak skomplikowany… Jak to zrobić?

– Z twoim błogosławieństwem – odrzekł Ludovico – zamierzam zostać rycerzem Religii.

Ghislieri spojrzał na niego bez słowa.

– Kiedy już stanę się członkiem zgromadzenia – ciągnął Ludovico – będę optował za właściwym kandydatem.

– Czyli za kim? – spytał Ghislieri.

– Za doskonałym żołnierzem, podziwianym przez wszystkie Langue za wybitne przywództwo w czasie wojny. Za człowiekiem, którego dobrze znasz.

– Za Pietrem del Monte – domyślił się Ghislieri.

Ludovico skinął głową. Del Monte był przeorem Langue Włoskiej i admirałem floty joannitów. Miał sześćdziesiąt pięć lat i niezrównaną reputację.

– Jego jedyną słabością – ciągnął Ludovico – jest brak politycznego wyrafinowania, ale to akurat zaleta z naszego punktu widzenia. Będzie wrażliwy na twoje – a może powinienem rzec: papieskie – potrzeby. Inne frakcje uznają, że to najmniej sporny kandydat.

– Jakim sposobem? – zdziwił się Ghislieri.

– W obliczu tureckiej nawały każdy z braci oddałby życie za pozostałych. Lecz mimo to nie brakuje między nimi wewnętrznej rywalizacji. Francuzi od ponad stulecia dominują w zakonie. Hiszpanie, Katalończycy i Portugalczycy są z tego powodu bardzo niezadowoleni. Francuz, de l'Isle Adam, stracił Rodos. Nawet sam de la Valette nie jest święty: osiemnaście tysięcy Hiszpanów zabitych pod Dżerbą; nieudane oswobodzenie Trypolisu; Zoara – pierwsza porażka od czasu Rodos. To przez zdradę Francuzów straciliśmy Trypolis, a de la Valette nie tylko wypuścił sprawcę, Gasparda Valliera, z więzienia, ale jeszcze mianował go bajlifem Largo. Nawet w dobie pokoju Francuzi i Hiszpanie kłócą się ze sobą, a polityczne spory nigdy nie są tak zażarte jak podczas wojny. Każdy obóz będzie się sprzeciwiał kandydaturze konkurenta. Nie potrzeba nic więcej prócz głosu rozsądku – oraz może kilku niezbędnych przysług – by uczynić del Monte kandydatem na wojennego mistrza.

– Aż taki pewny jesteś?

– Rycerze są pragmatyczni. W bitwie wszystko może się zdarzyć, a miłość de la Valette'a do wojny jest silniejsza niż inne jego namiętności. Legiony piekielne nie

powstrzymałyby go przed walką na murach. Jeżeli zaś de la Valette zginie w bitwie – Ghislieri uniósł brwi – to zwyczajowe machinacje wyborcze nie będą możliwe, bo równałyby się samobójstwu. Dla podtrzymania morale nowy wielki mistrz potrzebny będzie natychmiast. W takiej sytuacji poważnych kandydatów da się policzyć na palcach jednej ręki. Jednym z nich jest del Monte. Z moją pomocą – może wygrać.

– A jeśli i del Monte zginie?

– Mathurin Romegas, generał i wielki bohater, również znalazłby się w tym wąskim gronie. Jest może mniej ustępliwy niż del Monte, ale to dobry syn Italii.

Ghislieri złożył dłonie i opuścił głowę, wpatrzony w blat stołu. Wyglądał na zatroskanego.

– Krzyż nie trafia do tych, co mają słabe plecy – powiedział Ludovico.

Ghislieri uniósł głowę.

– Jeżeli de la Valette zginie w bitwie… A jeżeli nie w bitwie?

– Nie powinieneś trudzić tą myślą swego sumienia, panie – odparł Ludovico. – Nie powinieneś też nic więcej wiedzieć. Wystarczy, że dasz mi swoje błogosławieństwo, jeśli spróbuję dołączyć do Religii.

– Moje błogosławieństwo będzie ci najmniej potrzebne. Nie tak łatwo zostać członkiem tego zakonu. Mówiąc wprost, rycerze nie przyjmą chętnie inkwizytora.

– Ku ich zaskoczeniu, nie zrobiłem niczego, co mogłoby wzbudzić ich wrogość. Cieszę się też szacunkiem de la Valette'a, bo obiecałem mu przedstawić sprawę Religii Ojcu Świętemu. Kolejne dwa kroki powinny mi zjednać ich miłość. Pierwszym będzie zorganizowanie pokaźnej pomocy wojskowej dla wyspy.

– Na tym etapie nawet Rzym nie zdoła jej zorganizować.

– Ale zrobi to hiszpański wicekról Sycylii, Garcia de Toledo.

– To, czy Toledo będzie interweniował czy też nie, zależy wyłącznie od jego prywatnych interesów oraz od woli Madrytu.

– Istotnie. W tej chwili ryzyko związane z wysłaniem poważnego wsparcia, o które prosił de la Valette, jest o wiele za duże. Pomyśl jednak o tym, co Toledo na pewno już dobrze rozważył. Jeśli Religia pokona Turków o własnych siłach, cała chwała spadnie na zakon. Jeśli natomiast Religia ulegnie zniszczeniu, to armia turecka, poważnie osłabiona i stłoczona na skalistej wysepce tysiąc mil od rodzinnych stron, będzie kuszącym łupem dla armii, którą Toledo na pewno zdoła zebrać na Sycylii już w początkach jesieni. Tragiczne zejście Religii i błyskotliwa rekonkwista zapewnią mu znaczące miejsce w dziejach.

– Sądzisz, że jest zdolny do takiej perfidii?

– Jest Kastylijczykiem.

– Ale czy król Filip także pozwoliłby, aby Malta upadła?

– Dlaczego nie, gdyby mógł potem odzyskać ją już jako wyłącznie hiszpańską twierdzę? Karol V oddał Maltę zakonowi tylko po to, by mieć z nimi spokój po upadku Rodos. W owym czasie była to biedna wyspa o nikłym znaczeniu strategicznym. Ale tak było czterdzieści lat temu, zanim dojrzał Sulejman, zanim doszło do klęsk w Afryce Północnej i wreszcie zanim Karol podzielił cesarstwo między swego syna i brata. Odkąd rycerze zjawili się na Malcie, świat zdążył stanąć na głowie.

Ghislieri pokręcił głową, nie do końca przekonany.

– Toledo waha się, ponieważ strata Malty i śródziemnomorskiej floty hiszpańskiej jednocześnie byłaby całkowitą katastrofą – tłumaczył Ludovico. – A jeśli chodzi o Turków, to historia katastrof z ich udziałem jest wystarczająco długa. Toledo będzie więc zwlekał i obserwował, w którą stronę powieje wiatr. Lecz jeśli udałoby mi się przekonać go, by wysłał niewielki oddział – powiedzmy tysiąc ludzi – to mógłby twierdzić, że zrobił, co w jego mocy, a rycerze de la Valette'a sławiliby mnie pod niebiosa, nie patrząc na to, że jestem inkwizytorem.

Ghislieri rozważał inne możliwości.

– Ale czy nasza kongregacja zdoła zgromadzić odpowiednie środki? Przekupywanie bogatych bywa bardzo kosztowne; zresztą tylko dlatego nie jestem jeszcze papieżem. Toledo nie należy do biednych, a hiszpańska pazerność nie jest jedynie legendą.

– Przywileje, bogactwa i święte relikwie z papieskiego skarbca są znacznie cenniejsze od tych, którymi może szafować nasze zgromadzenie. To Watykan powinien kupić łaskę nie tylko Toleda, ale i najważniejszych postaci w Religii. – Ludovico pochylił się ku Ghislieriemu. – Niech Medici zapłaci muzykantom, a my podamy melodię.

Kardynał nieprzerwanie skubał siwą brodę.

– Twoja strategia spodobałaby się nie tylko Mediciemu, ale i jego następcy. Będziesz działał przy jego pełnym wsparciu.

– Jutro – rzekł Ludovici – udam, że dopiero przybyłem do Rzymu, i złożę meldunek Mediciemu, tak by myślał, że tylko z nim rozmawiałem. Jestem pewien, że zaopatrzy mnie we wszystkie instrumenty, których potrzebuję.

– Wtedy wrócisz na Maltę?

– Na Sycylię, do Garcii de Toledo, a potem na Maltę.

– A jeśli wyspa będzie już w rękach Turków?

Ludovico nie odpowiedział.

– Gdy tylko pokażę się w Watykanie – rzekł, wstając – do końca mego pobytu będą mnie śledzić. Nie spotkamy się więc ponownie przed moim wyjazdem.

Ghislieri zmarszczył czoło.

– Wspomniałeś, że wykonasz dwa kroki, nim Religia przytuli cię do swego łona. Jaki będzie ten drugi?

– Dołączę do rycerzy na bastionach ich twierdzy i przeleję krew w walce z niewiernymi.

Teraz w oczach Ghislieriego pojawiły się zupełnie nowe uczucia. Wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Ludovica.

– Błagam cię, nie jedź dalej niż na Sycylię.

Ludovico spojrzał na niego, ale nie odpowiedział.

– Jesteś mi bliższy niż syn, którego nigdy nie miałem – ciągnął Ghislieri. – I równie drogi.

Ludovico, nienawykły do takich dowodów uczucia, był wzruszony, ale i tym razem nie odpowiedział.

– Jesteś młodym człowiekiem. Pewnego dnia sam mógłbyś włożyć na palec pierścień Piotrowy. I szczerze mówiąc, mam taką nadzieję i modlę się o to.

O tym Ludovico już wiedział. Wyobraził sobie już każdy krok, który należało przedsięwziąć, jakby miał się przeprawić po kamieniach przez rwący strumień. Pragnął osiągnąć to, co wydawało się nieosiągalne. Pragnął upadku de la Valette'a. Pragnął rozstrzygającej bitwy. Były to drobne pragnienia, ale uważał, że wyrażają moc równie głęboką, jak fundamentalną: wolę Boga.

– Zabraniasz mi jechać? – spytał.

Ghislieri westchnął i pokręcił głową.

– A jeśli zginiesz?

– Poświęciłem się sprawie bożej – odparł Ludovico. – Czy mam twoje błogosławieństwo?

– Jako członek Świętej Kongregacji czy jako rycerz świętego Jana?

– Wszystko jedno. Jako ten, kto służy woli Boga.

Wtorek, 5 czerwca 1565 - Il Borgo, nabrzeże, noc

Noc. Wiatr. Gwiazdy. Morze. Skały.

Za dnia panował niemiłosierny upał, za to noce – takie jak ta – przynosiły chłód i zielona lniana sukienka Amparo nie wystarczała, by zapewnić jej ciepło. Otoczyła kolana szczupłymi ramionami, drżąc na chłodnym wietrze. Niewysoka fala mieniła się srebrzyście, a księżyc wisiał nisko na gwiaździstym niebie. Kierunki nie znaczyły dla Amparo więcej niż czas. Tam, gdzie siedziała, między stertami drewna nad zatoką Kalkara, łagodni przyjaciele – wiatr, morze, gwiazdy, księżyc i noc – byli wszystkim, co znała. To wystarczyło, by czuła się pewnie. Na kolanach, w skórzanym futerale, leżało jej szkło wizji. Próbowała czytać jego sekrety w świetle księżyca, ale anioły nie przemówiły. Zobaczyła tylko barwne wiry. Były ładne, ale nic nie znaczyły. Czyżby anioły uciekły przed nienawiścią, która otaczała ją ze wszystkich stron? A może dlatego, że Amparo znalazła miłość i nie potrzebowała już ich wskazówek?

Tannhäuser był między poganami, gdzieś za tymi potwornymi murami, które zamykały miasto ze wszystkich stron i sprawiały, że czuła się uwięziona. Dni ciągnęły się w nieskończoność, gdy nie było ani jego, ani Buraqa. Kwatermistrz skarcił ją za marnowanie wody na podlewanie kwiatów i nie pozostało jej nic więcej, tylko obserwować, jak umierają. Zapadł zmierzch, a Tannhäuser nie powrócił. Zmęczona czekaniem i niepokojem włóczyła się po nabrzeżach, szukając ciszy, której na ulicach miasta już nie było. Od świtu do zmierzchu ziemia trzęsła się od huku dział. Z infirmerii dobiegały wrzaski mrożące krew w żyłach. Ludzie krzyczeli i mamrotali modlitwy. Strzelanie pejczów, gwizdy i przekleństwa wprawiały w ruch nieszczęśników skutych łańcuchami, którzy w tym mieście niekończących się murów wznosili kolejne kamienne ściany. W oberży Carla rozpaczała, nie mogąc odnaleźć syna. I choć nie wspomniała o tym, być może jej przygnębienie miało coś wspólnego i z tym, że Tannhäuser uczynił z Amparo swą kochankę.

W sprawie owego nieznanego chłopca Amparo właściwie nie miała żadnych odczuć. Zdawało się jej, że to misja wymagająca połączenia zdarzeń z martwej przeszłości z przyszłością, która jeszcze nie istniała – nie rozumiała sensu tej zagadki. Nigdy nie sięgała wyobraźnią dalej niż na kilka godzin wstecz lub do przodu. Jutro wydawało jej się dalekie, a wczoraj już nie istniało. Wspomnień miała niewiele, a ambicja pozostawała dla niej niepojętym sekretem. Miała jednak nadzieję, że chłopak się odnajdzie, to bowiem uszczęśliwiłoby Carlę. Zanim Carla wyłoniła się na swym koniu spomiędzy wierzb, niczym

anioły w jej szkle wizji, życie Amparo polegało głównie na przetrzymywaniu trudnych chwil. Od tamtej pory zaś było w nim mnóstwo nowych i pięknych spraw. Kochała Carlę, ale poszukiwanie chłopca było przedsięwzięciem, w którym nie widziała roli dla siebie.

Co się zaś tyczy Tannhäusera, to i jego kochała – dziką, straszliwą namiętnością, która przenikała jej krew, jej duszę i serce. Kochała go od chwili, gdy opowiedział jej o słowiku i róży – krwistoczerwonej róży, która zabiła tego, co ją umiłował. Tannhäuser dał jej żółte skórzane pantofle, które kupił na tureckim bazarze. Przyniósł też grzebyk z kości słoniowej, inkrustowany srebrnymi arabeskami, który nosiła wiernie w swych splątanych włosach. Sprawiał, że nocą jęczała w głos, gdy pod nim leżała. Sprawiał, że płakała, gdy spał, a ona leżała na jego piersi i lękała się o jego życie. Amparo wiedziała, że jest inna niż większość kobiet. Jak i dlaczego – tego nie umiała wyjaśnić, ale tak zawsze było. Sądziła też, że wie, co to seks. Był wszędzie wokół niej: i w zagrodzie byków, które hodował jej ojciec, i w brudnych chatach, w których nocowała podczas swych wędrówek, i na zatłoczonych, niebezpiecznych ulicach Barcelony, i w osobie sprzedawcy słodyczy, który kopniakiem zniekształcił jej twarz, i w rechocie parobków, którzy przyciskali ją do ziemi i oddali na nią mocz, gdy skończyli. W świecie, który dzieliła z Carlą – świecie muzyki, koni i spokoju – nie widywało się takich rzeczy i nie mówiło się o nich. Początkowo Amparo była tym zdziwiona, minęły jednak lata i zapomniała o tych sprawach; podobnie jak dla Carli, seks stał się dla niej niezgłębioną tajemnicą. A potem zobaczyła nagiego Tannhäusera. Jej serce omal nie stanęło na zawsze, gdy ujrzała wytatuowane na jego ramionach i udach litery, okręgi, półksiężyce oraz czerwony, zakrzywiony sztylet z rękojeścią w kształcie smoczego łba. Teraz była już pewna, że to on jest mężczyzną, którego widziała w kamieniu wizji. Z dziką, bezwstydną radością ukazała i jemu swoje nagie ciało, oddała mu się, a on przyjął ten dar.

Być może węzeł małżeński połączy Carlę i Tannhäusera. Ten fakt wcale Amparo nie wzruszał i niewiele o nim myślała, dotyczył bowiem dalekiej przyszłości. Nie wydawało jej się, by łączyła ich miłość. Nie sądziła nawet, by Carla pragnęła Tannhäusera, bo przecież nie wspomniała o tym ani słowem. Zauważyła tylko jej żal, gdy patrzyła na pocałunek w ogrodzie przy oberży. Ale skoro Carla nigdy nie mówiła o tych sprawach, cóż mogła o nich wiedzieć? Widocznie martwi ją tylko los chłopca, pomyślała Amparo i z nieco lżejszym sercem zajęła się innymi rozważaniami.

– Hola.

Odwróciła się bez lęku, słysząc to słowo, choć temu, kto je wypowiedział, udało się podejść ją całkiem bezszelestnie. W dodatku młodzik, którego zobaczyła, wyglądał na bardziej przestraszonego tym spotkaniem. Miał szczupłą i gładką twarz bez zarostu, a jego

rysy nie były jeszcze całkiem ukształtowane. Był jednak wysoki, choć może nie tak szeroki w ramionach jak większość Maltańczyków. Włosy miał sztywne od brudu, a ciało okryte skórzaną kamizelą byle jak nabijaną mosiężnymi ćwiekami. Wystrzępione portki przewiązał sznurem; stopy miał nagie i pokryte pęcherzami. Zza linki zastępującej pasek sterczała rękojeść rzeźnickiego noża. Chłopiec-mężczyzna, pomyślała. I przypomniała sobie, że widziała go w porcie tego dnia, kiedy przybyli na wyspę. Był wtedy zakurzony i cały w zakrzepłej krwi, a obok niego jakiś szalony lalkarz wyczyniał dzikie harce. Teraz patrzyła na niego w milczeniu tak długo, aż przestąpił z nogi na nogę i ponownie zebrał się na odwagę.

– Mówisz po francusku? – spytał w tej mowie i zaraz przeszedł na hiszpański: – Może po hiszpańsku?

Skinęła głową, a on widocznie uznał, że zrozumiała oba pytania, bo zaczął mówić mieszaniną dwóch języków.

– Jesteś ranna? – spytał, widząc, jak obejmuje nogi ramionami i przyciska do siebie.

Pokręciła głową. Rozejrzał się po nabrzeżu.

– To nie jest dla ciebie odpowiednie miejsce – powiedział. – Nie jest bezpieczne… dla dziewczyny.

Amparo wskazała na niebo, a chłopak zadarł głowę. Przez chwilę sądziła, że uznał to za jakiś nonsens, ale gdy znowu na nią popatrzył, pokiwał tylko głową, jakby nie używając słów, wyraziła się zupełnie jasno.

– Tak, gwiazdy. – Zaczerpnął powietrza i wskazał palcem na firmament. – Panna. Wielka Niedźwiedzica… – Zerknął na Amparo, żeby sprawdzić, czy zrobił na niej odpowiednie wrażenie. – Ale tu naprawdę nie jest bezpiecznie. Żołnierze. Tercios. – Umilkł, jakby zasugerował coś w niedelikatny sposób. Przez moment przypatrywał się dziewczynie, wsparłszy pięści na biodrach, jakby był władcą tej okolicy. – Zimno ci – stwierdził.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się, po czym zniknął jej z oczu. Jeszcze przez chwilę słychać było tupot gołych stóp na kamieniach, a potem zapadła cisza. Amparo zaczęła się zastanawiać, czy Tannhäuser już wrócił. Właśnie miała wstać i wrócić do oberży, żeby się przekonać, gdy znowu usłyszała tupot i po chwili pojawił się chłopak. Przyniósł płachtę surowego płótna, którego pierwotnej funkcji Amparo nie umiała odgadnąć, a który teraz najwyraźniej służył mu jako koc. Nieznajomy okrył nim jej ramiona i otulił z obu stron. Materiał pachniał morską wodą. Chwyciła za brzegi i opatuliła się mocniej.

– Miły jesteś – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Widziałem cię już – odpowiedział. – Z tym Niemcem.

– Z Niemcem?

– Z tym wielkim. – Chłopak wypiął pierś, położył dłoń na rękojeści noża i zaczął naśladować zamaszysty męski krok. – Z wielkim kapitanem Tannhäuserem. Z tym, który szpieguje Turków dla de la Valette'a. Przemyka między nimi jak wiatr. I podrzyna im gardła, kiedy śpią.

Ta relacja o czynach Tannhäusera zaniepokoiła Amparo. Nie uwierzyła.

– I z tym drugim, z Anglikiem wielkim jak byk – ciągnął chłopak. – I z la belle dame. Przypłynęłaś z nimi na Couronne tego dnia, kiedy pierwszy raz zauważono okręty niewiernych. Zgadza się?

Amparo pamiętała, jak wpatrywał się w Tannhäusera i jak napotkał jej wzrok. Zobaczyła wtedy cień własnego życia, które zostawiła tak daleko stąd. Teraz znów go ujrzała, w całej okazałości, z jego gorzką i rozpaczliwą dumą. Skinęła głową.

– I ja widziałam ciebie. Ze starym lalkarzem.

– Z karagözi – poprawił ją chłopak i jakby posmutniał.

Pierwszego dnia Amparo wróciła do portu raz jeszcze, a wtedy starzec, choć go nie zachęcała, urządził dla niej przedstawienie w swoim teatrzyku cieni, ilustrowane fantastycznymi odgłosami w zmyślonych językach. Miała wrażenie, że była to opowieść o bogaczu, który prosi biedaka, by ten umarł w jego imieniu, obiecując mu wielkie bogactwa w przyszłym świecie. Lecz nawet jeśli sens tańca papierowych figurek nie był całkiem jasny, występ sprawił Amparo wielką przyjemność. Gdy pokazała na migi, że nie ma pieniędzy, żeby mu zapłacić, starzec padł na kolana i ucałował jej stopy. Od czasu, gdy pierwszego dnia bitwy żołnierze ciągnęli go ulicą, już go nie widziała.

– Gdzie on teraz jest? – spytała.

– W piekle – odparł chłopak.

– Nie – zaoponowała urażona tym domysłem. – Piekło nie jest dla takich dusz.

Nieznajomy zastanawiał się przez chwilę i zdawało się, że przyznał jej rację.

– W każdym razie karagözi na pewno nie żyje.

Ruchem rąk pokazał pętlę zaciskającą się na szyi i pochylił bezwładnie głowę. Skrzywiła się na ten widok, a on uśmiechnął się, jakby ta pantomima czyniła z niego mężczyznę, a z niej małą dziewczynkę. A potem nagle spojrzał w ciemność, przycisnął palec do ust i wskazał na ziemię.

– Spójrz – szepnął.

Długa, smukła jaszczurka sunęła w półmroku po bruku i zatrzymała się tuż przy nich, by przyjrzeć się im wyłupiastymi ślepiami. Chłopak skoczył ku niej, a jego ręka wystrzeliła naprzód, zanim Amparo zdążyła krzyknąć:

– Nie!

Pochwycił długi ogon, ale płaz szarpnął się mocno, po czym czmychnął w ciemność. Chłopak przykucnął obok Amparo i pokazał jej łuskowatą zdobycz – ogon, który został w jego dłoni.

– Gremxola – powiedział. – Bardzo sprytne. Potrafią to zrobić, żeby przeżyć. Przetrwać. – Odrzucił ogon i spojrzał prosto w oczy Amparo. – Zatem wyrzucili cię – stwierdził.

Amparo aż przymknęła oczy, zaskoczona tym absurdalnym stwierdzeniem. Chłopak zaś uśmiechnął się do niej smutno, odsłaniając białe, nierówne zęby odcinające się wyraźnie od spalonej słońcem twarzy.

– Mnie też – ciągnął. – To tu, to tam. Taka gra. Ale ja się nie przejmuję. Kiedy Turcy zabiją wielu, wielu ludzi, kawalerowie pozwolą mi walczyć z sobą na pierwszej linii, a wtedy, jeśli nie zginę, ja też zostanę wielkim człowiekiem. Tak trzeba iść naprzód w tym życiu: zabijać, ilu się da. Tannhäuser, de la Valette, wszyscy oni tak robią. Bo przed zabójcami świat stoi otworem. Chcę spróbować tej wolności. Znam tylko tę wyspę. Jest mała. I niedobra. Wszystkie dni takie same.

– Nie ma dwóch takich samych dni.

Chłopak nie dał się zbić z tropu.

– Ale ty pewnie widziałaś świat. Naprawdę jest tak duży, jak mówią?

– Tak wielki, że nikt nie pozna całego – odparła Amparo. – Jest też piękny i okrutny.

– I porośnięty wieloma zielonymi drzewami – dodał chłopak, by pokazać, jaką posiada wiedzę. – Jest ich tyle, że można jechać cały tydzień i się nie skończą. Są też góry zbyt wysokie, by można było na nie wejść. I śnieg.

– Drzewa, śnieg, kwiaty i rzeki tak szerokie, że z jednego brzegu nie widać drugiego – zgodziła się Amparo.

Chłopak pokiwał głową, jakby tymi słowy potwierdziła pogłoski, które słyszał. W jego oczach płonęła pasja, rozmawiali bowiem o marzeniach. Na myśl o tym, że te oczy mogłyby zgasnąć, Amparo poczuła smutek.

– A co będzie, jeśli tu zginiesz, na wojnie? – spytała.

– Jezus i Jego apostołowie powitają mnie w niebie – odparł chłopak i przeżegnał się. – Ale ja jestem za sprytny na to, żeby zginąć. Jak gremxola. To ty jesteś w niebezpieczeństwie, wiesz? Nie wierzysz mi. Nie martw się, znam Guzmana, abanderado z tercio z Neapolu, a on zna tego angielskiego byka… Barrasa?

– Borsa – poprawiła Amparo, kiwając głową.

– Tak, Borsa. Poproszę Guzmana, żeby porozmawiał z Borsem, może przyjmą cię z powrotem. Tannhäuser nie pozwoliłby, żebyś zamieszkała w dokach, tego jestem pewny, ale może zrobili to pod jego nieobecność, skoro jest tam… – chłopak wskazał ręką na ciemność po drugiej stronie zatoki – …gdzie zabija tureckich dowódców i podpala ich okręty.

Im bardziej szalone były jego fantazje, tym bardziej Amparo się niepokoiła.

– Skąd wiesz, co robi Tannhäuser?

– Ludzie z bastionu Kastylii ciągle o nim mówią – odparł, jakby chciał zasugerować, że jest jednym z nich. – Los soldados particulares. Nawet rycerze go szanują. Drzwi de la Valette'a są zawsze otwarte dla Tannhäusera, jak dla nikogo innego. Tylko on ma odwagę iść między wrogów. Ale nie bój się o kapitana Tannhäusera – dodał, widząc narastający niepokój Amparo. – Mówią, że on nigdy nie zginie. Tannhäuser zna Turków. Tannhäuser zna samego sułtana Sulejmana. A może i samego diabła? Ale powiedz mi, czy to la belle dame cię wygnała? Co takiego zrobiłaś?

– Nikt mnie nie wygnał – wyjaśniła. – Mieszkam w Oberży Angielskiej.

Popatrzył na nią z nowym zainteresowaniem i z czymś na kształt podziwu.

– Więc dlaczego tu przyszłaś?

– Szukałam spokoju.

– Spokoju? – Ten pomysł wydał mu się niedorzeczny. – Wobec tego odprowadzę cię do oberży. To dom Starkeya, ostatniego z Anglików. Dobrze znam to miejsce, bardzo dobrze.

Chłopak wstał, a że wydawał się bardzo przejęty własną galanterią, Amparo nie mogła mu odmówić. Podniosła się z ziemi i oddała mu koc. Przyjął go wstydliwie, jakby poniewczasie uznał, że nie wypadało ofiarować czegoś tak pospolitego tak szlachetnej damie. Zwinął go w kulę i cisnął na stertę bali. Teraz dopiero zauważył skórzany cylinder zawieszony na szyi Amparo.

– Co to? – spytał.

Dziewczyna przesunęła futerał pod pachę.

– Ciekawostka – odpowiedziała.

Zacisnął wargi, gdy dotarło do niego, że tylko tyle postanowiła mu zdradzić.

– Powiedz mi, jak się nazywasz – poprosiła.

– Orlandu – odparł. – Ale kiedy odejdę stąd, żeby zobaczyć wielki, wielki świat, i będę już szanowanym człowiekiem honoru, będę się nazywał Orlandu di Borgo.

– Dlaczego mieszkasz tu, na nabrzeżu? – spytała Amparo.

– Bo tu jestem wolny.

– A gdzie twoja rodzina?

– Rodzina? – Orlandu wydął wargi, a potem wykonał krótki, zdecydowany gest krawędzią dłoni. – Odciąłem się od niej – powiedział. – To nie są dobrzy ludzie.

Zadałaby może więcej pytań, ale jego mina sugerowała, że temat jest dlań bolesny i że wolałby go nie kontynuować.

– Jak ci na imię? – spytał.

– Amparo.

– Bardzo ładnie – mruknął z uśmiechem. – Zatem jesteś Hiszpanką. Szlachetnego rodu, jak la belle dame?

Pokręciła głową, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby to wyznanie bardzo ich zbliżyło. Zastanawiała się, czy jej pożąda, ale szybko doszła do wniosku, że nie. Chciał być mężczyzną, z determinacją tak wyczuwalną, że prawie podzielała jego pragnienie, ale z pewnością zbyt wiele jeszcze miał w sobie z dziecka, by znać prawdziwe pożądanie. Przeszła jej też przez głowę myśl, czy to możliwe, aby był synem Carli.

– Poznasz Tannhäusera, kiedy wróci – oświadczyła. – Powiem mu, że jesteś dzielnym młodzieńcem, który obronił mnie przed tercios, i że sprawiłby ci bardzo wielką radość, gdyby uścisnął twoją dłoń.

Oczy Orlandu omal nie wyszły z orbit.

– Sprawiłby czy nie? – spytała dla pewności.

– O, tak. Bardzo wielką – odparł Orlandu. – Bardzo, bardzo. – Przeczesał włosy palcami, jakby już szykował się na tę okazję. – Kiedy?

– Porozmawiam z nim jutro – odrzekła.

Orlandu pochwycił i ucałował jej dłoń. Nikt nigdy nie potraktował jej w taki sposób.

– Chodźmy już – powiedział. – Zaprowadzę cię do domu, zanim zajdzie księżyc.

Amparo miała nadzieję, że właśnie tego chłopca poszukuje Carla. Szczerze go polubiła. A jeśli to nie on, pomyślała, to ciekawe, czy dałoby się ją przekonać, że jest inaczej.

Piątek, 8 czerwca 1565 - Oberża Angielska – okolice Il Borgo – fort Świętego Anioła

Allah jest Wielki!
Wyznaję, że nie ma Boga prócz Allaha.
Wyznaję, że Mahomet jest Wysłannikiem Allaha.
Przybywajcie na modlitwę!
Przychodźcie dla zbawienia!
Allah jest Wielki!
Nie ma Boga prócz Allaha".

Tannhäuser ocknął się o świcie, słysząc poetyckie wezwanie muezzina. Od siedemnastu poranków adan rozbrzmiewał ze wzgórz Corradino i wpadał do Oberży Angielskiej przez otwarte okno. Tyle lat spędził wśród Franków, a ta melodia wciąż napełniała go – w zależności od tego, jakie sny ją poprzedzały – podziwem, lękiem, dumą, duchem bojowym albo niejasnym smutkiem, którego przyczyny nie potrafił rozszyfrować. To, że nie słyszał słów, nie miało znaczenia. Sura Al-Fatiha była wyryta w tym, co uchodziło za jego duszę, i żadna siła nie mogła jej wymazać.

„Prowadź nas drogą prostą.
Drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami; nie zaś tych, na których jesteś zagniewany, i nie tych, którzy błądzą".

Pustka w jego sercu była równie wielka jak wszechświat, który go otaczał, i nie znajdował w niej łaski; nie widział też prostej drogi ani żadnych wskazówek, które prowadziłyby do niej. I nawet wedle własnej miary musiał przyznać, że zszedł na manowce tak daleko, jak tylko można zejść, nie kończąc żywota na szubienicy. Ramię Amparo drgnęło na jego piersi, a palce, wiedzione czułym snem, pogładziły jego szyję. Westchnęła cicho. Tannhäuser odetchnął głęboko jej zapachem, a wraz z nim nadzieją, którą niósł nowy, jasny dzień.

Bladożółte światło wdarło się przez głęboko osadzone, pozbawione szyb okna i obudziło na jej skórze świeży blask. Leżała obok niego, odrzuciwszy prześcieradło, które okrywało tylko jej udo. Jej głowa spoczywała na ramieniu Mattiasa, czarne włosy

przesłaniały policzek, a na wpół rozwarte usta miały kolor cennego granatu. Każdy oddech uwidaczniał żebra na odsłoniętym tułowiu. Tannhäuser wyciągnął szyję, by nacieszyć oczy krzywizną jej pośladka. Wydawała mu się nie lada pięknością, mimo iż jej twarz i umysł były niedoskonałe, a nawet dziwne. Jej srom był lekko obrzmiały; zareagował też na pieszczotę, gdy Mattias zaczął gładzić palcami plecy dziewczyny. Muskał delikatnie wyrostki jej kręgów, wodząc dłonią coraz niżej i niżej, aż wreszcie za ostatnim z nich zagłębiła się między krągłości, które tak go zachwycały. W takim raju zmysłów mężczyzna mógłby zatracić się na zawsze, gdyby świat mu na to pozwolił. Lecz spośród wszystkich światów akurat ten nie pozwalał, jego serce było bowiem z kamienia. Mattias zastanawiał się, czy nie podniecić jej z wolna pocałunkami i zręcznymi sztuczkami, bo wiedział już, że pragnęła dotyku jego dłoni tak samo, jak jego dłonie pragnęły jej ciała. A potem położyłby się na niej całym ciężarem ciała i wbijał rytmicznie w materac, na co, jak się przekonał, nieustannie miała apetyt.

Pożądanie było w tym momencie trudne do opanowania; zmienił pozycję i sięgnął ręką, by uwolnić genitalia. Amparo zamruczała cicho i ułożyła się na plecach. Jej piersi rozjechały się nieco na boki, a skóra nabrała marmurkowej faktury i błękitnego odcienia w miejscu, gdzie były najpełniejsze. Patrzył, jak sutki, którym odebrał ciepło swego ciała, ciemnieją i twardnieją w chłodnym powietrzu. Nie czuł już pustki w sercu. Bolesny wir, który je wypełniał, coraz częstsze myśli o tej dziewczynie, narastająca pasja, która przesycała teraz jego dni – wszystko to zostałoby pewnie potępione i nazwane grzesznym w obozach wyznawców, do których rzucał go los. Lecz choć sam pierwszy przyznałby się do swoich wad i niezliczonych zbrodni, nie umiał znaleźć niczego złego w tym, co dawała mu Amparo. Niedaleko stąd splatały się inne ciała, tysiące gnijących ciał stłoczonych w rowie ku uciesze kruków i mew. I ci, którzy tam skończyli, i ci, którzy zadali im śmierć, przeznaczeni byli do raju i mieli wstąpić doń bez grzechu; nikt natomiast nie podawał w wątpliwość ciężkiej winy pary cudzołożników drzemiącej w ten piękny poranek.

Odgarnął włosy z twarzy Amparo i zapatrzył się na nią, tak spokojną, tak niewinną i beztroską, bez śladu świadomości szaleństwa, w które sama się rzuciła, tak bardzo dziecinną, że nie mógł się przemóc i wygnać jej z tego Edenu. To, że zapanował nad sobą, wydało mu się tak nietypowym zachowaniem, iż zastanawiał się przez chwilę, czy uczucie gnieżdżące się w jego sercu nie jest miłością. Przypatrzył się jeszcze uważniej delikatnym zmarszczkom wokół szyi, zmiennej teksturze nieskazitelnej cery, gładkiemu konturowi brzucha, blaskowi kształtnego uda i kępce włosów nad łonem. Musnął wargami jej usta tak delikatnie, że nawet nie drgnęła. Otworzył szerzej oczy i usiadł, oparty plecami o ścianę.

To jakiś absurd, pomyślał. Zastanawiał się, jakim mężczyzną się staje. Od dwóch dni prawie nie wychodzili z tej izby – była to pilność godna pochwały nawet według jego standardów, ale nieco przyćmiła mu umysł. Wstał najciszej jak umiał, odwrócił się i spojrzał na nią z góry. Pocałował raz jeszcze. Istotnie, pomyślał, przyćmiła. Posłyszał szczęk zbroi i zgłuszone okrzyki rozpaczy dochodzące z ulicy i choć wiedział, co zobaczy, zbliżył się do okna.

Dwaj żołnierze Religii, Aragończycy, sądząc z wyglądu, prowadzili ulicą nagiego, spętanego Turka. Blizny, które znaczyły jego plecy, podobne do robaków kłębiących się pod skórą, wskazywały na to, że był galernikiem. Węzeł, który wepchnięto mu w usta, przeszkadzał mu w ostatniej modlitwie, którą usiłował odmówić w drodze na szubienicę. Zgodnie z dekretem de la Valette'a, tego ranka wieszano osiemnastego muzułmanina, licząc od dnia, gdy stary lalkarz został zepchnięty z wysokości bastionu Prowansji. Być może to właśnie było jedyną niedogodnością tej kwatery – każdy świt wyznaczały jęki skazańca. Tannhäuser wspomniał nawet o tym Starkeyowi, sugerując zmianę trasy. Osiemnasty niewolnik wiedziony na stracenie przypomniał mu, że sprawy zatrzymały go na Malcie stanowczo zbyt długo.

Wszędzie, gdzie tylko się dało, szukał imienia – a nawet mniej, choćby wspomnienia czy śladu plotki – chłopca urodzonego w wigilię Wszystkich Świętych roku 1552, ale go nie znalazł. Być może syn Carli jeszcze żył, ale Tannhäuser zaczynał wątpić, czy nadal przebywa na wyspie. Zastanawiał się też, czy nie namówić jej na natychmiastową ewakuację, nim pochłonie ich wojna, ale duma zwyciężyła nad gotowością przyznania się do porażki. Zresztą Carla by się nie poddała. Podniósł buty i ubranie z gołej dębowej podłogi i nagi zszedł schodami w dół.

W ogrodzie na tyłach oberży kazał dwóm niewolnikom zainstalować podwójną bekę z morską wodą. Tuż pod tą zaimprowizowaną wanną zakopał wcześniej z Borsem skrzynię z pięćdziesięcioma funtami opium. W miarę postępu działań wojennych cena narkotyku musiała radykalnie wzrosnąć, toteż zamierzali sprzedać go dopiero tuż przed wyjazdem. Tannhäuser opróżnił pęcherz wprost na suchy piach ogrodu i wskoczył do beczki, klnąc siarczyście na lodowatą wodę. Przykucnął, tak by zanurzyć się aż po szyję, i oparł o ściankę, zapatrzony w niebo, które zmieniało barwę z lekkiego różu morskiej muszli ku szarości i łagodnemu błękitowi. Resztę dnia miał spędzić w nieznośnym upale, z tym większą więc przyjemnością oddawał się nostalgii w chłodnej porannej kąpieli, wspominając śnieg i góry, w których się wychował. I chyba właśnie dzięki tej beczce – choć nie jedynie – rozpoczęła się jego bliska znajomość z Amparo.

Pewnego ranka, gdy moczył się w zimnej morskiej wodzie, przeskoczyła przez mur ogrodu tak lekko, jakby w jej umyśle mury konstruowano tylko i wyłącznie w tym celu. Podeszła do niby-wanny bez najmniejszego skrępowania czy wstydu, by podziwiać jego tatuaże.

Wyjaśnił jej ich znaczenie i opowiedział co nieco o świętym kulcie janczarów, mieszkających w koszarach ze swymi babas, ojcami-derwiszami, unikających towarzystwa kobiet i recytujących poezję przy ognisku, a nade wszystko pragnących śmierci w służbie Allaha. Amparo jednak nie udawała, że choć trochę interesuje ją ten wykład, natomiast bardzo fascynowało ją jego ciało, którego dotykała długimi paznokciami o kształcie migdałów, a to okazało się prowokacją, której nie zdzierżył. Nie zamierzał figlować z żadną z kobiet, które tu przywiózł, w miłości bowiem zawsze tkwiły zalążki katastrofy, ale jednocześnie przyszła mu do głowy całkiem trzeźwa myśl, iż życie jest krótkie i w każdej chwili może się stać jeszcze krótsze. Dlatego wygramolił się z beczki w stanie podniecenia, którego nijak nie dało się ukryć, i po krótkiej serii spontanicznych i wzajemnie akceptowanych uskoków i uników dziewczyna znalazła się w jego ramionach, a on zaniósł ją bez zwłoki do tego samego pokoju, w którym i teraz spała.

Może był głupcem, ale tak właśnie się to wszystko zaczęło. A teraz znowu siedział w beczce i w miarę, jak chłodna woda oczyszczała jego umysł z resztek snu i żądz, z koszmarnych snów o islamie oraz z trosk wynikających z równoczesnego kochania – jeśli była to miłość – jednej kobiety i planowania małżeństwa z inną, coraz jaśniej widział swoją sytuację i mógł śmiało powiedzieć, że bardziej osobliwej nie umiałby sobie wyobrazić.

Od czasu pierwszej, nierozstrzygniętej bitwy, która rozegrała się dwudziestego pierwszego maja, Tannhäuser nie brał czynnego udziału w walce i był z tego powodu bardzo zadowolony. Turcy nie otoczyli jeszcze Il Borgo ze wszystkich stron, ponieważ koncentrowali się na innym miejscu – okolicy Świętego Elma – i naprawdę nie było trudno wyśliznąć się z miasta przed świtem przez bramę Kalkara. Tym sposobem urządził sobie kilka wypadów poza mury, gdzie podawał się za handlarza opium z ordu bazar, polowej intendentury armii tureckiej, która ulokowała się za wzgórzami, na równinie Marsa.

Jak zawsze podczas poważnych kampanii, było to w praktyce przetransportowane drogą morską miasteczko około stu pięćdziesięciu namiotów i jedwabnych pawilonów. Stanowiło ono bazę handlarzy i rzemieślników najróżniejszych specjalności: balwierzy, rzeźników, chirurgów, sprzedawców warzyw, cukierników, kowali, krawców, szewców, aptekarzy, rusznikarzy, płatnerzy, siodlarzy, weterynarzy, sprzedawców mydła, kołodziejów i murarzy; nie brakowało nawet jubilerów i złotników dbających o stan błyskotek, którymi

oficerowie i dowódcy chętnie przyozdabiali swe stroje i broń. Ludzie ci służyli armii, ale pozostawali niezależni. Jako że możni osmańskiego imperium nie ufali bankom, wozili swój majątek ze sobą, dokądkolwiek się udawali, dzięki czemu na bazarze nie brakowało gotówki – ku zadowoleniu Tannhäusera.

Z miasteczka namiotów dolatywał słodki zapach tysięcy bochenków chleba, wypiekanych w formach-piecach przywiezionych ze Stambułu. Strumień jucznych wielbłądów i wozów zaprzężonych w woły płynął nieprzerwanie w obu kierunkach między tureckim obozem a Marsaxlokk, naturalnym portem na południowym brzegu wyspy, gdzie kotwiczyła sułtańska armada. W miejscach takich jak to Tannhäuser mógł podziwiać geniusz administracyjny, który był podporą imperium. Setki statków z zaopatrzeniem i galer, setki tysięcy kwintali jęczmienia, mąki i ryżu, żelazo, miedź, ołów i cyna, miód, masło, suchary, oliwa, cytryny i solone ryby, stada owiec i bydła, drzewo na opał, tarcica i faszyna, meble do pawilonów i namioty, proch strzelniczy w ogromnych ilościach, cztero- i pięciotonowe działa oblężnicze, srebrne i złote monety na żołd, lód do generalskich napojów – ważenie i liczenie tego wszystkiego stanowiło istną tour de force logistycznej finezji.

Tannhäuser żałował, że Sabato Svi nie może tego wszystkiego zobaczyć. Tysiąc Wyroczni w tysiąc lat nie osiągnęłoby takiego poziomu organizacji. Tannhäuser uważał się za zmyślnego człowieka, czasem nawet śmiałego w przedsięwzięciach, ale czuł się nieskończenie mały, gdy patrzył na tak imponujące dowody zuchwałości Sulejmana. Postawić na szali (a może raczej rzucić do szalonej gry) tyle istnień ludzkich, tyle dumy i prestiżu, tyle majątku, a wszystko to na oczach całego świata – był to akt graniczący z szaleństwem, przy którym kuszenie losu w wykonaniu Tannhäusera prezentowało się nader skromnie. Sulejman naprawdę był królem królów. A przecież bez względu na skalę to właśnie ryzyko nadawało życiu smak i czyniło wojnę, bardziej niż jakiekolwiek inne przedsięwzięcia, tak odwieczną pokusą rodzaju ludzkiego.

Ośmielony przykładem Sulejmana Tannhäuser wmieszał się w tłum, ubrany w zieloną szatę, biały turban i uzbrojony w piękny bułat. Dopełnieniem przebrania był sam Buraq, którego złociste umaszczenie i czysto azjatycka krew budziły podziw wśród Turków.

Zapachy, kolory i dźwięki, a także wyrafinowana precyzja machiny wojennej sułtana obudziły w Tannhäuserze coś więcej niż wspomnienia. Poza murami Il Borgo Malta była już częścią królestwa Sulejmana i przebywanie w takim miejscu ożywiało w nim zapomniany sposób bycia – odczuwania, postrzegania, chodzenia, rozmawiania i żartowania – który nosił w sobie jak niezatarte piętno. Jak człowiek powracający do świata, który kiedyś zamieszkiwał, a następnie porzucił, Tannhäuser odczuwał w sercu słodki ból, bardziej

dokuczliwy zwłaszcza wtedy, gdy orta janczarów maszerowała tuż obok, a wszyscy w wysokich białych borkach, z długimi muszkietami w rękach i z wielką ochotą do walki. O ile jednak mieszane uczucia rodziły się czasem w jego sercu, o tyle myśli pozostawały niezmącone. Służąc w janczarach, był kullar, niewolnikiem sułtana, mamroczącym modlitwy do potwornego idola bez twarzy i zabijającym ze ślepym posłuszeństwem dla dobra nie swojej, za to bardzo pazernej rasy. Teraz zaś był wolnym człowiekiem. Szaleństwa, w których brał udział, były przynajmniej wynikiem jego własnych decyzji i planów.

Jako że sporą część tureckiej służby cywilnej i handlarzy stanowili nawróceni na islam chrześcijanie, jego jasna skóra i błękitne oczy nie wzbudzały niczyich podejrzeń. Potrafił ze znawstwem dyskutować o mokrym prochu, cenie gałki muszkatołowej, jakości stali oraz tradycyjnej niecierpliwości wojskowych dygnitarzy różnego stopnia – a także bez zająknienia brał udział we wspólnych modlitwach – nikt więc nie kwestionował jego tożsamości. Dyskretnie obdarowywał rozmówców porcjami opium i złotem, teoretycznie chcąc zapewnić sobie pomyślność w interesach, a w praktyce po to, by rozwiązać im języki. Od czasu do czasu, pragnąc uwiarygodnić się w oczach kwatermistrzów i kupców, niby przypadkiem odsłaniał koło janczarów albo miecz Zulfikar wytatuowane na ramionach, a wtedy rozmówcy bledli i zmieniali ton, traktując go ze znacznie większym szacunkiem. Unikał kontaktów z oficerami i żołnierzami, by nie narażać się na – minimalne, ale zawsze – ryzyko rozpoznania. Tak czy owak, bazar był najlepszym miejscem wymiany plotek, a kupcy i dostawcy orientowali się w ruchach wojsk Mustafy i ich morale znacznie lepiej niż większość kapitanów.

Tym sposobem Tannhäuser dowiedział się, że wyspę okupuje w tej chwili ponad trzydzieści tysięcy gazi sułtana oraz ponad drugie tyle żołnierzy służb pomocniczych, saperów, wioślarzy i zwykłych robotników. Posiłki w sile co najmniej dziesięciu tysięcy ludzi miały nadejść dzięki staraniom piratów oraz sprzymierzeńców z Afryki Północnej. Hasim, namiestnik Algieru, był już w drodze z sześcioma tysiącami wojowników najwyższej próby. Uluch Ali, zarządca Aleksandrii, miał dostarczyć egipski korpus inżynieryjny oraz oddział mameluków. Wielki Turgut Reis, Nagi Miecz Islamu, wiódł do boju tuzin galer i dwa tysiące doświadczonych korsarzy. Zabójcy z czterdziestu krajów, dwóch wielkich wyznań i dziesiątek plemion tworzyli tę żywą wieżę Babel, a każdy z nich miał miecz w dłoni i nienawiść w sercu. Tylko wojna mogła zgromadzić tak wielu na tak okrutnym karnawale.

Dane wywiadowcze, które zdobył Tannhäuser, miały tak wielką wartość, że de la Valette dał mu wolną rękę w kontaktach z Oliverem Starkeyem, a był to przywilej, którym cieszyli się wyłącznie przeorowie siedmiu Langues. Za każdym razem, gdy powracał z misji,

przywoził podarki wartownikom pilnującym bramy Kalkara – miód, co bardziej smakowite kąski jagnięciny, pieprz i gałkę muszkatołową albo ciastka z migdałami i rodzynkami – i wypytywał ich o to, co sądzą o toczącej się wojnie, a także dzielił się skrawkami informacji, które zdobył u Turków. Dzięki temu wartownicy czuli się ważniejsi, a jednocześnie nabierali doń zaufania, które pewnego dnia zamierzał wykorzystać. Przy okazji budował swą reputację na obu końcach hierarchii zakonu, a jako że żołnierze mieli niewiele więcej tematów do rozmów niż własne czyny, wieści o misjach Tannhäusera roznosiły się szybko. Proces ten nie ucierpiał, gdy podczas pierwszej samotnej wyprawy, nocą dwudziestego pierwszego maja, tuż po pierwszej bitwie, pozwolił sobie na śmiały wyczyn.

Owego wieczoru, gdy pierwsze ciała stygły na Wielkiej Równinie, Lala Mustafa Pasza zwołał naradę wojenną z udziałem Kapudana Pijala Paszy, wielkiego admirała floty, oraz wszystkich dowódców. W spotkaniu brał też udział członek osobistej straży Mustafy, młody Macedończyk niezwykłej urody, z urodzenia chrześcijanin. Gdy narada dobiegła końca, Tannhäuser miał szczęście natknąć się na niego i wciągnąć młodzieńca w rozmowę.

Równina Marsa była usiana ogniskami, a z oddali dobiegały dźwięki tamburów i piszczałek oraz głosy janczarów-poetów wyśpiewujących swe opowieści. Piekli dziko rosnący czosnek na czubkach noży i gawędzili o rodzinnych stronach, o podróżach i o krewnych, z którymi stracili kontakt. Dyskutowali o rozpoczynającym się oblężeniu i o budzących grozę legendach na temat Religii. Po godzinie, gdy pantomimę wzajemnych oporów zastąpiła życzliwość towarzyszy broni, Tannhäuser sięgnął do zapasu, który nosił w pudełku z masy perłowej, i wręczył Macedończykowi kamień nieśmiertelności.

Mattias dowiedział się o nich od Petrusa Grubeniusa, który z kolei poznał ich sekret w Salzburgu, od samego wielkiego Paracelsusa. Na dobrą sprawę Tannhäuser miał niewielkie pojęcie o alchemicznym przepisie na produkcję kamieni, ale te, które sam sporządzał, działały znakomicie. W kuchni Oberży Angielskiej lepił i wałkował kulki czystego opium, a następnie marynował je przez noc w mieszance olejków cytrusowych, brandy i miodu. Następnego dnia posypywał je drobinkami złota spiłowanymi z weneckiego dukata i suszył na słońcu. Nie wiedział, jaką moc nadaje kamieniom domieszka złota, ale z pewnością czyniła ich wygląd znacznie bardziej kuszącym, czy w blasku ogniska, czy za dnia, bardzo ułatwiając zachwalanie ich cudownych właściwości. Na otwartej dłoni pokazał młodzieńcowi pigułę lśniącą żółtawymi drobinkami.

– W wieczności nie ma smutku – powiedział.

Oczy Macedończyka sugerowały, że smutku doświadczył wiele, jeśli nie zbyt wiele.

– Nie ma tam też strachu ani gniewu, ani pożądania, ani nawet woli – ciągnął Tannhäuser. – A to dlatego, że w wieczności wszyscy ludzie stają się częścią boskiego zamysłu, tak jak kropla wody jest częścią wielkiego, błękitnego oceanu. Tym sposobem uwalniamy się i stajemy jednością; tym sposobem powracamy do fundamentu i źródła wszechrzeczy. – Położył czarno-złotą kulkę na dłoni Macedończyka z takim pietyzmem, jakby to była hostia. – Te kamienie, kamienie nieśmiertelności, otwierają okno do metafizycznego królestwa. Ukazują nam przebłyski tego, jak wyglądałoby życie, gdybyśmy byli duchami w czystej postaci, przebłyski nieskończonego pokoju, który nas czeka, bez żadnych więzów pętających śmiertelników.

Tannhäuser oparł się pokusie i tylko udał, że połyka kamień, Macedończyk zaś połknął swój. Nicodemus – bo tak mu było na imię – miał osiemnaście lat. Tannhäuser poinstruował go, że powinien zapatrzyć się w ogień, przy którym siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, i podczas gdy sam zajął się dorzucaniem drew, Nicodemus poddał się mistycznemu wpływowi kamienia. Widząc, że młodzian zaczyna kołysać się w przód i w tył w sobie tylko znanym rytmie, Mattias wskazał na ognisko.

– W tańcu wiatru i płomieni – tłumaczył – oraz w transmutacji drewna w ciepło i światło, a potem w popiół, widzimy podobiznę – albo, jak powiedzieliby starożytni, mikrocosmos – nie tylko naszej egzystencji, ale także chaosu, któremu pewnego dnia ulegnie wszelkie stworzenie.

Nicodemus patrzył na niego jak na wielkiego mędrca.

– Rozumiesz? – upewnił się Tannhäuser, choć odpowiedź na to pytanie miała bardzo małe znaczenie. Nicodemus skinął głową. Jego oczy błyszczały i drżały lekko jak naoliwione kamienne kulki, źrenice zaś były małe jak łebek szpilki. – To dobrze – ciągnął Tannhäuser. – A teraz popatrzmy, jak ogień przygasa, i weźmy z niego odwagę, która pomoże nam przetrwać niebezpieczeństwa.

I patrzyli. Wreszcie płomienie zniknęły i pozostały po nich tylko rubinowe węgle, pulsujące światłem jak serca piekielnej bestii, Nicodemus zaś istotnie dotarł do miejsca, w którym nie było już żadnych trosk. Pogrążonego w milczącej ekstazie Tannhäuser zarzucił na grzbiet Buraqa i razem pomknęli w stronę murów Il Borgo.

Bors długo czekał na powrót przyjaciela, pilnując, by nikomu nie przyszło do głowy zastrzelić go przy furtce u bramy Kalkara. Dla przytomniejszego już Nicodemusa, którego Tannhäuser wiózł wąskimi uliczkami miasta i dalej, przez szeroki drewniany most do fortu Świętego Anioła, była to chwila dziwnego – bo ponownego, ale i jak najbardziej szczerego – nawrócenia i odrodzenia. W mieście nie brakowało krucyfiksów, obrazów

świętych i ołtarzyków, a na wielu z nich płonęły kadzidła i świece wotywne – Nicodemus przy każdym żegnał się znakiem krzyża. Surowe twarze i aura pobożności, którą emanowali rycerze eskortujący ich przez labirynt rozświetlony pochodniami, a wiodący do komnaty wielkiego mistrza, napełniały młodzieńca podziwem i lękiem, podobnie jak symbole Chrystusa widoczne na ich płaszczach i kaftanach. Choć minęła już północ, de la Valette wciąż naradzał się ze swymi towarzyszami. Na jego widok Macedończyk padł na kolana, jakby miał przed sobą żywego świętego, i wyznał swą miłość do Pana Jezusa Chrystusa, błagając o ponowny chrzest i przyjęcie do grona owieczek Pasterza.

Gdy de la Valette usłyszał, że jeniec ma na imię Nicodemus, uniósł brew, a wśród braci rycerzy rozległ się pomruk zdziwienia, istniała bowiem postać w Ewangelii Świętego Jana – która w istocie rozmawiała z samym Janem Chrzcicielem – nosząca to samo imię. O ile na Tannhäuserze nie zrobiło to żadnego wrażenia, jako że wszyscy zgromadzeni w tej komnacie, nie wyłączając jego samego, nosili imiona zaczerpnięte z Biblii, o tyle brać zakonna przyjęła ten fakt jako oznakę łaski Boga. Nicodemus zaś usłyszał, że lada chwila wezwany zostanie kapelan, a jego dusza narodzi się na nowo. I wtedy opowiedział o wszystkim, co usłyszał podczas narady wojennej w tureckim obozie.

Po nieudanym szturmie na bastion Kastylii wśród dowódców Lali Mustafy Paszy zaostrzyły się i tak ostre podziały, co wcale nie zaskoczyło Tannhäusera. Jeżeli Turcy mieli jakiś słaby punkt, to tylko taki, że ich armię w toku kampanii – jeśli nie dowodził nią sam sułtan – trawiły intrygi i rywalizacja zazdrosnych o siebie dowódców. Mustafa opowiadał się za zajęciem Mdiny, miasta na północy, gdzie stacjonowała kawaleria pod wodzą Copiera, a następnie za oblężeniem L'Isoli i Il Borgo. Admirał Pijal upierał się natomiast, że jego armada nie jest bezpieczna na kotwicowisku opodal Marsaxlokk, gdyż zagraża jej – co wcale nie było prawdą – północno-wschodni wiatr zwany gregale.

Pijal był zdobywcą Oranu, Minorki oraz Dżerby. Był też mężem wnuczki Sulejmana i jego ulubieńcem. Twierdził, że przede wszystkim należy zająć fort Świętego Elma, co pozwoli na spokojne wprowadzenie floty tureckiej w bezpieczniejszą okolicę Marsamxett. Co więcej, zajęcie fortu umożliwiłoby ostrzał Świętego Anioła i całego Il Borgo z dział okrętów wprowadzonych na wody Wielkiego Portu. Jako że główny saper potwierdził, iż mury małego fortu są słabe i można je sforsować w ciągu tygodnia, rada ustaliła, że następnym celem ataku będzie właśnie Święty Elmo.

Zeznanie Nicodemusa wywołało konsternację. Mniej więcej ośmiuset ludzi stacjonowało w Świętym Elmie; była to trzecia część najlepiej wyszkolonych żołnierzy i rycerzy, jakich de la Valette miał do dyspozycji. Rozważano ewakuację i zniszczenie fortu.

Albo symboliczną obronę w imię honoru, małą grupą straceńców. Albo natychmiastowe wzmocnienie załogi. Jednak to, że fort padnie, było kwestią bezdyskusyjną.

De la Valette zwrócił się do Mattiasa.

– Co na to powiesz, kapitanie?

Tannhäuser pociągnął nosem.

– Tylko na tydzień obrony stać twoich ludzi, panie?

Niektórzy z rycerzy poczuli się urażeni, ale de la Valette uciszył ich szybko.

– Skoro tak – ciągnął Tannhäuser – to wycofaj ich natychmiast. Zdobycie fortu w tydzień będzie dla Mustafy zwycięstwem, które tylko wzburzy krew jego gazi, a tego w swej mądrości na pewno chciałbyś uniknąć.

De la Valette skinął głową, jakby ta wypowiedź była odbiciem jego własnych myśli.

– Powiedz mi zatem – rzekł – ile dni oporu zmieniłoby ich zwycięstwo w upokorzenie.

– Nigdy ich nie upokorzysz. Czy wystarczy rozczarowanie?

– Wystarczy.

Tannhäuser zamyślił się. Wojna wymagała od ludzi wielu talentów, przede wszystkim zaś – i w największym stopniu – znajomości matematyki i wróżbiarstwa, a także umiejętności czytania w ludzkich umysłach. Czas, środki, żołnierze, morale, trupy. Tego rodzaju algebra wymagała wyczucia, którego nabywało się wyłącznie poprzez wieczność spędzoną w strachu i brutalnej walce.

Tannhäuser wybrał cel, który uznał za niemożliwy do osiągnięcia.

– Trzy tygodnie – rzekł.

De la Valette zacisnął usta i spojrzał w górę. Patrząc na niego, Tannhäuser uświadomił sobie, że doświadczenie, na którym wielki mistrz mógł zbudować swoje wyczucie, obejmowało między innymi oblężenie Rodos. Nawet wśród janczarów pierwotne okrucieństwo tamtej walki pozostało legendą, choć minęły już cztery dziesięciolecia! Mówili, że na Rodos ostatni głodujący rycerze Religii wynurzali się z zagłębień w śniegu jak nieziemskie istoty żywiące się wyłącznie ludzką krwią. De la Valette przez długą chwilę analizował sobie tylko znaną wizję pandemonium, nim opuścił głowę.

– Zatem niech będzie dwadzieścia jeden dni – powiedział.

Zanim rozległy się głosy sprzeciwu, le Mas wykorzystał okazję:

– Ekscelencjo, ja i moi ludzie jesteśmy gotowi dotrzymać tego terminu. Na Posterunku Honoru.

Tannhäuser poczuł ucisk w gardle, Posterunek Honoru był bowiem placówką pewnej śmierci. Lubił le Masa, któremu towarzyszył podczas niejednej obfitującej w wydarzenia – i utrzymanej w mało klasztornej atmosferze – nocy w Wyroczni. Słuchając, jak kolejne Langues zgłaszają się do wykonania straceńczej misji, Tannhäuser musiał zdusić w sobie chęć dołączenia do nich. Była to kompania nazbyt niebezpieczna, by stawać u jej boku.

– Widziałem tureckie działa oblężnicze – powiedział. – To potęga.

Chór gotowych do samopoświęcenia umilkł nagle.

– Tuzin osiemdziesięciofuntowych kulweryn, do tego potwory miotające trzystupięćdziesięciofuntowe głazy i nieskończenie wiele czterdziestofuntówek. Turgut przywiezie zresztą jeszcze jedną baterię.

– Spodziewają się go? – spytał le Mas.

– Lada dzień – odparł Tannhäuser.

Le Mas zwrócił się do de la Valetty.

– W takim razie z podwójną natarczywością proszę o Posterunek Honoru.

– Zmienią Świętego Elma w kupę gruzów – uprzedził Tannhäuser.

– Z Bożą pomocą będziemy bronić i gruzów Świętego Elma – odparł wielki mistrz.

– Wobec tego nie będę was odwodził od tego planu. Pamiętajcie jednak, że Turcy walczą równie dobrze łopatą, jak i mieczem. Musicie im dorównać. Il Borgo jest słabsze, niż się wam wydaje.

– Jak to? – De la Valette postarał się nie okazać irytacji.

Tannhäuser wskazał na mapę rozłożoną na stole.

– Z twoim pozwoleniem, panie?

De la Valette skinął głową i wraz z towarzyszami zbliżył się do mapy, po której kapitan wodził już palcem, wskazując na linię głównych murów obronnych.

– Bloki piaskowca, nieprawdaż? Ciosany kamień na zewnątrz, tłuczeń w środku.

De la Valette raz jeszcze skinął głową.

– Turcy używają metody naukowej – kontynuował Tannhäuser. – Żelazne kule zniszczą zewnętrzną warstwę, marmur i kamień na zmianę rozluźnią tłuczeń. Ściany tu są potężne, ale jednak runą. Kiedy pojawią się mamelucy, te bastiony – tu wskazał miejsce na mapie – zostaną zaminowane, mimo otaczającego je rowu. Saperzy Mustafy wykopią mu tunel choćby do samego Egiptu, jeśli taki dostaną rozkaz.

– Niczego innego się nie spodziewaliśmy – odparł de la Valette.

– Jeżeli dzięki obronie Świętego Elma uda się zyskać trochę czasu, trzeba go wykorzystać na budowanie. Tysiące niewolników gniją w lochach. Tu, przy bastionie Kastylii, drugi mur…

Rycerze wyciągali szyje, by obserwować, jak szkicuje palcem nową linię.

– Drugi mur, niewidoczny ze wzgórz, ze stanowiskami dla dział tutaj i tutaj, żeby złamać w nich ducha, kiedy z wyciem rzucą się w wyłom w pierwszej ścianie.

– Dlaczego przy Kastylii? – spytał de la Valette.

– Przez wzgląd na dumę – wyjaśnił Tannhäuser. – Wczorajszy odwrót był gorzką porażką. Mustafa jest wściekły. A wściekłość turecka jest takiego rodzaju, jakiego nie widziałem nigdy we frankońskich duszach. Co więcej, jeżeli zaatakuje bastion Kastylii, będzie mógł osłaniać prawą flankę ogniem baterii z San Salvatore. Dodatkowo równina jest w tym miejscu najwęższa, odpowiednia dla działań minerskich. – Tannhäuser wskazał na twierdzę Świętego Michała. – Jeśli równocześnie zaatakuje L'Isolę – a ja właśnie tak bym zrobił na jego miejscu – twój garnizon, panie, będzie rozciągnięty do maksimum na całej linii obrony. A jeśli przebije się w którymkolwiek miejscu, będzie po wszystkim i zostanie nam jedynie krzyk rozpaczy.

De la Valette spojrzał na Olivera Starkeya, jakby chciał mu powiedzieć, że korzyść ze zwerbowania Tannhäusera przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Po chwili zwrócił swe szare jak morze oczy na niego samego. Mattias nigdy w życiu nie widział zimniejszych oczu, a przecież widział ich wiele. Nawet u Ludovica Ludoviciego więcej było ludzkiego ducha; jego oczy przynajmniej zaznały miłości. Tannhäuser poczuł się nieswojo, miał bowiem wrażenie, że de la Valette jest identycznego zdania o nim samym. Przymknął powieki i znowu pochylił się nad mapą. Dotknął palcem planu Il Borgo.

– Na tych ulicach… tu, tu i tu… kolejne mury. Wąskie gardło. Trzeba wyburzyć te domy, żeby zyskać pole ostrzału. A kiedy się przebiją, znowu złamać ich ducha

– Bitwa ledwie się rozpoczęła – zauważył le Mas – a ty, kapitanie, już chciałbyś widzieć niewiernych w środku twierdzy.

– W umyśle Mustafy to rzecz pewna – odparł Tannhäuser.

– Kapitan Tannhäuser ma rację – powiedział de la Valette. – Praca pomoże ludziom zrozumieć, co ich czeka i czego się od nich oczekuje.

– Kapitanie – odezwał się wychudły Kastylijczyk Zanoguerra. – Prości żołnierze gadają o janczarach tak, jakby byli oni demonami. Co możesz nam powiedzieć, żeby obalić te przesądy?

– Przesądy? – obruszył się Tannhäuser. – Janczarzy są sługami Boga, podobnie jak wy, i każdy z nich może równać się z każdym z was. – Zignorował pogardliwe parsknięcia, wiedząc, że wkrótce rycerze przekonają się na własnej skórze o trafności jego oceny. – Są jednak lżej opancerzeni, a Mustafa jest skłonny zbytnio szafować ich życiem. To jego słaby punkt. Jest Isfendijaroglu, w prostej linii potomkiem Ibn Walida, chorążego proroka Mahometa. Jest nieustraszony, a wzbudza strach. Jest mistrzem wszelkiej sztuki wojennej, a nade wszystko oblegania. Lecz jest także niecierpliwy. Jest próżny. Jest dumny. Złamcie jego dumę. I oszczędzajcie ludzi – dodał, spoglądając na de la Valette'a. Nie było przyjęte, by ktokolwiek krytykował wielkiego mistrza, ale jeśli Tannhäuserowi nie przysługiwałoby prawo swobodnego wyrażania myśli, po co w ogóle byłby im potrzebny? – Wczorajsza wycieczka pod Bramą Prowansalską była rozrzutnością i…

– Wyrżnęliśmy ich dziesięciu za jednego – wtrącił Zanoguerra.

– Nie stać was na to, by tracić jednego człowieka za dziesięciu wrogów – odparował Tannhäuser. – A Mustafę stać. I uczyni to. Takie szaleńcze ataki będą waszą zgubą. Niech janczarzy zdobywają się na zuchwałe gesty. Bo choć są najlepszymi z ludzi, to jednak są tylko ludźmi. I znuży ich rozrzutność Mustafy. Będą mieli dość marnego jedzenia, brudnej wody i strasznego upału. Krok po kroku podważajcie ich wiarę w łaskę Allaha. Naruszajcie dumę Mustafy. – Tannhäuser spojrzał na de la Valette'a. – Ale jeśli macie złamać tureckiego ducha – a nie znam nikogo, komu by się to udało – wpierw musicie utwardzić własnego ponad wszelką miarę.

– Nie obrazisz się chyba, jeśli powiem, że myślisz jak Turek – rzekł de la Valette.

– Wręcz przeciwnie – odparł Tannhäuser. – Oni bowiem uważają was za ostatnich barbarzyńców.

Ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, de la Valette wybuchnął śmiechem, jakby nikt jeszcze nie sprawił mu większego komplementu.

I właśnie tę chwilę wybrał sobie Nicodemus, by paść bez zmysłów na twarz, tuż przed wiszącym na ścianie krucyfiksem, w który wpatrywał się od dłuższej chwili.

Tannhäuser podszedł do niego, przyklęknął i przewrócił go na plecy. Zdarzały się przypadki, gdy kamienie nieśmiertelności w pełni zasługiwały na swą nazwę i ci, którzy ich spróbowali, nie budzili się z nieskończonego snu. Oddech Nicodemusa był jednak regularny, a jego usta rozciągnął uśmiech. Tannhäuser postanowił, że produkując kolejną partię kamieni nieśmiertelności, nie będzie już tak hojny w dawkowaniu opium. Rycerze, którzy zebrali się wokół leżącego, nie mając pojęcia o jego faktycznej kondycji, odczytali omdlenie

Nicodemusa jako przejaw religijnego uniesienia. Tannhäuser nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Z pomocą le Masa dźwignął chłopaka z posadzki i zarzucił sobie na ramię.

– Jeszcze porozmawiamy – rzucił mu na pożegnanie de la Valette.

Tannhäuser ruszył z niejakim wysiłkiem, bo Macedończyk nie był ułomkiem, ale jakoś doniósł go do oberży. Kilka siarczystych policzków następnego ranka wystarczyło, by przywrócić Nicodemusa do życia. Zaraz potem – wciąż w stanie lekkiego uniesienia religijnego – został ochrzczony w Świętym Wawrzyńcu i na zawsze zmazał ze swej duszy plamę islamu.

Tannhäuser, wciąż zanurzony w beczce słonej wody, wyczuł zapach palącego się drewna i aromat kawy dolatujący zza uchylonych drzwi. Niedawno kupił na bazarze miedziany dzbanek i zestaw do parzenia kawy z kompletem delikatnych filiżanek z Izmitu – turkusowych, ze złotymi brzegami – oraz dwa worki dobrze wypalonych nasion. Nicodemus wiedział zaś doskonale, jak przyrządzić smakowity napój. Macedończyk, który traktował Tannhäusera z szacunkiem należnym możnowładcy, był teraz mieszkańcem Oberży Angielskiej, a jako że żadna z dam nie przejawiała – ku lekkiemu rozczarowaniu kapitana – specjalnego zainteresowania kuchnią, to właśnie jemu przypadł zaszczyt przyrządzania śniadań dla Tannhäusera.

Schłodzony i odświeżony wyskoczył z beczki i pozwolił, by skóra wyschła sama, zanim włożył ubranie. Jedząc owcze nerki, kozi ser i smażony chleb, zastanawiał się nad zagadką syna hrabiny. Minęły prawie trzy tygodnie, odkąd przybyli na wyspę, i wciąż nie napotkali ani śladu chłopaka. Wciąż nie znali nawet jego imienia. Rejestry chrztów przechowywane w kościołach Il Borgo okazały się jałowym tropem, mimo iż nawet księża z dwunastu świątyń położonych poza murami miasta przywieźli tu swe archiwa, uciekając przed Turkami. Podczas wypadów w głąb wyspy Tannhäuser przeszukał jeszcze siedem pomniejszych kościołów i kaplic, których na Malcie nie brakowało. Znalazł pięć ksiąg parafialnych ukrytych pod kamiennymi płytami ołtarzy, ale i w nich nie natrafił na żadne cenne informacje.

Sam plan odnalezienia chłopaka tą metodą – choć chwilami wydawał mu się mocno inspirowany narkotykiem muzyki, wonią róż i widokiem przedziałka między piersiami hrabiny – wydawał się jednak mniej niedorzeczny niż całe to przedsięwzięcie. Pragnienie zaimponowania kobiecie doprowadziło już rzesze na pozór rozsądnych mężczyzn do nieszczęścia, którego w normalnych warunkach uniknęliby bez trudu. Myśl o tym, że jest ostatnim w tej długiej kolejce głupców ciągnącej się aż do bram Edenu, była dla Tannhäusera marnym pocieszeniem.

Po mieście buszowały setki chłopców. Niełatwo było odnaleźć wśród nich bękarta, który przyszedł na świat przed dwunastu laty, w wigilię Wszystkich Świętych. Tannhäuser przypuszczał nawet, że ktoś taki sam może nie znać daty swoich urodzin. Dzieci z nieprawego łoża były tematem drażliwym w tej ciasnej społeczności, gdzie duma liczyła się nade wszystko, a rycerze skwapliwie troszczyli się o swą reputację, zwłaszcza w kwestii pobożności. W dodatku Kościół rzymski miał imponującą, bo ponadtysiącletnią praktykę w ukrywaniu erotycznych wybryków swych ślubujących celibat podwładnych.

„Rozpoznam go, kiedy go zobaczę", twierdziła Carla. Jeśli była to prawda, chłopak jeszcze nie pojawił się na horyzoncie. Tannhäuser sam przypatrywał się wszystkim niedomytym twarzom, szukając choćby śladu podobieństwa do hrabiny lub Ludovica. Jednego dnia zdawało mu się, że widział tuzin twarzy łudząco podobnych do któregoś z domniemanych rodziców; następnego dnia jednak sam dziwił się swej łatwowierności, nie dostrzegając w nich już ani śladu podobieństwa. Zdarzyło mu się nawet wypatrzyć chłopców, którzy śmiało mogliby uchodzić za owoc jego nasienia. Wszystkie nadzieje opierały się na ryzykownym założeniu, że syn Carli wciąż przebywa na wyspie, a nie jest na przykład od wielu lat trupem albo męską prostytutką w libijskim burdelu czy kardynalskim łożu. Tannhäuser zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze, gdyby powiedział hrabinie, że znalazł grób chłopca na jednym z wiejskich cmentarzy, daleko za murami miasta. Ile żałobnego smutku mogła z siebie wykrzesać na myśl o jego mogile? Tannhäuser wiedział jednak, że to nie żałoba, ale przede wszystkim poczucie przegranej zatruje jej duszę, a tego chciał uniknąć, zwłaszcza jeśli przyczyną miałoby być kłamstwo. Miał wrażenie, że Carla postrzega własne życie jako skutek kapitulacji ogłoszonej bez walki, a silne charaktery – takie jak jej – rzadko wybaczają sobie takie porażki. Poszukiwanie syna było dla niej ostatnią bitwą; gdyby ją przegrała, Tannhäuser lękał się, że nigdy nie byłaby zdolna odnaleźć w sobie siły do kolejnych. Tego również nie pragnął.

Przełknął kęs nerek i popił winem. Rozważał również inny podstęp, podsunięty mu przez Amparo, gdy mocował się z guziczkami jej sukni po powrocie z nocnej narady. Zaproponowała mianowicie, by spośród licznych sierot tego miasta wybrać jedną i udać, że to właśnie syn Carli. Mówiła, że zaprzyjaźniła się z urwisem z portu, i pytała nawet, czy może mu go przedstawić. Łatwo byłoby zdobyć zaufanie takiego chłopca, przekonać o korzyściach płynących z podporządkowania się tej strategii i namówić do zapamiętania odpowiedniej daty urodzenia. Jego słowa mogłyby znaleźć potwierdzenie w nietrudnym fałszerstwie dokonanym w jednej ze zdobytych ksiąg parafialnych. Wszyscy byliby zadowoleni, a Tannhäuser zorganizowałby szybką ucieczkę z tej wyspy szaleństwa i śmierci.

Ocknął się z zadumy zapatrzony w ostatni kęs jedzenia na talerzu i poczuł nagły atak mdłości. Honor jest diabelską klątwą. Prowadzi do zguby skuteczniej niż jakiekolwiek wady charakteru. Miłość i szacunek do kobiet są jeszcze gorsze, wśród wielu innych spraw bowiem potrafią zepsuć nawet świetny poranny posiłek. Mattias dał znak Nicodemusowi, prosząc o kawę. Pociągnął łyk zdrowego napoju i zaczekał na przypływ energii. Nie odwiedził jeszcze Mdiny, oficjalnej stolicy wyspy. De la Valette utrzymywał kontakt z tamtejszym garnizonem dzięki sławetnym maltańskim zwiadowcom, ale ich wyprawy były niebezpieczne. Mimo to… chłopiec urodził się właśnie w Mdinie i wizyta w tym mieście była koniecznością. Gdyby okazała się równie bezowocna jak inne starania, Mattias postanowił, że przekona Carlę, iż wyprawa musi dobiec końca.

Potarł twarz obiema rękami. W tej chwili pragnął tylko jednego: wrócić do łóżka, w ramiona Amparo. Lecz przecież właśnie tego typu pragnienia sprowadziły mu na głowę tyle kłopotów. Carla poprosiła, żeby zawiózł ją na Maltę, a on postanowił uczynić znacznie więcej. Sprawił, że jej policzki się zarumieniły. Dał jej poznać smak przygody. Przegrali, ale z honorem. Na pewno mogła już pogrzebać gnębiące ją demony. Sprowadził owce do wilczego legowiska i ta świadomość bardzo mu ciążyła. Czuł się zobowiązany wywieźć stąd obie kobiety. Czy wobec niepowodzenia odmówiłaby małżeństwa i udzielenia mu szlacheckiego tytułu? Nie rozważył z nią tej możliwości, gdy zawierali umowę – oto kolejny dowód, że wpływ kształtnych piersi zakłóca pracę umysłu. Carla podobała mu się bardziej niż ktokolwiek inny, bardziej też, niż był skłonny przyznać. Mężczyzna powinien być zdolny do znacznie większych poświęceń dla dobra żony… A tymczasem on tylko mącił wodę, poddając się wdziękom Amparo. Nie wątpił, że zranił tym Carlę; na samą myśl mocarna ręka zacisnęła się na jego żołądku. Gdyby tylko hrabina była bardziej przystępna. Gdyby tylko nie zepsuł pocałunku, który próbował skraść jej w ogrodzie. Wziął jej reakcję za odrazę i nie był nawet specjalnie zdziwiony. I czym właściwie było to potężne uczucie, które ogarnęło go przed niespełna godziną, gdy patrzył na śpiącą Amparo?

Przekleństwo. Czuł, że wiążą go niewidzialne łańcuchy i dręczą myślowe narzędzia diabelskiej produkcji. Bystry mężczyzna na jego miejscu zorganizowałby sobie dyskretny odwrót bez zbędnych sentymentów. Tylko że wszystko wskazywało na to, iż on nie jest specjalnie bystry, jedynym bowiem, co mógł zrobić na koniec tych daremnych rozważań, było ciężkie westchnienie.

– Coś cię trapi, mój panie – odezwał się Nicodemus.

Tannhäuser jęknął cicho i opuścił ręce. Macedończyk miał piękną twarz, o mocnych rysach, doskonałej symetrii i równie dobrych proporcjach. Jego czarne oczy okolone

długimi rzęsami spoglądały na świat ze zranioną niewinnością twarzy na mozaikach Aja Sofii. Być może właśnie te cechy sprawiły, że dostał się do osobistej gwardii Mustafy – starcy często wszak znajdują pocieszenie w obrazie młodości. Rozmawiali po turecku.

– Zbyt łatwo poddaję się retrospekcji – odparł Tannhäuser. – Powinieneś unikać tego nawyku.

– Pokazałeś mi drogę powrotną do Chrystusa. – Oczy Nicodemusa płonęły typowo młodzieńczym idealizmem. – Moje życie należy do ciebie.

Tannhäuser uśmiechnął się.

– Ja nie jestem zbyt religijny.

– Potrafisz wejrzeć w samo serce spraw, a do tego zdolni są wyłącznie ludzie religijni.

Tannhäuser nie widział powodu, by zaprzeczać. Lojalność, obojętnie, na jakiej wzrosła podstawie – była cennym dobrem. Nicodemus podciągnął rękaw koszuli, odsłaniając brązowe, żylaste przedramię i otaczający je pasek żółtego złota. Zdjął bransoletę i podał ją Tannhäuserowi.

– Proszę – powiedział. – Przyjmij ją ode mnie. Może ulży ci w zmartwieniach.

Tannhäuser przyjrzał się jej z bliska. Było to niepełne koło ważące dobrych siedem, może osiem uncji, bardzo męskie w swym charakterze. Metal miał kilka odcieni w różnych miejscach, a i wykończenie ozdoby nie należało do precyzyjnych: po wewnętrznej stronie pozostały ślady młotka, a symetria nie była idealna. Mimo to bransoleta prezentowała się świetnie: złota taśma zwężająca się przy końcach. Owe zakończenia zdobiły podobizny ryczących lwów. Tannhäuser obrócił bransoletę do światła i dostrzegł po wewnętrznej stronie arabski napis, który odczytał na głos:

– „Przybywam na Maltę nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy".

Spojrzał na Nicodemusa, zastanawiając się, kto dał mu tę ozdobę i dlaczego, ale nie był pewny, czy chce znać odpowiedź. Włożył ją na swój nadgarstek. Poczuł niewyjaśnione ciepło w piersi – być może ten napis miał w sobie nadnaturalną moc.

– Będzie mi cenniejsza niż wszystkie inne przedmioty – rzekł z powagą. Uniósł ramię i bransoleta zalśniła ciemnym, prawie ochrowym blaskiem. – Ma w sobie moc, której nie dostrzega ludzkie oko.

Nicodemus z namaszczeniem skinął głową.

– Zanim Sulejman został sułtanem, wyszkolił się w sztuce złotniczej.

– Tak – odparł Nicodemus. – Ze mną było podobnie. – Tannhäuser spojrzał na niego pytająco. – No, w każdym razie przez pięć lat byłem czeladnikiem. Nigdy nie dopuszczono mnie do cechu.

Teraz drobne niedoskonałości bransolety nabrały sensu.

– Więc to twoje dzieło.

Nicodemus skinął głową.

– Z czterdziestu dziewięciu kawałków złota. – Wypowiedział te słowa tak, jakby były to monety stanowiące zapłatę za coś, co nigdy nie powinno było zostać sprzedane.

– Udało ci się przekształcić coś prostego w rzecz piękną – ocenił Tannhäuser. – Nie istnieje wyższa magia.

Cień melancholii przemknął po twarzy Macedończyka.

– Niech cię uściskam – powiedział z uśmiechem Tannhäuser.

Nicodemus zbliżył się, a kapitan przycisnął go do piersi.

– A teraz idź, wyciągnij Borsa z barłogu – polecił, rozluźniając uścisk. – I ugotuj coś smacznego dla kobiet, kiedy mnie nie będzie. Jedzą jak wróble. – Macedończyk ruszył w stronę wyjścia, ale Tannhäuser zatrzymał go jeszcze. – Nicodemusie… Ulżyłeś moim troskom.

Uśmiech rozjaśnił twarz chłopaka, który ukłonił się i zniknął za drzwiami. Tannhäuser ruszył jego śladem, spoglądając na słoneczne odblaski na bransolecie. Tylko złoto tak błyszczy i jest tak szczególne w dotyku. Wszystko inne może być fałszem – i dlatego ludzie tak bardzo kochają złoto. Tannhäuser wyczuł leciutkie drżenie pod podeszwami butów i do oberży dotarło echo dziesiątek eksplozji. Działa oblężnicze rozpoczęły ostrzał ze stoków Monte Sciberras. W forcie Świętego Elma zaczynał się nowy dzień.

Piątek, 8 czerwca 1565 - Plac Szpitalny – fort Świętego Anioła

Bors nie był zadowolony, że ominęło go ciepłe śniadanie, ale idąc z Tannhäuserem przez miasto, ochoczo zajadał chleb i ser, popijając winem.

– Kobiety doprowadzają mnie do szału – wyznał Mattias.

– Cóż nowego uczyniły ci nasze szlachetne i delikatne dziewice? – Bors udał zaskoczonego.

Mattias wydął policzki.

– A czy muszą robić cokolwiek poza oddychaniem? – Rozłożył ręce, jakby był ofiarą sił, przeciwko którym nic nie mógł wskórać. – Mam jedną z nich, ale chciałbym mieć i drugą.

– Hrabinę? – upewnił się Bors. – Powiedziałbym, że to dla ciebie za wysokie progi.

– Przyciąga mnie, nawet o tym nie wiedząc.

– A ja śmiem twierdzić, że bardzo chętnie powitałaby cię w swoich ramionach, gdybyś oczywiście przestał dmuchać jej najserdeczniejszą przyjaciółkę i przyszedł do niej z pokorą. Zdaje mi się też, że nikt się do niej porządnie nie dobierał, odkąd urodziła syna. Choć oczywiście kobitki znacznie zręczniej potrafią ukrywać takie sprawy niż my.

– Gdyby to była tylko kwestia chuci, nie łamałbym sobie tym głowy. Rzecz w tym, że ja coś czuję do obu.

– Zaraz, zaraz – powstrzymał go Bors. – Miłość w najlepszym razie jest wiarołomnym stręczycielem.

– Nie użyłem słowa „miłość".

– W takim razie podyskutujmy lepiej o tym, ile aniołów może zatańczyć na łebku szpilki.

– Dobrze, mów dalej – ustąpił Mattias.

– W czasie wojny miłość staje się istną zarazą – zaczął wykład Bors. – Znienawidzeni rywale stają się braćmi, podłość zmienia się w braterstwo, a obcy ludzie biorą się w ramiona. Spójrz na de la Valette'a. Założę się, że sześć miesięcy temu każdy z rycerzy hiszpańskich i włoskich tańczyłby z radości, gdyby ktoś wbił mu nóż między łopatki. Tak przynajmniej słyszałem. Ale teraz w oczach wszystkich mistrz mógłby chodzić po wodzie. Dlaczego? – Bors dodał efektowną pauzę. – Dlatego że miłość jest koniem, który ciągnie wóz wojny. Gdyby było inaczej, po cóż mielibyśmy wojować? A jeśli chodzi o kobiety w wojenny

czas, one nigdy nie bywają bardziej miękkie, ich cnoty nigdy nie jaśnieją mocniej, a ich łagodność nigdy nas lepiej nie koi. – Bors spojrzał Mattiasowi w oczy. – A dziura między ich nogami nigdy nie jest głębszą przepaścią.

Mattias milczał przez chwilę, rozważając te argumenty, i to wystarczyło, by Bors był zadowolony, zwykle bowiem jego przyjaciel miał na wszystko natychmiastową odpowiedź.

– Co zatem mi doradzasz? – spytał w końcu Tannhäuser.

– Doradzam? – zaśmiał się Bors. – Po drugiej stronie Porto delle Galere urzęduje kurwa, którą ci gorąco polecam, choć prawdą jest, że wskazówka wagi wychyla się pod nią niewiele mniej niż pode mną. To gwarancja, że jeśli raz zobaczysz ją nagą, nigdy nie zapomnisz tego widoku.

– Pytałem poważnie.

– I poważnie ci odpowiedziałem. W tej grze chodzi tylko o to, żeby się utrzymać przy życiu. A kochać – albo pożądać – znaczy toczyć grę z poważnym balastem u szyi. – Bors wzruszył ramionami. – Wszystko to próżna gadanina, bo gra bez dodatkowych utrudnień to żadna gra, przynajmniej dla takich jak ty. Moja druga rada jest więc taka, żebyś dmuchał obie i niech diabeł rozsądzi, co lepsze. I tak nic z tego wszystkiego nie zrozumiesz, póki nie skończy się ta zawierucha. A i to nie jest pewne.

Mattias znowu się zamyślił. Weszli na plac przed Świętą Infirmerią, ale dopiero na widok ojca Lazara, który właśnie schodził po stopniach, Tannhäuser ocknął się z zadumy.

– Czekaj no – powiedział – mam tu coś do załatwienia.

Ukłonił się przed Lazarem, a ten odpowiedział mu uprzejmym skinieniem głową.

– Ojcze Lazaro, jestem Mattias Tannhäuser, ostatnio z Mesyny. Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli poproszę o przysługę. Signora Carla bardzo pragnie nieść pomoc rannym, o czym zapewne wiesz, a jednak odmówiono jej prawa do tej służby. Miałem nadzieję, że ty i ja dojdziemy jakoś do porozumienia w tej sprawie.

– Opieka nad chorymi jest najświętszym obowiązkiem zakonu i nie może być przedmiotem targów – odparł Lazaro. – Zresztą tylko my mamy niezbędne umiejętności.

– A jakich to umiejętności potrzeba, by potrzymać człowieka za rękę i szepnąć mu parę słów otuchy?

– To kobieta.

– Głos jednej kobiety da rannemu mężczyźnie lepszy powód do życia niż wszystkie wasze eliksiry i mikstury razem wzięte.

– Nasi ludzie przeżyją dzięki modlitwie i łasce Boga – nie ustępował Lazaro.

– Zatem i hrabina została tu zesłana przez Boga. Pół życia spędziła na kolanach.

– Żadna świecka kobieta nie ma wstępu do Świętej Infirmerii.

– Jedynym powodem, dla którego istnieje ten zakaz, jest twoja duma, ojcze. A może powinienem powiedzieć „próżność”?

Mnich otworzył usta, zdumiony bezczelnością Tannhäusera.

– Może powinniśmy otworzyć nasze drzwi przed wszystkimi kobietami w Borgo?

– Bez wątpienia słyszałem już gorsze pomysły – odparował Mattias. – Ale też jestem pewien, że nie byłoby wielkim problemem uczynienie wyjątku dla arystokratki.

Lazaro nie zamierzał się poddać. Mattias położył dłoń na jego ramieniu, a mnich skrzywił się na to tak, jakby nigdy w życiu nie doświadczył podobnego zamachu.

– Ojcze, jesteś sługą Bożym i to – wybacz szczere słowa – dość posuniętym w latach. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak fenomenalnie widok – a także sama obecność, zapach i aura – pięknej kobiety może wpłynąć na ducha bojowego mężczyzny.

Lazaro zadarł głowę, by spojrzeć wprost w pooraną bliznami, barbarzyńską twarz, która pochylała się nad nim.

– Miałem nadzieję, że nie będę musiał o tym wspomnieć, ale słyszałem, że signora Carla nie jest osobą tak pobożną, jak to przedstawiasz.

Mattias ostrzegawczo uniósł brew.

– Przypierasz mnie do muru, ojcze.

– Czyż nie jest prawdą, że żyje ona z tobą w stanie śmiertelnego grzechu?

– Rozczarowujesz mnie, ojcze – odparł Mattias. – Nader gorzko, że tak powiem.

Lazaro ułożył usta tak, że żywo przypominały owczy odbyt. Mattias zerknął na Borsa, który odwrócił się, tłumiąc śmiech.

– Takie plotki niczemu nie służą, a nawet są szkodliwe – ciągnął Tannhäuser. – Czy sam Mojżesz nie nazwał fałszywego świadectwa grzechem? – Jego oczy pociemniały nagle. – Ja może nie mam dobrego imienia, którego musiałbym bronić, ale jako protektor hrabiny zdecydowanie odradzam ci brukanie jej honoru takimi słowy.

– Zatem to nieprawda – bąknął nerwowo Lazaro.

– Nie mogę uwierzyć, że braciszkowie zabawiają się, wymieniając tak sprośne ploteczki.

Lazaro, teraz już nieco zawstydzony, próbował jeszcze się bronić:

– Być może nie jesteś tego świadom, ale hrabina opuściła tę wyspę w nie całkiem sprzyjających okolicznościach.

– Tak też mi powiedziała, jest bowiem osobą szczerą. Hańba, którą zapewne masz na myśli, spaść powinna na inne, bardziej znaczące osoby, a nie na signorę Carlę. Poza tym, to było dawno. Czyżbyś, ojcze, osiągnął już ten niebotyczny poziom pobożności, że pozwoliłeś sobie odrzucić naukę Chrystusa o przebaczeniu? Przepędziłbyś Magdalenę czuwającą pod krzyżem? Wstydź się, ojcze Lazaro. – Zakonnik skurczył się w sobie, słuchając tej tyrady, a Mattias cofnął się o krok i odezwał nieco łagodniejszym tonem: – Jeśli okażesz więcej chrześcijańskiego ducha, do waszego aptekarza mógłby na przykład trafić funt perskiego opium. A może i dwa?

Lazaro zamrugał teraz już całkiem zdezorientowany.

– Przechowujesz opium, kiedy nasz szpital pełen jest ciężko rannych?

Bors przypomniał sobie pokaźny zapas ukryty pod beczką, a Mattias ułożył usta w smutnym uśmiechu.

– Być może zasłużyłem czymś na brak szacunku z twojej strony, ojcze Lazaro, choć przecież spotykamy się po raz pierwszy. Ale dlaczego oskarżasz mnie o przechowywanie opium?

– Być może ciężkie położenie moich pacjentów popchnęło mnie do nazbyt pochopnej konkluzji… – wycofywał się Lazaro.

– Jednakże – Tannhäuser przerwał mu, unosząc otwartą dłoń – gotów jestem z narażeniem życia i niemałym kosztem zdobyć dla ciebie wspomniany lek na tureckim bazarze.

Lazaro złapał go za rękę w nagłym ataku skruchy.

– Wybacz mi, kapitanie, błagam.

Mattias pochylił głowę w geście łaski.

– Signora Carla będzie zaszczycona, mogąc przyjąć twoje zaproszenie.

Troska wykrzywiła krągłą twarz mnicha.

– Ale czy starczy jej siły do tak ponurego zajęcia? – Lazaro spojrzał na schody wiodące do szpitala. – Nie brak tam widoków, które zaszkodziłyby i najmocniejszemu żołądkowi, a także złamałyby najtwardsze serce.

– Serce hrabiny jest ze szczerego złota. Jeśli jednak jej żołądek okaże się zbyt słaby, to twoja duma będzie nagrodzona, a jej – skarcona. Znajdziesz ją i jej towarzyszkę w Oberży Angielskiej.

– Towarzyszkę?

– Amparo. Jeśli lubisz prostackie plotki, powiem ci, że to właśnie jest kobieta, z którą żyję w grzechu.

Lazaro zatrzepotał powiekami, a Mattias się przeżegnał.

– Dominus vobiscum – rzucił na pożegnanie.

I ruszyli każdy w swoją drogę.

Dominus vobiscum, pomyślał Bors. Do księdza. Jedynie kompletna ignorancja w kwestii manier mogła popchnąć kogoś do takiej bezczelności. Tylko że ignorancja nie była znaczącym czynnikiem w żadnych przedsięwzięciach Mattiasa.

Fort Świętego Anioła wznosił się nad Wielkim Portem jak ogromny, pływający ziggurat, a jego strome ściany z piaskowca opadały stopniami ku wodzie. Z dachu zamku rozciągał się niezrównany widok na Wielki Port i fort Świętego Elma. Gdy pokonywali ostatnie schody, serce Borsa biło mocniej nie tylko z powodu zmęczenia. Został zaproszony do cesarskiej loży, a nawet sam Neron nie miał okazji przyglądać się przedstawieniu równie spektakularnemu.

Stanęli w oślepiającym słońcu w samą porę, by dać się ogłuszyć salwą armatnią. Wielką platformę z drewnianych bali, drżących i trzeszczących przy każdym wystrzale, wzniesiono specjalnie po to, by zyskać lepszą pozycję do ostrzału tureckich stanowisk. Chmury dymu płynęły nad kryształowymi wodami widocznymi daleko w dole. Bors osłonił oczy przed słońcem, by przyjrzeć się artylerzystom. Zmagali się z szesnastofuntówkami, jakby to były dzikie bestie, które trzeba ujarzmić. Byli półnadzy, choć ranek był jeszcze chłodny. Szeroko otwartymi, czerwonymi ustami wdychali siarkowe opary, a całe ich ciała były czarne jak smoła od smarów i resztek prochu. Po brudnych grzbietach płynęły strumienie potu, omijające jątrzące się wrzody – normalny skutek poparzeń nieuniknionych w tym rzemiośle. Wszyscy oni, w każdej z dziewięcioosobowych załóg, przeklinali Boga, diabła i własne matki za to, że wydały ich na świat, po każdej salwie z wysiłkiem spychając brązowe potwory z powrotem na stanowiska strzelnicze. Na ich twarzach pokrytych sadzą błyskały tylko białka przekrwionych oczu, jakby grali w piekielnej commedia role minstreli diabelskich i obłąkanych.

– Kiedy miałem dziewięć lat, byłem pomocnikiem kanoniera – powiedział Bors. – W armii księcia Connaught. Do dzisiaj mam ślady.

– Uraz mózgu może trwać całe życie – przytaknął kpiąco Mattias.

Bors roześmiał się.

– Na całe życie zapamiętałem przysięgę: nigdy więcej nie służyć w artylerii.

W górze, na bezchmurnym niebie, szybowały dziesiątki czarnoskrzydłych sępów. Zataczały kręgi nad fortem Świętego Elma, poruszając się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i w myśl zasad sobie tylko znanej, sekretnej nauki utrzymując stałe orbity.

Wysoki, smukły mnich stał na podwyższeniu na północno-zachodnim krańcu muru, przyglądając się ptakom z taką uwagą, jakby chciał pojąć ich tajemnicę. Starkey mógł się wydawać typem uczonego, nienawykłego do wojaczki, ale swego czasu odsłużył swoje w karawanach Religii, pustosząc lewantyńskie wybrzeże i wyspy Morza Egejskiego, a także niszcząc tureckie okręty na Morzu Jońskim.

– Oto i nasz człowiek – powiedział Mattias.

Gdy przemierzali płaską połać dachu, Bors spytał:

– Jakie nowiny o chłopcu hrabiny?

– Zostało mi do sprawdzenia tylko jedno miejsce. Jeśli tam go nie znajdę, trzeba będzie opuścić wyspę. – Mattias spojrzał na Borsa. – Sabato czeka w Wenecji. Będziesz mógł się pochwalić, że walczyłeś ramię w ramię z rycerzami Religii.

– Dezercją nie wypada się chwalić. A jeśli nas złapią, powieszą nas.

– Ja nie dezerteruję – odparł Tannhäuser. – Nikomu nie dałem słowa i nie podpisałem umowy. Mimo to oddałem Religii bezcenne usługi, nie żądając w zamian złamanego grosza. Zamierzam jednak wyrównać ten dług.

Bors znał Mattiasa od lat.

– Masz łódź?

– Jeszcze nie, ale de la Valette ukrył na wybrzeżu co najmniej dwadzieścia feluk, z myślą o wysyłaniu emisariuszy na Sycylię. Niemożliwe, żebym nie znalazł którejś z nich w ciągu jednego dnia. – Mattias popatrzył na przyjaciela i zatrzymał się u podnóża kamiennych stopni wiodących na podwyższenie. – Obaj mamy coś lepszego do roboty, niż zdechnąć na tej kupie łajna. W tej chwili południowa część kraju jest tylko sporadycznie patrolowana, ale kiedy padnie Święty Elmo, Mustafa skupi się na mieście i ucieczka stanie się nieporównywalnie bardziej niebezpieczna. Zamierzam sprzedać nasze opium na bazarze – gdzie powinienem dostać dużo lepszą cenę, a może wymienić towar na perły i drogie kamienie, nie na złoto – i nie dalej niż za tydzień pożeglować do Kalabrii.

– A jeśli signora Carla postanowi zostać?

– Nie ulepię jej syna z gliny. A za miłość warto umierać nie bardziej niż za Boga.

– Którego chwalmy.

– Odpłyniesz ze mną czy zostaniesz? – spytał Mattias.

Bors wzruszył ramionami.

– Chyba będę musiał się obejść zapachem chwały.

– I dobrze.

– Ale jak wydostaniemy się we czworo przez bramę Kalkara?

Tannhäuser nie odpowiedział.

Wspięli się po schodach, a gdy Bors stanął przy krawędzi muru, wrażenie zaparło mu dech w piersiach. W niewielkiej odległości po drugiej stronie portu, cała armia turecka otaczała mały posterunek zwany fortem Świętego Elma. Monte Sciberras wynurzała się z wody jak grzbiet na wpół zanurzonego wołu, którego kręgosłup kończył się właśnie murami fortu, przyklejonego na samym skraju skalistego półwyspu. Nachylenie wzgórza dawało tureckiej artylerii przewagę, ale za to z żadnej flanki nie było choćby śladu roślinności, ani nawet miękkiej ziemi, na której cokolwiek mogłoby wyrosnąć. Dziewica Natura nie dała oblegającym szans na znalezienie schronienia ani zagłębienia dział i ludzi w okopach, lecz jak to z dziewicami bywa, została zgwałcona przez tureckich saperów. Tysiące murzyńskich i chrześcijańskich niewolników aż z basenu Bingemmy wykopywały i przenosiły w workach ziemię, by zostawić ją na nagiej skale. W plecionych z wierzbowych witek gabionach – wielkich koszach – dźwigali mniejsze i większe kamienie, a także ciała swych towarzyszy zastrzelonych przez obrońców fortu. Ustawiali kosze ciasno obok siebie, tworząc reduty, zza których lufy tureckich dział oblężniczych z rykiem pluły żelazem i kamieniami w mury Świętego Elma.

Kosztem jeszcze większych strat próbowali Turcy wkuwać się w surową skałę, tworząc rozrastającą się sieć rowów, które biegły wzdłuż zbocza i miały otoczyć południową stronę fortu. Kryjąc się w nich, janczarscy strzelcy wyborowi mierzyli do każdego, kto pojawił się na murach, i do wszystkiego, co płynęło po wodzie – choć za dnia nikt nie ośmielał się żeglować w tamtą stronę. Z wybrzeża zatoki Marsamxett, za fortem, gdzie pnie drzew i krzewy zapewniały częściową osłonę, inna grupa strzelców mierzyła w każdego chrześcijanina, który pojawił się na zachodniej ścianie. Poniżej linii armat zbocze zdawało się falować od licznie zgromadzonych proporców górujących nad tysiącami muzułmańskich wojowników. Kanarkowa żółć sąsiadowała z mocnym szkarłatem i papuzią zielenią; jedwabie lśniły, a srebrne znaki obcego pisma raz po raz połyskiwały w słońcu. Pośrodku tej sceny, w lawinie artyleryjskiego ognia, fort Świętego Elma dymił jak gardziel budzącego się wulkanu.

– Ależ oni uwielbiają te jaskrawe kolory, muzułmańskie świnie – powiedział Bors. – Co mówią napisy na tych proporcach?

– To wersety z Koranu – odparł Mattias. – Sura Al-Anfal, czyli Łupy. Wzywają wiernych do rzezi, zemsty i śmierci.

– Oto i cała różnica między nami – zauważył Bors. – Czy Jezus Chrystus kiedykolwiek nawoływał do takich okropieństw?

– Widocznie Jezus Chrystus wiedział, że nie musi.

Atakowany fort przypominał kształtem czteroramienną gwiazdę. Klin wysunięty w stronę lądu szczelnie spowijał tuman dymu i pyłu. Wschodnia flanka i tyły fortu schodziły stromymi murami aż do wody, ale po piętnastu dniach bombardowania ich pierwotnego kształtu można się było jedynie domyślać. Ściana stojąca naprzeciwko baterii dział ulokowanych na wzgórzu była wyszczerbiona; rozprute mury wyglądały jak zęby w ustach starej wiedźmy. Masy gruzu wypełniały już rów otaczający twierdzę, a na nich rozścielał się barwny dywan ciał tureckich fanatyków, którzy już pożegnali się z życiem. Zaciekłe, falowe ataki, trwające czasem godzinami, następowały naprzemiennie z uporczywymi ostrzałami artyleryjskimi. Tego dnia nie spodziewano się niczego innego.

Mimo zniszczeń poszarpany kulami sztandar świętego Jana – biały krzyż na krwistoczerwonym polu – wciąż powiewał dumnie, a zza rozpadających się parapetów murów obronnych i zaimprowizowanych przeciwstraży wciąż rozbrzmiewał huk muszkietowych wystrzałów oraz grzmot armatniego ognia. Dotychczas, wbrew wszelkim kalkulacjom oblegających i obleganych, zmasowane ataki Turków były odrzucane. Każdego dnia ubywało obrońców i każdej nocy de la Valette wysyłał nowych łodziami z dalekiego krańca portu przy Świętym Aniele. Nigdy nie brakowało ochotników, a Bors wcale się temu nie dziwił. Zaciskając pięść na rękojeści miecza, żałował, że nie znalazł się wśród nich. Czyjaś dłoń zamknęła się na jego ramieniu.

– Widzę łzy w twoich oczach – powiedział Mattias. – Sądziłem, że wy, Anglicy, macie lepiej poukładane w głowach.

Bors skrzywił się i otarł oczy wierzchem dłoni.

– Ależ skąd, nadajemy się tylko do przechwalania się w piwiarniach odważnymi czynami, które widzieliśmy na własne oczy, ale w których nie dane nam było uczestniczyć.

Mattias spojrzał na Starkeya.

– Twój rodak wydaje się znacznie bardziej flegmatyczny.

Była to prawda. Starkey obserwował rzeź ze spokojem kibica przyglądającego się grze w kręgle.

– On przynajmniej nie zamierza wymykać się stąd nocą jak złodziej.

Mattias zignorował tę uwagę i ruszył w stronę Starkeya, a Bors niechętnie podążył za nim.

Starkey odwrócił się ku nim na powitanie.

– Słyszałem, że zmieniliście mój dom w jaskinię grzechu.

– Jak mówi Jezus, nie samym chlebem człowiek żyje – odparł Mattias.

– Chrystus mówi o sprawach duchowych, a ty doskonale o tym wiesz. – Starkey spojrzał na Borsa i przemówił po angielsku: – Jesteś synem Kościoła, widziałem cię na mszy.

Bors słyszał ojczystą mowę tak rzadko, że brzmiała w jego uszach dziwnie obco, ale jej melodia wzruszyła go, jak zawsze.

– Tak, wasza ekscelencjo. Dobrym synem.

– Jak więc mogłeś się związać z tak bezbożnym człowiekiem?

– Doszło do tego pewnej zimnej nocy, w mokrym rowie, gdy Mattias żegnał się z tym światem. Z bożą pomocą jednak przywróciłem go do życia. – Pochlebianie człowiekowi pokroju Starkeya nie miało sensu, ale odrobina pobożności na pokaz nie mogła zaszkodzić. – Teraz zaś, jeśli Bóg pozwoli, zamierzam poprowadzić go ku życiu wiecznemu. To znaczy z powrotem na łono Kościoła, z którego przecież się wywodzi.

Wydawało się, że Starkey używa angielszczyzny z równą przyjemnością jak Bors.

– Zatem czeka cię niezmiernie trudne zadanie.

– Mattias został wzięty przez muzułmanów jako chłopiec i widział, jak mordowali jego rodzinę. Błagam więc, panie, wybacz mu wszelkie bluźnierstwa, których rzeczywiście wiele wygłasza. Chrystus wciąż przemawia do jego serca, rzecz tylko w tym, żeby on zaczął słuchać.

Starkey przyglądał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

– Wierzę, że mówisz szczerze.

Bors zmrużył oczy. Za jakiego łotra brał go Starkey?

– W sprawach religii zawsze jestem szczery.

– Nie wątpię, że dyskutujecie o sprawach wielkiej wagi – wtrącił Mattias po włosku – ale i ja mam coś do powiedzenia.

– Tematem rozmowy było wieczne zbawienie – odparł Starkey. – Twoje zbawienie.

– W takim razie wierzę, że możesz mi pomóc – stwierdził Mattias. – Muszę złożyć wizytę w Mdinie, ale na bazarze dowiedziałem się, że kawaleria marszałka Copiera traktuje wszystkich gości, czy to z lądu, czy z morza, mniej więcej tak czule, jak wilki traktują króliki. Wolałbym, żeby mnie nie posiekali na kawałki, i potrzebna mi skuteczniejsza ochrona niż mój własny spryt.

– Jak dotąd spryt cię nie zawiódł – zauważył Starkey.

– To dlatego, że Turcy nie palą się tak bardzo do przelewania krwi – odparł Mattias. – To cywilizowana rasa. Lubią rozmawiać. Niestety, pancerni na rozpędzonych koniach mają kłopoty ze słuchem, zwłaszcza gdy widzą człowieka w turbanie.

– Chciałbyś zabrać ze sobą signorę Carlę? – spytał Starkey.

Bors był zaskoczony i pewnie poplątałby sobie język, ale Mattias zareagował błyskawicznie, jakby było to zupełnie naturalne pytanie.

– Nie dziś, choć pewnie by sobie tego życzyła, podobnie jak pragnęła powrotu do ojca przez wszystkie te mroczne dni. Ale bez passe porte – dla niej i dla jej opiekunów – nie zdołałbym nawet wyprowadzić jej za bramę. Czy mogę potraktować twoje pytanie jako ofertę zapewnienia nam bezpiecznej drogi?

„Opiekunów", na Boga, pomyślał Bors. Ot tak, po prostu. Mając dokument pozwalający na wyjście przez bramę Kalkara – i łódź w ukryciu – ulotniliby się z wyspy bez kłopotu.

– Wnoszę z tego, że hrabina nie odnalazła jeszcze tego chłopca – odrzekł Starkey.

Mattias chciał, by dowództwo Religii nie znało szczegółów tej sprawy, mogłyby one bowiem zostać zinterpretowane jako motyw zdrady. Lecz i tym razem odpowiedział bez mrugnięcia okiem:

– Wiesz może, panie, kim jest ów chłopiec i gdzie może się znajdować?

Nie Mattias, ale Starkey wyglądał na zaskoczonego. Po chwili potrząsnął głową.

– Zanim nasz wielki mistrz został wybrany, morale zakonu bardzo podupadło. Mężczyźni są tylko mężczyznami. Młodzi rycerze wstępują do zakonu przepełnieni dumą i szlachetnymi marzeniami, a odnajdują w nim proste życie złożone z postów i niewygód, w dodatku gdzieś na skraju świata. Święte śluby były więc składane, ale nie zawsze dotrzymywane. Był hazard, była rozpusta, było pijaństwo, a nawet pojedynki. Tylko najbardziej surowa dyscyplina może powstrzymać młodych mężczyzn od tego, co zwykle robią młodzi mężczyźni. De la Valette właśnie taką wprowadził. Jak mawia: „Nasze śluby są z założenia nieludzko surowe. Są młotem i kowadłem, na którym wykuwa się nasza siła".

– Uniknąłeś odpowiedzi na moje pytanie – zauważył Tannhäuser. – Znasz tego chłopca?

– Nie mam pojęcia, kim jest syn signory Carli ani z kim został poczęty. – Starkey wyglądał na zmieszanego. – Czy był to członek naszego zakonu?

– Syn hrabiny przyszedł na świat w wigilię Wszystkich Świętych – podpowiedział Mattias.

Nie zamierzał zdradzać rodowodu chłopca. To, że ojcem był inkwizytor Ludovico Ludovici, wystarczało za powód. Sprawa i bez ujawniania szczegółów była dostatecznie skandaliczna.

– Nie liczyłbym na to, że chłopak zna datę swego urodzenia – rzekł Starkey. – Maltańczycy to prymitywny, zamknięty w sobie i nader pobożny lud. Co zrobisz, kiedy znajdziesz jej syna?

– Dopilnuję, żeby spotkał się z matką.

– Może przeżyć gorzkie rozczarowanie. Życie świniopasa skutecznie wymazuje wszelkie ślady szlachetnej krwi.

– Hrabina ma czułe serce.

– A co potem? Czy dalej będziemy mogli liczyć na twoją pomoc?

– Dowiodłem już mojej wierności Religii.

– Ostrożna odpowiedź – zauważył Starkey.

– Na pytanie, które inni mogliby wziąć za śmiertelną zniewagę – odparował Mattias.

Starkey postanowił wycofać się z gracją.

– Wielki mistrz nikogo nie szanuje tak jak ciebie.

– Zatem dam ci powód, dla którego będzie darzył mnie jeszcze większą estymą. I dla którego wyśle mnie do Mdiny.

Mattias wyciągnął rękę i Starkey odwrócił się, podążając za jego spojrzeniem. Wszyscy trzej patrzyli teraz w stronę Porto delle Galere, cypla, który wraz z fortem Świętego Elma tworzył rozwarte szczęki Wielkiego Portu. Zgodnie z zapowiedzią Mattiasa trzydziestego maja przybył Turgut Reis. Zainstalował swe działa oblężnicze właśnie na Porto delle Galere i to właśnie one ostrzeliwały fort od wschodu. Nawet teraz, na ich oczach, trwała kanonada.

– Turcy pakują w fort trzysta pocisków na godzinę – zaczął Tannhäuser i wskazał na tor wodny przecinający Wielki Port. – Armaty Turguta zagrażają też łodziom wiozącym zaopatrzenie. Niech więc kawaleria Copiera wykona odrobinę męskiej roboty, zamiast skupiać się na zabijaniu woziwodów i poganiaczy wielbłądów. Wyślijcie mnie do Mdiny, a ja poprowadzę konnych na Porto delle Galere.

– Jak zawsze zawstydza mnie twoja odwaga – przyznał Starkey.

– Co będzie z passe portes? – spytał Mattias.

Szesnastofuntówka na platformie bluznęła ogniem i Bors odprowadził spojrzeniem kulę mknącą nad zatoką. Uderzyła w środek grupy czarnoskórych niewolników zajętych kuciem okopu dla Turków i zmieniwszy ich w masę wrzeszczących ludzkich szczątków, potoczyła się w głąb kamiennego rowu.

– Pójdźcie ze mną – odparł Starkey. – Wypiszę potrzebne papiery. Powiem ci też, gdzie znajdziesz don Ignacia, ojca signory Carli. Bardzo podupadł na zdrowiu i wątpię, żeby był dla ciebie miły, ale jeśli ktokolwiek wie coś o tym chłopcu, to właśnie on.

Starkey ruszył w stronę schodów, a Mattias podążył za nim. Bors żałował tylko, że straci z oczu tak olimpijski widok.

– Wasza ekscelencjo – zawołał. Starkey zatrzymał się. – Za pozwoleniem, chciałbym tu zostać i pokierować ogniem artylerii. Widzę, że marnują wiele kul.

Starkey skinął głową.

– Wydam rozkazy załogom.

– Dziś jest piątek, muzułmańskie święto, więc ataki będą szczególnie zaciekłe – odezwał się Mattias. Wziął Borsa pod ramię i wskazał na tureckie umocnienia na stoku Monte Sciberras. – Widzisz tam duży biały turban?

Bors przyjrzał się maleńkim sylwetkom ginącym w obłokach dymu.

– Widzę tysiąc białych turbanów.

– Jeden jest większy od pozostałych, co wskazuje na wyższą rangę. Zielona szata. Tam, nad gniazdem sześciu dział, tych kulweryn o smoczych pyskach.

Bors skupił spojrzenie na jednym punkcie i wreszcie dostrzegł wielki biały turban nad plamą zielonej szaty. Postać była nie większa od szpilki.

– Mam go.

– To Turgut Reis.

Bors wydął wargi.

– Sypia w okopach ze swoimi ludźmi – ciągnął Tannhäuser. – Jada to samo co oni. Uwielbiają go. Jego śmierć warta jest tyle, ile śmierć dywizji. Poślij no kulkę w jego stronę, a może przypadek dokona reszty.

Mattias odwrócił się, ale Bors zdążył jeszcze złapać go za ramię.

– Powodzenia, przyjacielu.

– Powiedz kobietom, że wrócę jutro wieczorem.

Bors patrzył, jak Starkey i Mattias schodzą po stopniach i oddalają się ku przeciwległemu krańcowi dachu. Szesnastofuntówka zagrzmiała po raz kolejny i odwrócił się ponownie, by prześledzić trajektorię pocisku i nanieść stosowną poprawkę. Odetchnął głęboko i radośnie. Takie życie dał mu Bóg. Przeżegnał się i podziękował Jezusowi Chrystusowi.

Piątek, 8 czerwca 1565 - Mdina

W ten upalny zmierzch kręte uliczki Mdiny przypominały Tannhäuserowi Palermo. Domy były imponujące i utrzymane w normandzkim stylu, ale ponure, jakby wznieśli je ludzie zbytnio przekonani o własnej ważności. Na końcu ślepej uliczki odchodzącej w bok od ulicy króla Ferdynanda znalazł – zgodnie ze wskazówkami – Casa Manduca. Zapukał. Po chwili drzwi otworzył siwowłosy, może sześćdziesięcioletni zarządca o ziemistej cerze. Miał na sobie granatowy aksamitny surdut, z którego najwyraźniej niedawno usuwał plamy za pomocą gąbki. Wyglądał i pachniał tak, jakby nader rzadko opuszczał mury tego domu. Skłonił się z wysiłkiem, jak gdyby ruch w tej płaszczyźnie przyprawiał go o ból pleców. Wpatrywał się w pierś przybysza, nawet nie spojrzawszy mu w oczy. Dziwni słudzy służą dziwnym panom, pomyślał Tannhäuser. Tym bardziej ciekaw był, co i kogo zastanie w środku.

– Kapitan Tannhäuser – powiedział. – Do don Ignacia.

Zarządca wprowadził go do holu, gdzie światło lampy padało na rząd smętnych portretów rodzinnych i obrazów przedstawiających sceny męczeństwa, z których żaden, zdaniem Mattiasa, nie miał wielkiej wartości artystycznej. Weszli na górę nieoświetlonymi schodami, mijając pod drodze kilkoro zamkniętych drzwi. Dywany pod stopami Tannhäusera sprawiały wrażenie przeżartych przez mole, a meble były równie ciężkie i ponure jak sam dom. Czuł się tu jak w mauzoleum wzniesionym na cześć dawno minionej wielkości. A więc to tu dorastała Carla, pomyślał. W mrocznym, dusznym nagrobku prowincjonalnej pobożności. Wyobraził sobie młodą duszę próbującą rozwinąć skrzydła w tym więzieniu. Sam zaczął się tu dusić po dwudziestu krokach. Żałował dziewczyny, którą była niegdyś Carla, i już lepiej rozumiał rezerwę, z jaką nosi się jako kobieta. Przestał też się dziwić, dlaczego nie wróciła tu przez te wszystkie lata, i myślał teraz o niej z jeszcze większą czułością. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wysyłając swą córkę na wygnanie – bez względu na to, jak okrutny był to czyn – don Ignacio wyświadczył jej przysługę.

Zarządca otworzył podwójne lakierowane drzwi i bez słowa usunął się na bok. Powietrze, które buchnęło z wnętrza, było stęchłe i duszące, przesycone fetorem moczu, gazów jelitowych oraz rozkładu. Tannhäuser miał ochotę uciec stąd jak najszybciej – od aury samotności, rozpaczy i życia podtrzymywanego za zdecydowanie zbyt wysoką cenę. Spojrzał na zarządcę, który – choć musiał być przyzwyczajony – miał taką minę, jakby dręczyły go

potworne nudności. Milczący sługa skłonił się głęboko i wskazał gościowi drogę. Tannhäuser żałował, że nie zerwał po drodze listków rozmarynu, które mógłby wepchnąć sobie do nosa. Wszedł do pokoju, jakby wstępował do wanny pełnej wymiocin, a zarządca czym prędzej zamknął za nim drzwi.

Głęboki fotel z podnóżkiem stał w kręgu światła, którego źródłem był ogień trzaskający w kominku. Siedział w nim starzec o czaszce łysej i bladej jak ciało larwy. Był szczelnie opatulony długą szatą z futrzanym kołnierzem, która w blasku płomieni zdawała się ciemnobrązowa. Na jego piersi lśniła plama śluzu, ale czy jej źródłem była bezkrwista szczelina, która udawała usta, czy może gnijąca rana, która zniekształcała wąskie wargi i zajmowała już część policzka, tego Tannhäuser nie wiedział. Siwa broda starca również była zlepiona śluzem. Ciało ukryte pod szatą przypominało skurczoną, wyschniętą roślinę; blade dłonie wystające z rękawów pokryte były wielkimi brązowymi plamami. Oczy, które zwróciły się w stronę gościa, były czarne, z żółtawymi obwódkami wokół tęczówek. Tannhäuser nie umiał stwierdzić, czy jeszcze coś widzą, ale czuł, że niewiele więcej poza ruchliwą plamą ognia. Po krótkim namyśle uznał, że jest za wcześnie, by się przedstawić don Ignaciowi Manduce jako „przyszły zięć".

– Niech cię nie niepokoją objawy mojej choroby – odezwał się don Ignacio po włosku, choć z miejscowym akcentem. Jego głos nie drżał; był jakby ostatnią manifestacją siły, która ledwie istniała. – Zesłana została na mnie przez Boga jako kara za grzechy. Jeśli będę walczył z Jego wyrokiem, stracę szansę na odkupienie w czyśćcu. Proszę cię więc, abyś zaakceptował moją chorobę, tak jak ja to uczyniłem.

Tannhäuser zbliżył się o krok i raz jeszcze spojrzał na chorobowe zmiany na twarzy gospodarza. Był to otwarty krater o purpurowych krawędziach i pokrytym wydzieliną wnętrzu, ciągnący się od ucha do nozdrza i od skroni po łuk szczęki. Szyja poniżej żuchwy wybrzuszona była w wielu miejscach, jakby ktoś umieścił pod skórą garść przepiórczych jaj.

– Tylko próżni lękają się cielesnej brzydoty, don Ignacio – odparł Tannhäuser. – A spośród wszystkich wad próżność jest tą, która najmniej przystoi człowiekowi.

– Dobrze powiedziane, kapitanie Tannhäuser. – Manduca zmrużył oczy. – Niech mi wolno będzie zauważyć, że to nazwisko brzmi raczej jak nom de guerre.

– Masz, mój panie, instynkt godny łowcy przygód – odrzekł uprzejmie Tannhäuser.

– Łowcy przygód? – Don Ignacio skinął głową i skrzywił się, jak się zdawało, z czymś na kształt zadowolenia. – Tak, tak, choć pewnie nie wyglądam na takiego w tej chwili.

Czy trafnie odgaduję, że jesteś poszukiwany za zbrodnie w jakimś dalekim zakątku tego chorego, nieoświeconego świata?

– Za liczne zbrodnie i w wielu zakątkach.

Don Ignacio zaśmiał się, a brzmiało to jak krakanie wrony nad padliną.

– Możesz więc liczyć na schronienie pod tym dachem. Walczyłem dla Karola V w Tunisie trzydzieści lat temu. Andrea Doria też był mym dowódcą. Znałem wtedy wielu lancknechtów. Czy to nie oni spalili dla Karola Rzym?

– I zamknęli papieża w jego własnym więzieniu.

Znów rozległ się suchy rechot.

– Odważni wojownicy, ci Niemcy, ale tylko tak dobrzy jak ich wypłata. A czy de la Valette dobrze ci płaci?

– Wielki mistrz nie płaci mi ani eskuda.

– Zatem jest głupcem, ale to dla mnie nie nowina. Jeżeli chcesz mówić o próżności, mów o rycerzach. O Religii. Ech… – Złość wykrzywiła jego i tak zniekształcone usta. – Myślałby kto, że Chrystus dał się przybić do krzyża wyłącznie za nich. Zwłaszcza za Francuzów, bo widzisz, we Francuzie więcej jest próżności niż na samym dnie piekła. Wiem, że wybaczysz mi bluźnierstwa, bo przecież Niemcy Boga w sercu nie mają. Za dużo lasów i dziczy gra w ich duszach. Wszelako drażnią mnie ci rycerze; panoszą się na naszej wyspie i zmieniają państwo wedle własnego uznania. Nikogo nie pytają o pozwolenie. I nie ja jeden jestem tego zdania. Gdyby nie ich krucjata, Turcy zostawiliby nas spokoju. Korsarze, tak, tych psów mamy pod dostatkiem od pięciuset lat. Ale armia zdolna na powrót odbić Grenadę? – Don Ignacio prychnął i drżącą dłonią otarł ślinę z ust. – Lecz niepotrzebnie zabieram ci czas. Powiedz, jak umierający człowiek może pomóc potężnej Religii?

– Nie przychodzę tu w imieniu Religii – odparł Tannhäuser. – Chcę prosić o osobistą przysługę.

– Od dawna nie spędziłem tylu miłych chwil w towarzystwie łotra, zatem proś, o co zechcesz.

– Reprezentuję signorę Carlę, twoją córkę.

Groteskowa twarz zwróciła się teraz ku niemu, jakby próbując rozpoznać w półmroku jego rysy.

– Ja nie mam córki. – Głos starca brzmiał jak trzask zamykającej się pułapki. – Umrę bez potomka, bez dziedzica. Z woli Boga mój ród jest skończony, jestem ostatnim Manducą – dodał, a potem wskazał ręką na otoczenie. – A wszystko to należeć będzie do naszego Kościoła, jeśli z woli Boga przetrwa on turecką inwazję.

– Signora Carla nie pragnie ani twojego majątku, ani uznania.

– Signora Carla jest kurwą. – Usta wątrobianej barwy skrzywiły się znowu, a atak kaszlu posłał krople flegmy na rozżarzone palenisko. – Podobnie jak była nią jej matka. Zaiste prawdziwe jest powiedzenie, że małżeństwo to taki interes, w który tylko wejść można za darmo.

Żyły pod łuszczącą się skórą jego czaszki poruszyły się, guzy na szyi nabrzmiały, a otwarty krater na policzku lśnił jak samo zło w blasku ognia – jakby don Ignacio już cierpiał męki gdzieś w najniższym z piekielnych kręgów. Tannhäuser czekał cierpliwie, aż starzec powie to, co miał do powiedzenia.

– Ani jedna kropla mojej krwi nie płynie w żyłach Carli. Kawaler z Owernii był jej ojcem, jeden z przeczystych i świętych rycerzy – o tak! – którzy kotłowali się w moim łożu, gdy ja walczyłem z imperium. I ledwie Carla osiągnęła wiek, w którym dziewczyna umie rozłożyć nogi, a już inny z czcigodnych braciszków wziął ją w obroty. Mają oni widać zwyczaj rozsiewać swe święte nasienie między wycieczkami do konfesjonału. – Pajęcze pięści zacisnęły się z mocą, choć kciuki i palce wskazujące zdeformowane chorobą nie mogły się już zgiąć. – Moi przodkowie zbudowali ten dom jako zdobywcy. Za mojego żywota zmienił się on w burdel.

Wieść, że Carla nie jest spokrewniona z tą kreaturą, ucieszyła Tannhäusera jak żadna inna tego dnia. Postarał się jednak nie okazać starcowi pogardy.

– Czy Carla wie, że nie jest twoją córką?

Don Ignacio wraził gruzłowaty paluch w otwarty wrzód na twarzy, który bez wątpienia trawił też jego umysł.

– A jak sądzisz, co jest przyczyną tej obrzydliwej dolegliwości? Dziesięciolecia zdrad i pozorów. Kłamstwa. Kłamstwa. Rozwiązłość i kłamstwa. I wstyd, i oszustwo, i cudzołóstwo, i drwiące szepty, i śmiechy za moimi plecami. Nie. Carla o niczym nie wie. – Don Ignacio pochylił się z ponurą miną. Skończył widocznie z torturowaniem się, nienawiścią do samego siebie i postanowił uderzyć w żałobne tony.

– Wychowałem ją jak własną córkę – zaczął głosem, który chwilami brzmiał jak zawodzenie. – I nie tylko po to, żeby bronić swojego honoru, ale dlatego, że kochałem ją bardziej niż jakąkolwiek istotę na tym świecie. Każ jej przysiąc na Najświętszą Maryję Pannę, a powie ci to samo.

Don Ignacio sądził chyba, że zasługuje na współczucie, a może i na podziw. Jego nowe oblicze nie mogło wzbudzić w Tannhäuserze większej odrazy.

– Ale nie bacząc na to – na całą miłość, którą jej dałem – ona mnie oszukała i wzgardziła nazwiskiem, które jej dałem, by puszczać się z jakimś skurwysynem Jana Chrzciciela!

– Jej kochanek nie był rycerzem zakonu, ale księdzem i dominikaninem.

– Rycerz, ksiądz, dominikanin, niech ich wszystkich zaraza.

Dramatyczny występ starca utwierdził Tannhäusera w przekonaniu, że kiedy nieszczęście spada na uprzywilejowanych, przyjmują je znacznie mniej godnie i znacznie chętniej użalają się nad sobą niż cała reszta ludzkości.

– Powiedz mi, jaśnie panie, jaki los spotkał dziecko Carli? Jej syna. Jak go nazwano? Kto go wychował i gdzie?

Oczy don Ignacia zapłonęły złośliwym ogniem.

– O, więc w końcu sumienie zaczęło jej dokuczać. Uwierz mi, kiedy powiem, że będzie dla niej lepiej, jeśli nigdy nie pozna prawdy.

Tannhäuser westchnął i otarł czoło. Upał i smród były nie do zniesienia.

– Podobnie jak jej, bardzo mi zależy na odnalezieniu tego chłopca – powiedział. – Proszę cię tylko o tę jedną, osobistą przysługę.

Don Ignacio łypnął na niego okiem z lubieżnym uśmiechem, groteskowym, jeśli zważyć, jak bardzo zdeformowana była jego twarz.

– Więc i przed tobą rozłożyła uda.

Tannhäuser pochwycił go za klapy z króliczego futra i dźwignął z fotela. Aksamitna szata musiała skrywać ciało jeszcze bardziej wyniszczone, niż się spodziewał – pofrunęło wysoko, z jękiem oburzenia. Cisnął starca w stronę kominka i chwycił za szyję, czując mdłości, gdy jego palce napotkały obrzydliwe zgrubienia pod skórą. Oburzenie don Ignacia zmieniło się w przerażenie, gdy Tannhäuser przysunął jego schorowaną twarz tuż do prętów, pod którymi szalały płomienie. Różowa powierzchnia krateru błyszczała, a sącząca się z niego wydzielina z sykiem kapała na rozżarzone polana. Don Ignacio wrzasnął dziko.

– Ty obrzydliwy, stary rogaczu. Powiesz mi teraz, gdzie mam szukać chłopca, albo ta noc okaże się najdłuższą w twoim życiu.

– Chłopiec nie żyje! – krzyknął starzec w płomienie, które osmaliły już jego brwi.

Tannhäuser odciągnął go od paleniska i rzucił z powrotem na fotel. Jego dłoń była lepka od śluzu, który spływał po szacie don Ignacia. Wytarł ją o zdrową połowę jego twarzy. Poczuł pod palcami skórę tak cienką, że omal nie pękła. Starzec oddychał ciężko, a Tannhäuser pochylił się nad nim, opierając dłonie na podłokietnikach.

– Skąd wiesz?

Wąskie usta otworzyły się i zamknęły.

– Został wywieziony łodzią na otwarte morze, zawiązany w worku i… – Don Ignacio urwał, czując, że znalazł się niebezpiecznie blisko kolejnej tortury. – Nie był pierwszy. Dno w tej okolicy usiane jest szczątkami bękartów!

– Dlaczego pozwoliłeś Carli wierzyć, że został oddany?

– Miałem powiedzieć prawdę i słuchać jej wrzasków, że jestem dzieciobójcą?

Tannhäuser zapanował nad sobą i tylko lekko szturchnął go w brzuch.

– Za miękki jesteś, żeby zdobyć się na coś takiego. Kogo wysłałeś, żeby popełnił za ciebie tę ohydną zbrodnię?

– Za pierwszym razem, kiedy zostałem zdradzony i urodziła się Carla, przełknąłem moją dumę. Znosiłem szepty i spuszczone głowy na ulicy. Za drugim razem… – Wspomnienie niewyobrażalnego gniewu kazało mu umilknąć.

Tannhäuser nie dbał ani trochę o duszę tego starca. Już miał złapać go za gardło, ale przypomniał sobie o przepiórczych jajach pod skórą i poprzestał na jeszcze jednym dziabnięciu go pod żebra.

– Mów. Kogo wysłałeś?

– Mojego zarządcę, Ruggiera.

Podwójne drzwi otworzyły się i zarządca stanął na progu. Spojrzał na Tannhäusera i na swego przerażonego pana, nie okazując żadnych emocji.

– Janie pan wzywał?

Tannhäuser wyprostował się, odwrócił się plecami do starego hrabiego i podszedł do zarządcy.

– Ruggiero – powiedział, zamknąwszy za sobą drzwi piekielnej izby.

Zarządca pochylił głowę. Dziesięciolecia upokarzającej służby uczyniły go nieprzeniknionym i być może pozbawiły wszelkich ludzkich uczuć.

– Służysz potworowi – powiedział Tannhäuser.

– Panie, jesteś dzielnym, twardym żołnierzem – odparł Ruggiero. – Czy zatem nie jest tak, że i ty służysz potworom?

Tannhäuser popchnął go na ścianę.

– Nie fechtuj się ze mną na słowa, sługo. Przyszedłem tu w imieniu signory Carli, którą pewnie w najczarniejszych godzinach nocy pamiętasz aż nadto wyraźnie.

Ruggiero na moment przymknął oczy, ale jego nic nieznaczący wyraz twarzy nie zmienił się ani o jotę.

– Zawsze z radością służyłem młodej hrabinie.

– Mordując jej nowo narodzone dziecko?

Zdumienie Ruggiera było krótkotrwałe i objawiło się wyłącznie jako błysk w oczach. Spróbował odepchnąć się od ściany.

– Panie, jeśli pozwolisz…

Tannhäuser spojrzał na niego i cofnął się o krok.

Ruggiero sięgnął po lampę stojącą na stoliku.

– Proszę ze mną, panie.

Tannhäuser poszedł za nim korytarzem, a potem w górę wąskimi schodami, znowu krętym korytarzem i jeszcze raz po stopniach, aż przeszło mu przez myśl, że straciłby godzinę, gdyby sam miał szukać wyjścia z tego domu. Myśl o worku rzuconym do morza napełniała jego gardło żółcią, a serce ponurym echem jego własnych zbrodni – tych samych, które skłoniły go do opuszczenia agi Boluksa – uwaga zarządcy była bowiem nadzwyczaj celna. Za trzecim ciągiem schodów znajdowały się drzwi, które Ruggiero otworzył kluczem. Weszli do przestronnego pokoju z oszklonymi oknami, który Tannhäuser uznał za prywatne mieszkanie zarządcy. Łóżko, szafa, fotel i sekretarzyk pod oknem. Płaskorzeźba w kremowobiałym kamieniu przedstawiająca Madonnę. Nagroda za całe życie wiernej służby. Ruggiero odstawił lampę i kluczykiem otworzył szufladę biurka. Tannhäuser zajrzał do środka. Znajdował się w niej tylko jeden arkusz papieru, złożony kilkakrotnie i zamknięty pieczęcią z czerwonego wosku. Ruggiero wyjął dokument i odwrócił się.

– Umiesz czytać, panie? – spytał.

Tannhäuser wyrwał papier z jego ręki i zbliżywszy go do lampy, obejrzał dokładnie pieczęć. Znak nic mu nie mówił; ważne było to, że pozostawał nienaruszony. Pieczęć broniła dostępu do dwóch wersów pisma. Złamał ją ostrożnie i paznokciem zdrapał resztkę wosku. W pierwszej linii przeczytał: Madonna della Luce. W drugiej zobaczył datę: XXXI Octobris MDLII.

Wigilia Wszystkich Świętych. Rok 1552.

Poczuł suchość w ustach i nerwowo przełknął ślinę.

– Madonna della Luce to nazwa kościoła? – spytał.

Ruggiero kiwnął głową.

– Tu, w Mdinie.

Tannhäuser rozwinął dokument i ujrzał łacińskie pismo nakreślone wprawną ręką. Z mocno bijącym sercem zatrzymał się przy pierwszym słowie. Czytając dalej, rozpoznał słowa Ojciec, Syn i Duch Święty. Domine. I imię: Orlando. Potem jeszcze jedno: Ruggiero Pucci. I podpis u dołu.

Powrócił wzrokiem do pierwszego słowa: Baptizo.

Spojrzał w oczy Ruggiera i zobaczył w nich ciężar winy oraz cień strachu. Zwrócił mu papier.

– Słabo znam łacinę.

Ruggiero nie przyjął dokumentu, za to przytoczył z pamięci jego treść.

– „Dnia 31 października 1552 roku ochrzczono chłopca, Orlanda, o czym zaświadcza signor Ruggiero Pucci, jego opiekun". – Wzruszenie ścisnęło go za gardło i zakaszlał, aby to ukryć. – „Wysłuchaj naszej modlitwy, Panie Boże, i strzeż Orlanda, którego wybrałeś na swego sługę. Niech nigdy nie opuści go siła, poczyniliśmy bowiem na jego czole znak krzyża Jezusa Chrystusa". – Ruggiero znowu odchrząknął. – Podpisał ojciec Giovanni Benadotti.

Tannhäuser czekał na dalszy ciąg opowieści.

– Służę don Ignaciowi od dziecka. Zawdzięczam mu wszystko. W młodości był człowiekiem nieskazitelnego charakteru i najłagodniejszego serca.

– Nie przyszedłem tu, żeby opłakiwać upadek twojego pana.

– Czy mogę usiąść?

Tannhäuser wskazał mu krzesło, a sam oparł się o sekretarzyk. Ruggiero odetchnął głęboko.

– Tamtej nocy, kiedy urodziło się dziecko, diabły opętały don Ignacia. Być może do tej pory mają nad nim władzę. Gdy wyszedłem tylnymi drzwiami, z noworodkiem na rękach – i z workiem, który miał się stać jego całunem, w kieszeni płaszcza – naprawdę zamierzałem wykonać rozkaz mojego pana. Tak jak zawsze wykonywałem wszystkie jego rozkazy. – Ruggiero zawahał się.

– Ja też wykonałem w życiu niemało niesłusznych rozkazów – pocieszył go Tannhäuser. – Mów dalej.

– Chłopiec był bardzo cichy, jakby wiedział, co oznaczają jego narodziny, a swoim milczeniem rozdzierał mi serce bardziej, niż gdyby nieustannie płakał. Nie mogłem się zmusić, by skazać go na czyściec, bo choć nie ma tam płomieni, jest to jednak przedsionek piekła. Zabrałem go do ojca Benadottiego z kościoła Naszej Pani Światła, żeby mógł być przyjęty do wspólnoty Chrystusowej. Chrzest zapewniłby mu życie wieczne. Zostałem ojcem chrzestnym tego chłopca, bo nie miał nikogo innego, a kiedy ksiądz namaszczał go olejem krzyżma świętego, moje łzy spłynęły na jego twarzyczkę. Właśnie wtedy Benadotti zrozumiał, co zamierzam uczynić. Nie oskarżał mnie o nic, ale spojrzał na mnie tak, jakbym… – Ruggiero załamał ręce, ale po chwili zaczął mówić dalej. – Nie mogłem spojrzeć

w oczy tego dobrego księdza. Gdy ceremonia dobiegła końca, zaprowadził mnie do zakrystii, wpisał imię chłopca do księgi parafialnej i przygotował ten dokument, który trzymasz, panie, w ręku. Pozwolił mi go przeczytać, a potem zapieczętował i schował. Powiedział, że kiedy upewni się, że dziecko jest w dobrych rękach, będę mógł odebrać to świadectwo urodzenia. Jeśli nie, dokument miał pozostać dowodem potwornej zbrodni.

Tannhäuser spojrzał na podpis.

– Chłopiec został ochrzczony, a ksiądz był przyzwoity i niegłupi. Co dalej?

– Upadłem na kolana i błagałem o przebaczenie za to, że planowałem w sercu morderstwo, ale Benadotti nie chciał mnie wyspowiadać. Podał mi nazwisko pewnej kobiety w Borgo. Gdybym zechciał, mogłaby znaleźć mamkę dla chłopca. Gdybym nie zechciał, miałbym już nigdy nie przekroczyć progu jego kościoła, podobnie jak nie dla mnie byłyby progi Królestwa Niebieskiego, niezależnie od tego, jaką zadałbym sobie pokutę.

Tannhäuser omal nie złapał go za poły surduta.

– Więc oszczędziłeś chłopca?

– Tej samej nocy zabrałem go do Borgo.

Tannhäuser był już tak bliski utraty wszelkiej nadziei, że to, co teraz usłyszał, na chwilę odebrało mu mowę. Musiał jednak wiedzieć więcej.

– Jak nazywała się rodzina, która go przyjęła?

– Boccanera.

– Odchowali go?

Ruggiero pokiwał głową.

– Ojciec rodziny pracował w stoczni, póki nie zginął podczas przechylania galery.

– Wciąż masz kontakt z chłopcem?

– Ostatni raz widziałem go, gdy miał siedem lat. Właśnie wtedy dobiegła końca umowa na jego wychowanie, to znaczy… skończyły się pieniądze, które dawałem z własnej kieszeni.

– Orlando Boccanera – powiedział Tannhäuser. – Zatem według twojej najlepszej wiedzy chłopiec żyje i mieszka w Borgo?

Ruggiero skinął głową. Tannhäuser sięgnął po rzeźbę Madonny stojącą na blacie i rzucił ją wprost w ręce Ruggiera.

– Potwierdzasz prawdziwość tych słów przysięgą na Świętą Dziewicę oraz na własne życie i na potępienie, które spotka cię niechybnie, jeśli kłamiesz.

– Na wszystkie świętości – odparł Ruggiero. – Przysięgam na krew Chrystusa.

– Orlando Boccanera – mruknął raz jeszcze Tannhäuser, jakby imię i nazwisko chłopca były magicznym zaklęciem. – Nigdy nie wspomniałeś hrabinie o tym, co zrobiłeś. Dlaczego?

– Kiedy zostawiłem dziecko u nowej rodziny i wróciłem z Borgo, signory Carli już nie było. Popłynęła galerą do Neapolu. Kontrakt małżeński już był zawarty. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Mój pan, don Ignacio, lubi starannie zamknięte sprawy.

– Takie ma upodobanie? – mruknął Tannhäuser.

Pomyślał o Carli i poczuł ból w sercu. Jeszcze wyczerpana i krwawiąca po porodzie, została zapakowana na cuchnący statek. Wciąż oszołomiona rozpaczą i hańbą, udała się w podróż pełną nieznanych niebezpieczeństw i cierpiała wygnanie w obcym, dalekim kraju. Miała ledwie piętnaście lat. Nie po raz pierwszy Tannhäuser spotkał się z dowodami nikczemności i okrucieństwa, z jakimi Frankowie z Południa byli zdolni traktować najbliższych, zwłaszcza gdy w grę wchodził honor rodziny. Seksualne wykroczenia doprowadzały ich do szału. Do morderczego szału. Tannhäuser nie był przesadnie delikatny, ale ten przypadek podłości zagotował w nim krew. A także podsunął pewien pomysł.

– Cóż – powiedział – ja sam lubię czyste rozwiązania.

Ruggiero skurczył się na krześle.

– Jako zarządca posiadłości, na pewno orientujesz się we wszystkich sprawach don Ignacia? Czy tylko zajmujesz się rachunkami, zbieraniem czynszów i tak dalej?

– Wszystkim, panie. Jego łaskawość polega na mnie całkowicie.

– Zatem posiadłeś umiejętność sporządzania prostych dokumentów prawnych, takich na przykład jak ostatnia wola – testament – w której don Ignacio zawarłby jasne wskazówki co do zadysponowania jego ziemskimi dobrami?

Ruggiero spojrzał na niego w milczeniu.

– Zapomniałeś języka? – ponaglił go Tannhäuser.

– Tak, potrafiłbym sporządzić coś takiego.

– I miałby on moc prawa? To znaczy – wytrzymałby sprzeciw prawników Kościoła?

– Tego nie umiem powiedzieć. Ale ostatnia wola musi być sporządzona w obecności świadka, przez człowieka o dobrej reputacji.

– Masz go przed sobą.

Ruggiero poruszył się na krześle.

– Wobec tego muszę powiedzieć, że dokument taki miałby duże szanse na pełne uznanie, zależnie jednak od umiejętności adwokatów.

– Tym problemem zajmiemy się później. – Tannhäuser spojrzał na świadectwo urodzenia. – Skoro odzyskałeś ten dokument, groźba księdza straciła znaczenie. Po co więc przechowywałeś go z taką troską?

– Miałem nadzieję, że pewnego dnia signora Carla powróci.

– Nigdy nie wpadłeś na to, żeby do niej napisać?

– Często o tym myślałem – Ruggiero czuł się nieswojo pod wzrokiem Tannhäusera – ale za bardzo się bałem ożywienia skandalu. I smutku don Ignacia. I jego gniewu.

Tannhäuser sięgnął myślą ku kreaturze gnijącej przy kominku.

– Nie winię cię za to – powiedział. – Tak czy inaczej, Carla jest na wyspie. W Borgo.

Ruggiero wstał, jak gdyby jego pani właśnie weszła do pokoju.

– Jest teraz twoim dłużnikiem – dodał Tannhäuser – podobnie jak ja.

Wsunął świadectwo do kieszeni i wyjął z niej pudełko z masy perłowej. Otworzył je i wytrząsnął na dłoń dwie piguły Grubeniusa. Zalśniły oleiście i błysnęły drobinami złota w blasku lampy. Ruggiero spojrzał na nie zaciekawiony.

– Te kamyki to najpotężniejszy ze znanych leków. Opium, kwintesencja złota, minerały i inne składniki, znane tylko mędrcom. Są zdolne wygnać ból z ciała i ukoić nawet najbardziej udręczony umysł, a czynią to niezwykle łagodnie. Jednakże w nadmiarze bywają śmiertelne nawet dla najsilniejszego organizmu. Człowiekowi schorowanemu, delikatnemu, cierpiącemu na nieznośny ból przyniosłyby ulgę. A kto kwestionowałby ostatnią wolę takiego człowieka, zwłaszcza gdyby jego życzeniem było przekazanie całego majątku ukochanej córce?

Ruggiero dostrzegł w tym planie rys sprawiedliwości, ale wyrzeczenie się lojalności, która trwała całe życie, nie jest łatwe. Nie odpowiedział.

– Czy ty zakwestionowałbyś takie życzenie? – spytał Tannhäuser.

– Nie.

– To dobrze. W takim razie przynieś papier i pióro. – Dotknął dokumentu ukrytego w kieszeni i wyobraził sobie minę Carli, kiedy go przeczyta. – Później możesz sprowadzić don Ignaciowi księdza. Tak czarnej duszy z pewnością przydadzą się wszystkie ostateczne sakramenty, jakie Kościół ma do zaoferowania.

Sobota, 9 czerwca 1565 - Porto delle Galere

Księżyc już zaszedł i jechali w blasku gwiazd, podążając tropem świetnego maltańskiego przewodnika. Stłumili wszelki brzęk końskich uprzęży, a kiedy było trzeba, prowadzili wierzchowce wąskimi owczymi ścieżkami i zdradliwymi wąwozami. Na niebie nad skalnym grzbietem ogon Koziorożca wskazywał im drogę na południe. Wreszcie opuścili wyżynę, pomknęli na wschód i dalej ku wybrzeżu, za Okiem Gorgony. Nie spotkali tureckich patroli. Nikt się nie odzywał. Dziwne to było uczucie, podróżować w towarzystwie zabójców nieznanych nawet z imienia, zwłaszcza w nocy. Ciężar złota na nadgarstku przypomniał mu motto: „Nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy". Świadectwo urodzenia, które trzymał w kieszeni, poprawiało Tannhäuserowi nastrój. W chłodzie przedświtu wprowadził trzydziestu pięciu rycerzy, pod wodzą kawalera de Lugny, na grzbiet Monte San Salvatore, a tam zatrzymali się, by przyjrzeć się okolicy.

Nad niziną zalegała płytka mgła. W niej zaś, nie dalej niż o pół mili, żarzyły się gasnącą czerwienią węgle obozowych ognisk w Porto delle Galere, zwanym Cyplem Szubienic. Tylko jedno z nich paliło się żywym ogniem i Tannhäuser wyobraził sobie, że wartownicy grzeją sobie dłonie, gawędząc o domu. Rycerze mieli na sobie tylko półpancerze, bez puklerzy. Ich wierzchowce w ogóle nie miały bojowych pancerzy. Mnisi-wojownicy zeskoczyli z koni i obniżyli strzemiona przed szarżą. Okryli łby wierzchowców jedwabnymi chustami, by stłumić ich głosy, i wolno sprowadzili je ze wzgórza w dół, ku zatoce Bighi. W odległości tysiąca stóp od ogniska wartowników zatrzymali się, brodząc po kolana we mgle, jak kompania duchów nie z tego świata, i spoglądając z niepokojem na wschodni horyzont, szykowali broń do ataku. Woda była zbyt czarna, by mogli ją dostrzec; słyszeli tylko łagodny szum fal, który w nocnej ciszy wydawał się głośny. Mając jeszcze chwilę do rozpoczęcia rzezi, rycerze przyklęknęli we mgle obok swych koni, zahaczywszy wodze o łokcie, przeżegnali się i wspierając głowy na rękojeściach mieczy, modlili się, bezgłośnie poruszając ustami.

Pozostali na klęczkach tak długo, aż pierwszy śpiew ptaka obwieścił nadejście świtu. Na niebo w kolorze indygo wpełzła znad dalekiego horyzontu plama fioletu, a gdy fiolet zaczął nabierać liliowego odcienia, przeżegnali się ponownie i podnieśli z kolan. Zdjęli jedwabne chusty i konie z ulgą rozdęły nozdrza, drąc kopytami wilgotny piach. Strzemiona i uprząż zaskrzypiały cicho, gdy rycerze powracali na siodła i węzłem skracali wodze. Zataczali koła ramionami i uginali łokcie, by poluzować nasmarowane stawy pancerzy. W

niepewnym jeszcze świetle świtu Tannhäuser widział ich twarze, jak mało które pozbawione choćby cienia litości. Mieli przed sobą szmat ziemi równej jak posadzka sali balowej, z gdzieniegdzie tylko sterczącymi kępami trawy; żaden krzew ani głaz nie stał na drodze ich ataku. Sformowali płytki szyk z de Lugnym i Escobarem de Corro pośrodku i właśnie wtedy z dalekiego Corradino dobiegło ciche echo pieśni:

– Allahu Akbar… Allahu Akbar… Allahu Akbar…

De Lugny uniósł lancę. Ruszyli i szybko nabierali prędkości. W przeciwieństwie do wrogów, używających lekkich koni arabskich i berberyjskich o krótkich grzbietach, rycerze dosiadali potężnych bestii o mieszanej, północnoeuropejskiej i andaluzyjskiej krwi. Hodowane głównie dla swej siły, bez trudu niosły do boju dwustufuntowy ciężar i były w walce równie żądne krwi jak ich jeźdźcy. Tannhäuser został na plaży i gładząc łeb Buraqa, obserwował szarżę. Odegrał już swoją rolę i nie miał ochoty na walkę, a najmniej potrzebne by mu były odniesione w niej rany. Mimo to nie zamierzał przegapić tak wyjątkowego spektaklu. Skoczył na siodło, dobył bułata i z wysoka przyglądał się atakującym.

Na dystansie pięciuset stóp jeźdźcy rozwinęli maksymalną prędkość i teraz już żadna siła na ziemi nie mogła ich powstrzymać. Tannhäuser dostrzegł skraj tarczy słonecznej wynurzający się zza cypla – w jego świetle rozlewającym się nad równiną hełmy i opancerzone plecy rycerzy lśniły różowawym blaskiem. Tak krzykliwie ozdobieni znakiem rodzącego się dnia wdarli się do tureckiego obozu i skierowali broń ku zaspanym obrońcom z zapałem podsycanym nienawiścią i poczuciem głębokiej racji.

Ludzie zrywali się w panice na równe nogi i równie szybko padali na ziemię. Zawirowały kiścienie, lance wbiły się w półnagie ciała, a topory unosiły się i opadały, wzniecając fontanny kropel krwi. Klingi mieczy zabarwione czerwienią śmigały nad różowawymi hełmami. Coraz głośniejsze ryki przerażonych mułów, spóźnione ostrzegawcze okrzyki, jęki umierających oraz daremne komendy zburzyły ciszę poranka. W zgiełku słychać było wymieniane podniesionymi głosami imiona Jezusa Chrystusa, Jana Chrzciciela, Allaha oraz Proroka i jak zawsze, gdy przerażeni ludzie udają się na spotkanie ze Stwórcą, słowo „matka” padało w najróżniejszych językach z ust synów, którzy nigdy nie mieli jej zobaczyć.

Tannhäuser ścisnął boki Buraqa i ruszył kłusem.

Gdy dotarł do pierwszego ogniska, w którego żarze czerwieniły się i parowały wnętrzności z rozprutego ciała, para szybkonogich uciekinierów nadbiegła w jego kierunku. Widząc jego biały turban, ciemnozielony kaftan i złocistego mongolskiego konia, pędzili ku niemu w ślepej nadziei na ratunek. Wyglądali mu na Bułgarów lub Traków; byli bardzo młodzi, kompletnie zdezorientowani i przewracali oczami jak szaleńcy. Lecz nawet gdyby

chciał okazać im łaskę, nie mógł pozwolić sobie, by rozpoznali go w innym czasie i miejscu. Zabił pierwszego jednym cięciem, gdy ten sięgnął ręką ku uździe Buraqa. Gorąca krew trysnęła na pierś zwierzęcia, płosząc je nieznacznie. Drugi rzucił się do szalonej ucieczki, ale zatrzymał go cios w głowę zadany od tyłu. Tymczasem jeźdźcy de Lugny'ego przebili się przez obóz aż do siedmiu brązowych dział oblężniczych skierowanych ku wodom zatoki. Tam nawrócili w tumanie pyłu wznieconego kopytami, by powtórzyć atak. Tannhäuser zatrzymał Buraqa i otarł z klingi świeżą krew, przyglądając się ostatecznej szarży.

Spośród siedemdziesięciu paru artylerzystów i żołnierzy zaciężnych większość była już martwa lub konała od ciężkich ran. Pozostali albo próbowali uciekać, albo wyli, wzywając Allaha, albo pędzili na wezwanie dowódcy, który dzierżył sztandar z czerwonym półksiężycem, stojąc przy swym namiocie w kolorze szafranu. Bez względu na to, co postanowili uczynić, wszystkich spotykał jednakowy koniec. Rycerze de Lugny'ego pędzili cwałem, wybijając muzułmanów do nogi. Ich broń i ekwipunek były zbryzgane posoką i mózgami. Parskające wierzchowce łamały żebra, atakując pieszych całym ciężarem ciała, miażdżyły czaszki uderzeniami podkutych żelazem kopyt i odgryzały palce oraz dłonie potężnymi, kwadratowymi zębami. Dowódca obozu oraz jego gwardzista zostali przebici lancami jak świnie nad rusztem, a turecki sztandar uniosły w górę ręce jednego z rycerzy, którego towarzysze zeskoczyli z koni i zajęli się plądrowaniem namiotów oraz dobijaniem jęczących w mękach rannych.

Tannhäuser wjechał do zniszczonego obozu. Pochylił się nad uchem Buraqa i szeptał mu gazelę, bo zwierzę było z natury płochliwe i nienawykłe do woni pola bitwy. Gdy kierowali się ku szafranowemu namiotowi, modlitwy rannych cichły jedna po drugiej, aż wreszcie ciszę poranka przerywały tylko odgłosy zwycięstwa. Rycerze, z reguły tak poważni, przejawiali radość ze zwycięstwa, wymieniając uśmiechy, chwaląc świętych i dzieląc się szorstkimi dowcipami na temat uciętych kończyn i okaleczonych ciał, ale wszystko to nie przeszkadzało im w wydajnej pracy. Wycięli wszystkie zdobyczne muły, rozbili beczki z wodą pitną, a oddział wyznaczony do unieszkodliwienia armat zajął się wbijaniem kolców w otwory zapałowe. Inni wytoczyli beczki z prochem, otworzyli je toporami i wysypali zawartość do morza. Worki mąki i paszy również skończyły w wodzie. Wkrótce linia brzegowa wyglądała tak jak po katastrofie morskiej – a wszystko to bez użycia ognia, który przecież przyspieszyłby wykonanie zadania, ale utrudniłby nielicznemu oddziałowi powrót do dalekiej Mdiny.

Grunt stał się miejscami miękki od krwi i rozlanych wnętrzności. Buraq potrząsał łbem w niesmaku, a Tannhäuser starał się omijać takie miejsca, szukając kawalera de

Lugny'ego. Objeżdżając zwłoki ostatnich obrońców namiotu, wypatrzył na ziemi długolufowy muszkiet. Jego lont jeszcze dymił, a kolbę przyciskały zwłoki byłego właściciela. Czarnogranatowy blask, który zdawał się płynąć z głębi damasceńskiej lufy, a także arabeski ze srebrnego drutu, którymi ozdobiono hebanowy korpus broni, znamionowały rękę rusznikarskiego mistrza. Tannhäuser zapamiętał to miejsce i podjechał do de Lugny'ego, który siedząc w siodle, wydawał rozkazy Escobarowi de Corro. Rycerz zadał pytanie, którego Tannhäuser nie dosłyszał.

– Jedź do Borgo – odpowiedział de Lugny – i weź to ze sobą – dodał, wręczając podwładnemu zdobyczny sztandar z półksiężycem. – To ich podniesie na duchu.

De Lugny zwrócił się ku Tannhäuserowi i skinął głową.

– Wielce udany poranek, kapitanie Tannhäuser – powiedział. – Dzwon jeszcze nie wybił na Anioł Pański, a my zwyciężyliśmy bez żadnych strat czy choćby ran. Przyjmij moje gratulacje w imieniu marszałka Copiera.

– Nie zwlekajcie długo – odparł Tannhäuser. – Gdy bateria nie zacznie porannego ostrzału, Turgut odgadnie, co się wydarzyło, i wyśle sipahów, aby złapać was w zasadzkę.

– A niech spróbuje – rzucił drwiąco Escobar de Corro.

Tannhäuser spojrzał na niego, ale nie skomentował.

– Za twoim pozwoleniem, panie, chciałbym już odjechać.

De Lugny zasalutował mu, unosząc miecz lśniący karmazynem.

– Bóg z tobą.

Tannhäuser cofnął się, zatrzymał konia i zeskoczył, by podnieść damasceński muszkiet, który z bliska prezentował się jeszcze piękniej. Zabrał też trupowi – młodzieńcowi nadzwyczajnej urody – woreczek kul oraz puzdro z prochem strzelniczym. W turbanie leżącego dostrzegł rubiny osadzone w białym złocie. Nie pogardził i tym łupem. Dosiadłszy konia, ułożył muszkiet na udach i wtedy zauważył, że spojrzenie Escobara de Corro spoczywa na długiej, granatowoczarnej lufie, jakby była to zdobycz, którą sobie wcześniej upatrzył. Spojrzeli sobie w oczy i Mattias odczekał chwilę, dając mu szansę, ale Escobar się nie odezwał. Tannhäuser spiął konia i obaj z Buraqiem z równą ulgą opuścili cuchnące śmiercią pole bitwy. Słońce wyłoniło się już zza horyzontu i jechali teraz wprost na nie. Miał nadzieję, że przed zmrokiem znajdzie łódź, która wkrótce zabierze go z tej wyspy fanatyków i głupców. Pogładził kark Buraqa w nagłym smutku.

– Nie zabiorę cię ze sobą, stary przyjacielu – powiedział po turecku. – Ale komu mam cię zostawić, chrześcijanom czy Turkom?

Sobota, 9 czerwca 1565 - Święta Infirmeria – Oberża Angielska

Carla zanurzyła srebrną łyżkę w srebrnej misce i podała nieszczęśnikowi łyk bulionu. Otworzył usta i przełknął, nie z głodu czy dla przyjemności, takie doznania były bowiem już poza nim, ale jak gdyby z poczucia obowiązku oraz po to, jak zrozumiała, aby sprawić jej przyjemność. Miał na imię Angelu i był z zawodu rybakiem. Nie wybierał się jednak więcej na morze, bo był teraz ślepcem, a jego ręce przypominały bryły odbarwionego wosku, w które ktoś wetknął połamane gałązki.

Wraz z zastępami innych ciężko rannych został ewakuowany z fortu Świętego Elma, po ośmiogodzinnym szturmie tureckim, powstrzymanym dopiero o zmroku. Jego głowa została skąpana w płonącej galarecie, którą jego towarzysze ciskali na Turków. Zdrapując ją z siebie, spalił obie dłonie aż do kości. Usmażona półkula jego czaszki przypominała teraz odrażającą czapkę naciągniętą na uszy, a unosił się z niej odór, którego nie mogły zagłuszyć żadne leki ani pachnidła. Angelu otrzymał już ostatnie namaszczenie, a ojciec Lazaro nie spodziewał się, by mężczyzna przetrwał najbliższą noc. Carla podejrzewała zresztą, że ranny wcale o tym nie marzy.

Lazaro przyprowadził ją do Świętej Infirmerii tego ranka. Sama prosiła o tę służbę, a jednak czuła strach. Bała się, że nie ma dość wiedzy i umiejętności, bała się braci zakonnych o srogich obliczach oraz samego gmachu szpitala, przypominającego fortecę. W głębi duszy żałowała nawet, że poskarżyła się głośno na swą „bezużyteczność". Gardziła bezczynnością, lecz mimo wszystko puste dni biegły szybko. Łatwo było przyglądać się światu aż po zmrok. Łatwo rozmyślać i śnić, nie wiadomo o czym. Lazaro prowadził ją do szpitala jak na szubienicę; takie przynajmniej odniosła wrażenie. Rzeczywistość jednak była jeszcze smutniejsza.

Główna sala szpitalna miała dwieście stóp długości, a w jej południowej ścianie znajdował się rząd okien z okiennicami. Nad okalającym drzwi kamiennym łukiem widniał napis: Tuitio fidei et obsequium pauperum. Było to motto zakonu: „Obrona wiary i służba ubogim". Łóżka z dobrymi materacami i pościelą ustawiono w dwóch rzędach po pięćdziesiąt, a nad wezgłowiem każdego z nich wisiało coś w rodzaju czerwonego baldachimu. Zbroje, ubranie i broń chowano pod łóżka. Pacjenci dostawali posiłki na srebrnych talerzach. Mnisi bardzo dbali o czystość: podłogę z marmurowych płyt zmywano trzy razy dziennie. W kadzielnicach palono wonne drewno, by oczyścić powietrze, zamaskować woń rozkładu oraz odgonić muchy. W dalekim końcu sali znajdował się ołtarz,

przy którym dwa razy dziennie odprawiano mszę, a za nim wisiał krucyfiks. Na ścianie pozbawionej okien wisiał cenny sztandar, pod którym rycerze opuścili swą twierdzę na Rodos. Widniała na niej podobizna Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus oraz napis: Afflictis tu spes unica rebus. „We wszystkim, co nas dotyka, Ty jesteś jedyną nadzieją".

Ojciec Lazaro twierdził, że to najlepszy szpital świata i że pracują w nim najlepsi lekarze i chirurdzy.

– Naszym panom, chorym, którym służymy, niczego tu nie brakuje – powiedział. – Właśnie tu, w Świętej Infirmerii, można znaleźć prawdziwe serce Religii.

Zapach kadzideł, szmer modlitw oraz nabożne skupienie, w jakim poruszali się mnisi, chodząc od łóżka do łóżka i myjąc, karmiąc oraz opatrując swych panów, nadawały szpitalowi atmosferę kaplicy, a tym samym spokoju, który w innym miejscu byłby czymś niewyobrażalnym wobec takiego bezmiaru cierpienia. Dzięki tej aurze Carla zdołała jakoś zapanować nad przerażeniem, które ogarnęło ją na samym początku.

Po istnej powodzi rannych w ciągu ostatnich paru dni, sala była niemal pełna. Każdego dnia o świcie wynoszono stąd ciała umarłych, a tych, których życie nie było już zagrożone, natychmiast wypisywano, lecz mimo to miejsca wciąż ubywało. Większość pacjentów stanowili ludzie młodzi, podobni do Angelu, należący do maltańskiej milicji oraz hiszpańscy tercios. Niewielu z nich miało wrócić do pełni sił. Lazaro i jego towarzysze dokonywali niezliczonych amputacji i trepanacji, starając się też przywracać ludzkie rysy groteskowo zniekształconym twarzom. Przebici szablami i postrzeleni w brzuch leżeli sztywni jak bale, oddychając płytko i wolno szarzejąc na twarzach. Straszliwie poparzeni cierpieli najbardziej ze wszystkich. Umierali przy akompaniamencie huku artyleryjskiego ognia, rozbrzmiewającego za grubymi murami.

Przyszedłszy rano do szpitala, musiała umyć ręce i stopy w lawatorium, a także włożyć pantofle, by nie wnosić do sali kurzu ulicy – czystość bowiem podobała się Bogu. Nie wolno jej było dotykać ran ani opatrunków. Mogła podawać pacjentom strawę, wino i wodę, ale nie miała prawa ich myć. Gdy musieli ulżyć fizjologicznej potrzebie, miała obowiązek wezwać któregoś z braci. Gdy zauważyła świeży krwotok, objawy gorączki lub ospy, miała obowiązek wezwać któregoś z braci. Gdy ranny prosił o spowiedź lub komunię świętą albo gdy wyglądał na konającego, również miała wzywać zakonników. Przemawiać do pacjentów mogła jedynie cichym, łagodnym głosem. W miarę możliwości miała zachęcać panów do modlitwy, nie tylko za własną duszę, ale także za pokój, zwycięstwo papieża, wyzwolenie Jerozolimy i całej Ziemi Świętej, za wielkiego mistrza, braci zakonu, jeńców w rękach islamu oraz za rodziców, czy to żywych czy martwych. Jako że chorzy byli najbliżsi Chrystusowi,

ich modlitwy miały największą moc, większą nawet niż te, które odmawiali rzymscy kardynałowie.

Lazaro zaprowadził Carlę do sali, gdzie natychmiast wyczuła witające ją spojrzenia. Bracia zakonni wyglądali na zszokowanych. Ranni mrugali gwałtownie, jakby wydawało im się, że pośród koszmaru dostrzegli boską istotę. Niektórzy z doświadczonych żołnierzy oblizywali wargi i wzdychali. Poczuła, że się rumieni, a jej dobre intencje znowu jakby osłabły. Jaki mógł z niej być pożytek? Znalazła się w skupisku potwornego bólu, który nigdy nie powinien był zgromadzić się pod jednym dachem. Czuła jednakże, że byłaby przeklęta – przynajmniej we własnej duszy – gdyby się wycofała. Powtarzała sobie w myśli, że przecież nie jest całkiem bezbronna. Ma wiarę, i to silną. Ma wiele miłości, którą może się dzielić. Ma nawet odrobinę nadziei. Zebrała siły i postanowiła, że będzie trzymać się prosto. I wtedy Lazaro zatrzymał się, żeby przedstawić jej nieszczęsnego Angelu. Milczącego, oślepionego, bezradnego. Zdeformowanego ponad najbardziej niestworzone i najokrutniejsze fantazje.

Zrozumiała, że Angelu będzie próbą jej poświęcenia.

Siedziała przy nim przez cały dzień, a on nie odezwał się ani słowem. Na niektóre pytania odpowiadał skinieniem, na inne kręcił głową. Były to pytania proste, niezbyt dobrze bowiem władała maltańskim. Choć wychowała się na wyspie, tej mowy używała tylko w rozmowie ze służbą. Teraz wstydziła się tego, gdyż ten człowiek – jak i tysiące jemu podobnych – umierał w jej obronie. Mimo wszystko jednak jej głos wywoływał reakcję na jego okaleczonej twarzy. Gdzieś w głębi mrocznej izby tortur, w którą zmieniło się jego ciało, pozostał świadomy. Carla wyjęła różaniec i zaczęła się modlić, a milczący i ślepy Angelu w duchu modlił się wraz z nią. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Chwilami żal stawał się nie do zniesienia, a wtedy łzy płynęły po jej twarzy i głos zaczynał drżeć. Wtedy ofiarowała swój żal Bogu i błagała Go, by przebaczył jej samolubne myśli. Karmiła Angelu i podawała mu kubek z winem lub wodą, zastanawiając się, dlaczego nic nie mówi. Być może nie mógł – może ogień wypalił jego gardło? – ale nie przyszła tu po to, żeby zadawać pytania, lecz po to, żeby służyć. Modliła się z nim i za niego, i za nich wszystkich. Mijały godziny, a modlitwy płynęły przez nią jak niekończąca się święta pieśń, z wolna zabierając ze sobą przerażenie, które było niczym więcej, jak tylko skargą jej własnych, wrażliwych zmysłów oraz kolejną raną na ciele tego nieszczęśnika, który przed nią leżał. Wreszcie opuścił ją i żal, litując się bowiem nad rannym, postrzegała go jako istotę mniej ludzką od niej samej. Nawet smutek skurczył się niezmiernie i wypełniło ją przemożne uczucie miłości; zrozumiała, że w jej ciało i umysł wstąpił Chrystus, nadając jej moc, której

istnienia nawet nie podejrzewała. Jego miłość była jak objawienie – pojęła, że tak wielkie uczucie może odpuścić wszystkie grzechy, nawet okrucieństwa, których skutki oglądała teraz wokół siebie. Zapragnęła powiedzieć o tym Angelu – otworzyła oczy i spojrzała na niego, na tę półczaszkę i półtwarz, na zamglone, pokryte pęcherzami oczy ukryte pod spalonymi powiekami, na odarte ze skóry czoło oraz na kikuty dłoni. Angelu szedł własną drogą na Golgotę. To jego Chrystus zaprosił do jej serca.

– Jezus cię kocha – powiedziała.

Głowa Angelu odchyliła się, a usta otwarły, ale Carla nie wiedziała, co to znaczy – może zraniły go jej słowa, a może ich nie usłyszał. Przez moment czuła strach.

– Jezus cię kocha – powtórzyła. – I ja też cię kocham.

Usta Angelu zadrżały. Oddychał z trudem. Wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu. Po raz pierwszy odważyła się go dotknąć. Po cichu, bo nawet w tej ciemności siły nie opuściły go do reszty, Angelu spuścił głowę i zapłakał.

Podczas mszy pomogła mu uklęknąć i razem przyjęli komunię, ale ani ona, ani kapłan nie usłyszeli z jego ust słowa „Amen". Potem znowu próbowała karmić go wołowym bulionem ze srebrnej miski. Widząc jednak, że nie ma apetytu, odstawiła naczynie. Jako że dokoła panował rozgardiasz – jak to zwykle w porze posiłku – a w jej głowie pojawiła się myśl, że być może Angelu dziwnie się czuje, nie wiedząc, pod czyją jest opieką, opowiedziała mu o sobie najlepiej jak umiała – o tym, dlaczego wróciła na wyspę, i o synu, którego nie znała nawet z imienia. Wreszcie umilkła, zastanawiając się, czy nie powinna opowiedzieć i o Mattiasie Tannhäuserze.

Tego dnia modliła się za Mattiasa, mając w sercu jego wyraźny obraz, znacznie częściej niż za kogokolwiek innego. Był Niemcem – potomkiem Sasów, rasy, której nie znała bliżej, ale której reputacja opierała się w równym stopniu na błyskotliwości, jak i barbarzyństwie jej przedstawicieli. W jego żyłach nie płynęła ani kropla szlachetnej krwi, a przecież jak równy z równym zadawał się z rycerzami świętego Jana, skażonymi obsesją na punkcie rodowodów, jakby urodził się w książęcym domu. Jego podziw dla Turków zdawał się górować nad dobrym zdaniem o tych, których nazywał Frankami, a jednak zwrócił się przeciwko tym, którzy go ukształtowali. Zamordował księdza bez wyrzutów sumienia, a jednocześnie był z natury łagodny i uprzejmy, bardziej niż którykolwiek ze znanych jej mężczyzn. Nie wierzył w Boga pod żadnym imieniem, a przecież był istotą uduchowioną. Interesował się przyziemnymi sprawami, był pasjonatem piękna i wiedzy, folgował żądzom, ale gdy ogień trawił cały jego dobytek, nie poskarżył się ani jednym słowem. Mimo

brutalnego pragmatyzmu postanowił jej pomóc w spełnieniu marzenia i nawet w tej chwili uganiał się za duchami w najbardziej niebezpiecznym terenie. Zdumiewał ją bezgranicznie.

Czy ten człowiek naprawdę miał zostać jej mężem? Czy ona miała zostać jego żoną?

Jego romans z Amparo, przesycony erotyzmem i emocjami, które i w niej samej budziły ukryte instynkty, był dla jej uczuć niełatwym wyzwaniem. Ten mężczyzna miał prawo do swoich kaprysów, był poszukiwaczem przygód i obywatelem świata, niczego innego nie mogła się po nim spodziewać, zwłaszcza że nie obiecywał jej romantycznych uniesień. Małżeństwo było ledwie suchym kontraktem, takim samym, jakie zawierał na dostawę drewna czy ołowiu. Ale czy naprawdę? Czy nie wyczuwała w nim czegoś więcej? A może to Mattias wyczuł jej lęk przed cielesnym zbliżeniem? Lęk głęboki i niezbadany, jego zbadanie nie było bowiem możliwe bez wskrzeszenia wspomnień o Ludovicu.

Fizyczna namiętność, która połączyła ją z zakonnikiem, była równie ekstatyczna i nieskrępowana, jak ta, która jednoczyła Amparo z Mattiasem, a może nawet bardziej, gdyż ci ostatni nie przekraczali granic zakazanego, podczas gdy ona i Ludovico unicestwili wszelkie zasady, i religijne, i świeckie. Tak zdecydowany krok nadał ich namiętności szalony, deliryczny wręcz wymiar, który wciągnął ją tak dalece w szaleństwo, iż teraz bała się powrotu na zakazane terytorium. Powrotu nie tylko do szaleństwa, ale i do tragedii, która zmarnowała życie jej samej i jej rodzinie, która kosztowała ją utratę bezimiennego dziecka i której konsekwencje nawet teraz zagrażały życiu drogich jej osób. Wspomnienia wciąż przyprawiały ją o mdłości, przywołując obraz strachu, poczucia winy i wstydu. Wspomnienia wciąż odnawiały jej najbardziej bolesne seksualne pragnienia – ale tylko pod warunkiem, że pozwoliła im na to, a ze wszystkich sił starała się tego unikać. Jej małżeństwo z Mattiasem powinno być suche jak stary pień. Powinna być niedostępną żoną i tym sposobem uniknąć chaosu. A gdyby – choć nadzieja w niej słabła – udało jej się odnaleźć syna, byłoby to zrządzenie losu, za które nigdy nie przestałaby dziękować Bogu.

Lecz mimo to gnębiła ją zazdrość.

Chciała, żeby Amparo była szczęśliwa; jej zadowolenie napełniało ją prawdziwą radością. Jednocześnie szczęście Amparo sączyło kwas do jej serca. Zdumiewała ją lubieżność tej fantazji, ale tak, wyobrażała sobie nieraz, że to ona, nie Amparo, jęczy w nocy pod potężnym ciałem Tannhäusera. Pragnęła też czułości, pocałunków i miłosnych spojrzeń. Marzyła, żeby to dla niej przywiózł z tureckiego bazaru posrebrzany grzebień. Taka małostkowość napełniała ją odrazą do samej siebie, więc aby uwolnić się od niej, zaczęła unikać Amparo. Tylko że nie mogła winić dziewczyny za to, że oddała się takiemu

mężczyźnie. Umiarkowanie było dla Amparo jak wędzidło dla dzikiego konia. To, co przeszła w życiu ta dziewczyna, czyniło tragedię Carli wręcz banalną. Jeżeli któraś z nich zasługiwała na szczęście, to właśnie Amparo. I dlatego to, co się działo, było przejawem sprawiedliwości i mądrości Boga. To On zesłał Carli ciężką próbę, by umocnić jej ducha. Wiedziała, że przetrwa. Nić, która łączyła ich troje, była cienka, a wokół nich działały potężne siły. Carla modliła się, by to nie jej przyszło zerwać ową nić. Bez względu na to, co czuła, nie chciałaby stanąć między Amparo a Mattiasem. I dlatego, jak zrozumiała, znalazła się tu, w szpitalu, gdzie problemy takie jak zazdrość stawały się nieistotne.

Zapadł zmierzch i zakonnicy zapalili trzy lampy – ich całonocny blask miał chronić pacjentów przed zmorami, zwątpieniem i grzechem. Dwaj dyżurni bracia spacerowali od łóżka do łóżka ze świecą w jednej ręce i dzbankiem w drugiej.

– Woda i wino od Boga – mówili do każdego z rannych.

Przed nocą wizytę w infirmerii złożył sam de la Valette. Nie odzywał się prawie i zdaniem Carli nie posiadał wewnętrznego ciepła, ale jego obecność jakby dodawała sił pacjentom, z których większość zdołała podnieść się z łóżek, aby go pozdrowić. Zauważył Carlę siedzącą przy Angelu i jedna brew uniosła się na moment na jego wysokim czole. Nie powiedział jednak do niej ani słowa i wkrótce wyszedł, odprowadzany chórem żegnających go głosów.

Gdy de la Valette zniknął za drzwiami, ojciec Lazaro zbliżył się do Carli i pokazał, że już czas na nią. Nie pochwalił jej, ale odniosła wrażenie, że potraktował ją nieco cieplej niż rankiem, jakby odkupiła swój honor. Gdy Lazaro odszedł, zwróciła się do Angelu:

– Muszę już iść, Angelu – powiedziała. – Dziękuję za wszystko, co mi dałeś.

Wstała.

– Wrócisz tu, pani? – spytał Angelu.

Spojrzała na niego. Odezwał się po raz pierwszy tego dnia. Po sposobie, w jaki wypowiedział te słowa, wyczuła, że złożył swoje życie w jej rękach, i na chwilę wzruszenie odebrało jej mowę.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – Jutro z samego rana.

Angelu wyciągnął przed siebie kikuty dłoni, jakby chciał je złożyć do modlitwy.

– Niech cię Bóg błogosławi, pani. Niech cię bezpiecznie prowadzi do syna.

Oczy Carli zaszły mgłą, a głos opuścił ją do reszty. Odwróciła się i szybkim krokiem odeszła w stronę kamiennego łuku.

Opuściła salę szpitalną z piersią pełną sprzecznych, gwałtownych emocji. Dała z siebie coś, co musiało spodobać się Bogu. Było to nieznane uczucie. I cudowne. Jej życie

polegało dotąd na braniu i traceniu. Kołysała się jak korek na jego niespokojnej powierzchni. Jej dobre uczynki były dotychczas abstrakcyjnymi inwestycjami w wieczność, na którą nie zasługiwała. Przygarnęła Amparo, by ulżyć własnej samotności. By móc komuś matkować. Nawet wyprawa w poszukiwaniu chłopca była po części wynikiem poczucia winy, które trawiło jej serce. Ale tego dnia Chrystus napełnił jej serce bożą miłością, miłością wszelkiego stworzenia, miłością nawet do własnej nikczemności, prawdą bowiem było, że właśnie wśród nikczemnych istot najłatwiej znaleźć Chrystusa. Pomyślała o rzędach łóżek, o konających, którzy zamieniali ból w cichą modlitwę i tłumili jęki dumą dającą siłę. Wiedziała, że gdy zapadnie noc, łodzie ze Świętego Elma przywiozą nowych rannych, a z izby, w której ojciec Lazaro będzie pracował rękami unurzanymi po łokcie we krwi, znowu dobiegać będą krzyki.

Wieczorne powietrze na progu szpitala smakowało tak słodko, że zakręciło jej się w głowie. Przystanęła i zamknęła oczy, by nie upaść. Na północy wciąż grzmiały działa; tu było je słychać wyraźniej. Gdy jej gardło oczyściło się z woni kadzideł, poczuła niesiony wiatrem aromat pieczonego mięsa i dotarło do niej, że jest głodna. Był to głód, jakiego nie znała. Głód zasłużony. Jakie to dziwne uczucie, pomyślała, być żywym, gdy dookoła tyle śmierci. I jakie straszne. Na całym świecie nie było bardziej tragicznego miejsca, a jednak za nic nie chciałaby się znaleźć gdzie indziej. Życie, które znała, kobieta, którą niegdyś była – wszystko to wydawało się nieskończenie dalekie. Kim miała być, gdy skończy się ta wojna?

Poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

– Carlo?

Uniosła powieki i zobaczyła Amparo. Dziewczyna spoglądała na nią oczami jasnymi od miłości, która ją wypełniała. Piękny grzebyk z kości słoniowej spinał jej włosy. Carla odkryła, że już nie irytuje jej widok tego prezentu i że czuje ulgę. Amparo promieniała. A może tylko Carla spoglądała teraz na nią w nowy sposób i dostrzegała radość, na którą wcześniej była ślepa? Znowu ogarnęła ją dziwna mieszanina smutku i szczęścia. Amparo objęła ją bez słowa. Carla odwzajemniła uścisk i poczuła się jak dziecko, zwłaszcza że ramiona dziewczyny były mocne; ich siła była jej nieznana, bo nigdy jeszcze nie musiała na niej polegać. Świat Carli odwrócił się do góry nogami i nagle poczuła się wolna. Amparo pogłaskała ją po włosach.

– Jesteś smutna? – spytała.

– Tak – odrzekła Carla, unosząc głowę. – I nie. Smutna, ale w dobry sposób.

– Smutek nigdy nie jest zły – stwierdziła Amparo. – Jest lustrzanym odbiciem szczęścia.

Carla uśmiechnęła się.

– Szczęśliwa też jestem. Zwłaszcza dlatego, że cię widzę. Tęskniłam za tobą.

– Chcę ci przedstawić moich przyjaciół.

Amparo nigdy dotąd nie nazwała nikogo przyjacielem, lecz i ona zmieniła się w ostatnich dniach. Nie ograniczała się już do udziału w życiu Carli; fruwała tu i tam jak ptak uwolniony z klatki. Była uderzająco podobna do tych zwykłych ludzi, których poznała, gdy tak włóczyła się ulicami ich miasta i samotnie zwiedzała port ze swobodą, na jaką Carla nigdy by sobie nie pozwoliła. Spojrzała w dół, gdzie u podnóża szpitalnych schodów czekali dwaj młodzi Maltańczycy. Starszy z nich, ze świeżo obandażowanym kikutem po stracie prawego przedramienia, mógł mieć dwadzieścia lat; Carla pamiętała jego twarz ze szpitalnej sali. Przybył poprzedniego wieczoru i wypisano go po upływie doby. Jego twarz wciąż była szara z bólu, oczy zaś wciąż puste i szeroko otwarte po tym, jak zobaczyły horror bitwy.

Młodszy, jeszcze chłopiec, najwyżej czternastoletni, był bosy i niedomyty. Miękkie, dziecinne ciało, które mogłoby łagodzić jego rysy, wypalone zostało przez życie, jakie prowadził, miał więc mocno zarysowane kości policzkowe i orli nos. Miał ciemne, żarliwe oczy, jakby z trudem mieszczące uwięzioną w ciele energię. Na pochwie z mieczem niósł hełm i kirys, które, jak się domyślała, należały do starszego z przyjaciół Amparo. W przeciwieństwie do swego towarzysza, który spuścił głowę, gdy na niego spojrzała, chłopiec patrzył jej prosto w oczy z dumą i ciekawością. W swym osobliwym stanie ducha zastanawiała się nawet, co widzi, gdy tak na nią spogląda.

Amparo przedstawiła kalekiego młodzieńca jako Tomasa. Cofnął się o krok i ukłonił z szacunkiem. Młodszy – lecz wyższy – z marnym skutkiem próbował zamaskować uśmiech wielkiego zadowolenia.

– A to Orlandu – powiedziała Amparo.

Orlandu skłonił się tak wyszukanie, że przez chwilę Carla zastanawiała się, czy nie drwi sobie z niej.

– Do usług, madame – odezwał się, promieniejąc.

Na tle jego brudnej i opalonej twarzy zęby błyszczały olśniewająco. Carla sama musiała teraz powstrzymać się od śmiechu.

– Znasz francuski – stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

– Francuski, włoski, hiszpański. Wszystkie. Hiszpański dobrze. Bardzo dobrze. Z portu, od rycerzy, od podróżnych. – Orlandu wskazał palcem na ucho i oko. – Słucham i obserwuję. Arabski też znam, od niewolników. As-Salamu alajkum. To znaczy: pokój tobie.

Popisy chłopaka przypomniały Carli o Mattiasie.

– A twój przyjaciel? – spytała. – Też zna wiele języków?

– Tomaso mówi tylko po maltańsku, ale jest dzielny, bardzo dzielny. Pracujemy przy statkach. A teraz walczył w Świętym Elmie, razem z bohaterami. – Francuski w wykonaniu Orlandu stawał się pomału mieszanką słów z różnych języków, ale pozostał płynny. Carla skinęła głową. Tomaso, niezadowolony, że znalazł się w centrum uwagi, w milczeniu zwiesił głowę jeszcze niżej. Orlandu mówił dalej. – A ty, pani, jesteś tą hrabiną, która szuka zaginionego chłopca. Bękarta.

Carla przymknęła powieki, a potem spojrzała na Amparo, która patrzyła na nią z niemym pytaniem i wielką nadzieją w oczach. Proszę, powiedz, że to on.

– Znalazłaś go już? – spytał Orlandu z właściwą sobie śmiałością.

Carla czuła, że presja jest dla niej zbyt silna.

– Wiesz o tej sprawie? – odpowiedziała pytaniem.

– Oczywiście. Wszyscy wiedzą. Wielki kapitan pyta. Tannhäuser. – Orlandu wymówił to nazwisko tak, jakby dumą napawał go sam fakt, że je zna. – I wielki Anglik też. Pytają, a ludzie słuchają i gadają. Jesteś, pani, zdziwiona?

Zaskoczenie chłopca jej reakcją sprawiło, że poczuła się głupio, ale zauroczona jego odwagą wcale nie zamierzała mieć mu tego za złe. Czy to mógł być on? Nie czuła w sercu żadnego znaku. Poczuła natomiast panikę. Pokręciła głową.

– Myślę, że go nie znajdziesz – powiedział Orlandu.

– Dlaczego nie? – spytała.

– Dwanaście lat, tak? Urodzony w wigilię Wszystkich Świętych, tak?

– Tak.

Orlandu błysnął zębami.

– Wszystko wiem. Słucham i obserwuję – odparł i skierował czubek miecza w ciemność. – Dziś rano kapitan Tannhäuser wyrżnął turecką artylerię w Porto delle Galere.

Niepokój Carli nabrał nowego kształtu.

– A gdzie jest teraz?

– Tannhäuser? – Orlandu przesadnie wzruszył ramionami, jakby mówił o wielkiej tajemnicy. – Przychodzi. Odchodzi. Mówią, że jego koń, Buraq, ma skrzydła. – Chłopak zerknął na Amparo, jakby to ona była źródłem tej legendy i jakby chciał, by potwierdziła prawdziwość jego słów. – Amparo mówi, że być może go poznam. Jeśli pozwolisz, pani.

– Oczywiście. Ale powiedz mi, dlaczego nie odnajdę chłopca.

– Dlatego że jeszcze go nie odnalazłaś – odparł, jakby było to najzupełniej jasne. – Nikt nie zna takiego chłopca.

– Ile masz lat, Orlandu?

Chwycił mocniej rękojeść miecza i poruszył niespokojnie palcami.

– Siedemnaście. – Zobaczył głębokie niedowierzanie w jej oczach i zaraz się wycofał. – Piętnaście! Tak, chyba tak. Niedługo. Co najmniej. – Potrząsnął mieczem. – Jestem wystarczająco duży, żeby walczyć z Turkami, jeśli mi tylko pozwolą. Zabijałem już psy, wiele psów, a muzułmanie się od nich nie różnią.

– Kiedy są twoje urodziny? – spytała Carla.

Orlandu jakby stracił pewność siebie. Wzruszył ramionami.

– Urodziny są dla dzieciaków. Dla bogatych dzieciaków.

– Ja też nie mam urodzin – wtrąciła Amparo.

– Naprawdę? – zdziwił się Orlandu.

Amparo skinęła głową, momentalnie przywracając mu poczucie własnej wartości.

– Urodziłam się na wiosnę – dodała.

– A ja jesienią – odparł Orlandu. – Tylko tyle wiem.

Spojrzał na Carlę i chyba dostrzegł wir uczuć w jej oczach, bo cofnął się odruchowo, uśmiechnął i pokręcił głową.

– Ja? Twoim chłopcem? – powiedział i znowu potrząsnął głową. – Tak, bardzo bym tego chciał, ale nie wydaje mi się.

– Dlaczego nie?

Raz jeszcze wzruszył ramionami, a potem potwierdził przeczucie, którego sama przed sobą nie śmiała ujawnić.

– Jesteś zbyt piękna – odpowiedział. – Spójrz na mnie. – Spojrzała i promień nadziei zgasł. Orlandu uśmiechnął się triumfująco. – Sądzisz, że jestem tym chłopcem, którego szukasz?

Tomaso przestąpił z nogi na nogę i Carla zawstydziła się nagle, że każe im rozmawiać ze sobą na ulicy. Nie odpowiedziała Orlandu, tylko spojrzała na Amparo.

– Może zaprosisz przyjaciół do nas na kolację?

Orlandu wytrzeszczył oczy, a Amparo skinęła głową w jego stronę. Orlandu wypowiedział szybko kilka słów do wyraźnie onieśmielonego Tomasa. Potem zaś, bez specjalnego szacunku dla kalectwa towarzysza, pochwycił go za zdrowe ramię i uśmiechnął się do Carli.

– Dziękuję, łaskawa pani. Bardzo chętnie pójdziemy.

W Oberży Angielskiej, gdzie Nicodemus ugościł ich chlebem i jagnięciną, podniecenie Orlandu sięgnęło szczytu, gdy dowiedział się, że w każdej chwili mogą się

spodziewać powrotu kapitana Tannhäusera. Lecz i teraz nie brakowało mu emocji, albowiem ze stanowisk artyleryjskich fortu Świętego Anioła powrócił Bors – z twarzą czarną od prochu i dwugalonowym gąsiorem wina – który był wystarczającym obiektem dla ślepego uwielbienia chłopca. Pękał z dumy, że tacy dwaj bohaterowie traktują go jak równego sobie mężczyznę, gdy siedząc przy kuchennym stole, służył jako tłumacz w rozmowie Tomasa, bohatera fortu Świętego Elma, z wielkim Anglikiem.

Jedli, pili i dyskutowali o morderczym oblężeniu trwającym po drugiej stronie zatoki, o niewysłowionej odwadze obrońców, o samobójczej odwadze janczarów, a także o ewidentnym cudzie – siedemnastodniowej już obronie fortu. Tomaso twierdził, że nawet najtwardsi rycerze ze Świętego Elma – le Mas, Luigi Broglia, Juan de Guaras – nie wierzą, by mogli przeżyć dłużej niż trzy, może cztery zachody słońca, nawet pomimo posiłków, które każdej nocy docierały do fortu. Nikt nie spodziewał się też, że ujdzie z życiem, może poza maltańskimi pływakami, którym polecono, by w razie klęski rzucili się do wody i wrócili, by znowu stawić się do walki. Chwilami w oczach Orlandu błyszczały łzy, a Carla zastanawiała się, dlaczego dowody odwagi poruszają męskie serca z większą siłą niż cokolwiek innego.

Na deser Nicodemus zaserwował im chleb smażony na maśle, z dodatkiem cukru i marcepanu, za co ogłoszono go geniuszem kuchni, nim rozmowa wróciła do tematu toczącej się wojny. W plamie rozlanego na stole wina szkicowali mapy palcami i czubkami noży, dyskutując o strategii, o wojennym kunszcie Turguta – którego Bors przysiągł zabić armatnim ogniem – i o gniewie Lali Mustafy Paszy jako przeciwwadze dla geniuszu de la Valette'a. Bors opowiadał też o przygodach z wojen, w których walczył za czasów Karola, i o wyczynach Tannhäusera pod sztandarami Sulejmana. Po każdej nowej historii oczy Orlandu wypełniała coraz większa tęsknota. Carla nie odzywała się, ale była coraz bardziej przygnębiona, że tak właśnie podsycano i rozprzestrzeniano mity wojenne, a czynili to nawet ci, którzy musieli wiedzieć, że w gruncie rzeczy są tylko usprawiedliwieniem dla szaleństwa i okrucieństwa. Choć z drugiej strony, być może oni o tym nie wiedzieli lub nie mogli dopuścić do siebie tej myśli, bo z niegasnącym zapałem rozprawiali o wyższości tureckich muszkietów, o słabości tureckich pancerzy, zaletach w walce wręcz toporów, maczug, halabard, sztyletów i pik, o szerokościach i przekrojach kling mieczy, o ich długościach i rodzajach rękojeści, a także o młotach bojowych, które Bors uważał za niezrównane, a niedoceniane narzędzie walki.

Kobiety były w tej dyskusji ledwie cieniami na ścianach, a podczas gdy Amparo wydawała się zadowolona, siedząc w cieple i serdecznym towarzystwie, Carla czuła coraz silniejsze znużenie. Nie widziała równowagi między tą radosną celebracją wojny a smutkiem

pełnej rannych sali w Świętej Infirmerii. Mattias nie wracał i nikt nie wiedział, kiedy się go spodziewać. Przeprosiła więc i przy wtórze podziękowań i błogosławieństw oddaliła się, by zapaść w natychmiastowy i głęboki sen.

Obudziła ją dłoń na ramieniu i głos Amparo, która stała przy łóżku ze świecą w dłoni. Dziewczyna była owinięta jedynie ręcznikiem i nie panowała nad podnieceniem.

– Carlo! – powtarzała. – To Orlandu! To jednak Orlandu!

Carla zsunęła nogi z materaca i wstała. Serce wyprzedzało umysł i już czuła je w gardle. Złapała Amparo za rękę.

– Orlandu? – wykrztusiła.

– Tannhäuser mówi, że Orlandu jest twoim synem.

Carla poczuła zawroty głowy i omal nie usiadła z wrażenia. Jakaś siła wprawiała ją w drżenie i ściskała jej pierś. Wreszcie odetchnęła głęboko. Orlandu jest jej synem. Orlandu jest jej synem. Niewiele widziała przez łzy.

– Orlandu jest moim synem – powiedziała.

– Czy to nie cudowne?! – gorączkowała się Amparo.

Carla minęła ją i sięgnęła po opończę, ale zaraz odwiesiła ją na miejsce. Nie mogła iść do niego w koszuli nocnej. Odwróciła się ku prostej, czarnej sukni leżącej na stole. Moje włosy, pomyślała. Splątane we śnie. Oczywiście chłopcu nie zrobi to różnicy… Lecz mimo to. Odetchnęła raz jeszcze.

– Powiedz Orlandu, że za chwilę zejdę.

Carla ściągnęła koszulę przez głowę i rzuciła na łóżko.

– Ale już go tu nie ma – odpowiedziała Amparo.

Straszliwa myśl sprawiła, że Carla zachwiała się na nogach. Zamknęła oczy, a kiedy na powrót je otworzyła, spojrzała na Amparo. Radość dziewczyny, choć jeszcze obecna, była jakby przygaszona. Carla zebrała siły.

– Gdzie on jest? – spytała tak spokojnie, jak tylko mogła.

– Nie wiem. Tannhäuser i Bors poszli go szukać na nabrzeżu.

Carla sięgnęła po koszulę i włożyła ją na powrót. Opończa wystarczy, pomyślała, i do diabła z włosami.

– Na nabrzeżu Kalkara? – spytała.

Wzięła do ręki opończę i zaczęła rozglądać się za butami.

– Nie – odrzekła Amparo. – Świętego Anioła.

Carla znieruchomiała z opończą nie do końca zarzuconą na ramiona.

Jeden dzień spędzony w infirmerii uświadomił jej wystarczająco jasno, że nabrzeże Świętego Anioła jest punktem zbornym dla tych, którzy odpływają, by wziąć udział w rzezi w forcie Świętego Elma.

Z jej gardła wydobył się krzyk.

Zbiegła boso po schodach i dalej, na ulicę Madżistral.

Sobota, 9 czerwca 1565 - Zonra – Marsaxlokk – Oberża Angielska – nabrzeże

Długi dzień, ale udany, pomyślał Tannhäuser, wlokąc zmęczone ciało ulicami Il Borgo w stronę Oberży Angielskiej. Udany przynajmniej dla niego, bo właśnie złożył raport Starkeyowi i wysłuchał słów szczerego uznania na temat niektórych swych czynów. Dowództwo chrześcijan zastał jednak w stanie szoku po dwudziestoczterogodzinnym kryzysie w forcie Świętego Elma.

Minęło bite siedemnaście dni krwawej łaźni, podczas której Turcy zdołali dotrzeć do rowu okalającego fort, zająć rawelin przed główną bramą oraz wznieść stopnie i pomosty do olbrzymiego wyłomu, który ział w południowo-zachodnim murze. Skrajnie trudna sytuacja skłoniła młodszych rycerzy do buntu: zamierzali wyjść na otwarte pole i umrzeć w walce jak mężczyźni, zamiast tłoczyć się jak owce w ruinie nienadającej się już do obrony. De la Valette, z typowym dla siebie geniuszem, wysłał im wiadomość, że mają „uciekać w bezpieczne mury Il Borgo". Oskarżeni tymi słowy nieomalże o tchórzostwo, mimo nadludzkiej odwagi, z jaką walczyli do tej pory, skarceni buntownicy, którzy nie zamierzali wracać i narażać się na pogardę całego zakonu, zaczęli błagać wielkiego mistrza, aby nie zwalniał ich z posterunku, i przysięgli absolutne posłuszeństwo wszystkim jego rozkazom.

Gdy Tannhäuser opuszczał fort Świętego Anioła, posiłki w sile piętnastu rycerzy i dziewięćdziesięciu maltańskich ochotników czekały już na nabrzeżu, by udać się na drugą stronę zatoki. Ich sprawa, pomyślał. Przy odrobinie szczęścia nazajutrz o tej porze miał właśnie realizować plan bezwstydnej dezercji, płynąc po granatowych wodach prosto ku Kalabrii.

Rozstawszy się tego ranka z kawalerią de Lugny'ego w Porto delle Galere, Tannhäuser przejechał dwie mile na południe wzdłuż wybrzeża, poszukując ukrytych łodzi żaglowych zakonu. Dotarł do nadmorskiej osady Zonra, nie znalazłszy ani jednej. Wioska – ledwie kilkanaście rybackich chat – została już splądrowana przez Turków. Z domów zabrano wszystko, co nadawało się na opał: meble, drzwi, futryny, ramy okienne oraz belki stropowe. Po maleńkiej przystani zostały jedynie kikuty słupków upiłowane poniżej powierzchni morza. Pojechał dalej wzdłuż brzegu i spędził godzinę, przeszukując wszystkie zakątki zatoki o kształcie litery Y, aż wreszcie zaczął się zastanawiać, czy de la Valette nie polecił umieścić łodzi dalej na północ, skąd miałyby bliżej do Mdiny i brzegów Sycylii. Ale czy mógł wysłać tam wszystkie? Jechał dalej, aż dotarł do skały wchodzącej w morze na dobre sześćdziesiąt

stóp, na tyle stromej, że wejście na nią wymagałoby nie lada wprawy we wspinaczce górskiej. Instynkt przemytnika kazał mu zbadać ją bliżej.

Jak większość ludzi, Tannhäuser nie umiał pływać. Rozebrał się i brodząc w wodzie, zaczął iść wzdłuż prawie pionowej ściany. Przy najdalej wysuniętym krańcu skały, gdzie zanurzył się aż po szyję, ogarnęła go panika, bo fala wypełniła mu usta wodą i na moment stracił grunt pod nogami. Wytrzymał jednak i obszedł wierzchołek, by znaleźć się tuż obok sporego zagłębienia w skale. Kaszląc i przeklinając sól w oczach, był już gotów wrócić na brzeg. Karcił się już w myśli za nadmiar „sprytu", gdy nagle jego uwagę przykuł ruch na powierzchni. Była to nie więcej niż fałszywa nuta kontrastu między morską tonią a skalną ścianą, ale to wystarczyło, by przetarł twarz i spojrzał uważniej. I wtedy zobaczył kadłub dwunastostopowej łodzi wtulony w miniaturową zatoczkę. Do nadburcia na dziobie przybito solidny kawał płótna, które zarzucono na pozostałą część łodzi tak, by końce sięgnęły wody. Materia namokła i spłowiała miejscami, sprawiając, że z odległości większej niż kilka stóp łódź wyglądała jak jedna z wielu podobnych, szarych półek skalnych. Z pokładu galery przepływającej o pięćdziesiąt sążni lub dalej od brzegu – a tylko z tej strony Turcy mogli tu dojrzeć to miejsce – żaglówka była zupełnie niewidoczna.

Tannhäuser tak się ucieszył, że znowu stracił równowagę i znalazł się pod wodą. Stracił orientację, ale szczęśliwie odnalazł rękami i nogami skałę, podciągnął się w górę i wrócił na powierzchnię. Irytowało go, że daje się upokorzyć żywiołowi, po którym potrafi świetnie żeglować, ale jakoś zdołał dobrnąć w głąb zatoczki i nie utonąć. Przy burcie łodzi woda sięgała mu ledwie do pasa. Stanął na palcach, odchylił płótno i wdrapał się na pokład.

Na dnie łodzi leżały dwie pary wioseł, ster, maszt oraz zwinięty żagiel. Była tam też baryłka wody i zamknięta smołą skrzynka (zapewne z sucharami), w schowku na dziobie znalazł nóż, haczyki rybackie, linkę i kompas owinięty w szmatę. Sycylia leżała o pięćdziesiąt mil na północ; wybrzeże Kalabrii, gdzie nikt nie marzył o tym, by uciąć mu łeb i zatknąć na włóczni, ledwie pięćdziesiąt mil dalej.

Odwiązał linki od żelaznych uchwytów osadzonych w skale i powiosłował w stronę brzegu. Łódź cięła fale jak nóż i wiedział, że z żaglem na maszcie i sprzyjającym wiatrem prześcignęłaby na otwartym morzu każdą galerę. Na brzegu zebrał swoje rzeczy i zostawił Buraqa z torbą jęczmiennego ziarna, a sam wsiadł z powrotem do łodzi i popłynął na północ, do Zonry. Wciągnął swą zdobycz na brzeg i zostawił tuż przy plaży, pod kamienną ścianą zrujnowanej szopy. Nakrył kadłub płótnem i przez godzinę znosił gołymi rękami piach i kamyki. Od strony morza łódź nie odróżniała się już od ściany szopy. Od strony lądu tylko bardzo uparty poszukiwacz dostrzegłby ją tak zamaskowaną. Jako że w osadzie nie było

źródła wody, a domy zostały już splądrowane, Turcy najprawdopodobniej nie zamierzali tu wracać. Nawet jeśli pójdą pieszo, z dwiema kobietami, dotrą tu i wypłyną w morze w ciągu trzech godzin od wyjścia przez bramę Kalkara.

Tannhäuser ubrał się i pomaszerował z powrotem do Buraqa. Owinął w koc swój nowy muszkiet i ruszył na południe, do zatoki Marsaxlokk, gdzie stała na kotwicy większość sułtańskiej floty. Napoił Buraqa i dołączył do Turków w ich popołudniowej modlitwie, po czym przyjął poczęstunek – herbatę i migdały w miodzie – od egipskiego nawigatora. Rozmawiali głównie o Aleksandrii, ale Tannhäuser dowiedział się też, że admirał Pijal tak bardzo obawia się wiatru gregale, że przeznacza do utrzymania blokady nie więcej niż tuzin galer. Niektóre patrolowały kanał Gozo, reszta zaś strzegła wyjścia z Wielkiego Portu, a były to miejsca, do których Tannhäuser wcale nie zamierzał żeglować. Przechwycenie północnego kotwicowiska Marsamxett było powodem, dla którego wciąż trwała bitwa o fort Świętego Elma.

Podniesiony na duchu dobrymi wiadomościami Tannhäuser dołączył do kolumny mułów niosących drewno na opał i mąkę dla armijnych piekarni na równinie Marsa. Opowiedział kapitanowi sipahów eskortujących karawanę o ataku na baterię Turguta, o którym ten nic jeszcze nie wiedział. Jak to nieraz bywało, usłyszał w zamian szczerą ocenę Religii z tureckiego punktu widzenia. Fanatyczny kult szatana. Mniej żołnierze, bardziej bandyci. Handlarze niewolnikami, piraci, ludzkie diabły, może nawet czarownicy. Plaga, którą należy unicestwić dla spokoju i dobrobytu reszty świata. Tannhäuser nie miał problemów z przytakiwaniem takim opiniom.

W głównym obozie tureckim skierował się od razu na bazar, by odnowić kontakty z niektórymi jego bywalcami. Pili jogurt z solą i kolendrą, a przy okazji dowiedział się, jak potworne straty poniosła strona turecka w walce o Świętego Elma. Kilka ort janczarów zostało dosłownie wyciętych w pień, odmówiły bowiem wycofania się z pola bitwy. Choć kampania okazała się trudniejsza, niż zakładano, nikt nie wątpił, że sułtan w końcu zwycięży, zgodnie z wolą Boga. Kupcy byli też zgodni co do jednego: gdyby to oni rządzili światem, panowałaby doskonała harmonia między narodami, jednakże aż do nastania tych szczęśliwych czasów wypada robić interesy w każdy możliwy sposób.

Wiele uwagi poświęcili zaletom maltańskich portów oraz pożytkom, jakie mogłyby płynąć z włączenia ich do imperium. Pod nikczemną hegemonią piekielnych psów wyspa zmieniła się w koszary i targ niewolników. Pod tureckim zarządem zapewne rozkwitłaby jak nigdy. Tu, na skrzyżowaniu kilku ważnych szlaków handlowych, można by zbić prawdziwy majątek, zwłaszcza po rozprawie z chrześcijańskim piractwem. Kupcy byli

bardzo zdeterminowani, by osiągnąć ten cel – to dlatego wybrali się na tę niebezpieczną wyprawę. Tannhäuser stwierdził w pewnej chwili, że im zazdrości, ale zaraz przyszła mu do głowy inna myśl. Gdyby wyspa zamieniła się w mocne źródło tureckiej gotówki, wraz z Sabatem Svi mógłby nadstawiać po nią swoje wiaderko choćby i z samej Wenecji, która mimo okresowych konfliktów zawsze była najważniejszym partnerem handlowym Osmanów. Podzielił się tym pomysłem – w dość ogólnym zarysie – z tureckimi kupcami, którzy przyjęli go wręcz entuzjastycznie. Jeden z nich znał ze słyszenia Sabata Svi, a Mosze Mosseriego osobiście. Żydzi cieszyli się zaufaniem i szacunkiem jako partnerzy w interesach. Tannhäuser wyobraził sobie błysk w oczach Sabata: dwa razy większy obrót na mniejszym o połowę dystansie.

Pomyślał i o tym, że realizacja tej wizji wymaga triumfu Turków kosztem Religii. Musiał jednak przyznać, że gdyby zakon upadł, nikt nie płakałby po nim zbyt długo. Monarchowie, książęta i papieże natychmiast zaczęliby kłótnie o schedę po nim. Ci, którzy nienawidzili de la Valette'a, skutecznie popsuliby jego reputację, a pamięć o rycerzach w habitach umarłaby szybko, wraz z pamięcią o sprawie, za którą zginęli. Z czasem ich nazwiska stałyby się tylko częścią zapomnianej historii, tak jak to spotkało niezliczone dynastie, plemiona i imperia.

– Kimże są dziś Grecy, mimo tysiąclecia Bizancjum?

Wypowiedział to pytanie na głos. Kupcy spojrzeli na niego dziwnie, być może dlatego, że odpowiedź wydawała im się oczywista. Ci spośród Greków, którzy przejawiali jakiekolwiek talenty, byli niewolnikami Sulejmana i darzyli go wdzięcznością za taki los. Reszta skarlała, zmieniając się w chłopstwo z trudem wyszarpujące płody skalistej ziemi. Tannhäuser zebrał myśli i podzielił się z kupcami swą rozległą wiedzą na temat handlu pieprzem. Z Malty mogli wysyłać towar bezpośrednio do Genui, Barcelony i Marsylii, zupełnie wyłączając wenecjan z rynku. Zaczęli dyskutować o potencjalnych cenach towaru i marszcząc czoła, w myśli liczyli zyski. Na podobnych, całkiem cywilizowanych spekulacjach upłynęła im reszta dnia. Kawa była mocna, ciastka słodkie i nikt nie zamierzał nikogo mordować. Słońce zniknęło za górami na zachodzie i rozległo się wołanie muezzina. Tannhäuser modlił się wraz z przyjaciółmi i choć był przebierańcem i bluźniercą, znalazł w tym pocieszenie. Jeden z handlarzy zbożem, bardzo zainteresowany jego przewidywaniami co do rynku pieprzowego i posiadający koneksje w rodzinie Mendes, powtórzył mu zasłyszaną plotkę: podobno Mustafa planował zaskoczyć fort Świętego Elma nocnym atakiem nazajutrz, w dzień święta niewiernych.

Z tą informacją, zapewne cenną dla Starkeya, Tannhäuser opuścił obozowisko i pomknął na Buraqu w noc, ku bramie Kalkara. Teraz, gdy Mustafa obsesyjnie pragnął zniszczenia fortu Świętego Elma, wschodnia flanka była jedynie symbolicznie patrolowana przez jego żołnierzy, toteż Mattias nie napotkał po drodze żadnych kłopotów. Potrzebował może dnia na odnalezienie Orlanda Boccanery. Z pewnością nie więcej niż dwóch lub trzech. Chłopak wychował się w Borgo i najprawdopodobniej właśnie tu przebywa. Wystarczyło odnaleźć go i wreszcie zabrać tych, na których mu zależało, z tej piekielnej wyspy, pozostawiając jej los woli bożej.

Gdy po powrocie z fortu Świętego Anioła dochodził do Oberży Angielskiej, ulica Madżistral była zupełnie pusta, a niebo nad nią czyste i granatowe. Księżyca przybywało i noce w najbliższym tygodniu zapowiadały się bardzo jasne, lecz skoro zachodził między pierwszą a drugą, nie powinien zagrażać powodzeniu ich ucieczki z Zonry. Wyjście przez bramę Kalkara pięcioosobową grupą nie wyglądało na łatwe zadanie, nawet gdyby mieli passe porte na podróż do Mdiny. Ale z drugiej strony, czy wartownicy mogli przypuszczać, że chodzi o wyprawę w jakiekolwiek inne miejsce? Tannhäuser uśmiechnął się do własnych myśli. Obecność kobiet będzie idealnym alibi, gdyby ktoś podejrzewał ich, że chcą przejść na stronę Turków.

Wszedł do refektarza i zastał tam Borsa grającego w tryktraka z Nicodemusem. Na twarzy Borsa malował się wyraz ekstatycznego smutku, właściwy nałogowym hazardzistom, którzy lada chwila mają ponieść ciężką stratę. Trzeci, nieznany Mattiasowi mężczyzna, spał, ułożywszy głowę na stole; jego prawe ramię było zabandażowanym kikutem. Amparo pojawiła się znikąd i zarzuciła mu ramiona na szyję. Uścisnął ją i pocałował w gorące usta. Była jeszcze bardziej osobliwie piękna niż zwykle. Blask świec dzielił jej asymetryczną twarz na dwie części – ta zniekształcona tonęła w cieniu, a Mattias pomyślał, że brakuje mu jej widoku i że nie chciałby, aby odzyskała swój dawny kształt, nawet gdyby było to możliwe. Wzruszył się, widząc w jej włosach grzebyk, który jej podarował. Wreszcie rozłączyli się bez protestów i Tannhäuser oparł damasceński muszkiet – wciąż zawinięty w koc – o ścianę.

– Oto i wraca nasz wielki chan – powiedział Bors. Strużki potu, nim wyschły, wyżłobiły jaśniejsze paski na jego czarnej od prochu twarzy, nadając mu rysy wielkiego, niesfornego dziecka. – Jakie wieści z Mekki?

Tannhäuser dostrzegł gąsior.

– Zostało trochę wina?

– Nie.

– A kolacja?

– Kucharz jest zajęty.

Nicodemus rzucił kostkami, a Bors zaklął szpetnie i gruchnął pięścią w stół. Noc była jeszcze ciepła i Tannhäuser pomyślał o kąpieli w chłodnej wodzie. Dlaczego nie? Odpiął bułat i zaczął rozpinać kaftan, obserwując Nicodemusa, który z widoczną wprawą przestawiał białe kamienie po planszy.

– Pozwól mu wygrać, Nicodemusie – powiedział po turecku. – Wyobraź sobie, że to mały chłopiec, którego bardzo kochasz.

– Właśnie tak gra – zauważył Nicodemus. – Ale dlaczego miałbym przegrać?

– Dlatego że to nam zapewni spokój tej nocy, a ja bardzo go potrzebuję. Poza tym byłaby to sprytna inwestycja pod kątem przyszłych gier.

Bors rzucił kostkami i znowu zaklął.

– Te kości są zaczarowane! Co ci powiedział ten grecki pies?

– Że chciałby cię wyruchać, ale zaczeka, aż się wykąpiesz.

– Już mnie wyruchał, i to z dziesięć razy. Chyba będę musiał pożyczyć gdzieś trochę złota.

– Gracie o złoto?

Bors skrzywił się, unosząc nad planszą wielką i brudną dłoń.

– Pytałem, jakie nowiny. No jakie?

– Gotują dla nas kolację w Kalabrii – odparł Tannhäuser.

Bors w jednej chwili zapomniał o grze i spojrzał na niego kwaśno.

– Co z pilotem?

– Mamy kompas. Ja będę pilotem.

– Fantastycznie.

– Poza tym znam już tożsamość chłopca hrabiny.

Bors zapatrzył się na planszę, marnie ukrywając złość, a po chwili huknął pięścią w stół z taką szybkością, jakby wkładał dłoń do gniazda skorpionów. Czarne kamienie podskoczyły do góry.

– Nie obchodzi mnie to – warknął.

– Gdzie jest Carla?

– Śpi – odpowiedziała Amparo.

– W takim razie idę się wykąpać.

Bors nie odpowiedział, tylko zgarnął kości do skórzanego kubka. Patrząc nań spode łba, z hukiem postawił go przed Nicodemusem.

– Rzucaj i bądź przeklęty, muzułmański demonie.

Tannhäuser zauważył niepokój w twarzy Amparo i uśmiechnął się.

– Pożałuj go – powiedział. – Kiedyś Bors był najlepszym graczem w całej Mesynie, a przynajmniej tak mu się zdawało.

– I znowu jestem w pułapce między obrzezanymi – stwierdził Bors. – I to tu, w bastionie wiary katolickiej. To wbrew prawom natury. – Patrzył przez moment, jak obracają się kostki, a potem zamarł jak kot czatujący na ranną mysz, Nicodemus wykonał bowiem bardzo nierozsądny ruch. – Idź, wykąp się – dodał. – I pozwól, że prawdziwi mężczyźni zajmą się swoimi sprawami.

Tannhäuser wszedł do swojej celi, rozebrał się, wziął ręcznik i udał się do ogrodu. Gdy się tam znalazł, dostrzegł w półmroku błysk kości słoniowej i srebra. Amparo już siedziała w beczce. Zatrzymał się. Był to całkiem nowy pomysł i do tego bardzo dziwny. Nie miał zwyczaju odbywać kąpieli w towarzystwie. Owszem, lubił, gdy go ktoś namydlał, szorował, nacierał olejkiem i tak dalej – przynajmniej wtedy, gdy robiła to kobieta – ale żeby moczyć się w tej samej wodzie? Twarz Amparo ukazała się nad krawędzią beczki, anielska, jasna i cudowna w świetle gwiazd i księżyca. Niewątpliwie nie miała pojęcia, że czyni coś radykalnego, i właśnie w takiej prostoduszności zawierał się cały jej niedościgły czar. Nieuprzejmością byłoby prosić, aby wyszła z beczki. Jeszcze gorzej byłoby odmówić dołączenia do niej. Tannhäuser podszedł bliżej i włożył rękę do wody. Miała w sobie jeszcze ciepło dnia. Przyniosłaby ciału ukojenie, ale nie wstrząs. Dylemat stał się jeszcze trudniejszy. Lecz właśnie w tym momencie to samo srebrne światło, które zdobiło jej twarz, padło na dwie majestatyczne, białe półkule. Piersi wyłoniły się z wody jak nagroda dla bohatera jakiegoś starożytnego i bardzo erotycznego mitu, a dylemat zniknął z głowy Mattiasa tak, jak giną cienie, gdy ktoś zdmuchnie świecę. Szczere spojrzenie dziewczyny na jego szybko podnoszący się interes przyspieszyło decyzję: przeskoczył nad krawędzią beczki i zanurzył się w wodzie obok Amparo.

Przyszedł do ogrodu, żeby rozluźnić zmęczone kończyny i oczyścić umysł z podniecenia, które wypełniło jego dzień. Nieskazitelnie białe ciało, które oplotło się teraz wokół niego, zniweczyło oba te zamiary. Powstrzymał się jednak od natychmiastowego działania i zaczął od głaskania jej ud pod wodą.

– Zniszczyłeś dziś tureckie działa – powiedziała Amparo.

Nie było to wspomnienie, do którego miał ochotę wracać. Zamruczał tylko w odpowiedzi, przyciskając usta do jej szyi.

– Strasznie było?

– Strasznie? – wymamrotał zdziwiony. Przypuszczał, że dziewczyna próbuje go jakoś pocieszać. – Zabiliśmy wielu ludzi – powiedział. – Ale nie powinnaś się przejmować takimi sprawami – dodał, całując jej szyję. Przebiegł palcami po jej włosach. Jej pierś wypełniła jego dłoń, jakby z własnej woli, a wtedy westchnął głęboko i błogo. Tyle że jej pytanie wciąż nie dawało mu spokoju. Nie spodziewał się po niej zainteresowania tym tematem.

– Amparo, skąd wiesz o tych działach? – spytał.

– Orlandu mi powiedział – odrzekła.

Podniecenie Tannhäusera dobiegło końca z niepokojącą szybkością. Zsunął Amparo ze swoich ud i wstał.

– Orlandu? – powtórzył. – A kto to jest Orlandu?

– Mój przyjaciel z portu. Mówiłam ci: uważa cię za wielkiego bohatera i chciałby cię poznać.

Mattias rzeczywiście pamiętał tę rozmowę, ale wtedy nie interesowała go zbytnio.

– Był tu dziś, w refektarzu. Nie więcej niż godzinę temu jedliśmy razem kolację – mówiła dalej Amparo.

– Ile lat ma twój przyjaciel?

– Mówił, że piętnaście, ale nie jest pewny. – Amparo wreszcie zrozumiała jego poruszenie. – Ale on nie uważa, by był synem Carli. Carla też nie.

Tannhäuser nie był taki pewny.

– Znasz jego nazwisko?

– Orlandu di Borgo.

Tannhäuser roześmiał się bez zbytniej wesołości. Wizja ucieczki z wyspy zamigotała mu przed oczami, ale wraz z nią pojawił się obraz niewyjaśnionego zagrożenia, który bardzo chciał jak najszybciej zrozumieć.

– A ten człowiek przy stole, ten bezręki?

– To przyjaciel Orlandu, Tomaso.

– Zaczekaj tu – polecił Tannhäuser i wyskoczył z beczki.

– Gniewasz się na mnie?

– Wręcz przeciwnie. Tylko bądź cierpliwa.

Pobiegł w stronę drzwi oberży i dopiero po chwili przypomniał sobie, że zostawił ręcznik. Nie wrócił jednak. Odgłos jego bosych, mokrych stóp uderzających o kamienne płyty był nienaturalnie głośny. Wkroczył do refektarza dokładnie w chwili, gdy rozległ się tam gromki śmiech Borsa.

– Losy się odwróciły! – zagrzmiał Bors, spoglądając w jego stronę. Strumyki potu na jego policzkach wyglądały jak łzy radości. – Sprawiedliwość wreszcie ukończyła swoje arcydzieło!

– Obudź Maltańczyka – polecił Tannhäuser.

Powiedział to takim tonem, że Bors bez słowa szturchnął śpiącego w żebra paluchem grubości kija od miotły. Tomaso podskoczył i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem, oszołomiony nie tylko nieznanym otoczeniem i wypitym winem, ale także widokiem wielkiej, nagiej, ociekającej wodą postaci w półmroku.

– Orlandu Boccanera – powiedział Tannhäuser.

Tomaso spojrzał po twarzach towarzyszy siedzących przy stole, jakby szukał tego, którego ma wskazać, a potem skierował wzrok ku ciemnym kątom. Była to wystarczająca odpowiedź.

– Gdzie on mieszka? – spytał po włosku Tannhäuser. – Dom Orlandu?

Tomaso rozejrzał się znowu, tym razem szukając pomocy.

– Ja wiem, gdzie sypia Orlandu – odezwała się Amparo, wyglądając zza drzwi. Była owinięta ręcznikiem.

– To dobrze – odrzekł Tannhäuser. – Prędko, ubieramy się.

Gdy się odwracał, usłyszał niezrozumiałe dla nikogo z obecnych słowa Tomasa. Młody mężczyzna wskazywał palcem na puste miejsce pod ścianą. Tannhäuser załomotał pięścią w stół.

– Bors?

Bors odwrócił się, popatrzył i powiedział:

– W tym miejscu stały miecz i pancerz Tomasa. Powiedziałbym, że młody Orlandu zabrał je ze sobą.

Tomaso odezwał się ponownie i tym razem w jego wypowiedzi pojawiły się dwa znajome słowa: Sant' Elmu.

Tannhäuser spojrzał na Borsa.

– Powiedz, że się przesłyszałem.

Bors otarł palcem wąsy.

– No cóż, chłopak palił się do bitki. I powiedziałbym, że trochę go nakręciliśmy.

– On ma ledwie dwanaście lat.

– W kirysie i hełmie wyglądał bardzo męsko. Nie byłby pierwszym, który dodał sobie parę lat, żeby uchodzić za żołnierza. Muszę też powiedzieć, że jest szybki i sprawny w gębie, kiedy chce dowieść swego.

Tannhäuser poczuł, że podłoga faluje mu pod nogami.

– Idziesz ze mną na nabrzeże Świętego Anioła – powiedział.

– Ale gra… – zaczął Bors. – Właśnie rzucałem go na kolana!

Tannhäuser pobiegł do swojej celi po buty i spodnie.

Pędzili z Borsem wąskimi, krętymi uliczkami. Między zwieńczonym blankami murem obronnym a sylwetą fortu Świętego Anioła miasto było plamą ciemności. W miarę jak zbliżali się do fortecy, coraz wyraźniej słyszeli głosy i jęki; wkrótce zaczęli mijać noszowych, w świetle pochodni dźwigających rannych w stronę infirmerii. Ewakuowanych z fortu łatwo było rozpoznać nie tylko po ranach, ale także po pustych oczach, jakby przerażenie obrabowało każdego z nich z czegoś cennego. Tannhäuser i Bors biegli dalej.

Fort Świętego Anioła wznosił się na skale oddzielonej od Il Borgo kanałem. Most nad wodą kończył się u podnóża fortecy, opodal łukowatego nabrzeża, z którego odbijały statki i łodzie płynące do Świętego Elma. Na moście kłębił się tłum zakrwawionych i zdesperowanych ludzi. Siłą przebili się obok komendanta żandarmerii i z brutalnością rzucili się w ludzką ciżbę. Na nagich kamieniach nabrzeża leżały ciała tych, którzy nie przetrwali krótkiej podróży po zatoce. Obok nich leżeli ci, którym być może nie było pisane przeżyć przeprawy przez most. Wszędzie pełno było krwi, rozlanej w kałużach i zasychającej w bryły; przywierała do ich butów, gdy przeskakiwali nad umarłymi i umierającymi. Dwaj kapelani szli wzdłuż szeregu leżących, namaszczając świętym olejem ich czoła, nosy i usta.

– Przez to święte namaszczenie niech Pan przebaczy ci wszelkie twoje grzechy i zaniedbania.

Ewakuowani przywozili ze sobą nieomylną woń oblężenia: otwartych ran, surowego strachu oraz brutalnego chaosu. De la Valette zawsze starał się osobiście odprowadzać każdy oddział ochotników udających się do Świętego Elma; Tannhäuser nie widział go jednak w tej chwili, a to raczej źle wróżyło. Przepychali się dalej. Schwytany turecki oficer – zakrwawiony, półnagi i spętany łańcuchami – przeszedł obok nich. Tannhäuser usłyszał jego ciche słowa:

– Trzymaj się mocno liny Allaha…

– Tego koleżkę czeka przykra niespodzianka – zauważył Bors.

Tannhäuser nie słuchał, zajęty szukaniem drogi w tłumie, ale Bors na to nie zważał.

– W lochach pod Świętym Antonim mistrzowie tortur trzymają potężnego czarnucha. Traktują go jak króla, karmią dobrze i dają wina, ile zechce. A kiedy chcą rozwiązać język świeżo pojmanemu Turkowi, rozbierają go, przerzucają przez beczkę i każą

czarnuchowi, żeby go przeleciał. Sami zaś stają obok, dopingują i śmieją się. – Bors roześmiał się z własnej opowieści. – Rezultaty są ponoć wyborne.

Tannhäuser nie odpowiedział, tylko się rozejrzał. Wody Wielkiego Portu lśniły jak żywe srebro, a powierzchnia drżała nieznacznie tam, gdzie niedawno przecięły ją wiosła dwóch barkasów. W każdej z potężnych łodzi mieściło się dwudziestu kilku ludzi i spory zapas. Tannhäuser i Bors przystanęli przed stołem oświetlonym blaskiem lampy, przy którym siedział rycerz zakonny prowadzący rejestr oraz brat kwatermistrz, którego listy tonęły właśnie w kałuży atramentu. Słowa, które wymieniali, brzmiały mało pobożnie. Tannhäuser rozpoznał rycerza, Lombardczyka nazwiskiem Grimaldi, i zastukał palcami w stół, by zwrócić na siebie jego uwagę.

– Bracie Grimaldi, muszę wiedzieć, czy pewien człowiek odpłynął wraz z ochotnikami.

– Dziś? – spytał Grimaldi.

– Dziś. Nazywa się Orlandu Boccanera.

Kwatermistrz nie był zadowolony, że ktoś ośmiela się im przeszkadzać.

– Nie masz tu władzy, panie. A my mamy pracę do wykonania.

– Pracę? – Tannhäuser oparł dłonie o blat i spojrzał na niego z góry. – Dziś rano kierowałem wycieczką na Porto delle Galere. A ty, bracie księgowy? Ilu Turków dziś zabiłeś?

Kwatermistrz wstał, sięgając ręką ku rękojeści miecza. Mimo iż Tannhäuser wciąż był pochylony, zakonnik musiał zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Kim jesteś, panie?

– Radzę ci pozostać przy rozlewaniu atramentu – wtrącił Bors – i zostawić sprawę rozlewania krwi takim ludziom jak my.

– Siadaj – odezwał się Grimaldi. – To człowiek Starkeya.

Kwatermistrz oddalił się, recytując Ojcze nasz na uspokojenie. Grimaldi zaczął przeglądać rejestr. Po chwili zatrzymał palec na jednej z kolumn nazwisk.

– Nie mam tu żadnego Boccanery, ale mam niejakiego Orlandu di Borgo – powiedział. – Chłopak był równie zawadiacki jak jego nazwisko – dodał, po czym ruchem brody wskazał na zatokę. – Jest tam, w ostatniej łodzi.

Tannhäuser wyprostował się, odwrócił i zapatrzył na żywe srebro wody. Daleko w ciemności, poza wszelką nadzieją zawrócenia, unosiły się i opadały wiosła ostatniej łodzi. Z powodu przyjemnych fantazji o handlu pieprzem, z powodu jednej filiżanki kawy za dużo, a może z powodu krótkiej kąpieli w beczce, legły w gruzach wszystkie jego plany. Orlandu był w drodze do miejsca, w którym czekała go pewna śmierć. Cokolwiek się działo w ostatnich

tygodniach, Tannhäuser ani razu nie poddał się zwątpieniu. Teraz jednak ustąpił. Odwrócił się plecami do wody i w tym momencie jego duch otrzymał kolejny cios.

Boso po kałużach krwi, z rozwianymi włosami wokół ramion biegła Carla. Zobaczyła wyraz jego twarzy i zatrzymała się. A Tannhäuser poczuł się tak, jakby pchnął ją nożem prosto w serce.

Niedziela, 10 czerwca 1565 – Pięćdziesiątnica - Kaplica Matki Boskiej z Philermo – Oberża Angielska – fort Świętego Anioła

Obraz Matki Boskiej z Philermo wisiał w kaplicy przy kościele Świętego Wawrzyńca. Rycerze uznali ją za swą najświętszą relikwię, zaraz po prawej ręce Jana Chrzciciela. Niektórzy mówili, że namalował ją święty Łukasz i że cudem dotarła na morskich falach do Rodos. Gdy Sulejman zdobył wyspę, ocalali rycerze zabrali obraz ze sobą. Twarz Madonny była prymitywnie nakreślona, prawie bez wyrazu, ale jej oczy kryły w sobie cały smutek świata. Wiadomo było, że od czasu do czasu płyną z nich łzy; obrazowi przypisywano też sprawstwo kilku cudów. Carla przyklęknęła przed nim i modliła się – jeśli nie o cud, to przynajmniej o wskazówkę. Tego dnia, w uroczystość Zesłania Ducha Świętego na apostołów, z pewnością mogła liczyć chociaż na tyle. Kaplica, jak to zwykle bywa w środku nocy, była zupełnie pusta.

– Los nam nie sprzyja – powiedział jej Mattias, gdy stała przed nim zmartwiała, zanurzona po kostki we krwi przelewającej się po nabrzeżu. – Pozwól, bym cię zabrał z powrotem do Italii. Do Francji. Zostać tu oznacza śmierć – i za co? Zostaw tę sprawę za sobą i zacznij nowe życie.

Obiecała mu, że do rana da mu odpowiedź, i szukając jej, przyszła do kaplicy Matki Boskiej z Philermo. Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakim była dla niej wiadomość, że Orlandu jest jej synem. Znalazła się tak blisko niego i przebywała z nim godzinami, a jednak nie rozpoznała w nim własnej krwi. Pozwoliła, by prześliznął się między jej palcami i odszedł ku pewnej śmierci.

Nie wątpiła w jego tożsamość. Gdy tylko Amparo powiedziała jej prawdę, wiedziała, że nie może być inaczej. Opowieść Ruggiera o chrzcie, list księdza Benadottiego – wszystko to były dowody, których tak naprawdę nie potrzebowała. Czuła więź z tym chłopcem, polubiła go od pierwszej chwili, a jednak złożyła wszystko na karb jego szczeniackiego uroku, jego przyjaźni z Amparo i wreszcie potęgi Chrystusowej miłości, która wypełniła jej duszę w Świętej Infirmerii. I pośród tego wszystkiego nie usłyszała żadnej podpowiedzi instynktu macierzyńskiego. Próżność. Próżność. Czego właściwie się spodziewała? Że poczuje skurcze w macicy? Że zobaczy aureolę wokół jego głowy? Nie jest matką. Nigdy nie karmiła. Jak mogła sądzić, że go rozpozna? Jej fantazja o własnych możliwościach skazała go na śmierć. A także, jak uświadomiła sobie ze wstydem, jej społeczna bigoteria. Był uroczym chłopcem, ale także brudnym i nieokrzesanym chamem

chełpiącym się tym, że mordował psy. Wewnętrzny mechanizm rozpoznawania statusu przesłonił jej oczy i usztywnił serce. Przekleństwo domniemanego szlachectwa. Pomyślała o ojcu, don Ignaciu. Mattias przecież się z nim widział.

– Twój ojciec błagał, abyś mu wybaczyła to, że wykradł twoje dziecko – powiedział – oraz to, że skazał chłopca na tak nędzny żywot. Ale najbardziej żałuje ohydnego okrucieństwa, z jakim cię potraktował. Pozwolę sobie zacytować jego słowa: „kochałem ją bardziej niż jakąkolwiek istotę na tym świecie".

Usłyszawszy to, rozpłakała się, gdyż myśl o ojcowskiej nienawiści raniła ją od dawna.

– Don Ignacio umierał – ciągnął Mattias. – Gdy go opuszczałem, zostały mu ledwie godziny życia na tym świecie. Był przy nim ksiądz. Twój ojciec znalazł wielkie pocieszenie w wieści o tym, że wróciłaś na wyspę. Pozwoliłem sobie powiedzieć mu, że wciąż cieszy się twoim szacunkiem i miłością i że twoje przebaczenie jest rzeczą pewną, a on pobłogosławił mnie za to. Być może źle odczytałem twoje intencje, ale umierający zasługuje na litość, nawet jeśli straszne były jego grzechy.

Carla płakała i teraz, klęcząc przed obrazem. Ze wzruszenia na myśl o wielkim sercu Mattiasa. Z bólu po śmierci ojca. Z rozpaczliwej wdzięczności za jego miłość, bo w jakimś zakątku jej serca przetrwała wiara w istnienie tej miłości. Z żalu za straconym Orlandu i ze złości na własną głupotę. W pewnej chwili wyczuła, że ktoś staje za nią, i przestała płakać.

To był de la Valette.

Przyklęknął obok niej, oparł dłonie na barierce i natychmiast pogrążył się w modlitwie, jakby jej nie zauważył. Wydawało się, że jest w transie. Pomyślała o ciężarach, które nosił w sumieniu. O jego lęku o Maltańczyków. O ludziach, których każdego dna wysyłał na śmierć po drugiej stronie portu. O błędach – głównie jego własnych – które kosztowały kogoś życie. Carla spojrzała na postać Matki Boskiej i spytała Ją, co powinna uczynić.

Matka Boska odpowiedziała jej.

Po kilku ciężkich dniach Mattias miał prawo do odpoczynku, toteż postanowiła zaczekać, aż się obudzi. Pozostał w łóżku aż do popołudnia i zaczęła się zastanawiać, czy nie wziął czegoś na sen. A może był zajęty z Amparo? Myśl o nich wciąż przyprawiała ją o mdłości, ale tym razem karciła za to siebie, nie ich. Gdy wreszcie Mattias się pojawił, wyglądał na przygnębionego. Spotkali się w refektarzu, gdzie bez apetytu zjadł posiłek. Rozmawiali o różnych sprawach, aż w końcu spytał ją o plany na przyszłość.

– Moje miejsce na ziemi jest tu – odpowiedziała.

Przyjął tę nowinę z ponurym spojrzeniem znad filiżanki kawy. Piękna i drobna filiżanka wyglądała absurdalnie krucho w jego wielkiej, sękatej pięści.

– Orlandu nie wróci – odparł. – A przynajmniej nie w jednym kawałku.

– Moje miejsce jest tutaj bez względu na to, czy zobaczę jeszcze kiedyś Orlandu. – Zauważyła, że Tannhäuser z trudem się powstrzymuje, by nie dać upustu frustracji. Nie miał zwyczaju poddawać się przygnębieniu – wręcz przeciwnie, jego odporność w obliczu nieszczęść wciąż ją zdumiewała – i dlatego bolało ją, gdy widziała go w takim stanie ducha. Zwłaszcza że to ona była przyczyną. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. – Wiem, dlaczego chciałbyś, żebym opuściła wyspę…

– Bardzo wątpię – przerwał jej szorstko. Poczuła się urażona, ale to nie był koniec. – Nigdy nie widziałaś, jak Turcy plądrują miasto. Będą cię gwałcić przez wiele godzin, a może nawet dni. Potem zaś, jeśli będziesz miała szczęście, poderżną ci gardło. Jeśli nie, sprzedadzą cię i trafisz do burdelu gdzieś w Afryce Północnej.

Skrzywiła się, słysząc tak brutalne słowa.

– Przecież nie da się teraz opuścić Malty.

– Czyżbyś straciła zaufanie do mnie?

– Nie, to nie jest możliwe – odpowiedziała z uśmiechem, którego nie odwzajemnił. – Nie. Bóg zesłał mi powołanie, którego przez całe życie nie umiałam dostrzec. I dlatego muszę tu zostać.

– Ze wszystkich stron otaczają nas „powołani” – żachnął się Mattias. – Nawet w tej chwili ćwiartują się nawzajem.

– Nie zamierzam nikogo ćwiartować – odrzekła Carla. – Chcę tylko służyć ludziom, którzy cierpią na progu domu Chrystusa. Pogodzę się ze wszystkim, co ześle mi opatrzność.

Odwrócił się, strzepnął resztki fusów z filiżanki i dolał kawy z miedzianego dzbanka, a potem na długo zapatrzył się w czarny płyn, unikając jej wzroku. Wiedziała, że ma ją za głupią, ale ten jeden jedyny raz miała pewność, że postępuje rozsądnie.

– Mattiasie, proszę, wysłuchaj mnie. – Spojrzał na nią, więc mówiła dalej: – Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, a nawet znacznie więcej. Zabrałeś mnie na wielką wyprawę, byłeś moim strażnikiem i przewodnikiem. Szukałam syna i straciłam go znowu, ale także znalazłam coś innego – coś niewyobrażalnie cennego – czego nie spodziewałam się znaleźć. – Carla przypomniała sobie pierwszą rozmowę z Tannhäuserem, w ogrodzie różanym. – Nazwijmy to łaską Boga – dodała.

Mattias skinął głową, ale nic nie powiedział.

– Jeżeli moja prywatna krucjata w poszukiwaniu Orlandu doprowadziła mnie do tej wiedzy – o własnej duszy i o moim miejscu w sercu Boga i w Jego planie – to nie nazwę jej porażką. I ty też nie powinieneś.

– A Amparo? – spytał Tannhäuser. – Czy ona też ma zostać z fanatykami i zginąć?

– Nie jestem fanatyczką.

– Mówię o tych, którzy walcząc ze sobą, obrócą to miasto w perzynę.

– Amparo zawsze była wolna. Nie wydaję jej rozkazów. Ona cię kocha, Mattiasie. – Carla zawahała się. – I ja też cię kocham. Kocham was oboje.

Mattias skrzywił się, jakby ta nowina dołożyła nowy ciężar do przygniatającego go brzemienia. Znowu pochylił się nad kawą.

– A jeśli chodzi o naszą umowę – ciągnęła – to chętnie dotrzymam jej warunków. Możemy wziąć ślub, zanim opuścisz wyspę, i sporządzić odpowiednie dokumenty. Będziesz miał swój tytuł.

Tannhäuser machnął ręką.

– Takie drobiazgi mamy już dawno za sobą. A ty zasługujesz na lepszego partnera. Chcesz się poświęcić szlachetnej sprawie. Nawet bardziej niż szlachetnej. Potrzebujesz mojego błogosławieństwa?

– Na niczym mi bardziej nie zależy.

Mattias obdarzył Carlę swoim dawnym uśmiechem.

– Zatem masz je, za darmo i bez ograniczeń – powiedział, wstając. – Ale teraz i ja muszę przemyśleć pewne sprawy – dodał, a potem ukłonił się z tą samą prostą galanterią, którą kiedyś tak ją ujął. – Wybaczysz?

– Oczywiście. – Carla wstała. – Zresztą i tak muszę już iść do infirmerii.

Tannhäuser podał jej ramię.

– Wobec tego będę zaszczycony, mogąc cię odprowadzić, pani.

Carla chwyciła go pod rękę i było to miłe doznanie. Poczuła strach na myśl o tym, że może go więcej nie zobaczyć. Wciąż pragnęła jego miłości, ale też czuła wewnętrzny spokój. Nie mogła prosić o więcej.

Gdy weszła do szpitalnej sali, Lazaro powiedział jej, że Angelu nie żyje.

Tannhäuser i Bors siedzieli między blankami na murze twierdzy Świętego Anioła jak dwaj nudzący się chłopcy, machając nogami nad przejrzystą, błękitną wodą falującą ponad sto stóp pod nimi. Dzielili się winem z bukłaka i garścią oliwek, obserwując zachód

słońca za Monte Sciberras. Rdzawy dym unoszący się znad dział oblężniczych przydawał pejzażowi piekielnej aury. Armaty za ich plecami pluły salwami żelaza i śmierci. Po drugiej stronie zatoki fort Świętego Elma przypominał już tylko luźną stertę kamieni, jednak wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wciąż trwał tam zażarty opór.

– To paradoks – zauważył Tannhäuser – że ludzie wysłani na śmierć tak wytrwale trzymają się życia.

– Chwała – odparł Bors.

Spojrzał na Tannhäusera, który z bólem serca odkrył nieoczekiwany smutek w jego szarych oczach i kanciastej twarzy człowieka Północy.

– Wszystkie łańcuchy śmiertelnego świata zerwane, wszystkie moralne długi spłacone – ciągnął Bors. – Żadnych pochwał, honorów i zaszczytów, tylko zachwyt i zapowiedź rychłego spotkania z Bogiem. To jest chwała. – Pociągnął zdrowy łyk wina, przełknął i wytarł usta. – Znasz tę rozkosz równie dobrze jak ja. Zaprzecz, a nazwę cię kłamcą.

– Chwała to ledwie chwila, której smak poznasz dopiero w piekle.

– Może i tak, ale czy coś na tym świecie może się z nią równać? Pieniądze? Sława? Władza? Miłość kobiet? – Bors parsknął pogardliwie. – Tak, to ledwie chwila, ale gdy raz zobaczysz jej blask, wszystko inne jest mrokiem.

Mrok Tannhäusera wynikał z innych powodów.

– Dostać w swoje ręce tego chłopaka to jak próbować złapać wszy na cudzym interesie. Niemiłe, frustrujące, niebezpieczne, a w dodatku bez widoków na szczęśliwe zakończenie.

– Wszy zwykle same człowieka znajdują i trzeba powiedzieć, że ten chłopak też omal cię nie znalazł. – Bors znowu łyknął potężnie i chciał oddać bukłak Tannhäuserowi, ale ten potrząsnął głową. – Płyniemy więc do Kalabrii? – spytał Bors. – I czy nasze szlachetne damy zabierają się z nami?

– Po modlitwie do Matki Boskiej z Philermo Carla doszła do wniosku, że jej miejsce jest tu, w Borgo. Boska opatrzność i łaska będą ją odtąd prowadzić. Poświęci życie dla chorych czy czegoś równie bzdurnego. – Tannhäuser machnął ręką. – Mniej więcej o to chodziło.

– Cóż, nie można się spierać z opatrznością – stwierdził Bors. – Dobrze pamiętam, że to funt opium otworzył jej drogę do drzwi ojca Lazara?

Nie musiał przypominać o tym Tannhäuserowi, który w tej chwili za nic nie pojmował, dlaczego wyświadczył Carli tę przysługę.

– Spytałem ją, czy Amparo też będzie musiała zostać w tej cudownej teokracji.

– I?

– Jest wolna, zrobi, co zechce.

– No to się wszystko wyklarowało – powiedział Bors. – Wszyscy są, zdaje się, zadowoleni, a ty możesz odpłynąć stąd z czystym sumieniem i nie byle jaką dziewczyną u boku.

Tannhäuser spojrzał na niego ponuro.

– Jeżeli kiedykolwiek chciałbym usłyszeć głos Boga, to teraz jest najlepszy moment.

– Zatem ty jeden nie jesteś zadowolony.

Tannhäuser popatrzył na daleki brzeg. Strzelcy i artylerzyści od pierwszego dnia brali na cel Świętego Elma. Tu i tam różowawe światło zachodzącego słońca odbijało się od hełmów i naramienników postaci przemykających wśród kłębów pyłu. Gdzieś tam, w ruinach, Orlandu di Borgo poznawał smak wojny, jeśli udało mu się przeżyć tak długo.

– Nie podoba mi się, że mam odejść stąd, zostawiając niedokończone sprawy – rzekł Tannhäuser. – A zwłaszcza to, że przegrywam w samej końcówce.

– Nieraz już dostawałeś lanie. Siniaki się goją.

– Chłopak miał głowę napakowaną głupimi mitami.

– Gadaliśmy sobie o broni i takich tam. Czy to zbrodnia? – Bors pociągnął nosem i uniósł bukłak, ale opuścił go, nie dotknąwszy ust. – O czym jeszcze mieliśmy dyskutować? O cenie pieprzu?

– To jeszcze dzieciak. Jeżeli nie zginie, przywiozą go z powrotem jako kalekę. Tak czy inaczej, nigdy nie stanie się tym, kim mógłby się stać. Nie dokona tego, czego mógłby dokonać. Nie dowie się tego, czego mógłby się dowiedzieć.

– Takie jest życie – odparł filozoficznie Bors i wziął solidny łyk wina.

– Straci wszystko, co jest mu należne z racji urodzenia, zanim jeszcze to pozna. Podobnie jak my.

– Jak my? – Bors omal się nie udławił. Otarł usta wierzchem dłoni. – Uważasz, że nie trzymamy się dość prosto?

– Tylko pomiędzy małpami.

– Dla mnie ta wojna jest słuszna, w przeciwieństwie do wielu innych. Nie możemy przecież pozwolić, żeby banda brudnych barbarzyńców kazała nam wciskać gęby w piach, mamrotać te ich banialuki i bić pokłony w stronę Mekki. Popatrz tylko, co z tobą zrobili.

– Kiedy wiesz, że można człowieka wytresować jak psa, żeby wierzył i robił, co mu się rozkaże – naprawdę wszystko – zaczynasz szanować własne przemyślenia i nie dowierzać innym.

– Rozchmurz się, człowieku, i skończ z tą mętną filozofią, która niczego nie zmieni. Przecież ty uwielbiasz zabijać. Jak ja. I bardzo dobrze, bo bez zabójców nie byłoby wojny, a bez wojny… – Bors urwał, gdy jego myśl utknęła nagle. – O, już wiem: bez wojny w ogóle nie mielibyśmy o czym gadać.

Tannhäuser sięgnął po bukłak i pociągnął łyk. Popatrzył na morze falujące pod ich stopami. Na myśl o upadku z tej wysokości zakręciło mu się w głowie. Istniały jednak i inne możliwości upadku. Być może w jeszcze głębszą przepaść. Spojrzał na drugi brzeg zatoki, na fort Świętego Elma.

– Jak widzę – odezwał się Bors, który znał go jak zły szeląg – postanowiłeś już, że wybierzesz się do tego kotła i wyciągniesz chłopaka.

Tannhäuser nie odpowiedział.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, jest to właśnie głos Boga – dodał Bors.

– Mustafa planuje szturm na wyłomy po zmroku – rzekł Mattias. – Nocny atak Turków to jest coś, czego trzeba się strzec.

– W takim razie ja wywiozę stamtąd chłopaka – zaoferował Bors.

Teraz Tannhäuser zaśmiał się gorzko.

– Nie ujrzałbym więcej żadnego z was.

– Wątpisz w moje dobre chęci?

– Nigdy. Ale tam panuje szaleństwo, którego nawet siedząc tak blisko, nie potrafimy sobie wyobrazić, a ty jesteś gotów się w nie włączyć. Ba, nawet ja się boję tej pokusy!

– Zabierz mnie z sobą. Pozwól chociaż umoczyć usta w tym kielichu, a osobiście powiosłuję z tobą do Wenecji.

Tannhäuser podciągnął nogi i zdołał stanąć między blankami, nie spadając w otchłań. Spojrzał na wschód, za zatokę Bighi. W gęstniejącym mroku zobaczył jeszcze Porto delle Galere, gdzie ludzie Turguta wymieniali zniszczone armaty, odbudowywali stanowiska i stawiali palisadę na wypadek ponownego ataku. Wczorajszy świt wydawał się zamierzchłą przeszłością, jutrzejszy zaś był jeszcze bardziej odległy. Być może Carla miała słuszność. Być może wszyscy mieli słuszność. Pogodzić się z opatrznością. I niech się dzieje wola Boga.

– Nie ma rady, siła wyższa – mruknął.

– Co? – nie dosłyszał Bors.

Działa z wysokiej platformy zagrzmiały ponownie, a kule ze świstem przemknęły nad ich głowami. Parę sekund później, w dalekim półmroku, kilku ludzi miało stracić życie, choć jeszcze o tym nie wiedzieli.

– Chodź – rzekł Tannhäuser. – Zobaczmy, czy wielki mistrz spełnił moje życzenie.

Niedziela, 10 czerwca 1565 – Pięćdziesiątnica - Oberża Angielska – przeprawa – Posterunek Honoru

Tannhäuser, pochylony nad skrzynią z ekwipunkiem, pakował potrzebne rzeczy do plecaka: dziesięć brył opium zawiniętych w szmaty, rozmaite medykamenty i wywary, dwie butelki brandy oraz kilka garnczków z przetworami ze słodkich owoców – pigw, moreli i truskawek. Wszystkie te dobra miały posłużyć jako prezenty – lub jak kto woli: łapówki – gdyby zaistniała taka potrzeba. Mattias wolał nie myśleć o sytuacji, w której musiałby sam skonsumować zawartość plecaka. Carla jeszcze nie wróciła z infirmerii i właściwie nawet się cieszył, że nie musi się tłumaczyć i żegnać.

– Co ty robisz?

Ze ściśniętym żołądkiem odwrócił się na dźwięk cichego, melodyjnego głosu. W żółtawym półcieniu, na progu jego celi, stała Amparo. Uśmiechnął się do niej.

– Tam, dokąd się wybieram, gdzie złoto i drogie kamienie nie są warte więcej niż piach, bezcenne są dwie rzeczy. Potrafisz zgadnąć jakie?

– Muzyka i miłość – odparła bez wahania.

Roześmiał się.

– Przechytrzyłaś mnie i śmiem twierdzić, że masz rację. Moje odpowiedzi są mniej poetyckie. – Przestawił plecak na łóżko, gdzie leżał już jego pancerz. – Chodziło mi o to, co łagodzi ból, oraz o to, co ma słodki smak. Ale takie rzeczy przynajmniej można zapakować do plecaka.

– A czy muzyka i miłość nie są w piekle mile widziane?

Podszedł do niej. Czuł, że w jej oczach, czarnych i nieustraszonych, mógłby zatracić duszę.

– Wręcz przeciwnie; pożąda ich sam diabeł.

– Jedziesz na wojnę, żeby sprowadzić Orlandu – stwierdziła.

Skinął głową i dodał pod wpływem impulsu:

– Czy umiesz dochować tajemnicy?

– Jak nikt inny.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie wątpi w jej słowa.

– Kiedy wrócę, zamierzam uciec od tej wojny i wrócić do Italii. Popłyniesz ze mną?

– Dokądkolwiek zechcesz.

Zachwiała się lekko z półotwartymi ustami, jakby walczyła z siłą, która kazała jej się przytulić do Tannhäusera. Pociągnął ją za ramię do wnętrza izby, objął w talii i przycisnął do ściany. Uniosła głowę i wtedy ją pocałował. Żadne z nich nie zamknęło oczu. Jej wzrok był pełen pytań, podobnie jak jego. Nie dalej niż godzinę wcześniej zaspokoili potrzebę bliskości, ale Mattias czuł, że ciało domaga się więcej. Puścił Amparo, zanim pragnienie wzięło nad nim górę, i cofnął się o krok.

– Kiedy wrócisz? – spytała.

– Jutro wieczorem.

Zarzucił plecak na ramię, zgarnął części pancerza i dźwignął świeżo naoliwioną strzelbę z zamkiem kołowym. Pistolet zostawił w kufrze. Wskazał na damasceński muszkiet, który stał pod ścianą, owinięty w koc. Ozdobne puzdro na proch oraz woreczek z kulami wisiały na jego lufie.

– Weźmiesz go dla mnie? – spytał.

W refektarzu Bors oddawał się posępnym rozmyślaniom nad kielichem wina. Gdy Tannhäuser rzucił swój ekwipunek na stół, nawet nie uniósł głowy.

– Kwaśne pożegnanie, mój stary przyjacielu – zauważył Tannhäuser.

Bors zmarszczył brwi i zbył go ruchem ręki.

Tannhäuser odebrał pakunek z rąk Amparo.

– Jako że zawsze masz własne, zapytam cię o zdanie – powiedział i rzucił muszkiet nad stołem.

Bors zerwał się, złapał go w locie obiema rękami i odruchowo sprawdził ciężar. Jego oczy błyszczały, gdy kładł pakunek na stole i otwierał. Westchnienie konesera wyrwało się z jego płuc, gdy zobaczył srebro, kość słoniową i stal. Broń wskoczyła do jego rąk jak żywa, a on podrzucił ją do ramienia i wymierzył. Długa na dziewięć dłoni lufa oraz srebrne zdobienia błyszczały w świetle stołowych lamp, gdy wodził bronią we wszystkie strony.

– Perfekcja – wymruczał. – Bezcenna perfekcja. – Opuścił strzelbę i niechętnie, jakby wyrywał sobie ząb, położył ją z powrotem na kocu, prezentując triumf dobrych manier nad pożądliwością. – Niezwykła. Cudowna. Z takiej broni odstrzeliłbym jaja turbaniarzowi z pięciuset stóp. Gdybym kiedykolwiek zbliżył się do któregoś na taką odległość – dodał, szczerząc zęby.

– Jest twoja – rzekł Tannhäuser.

Bors popatrzył na niego i Tannhäuser miał wrażenie, że dostrzegł leciutkie drżenie jego wargi. Mocarne ręce sięgnęły po muszkiet, ale zatrzymały się w pół drogi.

– Jesteś pewny? Jeśli go teraz podniosę, będziesz musiał mnie zabić, żeby go odebrać.

Tannhäuser skinął głową.

– Przyda się w forcie Świętego Elma.

Bors podniósł muszkiet i pogładził go czule, z promienną miną. Przyglądał się przez chwilę ozdobnym ślimacznicom, zanim zamarł i gwałtownym ruchem odwrócił głowę ku Tannhäuserowi.

– Świętego Elma?

– Pakuj się.

Carla wracała ze szpitala po ciemku. Minął dzień Pięćdziesiątnicy, Pascha Rosatum, święta Zesłania Ducha Świętego w postaci języków ognia na apostołów Chrystusa. Podczas mszy, odprawionej w sali pełnej rannych, przy ołtarzu obsypanym płatkami róży, Carla dostrzegła wyraźniej, czego wymaga od niej Bóg. Angelu umarł poprzedniej nocy, a jego ciało wyniesiono, zanim dotarła do infirmerii. Wraz z jego śmiercią sczezły też próżne fantazje, które hołubiła. Jacobus, przy którym spędziła ranek, umarł w południe. Niezidentyfikowany mężczyzna o twarzy zbyt zmasakrowanej ciosami szabel, by mógł sam się przedstawić, wyzionął ducha, gdy trzymała go za rękę, ledwie kilka minut przed końcem dyżuru. Mnisi chcieli pożegnać ją o zachodzie słońca, ale walczyła z nimi i zwyciężyła. Choć raz jej upór przydał się w dobrej sprawie. Przeżywała każdą śmierć w infirmerii, lecz choć za każdym razem obawiała się, że serce jej pęknie, zauważyła, że staje się coraz silniejsze i coraz bardziej wypełnia je moc Chrystusa. Jezus trzymał ją za rękę, tak jak ona trzymała umierających.

Gdy dotarła nocą do oberży, wydawało jej się, że nikogo tam nie ma, lecz kiedy zaczęła zaglądać kolejno do wszystkich cel, w jednej z nich znalazła Amparo. Dziewczyna leżała na sienniku i płakała cicho, ściskając w dłoniach grzebyk z kości słoniowej. Obok niej spoczywał mosiężny cylinder szkła wizji. Carla jeszcze nigdy nie widziała jej łez. Bez słowa uklęknęła obok dziewczyny i pogładziła jej włosy.

– Popłynęli za wodę – powiedziała Amparo. – Do piekła.

– Do Świętego Elma?

– Słyszałam, jak wielu ludzi rozmawiało o tym miejscu… Wszyscy nazywali je piekłem.

– Kto tam popłynął?

– Tannhäuser. Bors. Powiedzieli, że sprowadzą Orlandu do domu.

Strach i poczucie winy ścisnęły brzuch Carli, ale i nad tymi starymi wrogami uczyła się panować.

– Działają z dobroci serca, więc Bóg ich ochroni. Wrócą.

– Zaglądałam do kamienia wizji i nie dostrzegłam go tam. Nie dostrzegłam Tannhäusera. – Amparo starła wilgoć spod nosa i odetchnęła głęboko. – Och, jak ja go kocham.

Carla widziała wyraźnie, jak przytłaczające i zdumiewające jest dla Amparo to nowe uczucie. Chwyciła jej dłonie i uścisnęła mocno.

– Mattias to dobry człowiek – powiedziała. – Ma wielkie serce.

– Ty też go kochasz?

– Tak, na swój sposób – odparła z uśmiechem Carla. O dziwo, nie był to fałszywy uśmiech. – Widzę też, jak na ciebie patrzy. Widziałam od pierwszej chwili, kiedy pokazywałaś mu róże w ogrodzie.

– Powiedział mi, że słowik umarł szczęśliwy, bo poznał miłość. Ale może Tannhäuser jej nie zna?

Carla nie zrozumiała wzmianki o słowiku, ale nie była to właściwa pora na zadawanie pytań.

– Jestem pewna, że zna – odrzekła. – Tak samo jak jestem pewna, że nie zginie.

– Boję się – wyznała Amparo. – Nigdy dotąd się nie bałam.

– Miłość zawsze przynosi strach. Te dwa uczucia idą ramię w ramię, ponieważ zaznać miłości to czuć lęk przed jej utratą. Potrzeba odwagi i siły, żeby kochać. Ty na szczęście masz i jedno, i drugie.

– Zostaniesz ze mną na noc?

Carla położyła się na sienniku obok niej.

– Czy będziemy jeszcze grały? – spytała Amparo. – Razem?

– Tak – odpowiedziała Carla. – Niedługo.

Wcisnęła palcem knot świecy w miękki wosk i w celi zapadła ciemność. Leżały wtulone w siebie, milcząc, ale nie śpiąc. Wzajemna bliskość pomagała im pokonać wewnętrzny ból. Wkrótce odezwały się działa, ciche od zachodu słońca. Słuchając w mroku kanonady, kobiety przytuliły się do siebie jeszcze mocniej.

Woda była równie spokojna jak noc i jedynym dźwiękiem, który słyszeli, oddalając się od Świętego Anioła, był plusk wioseł popychających łódź naprzód. Księżycowi brakowało do pełni jeszcze trzech dni i z wyjątkiem wąskiego paska cienia po lewej stronie świecił już niemal pełnym blaskiem. Minął już najwyższy punkt na niebie i ledwie kilka

stopni od niego połyskiwała głowa Skorpiona. Tannhäuser odczytał to jako dobry znak. Czyż mogło im to zaszkodzić?

Mężczyźni siedzący w łodziach w milczeniu otaczali się własnym mrokiem. Każdy z nich wiedział, że na powrót do domu mogą liczyć tylko ci, którzy zostaną poważnie okaleczeni. Pocieszali się tym, że jeśli spotka ich śmierć, będzie to śmierć męczeńska, i że ich ofiara być może kupi życie i wolność od muzułmańskiego jarzma ich najbliższym.

Tannhäuser i Bors znaleźli się w ostatniej z trzech łodzi, w których płynęło pięćdziesięciu maltańskich i hiszpańskich żołnierzy, dwunastu rycerzy zakonnych po ślubach i kandydatów z zakonu, rozmaite zapasy, dziesięciu niewolników w kajdanach oraz stadko owiec, którym zarzucono worki na łby, by uciszyć ich beczenie. Wielki, czarny cień Monte Sciberras górował na horyzoncie po lewej, a na jego zboczach płonęło takie mnóstwo pochodni i ognisk, że stoki niewiele różniły się od usianego gwiazdami firmamentu. Na nadmorskim krańcu zbocza, tuż za ostrym zakrętem linii brzegowej, który kierował ją na południe od fortu Świętego Elma, batalion Turków stawiał coś, co wyglądało na palisadę; Tannhäuser nie umiał powiedzieć, przed czym miała ich ona ochronić. I wtedy ciszę przerwał zawodzący głos. Łagodnie wznosząca się i opadająca, rytmiczna recytacja imama poruszyła jego serce. Koran jest słowem Allaha skierowanym do ludzi, a arabski językiem, w którym rozkazy te zostały sformułowane. Nie wolno tłumaczyć ich na inną mowę. I choć słowa z tej odległości nie mogły być zrozumiałe, reakcja, którą wzbudziły w Tannhäuserze – odruchowe naprężenie brzucha, nagły brak tchu w płucach, dudnienie w uszach i skroniach – nie pozostawiła w nim żadnych wątpliwości, że to ta sama pieśń, którą słyszał zbyt wiele razy, na zbyt wielu krwawych polach walki.

Były to słowa i rytm sur Al-Fatiha oraz Al-Anfal.

W rytmie zawodzenia imama Tannhäuser mamrotał po arabsku:

– Dla tych, którzy nie wierzą w Allaha i jego Wysłannika, oraz dla tych, którzy go odrzucają, przygotowaliśmy wielki ogień…

Bors spojrzał na niego.

– Słuchaj – powiedział cicho Tannhäuser. – Lwy Islamu ryczą.

W tym momencie seria gwałtownych eksplozji wymazała ciemność spowijającą górskie stoki i blisko setka dział oblężniczych bluznęła salwą, która wyssała z ich płuc powietrze. Pomarańczowe, żółte i błękitne płomienie wyrwały się z luf o smoczych pyskach, a snopy iskier buchnęły w balsamicznym powietrzu nocy. W krótkich, oślepiających rozbłyskach światła zobaczyli żołnierzy czekających na zboczach w szyku gigantycznych

kwadratów. Były ich tysiące, dziesiątki tysięcy. A wszyscy oni nie mogli się doczekać, kiedy zobaczą oblicze Boga.

– Na rany Chrystusa – jęknął z podziwem Bors.

W niemym oszołomieniu, które nastąpiło po potwornej salwie, imam zaczął nawoływać wiernych. Horda gazi odpowiedziała zgodnym rykiem uniesienia, głośniejszym jeszcze i bardziej przerażającym niż huk dział.

– Allahu Akbar!

Okrzyk przemknął nad wodami zatoki jak wiatr z samego piekła. Nikt z chrześcijańskiej kompanii nie słyszał dotąd czegoś podobnego; lęk zmroził ich krew na podobieństwo wód Styksu.

– Allahu Akbar!

– Za Chrystusa i Jana Chrzciciela! – ryknął Bors, bo nie podobała mu się ta dominacja, a mężczyźni w trzech łodziach podchwycili zawołanie. Było ich jednak niewielu i bez trudu zagłuszył ich wrzask, który po raz trzeci wyrwał się z gardeł tureckiej hordy.

– Allahu Akbar!

Tannhäuser pojął w tej chwili, podobnie jak jego towarzysze – oraz wielu w muzułmańskich szeregach – że jest to pierwotny krzyk, którego źródło biło i w jego sercu. Krzyk, który rozbrzmiewał echem od tysiącleci. Głos Boga, którego moc działała zawsze, nim jeszcze narodziły się znane ludzkości bóstwa, którego moc górowała nad wszelkimi religiami i wobec mocy którego wszyscy idole rozpadali się w proch. Głos ten wzywał ich, by klęknęli przed Ołtarzem Wojny. Zapraszał, by ulżyli pragnieniu od zawsze dręczącemu człowieka i nigdy w pełni niezaspokojonemu. Tannhäuser nie mógł złapać tchu i czuł łzy w oczach. Otarł je wreszcie i odetchnął. To była kwintesencja śmiertelności. To była prawdziwa istota bycia mężczyzną. To i nic innego, ni mniej, ni więcej.

– O mój Boże – powiedział Bors. Jego oczy także błyszczały. – O mój Boże.

Okrzyk bojowy muzułmanów zmienił się we wściekłe wycie, bojowa orkiestra janczarów zaczęła grać, a muszkiety bluznęły ogniem. Przy dźwięku rogów sztandary uniosły się wysoko i niezwyciężona horda zaczęła spływać ze zbocza w kierunku Świętego Elma.

Fort zaś odpowiedział z bastionów wystrzałami armatnimi i gradem kul z arkebuzów. W powietrzu zapaliły się tureckie flary i pierwsza fala szturmu pokonała rów okalający mury, wspinając się po kładkach w górę, skąd nagle chlusnęła na nich fala płynnego ognia. W ciągu paru minut cały południowo-zachodni klin zalał blask bijący od płonących ludzi, wybuchającego prochu i wielkich kałuż ognia. Zrobiło się dostatecznie jasno, by szesnastofuntówki ze Świętego Anioła mogły wziąć na cel muzułmańską hordę, i

już po chwili kule przemknęły z rykiem nad trzema łodziami, zmieniając turecki szyk w krwawą miazgę. Gryzący dym zasnuł wody zatoki i spiralami jął unosić się ku tarczy księżyca. Wioślarze pochylili się niżej i mocnymi pociągnięciami prowadzili łodzie przez tę gorącą mgłę, jakby wieźli Argonautów na drugi brzeg rzeki umarłych. Nagle rozległy się strzały znacznie bliższe, nie dalej niż o trzysta stóp od łodzi, i ktoś krzyknął po hiszpańsku:

– Niewierni atakują!

Tannhäuser spojrzał przed siebie, ku srebrzystym smugom dymu. Turecka łódź wychynęła z nich niespodziewanie i ogień muszkietów z jej burty skierował się ku pierwszej z chrześcijańskich łodzi. Na pokładzie tej ostatniej zapanował chaos; żałosny bek owiec mieszał się z krzykami ludzi, a wiosła skrzyżowały się i znieruchomiały, skazując jednostkę na bezwładny dryf. Turcy oddalili się o trzydzieści stóp, przeładowując broń. Na chrześcijan, którzy przetrwali pierwszą salwę, spadł teraz grad strzał z tureckich łuków. Niewiele było broni na pokładzie łodzi z posiłkami, pistolety i muszkiety przechodziły bowiem od zabitych do nowo przybyłych. Druga łódź zdołała ominąć pierwszą i przyspieszyła, kierując się ku fortowi Świętego Elma. Był to mądry ruch, który oznaczał jednak, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa celem drugiej salwy będzie łódź Tannhäusera, a wtedy Turkom pozostanie tylko spokojne rozprawienie się z niedobitkami. Bors podrzucił do ramienia muszkiet.

– Daruj sobie – powstrzymał go Tannhäuser.

– Nie po to przepłynąłem taki kawał drogi, żeby teraz utonąć jak jakiś przeklęty marynarz.

– Ja też nie.

Siedzieli w przedniej części łodzi, obok pięciu braci z Langue Aragońskiej w pełnym rynsztunku bojowym, którymi dowodził caballero Geronimus Aiguabella z Gerony. Tannhäuser przyciągnął Aiguabellę, fanatyka o wychudłej twarzy i oczach jak czarne koraliki.

– Zabierz swoich braci na rufę; niech ich ciężar uniesie dziób łodzi – powiedział, ilustrując gestem swoje słowa. – Potem każ sternikowi po skosie staranować śródokręcie tureckiej łodzi. Zrozumiałeś?

Aiguabella mrugnął i spojrzał za burtę, próbując wyobrazić sobie skutki tego planu.

– W ostatniej chwili nasi ludzie muszą wciągnąć wiosła – ciągnął Tannhäuser. – Wiosła Turków staną się rampą, która nas przeniesie; odpłyniemy, zostawiając za sobą ich łódź na wodzie stępką do góry.

Aiguabella spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Albo tak zrobimy, albo przyjmiemy ich salwę – rzekł Tannhäuser. – Jeśli zwolnimy, żeby walczyć z nimi wręcz, rozniosą nas od dziobu do rufy.

– Bueno – odparł Aiguabella.

Wydał rozkazy rycerzom i sam poprowadził niepewnie stąpającą i brzęczącą zbrojami procesję na rufę łodzi. Maltański sternik, wyśpiewujący rytm spokojnym, chrapliwym głosem, zmusił już wioślarzy do pracy pełną parą. Szum ich oddechów przeplatał się ze skrzypem dulek, a za każdym pociągnięciem morska piana przelewała się przez burty. Gdyby ktoś ryzykował taki manewr na pełnym morzu, pomyślał Tannhäuser, nie mógłby sobie życzyć lepszego sternika niż Maltańczyk. Szykując strzelbę do strzału, patrzył, jak łódź zmienia kurs, kierując się ku tureckiej, odległej już tylko o dwieście stóp. Siedząc wraz z Borsem najbliżej dziobu, widział też, jak muzułmańscy strzelcy stłoczeni przy burcie mocują się z bronią, sposobiąc się do kolejnej salwy. Było ich może czterdziestu, poubieranych w rozmaite stroje. Gdy dostrzegli dziób łodzi chrześcijan prującej srebrne fale i pędzącej prosto na nich, zaczęli pokrzykiwać ostrzegawczo. Wiosła uniosły się w górę, by łódź mogła wykonać zwrot.

– To korsarze! – zawołał Bors. Dmuchnął na lont muszkietu, który rozjarzył się mocną żółcią. – Jak pięknie będzie załatwić ich starą korsarską sztuczką.

– Widzisz ich sternika? – spytał Tannhäuser.

– O tak – odrzekł Bors.

Zaparł się nogą o ławkę, oparł łokieć na kolanie i przyłożył kolbę do ramienia. Przez dwa uderzenia wioseł wczuwał się całym ciałem w rytm unoszenia i opadania dziobu, a za trzecim nacisnął spust i znieruchomiał, czekając, aż lont opadnie na panewkę. Huknął strzał i lufa podskoczyła, a Tannhäuser przykucnął, by spojrzeć w przód pod obłokiem dymu. Muzułmański sternik zdmuchnięty ze swej ławy runął w mglistą ciemność za rufą.

– Prosto w pierś – zarechotał Bors i ucałował spryskaną wodą stal muszkietu. – Piękny chrzest dla mojej ślicznotki. Jej pierwszy strzał. Nazwę ją Salome, ku czci Jana Chrzciciela. Salome była brudną muzułmanką, nieprawdaż?

– W tamtych czasach nie było muzułmanów – poinformował go Tannhäuser. – I nie więcej niż tuzin chrześcijan.

Bors wziął jego słowa za żart.

– Za to suk nie brakowało, tego możemy być pewni.

Mierząc w ich stronę ze strzelby, Tannhäuser obserwował korsarskich wioślarzy. Ich łódź stała burtą ku nacierającym, a żeby ją obrócić, musieliby jednocześnie pracować wstecz wiosłami z jednej strony i naprzód wiosłami z drugiej strony. Bez sternika jednak,

który pokierowałby ich pracą, mogli tylko poddać się chaosowi. Ktoś skoczył na rufę, by zająć jego miejsce, ale Tannhäuser tylko na to czekał: strzelił, gdy dziób rozpędzonej łodzi uniósł się ku górze, i niedoszły sternik, kaszląc krwią, padł na swych towarzyszy. Teraz kolizja była już nieunikniona. Tannhäuser położył strzelbę na ławie, pod swoimi udami, zaparł się stopami o pokład i z całej siły chwycił się burt. Bors schował do buta tlący się lont swego muszkietu i uczynił to samo. Strzały pofrunęły w ich stronę i wbiły się w uniesiony dziób łodzi. Ostatnie sto stóp pokonali z niepokojącą chyżością, która nadała im niepowstrzymaną siłę. Rząd wioseł opadł w wodę i korsarska łódź ruszyła, by umknąć na morze. W tej samej chwili Aiguabella ryknął donośnie i z głośnym dudnieniem wiosła chrześcijan zostały wciągnięte na pokład.

Zęby korsarzy – z wyglądu Algierczyków – błyszczały złowrogo w ich wykrzywionych twarzach, gdy rozbrzmiała spóźniona salwa tuzina muszkietów. Potem rozległ się jęk miażdżonego drewna, a Tannhäuser, walcząc z mdłościami i przeciążeniem, zacisnął dłonie na burtach ze zdwojoną mocą, gdyż dziób łodzi uniósł się jeszcze wyżej, i przez krótką chwilę widział przed sobą już tylko rozgwieżdżone niebo. Rozbrzmiały krzyki przekleństwa, a potem huk wody, która pochłonęła korsarzy. Żołądek Tannhäusera wykonał kolejne salto, gdy dziób z impetem uderzył o powierzchnię morza. Fala pokonała nadburcia i zmoczyła wszystkich od stóp do głów. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, ale utrzymała równowagę. Zaraz też wiosła zanurzyły się z powrotem w wodę, by ustabilizować ruch. Tannhäuser obejrzał się.

Za rufą zobaczył przewróconą do góry dnem łódź korsarzy. Wokół niej miotali się w wodzie przerażeni ludzie, z trudem łapiąc powietrze i bezradnie wymachując rękami. Od strony podziurawionej kulami pierwszej łodzi chrześcijan dobiegł chóralny okrzyk radości. Aiguabella rozkazał sternikowi zawrócić. Po chwili załoga podniosła się z miejsc niczym ponury zastęp harpunników. Bełkoczących rozpaczliwie Algierczyków dobiły wiosła Maltańczyków.

Gdy dotarli do nabrzeża, Tannhäuser z niewymowną ulgą stanął na stałym lądzie. Zasnute dymem niebo ponad poszarpaną sylwetą fortu raz po raz rozjaśniały żółte rozbłyski. Potężne bryły kamieni zmiecione z wysokich szańców leżały na wpół zanurzone w wodzie u podnóża stromej skały, na której wzniesiono wschodnią ścianę placówki. Powitanie było ciepłe, ale i krótkie; zaraz potem Aiguabella i jego bracia zakonni poprowadzili nowo przybyłych stromymi schodami na górę. Na lądzie rycerze byli zwinni jak górskie kozice, nawet w ciężkich zbrojach. Tannhäuser dźwigał swój hełm i kirys, których nie włożył na siebie przed podróżą, na wypadek gdyby przyszło mu znaleźć się w wodzie.

– Jeżeli mamy tu walczyć, wolałbym mieć na sobie więcej stali – mruknął.

– Zatem rozejrzyjmy się za trupami – odparł Bors.

Gdy dotarli do tylnej bramy, Tannhäuser spytał wartownika o szpital polowy. Wskazano mu drogę do kaplicy na południowym krańcu fortu. Lecz gdy tylko minęli bramę, zatrzymali się w pół kroku z otwartymi ze zdumienia ustami, mieli bowiem przed sobą widok, który niewielu dane było oglądać. Jeszcze mniej było tych, którzy oglądania go nie przypłacili życiem.

Wewnętrzny dziedziniec fortu był jałową pustynią usianą kraterami, na którą nikt nie ośmielał się zapuszczać. Na zrytym pociskami i spękanym bruku leżały niezliczone kule z żelaza i granitu, niektóre tak wielkie, że można było na nich usiąść. Tu i tam widać było na ziemi złowieszcze, czarne plamy, miejscami łączące się w całe rozlewiska ciemnej, galaretowatej masy. Tu i ówdzie widać było zarysy fundamentów pomniejszych budowli, albo zmiecionych artyleryjskim ostrzałem, albo zburzonych celowo. To, co z nich pozostało, posłużyło do usypania prymitywnych barykad, które ciągnęły się zygzakami po całym dziedzińcu – musiały one powstać, gdyż w tej fazie oblężenia praktycznie cały plac znajdował się już w zasięgu tureckich muszkietów.

Północno-zachodni mur, który widzieli po prawej, składał się już głównie z dziur, za jego linią wzniesiono nowy wał z pokruszonych kamieni, ziemi oraz połamanych belek. Budowla ta była w tej chwili całkiem opuszczona i tym bardziej przywodziła na myśl dzieło szaleńca porzucone w przypływie furii.

Na południu, naprzeciwko utraconego już rawelinu i pozycji tureckich na Monte Sciberras, mur fortu był murem już tylko z nazwy: w istocie był zaś rozległą kupą gruzu, która lepiej by się nadawała na schronienie dla troglodytów niż dla nowoczesnej armii, naprędce uformowaną w coś w rodzaju wału. Na oczach Tannhäusera i Borsa niewolnicy stojący w szeregu pracowali przy świetle księżyca i akompaniamencie gwizdka oraz strzałów z bata. Nadzy, podobni do duchów, brudni od pyłu, potu i krwi przerzucali z rąk do rąk luźne kawały muru, z wolna odbudowując zniszczony szaniec. Krawędź rawelinu w kształcie litery V zajętego przez Turków wznosiła się teraz powyżej chrześcijańskich umocnień; z bezpiecznej kryjówki w stronę fortu mknęły nieustannie kule z muszkietów.

To, co działo się w rawelinie, było wszakże tylko próbą odwrócenia uwagi obrońców. Zasadnicze siły nocnego ataku Mustafy rzucono przeciwko potężnej wyrwie w zachodnim wierzchołku południowego klina fortu. To tam blask płomieni, huk fajerwerków i gorączka bitewna były najbardziej intensywne.

W tej chwili garnizon Świętego Elma liczył może pięciuset ochotników z maltańskiej milicji, których odwaga i wytrwałość zdumiewała wszystkich, a najbardziej Turków, oraz dwustu pięćdziesięciu legendarnych hiszpańskich tercios i mniej więcej osiemdziesięciu rycerzy zakonu. Połowa załogi odpierała teraz falowe ataki wroga. Na wszystkich krańcach fortu rozstawiono warty, których obowiązkiem było uprzedzanie o pomniejszych wycieczkach tureckich. Nieliczne już działa wciąż jeszcze ostrzeliwały się z na wpół zrujnowanych stanowisk. Większość rezerw przerzucono na zaplecze zachodniej ściany, gdzie dodatkową ochronę przed ogniem z rawelinu zapewniały zaimprowizowane wały. Uwolnieni z lochów niewolnicy – przestępcy, homoseksualiści, heretycy – zostali zatrudnieni do zbierania kul z dziedzińca. Żydów wyznaczono na noszowych – to oni sunęli teraz przerywanym strumieniem z linii obrony na tyły, dostarczając rannych do solidnego budynku, przytulonego wraz z kilkoma innymi do północnej – czyli zwróconej ku morzu – ściany fortu.

Tannhäuser toczył spojrzeniem po otaczającym go chaosie bitwy. Gdzie w tym wszystkim szukać Orlandu? Chłopak nie miał ani doświadczenia w posługiwaniu się bronią, ani wielkiej siły. W miejscu tak niebezpiecznym jak to mógł już dawno znaleźć się wśród tych trupów, którymi usłany był dziedziniec.

– Znasz Orlandu – powiedział Tannhäuser. – Gdzie byłby z niego największy pożytek?

Bors zmarszczył brwi.

– Podawacz prochu? Nosiwoda?

Tannhäuser naliczył w obrębie fortu cztery baterie dział. Piąta, jak przypuszczał, umieszczona była na kopcu poza fortem, połączonym kurtyną z północnym murem. Orlandu spędził tu zaledwie jeden dzień.

– Do prochu raczej się nie nadaje; potrzebowałby przeszkolenia w obchodzeniu się z ogniem.

Bors zgodził się bez oporu.

– Jako nosiwoda znalazłby się w samym środku akcji.

Wnętrze kaplicy wypełniał migotliwy blask świec oraz mocny zapach kadzideł. Ławki usunięto, by wzmocnić nimi wały, ranni leżeli zaś na wznak wprost na kamieniach lub siedzieli smętnie pod ścianami. Kapelan, w szacie z pięknymi, czerwonymi dodatkami, odprawiał mszę z okazji Zesłania Ducha Świętego przy kamiennym ołtarzu bocznym, obsypanym płatkami róż. Myśl o tym, że w całej tej tragedii znalazł się ktoś, kto przywiózł płatki róż na tę okazję, wydała się Tannhäuserowi szalona i wspaniała zarazem. Ci, którymi teraz zajmowali się chirurdzy – a tych było tylko dwóch – krzyczeli wniebogłosy. Mnisi stali

przy kamiennym stole, w kałuży gęstniejącej krwi. Niewiele różnili się wyglądem od rzeźników, tylko ich twarze były szare od owego specyficznego zmęczenia, które rodzi się z zadawania tortur w imię powrotu do zdrowia. Mężczyzna, którym się zajmowali, wił się na kamiennym stole, a ponad jego wrzaski wybijał się rytmiczny chrobot piły tnącej kość. Mimo nieludzkich przeżyć oraz faktu, że w ciągu ostatnich piętnastu dni przesypiali najwyżej dwie z każdych dwunastu godzin, obaj emanowali spokojem – a może nawet obojętnością – bardziej majestatycznym niż cokolwiek, co zdarzyło się Tannhäuserowi widzieć. Byli prawdziwymi szpitalnikami, strażnikami świętego płomienia.

Natchnieni ich szlachetną postawą, a może tylko odkryciem, że krzyk zwykle powoduje większy ból, pozostali pacjenci leżeli cicho i czekali na swoją kolej. W przedsionku spoczywały ciała pięciu zabitych rycerzy zakonu, spowite czystymi, białymi całunami i przygotowane do drogi do podziemi kościoła. Tannhäuser nie przeliczył się, mając nadzieję, że znajduje się przy nich cały ich ekwipunek. Szpitalnicy traktowali swoich z niezwykłą delikatnością i choć było to wbrew rozsądkowi, nie dopuszczali myśli o przekazaniu ich pancerzy czy mieczy zwykłym żołnierzom, którzy dzięki temu mogliby dłużej przetrwać, a których ciała odprawiano łodziami ze znacznie mniejszą pompą. Tannhäuser wskazał na zabitych i ich broń.

– Wybieraj szybko i rozważnie. Nagolenice, nabiodrki, buty. Rękawice, jeśli będą pasować.

– A ty dokąd idziesz? – zdziwił się Bors.

– Dziś rozdamy wełnę, jutro odbierzemy owcę – odparł Tannhäuser, zdejmując z ramienia plecak. – Zapamiętaj moje motto: „Ten, kto ma opium, zawsze ma też przyjaciół".

Bors zaczął gmerać pod całunami okrywającymi co bardziej masywne ciała, a Tannhäuser podszedł do ołtarza. Przyglądał się przez chwilę, jak chirurdzy kończą amputację nogi poniżej kolana. Zamknęli kikut, zszywając nader przemyślnie kawałki skóry i tylko w najbardziej subtelny sposób kauteryzując ranę rozżarzonym żelazem. Wykorzystał ten manewr, by zwrócić na siebie ich uwagę.

– Czy to ta nowa technika zalecana przez Parégo? – spytał.

Jeden z nich, ważniejszy, jak się wydawało, spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jesteś świetnie poinformowany, dobry panie.

– Byłem w Saint Quentin, gdzie monsieur Paré był głównym chirurgiem i występował przeciwko nadmiernemu wykorzystaniu żelaza. – Tannhäuser poniewczasie przypomniał sobie, że Paré był hugenotem, a więc heretykiem, ale miał nadzieję, że nie

wywarł na zakonnikach najgorszego wrażenia. – Domyślam się, bracia, że pochwalacie tę metodę.

– Rezultaty mówią same za siebie.

Tannhäuser wyciągnął rękę.

– Mattias von Tannhäuser z Langue Niemieckiej.

– Jurien de Lyon, z Prowansji.

Jurien zawahał się, gdyż jego ręka była unurzana we krwi, ale Tannhäuser uścisnął ją bez mrugnięcia okiem. Oznajmił mu zaraz, że jest komisarzem przysłanym przez de la Valette'a w celu sprawdzenia stanu obrony, i pokazał pieczęć wielkiego mistrza na pergaminie, który dostał od Starkeya. Następnie wdał się w dyskusję z Jurienem na temat stanu rannych i pochwalił jego taktykę odsyłania łodziami tylko tych, którzy rokowali nadzieje na przeżycie i powrót do służby. Zaraz potem zrobił jak najlepsze wrażenie, wykazując się znajomością magii naturalnej oraz sekretów leczniczych wywarów, które poznał dzięki Petrusowi Grubeniusowi. Sięgnął też do plecaka i wyjmując kolejne pakunki, objaśniał ich przeznaczenie.

– Tu mamy żywokost i kokornak, z liściem złocienia i rzepiku. Gotuj z tego, bracie, wywar, dodając jedną uncję mieszanki na dwie miary wina. Mieszaj ze szczyptą soli, a potem przykładaj odsączone zioła do rany. Resztkę wina wykorzystaj jako napój, wystarczy po łyżeczce rano i wieczorem.

Jurien de Lyon, który znał ten przepis, skinął głową i podziękował.

Tannhäuser wyjął starannie zakorkowaną butelkę czerwonawego oleju.

– Olejek Hispanusa – ekstrakt lnu i rumianku, z domieszką cynamonu, woskownicy, bukwicy i dziurawca. Kilka kropel domieszaj do czarnego wina, podawaj trzy razy dziennie. Pomoże leczyć rany, bo obkurcza nerwy w stanie zapalnym. Zamykaj starannie, inaczej straci moc.

Szczęk żelaza w przedsionku stał się tak głośny, że zagłuszył jęki rannych. Zażenowany Tannhäuser postanowił z tej okazji okazać większą hojność, niż było to konieczne. Wyjął z plecaka dwie bryły opium zawinięte w szmaty.

– Tego nie muszę zachwalać. Opium z makowych pól Persji.

Jurien omal nie cofnął się o krok z wrażenia.

– Bracie Mattiasie, niebiosa nam ciebie zsyłają.

– Jak wszystkie podobne mu cuda, mak jest bożym darem, nawet jeśli rośnie najlepiej na polach szyickich diabłów. Tak czy owak, przyjmij te skromne dary od swego niemieckiego brata.

Jurien, choć zerkał łakomie do plecaka Tannhäusera, był autentycznie wzruszony jego dobrocią i zapewnił go, że odda w zamian każdą przysługę. Mattias spojrzał mu głęboko w oczy, zamknął plecak i powierzył go opiece Juriena.

W przedsionku pozwolił sobie jeszcze na niesłychaną bezczelność, kradnąc miecz jednego z zabitych rycerzy. Wybrał instynktownie i nie zawiódł się. Nawet w pochwie broń była istnym przedłużeniem jego ręki. Jego Julian del Rey nadawał się znakomicie do ulicznych pojedynków, ale był zbyt delikatny do roboty, która ich czekała. W bitwie potrzebne było narzędzie mocarne jak pług. Tannhäuser zostawił więc del Reya przy zmarłym i wymknął się z kaplicy.

W zaułku przy świątyni odnalazł Borsa, który otoczony żelastwem męczył się niemiłosiernie, próbując wcisnąć swą wielką stopę w równie wielki trzewik zbroi. Tannhäuser pomyślał, że zmieściłby się w takich razem z butami, a potem przyjrzał się bliżej kolekcji zgromadzonej przez Borsa. Nie znalazł kompletnego opancerzenia pasującego długością do jego nóg, wyjął więc kilka nitów z tych części, które miał do dyspozycji, odwinął swe skórzane buty do kolan i na początek wcisnął w nie parę nagolenic. Znalazł też nakolanki, które po paru mocniejszych przydepnięciach pomieściły jego kolana. Teraz rozwinął buty do końca, aż po pachwiny, i zabezpieczył uda płytami nabiodrków. Stal uwierała go tu i tam, ale była to niedogodność znacznie mniejsza niż przyjęcie ciosu bułata na nieosłonięte ciało. Tannhäuser włożył karbowany kirys wykuty w Norymberdze przez Kunza Grünwalta, a Bors pomógł mu zapiąć naramienniki oraz zarękawia. Bors zdążył już zrezygnować z pancernych trzewików i zastanawiał się, czy wziąć pięciopalczaste rękawice, ale mając w pamięci dar damasceńskiego muszkietu, oddał je Tannhäuserowi, który wsadził je sobie za pas. Bors zadowolił się parą pancernych rękawic z jednym palcem. Na głowy wcisnęli moriony z wysokimi grzbietami i osłonami na policzki oraz żuchwę, zawiązywane czerwonymi jedwabnymi wstążkami. Cięższi o pięćdziesiąt funtów każdy, zebrali swoją broń i ruszyli w stronę płomieni szalejących za zachodnim murem.

Mijając odwody, rozpytywali wszędzie o Orlandu, ale nikt go nie znał. Był tu nowy, więc nikt się nim nie interesował. Odwieczna matematyka wojny sprawdzała się i tu: im dłużej przetrwasz, tym większe masz szanse na przeżycie. W tak surowych warunkach, gdzie ośmiogodzinne szturmy następowały po dwunastogodzinnym bombardowaniu, weteranem zostawało się po dwóch dniach, bo tyle wystarczało, by naoglądać się więcej krwi, niż przeciętny żołnierz widywał w ciągu dziesięciu lat służby. Ci, którzy tkwili w forcie od początku oblężenia – a był to osiemnasty dzień – a których większość stanowili tercios, wyglądali na ulepionych z całkiem innej gliny. Kucali w piachu, odłożywszy na bok swe

halabardy i partyzany, i wyglądali na martwych: nie odzywali się wiele, tylko spoglądali przed siebie pustym wzrokiem, ogarnięci nienaturalnym spokojem. Ubrania były w strzępach, podobnie jak buty rozdarte na ostrych kamieniach. Włosy i brody mieli splątane i brudne, a twarze całe w strupach i otarciach. Większość odniosła już rany, które opatrzono pobieżnie – wielu brakowało palców, wielu nosiło rękę na temblaku, wielu było poparzonych lub kulało z fatalistycznym hartem ducha właściwym rannym psom.

Rycerze stali grupami, według przynależności do Langues: osobno z Francji, Owernii i Prowansji. Włosi i Aragończycy brali udział w bitwie. Syk stali i osełek mieszał się z modlitwami. Dyscyplina była znakomita, a morale wyższe, niż wydawało się to możliwe. Na upiornych twarzach żołnierzy malowało się znużenie, ale w powietrzu wciąż wyczuwało się niewidzialną wspólną siłę. Tannhäuser być może wziąłby ją za wpływ Ducha Świętego, gdyby nie to, że odczuwał ją sam w przeszłości, gdy walczył ramię w ramię z tymi z drugiej strony murów, słuchając, jak źródłem i arbitrem tej siły nazywany jest Allah. Czy tym tylko różnili się od siebie ci dzielni wojownicy, którzy od tak wielu dni zabijali się nawzajem? Tylko imieniem – słowem – którym opisywali boską istotę? A może nie było tu boskiego wpływu i tylko ludzie kreowali tę spajającą siłę, ludzie zetknięci przez los oraz przez niezrozumiałe dla nich przyczyny, ludzie rzuceni tu mocą przypadku, z racji urodzenia, geografii albo przeznaczenia?

Tannhäuser stał kiedyś po przeciwnej stronie barykady i odczuwał wtedy to samo mrowienie, które ogarnęło go teraz. Walczyć i zginąć za wspólną sprawę, czy to dobrą czy złą, za któregokolwiek z bogów, prastarych czy nowych – wszyscy ci żołnierze odczuwali to samo pragnienie. Bors miał rację: odczuwali tę samą miłość. Jej moc była przemożna. Wbrew rozsądkowi Tannhäuser poczuł, że jego serce domaga się walki. Jego mentor, Petrus Grubenius, byłby zapewne zrozpaczony.

Przypłynąłeś tu wyłącznie po chłopca, napomniał się w duchu. Amparo czekała na niego, i te jej oczy, które nie widziały nikogo poza nim. Było to spojrzenie, które znał jedynie z dawno zaginionych wspomnień, podobnych już tylko do niewyraźnego snu. Dopiero tu, w kłębach dławiącego dymu, w otoczeniu brudu i krwi, zrozumiał, że ją kocha. Ale czy nie bardziej kochał smród pola bitwy? Czy aż tak daleko był już od niewinności, w której przyszedł na ten świat? I czy ten chłopak nie był ledwie zjawą zrodzoną w jego wyobraźni specjalnie po to, by zwabić go do tej krwawej łaźni, gdzie było jego miejsce? A co z hrabiną, której rękę zdobył? Serce Carli wzywało go znad otchłani z równą siłą. Dwie piękne kobiety i jedna piękna wojna walczyły o jego względy.

– Chyba jestem szalony, jak oni – wymamrotał do siebie.

– Mattias – warknął Bors. – Co z tobą, człowieku? Gapisz się na księżyc, jakbyś spodziewał się tam znaleźć jakąś odpowiedź. A nie znajdziesz.

– Sądzisz, że ta wyprawa będzie nas kosztować dusze?

– Phi. Nawet jeśli, to za dobrą cenę. Znam cię na wylot: za dużo myślisz. A tu myślenie powinieneś zostawić mnie, bo mój umysł nie jest obciążony dumaniem o Bóg wie czym i babskimi fochami.

– Babskimi? – powtórzył Tannhäuser, zbliżając się groźnie o krok.

– O, już ci lepiej. Patrz, to le Mas. Idzie tutaj.

Tannhäuser odwrócił się i rzeczywiście zobaczył pułkownika Pierre'a Vercoyrana le Masa. Rycerz szedł ku nim, kulejąc, a na jego twarzy zobaczyli drabinkę szwów biegnącą od żuchwy w dół ku szyi i dalej, pod pancerz. Le Mas uśmiechnął się i wziął Tannhäusera w ramiona. Napierśnik jego zbroi był lepki od krzepnącej krwi.

– Nie sądziłem, że cię tu zobaczę – powiedział. – Na pewno nie ma w tym żadnego zysku, a ja nigdy nie uważałem cię za kandydata do roli męczennika.

– Powiedziano nam, że macie tu wyjątkowo zdrowe powietrze – rzekł Bors.

Le Mas odetchnął głęboko.

– Istotnie, smakuje słodko. Ale mówmy poważnie.

– Przypłynęliśmy po pewnego chłopca, żeby go zabrać do Borgo – powiedział Tannhäuser. – Z rozkazu wielkiego mistrza. Nazywa się Orlandu Boccanera. To zbieg. Możliwe, że przedstawia się jako Orlandu di Borgo.

– Dzieciak tak ważny dla mistrza zapewne zasługuje na tak godną eskortę. Nie znam go, ale przekażę wieść ludziom. Powiem wam jednak, że choć może dotarł tu jako chłopiec, to teraz już nim nie jest. Najlepiej rozejrzyjcie się sami. Moi Prowansalczycy i wasi Hiszpanie idą do boju.

Le Mas potrząsnął halabardą o świeżo oszlifowanych ostrzach, a Bors wyjął z pochwy ogromny dwuręczny miecz niemieckiej roboty.

– Daj Mattiasowi szponton – rzekł Bors – albo jedną z tych pięknych strugaczek do Turków.

– Bliżej pierwszej linii znajdziecie broni pod dostatkiem – odparł le Mas.

Gdy większa kompania mężczyzn gromadzi się, by wziąć udział w awanturze, potrzeba czegoś więcej niż silnej woli, by pozostać na uboczu. Tannhäuser poddał się biegowi wydarzeń. Ruszyli za le Masem, który skrzyknął swoją drużynę. Niektórzy poszli jeszcze wypróżnić pęcherz lub jelita, ale zaraz wrócili, sięgnęli po broń drzewcową różnych typów i wzajemnie sprawdzili swe pancerze. Tannhäuser stanął w kolejce do beczki z wodą i

łapczywie połknął dwie kwarty, po czym stanął na czele kolumny, u boku pułkownika. Wbrew nastrojowi chwili le Mas gawędził z nim tak, jakby przechadzali się spokojną wiejską dróżką.

– Powiedz mi, kto stoi teraz za sterem twojej tawerny? Ten Żyd?

– Wyrocznia jest teraz w gorszym stanie niż ten fort. Został z niej tylko popiół.

– Jak to?

– Inkwizycja – wyjaśnił Tannhäuser.

– Wobec tego tym cięższe jest moje sumienie. I cieszę się, że mam okazję poprosić cię o wybaczenie.

– Za co?

– Gdy dotarłem tu z Mesyny, powiedziałem bratu Jeanowi de la Valette, jaki to z ciebie śmiałek, jak rekrutowałeś dla mnie byłych tercios i tak dalej, a on bardzo się tą sprawą zainteresował. A trzeba ci wiedzieć, że choć to człowiek bardzo pobożny, ma też umysł niezwykle bystry i całkiem pozbawiony skrupułów. Zanim się obejrzałem, już stałeś w jego komnacie, wtedy, gdyś nie wiadomo skąd wytrzasnął tego Greka od Mustafy. Tak więc moja to wina, że się tu znalazłeś, jeśli można tu mówić o winie.

– Do tego potrzeba było większej kompanii łotrów niż ty i de la Valette, pułkowniku.

– A czy były w tej kompanii kobiety?

Tannhäuser spojrzał na niego, a le Mas roześmiał się.

– Bo widzisz, brat Jean zapytał mnie, czy umiesz sobie radzić z kobietami. Odpowiedziałem: no cóż… Co właściwie chciałbyś, żebym mu powiedział, Mattiasie?

Le Mas roześmiał się znowu, a Tannhäuser mu zawtórował. Jeżeli cokolwiek było do wybaczenia, zostało wybaczone, i razem pomaszerowali aż do miejsca, w którym Turcy dokonali wyłomu w murowanej kurtynie. Tam dopiero szum, który Tannhäuser słyszał od jakiegoś czasu, zmienił się w diabelskie requiem, w błagania wznoszone do Boga w kilkunastu językach, w przysięgi i przekleństwa, w brzęk i grzmot tysięcy skrzyżowanych ostrzy, w trzask ognia i huk armatnich wystrzałów, w szalony wir dźwięków unoszący się ku niebu jak zgiełk stad pijanych diabłów. Zewsząd buchały płomienie jaśniejsze niż światło dnia i tak gorące, że stopiłyby mosiądz. Pod południowym klinem gwiaździstego fortu eksplodowała mina i odcinek muru długi na czterdzieści kroków zamienił się w wał luźnych odłamków. Sekundę później w wyłomie pojawił się nieprzebrany tłum ludzi walczących jak oszalałe zwierzęta o władzę nad tą stertą kamieni. I wbrew wszystkim obietnicom umiłowania pokoju i ignorowania głosu bestii Tannhäuser raz jeszcze znalazł się na dnie jej jaskini.

Poniedziałek, 11 czerwca 1565 - Tunel – dziedziniec – grobla

Niczym iskra nowego w prastarej puszczy Orlandu pełzał i wił się przez gąszcz drzewc halabard i szpontonów, którymi usiany był wąski tunel między pierwszym a drugim szeregiem obrońców fortu. Szukając drogi, przemykał po kamieniach zbryzganych – podobnie jak on – cuchnącym kompostem moczu, wymiocin, wnętrzności, kału oraz krwi, skupiony wyłącznie na wypatrywaniu kolejnego równie odrażającego miejsca, do którego powinien był dotrzeć. Nie miał czasu, by podziwiać przebieg walki, a tym bardziej żeby przejmować się jej wynikiem. Miał wrażenie, że jego głowa zmieniła się w serce dzwonu bijącego na alarm. Jego własne wymiociny oblepiały szczelnie skórzany napierśnik; brodę wytarł niejeden raz o cuchnącą zawartość tunelu. Jego odbyt naprężał się z wysiłkiem, próbując się otworzyć, choć po raz ostatni wypróżnił się tylko wodnistym śluzem, i to jeszcze przed wyruszeniem na pole walki. Jego ciało było jedną masą siniaków, które zbierał po drodze od uderzeń pięt, tępych końców włóczni oraz łokci. Gdy prześlizgiwał się po ciałach zabitych, widział w nich już wyłącznie przeszkody, nie ludzi. Jeżeli czuł strach, to tylko tak, jak ryba czuje wokół siebie bezmiar morza: był zanurzony w przerażeniu tak głęboko, że przestał je odczuwać. To była jego trzecia wyprawa do tunelu pełnego drewna i stali, a praca nie stawała się ani odrobinę łatwiejsza.

Czyjś palec dźgnął go w żebra już kilka razy, ale Orlandu był tak znieczulony na wszelkie zniewagi tego typu, że owa ręka musiała złapać go za kark i dźwignąć z kolan na nogi, by ją zauważył. Zobaczył przed sobą wielką, brodatą twarz wykrzykującą coś spod wyszczerbionego morionu, o oczach błyszczących demonicznie w blasku ognia. Patrzył na nią z otwartymi ustami, nie rozumiejąc ani słowa. Palec tercio wskazał wreszcie w dół i teraz dopiero chłopak odwrócił się i spojrzał, oddychając ciężko powietrzem śmierdzącym amoniakiem. Balia, którą ciągnął za sobą na sznurze, była pusta. Tercio splunął do niej, by podkreślić swoje oburzenie, i znowu wrzasnął. Orlandu odwrócił się, zbyt oszołomiony, by obrazić się za takie traktowanie albo ucieszyć się, że może już wracać. Tercio wypłacił mu jeszcze kopniaka na rozpęd i wtedy dopiero chłopak przebił się przez szeregi drugiej linii obrony, zbiegł z wału i znalazł się na tyłach.

Natychmiast zapomniał o ostrzeżeniu o strzelcach wyborowych. Niezgrabnie, jak stworzenie, które dopiero co opanowało sztukę poruszania się na dwóch nogach, ruszył truchtem przez zryty lejami i zasypany kulami dziedziniec, ciągnąc za sobą podskakującą na

nierównościach balię. U drzwi dawnej stajni przy wschodnim murze fortu zatrzymał się, rzucił linkę i oparł się ciężko o ścianę. Hełm uszczelniony workową tkaniną zsunął się z jego głowy i upadł na ziemię. Orlandu nie sięgnął po niego; zdjął tylko przemoczony materiał, który został na jego głowie, i wycisnął z niego pół pinty potu. Poczuł, że pieką go oczy i że coś dziwnego, dziecinnego, narasta w jego drżącej piersi. Zrozumiał, że chce mu się płakać, ale nie ze smutku, strachu ani nawet ulgi, ale z całkiem innej przyczyny: miał to być dziecinny szloch kompletnego zagubienia i bezradności. Zanim jednak poddał się temu pragnieniu, obudziła się w nim przeciwna siła o równej mocy – dusza dziecka została na powrót stłamszona, a Orlandu zacisnął zęby i odetchnął głęboko.

Za Chrystusa i Jana Chrzciciela. Za Religię i za rodaków. Za Maltę. Podniesiony na duchu owinął tkaninę wokół głowy i włożył hełm. Wciągnął balię do stajni, służącej teraz jako kuchnia polowa. Kucharz nazwiskiem Stromboli uniósł głowę znad blaszek, beczułek i koszy, by machnąć na niego nożem, którym rozcinał bochny chleba.

– Gdzieś ty był? – warknął po włosku. – Żołnierze są spragnieni.

Orlandu splunął na podłogę, odstawił balię i kopnął ją ze złością.

– Pełzałem w gównie, stary pacanie. Ciekawe, czym ty się zajmowałeś! – odpyskował po maltańsku.

Zaraz też się dowiedział, że Stromboli spędził dość czasu na maltańskich targowiskach, by rozumieć miejscowy język. Kucharz skoczył do niego i z rozmachem zdzielił go w głowę.

– Chlebem i winem od Boga! Tym się zajmowałem. I gdyby nie ja, ta bitwa już by się skończyła.

Stromboli wskazał nożem na trzy inne balie stojące rzędem, z których każda wypełniona była niemal po brzegi kawałkami chleba nasączonymi oliwą z oliwek oraz marynatą z czerwonego wina, soli i ożywczych ziół. Wcześniej kapelan pobłogosławił wszystkie te produkty i spryskał je wodą święconą. Choć prawdą było, że pożywienie to pozwalało walczącym jakoś utrzymać się na nogach, Stromboli ani myślał chwalić Orlandu, który im je dostarczał.

– Pospiesz się. I nie porozlewaj. Trzymaj się blisko murów, inaczej zbrukasz jedzenie własnym mózgiem.

Orlandu ugryzł się w język. Chwycił balię za dwa uchwyty, oparł o posiniaczone uda i z wysiłkiem ruszył w stronę drzwi. Na zewnątrz postawił naczynie na ziemi, zaczerpnął ręką trochę czerwonej brei, tak jak czynili to rycerze, gdy wlókł balię wzdłuż linii obrony, i wpakował do ust. Przełknął, prawie nie gryząc rozmokłych skórek chleba, i stwierdził, że

chyba nigdy jeszcze nie jadł czegoś równie wspaniałego. Po raz pierwszy wpadł na pomysł, że może poczęstować się tym, co kazano mu roznosić. Poczuł, że wracają mu siły. Stromboli był łajdakiem, ale napełniał te balie prawdziwym eliksirem. Chlebem i winem od Boga. Orlandu wyciągnął rękę po kolejną porcję i w tym momencie kucharz ciął go w nadgarstek tępą stroną noża.

– To jedzenie dla żołnierzy, nie dla świń!

Orlandu dźwignął balię i pospiesznie oddalił się w mrok spowijający dziedziniec. Sznurowe uchwyty wpijały się w jego palce, a mięśnie przedramion paliły, podobnie jak barków, klatki piersiowej, brzucha, pośladków i łydek. Tandetny skórzany kirys, który ukradł tęższemu Tomasowi, ocierał mu biodra i łokcie aż do kości. Oddech palił go w gardło. Pomyślał o Janie Chrzcicielu na pustyni, żywiącym się szarańczą i miodem. Pomyślał o Chrystusie na krzyżu. Pomyślał o rycerzach na pierwszej linii obrony, walczących w wyłomach muru od tak wielu godzin i skazanych na dalszą walkę przez Bóg wie jak długi czas. Był słaby, ale musiał być silniejszy. I tak nosił już te balie dalej niż inni. Ciało przeszywał ból. Sznurki wyślizgiwały się spomiędzy pokrytych pęcherzami palców. Czuł, że musi postawić balię na ziemi. Nie. Jeszcze dziesięć kroków. Przy ósmym uchwyt wysunął się z jego lewej dłoni, zabierając ze sobą kawałek skóry, a balia przechyliła się i wysoka fala odżywczej brei chlusnęła na ziemię.

Orlandu obejrzał się przerażony, ale na szczęście Strombolego już nie było. Podziękował świętej Katarzynie za to, że chociaż tu, pod samym murem, bruk nie został zmieniony w pył. Zaczął nabierać rozlany pokarm obiema rękami i wrzucać z powrotem do balii. Tłuste, zielone muchy żerujące na zwłokach tuż za murami zleciały się zaraz rojem, by ucztować, i daremnie odganiał je rękami. Wino parzyło otwarte rany na dłoniach, ale nie zostawił na ziemi ani odrobiny nasączonego nim chleba. Podwinął rękaw, wymieszał zebraną porcję z całą resztą i znowu uniósł do ust garść pokarmu. Smakowało równie wspaniale jak za pierwszym razem. Palący ból w mięśniach minął. Orlandu zdjął hełm i rzucił go pod ścianę. Nie obchodziło go już, czy Turcy rozłupią mu czaszkę. Pociął nożem wilgotne płótno i owinął je wokół dłoni. Pot szczypał tak mocno jak wino. Orlandu postanowił, że jeszcze dwukrotnie pozwoli sobie na odpoczynek, nim dotrze do linii frontu. Spojrzał na odległy kraniec dziedzińca, w stronę trwającej nocnej bitwy.

Flary i rakiety zapalające eksplodowały nad walczącymi. U podnóża wału zebrał się nowy oddział ludzi. Orlandu rozpoznał ich dowódcę – znanego francuskiego łowcę przygód, najdzielniejszego z dzielnych i wielce poważanego nawet w tym gronie wybitnych rycerzy – pułkownika le Masa, a rozpoznał go między innymi po śmiechu. Któż inny

znalazłby powód do śmiechu w tak straszliwym miejscu? Orlandu poczuł dreszcz na myśl o tym, że sam le Mas mógłby spróbować bożego chleba i wina z jego balii. Wyobrażając sobie tę scenę, poprzysiągł, że tym razem nie spuści głowy. Tak czy inaczej wiedział, że nie może zbliżyć się do niego, póki nie będzie pewny, że nie zawadza. Le Mas gestykulował żywo, rozmawiając z dwoma potężnymi kompanami, większymi nawet od niego. Oni również wybuchnęli śmiechem, lecz jeden z nich, postury byka, podrzucił nagle do ramienia muszkiet o niespotykanie długiej lufie zdobionej srebrem połyskującym w blasku flar i natychmiast chmurka białego dymu pomknęła w stronę celu usytuowanego gdzieś na wysokim parapecie zachowanej jeszcze części muru. Ciało runęło w dół, a byk opuścił muszkiet i dumnie skinął głową na pozostałych. W tym momencie drugi zdjął i podał mu hełm, a Orlandu stwierdził ze zdumieniem, że to kapitan Tannhäuser, co oznaczało, że strzelcem musiał być Bors, ten sam, który nazwał go „przyjacielem" i obiecał nauczyć gry w tryktraka! Tannhäuser także podrzucił broń do ramienia i wypalił z równie zadziwiającą szybkością. Bezwładna postać w wielobarwnym stroju stoczyła się z muru. Dwaj tureccy strzelcy wyborowi trafieni jak zające! Cóż za żołnierz, myślał z podziwem Orlandu. Tannhäuser, nie przerywając rozmowy, na powrót włożył hełm i znowu roześmiali się wszyscy trzej. Coś podobnego. Roześmiali się!

Orlandu pochwycił sznurowe uchwyty balii i ruszył w dalszą drogę. Ból przeszywał jego dłonie, ale obiecał sobie, że więcej nie rozleje. Miał nadzieję, że nie zauważą go przed kolejnym odpoczynkiem, gdzie być może nabierze więcej siły. Zaczął biec krótkimi, szybkimi krokami, niebezpiecznie kołysząc zawartością balii, ale piekący ból w mięśniach natychmiast powrócił. Skrzywił się i krzyknął z bólu. Patrzył uważnie, czy trzej bohaterowie go nie zauważyli, ale w przeciwieństwie do nich znajdował się w smudze cienia. Musiał oddalić się od ściany. Po chwili sznury znowu wyśliznęły się z jego rąk i zaklął, gdy balia z trzaskiem wylądowała na ziemi. Chciał dotrzeć bliżej niż to konieczne do Borsa, który na pewno by go zawołał i przedstawił Tannhäuserowi oraz le Masowi, jak każdy przyjaciel. Może zaproponowałby im jedzenie? A Bors przekonałby le Masa, że jego dobry przyjaciel Orlandu zasługuje na lepsze zajęcie niż ciągnięcie balii z żarciem w tunelu pełnym gówna…

Rozległ się dziwny dźwięk rogu i niemrawy okrzyk radości zmieszany z chórem obscenicznych drwin obwieścił odparcie tureckiego ataku. Orlandu podziękował w duchu Najświętszej Panience, gdyż być może teraz walczący mieli okazję, by zejść i skosztować chleba. Trzej rycerze spojrzeli w górę, na szczyt wału, gdzie obrońcy rozstępowali się pospiesznie, by otworzyć lukę pośrodku szyku. Tannhäuser i Bors oddali podoficerowi swoje muszkiety i włożyli pancerne rękawice. Zaraz potem dobyli mieczy i sprawdzili, czy pancerze dają im swobodę ruchów. Znowu rozległ się sygnał, tym razem był to dźwięk trąbki

wzywającej chrześcijan. Oddział le Masa sformował klin celujący czubkiem w lukę i po chwili zaczął się wspinać po zalanym krwią i zasnutym dymem zboczu wału obronnego, stopniowo uzupełniając szyk.

Czy to oznaczało, że bitwa jeszcze się nie skończyła? Czy Turcy byli na tyle szaleni, by powrócić? Orlandu pochwycił balię i ruszył truchtem wzdłuż ściany, aby się o tym przekonać.

Oddział le Masa zajął miejsce pośrodku wielkiej wyrwy w murze, luzując dotychczasowych obrońców, którzy zbryzgani swoistym mułem będącym produktem krwawej bitwy schodzili z posterunku z ulgą, ale i nagle pozbawieni sił. Hiszpanie le Masa dobijali pikami rannych Turków, a ciała strącali do rowu okalającego fort. Pod osłoną nocy nieprzyjacielscy saperzy zdołali zasypać kilka odcinków owego rowu, tworząc krótkie groble. Przerzucili też kilka mostów zbudowanych z masztów. W dole pod nimi, w kłębach dymu, leżało czterysta świeżych ciał. Niektóre poruszały się jeszcze, mamrocząc wersety Koranu. Inne były osmalone, inne wciąż jeszcze płonęły. W oddali Tannhäuser dostrzegł grupki kulejących jerikulu, którzy ewakuowali się z pola walki, ciągnąc ze sobą cięższej rannych towarzyszy, ku niezadowoleniu swego agi.

– Twoi janczarzy zebrali się na wczesną kolację – zauważył Bors.

Tannhäuser pokręcił głową i wskazał na zielone szaty i białe turbany leżących w rowie.

– To zwykła piechota, Azebowie. Janczarzy przyjdą po nich.

– A to po co? – zainteresował się Bors, wskazując ręką.

U podnóża wału, mniej więcej co dwadzieścia kroków na całej długości wyłomu w murze, pomocnicy rozstawiali wielkie beczki i przybijali do ich krawędzi deski tworzące pochyłe pomosty. Gdy skończyli, napełnili zbiorniki wodą z beczkowozu.

– Jeśli poczujesz ogień na sobie – odparł le Mas – skacz prosto do beczki, żeby się ochłodzić.

To powiedziawszy, wskazał na parapety po obu stronach wyłomu, gdzie ogniomistrze szykowali się do nowego ataku. Siarka, saletra, olej lniany, sól amoniakalna, terpentyna, smoła i nafta. Turcy dodawali żywicę olibanową i pakuły, by zwiększyć lepkość łatwopalnej mieszanki. Wenecjanie wzbogacali ją o tłuczone szkło i alkohol. Na parapetach stały mosiężne tuby z umocowanymi drzewcami pik, skierowane ku górze i napełnione właśnie taką mieszanką. Wystarczyło podłożyć ogień i skierować tuby w odpowiednią stronę, by zaczęły bluzgać kulami płomieni. Żołnierze wyznaczeni do ich obsługi ustawili też między blankami liczne gliniane garnuszki nazywane przez Turków humbara: miały rozmiar pięści i

były zamknięte papierem, z którego sterczał lont; ich zawartość stanowiła gęsta odmiana łatwopalnej mieszanki. Najbardziej przemyślne z tych fajerwerków były ponoć wynalazkiem de la Valette'a: pętle z włóknistej trzciny nasączano brandy i ropą, a następnie owijano wełną i namaczano w tej samej mieszance, której używano w tubach. Podpalone i rzucone – z pomocą szczypiec – ku zbliżającym się szeregom muzułmanów siały wśród nich straszliwe spustoszenie. Ogniomistrze mieli jednak diabelnie niebezpieczną pracę. Tannhäuser pociągnął za sobą Borsa, odsuwając się instynktownie o krok dalej od ich stanowisk, by nie ryzykować.

Rycerze i żołnierze podawali sobie z rąk do rąk garnuszek z kamforowym balsamem, który wcierali w brody dla zabicia nieznośnego fetoru. Górą świstały kule tureckich strzelców wyborowych. Jeden z tercios został raniony w twarz; jego towarzysze postawili go z powrotem na nogi i zataczającego się odprowadzili na tyły.

– Zróbcie mi trochę miejsca – powiedział Bors.

Potrzebował go, by zakręcić nad głową długą na stopę rękojeścią i pięciostopową głownią swego dwuręcznego niemieckiego miecza. Ze świstem nakreślił w powietrzu ósemkę, rozgrzewając mięśnie i ścięgna. Po chwili ze zwinnością damy składającej wachlarz skierował ostrze ku dołowi i wsparł o ziemię między swymi stopami.

Tannhäuser poprawił rękawice i raz jeszcze przyjrzał się mieczowi, który zabrał z kaplicy. Klinga miała trzy stopy długości i przekrój spłaszczonego diamentu, a całość ważyła ponad dwa funty. Włoska robota. Może nawet mediolańska, pomyślał. Przyłożył język do ostrza i poczuł smak krwi, ale nie ból. Podszedł do sterty broni zebranej po ostatnim starciu. Wybrał pięciofuntowy buzdygan o stalowym trzonku i głowicy złożonej z siedmiu żeleziec i zakończonej długim, spiczastym kwiatonem. Tannhäuser wrócił do szeregu i skłonił się ku sąsiadowi z prawej, niskiemu i potężnie zbudowanemu weteranowi o surowych oczach.

– Mattias Tannhäuser – powiedział, salutując mieczem.

Rycerz odpowiedział identycznym gestem.

– Guillaume de Quercy.

Stojący na prawo od Guillaume'a Prowansalczyk o haczykowatym nosie, trzymający w dłoniach dwa jednakowe, krótkie miecze, również się skłonił i zasalutował.

– Agoustin Vigneron – przedstawił się.

Ta krótka wymiana wystarczyła, by scementować braterstwo broni; nie potrzebowali więcej słów. Mając Gaskończyka po jednej i Anglika po drugiej stronie, nie mógł prosić o więcej. Muzyka mehterhane rozbrzmiała na nowo. Piszczałki, kotły i dzwony. Nawet w takich okolicznościach żaden dźwięk nie poruszał go bardziej niż ten. Odezwały się trąby. Sztandar świętego Jana powiewał dumnie, a biały krzyż lśnił w świetle księżyca.

Kapelan uniósł obraz Chrystusa Pantokratora w jednej ręce, a drugą potrząsnął dzwonkiem i zaczął odmawiać Anioł Pański.

– Angelus Domini nuntiavit Mariae. Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi…

Odpowiedział mu chór głosów wzywających Matkę Boga.

– …Módl się za nami, Święta Boża Rodzicielko.

– Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych.

– Łaskę Twoją, prosimy Cię, Panie, racz wlać w serca nasze…

Pierwszy szereg rycerzy wstąpił jeszcze wyżej na zbryzgane krwią osypisko. Tannhäuser, który był wśród nich, jako jedyny nie modlił się, zdawało mu się bowiem, że każde z bóstw, do których warto się zwracać, potępiłoby narastającą w nim radość, i że tej nocy wszystkie bóstwa miłosierne spać będą głębokim snem.

Rycerze i kandydaci zakonu ustawili się w pierwszej linii, a tuż za nimi ulokowały się trzy setki Hiszpanów i Maltańczyków zbrojnych w szpontony i glewie połyskujące w lukach między rycerskimi pancerzami. Tannhäuser przyjrzał się podłożu, na którym stanął, kopniakiem usunął kilka luźnych kamieni i zaparłszy się mocno lewą nogą wysuniętą w przód, znieruchomiał, z mieczem w prawej ręce skierowanym ku ziemi i z buzdyganem wspartym o biodro. Teraz liczyła się przede wszystkim świadomość. Świadomość własnej, niewielkiej sfery, której granice wyznaczali stojący po bokach oraz ci, którzy mieli wyłonić się z mroku naprzeciwko jego miecza. Starał się pamiętać o regularnym, głębokim oddechu. Wiedział, że łatwo zapomnieć o nim w ferworze walki, a to oznaczało śmierć. Oddychanie. Postawa. Praca nóg. Strumyki potu wydobywały się już chyba wszystkimi porami na jego skórze, albowiem mimo nocnej pory panował nieznośny upał. Czuł suchość w ustach. Naprzeciwko jego pozycji znajdowała się usypana przez Turków grobla, szeroka w najwęższym miejscu na trzech chłopa i dochodząca pod wał nierówną deltą. Gaskończyk Guillaume stał dokładnie na wprost niej, a Agoustin Vigneron naprzeciwko prawego narożnika.

Bors stojący po lewej pilnował już krawędzi rowu. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwa białe, gładkie kamyki. Jeden z nich włożył do ust.

– Nie mówiłem ci, że będzie pięknie? – powiedział, podając przyjacielowi drugi kamyk.

Tannhäuser wziął go do ust i zaczął ssać, a uczucie suchości minęło po chwili.

– Tylko pamiętaj: osłaniaj mnie od tyłu – dodał Bors.

Rytmiczna muzyka mehterhane, tupot tysięcy stóp, brzęk metalu i zawodzenie imama wzywającego Allaha – wszystko to łączyło się w potężny kołowrót dźwięków

towarzyszących masie cieni, które kłębiły się w słabym blasku ognia po drugiej stronie rowu. Pięć ort janczarów, z proporcami zdobnymi w końskie włosie i sztandarami zapisanymi Szahadą, runęło do ataku po groblach i wprost przez zasypane trupami rowy.

Chrześcijanie powitali ich pogardliwym wyciem, zapraszając do tańca śmierci. Rumowisko zmieniło się w wieżę Babel: Tannhäuser słyszał modlitwy nie tylko po łacinie, ale i w językach prostych ludzi. Święta Katarzyno i święta Agato. Święty Janie i święty Pawle. Chrystusie i Janie Chrzcicielu. Módlcie się za nami grzesznymi. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja. Teraz i w godzinie śmierci naszej. Amen. Najczęściej wymienianym patronem – tak jakby już obwołano go świętym – był sam de la Valette oraz Religia.

Z odległości dwudziestu jardów zbliżający się tłum obrzucił obrońców deszczem humbara, których płonące lonty sypały iskrami na wszystkie strony. Tannhäuser bacznie obserwował tor lotu pocisków, gotów uskoczyć, ale szczęście mu sprzyjało. Humbara przemknęły górą i po chwili poczuł na plecach falę gorąca, a zaraz potem usłyszał okrzyki paniki, lecz się nie obejrzał. W tym samym momencie słudzy diabła, ogniomistrze zakonu, spuścili z tub stojących na murach potoki płynnej śmierci, a wielkie płonące pętle pomknęły w dal, wirując wściekle. Spadały na nadbiegających w ciasnym szyku janczarów, pętając ich po dwóch czy trzech ognistymi kręgami. Niebieskie bawełniane szaty zajmowały się ogniem jak papier, a tureccy żołnierze w panice próbowali zerwać je z siebie, wijąc się, płonąc i umierając.

Tak jaskrawy był blask płomieni po obu stronach wyłomu, że na polu walki zrobiło się jasno jak w samo południe. Mimo to atakujący wciąż parli naprzód. Potrząsali bronią ręczną bodaj wszystkich rodzajów, błyskając dziko oczami znad długich wąsów i spod wysokich, białych czepców przyozdobionych drewnianymi łyżkami, niczym nieznana rasa szalonych kucharzy, wygnanych z jadłodajni dla obłąkanych. Wskakiwali do rowu. Biegli po płonących mostkach. Parli naprzód po skąpanych w ogniu groblach.

Tannhäuser zobaczył pierwszego przeciwnika, który właśnie dobiegał do końca grobli. Miał czarne buty, co oznaczało, że jest oboźnym tej orty, a uzbrojony był we włócznię mizrak i prostokątną bałkańską tarczę. Tannhäuser dał krok naprzód, by zyskać trochę miejsca, i opuścił buzdygan wzdłuż uda. Odsłonił pierś na tyle, by sprowokować pchnięcie włócznią, a gdy uderzenie znad głowy rzeczywiście nastąpiło, cofnął prawą nogę i z półobrotem sparował cios za pomocą miecza, jednocześnie wbijając w odsłoniętą pachę napastnika kolec buzdygana, który uchwycił nieco bliżej głowicy. Turek ryknął z bólu, jak

uczyniłby to każdy na jego miejscu, i z przebitym płucem runął na ziemię, Tannhäuser zaś przeciągnął jeszcze mieczem po jego gardle, na wpół ucinając głowę.

Odwrócił twarz, unikając fontanny krwi, i szybkim ruchem uniósł klingę, by odparować potężny cios bułata wyprowadzony z góry. Zaraz potem uniósł głowę i gwałtownie wyprostował nogi, wbijając grzbiet morionu w czyjąś twarz. Krew i pot chlusnęły na boki, a Tannhäuser, nie czekając, pchnął buzdygan w górę, wciąż trzymając go blisko, tuż za głowicą. Kolec wbił się od spodu w żuchwę napastnika. Rozległ się trzask kości i muzułmanin jął wić się jak tuńczyk w sieci, krwawiąc obficie z nosa i oczu. Zasłaniając się jego ciałem, Tannhäuser rzucił się w stronę atakujących, dysząc rytmicznie i siekąc mieczem na boki. Tureckie szable natychmiast odrąbały ramiona nadzianego na buzdygan nieszczęśnika, a mediolańska stal zgrzytnęła o kolczugę i kręgosłup, gdy Tannhäuser wyprowadzał pchnięcie na wprost, przez brzuch trupa. Uwolnił głownię, parsknął wściekle, zgrzytnął zębami i rzucił bezużyteczne już, pozbawione ramion ciało pod nogi nadbiegającego Turka, który potknął się i upadł, hamując impet łokciami. Tannhäuser chwycił buzdygan niżej i jednym ciosem rozłupał czaszkę klęczącego, barwiąc biel czepka czerwienią krwi.

Wyprostował się, zaczerpnął powietrza i strząsnął pot z brwi. Czuł ucisk w piersi; gardło paliło żywym ogniem. Ogarnęły go mdłości i słabość. Zbyt daleko wyszedł przed szereg. Musiał wracać.

Wyjąca horda parła teraz ramię w ramię, próbując wtłoczyć się w wąskie gardło wyłomu w murach. Tarcza zachodziła za tarczę, broń jeżyła się ku przodowi. Wypatrywać szczelin, myślał Tannhäuser, przełykając cofającą się żółć. Zabić go. Zabić ich. Zabić ich wszystkich. Cięcie bułata musnęło jego hełm i zatrzymało się na naramienniku. Kolcem między nogi. Czubkiem miecza w szyję. Przeciwnik walczył na kolanach; oślepiony fontanną krwi z własnej tętnicy wciąż szukał szablą słabego punktu w łączeniach zbroi Tannhäusera, póki kolec buzdyganu nie przebił jego skroni. Tannhäuser cofnął się o dwa kroki. Trzeba ich zatrzymać, myślał. Ciął mieczem z dołu do góry po udach kolejnego wroga, poprawił poprzecznie przez brzuch i zakończył pchnięciem w pierś, głęboko i z obrotem. Nie patrzeć mu w oczy. Już po nim. I oddychaj, głupcze, kolana luźniej, nie słuchaj okrzyków bojowych. Cofnij się. Jakiś ruch po lewej, w dole… Twarz w rowie. Mierz między oczy i zapomnij o nim. Twarzą do nacierających. Krok do tyłu. Następny. Zablokować cios. Nie ma miejsca na zamach. Twarz naciska napierśnik, gorący i kwaśny oddech… Silny jest. Czyżby? Głowicą w łeb. Odsunąć go, odepchnąć ramiona, ciąć przez pierś, giń, giń, giń! Pchnięcie w brzuch, krok w tył i powtórka. Stal w gardle sługi sułtana. Krok wstecz. Może tam? Nie do tyłu.

Cierpliwości. Oddychaj, strząśnij pot, oddychaj. Wciąż za daleko na grobli. Jesteś odkryty. Dziesięć sekund odpoczynku. Albo pięć. Tannhäuser nie miał wyboru.

Oparł się ciężko na mieczu, dysząc.

Pierwszych dziesięć minut walki dobiegało końca, a on już czuł mdłości i brak sił. Jego ciało błagało o posiłek i osiem godzin snu. Gdzie ta moc, której niegdyś miał aż za wiele? Był wstrząśnięty. Nigdy nie walczył z kimś, kogo tak trudno byłoby zabić, kto nie chciał umierać nawet wtedy, gdy był już praktycznie martwy. Ci janczarzy byli maniakami, on zaś już nie. Noc ciągnęła się niewyobrażalnie i nie widział jej końca. Bał się, ale nie śmierci, lecz wysiłku. Mimo to czuł, że złapie jeszcze drugi oddech. Albo złapie, albo dołączy do tych, którzy gniją w tym diabelnym rowie. Przy wtórze brzęku stali oraz świstu młota i miecza Guillaume de Quercy i Agoustin Vigneron dołączyli do niego na grobli, obaj zbryzgani od stóp do głów posoką i potem, z brodami splątanymi i lśniącymi, jakby unurzali je w beczce z melasą.

Duma przywróciła Tannhäuserowi siły. Nie mógł pozwolić, by zawstydzili go dwaj Francuzi.

Stanęli we trzech przed rosnącym zwałem ciał i w pocie czoła szpikowali stalą Turków wspinających się po trupach towarzyszy. Była to praca szybka i okrutna, wymagająca używania na przemian maczugi, kolca i miecza, czasem przy wsparciu broni drzewcowej, którą Maltańczycy operowali zza pleców rycerzy, pomagając im w powstrzymaniu chociażby samej masy napierających ciał. Niebieska fala szturmu zaczęła się załamywać na zaporze z włóczni, ale z dalszych szeregów znowu pofrunęły humbara. Tannhäuser pochylił się, by ich uniknąć, ale w szeregach żołnierzy zapanował chaos: próbując uniknąć rozkwitających tu i ówdzie kul ognia, wpadali na siebie, krzyżując drzewce. Ci, których dosięgła płonąca galareta, puszczali się biegiem ku beczkom z wodą, ale nie mogli być pewni swego losu, jako że miejsca w nich nie starczało dla wszystkich. W tym momencie sytuacja uległa odwróceniu, na miejsce ogarniętych paniką pikinierów natychmiast bowiem wyskoczyli z rowu sułtańscy gazi. Jednocześnie ich kompani zza sterty trupów zaatakowali ze zdwojoną siłą i tym sposobem trzej pancerni towarzysze zostali otoczeni.

– Plecami do siebie! – ryknął de Quercy.

Jego młot świsnął w powietrzu i stalowy ciężar zagłębił się aż po trzonek w twarzy janczara, urywając jej połowę. Tannhäuser obrócił się i naramienniki trzech rycerzy zetknęły się z głośnym grzechotem. Stojąc ramię przy ramieniu, siali spustoszenie wśród uparcie atakujących Turków. Jak sfora osaczonych wilków ćwiartowali każdego, kto znalazł się w zasięgu ciosu. Ich pancerze brzęczały przy każdym celnym cięciu, ale powoli

przesuwali się w stronę pierwotnej linii obrony, oddając zdobyty kawałek grobli pokryty śliską warstwą okaleczonych ciał.

Mocna woń pieczonego ludzkiego mięsa drażniła, ale i osobliwie pobudzała apetyt. Tannhäuser poczuł napływ śliny w ustach. Młodzik o jasnej skórze właśnie wbiegł na czubek jego miecza, a uczynił to z takim impetem, że zatrzymał się dopiero na jelcach. Tannhäuser przerwał jego wrzaski, wbijając mu w głowę kolec buzdygana i jak chłop przerzucający belę siana cisnął go na bok. Zablokował trzonkiem cięcie mierzone z boku w jego głowę i wyszarpnąwszy miecz z ciała młodzika, uderzył nim w nogę twardą jak cedr. Napastnik padł na kolana, a włoskiej roboty miecz wbił się z góry w jego odsłoniętą pierś. W tym momencie Tannhäuser nie mógł już zapanować nad mdłościami: buzdygan zwisł bezwładnie na rzemieniu opasującym jego nadgarstek, a on sam wsparł się na jelcach miecza i gwałtownie zwymiotował żółcią i flegmą wprost w otwarte do krzyku usta janczara. Tannhäuser zamknął łzawiące oczy i odruchowo naparł jeszcze mocniej na miecz. Wisiał na nim tak długo, aż atak nudności minął, a potem splunął sążniście, wyrwał miecz z martwego już ciała i kopnął je na bok. Zacisnął powieki i potrząsnął głową, strząsając pot i śluz, a kiedy otworzył oczy, jak przez mgłę zobaczył wysokie czapki dwóch Turków, którzy biegli groblą prosto na niego. Naprężył mięśnie, gotów przyjąć ciosy, ale w tym momencie świsnęło ostrze wielkiego miecza i czaszki obu przeciwników przestały istnieć, dokoła zaś rozprysły się kawałki mózgu, oczu i kości. Z głowy jednego z żołnierzy została tylko otwarta rana z połową kompletu zębów. Ciało potoczyło się w mrok, a Bors nakreślił do końca wielki łuk swym dwuręcznym mieczem i skierował ostrze ku dołowi, by przebić trzecią czaszkę, tym razem wyłaniającą się z rowu.

Bors zatrzymał się na chwilę, dysząc ciężko i ocierając zakrwawioną twarz.

– Prosiłem, żebyś pilnował moich pleców.

Tannhäuser oddychał z równie wielkim trudem.

– Nie nadaję się do walki – przyznał.

Szturm zelżał na chwilę i czterej mężczyźni mogli się skupić na dobijaniu rannych, a potem na odpoczynku, na grobli nie pozostał bowiem już nikt żywy prócz nich.

– Dziwne jest to – odezwał się Bors – że oni… hmm, bardzo przypominają nas.

– Słowianie, Grecy, Madziarzy, Serbowie – odparł Tannhäuser. – Są tu nawet Austriacy.

– Nigdy nie przepadałem za Austriakami – mruknął Bors.

Powrócili na stanowiska w linii obrony. Tannhäuser poczuł się lepiej po gwałtownym oczyszczeniu żołądka. Gdy wypluwał resztki goryczy, dostrzegł podstawioną

nie wiadomo kiedy balię z chlebem i winem. Ułożył miecz w zgięciu ręki, zanurzył dłoń w czerwonawej brei i zaczerpnął solidną porcję. Smakowała wyśmienicie. Słodka i słonawa zarazem. Czyżby z nutą rozmarynu? Zawołał Borsa, wskazując na szybko znikającą zawartość balii. Nie czekając, aż przyjaciel się pożywi, podniesiony na duchu Tannhäuser wrócił na posterunek.

Przypuszczał, że minęło kolejne dziesięć minut. Czuł znowu moc w kończynach i nie brakowało mu tchu. Jego myśli były krystalicznie czyste. Więc jednak złapał drugi oddech. Zatoczył krąg ramionami, rozluźnił się w biodrach i przyjął pozycję w oczekiwaniu na kolejny szturm. Mogło być tylko gorzej, ale był na to przygotowany. Świeża fala fanatyków już pieniła się w mroku, tocząc się ku grobli. Rozpoznał żółte dolamy i hełmy z brązu: byli to janczarzy z elitarnej dywizji Pejk, uzbrojeni w sznurowe pętle, podobne do halabard gaddara oraz kusze zemberek strzelające bełtami grubymi jak kciuk. Tannhäuser odetchnął głęboko. Rycerze Religii stali już obok niego, gdy zjawił się Bors. Mlaskając ze smakiem, dostrzegł spojrzenie Tannhäusera.

– Co? – zdziwił się.

Tannhäuser uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

– Chwała.

Poniedziałek, 11 czerwca 1565 - Ziemia niczyja

Gdy nad wschodnim murem nastał świt, jego niepewne jeszcze światło zabarwiło oleiste kłęby dymu na żółto. Gdzieś zza ich zasłony dobiegł głos tureckich rogów wzywających do odwrotu i niedobitki dwunastu janczarskich ort rozwiały się jak widma w gęstej mgle. Wzdłuż całego wału zbryzgani krwią i obdarci rycerze Krzyża patrzyli z dziwną obojętnością na wycofującego się wroga, zbyt wyczerpani jeszcze, by pojąć, że ta noc należała do nich i że ich sztandar z dumą powita nowy dzień.

Tannhäuser opadł na jedno kolano wsparty na jelcach miecza, oparł czoło o rękawice i zamknął oczy. Przez kilka cennych chwil był całkiem sam w bezmiarze ciszy, w której nie zadawał żadnych pytań i nie słyszał odpowiedzi. A potem usłyszał najpierw jęki rannych, a potem bolesny szloch i modlitwy, które już nie chwaliły Boga, lecz jedynie prosiły Go o miłosierdzie.

Tannhäuser uniósł głowę. Kark miał sztywny i obolały od ciężkiego hełmu i wielu ciosów, które go dosięgły. Rękawice pokryte były w całości bordowym ciastem, które odpadało płatami, gdy je ściągał. Dłonie miał sine od uderzeń, a stawy palców bolały przy każdym ruchu. Złota bransoletka na nadgarstku nosiła ślady dwóch cięć szablą. „Nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy". Tannhäuser schował rękawice, podparł się buzdyganem wbitym w ziemię i powstał. Schował miecz do pochwy. Powietrze coraz mocniej cuchnęło śmiercią i rozkładem. Światło dnia stopniowo odsłaniało krajobraz tak piekielny i odstręczający, że żaden artysta nie ośmieliłby się go uwiecznić z lęku przed sprowadzeniem klątwy na własny talent.

Za wałem gruzu, na którym stał – pokrytym ohydną breją z krwi, ludzkich szczątków, wnętrzności, mózgów oraz treści tysięcy pęcherzy i jelit – spoczywały zwłoki mniej więcej tysiąca pięciuset muzułmanów. Trupy nie mieściły się już w rowie okalającym mury; ich masa rozlewała się po pasie zrujnowanej ziemi niczyjej jak owoc jakiejś nienaturalnej katastrofy. Tannhäuser poczuł wstyd. Zaraz potem zawstydził się własnego wstydu, ponieważ był on fałszywy: zabijanie, w którym uczestniczył, miało przynajmniej uczciwy charakter. Tu i tam migotały jeszcze płomienie na kałużach łatwopalnego płynu, unosiły się i opadały ręce rannych, a skurczone kształty daremnie próbowały uwolnić się z masy zabitych i wreszcie poddawały się, zostając pośród nich.

– Wszyscy ci ludzie urodzili się chrześcijanami?

Tannhäuser spojrzał na Agoustina Vignerona. Oczy Francuza były zapuchnięte i przekrwione, a jego głos zdarty do cna.

– Większość.

Agoustin potrząsnął głową.

– Jakie to straszne, że ich dusze są teraz potępione na wieki.

Tannhäuser podarował sobie uzewnętrznianie własnej rozpaczy. Zostawił pionowo sterczący z ziemi buzdygan, niczym pogański ołtarzyk własnego zła, i udał się na poszukiwanie Borsa.

Znalazł go daleko, na ziemi niczyjej, leżącego twarzą w dół i bez hełmu na głowie, na stercie ciał żółto odzianych janczarów. Prawą rękę wciąż zaciskał na rękojeści sztyletu, który wbił w pierś jednego z nich. Tannhäuser zbliżył się ciężkim krokiem, szurając po ziemi pociętymi butami i potykając się o przeszkody. Teraz dopiero czuł wyraźnie każdą ranę na kostkach i kolanach. Bors był nieprzytomny, a sądząc po charkocie wydobywającym się z jego gardła, dławił się własną krwią. Tannhäuser musiał szarpnąć dwa razy, zanim zdołał odwrócić jego zakute w stal ciało. Cofnął się odruchowo, gdy zobaczył na wpół odciętą twarz Borsa. Głębokie cięcie sięgało od prawej brwi do lewego krańca żuchwy, a w otwartej ranie widać było kości, chrząstki, dziąsła i zęby. Prawa strona twarzy została nieomalże odrąbana i zsuwała się ku podbródkowi. Wykrzywione usta miały siną barwę. Krwotok robił wrażenie, ale Tannhäuser ocenił, że widywał już gorsze.

Zapanowawszy nad odrazą i przerażeniem, lewą ręką przycisnął na miejsce odpadającą twarz przyjaciela, a prawą rozchylił jego usta i sięgnął palcami do środka. Wydobył gęsty, galaretowaty czop ozdobiony złamanym zębem i odrzucił go na bok. Bors zarzęził. Tannhäuser ponownie włożył palce do jego ust, tym razem głębiej, i wyjął kolejny czop. Torsje wstrząsnęły Borsem. Gwałtownie pochylił głowę i wyciągnął ramiona przed siebie, wymiotując czerwoną masą wprost na swoje kolana. Objął je ramionami i zaniósł się ciężkim kaszlem.

Przerażenie, które owładnęło Tannhäuserem na widok rany, teraz ustąpiło. Wyjął sztylet z piersi trupa i zabrał się do rozcinania pasków mocujących kirys Borsa. Torsje nie ustępowały, zatem nie było to zadanie łatwe, ale wreszcie je wykonał i rzucił na ziemię ciężkie metalowe płyty. Mogąc odetchnąć wreszcie pełną piersią, Bors rozkaszlał się ze zdwojoną energią i wreszcie oczyścił płuca – a także umysł, przynajmniej na tyle, że zdołał chwycić Tannhäusera za gardło. Krwawy strzęp ciała zasłaniał mu jedno oko, drugie zapuchło tak bardzo, że przynajmniej chwilowo był ślepy. Tannhäuser zacisnął dłonie na jego nadgarstkach.

– Bors, to ja, Mattias. Już po bitwie. To ja, Mattias.

– Mattias? – Zakrwawiona i niewidząca twarz uniosła się ku górze.

– Tak. Już po bitwie – powtórzył. – Pokonaliśmy ich. Przynajmniej na razie.

– Już po mnie? – spytał Bors głosem zniekształconym przez poważne uszkodzenie ust.

– Nie, tylko dostałeś efektowną pamiątkę, która pozwoli ci chwalić się męstwem przez kolejne dwadzieścia lat. – Tannhäuser ściągnął Borsowi zakrwawione rękawice. – Możesz wstać? Podaj mi ręce.

Bors splunął, stanął na nogi i zachwiał się, ale odzyskał równowagę.

– Nie ruszaj się – polecił Mattias. Docisnął na miejsce uparcie opadającą połówkę twarzy Borsa, zakrywając nagą kość, i zmęczone oko pojawiło się między zakrwawionymi powiekami. – Tutaj – mruknął, naprowadzając prawą dłoń przyjaciela na właściwe miejsce, by mógł sam podtrzymywać luźny płat skóry. Zarzucił sobie na ramię kirys Borsa. – Weź mnie pod rękę – powiedział.

– Masz mnie za kobietę?

Bors odnalazł swój miecz i wsparł się na nim jak na lasce. Gdy wspięli się na wał, Bors zatrzymał się i rozejrzał zdrowym okiem.

– Na rany Chrystusa! – jęknął.

Było to nader trafna opinia o owocach nocnej bitwy. Tannhäuser nie miał nic do dodania, więc jedynie pokiwał głową. Lecz Bors miał na myśli coś więcej niż tylko skutki rzezi. Wyciągnął przed siebie wolną rękę, a Tannhäuser spojrzał we wskazanym kierunku.

W odległości mniej więcej dwudziestu kroków zobaczył szczupłą postać bez hełmu. Chłopak kucał na potwornej stercie trupów przepełniającej rów. Jego zbrukany nieczystościami kirys był zdecydowanie za duży na wąską pierś, a długie, patykowate ramiona sterczące z otworów upodabniały chłopaka do chrząszcza siedzącego na kupie łajna. Trzymał w dłoniach coś, co błyszczało intensywnie w promieniach słońca – być może broszkę lub inkrustowany klejnotami kamień. Jakaś wilcza intuicja kazała mu unieść głowę znad znaleziska i spojrzeć wprost na Borsa i Tannhäusera. Jego twarz była równie brudna jak skórzany pancerz, ale zęby błysnęły, gdy im zasalutował.

– W rzeczy samej – rzekł Bors – przysiągłbym, że to Orlandu di Borgo.

Chłopak puścił się ku nim biegiem, gdy przywołali go gestem; zatrzymał się jedynie na moment, by podnieść buzdygan Tannhäusera. To oznaczało, że obserwował ich od jakiegoś czasu. Dziwne uczucie, pomyślał Mattias. Orlandu stanął przed nimi, dumny jak paw, że zwrócili na niego uwagę tacy dwaj giganci pola walki, i ponownie zasalutował. Był

straszliwie chudy i brudny, ale mimo to promieniał energią młodości. Białka jego oczu miały silnie żółtawy odcień. Linie nosa i ust były delikatne. Wyglądał na bystrego i zdolnego do wszelkich podstępów, czym natychmiast zjednał sobie sympatię Tannhäusera. Mattias wyobraził sobie, że ma przed sobą ducha Carli – być może skojarzenie budziła wewnętrzna wrażliwość chłopca – z całą pewnością niepozbawionego cech ojca, Ludovica: długich kończyn i inteligentnego spojrzenia.

– Więc to ty jesteś Orlandu Boccanera – rzekł Tannhäuser.

– Orlandu di Borgo, mój panie – poprawił go hardo młodzik i pochylił głowę. – A ty jesteś dzielny kapitan Tannhäuser.

– Zafundowałeś mi niezłą potańcówkę – odparł Mattias.

Orlandu spojrzał na niego z rezerwą, jakby oskarżono go o jakiś niecny uczynek, ale nie miał pojęcia, o co chodzi. Błyszczący przedmiot zdążył przecież ukryć.

– Pokaż, co ukradłeś trupowi – zażądał Tannhäuser.

Widział doskonale, jak Orlandu zastanawia się, czy warto go zwodzić. Wyciągnął rękę. Chłopak potrząsnął ramieniem i w jego dłoni pojawił się sztylet. Pięknie schowany w rękawie, pomyślał Tannhäuser. Chłopak podał mu broń ze smutną miną, jakby tracił na zawsze coś niezmiernie cennego. Pochwa była wykonana z delikatnej, zielonej jak mech skórki, z trzewikiem i zdobieniami wykonanymi ze srebra. Tannhäuser wyjął sztylet i przyjrzał się wysadzanej szmaragdami rękojeści.

– To chinszar – powiedział. – Należał co najmniej do oficera. To znaczy, że nosił go turecki rycerz. Mógłbyś się ogolić takim cackiem, gdybyś już miał zarost.

Orlandu wzruszył ramionami, starając się dzielnie znieść stratę.

Tannhäuser wsunął ostrze na powrót do pochwy.

– „Do lwa należy to, na czym spocznie jego łapa” – zacytował, oddając trofeum chłopcu, który z wrażenia oblizał wargi. – Tylko nie pokazuj go Hiszpanom, będziesz musiał dźgać ich między żebra, żeby go zatrzymać. – Tannhäuser uśmiechnął się, gdy sztylet zniknął w rękawie równie szybko, jak się pojawił. – Chodźmy. Borsowi przyda się krawiecka robota, a ja nie chcę, żeby czekał w kolejce. Bo kolejka będzie dziś długa.

– To znaczy, panie, że mam ci służyć? – spytał Orlandu z niedowierzaniem i radością.

Tannhäuser roześmiał się. Znużenie po całonocnej walce ustąpiło nieco. Spotkanie z chłopcem wydawało się dobrym początkiem dnia. Jakkolwiek było, wszyscy trzej przeżyli, a po drugiej stronie zatoki, za bramą Kalkara, w Zonrze, czekała na nich ukryta łódź.

Czekały też otwarte ramiona Amparo oraz uśmiech na twarzy Carli. Nareszcie los zaczął im sprzyjać. Tannhäuser czuł już wiatr pchający ich z powrotem ku brzegom Italii.

– Czy masz mi służyć? – powtórzył. Zdjął z ramienia pancerz Borsa i rzucił w chude ramiona Orlandu. – Czemu nie? Przyda nam się taka odmiana.

Piątek, 15 czerwca 1565 - Fort Świętego Elma – barbakan – sala główna – nabrzeże

Zanim Tannhäuser doprowadził Borsa do kaplicy, płonący stos amputowanych kończyn zdążył już wypełnić dziedziniec wonią przypalonego mięsa. Ciała zabitych, okryte płótnem, układano pod murami kaplicy, a dotarcie do wnętrza wymagało kluczenia przez labirynt potwornie okaleczonych nieszczęśników, na których jęki i błagania Tannhäuser musiał pozostać głuchy. Przy ołtarzu trwała już msza dziękczynna. Ledwie kilka stóp od kapłana chirurdzy w szkarłatnych fartuchach pracowali piłami, krojąc kości. W nadziei oszczędzenia Borsowi bólu na tyle, na ile to możliwe, Tannhäuser odszukał swój plecak i wyjął z niego butelkę brandy, którą Bors skwapliwie opróżnił, płazem miecza broniąc swej łapczywości.

Tannhäuser ruszył dalej, ślizgając się na wszechobecnych skrzepach, by dołączyć do chirurgów. Pomny cennych prezentów Jurien de Lyon zostawił na chwilę hiszpańskiego żołnierza, którego wnętrzności dyndały luźno na wysokości krocza, i założył dwadzieścia siedem szwów z owczego jelita na okaleczonej twarzy Borsa. Gdy skończył – a trzeba powiedzieć, że poprawa była znacząca – oblicze angielskiego zabijaki miało barwę gnijącego bakłażana i nabrzmiało tak bardzo, że opuchlizna na powrót przesłoniła mu oczy. Tannhäuser zarzucił plecak na ramię, dopił ostatni łyk brandy i poprowadził Borsa krętą drogą z powrotem do wyjścia.

Znaleźli cieniste miejsce, a Orlandu zasłużył się zdobyciem nie byle jakiego śniadania: wątroby wołowej, czerwonych cebulek i bukłaka z winem. Wkrótce potem został napadnięty przez rozwścieczonego i zmęczonego mnicha uzbrojonego w miedzianą chochlę i tylko interwencja Tannhäusera uratowała Strombolego przed śmiercią od ciosu chinszara. Niewdzięczność starego kucharza była jednak tak przykra, że cokolwiek rozdrażniony po sześciogodzinnej walce kapitan odebrał mu chochlę i zawinął wokół szyi.

– A teraz precz; idź obierać te swoje cebule i co tam jeszcze – powiedział Tannhäuser do posiniałego na twarzy mnicha. – I daj wojownikom w spokoju odzyskać siły.

Zanim pozwolił sobie na drzemkę, zauważył jeszcze, że sprzeczka ze Strombolim jeszcze bardziej zjednała mu chłopca. Obudził się sztywny jak deska i znacznie bardziej obolały niż zaraz po bitwie. Zbliżał się wieczór, a wraz z nim przyjemny chłód. Bors z każdą chwilą dobitniej twierdził, że nie zamierza „uciekać do Borgo" z powodu tego „draśnięcia".

– Nigdy tego nie przeżyję! – gardłował.

Lecz jego podróż na bezpieczny brzeg już została opłacona garnuszkiem konfitur morelowych, mimo iż w kolejce czekali ciężej ranni. Łodzie miały być tak przepełnione, że nic nie kupiłoby w nich miejsca dla Tannhäusera i Orlandu. Choć tak naprawdę wszystko było na sprzedaż, ale duma albo wstyd, albo zmęczenie, albo pożałowania godna kombinacja wszystkich trzech czynników skłoniła go do odłożenia powrotu o jeden dzień. Po tak brutalnym odparciu ataku Mustafa potrzebował zapewne kilku dni na zmontowanie nowej ofensywy, zatem ryzyko związane ze spędzeniem doby w forcie nie było aż tak wielkie. Chcąc uciszyć pijacki bunt Borsa, Tannhäuser podsunął mu porcję surowego opium, która zabiłaby pewnie dwóch mężczyzn mniejszej postury, wepchnął mu jeszcze funt narkotyku za koszulę i trzy godziny później potulnego jak baranek doprowadził do czekających przy kei łodzi. Bors, dodatkowo uradowany dotykiem damasceńskiej stali swego nowego muszkietu, był już w tym momencie w takim stanie, że zdawało mu się, iż czeka go przeprawa do Świętego Elma, a nie w przeciwnym kierunku. Tannhäuser z ulgą odprowadził wzrokiem sunące ku miastu łodzie.

We wtorek i środę łodzie znowu były pełne okaleczonych, oślepionych i konających. Stojąc na nabrzeżu ramię w ramię z le Masem i szlachetnym Jurienem, Tannhäuser wstydził się nawet myśli o okazaniu tchórzostwa. Spędził te dni, głównie śpiąc – oczywiście na tyle, na ile pozwalał na to ostrzał artyleryjski. Pomógł też le Masowi wyznaczyć nowe pozycje dla dział i bardzo się starał unikać udziału w potyczkach, którymi kończyły się nocne – niezbyt zmasowane, ale bardzo zajadłe – ataki Turków. Orlandu tymczasem usiłował nie rzucać się zbytnio w oczy swemu nowemu panu, ale podążał za nim jak cień, unikając tym sposobem wielu nieprzyjemnych zajęć. Starał się też dbać o Tannhäusera najlepiej jak umiał.

Ten zaś nie widział specjalnego powodu, by mącić chłopakowi w głowie ujawnianiem prawdziwego powodu, dla którego przybył do fortu. Kto mógł przewidzieć, jaki wpływ na jego niedojrzały umysł miałyby takie rewelacje? Tannhäuser z każdą chwilą lubił chłopaka bardziej, Orlandu bowiem chętnie się śmiał – była to cecha zajmująca wysoką pozycję na jego liście cnót – a jednocześnie z podziwu godnym stoickim spokojem reagował na to, co się dookoła działo. Gdyby poddał się właściwej edukacji, mógłby wyrosnąć na nie lada zawadiakę i poszukiwacza przygód. Carla zapewne wolałaby posłać go na naukę quadrivium, ale Tannhäuser znał lepsze szkoły życia. Pomyślał nawet, że jako ojczym chłopaka miałby coś do powiedzenia w tej sprawie. Tymczasem jednak postanowił, że nie będzie zachęcał go do grzechu i że w każdej sytuacji będzie mu świecił przykładem. Zaczęli od przyjemności: nauki posługiwania się bronią palną.

W czwartek o zachodzie słońca, gdy niebo zabarwiło się na różowo, na szczyt rawelinu naprzeciwko barbakanu wdrapał się emisariusz Paszy – stremowany jak początkujący aktor – i zażądał posłuchania. Na żądanie gubernatora Luigiego Broglii Tannhäuser dołączył do dowódców, by pełnić funkcję tłumacza.

Krzyczeli do siebie z niewielkiej odległości, nie większej niż dwadzieścia kroków. Jak się okazało, Mustafa proponował załodze fortu warunki kapitulacji. Była to wiadomość, która znacząco poprawiła morale obrońców. Broglia był ponadsiedemdziesięcioletnim, skurczonym Piemontczykiem, na którym nawet świeże rany odniesione w bitwie nie robiły żadnego wrażenia. Słuchał rozmów z sardonicznym uśmiechem, a pod jego zaciśniętymi ustami widać było poważne braki w uzębieniu.

– Mustafa musiał nieźle odparzyć sobie dupę – powiedział. – Jakie warunki proponuje?

– Mustafa przysięga na swoją brodę – odparł Tannhäuser – na groby swych świętych przodków oraz na brodę Proroka, błogosławione niech będzie jego imię, że zapewni bezpieczną drogę każdemu obrońcy tego garnizonu, który jeszcze tej nocy zechce opuścić mury.

Le Mas wskazał na ohydne bagno rozkładających się ciał, które otaczało fort.

– Przysięgnij mu na brody jego kobiet, że znajdziemy jeszcze dość grobów i dla niego, i dla jego potomstwa.

– Bezpieczną drogę dokąd? – spytał Broglia.

Tannhäuser przekazał pytanie emisariuszowi. Sam przyjąłby tę ofertę bez zastanowienia.

– Do Mdiny – przetłumaczył po chwili. – Kto się stąd wycofa, nie będzie niepokojony.

– Można mu ufać? – indagował Broglia.

W sercu Tannhäusera pojawiła się nadzieja.

– Być może brzmią w waszych uszach komicznie, ale przysięgi Mustafy są śmiertelnie poważne, a do tego zostały złożone publicznie. Mustafa nie pozwoliłby sobie na bluźnierstwo w obecności żołnierzy. Poza tym na Rodos chyba dotrzymał słowa?

Broglia, podobnie jak de la Valette, należał do wąskiej i stale kurczącej się elity rycerstwa, której udało się przeżyć ową legendarną bitwę. Skrzywił się, jakby wspomnienie o kapitulacji wzbudziło gorzki smak na języku.

– Powiedz Mustafie, że postanowiliśmy zginąć tu, gdzie stoimy.

Tannhäuser odwrócił się, by bez entuzjazmu przekazać tę wiadomość.

Broglia powstrzymał go ruchem ręki.

– Albo jeszcze lepiej, niech jego wysłannik zginie tam, gdzie stoi. – Gubernator wskazał na niemiecką strzelbę z zamkiem kołowym, którą Tannhäuser trzymał pod ręką. – Zastrzel go.

Mattias mrugnął i dokładnie tyle czasu potrzebował na podjęcie decyzji: wykazanie się moralną wrażliwością w takim momencie nie podniosłoby jego wartości wśród rycerzy. Podrzucił strzelbę do ramienia i wycelował, emisariusz zaś, doskonale świadomy takiej możliwości rozwoju wydarzeń, wypatrzył ten ruch i natychmiast odwrócił się, by poszukać schronienia. Gdyby miał do czynienia ze strzelcem uzbrojonym w muszkiet z zamkiem lontowym, zapewne uszedłby z życiem. Niestety, zapłon w zamku kołowym następował praktycznie w chwili naciśnięcia spustu. Ołowiana kula trafiła nieszczęśnika w kręgosłup i cisnęła jego bezwładne ciało w dół, na ziemię po drugiej stronie rawelinu. Le Mas zarechotał, a jako że rozmowy pokojowe zakończyły się celnym strzałem, Tannhäuser postanowił wycofać się dyskretnie ku bramie. Zanim jednak zdążył się oddalić, zabrać Orlandu i skierować się ku nabrzeżu, zaproszono go na naradę wojenną w sali głównej, nie przyjmując wymówek.

Sala główna twierdzy – gmachu stanowiącego centrum fortu – nosiła wyraźne ślady niedawnych wydarzeń. Na sklepieniu widać było głębokie pęknięcia, a kratownica pod nim trzymała się tylko dzięki wbitym klinom. Na podłodze walały się sterty luźnego tynku, a w powietrzu podświetlonym świecami i lampkami wirowały drobiny kurzu. Na szczęście Stromboli spisał się znakomicie i już po chwili Tannhäuser opychał się świeżym mięsem jednej z owiec, które towarzyszyły mu w przeprawie przez Wielki Port. Posilał się w towarzystwie Broglii, le Masa, de Medrana, Mirandy, Aiguabelli, Lanfreducciego i Juana de Guarasa. Siedzieli, jedli i rozmawiali przy wspaniałym dębowym stole, nie zdjąwszy zachlapanych krwią pancerzy – na wypadek gdyby znów ogłoszono alarm. Skupiali się przede wszystkim na jednym zadaniu: jak przedłużyć obronę do maksimum, jednocześnie zadając Turkom jak najcięższe straty. Każdy z nich był wyczerpany i poraniony, ale dyskusja o nowej walce przywróciła im siły. Niezachwiana była ich wiara w to, że plan Boga doskonale pokrywa się z ich planami. Królowała wesołość, która jakoś nie udzielała się Tannhäuserowi. Ucztował z szaleńcami. Wreszcie kapitan Miranda, nie rycerz, ale hiszpański poszukiwacz przygód, zapytał go o opinię.

– Arabskie przysłowie mówi – odparł Tannhäuser – że armia owiec dowodzona przez lwa zwycięży nad armią lwów dowodzoną przez owcę.

De Guaras omal nie wstał na te słowa, ale Mattias czym prędzej zapewnił krewkiego Kastylijczyka, że nie on jest ową owcą.

– Gdyby Mustafa miał w sobie więcej cierpliwości i sprytu – ciągnął – które w równym stopniu jak odwaga są atutami lwa, zostawiłby tu, na stoku, kilka dobrze strzeżonych baterii, które ostrzeliwałyby to miejsce do spółki z działami z Porto delle Galere, a trzon armii przerzuciłby do oblężenia Borgo. Bez większych problemów nękałby fort z trzech stron, a wy nie dostalibyście więcej posiłków, szybko stracilibyście morale i jabłko, że się tak wyrażę, samo spadłoby mu z drzewa. Tylko fakt, iż utrzymanie Świętego Elma jest celem samym w sobie, sprawia, że bronicie fortu tak zaciekle. Gdybyście nagle stali się aktorami pobocznego widowiska… – Tannhäuser wzruszył ramionami.

– Mów dalej – wtrącił le Mas. – Czy ten pies jest wystarczająco przemyślny?

– Nie – odparł Tannhäuser. – Mustafa wykuwał swe metody działania podczas innych wojen, w minionych już czasach, a przecież nie da się zmienić cętek na futrze lamparta. W tej chwili powoduje nim głównie wściekłość oraz podniecenie, które towarzyszy posyłaniu ludzi na śmierć. Będzie kontynuował tę ofensywę aż do gorzkiego końca. Jako że zamordowaliście jego emisariusza – co samo w sobie jest nieopisaną obelgą – Mustafa zrobi wszystko, by wziąć fort za najbliższym szturmem. Czyli nie dalej niż za trzy dni, wedle mojej oceny.

W sali zapanowało coś na kształt przygnębienia i Tannhäuser pomyślał, że to najlepszy moment, by się oddalić, lecz le Mas położył mu dłoń na ramieniu. Niemiłosiernie posiniaczone ciało ledwie to zniosło i Tannhäuser omal nie krzyknął z bólu.

– Nawiasem mówiąc, piękny strzał – pochwalił go Francuz. – Zdjąłeś go, przyjacielu, jak przepiórkę.

– Z tej odległości trafiłbym go nawet tym stołem – odparł skromnie Tannhäuser.

Le Mas uśmiechnął się.

– Nie chwalę twojego talentu strzeleckiego, ale twojego ducha!

Rycerze roześmiali się i nastrój poprawił się znacznie. Wzniesiono toast za twarde serce Tannhäusera. Wszelkie próby umknięcia z towarzystwa zostały udaremnione, a gdy na stole pojawiła się znakomita brandy z Auch, Tannhäuser dał się nawet namówić na opowieści o dalekich wyprawach wojennych do Nachiczewanu i kraju szyitów, o Świątyni Jerozolimskiej, której nie widział żaden z nich, oraz o krwawej karierze Sulejmana. Utwierdzili się w swych uprzedzeniach na wieść o tym, że Sulejman rozkazał niesławnym milczącym eunuchom z seraju udusić dwóch swoich synów wraz z wnukami. Lecz jednocześnie ze zdumieniem odkrywali, jak bardzo podobne do ich reguł są święte zasady i

obyczaje janczarów. Ze wzruszeniem słuchali opowieści o tym, jak w tureckiej armii pełnił służbę Tannhäuser, który z kolei otwierając się przed nimi, nie czuł się już w tym towarzystwie tak obco. De Guaras spytał o przyczynę opuszczenia szeregów janczarów, ale Tannhäuser nie zamierzał odpowiadać szczerze – odrzekł, że na nowo odkrył Jezusa Chrystusa, i ta odpowiedź zadowoliła wszystkich. Nawet Bors nie znał prawdziwego powodu, albowiem spośród wielu mrocznych czynów, które napełniały Tannhäusera wstydem, ten jeden, który skłonił go do odejścia, był najbardziej niegodny.

Gdy wreszcie wyszedł z sali – cokolwiek chwiejnym krokiem – łodzie dawno już odpłynęły w mrok. Kładąc się na posłaniu pod murem kaplicy, z Orlandu skulonym u jego nóg jak czujny pies, Tannhäuser rozmyślał ze smutkiem o starcach z Religii – bo właśnie duchowymi starcami nazwał ich w myśli, jako że trwali w przywiązaniu do świata, który był już tylko dawno zwiędłym marzeniem. Rozmyślał też o Amparo, z całkiem innym i nowym bólem w sercu. Rozmyślał i o Carli, o jej zielonych oczach w czarnej oprawie, o jej jedwabnej sukni i o sercu męczennicy. I o Sabacie Svi bezpiecznym w Wenecji. I o pieniądzach, które mieli wspólnie zarobić. A na chwilę przed zaśnięciem przypomniał sobie jeszcze, że nie należy dać się uwieść szlachetnemu bractwu rycerzy, ich wspólnota była bowiem w istocie kultem śmierci, a on miał w życiu dość takich doświadczeń.

Następnego dnia, w piątek piętnastego, Turcy wznowili ostrzał artyleryjski. Zniszczeniu uległa piekarnia. Sześćdziesięcio- i osiemdziesięciofuntowe kule spadały na dziedziniec i w morderczym pędzie rozrywały na strzępy każdego, kto stanął na ich drodze. Skuleni za blankami i rozwalającymi się kurtynami, pokryci pyłem obrońcy krzątali się jak mrówki zaatakowane przez brutalne dzieci. Nikt nie wątpił, że koniec jest bliski. Tannhäuser postanowił, że ewakuuje się najbliższej nocy, bez względu na cenę.

Gdy zapadł zmrok, dobił targu z oficerem kierującym ruchem na nabrzeżu, skazując dwóch rannych na dłuższe leżenie na plecionkach opodal tylnej bramy fortu. Orlandu z trudem zszedł po stopniach, zdecydowanie przeciążony plecakiem i ekwipunkiem Tannhäusera. Przecisnęli się jakoś na skraj kei przez tłum niewolników dźwigających nosze i okaleczonych uchodźców i ułożywszy dobytek w strategicznym miejscu, czekali na łodzie.

– Dlaczego się wycofujemy? – spytał Orlandu.

– Wycofujemy? – powtórzył z oburzeniem Tannhäuser. – Zaczynasz gadać jak Bors. Jeśli tu zostaniemy, zginiemy, a choć jest to zamiar niezwykle popularny w tej okolicy, jakoś nie mieści się w moich planach.

– Wszyscy tu zginą? De Guaras? Miranda? Medran? – Orlandu umilkł, jakby własna wyobraźnia odebrała mu mowę. – Pułkownik le Mas?

Być może trudy bitwy tak zaćmiły mu umysł, że zaczął uważać swych bohaterów za nieśmiertelnych.

– Wszyscy oni – przytaknął Tannhäuser. – To ich wybór i ich powołanie, ale nie moje. Nie powinno być także twoim – dodał, ruchem brody wskazując na zatokę. – Gdzieś tam, za tym szaleństwem, czeka wielki świat, w którym ludzie tacy jak my mogą żyć godziwie i zostawić po sobie ślad ciekawszy niż inskrypcja na nagrobku. A jeśli chodzi o ścisłość, po żadnym z obrońców Świętego Elma nie zostanie nawet tyle.

– Zostaną imiona.

– Tylko nielicznych – ale jeśli tego chcą, to proszę bardzo. Ja już pożyłem dłużej niż Aleksander i jest to dla mnie większą pociechą niż dla niego to, że wszyscy pamiętają jego imię. Zresztą bez względu na to, ile jest warte jego imię, poeta Dante i tak wysłał go do trzewi piekła.

– Aleksander? – powtórzył Orlandu.

– Widzisz? Powinieneś się wstydzić swojej niewiedzy. Masz dość rozumu, żeby zdziałać coś więcej, a nie tylko ciągać w gównie balię pełną pomyj. A może sądzisz, że to osiągnięcie, z którego powinieneś być dumny?

Blask w oczach Orlandu przygasł nieco. Chłopak spuścił głowę, by ukryć urazę, którą poczuł, gdy dotarło do niego, jak niskie mniemanie ma o nim jego bohater. Tannhäuser poczuł żal, ale go nie okazał. Wiedział, że tak lepiej przysłuży się chłopakowi. Ten, kto chce mierzyć wysoko, musi najpierw dowiedzieć się, na czym stoi.

– Połącz swą żywotność z moją dobrą radą – powiedział – a przekonasz się, że istnieją na tym świecie większe przyjemności niż wielbienie męczenników.

– A jaki jest twój plan, panie? – zaryzykował Orlandu.

– Nasz plan, chłopcze.

Orlandu rozpromienił się. Zatem nie jest marudą, pomyślał Tannhäuser. I dobrze.

– Tak, nasz plan – powtórzył. – Ale jeśli nie wydostaniemy się z tego nabrzeża, będzie po nas, więc może o planach pogadamy później, bo oto nadpływają nasze łodzie.

Pierwsza z trzech pojawiła się na południowym wschodzie, srebrzyście połyskując miarowo poruszającymi się wiosłami. Droga Mleczna błyszczała nad Strzelcem, a księżyc, którego ubywało ledwie od dwóch dni, świecił już od godziny. Zatoka nie mogła więc być lepiej oświetlona. Łódź pełna ludzi i zapasów wiozła też, niestety, pokaźną beczkę pełną ognia greckiego, uwiązaną na śródokręciu. Stało się to boleśnie oczywiste, gdy znalazła się w odległości ledwie piętnastu sążni od nabrzeża, czyli w momencie, gdy odezwały się tureckie działa.

W jednej chwili Tannhäuser pojął sens budowy tureckiej palisady, której położenie wprawiało w zdumienie obrońców fortu. Wał z drewnianych bali, ziemi i koszy wypełnionych kamieniami ciągnął się od wschodniego zbocza Monte Sciberras aż do brzegu zatoki. I teraz dopiero stało się jasne, że właśnie przy jej końcu ulokowano baterię lekkiej artylerii i oddział strzelców tufeków. Było to miejsce doskonale osłonięte przed ostrzałem zarówno ze Świętego Elma, jak i Świętego Anioła. Jedynie błyski wystrzałów i smugi dymu zdradzały pozycję Turków. A także katastrofalne skutki ich ognia.

Deszcz drzazg, wody i luźnych części ciała pomknął od strony pierwszej łodzi, która na oczach wystraszonego Tannhäusera tonęła, wciąż młócąc wiosłami. Sekundę później beka łatwopalnego płynu, trafiona kulą i podpalona iskrą z lontu arkebuza jednego z żołnierzy, zmieniła się w żółty wulkan, który rozświetlił zatokę w promieniu ćwierci mili, posyłając we wszystkie strony strugi lepkiej, płonącej cieczy.

Wiele z owych ognistych pocisków pomknęło ku tłumowi rannych kłębiącemu się na nabrzeżu. Wokół Tannhäusera wybuchła panika. Okrzyki bólu mieszały się z wrzaskami rozpaczy, a plecione nosze z rannymi kolejno lądowały na bruku. Tannhäuser, którego znakomita pozycja na samym skraju kei nagle stała się najbardziej niebezpieczna, zaczął się przepychać w głąb lądu. W tym momencie dwie kule ognia wielkości pięści wpadły w sam środek tłumu, który natychmiast rozpierzchł się w zdrowym odruchu ucieczki, tworząc dwa kręgi biegnących w panice ludzi. Zderzenie owych kręgów było nieuniknione, a kiedy do niego doszło, zapanował nieopisany chaos, potęgowany przez pęd tych, których trafił ogień grecki i którzy szukali ratunku w wodzie. Napór tłumu był nie do zatrzymania. Tannhäuser, mimo swej siły, musiał się cofnąć. Wreszcie Droga Mleczna błysnęła nad jego głową i wpadł plecami do wody, która natychmiast wypełniła jego uszy, tłumiąc zgiełk panujący na nabrzeżu.

Przez krótką chwilę chłód morza wydawał mu się miły, zaraz jednak Tannhäuser zdał sobie sprawę, że idzie na dno pod ciężarem szamocącego się, niewiarygodnie ciężkiego balastu. Chłód sięgnął już nawet jego stóp, długie buty wypełniły się bowiem wodą. Wierzgnął nogami, ale z podobnym skutkiem mógłby wierzgać, gdyby zakopano go w piasku. Zdarł z głowy hełm i zaczął machać rękami, zupełnie straciwszy orientację w zimnej toni. Czuł, że otwiera się pod nim nicość. Płuca nie chciały go słuchać i wyraźnie zamierzały pęknąć, kurcząc się i rozkurczając we własnym rytmie. Panika ogarnęła Tannhäusera szybko jak błyskawica. Gdy woda zaczęła wdzierać się do jego nozdrzy i gardła, o dziwo odczuł to jako znaczącą poprawę. Ciemność, w której się zanurzał, przestała być zimna. Jego umysł czuł rozlewające się wolno ciepło, a wraz z nim ulgę, która wydawała się niepojęta.

Tannhäuser zobaczył przelotnie obraz Amparo. Zaraz potem usłyszał czysty i wyraźny jak dźwięk dzwonu głos matki, która wołała go po imieniu: Mattie…

A więc to jest to, pomyślał. To było moje życie. Aż tak źle się spisałem?

Mogłem gorzej, pomyślał. Ale to kosztowałoby mnie sporo wysiłku.

Obudził się, leżąc twarzą na mokrym bruku. Było ciemno i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś skacze mu po plecach. Słona woda popłynęła z jego ust, po drodze drażniąc zatoki. Nie mógł się ruszyć, a ból w plecach nie mijał. Wreszcie dotarło do niego, że żyje i że miejsce, z którego właśnie powrócił, było przesycone spokojem możliwym do osiągnięcia wyłącznie poprzez śmierć. Natrętne walenie między łopatki było jednak przesadą. Zebrał w sobie siły i zamachnął się łokciem w tył. Trafił w coś twardego i atak ustał. Czyjeś ręce przewróciły go na plecy. Leżał tak przez chwilę, oddychając ze świstem. Orlandu patrzył na niego i uśmiechał się spod mokrej czupryny.

– Ciągać w gównie balię pełną pomyj? – zacytował z satysfakcją chłopak. – O tak. A także wyciągać z wody balię sadła.

Piątek, 15 czerwca 1565 - Skała Amparo

Amparo siedziała na skalnym występie nabrzeża Świętego Anioła i obserwowała dwie podziurawione kulami łodzie, które zawracały na czarno-srebrnych wodach zatoki. Drżała w chłodzie nocy, a serce tłukło się boleśnie w jej piersi. Czuła się nieznośnie samotna i bardzo dziwił ją ten stan, dotąd bowiem samotność była jej najmilszą towarzyszką i prawdziwym domem.

Wiedziała, że Tannhäuser nie płynie żadną z tych łodzi. Nie było go też w żadnej z tych, które powróciły poprzedniej nocy. Obserwowała je, odkąd wrócił Bors. Obserwowała każde uderzenie wiosła, każdą zmarszczkę, którą wywoływały na powierzchni wody. Dlaczego Bors, a nie Tannhäuser? Z krwawego ładunku łodzi, które właśnie mijały jej posterunek, i z eksplozji, która niedawno rozświetliła całą zatokę, wnioskowała o jednym: nikt już nie może pomóc osamotnionemu fortowi po drugiej stronie tego akwenu. Wiedziała jednak, że Tannhäuser żyje. Ledwie parę chwil wcześniej widziała jego twarz. Znalazł wielki spokój i bardzo chciał, żeby o tym wiedziała. Potem zniknął i zaczęła się bać, bo nie umiała odnaleźć go w sercu, i przyszło jej do głowy, że umarł. I wreszcie znowu go poczuła. Nie był już taki spokojny, to prawda, ale przynajmniej żył. W tym momencie doszła do wniosku, że Tannhäuser nie umrze, dopóki będzie wiedział, że ona go kocha. Tylko że nigdy nie mówiła o swojej miłości. Jak mogła to zrobić? Żadne słowa nie wystarczały, by oddać to, co czuła. Skąd zatem Tannhäuser miał wiedzieć, co się dzieje w jej sercu? I jak mogła do tego dopuścić?

Wyjęła swój kamień wizji ze skórzanego futerału, który nosiła na szyi, przybliżyła oko do okularu i skierowała mosiężną tubę ku księżycowi. Poruszyła kołami z odłamkami witraża, ale nie zobaczyła niczego poza kalejdoskopem barw. Odkąd przybyła na tę wyspę, całkiem straciła moc widzenia.

Siedziała na skale tak długo, aż księżyc zakończył swą podróż po nocnym niebie i zawisł jakby zasmucony nad zachodnim skrajem świata. Wschodni horyzont purpurowiał już i w jego świetle zobaczyła czterdzieści tureckich okrętów, które zatrzymały się, tworząc potężny łańcuch biegnący w poprzek zatoki aż poza daleki cypel, na którym uwięziony był Tannhäuser. Na samym końcu półwyspu rozbłysły flary niczym ognista pętla wokół gardła Świętego Elma. Potężna salwa gruchnęła ze stoku góry, gdy w jednej chwili wystrzeliło cztery tysiące muszkietów. Galery zakołysały się na linach kotwicznych, gdy na ich burtach zagrały działa. Wydawało się, że oblicze Monte Sciberras wymiotuje ognistą treścią ziemi,

gdy jednym głosem przemówiła setka potężnych armat oblężniczych. A gdzieś w samym środku tego piekła stał jej kochanek.

Wielka plama rozlała się na stoku i Amparo szeroko otwartymi oczami – i z krwią zmrożoną w żyłach – patrzyła na dziesięć tysięcy żołnierzy ruszających do ataku z wyciem, które gwałciło jej duszę. Zza wyszczerbionych murów fortu odezwały się słabowite działa, a na tle nieba pojawił się wystrzępiony sztandar.

Amparo zrozumiała, że w swym szkle wizji widziała już te sceny. Niekończący się chaos. Rządy nierządu. Otchłań, w którą ciśnięto wszelką harmonię i strukturę. Uniosła znów mosiężną tubę i skierowała ku słońcu, które jeszcze nie wychynęło zza horyzontu. Pokręciła kołami. Kolory zawirowały i znieruchomiały. Zobaczyła czerwień, która zalała cały jej umysł. Myślała, że to krew, a potem na chwilę, straszliwą, niekończącą się, ale i prawdziwą chwilę, czerwień stała się suknią, suknią kobiety, która wisiała na końcu liny uwiązanej do jej szyi.

Szkło wizji wypadło z jej rąk na kolana. Przez moment była głucha na ryk dział i ślepa na blask ognia oraz narodziny nowego dnia. Nie czuła zapachu morza, a chłodna, poranna bryza przynosiła ból. Czuła na języku mętny, martwy, gorzki smak. Zimny jak stal. Zamknęła szkło wizji w skórzanym futerale, wstała i cisnęła je do morza.

Zniknęło bezdźwięcznie. I jakby wraz z utratą tego dziwnego przyrządu umarło w niej coś cennego, zaraz też narodziło się coś nowego. Mogła już stawić czoło przyszłości, nie próbując jej przewidzieć. Mogła też zmierzyć się z teraźniejszością jak nigdy dotąd: z nadzieją. Anioły ją opuściły. Nie wiedziała, jak zwrócić się z prośbą do wszechmogącego Boga, bo nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by to uczynić. Odwróciła się plecami do ziemskiego chaosu, zamknęła oczy i złożyła ręce.

– Proszę Cię, Boże – powiedziała. – Chroń mego ukochanego przed zgubą.

Otworzyła oczy. Zza samego szczytu krzywizny świata wyjrzało słońce, by rozpocząć wspinaczkę po zasiniaczonym chmurami niebie.

W odpowiedzi na swą modlitwę nie usłyszała wszakże niczego poza wściekłym hukiem muzułmańskich dział.

Sobota, 16 czerwca 1565 - Fort Świętego Elma – szańce – kuźnia

Najbardziej zaskakującym odkryciem, jakiego dokonał Orlandu, przyglądając się bitwie, było to, że w gruncie rzeczy jest to praca. Strach, smród, obrzydzenie, szał, przypadkowe napady paniki i radości, nienawiść, lojalność i odwaga – wszystko to uformowało w jego głowie fantastyczną wizję, wzniesioną na fundamencie opowieści, które słyszał przez całe życie. Opowieści były jednak krótkie i dlatego obraz bitwy w wyobraźni Orlandu składał się z nielicznych, za to bardzo ekscytujących chwil kryzysu i skrajnego dramatyzmu. Sześć, osiem czy dziesięć godzin zmasowanych walk składało się jednak przede wszystkim z ciężkiej fizycznej pracy, niewiele różniącej się od łupania skał w kamieniołomie w morderczym upale, z dodatkową atrakcją w postaci wrogów atakujących ze wszystkich stron. Była to najbardziej wyczerpująca praca, jaką kiedykolwiek wynaleziono, ale Orlandu, który dorastał, szorując galery, nie był nowicjuszem w harówce. Zdarzały się chwile, w których pojedynkujący się wojownicy przerywali walkę za wzajemnym przyzwoleniem, opierali się ciężko o włócznie jak o trzonki łopat i próbowali złapać oddech. Po chwili skinieniem głów dawali sygnał do dalszej pracy i walczyli tak długo, aż jeden z nich padł.

Pierwszy szturm tego dnia poprowadzili prawdziwi maniacy: diabły wcielone odziane w skóry lampartów, wilków i dzikich psów. Błyskając w słońcu złoconymi hełmami, zupełnie nie dbali o to, czy wyjdą z tej bitwy z życiem. Tannhäuser nazywał ich jajlarami i mówił, że żują haszysz, palą konopie i przez całą noc śpiewają, by podsycić bojowy szał. Niektórzy atakowali całkiem nago, z genitaliami dyndającymi swobodnie między nogami. Brodzili w bajorze odchodów i robactwa, tratując poczerniałe i nabrzmiałe zwłoki, którymi usiane było przedpole fortu, kopniakami otwierając sobie drogę przez stada sępów zbyt obżartych, by mogły unieść się w powietrze. Atakowali mury zbrojni w haki i drabiny, ginąc w zmasowanym ogniu arkebuzów i dział, jakby ich jedynym przeznaczeniem było napełnienie rowu własnym mięsem.

Podczas gdy ich niedobitki pełzły z powrotem ku zboczu góry, sfora derwiszów z wyciem rzuciła się w drogę do raju. Za nimi ruszyła piechota Azebów. A w oślepiającym blasku południowego słońca, przy wtórze muzyki i huku bębnów, do bitwy włączyli się janczarzy. Raz po raz nawała staczała się ze wzgórza ku niekończącym się kontrskarpom i niezdobytym murom, tylko po to, by się cofnąć jak krwawa fala odbita od szańców.

Nie było w tym sensu.

Tannhäuser postanowił, że uniknie trudów walki w pierwszej linii, wykorzystując swe umiejętności strzeleckie. Do swej strzelby z zamkiem kołowym dobrał jeszcze ze sterty zdobycznej musztry turecki muszkiet długolufowy i uciekając się do pomocy Orlandu, który ładował dla niego broń, skradał się za plecami pikinierów i przyczajony za otworami strzelniczymi siał spustoszenie wśród oficerów Lali Mustafy Paszy. Kilka razy mierzył i w samego Paszę, który z rawelinu kierował tym teatrem szaleństwa, mając przy sobie Turguta Reisa, ale Allah musiał go mieć w opiece. Choć Tannhäuser położył trzech jego gwardzistów, ani on, ani nikt inny nie mógł trafić Mustafy.

Dla Orlandu dźwiganie dwunastofuntowego muszkietu, dziesięciofuntowego worka z kulami i ciężkiego pojemnika z prochem było zajęciem niewiele mniej brutalnym niż ciąganie balii z jedzeniem, za to zacznie bardziej przerażającym i uciążliwym. Naładowanie i oddanie strzału z muszkietu wymagało wykonania dwudziestu dwóch czynności, z czego dwadzieścia jeden przypadało w udziale jemu. Pod ostrzałem zabawa ta zmieniała się w koszmar. Czuł wstyd za każdym razem, gdy broń nie wypaliła. Gdy przeładował i odrzut omal nie strącał jego idola z murów, sypały się na niego przekleństwa, a czasem i kuksańce. Tylce pik i łokcie były dla niego równie bezlitosne jak dawniej. Przegrzane lufy parzyły mu dłonie. Iskry sypały się za kołnierz napierśnika, który sam rozgrzewał się jak piec. Czarny proch strzelniczy piekł w oczy, a dym drapał w gardle. Chwilami zaczynał płakać, gdy zdarzyło mu się upuścić pojemnik z prochem. Nie wolno mu było strzelać, ponieważ byłaby to strata cennej amunicji. Lecz mimo chwilowych ataków złości Tannhäuser jakoś prowadził go przez to piekło. Słowami uznania i dobrą radą. Klepnięciem po plecach i uśmiechem. Żartem i odrobiną śmiechu. Nieostrożnymi spojrzeniami pełnymi czułości, której Orlandu nie zaznał nigdy w życiu.

Wir wojny przetoczył się między murami fortu od końca do końca. Gdy krwistoczerwony zmierzch zapadł wreszcie nad kolejną warstwą puchnących w upale trupów, muzułmanie pokłonili się przed wolą Allaha i wycofali, obrońcy zaś uklękli przy swej broni i chwalili Chrystusa. Orlandu nie miał już siły dla Zbawiciela. Położył się z głową opartą o blank i tuląc do siebie muszkiet, natychmiast zapadł w martwy sen. Zanim jednak zdążyło mu się coś przyśnić, czyjaś ręka poderwała go do pionu i przytrzymała mocno, póki nie odzyskał świadomości. Tannhäuser trzymał pod pachą strzelbę i muszkiet. Jego oczy były cienistymi zagłębieniami w czaszce.

– Chodź, chłopcze – powiedział. – Dotrzymasz mi towarzystwa, kiedy będę jadł.

Tego wieczoru Tannhäuser nie odzywał się wiele, ogarnięty melancholią. Gdy tylko Orlandu skończył posiłek, zasnął na gołej ziemi tam, gdzie siedział. Ocknął się

instynktownie w ciszy przedświtu i zobaczył wysoką sylwetkę Tannhäusera na dziedzińcu zalanym księżycowym światłem. Sen chciał go jeszcze zatrzymać, a obolałe ciało domagało się litości, ale potężniejsza siła kazała chłopcu wstać i iść za kapitanem, ostrożnie szukając drogi między niezliczonymi kulami.

Dogonił go u drzwi do warsztatu rusznikarskiego. Tannhäuser, który niósł w ręku hełm i lampę, wyglądał na rozbawionego, ale i zadowolonego z towarzystwa. Żaden z nich nie odezwał się, gdy wchodzili do środka. Tannhäuser zatrzymał się na progu i odetchnął głęboko powietrzem przesyconym wonią smaru, szmat, węgla i przypalonego drewna, znacznie przyjemniejszą od tego, czym oddychali na zewnątrz. Obserwowany bacznie przez Orlandu, podszedł do paleniska, odstawił lampę i odłożył hełm, a potem rozgarnął popiół, by odnaleźć żar. Rozbudził z niego ogień i przywołał chłopaka, by popracował miechami – z początku delikatnie – a potem pokazał, jak dorzucać węgla i odbudowywać warstwę żaru. Raz jeszcze Orlandu zdumiał się jego znajomością rzeczy i poczuł wstyd, że sam potrafi tak niewiele. Tannhäuser wyjął wyściółkę z hełmu i położył stalową skorupę w palenisku. Razem patrzyli, jak metal nabiera nowej barwy.

– Kiedy byłem w twoim wieku – rzekł Tannhäuser – uczyłem się właśnie tego rzemiosła. Chciałem być kowalem i nikim więcej, bo sądziłem, że to największa sztuka na świecie – wyjaśnił i wzruszył ramionami. – Niewątpliwie miałem rację, ale los chciał inaczej. Straciłem tę odrobinę wprawy, którą zdążyłem zyskać, lecz od czasu do czasu uspokajam się, mogąc własnoręcznie podkuć konia albo obrobić w płomieniach kawałek metalu. – Orlandu miał już spytać, dlaczego los chciał inaczej, ale Tannhäuser nie pozwolił mu dojść do słowa. – Zobacz, jak zmieniają się kolory. Podaj mi ten młotek.

Tannhäuser pochwycił hełm szczypcami i ułożywszy rozgrzany fragment na kowadle, zaczął kuć mniej więcej pięć cali od korony.

– Własny straciłem wczoraj w nocy w porcie i nie mogłem znaleźć nowego w odpowiednim rozmiarze – wyjaśnił, unosząc głowę znad kowadła. – A ty jesteś dobrym pływakiem. I silnym.

Orlandu pokraśniał z zadowolenia.

– Mógłbym cię nauczyć – odpowiedział.

Tannhäuser uśmiechnął się, nie przerywając kucia.

– Tak przypuszczam, ale teraz nie czas na naukę. Potrafiłbyś dopłynąć do Świętego Anioła, tak jak to robią posłańcy?

– O tak, z łatwością. – Trochę przesadził z tą łatwością, ale na pewno potrafił.

Tannhäuser ponownie rzucił hełm na palenisko i popracował miechem.

– Zatem właśnie to uczynisz. Tej nocy.

Orlandu spojrzał w jego błękitne, dziko płonące oczy. Poczuł mdłości, choć nie wiedział dlaczego. Potrząsnął głową.

– To rozkaz – dodał Tannhäuser.

Orlandu czuł ucisk w piersi i nie potrafił mu się oprzeć.

– Nie – odpowiedział.

– Nie masz dosyć bitwy? Zmęczenia i brudu?

– Służę tobie – upierał się Orlandu. Cofnął się o krok.

– To dopiero początek. Pierwszą zasadą służby jest posłuszeństwo.

– Nie jestem tchórzem. – Panika ogarniała z wolna Orlandu; czuł gorąco pod czaszką i lekki fałsz w słowach, które wypowiedział. Bał się, i to bardzo.

– To zupełnie jasne. Niemniej jednak musisz to zrobić.

– Niemniej jednak nie zrobię.

– Masz zadatki na fatalnego żołnierza.

Orlandu miał wrażenie, że to zniewaga, lecz o dziwo Tannhäuser wypowiedział te słowa z uznaniem. Przeniósł rozżarzoną stal z powrotem na kowadło i przez czas jakiś nie odzywał się, pochłonięty kuciem. Systematycznie rozciągał zmiękczoną ogniem stal w kierunku brzegu. Orlandu modlił się o zwycięstwo w tym sporze, bo gdyby musiał usłuchać Tannhäusera, czułby się jak wygnaniec. Na samą myśl o tym ogarnął go tak wielki strach, że chciało mu się wymiotować. Nigdy nie czuł takiego strachu, nawet wtedy, gdy pełzał w tunelu za plecami walczących. Obserwował dłonie Tannhäusera, wciągnięty hipnotycznym rytmem młotka i stopniowym ustępowaniem materii, która nie powinna była ustąpić.

– Potrzeba ziemi, wody, ognia i wiatru, żeby stworzyć stal – rzekł Tannhäuser. – W tym tkwi jej siła. Ojciec nauczył mnie, że Bóg stworzył ludzi z tych samych materiałów, lecz zmieszanych w innych proporcjach. A właśnie proporcje składników decydują o jakości stali. Ten hełm musi być twardy, nie elastyczny. Dlatego używam umiarkowanej temperatury i będę go hartował tylko raz. Miecz natomiast musi się uginać i nie pękać ani nie tracić kształtu. Lufa muszkietu musi wytrzymać potęgę eksplozji, które w niej zachodzą, i dlatego jeszcze inaczej miesza się jej składniki i innym poddaje próbom. Tak to jest. Rozumiesz?

Tannhäuser spojrzał na niego, a Orlandu pokiwał głową, znów rozpaczając nad własną ignorancją, a jednocześnie ekscytując się wiedzą nową, tajemną. Przerażenie mijało.

– Rozwiązywanie takich zagadek – ciągnął Tannhäuser – poznawanie nieskończonej różnorodności proporcji i dopasowywanie ich do właściwych zastosowań jest pracą na tysiąclecia. Zgromadzoną wiedzę ojcowie przekazują synom, mistrzowie uczniom, a

każdy nowy adept, jeśli ma szczęście, wzbogaca ją o coś nowego. I tak też powinno być z doborem składników, które tworzą charakter człowieka. Wiedza istnieje, trzeba tylko słuchać. Lecz ludzie są uparci i próżni w dążeniu do kształtowania siebie wedle własnych zasad; wolą zaufać głosowi instynktu niż radom mądrzejszych. – Tannhäuser uśmiechnął się, ale w lekko niepokojący sposób. – Jednak choć dorosłych nazywam upartymi, to – mimo iż trudno w to uwierzyć – jeszcze bardziej uparci są młodzi chłopcy.

Orlandu przestąpił z nogi na nogę i znowu ogarnęła go panika, zrozumiał bowiem, że daleko jeszcze do końca tej dyskusji. Spróbował zmienić temat.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytał z przesadnym zaciekawieniem.

Tannhäuser zaśmiał się, przejrzawszy w lot tę grubo ciosaną strategię. Odłożył poczerniały hełm na palenisko i zmienił młotek na mniejszy.

– Mój ojciec jest daleko stąd i modlę się, żeby jak najrzadziej niepokoiły go myśli o mnie. Ale ty, mój przyjacielu, nie uciekniesz przed tą rozmową. Przybyłem do tej przeklętej ruiny tylko w jednym celu: żeby zapobiec śmierci, czy to za Jezusa Chrystusa, czy za Jana Chrzciciela, czy za Religię, czy za cokolwiek innego. Przybyłem, żeby zabrać cię z powrotem do Borgo.

– Przybyłeś po mnie? – zdumiał się Orlandu.

Tannhäuser skinął głową.

– Dlaczego?

– Sam zadawałem sobie to pytanie wiele razy i znalazłem wiele rozmaitych odpowiedzi, ale żadna mnie nie zadowoliła. W pewnym momencie pytanie „dlaczego?" traci znaczenie. De Medran oddał dziś życie, podobnie jak Pepe de Ruvo. Miranda dostał kulę w pierś. Le Mas jest poparzony. I znowu można by spytać dlaczego, lecz w tym momencie nie ma to żadnego znaczenia. Popłyniesz do Borgo, jeśli nie dlatego, że ci rozkazuję, to dlatego, że cię o to proszę. Pójdziesz do Oberży Angielskiej. Będziesz służył Borsowi i signorze Carli aż do mojego powrotu.

– Ale czy ty wrócisz? Ostatniej nocy łodzie zmieniły się w drzazgi, a ty… przykro mi to mówić, ale ty nie umiesz pływać.

Tannhäuser wydobył hełm z paleniska, zmarszczył brwi i zagrzebał go w popiele, by ostygł.

– Mam własny sposób na to, by się stąd wydostać, ale ty nie możesz z niego skorzystać. A teraz rób, co mówię. Idź.

Oczy Orlandu wypełniły się łzami, a smutek ścisnął za gardło tak mocno, że nie pamiętał większego bólu. Do rozpaczy dołączył strach, znów graniczący ze ślepą paniką. Miał

stracić Tannhäusera na zawsze. Wcześniej nigdy nie miał nic do stracenia. Cóż pocznie bez niego? Te dni, które spędzili razem, mimo szaleństwa i wyczerpania, były najcenniejsze w jego życiu. Najpełniejsze. Najdroższe. Zanim pojawił się Tannhäuser, nie było nic. Pamiętał tylko pustkę. Zostać wyrzuconym, powrócić do tej pustki – to wydawało mu się gorsze od śmierci. Tannhäuser położył dłonie na jego ramionach i schylił się tak, że ich twarze znalazły się na jednej wysokości. Oczy, które spoglądały na niego tak przyjaźnie i uśmiechały się tyle razy, teraz były zimne jak niebieskie kamienie.

– Potrzebuję cię w Borgo. Tu nie ma dla ciebie miejsca. Nie chcę, żebyś tu został.

Tannhäuser popchnął go lekko i odwrócił się ku palenisku.

– A teraz już idź.

Orlandu przełknął łzy i nagle poczuł, że ogarnia go niepohamowana wściekłość. Słowa i myśli zniknęły w gąszczu emocji, które rozsadzały jego pierś. Odwrócił się i wybiegł z warsztatu wprost na dziedziniec. Biegł dalej, już nie kontrolując szlochu. Minął bramkę i pognał kamiennymi schodami w dół, obok dwóch drzemiących wartowników. Patrzyli na niego z absolutnym brakiem zaciekawienia, który towarzyszy zawsze przemęczeniu. Orlandu stanął na brzegu, dysząc ciężko, i zapatrzył się w wodę.

Tylko jedna myśl pojawiła się w chaosie uczuć. Zrzucił buty, portki i koszulę. Skoczył w wody portu, dobrze pamiętając to miejsce. Za czwartym zejściem na dno, dwanaście stóp pod powierzchnią, jego palce wreszcie trafiły na cel, ale musiał się wynurzyć z pustymi rękami, by zaczerpnąć powietrza. Następnym razem znalazł od razu to, czego szukał. Wypłynął na powierzchnię i wdrapał się z powrotem na nabrzeże, ściskając w ręku hełm Tannhäusera.

Usiadł, trzymając go na kolanach, i własną koszulą wytarł stal z mułu i zielska. Skoro musiał odejść, chciał przynajmniej uczynić coś, co sprawi, że Tannhäuser będzie z niego dumny i uśmiechnie się jeszcze raz. Coś, co wymaże wspomnienie tych lodowato zimnych, kamiennych oczu. I dziecinnych łez, które tak paliły oczy. Polerując stal tak, że zaczęła lśnić w blasku księżyca, zatrzymał się nagle w połowie ruchu, tknięty myślą tak nagłą i przerażającą, że żołądek skurczył się w nim w jednej chwili.

To on, Orlandu, jest tym chłopcem, którego szuka hrabina. A Tannhäuser jest jej najemnikiem. Nie obchodzi go Religia. Ani Chrystus. Ani Orlandu. Orlandu jest ledwie towarem, czymś, co można sprzedać i przekazać dalej, wiecznym pionkiem w grach innych ludzie, od niepamiętnych czasów. Od dnia, w którym się urodził. On sam nie znaczy nic. Wściekłość powróciła i zaczęła pożerać go od środka.

Wciągnął spodnie i za wielkie buty. Gdy ponownie usłyszał brzęk młotka, zdał sobie sprawę, że znowu jest w warsztacie, choć zupełnie nie pamiętał, w jaki sposób tam dotarł. Ledwie mógł oddychać, ale nie z wyczerpania biegiem, tylko z gniewu i bólu serca. Tannhäuser uniósł głowę znad kowadła, zobaczył go i zamrugał ze zdziwieniem.

Orlandu rzucił hełm, który zaklekotał na kamieniach u stóp Tannhäusera.

Zmagając się z potrzebą płaczu, powiedział:

– Już ci nie służę. I zostanę tutaj, bo jestem wolny. Zginę jak mężczyzna, za Religię.

Nie czekał na odpowiedź. Gniew już w nim dogasał, a jego miejsce zajęło przemożne pragnienie: chciał, by Tannhäuser objął go i przytulił. Wybiegł, by uciec przed mętlikiem rozsadzającym mu czaszkę. Na zewnątrz przysiadł pod ścianą, objął kolana ramionami i spróbował powrócić do tego stanu umysłu, którym cieszył się przed niedawnymi wydarzeniami. Zanim Tannhäuser przywołał go ruchem ręki na polu umarłych. Zanim poznał dopust Boży miłości. Signora Carla jego matką? Nie wierzył w to. Jego matka była kurwą, jak powtarzał mu Boccanera tysiąc razy, wspierając swe słowa kopniakiem. Dziedzińcem szli rycerze. Zmierzali do kaplicy, na mszę o świcie. Orlandu znowu usłyszał młotek Tannhäusera i poczuł się opuszczony.

Agoustin Vigneron zatrzymał się przy nim.

– Chodź do kaplicy, chłopcze – powiedział, spoglądając w dół. – Ukoisz swoje smutki. Mamy dziś niedzielę, święto Trójcy Przenajświętszej.

Czwartek, 21 czerwca 1565 – Boże Ciało - Il Borgo – fort Świętego Elma

Ciemność na krótko przed świtem wydawała się tej nocy bardziej nieprzenikniona i bardziej ponura, nie obiecywała niczego, a słońce, gdy już wstało, było blade i chore. Albo też, rozmyślała Carla, jest to tylko zaklęcie rzucone przez tysiące ponurych serc próbujących świętować mimo widma zagłady. Z trudem obudziła Amparo i ubrała ją jak dziecko, pochłoniętą czarną melancholią, która prawie nie pozwalała jej wstać z łóżka. Także Bors nie ocknął się prędko z opiumowo-alkoholowego snu, w którym pogrążał się bardziej z rozpaczy niż z bólu wolno gojących się ran. Przygnębienie Carli spowodowane poczuciem winy za los, który zgotowała Tannhäuserowi, było nie mniej dotkliwe. Ktoś jednak musiał zająć się głoszeniem Chrystusowej miłości i cieszyła się, że właśnie na niej spoczywa to zadanie. Kazała Borsowi przysiąc, że dopilnuje udziału Amparo w procesji, która mogła przywrócić jej ducha. Potem zaś wyszła z oberży, ubrana w czarną suknię i czarny welon.

Ojciec Lazaro zaprosił ją, by dołączyła do braci ze szpitala i do rannych, którzy byli w stanie chodzić o własnych siłach. Choć wcale o to nie zabiegała, stała się w infirmerii szanowaną postacią. Pacjenci pragnęli jej modlitw i towarzystwa. Wzywali jej imienia w najczarniejszych godzinach nocy. Jeżeli któryś przeżył wbrew rokowaniom chirurgów, przypisywał ocalenie jej mocy. Gdy umierali, trzymając ją za rękę, nie wątpili, że zostaną wpuszczeni przez Bramę Niebios. Carla jednak nie wierzyła, by cokolwiek było jej zasługą. Wiedziała, że jest tylko medium bożej miłości, lecz i to wystarczyło, by wprawić ją w swoistą ekstazę.

Posępny nastrój panował w mieście głównie za sprawą bohaterskiej obrony Świętego Elma. Tak długi opór fortu nazywano cudem, a upadku spodziewano się w każdej chwili. Wsparcie, które obiecał Malcie Garcia de Toledo, miało dotrzeć dwudziestego, ale nie dotarło i nikt już nie spodziewał się pomocy. Wszystkie modlitwy ofiarowywano za dusze męczenników ze Świętego Elma oraz za dusze tych, którzy wkrótce mieli do nich dołączyć. Z pękającym sercem Carla modliła się za Mattiasa i jego zbawienie, a także za Orlandu, swego syna, którego znała tak krótko i nie rozpoznała, a którego mimo wszystko kochała.

Procesja z okazji Bożego Ciała była tak uroczysta, jak tylko było na to stać umęczoną ludność miasta. Poza żołnierzami pełniącymi wartę zjawili się na niej wszyscy chrześcijanie zdolni do samodzielnego poruszania się, a także wielu spoczywających na noszach. Ulice wypełniły się szczelnie, gdy procesja ruszyła krętą drogą do kościoła Świętego

Wawrzyńca. Wielki mistrz prowadził swych rycerzy jako eskortę Najświętszego Sakramentu – Corpus Christi, Ciała Chrystusowego – niesionego we wspaniałej złotej monstrancji przybranej liliami. Wielu płakało na ten widok, zdumiewające było bowiem przetrwanie kwiatów na tej ziemi jałowej, w którą zmienił się ich świat. Obraz Matki Boskiej z Philermo, przybrany czerwonym adamaszkiem i perłami, a także wizerunek Matki Boskiej z Damaszku niesiono wysoko w górze. Mężczyźni przebrani za demony udawali przerażenie na widok Boskiej Osoby. Na czele procesji, przed kapłanem z monstrancją, maszerowały dzieci przebrane za aniołki i śpiewające Panis Angelicum niczym Dziewięć Chórów Niebieskich.

Procesja zatrzymywała się od czasu do czasu, a wtedy kapłan kropił wiernych wodą święconą i rozbrzmiewała melodia hymnu Tantum ergo Sacramentum świętego Tomasza z Akwinu. Płonęły świece i dymiły kadzidła, a małe dziecko prowadziło owieczkę na czerwonej wstążce. Powiewały sztandary z portretami świętej Katarzyny, świętej Juliany, Jana Chrzciciela oraz Matki Boskiej. Bracia ze Świętej Infirmerii nieśli cenny sztandar z Rodos, na którym widniała podobizna Madonny z Dzieciątkiem oraz motto: Afflictis tu spes unica rebus.

Orkiestry grały i dzwony dzwoniły, a wszystko to przy wtórze tureckich dział oblężniczych grzmiących po drugiej stronie zatoki. Gdy procesja wchodziła na plac przed kościołem Świętego Wawrzyńca, wydawało się, że moc Boga płynie w ludziach jak święta rzeka, podnosząc ich na duchu wbrew wszystkim cierpieniom. Wśród dwudziestu tysięcy mieszkańców i obrońców Il Borgo nie było nikogo, kto chciałby znaleźć się w innym miejscu świata, ponieważ wszyscy wiedzieli, że tu, inaczej niż gdziekolwiek indziej na tej upadłej ziemi, Baranek Boży kocha wszystkich.

Wracając z mszy, Carla dostrzegła w tłumie Amparo. Otępienie zniknęło z jej oczu, a skóra znowu błyszczała jak dawniej, ciało zaś na powrót zyskało kocią sprężystość. Amparo zniknęła po chwili, ale jej widok podniósł Carlę na duchu. Poszła do infirmerii, by modlić się za rannych, za Mattiasa i za swego syna.

Powaga wielkiego święta chrześcijan nie zakłóciła jednak codziennego rytuału. Choć niewielu było świadków tego zdarzenia, jeśli nie liczyć wartowników, trzydziesty drugi niewolnik muzułmański został zabrany z lochu. Zakneblowany węzłem liny, by z jego pogańskich ust nie padło ani jedno bluźniercze słowo, dotarł na miejsce kaźni okrężną drogą, z dala od procesji. Strażnicy zmusili go do wejścia po schodach na mury, pod szubienicę nad Bramą Prowansalską, a tam założyli mu na szyję pętlę i patrzyli, jak umiera.

Tymczasem po drugiej stronie zatoki, w dymiącym kraterze zwanym fortem Świętego Elma, Tannhäuser poszukiwał Orlandu. Odnalazł go pochłoniętego pracą u boku

maltańskich żołnierzy. Nosili kawały skał na szczyt wału w zachodnim wyłomie, w zabójczym upale i asyście potężnej chmary much. Chłopak był półnagi, spocony i pokryty pyłem. Gdy zszedł na dół, Tannhäuser postawił garnczek konfitur pigwowych na głazie, który zamierzał dźwignąć. Orlandu zatrzepotał powiekami, jakby chciał rozwiać miraż, a potem wyprostował się i spojrzał na swego byłego pana.

– To – rzekł Tannhäuser, wskazując na konfitury – jest obiekt największego pożądania w całej tej kompanii. Twoi towarzysze walczyliby o niego bardziej zażarcie niż o utrzymanie tego wyłomu, gdyby tylko wiedzieli o jego istnieniu. Co powiesz, jeśli zaproponuję, żebyśmy razem wykończyli zawartość tego garnuszka?

Orlandu otarł usta wierzchem dłoni, w milczeniu spoglądając na naczynie. Tannhäuser podniósł je z kamienia i cisnął w powietrze. Ręce Orlandu wystrzeliły natychmiast, by złapać garnuszek, nim roztrzaskał się o ziemię. Tannhäuser roześmiał się, a chłopak odpowiedział mu krzywym uśmiechem.

– No chodź. Przestańmy już boczyć się na siebie jak kobiety. I znajdź pocieszenie w tym, że nikt nigdy nie sprzedał swej dumy za wyższą cenę.

Podczas gdy Turcy ostrzeliwali i bombardowali fort ze wszystkich czterech stron świata, Orlandu konsekwentnie unikał Tannhäusera w dzień i w nocy. Oczywiste było, że jego uczucia zostały zranione i że w swej duszy Południowca wciąż przeżywa wyimaginowane obelgi. Tannhäuser pozwolił więc, by ciężka praca wyciszyła jego emocje. Miał go na oku i strzegł przed niebezpieczeństwem, zaprzęgając do tego zadania kilka postronnych osób. Teraz zaś zaprowadził go do kuźni, którą po niedawnej śmierci rusznikarza uznał za swoje królestwo. Trzy dni samotności przy kowadle, poświęcone na naprawę uszkodzonych części pancerza i pławienie się w nostalgii, wystarczyły, by przywrócić mu dawny spokój. Wielkie nowiny z frontu – o tym, że Miecz Islamu, Turgut Reis, został śmiertelnie ranny w głowę podczas ostrzału artyleryjskiego z fortu Świętego Anioła – docierały do niego jedynie jako echo głosów z dalekiej krainy. Kres męki garnizonu Świętego Elma był już bliski. Wedle obliczeń Tannhäusera koniec tego tygodnia miał być również dla Mustafy końcem oblężenia. Nadszedł więc czas, by namówić chłopaka do ewakuacji.

Tannhäuser zaparzył nad paleniskiem resztkę kawy i niezrażony ogniem armatnim mierzonym w donżon nad ich głowami, a powodującym odpadanie tynku ze stropu, drewnianą łyżką jadł konfitury, dzieląc się z Orlandu, przy czym obaj musieli się powstrzymywać, żeby nie szlochać z rozkoszy. Tannhäuser nie naciskał zbytnio, kult śmierci wciągnął bowiem chłopaka bez reszty i jego intencje były całkiem jasne. Orlandu przeszedł więc do kontrofensywy.

– To ja jestem tym chłopcem, którego szukacie, urodzonym w wigilię Wszystkich Świętych, prawda? – spytał.

– Ty nim jesteś – potwierdził Tannhäuser.

– Skąd o tym wiesz?

– Zostało to zapisane przez księdza, który cię ochrzcił, a potwierdzone przysięgą przez człowieka nieskazitelnego charakteru. Jesteś Orlandu Boccanera.

– Odrzuciłem to nazwisko, bo człowiek, który je nosił, był świnią i ojcem świń, a nigdy nie uznał mnie za własnego syna. Sprzedał mnie skrobaczom galer jak muła. Dlatego umrę jako Orlandu di Borgo – dodał, spoglądając na Tannhäusera jakby w oczekiwaniu na sprzeciw.

– Zatem niech będzie Orlandu di Borgo – zgodził się Tannhäuser. – Choć mógłbyś nosić inne nazwisko, bardziej prawdziwe, gdyby starczyło ci rozumu.

– Więc to prawda? Rzeczywiście jestem bękartem signory Carli?

– Jesteś jej synem.

– Boccanera mówił, że moja matka była kurwą.

– Być może za taką ją uważał, jeśli w ogóle wiedział, o kim mówi, w co szczerze wątpię. Zresztą nie był odosobniony w tej opinii. Ludzie i świnie takie jak on surowo traktują kobiety, które poświęcają swą cnotę na ołtarzu miłości.

– Prawdziwej miłości?

– Znam signorę Carlę – odparł Tannhäuser. – Nie oddałaby swojej cnoty za nic mniej wartościowego.

Orlandu odwrócił wzrok, wyraźnie zaabsorbowany i podekscytowany.

– A mój ojciec? Kto jest moim ojcem?

Tannhäuser spodziewał się tego pytania i zamaskował odpowiedź uśmiechem.

– To tajemnica, którą signora Carla zachowuje dla siebie, bo takie jest prawo kobiety.

Orlandu jednak najwyraźniej już przemyślał tę sprawę.

– Jeden z rycerzy Religii, prawda? Taka dama nigdy nie… nie poświęciłaby cnoty dla pośledniejszego mężczyzny.

– Jestem pewien, że jej gust w tej materii jest jak najbardziej wyrafinowany.

– Może to jeden z tych bohaterów, którzy bronią teraz Świętego Elma? Albo Borgo?

Widząc rozradowanie chłopca, Tannhäuser całkiem nieoczekiwanie poczuł w sercu smutek.

– Nie wątpię, że twój ojciec był nieprzeciętnym człowiekiem – powiedział.

– Wobec tego w moich żyłach płynie szlachetna krew? – upewnił się Orlandu.

– Jeśli tak chcesz to nazwać… Ale ci, którzy się nią chełpią, cenią ją ponad inne cnoty, ja zaś uważam, że krew ma niewielkie – lub zgoła żadne – znaczenie. Jezus i Jego uczniowie byli prostymi ludźmi, podobnie jak Paracelsus i Leonardo, a także znakomita większość geniuszy wszystkich epok. Z drugiej zaś strony całe zastępy skończonych łajdaków twierdzą, że są szlachetnego rodu. Wyższość umysłu i charakteru – jeśli przyjmiemy je za miarę ideału szlachectwa – nie płyną w naszych żyłach, ale wyrastają z tego, w jaki sposób kierujemy własnym życiem. Wracając do twojego pytania, odpowiem, że wedle wszelkich prawideł możesz tak twierdzić.

Orlandu zawahał się, jakby walczył z nierozsądną myślą, która prześladowała go bardziej dotkliwie niż wszystkie inne.

– Ale ty nie jesteś moim ojcem – wypalił wreszcie.

Tannhäuser uśmiechnął się znowu wzruszony.

– Nie, choć byłbym bardzo dumny, gdyby tak właśnie było. Jeśli jednak dopisze nam szczęście, być może stanie się możliwy pewien wariant takiego układu.

Była to myśl zbyt zawiła, by chłopak mógł ją ogarnąć, a Tannhäuser nie zamierzał zagłębiać się w szczegóły.

– Ale dlaczego on nie jest z tego dumny?

– Kto?

– Mój ojciec.

– O ile mi wiadomo, on nawet nie jest świadom twojego istnienia. Twoja matka nigdy mu o tym nie powiedziała, by ocalić jego honor. – Widząc nowe pytania w oczach Orlandu, Tannhäuser dodał: – Nie myśl źle o signorze Carli ze względu na to, że cię opuściła. Nie było to jej życzeniem. Potężni ludzie pozbawili ją wyboru w tej sprawie i potraktowali z najwyższym okrucieństwem, gdy była niewiele starsza niż ty teraz.

Orlandu przyjął te słowa z powagą i pokiwał głową.

– Twoja matka przebyła długą drogę i wiele ryzykowała, żeby cię odnaleźć. Wiem, że zawsze nosiła cię w sercu.

Orlandu mrugnął dwa razy, a Tannhäuser pomyślał, że być może to właśnie jest odpowiedni moment, by odesłać chłopaka do Il Borgo. Z perspektywy czasu widział, że był głupcem, nie odkrywając kart przed Orlandu wcześniej. Gdyby to zrobił, być może nie tkwiliby tutaj, tylko żeglowali ku Europie. Nie było jednak czasu, by rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Byli tu i teraz. Pomyślał też, że chłopak sam powinien dojrzeć do decyzji.

– Szlachcic czy kowal, każdy musi realizować swoje przeznaczenie najlepiej jak potrafi – rzekł, wstając. – A skoro już o tym mowa, mam tu trochę roboty i jeśli chciałbyś mi pomóc, na pewno się przydasz.

Spędzili dzień, kując wgniecione blachy i naprawiając zablokowane łączenia zbroi, a dla każdego z nich były to najszczęśliwszy godziny od niepamiętnych czasów. O zachodzie słońca Orlandu poszedł do kaplicy, by wysłuchać mszy i przyjąć komunię, a także podziękować za poznanie własnej przeszłości. Tannhäuser dokończył naprawę zgiętej nałokcicy i zarękawia, a potem napił się brandy i zapadł w sen, ułożywszy się na cienkim sienniku rzuconym wprost na kamienie. Ocknął się z niebytu przy bladym świetle gasnącego paleniska, ale wciąż wydawało mu się, że trwa piękny erotyczny sen, Amparo stała bowiem w półmroku i patrzyła na niego.

Poderwał się, skrywając nieźle, jak mu się zdawało, wszelkie oznaki bólu stawów i mięśni. Spodziewał się, że gdy spojrzy ponownie, zjawa zniknie, ale stało się inaczej.

Amparo była owinięta wystrzępionym, karmazynowym płaszczem rycerskim ozdobionym znakiem krzyża. Włosy ociekające wodą przylegały ciasno do jej głowy. Smukłe ramiona i muskularne łydki były nagie, a stopy pokryte mokrym piachem. Luźny lniany materiał przywarł do wzgórków jej piersi i Tannhäuser wiedział od razu, że pod nim znajdzie już tylko ciało. Nie umiał zapanować nad podnieceniem. W rozcięciu między połami płaszcza widział białą skórę na obojczykach i długą, opaloną szyję. Oczy dziewczyny błyszczały jak rozżarzone węgle, a twarz sprawiała wrażenie pogrążonej w mistycznym transie. Zastanawiał się, jak długo Amparo stała nad nim, gdy spał.

Rozejrzał się po kuźni. Byli sami. Spojrzał jej w oczy i tylko w ciszy jego umysłu pojawiły się pytania, których nie musiał zadać, bo znał odpowiedź. Przepłynęłaś zatokę? Kto cię zaprowadził do kuźni? Dlaczego? Była tu. Szukał w sobie gniewu, żeby ją skarcić, w żadnym bowiem razie nie potrzebował kolejnej podopiecznej, ale znalazł tylko zadowolenie. Wsunął prawą rękę w rozcięcie płaszcza i dotknął talii Amparo.

Jej skóra była chłodna i gładka, prawie sucha. Mięśnie, które wyczuł, dotykając kciukiem poniżej żeber, były napięte. Odgarnął z jej policzka kosmyk mokrych włosów, a potem ułożył dłoń na jej potylicy. Emocje tak silne, że aż bolesne, rozsadzały jego pierś. Nie musiała, ale przybyła tu jak anioł, żeby dać mu siłę. Jej dotyk, samo jej istnienie były tak delikatne, tak cudowne, tak skrajnie inne od wszystkiego, co go otaczało, że jego zmysły nie mogły tego znieść. Nogi ugięły się pod nim i przez chwilę lękał się, że upadnie. Amparo otoczyła go ramionami.

– Oprzyj się na mnie – powiedziała.

Usłuchał i z mocą przyciągnął ją do siebie.

– Amparo…

Jej usta otwarły się, a on pochylił się nad nią i ucałował je, wtulając się w nią jeszcze mocniej, jakby chciał wcisnąć jej ciało do wnętrza własnego. Poczuł jej palce pod koszulą i wiedział już, że ona pragnie tego samego. Jego broda zaszeleściła na jej skórze. Położył dłoń na jej plecach, dając jej poczuć na brzuchu twardość swojego członka. Uniosła jedno kolano i oplotła go nogą, tuląc się do niego z namiętnością naiwną i radosną zarazem.

Oderwał od niej usta i raz jeszcze spojrzał jej w oczy. Była nieskazitelna. Była prawdziwa. Przesunął dłonie na jej piersi, wyczuwając pod nimi odrobinę morskiej wody, a wszelkie wspomnienia o tym, jak były cudowne, musiały ustąpić w pokorze przed ich rzeczywistym pięknem. Miłość i pożądanie stały się jednym, a każda z tych sił była wystarczająco potężna, by nim zawładnąć. Tannhäuser ściągnął czerwony płaszcz z ramion Amparo i zaczął ssać jej sutki, pieszcząc jednocześnie jej srom, aż drżąca przywarła do niego jeszcze mocniej, mrucząc z rozkoszy wprost do jego ucha. Odwrócił ją, widząc nieobecne, pełne ekstazy spojrzenie, pochylił i oparł o zimną stal kowadła. Rozwiązał troki spodni i obnażył się, a dziewczyna uniosła się na palcach, by go przyjąć. Ugiął kolana i wszedł od dołu. Jej stopy oderwały się od kamiennej podłogi i wezwała Boga. Konwulsje ogarniały ją przy każdym jego powolnym ruchu. Odrzuciła głowę do tyłu i trzepocąc powiekami, jęczała raz po raz, aż wreszcie potężnym skurczem zacisnęła się na nim i wtedy wytrysnął we wnętrzu jej ciała. Razem opadli na leżący na ziemi płaszcz. Tannhäuser utulił ją w ramionach i głaskał w milczeniu, a Amparo szlochała.

Nie pytał, dlaczego płacze, bo wątpił, żeby zechciała mu odpowiedzieć. Gdy się uspokoiła, wstał, rozpalił ogień i rozebrał się do końca, a potem kochali się jeszcze raz na karmazynowym rycerskim płaszczu. Oddawała mu się jak dzikie, niczym nieskrępowane zwierzę, a on odwzajemniał się jej tym samym. Nie odzywali się, albowiem całe to okrutne szaleństwo, które otaczało kuźnię ze wszystkich stron, było dziełem ludzi i ich słów, zniekształconych słów bogów. Nie potrzebowali więcej kłamstw. Nie potrzebowali słów.

Rozbawił ją, błaznując, i śmiali się razem, a potem, mokrzy od jego potu, dotykali się nawzajem w zdumieniu, jakby widzieli się pierwszy raz. Tannhäuser upiekł na żarze kawałki chleba z cukrem, a kiedy zjedli, zaparzył herbatę w starym hełmie. Amparo dotknęła ustami wszystkich tatuaży na jego ciele: koła o ośmiu szprychach, miecza Zulfikar, półksiężyców i wersetów ze Świętej Księgi. Zaśpiewała mu piosenkę w dialekcie, którego nie rozumiał, ale świetnie wyczuwał jego nastrój. Zrewanżował jej się, recytując tureckie gazele i

pieszcząc przy tym jej ciało. Znowu się kochali, a kiedy skończyli, nasyceni ułożyli się na sienniku i patrzyli, jak przygasa żar w palenisku.

Wreszcie Tannhäuser usłyszał, że na dziedzińcu zaczął się ruch, i nago podszedł do drzwi, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Mnisi w zbrojach maszerowali w stronę kaplicy, by modlić się jeszcze przed nadejściem świtu. Tylko nieliczni nie kuleli, wielu zaś musiało podpierać się drzewcami pik lub korzystać z pomocy towarzyszy. Noc dobiegała końca, a jej zaklęcie wkrótce miało stracić moc. Wszystko, co działo się przez te godziny i wydawało się wiecznością, stało się teraz krótką chwilą i Tannhäuser nie po raz pierwszy zadumał się nad paradoksem czasu.

Wrócił do kuźni, ubrał się i owinął Amparo płaszczem. Wziął ją na ręce, a ona zamknęła jego twarz w dłoniach. Tak niósł ją pod gwiazdami przez jałową równinę dziedzińca, czując się, jakby trzymał w ramionach istotę z innego świata, gdzie nie istnieje przemoc i gdzie wszystkie stworzenia żyją dobrocią. Wydawało mu się, że dziewczyna waży nie więcej niż wiatr. Przeniósł ją pod tylną bramą i zniósł na nabrzeże po wykutych w skale schodkach. Pocałował ją na pożegnanie, spojrzał ostatni raz i nie chciał, bardzo nie chciał, żeby odpłynęła. Wiedział jednak, że musi to uczynić, zanim tureckie działa uczynią przeprawę zbyt niebezpieczną. Nie opierała się, gdy postawił ją na kamiennej kei.

– Strzegę cię – powiedziała. – Wiedziałeś o tym?

– Raz czy dwa czułem twój oddech na policzku – odparł.

Pogładziła jego twarz, brodę i usta, spoglądając nań wilgotnymi, ciemnymi oczami.

– Kocham cię – powiedziała.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Nie odpowiedział i nie miał pojęcia dlaczego. Chyba nie wiedział jak. Amparo zsunęła z ramion płaszcz i upuściła na ziemię. Przez chwilę stała przed nim naga i jasna jak posąg z kości słoniowej. Pocałował ją ostatni raz i cofnął się. Odwróciła się, skoczyła do wody i odpłynęła, a Tannhäuser żałował, że nie powiedział jej nic więcej.

Z kaplicy dobiegał śpiew, a od strony góry wołanie muezzina. Niebo nad San Salvatore nabierało z wolna niebieskawego odcienia. Świat obracał się niespiesznie, ale Tannhäuser nie zamierzał się odwrócić. Stał i patrzył na wody zatoki tak długo, aż rzednący mrok pochłonął do reszty drobną i odległą sylwetkę Amparo.

Piątek, 22 czerwca 1565 - Fort Świętego Elma – fort Świętego Anioła – dziedziniec

Brutalny cyrk modlitwy i śmierci wznowił działalność o pierwszym brzasku i potrwał przez cały dzień. Turcy przelewali się przez rów pełen gnijących ciał i luźnych wnętrzności, przebijając stopami wzdęte brzuchy, które niekiedy buchały płomieniami z powodu zgromadzonych w nich gazów. Gdy minęło południe, pancerze osiągnęły taką temperaturę, że bryzgająca na nie krew dymiła i parowała, a zakuci w nich rycerze dusili się z gorąca i smrodu, a niektórzy dostawali spazmów, ich mózgi gotowały się i konali z przegrzania, jeśli zaś diabeł przyglądał się temu wszystkiemu, to zapewne zacierał ręce, bo nawet w jego własnym królestwie nie zdarzały się spektakle równie demoniczne.

Tannhäuser marzył, by wreszcie nadeszła ostatnia godzina dla fortu, z nią bowiem – według swego planu – łączył jedyną nadzieję na przetrwanie. Jednakże za każdym razem, gdy obrona załamywała się lub pękała, a nowa horda obłąkanych Turków zdawała się zalewać twierdzę, znalazł się jakiś szaleniec – Lanfreducci, de Guaras albo znów le Mas – który w morderczym amoku rzucał się do samotnej walki, zarażając swym obłędem wszystkich dookoła, a wtedy chrześcijanie raz jeszcze odrzucali napastników na drugą stronę rowu.

Prowadząc ostrzał z murów, Tannhäuser przeklinał Boga i wszystkich walczących, a nawet tego upartego chłopaka, który szwendał się u jego nóg. Utrzymywał Orlandu przy życiu. Starał się panować nad szaleństwem, które chwilami ogarniało i jego samego, bo czuł wtedy pragnienie rzucenia się w wir walki, a jedyną tego logiką była śmierć. Melodia samopoświęcenia w imię świętej sprawy pobrzmiewała od czasu do czasu w jego uszach, obiecując wieczystą chwałę i błyskawiczne uwolnienie od trosk, ale nie był to pierwszy raz i Tannhäuser wiedział już, że to melodia fałszywa, a jej nutami są krzyki ginących.

– Głowa niżej, chłopcze! – ryknął.

Złapał Orlandu za gardło i odholował w bezpieczne miejsce. W przypływach nierozsądnej odwagi strach w oczach chłopca był dobrym drogowskazem. Tannhäuser puścił go i zaraz złapał za ramię.

– Ten dzień też przeżyjemy, słyszałeś?!

Orlandu skinął głową. Tannhäuser klęczał na jednym kolanie, opierając strzelbę o udo. Kula, która w tym momencie trafiła go w bok, obróciła go i omal nie zepchnęła z muru,

w czterdziestostopową przepaść, której dno usiane było ostrymi kamieniami. Orlandu złapał go za to samo ramię, które zaciskało się na jego ręku, i pociągnął z całej siły. Tannhäuser odzyskał równowagę, na klęczkach przesunął się za gruby mur blanki i sięgnął ręką do boku.

Karbowany kirys zniósł już wiele ciosów, podobnie jak hełm, powodując co najwyżej kolejne siniaki. Tym razem jednak kula zahaczyła o lewe biodro poniżej stalowej płyty i wbiła się w mięsień w okolicy krzyża. Tannhäuser wyraźnie czuł pod skórą zgrubienie, bryłkę ołowiu. Wiedział, że jeśli kula przesunie się głębiej, może go zabić w krótkim czasie. Zakażenie, działające nieco wolniej, było równie skutecznym sposobem pożegnania się z życiem. Dlatego wyjął z mieszka wilgotną szmatkę, w której przechowywał płatki żywokostu i złocienia. Przeżuł pospiesznie małą porcję i wcisnął ją wprost do rany. Krwawienie ustało. Tannhäuser stwierdził, że czuje się nie najgorzej. Popatrzył na Orlandu, który spoglądał na niego z rozpaczą, i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Drugi raz uratowałeś mi życie, chłopcze. A teraz skocz po wodę, bo umieram z pragnienia.

Stojąc na płaskim dachu fortu Świętego Anioła, Oliver Starkey i Jean de la Valette patrzyli na słońce zachodzące za tuman cynobrowej mgły. Towarzyszyło im wielu starszych rangą rycerzy, którzy półgłosem odmawiali Ojcze nasz i Zdrowaś Mario. Na nie tak odległym cyplu fort Świętego Elma tonął w ogniu. Od czasu do czasu dym odpływał, odsłaniając drabiny wsparte o mury, wielobarwną masę muzułmańskiej hordy, kaskady płonącej cieczy spływające po poczerniałych ścianach z piaskowca, a także błyski rycerskich pancerzy na blankach i w wyłomie muru. Chwilami wydawało się, że walka szaleje w zupełnej ciszy. Zaraz jednak wiatr przynosił znad zatoki donośny zgiełk. Mimo piekielnie trudnej sytuacji, sztandar świętego Jana wciąż powiewał, obszarpany, lecz niezwyciężony, ponad morzem płomieni.

Turcy byli pewni, że potrzebują co najwyżej tygodnia na zdobycie gwiaździstego fortu. Nawet de la Valette nie spodziewał się, że dumna zapowiedź trzech tygodni walki zostanie spełniona. A przecież w ten ponury piątek mijał trzydziesty dzień mężnej obrony Świętego Elma.

Starkey spojrzał na de la Valette'a. Sam chwiał się na nogach, starzec zaś był niestrudzony, choć każdej nocy poświęcał godzinę snu na modlitwę do Matki Boskiej z Philermo. Ogrom wykonywanej przezeń pracy był zdumiewający. Nadzorował projektowanie i budowę nowych wewnętrznych murów, pilnując niemal każdej ułożonej cegły. Właśnie zakończył kolejną inspekcję zapasów żywności i wina zgromadzonych w podziemiach miasta. Powtórzył obliczenia, a potem sprawdził je jeszcze raz i zadecydował na tej podstawie, że

należy podwoić racje żywnościowe dla niewolników, z których zamierzał teraz wycisnąć dodatkowe dwie godziny pracy każdego dnia. Zarządził, by wykopano masowe groby na L'Isoli i przykryto je wiklinowymi matami, ażeby nie wzbudzały paniki. Każdego dnia w przypadkowym porządku odwiedzał szpital, bastiony poszczególnych Langues, baterie artylerii, rynki oraz zbrojownie. Jego ponura męska charyzma pomagała wszystkim wytrwać i dodawała sił. Jego głęboka religijność wzmacniała wiarę, to on bowiem stał się teraz ucieleśnieniem jej obrońcy. Na jego zmęczonej twarzy, która z każdym dniem bardziej przypominała maskę z brązu, nikomu nie udało się dostrzec śladu zwątpienia ani litości. Codzienne egzekucje muzułmańskich jeńców przypominały wszystkim, że choć powinni bać się Turków, jeszcze większy powinien być ich lęk przed wielkim mistrzem.

Choć każdego dnia bracia rycerze ginęli na jego oczach, de la Valette wydawał się spokojny jak święty Hieronim. Wiedział, że nawet dramat Świętego Elma jest ledwie preludium do większej bitwy o L'Isolę i Il Borgo. Ale w tej jednej chwili Starkey miał wrażenie, że w postawie de la Valette'a jest coś niepokojącego. Prawie nieludzkiego.

– Greccy poeci używali słowa ekpyrosis, żeby opisać swych herosów – Achillesa, Diomedesa, Ajaksa. Oznaczało tyle, co „być pochłoniętym przez ogień".

– Nasi bohaterowie jeszcze nie zostali pochłonięci – odparł de la Valette. – Posłuchaj.

Od strony Monte Sciberras dobiegał żałobny dźwięk tureckich rogów. Obserwatorzy wstrzymali oddech. I wtedy w ruinie fortu rozległ się radosny okrzyk. Starkey nie wierzył własnym uszom.

– Czy to na pewno okrzyk zwycięstwa? – spytał.

Głos z dymiących zgliszcz warowni raz jeszcze rozniósł się nad wodami zatoki. Głosy radujących się, choć skazanych na śmierć braci przebijały serce każdego, kto stał na dumnych tarasach Świętego Anioła. Niektórzy płakali, nie czując wstydu. Turcy wycofywali się pospiesznie na stok wzgórza, de la Valette zaś obrócił się ku Starkeyowi. Angielski rycerz pomyślał, że był niesprawiedliwy wobec niego – w oczach wielkiego mistrza także zobaczył łzy.

– Nawet starożytni nie znali takich mężów – powiedział de la Valette.

Szykując się do realizacji ostatecznego planu, Tannhäuser pogrzebał ostatnie pięć funtów opium i rosyjski złoty pierścień pod kamieniem w posadzce kuźni. Wszelkie ślady zamaskował, rozsypując popiół i słomę. W mniej pewnej kryjówce za pękającymi belkami stropu sali głównej ukrył wcześniej swą strzelbę z zapasem prochu i kul. Wyjąwszy z plecaka ostatnią butelkę brandy, wyszedł na dziedziniec, oszczędzając zranione biodro. Ołów z

tureckiego muszkietu wciąż tkwił w jego ciele, ale wobec setek straszliwie okaleczonych żołnierzy leżących na bruku wokół kaplicy nie czuł się uprawniony do szukania pomocy chirurgów. Niezaleczona rana mogła się zresztą okazać przydatna podczas ucieczki.

Pośrodku dziedzińca płonęło ognisko, w którym rycerze palili wszystko, co mogło stanowić dla Turków jakąś wartość: żywność, opał, meble, gobeliny, łatwopalne pętle, drzewca pik, arkebuzy, a nawet święte obrazy i inne przedmioty kultu, które mogłyby zostać zbezczeszczone. Nie mogło być bardziej oczywistego znaku, że dzieje fortu Świętego Elma dobiegają końca. Dzwon w kaplicy bił donośnie, a płomienie strzelały wysoko w ciemność. Noc była mimo to dziwnie spokojna.

Orlandu sam odszukał Tannhäusera przy ognisku. Miał na sobie jedynie spodnie, jego chude ciało, brudna twarz i wielkie, ciemne oczy nadawały mu wygląd jeszcze młodszego, niż był w rzeczywistości. Na jego szyi wisiał na kawałku sznurka cylinder uszczelniony natłuszczonym płótnem i woskiem. Tannhäuser ucieszył się na ten widok, wiedział bowiem, że pojemnik zawiera list do Olivera Starkeya, napisany zresztą jego ręką. W piśmie tym wspominał o kilku istotnych obserwacjach dotyczących wojsk Mustafy, liczby i rozmiarów dział oblężniczych oraz – spodziewając się, że Orlandu zechce znowu pojawić się w Świętym Elmie – wyrażał stanowcze życzenie, by nie zezwalać chłopakowi na powrót. Prosił też Starkeya, by postarał się zapewnić kobietom bezpieczeństwo i względny komfort.

– Dostałem zadanie od pułkownika le Masa – oznajmił Orlandu.

– To wielki zaszczyt – ocenił Tannhäuser. – Mów dalej.

– Mam dostarczyć pisma mistrzowi de la Valette i opowiedzieć mu o wszystkim, co się tu wydarzyło.

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz o moich mężnych czynach.

– Na pewno nie. Będziesz opłakiwany tak samo jak inni bohaterowie, a może nawet bardziej.

Tannhäuser roześmiał się.

– Nie składaj mnie jeszcze do grobu, przyjacielu. Powiedz wielkiemu mistrzowi, że lis zamierza pobiegać co nieco z ogarami.

– Co to znaczy?

– On będzie wiedział. – Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie. – Pamiętaj o tureckich strzelcach na wybrzeżu. Płyń pod wodą, aż…

– Wiem, jak mam płynąć.

– Słusznie. Oddal się ćwierć mili na północ, zanim skręcisz.

– Drogę też znam.

– Powiedz Borsowi i signorze Carli, żeby wytrwali, a na pewno się spotkamy. I nie sugeruj, że chodzi mi o spotkanie w przyszłym świecie. Powiedz Amparo, że mam ją w sercu.

Orlandu zamknął łzawiące oczy, a potem objął Tannhäusera w niespodziewanym, pełnym emocji uścisku. Mattias nawet nie pisnął, chociaż jego rana bardzo ucierpiała na tym przejawie czułości. Odwzajemnił uścisk jedną ręką.

– Spotkamy się jeszcze – powiedział. – Zapamiętaj moje słowa. A teraz znikaj.

Orlandu odwrócił się i pobiegł przez dziedziniec, by zniknąć w ciemności poza zasięgiem płomieni. Tannhäuser poczuł głęboką ulgę. Po chwili zaczął szukać i wkrótce znalazł le Masa. Francuz był potwornie poraniony tureckimi szablami i poparzony, lecz mimo to trzymał się dziarsko na nogach, dodając otuchy braciom i pomagając ustawić działa w rejonie wyłomu w murze przed jutrzejszą bitwą. Jako że miał już za sobą spowiedź u kapelana Zambrany i przyjął komunię, mógł i chciał poczęstować się brandy, którą zaproponował mu Tannhäuser.

Usiedli na dwóch pięknie zdobionych krzesłach, które Mattias uratował przed spaleniem. Na początek Tannhäuser podziękował za ocalenie Orlandu i zdradził co nieco z prawdziwej historii jego życia, którą le Mas uznał za ciekawą, choć nie najbardziej nieprawdopodobną, jaką zdarzyło mu się słyszeć.

– Wiele opowieści o najbardziej szalonych wyczynach przepadnie tu na zawsze – dodał pułkownik. – W istocie żywot każdego z nas jest tylko opowieścią i dlatego wszyscy jesteśmy samotni, jeśli nie liczyć bożej łaski, która nam towarzyszy.

Pili i rozprawiali o tym, co przeżyli. Niespełna czterystu obrońców fortu mogło jeszcze stanąć do obrony wyłomu, ale jedynie garstka z nich nie cierpiała z powodu poważnych ran. Tylko tego jednego dnia, najkrwawszego ze wszystkich, zabito dwa tysiące muzułmanów, a zdaniem le Masa kolejne siedem tysięcy gniło za murami. Straty po stronie Religii nie przekraczały tysiąca pięciuset ludzi.

– Pięć do jednego to nie tak źle – ocenił. – Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ich przewagę w artylerii. Daliśmy popalić tym twoim poganom, kapitanie. Gdyby mieli choć trochę rozumu, zebraliby się jutro i wrócili do domu.

Obaj wiedzieli, ale żaden nie zamierzał wspominać o tym, że Mustafa może sobie pozwolić na stratę siedmiu tysięcy ludzi bardziej niż Religia na stratę piętnastu setek.

– Rozum, niestety, jest ostatnio na tej wyspie rzadko spotykanym towarem – odparł Tannhäuser. – Ale może powinieneś wiedzieć, pułkowniku, że jeśli uda mi się

przeprowadzić taką maskaradę, zamierzam dołączyć do wroga w przebraniu jednego z twoich tureckich jeńców.

Le Mas spojrzał na niego z ukosa, łyknął brandy i spojrzał ponownie.

– Biorąc pod uwagę to, żeś jest Niemcem – powiedział – muszę stwierdzić, że nie znałem jeszcze nikogo równie szczwanego jak ty. Gdybyś był Francuzem, może nawet równałbyś się z samym de la Valette'em.

– Zatem mam twoje błogosławieństwo?

– Z Bogiem – odparł le Mas i oddał mu flaszkę.

– Powiedz mi – dodał Tannhäuser – ilu mamy jeszcze tych tureckich jeńców?

– Rzekłbym, że nie więcej niż tuzin – odrzekł le Mas. – Dlaczego pytasz?

Tannhäuser pociągnął łyk brandy.

– Bo jeśli zostaną uwolnieni, nie później niż za miesiąc będą minować mury Borgo. A może i walczyć w pierwszej linii tureckiej armii.

– Szczera prawda – zgodził się le Mas – która umknęła mojej uwagi. I nie byłoby miło, gdyby któraś z tych brudnych świń zechciała popsuć twój sprytny plan, nieprawdaż? – dodał, spoglądając na Tannhäusera. – Może nawet byłoby bardzo niemiło.

– Katastrofa – przytaknął Tannhäuser.

– Wybornie. – Le Mas odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się w głos. – Wybornie! Niech mi Bóg wybaczy, ale uwielbiam ludzi, którzy w wojennym rzemiośle nie przejawiają za grosz skrupułów. Bo czyż moglibyśmy w ogóle prowadzić wojnę, gdyby takich zabrakło? – Le Mas raz jeszcze sięgnął po butelkę i skrzywił się, bo był to ruch bolesny. – Śpij spokojnie. Zaraz po śniadaniu każę ich wszystkich wyrżnąć.

Tannhäuser uciszył sumienie myślą, że skazani na śmierć jeńcy będą przynajmniej mieli dość czasu, by zmówić poranne modlitwy. Uciszył je jeszcze bardziej, gdy znalazł w puzdrze dwa lśniące kamienie nieśmiertelności. Pokazał je le Masowi, objaśnił ich działanie – zarówno zdrowotne, jak i mistyczne – a potem połknęli po jednym, popili brandy i ułożyli się na ziemi, by podziwiać wirujące gwiazdozbiory. Wielka Niedźwiedzica świeciła teraz na północy, na południu zaś Skorpion. Na tle Wodnika jarzyła się idealna połówka księżyca. Tannhäuser – jak czynił to zawsze, gdy miał okazję oddać się wróżbiarstwu – uznał tę kombinację za szczęśliwy omen, którego bardzo potrzebował.

Rycerze i żołnierze – niedobitki fortowego garnizonu – zalegli na kamiennym dziedzińcu fortu, mocując się w duchu z myślą, że to ich ostatnia noc na tym świecie. Trzask ogniska ucichł wreszcie i słodka cisza ogarnęła także dwóch dobrych przyjaciół, cisza tak głęboka, że byli w stanie uwierzyć, iż są ostatnimi żywymi ludźmi na ziemi. Podali sobie ręce

w ciemności i znaleźli w tym geście niewymowne pocieszenie. Le Mas śpiewał cicho do własnej brody psalm Dawida, a łzy płynęły po bliznach znaczących jego twarz, gdyż tak właśnie jednał się z Bogiem. W końcu opium i brandy zaczęły działać i le Mas zasnął. Tannhäuser popatrzył jeszcze na firmament, a potem zatopił się w błogim transie wirujących gwiazd i wieczności.

W transie tym zastanawiał się, jak to możliwe, że we wszechświecie tak pięknym jak ten znalazło się miejsce i dla takich ludzi jak on.

Sobota, 23 czerwca 1565 - Upadek fortu Świętego Elma

Tannhäuser uważał się za szczęśliwca z tej prostej przyczyny, że mógł uśmierzyć niepokój wieczorną porcją opium. Kojący efekt kamieni nieśmiertelności utrzymał się do rana i pomógł mu zapanować nad nerwami. Była to nader sprzyjająca okoliczność, okazało się bowiem, że tego dnia wyjątkowo Turcy odpuścili sobie bombardowanie. Smocze pyski dział oblężniczych rozlokowanych na wzgórzu milczały. Ostatnią bitwę o fort Świętego Elma miała rozstrzygnąć zimna stal szabel i mieczy.

Czterdziestu kilku rycerzy z jedynej Langue Włoskiej i z trzech francuskich, mniej więcej setka hiszpańskich tercios oraz dwustu najtwardszych Maltańczyków stanęło na poczerniałym od krwi rumowisku zachodniego wyłomu. Juan de Guaras i kapitan Miranda, obaj zbyt ciężko ranni, by mogli utrzymać się na nogach, zarekwirowali krzesła, na których poprzedniego wieczoru siedzieli Tannhäuser i le Mas, i kazali przywiązać się do nich pasami. Krzesła te zaniesiono wraz z okaleczonymi rycerzami na szczyt wału. Siedząc tam, z mieczami ułożonymi na kolanach, de Guaras i Miranda mogli obserwować armię turecką szykującą się do szturmu na stoku. Janczarzy, derwisze, jajlarowie, sipahowie i Azebowie czekali tylko na zawołanie imamów i na dźwięk rogów.

Jako że honor już dawno przestał obowiązywać na tym polu bitwy, chyba coś w rodzaju pierwotnej dumy musiało kierować turecką ofensywą, albowiem żaden z muzułmanów nie pomyślał nawet o zaatakowaniu nieobsadzonych murów, na które mogli się wspiąć bez trudu, nikt nie ruszył na niestrzeżoną już bramę, nikt też nie zamierzał przeciskać się do fortu pomniejszymi dziurami, których nie brakowało. Cała armia, donośnym rykiem sławiąc wielkość Allaha, spłynęła ze zbocza jak rzeka, której wody zawrzały z okazji końca świata, kierując się wprost ku zakrwawionym wałom zachodniego wyłomu, gdzie zginęło już tylu tureckich żołnierzy i gdzie chrześcijańskie diabły wyśpiewywały teraz swe hymny. Dysproporcja liczebności stających naprzeciwko siebie oddziałów była nieomalże komiczna. Lecz obrońcy fortu nie zamierzali zejść z tego świata, nie wbiwszy ostatniego kolca w bok Lali Mustafy Paszy. Ku zdumieniu Tannhäusera, który obserwował początek tej rzezi z wąskiej strzelnicy we frontowej ścianie twierdzy, męczennicy Religii utrzymali swą pozycję przez ponad godzinę.

Miecze i sztylety, szpontony i kiścienie. Ryki wściekłości i bólu. Gorące modlitwy. Luigi Broglia, Lanfreducci, Guillaume de Quercy, Juan de Guaras, Aiguabella, Vigneron – wszyscy skąpani we krwi w okrutnej bitwie wokół dwóch krzeseł. Tannhäuser

dostrzegł halabardę le Masa kreślącą krótkie łuki w świetle poranka i zapragnął dołączyć do niego. Gdyby nie mętny spokój sprowadzony nań przez opium, potrzebowałby wielkiej siły woli, żeby się powstrzymać. Chciał tego, ale kości raz jeszcze zostały rzucone: tego dnia nie miał szans na chwałę; mógł tylko przetrwać lub skonać w hańbie. Gdyby miało mu się przytrafić to drugie, był przynajmniej stosownie ubrany.

Zupełnie nagi, zostawił sobie jedynie zniszczone buty, które uciął sześć cali poniżej kolana i natarł popiołem i węglem, by wyglądały na skradzione trupowi. Złotą bransoletkę Nicodemusa, opatrzoną inskrypcją, która była teraz jawną drwiną, zacisnął sobie wokół kostki i zamaskował szmatami, ponieważ nie chciał jej stracić. W drugim bucie ukrył ostatni kamień nieśmiertelności. Tors natarł nieczystościami, których w forcie nie brakowało. Choć nie miał lustra, był pewien, że wygląda dokładnie jak muzułmański niewolnik. Le Mas, znacznie bliższy Boga niż kiedykolwiek wcześniej i szczerze rozbawiony, utwierdził go w tym przekonaniu, kiedy się żegnali. Chcąc ułatwić kompanowi zadanie, le Mas kazał zastrzelić, a nie zakłuć nożami tureckich jeńców, tym bowiem sposobem rana postrzałowa przydawała Tannhäuserowi autentyczności w jego grze – miał być jedynym ocalałym niewolnikiem.

Tannhäuser potrzebował teraz już tylko jednego rekwizytu do swego przedstawienia i w końcu go znalazł, gdy przypatrywał się dogasającej walce. Postać w półpancerzu stoczyła się z wału i zatrzymała u jego podnóża, wzniecając tuman pyłu. Ranny przewrócił się na brzuch i ściągnął z głowy hełm, jakby się dusił, a potem podparł się rękami i klęcząc, zwymiotował krwią. Pełzł jeszcze przez kilka stóp, z powrotem w stronę bitwy, zanim znowu wsparł się na łokciach. Uniósł prawą rękę do czoła, potem do piersi i do lewego ramienia, a potem upadł na twarz, nie dokończywszy znaku krzyża.

Tannhäuser odwrócił się, by zejść do niego, ale w tym momencie usłyszał przenikliwy dźwięki rogu. Obejrzał się. Ku dzikiej radości garstki chrześcijan, Turcy wycofywali się. Czynili to wprawdzie tylko po to, żeby przegrupować szyki przed ostatnim natarciem, lecz mimo to… Le Mas utrzymał wyłom po raz ostatni. Zostało przy nim nie więcej niż dziewięćdziesięciu ludzi. Większość z Hiszpanów i Maltańczyków już nie żyła; rycerzy ocaliły tylko lepsze pancerze. Gdy zbierali się wokół krzeseł de Guarasa i Mirandy, oczekując rychłego końca, Tannhäuser zbiegł po schodach i pognał na dziedziniec.

Tego ranka obudził się z gorączką i nie czuł się zbyt pewnie na nogach, rana na plecach paliła go żywym ogniem. Dobiegłszy do martwego rycerza, który spoczywał wciąż z podkurczonymi kolanami, zachwiał się na nogach i musiał przyklęknąć obok, zanim dźwignął go z ziemi, ciągnąc za ramiona. Głowa zabitego odchyliła się do tyłu. Był to Agoustin

Vigneron. Zabity pchnięciem w gardło. Plan Tannhäusera wydawał się prosty, ale teraz okazało się, że jego wykonanie wymaga nie lada wysiłku. Pochwycił trupa za krocze i zarzucił sobie na plecy, czując, jak kirys obdziera ze skóry jego opalony kark. Teraz zacisnął dłonie na udach rycerza, zaparł się mocno jedną nogą i podźwignął się z trudem. W pobliżu słyszał zgiełk bitwy: krzyki i głośny szczęk stali. Wiedział, że lada chwila rzeka wrogów przerwie ostatni wał i wpłynie na dziedziniec fortu. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę stajni.

Ciężar zwłok i metalu omal nie złamał mu krzyża. Czuł pulsowanie w skroniach, a nogi miał jak z galarety; oddychał płytko i ze świstem, a w gardle czuł smak żółci. Tylko strach dodawał mu sił do osiągnięcia celu. Z ulgą porzucił trupa na progu stajni i sam padł na kamienie. Kiedy złapał oddech, uniósł głowę.

Zobaczył stertę nagich, splątanych ciał na brudnej słomie. Ledwie tuzin spośród tysięcy. Jednak ci ludzie zginęli nieuzbrojeni; zamordowano ich tylko po to, aby on mógł przeżyć. Zdławił wyrzut sumienia, jako że sumienie w takich okolicznościach jest zaiste luksusem szaleńca. Odwrócił się, wyjrzał przez otwarte drzwi i ujrzał ostatnie chwile bitwy. Wysokie, białe czepce janczarów kłębiły się wokół ostatnich mężów zakutych w stal. W ostatnim porywie morderczej ekstazy napastnicy obalili krzesła rannych rycerzy i fort Świętego Elma upadł.

Broglia. De Guaras. Miranda. De Quercy. Aiguabella. Ludzie, z którymi walczył i pił brandy. Którzy poświęcili się dziełu wojny i zostali przez jej falę zmyci w toń wieczności. Le Masa dosłownie rozdarto na strzępy, a jego kończyny uniesiono w górę w geście triumfu. Chwilę później jego głowa zakołysała się na czubku włóczni.

Tannhäuser nie musiał już na to patrzeć. Spojrzał na własną pierś. I on był skąpany we krwi. Czuł ją także na plecach. Popatrzył na leżącego na brzuchu Vignerona, wyciągnął jego miecz i rzucił opodal. Sięgnął po sztylet wiszący u jego pasa i czubkiem ostrza wydłubał ze swej rany na biodrze ziołowy opatrunek, jej brzegi otworzył zaś na tyle, by zaczęła krwawić. Potem wbił sztylet w gardło Vignerona i ułożył się na jego ciele w pozycji sugerującej zażartą walkę.

Zamknął oczy i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu, z wolna tracąc przytomność. Po chwili naszły go wizje. Zobaczył Amparo i chłopca, Carlę, Borsa i Buraqa, a potem i Sabata Svi. Zmysły chciały już go opuścić, ale zatrzymał je siłą woli. Uchylił powieki i zobaczył opaloną twarz Agoustina Vignerona, włosy w jego nozdrzach, czyraki na brodzie i martwe, matowe oczy. Czuł woń długich tygodni bez wygód i moczu uwolnionego przez śmierć, a tak zagęszczonego przez odwodnienie, że niemal czarnego. Czuł też opór

sztywniejącego ciała, na którym opierał policzek. Tannhäuser pełzał już w życiu w najciemniejszym mroku ludzkich czynów, ale pierwszy raz zdarzyło mu się leżeć w ekskrementach, na ciele zabitego towarzysza, walczyć z narkotycznym snem i z obrzydzeniem, którym napawał go dotyk stygnącej krwi, fetor rozkładających się zwłok, towarzystwo zamordowanych z zimną krwią niewolników oraz fakt, że musiał udawać jednego z nich. Ale czy nie był jednym z nich? Nie był już nikim i niczym, był tylko żywy. Wmówił sobie, że powinien myśleć teraz po turecku. Marzyć o Stambule. Modlić się w języku Proroka. Zaczerpnął tchu i zaczął śpiewać, a jego ochrypły głos brzmiał przeraźliwie pusto.

– Na wiatry, które wieją i wieją. I te, które znoszą brzemię deszczu. I te, które z łatwością mkną nad morzem. I te Anioły, które na rozkaz Allaha niosą błogosławieństwo. Zaiste prawdziwa jest obietnica, którą ci dano. Zaiste nadejdzie Dzień Sądu Ostatecznego… – Odgłos kroków zagłuszył jego słowa, a czyjaś silna ręka chwyciła go za ramię. Odwrócił się gwałtownie, ze sztyletem w dłoni, i resztką sił przyklęknął na jedno kolano, zapierając się drugą nogą tak, jakby czaił się do skoku. Uniósł klingę wysoko i obnażył zęby, pozwalając, by przez moment pokierowało nim szaleństwo.

Dwaj janczarzy, szczupli i młodzi, stali nad nim z bułatami wzniesionymi do ciosu, wyraźnie podnieceni świeżym zwycięstwem. Lecz gdy przyjrzeli mu się uważniej, cofnęli się o krok, a młodszy wyciągnął rękę, by opuścić broń towarzysza. Teraz dopiero zauważyli ciało Vignerona i zabitych muzułmańskich niewolników w głębi. Dostrzegli też Święte Koło czwartego agi Boluksa wytatuowane granatową farbą na ramieniu Tannhäusera. Obok zaś czerwony miecz Dhu'l Figara o dwóch ostrzach. I obrzezane prącie. I udo z wersami sury Al-Ichlas: „On – Bóg Jeden, Bóg Wiekuisty! Nie zrodził i nie został zrodzony! Nikt Jemu nie jest równy". Janczarzy spojrzeli na towarzysza z miłością.

– Pokój tobie, bracie – powiedział młodszy.

– Z woli Allaha wreszcie jesteś wśród przyjaciół – dodał drugi.

Nagle zza pleców Tannhäusera dobiegł jakiś dźwięk i obaj janczarzy unieśli broń. Z głębokiego cienia stajni wyłonił się stary Stromboli, z siekierą w dłoniach. Zobaczył Tannhäusera i rozdziawił usta ze zdumienia. Tannhäuser skoczył jak obłąkany i w dwóch potężnych susach pokonał dzielącą ich odległość. Wbił sztylet prosto w serce Strombolego i gdy kucharz skonał, pozwolił mu upaść na ziemię. Wtedy dopiero odwrócił się ku młodym lwom, które patrzyły teraz na niego z jeszcze większym szacunkiem.

– Allahu Akbar – powiedział Tannhäuser i upadł.

Owinęli go błękitnym jedwabnym płaszczem, nakarmili suszoną wołowiną, napoili herbatą z miodem i posadzili w cieniu, przy wielkiej kamiennej kuli armatniej, skąd mógł się przyglądać, jak Turcy dają upust swej wściekłości na tych nielicznych chrześcijańskich obrońcach, którzy przeżyli ostatni szturm.

Dziewięciu rycerzy wzięto żywcem, a byli wśród nich de Quercy i Lanfreducci. Zdarto z nich zbroje i odzież; nagim rozkazano klęczeć na dziedzińcu. Śpiewali psalmy tak długo, aż bicie w bębny oznajmiło przybycie Lali Mustafy Paszy. Dowódca przejechał rów na białym koniu i spojrzał na jeńców tylko raz, nim rozkazał ich ściąć. Głosy milkły jeden po drugim, aż wreszcie Lanfreducci śpiewał sam. Świsnął miecz kata i ciało ostatniego rycerza osunęło się w karmazynowe jezioro rozlewające się po dziedzińcu. Rannych leżących wokół szpitala polowego dobito włóczniami. Kapelanów wywleczono ze świątyni i zarżnięto jak wieprze na jej schodach. Niezliczonych rannych, którzy pozostali w środku, dobito tam, gdzie leżeli, na podłodze prezbiterium, przy wtórze przeraźliwych krzyków i ostatnich modlitw.

Na tej spalonej słońcem ziemi śmierć była tak wszechobecna i tak monotonny stał się widok okrutnych scen, że Tannhäuser nie czuł już prawie nic prócz stłumionego wstydu. Nawet gdy przyprowadzono Juriena de Lyon, gdy ucinano mu kończyny i genitalia i gdy rozłupywano mu czaszkę, był tylko abstrakcyjnie wstrząśnięty. Jurien, który pozszywał twarz Borsa tak zręcznie, którego rozległa, święta wiedza o sztuce uzdrawiania przewyższała wszystko, co mieściło się w głowach pięćdziesięciu tysięcy otaczających go barbarzyńców, którego palce potrafiły dokonywać cudów nieznanych całym narodom – zgasł w jednej chwili, w jednym spazmie triumfalnej nienawiści. Patrząc na wszystkie te zbrodnie, których bezmiar nieznacznie tylko powiększyły te nieliczne dokonane na oczach Tannhäusera, można było odnieść wrażenie, że zegar cywilizacji zaczął się cofać. A Stromboli był świetnym kucharzem, pomyślał Mattias.

Głowy rycerzy zebrano i nabito na pale na wschodnim, nadmorskim murze fortu, gdzie mogli je dostrzec obserwatorzy ze Świętego Anioła. Sztandar świętego Jana został zerwany, wdeptany w ziemię i zalany moczem, a na jego miejscu załopotała flaga sułtana. To był już koniec.

Mimo upału Tannhäuser trząsł się z zimna i coraz szczelniej opatulał płaszczem. Gorączka i dreszcze przybierały na sile, a ranę na plecach wyobrażał sobie jako rozgrzanego do czerwoności homara, który wije się pod jego skórą. Czuł, że wdało się zakażenie i że gorączka z każdą chwilą mocniej ściska jego czaszkę. Przyszło mu do głowy, że być może wprowadził w życie swój genialny plan ucieczki tylko po to, by teraz zdechnąć na jakiejś brudnej macie z powodu choroby. Wygrzebał z buta ostatnią pigułkę opium i połknął ją,

popijając letnią wodą. Poddał się losowi. Los zaś wyjechał mu na spotkanie i zjawił się wkrótce w głównej bramie fortu.

– Ibrahim?

Tannhäuser uniósł głowę, a ruch ten wystarczył, by niebo zawirowało nad jego głową. Słońce unoszące się nad murami świeciło wprost na niego, a piekący pot zalewał oczy. Obronił się jednak przed ciemnością ogarniającą umysł i otarł twarz, a kiedy uniósł dłoń, by osłonić oczy przed blaskiem, zobaczył grupkę jeźdźców oraz żółty sztandar Sari Bajrak, najstarszego oddziału sułtańskiej kawalerii. Wstał niepewnie, zachwiał się i znowu usiadł. Jeden z jeźdźców zeskoczył z konia i pochylił się nad nim. Jego twarz była ogorzała, surowa i pokryta zmarszczkami na pamiątkę dziesięcioleci, które minęły od ich ostatniego spotkania. Oczy jednak pozostały takie same: mądre i pełne współczucia. Dłoń odsunęła włosy opadające na twarz Tannhäusera.

– To naprawdę ty – powiedział Abbas Ibn Murad.

– Ojcze – wymamrotał Tannhäuser.

Znowu spróbował wstać i znowu upadł, lecz tym razem pochwyciły go ramiona Abbasa. Usłyszał jego rozkazy i spróbował coś powiedzieć, ale zabrakło mu sił. Mocarne ręce posadziły go w siodle i instynktownie zacisnął uda na końskich bokach. Rozejrzał się, szukając Abbasa, ale jego uwagę przykuł inny widok, nierealny jak sen. Zobaczył mianowicie grupę Algierczyków wchodzących przez tylną bramę fortu, za którą w dole znajdowało się nabrzeże. Jeden z nich trzymał w ręku sznur, którego drugi koniec zawiązany był wokół szyi Orlandu. Tannhäuser wyciągnął rękę i znowu się rozejrzał, szukając swego wybawcy.

Abbas podjechał do niego i uspokajającym gestem położył dłoń na jego ramieniu.

– Jesteś chory – powiedział z powagą. – Pojedziesz ze mną.

– Ten chłopiec – jęknął Tannhäuser. – Tam.

Abbas zignorował jego majaczenie i polecił dwóm swoim ludziom, by odprowadzili chorego do jego namiotu. Tannhäuser obrócił się w siodle. Wbrew jego nadziei Orlandu nie był tylko opiumową wizją. Stał opodal, własność korsarzy, z zakrwawionym okiem i smyczą na szyi, jak pies. Tannhäuser uniósł ramię i zapewne spadłby z konia, gdyby Abbas go nie powstrzymał. Otumanionym gorączką umysłem w pośpiechu szukał choć jednego dobrego pomysłu, ale go nie znalazł. Mgła przed jego oczami zgęstniała i widział już właściwie tylko czerwone plamy. Chwycił się rozpaczliwie końskiej grzywy.

– Byłem spragniony, a ten chłopiec dał mi wody – wyszeptał.

W tym momencie słońce zgasło i wszystko zmieniło się w czarną pustkę.

Niedziela, 24 czerwca 1565 - Dzień świętego Jana Chrzciciela

Fort Świętego Anioła – Oberża Angielska

Oliver Starkey modlił się za de la Valette'a i za własną nieczystą duszę. Powodem do skruchy była lepka i pokryta włosami sterta, którą usypano na kawalerze w Świętym Aniele. Modlił się, a z worków sypały się kolejne głowy – ludzkie głowy – niczym owoce makabrycznych żniw. Usta zabitych były sine i ściągnięte w agonalnym bólu, zęby obnażone, a oczy wyschnięte i bez połysku, mimo jasno świecącego słońca. Żartując ponuro i dyskutując o optymalnej porcji prochu potrzebnej do wykonania zadania, artylerzyści ładowali głowy po cztery i po pięć do luf armatnich. Były ich dziesiątki, dziesiątki ludzkich głów, więcej, niż Starkey miał siłę liczyć. Zastanawiał się, jakiż to impuls pokutny kazał mu być świadkiem tej zbrodni. Musiał to być impuls słuszny i słuszne musiały być wyrzuty sumienia, bo i Jezus bez wątpienia ronił łzy, gdy na to patrzył.

O świcie tego dnia do brzegów L'Isoli dotarły cztery drewniane płyty. Nikt nie wiedział, ile podobnych mogło zatonąć lub odpłynąć na pełne morze. Na każdej z nich ukrzyżowane było bezgłowe ciało jednego z rycerzy zakonu, a na piersiach każdego z nich widniał głęboko rżnięty znak krzyża. Ci, którzy je zobaczyli, lamentowali głośno, ale i pałali nową nienawiścią do Turków. De la Valette usłyszał nowinę, gdy wracał z porannej mszy. Kiedy zobaczył okaleczone zwłoki swoich braci, w jego oczach pojawiły się łzy gniewu i żalu. Głuchy na rady Starkeya, polecił natychmiast wyprowadzić z lochów i ściąć wszystkich tureckich jeńców, których schwytano od początku oblężenia.

– Wszystkich? – powtórzył Starkey.

– Niech ludzie osądzą ten czyn – odparł de la Valette.

Rozkaz ogłoszono w mieście i Maltańczycy stawili się tłumnie, by zobaczyć egzekucję. Więźniów zawleczono na plażę, a tam, z diabelską gorliwością, kaci zabrali się do dzieła. Miecze cięły włosy i kości spętanych Turków, którzy w ostatniej godzinie wzywali na pomoc Allaha, żegnani życzeniami piekielnych mąk. Niektórzy jeńcy próbowali uciekać do morza, ale skutych łańcuchami bez trudu łapano i zabijano na miejscu, w wodzie. Ci, którzy nie chcieli klęknąć przed katem, otrzymywali pierwsze cięcie w kostki, głowy zaś tracili, leżąc na piasku. Stoicki spokój i odwaga jednych oraz błagania o litość innych spotykały się z jednaką, ponurą obojętnością chrześcijan, przekonanych o tym, iż mają do czynienia nie z

ludźmi, ale z muzułmanami, i że wykonują wolę Boga, bez wątpienia uradowanego ich dziełem.

Gdy ucichły krzyki i dorżnięto najtwardsze ze ścięgien, ciała zaś rzucono do morza, ociekające krwią głowy zostały zebrane do worków i jedynym śladem zbrodni została wielka, ciemnoczerwona plama na piachu. Starkey nie mógł się oprzeć wrażeniu, że podobna plama zostanie na zawsze na jego duszy.

Bateria z fortu Świętego Anioła bluznęła ogniem i deszcz dymiących głów, na których zajęły się włosy i brody, pomknął łukiem nad zatoką, w kierunku linii tureckich. Salwie towarzyszyły złowrogie wiwaty. Skoro Mustafa postanowił splamić się okrucieństwem, niech teraz przyjmie lekcję od mistrzów tego rzemiosła. De la Valette nie zamierzał okazywać emocji. Starkey patrzył, jak artylerzyści czyszczą lufy i sięgają po nowy ładunek głów z upiornej sterty.

– „I wielu z jego narodzenia cieszyć się będzie" – przywołał słowa z Ewangelii św. Łukasza.

De la Valette spojrzał na niego. Starkey poczuł się nieswojo pod jego wzrokiem.

– Tak powiedział archanioł Gabriel o Janie Chrzcicielu.

– Wielu będzie się cieszyć ze śmierci wszystkich muzułmanów na tej wyspie – odparł de la Valette.

Opuściwszy zamek, wielki mistrz udał się ze swą świtą na główny plac miasta i wygłosił mowę do mieszkańców. Zadeklarował, że od tej chwili każdy schwytany Turek, gdy tylko mistrzowie tortur skończą nad nim pracować, zostanie wydany ludowi, a ten może choćby i rozedrzeć go na strzępy, jeśli taka będzie jego wola. Starkey patrzył w milczeniu, jak mieszczanie głośno wyrażają wdzięczność wielkiemu mistrzowi, wykrzykując jego nazwisko i chwaląc Pana. Odszedł w zamyśleniu. Odwołując się do ohydnego barbarzyństwa zwykłych ludzi, de la Valette zdołał zamienić klęskę w coś w rodzaju zwycięstwa. Starkey wolał jednak nie myśleć, nad czym było to zwycięstwo. Jedynie de la Valette wiedział, jak dać obrońcom wyspy szansę na przetrwanie – co do tego Anglik nie miał wątpliwości. Dziękował tylko Jezusowi Chrystusowi, że przyszło mu wykonywać rozkazy, a nie je wydawać.

Widząc salwę z twierdzy, Carla pomyślała, że to pociski zapalające. Gdy dowiedziała się, że to nie kule, ale płonące ludzkie głowy – a w swym dawnym życiu nigdy nie uwierzyłaby, że coś takiego może się wydarzyć – stwierdziła jedynie, że jest zdegustowana, ale nie zaskoczona.

Okrucieństwo i groteska były teraz normą w jej świecie. Jeśli nie zastanawiała się nad tym zbyt głęboko, to tylko dlatego, że nigdy dotąd nie czuła się tak spełniona. Wojna

skondensowała jej wszechświat do jednej czynności: opieki nad potrzebującymi. Nigdy dotąd życie nie znaczyło dla niej tak wiele, że nie umiała tego wyrazić słowami. Uwolniła się od własnych żalów i trosk, przestała marnować na nie czas. Gniew i strach również wydawały się daremne, podobnie jak triumf i porażka. W świecie nienawiści i smutku postanowiła, że nie podda się ani jednemu, ani drugiemu uczuciu. Niech się stanie Jego wola, myślała. Jezus jest w jej sercu i kocha ją. Tylko tyle musiała wiedzieć.

Makabryczną salwę ujrzała w drodze z infirmerii do oberży. Ojciec Lazaro pożyczył jej szczypce i skalpel, aby mogła usunąć szwy z twarzy Borsa. Tego ostatniego spotkała na ulicy, gdzie pospieszył, gdy tylko usłyszał o kanonadzie. Zdążył na drugą salwę – i aż krzyknął z uciechy – a w obawie, że przegapi trzecią, zażyczył sobie krzesła i zabiegu na wolnym powietrzu. Jako że światło było tu znacznie lepsze niż pod dachem, a robota wymagała precyzji, Carla nie miała nic przeciwko temu.

Szwy były ukryte pod grubym strupem, który dzielił twarz Borsa ukośną, brązową krechą. Dzięki talentowi chirurga symetria została nieźle zachowana, Bors był ze swej blizny tak dumny, że nie zamieniłby jej nawet na pierścień z rubinem. Odchylając strup, Carla mogła przeciąć skalpelem pętle z owczego jelita, ale wyciągnięcie ich wymagało większej siły, niż ośmieliła się użyć. Po kilku nieudanych próbach Bors rzekł:

– Szarpnij.

Usłuchała i pierwszy szew został usunięty. Bors tylko się skrzywił.

– Pięciu maltańskich pływaków uciekło wczoraj ze Świętego Elma – powiedział. – Widzieli ostatnie chwile bitwy.

Carla siłowała się z drugim szwem. Jej nadzieje związane z Mattiasem i Orlandu, podobnie jak poczucie winy z powodu własnego udziału w ich smutnym losie, skrywała w najgłębszym zakątku serca, którego postanowiła przez czas jakiś nie odwiedzać.

– Rozmawiałem z trzema z nich – ciągnął Bors, nieco rozdrażniony tym, że nie okazała ani trochę zaciekawienia. – Żaden nie przyniósł wieści ani o Mattiasie, ani o twoim chłopcu, pani. Ale też żaden nie widział, by zginęli.

– Wobec tego jest nadzieja – odrzekła ostrożnie. – I trzeba nam się modlić, by wytrwali.

– Jeżeli którykolwiek z ludzi miał szansę wywęszyć drogę ucieczki z tej rzezi, to tylko Mattias. To szczwany lis. Ale dziewczyna źle zniosła brak nowin – dodał Bors.

Carla pokiwała głową. Nastroje Amparo zmieniały się gwałtownie. Pod pewnymi względami znowu była tą półdziką, skrzywdzoną istotą, którą Carla znalazła przed laty w lesie – zamkniętą w sobie, zmienną, zatraconą w Bogu. Carla namówiła Lazara, by pozwolił

dziewczynie pracować w swoim ogrodzie; teraz miała nadzieję, że przekona do tego pomysłu Amparo.

– Wiedziałaś, że była z wizytą u niego? – spytał po chwili Bors. – Auu.

Strużka krwi pociekła po jego policzku, gdy skalpel w dłoni Carli nagle zgubił drogę.

– Amparo popłynęła do Świętego Elma?

– Popłynęła wpław, w samym środku nocy, cała goluteńka – odrzekł z uśmiechem Bors. – Przyznaję, że spośród wszystkich cudownych zdarzeń, które tu widziałem, to spodobało mi się najbardziej.

Carla wyobraziła sobie, jak Mattias i Amparo uprawiają miłość. Mimo zbożnych intencji, jej żołądek ścisnął się boleśnie. Co gorsza, jakby ku podsyceniu chorej zazdrości, jej łono doznało w tym momencie skurczu pożądania, a policzki zarumieniły się gwałtownie. Zdaje się, że nie jestem tak pełna bożej łaski, jak bym sobie tego życzyła, pomyślała z goryczą. Chciała ugryźć się w język, ale nie zdążyła.

– Nie zatrzymałeś jej? – spytała.

Bors spojrzał na nią z ukosa. Nie należał do ludzi, którzy wstydziliby się satysfakcji, jaką sprawiało im podziwianie płonących głów na tle nieba. Zadać mu pytanie oznaczało być gotowym na najbardziej brutalną prawdę. Carla zastanawiała się, czy rumieniec na jej policzkach jest tylko odczuwalny, czy także widoczny.

– Trudno ci znieść takie wieści – powiedział Bors. – Ja to rozumiem. Ale ryzyko jest bardzo poważne i z każdym dniem poważniejsze, że wszyscy zginiemy na tej skale. Kto zatem miałby być tak podłego ducha, by stanąć na drodze romansowi równie pięknemu i nieprawdopodobnemu?

– Ja nie stanęłam mu na drodze – odparła Carla.

Bors uśmiechnął się bardzo ciepło.

– I wielka chwała ci za to. Prawda zaś jest taka, że Mattias jest głęboko rozdarty między wami dwiema, piękne panie. Zatem powiem ci w zaufaniu, że gra jeszcze nie jest przegrana.

Niepokoje, smutki, nadzieje – wszystko, co tak skrzętnie wypędzała z serca, powróciło w jednej chwili. Nie chciała konkurować z Amparo. Nie zamierzała. A jednak… Pragnęła Mattiasa.

– Naprawdę wierzysz, że on jeszcze żyje? – spytała.

– Choć byłbym sam w tym zakładzie, postawiłbym na to wszystkie pieniądze – odparł Bors.

Rozległ się huk zamkowych dział i Bors zerwał się na równe nogi, by popatrzeć na mknące wysoko głowy. Potrząsnął głową z podziwem, a potem usadowił się wygodnie na krześle i dokończył myśl:

– Pamiętaj jednak, że jest w tym i druga, mroczniejsza strona medalu. Jeżeli Mattias i twój syn jeszcze żyją, są w rękach muzułmańskich psów.

Czwartek, 5 lipca 1565 - Nabrzeże – brama Kalkara – Wysoka Rada

Amparo postanowiła spać na nabrzeżu, pod gwiazdami. Szum morza działał na nią kojąco. Kołysał ją do snów o kuźni Tannhäusera, o jego dłoniach i ustach na jej ciele, o jego oddechu na policzku i jękach tuż przy uchu, a marzeniom tym sprzyjało ciepło nocnego powietrza i chłód skały, do której się przytulała.

Za dnia opiekowała się ogrodem ojca Lazara i znalazła w nim zakątek, w którym rosły dzikie róże. Ich pąki, ugniatane z szałwią, mirtem i szantą, służyły do wyrobu cennego balsamu. Jeśli nie liczyć tej pracy, starała się unikać towarzystwa ludzi. Spędzała długie godziny, dbając o Buraqa i jeżdżąc na nim na oklep po zagrodzie. Uspokajała go, gdy bał się huku armat. Ostatnimi czasy najczęściej rozmawiała właśnie ze złotym koniem Tannhäusera i nie wyobrażała sobie, by mogła znaleźć piękniejszego i łagodniejszego towarzysza.

Przerzucenie tureckich dział na wzgórza Corradino, zbliżający się atak na Il Borgo i L'Isolę, niekończące się litanie śmierci i cierpienia, powtarzane nieustannie opowieści o bohaterach, intrygi rycerzy, wiarołomność wicekróla, niezmierzone zło muzułmańskiego najeźdźcy – żadna z tych spraw nie obchodziła jej zbytnio. Ludzie wyobrażali sobie, że wszystkie te rzeczy mają znaczenie i – co zdumiewało ją najbardziej – że ma znaczenie to, co myślą i mówią o tych sprawach, i że mają jakiś wpływ na bieg wydarzeń. Usypiały ją te rozmowy, te bezsensowne wyliczania żalów, te wydumane próby wciągnięcia jej w normalne życie, wyczerpania jej energii i ducha. Cena za towarzystwo ludzi była więc wysoka. Amparo nie widziała sensu w płaceniu za to, czego nie potrzebowała. Ludzie wysysali z niej życie. Stojąc poza ich królestwem, czuła się szczęśliwsza. Jej wnętrze, jej duchowa łączność z pąkami róż, piękno i miłość Buraqa – wszystko to wydawało jej się znacznie ważniejsze, a w dodatku dawało jej siłę. Inni jednak uparcie uważali jej samotność za przejaw choroby, jakby nie mieli dość własnych zmartwień. Amparo zachowywała więc dystans i niczego nie żałowała. Zawsze tak było. Niech sobie myślą, że jest głupia, byle zostawili ją w spokoju.

Usiadła, gdy obudził ją plusk i skrzyp wioseł. Mgła w kolorze mleka snuła się nad wodą, jakby od środka podświetlona blaskiem księżyca. Amparo zobaczyła długie łodzie wpływające rzędem do zatoki Kalkara. Było ich co najmniej tuzin, a każda ze skromną, szkieletową załogą praktycznie samych wioślarzy. Sunęły w ciemności bardzo cicho i bardzo szybko, a ci, którzy w milczeniu pchali je naprzód siłą swoich mięśni, wyglądali jak widma

przemytników wiozące pustkę donikąd. Wreszcie ostatnia łódź minęła cypel, stopiła się z mgłą i tak zniknął ostatni ślad tajemniczej procesji.

Amparo pomyślała, że i po niej nie zostanie na świecie żaden ślad, a myśl ta przyniosła jej pocieszenie. Tylko w światach innych niż ten mogą istnieć rzeczy trwające wiecznie. Noc, którą spędziła z Tannhäuserem, należała właśnie do takiego świata: była, minęła, a przecież miała zostawić ślad na zawsze. Tylko piękne chwile mogą się cieszyć nieśmiertelnością. Wszystko inne – choćby próżne dobra, dla których tylu ludzi trudzi się i umiera – nie ma w sobie nawet tyle magii, ile marzenia snute na jawie. Amparo położyła się znowu na skale, zapominając o łodziach. Patrzyła na usiane gwiazdami niebo. Czy i one miały kiedyś zniknąć? Postanowiła, że spyta o to Tannhäusera, gdy znowu się zobaczą, bo mimo iż szanse wydawały się marne, po prostu wiedziała, że jeszcze się spotkają. Jakoś. Gdzieś.

Bors zgłosił się na ochotnika do nocnej służby wartowniczej przy bramie Kalkara. Odkąd hrabina skarciła go bezlitośnie za – musiał przyznać, że nadmierne – używanie opium, zrezygnował z narkotyku, lecz wraz z nim stracił wszelką ochotę na sen. Nawet cała butelka brandy dawała mu ledwie namiastkę odpoczynku. Jak wiadomo, cnota rzadko bywa nagrodą sama w sobie, za to okazało się, że może stać się źródłem całkiem innych bonusów: na przykład ten, kto zamiast iść na służbę, leżałby nieprzytomny we własnym łóżku, nie byłby świadkiem najnowszego zwrotu w tej niezwykłej historii.

Gorący i wilgotny wiatr przygnał mgłę z Tunezji. Pierwszą zapowiedzią intrygujących zdarzeń był ukryty w niej konwój dość skromnie obsadzonych łodzi, które Bors wypatrzył, gdy wpływały do zatoki i nagle skręciły ku przeciwległemu brzegowi, miejscu odległemu ledwie o sześćset stóp, a w tym momencie całkowicie ukrytemu we mgle.

Wkrótce potem procesja z pochodniami przemaszerowała ulicami miasta, a na jej czele kroczył sam de la Valette. Bors sprawdził lont w muszkiecie i dmuchnął na żarzący się węgielek. Brama skrzypnęła i procesja wyszła poza mury miasta, kierując się ku wybrzeżu. Starkey, Romegas, del Monte i inni możni panowie… Jakby się spodziewali samego papieża, pomyślał Bors.

Po pewnym czasie z mgły wyłoniły się łodzie i niespodziewanie, jakby wracały z bliźniaczego, wyimaginowanego świata, okazały się pełne dobrze opancerzonych i dobrze uzbrojonych żołnierzy. Były ich setki. Gdy tylko wyskoczyli na brzeg, podobni do duchów, łodzie nawracały, by przywieźć nowych ludzi i ich ekwipunek. Przez bramę Kalkara wchodziły do Il Borgo upragnione posiłki.

Bors zbiegł schodami w dół i zatrzymał jednego z nowo przybyłych. Extrameño nazwiskiem Gomez. Cztery galery wysłane przez Garcię de Toledo wypłynęły z Mesyny i już przed kilkoma dniami zostawiły desant pod dowództwem Melchiora de Robles na północno-zachodnim wybrzeżu Malty. Żołnierze przyczaili się w Mdinie i wysłali emisariusza do de la Valette'a, teraz zaś, pod osłoną letniej mgły, pomaszerowali na Il Borgo, omijając od południa turecki obóz i po stokach Monte San Salvatore przechodząc na drugi brzeg zatoki Kalkara. Dzielny ten oddział tworzyło czterdziestu dwóch rycerzy zakonu, dwudziestu włoskich poszukiwaczy przygód, trzech podobnego rodzaju ochotników z Niemiec i dwóch z Anglii, pięćdziesięciu doświadczonych artylerzystów oraz sześć setek hiszpańskiej piechoty królewskiej. Nie było to dwadzieścia tysięcy, na które wszyscy czekali, ale de la Valette powitał nowych podkomendnych jak bohaterów, którymi w istocie byli.

W bramie pojawiła się nowa postać. Rosły mężczyzna przystanął na chwilę w kręgu światła pochodni, jakby chciał nacieszyć się powrotem w znane sobie miejsce. Wzrok Borsa przykuła jego znakomita zbroja z czarno emaliowanym, karbowanym kirysem, który opinał zakonny habit. Miejsce różańca zajmował jednak pas z mieczem. W postawie tego mnicha, w układzie jego ramion, w ruchach wielkiego hełmu było coś, co mroziło Borsowi krew. Mężczyzna miał na głowie wyborną czarną celatę z osłoną nosa i policzków w dawnym weneckim stylu i grzbietem zdobionym płaskorzeźbą Chrystusa ukrzyżowanego. Po chwili zdjął hełm, włożył pod pachę i przyklęknął na bruku, by się przeżegnać i zapewne podziękować za szczęśliwą podróż. Wszyscy jego towarzysze wyglądali na zabijaków, ale on był między nimi jak lampart wśród wilków. Gdy wstał, jego czarne oczy błyszczały jak marmurowe kule rzucone w płomienie. Odetchnął głęboko i rozejrzał się, jakby wszystko w zasięgu wzroku miało wkrótce stać się jego królestwem.

– Na rany Chrystusa – wymamrotał pod nosem Bors.

Zza bramy wyłoniła się nowa postać, jakby delikatniejsza od pierwszej, ale zarazem złowroga jak wąż szykujący się do ataku. I ten przybysz zdjął hełm, odsłaniając lubieżne usta oraz zmysłowe, lecz puste oczy, które Bors aż za dobrze pamiętał z portu w Mesynie. Anacleto rozejrzał się po murach, a Bors odwrócił się czym prędzej i zaczął wspinać po stopniach, wracając na posterunek.

Ludovico Ludovici powrócił i dla maluczkich nastał czas ostrożności.

Jeszcze tej samej nocy Ludovico spotkał się z de la Valette'em i wszystkimi członkami Wysokiej Rady. Obecny był także Melchior de Robles, dowódca nowo przybyłego oddziału, który nie był członkiem Religii, ale rycerzem hiszpańskiego Zakonu Świętego Jakuba z Composteli. W drodze z Mesyny Ludovico zdążył zaskarbić sobie jego zaufanie. De

Robles nie ukrywał przed radą, że to właśnie dominikanin przekonał Garcię de Toledo do wysłania posiłków na Maltę.

Nastroje w radzie były podobne jak w całym mieście, czyli raczej ponure. W Il Borgo panowało fatalne przeludnienie, które stało się jeszcze poważniejszym problemem, gdy rycerze wyburzyli pas domów dla celów obronnych. Dla uchodźców stworzono całą kolonię namiotów na L'Isoli, gdzie spustoszenie siały teraz ustawione na nowych pozycjach tureckie działa oblężnicze. Brak żywności jeszcze nie stanowił problemu. Każdy otrzymywał trzy funtowe bochenki chleba dziennie, a zapasy ziarna, oleju, solonego mięsa i ryb wciąż pozostawały ogromne. Mimo iż miasto przystępowało do obrony z pełnymi zbiornikami podziemnymi i zapasem czterdziestu tysięcy baryłek, zaopatrzenie w wodę stawało się jednak krytycznym problemem, jako że studnie i źródła znajdowały się poza murami. Golenie się, mycie i pranie odzieży zostało zabronione, a tych, którzy łamali ten zakaz – zwykle kobiety – chłostano na placu głównym. Z powodu narzekań i absurdalnych plotek, których nie brakowało, w punktach wydawania wody dochodziło do poważnych zamieszek, a jedynym sposobem na rozładowanie napięcia było wydanie tłuszczy kilku jeńców, na których ludzie mogli ulżyć swoim emocjom. Najgłośniej narzekających gnano brzozowymi witkami aż pod szubienicę i wieszano.

Mimo tych wysiłków, miasto musiało spodziewać się już wkrótce tragicznego w skutkach niedostatku wody. Resztkę zapasu należało przeznaczyć na potrzeby garnizonu. Zatrudniono różdżkarza do wyznaczenia na obu półwyspach miejsc, w których warto było spróbować wykopać studnie. Gdyby to przedsięwzięcie zawiodło, tłumaczył de la Valette, trzeba by wypędzić poza mury większość prostych ludzi, by szukali swej szansy na łasce Turków. Jako że w tej sytuacji ryzyko otwartej rebelii byłoby ogromne, taka decyzja miała zostać podjęta tylko w ostateczności. Wielki mistrz wolał jednak, by rada – i tylko ona – wiedziała, że może dojść do sytuacji, w której trzeba będzie skierować broń przeciwko mieszkańcom.

Nikt nie zaprotestował. Admirał Pietro del Monte, krępy i silny mężczyzna o orlim nosie i aksamitnych oczach, przysłuchiwał się dyskusji w milczeniu, raz po raz zerkając na Ludovica. De la Valette dostrzegł jedno z tych spojrzeń i sam zwrócił się ku dominikaninowi.

– Bracie Ludovicu – powiedział – jak odczytujesz intencje Garcii de Toledo?

Ludovico milczał przez chwilę, jakby zbierał myśli, a potem użył swego niskiego głosu z głębokim spokojem, który – jak wiedział – zawsze przykuwał uwagę słuchaczy.

– W tej chwili nie istnieją posiłki, o jakich tu marzycie. – Ludovico rozłożył ręce, apelując do rozsądku zebranych. – Pamiętajcie, że rekrutacja, zarządzanie i transport tak wielkiej armii, którym to zadaniem Toledo zajmuje się z całą energią, jest największym przedsięwzięciem chrześcijańskiego świata śródziemnomorskiego od czasów, gdy jego przodek próbował zająć Dżerbę. – Powiedział to tak niewinnym tonem, jakby w przeciwieństwie do wszystkich zebranych nie miał pojęcia, że de la Valette był jednym ze zwolenników owej nieudanej ekspedycji.

Wielki mistrz nie skomentował.

– Flota zbiera się w Sewilli – kontynuował Ludovico – by przewieźć cztery tysiące żołnierzy. W największym pośpiechu ściągani są też ludzie ze wszystkich włoskich garnizonów. Jak rozumiem, minie jakiś czas, zanim zadanie to zostanie zrealizowane. Jest to co najmniej kwestia tygodni.

Pomruk rozczarowania rozległ się wokół stołu. De la Valette uciszył go ruchem ręki.

– Popełnilibyście błąd, dopatrując się w tym opóźnieniu jakichkolwiek znamion spisku – ciągnął Ludovico. – Na dowód swych najlepszych intencji Toledo wysłał swego syna Federica, by walczył wraz z nami.

Federico rzeczywiście przybył na Maltę; Ludovico osobiście przekonał go do sprawy. Teraz nacisk na Garcię de Toledo miał charakter nie tylko polityczny, ale i prywatny. Członkowie rady pokiwali głowami na tę wieść – Hiszpanie z zapałem, a Francuzi niechętnie.

– Mogę was też zapewnić – dodał Ludovico – że Jego Świątobliwość, papież Pius, dokłada wszelkich starań, by wspomóc naszą sprawę. – Nie uszło jego uwagi, że użycie form takich jak „z nami” czy „naszą” nie wzbudziło najmniejszego sprzeciwu zebranych. – Ojciec Święty osobiście zachęcił wszystkich mieszkańców Italii szlachetnego rodu, by wstępowali w szeregi zakonu, a konkretnie by przyłączali się do rycerzy świętego Stefana.

Kilku członków rady nie zdołało powstrzymać się przed pogardliwym parsknięciem. Zakon Świętego Stefana, nieudolnie naśladujący Religię, powstał ledwie cztery lata wcześniej, z inicjatywy papieża i jego dalekiego krewnego, Cosima de Medici. W tym towarzystwie była to kompania uważana – może nie całkiem sprawiedliwie – za bandę nadętych plutokratów ledwie zdolnych do tego, by wdrapać się na koński grzbiet.

– Może przyślą nam parę obrazów – warknął del Monte.

Członkowie rady wybuchnęli śmiechem i nawet Ludovico uśmiechnął się lekko. Nadszedł odpowiedni moment, by wykorzystać pierwszy z kilku instrumentów, w które wyposażyli go papież Pius oraz Michele Ghislieri. Podniósł skórzaną torbę, którą trzymał

dotąd na kolanach, i podał ją wielkiemu mistrzowi. De la Valette natychmiast rozpoznał papieskie insygnia i okrągłą ołowianą pieczęć, która oznaczała, że ma przed sobą list apostolski wielkiej wagi.

– Jego Świątobliwość ma nadzieję – rzekł Ludovico – że gdy nadejdzie odpowiedni moment, to pismo okaże się skuteczniejszą bronią niż armaty.

W pełnej napięcia ciszy de la Valette złamał pieczęć i wyjął z torby welin, zwinięty i opatrzony kolejną pieczęcią, tym razem z czerwonego wosku, z odciskiem pierścienia Rybaka. Złamawszy ją, rozwinął pismo. Rada czekała cierpliwie, a de la Valette przeczytał list i zbyt poruszony, by coś powiedzieć, oddał go Oliverowi Starkeyowi, który siedział po jego prawej stronie. Starkey przebiegł oczami po łacińskim tekście i odchrząknął.

– Jest to bulla podpisana ósmego czerwca, a gwarantująca całkowite odpuszczenie wszystkich grzechów chrześcijanom, którzy zginą w naszej wojnie z muzułmanami. Braciom zakonnym, żołnierzom, niewolnikom, kobietom… Wszystkim.

Pomruk uznania wypełnił salę. Bulla oznaczała, że każdy, kto zginie w obronie Malty, uniknie pośmiertnej kary za wszelkie popełnione grzechy, bez względu na ich wagę. Dla ludzi doskonale znających trudy życia, tortur i wszelkich innych cierpień, świadomość, iż nie spędzą ani godziny na mękach czyśćcowych – na których wielu spodziewało się spędzić wieki – miała niewiarygodne znaczenie. To zaś oznaczało podniesienie morale.

– Jego Świątobliwość w swej mądrości przemówił skuteczniej, niż mogliśmy się tego spodziewać – rzekł de la Valette. – Ta bulla jest warta pięć tysięcy żołnierzy, choć wolałbym nie wymieniać jej ceny.

Skierował spojrzenie stalowoszarych oczu na Ludovica, który pojął w tym momencie, że bez względu na to, jakie były oczekiwania wielkiego mistrza względem jego wyprawy do Rzymu, tym jednym osiągnięciem zdołał je przerosnąć.

– W odpowiednim momencie, jak mówisz, ten dokument odnowi wiarę i odwagę nawet w najsłabszych sercach. – De la Valette wstał. – Przyznajmy zgodnie, że za pomoc w zorganizowaniu wsparcia wojskowego i za niebezpieczeństwa, na które się naraził, zdobywając dla nas błogosławieństwo Ojca Świętego, jesteśmy winni bratu Ludovicowi dług, który niełatwo będzie spłacić.

Członkowie rady wstali jak jeden mąż i pokłonili się Ludovicowi Ludoviciemu, ten również wstał i odpowiedział skromnym skinieniem głową najpierw im, a potem wielkiemu mistrzowi.

– Wasza Ekscelencjo – powiedział – nie wróciłem na Maltę po to, by zajmować się sprawami Stolicy Apostolskiej ani Świętego Oficjum, ale po to, żeby walczyć. Ojciec Święty udzielił mi specjalnej dyspensy, abym mógł to zrobić.

Niektórzy z zebranych okazali mu uznanie, bębniąc pięściami w stół.

– To dla nas zaszczyt, że zdecydowałeś się na taką duchową ofiarę – odparł de la Valette.

Jeżeli w jego słowach znalazła się ironia, to wyczuł ją jedynie Ludovico. Odwróciwszy się w stronę Pietra del Monte, admirała floty i dowódcy Langue Włoskiej, powiedział:

– Admirale, błagam cię, abyś zakwaterował mnie wśród swoich żołnierzy i pozwolił mi służyć wraz z nimi.

– Wśród żołnierzy? – Del Monte pokręcił głową. – Jako syn Neapolu, bracie Ludovico, zostajesz niniejszym zaproszony do Oberży Włoskiej, gdzie moi rycerze przyjmą cię jak najmilszego gościa.

Gdy spotkanie rady dobiegło końca, Ludovico udał się do oberży w towarzystwie del Montego. Odmówił zajęcia pojedynczej celi, upierając się, że będzie spał na podłodze jednego z dormitoriów, obok stu czterdziestu włoskich rycerzy. Dowiedział się przy okazji, że ponad trzydziestu z ich towarzyszy zginęło w forcie Świętego Elma. Ludovico nigdy nie pożądał luksusów, a dormitorium było doskonałym miejscem do zbierania informacji. Gdy del Monte zbierał się do wyjścia, Ludovico zatrzymał go jeszcze na chwilę, by zagrać drugą z atutowych kart.

Pokazał mu mianowicie srebrny łańcuszek, na którym wisiał srebrny cylinder wielkości palca, z pomysłową zakrętką na końcu, ozdobiony znakiem krzyża i rysunkiem Baranka Bożego, symbolami Chrzciciela. Wnętrze, wyłożone miękką skórką, chroniło wąską kryształową fiolkę, na której dnie można było dostrzec brązowawy osad.

– Polecono mi doręczyć ten specjalny dar właśnie tobie, admirale, jako dowódcy Langue Włoskiej. Przesyła go kardynał Michele Ghislieri, który modli się w każdej godzinie o wasze zbawienie, wierząc, że ta święta relikwia – a jej autentyczność potwierdzają największe autorytety – zapewni wam bezpieczeństwo i powodzenie w trudnych dniach.

Del Monte ułożył fiolkę na swej utwardzonej morskim wiatrem dłoni, jakby się obawiał, że najdelikatniejszy nacisk może ją strzaskać.

– Jest to kropla krwi świętego Jana Chrzciciela – powiedział Ludovico.

Oczy admirała wypełniły się łzami. Opadł na kolana i drżącą ręką przycisnął fiolkę do ust, modląc się żarliwie. Nikt nigdy nie okazał wiary z większym przekonaniem, a

widok ten sprawił Ludoviciemu satysfakcję; oto zapewnił sobie łaskę del Montego. Choć admirał jeszcze o tym nie wiedział – i nie miał się dowiedzieć – stał się fundamentem powodzenia planu uknutego przez Ludovica. Był to jednak dopiero początek. Najważniejsze było to, by Ludovico stał się godnym kandydatem na członka zakonu.

To zaś wymagało udziału w walce.

Dzień po przybyciu posiłków do Il Borgo Lala Mustafa Pasza wysłał emisariusza z propozycją zawarcia pokoju. Warunki były identyczne jak przed laty na Rodos; Turcy gotowi byli obiecać wszystko, prócz tego, że opuszczą wyspę. Gdyby de la Valette poddał garnizon, zagwarantowano by jemu i jego rycerzom bezpieczny powrót na Sycylię, wraz z bronią, relikwiami, sztandarami i honorem. Oszczędzono by życie wszystkich mieszkańców wyspy, którzy staliby się poddanymi Sulejmana i cieszyliby się jego opieką, zachowując przy tym pełną swobodę wyznania. Z wielu dobrych powodów każdy inteligentny i miłujący pokój człowiek chwyciłby się tej oferty obiema rękami.

De la Valette wysłuchał posła z należytą uprzejmością, a następnie kazał go zaprowadzić pod szubienicę nad Bramą Prowansalską i powiesić.

Część trzecia - Wiejące wiatry

Niedziela, 15 lipca 1565 - Fort Świętego Michała – L'Isola

Ludovico stał na bastionie fortu Świętego Michała i nasłuchiwał jękliwego wezwania do modlitwy. Zniewolone diabły słuchają wycia pustynnego szaleńca, pomyślał. W wykształceniu, które otrzymał, kwestia islamu nie była najważniejszą sprawą, ale to, co wiedział, pozwalało mu ocenić tę religię jako przeciwieństwo rozumu, wymyślone po to, by podniecać i ogłupiać najbardziej prymitywne umysły. Nie wątpił więc, że wśród najciemniejszych mas wciąż będzie przybywać jej wyznawców. Jednakże tak długo, jak można było ograniczyć jej zasięg do ziemi jałowej, w której się narodziła, wiara ta nie miała wielkiego znaczenia i w najgorszym razie mogła stać się kulą u nogi rodzaju ludzkiego.

Informatorzy Ludovica donieśli mu już o wszystkim, co wydarzyło się pod jego nieobecność. Mattias Tannhäuser zginął w forcie Świętego Elma. Jego tępawy kumpel Bors był tylko śpiącym psem, którego lepiej nie budzić. Historia chłopca, którego szukał Tannhäuser, a który także zginął, napełniła Ludovica smutkiem. Nie wyobrażał sobie nawet, że może doznać takiej głębi uczuć. Miał syna. Powinien był wstydzić się tego, a tymczasem czuł dumę. Zamiast obojętności – przejmujący smutek. Chłopiec był tylko abstrakcją, a jednak trwale zagościł w umyśle Ludovica. Podobnie jak Carla. Ludovico nie próbował jej odszukać. Obawiał się jej władzy nad swoim sercem, a więc i wolą; poza tym miał przed sobą ważniejsze zadania – nawet i tego dnia. Z odległości ćwierć mili dobiegał tupot nóg i klekot ekwipunku tysięcy ludzi. Czerwona bestia islamu obudziła się i pragnęła krwi.

Anacleto towarzyszył mu na murach. Lonty jarzyły się jak okiem sięgnąć, niczym dyskretne znaki zakazanego kultu. Rycerze świętego Jana dołączyli do muszkieterów, posępni i milczący, jak strażnicy bram krainy, do której wstęp mieli jedynie przeklęci. Ludovico odwrócił się, by spojrzeć na wschodzące słońce. Na tle dalekiego nieba, pociętego jak nożem smugami karmazynowych cirrusów, dostrzegł na murach w niezbyt dużej odległości grupkę postaci. Po krótkiej szamotaninie jedna z nich, najbardziej wychudzona, została zepchnięta w dół i zawisła na sznurze nad bastionem Prowansji.

Wydawało się, że ten makabryczny spektakl pchnął ukrytego wroga do działania, ponieważ ciemność pobliskich wzgórz eksplodowała nagle ogniem z tysięcy luf, a chwilę

później w twierdzę Świętego Michała uderzył deszcz metalowych i kamiennych pocisków. Solidny kawał muru i chmura kamiennych odłamków zmiotły na dziedziniec małą grupkę obrońców. Coś przemykało ze świstem tuż obok uszu Ludovica, który po raz pierwszy znalazłszy się pod ostrzałem, z niejakim opóźnieniem zrozumiał, że to kule. Było już na tyle jasno, że dostrzegł w dole przerażonego zająca, który w panice uciekał z nory w ruinach Bormuli. Kicał wprost ku murom twierdzy, jakby się spodziewał, że ktoś otworzy mu bramę i udzieli schronienia. Jeszcze nie opadł kurz spod łap zająca, a już jego śladem nadbiegła od strony purpurowego pustkowia horda szaleńców wymachujących bronią i chorągwiami. Wyli jak psy, chwaląc swego fałszywego boga i jego zdegenerowanego proroka.

Na spotkanie im pomknęły kule armatnie – zwykłe i łączone łańcuchami – oraz żelazny śrut, ale masowa egzekucja, jaką okazała się ta salwa, nawet nie spowolniła szturmu. Niewierni wciąż biegli ku Świętemu Michałowi jak do bram raju, dźwigając drabiny, liny z hakami oraz broń wszelkich kształtów i rozmiarów. Teraz załoga twierdzy dźwigała ku machikułom kotły pełne gotującego się, świńskiego tłuszczu. Maltańczycy miotali przy tym przekleństwa we własnym, niezrozumiałym języku, rozwścieczeni nie tylko oparami, które drażniły ich oczy, ale także widokiem krwawiących i okaleczonych towarzyszy, którzy wili się pod ich stopami, przypadkowo polewani strugami wrzątku. Wielojęzyczna mieszanina krzyków, cuchnące opary i rozpaczliwe jęki rannych otaczały Ludovica ze wszystkich stron, jakby samo piekło przelało się przez rozdarte dzieło Stworzenia, a uciekinierzy z niego właśnie tu znaleźli schronienie. Ludovico był adeptem władzy i strachu. Pierwsza bitwa, w której brał udział, była apoteozą związku tych dwóch sił.

Machina wojenna Lali Mustafy Paszy szykowała się do tej konfrontacji od upadku fortu Świętego Elma. Wielkie działa oblężnicze rozebrano na części i przewieziono ze stoków Monte Sciberras na zbocza wzgórz Santa Margharita, Corradino i San Salvatore. W piaskowcu wykuto okopy przecinające Bormulę i biegnące dalej ku murom L'Isoli; prace podziemne, których celem było wysadzenie fundamentów twierdzy, już trwały.

Jako że baterie ulokowane w forcie Świętego Anioła broniły jego flocie dostępu do Wielkiego Portu, Mustafa zbudował z bali pokrytych smarem drogę wokół Monte Sciberras, a murzyńskich niewolników zmusił do trzydniowej morderczej pracy – której ogrom wprawił obserwujących ją rycerzy w zdumienie i niedowierzanie – polegającej na przeciągnięciu galer wojennych Pijala z Marsamxett do sąsiedniej zatoki. Pokonując szczyt wzniesienia, wielkie kadłuby skrzypiały na umęczonym deskowaniu jak wściekłe bestie. Liny i łańcuchy, które opóźniały ich zjazd po zboczu, naprężały się i brzęczały z wysiłku, a niektóre pękały, z morderczą siłą tnąc nieszczęsnych niewolników. Gdy galery nabierały

prędkości, zjeżdżając ku zatoce okalającej L'Isolę, ich czarne smołowane kile tarły o drewno i zapalały warstwę smaru, sprawiając, że cała kolumna przypominała upiorny konwój łodzi z Hadesu, których kapitanowie nie mogli się doczekać trupów i postanowili zabrać na pokład żywych. W sumie przerzucono osiemdziesiąt jednostek wraz z działami pokładowymi, które teraz zagrażały umocnieniom od strony wybrzeża.

Ze wszystkich stron – z wyżyny, portu i Porto delle Galere – dwa należące do chrześcijan półwyspy, Il Borgo i L'Isola, były ostrzeliwane przez turecką artylerię, która od dziesięciu dni pracowała niezmordowanie od świtu do zmierzchu, zabijając setki kobiet i dzieci w zatłoczonym mieście. Zniszczeniu uległy dziesiątki domów. Teraz zaś wszystkie tureckie lufy skierowały się ku Świętemu Michałowi.

Ludovico zignorował kule; przyglądał się rzezi nacierających muzułmanów, biorąc przykład z admirała del Monte, Zanoguerry i Melchiora de Robles, którzy patrzyli na fruwające wokół pociski z obojętnością grabarzy. Z ich bastionu rozciągał się widok na port i Bormulę, zatem mieli przed sobą panoramę dwóch szturmów: z lądu i z morza. W pierwszych szeregach atakujących znajdowali się teraz Algierczycy.

Hasim, namiestnik Algieru i zwycięzca oblężeń Oranu i Al-Marsa al-Kabir, przybył tydzień wcześniej na czele pięciu tysięcy gazi oraz korsarzy Ulucha Alego. Hasim dowodził teraz atakiem ze wzgórz Margharita, po lądowej stronie twierdzy Świętego Michała. Jego porucznik, Kandelissa, prowadził do ataku żołnierzy lądujących na zachodzie, na wybrzeżu Marsa. Zbliżali się rozpędzonymi łodziami, błyskając wiosłami i bronią w promieniach wschodzącego słońca, przy wtórze śpiewu imamów siedzących na dziobach.

Brzegu L'Isoli broniła palisada umocowana w dnie i umocniona łańcuchami. Łodzie staranowały ją z maksymalną prędkością, lecz łańcuchy wytrzymały, a pale zastopowały i wywróciły większość łodzi. Chrześcijańscy arquebuceros ulokowani na murach otworzyli ogień do tych, którzy zdołali przedrzeć się do brzegu, lecz mimo kolejnych salw napastnicy wciąż brodzili w zabarwionej krwią wodzie, omijając trupy i porzucone wiosła ze spokojem, który napawał Ludovica zdumieniem. Ciągnęli za sobą długie drabiny i przegrupowywali się na brzegu, osłaniając się przed ogniem ciasno ułożonymi tarczami. Nad plażą załopotał sztandar z gwiazdą i półksiężycem. Kandelissa zebrał wiernych wokół siebie i po chwili czarny deszcz strzał pomknął ku niebu. Posłuszni jego rozkazom i głośno chwaląc Boga, Algierczycy zaczęli wspinać się na stoki L'Isoli.

Ludovico miał na sobie półpancerz sięgający ud, wart fortunę prezent od Michele Ghislieriego: diamentowoczarny, roboty Filippa Negrolego z Mediolanu. Był znakomicie dopasowany, tak że Ludovico poruszał się w nim niemal równie swobodnie jak w zakonnej

szacie. Był księdzem, zatem zasadniczo nie wolno mu było przelewać krwi, lecz dyspensa in foro interno udzielona przez Piusa pozwalała mu wziąć czynny udział w tej jednej krucjacie. Niczym stado gigantycznych owadów Algierczycy pokonali już rów i wspinali się po pionowych ścianach. Gotujący się tłuszcz popłynął na nich szerokimi strugami przez otwory w murze, a garnuszki z łatwopalną galaretą wspomogły jego działanie i w powietrzu rozszedł się dławiący fetor palonego mięsa. Gdy jednak słońce stanęło w zenicie, rozciągając nad placem boju drżący welon gorącego powietrza, algierskie proporce bojowe załopotały na szczycie murów i Bóg skierował Ludovica Ludoviciego ku jego życiowej próbie.

Ludovico podlegał rozkazom komandora Zanoguerry, który dowodził lotnym oddziałem Hiszpanów i Włochów, traktowanym jako rezerwa na czas najcięższego kryzysu. Byli wśród nich trzej bracia zakonni, którzy mocą specjalnego rozkazu wydanego przez del Montego mieli strzec bezpieczeństwa Ludoviciego. Dwaj z nich byli Włochami – Bruno Marra z Umbrii i nowicjusz Pandolfo ze Sieny – trzeci zaś, Escobar de Corro, wojowniczym Kastylijczykiem, jeszcze niedawno służącym w Mdinie w oddziale kawalerii, z którego wszyscy rycerze przybyli tu, by bronić twierdzy.

Za kręcącymi się łopatami wiatraków na północy rozległ się huk eksplozji i fontanna kończyn oraz ognia pochłonęła fragment nadmorskiego muru L'Isoli. Nawet tu, na przeciwległym krańcu półwyspu, gdzie fortyfikacje wychodziły z wody w głąb lądu, broniąc dostępu od strony wzgórz, fragmenty rozerwanych ścian i ciał zabębniły o zbroje rycerzy. Tylko wybuch magazynu z prochem mógł wyjaśnić tak potężne zniszczenia. Na ich oczach bastion i łącząca się z nim kurtyna osunęły się w chmurę dymu i dalej, w wody zatoki. Proporce Algierczyków Kandelissy zakołysały się, niesione w pośpiechu po dymiącej ruinie muru. Zanoguerra zwrócił się do swoich rycerzy.

– Nadszedł czas, by skonać za Świętą Wiarę.

Poprowadził ich biegiem wzdłuż brzegu zatoki, po koronie muru. Mijali sceny totalnego chaosu, ślizgając się na kamieniach jak na podłodze rzeźni. Kąt nachylenia i masa nieprzyjacielskich drabin sprawiały, że trudno było odepchnąć je od muru – a z ciężarem kilkudziesięciu ludzi było to wręcz niemożliwe i dlatego na blankach trwała już zażarta walka wręcz.

Kilka kroków przed Ludovikiem maltański żołnierz znieruchomiał na chwilę, trzymając na grocie piki atakującego muzułmanina, który balansował na krawędzi muru, chlapiąc krwią z przebitej piersi na towarzyszy przyczajonych na niższych stopniach drabiny. Nie wypuszczając broni z ręki, Maltańczyk rozpiął nagle portki, zsunął je błyskawicznie, przykucnął i równie swobodnie, jakby odchrząkiwał w towarzystwie, wypróżnił się wprost na

ziemię. Nie oglądając się na swe parujące dzieło, podniósł się energicznie, zapiął spodnie i jak gdyby nigdy nic powrócił do badania twardości płuc Algierczyka za pomocą stalowego grotu. Ludovico był już bardzo blisko, gdy inny napastnik wspiął się na ramiona konającego pobratymca, który uparcie trzymał się drzewca obiema rękami, nie pozwalając, by maltański żołnierz uwolnił swą broń. Obrońca za późno dostrzegł nowe niebezpieczeństwo: zdążył jeszcze sięgnąć po sztylet, ale w tej samej chwili został cięty bułatem w szyję. Mimo to rzucił się na nogi stojącego na blance Algierczyka, tnąc sztyletem w uda, krocze i lędźwie. Ściągnął go między blanki i na moment obaj wychylili się nad przepaścią, stękając z wysiłku i dysząc ciężko, zalani nawzajem swoją krwią oraz krwią trzeciego, który wciąż stał u szczytu drabiny z włócznią w piersiach, kaszląc czerwoną mgiełką. Konający Algierczyk wciąż walczył: zdarł hełm z głowy Maltańczyka, ciągnął go za włosy, próbował wydłubać oczy i wreszcie wbił kciuki w głęboką ranę na szyi, by otworzyć ją jeszcze mocniej.

Ludovico przeskoczył nad śmiertelnie rannym obrońcą i wbił miecz w otwarte usta nadzianego na włócznię. Poczuł wibrację, gdy stal łamała zęby i przebijała czaszkę lub najwyższe kręgi, a zaraz potem osobliwy dreszcz podniecenia. Wycofał ostrze i nie zważając na strumień krwi, który chlusnął z ust Algierczyka, wbił klingę w ciało jego kompana, przypartego do muru ciałem maltańskiego żołnierza. Anacleto dołączył do swego pana, tnąc obu przeciwników. Trzy splątane ciała drgały konwulsyjnie w groteskowym uścisku, a potem, na oczach Ludovica, który cofając się o krok, wdepnął w coś śliskiego i cuchnącego, trafiwszy na przerwę między blankami, przechyliły się i runęły w dół, by dołączyć do masy trupów zalegającej na plaży.

Ludovico odetchnął głęboko. W jego piersi, we wszystkich kończynach i w gardle narastała nienazwana ekstaza, równie mocna jak Objawienie. Spojrzał na Anacleta, który raz tylko skinął głową i się odwrócił. Ludovico zabójca ludzi. Cóż za radosna myśl.

Mnich uniósł twarz ku oślepiająco jasnemu niebu i podziękował Bogu.

Pobiegli dalej.

Elita Zanoguerry zwarła się już z Algierczykami w wyłomie muru i spychała ich, zostawiając na rumowisku ucięte kończyny, wyprute trzewia i rozbite mózgi. Skrzydła wiatraków rytmicznie przesłaniały słońce, raz po raz rzucając cień na walczących. Ludovico rzucił się w bój. Ignorując dzwonienie szabel o naramienniki i hełm, ciął oburącz na prawo i lewo, co jakiś czas wbijając opancerzone łokcie w wąskie i brązowe twarze niewiernych oraz wyprowadzając pchnięcia pionowo w dół, by dobić rannych pełzających u jego stóp. Ciężko oddychał zapylonym powietrzem, w duchu prosząc świętego Dominika o siłę. Anacleto

zdawał się osłaniać go ze wszystkich stron jednocześnie – dwoił się i troił, unikając bułatów i zadając szybkie ciosy, po wielokroć ratując życie swemu panu.

Zanoguerra tymczasem zebrał wokół siebie maltańskich ochotników, którzy ze strachu kryli się wśród ruin, dodając im ducha wzywaniem imienia Chrystusa i namowami, by oddali życie za Religię. Wreszcie kula z muszkietu trafiła go w pierś i upadł między zabitych. Szakale proroka zakłębiły się zaraz nad jego ciałem, a w szeregi chrześcijańskiej milicji znowu wkradł się lęk. Maltańczycy rzucili się do ucieczki, by szukać schronienia pomiędzy wiatrakami. Radosny okrzyk wydarł się na ten widok z piersi muzułmanów, którzy z nową siłą rzucili się do ataku w górę rumowiska. Ludovico i Anacleto oraz skromna grupa Kastylijczyków uformowali kordon wokół zabitego dowódcy, a po chwili dołączyła do nich jeszcze garstka najdzielniejszych Maltańczyków. Szykując się na śmierć, odmawiali Ojcze nasz:

– Pater noster, qui es in caelis…

– …sanctificetur nomen tuum.

– Przyjdź królestwo Twoje.

– Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj…

– …i odpuść nam nasze winy…

– …jako i my odpuszczamy naszym winowajcom…

– Et ne nos inducas in tentationem.

– …ale nas zbaw ode złego.

– Amen.

– Pater noster, qui es in caelis…

Algierczycy wspinali się na stertę gruzu, a Ludovico spuścił głowę i teraz dopiero zauważył, że z jego uda sterczy strzała. Nie pamiętał, by poczuł to trafienie. Anacleto naciął promień mieczem i złamał tuż przy ciele, by go skrócić. Ludovico podziękował.

– Mój Boże – odpowiedział Anacleto. – Spójrz.

Ludovico odwrócił się. Kobiety z namiotowego miasteczka uchodźców tłumnie wspinały się na rumowisko. Spódnice miały zadarte i przewiązane wokół pasa; odbierały broń zabitym i bez wahania rzucały się do walki wręcz z muzułmanami. Ludovico miał łzy w oczach. Za plecami maltańskich amazonek, na moście ułożonym na łodziach w poprzek Porto delle Galere, dostrzegł rycerzy Langue Owernijskiej pod wodzą Sieura de Quinaya oraz

kompanię hiszpańskiej piechoty. Ludovico z nową nadzieją skoczył w tłum i potworna rzeź rozgorzała z pełną energią wzdłuż całego wybrzeża.

Potrzeba było dwóch godzin, by zapędzić Kandelissę i jego gazi z powrotem do łodzi. Ci, którzy się poddali, zostali wyrżnięci na plaży. Na wpół utopionych dobijały nożami maltańskie kobiety. Na wieść o załamaniu się ataku od strony wody szturmujący od lądu stracili ducha walki. Włosi pod wodzą del Montego odparli Hasima i jego Algierczyków od murów, a potem odważnym rajdem wybili do nogi maruderów chroniących się w ruinach Bormuli. Zachodzące słońce nadało niebu nad Monte Sciberras osobliwe barwy szafranu i różu. Ludovico patrzył, jak ostatnie łodzie muzułmanów znikają w oddali, a stada sępów krążą coraz niżej nad usianą trupami plażą. W wodach wokół półwyspu pływały niezliczone ciała, a wśród nich krzątali się odważni pływacy, rabujący cenne klejnoty, srebro i złoto. Tysiące Algierczyków miały już nigdy nie zobaczyć rodzinnych stron, ale i cena, jaką zapłaciła za to Religia, była wysoka. W grupie zmęczonych i ponurych ludzi, którzy otaczali Ludovica, pojawił się Pietro del Monte.

– Wojna to potworna rzecz – powiedział, wzruszając ramionami. – Ale wchodzi człowiekowi w krew.

Ludovico spojrzał na niego. Czuł się tak, jakby był lekko pijany, a przed oczami raz po raz wirowały mu mroczki.

– Z twoim błogosławieństwem, bracie – postarał się, by ochrypły szept stał się dobrze słyszalnym głosem – chciałbym zostać rycerzem świętego Jana.

Nogi ugięły się pod nim, ale del Monte złapał go w porę. Ludovico zebrał siły, wyprostował się i podążył za wzrokiem admirała. Zobaczył, że jego buty wypełnia po brzegi mętny płyn, gęsty od krwistych skrzepów. Del Monte przywołał jednego z młodszych rycerzy i rozkazał mu, by wraz z Anacletem odprowadził Ludovica do szpitala.

– A jeśli chodzi o twoją kandydaturę do zgromadzenia – rzucił na pożegnanie – to zdaj się na mnie.

Z marszu ku szpitalowi, po pływającym moście kołyszącym się pod naporem tłumu osłabionych i okaleczonych, zapamiętał niewiele. Eskorta starała się otworzyć przed nim drogę, płazując maruderów. Nieznana wieśniaczka podała mu bukłak z winem; nie wiedział nawet dlaczego. Gdy dotarli do Świętej Infirmerii, panował tam taki chaos, że towarzyszący mu młodzieńcy odmówili pozostawienia go tam. Postanowili, że na własnych ramionach doniosą go do Oberży Włoskiej, od której dzieliło ich jeszcze kilkaset kroków – Ludovico był już tak osłabiony, że niewiele z tego rozumiał.

Gdy się obracali, Ludovico znieruchomiał nagle i powstrzymał towarzyszy.

Po drugiej stronie skąpanego we krwi szpitalnego przedsionka dostrzegł kobietę pochyloną nad targanym konwulsjami nagim mężczyzną, który był w zasadzie jedną masą głębokich ran. Jej ramiona były unurzane we krwi aż po pachy. Rozpuszczone włosy kleiły się do krwawych smug na jej twarzy. Jednak ani to, ani grymas wyczerpania wykrzywiający jej twarz nie mogły zaćmić jej piękna i łagodności rysów. Spróbował ją zawołać, ale krtań odmówiła mu posłuszeństwa. Zazdrościł temu człowiekowi, który wił się z bólu na stole. Zazdrość ukłuła go boleśnie. To nie potworne zmęczenie, nie rany, nie podniecenie i strach gnębiący jego duszę sprawiły, że padł teraz na kolana.

Uczynił to widok Carli.

W chwili, gdy tracił resztki świadomości, a dwaj młodzi rycerze pozwalali mu upaść na posadzkę, zdał sobie sprawę, że wciąż ją kocha, i otchłań głęboka jak wieczność otworzyła się w jego wnętrzu. Kochał ją mimo lat spędzonych w cnocie i dyscyplinie. Kochał ją mimo zagrożenia, jakim było to uczucie dla jego misji. Kochał ją z tą samą mroczną desperacją, która ogarnęła go przed laty.

Środa, 1 sierpnia 1565 - Il Borgo – szpital – Oberża Angielska

W świetle gwiazd Drogi Mlecznej ulice Il Borgo były ciche, wyblakłe i zniszczone, jak niewyraźne wspomnienie dawno upadłej cywilizacji. Dochodziła północ, gdy Carla wyszła na plac przed Świętą Infirmerią. Bruk cuchnął octem używanym do zmywania plam krwi i nieczystości, a woń ta tylko potęgowała zawroty głowy wywołane zmęczeniem. Od dwóch tygodni turecki ostrzał zakłócał spokój nocy, dlatego też idąc w stronę oberży, instynktownie wypatrywała miejsc, w których mogłaby się ukryć. Wszystko, nie wyłączając ludzi śpiących pod gołym niebem, było pokryte warstwą pyłu z rozłupanych piaskowców. Od czasu do czasu kamienne kule armatnie spadały z nieba bez ostrzeżenia i przebijały dachy domów, w których uchodźcy gnieździli się w wielkiej ciasnocie. Kilka razy trafiły i w Świętą Infirmerię. Często widać je było, jak toczą się brukowanymi uliczkami, niczym piłki użyte w okrutnej zabawie. Lecz nawet gdy toczyły się po ziemi, były niebezpieczne: łamały i miażdżyły kończyny. Potrzeba było kilku makabrycznych wypadków, by miejscowe dzieci nauczyły się, że nie należy ganiać za kulami i próbować ich łapać.

Gdyby nie wiara chrześcijańska, przynosząca pocieszenie, spajająca więzi i przede wszystkim zajmująca czas, duch w żołnierzach i mieszkańcach miasta załamałby się już dawno. Pod przywództwem de la Valette'a zachowano mniej więcej niezakłócony tok religijnych rytuałów. Z wielką pompą celebrowano pogrzeby i masowe pochówki. Msze żałobne, adoracje Najświętszego Sakramentu, nowenny, czuwania i publiczne procesje były codziennością. Rzadko udostępniane obrazy i relikwie wystawiano na widok publiczny i ponownie ukrywano. Dni dedykowane poszczególnym świętym, zazwyczaj niczym się niewyróżniające, teraz upamiętniano specjalnymi obrzędami. Ze szczególną radością udzielono kilku chrztów oraz, o dziwo, trzech ślubów. W tym sensie dzielni i wspierający się nawzajem mieszkańcy miasta udowadniali, że są godni Bożej opieki.

Lecz jednoczyło ich coś jeszcze: żarliwa nienawiść do muzułmanów, których uważali za urodzonych morderców, zdrajców i okrutników. Wiele rozmów poświęcano ich rzekomo nieludzkim charakterom. Dwa tysiące niewolników służących na galerach zakonu, z których większość pracowała teraz pod tureckim ostrzałem przy naprawie murów, cierpiało potężnie z powodu owych uprzedzeń. Dochodziło do aktów przemocy, których sprawcy nigdy nie byli karani. Gdy kolejka kobiet stojąca przed magazynem żywności zmieniła się w krwawą miazgę za sprawą tureckiej kuli armatniej, w odwecie z szokującym okrucieństwem uśmiercono kilkudziesięciu niewolników. Nicodemus, jeśli w ogóle ośmielił się opuścić

oberżę – a czynił to coraz rzadziej – był traktowany jak nosiciel zakaźnej choroby, nawet w kościele. Mijając pracujących niewolników o umęczonych twarzach chudych jak szkielety i pokrytych ranami, Carla odczuwała palący wstyd.

– Nic na to nie poradzisz – mawiał jej brat Lazaro. – Wojna ze wszystkich nas czyni złych ludzi.

Minęły siedemdziesiąt dwa dni od powieszenia starego lalkarza. Każdy człowiek zamknięty w murach miasta zdążył już stracić jakąś cząstkę swego zdrowia i swojej duszy. Przerażeni ludzie, bezsenni, chowający się nocą po piwnicach i tunelach, a za dnia szukający byle gdzie kryjówki przed kulami muszkietów i strzałami, z wolna przybliżali się do granicy rozpaczy. Niektórzy mieli wręcz nadzieję, że wkrótce nastąpi kolejny turecki atak, byłaby to bowiem jakaś odmiana w wyczerpującej, nasiąkniętej strachem monotonii miejskiego bytu, a także szansa na zakończenie długiej i trudnej drogi życia. Carla nie należała jednak do tych ostatnich. Nie zapomniała – i nigdy nie miała zapomnieć – tego, co wydarzyło się po szturmie na fort Świętego Michała.

Ranni zaczęli przybywać do szpitala, gdy bitwa dobiegła końca i wreszcie otwarto dla nich pływający most. Wcześniej szybko rosnący tłum ofiar powstrzymywała na drugim brzegu specjalnie ustawiona i dobrze uzbrojona straż. Brat Lazaro wysłał do nich trzech żydowskich lekarzy z miasta, by spróbowali na miejscu pomóc najbardziej potrzebującym. Ledwie trzysta stóp od szalejącej bitwy medycy ci pracowali jak anioły, nie zważając na upał i niebezpieczeństwo. Nie tylko Carla zgłaszała się na ochotnika, by do nich dołączyć, lecz Lazaro najwidoczniej przeczuwał, co się będzie działo później, i zabronił swym podwładnym narażania się.

Nawet on jednak był oszołomiony skalą exodusu. Dla ciężko rannych przeprawa po śliskich i nierównych deskach mostu była nieopisaną męką. Rycerze mieli prawo przejść na drugą stronę jako pierwsi i nikt się temu nie sprzeciwiał, bo taka była na tym świecie kolej rzeczy. Potem zaś nastąpiła eksplozja paniki, nad którą straże nie zdołały zapanować. Ludzie rozpychali się i wypadali przez linowe barierki, by utonąć. Inni lądowali w łodziach i przygnieceni ciałami następnych dusili się. Jeszcze inni zostali stratowani na śmierć. Mieszczanie czekali już przy moście po stronie Il Borgo, by zanieść omdlewających do szpitala na kocach i matach. Ci, którzy mieli dość siły, kuśtykali lub pełzli samodzielnie. Wśród jednych i drugich śmierć zbierała po drodze straszliwe żniwo. Zanim ewakuacja rannych dobiegła końca, ulice na szlaku prowadzącym do szpitala usiane były trupami od ściany do ściany.

Święta Infirmeria była najlepiej wyposażoną i najlepiej obsadzoną placówką tego typu w całym świecie – a było to zasługą rycerzy świętego Jana z Jerozolimy – a jako że mieściła dwieście łóżek, była też jedną z największych. Zmasowana rzeź żołnierzy nie była żadną nowością, ale zwykle bywało tak, że konający zostawali na polu walki i tam odchodzili z tego świata. Żadna instytucja nigdy nawet nie próbowała przyjąć i uratować tak wielu potrzebujących. W istocie była to próba szalona, natchniona wiarą – podjęto ją jednak, choć bez powodzenia.

Ściany i podłoga sali operacyjnej były zbryzgane żółcią i krwią. Ekipa maltańskich kobiet pracowała nieustannie, próbując nadążyć ze ścieraniem śladów szmatami zmoczonymi octem. Wkrótce jednak okazało się, że szmaty nie wystarczą, i trzeba było zbierać szuflami czerniejące skrzepy, które mnożyły się na podłodze w zastraszającym tempie, niczym nowe, obsceniczne formy życia. Spoceni chirurdzy wymachiwali młotkami, serwując swym podopiecznym natychmiastowe znieczulenie. Zużywali całe szpule nici z owczych jelit i wciąż wołali o świeżo naostrzone instrumenty. Zepsute zęby zaciskały się na drewnianych kneblach, szybko skończyły się bowiem gąbki nasycone łagodzącym ból narkotykiem. Po kamiennej podłodze walały się niezliczone groty strzał, kule muszkietowe oraz zakrwawione kawałki cegieł i kamieni usuwane z ran. W powietrzu unosił się fetor kauteryzowanych ran. W kakofonii krzyków bólu i rozpaczy kapelani klękali raz po raz w swych nasiąkniętych krwią habitach, by w przerażającym tempie udzielać niezliczonych sakramentów ostatniego namaszczenia. Z odrażającą regularnością wynoszono balie pełne amputowanych kończyn, których sterta rosła na przyszpitalnym placu. Jeszcze większe były jednak stosy zabitych.

Konieczność sprawiła, że rozluźnieniu uległy zasady regulujące pracę Carli. Brat Lazaro powierzył jej zadanie rozbierania i mycia rannych, którzy mieli trafić na stół operacyjny. Odrywała więc strzępy odzieży od lekko zasklepionych ran i poparzonej skóry, odcinała buty od strzaskanych stóp i goleni, zsuwała zdeformowane hełmy z poobijanych czaszek. Wszyscy jej podopieczni, bez wyjątku, byli usmarowani ziemią i ekskrementami. Nieustannie donoszono więc wiadrami słoną wodę z portu. A ranni wrzeszczeli z bólu. Wrzeszczeli, gdy ich rozbierano. Wrzeszczeli, gdy ich myto. Wrzeszczeli, gdy niesiono ich na stół. Carla czuła się, jakby zadawała im tortury. Zaciskała zęby i ze wszystkich sił starała się nie zwymiotować. Unikała dotyku ich panicznie rozdygotanych rąk i ich przerażonych spojrzeń. Szorując rany słoną wodą, w duchu błagała ich wszystkich o wybaczenie.

Przekonała się, że nie ma takiego miejsca na ludzkim ciele, którego nie dałoby się przebić, naciąć, zmiażdżyć, przypalić lub odrąbać. I że nieskończona jest liczba kombinacji

wszystkich tych urazów. Ból, strach i chaos, pozbawione teatru działań, którym była dla nich bitwa, z radością przeniosły się do szpitala. Tańczyły wokół niej, drażniąc wszystkie zmysły. Atakowały wzrok widokiem pobladłych, wykrzywionych twarzy i zmasakrowanych ciał; nękały jej mózg przerażającymi krzykami i błaganiami; brukały jej usta i nozdrza treścią rozprutych trzewi, rozlanym moczem, potem i cuchnącymi oddechami. Narzędziem tortur były nawet jej własne ręce, które przekazywały każdy spazm agonalnego bólu rannych, a przy tym – zdarte do krwi na czubkach palców – źle znosiły słoną wodę, która paliła jak śmiertelna trucizna.

Ciemność zapadła w szpitalu wcześnie, a w migotliwym blasku lamp i świec śmierć była wszechobecna, a strach jeszcze bardziej namacalny. Wydawało się, że teraz i cienie rzucane na ściany krzyczą z bólu. Carla starała się jak mogła. Sięgała do najgłębszych pokładów odwagi i hartu ducha, ale to nie wystarczało. Przyszła wreszcie chwila, w której stało się jasne, że będzie musiała uciec. Ostatkiem silnej woli obiecała sobie w duchu, że przynajmniej nie będzie biec. Że upuści zakrwawioną szmatę do wiadra i wymknie się po cichu. Nikt nie zauważy. Przejdzie nad rannymi leżącymi na drodze do wyjścia z sali, potem nad tymi w przedsionku, a potem już tylko pod łukiem i znajdzie się na placu. Tam zacznie biec. Wzywał ją kościół Świętego Wawrzyńca, ołtarzyk Philermo i rozgrzeszające spojrzenie Matki Boskiej. Na pewno w Jej bliskości znalazłaby ukojenie, a jeśli nie, to przynajmniej towarzystwo Tej, która zna wszystkie smutki.

Upuściła więc szmatę do wiadra i ruszyła ku drzwiom. Minęła przedsionek, gdzie tylko nieliczne pochodnie wydobywały z mroku wykrzywione twarze cierpiących. Ktoś zawołał ją po imieniu. A może był to tylko wewnętrzny głos? Nie zatrzymała się. Kamienny łuk był już nad nią; tu było trochę jaśniej. Zatrzymał ją dopiero widok za portalem.

Cały plac był usiany okaleczonymi ciałami, podobnie jak krużganki po obu stronach od wyjścia. Mężczyźni, kobiety, chłopcy w różnym wieku. Maltańscy żołnierze. Hiszpanie. Cywile obu płci. Wszyscy leżący na plecach, w kałużach krwi rozlewających się po kamieniach. Siostry, matki i żony klęczały przy najbliższych, odganiając stada much krążące w słabnącym już upale. Kapłani w czarnych sutannach krzątali się tu i tam, nie wchodząc w drogę żydowskim lekarzom, których wciąż nie dopuszczano do świętych sal szpitala, mimo iż tak wiele istnień ludzkich już uratowali. Gasnąca, czerwonawa poświata wieczoru oraz chór modłów i lamentów przywodziły na myśl Apokalipsę, jakby Dzień Sądu już nastąpił, a ci boleśnie doświadczeni wojną pokutnicy przywlekli się do bram wieczności, by wyspowiadać się z grzechów i błagać Boga o zmiłowanie.

Carla utknęła między dwoma oceanami tragedii. Wszystko, co mogła uczynić dla tych ludzi, wydawało jej się trywialne. I po co? Ci, którym dane było odzyskać siły, mieli znów trafić w ogień, by popełniać podobne zbrodnie na innych ludziach, bo przecież po drugiej stronie muru, w obozie wyznawców Allaha, sprawy musiały się mieć podobnie. Oddychała zbyt szybko, a jej pierś ścisnęła niewidzialna pięść. Serce biło tak mocno, jakby chciało się wyrwać z ciała i dołączyć do rannych. Przez chwilę gorąco pragnęła, by właśnie tak się stało. Zrzucić z barków ciężar bycia jedynym zdrowym w niezmierzonej masie umierających. Zaprzestać wtaczania głazu po niekończącym się stoku. Uwolnić się od poczucia obowiązku, paniki, porażki, troski.

Spojrzała w dół, gdy poczuła, że coś ciągnie ją za spódnicę. Zobaczyła dłoń kurczowo zaciśniętą na lnianej tkaninie przesiąkniętej krwią. Młodzik co najwyżej dwudziestoletni leżał u jej stóp, a jego ramiona drżały z wysiłku, którym było dlań uniesienie ręki. W szybko zapadającym mroku jego policzki i oczodoły były głębokimi cieniami, ale w wilgotnych oczach jeszcze paliły się iskry życia, a czarna jama ust poruszała się wolno, bezgłośnie wypowiadając słowa. Ze ściśniętym gardłem Carla próbowała przełknąć ślinę, ale nie była w stanie. Ze szczupłego, pięknie wyrzeźbionego brzucha chłopaka wylewały się purpurowe zwoje wnętrzności, częściowo przesłonięte kłębowiskiem niebieskawych much. Zacisnęła powieki, by zatrzymać łzy, i odwróciła się szybko. Odwróciła się plecami do tego nieznanego młodzieńca, który nigdy już nie przytuli się do serca ukochanej, który nigdy więcej nie odetchnie powietrzem jasnego, błękitnego poranka, który umierając w tej cuchnącej ciemności, obrabuje świat ze wszystkiego, co mógłby mu dać. Zamrugała nerwowo i jak przez mgłę zobaczyła ścieżkę wiodącą przez plac. Przez łzy droga nie wydawała się daleka. Matka Boska z Philermo wybaczy, pomyślała, skoro sama była świadkiem, jak Jej Syna zamęczono na śmierć na nagim szczycie wzgórza. Zaciśnięta dłoń szarpnęła spódnicę jeszcze raz, a Carla bezgłośnie błagała, by pozwolono jej odejść. Naprawdę nie miała daleko. Czy mogło ją tu spotkać coś jeszcze straszniejszego niż to, co już przeżyła?

Poczuła, że ręka opadła, zwracając jej wolność. Zaraz potem, z porażającym wstydem zdała sobie sprawę, że to nie ręka upadła, lecz ona. Młodzik nie zatrzymał jej po to, żeby prosić o ratunek, ale po to, żeby ją uratować, zawrócić z drogi ku nicości, w którą staczała się jej dusza. Odwróciła się zrozpaczona, trąc rękawem załzawione oczy, ale gdy przyklęknęła przy rannym, przekonała się, że jest już za późno. Iskry światła w łagodnych, brązowych oczach zdążyły już zgasnąć, usta zastygły w niemym krzyku, a pierś, na której teraz położyła dłoń, była lepka i nieruchoma. Nawet purpurowe zwoje jakby straciły połysk. Samotny, porzucony i bezimienny chłopak odszedł, nie dostawszy na drogę nawet

pożegnalnego spojrzenia obcej kobiety. Czy tak samo umierał Tannhäuser? I Orlandu, syn, którego w istocie nie znała? Nie mogła w to uwierzyć. Gdyby uwierzyła, nie byłaby w stanie dłużej wytrwać. Zamknęła palcami brązowe oczy i otwarte usta, a potem ujęła w dłonie stygnącą twarz i zapłakała w szkarłatnym półmroku, czując się niegodna nawet modlitwy.

Czyjeś ręce ujęły ją za ramiona i podniosły, a potem przytuliły jej twarz do ramienia okrytego czarną szatą. Objęły ją i przycisnęły do piersi, na której wisiał krzyż. Płakała jak opuszczone, zagubione dziecko. Tysiąc smutków naraz nękało jej umysł: z powodu bezimiennego młodzika u jej stóp, z powodu Tannhäusera i Orlandu – bez względu na to, czy jeszcze żyli czy nie – z powodu ojca, któremu złamała serce i splamiła honor, z powodu miłości, której zaznała i którą straciła, oraz z powodu miłości, której nie przeżyła wcale, a której pragnęła bardziej niż czegokolwiek innego.

Wreszcie odetchnęła i spojrzała w górę. Przytulała się do ojca Lazara, tego dnia jakby wysuszonego i pozbawionego energii. Smutek w jego oczach był taki sam jak w jej: niezmierzony. Mimo to zdobył się na łagodny uśmiech płynący wprost z jego wielkiego serca.

– Idź schodami na górę – powiedział, wskazując na boczne wyjście. – Jest tam mały pokoik z łóżkiem polowym, wąskim i twardym, ale mogę cię zapewnić, że będzie ci na nim jak w niebie. Idź tam, odpocznij trochę.

Carla cofnęła się o krok i wytarła twarz, spoglądając na zmarłego.

– Wyparłam się go – powiedziała.

Lazaro ujął jej twarz dłonią i obrócił ku sobie.

– Święty Piotr trzy razy wyparł się naszego Pana, a jakoś nie przeszkodziło mu to zostać świętym. – Lazaro zdobył się na jeszcze jeden uśmiech, a potem spojrzał na nią surowo. – Jeśli wyczerpiemy w sobie ducha, potrzebujący, którym służymy, nie będą mieli z nas pożytku. A jeśli nie będziemy służyć, nasze życie nie będzie miało sensu. To łóżko należy do mnie i zapewniam cię, że sam często go używam. Zrób tak, jak mówię. Odpocznij. I pamiętaj, że Bóg cię kocha. – Zakonnik wskazał na rannych leżących dokoła. – A kiedy wrócisz, nie zabraknie pracy dla ciebie.

Łóżko polowe było wąskie i twarde, ale czuła się jak w niebie. Leżała godzinę, lecz choć zamykała oczy, była zbyt zmęczona i poruszona, by zasnąć. Myśli i półsny splatały się ze sobą w jej głowie. Wspominała Tannhäusera, jego poorane bliznami, muskularne ciało, jego fantazję i uczciwość spojrzenia – i na nią, i na cały ten szalony świat. Wyobrażała sobie życie z nim po ślubie, w wielkim spokoju i z dala od ryzyka. Słyszała jego głos, który obiecywał, że wszystko to minie. I chyba w końcu zasnęła, bo nagle nagi Tannhäuser zakradł się do jej celi. Widziała go przecież naprawdę – szpiegowała go – gdy kąpał się w beczce, a

teraz wspomnienie to rozpaliło w niej ogień wyobraźni. Podniósł ją z łóżka i odarł z krwistoczerwonej sukni. Bez słowa zachęty uklęknęła przed nim, wbijając palce w jego wytatuowane, mocarne uda. Zamknęła oczy, a po chwili otworzyła je i jęknęła. Poczuła ból i skurcz tak silny, że się ocknęła; sen umknął i znowu leżała samotnie w ciemności rozbrzmiewającej echem głosów. Echo było prawdziwe, a jego źródłem był potworny dramat rozgrywający się w dole, pod podłogą. Zupełnie inne obrazy wdarły się teraz do jej wyobraźni. Mieszanina wojny i erotyki zdezorientowała ją do końca. Obejmując się ciasno ramionami, Carla zwinęła się w kłębek i zapłakała.

Leżała tak jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu łzy obeschły i poczuła, że znowu jest sobą. Choć rozsądek podpowiadał jej coś innego, podobnie jak Bors nie wierzyła w to, że Tannhäuser zginął. Jakiś wewnętrzny głos wciąż kazał jej czekać. A jeśli Mattias żył, to żył i Orlandu, którego był przecież tarczą. Kochała ich obu, bezwarunkowo i bez ograniczeń. Przynajmniej tyle mogła uczynić w świecie opanowanym przez nienawiść. Coś wiecznego musiało przecież przetrwać potop śmierci i wydawało jej się, że może to być tylko miłość. Jej miłość, miłość Lazara, miłość bezimiennego żołnierza, miłość Jezusa Chrystusa. Wstała z twardego siennika, na którym było jej jak w niebie, i wróciła do piekła szpitalnej sali, modląc się, by miłość Chrystusa uzdrowiła ich wszystkich.

Wiedziała, że będą kolejne szturmy, ponieważ spośród wszystkich głupich i nierealnych nadziei, które żywiła, nadzieja na rychły pokój była najgłupszą. Mustafa, jak mówiono, był rozwścieczony porażką i już szykował nowe uderzenie. Mury Il Borgo i L'Isoli rozpadały się w kilku miejscach i wszystkich, którzy byli w stanie dźwigać kamienie czy machać łopatą, zaprzężono do pracy wraz z niewolnikami, przy naprawianiu uszkodzeń i wznoszeniu nowych umocnień oraz barykad.

Zapasy leków i innych środków niezbędnych do funkcjonowania szpitala – czarnego wina, mandragory, bukwicy, belladony, olejku różanego, opium i dziurawca – które wydawały się niewyczerpane, gdy rozpoczynało się oblężenie, właśnie zaczynały się wyczerpywać. Ogród ojca Lazara już dawno odarto z ostatnich przydatnych płatków i liści. Wielkie bele bandaży i szarpi zniknęły, a bracia zakonni zaczęli odwiedzać wypisanych już pacjentów, by zbierać używane opatrunki, prać je i wykorzystywać ponownie. Walka z powszechnymi zakażeniami roznoszonymi przez miazmaty zastąpiła walkę z surowymi, świeżymi ranami; fetor ropy zdominował inne wonie szpitala. Masowe groby zapełniły się i trzeba było kopać nowe. Wszystkie większe domy w mieście zajęto na potrzeby lżej rannych i chorych.

Pożądaną przeciwwagą dla tych dramatycznych okoliczności był przypadek pewnego człowieka, który w piwnicy swego domu kopał schron dla rodziny i niespodziewanie dotarł do całkiem wydajnego źródła wody pitnej. Cud ten – bo co do tego, że to cud, nikt nie miał wątpliwości – w zasadzie rozwiązał najbardziej palący problem miasta, a jedyną kontrowersją wokół niego był spór o to, czy podziękowania za to należą się świętej Agacie, świętej Katarzynie czy świętemu Pawłowi.

Carla wiedziała już, że wytrwa, cokolwiek się wydarzy. Odkryła w sobie spokój, który nadchodzi wraz z zanurzeniem się w cierpieniu. Był to dziwny spokój, straszny, którego nie życzyła nikomu innemu, cenę za niego płaciły bowiem ofiary wojny. W swym cierpieniu i bezradności były zupełnie pozbawione zła – i wszystkiego innego, prócz elementarnej odwagi i wiary – a przez to odzyskiwały utraconą dziecięcą niewinność. Rany ujawniały prawdziwą naturę człowieka w niepowtarzalny sposób, zawsze odsłaniając coś wspaniałego, szlachetnego, coś, co wbrew upokarzającym okolicznościom zawiera w sobie wielką godność. Chorzy istotnie byli bliżej Boga, a Carla nauczyła się przyjmować spokój, który jej dawali, jako dar Chrystusa. Ów dar, który On sam obiecał na krzyżu, za cenę własnego cierpienia. Carla bez żalu rozstała się ze swą dumą. Jej własne lęki i zmartwienia wydawały się teraz nic nieznaczące, choć przecież istniały. Idąc w stronę oberży, rozmyślała o Amparo i zastanawiała się, czy dziewczyna na nią czeka.

Czasem zastawała ją skuloną w łóżku, kładła się obok niej i budziły się splecione w uścisku, a dzień zaczynał się wtedy stanem bliskim szczęścia. Bywało jednak i tak, że nie widywała jej przez kilka dni z rzędu i tylko docierały do niej plotki, że Amparo śpi na nabrzeżu albo w stajni, przy Buraqu, do którego bardzo się przywiązała. Gdy się spotykały, Amparo wyglądała na coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz bardziej przypominała tę dziką, milczącą sierotę, którą Carla znalazła w lesie. Bawiła się z dziećmi tak, jakby była w ich wieku. Wróżyła z dłoni i jadła chleb i oliwki z groźnymi hiszpańskimi tercios, którzy zdawali się traktować jej przyjaźń jak amulet przeciwko wszelkim nieszczęściom. Przestała chodzić do kościoła; pojawiała się tam wyłącznie na życzenie Carli. Wielu ludzi w mieście uważało ją za wariatkę, ale nikt nie ośmielił się jej skrzywdzić ani nawet obrazić czy rozmawiać o jej dziwnym zachowaniu, ponieważ Bors rozgłosił wieść, że jest jej opiekunem, i zdążył już potraktować paru nieżyczliwych z pasją graniczącą z żądzą mordu. W świecie wywróconym do góry nogami Amparo jak nikt inny trzymała się swoich zasad i pozostała sobą.

Carla pomyślała o Ludovicu.

Minął prawie miesiąc, odkąd dowiedziała się o jego powrocie. Bors widział go pierwszej nocy i ostrzegł ją natychmiast. Potem zaś dowiedziała się, że Ludovico, bohater ze Świętego Michała, zasłabł w szpitalu. Jego towarzysze położyli Ludovica na drzwiach i zanieśli do małego szpitala działającego przy Oberży Włoskiej. Carla nie widziała go ani wtedy, ani później, lecz mimo to wciąż był obecny w jej myślach. I nie tylko jej.

– Inkwizycja nie jest mile widziana na Malcie – powiedział Bors, który zdążył już zgłębić to zagadnienie.

Siedzieli przy stole w refektarzu, a Bors pałaszował tartaletki z kremem. Skąd udało mu się wytrzasnąć mleko i jajka, wiedział tylko on. Dzięki swemu nieomylnemu nosowi oraz talentom handlowym – w połączeniu z kucharskim mistrzostwem Nicodemusa – cieszył się zasłużoną sławą jedynego człowieka na wyspie, który podczas oblężenia zdołał przybrać na wadze.

– A czy gdziekolwiek jest mile widziana? – spytała Carla.

Bors parsknął pogardliwie.

– Zło zawsze przynosi komuś pożytek; czy kwitłoby tak wspaniale, gdyby było inaczej? – Połyskująca, różowa blizna na jego ogorzałej twarzy uczyniła jego grymas jeszcze bardziej groteskowym. – W Mesynie tysiące ludzi tworzą siłę inkwizycji. Ludzi Kościoła jest wśród nich tylko garstka, ale mają za sobą armię pochlebców, klakierów i pijawek. Baronowie i złodzieje, kupcy i księża… Jak to mówią: wszyscy bogacze, cała milicja i wszyscy bandyci. Maczają palce we wszystkim i robią, co im się podoba. Przynajmniej z tymi, którzy im na to pozwalają. – Bors uśmiechnął się do miłych wspomnień, a Carla przypomniała sobie księdza, którego życie dobiegło końca w wozie na pustej drodze. – Religia nie wpuściłaby ich na Maltę, gdyby nie podstęp papieża – ciągnął Bors. – Wyznaczył on Domenica Cubellesa na generalnego inkwizytora, a ponieważ był on już wcześniej biskupem Malty, rycerze raczej nie mogli zwyczajnie poderżnąć mu gardła. Zwłaszcza że i w samym zakonie nie brakuje zgniłych jabłek. Bo czy może być inaczej w szeregach tak znakomitych zabójców? Gwałty, sodomia, zabójstwa, czarna magia, herezja – widziano tu już wszystko. Bo i dlaczego nie? Ale do tej pory zakon sam rozwiązywał swoje problemy. Biskup też nie ważył się wystąpić zdecydowanie przeciwko szpitalnikom – bez przekonania oskarżał niektórych rycerzy francuskich o sprzyjanie luteranom, ale nikogo nie aresztował. Inkwizycja działa bowiem tylko tam, gdzie ma ludzi do całkiem przyziemnych zadań, biskup zaś jest stworzeniem z natury pałacowym. Mimo to udało jej się, że tak powiem, wsadzić nogę między drzwi i dlatego sześć miesięcy temu papież mógł przysłać tu brata Ludovica.

W pamięci Carli Ludovico był bystrym, wykształconym i uduchowionym młodzieńcem. Wydawało się, że łagodność jest jego naturalną cechą. Carla nie umiała więc wyobrazić go sobie jako człowieka wzbudzającego taki strach.

– Czy on naprawdę jest takim demonem? – spytała.

Bors nie odpowiedział od razu, zajęty wpychaniem do ust kolejnej tartaletki. Po chwili zamruczał z rozkoszy i otarł usta wierzchem dłoni.

– Ludovico jest nazywany czarną ręką papieża. Za jego sprawą niejeden kardynał i hrabia trafił na stos. – Bors spojrzał na Carlę tak, jakby spodziewał się pełnego poparcia dla jego osobistego przekonania, iż kardynałowie i hrabiowie nadają się wyłącznie na opał. – Guzmán, jeden z naszych tercios, w sześćdziesiątym pierwszym służył w Kalabrii. Wielki inkwizytor Ghislieri prowadził wtedy kampanię przeciwko waldensom, którzy osiedlili się w górach. Dobrze zapamiętał brata Ludovica. Chcąc wzbudzić religijną gorliwość jednego z miejscowych markizów, Ludovico ot tak, załatwił kardynalski kapelusz jego braciszkowi. Potem zaś jego ludzie roznieśli wioskę San Sisto, mordując wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Polowali w lasach na uciekinierów, używając do tego wygłodzonych psów. Wyobraź sobie. Noc, pochodnie, szczekanie psów, krzyki. Podobno zabili dwa tysiące ludzi. W La Guardii torturami wymusili zeznania siedemdziesięciu ludzi, a tych, którzy przeżyli, posmarowali smołą i podpalili na szczycie urwiska. Robili zakłady o to, który skoczy w dół i w jakiej kolejności. W Montalto zapędzili osiemdziesięciu ośmiu wiernych do kościoła parafialnego, a potem wyciągali po jednym ze środka i podrzynali im gardła na schodach.

Carla była wstrząśnięta. Kiedyś kochała tego człowieka.

– A potem była czystka w Piemoncie, gdzie Ludovico po raz pierwszy wszedł w drogę Mattiasowi…

Carla nie mogła już tego słuchać.

– Kim właściwie są ci waldensi? – spytała.

Bors wzruszył ramionami.

– To ludzie, którzy czczą Chrystusa, ale w zakazany sposób.

Carla milczała.

– Ludovico nigdy sam nie brudzi sobie rąk heretycką krwią, ale i tak powiedziałbym, że ma długie ręce. Jego szpiedzy są wszędzie, i na górze, i na dole, i w pałacach, i w burdelach. Zaufani ludzie. Uwielbiają te intrygi, te zdrady. Spraw, żeby mężczyzna poczuł się ważny, a zrobi wszystko. Albo kobieta. Powiedz im, że to dla Boga, papieża czy cesarstwa, że niebo będzie za to nagrodą, dorzuć do tego garść złota i obietnicę,

że jakiś łajdak skończy w płomieniach, a niewielu oprze się pokusie. A jeśli uda się śmiertelnie przerazić takiego delikwenta, to jeszcze lepiej.

– Po co Ludovico wrócił na Maltę? Dlaczego naraża życie?

– Tego nie wie nikt. Ale kiedy został ranny w Świętym Michale i rozdał parę relikwii, na których widok braciszkowie dostają kompletnej szajby – do diabła, gdybym wiedział, sam przywiózłbym im parę drzazg z krzyża – zaraz przyjęli go do zakonu.

– Ludovico jest rycerzem świętego Jana?

– W niedzielę złożył śluby w zgromadzeniu – odparł Bors. – Będą tego żałować, zapamiętaj moje słowa. Wilk w lwiej skórze, że tak powiem. Widziałem jego twarz tamtej nocy, kiedy tu przypłynął. Ludovico wrócił, żeby polować na grubego zwierza, nie na króliki.

Bors pochłonął kolejną tartaletkę z miną tak błogą, że Carla spodziewała się zaraz ujrzeć łzy rozkoszy na jego policzkach. Anglik jednak zjadł tylko ostatnią i oblizał wargi.

– Jesteśmy maluczcy, moja pani – rzekł po chwili – i jeśli dopisze nam szczęście, tacy pozostaniemy.

Gwiazdy błyszczały nad Oberżą Angielską niezliczonym rojem. Carla żałowała, że nie umie dostrzec w ich chaosie tych archetypów i znaczeń, które widzieli inni. Na przykład Mattias. Czy patrzy teraz na te same gwiazdy? Pragnęła, żeby przyszedł do niej, wziął w ramiona. Zaraz jednak pomyślała o Amparo i poczuła się niegodna. Odsunęła od siebie te pragnienia. Oberża, choć jeszcze nieuszkodzona, nie była już tylko ostoją tej małej grupki ludzi, którą w myślach nazywała bandą Mattiasa, jego wędrowną rodziną marzycielskich dusz. Nicodemus spał w kuchni, gdzie pilnował ognia i gdzie zostawiał lampę, by oświetlić jej drogę w środku nocy. Bors trzymał nocną straż przy bramie Kalkara, bo wolał chłód nocy i przysięgał, że prędzej czy później z mroku za bramą wyłoni się Mattias. Do oberży zawitali też nowi lokatorzy: dwaj szlachetnie urodzeni Anglicy oraz lżej ranni ze szpitala. Mimo to Carla miała jeszcze swój pokój w domu Starkeya przylegającym do oberży i to był jej prawdziwy skarb.

Na progu zdjęła buty, by przemknąć bezszelestnie. Zobaczyła Nicodemusa, który spał na kuchennej podłodze, i zabrała lampę stojącą we wnęce przy drzwiach spiżarni. Poszła na górę, do swojego pokoju, i zamknęła drzwi. Zdjęła nasiąkniętą krwią suknię – jedną z trzech, które uszyła sobie z czarnego lnu, o luźnych rękawach, by mogła je wysoko podwijać, i z wysokim kołnierzem, przez wzgląd na skromność. Ku radości przynajmniej niektórych mieszkańców miasta po tygodniu uzupełniania zapasów wody z nowego źródła pozwolono znów na pranie odzieży, toteż i Carla miała czystą suknię na następny dzień. Obmyła się

wodą z ceberka, świeżą i pachnącą pomarańczami. Zanotowała w pamięci, że powinna podziękować Borsowi za ten prezent.

Pozwoliła, by osuszyło ją i schłodziło nocne powietrze. Przechyliła wysoką butelkę oliwy, również dar od Borsa, i zwilżywszy dłonie, natarła nią twarz, szyję i ramiona. Jej ciało stało się szczuplejsze, ale miała nadzieję, że jeszcze nie twarde. Nie miała w pokoju lustra – zresztą w całym domu nie było ani jednego – mnichom bowiem takie sprzęty nie były do niczego potrzebne, a jej szkoda było czasu na poszukiwania. Zdała sobie sprawę, że od tygodni nie widziała własnej twarzy. Ciekawiło ją, co zobaczy, gdy wreszcie ujrzy swoje odbicie. Wygląd zewnętrzny w zasadzie nie miał już dla niej znaczenia, ale może się myliła? Może rację miał Mattias, gdy mówił, że jej widok daje ludziom powód do życia?

Wśliznęła się w długą bawełnianą koszulę nocną, niegdyś białą, a teraz poszarzałą i półprzezroczystą od prania w słonej wodzie. Rozpuściła włosy i poświęciła kilka minut na przyjemność szczotkowania ich i rozczesywania palcami. Kiedy odkryto źródło wody, Lazaro przygotował dla niej miksturę z mętów z białego wina, miodu oraz ekstraktu z jaskółczego ziela. Wcierała ją w skórę głowy i pozwalała działać przez dwadzieścia cztery godziny, nim spłukiwała ługiem i czystą wodą. Po kilku tygodniach takiej kuracji jej włosy stały się bardzo miękkie. Lazaro pochwalił się, że pracuje już nad nową mieszanką, z wołowej żółci, kminku i szafranu, która po sześciu tygodniach stosowania miała nadać jej włosom złocistą barwę. Może jednak postaram się o lustro, pomyślała. Bors znalazłby je dla niej w okamgnieniu, a w dodatku nie miałby nic przeciwko tej odrobinie próżności.

Armatni wystrzał przerwał ciszę nocy; wiedziała od razu, że to z Monte Corradino, gdyż nauczyła się już rozpoznawać odgłosy tureckich baterii. Celem była L'Isola, więc ani świst pocisku, ani huk trafienia nie mogły być słyszalne. Zdaniem Lazara Turcy mieli zaatakować o świcie, ale tę przepowiednię słyszała już od czterech dni. Odłożyła szczotkę. Nadeszła pora snu. Odwróciła się w stronę łóżka i wtedy, w półmroku zakonnej celi, zobaczyła Ludovica.

Drzwi były zamknięte, a przecież nie słyszała, by je zamykał. Gdyby ktokolwiek inny zjawił się w taki sposób, byłaby przerażona. Teraz jednak nie była. To jego osoba sprawiła, że nie czuła nawet zaskoczenia; było tak, jakby moc materializowania się w dowolnym miejscu była jego naturalną cechą, nie bardziej zdumiewającą niż światło księżyca. Miał na sobie czarny habit Zakonu Świętego Jana, zapięty wysoko pod szyją i ozdobiony naszytym na piersi ośmiorożnym krzyżem z białego jedwabiu, a w pasie przewiązany dwoma różańcami. Jego dużą głowę okrywała czarna, krótko przycięta szczecina. Opalona twarz o smukłych rysach mogła być obliczem marmurowej rzeźby. Minęło ponad trzynaście lat,

odkąd widziała go po raz ostatni. W kwiecie wieku, bardziej niż w młodości, prezentował się wspaniale.

Te kilka tygodni na Malcie spędziła w otoczeniu mężczyzn, którzy nosili z dumą doświadczenia nabyte w szerokim świecie. Mattias, Lazaro, de la Valette, Bors, niezliczeni rycerze, pod których stopami trzęsła się ziemia – byli to ludzie, dla których świat istniał głównie po to, by mogli zostawić na nim swój ślad. Każdy z nich emanował własną esencją męskości. Wyczuwało się ją, gdy tylko wchodzili do pokoju, tak jakby była ich cieniem. Ludovico zaś przyniósł ze sobą aurę posłańca, którego panowie rządzą królestwem jeszcze niezbadanym przez Boga. Ani przez szatana. Ani przez człowieka. Siadywał przy stole z papieżami i królami i to ich serca biły z tego powodu szybciej, nie jego. Brodził w rzekach krwi niewinnych. I był ojcem jej dziecka.

Patrzył na nią w milczeniu, stojąc u drzwi, a jego czarne jak węgiel oczy były nieprzeniknione. Takim wzrokiem mógł przyglądać się swej kolejnej ofierze… albo miłości swego życia. Carla zrozumiała, że ta druga możliwość jest znacznie bardziej prawdopodobna. Zastanawiała się, jak długo tam stał, obserwując jej wieczorną toaletę. Teraz spoglądał na nią z kamienną twarzą. Być może tak samo jak na heretyków oblanych płonącą smołą i wzywających Boga na pomoc, gdy w agonii rzucali się w przepaść.

Stwierdziła, że nie boi się Ludovica. Jeszcze nie. Czuła natomiast dziwną, niespodziewaną troskę, łagodność zabarwioną smutkiem. Litość. Jaki piękny był przed laty. Jaki piękny był i teraz. I jak straszliwa była ścieżka, którą przemierzył przez ten czas. Być może jakieś uczucie wobec niego musiało w niej pozostać, skoro niegdyś kochała go do szaleństwa. Wobec mężczyzny, który nie tylko złamał jej serce, ale także spalił aż do fundamentów gmach jej dawnego życia.

Dawno temu Ludovico wydawał się jej dziką istotą, zakutą z własnej woli w łańcuchy powołania. Ona zaś miała siłę, by je rozerwać. Wierzyła, że zrywając jego więzy, zerwie i własne, bo czyż wolność nie jest pierwszą i najpiękniejszą obietnicą miłości? Kochali się w cienistych dolinach, na szorstkiej trawie, która cięła jej plecy do krwi. Kochali się w jaskiniach i świątyniach dawno wymarłych plemion, a także przy pogańskim posągu wielkiej kamiennej matki w Hal Saflieni. I nad lśniącymi wodami Błękitnej Groty, i przy miłosnym szepcie morza, gdy wplatał w jej włosy kwiaty zerwane o świcie. Obietnica jednak została złamana, a sen o wolności zmienił się w klatkę, w której spędziła życie – podobnie jak on.

Ludovico wciąż obserwował ją, stojąc przy drzwiach.

Czy przypominał sobie tę swobodę, którą czuli, gdy namiętność czyniła ich nieśmiertelnymi i odpornymi na wszelkie lęki? Zamknęła oczy, by uspokoić myśli i złamać

zaklęcie chwili. Ten człowiek, choć kochała go kiedyś i urodziła jego syna, był narzędziem tortur i śmierci dla tysięcy ludzi. Był czarną ręką papieża. Cokolwiek mogła mu powiedzieć – a nie było tego wiele – rozmowa mogła jedynie uwięzić ją w sieci, którą sama utkała. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Wiedziała też, że on właśnie tego chce i że dla niego ta sieć nie byłaby żadną przeszkodą. Z niepokojącą intensywnością pragnęła otworzyć przed nim serce, opisać wszystkie te lata rozłąki, ból serca, wściekłość, użalanie się nad sobą. I wreszcie wyprawę w poszukiwaniu chłopca – ich syna – a także spotkanie z nim i rozstanie oraz wszystkie brakujące kawałeczki duszy. Lecz i on tego chciał. Na to właśnie liczył. Wezwała więc na pomoc tę samą siłę, która pozwalała jej szorować słoną wodą świeże rany i otworzyła oczy. Wciąż ją obserwował.

– Proszę – powiedziała – wyjdź. Wyjdź albo zawołam Borsa.

Ludovico rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz dostrzegł coś oprócz niej. Popatrzył na łóżko, na kufer z mosiężnymi okuciami, na otwarte okno, na wiadro z wodą, na komodę i skromną garderobę wiszącą na haczykach wbitych w mur. Na krótką chwilę zatrzymał wzrok w kącie celi, na brązowym skórzanym futerale, w którym spoczywała zapomniana viola da gamba. Na sekretarzyku, którego nie dotknęła ani razu, leżały jakieś papiery, kałamarz oraz plik rękopisów i książki. Obok stało jedyne krzesło. Ludovico podszedł bliżej i spojrzał przelotnie na papiery. Obrócił krzesło i usiadł twarzą do Carli, powoli, jakby uważając na niewidoczne rany. Paciorki różańców zaklekotały, układając się na jego udzie.

– To cela brata Starkeya – stwierdził.

Wibrację jego głosu poczuła aż w krzyżu. Głęboki, powolny, rzeczowy, niosący pocieszenie i groźbę zarazem.

– To prywatna komnata damy – odpowiedziała, starając się nadać swym słowom równą moc. – Moja komnata. A twoja wizyta, na którą nie byłeś zaproszony – bo prawdę mówiąc, zakradłeś się tu w środku nocy jak złodziej – jest w najlepszym razie skandalem. W najgorszym zaś można nazwać ją przestępstwem, nawet w tak barbarzyńskich czasach.

Ludovico skinął głową w stronę futerału i violi.

– Cieszę się, że wciąż grywasz.

– Zmuszasz mnie do nieuprzejmości. Wynoś się.

– Carlo – odpowiedział, a jej imię zabrzmiało w jego ustach jak pieszczota – minęło wiele lat i wiele się zdarzyło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Jutrzejszy dzień będzie krwawy i może tak się zdarzyć, że po tej stronie wieczności nie dane mi będzie ujrzeć cię ponownie.

– Już ujrzałeś. A teraz proszę raz jeszcze: wyjdź.

– Bardzo się starałem zachować zdrowy dystans między nami, ale wola boża była inna.

– Kazałeś mnie porwać pod lufą muszkietu – odparła. – I zdaje mi się, że to nie wola boża kazała ci wspiąć się dziś po schodach do mojego pokoju.

– W klasztorze Grobu Świętego byłabyś bezpieczna, zarówno ciałem, jak i duchem. Przybywając tu, na Maltę, jedno i drugie naraziłaś na wielkie niebezpieczeństwo.

– Nigdy na większe niż w tej chwili – odrzekła.

– Jak możesz sądzić, że mógłbym cię skrzywdzić? – spytał.

– Mogę, bo jesteś potworem.

Spuścił głowę i nie mogła dostrzec jego twarzy, ale na krótką chwilę jego ramiona opadły nieznacznie, jak gdyby przyciskające je heraklesowe brzemię było zbyt ciężkie. Zaraz jednak wyprostował się i spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Melancholia, którą zawsze wyczuwała w głębi jego natury, ujawniła się po raz pierwszy.

– Jestem sługą Boga – powiedział.

Słowa te zabrzmiały tak, jakby ich treść była znacznie bardziej złowroga, jakby zbyt wiele miał ryzykować, mówiąc dalej. Carla wszakże chciała usłyszeć więcej. Chciała usłyszeć wszystko. Rzeczy, które wyjawiłby tylko przed nią i przed żadnym innym człowiekiem. Lecz z drugiej strony tego pragnienia czaił się strach, że jeśli go o to poprosi, a on się zgodzi, zwiąże ich na nowo coś, co da się rozdzielić wyłącznie poprzez śmierć. Odwróciła się, podeszła do okna i spojrzała w gwiazdy. Były równie zagadkowe jak zawsze i nie wyczytała z nich żadnej porady.

– Powiedziano mi – rzekł Ludovico – że jesteś najrzadszym ze stworzeń tego świata: dobrym człowiekiem. Do głębi dobrym. Wolnym od złej woli. Od chciwości. Od próżności. Pełnym łaski. Ja jednak wiedziałem o tym już od dawna.

Nie odwróciła się. Z całym zdecydowaniem, na jakie było ją stać, odparła:

– Czego ode mnie chcesz?

Ludovico nie odpowiedział. Jego milczenie drażniło ją, lecz choć wiedziała, że powinna walczyć tą samą bronią, rozumiała też, że nie ma szans w tej konkurencji. Była coraz bardziej zmieszana, a jemu na pewno właśnie o to chodziło. Może powinna spróbować wyjść? Zawołać kogoś na pomoc? Błagać go, żeby wyszedł? A może zmusić się do wściekłości, której nie czuła i którą niełatwo byłoby jej z siebie wykrzesać? Nie odwróciła się.

– Przerażasz mnie – powiedziała zupełnie szczerze. – Ale ty na pewno o tym wiesz. To twoje rzemiosło.

– Moje rzemiosło?

– Wzbudzanie strachu. W tych, którzy nie mogą się bronić.

– Nic nie mogłoby być dalsze od mego prawdziwego celu.

Zanim się powstrzymała, słowa znowu uciekły z jej ust:

– Więc powiedz mi, czego chcesz.

– Chcę ciebie – odparł Ludovico.

Poczuła dreszcz i podziękowała Bogu, że Ludovico nie widzi jej twarzy. Tym razem zdołała nie odpowiedzieć.

– Czy mam brać twoje milczenie za oznakę zaskoczenia? – spytał. – A może obrzydzenia?

Carla nie odpowiedziała. Zesztywniała, usłyszawszy, że wstał. Wyczuła za sobą jego obecność, jego ciepło i oddech we włosach. Drgnęła, gdy jego dłonie spoczęły na jej ramionach. Tylko cienka bawełna oddzielała jego skórę od jej ciała. Jego palce wydawały się wielkie. Zacisnął je delikatnie, jakby się bał, że ją skruszy. Jego kciuki wbiły się w mięśnie między jej łopatkami. Wspomnienie identycznej pieszczoty, którą znało jej ciało, powróciło tak wyraziście, jakby dotyczyło wczorajszego dnia. Ale gdzie był ten wczorajszy dzień? Usłyszała głębokie westchnienie, jakby bezgraniczna tęsknota znalazła wreszcie swe zaspokojenie. Drgnęła mimowolnie, zdezorientowana już tak bardzo, że nie była pewna, czy czuje strach czy przyjemność.

– Wybacz mi, jeśli jestem zbyt szorstki – rzekł Ludovico. – Nie dotknąłem kobiety, odkąd się rozstaliśmy.

Wierzyła mu. Wyczuwała to w jego dłoniach. Nie były to dłonie lubieżnego księdza, ale dłonie, które istniały tylko po to, by dotykać właśnie jej. Pochlebiała jej ta świadomość i przerażała zarazem. Instynkt samozachowawczy podpowiedział jej, że jeśli teraz mu nie umknie, nie zrobi tego już nigdy. Że będzie jego. Na zawsze. Bo on już nigdy nie wypuści jej z rąk. Uchyliła się, czując najpierw, jak odruchowo wzmocnił uścisk dłoni, a potem siłą woli rozluźnił go. Oddaliła się o kilka kroków, ale, co zrozumiała zbyt późno, nie w stronę drzwi. Odwróciła się twarzą ku Ludovicowi.

Spojrzenie czarnych oczu przebijało ją na wylot. Opuścił ręce i nie próbował iść za nią. Był zbyt inteligentny, by zmuszać ją do czegokolwiek albo obrażać się za jej unik. Był jednak także zbyt przebiegły i doświadczony, by mogła udawać przed nim coś, czego nie czuła. Jakakolwiek próba mogłaby go co najwyżej rozdrażnić. Bors mówił, że Ludovico przybył na wyspę, żeby polować na grubego zwierza. Największa wszakże bestia mieszkała w jego sercu, a Carla wyczuwała, że bestia ta poluje nie tylko na nią, ale i na niego.

– Kiedy dotykałeś mnie po raz ostatni, miałam piętnaście lat – powiedziała, nie mogąc dłużej powstrzymywać łez oraz gniewu, którego nie spodziewała się poczuć, a który teraz chwycił ją za gardło. – Oddałam ci się bez reszty. Oddałam wszystko, co miałam. A ty uciekłeś. Biegłam za tobą z płaczem, ale ciebie już nie było. Najsurowsze twarze, jakie kiedykolwiek widziałam, odwracały się ku mnie, spoglądając tak, jakbym była dziwką, a może i kimś gorszym. Jakbym była kochanką diabła. Zagubiłam się w miłości i nigdy nie odnalazłam. – Carla spróbowała zapanować nad łzami. – Dlaczego ukradłeś mi serce, a potem je porzuciłeś?

– Bałem się.

Spojrzała na niego bez słowa. Drżała i paliły ją policzki, a o mdłości przyprawiał gniew, którego nie umiała ani zdusić, ani wyrazić.

– Bałeś się? – powtórzyła szeptem.

– Bałem się o moją misję – odrzekł wolno, przymykając oczy.

– O misję siania terroru? Zadawania tortur i palenia? Wolałeś to ponad nasze doliny i kwiaty? Ponad piękno, którym się dzieliliśmy? Ponad miłość?

– Tak, Carlo, wybrałem to, ponad miłość. Czyż nie tego wymaga misja? Nie tego wymaga honor?

Jeśli targały nim jakieś emocje, ukrywał je skrzętnie. Carla zaś z trudem panowała nad swoimi.

– Przeklinam twój honor – odrzekła. – Tak jak ty przekląłeś mój.

– Dziś dokonałbym innego wyboru.

– Jedyny wybór, którego dziś można dokonać, należy do mnie i dokonuję go w tej chwili: wynoś się.

– Wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

– Nosiłam twoje dziecko! – Zrobiła wszystko, by nie wykrzyczeć mu tego prosto w twarz.

– Wiem.

– Wiesz?

Poczuła się okradziona z wielkiej tajemnicy. Jego świadomość prawdy pogwałciła jej prywatność jeszcze bardziej niż ta nocna wizyta.

– Skąd wiesz? – spytała. – I kiedy się dowiedziałeś? – dodała, zanim zdążył odpowiedzieć.

– Wiele się dowiedziałem, odkąd przybyłem na wyspę z posiłkami.

– Od swoich szpiegów i zaufanych. – Jej głos ociekał pogardą, ale Ludovico pozostał niewzruszony.

– Niewiele jest spraw w tym mieście, o których bym nie wiedział. I na tym świecie. Twoje poszukiwania nieznanego chłopca nie są wielką tajemnicą. Chłopca dwunastoletniego. Urodzonego w wigilię Wszystkich Świętych roku tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego. Któż inny mógłby to być, jeśli nie potomek z mojej krwi?

– Był owocem naszej miłości. Był mi najdroższy. Chociaż ty zniknąłeś, nosiłam go bez wstydu.

– Niczego innego nie spodziewałbym się po tobie.

– A potem patrzyłam, jak wydzierają go z moich ramion, zanim jego usteczka zdążyły dotknąć mojej piersi. Patrzyłam na ojca, którego kochałam, jak zmienia się w diabła. Patrzyłam na matkę załamaną smutkiem, hańbą i ruiną wszystkich marzeń.

– Przykro mi – odpowiedział Ludovico.

Lampa stała za jego plecami, a bladosrebrzyste światło księżyca wydobywało z mroku tylko połowę jego twarzy.

– Podobno nasz syn zginął jak bohater w forcie Świętego Elma.

Carla wzięła głęboki wdech i zatrzymała powietrze w płucach, bojąc się, że jeśli je wypuści, wybuchnie płaczem, a wtedy on zwycięży w tej niepojętej grze.

– Gdybym tylko mógł uśmierzyć jakoś twoje cierpienie, zrobiłbym wszystko – rzekł Ludovico. – Ale sprawy, o których mówisz, rozegrały się dawno temu, a dziś żadne z nas nie jest już takie jak wtedy.

– Akurat ty – odparła – spośród wszystkich mężczyzn… nie próbuj nawet mnie pocieszać. – Jej gniew nagle ostygł. Wypuściła powietrze, czując już tylko wielką potrzebę samotności. – Mój syn zginął śmiercią głupca – powiedziała – a ja nie zdołałam go powstrzymać.

– Nie możesz winić siebie, to szaleństwo.

– Był tutaj, przy moim stole, a ja go nie rozpoznałam. – Z goryczą wspominała tamten wieczór. Minęły niespełna dwa miesiące, a miała wrażenie, jakby tamto zdarzenie zaszło w innym wszechświecie. I z udziałem innej kobiety. Trywialnej, głupiej kobiety, zaślepionej uprzedzeniami i zarozumiałością. – Szukałam w nim twoich cech, ale ich nie znalazłam.

– Rysy mężczyzny w tym wieku są ledwie w połowie ukształtowane. Może zresztą bardziej przypominał ciebie.

– Chciałam usłyszeć w nim bicie mojego serca, ale nie usłyszałam.

– Trudno dostrzec samego siebie w drugim człowieku. A być może najtrudniej w sobie.

– Był prosty. Niewychowany. – W pogardzie dla samej siebie znajdowała coś na kształt pocieszenia. – Wydał mi się mniej wart niż ja. Niż ty. A teraz kąpię takich chłopców jak on, gdy umierają we własnych nieczystościach. I traktuję tę służbę jako najpiękniejszy dar Boga.

Ludovico wyciągnął rękę w jej stronę – nie na pocieszenie, ale tak, jakby chciał ją poprowadzić.

– Gorzka alchemia wojny w obojgu nas pozostawiła swe ślady. Być może oboje widzimy teraz jaśniej nasze życiowe drogi.

– Być może. Ale moja droga należy wyłącznie do mnie.

– Z bożą pomocą moglibyśmy się doczekać nowego syna.

Carla spojrzała na niego jak na szaleńca, którym być może był.

– Jeśli zwycięży krzyż, a my przeżyjemy oblężenie, moja misja będzie skończona – rzekł Ludovico. – Żaden człowiek nie uczynił dla Matki-Kościoła więcej niż ja i nie działał z czystszych intencji. Nazywasz mnie potworem. Tak.

Znowu dostrzegła, jak bardzo zraniły go jej słowa.

– Nie będę ani zaprzeczał, ani przepraszał. Ten świat jest potworny – bo czy nie powiedziałabyś, że oto jesteśmy w piekle? – i trzeba zarówno znosić, jak i budzić strach, jeśli mamy stawić czoło większemu złu. Mimo to moje serce jest znużone tym dziełem i chciałbym już zrzucić z ramion jego brzemię. – Ludovico wskazał na swój habit. – Jak widzisz, jestem teraz Rycerzem Sprawiedliwości w Zakonie Świętego Jana. Istnieje w regule zgromadzenia przepis, który pozwoliłby mi wyrzec się ślubów i zostać Rycerzem Oddania. Nie byłbym wtedy pełnym członkiem zakonu, choć zachowałbym pewne przywileje i prawo do duchowego pocieszenia… – Urwał, jakby chciał, żeby sama wyciągnęła wnioski z jego słów.

Instynkt podpowiedział jej, że uczyni lepiej, jeśli tego nie zrobi.

– Tym sposobem – dodał Ludovico – z błogosławieństwem pewnych osób, na których przychylność mogę liczyć, mógłbym cię poślubić, nie tracąc honoru.

Ostatnie słowa zawisły w ciszy, którą, jak sugerowało jego spojrzenie, miała wypełnić odpowiedzią. Carla zaś poczuła chłód straszliwego lęku. Po raz ostatni czuła taki chłód, gdy ojciec powiedział jej, że nigdy więcej nie zobaczy swojego dziecka.

– Mówisz mi o szaleństwie, a potem prosisz o rękę?

– Szaleństwo. – Ludovico zamyślił się i po chwili skinął głową. – Po bitwie o Świętego Michała widziałem cię, całkiem przypadkowo, w Świętej Infirmerii. To był tylko moment. Ważny moment. Od tamtej pory nie mogę myśleć o niczym i nikim innym. Tylko o tobie.

Jego głos wciąż był spokojny, równie głęboki i dźwięczny jak na początku. Carla jednak mimowolnie cofnęła się o krok i poczuła pod łopatkami chłodny mur.

– Czy wiesz, jak bardzo musiałem nad sobą panować? W każdej chwili, odkąd wylądowałem na tym brzegu, pragnąłem zobaczyć twoją twarz. Odmawiałem sobie tego. Liczyła się tylko misja. Czułem bowiem instynktowny lęk przed siłą, z którą mogłabyś na nowo rzucić czar na moją duszę. I stało się tak, że znów jestem zaczarowany.

Carla pojęła teraz, dlaczego usiłował wysłać ją do klasztoru: nie próbował chronić jej duszy, ale własną. Nie odpowiedziała.

Ludovico ponownie skinął głową.

– Wystarczyła jedna chwila, abym był przeklęty. Tak jak przed laty, na wysokiej skale nad turkusowym morzem. Moim zamiarem nie było nigdy poświęcenie życia dla Świętego Oficjum. Dla inkwizycji. Byłem już po dwakroć doktorem – jurystą i teologiem. Rzuciłem się jednak w wir pracy polegającej na wykorzenianiu herezji, ponieważ cierpiałem z miłości. Bo nie umiałem znaleźć innego leku. Jak może przetrwać miłość, rozumowałem, w człowieku, który będzie obiektem takiej nienawiści? Tyle rozpaczy. Tyle strachu. Paliłem anabaptystów, odszczepieńców i niewierzących, próbując tak naprawdę wypalić ciebie z własnej pamięci.

Carla stłumiła w sobie szloch.

– Obwiniasz mnie za swoje zbrodnie?

Spojrzenie Ludovica było twierdzącą odpowiedzią, w przeciwieństwie do jego słów.

– Filozoficzne subtelności nie pozwalają mi na postawienie takiego zarzutu – odparł. – Jeśli zaś chodzi o same zbrodnie, to zarówno dogmat, jak i nauka prawa przeczą twoim słowom.

– Naprawdę niczego nie czułeś wobec swoich ofiar?

– Ratowałem ich dusze – odparł Ludovico.

Patrząc na niego, Carla zastanawiała się, czy sam wierzy w to, co mówi. Być może wyczytał to pytanie w jej twarzy, bo z własnej woli udzielił odpowiedzi:

– Ale zostało mi po nich coś bardziej przejmującego niż wspomnienie niespełnionej miłości. Wspomnienie ludzkich żywotów gasnących jak zdmuchnięte świece.

Carla chciała się odwrócić, ale jego oczy nie pozwoliły jej na to.

– Gdy człowiek się napatrzy, jak gasną tak liczne światła, świat w jego oczach staje się prawdziwie mrocznym miejscem. Lecz nawet ta wielka ciemność nie powstrzymała mnie przed ujrzeniem twojej twarzy.

Carla rozumiała już, dlaczego zobaczywszy go u drzwi, poczuła najpierw litość. To samo uczucie powróciło i teraz, dźgając jej serce jak rozpalone żelazo.

– Niech ci Bóg wybaczy – powiedziała.

– Wybacza mi – odparł Ludovico – bo dobrze Mu służyłem. Pytanie tylko, czy ty potrafisz mi wybaczyć.

– To, że zgasiłeś tyle światła?

– To, że złamałem ci serce.

W tym momencie jej serce omal nie pękło powtórnie.

– Och, Ludovico – odparła. – Wybaczyłam ci w tej samej chwili, gdy odkryłam, że noszę pod sercem twoje dziecko. Jak mogłabym je nosić i mieć w sobie miejsce na cokolwiek innego poza miłością? Zwłaszcza do mężczyzny, który stworzył je wraz ze mną.

Patrzył na nią, a jego oczy na chwilę zwilgotniały. W ich głębi dostrzegła spojrzenie człowieka, który znalazł się w sztolni bez dna. Sztolni, której diabelska konstrukcja była jego własnym dziełem i z której rozpaczliwie pragnął uciec.

– Nigdy nie zaznałem innej kobiety – powiedział.

– A ja innego mężczyzny – odparła.

– Czy więc nie możemy na nowo rozpalić miłosnego ognia?

– Ja nie mogę – odpowiedziała, potrząsając głową.

– Z powodu mojej misji?

– Dlatego że to, co nas połączyło, jest przeszłością. – Gdy później rozmyślała o tej rozmowie, nie mogła pojąć, dlaczego pozwoliła sobie powiedzieć to, co powiedziała po chwili. Może chciała oszczędzić mu daremnego bólu serca? Chciała wyznać mu prawdę. – I dlatego że kocham innego.

Łzy zniknęły bez śladu z oczu Ludovica, i to tak szybko, że Carla zastanawiała się, czy w ogóle tam były. Patrzył na nią teraz człowiek, dla którego sztolnia bez dna była domem. Z bezgranicznym niedowierzaniem spytał:

– Tego Niemca?

Carla zbytnio się oddaliła od drogi, którą wskazywał jej instynkt. Zbyt daleko zapuściła się na niebezpieczną sieć. Nie wiedziała, jak wrócić, więc ruszyła naprzód.

– Mattiasa Tannhäusera – odpowiedziała.

– Tannhäuser nie żyje.

– Być może.

– Tylko pływacy uciekli ze Świętego Elma. Turcy stracili całą resztę.

– Nawet jeśli Mattias nie żyje, wciąż żyją moje uczucia. – Nie musiała mówić dalej, ale nie umiała się powstrzymać. – Mieliśmy wziąć ślub. Bardzo tego pragnęłam. I całym sercem wciąż tego pragnę.

To był koniec. Zmiana zaszła w jednej chwili. Oczy Ludovica stały się twarde jak kamienie, a gdy tak na nią patrzył, wiedziała, że zmiany tej nie da się już odwrócić i że pożałuje tego bardziej niż czegokolwiek innego w swym życiu. Pod jego spojrzeniem skurczyła się, zmieniła w delikatną istotę, jakby zgasła już ostatnia świeca i zapanowała absolutna ciemność. Spodziewała się, że jego ręce zaraz zedrą z niej koszulę. Wyczuwała, jak gotuje się w nim pragnienie, pożądanie tak długo tłumione, że teraz dorównało mocą wielkiemu gniewowi i urazie. Ludovico z trudem nad sobą panował. Żadna inna siła prócz jego woli nie powstrzymałaby demona, który dyszał ciężko i pieklił się pod maską jego spokoju.

– Jeszcze porozmawiamy – rzekł Ludovico. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Carla czułaby może większą ulgę, gdyby nie zostawił po sobie aury niepewności i strachu. Otworzył drzwi, przystanął na progu i odwrócił się. W mroku ledwie widziała jego twarz.

– Ci ludzie, którzy powiedzieli ci, że wyjechałem na zawsze – powiedział. – Ci, którzy mieli cię za istotę marniejszą od dziwki. Znałem ich doskonale. To byli moi mistrzowie. Powiedzieli mi, że wniosłaś oskarżenie o nieprzystojne zachowanie. Przeciwko mnie.

– Kłamali.

– Tak.

– Ale ty im uwierzyłeś.

– Byłem młodym księdzem, a oni wielkimi dostojnikami Kościoła. Ty zaś małą dziewczynką. Miałaś zazdrosnego ojca, a on potężnych przyjaciół.

Ludovico umilkł. Carla także się nie odezwała. Na temat tragedii, która ich połączyła, nie miała już nic do powiedzenia.

– Nie wiedziałem aż do dziś, że dali mi wtedy pierwszą lekcję wykorzystania władzy. Druga lekcja była zupełnie jasna: do zaspokajania potrzeb cielesnych służą burdele i chłopcy. Zbrodnią jest się zakochać. A kara za tę zbrodnię jest straszna.

Ciemność korytarza wchłonęła go bez śladu, a drzwi zamknęły się bezdźwięcznie. Carla została sama, z dogasającą lampą i ze wspomnieniami o wszystkim, co straciła, a także z lękiem o to, co jeszcze może stracić.

Leżała na posłaniu, ale nie spała, i nawet modlitwa nie przynosiła jej pocieszenia. Wstała wreszcie, włożyła suknię i upięła włosy. Przez chwilę mocowała się z wielkim, brązowym futerałem stojącym w kącie, a potem, wziąwszy ze sobą lampkę, jak najciszej wymknęła się schodami w dół. Minęła kuchnię i wyszła w noc.

Na skałach nad Porto delle Galere znalazła miejsce, jakiego potrzebowała. Jako że wejścia do portu strzegł potężny żelazny łańcuch, brzeg – w przeciwieństwie do wielu innych – nie był tu umocniony. Nie było też straży. Był natomiast głęboki spokój. Wyjęła violę, napięła smyczek i nastroiła struny. Jej palce zdążyły już zmiękнąć, odciski od strun zniknęły. Wyjęła instrument po raz pierwszy, odkąd grała dla Mattiasa w Salibie, w innym świecie i w innej epoce.

Po drugiej stronie zatoki piętrzyła się L'Isola, a skrzydła jej wiatraków przesłaniały gwiaździste niebo. Gdzieś dalej, za murami, znajdował się turecki obóz. Jeżeli Mattias jeszcze żyje – jeśli szept nadziei w jej sercu był czymś więcej niż rozpaczliwą iluzją – być może posłyszy jej muzykę, jej ból. I wróci. Carla odetchnęła głęboko. Strząsnęła z ramion zmęczenie i sięgnęła w głąb swej posiniaczonej duszy, szukając jej głosu. A potem zaczęła grać.

Poniedziałek, 6 sierpnia 1565 - Marsa – różowy namiot – zatoka Marsamxett

Tannhäuser jechał przez równinę Marsa i zrujnowane stoki Monte Sciberras, ubrany w śnieżnobiały turban i szkarłatny kaftan, w którym wyglądał znacznie godniej, niż się czuł. U pasa, w pochwie wysadzanej granatami, miał sztylet z rubinem w głowicy. Dosiadał wspaniałej kasztanowej klaczy z osobistej kolekcji Abbasa Ibn Murada. Wyruszył w drogę, by odnaleźć niesfornego chłopca. Jak zawsze Orlandu okazał się nieuchwytnym celem i Tannhäuser nie po raz pierwszy wyruszał na poszukiwanie. Tego dnia zamierzał spróbować szczęścia u korsarzy.

Gdy mijał osmalone resztki barbakanu w forcie Świętego Elma, jego strój wywarł właściwe wrażenie na strażniku pilnującym bramy. Bułgar, jak pomyślał o nim Tannhäuser, posyłając mu szyderczy uśmieszek, zgiął się wpół w pokornej pozie, usuwając się z drogi. Zdewastowana połać dziedzińca, na którym ścięto głowy ostatnim obrońcom fortu i na którym spędził ostatnią noc, rozmawiając z le Masem, była pusta. Na wschodnim murze, od strony Il Borgo, Turcy ustawili działa oblężnicze, lecz jeśli nie liczyć artylerzystów, w forcie nie było prawie nikogo. Nie tak dawno był to kompletny, zamknięty świat, tętniący życiem, pełen bohaterskiego szaleństwa i świętej miłości; teraz była to niezbyt wielka, zapomniana ruina, której widok przyprawiał Tannhäusera o dreszcze. Wjechał do kuźni warsztatu rusznikarskiego niezauważony i tam dopiero zsiadł z konia. I tu było pusto, a nawet chłodno, ale nie miał czasu na wspomnienia. Używając szczypiec, podważył jeden z kamieni w posadzce i wydobył pięć funtów opium oraz złoty pierścień. Nie było to może zadanie godne Atlasa, ale wystarczyło, by czoło Tannhäusera pokryło się chorobliwym potem. Nie był jeszcze w najlepszej formie, ale cieszył się, że się porusza.

Febra omal go nie zabiła. Nie pamiętał pierwszych dni gorączki po upadku fortu Świętego Elma i chyba nie chciał pamiętać. Spędził je w delirium: niewiele czuł i jeszcze mniej widział, co na szczęście dotyczyło także opuchlizny wielkości pięści, która pojawiła się na wysokości kuli tkwiącej w jego plecach i z której wyciśnięto ostatecznie ponad pintę ropy. Gdyby umarł wtedy, byłby tylko drżącą, bełkocącą masą kości niezdolną do odczuwania czegokolwiek, zwłaszcza żalu i strachu. Powrót do świadomości okazał się trudniejszy emocjonalnie.

Wracał do zdrowia w najlepszych – jak na wojenny czas – warunkach, jakie mógł sobie wyobrazić: w różowym jak flaming namiocie Abbasa Ibn Murada. Etiopski niewolnik

wachlował go i odganiał muchy, a także zwilżał mu czoło w potwornym skwarze dnia. Zapalał kadzidełka i stawiał mu bańki. Wlewał mu w gardło wodę z miodem, ajran i lecznicze eliksiry w takich ilościach, że Tannhäuser zwymiotowałby, gdyby tylko miał na to dość siły. Ten sam milczący i cierpliwy osobnik z wielką godnością wynosił jego stolec, które to upokorzenie Tannhäuser trawił z zaciśniętymi zębami, nie miał bowiem wielkiego wyboru. W glinianym dzbanie Etiopczyk z niemałą satysfakcją kolekcjonował z każdym dniem większe porcje moczu, jakby była to jego główna nagroda za służbę.

Przez kilka dni Tannhäuser był tym wszystkim naprawdę zażenowany – zarówno własną bezsilnością, jak i położeniem swego pielęgniarza – bo wydawało mu się, że to marny sposób na życie, ale w końcu doszedł do wniosku, że być może Etiopczyk ten jest najszczęśliwszym ze wszystkich swych współbraci przywiezionych na wyspę, bo gdyby nie spędzał dni na wachlowaniu chorego i wynoszeniu nieczystości z cienistego namiotu, zapewne zajmowałby się ciąganiem armat po skalistym gruncie albo noszeniem koszy pełnych kamieni. Dokonawszy tego rozumowania, Tannhäuser z lżejszym sumieniem przyjmował jego pomoc, a nawet nagradzał go, mamrocząc podziękowania.

Gdy czuł chwilowy przypływ sił, unosił głowę z poduszki, by spojrzeć na swoje ciało, a szczególnie nogi, pokryte niepokojąco gęsto brązowymi i purpurowymi wykwitami. Gdyby sam zobaczył kogoś w takim stanie, ominąłby go szerokim łukiem, bo gdyby czarna śmierć miała powrócić, by oczyścić świat z niewiernych, zapewne tak wyglądałyby jej ofiary. Myśl o tym, że czarnoskórego niewolnika nikt by specjalnie nie żałował, tylko podsyciła jego niepokój. Wielką choć krótkotrwałą pociechą było to, że jak dotąd jego penis nie wyglądał na zaatakowany chorobą. Dopiero gdy wizytę złożyło mu konsylium arabskich i żydowskich lekarzy, którzy nie okazywali najmniejszego lęku, oglądając jego stygmaty, poczuł się nieco pewniej. Ustalili oni zgodnie, że wykwity na nogach są dowodem na to, że toksyczne substancje uchodzą już z jego ciała, że to tylko pozostałości po bitwie o życie. Równie zgodnie twierdzili, że jeśli naprawdę przeżyje, zmiany powinny ustąpić. Sukces kuracji, co ciekawe, przypisywali – Arabowie, nie Żydzi – nie własnym wysiłkom, ale dobrej woli Allaha. Liczne nie do końca zagojone rozcięcia i stłuczenia, którymi pokryte było jego ciało, nie skłoniły ich do żadnych komentarzy.

Przygotowali miksturę z czerwonych goździków, jeleniego piżma oraz pąków goździkowca zmieszanych z octem, którą dowódcy odwiedzający namiot mieli wcierać w skórę wokół nozdrzy, by nie zarazić się chorobą. Tannhäuser również miał korzystać z tego leku, ponoć niezawodnego na nocne poty i skutki melancholii. Przynajmniej w tej ostatniej kwestii specyfik okazał się bezużyteczny. Mimo to Tannhäuser musiał przyznać, że

zapewniono mu niezrównaną opiekę, a dzięki niej nie opuścił ziemskiego padołu łez w stanie błogiej nieświadomości. Spędził natomiast kilka tygodni w poczuciu absolutnej bezradności, jakiej dawniej nie umiał sobie wyobrazić. Dla człowieka wielce dumnego ze swej siły i sprawności fizycznej było to wyjątkowe przeżycie.

Abbas odwiedzał go co wieczór, przez długie tygodnie, z twarzą ściągniętą bólem, bo każdego dnia widział, jak giną w walce jego najlepsi ludzie. Siadywał przy Tannhäuserze i czytał mu fragmenty Koranu głosem, który bez trudu wydobywał z tekstu wewnętrzne piękno i nie pozostawiał wątpliwości, iż musiały to być słowa samego Boga. Podczas tych wizyt Tannhäuser udawał, że nie może mówić, troska Abbasa była bowiem tak prosta i nieskażona, że za każdym razem łamała mu serce. W takim stanie zdrowia, w jakim się znalazł, nietrudno ulec sentymentom i melancholii, toteż uczucia Tannhäusera względem Abbasa stały się nieznośnie silne i skomplikowane. Przyjaciel i porywacz, zbawca i właściciel, ojciec, brat i wróg. Tannhäuser czuł się chwilami jak oszust, a może i zdrajca, i dlatego nie odzywał się – po prostu chłonął leczniczą miłość, którą obdarzał go Abbas.

Leżał więc w tej wielkiej jedwabnej macicy i między bezładnymi koszmarami, które nawiedzały go we śnie, obserwował wędrówkę słońca, które przez nienagannie utkaną materię wyświetlało więcej odcieni różu, niż umieliby stworzyć najlepsi malarze na dworze Sulejmana. Tannhäuser nigdy nie przepadał za tym kolorem i wydawało mu się, że wkrótce będzie mu niedobrze na sam jego widok, ale stało się inaczej. Co więcej, czuł się coraz bardziej nim oczarowany, jakby kolor ten, złożony z poziomych i pionowych jedwabnych nitek zaprawionych geniuszem tego, kto je zabarwił, był w istocie muzyką albo kobietą, albo wyżyną w śniegach, albo innym zgoła kosmicznym przypadkiem piękna, jednym z tych, które na pierwszy rzut oka nie zdradzają tylu fascynujących tajemnic co przy bliższym poznaniu. Równie wiele godzin spędził nocami na obserwowaniu owego różu w blasku lamp. A gdy granatowe cienie zmroku ustępowały czerni nocy, także ona ujawniała, że jest czymś więcej, gdy rozrywały ją łuny obozowych ognisk, światło gwiazd i srebrny sierp księżyca. Róż był życiem. Przypominał Tannhäuserowi słowa Petrusa Grubeniusa o tym, że każda istniejąca rzecz wywiera pewien wpływ na inne rzeczy, choćby najbardziej odległe, skoro bowiem – co wydawało się całkiem oczywiste – dwa sąsiadujące ze sobą zdarzenia wywierają na siebie wzajemny wpływ, to muszą też przekazywać go wydarzeniom dalszym, gdyż żadne z nich nie zachodzi w całkowitym odosobnieniu, choćbyśmy czasem bardzo tego chcieli. Dlatego też gwiazdy, najdalsze ze znanych obiektów, muszą wpływać w jakiś sposób na ludzkie przeznaczenie i żaden inteligentny człowiek nie powinien w to wątpić.

Jaki sens miały wszystkie te rozważania o różu i jaki był z nich pożytek, tego Tannhäuser nie umiał zgłębić; były to po prostu myśli, które biegły własnym torem. W każdym razie przypuszczał, że podobnie, choć może bardziej zagadkowo, ma się sprawa z milczącym Etiopczykiem, który bardziej niż jakikolwiek inny czynnik kojarzył mu się z siłą przywracającą zdrowie, a może i ratującą jego życie.

Nikt nie powiedział Tannhäuserowi, że jego pielęgniarz jest Etiopczykiem, a już na pewno nie on sam, a jednak była to sprawa niebudząca wątpliwości. Żadna rasa nie mogła pochwalić się równie charakterystycznymi cechami: smukłe ciało, długie palce, kości twarde jak drzewo żelazne. Widywał takich jak on w Aleksandrii i Bejrucie i niewielu niewolników ceniono wyżej niż Etiopczyków, między innymi dlatego, że byli oni ludem nader walecznym i nie poddawali się arabskim handlarzom bez walki. Dorosłych mężczyzn rzadko udawało się schwytać żywcem; ten zapewne został porwany jako mały chłopiec. Etiopia była krainą królowej Saby, Jana Prezbitera i zaginionych plemion Izraela; mówiono też, że właśnie tam ukryta jest Arka Przymierza, w wielkiej, czerwonej górskiej świątyni wykutej wprost w skale, a strzeżonej przez wojowników uzbrojonych w miecze długie na sześć stóp. Jej mieszkańcy wierzyli w czarnego Jezusa – a dlaczego nie? Podobno dowodzili swego męstwa, polując samotnie na lwy, a udawali się na sawannę jedynie z włócznią. Na wojnę szli potem przyodziani w skórę drapieżcy, zachowaną wraz z zębami. Nic dziwnego zatem, myślał Tannhäuser, że jegomość, który sprawował nad nim opiekę, czynił swą nie zawsze przyjemną powinność z godnością księcia podczas koronacji i że mimo statusu niewolnika nosił się prosto i dumnie jak janczar albo rycerz.

Gdy pierwsze próby nawiązania z nim rozmowy zawiodły, Tannhäuser ograniczył się do kiwania głową oraz cichych podziękowań i błogosławieństw. Etiopczyk spał na ziemi, tuż przy jego łóżku, a kiedy w bezsenne noce chory zapragnął odwrócić się, by popatrzeć na jego hebanową twarz, oczy niewolnika zawsze były otwarte, jakby nigdy nie spał, a jedynie odpoczywał. Były to oczy podobne do czarnych luster, w których odbijało się wszystko, ale nigdy nie były to rzeczy, które Tannhäuser umiałby nazwać.

Za cienkimi ścianami namiotu grzmiały działa i trzaskały bicze, a w nieskończonych archiwach czasu zapisywały się coraz to nowe, niezliczone akty okrucieństwa. Tu jednak obcy człowiek, którego imienia Tannhäuser nie znał – i o które już nie pytał – dbał o niego dniem i nocą jak o dziecko, a wszystko, co czynił, czynił z bezgraniczną łagodnością, która w oceanie zła wydawała się najczystszą formą ludzkiej dobroci.

Wreszcie nastał ten dzień, kiedy Tannhäuser obudził się i wiedział – bez żadnej konkretnej przyczyny – że jest już zdrowy. Był co prawda osłabiony i wychudł, zmieniając się w wór kości i ścięgien, ale nie czuł już w sobie żadnych znamion choroby. Spojrzał na Etiopczyka i wyczuł, że i on dostrzega tę zmianę. Wstał z posłania i na miękkich nogach wyszedł na światło dnia. Etiopczyk towarzyszył mu jak cień. Namiot Abbasa stał na wzgórzu górującym nad równiną Marsa, rozległą połacią ziemi między Sciberras a Corradino, w pobliżu najgłębiej wrzynającej się w ląd części Wielkiego Portu. Marsa była teraz jak okiem sięgnąć zabudowana tureckim obozem: namiotami sypialnymi, kuchniami, składami prowiantu oraz rozległą plamą szpitala polowego, do którego trafiali pacjenci nie tak szczęśliwi jak Tannhäuser, by umierać pod skrawkami materiału w palącym żarze letniego słońca. Przeszli razem ćwierć mili, do miejsca, w którym kończył się płaski szczyt wzgórza, i spojrzeli w dół, na coś, co przypominało krater Etny.

Gęsta, szara chmura spowijała wybrzeże składające się z licznych półwyspów i zatoczek. Dymy z luf armatnich i ślady pocisków układały się na kształt szprych gigantycznego koła obejmującego swym obwodem Porto delle Galere i Świętego Elma, a także wzniesienia Sciberras, Salvatore, Margharita i Corradino, gdzie stał namiot Abbasa. Piastą koła były zasypane piekielnym ogniem artyleryjskim Il Borgo i L'Isola, spowite dymem z własnych muszkietów i armat. Donośne wycie rozległo się w rześkim powietrzu poranka i legiony sułtana ruszyły naprzód po Wielkiej Równinie i dalej, przez zasypane trupami rowy, by uderzyć na poczerniałe od sadzy bastiony obu fortec. Drabiny uniosły się wysoko, a na spotkanie wspinających się po nich żołnierzy pomknęły płonące obręcze i garnuszki z łatwopalną galaretą. Na zdewastowanych szańcach trwała brutalna walka wręcz.

Po długim pobycie w bezczasie różowej macicy Tannhäuser patrzył na tę szaloną rzeź rozgrywającą się w oddali jak na chorą fantazję, diabelski żart, którego wykonawców zwerbowano podstępem.

A jednak był to realny świat, jego świat, choć myśl o tym, że musi wkrótce powrócić do niego – po którejkolwiek ze stron konfliktu – napełniała go lękiem i obrzydzeniem, a także gwałtownym pragnieniem powrotu do stanu bezradności, z którego właśnie się podźwignął. Spojrzał na Etiopczyka i po raz pierwszy zaskoczył go z opuszczoną gardą, miał on bowiem minę kocura, który siedzi w oknie i obserwuje dwa stada psów walczące ze sobą na ulicy. Wreszcie spojrzał na Tannhäusera, a gdy się napatrzył, odwrócił się i odszedł w stronę obozu.

Tannhäuser obserwował go jeszcze przez chwilę. Obrzydzenie ustępowało, a jego miejsce zajmował głód. Wilczy, dziki głód. Żądza mięsa. Nie oglądał się już na walczących.

Jeżeli Religia miała upaść, ten dzień był równie dobry jak każdy inny. Zapewne taką samą nadzieję żywił Mustafa. Tannhäuser zaczął rozglądać się za śniadaniem. W kuchni dowiedział się, że to już drugi dzień sierpnia i że spędził w namiocie prawie sześć tygodni. Gdy powrócił do siebie, nie zastał już Etiopczyka i więcej go tam nie zobaczył.

Religia nie upadła drugiego sierpnia. Tannhäuser patrzył ze szczytu wzgórza, jak po wieczornym wezwaniu muezzina zdziesiątkowane bataliony janczarów wracają ze swymi obszarpanymi proporcami, niosąc rannych, i jak kierują się ku obozowym ogniskom i pocieszeniu, które mogli znaleźć wokół swoich kotłów.

Abbas także wrócił. Był zasępiony, gdy Tannhäuser – a raczej Ibrahim, bo pod takim imieniem był tu znany – dołączył do niego w modlitwie. Potem zjedli razem kolację, siedząc przy niskim stole z polerowanego drewna wiśniowego. Abbas, mężczyzna już ponadpięćdziesięcioletni, był podziwiany przez równych sobie i czczony przez podwładnych, za których walkę, konie i ekwipunek płacił z własnej kieszeni. Jego broda była stalowoszarej barwy, a na czole i policzku widniały przybladłe już blizny. Pozostał wszelako tym samym szczupłym i eleganckim oficerem, którym był w dniu, gdy znalazł Mattiasa przy zwłokach matki.

Podczas trzymiesięcznej podróży, w którą wyruszyli razem przed dwudziestu pięciu laty, z głuszy Gór Fogaraskich do najwspanialszego miasta świata, Abbas uczył Ibrahima podstaw języka tureckiego, rytuału codziennej modlitwy oraz właściwego – męskiego – zachowania w murach kolegium wojskowego Enderun w Stambule. Ibrahim zaś dowiódł swojej zręczności w naprawianiu uprzęży oraz troszczeniu się o konie. Choć pod dowództwem Abbasa znajdowali się ludzie, którzy zamordowali jego matkę i siostry, Ibrahim nie obciążał go winą za to, co się stało. Stracił wszystkich innych sprzymierzeńców i być może miał za mało rozumu, by dostrzec prawdę. Podziwiał więc Abbasa i w pewnym sensie bardziej przeżywał rozstanie z nim, gdy wstępował do Enderun, niż wyjazd z rodzinnej wioski.

Od tamtej pory spotkali się tylko raz, w Persji, gdy Turcy złupili Erywań i dopuścili się rzezi w pałacu szacha Tahmaspa, a w Nachiczewanie nie pozostawili kamienia na kamieniu. A były to kamienie stojące tam od narodzin Chrystusa – do czasu, aż zjawili się janczarzy. Była to oficjalna okazja, inspekcja żołnierzy i rozdanie nagród na przedmieściach zniszczonego miasta, przed podjęciem pościgu za szyitami w stronę brzegów Oksusu. Ibrahim, jako oboźny swojej orty, przyjął pieniądze należne jego ludziom za odwagę i nieokazywanie litości. Abbas pogratulował mu wspaniałej kariery i zaprosił na herbatę.

Zgodzili się, że jeśli tylko nadarzy się okazja, powinni odnowić swą szczególną przyjaźń. Okazja wszakże się nie nadarzyła.

Podczas choroby Tannhäusera nie rozmawiali zbyt wiele, Abbasa pochłaniały bowiem sprawy wojskowe oraz intrygi w radzie wojennej, które jak zawsze podczas tureckich wojen mogły mieć tragiczne skutki. Tego wieczoru jedli pilaw, pieczone gołębie oraz migdały w cukrze. Pili też kawę. Abbas zdążył przebrać się w kaftan z białego jedwabiu, zdobiony srebrną i złotą nicią. Z jego ucha zwisała piękna szara perła wielkości orzecha laskowego. Był właścicielem ziem i zakładów przewozowych w rejonie Złotego Rogu. Był człowiekiem wyrafinowanym i wielce kulturalnym. Był jednym z tych wojowników, dla których wojna jest wynaturzeniem. Nie było takich zbyt wielu. Tannhäuser szybko się przekonał, że mimo upływu lat jego sympatia do Abbasa nie osłabła.

Raz jeszcze podziękował mu za ocalenie życia, Abbas zaś podziękował Allahowi za taką sposobność, sam miłosierny uczynek był bowiem jego świętym obowiązkiem.

– W czasach wielkiego zła, takich jak dzisiejsze, gdy na każdym kroku słychać i czuć skrzydła Anioła Śmierci, drobne akty dobroci są jak klejnoty z nieba – bardziej dla dawcy niż dla obdarowanego dobrocią – bo jak powiedział Prorok, niech błogosławione będzie Jego imię, „Bądźcie pełni współczucia wobec innych, a może zasłużycie na współczucie Allaha". Kto raz uratuje człowiekowi życie, ten na zawsze zostaje jego opiekunem – dodał Abbas.

Mając na myśli zarówno Borsa i Sabata Svi, jak i szlachetnego gazi siedzącego naprzeciwko, Tannhäuser odparł:

– W tym właśnie widzę największe moje szczęście, że strzegą mnie lwy.

Abbas spytał, jak to się stało, że pojmały go chrześcijańskie psy. Myśl o łganiu wprost w błyszczące, orzechowe oczy człowieka, który dwukrotnie ocalił mu życie, napełniała Tannhäusera niesmakiem, ale z drugiej strony była to jedna z najmniej znaczących na długiej liście jego niedawnych zbrodni.

– Patrol kawalerii zaskoczył mnie na drodze do Marsaxlokk – powiedział. – Było to tuż po świcie, na początku czerwca. Napadli na mnie jak demony, jadąc od strony Porto delle Galere, który, jak rozumiałem, należał do nas.

Abbas skinął głową.

– To był ten ranek, kiedy zniszczyli baterie Turguta. A skoro mowa o demonach… – Abbas skrzywił się i potrząsnął głową. – Ci rycerze są dziećmi szatana. Niektórzy mówią, że de la Valette jest nekromantą i że widywano już diabły u jego boku.

– To tylko człowiek – odparł Tannhäuser.

– Poznałeś go? – spytał Abbas.

– Widziałem. De la Valette to jeden z tych starców, których jedyną prawdziwą miłością jest wojna. Jeśli więc jest w tym jakaś nekromancja, to tylko taka. Bez wojny byłby zasuszoną mumią, bezużytecznym i rozpadającym się trupem. Jego ludzie uważają go za półboga, ale nie ma powodu, abyśmy podzielali tę wiarę.

– Dowiódł, że jest niebezpiecznym przeciwnikiem.

– Umiejętnie gra na swoich mocnych, a naszych słabych stronach. Jest geniuszem w sprawach oblężenia i obrony. Zna serce żołnierskie, bo sam ma takie. Nie walczymy tu z szyitami ani Austriakami.

Abbas uniósł brew.

– Tylko czy rada o tym wie – mruknął. Tannhäuser zrozumiał teraz jego podły nastrój. – Mustafie brakuje cierpliwości, by pozwolić działać armatom i minerom. Kopmy, powiadam mu, zakładajmy miny pod ich mury i niszczmy je od dołu. Ale on woli dreszcz zmasowanych ataków, jak hazardzista, który ma zbyt dużo złota i przeżywa wielkie emocje tylko wtedy, gdy ryzykuje utratę wszystkiego. Dobrze, że przynajmniej zaakceptował mój pomysł zbudowania dwóch wież oblężniczych. W Marsaxlokk już rozbierają dwie galery, żeby mieć materiał.

Abbas studiował niegdyś architekturę pod kierunkiem słynnego Greka Sinana, sułtańskiego specjalisty od maszyn oblężniczych i budowniczego setek meczetów, który jak Tannhäuser był ofiarą dewszirme.

– Zmontują je wedle moich projektów – dodał z odrobiną dumy – ale potrwa to co najmniej dwa tygodnie. Tymczasem nasi ludzie wciąż będą ginąć.

Tannhäuser pomyślał, że skoro Turcy muszą się uciekać do budowania machin wojennych należących raczej do starożytności niż do współczesności, to obrońcy muszą być bliscy rozpaczy. Zatrzymał jednak tę myśl dla siebie.

– A co z Pijalem?

– Kapudan Pijal Pasza jest mądrzejszym strategiem, ale nad jego rozsądkiem dominuje nadmierna troska o sułtańską flotę. Rozpaczliwie pragnie zakończyć oblężenie przed jesiennymi wichrami. Jesteśmy tysiące mil od domu. Czasem wydaje mi się, że nawet dalej.

Tannhäuser nie zdołał złożyć w zdanie słów pocieszenia. Pozwolił, by na chwilę zapadło milczenie.

– Zwyciężymy, jeśli taka będzie wola Allaha – rzekł w końcu Abbas. – Ale cena będzie wysoka. Zwłaszcza po stronie janczarów.

– Cena po stronie janczarów zawsze jest wysoka.

– Takie ich powołanie. – Abbas umilkł i przez chwilę przyglądał się Tannhäuserowi. – Jesteś znany na bazarze jako handlarz opium. Mówią, że kiedy Malta upadnie, zamierzasz handlować pieprzem z Aleksandrii.

Abbas miał uszy i oczy szeroko otwarte, ale historyjka przygotowana przez Tannhäusera okazała się całkiem niezła. Pomyślał o Sabacie Svi i uśmiechnął się w duchu. Sabato ubawiłby się setnie, gdyby wiedział, że jego wiara w rynek pieprzowy udzieliła się już nawet członkom wysokiego dowództwa armii tureckiej.

– Przyszłością imperium jest handel – odparł. – Bardziej handel niż wojna, jeśli wolno mi zauważyć.

– Dlaczego odszedłeś od janczarów?

W pytaniu Abbasa nie było ani nuty ostrzeżenia, ani groźby. Tannhäuser udzielił więc standardowej odpowiedzi, którą miał na takie okazje:

– Można odbyć tylko pewną liczbę marszów przez pustynie Persji, zanim stopy zaczną pytać człowieka, czy nie ma innych sposobów służenia sułtanowi.

Abbas uśmiechnął się.

– Sułtański kullar nie ma w tych sprawach wielkiego wyboru. Wycofałeś się, nim osiągnąłeś stosowny wiek, w jakim zwykle pozwala się żołnierzom odejść. Uczyniłeś to, choć miałeś szanse na poważny awans.

Tannhäuser nie spodziewał się, że Abbas będzie aż tak dobrze poinformowany. Nie odpowiedział.

– Opowiem ci historię, którą zasłyszałem – ciągnął Abbas. – Powszechnie znany jest tragiczny los księcia Mustafy, najstarszego syna naszego sułtana. Jako członek jego osobistej gwardii, zapewne orientujesz się w tej sprawie lepiej niż ktokolwiek inny.

– Istotnie – przytaknął Tannhäuser. – Widziałem ciało księcia rzucone na dywan przed wojennym namiotem sułtana.

W owym czasie Sulejman miał jeszcze czterech synów spośród ośmiu, których urodziły mu dwie z czterech jego żon. Matką księcia Mustafy była Gulbahar, której miejsce na dworze i w sercu władcy zajęła Roksolana nazywana Rusinką, matka trzech pozostałych synów. Roksolana wiedziała, że jeśli książę Mustafa wstąpi kiedyś na tron – a skoro miał rozliczne talenty, a także wielkie wsparcie armii i arystokracji, było to całkiem prawdopodobne – każe wymordować swych trzech przyrodnich braci, w myśl z dawien dawna uświęconej wśród Osmanów tradycji bratobójstwa. Sulejman sam był jedynym z

pięciu braci; jego ojciec Selim Groźny rozkazał zabić czterech pozostałych, by zapewnić mu spokojne rządy.

Drogą zawiłych intryg Roksolana przekonała Sulejmana, że najstarszy syn nie tylko zamierza go zdetronizować, ale także nawiązał kontakt z safawidami, odstępcami z Persji, z którymi sułtan toczył wojnę. Sulejman wezwał więc księcia Mustafę do swego obozu w Karumanii i w typowy dla siebie, bezlitosny sposób rozkazał głuchoniemym eunuchom, by go udusili.

– Gdyby książę Mustafa naprawdę zamierzał obalić sułtana, nigdy nie odpowiedziałby na jego wezwanie – rzekł Tannhäuser. – Znałem go. Rzekomy spisek był absurdalnym wymysłem Rusinki.

– Nigdy się tego nie dowiemy – odparł Abbas z właściwą sobie dyskrecją. – Ale nie o tym mówi moja opowieść. Otóż gniew żołnierzy po śmierci księcia był wielki, zwłaszcza wśród janczarów. Gdyby znalazł się ktoś, kto umiałby ich poprowadzić, nic nie powstrzymałoby ich przed obaleniem sułtana, a może nawet pozbawieniem go życia. Kotły zostałyby przewrócone.

Mosiężne kotły, w których warzono jedyny codzienny posiłek janczarów, były symbolem ich jedności. Ich przewrócenie było sygnałem buntu, zdarzeniem, które wyznaczyło początek końca panowania dwóch poprzednich sułtanów. Choć pod względem liczebności janczarzy byli najmniejszą formacją w armii, dysponowali ogromną siłą polityczną.

– Nie było takiego przywódcy – odparł Tannhäuser.

Abbas spojrzał na niego uważnie. Tannhäuser nie poczuł nic. Jeśli czuł cokolwiek na myśl o tych sprawach, było to dawno temu.

– A nawet gdyby się znalazł – dodał – i doszłoby do rewolty, jedynym skutkiem byłaby wojna między synem księcia Mustafy, Muradem, a pozostałymi braćmi. Lepiej, żeby zginął jeden człowiek niż niezliczone tysiące. Nasz sułtan, jak zawsze, postąpił mądrze.

– W rzeczy samej – przytaknął Abbas. – Co pozwala nam wrócić do sedna. Otóż pewne siły domagały się, by zniknęły wszelkie ślady rodu księcia Mustafy. Na zawsze. Murad został uduszony wkrótce po ojcu. Drugi syn Mustafy miał zaledwie trzy lata. Sulejman wysłał dworskiego eunucha i kapitana janczarów, by uśmiercili to dziecko – jego wnuka. Kapitana wybrano spośród osobistej straży księcia, co miało być gwarancją odnowionej lojalności całej formacji wobec sułtana.

Tannhäuser poczuł nagle straszliwe zmęczenie i głęboki smutek. Bardzo chciał znaleźć się już w łóżku. I żeby Etiopczyk znowu przy nim czuwał. Potrzebował jego

leczniczego milczenia. Ale Etiopczyka już nie było. Tylko grzeczność nakazała mu pozostać przy stole Abbasa.

– Wykonawcą wyroku miał być właśnie ów kapitan – kontynuował Abbas. – Lecz kiedy zobaczył, że chłopiec idzie ku niemu z wyciągniętymi rączkami, gotów do pocałunku – stracił odwagę.

Janczar ów wybiegł z namiotu i zwymiotował na piach, ale Tannhäuser nie widział powodu, by poprawiać detale opowieści Abbasa.

– Czarnoskóry eunuch wykonał zadanie za niego – dokończył Abbas.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – spytał Tannhäuser.

– A czy to prawdziwa historia?

Tannhäuser nie odpowiedział.

– Jestem w stanie zrozumieć – rzekł Abbas – dlaczego ów janczar mógł stracić serce do służby wojskowej i dlaczego wdzięczność sułtana pozwoliła mu odejść z honorem.

Tannhäuser dostrzegł w oczach Abbasa to samo spojrzenie, które pamiętał z pierwszego spotkania, w mroźny wiosenny poranek, w górskiej dolinie, której szumiące potoki słyszał czasem, śniąc o dalekich krajobrazach. Było to spojrzenie pełne zrozumienia, które pozwalało zniwelować bariery nie do przebycia, bez żadnej konkretnej przyczyny, a zatem z woli wyższej istoty, czy to ludzkiej czy boskiej. Tannhäuser przymknął oczy i odwrócił głowę.

– U szczytu gorączki – odezwał się Abbas – gdy byłeś nieprzytomny i gdy lekarze mówili mi, że szanse są niewielkie, mamrotałeś bez przerwy te same słowa. Przyłożyłem ucho do twoich ust, żeby ich posłuchać. Stąd wiem, że powtarzałeś Ad-Darijat.

Przejmujący strumień arabskich wersów przemknął znowu przez myśli Tannhäusera. Nie odezwał się jednak, więc Abbas zacytował je za niego:

– „Na wiatry, które wieją i wieją. I te, które znoszą brzemię deszczu. I te, które z łatwością mkną nad morzem. I te Anioły, które na rozkaz Allaha niosą błogosławieństwo. Zaiste prawdziwą jest obietnica, którą ci dano. Zaiste nadejdzie Dzień Sądu Ostatecznego”.

Tannhäuser pokiwał głową.

– To pierwsze wersy Al-Kitah, których mnie nauczyłeś, bo właśnie z tej sury wybrałeś mi imię.

– Bóg wybrał, nie ja.

Tannhäuser skinął głową. Nieczęsto rozmyślał o tamtych czasach, ale teraz wspomnienia dopadły go na chwilę i zrozumiał, że ten spokojny wieczór z Abbasem jest

czymś cennym i że zawsze przychodzi ten moment, kiedy nawet najczarniejsze chwile wspomina się ciepło.

– Nauczyłem się tych wersów tak, jak słyszałem je z twoich ust – powiedział – a ty byłeś zadowolony, chociaż nic z nich nie rozumiałem.

– Żaden człowiek nie zrozumie w pełni słów Boga – odparł Abbas.

– Wtedy też mi tak mówiłeś. Gdyby tak wszyscy o tym wiedzieli…

Abbas posępnie pokiwał głową.

– Powiedziałeś mi też – ciągnął Tannhäuser – że słowa Allaha nie mogą być wypowiadane w innym języku, albowiem właśnie po arabsku Bóg przemawiał do Proroka, niech będzie błogosławione jego imię. Ty jednak przetłumaczyłeś mi słowa Ad-Darijat jako wiejące wiatry.

– Naprawdę? – Abbas roześmiał się zaskoczony.

– Było to dla mnie pocieszeniem, choć nie wiem dlaczego. I wielką zagadką. Uparcie pytałem cię, co to znaczy. „Co to jest wiejący wiatr?" Byłeś bardzo cierpliwy. Długo się zastanawiałeś. „To wiatr, który oddziela ziarno pszenicy od plew", odpowiedziałeś. Byłem ciekaw, czy ja jestem jednym czy drugim, bo miałem wrażenie, że wiatr mnie porwał. – Tannhäuser uśmiechnął się. – Zresztą wciąż mnie porywa. Spytałem cię: „A jaka jest różnica między ziarnem a plewami?" Znowu długo się zastanawiałeś, aż powiedziałeś: „Taka jak między ludźmi, którzy kochają życie, a ludźmi, którzy kochają śmierć".

– Tak powiedziałem? – zdumiał się Abbas.

– Zapomniałem o tych słowach na wiele lat – odrzekł Tannhäuser – ale tego dnia, kiedy zobaczyłem, jak eunuch zawija cięciwę wokół szyi małego księcia, przypomniałem je sobie. I od tamtej pory już pamiętam.

– Zadaniem ulema jest interpretacja. Jeśli tak mówiłem, to tylko dlatego, że byłem młody i skłonny do nierozważnych bluźnierstw. Wybacz mi.

Abbas wstał. Tannhäuser także się podniósł, ale był tak osłabiony, że musiał odepchnąć się rękami od stołu. Zachwiał się lekko, a Abbas przytrzymał go pod ramię.

– Ibrahimie – rzekł – kiedy znalazłem cię w forcie Świętego Elma, nazwałeś mnie ojcem.

– Zawsze uważałem cię za ojca – odparł Tannhäuser – choć tak naprawdę nie miałem prawa. Mam nadzieję, że cię tym nie obraziłem?

– Nie mogłeś mnie bardziej zaszczycić. – Abbas odwrócił głowę, by ukryć nadmiar uczuć, które malowały się na jego twarzy. Gdy ponownie spojrzał na Tannhäusera, jego oczy nie były już zamglone. – Spotkałeś jeszcze kiedyś swego prawdziwego ojca?

– Nie.

W zasadzie było to prawdą i nieprawdą jednocześnie, ale na jeden wieczór miał już dosyć złożonych spraw.

– Byłby dumny z honorów, których doświadczyłeś – stwierdził z uśmiechem Abbas.

Tannhäuser chciał odpowiedzieć uśmiechem, ale nie był w stanie.

– W świecie, w którym eunuchy duszą dzieci i nazywają to swoim świętym obowiązkiem, niełatwo o honor. Czasem trudno i o wiarę.

– Ibrahimie…

– Bo widzisz – ciągnął Tannhäuser wbrew rozsądkowi – to nie plama na honorze, jaką byłoby zamordowanie dziecka, napełniała mnie wstydem. Wstydziłem się, że nie spełniłem świętego obowiązku. Wobec mojej jednostki. Wobec oçak. Wobec sułtana. Wobec Boga. A jako że wyżej ceniłem służbę niż dzieciobójstwo, wiedziałem już, że albo straciłem rozum, albo duszę.

Abbas pokręcił głową.

– Od Boga pochodzimy i do Boga niewątpliwie powrócimy. Proszę, powiedz mi, że nie zgubiłeś drogi.

Był to niezły moment, by zaprezentować czystość wiary, przynajmniej przed patronem. Tannhäuser zacytował więc Jedność:

– On – Bóg Jeden, Bóg Wiekuisty! Nie zrodził i nie został zrodzony! Nikt Jemu nie jest równy!

– Allahu Akbar – odpowiedział Abbas, wciąż trzymając dłoń na jego ramieniu. Uścisnął je lekko. – Ibrahimie, nigdy nie wolno nam stracić wiary w Allaha, nawet jeśli stracimy wiarę w ludzi, naszych towarzyszy. Nawet jeśli stracimy wiarę w siebie.

Tannhäuser położył rękę na dłoni Abbasa. Po raz pierwszy dotarło do niego, jak delikatnej budowy jest jego turecki przyjaciel, a przecież w pamięci miał obraz giganta.

– Właśnie wiary w ludzi nie mogę całkiem porzucić, a zapewniam cię, że próbowałem. Niewykluczone, że właśnie ona przyniesie mi zagładę.

Abbas skinął głową bez przekonania, jakby obawiał się kolejnych bluźnierstw.

– Jesteś daleki od dobrego zdrowia, a ja i tak zbytnio cię wyczerpałem rozmową. Muszę sprawdzić warty. A ty powinieneś już spać. – Idąc w stronę wyjścia, Abbas zatrzymał się jeszcze i odwrócił. Jak gdyby chciał poprawić nastrój rozstania, dodał: – Jutro opowiesz mi więcej o handlu pieprzem. Zaintrygowałeś mnie.

– Chętnie. Ale powiedz mi jeszcze, proszę, gdzie jest Etiopczyk?

– Odszedł – odparł Abbas, spoglądając na niego. – Należy do admirała Pijala.

Tannhäuser odprowadził go wzrokiem. Był wdzięczny losowi za wyczerpanie, które go ogarnęło, bo pomogło rozluźnić kłębowisko uczuć ściskające jego brzuch. Kiedy dowlókł się do łóżka i już miał się rzucić na posłanie, dostrzegł dwie białe jedwabne chusty spowijające niewielkie przedmioty. Odwiązał pierwszą i ujrzał złotą bransoletę, którą przed klęską fortu ukrył pod szmatami na kostce.

„Przybywam na Maltę nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy".

Być może właśnie ona ocaliła mu życie. Włożył ją na nadgarstek i sięgnął po drugie zawiniątko. Od razu wyczuł, że to nóż, i serce ścisnęło mu przypuszczenie, którego nie śmiał ubrać w słowa. Rozwinął pakunek i na krótką chwilę się rozluźnił. Był to elegancki sztylet z rękojeścią pięknie zdobioną srebrem oraz głowicą z dorodnym rubinem. Pochwa z czerwonej skóry wysadzana była granatami. Tannhäuser wysunął klingę i serce ponownie skoczyło mu do gardła. W przeciwieństwie do rękojeści i pochwy, ostrze było prymitywnie wykonane. Brakowało mu symetrii, choć krawędzie lśniły efektownie, sugerując, że jest to broń wyjątkowo niebezpieczna. Stal była matowa i naznaczona czarnymi smugami, które rozpoznał od razu. Była to klinga wykuta przez głos anioła i zahartowana – jego własną ręką – we krwi diabła.

W kuźni fortu Świętego Elma Tannhäuser użył sztyletu, by podzielić na ćwiartki jednofuntową bryłę opium, a gotowe porcje włożył do saków przy siodle. Na środkowym palcu prawej dłoni umieścił pierścień z rosyjskiego złota, a kamień wyjęty z posadzki włożył z powrotem na miejsce. Uwiązał konia do kowadła i wszedł na górę, do zdewastowanej sali głównej, w której odnalazł swą strzelbę z zamkiem kołowym i zapas amunicji – przetrwały nienaruszone, w szczelinie nad pękniętymi belkami. Kluczyk do nakręcania zamka zawiesił sobie na szyi. Zszedł na dół, dosiadł klaczy i wyjechał z fortu, znowu mijając zbaraniałego i bijącego mu pokłony Bułgara. Skierował się ku wzgórzu i dalej, w stronę zatoki Marsamxett. Właśnie tam stacjonowała większość tureckiej floty, a także algierscy korsarze.

Po posiłku z Abbasem Tannhäuser leżał na poduszkach jeszcze przez trzy dni i trzy noce, nie zapuszczając się dalej niż do kuchni i latryny. Czarna żółć, którą produkowała jego wątroba, sprzyjała melancholii. W żałosnym stanie ducha między fazami ogłupiającego snu zastanawiał się, co dalej począć, i choć wcale nie służyło to jego wątrobie, nie umiał myśleć o niczym innym. Co gorsza, nie dochodził do żadnych rozsądnych wniosków, bo gdy tylko jakiś pomysł wydał mu się wart realizacji, zaraz zaczynał analizować zalety innego.

Głęboki sens zdawała się mieć opcja przyłączenia się do Osmanów. Malta była skazana na upadek – prędzej czy później – albowiem upór w koczowniczej krwi najeźdźców

nie znał pojęcia porażki, zwłaszcza w kwestii oblężeń. Z rozmów z kupcami Tannhäuser wywnioskował, że podbój wyspy ustawi go całkiem nieźle w sensie handlowym, zwłaszcza że mógł liczyć na patrona i pieniądze Abbasa Ibn Murada. W ogrodzie Oberży Angielskiej, pod beczką z wodą, pogrzebał prawdziwą fortunę w opium. Nie spodziewał się problemów z jego odzyskaniem, a gdy pomyślał jeszcze o Sabacie Svi rozkręcającym interes w Wenecji, przyszłość wydała mu się nader kolorowa. Co więcej, zostając po stronie tureckiej, niemal na pewno mógł uniknąć udziału w dalszych walkach.

Druga możliwość była nie tylko mniej atrakcyjna – i wysoce ryzykowna – ale także wymagała energii i zaangażowania, których zapas wyczerpał w sobie podczas rzezi w Świętym Elmie. Na początek musiałby powrócić do Il Borgo, przedzierając się przez linie obu stron konfliktu, co nie było łatwe, odkąd Turcy zacieśnili kordon. Jako że powrót tylko po to, by umrzeć głupio za Religię, zwyczajnie nie miał sensu, Tannhäuser musiałby – zakładając, że Amparo, Carla i Bors jeszcze żyją – znaleźć jakiś sposób na wywiezienie ich z miasta przez ten sam podwójny pierścień ze stali i dotrzeć bezpiecznie do łodzi ukrytej w Zonrze, a i to, czy przetrwała ona bezpiecznie w ukryciu, wcale nie było pewne.

W żadnej z tych kalkulacji nie było miejsca dla Orlandu. Gdy Tannhäuser próbował włączyć ten czynnik do równania, wyprawa do Il Borgo stawała się niemożliwością. Być może zdołałby się jakoś wyłgać, gdyby został nocą zatrzymany przez tureckie straże, ale gdyby ciągnął ze sobą młodego niewolnika, obaj jeszcze przed świtem skończyliby na torturach.

Bors był sobie panem i jeśli tylko miał okazję zginąć z mieczem w dłoni, nie miał nic przeciwko temu. Kobiety? Gdyby przeżyły upadek miasta i dostały się do niewoli – a piękno ich jasnych ciał z pewnością zostałoby docenione i mogły się spodziewać, że jakiś czas przeżyją – być może w dłuższej perspektywie zdołałby je wykupić. Z jego życiowego doświadczenia wynikało, że jeśli można wyobrazić sobie jakiś interes, można też go ubić. Mustafa, choć rozwścieczony, nie zamierzał przecież wyrżnąć w pień wszystkich mieszkańców wyspy. Ktoś musiał odbudować miasto. Zaorać pola. Przebudować kościół Świętego Wawrzyńca na meczet. Jedzenie poprawiłoby się bez wątpienia. Malta upodobniłaby się do Rodos i Bałkanów oraz całej setki innych terytoriów, które znalazły się pod panowaniem Sulejmana: zapanowałby tu spokój i dobrobyt. Mieszkańcy mogliby nawet chodzić w niedziele do kościoła. A gdyby Carla i Amparo nie przeżyły, z czasem Tannhäuser zapomniałby o nich i życie potoczyłoby się dalej. Bo z życiem zawsze tak jest. Przecież tracił już kobiety. Tym razem przynajmniej nie musiał być świadkiem ich śmierci.

Tylko że ta ostatnia, szorstka myśl mogła się okazać nieprawdą, a rozważanie jej nie dawało Tannhäuserowi spokoju. Czuł, że nie zdoła wyrzucić z pamięci tych pięknych i dobrych dam, które sam przywiózł tu zza morza. Tak jak nie umiał zapomnieć matki oraz sióstr, Britty i Gerty.

Następnego ranka przyszła mu do głowy myśl, że być może uda się poprawić los Orlandu – jeśli jeszcze żyje – nie narażając ich obu na bolesną śmierć. Abbas próbował zabrać chłopca ze sobą owego ranka, gdy ogarnięty gorączką Tannhäuser wskazał mu go w ruinach Świętego Elma, ale korsarze pozostali nieprzejednani. W forcie nie znaleźli bogatych łupów, a poniósłszy tak ciężkie straty, zabraliby ze sobą nawet i trójnożną kozę, byle tylko zachować twarz.

Zatoka Marsamxett tętniła życiem, a na jej wodach aż gęsto było od masztów i żagli. Statki wyładowane prowiantem i ekwipunkiem przybywały wprost z Aleksandrii i Trypolisu. Inne odpływały właśnie, wioząc setki rannych. Naprawy prowadzono w zasadzie nieustannie. Tannhäuser spędził pół dnia, jadąc wolno brzegiem, wymieniając uprzejmości, błogosławieństwa i – od czasu do czasu – przekleństwa z algierskimi łotrami, ale ani razu nie musiał sięgnąć po broń. Po kilku dyskusjach i fałszywie rozbudzonych nadziejach wreszcie wypatrzył Orlandu, zajętego skrobaniem porostów i skorupiaków z kadłuba galery. Chłopak pracował zapamiętale i przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawał się cały i zdrowy. Nie przeszkadzając mu, Tannhäuser rozpytywał dalej.

Dowiedział się, że chłopak należy teraz do kapitana galery, jegomościa o szczurzej twarzy nazwiskiem Salih Ali. Był on podwładnym Turguta Reisa, który zginął tego samego dnia, w którym Tannhäusera wyniesiono z ruin fortu. Był też rodowitym Algierczykiem, co należało uznać za sprzyjającą okoliczność, najpodlejszymi łajdakami wśród północnoafrykańskich korsarzy byli bowiem bez wyjątku chrześcijańscy renegaci, tacy jak sam Turgut. Usiadłszy w cieniu, Tannhäuser i Salih Ali napili się słodkiej herbaty, gawędząc o tym i owym. Mattias niby przypadkiem odsłonił koło wytatuowane na ramieniu, na wypadek gdyby Algierczyka zwiodły jego dobre maniery. Wymienili uprzejmości na temat swych sukcesów wojennych, o których nie mieli bladego pojęcia, a potem Tannhäuser zwierzył mu się, że być może miałby nabywcę na chrześcijańskiego niewolnika, młodego i silnego. Tak zaczęły się negocjacje.

Minęło dwie i pół godziny, zanim dobili targu. Tannhäuser nie podejrzewał, by jakikolwiek inny Europejczyk wytrzymał taki maraton; nawet Bors zapewne udusiłby Saliha po pierwszych dwudziestu pięciu minutach. Mattias był jednak w swoim żywiole. Uwielbiał takie gry, a uczył się ich w najtrudniejszy sposób – bo tak dochodzi się do prawdziwego

mistrzostwa – od kupców z Bejrutu i Trapezuntu oraz z Bujuk Carsi, którzy śmiali się i zacierali ręce, gdy tylko go widzieli. Bardzo szybko się zorientował, że bez trudu pokona Saliha, korsarz wpadł bowiem w pułapkę pożądania na widok strzelby, którą Tannhäuser najzupełniej celowo położył sobie na kolanach. Algierczyk naturalnie nie był aż takim prostakiem, by poprosić o nią od razu – zaczął od wychwalania pięknej broni, na co jego rozmówca zareagował nader przyjaźnie, oferując pokaz jej celności, pomysłowości mechanizmu oraz oczywistej przewagi strzelania za pierwszym pociągnięciem spustu nad posługiwaniem się prymitywnym lontem. Zaraz potem jednak Tannhäuser przekonał Saliha, że strzelba nie jest na sprzedaż za żadną cenę, choć na stole pojawiła się na chwilę suma znacznie przewyższająca wartością młodego niewolnika. Majstersztyk, jakim było osiągnięcie tego stanu rzeczy, kosztował Mattiasa dwie godziny negocjowania, które poświęcił z przyjemnością. W tym momencie rozpaczliwe pragnienie posiadania strzelby sprawiło, że Orlandu stał się jednym z pomniejszych dóbr na długiej liście. I właśnie wtedy Tannhäuser zaproponował, by spróbowali opium, które przypadkiem miał przy sobie.

Wyjął zza kaftana porcję wielkości orzecha włoskiego, na której widok Salih aż zmrużył chciwe ślepia. Zaraz znalazła się fajka wodna, do której wkruszyli trochę opium oraz kwiatki konopi, rodzynki i tytoń. Zapalili, siedząc w duchocie pod płóciennym daszkiem – Tannhäuser z rezerwą doświadczonego handlarza, który sam padał już ofiarą podobnej strategii, Salih Ali zaś z nierozważną wdzięcznością człowieka skrywającego zszarpane nerwy pod maską uśmiechu. Algierczyk nie był pierwszym, któremu się zdawało, że rozluźnienie wspomaga zdolności handlowe. Lecz gdy cudowna żywica rzuciła na niego swe zaklęcie i gdy hałasy oraz wonie portu rozmyły się nieco, a on sam zaczął kiwać się lekko na stołku, mając raj na wyciągnięcie ręki, Tannhäuser skorzystał z okazji i wykupił chłopca za marne dwie ćwiartki opium. Jako dowód dobrej woli dorzucił resztki napoczętej bryłki, by Salih miał się czym chwalić – w końcu świat nie jest taki wielki i trudno zakładać, że już nigdy się nie spotkają.

Sługa Saliha udał się na plażę i przyprowadził Orlandu. Tannhäuser stał plecami do niego aż do ostatniej chwili, kiedy to odwrócił się i zrobił krok naprzód, by znaleźć się między korsarzem a chłopcem. Wbił w Orlandu surowe spojrzenie, jednocześnie gładząc brodę w taki sposób, ażeby palcem dotknąć ust, nakazując chłopcu, by niczym się nie zdradził.

Orlandu, szybki jak wąż, płynnie zmienił grymas bezbrzeżnego zdumienia w otępiałą minę niewolnika, który za chwilę ma zostać sprzedany. Sługa Saliha, który zwęszył wonny dym unoszący się z fajki, tak bardzo skupił się na płonnej nadziei skorzystania z

opiumowej okazji, że nie zauważył tej wymiany znaków. Salih zadowolił się wymierzeniem chłopcu ciosu dolną częścią pięści w skroń i pouczeniem go, że ma pamiętać o manierach teraz, gdy trafia na służbę do takiego pana. Dostrzegłszy ukradkowe spojrzenie, które wymienili Algierczycy, Tannhäuser podejrzewał, że mają go za zbereźnika szukającego przyjemności z młodym niewolnikiem; zapewne właśnie dlatego w rozmowie Salih kilkakrotnie zapewniał go, że Orlandu to „chłopiec nieustającej świeżości". Teraz jednak nie było czasu na kłótnie o obraźliwych insynuacjach. Salih Ali wyraził nadzieję, że to nie ostatnia ich wspólna transakcja, Tannhäuser zaś zapewnił korsarza, iż jest tego samego zdania. Z tymi słowy rozstali się i Mattias odjechał na swej klaczy, wiozący strzelbę na łęku siodła i ciągnąc na sznurku rozpaczliwie biegnącego Orlandu.

Gdy oddalili się od miejsca, w którym zostawili Saliha, Tannhäuser zwolnił do stępa. Nie patrzył w dół, by zachować wszelkie pozory. Czując pod udem saszetę z czterema funtami czarnego złota, roześmiał się na całe gardło. Nie pamiętał już, kiedy śmiał się tak po raz ostatni, ale napad wesołości na długo poprawił mu humor.

– A zatem wróciłeś do swej dawnej specjalności skrobacza galer – zagaił po włosku. – Rozczarowujesz mnie.

– Dokąd idziemy? – spytał Orlandu.

– Jak to, żadnych wyrazów wdzięczności?

– Myślałem, że nie żyjesz. Opłakiwałem cię i modliłem się za twoją duszę, chociaż przypuszczałem, że raczej trafisz do piekła.

– Wstydź się, cóż za brak wiary! Czyż nie mówiłem ci, że jeszcze się zobaczymy?

– Dlaczego tak długo to trwało?

– Zaraz, zaraz – obruszył się Tannhäuser. – To nie ja dałem się złapać wilkom morskim sułtana podczas tajnej misji do de la Valette'a.

Orlandu puścił postronek i zatrzymał się. Tannhäuser wstrzymał konia i obejrzał się. W oczach chłopca zobaczył urazę i gniew. Mówił do niego żartem, nie zamierzał być okrutny, ale Orlandu najwyraźniej był jeszcze za młody, by zaakceptować ten ton.

– Posłuchaj – rzekł Mattias. – Świetnie się spisałeś, utrzymując się przy życiu przez sześć tygodni wśród korsarzy. – Być może gdyby bardziej przypominał cherubina, jego „nieustająca świeżość" byłaby już przeszłością, ale Tannhäuser wolał o tym nie wspominać. – Okazałeś odwagę i zdecydowanie. Jestem z ciebie dumny. Tak bardzo, że postanowiłem uczynić cię partnerem w moich sławetnych interesach.

Orlandu rozpromienił się. Miał zmienną naturę; złe humory nigdy nie trwały u niego zbyt długo, co Tannhäuser uważał za kolejną zaletę.

– Twoim partnerem? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Na początek powiedzmy, że będziesz moim uczniem. W końcu nic a nic nie znasz się na interesach; zresztą na niczym specjalnie się nie znasz. Ale jeśli będziesz pilny, to mniej więcej za dziesięć lat staniesz się zamożnym młodzieńcem – i ni mniej, ni więcej, tylko światowym człowiekiem – z diamentem na turbanie i statkiem lub dwoma pod własnym dowództwem.

Tannhäuser pomyślał, że to dość ekstrawaganckie wizje jak na człowieka w darowanym ubraniu i na pożyczonym koniu, ale Orlandu ani przez sekundę nie wątpił w prawdziwość jego słów.

– A muszę nosić turban? – spytał.

– Zostaniesz Turkiem, mój przyjacielu.

– Nienawidzę Turków.

– To naucz się ich kochać. Nie są gorsi niż inni, a nawet górują nad większością ludów.

– Przypłynęli tu, żeby nas pozabijać i zabrać nam ziemię.

– Ten obyczaj akurat dzielą z wieloma innymi ludami. A to, że są w wojennym rzemiośle wyjątkowo dobrzy, trudno mieć im za złe. Wasza Religia to także najeźdźcy.

– Ale my walczymy przeciwko Turkom – upierał się Orlandu. – Ty też walczyłeś.

– Walczyłem w życiu i po jednej, i po drugiej stronie – odparł Tannhäuser. – Francuzi walczą z mieszkańcami Italii, Niemcy walczą między sobą, chrześcijanie z muzułmanami, a Hiszpanie z każdym, kto się nawinie. Walka jest obyczajem tak samo wrodzonym jak sranie, mój chłopcze. Jak się przekonasz, tożsamość przeciwnika ma dla walczących bardzo znikome znaczenie. Tak czy inaczej, w tej chwili raczej nie jesteśmy w najlepszym położeniu do zadzierania z Turkami.

Orlandu wyglądał na zdezorientowanego. Był wystarczająco bystry, by docenić potęgę logiki, ale jak większość młodych ludzi, sam nie władał nią zbyt dobrze.

– A co z Jezusem? – spytał.

– Czcij Go, jeśli masz ochotę. Turcy nie przywiążą cię za to do pala. Wiedz jednak, że są i pożytki z oddania się w opiekę Allahowi i jego Prorokowi, niech pokój będzie z nim, nawet jeśli jest to działanie podszyte fałszem.

– Jak można udawać, że wierzy się w jakiegoś boga?

Tannhäuser roześmiał się.

– Zapamiętaj moje słowa, przyjacielu: są w Państwie Kościelnym łajdacy w czerwonych kapeluszach, którzy i w tej chwili kwestionują Jego istnienie. Są natomiast dość sprytni, by się do tego nie przyznać.

– Pójdziemy za to do piekła na wieki.

– No, to trafimy w spory tłok. Ale czy gdybyś był Bogiem, naprawdę bardzo wielką uwagę zwracałbyś na to, jakim imieniem nazywają cię ludzie, którzy przed tobą klękają? Czy w ogóle zwracałbyś na to uwagę?

– Jezus nas kocha. Tyle wiem.

– Zatem wybaczy nam mały podstęp, który może nas ocalić przed kaźnią. A teraz, jeśli pozwolisz, musimy ruszać w drogę. Nie jest rzeczą właściwą, by człowiek o mojej pozycji wdawał się w dysputy teologiczne z niewolnikiem.

– Jestem twoim niewolnikiem?

– Oczywiście tylko dla zachowania pozorów. Bez wątpienia jednak jesteś niewolnikiem sułtana, jak większość jego poddanych. Wielcy wezyrowie też są niewolnikami. Każdy aga janczarów jest niewolnikiem. W jego imperium tylko Turcy rodzą się wolni. Lecz skoro ustaliliśmy, że to tylko słowa, to w czym problem? Także w Europie urodzenie jest wszystkim, a ludzie żyją z butem na gardle. Za to u Osmanów zasługi mogą doprowadzić cię do stambulskich pałaców. Sam Pijal urodził się jako chrześcijanin. Znaleźli go porzuconego na polu opodal Belgradu, gdy sułtan rozpoczynał oblężenie. A teraz jest największym admirałem imperium, a może i całego świata. Na pewno lepiej być bogatym niewolnikiem niż biedakiem wolnym jedynie z nazwy, skrobiącym kadłuby w Wielkim Porcie i bijącym pokłony każdemu przechodzącemu szlachcicowi.

Orlandu nie był do końca przekonany.

– W takim razie muszę udawać, że jestem twoim niewolnikiem, udawać, że kocham Turków, i udawać, że czczę Allaha?

– To łatwiejsze, niż ci się wydaje – zapewnił go Tannhäuser. – A kiedy będziesz miał pełny brzuch i miękkie jedwabie na sobie, będzie to jeszcze prostsze.

– A co z moją matką?

Tannhäuser zmrużył oczy; nie był przygotowany na omawianie tej sprawy.

– Jest w rękach Boga, bez względu na to, w którego wierzysz. W tej chwili musimy zadbać przede wszystkim o siebie. – Orlandu zamrugał niespokojnie, słysząc tak szorstką ocenę sytuacji, a Tannhäuser poczuł się trochę jak oszust. Nie zamierzał jednak przyznawać się do tego. Pochylił się i uścisnął ramię chłopca. – Widziałeś już prawdziwą

bitwę, przyjacielu. Szaleństwo i zniszczenie. Smutek, strach i ból. Potrafisz mi powiedzieć, czemu to wszystko służy?

Orlandu nie odpowiedział.

– Jeżeli Bóg istnieje, dał ci błogosławieństwo bystrego rozumu – ciągnął Tannhäuser. – Możesz Go uczcić, zaprzęgając ów rozum do pracy. A teraz ruszajmy w drogę.

Tannhäuser poprowadził Orlandu na bazar, gdzie odświeżył swoje znajomości i wymienił dwie uncje opium na srebrne akçe. Zafundował chłopcu kąpiel w towarzystwie dwóch żołnierzy z kawalerii sipahów, kupił mu ubranie i pantofle stosowne do jego nowej funkcji oraz nóż i żelazny czajniczek, który miał go uczynić popularnym wśród niewolników. Nauczył Orlandu powtarzać Szahadę: Aszhadu anna la ilaha illa Allah, wa aszadu anna Muhammad Rasulu Allah. „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Wysłannikiem". Te słowa miały z kolei pomóc mu przekonać do siebie wiernych w razie potrzeby. Jako że maltański i arabski miały ze sobą sporo wspólnego, chłopak szybko nauczył się je wymawiać. Tannhäuser zabronił mu kłaniać się przed kimkolwiek, nawet przed wezyrem, ponieważ człowiek ma obowiązek kłaniać się wyłącznie Allahowi. Przy okazji odkrył, że As-Salamu alajkum jest pozdrowieniem, które Orlandu zdążył już poznać.

Uprzedził go, że nie powinni zachowywać się po przyjacielsku w obecności Abbasa i jego świty. Wszyscy mieli uwierzyć, że Tannhäuser spłaca niewielki dług, raczej z potrzeby miłosierdzia i z szacunku do Allaha niż z sympatii do chłopca. Wreszcie zabrał Orlandu do obozu i przedstawił komu trzeba, zaraz też przekupując stajennego, by nauczył chłopaka troszczyć się o konie, bo na takie usługi zawsze istniał popyt. Orlandu odegrał swoją rolę z łobuzerskim talentem, a Tannhäuser wreszcie ze spokojnym sumieniem mógł pogratulować sobie udanego dnia.

Nieco później ofiarował jeszcze Abbasowi funt opium i obwieścił, że z jego błogosławieństwem chciałby już następnego dnia udać się w podróż morską do Trypolisu. Abbas dał mu nie tylko błogosławieństwo, ale i list polecający, lecz widać było, że jego umysł zaprzątają inne, mroczne sprawy, o których nie chciał mówić.

Tannhäuser z ulgą spoczął na posłaniu, rozmyślając o przyszłości, która całkiem niespodziewanie wydała mu się teraz jasna jak nigdy dotąd. Zamierzał wymienić na bazarze resztę opium na złoto, tu bowiem jego cena była znacznie wyższa niż gdziekolwiek indziej. W Trypolisie zręcznie rozprowadzone złoto mogło otworzyć mu linie kredytowe u kupców zbożowych. Wiedza o sytuacji na Malcie i znajomości zawarte na armijnym bazarze mogły kupić mu coś jeszcze cenniejszego: zaufanie. List Abbasa był zaś wart więcej niż złoto, które Mattias byłby w stanie unieść. Zdarzało mu się już rozkręcać interes ze znacznie mniejszym

kapitałem. Zamierzał wrócić na Maltę po miesiącu, z ładunkiem dóbr, na których widok kwatermistrzom pocieknie ślina.

Dla chłopca uczynił tyle, ile mógł. Praca w świcie Abbasa była bodaj najbezpieczniejszą, jaką mógł znaleźć na tej wyspie. Dopełnił umowy z Carlą, i to z nawiązką. Spłacił też dług wobec boga wojny. Ktoś przecież musiał podnieść się z popiołów, gdy inwazja dobiegnie końca – lepiej, by był to on, Tannhäuser, niż ktoś inny. Ułożył głowę na poduszce i przymknął oczy w poczuciu, że to, co nazywał swoim sumieniem, lśni czystością jak polerowane lustro.

Obudził się po kilku godzinach. Na zewnątrz płonęły już ogniska. Wiedział, że śnił, ale nie mógł sobie przypomnieć o czym. Odruchowo rozejrzał się za Etiopczykiem, ale Etiopczyka już przecież nie było. Sen musiał umknąć przed dalekim dźwiękiem muzyki, którą Tannhäuser posłyszał teraz i która ścisnęła jego serce, zostawiając niejasną wizję niespełnionych możliwości i niewybranych dróg. Ułożył się wygodniej i podrapał między nogami. I wtedy uświadomił sobie, że wciąż słyszy muzykę.

Ze ściśniętym żołądkiem próbował wmówić sobie, że musi znowu zasnąć. Przed świtem miał wsiąść na statek do Trypolisu. Wstał po chwili, włożył kaftan i jak zaczarowany melodią wyszedł z namiotu.

Na rozległej i ciemnej równinie Marsa płonęły tylko ogniska wartowników. Wyobraził sobie janczarów grzejących dłonie i opatrujących rany przy ciepłym oçak, a także, jak to mieli w zwyczaju, recytujących heroiczne ballady wokół kazan. Jakąś częścią duszy chciał dołączyć do nich na godzinę lub dwie, powrócić do świętego bractwa młodości. Tatuaże zapewniłyby mu serdeczne przyjęcie. Ćwiartka opium rozjaśniłaby im posępną aurę przeciągającego się oblężenia. Lecz przeszłość była tylko przeszłością i musiała nią pozostać, a złota nić melodii ciągnęła Tannhäusera w innym kierunku.

W krystalicznie czystym powietrzu nocy ledwie ją słyszał, ale nie miał wątpliwości, że naprawdę istnieje. Doszedł do skraju wierzchołka Corradino i spojrzał w dół, na chrześcijańskie porty. Połówka księżyca jaśniała na tle Strzelca, a jego blask spływał na wody Porto delle Galere. Tannhäuser wyobraził sobie, że Carla siedzi na samym końcu promienia księżycowego światła. Gdziekolwiek jednak siedziała ze swym instrumentem, wydobywała z niego tę samą mieszankę nadziei i rozpaczy, która tak go zauroczyła w ogrodzie różanym i która w konsekwencji rzuciła go w to piekło. Jak wtedy, na pachnącym kwieciem klifie, tak i teraz, w smrodzie gnijących ciał, czuł w oczach łzy, a muzyka wypełniała nawet te zakamarki jego duszy, które zawsze były puste. Kochał Amparo, a przecież… Czyżby wybrał niewłaściwą kobietę? Nie dziwił się, że zabrakło mu odwagi, by

wybrać Carlę. Władała mocą, która mogła go ujarzmić. Ale w tej chwili problemem nie był wybór między dwiema kobietami. W tej chwili żaden wybór nie istniał, ponieważ Tannhäuser dał się ponieść na skrzydłach jej nocnej pieśni.

Usłyszał kroki na piasku za plecami i odwrócił się. Zobaczył Orlandu. Chłopak spojrzał na niego z niemym pytaniem w oczach, ale nie ważył się otworzyć ust, widząc wyraz twarzy swego pana. Tannhäuser uśmiechnął się. Oczami wyobraźni zobaczył galerę wyruszającą z Marsamxett w rejs do Trypolisu – bez niego.

– Słyszysz, chłopcze? – spytał.

Orlandu nadstawił ucha i po chwili skinął głową.

– To twoja matka.

Orlandu skierował wzrok ku zatoce.

– Gra jak anioł w łańcuchach – dodał Tannhäuser.

Orlandu popatrzył na niego w takim skupieniu, jakby z ust mężczyzny wymknęła się wielka tajemnica, którą zamierzał zachować dla siebie. Tannhäuser przeczesał brodę palcami, wpatrując się w wielką i ciemną równinę otaczającą miasto.

– Będę potrzebował diabelskich sztuk, żeby ją uwolnić. Lecz przecież on zawsze chętnie udzielał mi kredytu.

Wtorek, 7 sierpnia 1565 - Santa Margharita – droga do Mdiny – Monte San Salvatore

Świt nowego dnia był zupełnie bezwietrzny i w obozie rozniosło się zgniłe powietrze. Gdy Tannhäuser wstał na poranną modlitwę, fetor podpowiedział mu przyczynę marnego humoru Abbasa poprzedniego wieczoru. Preludium do każdej bitwy stanowił między innymi potężny przypływ odchodów o wyjątkowo przykrej woni. Nie była to kwestia tchórzostwa, lecz raczej naturalna kolej rzeczy: trzydzieści tysięcy mężczyzn szykowało się do oddania życia za Allaha i nawet najbardziej nieustraszeni woleli najpierw pozbyć się zbędnej masy.

Pod osłoną ciemności bataliony zajęły pozycje do ataku i zanim Tannhäuser zdążył przejechać na swej kasztanowej klaczy przełęcz między Corradino a Margharitą, na obu stokach rozbrzmiała sura Łupy. Przy wtórze kotłów i piszczałek mehterhane potężny dźwięk rogów wezwał tureckie legiony do dwustronnego ataku. Admirał Pijal dowodził szturmem na Il Borgo, a Lala Mustafa Pasza na L'Isolę.

Jako że celem ofensywy było wzięcie obu twierdz bez względu na cenę, Tannhäuser musiał spędzić cały dzień na szczycie Margharity, udając w razie potrzeby adiutanta Abbasa. Z góry miał doskonały widok na festiwal przemocy, który rozgrywał się na równinie. Rozumiał doskonale, że zakradanie się do miasta – pod wpływem nocnej muzyki w wykonaniu hrabiny – nie ma wielkiego sensu, gdy turecka horda wspina się na mury. Gdyby szturm się powiódł, zamierzał dołączyć do atakujących i postarać się przynajmniej uratować Amparo i Carlę z chaosu, który rozpętałby się w mieście. A byłby to chaos nie lada, zdarzało się bowiem, że sam Sulejman nie był w stanie powstrzymać swych janczarów – tak było w Budzie, na Rodos i w wielu innych miejscach – a rany zadane w tej wojnie były wyjątkowo głębokie. Ulice miały więc spływać krwią przez dzień lub dwa. Okrutny los spotkałby także wielu zwycięzców, walczących na noże o każdy strzęp łupu. Rycerzy wziętych do niewoli czekały tortury i śmierć – i słusznie. Ale prędzej czy później ktoś przypomniałby sobie, że wszystkie te niszczone dobra i wszyscy zabijani ludzie są własnością sułtana, a wtedy Mustafa zacząłby wieszać swoich żołnierzy.

Tannhäuser zastanawiał się, czy udałoby mu się odzyskać Buraqa – jeśliby wcześniej ocalił kobiety – i doszedł do wniosku, że kosztowałoby go to trochę zachodu, sporo opium i może kilka trupów.

Gdy ustał przygotowawczy ostrzał artyleryjski, spod unoszących się ku niebu kłębów dymu wyłoniła się potężna wyrwa w murach Il Borgo: zniszczeniu uległ czterdziestostopowy fragment kurtyny, której szczątki zasypały warstwę zwłok spoczywających w rowie. Chorągwie sułtańskie przesuwały się teraz żwawo po Wielkiej Równinie, a tatarscy najemnicy Pijal a, w jaskrawożółtych strojach i czapkach, już zasypywali twierdzę gradem strzał, atakując arquebuceros. Przedpole spłynęło krwią po pierwszych salwach, ale ci, którzy mogli kontynuować szturm, bez wahania pakowali się prosto w piekło strumieni wrzącego tłuszczu lejących się z góry. Azebowie dźwigali drabiny, próbując wedrzeć się do bastionu Kastylii, a szkarłatny klin sipahów ruszył śladem Tatarów.

Coraz to nowe bataliony staczały się ze wzgórz – jakby Pijal wyczarowywał je wprost z powietrza – i dołączały do bitwy. Wysokie białe borki janczarów kołysały się niczym kwiaty w wielkiej hodowli lilii. Derwisze przestępowali z nogi na nogę, niecierpliwie wymachując lśniącymi klingami i wykrzykując: „Śmierć niewiernym i imieniu tego Dnia, który został im obiecany". Jajlarowie, pod niemałym wpływem konopi, rozdzierali szaty i darli się wniebogłosy, żądając od Allaha chrześcijańskiej krwi.

Ponad najdalej wysuniętym bastionem, na Bramie Prowansalskiej, zadyndał na sznurze siedemdziesiąty piąty niewolnik, niczym bezskrzydła harpia o sinym języku, zesłana na ziemię przez moce ciemności, by podziwiać rzeź.

Podczas gdy Il Borgo walczyło o przetrwanie, trzysta kroków na lewo od frontu Pijala, po drugiej stronie Porto delle Galere, Lala Mustafa Pasza uderzył na fort Świętego Michała. Czerwona masa sipahów cisnęła haki do wspinaczki w stronę murów, z których leciał na nich deszcz ognistych obręczy i płonącej mazi. Fetor palących się włosów i tłuszczu dotarł do nozdrzy Tannhäusera przez i tak mocny smród rozkładających się ciał, nad którymi unosiły się roje zielonych i niebieskich much. Wydawało się niemożliwe, by nawet gazi przetrwali tak diabelski odpór, a jednak udało się im. Mijały minuty i godziny, tureccy żołnierze wspinali się po ciałach zabitych i usmażonych na czarne mury i wdzierali się do środka wszystkimi otworami, w ruinach Bormuli zaś wybuchła już walka wręcz.

Jakby na znak upadku L'Isoli na równinie pokazał się sam Mustafa w otoczeniu gwardzistów. Kule z muszkietów wznosiły fontanny piasku wokół niego, ale nie zwracał na nie uwagi. Strusie pióra zdobiły jego ogromny, biały turban, a jego jabłkowity wierzchowiec przystrojony był złotą derką. Czerwone proporce z końskiego włosia wznosiły się ku niebu po obu jego stronach, tak jak dawniej wznosiły się nad Temudżynem i Tamerlanem. Obok gwardii Paszy stanęło dwanaście ort solak, elity janczarów, oraz ich ojców, derwiszów bektaszytów, w hełmach z brązu i rdzawych szatach. Pękali z dumy, gdy Mustafa jechał

między nimi, i pozdrawiali go słowami Proroka, radując dusze wizją ocienionego palmami raju oraz bogatych łupów, które czekały za murami. Mustafa i de la Valette są sobie równi, pomyślał Tannhäuser. Obaj mają po siedemdziesiąt lat i obaj są wciąż szalenie żądni krwi. Solak ustawili się w szyku bojowym i nagle jakaś siła ścisnęła gardło Tannhäusera, bo poczuł wspólny rytm ich serc. Skoro sipahowie mogli wspiąć się na mury Świętego Michała, to Lwy Islamu mogły rozmieść je w proch.

Głośny ryk – najpierw triumfu, a zaraz potem rozpaczy – dobiegł od strony wyłomu w murach Il Borgo. Tannhäuser zawrócił konia i podjechał kilka kroków, by mieć lepszy widok na to miejsce. Oddziały szturmowe Pijala przedarły się przez skąpany w ogniu wyłom i zatrzymały się tuż za nim. Miały przed sobą świeży, nienaruszony mur wewnętrzny – ten sam, którego budowę doradził wielkiemu mistrzowi Tannhäuser i który wzniesiono w tajemnicy, kosztem życia setek niewolników. Zamiast znaleźć się w mieście, żołnierze Pijala znaleźli się w pułapce, zamknięci murem od czoła i tratowani od góry przez coraz to nowe zastępy szkarłatnych gazi szukających chwały.

A była to pułapka doskonale przemyślana. Na obu końcach korytarza między murami wzniesiono kazamaty, a w nich ukryto bezpiecznie armaty, które teraz strzelały śrutem, siejąc spustoszenie w zwartej masie atakujących. Z góry ostrzeliwali ich arquebuceros i łucznicy, a pracujące parami maltańskie kobiety wylewały na nich gorący tłuszcz i zrzucały kawałki muru. Ogniomistrze także czynili swą powinność, pieczętując smutny los wrzeszczącej masy napastników.

Uwięzieni między murami Turcy miotali się to w jedną stronę, to w drugą, jak stado bydła ogarnięte paniką na widok drapieżców, aż wreszcie pojęli, że jedyną szansą na ocalenie jest ucieczka. Ruszyli tłumnie z powrotem ku wyłomowi w murze zewnętrznym, a wtedy otworzyły się bramy wewnętrznego pierścienia i oddziały srogich rycerzy zabrały się do dziesiątkowania uciekających ciosami mieczy i toporów. Stojąc wśród sięgających pasa stert ciał i patrząc, jak ostatnich zbiegów na otwartym polu trafiają w plecy muszkietowe kule, rycerze wznieśli miecze ku niebu, by chwalić Boga.

Il Borgo przetrwało. Przynajmniej ten dzień.

Tannhäuser znowu zmienił pozycję, by sprawdzić, jak przebiega szturm na Świętego Michała. Kolumny wyjących solak wspinały się po drabinach i obok chorągwi z krzyżem na murach łopotał już sztandar z gwiazdą i półksiężycem. Rycerze i Maltańczycy walczyli o każdy kamień fortu, ale jako że nie mogli liczyć na natychmiastowe wsparcie z Il Borgo, a Mustafa dysponował wręcz nieograniczoną potęgą, prognoza dla twierdzy nie mogła być korzystna. Gdyby zaś Święty Michał padł, Il Borgo musiałoby podzielić jego los

najpóźniej po tygodniu. Mustafa zainstalowałby w L'Isoli działa oblężnicze i rozniósł niebronione mury Il Borgo z odległości ledwie kilkuset stóp. Podczas kolejnego ataku od strony Wielkiej Równiny jego łodzie spokojnie mogłyby wpłynąć na wody Porto delle Galere i zostawić desant.

Tannhäuser nie znał okolic na tyle dobrze, by w ciemności zakraść się do Il Borgo, a przynajmniej nie od tej strony. Nie znał też rozkładu pozycji tureckich na wschodzie. Potrzebował jednego z maltańskich przewodników Religii. Tylko oni znali każdy zakątek tego niełatwego terenu; to oni, na rozkaz wielkiego mistrza, przenosili wiadomości między Mdiną a Il Borgo. Jeśli Tannhäuser się nie mylił, nie złapano dotąd jeszcze żadnego z nich. Od Mdiny dzieliły go cztery mile. Jeżeli chciał wrócić do Il Borgo, musiał zacząć od Mdiny.

Tannhäuser zawrócił i pogalopował między wzgórzami tak szybko, jak się odważył. Wspiął się po stoku Corradino, minął namiot Abbasa i odnalazł Orlandu, zajętego szuflowaniem końskiego łajna. Chłopak odstawił łopatę, a Tannhäuser zeskoczył z konia.

– Nie zobaczymy się przez jakiś czas – powiedział.

Chłopak wyglądał na zrozpaczonego, ale trzymał się prosto.

– Zostajesz w świcie dowódcy Abbasa. To mądry i uczciwy człowiek, dopilnuje, by nie stała ci się żadna krzywda. Nic mu nie mów o naszej przyjaźni. Jeśli będziesz musiał, powiedz tylko tyle, ile sam mu powiedziałem: że okazałeś mi litość, kiedy byłem niewolnikiem w Świętym Elmie. Umierałem z pragnienia, a ty dałeś mi wody z bukłaka z koziej skóry. To wszystko. Wykupując cię z rąk Algierczyka, spłaciłem dług, jak nakazuje Allah. Zrozumiałeś?

Orlandu skinął głową.

– Z bukłaka z koziej skóry.

– Pamiętaj, że jesteś teraz mężczyzną – do tego Maltańczykiem, a ja nie znam twardszej rasy – i jak napisał święty Paweł, musisz porzucić chłopięce sprawy. Pracuj ciężko, módl się z niewiernymi, ucz się ich języka. Przeżyłeś niewolę u Saliha Alego, tutaj będziesz żył jak książę.

Tannhäuser zrobił krok naprzód i pochylił się, opierając dłonie na udach

– A teraz posłuchaj uważnie, Orlandu. Jeżeli Malta upadnie, a ja nie powrócę, Abbas prędzej czy później powróci do Stambułu. Musisz popłynąć z nim.

Orlandu zamrugał.

– Za morze?

– Potraktuj to jako naukę, bo na pewno zdobędziesz dzięki temu niemałą wiedzę. Daj mi słowo, że popłyniesz. Teraz. Na łzy Najświętszej Panienki.

– Daję ci słowo na łzy Najświętszej Panienki.

– Dobrze. Tak długo, jak pozostaniesz przy Abbasie, będę mógł cię odszukać, choć może to potrwać miesiące, a może i lata.

Z tym było mu znacznie trudniej się pogodzić, ale Orlandu przełknął swój strach i nie sprzeciwił się.

– Wierzysz we mnie? – spytał Tannhäuser.

– To jedyne, czego nie muszę udawać – odrzekł chłopiec.

W tym momencie Mattias omal się nie rozmyślił, ale opanował się w porę i tylko z powagą skinął głową. Zdjął z palca ciężki złoty pierścień i wcisnął go w dłoń Orlandu.

– Zachowaj go na dowód naszej przyjaźni. Dopóki będziesz go nosił, nie stanie ci się krzywda. – Bez wątpienia był to kompletny nonsens, ale Orlandu patrzył teraz na pierścień jak na Święty Graal i Tannhäuser był pewny, że w trudnych chwilach pierścień doda chłopcu otuchy. – Nie pozwól, żeby ktoś go zobaczył, bo będziesz musiał walczyć o niego na śmierć i życie. Ukryj go w tyłku.

– W tyłku? – zdumiał się Orlandu.

– Znam takich, co chowali tam i noże, i niewiarygodne ilości przemycanych towarów. Jeżeli Abbas zechce cię kiedyś porzucić albo sprzedać, pokaż mu pierścień – i tylko jemu, on go rozpozna. Powiedz, że to moja prośba, i błagaj, żeby ją uszanował aż do mojego powrotu.

Orlandu skinął głową.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Dla ciebie i dla Abbasa – popłynąłem do Trypolisu.

Orlandu spojrzał w stronę zatoki, nasłuchując grzmotu dział. Po chwili znowu popatrzył na Tannhäusera i najwyraźniej chciał go błagać, by zabrał go ze sobą. Wykazał się jednak męstwem: zachował spokój i milczenie, czym kolejny raz zyskał w oczach Mattiasa.

– A teraz obejmij mnie – rzekł Tannhäuser – i życzmy sobie nawzajem powodzenia, aż do następnego spotkania.

Rozłożył ramiona, a chłopak – naprawdę chłopak, nie mężczyzna – rzucił się ku niemu i wtulił twarz w jego pierś. Tannhäuser uścisnął mocno jego ramiona, które wydały mu się teraz żałośnie delikatne. A może powinien był zabrać Orlandu ze sobą? Rozsądek dyktował jedną odpowiedź: w obozie Abbasa Ibn Murada chłopiec był bezpieczny. Orlandu nie chciał zwolnić uścisku – i prawdę mówiąc nie tylko on – ale Tannhäuser odsunął go w końcu i wrócił do konia. Dosiadł go i zasalutował chłopcu na pożegnanie, nim odjechał.

Na skraju obozu dowódców minął drużynę strzelców, którzy nawet nie próbowali go zatrzymać. Zjechał w dół zachodnim stokiem Corradino, na rozległą płaszczyznę Marsy, i kłusem pojechał na południe, przez bazar, gdzie zatrzymał się tylko raz, by kupić pół worka kawy, którą przesypał do sakw. Garstkę ziaren wepchnął do ust i rozgryzł, rozkoszując się gorzkim smakiem. Przejechał przez dziwnie cichy obóz wojskowy. Praktycznie wszyscy brali udział w ataku, a z paru marnych najemników zajętych odnawianiem latryny żaden nie zaszczycił go niczym więcej niż tylko ponurym spojrzeniem.

Za obozem – pierwotnie w zdrowej odległości, ale teraz tuż obok, jak rozlewające się bagno – mieścił się szpital polowy. Było to prymitywne skupisko płóciennych dachów, pod którymi leżeli skąpani w nieczystościach nieszczęśnicy. Zatrute studnie spełniły swoje okrutne zadanie. Palące słońce i trujące opary z rozkładających się w słońcu resztek ciał dokonały reszty. Prócz zatrutych leżały tu także tysiące rannych w bitwach, którzy jeszcze szybciej poddawali się chorobie. Zdemoralizowani, niewrażliwi na nic pielęgniarze, którzy snuli się po tym żałosnym obozowisku w ponurej rezygnacji chłopów przechadzających się wśród zbiorów zmarnowanych przez pasożyty, nie mogli wiele zdziałać, gdyż na każdego z nich przypadały setki pacjentów. Deliryczne szepty gorączkujących, ich jęki i modlitwy, ich błagania o wodę, o zmiłowanie, o zbawienie, tworzyły chór rozpaczy, który przewiercał Tannhäusera na wylot. Osłonił pół twarzy kołnierzem kaftana i szeptem powtarzając błogosławieństwo dla Abbasa, który oszczędził mu tego losu, czym prędzej minął szpital.

Zewnętrznej granicy całego obozu strzegło kilkunastu konnych wartowników, patrolujących teren parami. Tannhäuser skierował się ku najbliższej parze i władczym ruchem skinął im głową, nawet nie zwalniając tempa. Raz jeszcze liczył – całkiem słusznie – że ozdobny strój i uprząż pomogą mu uniknąć zatrzymania. Gdy zaś znalazł się na otwartym polu, poza zasięgiem wzroku wartowników, skręcił ostro na zachód, ponaglił konia i wkrótce zostawił daleko w tyle odgłosy trwającej jeszcze bitwy.

Jeźdźcy de Lugny'ego przechwycili go w szczerym polu, u podnóża skalistego wzniesienia, które musiał pokonać, by dojechać do Mdiny. Uformowali wokół niego groźny krąg na spienionych wierzchowcach mieszanej krwi luzytańskich, andaluzyjskich i ciepłokrwistych szwedzkich. Mieli spuszczone przyłbice, za to sami unosili się złością i wyglądało na to, że gdyby nie rozkaz doprowadzania wszystkich jeńców na tortury, najchętniej ucięliby Tannhäuserowi łeb na miejscu, bez zbędnych pytań. Wymieniali drwiące komentarze na temat jego kaftana, który wydawał im się kobiecą szatą, ale żaden z nich się nie roześmiał. Tannhäuser był tym trochę rozczarowany, bo liczył na rozładowanie nerwowej atmosfery. Wiedział, że jeśli przywiozą uciętą głowę Turka, spotka ich najwyżej łagodna

nagana, a zamknięci w Mdinie, z dala od wielkiej bitwy, której tak pragnęli, nieczęsto mieli okazję złapać kogokolwiek.

Wreszcie Tannhäuser dostrzegł z ulgą kawalera de Lugny, nadjeżdżającego na czele całego dwustuosobowego oddziału kawalerii Religii. Pancerze rycerskie spowijały czerwone płaszcze z wielkimi, białymi krzyżami. Amparo wygląda w takich lepiej, pomyślał Tannhäuser. De Lugny natychmiast rozpoznał w nim „szpiega", który poprowadził rajd na Porto delle Galere.

– Prosiłem o twoje usługi miesiąc temu, kapitanie – rzekł rycerz. – Powiedziano mi, żeś zginął.

– W tych czasach fałszywe plotki szybko się rozchodzą – odparł Tannhäuser.

– Gdzie więc się podziewałeś przez ten czas, jeśli wolno spytać?

– Leczyłem się z ran.

– Wśród muzułmańskich diabłów?

– W namiocie jednego z ich dowódców.

Niekiedy najbardziej bezczelna odpowiedź bywa odpowiedzią najlepszą – i tak właśnie było tym razem. Twarz de Lugny'ego zmieniła się na krótką chwilę w obraz czystego zdumienia. Rycerz po jego lewej stronie – jeden z tych, którzy zatrzymali Mattiasa – uniósł przyłbicę. Miał młodą twarz, ale skażoną grymasem wrodzonej wyższości, której nie mogą podważyć żadne porażki.

– Wobec tego masz pewnie wiele do powiedzenia wielkiemu mistrzowi – rzekł de Lugny.

– Właśnie dlatego jadę do Mdiny. Potrzebny mi Maltańczyk, który przeprowadzi mnie do Il Borgo.

Zarozumialec przemówił, potwierdzając diagnozę Mattiasa.

– Może i Turkom miałeś wiele do powiedzenia.

Tannhäuser spojrzał na niego przeciągle. Zastanawiał się, czy może puścić mu płazem tę zniewagę, ale docinki na temat kaftana uraziły go bardziej, niż sądził.

– Spędziłem trzynaście dni w forcie Świętego Elma – odrzekł. – Ostatnich trzynaście dni.

Rycerze wymienili spojrzenia i niektórzy z nich przeżegnali się z czcią na myśl o bitwie, która obrosła już legendą.

– Kiedy janczarzy szli na nas ze wzgórza – ciągnął Tannhäuser – często rozmyślaliśmy o was, zajętych polerowaniem pancerzy i żłopaniem winka w bezpiecznych murach Mdiny.

Kilka mieczy z sykiem wysunęło się z pochew; był wśród nich oczywiście miecz zarozumialca. Padło kilka groźnych przysiąg, a konie zaczęły ryć kopytami zeschniętą ziemię, w pełni sympatyzując ze swymi jeźdźcami.

Tannhäuser oparł strzelbę o biodro. Ich chorobliwie rozdęty honor niezmiernie go irytował. Możliwe też, że po wczorajszej porcji opium lub niedawnej gorączce nie był jeszcze w pełni umysłowej równowagi. A może po prostu był po trosze szaleńcem? Wiele ostatnio zniósł dzięki flegmatycznemu poczuciu humoru, które tak sobie cenił, ale ten zarozumialec krzesał iskry zbyt blisko beczki prochu. Dawniej dobrze mu znana, a teraz dawno zapomniana furia zalała umysł Tannhäusera.

– Pozdejmujcie pancerze – warknął w stronę młodego pyszałka – a wezmę was trójkami. Albo po pięciu, jeśli pieszo.

Mówiąc to, spiął konia i przysunął się o krok bliżej. Wargi zarozumialca poszarzały. Gdyby uniósł wyżej miecz, Tannhäuser wypaliłby mu prosto w twarz. Dalej, wbrew swym buńczucznym zapowiedziom, raczej nie sięgał myślą. De Lugny, który znał się na ludziach lepiej niż jego młody towarzysz, uniósł dłoń.

– Dość! – rozkazał. – Zanim padną słowa, których nie da się cofnąć.

Tannhäuser ani drgnął. Młodzik zamrugał nerwowo i odwrócił głowę. Teraz dopiero Mattias zwrócił się do de Lugny'ego.

– Rozumiem więc, że mogę liczyć na jednego z waszych Maltańczyków – stwierdził z łagodnym uśmiechem.

– Śmiem twierdzić, że tak – odparł z ulgą de Lugny. Skinął głową w stronę odległego echa kanonady trwającej za wzgórzami. – Jak idzie bitwa? Usłyszeliśmy jakiś tumult i doszliśmy do wniosku, że mamy już dość polerowania i żłopania.

– Il Borgo wytrzyma – odparł Tannhäuser. – Wątpię tylko, czy Święty Michał przetrwa następną godzinę.

– Wiele razy przetrwał.

– Teraz proporce janczarów powiewają na murach.

– Może moglibyśmy wziąć ich z flanki?

Tannhäuser zdołał nie uśmiechnąć się pobłażliwie.

– Mustafa ma na wzgórzach dwudziestotysięczne odwody.

De Lugny zmarszczył brwi.

– A jak dobrze strzeżony jest ich obóz?

– Obóz? – Zazwyczaj Tannhäuser nie pozwalał sobie na tak głupie pytania. Tym razem żołądek podpowiedział mu, że ten i tak niezbyt zdrowy dla niego dzień stanie się jeszcze bardziej nieprzyjemny.

– Turecki obóz – powtórzył niecierpliwie de Lugny. – Szpital, jeśli wolisz. Tabory i jednostki wsparcia. Kucharze, pasterze, Murzyni. I ten ich rynek.

Zanim de Lugny wypowiedział całą listę skazanych na śmierć, Tannhäuser wiedział już, że rycerze pojadą tam bez względu na jego odpowiedź. I dlatego powiedział prawdę.

– Nawet bateria w Porto delle Galere była lepiej strzeżona. Mają może dwudziestu konnych wartowników, mocno rozrzuconych. Kompania trackich najemników kopie latryny. Poza tym, kawalerze, jest tak, jak powiedziałeś: kucharze, pastuchy, nieuzbrojeni niewolnicy, chorzy. Żadnych rowów ani palisad. Wszystkie jednostki liniowe są na wzgórzach.

De Lugny nie był może najprzebieglejszym wojownikiem świata, ale wszyscy Francuzi jego pokroju są z natury dwulicowi, co zresztą wychodzi im na zdrowie, przynajmniej w chwilach takich jak ta. De Lugny pochylił się w siodle.

– Pojedziesz do ich obozu przed nami – powiedział. – I to galopem. Udawaj rannego, ogłoś alarm. Powiedz, że chrześcijańskie posiłki z Sycylii właśnie przybyły i posuwają się w stronę ich tyłów. Niech natychmiast zawiadomią Mustafę. Nie będzie miał wyboru; przerwie szturm na Świętego Michała.

– Jeśli uwierzy w fałszywy raport.

– O, na pewno uwierzy – odrzekł z przekonaniem de Lugny.

Uśmiechnął się i Tannhäuser zrozumiał, co mu chodziło po głowie. Poczuł mdłości.

– Co potem? – spytał.

– Potem już tylko zejdziesz nam z drogi.

Tannhäuser nie był przekonany, że okaże się to takie proste.

– Za pozwoleniem – rzekł – chciałbym dostać przynajmniej jeden z waszych płaszczy.

De Lugny wyszczerzył zęby jak łotr do łotra i ruchem głowy nakazał zarozumialcowi oddać płaszcz. Młodzik niezgrabnie ściągnął tkaninę przez głowę i rzucił Tannhäuserowi, który zwinął ją ciasno i włożył do sakwy. Znieruchomiał na moment, zastanawiając się nad czymś.

– Jeżeli szukacie łupów – rzekł – to namioty dowódców i wyższych oficerów stoją osobno, na wzgórzach. Tyle że są znacznie lepiej chronione, przez kompanię strzelców. No i są o dobrą milę bliżej posiłków, które mógłby tu wysłać Mustafa.

Była to gruba przesada, ale zależało mu na tym, by rycerzom nie przyszło do głowy usiec Orlandu – a także Etiopczyka.

– Dobrze znamy tę kolorową wioseczkę Mustafy – odparł de Lugny. – I na nią przyjdzie kolej, ale dziś nie szukamy łupów. Dziś chcemy krwi.

Tannhäuser powrócił tą samą drogą do tureckiego obozu. Odgłosy bitwy znów wydały mu się głośniejsze. Z odległości ćwierci mili dostrzegł pierwszą parę wartowników i obejrzał się przez ramię. Jeźdźców de Lugny'ego nie było w zasięgu wzroku. Uniósł się w siodle i zmusił klacz do galopu. Gdy zbliżał się do wartowników, opadł znacznie niżej i rozpaczliwie wyciągnął rękę. Gdy do nich dojechał, udawanie rannego przyszło mu już bez trudu i czuł się nawet całkiem gotowy, by efektownie zlecieć z konia. Wartownik złapał klacz za uzdę.

– Piekielne psy są tutaj – wysapał Tannhäuser. – Chrześcijanie… Z Sycylii. Są ich tysiące.

Machnął ręką za siebie i zobaczył miny wartowników, którzy wlepili oczy w horyzont. Ziemia zaczęła drżeć, a klacz zarżała niespokojnie. Zaraz potem usłyszał tętent żelaznych podków o twardą ziemię. Wciąż pochylony, odwrócił głowę i zwierzęcy strach ściął mu krew.

Nigdy nie widział szarży ciężkiej kawalerii z perspektywy ofiary. Zapewne tak musi czuć się jeleń, gdy widzi myśliwskie psy. Jeźdźcy de Lugny'ego wzbijali w powietrze potężny tuman kurzu, gnając wachlarzem widocznym od czoła jako gruba czerwona linia, która wydłużała się stale i już po chwili wyglądała tak, jakby zajmowała cały horyzont. Rycerze jeszcze nabierali prędkości i nic nie wskazywało na to, że zamierzają zawrócić. Tannhäuser spojrzał na wartowników, którzy przyglądali się szarży z otwartymi ustami. Wybrał tego, który wyglądał na bardziej przerażonego.

– Jedź na front i ostrzeż paszę – powiedział. – Jeśli tego nie zrobisz, stracimy armię. Jedź, jeśli ci życie miłe!

Wdzięczny za niespodziewane wyjście z sytuacji wartownik zawrócił konia i ostro ponaglił go do biegu. Jego zapał nie miał wielkiej przyszłości, Mustafa bowiem, gdy tylko wyda się podstęp, niewątpliwie każe zatłuc go na śmierć, ale Tannhäuser pocieszał się myślą, że będzie to tylko jedna z tragicznych historii tego dnia. Chcąc pozbyć się drugiego wartownika, rzekł:

– Jedź do najemników, niech bronią magazynów.

Gdy drugi wartownik popędził ze swą daremną misją, Tannhäuser przypomniał sobie, że musi jeszcze wykonać najważniejszy element swego planu: ujść z życiem. Obejrzał się i stwierdził, że nie ma szans na objechanie bokiem zbliżającej się tyraliery. Kasztanka nie potrzebowała wielkiej zachęty, by przysiąść na zadzie i rzucić się do panicznej ucieczki. Poniosła go wprost do obozu, ledwie o pięćdziesiąt stóp przed szeregiem dźwięczących stalą behemotów.

Nadjeżdżająca kawaleria wzbudziła falę strachu poruszającą się jeszcze szybciej niż klacz Tannhäusera. On sam zerknął na lewo i zobaczył pielęgniarzy w panice porzucających swych pacjentów. Piekarze zostawiali piece, kucharze paleniska, a pracze kotły i balie; wszyscy rzucali się biegiem w stronę Wielkiego Portu i stojących na brzegu łodzi, choć doskonale wiedzieli, że większość z nich nigdy tam nie dotrze. Najemnicy pracujący przy latrynach, kompletnie zaskoczeni i pozbawieni dowództwa, daremnie próbowali rozwiązać zagadkę, która tak naprawdę miała tylko jedno rozwiązanie: czekała ich śmierć bez sensu i bez znaczenia. Niektórzy chwytali łopaty niczym absurdalne talizmany i zbierali się grupkami w płonnej nadziei na przetrwanie szarży. Niektórzy pobiegli za kucharzami, inni skakali wprost do dołów z ekskrementami i nurkowali w nadziei, że pozostaną niezauważeni.

Tannhäuser obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, jak niektórzy z wartowników rzucają się do walki z rycerzami. Zostali zmieceni jak nasiona ostu przez potężny wicher. Mordercza nawałnica przetoczyła się przez szeregi namiotów i wielki szpital, a tętent kopyt i daleki huk dział utonęły nagle w potężnym, chóralnym jęku rozpaczy. Jeźdźcy zwolnili tempo i rozpoczęła się masakra, Tannhäuser zaś czym prędzej skręcił na wschód, w stronę bazaru.

Właściwie nie był pewien, dlaczego to uczynił. Być może z prostego poczucia wspólnoty, a może w panice. Tak czy inaczej, zatrzymał klacz pośrodku zbiegowiska, które zdążyło powstać na alejkach bazaru. W stronę kilku twarzy, które zapamiętał ze wspólnych interesów, rzucił słowa ostrzeżenia: niech zostawiają wszelkie dobra i uciekają na wzgórza. Dopełniwszy tego obowiązku, skierował się w przeciwną stronę i w biegu zdjął i schował turban. Możliwe, że stracił ochronę głowy, ale jednocześnie miał nadzieję, że na gołą głowę nie spadnie aż tak wiele ciosów. Wydobył też z sakwy czerwony płaszcz i zarzucił go przez głowę. Z krzyżem na piersi poczuł się tak, jakby chroniła go stal. W ramach treningu szepnął do siebie: „Za Chrystusa i Jana Chrzciciela", po czym wjechał w sam środek rzezi, która trwała na spalonej słońcem równinie.

Nawet jeśli ofiary są całkiem bezbronne, wyrżnięcie zimną stalą tysięcy ludzi jest dla dwustuosobowego oddziału nie lada wyzwaniem, ale pełni zapału kawalerowie de

Lugny'ego radzili sobie jak wilki w kurniku. Mogli przy tym liczyć na entuzjastyczną współpracę swych wierzchowców, które ostrymi, żelaznymi podkowami wielkości talerzy zmieniały chorych i rannych w splątaną i całkiem martwą masę mięsa. Ci, którzy przeżyli, pełzali jak widma cmentarne, lecz prędzej czy później ginęli od mieczy, lanc i kopyt. Niektórzy rycerze zsiedli z koni i brodzili w tłumie leżących nieszczęśników, dobijając ich buzdyganami i toporami albo konkurując z wierzchowcami w tratowaniu ze skutkiem śmiertelnym. Wykrzykiwali przy tym łacińskie modlitwy, jakby chcieli uświęcić swój krwiożerczy amok.

Po chwili rycerze zabrali się do uśmiercania Traków, którzy grupkami usiłowali uciekać na otwarte pole. Cios w pierś barkiem rycerskiego wierzchowca wystarczał, by złamać mostek i żebra. Tylne kopyta siały śmierć, łamiąc kości z trzaskiem podobnym do tego, który towarzyszy rozbiciu glinianego naczynia. Rycerze pochylali się nisko w siodłach, dobijając nielicznych żołnierzy, kucharzy, pasterzy, kowali i rzeźników, którzy próbowali uciekać jak zaszczute jelenie, na widok jeźdźców bełkocąc coś w najróżniejszych językach. W końcu dali się zbić w potulne stada i ginęli kolejno pod ciosami mieczy albo popuszczając w buty, gdy lance przebijały ich trzewia. Ci, którzy na kolanach błagali o litość, także ginęli, wypatroszeni i poćwiartowani.

Rozległy się pierwsze eksplozje, którym towarzyszyły żółtopomarańczowe kule ognia i słupy czarnego dymu wznoszące się wprost ku lazurowemu niebu – płonęły i wybuchały magazyny, namioty, i wozy. Niszczono nawet beczki z ziarnem. Całe stada koni i mułów miotały się po zagrodach; przerażone zwierzęta przewracały oczami i ginęły, gdy dziwaczne istoty zakute w stal podrzynały im gardła i otwierały brzuchy, brodząc w luźnych, parujących wnętrznościach jak dzieci szukające małży w czerwonych falach odpływu. Chrześcijańska awangarda dotarła wreszcie do bazaru i Tannhäuser usłyszał rozpaczliwe krzyki bardzo chciwych i bardzo nierozważnych kupców. Zaczęła się nowa fala mordów i kolejne kolumny dymu wzniosły się ku niebu.

Jadąc przez unicestwione obozowisko, niczym Argonauta, któremu pozwolono przemierzyć królestwo Dis, Tannhäuser rozglądał się uważnie, by w porę wypatrzyć rycerza ogarniętego bojowym szałem albo młodego zarozumialca bez płaszcza. Na szczęście krzyż na piersi otworzył mu drogę i bez kłopotu udało mu się dotrzeć na skraj obozu. Droga do Mdiny stała przed nimi otworem i klacz chyba to wyczuła, bo choć ciężko dyszała z wysiłku i strachu, gotowa była pobiec dalej. Tannhäuser uspokoił ją nieco i po raz ostatni obejrzał się wstecz. Jeśli kiedykolwiek był taki moment, że łaskawość Boga podano w wątpliwość, to

właśnie wtedy; a jednak – typowo ludzki paradoks – Tannhäuser miał szczerą nadzieję, że On naprawdę istnieje.

Chmury gryzącego dymu ścieliły się nad równiną, a wraz z nią echa ludzkich i zwierzęcych jęków. Zbrojne ramiona rycerzy wciąż unosiły się i opadały jak kończyny marionetek kierowanych ręką szaleńca. W powietrzu mieszały się wonie płonącego ziarna, jedwabiu i mięsa, a także ekskrementów i prochu i zbyt długo pieczonego chleba. Było tak, jakby rozpacz wydestylowała własne perfumy i z wysokości spryskała nimi turecki obóz. Na wzgórzu rozległy się strzały z muszkietów, ale z tej odległości janczarzy mogli równie dobrze celować w niebo, oddając salut perfekcyjnie przeprowadzonej masakrze. Od strony miasta ukrytego za wzniesieniami i trwającej tam nie mniej efektownej rzezi dało się słyszeć nerwowe trąbienie tureckich rogów wzywających żołnierzy do natychmiastowego odwrotu.

Podstęp de Lugny'ego zadziałał. Fort Świętego Michała miał przetrwać kolejny dzień.

Teraz odezwały się i rogi kawalerzystów. Jeźdźcy stanęli w szyku i rozpoczęli sprawny odwrót, po drodze dogaszając wszelkie oznaki życia, jakie napotkali. Zniszczenie inwentarza w całości musiało jednak być ponad ich siły, gnali bowiem przed sobą niemałe stadko przerażonych koni. Podobnie jak w Porto delle Galere, de Lugny nie stracił ani jednego człowieka i ani jednego wierzchowca.

Tannhäuser przetarł oczy podrażnione dymem. Był głodny i czuł ból w plecach. Rozprostował ramiona. Choć nie tak dawno minęło południe, nie miał już w sobie energii, a przecież przed świtem kolejnego dnia czekała go jeszcze długa droga. Ponaglił klacz i ruszył usianym kamieniami szlakiem do Mdiny.

Gdy wreszcie tam dotarł, dano mu zjeść obficie, choć niezbyt smacznie – a może po prostu stracił apetyt. Marszałek Copier wypytał go dokładnie o straty Turków i ich morale. Przydzielił mu też maltańskiego przewodnika, a raczej zezwolił Tannhäuserowi na dołączenie do przewodnika, który i tak miał wyruszyć z misją dostarczenia do Il Borgo najnowszej wiadomości od wicekróla Garcii de Toledo. Mieli wyruszyć pieszo, tuż po zmroku. Tannhäuser pozbył się ubrania, które przesiąkło dymem tak mocno, że musiałoby zwrócić uwagę tureckich straży. Wreszcie rzucił się na siennik i zasnął, i śnił o straszliwych sprawach, w których miał swój udział.

Była to zbyt krótka drzemka, by mogła przywrócić mu siły. Zanim wraz ze swym maltańskim przewodnikiem pokonał choćby ułamek dystansu dzielącego ich od Il Borgo, ledwie trzymał się na nogach i czuł, że lada chwila straci przytomność.

Maltański przewodnik nazywał się Gullu Cakie. Był o dobre trzydzieści lat starszy od Tannhäusera i wyglądał na wyciosanego z tej samej skały, po której szedł, a raczej wspinał się z małpią zręcznością. Gullu raz po raz przyglądał się z mieszaniną obrzydzenia i zdziwienia bladej i spoconej twarzy swego towarzysza oraz jego chwiejnemu chodowi. Jako że mówił wyłącznie po maltańsku, Tannhäuser nie zadał sobie trudu wyjaśnienia mu, że ledwie wstał z łóżka po prawie śmiertelnej chorobie i że przez pół dnia uczestniczył w rzezi. Wolał cierpieć w milczeniu. Coraz częstsze korzystanie z bukłaka z wodą również spotykało się z pogardliwymi pomrukami Gullu. Żółte tureckie buty Tannhäusera, ani trochę niepasujące kolorem do reszty stroju – bo nie mógł znaleźć ubrania stosownej wielkości – wydawały się Gullu podejrzane. Podejrzenia osłabły nieco, gdy Mattias na migi poprosił go o poniesienie strzelby, która z każdym krokiem wydawała mu się cięższa, a mniej więcej od mili miała już wagę kulweryny. Gullu zarzucił broń na prawe ramię, na lewe zaś wziął sakwy z kawą oraz trzema funtami i ćwiartką opium, którą Tannhäuser miał wielką ochotę wykorzystać. Tak obładowany Gullu Cakie pomaszerował dalej, a Mattias już po kilku krokach przekonał się, że bez ekwipunku nie czuje się specjalnie lżejszy.

Przewodnik niósł pismo od wicekróla w mosiężnej tubie, a w puzdrze u pasa żarzący się węgielek. Cylinder zawierał nie tylko list, ale także porcję prochu strzelniczego; w razie zagrożenia niewolą Gullu miał wepchnąć węgielek do tuby i odważnie poddać się niewesołemu losowi. Żylasty Maltańczyk wybrał drogę otaczającą Marsę szerokim łukiem od południowego zachodu, w dół stromych ścian dolin i przez skaliste grzbiety oraz miejsca tak nieprzyjazne, że gorszych Mattias nie widział od czasów kampanii perskiej. Gdyby miał siłę spoglądać w górę przez pot zalewający mu oczy, zapewne orientowałby się w terenie dzięki gwiazdom. Tureckie działa milczały, więc i z ich strony nie miał żadnej wskazówki. Tannhäuser wolał jednak patrzyć na własne stopy i wlec się śladem Gullu Cakiego, który od czasu do czasu znikał mu w mroku, ale zawsze pamiętał, by się zatrzymać i zaczekać na niego jak na zostające w tyle dziecko.

Wspinali się właśnie po nagiej skale w stronę grzbietu odcinającego się wyraźnie na tle granatowego nieba, gdy nos Tannhäusera wychwycił leciutką woń rozkładu. Gdyby nie odrobina nadziei, którą dał mu ten zapach, chyba nie doszedłby do szczytu. Kiedy się tam wdrapał, z westchnieniem ulgi spojrzał w dół, na pochodnie stanowisk wartowniczych Il Borgo. Byli na którymś ze szczytów wzgórza San Salvatore i nieprzyjacielskie pozycje musiały się znajdować naprawdę blisko, lecz Tannhäuser nie widział ani jednego Turka przez całą noc i teraz też nie mógł wypatrzyć niczego podejrzanego. Uważał, że wie całkiem sporo o sztuce skradania się i ukrywania, ale Gullu był w niej mistrzem. Radość Mattiasa z bliskości

celu przygasła jednak znacznie, gdy Maltańczyk wskazał na zatokę Kalkara i rękami zaczął naśladować ruchy, jakie wykonują żaby. Sugerował, że powinni teraz popłynąć. Tannhäuser potrząsnął głową i wprawnie – bo bazując na własnym doświadczeniu – udał, że się topi. Niesmak Gullu, który od pewnego czasu jakby łagodniał, teraz powrócił z nową siłą. Przewodnik nie zraził się jednak, tylko znowu zniknął w ciemności, a Tannhäuser podążył za nim.

Monte San Salvatore, którą Tannhäuser uważał za bardzo urokliwą górkę i więcej niż jeden raz wspinał się na nią konno, była poza utartymi ścieżkami tak głęboko pocięta bruzdami jak skóra słonia. Każda z nich mogła ukryć człowieka. Pełzali więc od bruzdy do bruzdy przez dobrą godzinę, wciąż nie napotykając tureckich stanowisk. Gdy znowu odważyli się unieść głowy, byli wśród skałek na najdalej wysuniętym na południe krańcu zatoki Kalkara. Bastion Kastylii piętrzył się nie dalej niż pięćset stóp od miejsca, w którym leżeli. Sto stóp na lewo, nad kolejną małą zatoczką, górowały bastiony Niemiec i Anglii. U ich podstawy znajdowała się brama Kalkara.

Wąski pas Wielkiej Równiny, który mieli po lewej i który oddzielał mury miasta od siodła między wzgórzami Salvatore i Margharita, był usiany ciałami muzułmanów, które puchły już w świetle księżyca, rzucając długie cienie na srebrzystą glinę podłoża. Na należących do Turków wzgórzach panowała cisza, jakby ogłoszono żałobę po klęsce poniesionej za dnia. Tu i tam widać było blask ognisk między milczącymi stanowiskami armat. Po prawej stronie dostrzegli zarys rowów wykopanych przez Turków, ciągnących się od zboczy San Salvatore do brzegu Kalkary. I tam płonęły ogniska, a ich płomienie raz na jakiś czas podświetlały postać w turbanie opartą o muszkiet. Właśnie z tych okopów mogli się spodziewać ostrzału.

Gullu Cakie oddał Tannhäuserowi strzelbę, a ten przyjął ją bez słowa. Maltańczyk pokazał na migi, że zamierza popełznąć w stronę bramy, co bez wątpienia potrafił zrobić z szybkością kobry. Zasugerował też, że kiedy drzwi zostaną otwarte – a był to niebezpieczny moment nawet dla niego – Mattias powinien podążyć jego śladem. Tym sposobem Tannhäuser miałby szansę swobodnie wbiec wprost za mury, a pismo z Sycylii bezpiecznie dotarłoby do adresata, przy czym wydawało się, że na doręczeniu listu zależy Maltańczykowi bardziej niż na życiu towarzysza. Być może jednak stary lis nie był aż tak obojętny na los Tannhäusera, wskazał bowiem kościstym palcem na niebo.

Mattias zadarł głowę, ale przez chwilę nie rozumiał. Palec wskazywał na Skorpiona. Co to miało znaczyć? Gullu otworzył dłoń i wolnym ruchem przesunął ją w stronę trzech czwartych tarczy księżyca, wiszącego nisko na południowym wschodzie. Teraz

dopiero, z niemałym opóźnieniem, Mattias zauważył w sporej odległości szaroniebieską chmurę podążającą wskazanym kursem. Była to mała, pojedyncza chmura i Tannhäuser nie postawiłby dukata na to, że zasłoni ona cały księżyc, tym samym zaciemniając równinę. Miał natomiast postawić swoje życie. Gullu udał, że biegnie z całych sił, a potem wbił palec wskazujący w pierś Tannhäusera. Wreszcie skinął głową i zaczął pełznąć między skałkami w stronę murów.

Tannhäuser spojrzał na chmurkę. Teraz, gdy został sam, wydawała mu się jeszcze mniejsza, a jej kurs jeszcze bardziej przypadkowy, a to oznaczało, że malały jego szanse na skorzystanie z jej cienia. Obserwował Gullu, zbliżającego się wolno do otwartej przestrzeni. Przewodnik poruszał się bardziej jak krab niż jak wąż, ale z imponującą prędkością, na palcach rąk i stóp, zatrzymując się w przypadkowych odstępach czasu i równie nagle ruszając dalej. Nawet jeśli ktoś go zauważył, wziął go prędzej za nocne zwierzę niż za człowieka.

Tannhäuser znowu spojrzał na chmurę. Wydawało mu się, że prawie się nie ruszyła, a im dłużej patrzył, tym bardziej była statyczna. W dole, na poziomie ziemi, praktycznie nie było wiatru i wszystko wskazywało na to, że wysoko w górze jest podobnie. Gdy Mattias oderwał wreszcie wzrok od względnej jasności nieba, nie zobaczył już Gullu Cakiego.

Został zupełnie sam, uzbrojony jedynie w strzelbę i sztylet, które nie dawały mu wielkiego poczucia bezpieczeństwa, ponieważ pojemnik z prochem i woreczek z kulami, jak przypomniał sobie poniewczasie, znajdowały się w sakwach na plecach przewodnika. Zrezygnował z obserwowania czegokolwiek poza samotną chmurą. Wpatrywał się w nią przez dwadzieścia minut, aż nabrał pewności, że nie jest zupełnie nieruchoma. Co więcej, stwierdził nagle, że obłok zmierza w stronę księżyca z całkiem znaczną prędkością, ale takie figle zawsze są domeną niebios. Tannhäuser podźwignął się z ziemi i przykucnął, ścisnął w dłoniach strzelbę i patrzył, jak chmura mija Strzelca. Rzeczywiście miała lada chwila przesłonić białą jak lód kulę księżyca, ale tylko na krótką chwilę. Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej popełznąć w stronę bram, ale łokcie i kolana miał już zdarte do krwi, a na piersi czuł głównie wbite kamienie. Trzydzieści sekund biegu w otwartym terenie wydało mu się mniejszym złem niż dziesięć minut na brzuchu, z tyłkiem w powietrzu. Krawędź chmury dotknęła już księżyca i szybko zasłoniła całą tarczę. Ciemność zapadła nad ziemią niczyją i Tannhäuser poderwał się do biegu.

W służbie Sulejmana przebiegł dobre piętnaście tysięcy mil – bo janczarzy żyli w biegu – i technika dobrze weszła mu w krew. Oddychał zgniłym powietrzem głęboko i w równym rytmie, trzymając łokcie blisko ciała i tuląc do piersi strzelbę. Biegł długimi i

szybkimi krokami, przenosząc ciężar ciała w przód. Zmęczenie długą podróżą ustąpiło, bo jej koniec był już bliski. Wody zatoki wydawały się czarne jak atrament. Po prawej miał nieprzeniknioną ciemność kryjącą tureckie pozycje. Zdążył przebiec siedemdziesiąt stóp, nim odezwały się pierwsze muszkiety, szokująco głośne i jasne w mroku nocy. Nie zwolnił kroku, ale zaczął zygzakować. Błysk jednego z wystrzałów wyrwał z ciemności zarys sylwetki z krzywą szablą u boku, biegnącej wzdłuż brzegu, by przeciąć mu drogę do bastionu Kastylii. Tannhäuser przyspieszył. Był już blisko, ale w tym momencie smuga srebrnego światła omiotła równinę i już nie zniknęła: chmura odsłoniła księżyc.

Teraz wyraźnie zobaczył biegnącego gazi: jego szata furczała w pędzie, a ściągnięte usta odsłaniały zęby we wściekłym grymasie lub po prostu z wysiłku. Turek musiał przechwycić Tannhäusera tuż przed bramą, a wtedy, jeśli nie od ognia muszkietów, zginąłby od ciosów jatagana. Mattias w pełnym biegu skierował lufę strzelby w lewo. Mógł ułożyć broń do strzału z lewej ręki, w czym nie czuł się zbyt mocny, albo zatrzymać się, odwrócić i strzelić, lecz wtedy straciłby z trudem uzyskany impet i wystawiłby się na cel tureckim strzelcom siedzącym w okopach. Rozkwitł kolejny płomień u lufy muszkietu i tym razem Tannhäuser poczuł podmuch przelatującej blisko kuli. Gazi był już przed nim i rozciągał ramiona jak dyskobol, z zakrzywioną szablą gotową do ciosu.

Już mieli się zderzyć, gdy Tannhäuser wykonał w biegu obrót zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara. Jatagan błysnął, mknąc w stronę jego czaszki, ale w tej samej chwili z lufy strzelby bluznął sześciocalowy płomień i półcalowa kula wbiła się w pierś Turka z najbliższej odległości.

Tak przynajmniej zdawało się Tannhäuserowi. Lecz w tej samej sekundzie okryta turbanem głowa nieprzyjaciela rozpadła się w deszczu lśniących kropelek. Ciało upadło na ziemię, a Mattias dokończył swój obrót – cały manewr wykonał na długości jednego kroku – i popędził dalej, by sprintem pokonać ostatnie sto stóp dzielące go od bramy Kalkara.

Wreszcie obiegł zasłonę, przy wtórze huku kul wbijających się w cegły. Małe, uchylone drzwi w bramie nie były szersze niż jego ramiona, a za nimi dostrzegł migocącą pochodnię. Gdy tylko znalazł się za progiem, zobaczył też Borsa, który sypał proch do jeszcze dymiącej lufy swego czarno-srebrnego muszkietu. Bors uniósł głowę i parsknął.

– A ten piruet to po co? – spytał. – Miałem tego diabła na celu, odkąd wyskoczył z okopu.

Tannhäuser wreszcie złapał oddech.

– To dlaczego nie ustrzeliłeś go wcześniej?

– Dlatego – odparł Bors – że zwolniłbyś bieg, a wtedy byłoby źle. I tak już padałeś na twarz pod ciężarem tego całego złota – dodał, wskazując na bransoletę na prawym ręku Tannhäusera. – Błyszczało jak tabernakulum od pierwszej chwili, gdy tylko wstałeś. Nic dziwnego, że prawie cię dopadli.

Tannhäuser nie odpowiedział. Dwaj wartownicy zamknęli obite stalą drzwi, a następnie zabezpieczyli je złożonym systemem zasuw i podpór. Obserwując ich pracę, zapragnął znaleźć się poza murami tak szybko, jak sytuacja na to pozwoli. Bors podniósł z ziemi sakwy i podał mu.

– Gullu Cakie dał mi to i prosił, żebym ci podziękował.

– Gullu nie mówi po włosku.

– Po hiszpańsku mówi równie dobrze jak król Filip, a po włosku lepiej niż ty. W jego rzemiośle to niezbędne umiejętności. To zaszczyt dla ciebie, że trafiłeś na takiego przewodnika.

Sakwy wydały się Tannhäuserowi dziwnie lekkie. Otworzył je. W środku pozostała tylko jedna paczka zawinięta w nawoskowany papier: ta, która zawierała marną resztkę z ćwiartki opium. W pewien sposób bardziej bolesna była jednak strata worka z kawą.

– Obrabował mnie, stary dziad.

Bors poklepał go po plecach i jego zniekształconą twarz przedzielił szeroki uśmiech.

– Na Boga, tak się cieszę, że wróciłeś – powiedział – bo strasznie nam tu brakowało powodów do śmiechu.

– W jego rzemiośle? – powtórzył podejrzliwie Tannhäuser. – W jakim rzemiośle?

– W swoim czasie Gullu Cakie był najsławniejszym złodziejem i przemytnikiem na tych wyspach. Uniknął stryczka dziesiątki razy i nigdy, nigdy nie został złapany. Zdaje mi się, że pomogłeś mu wrócić do interesu.

Korytarz we wnętrzu muru, którym oddalali się od drzwi, skręcał łagodnie. Tuż nad zakrętem ziała potężna dziura w sklepieniu, przez którą można było ostrzeliwać z góry ewentualnych intruzów albo lać na nich potoki płonącego płynu. Za nią znajdowała się okuta żelazem brona, a dalej kolejne miejsce kaźni ewentualnych intruzów, przygotowane na wypadek, gdyby krata brony nie wytrzymała ataku: ciasna komora z wąskimi strzelnicami w ścianach. Bors chwycił Tannhäusera pod ramię.

– Chodź i popatrz – powiedział.

Poprowadził przyjaciela schodami w górę, na mury. Gdy znaleźli się na szczycie, Tannhäuser odwrócił się i zamarł na widok panoramy, która rozciągała się przed nim.

Minęły prawie dwa miesiące, odkąd opuścił miasto – wówczas jeszcze prawie żadna kula turecka nie sięgnęła za mury. Teraz zaś miał przed sobą bezkształtną masę gruzów – wybrukowaną kamieniami, zasypaną kamieniami i otoczoną kamieniami. Dziury i pęknięcia znaczyły ściany kościoła Świętego Wawrzyńca, Świętej Infirmerii, arsenału oraz sądu. Całe kwartały miasta zostały zrównane z ziemią. Żelazne i kamienne kule walały się pośród ruin. W ocalałych dachach widniały niezliczone dziury. Fort Świętego Anioła górował nad tym wszystkim jak stolica zaginionego królestwa. Jeśli nie liczyć pochodni wartowników, żaden ruch nie ożywiał tego ponurego krajobrazu, jakby wróg złupił i zniszczył to miejsce u zarania dziejów, zmieniając mieszkańców w dzikusów odzianych w zwierzęce skóry.

– Kobiety – odezwał się po chwili Tannhäuser. – Co z Carlą i Amparo?

– Są całe i zdrowe – odparł Bors. – Przynajmniej na ciele.

– A pod innymi względami?

– Niewielu zostało w tym mrocznym mieście ludzi, których nie ogarnęłaby rozpacz. Nawet ja miewam chwile znużenia, choć i tak nie zamieniłbym tego wszystkiego na pałac na Lido.

Tannhäuser odszukał spojrzeniem ulicę Madżistral i Oberżę Angielską, jeden z niewielu budynków, które wydawały się jeszcze nienaruszone. Gdy ruszył z powrotem w stronę schodów, odezwał się Bors, który obserwował go uważnie.

– Kobiety nie mieszkają już w oberży.

Tannhäuser spojrzał na niego pytająco.

– Carla wyniosła się stamtąd może tydzień temu. Zachowywała się tak, jakby to był nawiedzony dom, ale niczego nie wyjaśniała. Powiedziała tylko, że znalazło się dla niej łóżko w infirmerii, że może tam złapać trochę snu, kiedy potrzebuje, i zawsze jest pod ręką, gdy chorzy jej potrzebują.

– A Amparo?

– Amparo mieszka w stajni, na słomie, przy Buraqu. Nic się nie martw, dobrze ich pilnowałem. To znaczy: pilnowałem kobiet, ale i na Buraqa miałem oko. – Bors wzruszył ramionami, widząc zmarszczone czoło przyjaciela. – Obie są uparte; co miałem począć?

Gdy stanęli u podnóża schodów, Andreas, giermek de la Valette'a, który cudem przeżył postrzał w gardło pierwszego dnia oblężenia, oznajmił im, że Gullu Cakie dostarczył już korespondencję wielkiemu mistrzowi, który teraz oczekuje na szczegółowy raport Tannhäusera na temat stanu tureckiej armii. Ku bezbrzeżnemu zdumieniu młodzieńca, Mattias odparł, iż nie posiada żadnych informacji, które mogłyby przedłużyć obronę miasta

poza granicę najbliższego poranka i w związku z tym wielki mistrz, z całym szacunkiem dla niego, może poczekać.

Z tymi słowy zostawił Andreasa na ulicy i ruszył prosto w stronę szpitala. Działał instynktownie, niesiony mocą kaprysu, który niepodobna zakwestionować. Pragnął zobaczyć Carlę. Chciał zobaczyć jej twarz w chwili, gdy go ujrzy. Może przez wzgląd na chłopca? Chciał jej powiedzieć, że Orlandu żyje. A może chodziło o coś więcej?

Gdy dotarli z Borsem do placu przed Świętą Infirmerią, zobaczyli krwawe rzędy ciał – umarłych i umierających – ludzką masę, która była pokłosiem rozegranej tego dnia bitwy. Ranni leżeli pod gwiazdami, poruszając kikutami kończyn owiniętymi w szmaty spłowiałe i zetlałe od nieustannego prania. Mnisi i księża oraz maltańskie kobiety i Żydzi próbowali nieść pociechę pacjentom. Tannhäuser nie miał specjalnego powodu, by być poruszony owym widokiem po tym, co zobaczył tego popołudnia w tureckim szpitalu polowym – ludzie, których miał przed sobą, przynajmniej nie umierali pod kopytami i lancami demonów. A jednak był poruszony, choć sam nie wiedział dlaczego.

I wtedy usłyszał muzykę lawirującą w mroku nocy. Była cichsza niż wtedy, gdy słuchał jej, stojąc na wzgórzu. Spojrzał na Borsa, nie do końca przekonany, czy to nie złudzenie. Bors skinął głową w kierunku Porto delle Galere.

– Muzykują.

– Obie?

– Każdej nocy, odkąd Carla wyniosła się z oberży.

Bors wyciągnął ręce, a Tannhäuser podał mu strzelbę i sakwy. Odwrócił się, by odejść.

– Mattias.

Zatrzymał się.

– Brat Ludovico wrócił.

Dłoń Tannhäusera spoczęła na rękojeści sztyletu.

– Też tak myślę – zgodził się z jego odruchem Bors. – Ale zabicie go nie byłoby łatwe. Jest teraz Rycerzem Sprawiedliwości. Należy do Langue Włoskiej.

– Ludovico dołączył do Religii? – zdumiał się Mattias.

– Wkupił się paroma relikwiami i udziałem w walce.

– Nie sądziłem, że de la Valette jest takim głupcem.

– Wszyscy tu szanują brata Ludovica, a Włosi wprost go uwielbiają.

Tannhäuser pogładził policzek.

– To gorszy dom wariatów, niż się spodziewałem.

– Jak to na wojnie – odrzekł Bors, wzruszając ramionami. – Jak dotąd, o ile mi wiadomo, nie sprawiał kłopotów, ale jego szpiedzy węszą wszędzie, więc miej się na baczności.

– Na baczności?

Ta myśl wydała mu się niedorzeczna. Lecz z drugiej strony wszystko, co ostatnio robił, było niedorzeczne. Zanurzył się w szaleństwie głębiej jeszcze niż we krwi. Brodził w nich, nie wiedząc tylko, gdzie utonie. Całe zło, którego doświadczył tego dnia, omal go nie złamało: wahał się między atakiem niepohamowanej wściekłości a napadem szaleńczego śmiechu, od którego mógłby się już nie uwolnić. Zaraz jednak usłyszał na nowo muzykę i trudna chwila minęła.

– Wyglądasz, jakbyś niewiele miał życia przed sobą – rzekł Bors. – Chodź ze mną, napijemy się brandy. Urżniemy się i pogadamy o lepszych czasach.

– Borsie, mój przyjacielu, pójdź w me ramiona.

Tannhäuser objął potężne bary towarzysza tak, jak tonący obejmuje pień drzewa. Drzewo zaś było tym niezmiernie zdumione, ale nie upadło. Chwilę później Tannhäuser odwrócił się i ruszył zasypaną gruzem uliczką w stronę Porto delle Galere.

Odnalazł kobiety na skałkach tuż nad wodą. Z bliska dźwięk lutni Amparo brzmiał czysto i delikatnie; wibracja niezliczonych strun pomagała śmiałym nutom wydobywanym przez Carlę z violi wznosić się ku niebu niczym trzepot skrzydeł kolibra. Obie kobiety wydawały się zupełnie zatopione w nieskończonym pięknie muzyki. Grały z zamkniętymi oczami, w chwilach uniesienia zwracając twarze ku firmamentowi i wtulając podbródki w ramiona, gdy zagłębiały się w swoje serca w poszukiwaniu pereł prawdy. Gdyby kiedykolwiek dało się wyrównać szale kosmicznej wagi, gdyby jakakolwiek siła mogła zrównać się z potwornościami tej wojny i przeciągnąć wskazówkę na środek, to tylko tu i teraz, mocą niewidzialnej magii, która przepełniała powietrze.

Tannhäuser znalazł sobie skalną półkę i usiadł zasłuchany. Nie był sam. Mniej więcej czterdzieści osób rozsiadło się w pobliżu, zwabionych nocną muzyką tak, jak za dnia mogły je wabić na miejski rynek występy żonglerów czy ulicznych błaznów. Żołnierze, chłopi, kobiety, chłopcy w łachmanach i obszarpane dziewczęta trzymające się za ręce, o nieobecnych twarzach i oczach udręczonych najstraszliwszymi widokami. Wszyscy trzymali się na uboczu. Siedzieli, stali, kucali. Niektórzy nie wstydzili się łez. Niektórzy byli tylko zaciekawieni. Inni sprawiali wrażenie oszołomionych, jakby przepaść między pięknem muzyki a otaczającą ich zewsząd katastrofą była dla nich nie do ogarnięcia.

Muzykantki zaś wydawały się nieświadome, że obcują z kimkolwiek prócz Boga. Królestwo, które poznawały przez muzykę, musiało leżeć daleko od rzeczywistego świata. Być może eksploracja tej krainy była najszlachetniejszym darem, jaki mogły ofiarować bliźnim, realny krajobraz był bowiem tak ponury, tak skażony rozpaczą i śmiercią, tak dalece odmienny od pejzaży innych zakątków świata, że oświetlenie go – choćby na chwilę – blaskiem absolutnej harmonii oznaczało tyle, ile sięgnięcie ku gwiazdom i ofiarowanie jednej z nich każdemu ze słuchających.

Bors zakradł się na palcach i usiadł obok Mattiasa. Podał mu skórzany bukłak. Tannhäuser pociągnął łyk i z trudem złapał oddech. Sądząc po mocy, destylowano tę brandy w starym hełmie, ale rozlewała po ciele przyjemne ciepło, więc łyknął jeszcze trochę, nim oddał bukłak. Bors przechylił głowę, zasłuchany i dumnie uśmiechnięty, jakby grały jego wdzięczne uczennice. Gdy tak oddawali się czarowi melodii, tyrania czasu zdawała się nie istnieć – lecz przecież nawet wieczność mu służy, toteż muzyka ucichła wreszcie i przez długą chwilę wszyscy siedzieli w ciszy niemal tak doskonałej, jak dźwięki, które odpłynęły z wiatrem.

Dziewczynka siedząca na kamieniu zaklaskała w uniesieniu, ale ktoś zaraz ją uciszył, jak w kościele. W końcu słuchacze zaczęli rozchodzić się z wolna i płynąć w mroku w stronę ruin, niczym widma powracające o świcie do grobowców. Wkrótce na nabrzeżu zostali prócz dwóch muzykantek tylko Tannhäuser i Bors. Ludzie zabrali ze sobą nieliczne lampy, których żółty blask zgasł po chwili na zrujnowanych ulicach, lecz zanim to się stało, Tannhäuser dostrzegł w ich świetle podłużną twarz. Twarz orlą, piękną, o gładkich policzkach. Pochwycił Borsa za ramię i wskazał palcem na ciemność, ale twarzy już nie zobaczył i pomyślał, że mogło to być przywidzenie.

– Anacleto? – powiedział cicho.

– Jest na wyspie – odparł Bors. – Czai się, ukrywa. Jak pająk, którego nigdy nie zobaczysz na sieci, póki nie pojawi się w niej mucha. On także przyjął śluby; jest teraz Kawalerem Łaski Magistralnej. Chcesz, żebym go dopadł?

– Nie ma sensu, póki nie przyjdzie pora, żeby zabić i jego, i Ludovica.

Tannhäuser odwrócił się, by popatrzeć, jak Carla i Amparo pakują instrumenty. Cudownie było widzieć je znowu razem. Zgoda, myślał, że trochę schudły. Że na ich twarzach pojawiły się nowe linie, których już nic nie wymaże. Mimo to prezentowały się jego zdaniem znakomicie. Na swój sposób każda z nich była tak piękna z sylwetki i urody, że serce stawało w jego piersi na samą myśl o rychłym już spotkaniu. Kochał obie i choć raz nie widział w tej niecodziennej sytuacji niczego sprzecznego czy zasmucającego. Rozwiązanie

tego węzła postanowił zostawić sobie na inną okazję. Gdy zaczęły się wspinać na skałki, dźwigając futerały z instrumentami, Tannhäuser wstał i wtedy go zobaczyły.

Obie zatrzymały się na chwilę, jakby ukazał im się duch albo troll z opowieści z dalekiej Północy. To prawda, że nie wyglądał najlepiej. Jego portki wisiały w strzępach wokół kolan. Nagie ramiona znaczyły zacieki potu rozmazujące brud. Brygantyna, którą miał na sobie, pasowałaby bardziej jakiemuś bravo najmarniejszego sortu. Tych defektów nie mógł w tej chwili naprawić. Cieszył się, że zdążył przynajmniej poprzedniego dnia odwiedzić bazar, gdzie natarto mu oliwką brodę, i obwiesić się budzącą szacunek ilością złota. Kiedy tak rozmyślał o tych próżnych troskach, kobiety rzuciły pudła i pobiegły ku niemu z otwartymi ramionami i łzami niezmiernej radości w oczach.

Objął je obie jednocześnie, każdą jednym ramieniem, jak tego dawno minionego dnia, kiedy domagał się błogosławieństwa przed pierwszą walką. Przycisnął do piersi ich głowy, jakby były jego dziećmi albo jakby on był ich synem. Gdyby nie płakały tak rzewnymi łzami, być może sam by się rozczulił, dlatego też cieszył się z ich szlochu. Ogarnęło go wspaniałe poczucie ciepła, być może mające coś wspólnego z dotykiem ich piersi, który wyczuwał na żebrach. Gdy Carla uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, uśmiechnął się szeroko.

– Wzywałyście – powiedział. – Jak mogłem nie przybiec?

Uśmiechnęły się jednocześnie, a on nie mógł się nacieszyć widokiem to jednych, to drugich błyszczących oczu – nieregularne rysy Amparo wciąż emanowały zniewalającym czarem, a uduchowiona elegancja Carli trafiała go w samo serce – aż wreszcie wzruszenie osiągnęło poziom zagrażający jego męskiej dumie i uniósł głowę, by spojrzeć ponad ich głowami.

– Borsie – rzekł – zbierz ich manatki, jeśli łaska. Wracamy do oberży. A tam, kiedy się rozgościmy, opowiem wam historię, której nie zapomnicie.

Część czwarta - Pośród lwich legowisk

Środa, 15 sierpnia 1565 - Święto Wniebowzięcia - Posterunek Italii – fort Świętego Michała

Księżyc, świecący ponad połową tarczy, zawisł – jak twierdził Anacleto – na tle gwiazdozbioru Wodnika. Działa oblężnicze biły nierównomiernym rytmem, a mury od czasu do czasu drżały pod stopami Ludovica, gdy kule dosięgały celu. W rowach wyrytych w stokach wzgórz i w obozie na równinie Marsa Turcy odzyskiwali siły po ostatnich porażkach. Ludovico obserwował cienie w ruinach Bormuli, ale zastanawiał się nad tymi, które przesłaniały jego prywatne sprawy.

Widział Tannhäusera tamtej nocy, gdy powrócił do Il Borgo. To, że Niemiec jeszcze żyje, nie martwiło go zbytnio. Wielki mistrz bardzo cenił jego militarny talent i Ludovico, podobnie jak inni obrońcy, mógł się jedynie cieszyć, że jest wśród nich ktoś taki. Ale dlaczego wrócił, ryzykując tak wiele, a w dodatku do miasta skazanego na niemal pewną śmierć? Tannhäuser miał tu kochankę, tę Hiszpankę, Amparo. Carla twierdziła, że weźmie z nim ślub. Dziwny był to układ, ale na pewno nie pierwszy tego rodzaju, a gdy w grę wchodzi miłość, wszystko jest możliwe. Powrót samego Ludovica na Maltę miał przecież choćby po części coś wspólnego ze świadomością, że jest tu Carla. Lecz ten niemiecki barbarzyńca z pewnością nie miał pojęcia o tak szlachetnych pobudkach. Możliwe, że planował tylko wykupić kobiety z rąk Turków, gdyby zostały pojmane. Albo planował wywieźć je cichcem z Il Borgo. Jak miałby tego dokonać, tego Ludovico nie pojmował, ale daleki był od lekceważenia sprytu niemieckiego najemnika. Widział też, jak Tannhäuser przytula do piersi obie kobiety i jak płaczą z ulgą na jego widok.

Dzień, który dobiegał końca, był świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Uroczystość była niemałym pocieszeniem dla mieszczan, między innymi dlatego, że tak wielu spośród nich już do Niej dołączyło, a pozostali spodziewali się, że dołączą wkrótce. Kapelan z Walencji, z pomocą paru tercios oraz chłopca, który pojawił się na scenie jako Nuestra Señora, zaaranżował prymitywne misterium ukazujące śmierć Maryi i – po sporze apostołów z Żydami nad Jej martwym ciałem – przeniesienie Jej duszy do bram raju, na skrzydłach pięciu aniołów. Tam została koronowana na Królową Niebios, przy wtórze dzwonów, trąb i fajerwerków. Nawet hiszpańscy żołnierze o twarzach zbirów grający aniołów

nie byli w stanie zakłócić radości tłumów. To prymitywne dewocyjne widowisko, jakich wiele widział w swoim życiu, nie zrobiłoby zapewne na Ludovicu najmniejszego wrażenia, gdyby nie to, że oprawę muzyczną stworzyła Carla. Zagrała na violi z taką pasją, że prostacki rytuał zmienił się dla niego w niezapomniane misterium.

Ludovico oparł dłonie na kamiennym murze i spuścił głowę. Był wycieńczony. Podobnie jak wszyscy ludzie w tym garnizonie, być może z wyjątkiem de la Valette'a. Zmęczenie fizyczne było rzeczą naturalną i dominikanin znał je od lat. Przekonał się jednak, że wolniej pracują także tryby jego umysłu, a to było dlań zupełną nowością. Myśli przychodziły mu z trudem, a gdy już się pojawiały, były banalne. Poszukiwanie politycznych sprzymierzeńców w szeregach Religii prowadził mniej więcej z takim entuzjazmem, z jakim pacjent prosi chirurga o rozcięcie wrzodu. Fatalnie spał. Rozpacz ogarniała co bardziej mroczne zakamarki jego umysłu, którego płody, niegdyś tak lotne, teraz ledwie pełzały. Mógł zwalić winę za ten stan rzeczy na wojnę – widział wszak wielu, którym oblężenie podobnie dało się we znaki – ale był świadom, że prawdziwą przyczyną jest znacznie potężniejsza siła. Mimo woli wciąż rozmyślał o Carli. Tęsknota za nią pożerała jego duszę. Stracił nawet chęć do modlitwy i już nie znajdował w niej takiego pocieszenia jak dawniej. Cudowna gra Carli podczas misterium tylko pogłębiła jego melancholię. Brakowało mu też muzyki, którą obie kobiety dzieliły się ze słuchaczami na skałach. Chodził tam każdego wieczoru i rozkoszując się harmonią dźwięków, odczytywał w niej miłosny poemat. Tak mocarne – i tak godne pogardy – było to szaleństwo, że chwilami wyobrażał sobie nawet, że Carla gra specjalnie dla niego.

Mimo wszystkich tych absurdalnych myśli stać go było na samodyscyplinę: nie pokazywał się Carli i nie dawał jej odczuć swojej namiętności. Sprawił, że jego uczucie stało się niewidzialne dla wszystkich prócz Anacleta. Ludovico nie był ekspertem w dziedzinie miłości, ale wiedział, że to pole najbardziej zawiłych intryg i najbardziej wyrafinowanych gier. Znał się jednak na innych sprawach i doświadczenie pozwalało mu dostrzec słabe punkty nawet w miłosnych układach: wiedział mianowicie, dzięki logice i instynktowi, że nie ma szans na zdobycie Carli, dopóki trwa oblężenie. Musiał zaczekać, aż zapanuje pokój. Miłosny poemat jej muzyki dał mu – na krótko – nową siłę, moc wytrwania i walki, moc zamiany miłości raczej w niemożliwe do ugaszenia węgle niż w krótkotrwały płomień. A potem wrócił Tannhäuser, przytuliła go na skałach i potężna wściekłość zmieszana z bólem rozerwała serce Ludovica, który był już pewny, że grała specjalnie dla niego.

Teraz też grała, jak mu doniesiono, lecz tylko w Oberży Angielskiej i tylko dla Tannhäusera. Dla niego i bandytów, którzy mu towarzyszyli. Ludovico uniósł głowę, wyprostował się i odwrócił plecami do pustego pobojowiska.

– Anacleto – powiedział.

Anacleto obrócił się natychmiast. W świetle księżyca jego twarz wyglądała jak rzeźba z kości słoniowej. Znajomość Ludovica z Hiszpanem była najbliższą i najdłużej trwającą znajomością w jego życiu. Nocowali razem przy tysiącu przydrożnych ognisk. Razem oglądali tysiące egzekucji podczas akcji przeciwko waldensom. Tu, na szańcach fortu Świętego Michała, walczyli ramię w ramię. Ich związek przetrwał, gdyż nie było w nim ani śladu wyczuwalnego ciepła. Był zupełnie pozbawiony sentymentu, a przez to wolny od kłamstw. W świecie nieskończonej perfidii lennicza zależność Anacleta była cenną rzeczą. Ludovico kochał go jak syna. Teraz jednak wiedział, że ma także prawdziwego syna. Orlandu. Chłopak żył gdzieś pośród muzułmańskich diabłów. A Tannhäuser rościł sobie prawo do niego. Ludovico zmusił się do cierpliwości. Z czasem zamierzał odzyskać i syna, i jego matkę.

– Zaznałeś miłości – stwierdził.

Anacleto zakłuł własnego ojca i udusił matkę. Jego siostrę Filomenę powieszono za zbrodnię kazirodztwa. Ziemie, które miał odziedziczyć, zostały skonfiskowane. Zanim odnalazł go Ludovico, Anacleto przeżył tortury z rąk gorliwych sług bożych, ale nie ugiął się i nie wyparł swoich uczuć. Ostrożnie skinął głową.

– Zapłaciłeś za nią wysoką cenę – ciągnął Ludovico.

Anacleto przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Ludovico nie znał nikogo o bardziej szczerym sercu; poczuł ból we własnym sercu na widok udręki, która pojawiła się na chwilę w jego oczach.

– Zapłaciłbym wyższą, gdybym jej nie zaznał – odparł wreszcie Anacleto.

Ludovico rozumiał. Żałował, że sam nie miał niegdyś tyle odwagi. Pokiwał głową w milczeniu.

– I jeszcze spotkam się z Filomeną – dodał Anacleto. – Czy to w niebie, czy w wirze kochanków.

Ludovico rozumiał i to, że Anacleto był gotów znieść męki piekła za swe uczucie.

– Zapewniam cię, że to pierwsze jest twoim przeznaczeniem. Kościół wybaczył ci grzechy i – choć z opóźnieniem – wybaczył je także Filomenie. Miłosierdzie Chrystusa jest nieskończone.

– Chcesz, żebym zabił Niemca? – spytał Anacleto, jakby czytał w jego myślach.

Ludovico poczuł się nieco raźniej; żarliwość towarzysza podniosła go na duchu. Nie zamierzał mazać się dłużej jak dziewczyna.

– Jesteś filarem mojej siły – rzekł z uśmiechem. – A odpowiadając na twoje pytanie: nie. Jeszcze nie nadeszła właściwa pora. Tannhäuser może nam się przydać.

– W jaki sposób? – spytał Anacleto.

– Bóg odpowie na to pytanie w odpowiednim czasie – odparł zagadkowo.

Sobota, 18 sierpnia 1565 – Bastion Niemiec – beczka – bastion Kastylii

Spośród wielu trudnych zagadek, które zaprzątały umysł Tannhäusera od powrotu do Il Borgo, najwięcej czasu poświęcał tej jednej: w jaki sposób wydostać się z miasta w towarzystwie Carli, Amparo i Borsa. Radość ze spotkania z nimi czekał raczej krótki żywot, jeśli mieli wszyscy skończyć w masowym grobie, a na to właśnie się zapowiadało. Jednakże nie wszystkie sprawy zależą od ludzkiej woli i nawet osobnik tak przedsiębiorczy jak Tannhäuser bywał niekiedy ofiarą niesprzyjających okoliczności.

Łagodna euforia związana z powrotem ustąpiła dość szybko, a jej miejsce zajęło osłabienie niedoleczoną gorączką, która z nową siłą zaatakowała go po trudach pieszej wędrówki z Mdiny. Pragnąc zapewnić mu godziwe warunki rekonwalescencji, Bors wyrzucił kilku rannych żołnierzy z pokojów Starkeya. Tannhäuser odpoczywał więc, dużo jadł, czytał dzieła Rogera Bacona – angielski mnich miał sporą kolekcję włoskich przekładów – i zatkawszy uszy pszczelim woskiem, sypiał za dnia tak długo, jak się dało. Jego zdrowotno-edukacyjny urlop przerywały jedynie żmudne narady u wielkiego mistrza.

Odbywały się one w kwaterze głównej de la Valette'a, którą przeniesiono zza bezpiecznych murów Świętego Anioła na główny plac miasta. Choć powszechnie uważano ten gest za dowód bratania się przywódcy z udręczonym ludem, Tannhäuser wiedział, że mistrzowi chodzi przede wszystkim o to, by być jak najbliżej akcji. Tylko de la Valette w całym zakonnym garnizonie zdawał się tryskać niezmienną energią – wyglądał wręcz tak, jakby ubyło mu dziesięć lat – i ochoczo wciągał Tannhäusera w dyskusje o tureckich stratach, o morale wroga, o zapasach amunicji i prowiantu, o stanie jego armat, o technikach stosowanych przez mameluckich saperów, którzy właśnie trudzili się zakładaniem min pod murami miasta, a także o spodziewanej taktyce Mustafy. Ta ostatnia kwestia wydawała się Tannhäuserowi zupełnie jasna: Mustafa zamierzał zasypywać mury kulami i hordami żołnierzy tak długo, aż skończy mu się jedno albo drugie lub też mury legną w gruzach. Wśród listów doręczonych przez Gullu Cakiego znalazło się pismo od Garcii de Toledo, w którym wicekról obiecywał przysłać dziesięć tysięcy ludzi przed końcem sierpnia, ale jako że identyczna obietnica dotycząca końca lipca nie została spełniona, ani de la Valette, ani nikt inny w sztabie nie wierzył w ani jedno jej słowo.

– Prestiż Toleda przetrwa jakoś utratę Malty – powiedział wielki mistrz. – Nie przetrwałby natomiast utraty hiszpańskiej floty śródziemnomorskiej. Jesteśmy sami – dodał bez widocznego żalu.

Dwunastego sierpnia de la Valette ujawnił publicznie treść bulli papieskiej, napisanej przez Jego Świątobliwość Piusa IV. Dokument zapewniał wszystkim odpuszczenie wszelkich grzechów i natychmiastowe przeniesienie do raju dla tych, którzy zginą w świętej wojnie. Welin wystawiono w kościele Świętego Wawrzyńca, gdzie wierni mogli popatrzeć sobie w zadziwieniu na piękne łacińskie pismo i czerwoną, woskową pieczęć z odciskiem pierścienia Rybaka. Rezultaty tego posunięcia były imponujące, ale Tannhäuser nie zamierzał dać się pogrzebać w tym pięknym mauzoleum wraz z wiernymi.

Nie widział rozsądnego powodu, dla którego łódź ukryta przed dwoma miesiącami w wiosce Zonra nie miałaby czekać na niego tam, gdzie ją zostawił. Problem polegał na tym, jak do niej dotrzeć. Stalowy pierścień tureckiego okrążenia był ciaśniejszy, niż przypuszczał. Wciąż nie miał nawet pojęcia, jak wydostać się przez bramę Kalkara, a żadna inna droga nie wydawała mu się lepsza. Straż czuwała zwykle w wewnętrznej komorze, wartownicy obsadzali też wysokie bastiony Anglii i Niemiec. Choć jego chęć służenia Religii dobiegała kresu, nie zamierzał uciekać z twierdzy, zostawiwszy za sobą otwarte drzwi dla Turków. Miał nadzieję, że zdoła coś wymyślić, nim księżyc zmieni się w wąski sierp.

Tylko Bors wiedział o jego planach i rozterkach. Tannhäuser wcale nie był przekonany, czy Carla w ogóle zechce opuścić wyspę. Była bardzo przywiązana do swej pracy, a żadne rzemiosło – i żaden występek – nie wciąga mocniej niż bezinteresowny heroizm. A Carla dowodziła swego bohaterstwa każdego dnia. Wielu uważało ją za osobę godną świętości. Palono świece za jej duszę w kościele Zwiastowania i błogosławiono ją, gdy szła ulicami, a także całowano rąbek jej sukni. Rycerze przysięgali bronić jej życiem. Niezliczeni żołnierze wierzyli, że tylko jej opiece zawdzięczają przetrwanie, choć jeszcze więcej było takich, którzy dzięki niej odeszli z tego świata z nieco lżejszym sercem i spokojniejszym umysłem.

Tannhäuser przyglądał się temu wszystkiemu z boku, z niemalejącym podziwem i rosnącym pragnieniem. Któregoś dnia ojciec Lazaro odszukał go specjalnie po to, by podziękować za sprowadzenie signory Carli; pozwolił sobie nawet na smutny żart z samego siebie, wspominając niechęć, z jaką zgodził się wpuścić kobietę do infirmerii. Jednak Tannhäuserowi nie było do śmiechu, heroizm i świętość były bowiem najprostszą drogą do męczeństwa, a w jego planach nie było miejsca na śmierć.

Czas miał pokazać prawdę.

Amparo, dla odmiany, odpłynęłaby z nim bez wahania. Jeśli się nie mylił, udało jej się zachować obojętność świętego głupca wobec chaosu spraw, które rozgrywały się dokoła. Zabierała go do stajni, by razem mogli odwiedzić Buraqa, który był w zadziwiająco dobrej formie i który witał ich wybuchami końskiej radości tak entuzjastycznie, że kawaleryjskie wierzchowce stojące obok omal nie wznieciły buntu. Przy odrobinie szczęścia złocisty rumak mógł stać się łupem któregoś z tureckich dowódców, a wtedy czekał go królewski żywot. Może przypadłby w udziale Abbasowi? Ewakuacja z Malty z każdym dniem wydawała się Tannhäuserowi coraz bardziej irytującym przedsięwzięciem. Nie widział więc powodu, by niepokoić kobiety rozmową o swoich planach.

Często rozmyślał też o Orlandu, który wrył się głęboko w jego serce. Pocieszał się myślą o tym, że chłopiec jest teraz bezpieczniejszy niż oni w murach twierdzy. Nicodemus, uroczy młodzieniec i doskonały kucharz, był w gorszym położeniu: miał podzielić los garnizonu.

– Mieszanka brandy i opium – rzekł Bors, gdy kończyli służbę na bramie Kalkara. – Tyle potrzeba, żeby pięknie uśpić straże w komorze na dole.

– Nie wiem, jak wydobyć esencję z opium i połączyć ją z trunkiem – odparł Tannhäuser. – Petrus Grubenius poszedł na stos, zanim nauczył mnie swojej metody, która była zresztą dość zawiła. Ale może równie dobry rezultat dałaby brandy w połączeniu z ciastkiem nafaszerowanym opium? Na przykład z miodowym. Jeśli co drugi dzień będziemy karmić wartownika takimi delicjami bez specjalnej przyprawy, nie będzie nic podejrzewał, gdy nadejdzie nasz dzień i dodamy do ciasta co trzeba.

– Ciekawe, czy powiesiliby go za to – mruknął Bors z bezdusznym zainteresowaniem.

Przez krótką chwilę Tannhäuser zastanawiał się, czy nie jest jedynym prawdziwym wariatem w całym garnizonie – ze swą bezbożnością, z pogardą dla bezmyślnych poświęceń i ślepej lojalności, z determinacją w troszczeniu się wyłącznie o tych, na których mu zależy, z użyciem nawet najbardziej podstępnych i ponurych środków. Może naprawdę był tak zły, jak mu się czasem zdawało? W tych stronach jego cechy z pewnością nie pasowały do ideału szlachetności.

– Dziwne to uczucie, być sługą diabła, gdy wszyscy dokoła służą Bogu – rzekł.

– Mówiłem ci już tyle razy, ale ty nigdy nie słuchasz – odparł Bors. – Filozofia jest niezdrowa. Za to zgłodniałem od tego gadania o ciastkach. Chodźmy na śniadanie.

Idąc bastionem Niemiec, minęli dwóch skandynawskich braci z ostatniego bałtyckiego klasztoru, który oparł się luteranizmowi. Bors pozdrowił ich wesoło, ale nie odpowiedzieli.

– Szwedzi – mruknął. – Cicha z nich banda. Podobnie jak reszta Langue Niemieckiej, są obrażeni, że jeszcze ich nie dopuszczono do prawdziwej walki. Mówię ci, mają tu niezłą mieszankę: paru Polaków, Norwega, dwóch Duńczyków i jednego dziwaka aż z Moskwy, co twierdzi, że osobiście zna Iwana Groźnego. Dobry Boże, pomyśl tylko, co trzeba zrobić, żeby zasłużyć sobie na taki przydomek. I my uważamy się za kompanię, z którą trzeba się liczyć! No, ale kiedy ludzie Północy pójdą do boju, będzie na co popatrzeć, zapamiętaj moje słowa.

– Popatrzę bardzo chętnie – odparł Tannhäuser – bylebyś mnie nie ciągnął z nimi.

Schodząc z murów, czuli, jak kamienie wibrują im pod nogami – rozpoczął się intensywny ostrzał ze wzgórz. Wyszli na światło poranka i zobaczyli na niebie ciemne punkciki szybujące w stronę L'Isoli. Gdy upadały, w powietrze wznosiły się chmury odłamków. Wioska rybacka L'Isola już nie istniała – ani jeden dom nie pozostał nieuszkodzony, a w większości nie przetrwały nawet ściany. Wiatraki zniszczono dawno temu; w niebo sterczały już tylko kikuty połamanych skrzydeł. Fort Świętego Michała przypominał Świętego Elma w ostatnich dniach jego istnienia. Rycerze i żołnierze z tamtejszego garnizonu coraz rzadziej przechodzili po pływającym moście na drugą stronę, do Il Borgo, jakby obawiali się, że jeśli to uczynią, perspektywa powrotu będzie nie do zniesienia. Dlatego też trwali w swym piekle, wraz z chmarami much, trupami i szczurami. O ile Tannhäuser się orientował, Ludovico był wśród nich. Tego ranka bombardowanie było zmasowane i zapowiadało pierwszy poważny szturm od ponad tygodnia.

– Miejmy nadzieję, że szykują się tylko na Świętego Michała – powiedział Bors.

– Czyżbyś stracił ochotę do bitki? – zdziwił się Tannhäuser.

– Zawsze tak mam, kiedy brak mi snu albo jedzenia.

Na ulicy przed oberżą minęli niewolnika z kneblem w ustach, popychanego przez strażników czubkami glewii, które kaleczyły jego pokryte bliznami plecy. Wyglądało na to, że droga na szubienicę nie uległa zmianie, a Tannhäuser nie mógł oprzeć się myśli, że już nic się nie zmieni. Że na zawsze pozostanie na tej wyspie. Że nikt się z niej nie wyrwie. I nie było to ponure proroctwo śmierci, lecz raczej wrażenie, że utknęli w pętli czasu i ani walka, ani jego udział w niej nigdy się nie zakończy.

– Wiesz – odezwał się Bors – że codziennie używają tego samego knebla z liny? Wyciągają go z gęby trupa, zanim go odetną, i wkładają następnemu?

– Ile to już dni?

Bors zawołał jednego z Hiszpanów eskortujących skazańca.

– Hej, Guzmán, który to już dzień? Osiemdziesiąty ósmy czy dziewiąty?

– Osiemdziesiąty dziewiąty – odkrzyknął Guzmán.

– Dzięki! – Bors zwrócił się znowu ku Mattiasowi. – Wydrapują kreskę za każdy dzień na ścianie więzienia, piątkami. Swego czasu była nawet loteria. Zakładaliśmy się, po ilu dniach miasto padnie, ale przy pięćdziesięciu księga zapisów została zamknięta. Ja na razie jestem w grze.

– A kto wygrał pulę za Świętego Elma?

– Zwycięzca stoi przed tobą – odparł dumnie Bors. – Siedząc tam trzydzieści jeden dni, przebiliście nawet mój zakład. Ale nieznacznie. Ja byłem najbliższy prawdy.

– Osiemdziesiąt dziewięć dni – westchnął Tannhäuser. – Chwilami zapominam, po co w ogóle tu przypłynęliśmy.

– O ile pamiętam, miało to jakiś związek z twoimi kobietami.

– Ech, kobiety. Wciąż doprowadzają mnie do szału.

– Zamieniam się w słuch.

– Próbuję dochować wierności mojej przyszłej żonie… – zaczął Tannhäuser.

Bors wybuchnął śmiechem.

– A to dlaczego? Czyżby Amparo złapała syfa? – Zanosząc się śmiechem, Bors postawił kolbę muszkietu na bruku i oparł się o lufę. – Wybacz – wysapał, z trudem łapiąc oddech – ale niezły z ciebie numer. Proszę, mów dalej.

– Amparo jest w świetnym zdrowiu. Cokolwiek się zdarzy, przeżyje i mnie, i ciebie. I z żalem muszę ci donieść, że jak żyję, nie widziałem i nie spodziewam się ujrzeć równie pięknych piersi jak jej.

– Co oznacza, że czar hrabiny zwyciężył, mimo tak straszliwej przeszkody.

Tannhäuser nie umiał się przyznać, że po raz drugi dał się złapać w pułapkę muzyki w jej wykonaniu.

– Raczej czar mojego szaleństwa, z którym sobie nie radzę.

– Miłość – rzekł Bors. – Ostrzegałem cię.

– A ja usłuchałem i dlatego próbuję oczyścić sobie umysł przed trudami, które nas czekają. Zgodzisz się, że ruja zaciemnia naturę wszelkich spraw…

– Bez wątpienia.

– …a kiedy myśli i uczucia stają się zbyt zmącone – także za sprawą szaleństwa, które tu panuje – zaczynają się bóle głowy, nadmiar żółci i inne dolegliwości, których lepiej

unikać, póki nie będziemy bezpieczni. Za parę dni będziemy zresztą na morzu, a skoro kochanka na pokładzie to ryzyko nie lada, to kochanka z przyszłą żoną na dokładkę musi się równać katastrofie.

– Zatem od powrotu trzymasz łapy z dala od tych boskich piersi? – spytał zdumiony Bors.

– Od wschodu słońca następnego dnia de la Valette nie jest czystszy ode mnie.

– A może chciałbyś się założyć, jaki będzie tego wynik?

Tannhäuser zbył tę impertynencję pochmurnym spojrzeniem. Weszli do oberży, którą Carla przekształciła w filię szpitala i która, ku rozpaczy Tannhäusera, pełna była jęczących rekonwalescentów. Przechodząc między nimi, kopnął dwóch lżej rannych w żebra.

– Odeślij tych leni na szańce – powiedział. – Ja idę do beki – dodał, rzucając Borsowi strzelbę. – Każ Nicodemusowi przygotować dla nas podwójne porcje.

– O to byłoby łatwiej, gdybyś nas nie zaciągnął do Gullu Cakiego!

Poprzedniego dnia udało im się zlokalizować kryjówkę Gullu, w gęsto zabudowanym kącie między Porto delle Galere a bastionem Francji. Nie zamierzali wyrządzić mu krzywdy – w końcu nie byli bravi – ale jeśli Tannhäuser nie miał dorobić się opinii mało rozgarniętego lub, co gorsza, stać się pośmiewiskiem miasta, musieli się upomnieć o skradzione opium i kawę. Po drodze Bors odwiedził swojego człowieka w kwatermistrzostwie, które zarządzało teraz całymi zapasami żywności. Wyszedł stamtąd z pokaźnym workiem i koszem pełnymi jajek, zapasem masła oraz pokaźną bryłą białego cukru trzcinowego. Drzwi domu Cakiego otworzyła młoda kobieta o nader apetycznej cerze – co nie uszło uwagi Tannhäusera – która zaprosiła ich do środka.

To był koniec pięknych, wyrafinowanych doznań. Ujrzeli wnętrze chaty, a ściślej dwóch jednoizbowych chat, bo oddzielająca je ściana została zniszczona, w którym tłoczyło się kilkanaście osób, zapewne szukających schronienia przed słońcem. Kilkoro dzieci oganiało się od much lgnących do ich policzków. Trzej dobrze zbudowani młodzieńcy wyłonili się głębi pokoju, spoglądając na krótkie miecze, które zostawili pod ścianą. Jednemu z nich brakowało przedramienia – był to Tomaso, przyjaciel Orlandu. Na jego twarzy malowała się niepewność, ale milczał. W niszy pod zburzoną ścianą płonął znicz, a za nim stała kamienna figurka Matki Boskiej. W drugiej izbie muchy brzęczały jeszcze większym rojem, tam bowiem, na matach ze słomy, spoczywało pięciu ciężko rannych mężczyzn. Dwie kobiety klęczały między nimi, machając wachlarzami z trawy i spoglądając przez ramię na przybyszów. Ponura determinacja Tannhäusera jakby osłabła. Spojrzał na Borsa.

– To miałeś na myśli? – spytał.

– Mówiłem ci, że nic już nie odzyskamy.

– Więc trzeba było mnie przekonać.

Jakby znikąd pojawił się Gullu Cakie. Jego paciorkowate oczy spoglądały na nich badawczo znad haczykowatego nosa. Maltańczyk wyciągnął rękę, a Tannhäuser uścisnął ją.

– Witajcie – rzekł po włosku Cakie. – To honor dla naszego domu.

– Wszystko to twoje dzieci? – spytał Tannhäuser, przestępując z nogi na nogę.

– Dzieci, wnuki, bratankowie.

Tannhäuser uśmiechnął się – miał nadzieję, że ciepło – do dwóch najmłodszych. Zastanawiał się gorączkowo, co też mądrego mógłby powiedzieć.

– Piękna gromadka. Bóg ci pobłogosławił.

Gullu Cakie skinął głową, wciąż bardzo czujnie. Jedna z dziewczynek zadała mu pytanie po maltańsku. Odpowiedział, wskazując na Tannhäusera, a wtedy dziewczynka znowu o coś spytała i tym razem, gdy Gullu skinął głową, dzieci wybuchnęły pełnym niedowierzania śmiechem. Kobiety też się uśmiechnęły, ale trzej młodzi mężczyźni – nie. Cakie spojrzał na Tannhäusera i zauważył jego zaciekawienie.

– Zapytała, kim jesteś, a ja odpowiedziałem, że przyprowadziłem cię z Mdiny – wyjaśnił. – Chciała wiedzieć, czy to ciebie niosłem na plecach przez Monte Salvatore.

Rechot Borsa tylko spotęgował panującą wesołość.

– Niósł moją strzelbę i sakwy, to wszystko – sprecyzował Tannhäuser.

– Musiał nieść twoją strzelbę? – spytał Bors.

Roześmiał się na całe gardło, wywołując całą salwę chichotów, do których dołączyli teraz nawet trzej młodzieńcy. Tannhäuser spojrzał na Cakiego, który pozwolił sobie tylko na uśmieszek. Musiał przyznać w duchu, że na miejscu Maltańczyka sam pozwoliłby sobie zabrać trochę opium jako zapłatę za pomoc w dotarciu do celu. Jego determinacja osłabła po raz drugi. Ale trzy funty? Postanowił nie ustępować.

– I właśnie dlatego składamy ci wizytę – rzekł. – Słyszałem, że sprzedajesz moje opium.

Śmiech jakby przycichł, przynajmniej wśród dorosłych.

– Sprzedałem trochę rycerzom – odparł niezrażony Cakie.

– Trzy funty wystarczyłyby na tydzień dla całego zakonu.

– Aż trzy tam były? – Cakie wzruszył ramionami. – Reszta jest dla mnie, mojej rodziny, przyjaciół.

Tannhäuser spojrzał na rannych w sąsiedniej izbie.

– Gdybyś był w potrzebie – dodał Maltańczyk – sprzedałbym ci trochę.

Zanim Tannhäuser zdążył odpowiedzieć na tę bezczelną propozycję, Bors postawił koszyk na podłodze i z rubasznym śmiechem klepnął go potężnie w plecy.

– A nie mówiłem, Mattias? Ten człowiek to książę złodziei.

Tannhäuser uznał się za pokonanego i zaczął szukać sposobu na uratowanie twarzy.

– To prawda – rzekł, zwracając się do Cakiego – że sam nie przeszedłbym przez góry.

Zignorował parsknięcie Borsa i gestem poprosił Maltańczyka o przetłumaczenie tych słów. Dzieci słuchały w milczeniu, patrząc na ogromną dysproporcję w rozmiarach dwóch mężczyzn.

– To dlatego, że byłem chory – w istocie bliski śmierci – i potężnie osłabiony gorączką – ciągnął Tannhäuser, mając nadzieję, że przemawia z powagą i spokojem.

Czekał, aby Cakie i te słowa przetłumaczył, ale stary maltański przemytnik tylko się uśmiechnął, pochylając głowę. Dzieci patrzyły na Tannhäusera z fascynacją w wielkich, brązowych oczach, jakby był olbrzymem z bajki, który przyszedł do nich, by wyznać swoje żale. Tannhäuser odchrząknął.

– W związku z tym – dodał – chciałbym ci podziękować za pomoc i dlatego przynieśliśmy dziś skromny dowód wdzięczności.

Schylił się po koszyk wiktuałów. Szczęka Borsa opadła, gdy wręczył go młodej kobiecie. Ta zawahała się nieco i spojrzała pytająco na Cakiego. Stary skinął głową i wtedy dopiero przyjęła dar i dygnęła z wielkim wdziękiem. Tannhäuser spojrzał na Borsa, którego wesołość nagle wyparowała, i sam roześmiał się w głos, klepiąc go po plecach.

– Daj spokój, Bors, rycerze karmią tych ludzi sucharami i soloną rybą. Ale zaraz, czy nie słyszałem brzęku szkła w tym worku? Daj go naszemu księciu.

Bors spojrzał ponuro na przyjaciela, a potem uśmiechnął się do kobiety. Cakie spojrzał na Tannhäusera. Był zbyt twardy, by się wzruszyć, i zbyt doświadczony, by nie wiedzieć, że ta wizyta mogła się skończyć w znacznie mniej przyjemnej atmosferze. Ukłonił się bez słowa, ale w taki sposób, by zasygnalizować, że dobrze rozumie sytuację. Gdy odkładał worek na posadzkę, rzeczywiście coś w nim zadźwięczało.

– Teraz jednak wzywają nas pilne sprawy – dodał Tannhäuser. Ukłonił się ładnej dziewczynie. – Zatem pójdziemy już, jeśli pozwolisz.

– Zostańcie – odparł Cakie. – Będziemy ucztować, a wy razem z nami.

Tannhäuser spojrzał mu w oczy i zobaczył, że zadzierzgnęła się między nimi złodziejska więź. Takie przymierza warte były więcej niż złoto. A nawet opium.

– Wypijemy więc brandy za twoje zdrowie i będziemy się cieszyć waszym towarzystwem – zadecydował Tannhäuser. – Muszę cię jednak ostrzec, że tam, gdzie ucztuje Bors, niewiele zostaje dla innych.

Cakie roześmiał się, a Bors zmarszczył czoło. Mattias wskazał na grupkę dzieci, które nic nie rozumiejąc, obserwowały tę wymianę zdań.

– Proszę, na użytek Borsa, przetłumacz im te słowa.

W tak trudnych czasach wartość drobnych przyjemności wzrastała niepomiernie i dlatego Tannhäuser powrócił do obyczaju porannych kąpieli w olbrzymiej beczce stojącej w ogrodzie na tyłach oberży. Przetrwała jego nieobecność w nienaruszonym stanie, co było wiadomością tym lepszą, że pod beczką zakopana była większa ilość opium. Kłopotem była jedynie gruba warstwa pyłu, mułu i ptasich odchodów, która unosiła się na powierzchni wody. Opróżnienie, oczyszczenie i ponowne napełnienie beczki wymagało całego dnia pracy, ale Tannhäuser zdołał zorganizować sobie dwóch niewolników, wcześniej zajętych niekończącymi się naprawami muru obronnego. Obaj byli głęboko wdzięczni, że trafił im się taki pan – wymagający dość lekkiej pracy i nieużywający bicza. Płakali i całowali jego stopy oraz tulili się do kolan, kiedy ich odsyłał, on zaś miał większe poczucie winy z tego powodu niż z racji nie tak dawnych mordów, które miał na sumieniu. Beczka była teraz za dnia nakryta płótnem, pył stał się bowiem nieodłączną częścią miejscowego powietrza. Tannhäuser rozebrał się, ściągnął płótno i wskoczył w przyjemnie chłodną toń.

Półdrzemał sobie w kucki, z rękami złożonymi na piersi i głową opartą o brzeg, nie koncentrując myśli na niczym szczególnym, gdy woda chlupnęła na jego twarz. Otworzył oczy i zobaczył wchodzącą do beczki Amparo.

Jej sutki zniknęły pod powierzchnią, zanim zdążył dobrze się im przyjrzeć, zostawiając jedynie pobudzające wyobraźnię kręgi na wodzie. Ciężka to była próba dla jego celibatu. Twarz i szyja dziewczyny nabrały od słońca barwy ciemnego złota, kontrastując intensywnie z mlecznobiałym ciałem poniżej. I to wydało się Tannhäuserowi oszałamiającą podnietą. Beczka nie była na tyle pojemna, by mogli się nie dotykać, nawet gdyby trochę bardziej tego chciał. Jej gładkie, smukłe nogi przesunęły się po jego udzie, a pośladki – detal tak fenomenalnie dorównujący pięknem biustowi, że tylko skończony prostak ośmieliłby się głosić wyższość jednego nad drugim – usadowiły się wygodnie na jego nodze. Wciąż nie widział sutków, ale aż za wyraźnie czuł ich dotyk na piersi. Zareagował jak najbardziej zgodnie z prawami natury, a Amparo, gdy poczuła ową reakcję, wcale nie wyglądała na oburzoną.

– Bors cię tu przysłał? – spytał podejrzliwie.

– Bors? – powtórzyła, niewinna jak wiosenny poranek.

Tannhäuser potrząsnął głową, porzucając tę myśl. Daremnie szukał odpowiednich słów. Położyła ręce na jego ramionach i połaskotała go wyczekująco. Objął ją w talii. Cudowna. Z jego życiowego doświadczenia wynikało, że kobiety wybornie opanowały sztukę unikania zbliżeń, gdy nie są im one na rękę, lecz biada mężczyźnie, który spróbowałby tego samego, bez względu na kierujące nim pobudki.

– W Hiszpanii – powiedziała – mężczyźni walczą z bykami uzbrojeni w włócznie, wiesz?

Pytanie całkiem go zaskoczyło, choć może nie aż tak, jak jej pojawienie się w beczce. Być może sprowokował je ten jakże widoczny stan podniecenia.

– Oczywiście – odparł. – Słyszałem, że sam Karol V zabijał tak byki w Valladolid.

Znajomość szczegółów nie robiła na Amparo najmniejszego wrażenia.

– A wiesz, w jaki sposób odnajdują walecznego byka? – spytała.

Dłonie Tannhäusera błądziły w słonej wodzie.

– Nie wiem. Ale bardzo chciałbym wiedzieć. Opowiedz mi.

– Gromadzą byki z finca w wielkie stada – po pięćdziesiąt, po sto, wielkie, wielkie stada – i wtedy pasterze zaczynają je pędzić, okładając pejczami, pokrzykując, drażniąc, aż tworzy się z tych byków jedno serce, jeden umysł, jedna dusza – jedno dzikie, niepowstrzymane zwierzę gnające prosto przed siebie. Jeżeli trafi się przed nimi przepaść, wszystkie skoczą w nią i zginą. Jeśli będzie to morze, wbiegną do wody i potopią się wszystkie, bez wyjątku.

Mimo bardzo potężnych przeszkód natury fizycznej, Tannhäuser dał się wciągnąć w tę opowieść. Amparo milczała przez chwilę, obserwując go, aż się upewniła, że naprawdę chce słuchać.

– Ale z tego wielkiego stada – podjęła przerwaną opowieść – z tego jednego wielkiego stwora pędzącego o zachodzie słońca przez równinę, zawsze oddziela się co najmniej jeden byk. Jeden, który nie chce pobiec z pozostałymi donikąd, w przepaść albo do morza. Nie boi się pasterzy i ich biczów. Uwalnia serce, umysł i duszę z tej wielkiej gorączki, która ponosi pozostałe zwierzęta. Biegnie sam, własną ścieżką, tam, gdzie go oczy poniosą.

Tannhäuser słuchał z zapartym tchem, wyobrażając sobie ten widok i tak wyjątkowe zwierzę.

– Wspaniała rzecz – powiedział. – I to jest ten byk, z którym się walczy.

Amparo potrząsnęła głową. Przysunęła się bliżej i wbiła w Mattiasa spojrzenie różnobarwnych oczu. Wtedy zrozumiał, że nie jest to pierwsza lepsza opowieść.

– To mógłby być ten byk – powiedziała. – Pasterze chwytają go i prowadzą daleko, daleko w góry, jak najdalej od jego braci i od wszystkiego, co znajome. I tam go zostawiają, samotnego i zagubionego w całkiem nieznanej okolicy. Odchodzą. – Amparo machnęła ręką w stronę dalekiego horyzontu i znowu umilkła, mierząc Tannhäusera wzrokiem. Przysunęła się jeszcze trochę bliżej. – Tydzień później wracają po byka. Jeżeli wychudł, oszalał i ucieka przed ludźmi ze strachu albo stał się potulny i sam do nich biegnie, żeby nie być samotny, zabijają go włóczniami na miejscu i jedzą jego mięso na kolację. – Amparo uśmiechnęła się. – Ale jeśli jest silny, lśniący i najpierw spokojnie je trawę, patrząc na nich w bezruchu, a potem parska ze złością i ryje kopytem piach, jakby przekroczyli granice nie swojego królestwa, to już wiedzą. – Amparo pokiwała głową. – Wiedzą, że to ten byk, z którym się walczy.

Tannhäuser nie wiedział, czy zalać się łzami czy wybuchnąć śmiechem – w każdym razie miał to być wyraz szczęścia. Poczuł, że kocha to niezwykłe zwierzę, którego nigdy nie widział, a które od zawsze mieszkało w jego sercu; widział je wyraźnie oczami wyobraźni, spoglądające groźnie, jak gdyby miało i jego wziąć na rogi, gdyby zbyt długo gapił się w jego ślepia.

– Osobliwa opowieść – stwierdził. – Byk ten ma dość mocnego ducha, by nie żyć i nie umrzeć wraz z innymi. A jednak okazując tego ducha, sam objawia się jako ten, który zostanie poświęcony przez przeznaczenie.

Amparo wyciągnęła rękę i otarła łzę z kącika jego oka.

– To od słonej wody – mruknął zawstydzony.

Uśmiechnęła się jak kot.

– Powiedz mi lepiej, jak doprowadzają to wyjątkowe zwierzę na plaza de toros.

– Pasterze mają swoje sposoby. Powiadają, że jedynym człowiekiem, który zna byka lepiej niż jego pasterz, jest rejoneador w chwili, gdy zadaje mu śmierć.

– Na Boga – rzekł Tannhäuser, tknięty nagłą myślą. – Ty musiałaś widzieć na własne oczy, jak wybiera się byka.

– Mój tata był pasterzem.

– Był?

– Spotkał raz byka, który wolał walczyć w górach, nie na plaza.

Tannhäuser nie odezwał się. Zastanawiał się, czy to ten byk zostawił swój ślad na jej twarzy. Wolał myśleć, że tak było, a nie że uczyniła to pięść jakiegoś brutala, jak podejrzewał do tej pory. Wolał nie pytać.

– Zatem i ty jesteś nomadą – powiedział.

– Nomadą?

– Kimś, kto wiecznie wędruje i nie ma stałego domu.

Amparo dotknęła lewej piersi.

– Tu jest dom. I tu – dodała, dotykając piersi Tannhäusera. Gdy on się zastanawiał, czy było to erotyczne zaproszenie, zapytała: – Gdzie jest twój ojciec?

– Bardzo daleko stąd, w górach na północy – odparł.

– Kochasz go?

– Nauczył mnie wykuwać stal – odrzekł Tannhäuser. – I rozpalać okropnie gorący ogień. I co znaczą różne kolory żelaza. I jak dbać o konie. Jak być uczciwym. I bardzo wielu innych rzeczy, z których najlepsze umknęły mi z pamięci, a jemu nie.

– Ale on żyje.

– Nie mam powodu myśleć, że jest inaczej. Zawsze był silny jak wół. Albo jak jeden z twoich byków. Nie widziałem go od dziesięciu lat. On zaś nie widział mnie prawie trzy razy dłużej.

– Nie rozumiem.

Tannhäuser rozprostował ramiona i spojrzał na turkusowe niebo. Abbas obudził w nim to samo wspomnienie, ale Mattias nie chciał wtedy o tym mówić. Tym razem się nie opierał.

Odchodząc ze służby w janczarach, wybrał zaległy żołd za dziesięć lat – którego nigdy nie miał okazji wydawać – i kupiwszy sobie konia i podszyty futrem kaftan, wyruszył na północ. Jechał przez chrześcijańskie domeny sułtana, ku Siedmiogrodowi i Górom Fogaraskim, do wioski, w której się urodził.

Tannhäuser, a raczej Ibrahim Czerwony, bo tak się wtedy nazywał, udał się wprost do kowala. Zastał tam nowego pierworodnego syna, który przyjął go z szacunkiem należnym wielkiemu panu i bardzo sprawnie podkuł jego konia. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, jak wysoko ponad mieszkańcami tej górskiej wioski stawia go wykwintny strój. Osmański strój. Na podwórku dostrzegł matkę chłopca, urodziwą i jeszcze niezbyt zniszczoną ciężką pracą. Znalazł się i młodszy brat pierworodnego. Ich ojciec miał wrócić o zmierzchu i tak, rzeczywiście miał na imię Kristofer. Ciepło, z jakim wypowiadał się chłopiec, nie pozostawiało wątpliwości: kochał i szanował ojca.

Ibrahim wrócił do kuźni następnego ranka i tym razem zastał tam Kristofera. Swego ojca.

Widział go po raz ostatni, gdy świat był jeszcze młody, gdy był Mattiasem, synem kowala, gdy włosy jego matki były z brązu i gdy Britta śpiewała o Kruku, bawiąc się z Gertą na podwórku. Wyruszając na kowalski obchód pobliskich dworów, Kristofer poklepał wtedy po plecach młodego Mattiasa i kazał mu mieć oko na kobiety. Ale Mattias ich nie obronił, choć próbował.

Ibrahim zastał Kristofera w kuźni, pochylonego nad rozżarzonymi węglami, gdy zdradzał swemu nowemu synowi fascynujące tajniki rzemiosła. Miał na sobie długi skórzany fartuch. Jego włosy posiwiały, ale się nie przerzedziły. Miał pięćdziesiąt lat, wyglądał bardziej niż zdrowo, jak zawsze krzepki, o żylastych przedramionach i potężnych dłoniach. Był odwrócony plecami do wejścia, gdy gość w tureckim stroju stanął na progu. Przez dłuższą chwilę Ibrahim obserwował go, czując zapach sproszkowanego koziego rogu i talku, słuchając dawno niesłyszanego dialektu i chłonąc głos, który budził w nim tyle wspomnień.

– Tam! – powiedział Kristofer z takim podnieceniem, jakby wypatrzył ptaka o wyjątkowo rzadkim ubarwieniu. – Tam jest błękit, taki jak na niebie wczesnym rankiem w dzień Nowego Roku. Zapamiętaj. Na zawsze. A teraz szybko.

Chłopiec szczypcami wyjął z ognia kawałek stali, zanurzył go w kąpieli i odmówił Zdrowaś Mario. Ibrahim pomyślał, że wykuwają dłuto dla murarza. Z wiadra uniosła się para pachnąca destylowanym octem i wapnem. Tak, to było hartowanie dłuta do kamienia. Dawno zapomniane instrukcje pojawiły się w umyśle Ibrahima:

„Nie za twarde, bo będzie się kruszyć od uderzeń młotka. Nie za miękkie, bo będzie się giąć przy tej świętej pracy. Zanim ludzie nauczyli się ciąć kamień, mieszkali w głuszy, jak Kain w krainie Nod, a jeśli zabraknie nam dobrych narzędzi, wrócimy do tej samej głuszy".

Omal nie wszedł do kuźni i nie sięgnął po drugi fartuch, lecz w tym momencie zobaczył uśmiech Kristofera, który pochylał się nad swoim synem, promieniejąc dumą i wzruszeniem. Ibrahim nie znał tych uczuć, bo sam nie miał syna, ale to spojrzenie, ten uśmiech… Znał je doskonale i wiedział, że nawet oblicze Boga nie może być łagodniejsze.

W tym momencie Ibrahim – ten sam, który dziesiątki razy patrzył śmierci w oczy i nazywał ją uczciwą – poczuł strach, jakiego nie zaznał nigdy dotąd. Kristofer na nowo zbudował swoją rodzinę. Przetrwał i rozkwitł. Z popiołów samotności ponownie rozniecił płomień rodzinnego ogniska, miłości i spokoju, a w jego blasku uczył swego nowego syna magii, piękna i tajemnic tworzenia. Zniósł rzeź i rozpacz, którą diabły zgotowały jemu i

ludziom, których kochał nad życie. Diabły takie jak Ibrahim. Ten, którego rzemiosłem było zabijanie – w tym duszenie małych dzieci – i który nie tworzył narzędzi do wznoszenia domów, ale potrafił je niszczyć.

Po co budzić straszliwą rozpacz w duszy tego spokojnego człowieka? Po co odkrywać przed nim, kim stał się jego prawdziwie pierworodny syn: krwawym sługą tej samej potęgi, która zamordowała jego dzieci? Po co rzucać cień zbyt mroczny, by zasługiwał na imię, na ciepły blask tej kuźni?

Kristofer wyczuł wreszcie jego obecność i odwrócił się. Zobaczył turecki strój Ibrahima, ale nie twarz, przybysz bowiem stał na tle mocnego światła poranka. Uśmiech Boga zniknął z jego twarzy. Ukłonił się chłodno, uprzejmie, ale nie pokornie.

– Witam cię, panie – rzekł. – Czym mogę służyć?

Ibrahim pamiętał i te wskazówki: powitanie, pozycja, uprzejmość. Odchrząknął, czując mocny ucisk w gardle.

– Twój chłopak podkuł wczoraj mojego konia.

Kristofer mówił po niemiecku, w języku, którego Ibrahim nie spodziewał się pamiętać. Odpowiedział jednak w tej samej mowie, a Kristofer nie spodziewał się tego. Nie po Turku.

– Przychodzisz ze skargą? – spytał kowal.

Chłopak zesztywniał, a Ibrahim uniósł otwartą dłoń.

– Ależ nie. Wręcz przeciwnie; mój koń nigdy nie czuł się lepiej w nowych podkowach, a trzeba wam wiedzieć, że przejechałem wiele trudnych mil. – Ibrahim umilkł, by nie powiedzieć zbyt wiele. – Poczułem, że za mało zapłaciłem za tak doskonałą robotę. Chciałbym dać chłopcu premię.

Syn kowala pokraśniał z zadowolenia.

– Nie trzeba – odparł Kristofer. – Twoje zadowolenie, panie, jest wystarczającą nagrodą. Podziękuj panu, Mattie.

Poznawszy imię chłopca, Ibrahim poczuł jeszcze większy mętlik w głowie i jeszcze bardziej dotkliwy ucisk w gardle.

– Jednakowoż – wydusił – jeśli nie będzie to dla was obrazą, zrobię to z przyjemnością.

Mattie spojrzał na ojca, który przyzwalająco skinął głową. Gdy chłopiec szedł po swą zapłatę, Kristofer przyglądał się z ciekawością tej dziwnej postaci stojącej na progu. Ibrahim sięgnął po sakiewkę, w której przechowywał większość swego srebra i złota. Nie planował tej sytuacji, ale zanim Mattie stanął przed nim, nie umiał już zapanować nad

odruchem. Uwolnił zza pasa całą sakwę i wcisnął ją w ręce chłopca tak, by Kristofer nie zauważył. Mattie poczuł ciężar monet i otworzył usta, żeby zaprotestować.

– Pamiętaj o manierach, chłopcze – uprzedził go półgłosem Ibrahim. – I nie otwieraj sakiewki, póki nie odjadę.

Raz jeszcze spojrzał na Kristofera. Widział czy nie? Idź już, ponaglił się w myśli, zanim będzie za późno. Uniósł rękę na pożegnanie.

– Pokój tobie i twojemu domowi – powiedział.

Odwrócił się, by podejść do konia, którego zostawił tuż obok wejścia.

– Zostań chwilę – usłyszał za plecami głos Kristofera. – Zjedzmy razem śniadanie.

Ibrahim przystanął na progu, czując w sercu przenikliwy ból. Zobaczył otchłań pod swoimi stopami, taką samą jak przed wieloma laty, na tym samym progu. Czy powinien odebrać sobie choć mały kawałek tego, co mu wtedy odebrano? A może to już przepadło na wieki i teraz, podejmując próbę, straciłby jeszcze więcej? Znajomy głos pod czaszką, znajomy język – ten sam, w którym teraz myślał i którym wydawał komendy podczas szturmu na Nachiczewan – przebił się wreszcie przez zasłonę smutku.

To już koniec. Po wszystkim. To już nie są twoi ludzie. Zostaw ich w spokoju.

Ibrahim odpowiedział przez ramię, nie odwracając się.

– Bardzo to miłe z twojej strony, panie, ale mam pilne sprawy w Stambule.

Dosiadł konia i odjechał, nie oglądając się za siebie. A gdy już to uczynił, uświadomił sobie, że nie może też powrócić do Stambułu. I tam było już po wszystkim. Turcy też nie byli jego ludźmi. Jeżeli był na świecie ktoś, kto nie miał już nikogo, to właśnie on. Był sam. I był wolny.

– I tak zamiast pojechać na południe, pojechałem na zachód – powiedział do Amparo. – W stronę Wiednia i dalej, na ziemie Franków, ku wojnom i szaleństwom, cudom zupełnie innego rodzaju. Ale to już inna historia.

Amparo patrzyła na niego wilgotnymi oczami i wydawała się zupełnie nieobecna.

– Jak widzisz – dodał, odwracając głowę – zobaczyłem mojego ojca, ale nie pozwoliłem, by on zobaczył mnie.

– Jaki był w tym sens? – spytała Amparo. – On cię kochał. Oddałby wszystko, żeby cię zobaczyć.

Ta uwaga była ostatnią, którą Tannhäuser chciał usłyszeć. Omal nie odpowiedział: „Wstydziłem się. I nie chciałem ryzykować tego, że i on poczuje wstyd". Miał jednak dość tych ciężkich tematów i dlatego odrzekł:

– Niewiele jest sensu w tym, co robię. Gdyby było inaczej, po cóż wracałbym do tej piekielnej ruiny?

– Ty już mnie nie kochasz – powiedziała.

– Nonsens – odparł czym prędzej, całkiem zaskoczony tym zarzutem.

Pochyliła głowę w bok i spojrzała na niego tak, jak dziki ptak patrzy na uwiązane do ziemi, znacznie większe, znacznie toporniejsze i znacznie głupsze zwierzę. Wiedział, że to nie była właściwa odpowiedź. Z drugiej jednak strony został sprowokowany do tego niezgrabnego wyznania miłości. Czekała, aż Mattias wpakuje się jeszcze głębiej w jej pułapkę, a on oczywiście jej nie zawiódł.

– Nigdy w całym moim życiu nie zachwycałem się żadną inną kobietą tak jak tobą – oznajmił.

Prawda zawarta w tych słowach zadowoliła ją na chwilę.

– Wobec tego dlaczego nie zabierasz mnie już do swojego łóżka? – spytała.

Oczy, którymi obserwowała go z uwagą, płonęły wewnętrznym blaskiem. Na czym polegało to zjawisko, tego nie umiał wyjaśnić, ale był jego świadkiem. Wewnętrzny blask. Tak było od początku, kiedy zobaczył ją szalejącą w półmroku tawerny. Gdy patrzył w te oczy, trudno mu było skupić myśli, a w beczce, gdzie miał w zasięgu ręki i pozostałe jej atuty, było to zadanie po prostu niewykonalne. Z wielkim wysiłkiem zmuszał swoje ręce, by pozostały na jej talii. Przesunął je tylko troszeczkę dalej, w stronę pleców, całkiem niewinnie. A potem koniuszkami palców musnął przedziałek między jej pośladkami. Zakręciło mu się w głowie.

– Czy ty mnie słuchasz? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedział z absolutną pustką w głowie.

– Więc dlaczego?

– Co dlaczego?

Jej usta miały kolor fiołków, usta nieduże, mniej niż pełne, cudownie symetryczne, unoszące się pośrodku ku górze, z dolinką dopasowaną do nosa.

– Dlaczego?

Słowa napłynęły wreszcie, sam nie wiedział skąd. Nie były, niestety, wiele warte, i może byłoby lepiej, gdyby ich nie wypowiedział.

– Z powodu rozmaitych chorób i ran. Wysokiej gorączki i dotknięcia zarazy. I trudów nocnej służby. A także wszelkich nieszczęść i smutków…

– Umiem leczyć wszelkie smutki.

Pocałowała go i nie umiał już dłużej trwać w cnocie. Na nowo odkrył jej szybki i zwinny język. Jej czarne włosy urosły nieco i opadały wokół szyi nieuporządkowanymi lokami. Wsunął pod nią dłoń i poprowadził czubek męskości do jej rozchylonego sromu. Z początku czuł chłód i wilgoć wyłącznie słonej wody, a potem leciutki opór, który – choć miał w sobie coś podniecającego – skłonił go do obaw, czy aby nie zrobi jej krzywdy, jeśli naprze nieco mocniej. Amparo chwyciła się brzegu beczki za jego plecami, objęła nogami jego uda i sama się opuściła. Krzyknęła namiętnie, pobudzając go jeszcze mocniej. Wcisnął się głębiej i znieruchomiał. Amparo także zawisła w chłodnej wodzie; jej mięśnie były naprężone jak postronki, gdy próbowała złapać oddech. Wreszcie otworzyła oczy i spojrzała na Tannhäusera. Przejął w dłonie jej ciężar i wyprostował nogi. Ściana beczki drapała jego plecy, gdy podnosił się, coraz głębiej wchodząc w Amparo. Krzyknęła ponownie, ale tym razem był to głos z głębi jej ciała, a jej oczy zniknęły pod trzepocącymi powiekami, odsłaniając białka. Całował jej szyję, czując sól na języku, lecz po chwili uzmysłowił sobie, że może dać jej więcej i że nie będzie to dar niemile widziany. Pochwycił ją za kark i przytrzymał mocno, pokonując ostatni kawałek. Jej kości dobiły do jego bioder i czym prędzej zamknął ustami jej usta, a stłumiony okrzyk rozbrzmiał już tylko w jego głowie, gdy zaczął poruszać lędźwiami w niespiesznym rytmie. Coś gotowało się w jego żołądku, pełzło wolno wzdłuż kręgosłupa i wypełniało jego mózg diabelskim ogniem. Był głuchy na wściekły ryk dział oblężniczych i na rozpaczliwe wycie rogów alarmowych. Choć raz był całkowicie nieświadomy nienawiści przelewającej się w barbarzyńskim kręgu, który ich otaczał. Czuł tylko uścisk ramion Amparo, jej paznokcie wbite głęboko w jego pośladki oraz jej ciało tak delikatne i zarazem niezniszczalne. Widział tylko jej zęby, obnażone w dzikim uniesieniu, i jej mokre włosy przylegające do skóry wokół piersi, które ssał.

Grunt trząsł się pod nimi, jakby jakaś podziemna bestia mitycznych rozmiarów próbowała wydostać się na wolność. Zważywszy na okoliczności, zjawisko to nie wydawało im się specjalnie niezwykłe, podobnie jak rytmiczne uderzenia, od których brakło im tchu w płucach. Amparo puściła go wreszcie i pochwyciła żelazne okucie beczki, unosząc się na wodzie, drżąc konwulsyjnie i powtarzając bez końca słowo „tak”, jakby lękała się tylko tego, że mógłby przestać. Powstrzymał zbliżającą się falę własnej rozkoszy, a dziewczyna wyczuła to i w jeszcze większym zapamiętaniu zaczęła poruszać biodrami. Stał nieruchomo, podczas gdy Amparo szalała, aż wreszcie wyprężyła się, raz jeszcze wstrząsnął nią dreszcz i wolniutko osunęła się do wody. Był to nie byle jaki spektakl i Tannhäuser uważał się za szczęśliwca, mogąc w nim uczestniczyć. Wzdrygnęła się, gdy z niej wyszedł. Zaraz jednak obrócił ją twarzą ku zapomnianemu ogrodowi i wszedł znów, od tyłu, jej energia była bowiem jeszcze

daleka od wyczerpania. Z westchnieniem rozkoszy rozpoczął swą pracę od nowa, tym bardziej zadowolony, że dopełniwszy swego obowiązku, już nie musiał się powstrzymywać. W oddali biły dzwony Świętego Wawrzyńca; czyniły to z natarczywością, która wcześniej uszła jego uwagi. Zaraz potem uniósł głowę, spojrzał nad mokrą i słoną czupryną Amparo i zobaczył widok, który zaniepokoił go jeszcze bardziej: zza tylnych drzwi oberży wyłoniła się zwalista postać Borsa.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że w pierwszym odruchu wykonał błyskawiczne i dyskretne „w tył zwrot", ale zaraz potem, wiedziony chwalebnym poczuciem obowiązku, obrócił się ponownie.

– Bastion Kastylii padł! – zawołał, jednocześnie wyciągając szyję tak, by dojrzeć w beczce choć rąbek owego legendarnego biustu. – Turcy są w mieście!

– I co ja ci na to poradzę?! – ryknął Tannhäuser.

Bors machnął ręką, wyciągając szyję jeszcze bardziej rozpaczliwie.

– Myślałem, że chciałbyś wiedzieć!

– I bardzo ci dziękuję, ale jak widzisz, jestem in flagranti!

Bors wycofał się, pokonany przez wysoki brzeg beczki. Tannhäuser uważał, że ma znacznie poważniejszy powód do frustracji, ale obiecał sobie, że prędzej go szlag trafi, niż podda się niesprzyjającym okolicznościom. Wyszedł z Amparo, a gdy zaprotestowała, wziął ją w ramiona i wystawił z beczki. Ociekała wodą i patrzyła na niego z wyrzutem, nie przejmując się zbytnio ani odgłosami walki, ani własną nagością. Tannhäuser wyskoczył z beczki i podał jej zieloną suknię. Zakryła się nią bez specjalnego entuzjazmu. Wykazując jeszcze mniejszą dbałość o strój, Tannhäuser zarzucił sobie na rękę portki, buty i sztylet, drugą zaś poprowadził Amparo w stronę drzwi.

– Równie dobrze możemy dokończyć tam, gdzie będę miał pod ręką przyzwoitą broń – zauważył.

Gdy Tannhäuser dotarł na linię frontu – mniej więcej pół godziny, a może i godzinę później, w nastroju sprzyjającym wyłącznie drzemce w ramionach Amparo – wydawało się, że oblężenie dobiega od dawna spodziewanego końca. Ulice, którymi biegł, były zatkane strumieniami uchodźców i ciałami rannych. Aura zmasowanej paniki, której każdy dowódca obawia się bardziej niż innych nieszczęść, wisiała w powietrzu jak preludium do jakiejś meteorologicznej katastrofy. Ofiarą ogromnej miny z prochu strzelniczego, którą mamelucy umieścili w wydrążonym w skale tunelu, padł niezwyciężony dotąd bastion Kastylii we wschodniej części miasta.

Był teraz tylko bezkształtną stertą gruzu wypełniającą zewnętrzny rów, na której szczycie powiewały jaskrawe jedwabne sztandary zapisane fragmentami sury Al-Anfal. Janczarzy z muszkietami wspięli się już na nią i klęcząc lub leżąc, prowadzili ostrzał. Eksplozja powaliła nie tylko bastion, ale i spory odcinek kurtyn po obu stronach. Co gorsza, poważnie uszkodziła też mur wewnętrzny i tureccy żołnierze, rozprawiwszy się z zaciekłą obroną w pierwszym wyłomie, wlewali się ku drugiemu jak rzeka lawy omijająca tylko wyspę, którą były pozostałości bastionu. Bez wątpienia wielu dobrych rycerzy chrześcijańskich pogrzebanych zostało przez tę jedną eksplozję, na dymiących gruzach wyłomu broniła się jeszcze tylko cienka linia ich braci, w zbrojach błyszczących w słońcu świeżą krwią.

Po stronie miasta za wyłomem rozciągał się pas wolnego pola, gdzie inżynierowie de la Valette'a wyburzyli domy na głębokość dwóch kwartałów. Teraz na owo wolne pole ściągnięto w pośpiechu parę szesnastofuntówek, a choć muły nie zostały jeszcze wyprzężone, artylerzyści już ładowali do luf armatni śrut. Zza barykad zamykających ulice arquebuceros wymieniali ogień z tureckimi strzelcami ulokowanymi na ruinie bastionu, zresztą z marnym skutkiem. Powietrze pulsowało arabskimi okrzykami i inwokacjami adresowanymi do Proroka i jego brody. Całą arenę zmagań spowijały smugi armatniego dymu. Dzwony kościoła Świętego Wawrzyńca szalały, jakby z ich hałasowania płynął jakikolwiek pożytek. Na wysuniętym stanowisku dowodzenia stał de la Valette, bez pancerza i z odkrytą głową. Obserwował przebieg bitwy, mając u boku Olivera Starkeya i grupę rycerzy prowansalskich. Kilka drużyn pikinierów kłusowało raczej niepewnym krokiem w kierunku kłębowiska ciał w wyłomie wewnętrznego muru.

– Mattias! – Bors przyczaił się za murem pozbawionej dachu chałupy i czyścił panewkę swego damasceńskiego muszkietu. – Czy teraz, kiedyś zaspokoił wszelkie apetyty, jesteś gotów zyskać chwałę, przyjacielu?

– Nie zdążyłem na śniadanie – odparł Tannhäuser. – A może pomyślałeś, żeby zabrać dla mnie co nieco?

– Nie, ale zapewniam, że twoja porcja się nie zmarnowała. Gdzie dziewczyna?

– Kazałem jej odszukać Carlę i trzymać się blisko niej na wypadek, gdybyśmy musieli zaimprowizować szybką ewakuację.

– Zobaczymy, jak to będzie – mruknął Bors. – Zdaje się, że Mustafa rzucił w końcu Świętego Michała na kolana. Ludzie Pijala też wzięli się do roboty; mają drabiny i liny aż pod bastionem Francji, ale widzi mi się, że tylko po to, żeby przetrzebić nasze rezerwy. Prawdziwy klin wbili nam tutaj.

Bors posłał kolejną kulę w stronę tureckiej hordy na osypisku cegieł, a Tannhäuser przysiadł obok niego, oparł strzelbę o ścianę i wyjrzał, szukając celu. Dostrzegł młodego kapelana z zakonu, który zataczając się, wybiegł z chmury dymu. Wymachiwał przy tym rękami, a jego habit był brudny i rozdarty, jakby nieszczęśnik dopiero zdołał się wygrzebać spod ruin Kastylii. Jego twarz była zakrwawiona i wykrzywiona takim grymasem, jaki może wywołać albo ekstremalny strach, albo religijna ekstaza. W tym przypadku zapewne w grę wchodziły obie przyczyny, młody zakonnik zatrzymał się bowiem mniej więcej sto stóp przed pierwszymi domami, dokładnie na tle krzykliwego sztandaru muzułmanów, uniósł ramiona nad głowę i zaczął szaloną jeremiadę, której fragmenty dotarły przez zgiełk do uszu Tannhäusera.

– Zgubieni! Wszyscy jesteśmy zgubieni! Bóg zwrócił przeciwko nam swe oblicze! Koniec żniw, koniec lata, a my nie zostaliśmy ocaleni! Uciekajcie i szukajcie pojednania z Chrystusem!

Takie zawołania z ust duchownego były dla Pijala warte tyle, ile świeży batalion sipahów. Morale miejscowej milicji oraz hiszpańskich żołnierzy nie było zbyt wysokie, odkąd dwunastego zginął ich maestro de campo, don Melchior de Robles, trafiony kulą w głowę. Niemrawy atak pikinierów oczywiście załamał się w jednej chwili. Żołnierze spoglądali po sobie niepewnie, głusi na wściekłe ryki podoficerów i zdecydowanie zniechęceni widokiem księdza. Jeszcze mniejszy entuzjazm wzbudzała w nich krwawa bitwa w wyłomie oraz widok wyjącej hordy niewiernych, tratującej ciała własnych towarzyszy. Kręcili się bez ładu i składu jak liście niesione wiatrem, pomału skłaniając się ku jawnemu buntowi.

Tannhäuser zmarszczył brwi, wymierzył dobrze i strzelił prosto w krzyż znaczący pierś rozhisteryzowanego kapelana. Młodzik omal nie dotknął dłońmi stóp, gdy kula poderwała go z ziemi, zgięła wpół i cisnęła z powrotem w dym, z którego się wcześniej wyłonił.

– Cóż, ktoś musiał to zrobić – mruknął Bors.

Tannhäuser przytknął do lufy pojemnik z prochem. Pikinierzy nie podjęli przerwanego ataku, ale przynajmniej żadnemu z nich nie przychodziła już do głowy myśl o zawróceniu. Niektórzy podrywali się nagle w powietrze i padali na ziemię, trafieni kulami mknącymi od strony wyłomu. Egzekucja kapelana nie wystarczyła: ktoś musiał przejąć inicjatywę, a w tej rozpaczliwej chwili mógł to zrobić tylko jeden człowiek. Tannhäuser spojrzał na grupę opancerzonych rycerzy wokół de la Valette'a i stwierdził, że wielki mistrz patrzy prosto na niego.

– Naprzód, stary psie! – krzyknął Tannhäuser. – Pokaż wreszcie, z jakiej jesteś gliny!

Nie wiedział, czy de la Valette usłyszał jego słowa, ale jeśli nie, to w każdym razie doszedł do identycznego wniosku: zerwał morion z głowy przerażonego żołnierza, który stał tuż obok, odebrał mu szponton i ku konsternacji swych towarzyszy samotnie wspiął się na wał, by nie zważając na świszczące dokoła kule, ruszyć w stronę wyłomu.

– Na Boga – zawołał Bors. – Sam jeden ich pozabija.

Nawet gdyby Jan Chrzciciel we własnej osobie pojawił się na polu walki, efekt nie byłby bardziej piorunujący. Pikinierzy natychmiast stanęli w szyku. Prowansalczycy omal się nie pobili o to, który ma iść tuż za wielkim mistrzem. Gdy starzec puścił się chwiejnym biegiem, bojowy okrzyk chrześcijan zagłuszył wszystko i nawet najtchórzliwsi poczuli pożar krwi. Rycerze i żołnierze jak spod ziemi wyrośli pośród ruin, gdzie jeszcze przed chwilą nie było nikogo. Setki ludzi rzuciły się bezładną masą w stronę dymiącego rumowiska, gdzie czekały już tysiące podobnie zdeterminowanych wrogów.

Bors odstawił muszkiet i sięgnął po miecz. Spojrzał na Tannhäusera, który w skupieniu nakręcał kluczykiem zamek kołowy i najwyraźniej nie zamierzał wychodzić z względnie bezpiecznej kryjówki.

– Daj spokój – skarcił go Bors. – Chyba mi nie powiesz, że dziewczyna wyciągnęła z twoich jaj aż tyle ikry.

Tannhäuser oparł strzelbę o ścianę i włożył rękawicę.

– Idę tylko dlatego, że gdybyś przeżył, musiałbym słuchać twojego zrzędzenia do końca moich dni.

Dołączyli do pędzących po śmierć i w tym momencie, niczym nigdy niewysychające źródło trucizny, popłynęła wprost do żył Tannhäusera struga występnej rozkoszy zabijania. Na głowie miał celatę, a na piersi zdobyty pokątnie półpancerz; biegnąc, czuł strumienie potu, które spływały po jego bokach jak triumfalny pochód mend. Dzierżył w prawicy niemiecki miecz, Biegnącego Wilka z Pasawy. Przeskakiwał nad rannymi, którzy tarzali się z bólu we własnych wnętrznościach. Serią pchnięć i cięć wbił się w linię wroga, omijając umierających i umarłych. Uchylał się przed twardymi łokciami i blokował ciosy szabel. Dość szybko wyciął sobie przyzwoitą przestrzeń u podnóża ruiny bastionu. Nagle tuż nad nim pojawiła się postać w zielonej szacie – pociągnął od siebie, na wysokości kolan. Poczuł aż w nadgarstku opór czegoś twardego – jakby kloców drewna – i rozcięte golenie załamały się pod napastnikiem. Poprawił pchnięciem w brzuch i zostawił za sobą ześlizgujące się w dół zwłoki. Szturm pod górę był piekielnie trudnym zadaniem, ale dla janczarów –

chlebem powszednim. Wystarczyło ignorować strumienie potu i równomiernie oddychać. Ramię Tannhäusera po części żyło własnym życiem, wykonując sekwencje ruchów, których świadomy umysł nie zdążyłby skonstruować. Pracował mieczem i dawało mu to głęboką satysfakcję. Znajdował radość w widoku rozpłatanego gardła. Było coś pięknego w pełnej jedności zamiaru i czynu, gdy jego miecz otwierał czaszkę tuż pod linią turbanu, uwalniając oczy i mózg jednym ciosem. Nie powinno tak być, ale tak właśnie było – taki był świat, taki był ten dzień i taki był jedyny sposób na zapisanie swego imienia w Księdze Życia.

Minęła już ponad godzina morderczej młócki w palącym sierpniowym słońcu, przy wtórze okrzyków konających oraz monotonnego, powtarzanego bez końca Ojcze nasz. Pancerz Tannhäusera był pokryty mazią w kolorze indygo i potwornie ciężki. Walka była wyczerpująca, ale razem z Borsem zdołał oczyścić znaczący fragment rumowiska i wszędzie tam, gdzie sięgał wzrokiem – czyli mniej więcej na dwadzieścia stóp w każdą stronę – Turcy cofali się stopniowo. Wydawało się, że losy bitwy odwracają się na korzyść oblężonych, gdy nagle, ledwie kilka kroków na prawo i w dół od pozycji Tannhäusera, wszczął się dziki tumult.

– Wielki mistrz poległ!

Takie wieści mają to do siebie, że rozchodzą się błyskawicznie wzdłuż frontu i za każdym powtórzeniem zyskują coraz bardziej dramatyczną postać. Tannhäuser przypuszczał, że o sto kroków od źródła tego okrzyku żołnierze słyszeli już, że to rumak Mustafy grzmoci od tyłu nieszczęsnego de la Valette'a. Zapachniało paniką, lecz jednocześnie wydarzyło się coś jeszcze groźniejszego: dzielni rycerze i żołnierze rzucili się na pomoc swemu dowódcy. Jako że w chaosie bitwy praktycznie nikt nie wiedział, gdzie go szukać, rozgardiasz przyjął katastrofalne rozmiary. Gdyby Turcy mieli dość rozumu, żeby wykorzystać ten moment, zapewne szala zwycięstwa znowu przechyliłaby się na ich stronę, i to już na dobre. Bors masakrował właśnie janczara o połowę mniejszego od niego, Tannhäuser zaś dźgał Turka zakrwawionym sztyletem w plecy, gdy nadszedł moment, by zapanować nad totalnym chaosem. Mattias skinął głową i Bors ruszył za nim.

Odnaleźli młyn walczących tak zaciekle, że Tannhäuser nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział coś podobnego: gromada Galów ogarniętych szałem bojowym broniła swego dowódcy. Janczarzy, którzy wyczuwali doskonale, że zwycięstwo jest ledwie o włos za czubkami ich szabel, walczyli z nie mniejszym poświęceniem. Tannhäuser i Bors otoczyli całe to zbiegowisko i zaczęli metodycznie przebijać się w kierunku rycerzy skupionych wokół de la Valette'a.

Spoglądając bez większego wysiłku ponad ich głowami, Tannhäuser był świadkiem sprzeczki, którą chyba tylko Francuzi mogli wymyślić, zwłaszcza w samym środku bitwy. Wymiana zdań była nazbyt szybka i kwiecista, aby mógł zrozumieć wszystko, ale miał wrażenie, że dzielni mirmidonowie chcieli, by de la Valette wycofał się w bezpieczne miejsce, sam starzec zaś, który nie wyglądał na ciężko rannego – choć podtrzymywał go Oliver Starkey – nie chciał nawet o tym słyszeć. Dolna część jego habitu była nasiąknięta krwią i rozcięta na wysokości uda, ale jeśli na jego twarzy zaznaczyła się bladość, to nie z powodu upływu krwi, ale z wściekłości, kłócił się bowiem tak zażarcie, jakby zaraz miał się zagotować. Starkey miał zdecydowanie zbyt angielską naturę, by poprzeć swego mistrza w obliczu tak silnych emocji. Upór Galów zdawał się triumfować tam, gdzie porażkę poniósł turecki duch walki.

Tannhäuser jednak nie po to wycinał sobie szlak ku szczytowi ruiny, by teraz wracać na dół. Z donośnym brzękiem huknął płazem w hełm najbliższego Turka, który ogłuszony upadł na kolana, przy wtórze głośnego rechotu Borsa. Korzystając z chwili względnego milczenia, która teraz nastąpiła, Tannhäuser odezwał się po włosku:

– Żołnierze są pewni, że wielki mistrz nie żyje. Otwórzcie mu drogę na szczyt rumowiska, niech wszyscy go zobaczą i odzyskają ducha walki!

– Jeżeli macie dość ikry, Galowie, żeby tam dotrzeć – dorzucił Bors.

Zanim rozwścieczeni Prowansalczycy zdążyli posiekać ich na plasterki, de la Valette jako pierwszy ruszył naprzód i zaczął się wspinać po rumowisku. Oliver Starkey zaraz stanął u jego boku, nie zważając na własne rany. Duma i wojowniczość w końcu zwyciężyły w duszach francuskich rycerzy, którzy ryknęli jak obłąkani i uformowawszy zbryzgany posoką klin, ruszyli biegiem w górę, ku sztandarom niewiernych. Ich atak był tak zaciekły, że Tannhäuser w jednej chwili zmienił zdanie o nich. Bors chciał już pognać za nimi, lecz Mattias powstrzymał go stanowczo.

– Wystarczy tego dobrego – rzekł. – Muszę wyrzucić co nieco z jelit i zjeść coś solidnego.

Ruszyli w drogę powrotną, przez sterty gruzu i cuchnące opary, zbyt zgrzani i wyczerpani, by poświęcić choćby jedno spojrzenie rannym. Przemierzyli otwartą przestrzeń za drugim murem i zabrali broń zza muru, za którym ją pozostawili. Odwrócili się jeszcze, by zobaczyć, jak de la Valette i jego ludzie wdzierają się na sam szczyt zburzonego bastionu i w morderczej orgii zrzucają na drugą stronę tureckie chorągwie.

Tym sposobem udało się uniknąć drugiego pogromu tego dnia, a cała upiorna, nasiąknięta krwią sterta gruzu, który niedawno był bastionem i murem, znalazła się znowu w

rękach chrześcijan. Łopotał nad nią sztandar z ośmiorożnym krzyżem świętego Jana, a zwycięscy rycerze wymieniali obsceniczne gesty z pokonanymi, wychwalając Boga Wszechmogącego, który raz jeszcze ocalił ich przed złem.

Przez całe popołudnie niewolnicy ze zdziesiątkowanych już batalionów oraz liczni mieszkańcy miasta trudzili się wyrzucaniem tureckich trupów do rowu oraz wznoszeniem prowizorycznych wałów w miejscu zburzonych fragmentów muru. Ogniomistrze zajęli pozycje w cuchnących siarką redutach. Działa okopano na nowych stanowiskach. Odnowiono szańce i obsadzono nowymi załogami. Gullu Cakie i jego pobratymcy raz jeszcze przeczesali pole bitwy, podrzynając gardła umierającym i odzierając muzułmańskie trupy ze wszelkich cennych przedmiotów.

Długi dzień dogasał już, gdy działa oblężnicze o smoczych pyskach zaszczekały ponownie, próbując zerwać się z łańcuchów. Kule odbijały się od zdrowych murów i wpadały do rowu, wznosząc fontanny cuchnącej mazi, w którą zamieniały się gnijące trupy. Trujące wyziewy, żółtozielony ignis fatuus, fosforyzowały w zmroku jak demony wokół murów Il Borgo, zupełnie tak, jakby duchy zabitych muzułmanów wzywały swych współbraci do pomsty.

O dziwo, widmowy apel został wysłuchany, albowiem mimo tak niedawno zakończonej bitwy, tuż po zmroku Turcy zaatakowali ponownie na całej długości murów. Ciemność zmieniła się w jasny dzień i zaśpiewały szatańskie chóry, a bogowie Wschodu i Zachodu wstydliwie ukryli twarze, gdy ich gorliwi wyznawcy na nowo skoczyli sobie do gardeł.

Niedziela, 19 sierpnia 1565 - Posterunek Kastylii – ogień w ruinach

Szał bitwy rozgrywanej o północy przekroczył wszelkie znane ludzkości granice, jakby wszyscy głupcy tego świata spotkali się w jednym miejscu i w ciemności zostali spuszczeni ze smyczy. Ludzie ćwiartowali się wzajemnie nie tylko w mroku, ale i w kłębach gryzącego dymu, który jeszcze potęgował zamieszanie. Zewsząd strzelały arkebuzy i biły działa. Flary, fajerwerki i płonące obręcze raz na jakiś czas oświetlały walczących.

Nie zwracając specjalnej uwagi na te nieregularne błyski światła, Carla garściami upychała wnętrzności w rozprutym brzuchu pewnego Hiszpana. Zabieg ten nie mógł przedłużyć mu życia, ale mógł przywrócić odrobinę godności, która w tak ekstremalnych sytuacjach znaczyła bardzo wiele. Carla miała już wprawę w tej robocie: umieściwszy wnętrzności na miejscu, zabezpieczyła je, wciskając do rany skraj koszuli rannego. Gdyby wstał lub poruszył się gwałtownie, wszystko rozlałoby się ponownie, ale ryzyko takiego zachowania było minimalne. Mężczyzna leżał zupełnie nieruchomo, z pożółkłą i lśniącą w płomieniach świec twarzą, a jego oczy nie były już ożywione strachem, tylko skupione na wiecznym przeznaczeniu. Na jego czole połyskiwała smuga świętego oleju, na ustach zaś pozostały okruchy hostii. Był już w ramionach Chrystusa. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział dziwnym, pełnym zadowolenia skinieniem głową. Zarzuciła na ramię swą torbę, wstała i odeszła, by umarł w spokoju.

Zobaczyła Mattiasa, który przypatrywał się jej z daleka, stojąc z hełmem pod pachą, w pozie godnej antycznej rzeźby. Jego kirys był niemiłosiernie brudny, a na ramieniu wisiała strzelba. Twarz tonęła w mroku; Carla zastanawiała się, czy umiałaby odczytać z niej jego myśli. Podszedł bliżej i stanął w kręgu światła. Był czarny od prochu, który w zmarszczkach wokół oczu niewiele różnił się od atramentu. Odrzucił do tyłu matowe od brudu włosy, pryskając kropelkami potu, i odchylił głowę w bok, odsłaniając przyschniętą już ranę na szyi, nie dłuższą niż dwa cale.

– Jestem poważnie ranny – powiedział. – Potrzebne mi twoje zabiegi.

Zerknęła na jego szyję.

– Draśnięcie – oceniła.

– Draśnięcie?

Udał zrozpaczonego z takim przekonaniem, że uznała za stosowne jeszcze raz obejrzeć ranę. Był bliski śmierci, ale miał szczęście: rozcięcie było powierzchowne. Odsłonił zęby w szerokim uśmiechu, a zmarszczki wokół jego oczu pociemniały jeszcze bardziej.

– Czyż w inny sposób mogę zdobyć rozkosz twego towarzystwa?

Roześmiała się, zaskoczona tym pytaniem. Ze zdziwieniem zauważyła, jak bardzo podniosła ją na duchu ta odrobina śmiechu. Uśmiechała się często, głównie do okaleczonych i umierających, ale od dawna nie miała okazji, by poćwiczyć śmiech. Ostatnim razem, przypomniała sobie, robiła to tamtej nocy, gdy wrócił do miasta i opowiadając o swych przygodach między niewiernymi, czynił z nich istną farsę. Nie widziała go od tamtej pory. Teraz zaś w wielkiej garści trzymał bukłak i trochę osmalony wiklinowy kosz.

– Woda i wino od Boga – powiedział. – Do tego trochę chleba, marynowane jajka, oliwki oraz owczy ser, idealnie dojrzały. – Tannhäuser wskazał podbródkiem na plac pełen rannych. – Umierający mogą poczekać, a umarli nie będą mieli nic przeciwko temu. Chodź, przecież musisz coś zjeść. Nalegam.

Przełożył bukłak i kosz do tej samej ręki, pod którą trzymał hełm, wolną ręką zaś poprowadził Carlę do wału usypanego z gruzu. Tam ułożył małe ognisko z kawałków płonącego drewna, które znalazł opodal.

– Może i skromny ten ogień, ale lepszy taki niż żaden – powiedział.

Patrzyła w milczeniu, jak wykłada produkty z kosza.

– Wystarczy tego dla trojga – odezwał się po chwili. – Gdzie Amparo?

– Dotrzymuje towarzystwa Buraqowi – odparła Carla. – źle znosi widok takich ran, zresztą tu bardziej bałabym się o jej bezpieczeństwo.

– Ale nie o własne – zauważył Tannhäuser.

– Infirmeria jest dwukrotnie przepełniona, podobnie jak plac, wszystkie ocalałe domy i wiele podziemnych tuneli oraz piwnic. Rannych już się nie wnosi do szpitala. Brat Lazaro zadecydował, że to my będziemy do nich wychodzić.

Mattias omiótł spojrzeniem piekielny krajobraz. Oleiste strugi płomieni tryskały z mosiężnych tub ulokowanych na najdalej wysuniętych umocnieniach. Rozbłyski pomarańczowego piekła, w których ginęła niezmierzona liczba tureckich dusz, raz po raz podkreślały poszarpany kontur wałów i ruin. Obrońcy rzymskiej wiary rzucali się z zapałem w ciemność rozciągającą się u ich stóp zbrojni w piki i glewie, niczym cienie kukiełkowych demonów na ogarnięty buntem brzeg Styksu. Płonące obręcze wirowały, mknąc w pustkę, a lufy muszkietów jarzyły się ogniem wystrzałów, podskakiwały i huczały. Gorący wiatr, który docierał tu ponad morzem aż z dalekich pustyń, unosił iskry i płomienie ku gwiazdom, jak stronice palonych ksiąg zawierających zakazane modlitwy. Z płytkich dołów dobiegały jęki rannych, którzy wołali o pomoc jak zagubione dzieci, w co najmniej kilkunastu różnych

językach, obcy sobie nawzajem i obcy Bogu, który chyba ani myślał wysłuchać ich próśb o miłosierdzie.

– Można by pomyśleć, że takie cierpienie przechodzi ludzkie pojęcie – rzekł Mattias i spojrzał na Carlę. – A przecież to dzieło naszego geniuszu.

Nie odpowiedziała.

Strzepnął pył z wielkiego kamienia i zaprosił ją, by usiadła, co chętnie uczyniła. Omal nie jęknął z bólu, gdy siadał naprzeciwko niej; ból rozrywał mu wszystkie stawy. Carla zaczęła od modlitwy dziękczynnej i ze zdziwieniem zauważyła, że Mattias przyłączył się do niej. Przeżegnali się.

– Jeszcze mnie nawrócisz – rzekł, podając jej bukłak. Jego dłoń była podrapana i posiniaczona. Dwa palce, w tym jeden potężnie opuchnięty, były związane razem kawałkiem sznurka. – Wybacz, ale zapomniałem o kielichach.

Przyjęła bukłak i wzięła łyk wina. Było ciepłe i słodkie; na pewno mniej rozwodnione niż to, do którego przywykła. Być może nawet wcale nierozwodnione. Oddała bukłak Tannhäuserowi.

– Napij się jeszcze – nalegał. – Na pewno gardło masz suche jak glina, a wieczorem będziesz potrzebowała siły.

Upiła co nieco po raz drugi i otarła usta. Mattias wlał sobie w gardło pół pinty i połknął duszkiem. Zatkał bukłak korkiem i odłożył. Carla patrzyła, jak radzi sobie z klinowatym kawałkiem sera za pomocą sztyletu o ciemnym ostrzu. Uczynił to z wielką precyzją, a pierwszy plasterek podał jej na samym koniuszku noża, starając się nawet nie musnąć go brudnymi palcami.

– Spróbuj – powiedział. – Poemat. Rozpuszcza się na języku.

Ser był ostry, ale tak dobry, jak zapowiadał Tannhäuser. Teraz dotarło do niej, że jest głodna, choć wcześniej tego nie czuła. Zaczęli jeść.

– Gdy wybierałem się do Świętego Elma – rzekł Mattias – skarżyłaś się, że świat ma z ciebie niewielki pożytek. Tymczasem po powrocie widzę, że wkrótce zaczną śpiewać o tobie ballady. I słusznie.

Zarumieniła się, bo w jego ustach był to niemały komplement.

– A ty co osiągnąłeś od czasu powrotu, jeśli nie liczyć szelmostw? – spytała.

– Niewiele pożytecznego, przyznaję – odparł. – A w najważniejszej dla mnie sprawie ani o jotę nie posunąłem się naprzód.

– Dałeś szczęście Amparo – zauważyła.

Mattias zakrztusił się okruchem sera, ale szybko się opanował.

– Jak powszechnie wiadomo, uprawianie miłości jest ogromnie ważne dla zdrowia, a w mojej obecnej kondycji trzeba próbować wszelkich leków.

Carla zmieniła pozycję na kamieniu. Zazdrość o Amparo, którą tłamsiła w sobie z takim trudem, znowu zalała jej wnętrze. O dziwo, jednocześnie gorąca krew ogarnęła jej umysł. Spojrzała na dłonie Mattiasa, piękne w swojej sile, choć tak poranione, i na jego twarz, której kontury i zagłębienia mogłaby studiować całą wieczność, choć ginęła w brudzie. Przypomniała sobie sen na polowym łóżku i poczuła się pokonana. Odwróciła głowę.

Mattias zaś mówił dalej, niezrażony, nie żałując przy tym oliwy z oliwek kromce chleba, którą trzymał w dłoni.

– Wiem też z dobrych źródeł, a mianowicie od Petrusa Grubeniusa, że jej brak sprzyja koncentracji niepożądanych stanów ducha, zwłaszcza w okolicy śledziony. Stąd właśnie na przykład zaciekłość tych świętych rycerzy, a także marudna i złośliwa natura tak wielu księży. O skutkach braku fizycznej miłości na kobiecy ustrój mniej mi wiadomo, lecz choć zgodzę się, że jesteśmy istotami zgoła odmiennej natury, zaryzykuję też tezę, że w tym jednym aspekcie nasze natury nie różnią się wiele.

– Nie miałam na myśli uprawiania miłości – odpowiedziała i mimo iż w jego spojrzeniu widziała przekonanie, że nie jest to szczera odpowiedź, brnęła dalej – ale miłość samą w sobie.

– Różnica często jest znikoma, zwłaszcza dla kobiet. Lecz jako kobieta na pewno wiesz o tym lepiej niż ja.

Carla nie umiała odpowiedzieć. Była pewna, że przejrzał na wylot jej świętoszkowatość. Jej, która w snach pieściła ustami jego męskość z tak przejmującą rozkoszą. Napięcie między jej dwiema naturami, erotyczną i religijną – a obie miały wielką moc – wymazało z jej głowy myśli. Patrzyła na kawałek sera, na który całkiem straciła apetyt.

– Jeśli cię obraziłem – odezwał się Tannhäuser – to wiedz, że nie taki był mój zamiar. Lecz z drugiej strony, od śmierci dzieli nas tylko krok. Jeśli tu nie możemy rozmawiać otwarcie, to powiedz mi gdzie.

To wyzwanie, tak logiczne, wskrzesiło jej odwagę.

– A czy ja wydaję ci się zaciekła, marudna i złośliwa?

Tannhäuser uniósł brwi.

– Złośliwa – nigdy. Marudna? Może raz, ale to już przeszłość. Teraz bowiem masz swoje powołanie, a ono również ma moc rozładowywania niepożądanych stanów ducha, choć, śmiem twierdzić, mniej skutecznie. – Mattias uśmiechnął się szeroko, widząc minę

Carli. – Co zaś się tyczy zaciekłości – dodał – to jak zawsze widzę jej wpływ w twojej przeklętej grze na violi.

– Dlaczego przeklętej?

– Bo już dwa razy zwabiła mnie do Hadesu, przy czym tym razem nie widzę drogi ucieczki.

– Dlaczego opuściłeś swych tureckich przyjaciół? Tam byłeś bezpieczny.

– Jak powiedziałem, twoja syrenia pieśń wezwała mnie pośród nocy.

– Mówiłeś też, że możemy rozmawiać otwarcie, przez co rozumiem, że bez lęku. Powiadasz, że poruszyła cię muzyka, i jest to dla mnie zaszczyt, ale sama muzyka nie broni się jako wystarczający powód ani cel sam w sobie, a tym bardziej jako „najważniejsza dla ciebie sprawa".

– Przejrzałaś mnie – odparł Mattias. Patrzył na nią długo, a ona czekała, by wyznał jej uczucie takie samo jak to, które żywiła wobec niego. – Moją prawdziwą ambicją jest ujrzeć ciebie i twego syna razem, złączonych po latach. A jest to pragnienie jeszcze bardziej palące, odkąd poznałem go jako prawdziwie wspaniałego chłopca i, śmiem twierdzić, dobrego przyjaciela i towarzysza broni.

Mówił od serca i to ją wzruszyło. Choć jednocześnie dziwna była świadomość, że więcej czuje do tego mężczyzny niż do chłopca. Zazdrościła mu głębszej więzi z Orlandu, którego praktycznie nie znała. Przełknęła jednak i te uczucia, wraz z rozczarowaniem, i nie odpowiedziała.

– Zadanie to okazało się trudniejsze, niż się spodziewałem, żeby nie powiedzieć więcej – ciągnął Tannhäuser. – Sprawy zagmatwają się zresztą jeszcze bardziej, ale ja twierdzę, że upór ma swoje zastosowanie, gardzę zaś tymi, co poddają się rozpaczy. Jak wiesz, Orlandu jest bezpieczny przy moim patronie, Abbasie Ibn Muradzie, dowódcy Żółtych Sztandarów, człowieku wyjątkowej mądrości i łagodności. Prędzej czy później trafi do Stambułu, a tam odnajdę go ponownie, co nawiasem mówiąc, będzie znacznie łatwiejsze niż tutaj – dodał, wskazując ręką na piekło rozgrywające się dookoła. – W tej chwili problemem jest to, jak uciec z tego szalonego miejsca.

Carla nie zrozumiała w pierwszej chwili, bo była to myśl zupełnie dla niej obca.

– Uciec?

– Jeśli tylko znajdę sposób, uciekniesz ze mną?

– Opuścić Maltę?

– Opuścić, porzucić, zostawić, jak wolisz. Tylko ty, ja, Amparo i Bors.

– A co z pozostałymi?

– Ależ doskonale poradzą sobie z umieraniem i bez naszej pomocy, zwłaszcza że papież obiecał im niebo na pocieszenie.

Tannhäuser naprawdę o tym myślał.

– Nie mogę uwierzyć, że to mówisz – powiedziała.

– Złączyłaś swój los z losem Religii. Co więcej, zaangażowałaś się w to sercem i umysłem, a może nawet duszą. Rozumiem to. Człowiek znajduje pocieszenie w poczuciu przynależności. A żadne więzy nie działają silniej niż wspólne zagrożenie śmiercią. Nie wyobrażaj sobie jednak, że w grę wchodzą tu wyższe pryncypia. To tylko kolejna z wielu małych, brudnych wojenek. Dobiegnie końca. Zmienią się granice na mapach, a może i nie. I nastąpią kolejne wojny. I jeszcze następne. Ludzie tacy jak Sulejman i de la Valette będą je toczyć aż do końca rodzaju ludzkiego – bo jest to pragnienie właściwe naszemu gatunkowi – i nigdy, ale to nigdy nie zabraknie im powodów oraz chętnych, by to robić. Przyznaję, że trudno o piękniejszy sport. Tyle że teraz dostrzegam i urodę innych rozrywek. Dołączysz więc do mnie? Czy może pragnienie wojny ogarnęło i ciebie?

– Dla mnie to nie jest sport, lecz wynaturzenie. Mimo to myśl o ucieczce wydaje mi się zła.

– Twoja odwaga w obliczu śmieci nie potrzebuje większych dowodów. Być może jednak trzeba zbadać bliżej twoją odwagę w obliczu życia.

– A jeśli Religia zwycięży?

– Zwycięży? – Tannhäuser parsknął lekceważąco. – Czas zaciera ślady takich zwycięstw, i to bez wyjątków. Kogo dziś obchodzi Hannibal pod Kannami? Albo Tamerlan pod Ankarą? Albo Aleksander pod Gaugamelą? Wszyscy oni rozpadli się w proch, podobnie jak ich olbrzymie imperia, i tak też będzie z Osmanami i Hiszpanami, a także całą resztą, która dopiero się pojawi, zyska potęgę i upadnie. W moim pojęciu zwyciężyć znaczy dożyć tłustej starości, zobaczyć w życiu trochę piękna, a może nawet je stworzyć, zjeść niejeden znakomity posiłek, poczuć wiatr na twarzy oraz delikatne ciało kochanki w dłoniach.

– Moim obowiązkiem jest służba przy chorych. To święty obowiązek.

– Zatem nic dla ciebie nie znaczy twój syn. – Carla skrzywiła się, słysząc te słowa, w których, jak się lękała, mogło być ziarno prawdy. – A także Amparo, Bors i ja możemy, według ciebie, dołączyć do tych w rowie. My, którzy w twoim imieniu zeszliśmy do piekła.

Carla była już zupełnie zdezorientowana. Czuła palący wstyd i nie patrzyła Mattiasowi w oczy.

– Twardo trwałem przy zamiarze podróży do Trypolisu, póki nie usłyszałem, jak grasz – dodał Tannhäuser.

– Dlaczego więc nie pozostawiłeś nas z naszym szaleństwem i nie odpłynąłeś?

– Dlatego, że powstała we mnie ta głupia myśl, że cię kocham.

Spojrzała na niego bez słowa, z mocno bijącym sercem w gardle. Odwzajemnił spojrzenie.

– Bors powiada, że w czas wojny nie wolno ufać miłości. To dlatego, że wojna odbiera mężczyznom rozum, a miłość tylko pogłębia szaleństwo. To oznacza, że szaleństwem są rzeczy, o których mówimy, że czasem nie mówimy szczerze… Lecz mimo to…

Mattias wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Wtuliła się w jego dłoń i natychmiast poczuła dreszcz. Wsunął palce w jej włosy, gdy odchyliła głowę. Poczuła jego oddech na twarzy i spojrzała na niego. Miał intensywnie błękitne oczy, nawet w tym słabym, żółtym blasku ognia. Jej myśli odpłynęły, a ciało stopniało. Czuła radość, smutek i strach jednocześnie. A także cień winy. Rozchyliła usta, przymknęła oczy i wtedy ją pocałował. Jego broda drapała jej skórę. Pachniał prochem strzelniczym i potem, a zapach owego potu przypomniał jej tę pierwszą chwilę pragnienia, które ogarnęło ją w ogrodzie różanym na wzgórzu. Zdumiewająco delikatny był dotyk jego warg. Westchnął wprost do jej wnętrza i mocniej docisnął usta. Chciała wtulić się w niego z całych sił, objąć go i być obejmowana, zaspokoić pragnienie, upaść, poddać się, zapomnieć i zniknąć na zawsze w jego ramionach. Tylko że jej kończyny za nic nie chciały się poruszyć i dlatego tylko jej policzek spoczywał na jego dłoni, jakby unosił się na łagodnej fali rozkoszy. Tannhäuser oderwał usta od jej warg i cofnął dłoń. Nie poruszyła się i nie chciała się poruszyć, tak jak nie chciała końca tej pieszczoty.

– Ty płaczesz – powiedział.

Otworzyła oczy i mimowolnie dotknęła dłońmi policzków. Były mokre. Wytarła je, czując się bardzo głupio. Chwila uniesienia minęła.

Mattias usiadł znów na swym kamieniu. Był wycieńczony, ale zdawało jej się, że gnębi go coś więcej niż tylko zmęczenie. Na tle czarnej maski prochu i sadzy jego oczy wydawały się wielkie. Do tej pory zawsze robił wrażenie pewnego siebie, teraz dopiero dostrzegła w nim zwątpienie, takie samo jak to, które sama znała. Mattias spuścił powieki, a kiedy je podniósł, znowu był sobą.

– Wybacz – rzekł. – Zabiłem dziś wielu ludzi, których imion nigdy nie poznam. Mój mózg osłabł od huku wystrzałów i niesprawiedliwie przelanej krwi.

Sięgnął po bukłak z winem. Panika ogarnęła Carlę w jednej chwili. Nie chciała przeprosin. Chciała czegoś tak pierwotnego, że aż nie umiała tego nazwać. Bors miał słuszność. Miłość, wojna, szaleństwo. Spustoszenie, zaraza, krew. Matki, synowie, mężczyźni. Seksualny głód, który katował ją teraz swym objawieniem. Tak wiele wiedziała, a zarazem tak mało. Zamrugała, by rozproszyć łzy, które zamazywały świat. Niewiele myśląc, podchwyciła jego ostatnie słowa.

– Niesprawiedliwie przelanej?

Niewłaściwe słowa. Słowa bez znaczenia. Czuła, że umyka jej całe znaczenie tej chwili. Morderczy wiatr porywał w noc całą rozmowę, pocałunek, cały jego zapał.

Mattias wzruszył ramionami, wpatrzony w korek bukłaka, który trzymał w dłoni. Widziała, jak znowu zamyka się w sobie.

– Rzadko przelewa się inaczej – odparł. – Choć oczywiście większość z walczących tutaj jest odmiennego zdania. Żołnierze islamu. Żołnierze Chrystusa. Jedni dla drugich są diabłami, a szatan chichocze w rękaw.

Podał jej bukłak, ale potrząsnęła głową. Napił się sam i otarł usta. Wzdrygnęła się, jakby wraz z kroplami wina starł z nich ten pocałunek. Jakby pocałunek nigdy nie istniał. Jakby to był tylko sen, jakich wiele. Lecz jej serce wciąż biło przyspieszonym rytmem i wciąż czuła na wargach smak tego mężczyzny. Nie chciała rozmawiać o wojnie i zabijaniu. Chciała rozmawiać o miłości. Chciała, żeby to on o niej mówił. Brakowało jej jednak wprawy w tych sprawach. Głos uwiązł jej w gardle, a ramiona pozostały sztywne. Wycofała się, podobnie jak on. Ale on przecież nie mógł się wycofać, odwrót nie leżał w jego naturze. Sięgnął po chustkę, którą trzymał w rękawie, i otarł jej policzki. Materiał był brudny i mokry od potu, ale jego dotyk był dla niej pieszczotą.

– Znacznie lepiej przelewać łzy – powiedział, uśmiechając się pocieszająco. Schował chustkę na powrót do rękawa. – Petrus Grubenius przypuszczał, że łzy są w istocie krwią, z której wszelka moc została wyssana przez membrany w mózgu. Nie umiał tego dowieść, ale prawdą jest, że podobnie smakują: są bardziej słone niż mocz, ale mniej słone niż morska woda. Wierzył, że płacz jest rzeczą niezmiernie zdrową, niejako naturalnym substytutem upuszczania krwi, które tak uwielbiają nasi chirurdzy. Wielu ludzi zgodzi się też ze mną, że płacz odbudowuje złamanego ducha.

Carla odpowiedziała uśmiechem. Ciepło Mattiasa wygnało z niej panikę. Zaciekawiło ją nazwisko, które raz słyszała już z jego ust.

– Powiedz, kim jest Petrus Grubenius?

– Był lekarzem, astronomem, alchemikiem i filozofem magii naturalnej w tylu jej postaciach, ile tylko zdołał poznać: zajmował się kosmologią, fizyką, destylacją leków i eliksirów, transmutacją metali, szyframi, sekretami magnetytu i soczewkami. – Mattias rozłożył ręce. – Krótko mówiąc, zgłębiał wszystko, co cudowne. Nie znał gniewu i podłości ani też strachu przed tym, co inne, który tak wielu z nas zmienia w dzikie zwierzęta. Co najważniejsze, był moim dobrym przyjacielem. Właśnie w nim samym kwintesencja, której sekrety były jego Świętym Graalem, ucieleśniła się w najwyższej formie.

Pasja, z jaką Tannhäuser opowiadał o Grubeniusie, podszyta zadawnionym smutkiem, poruszyła Carlę do głębi.

– Mów dalej – zachęciła go.

– Cóż – zaczął Mattias, zacierając ręce. – Jak wiesz, Grecy – ci z dawnej ery, zanim jeszcze stali się tym żałosnym ludem, który znamy dzisiaj – wyróżniali cztery podstawowe żywioły wszechświata: ogień, ziemię, wodę i powietrze. Pitagoras uznawał istnienie piątej, najwyższej siły, którą nazywał kwintesencją. Miał to być żywioł nadrzędny, z którego zrodziły się same gwiazdy i wiele innych rzeczy żywych i martwych; siła nie tylko życia, ale samego bytu.

– Chodziło mi raczej o twoją przyjaźń z Grubeniusem.

Przez krótką chwilę Mattias wyglądał na zniechęconego, jakby spodziewał się jej zainteresowania rzeczami przyziemnymi, a nie nieskończonością.

– Może wydam ci się osobą szorstkiego umysłu albo nazbyt kobiecą, ale ty intrygujesz mnie znacznie bardziej niż Pitagoras – dodała.

Mattias odetchnął głęboko przez nos, jakby czekało go niezmiernie trudne zadanie.

– Niewiele czasu spędziłem w kraju Franków – powiedział. – Walczyłem jakiś czas dla Alvy przeciwko Francuzom w Piemoncie i właśnie zostałem zwolniony ze służby. Jako że od dzieciństwa nie znałem innego zajęcia, byłem jednym z wielu zwyczajnych żołnierzy wyczekujących kolejnej wojny. Petrus zaś był już starym człowiekiem o dziwnej naturze i dziwnych nawykach – mieszkał samotnie, niewiele przejmując się takimi sprawami, jak wygląd czy maniery. Jego uszy, nozdrza i brwi były niezmiernie owłosione, a ręce zniszczone od najróżniejszych eksperymentów, choroba biodra sprawiała zaś, że kulał. Odpędziłem raz grupkę bravi, którzy drwili z niego na ulicy, a on zaprosił mnie do domu na kolację. Nie wiem, co we mnie dostrzegł tamtego wieczoru, ale odtąd przez dwa lata mieszkaliśmy pod jednym dachem. I były to lata, jakich nigdy już nie zaznam.

Carla dostrzegła jego tęsknotę za zupełnie innym życiem, zupełnie innym losem, który dawno temu wydarto mu z rąk, ale ślad żalu zniknął w napływie przyjemnych wspomnień.

– Jego warsztat był pracownią sztuk hermetycznych. Wszystkie pokoje w jego domu wypełniały tomy dzieł, z których wiele napisał własną ręką. Była to zdumiewająca mieszanka wiedzy, umysł Petrusa nigdy bowiem nie chadzał utartymi ścieżkami. Cieszyła go moja prostacka ciekawość, a jako że wiek pozbawił go zręczności, moje kowalskie umiejętności, choć nikłe, miały dla niego pewną wartość. Tak zostałem jego uczniem i asystentem. – Mattias wypowiedział te słowa z wyraźną dumą i pociągnął zdrowy łyk wina. – I dobrze się stało, bo wkrótce Petrus odkrył, że umiem czytać arabskie pismo. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo się uradował tym faktem – nie przymierzając tak, jakby odkrył kamień filozoficzny! – zawsze bowiem fascynowała go arabska nauka. Tak się złożyło, że miał w swej bibliotece rzadki traktat Abu Musy Dżabira, mędrca z Bagdadu, którego sekretów nie umiał zgłębić. Dzięki mnie znalazł do nich klucz. Wielu słów nie rozumiałem, ale dzięki swemu geniuszowi w kwestii szyfrów Petrus odnajdywał znaczenia, których ja nie widziałem. – Tannhäuser spojrzał na Carlę. – To były szczęśliwe dni. W Mondovì.

– Więc dlaczego dobiegły końca? – spytała.

Zmarszczył brwi.

– Pojawiły się plotki, że w mieście krzewi się luterańską herezję i że waldensi schodzą z gór, o czym Petrus i ja nie mieliśmy pojęcia. Michele Ghislieri, niech jego dusza będzie przeklęta, przysłał do Mondovì inkwizycję.

Mdłości ogarnęły Carlę w jednej chwili.

– Robactwo wypełzło z lasu, jak to się mówi, i wkrótce wezwano przed trybunał i Petrusa Grubeniusa. Oskarżono go o uprawianie magii i nekromancji, a także inne zbrodnie, tak podłe, że wolę o nich nie mówić. Odmówił opuszczenia domu, który był dla niego wszystkim, ale z elokwencją, której nigdy mu nie brakowało, namówił mnie do ucieczki. Wstyd się przyznać, ale usłuchałem go. Ujechałem pięć mil, zanim niesmak zwyciężył i zawróciłem w stronę miasta.

Na oczach Carli twarz Mattiasa z każdą chwilą stawała się mroczniejsza.

– Noc zapadła i już z drogi widziałem blask płomieni. Pomyślałem, że to stos dla Petrusa i że już wszystko stracone, ale przekonałem się, że zadano mu tortury znacznie bardziej podstępne i długotrwałe. Płonęła jego biblioteka. Setki ksiąg i manuskryptów; samo ich zgromadzenie mogło być dziełem życia, bo gotów był jechać tysiąc mil, by zdobyć jeden cenny wolumin, do Frankfurtu, Amsterdamu, Pragi. Miał teksty Teofrasta, Jana Trithemiusa

ze Sponheim, Rajmunda Lullusa, Alberta Wielkiego, Agrypy, Paracelsusa i wielu innych. Wiedza dwóch tysiącleci szła z dymem na jego oczach. Co gorsza, jego własne pisma rzucono w płomienie, a było to dzieło niezrównane i nie istniała żadna jego kopia.

Mattias przełknął ślinę. Jego oczy były wilgotne, ale czy z powodu smutku, czy furii, tego Carla nie umiała rozstrzygnąć.

– Banda tych samych bravi, o których już wspomniałem, podsycała ogień, a ich gęby promieniały złem i poczuciem własnej nieomylności. Petrus patrzył na to wszystko, siedząc tyłem na ośle, całkiem nagi. Jestem pewny, że w tamtej chwili był już zupełnie załamany. Z natury był delikatny jak kryształ i mimo całej swej mądrości nie umiał pojąć, co wprawia ludzi w ten diabelski szał.

Tannhäuser umilkł.

– Co wtedy zrobiłeś? – spytała po chwili Carla.

– Mówiłaś kiedyś o bezradności i jej odium.

Te słowa zabrzmiały prawie jak pytanie; nie sądziła, by kiedykolwiek połączyło ich właśnie takie doświadczenie: bezsilność. Wiedziała, jak wiele musiało go kosztować to wyznanie. Skinęła głową.

– Co zrobiłem? Stałem w tłumie i patrzyłem na wielkie ognisko. Nic nie zrobiłem.

Zmrużył oczy i nic już nie można było z nich wyczytać w migotliwym świetle. Carla była poruszona; czuła się bliższa Mattiasowi niż kiedykolwiek wcześniej.

– Sam brałem w życiu udział w takich scenach i znałem ten diabelski szał. W Persji paliliśmy całe miasta, jedno po drugim, niszcząc monumenty starsze niż Świątynia Jerozolimska. Ale dopiero wtedy, gdy tak stałem w tłumie, naszła mnie myśl, że bliżej mi do tych wiwatujących bravi niż do Petrusa i że sen dobiegł końca, a świat jest taki, jaki jest, a nie taki, jakim chcieliby go widzieć ludzie pokroju Grubeniusa.

Przeciągnął dłonią po twarzy, a Carla ledwie powstrzymała odruch, który nakazywał jej uścisnąć tę brudną rękę. Mattias mówił dalej.

– Zaniosłem do więzienia jedzenie i wino, ale gdy dopuszczono mnie do Petrusa, przekonałem się, że stracił kontakt ze światem i milczał, jak dziecko w zadziwieniu stojące przy drodze i patrzące, jak zbójcy łupią jego miasto. – Carla musiała jakoś zareagować na te słowa, bo Mattias spojrzał na nią i pokiwał głową. – Tak. Widywałem i takie twarze. Nie masz pojęcia, jak wiele.

– Mów dalej – szepnęła.

Wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mogłem być strażnikiem więziennym – nie poznał mnie i tak było już każdego dnia. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Tydzień później spalili go na placu i w tym momencie był to już akt łaski z ich strony. Ja zdołałem przynajmniej przekonać kata, żeby się zlitował: dałem mu woreczek prochu strzelniczego, który uwiązał do szyi Petrusa.

Coś zadźwięczało w ciemności opodal i Mattias uniósł głowę. W jego oczach pojawił się zabójczy błysk i Carla poczuła, że gdyby nie jej obecność, dobyłby miecza i użył go. Obejrzała się przez ramię i zamarła.

Ludovico stał na rumowisku, w czarnej zbroi uwalanej piachem i darnią. Hełm trzymał za pasek w lewej dłoni. W jego oczodołach płonęły dwie iskry, a jego twarz, ściągnięta skrajnym wyczerpaniem, nie zdradzała żadnych uczuć.

– Podzielicie się jadłem z bratem chrześcijaninem?

Carla odwróciła głowę, bo wypowiedział te słowa, patrząc prosto w jej oczy. Bała się jak nigdy dotąd. Mattias spojrzał na nią przelotnie i wyczuła, że kipi żądzą mordu. Miała nadzieję, że nad nią zapanuje, choć nie bardzo wiedziała dlaczego. Tannhäuser wstał.

– Skoro nasz brat jest na tyle bezczelny, by pytać, to proszę, niech sobie z nami usiądzie – odpowiedział.

Ludovico zbliżył się, kulejąc; na tę dolegliwość cierpieli już wszyscy w garnizonie, z wyjątkiem Borsa. Skłonił się Carli i usiadł. Odłożył hełm i zdjął rękawice, lepkie i sztywne od zakrzepniętej krwi. Przeżegnał się i pomodlił po łacinie. Mattias podał mu bukłak z winem i patrzył, jak pije, a potem sam pociągnął łyk. Ludovico jadł małymi kęsami, żując każdy długo i w skupieniu godnym ascety. Wbił wzrok w sobie tylko znany punkt.

Mattias patrzył na Ludovica.

Nikt się nie odzywał.

Carla czuła narastający niepokój. Miała wrażenie, że toczy się walka, której reguł nie rozumie i w której zwycięstwo może oznaczać nagłą śmierć. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała. Nie wiedziała też, czy powinna zostać czy odejść, więc siedziała, nieruchoma i spięta. Spoglądała ukradkiem to na jednego, to na drugiego, ale żaden nie odwzajemnił jej spojrzeń. Wreszcie splotła dłonie na podołku i wbiła wzrok we własne kolana. Nie pomogło: mdłości narastały, a cisza wokół ogniska stała się nie do zniesienia, potężniejsza od ciemności, zdolna stłumić nawet odgłosy bitwy. Gdy nie mogła już tego wytrzymać, podniosła się z kamienia.

Obaj mężczyźni zerwali się na równe nogi.

– Dziękuję za kolację i towarzystwo – powiedziała do Mattiasa. – Muszę wracać do pracy.

– Nie – odparł. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Zostań – poprosił. – Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Ludovico skłonił się raz jeszcze.

– Nie chciałem być nieuprzejmy – rzekł. – Oddalę się natychmiast, jeśli sobie tego życzysz.

Carla zauważyła, że Mattias uśmiecha się drwiąco.

– Dokończ jedzenie, mnichu – powiedział. – A kiedy już napełnisz brzuch, odpełznij z powrotem w mrok.

Ludovico obdarzył go spojrzeniem bez wyrazu.

– Siadaj – dorzucił Mattias. – Nasze ścieżki musiały się kiedyś skrzyżować, a ta chwila jest równie dobra jak każda inna. – Jakby nie chciał dać się prześcignąć w kwestiach etykiety, skłonił się Carli i dodał: – Oczywiście pod warunkiem, że towarzystwo mnicha nie jest ci niemiłe, pani. Bo jeśli jest, on to zrozumie równie dobrze jak ja.

Zastanawiała się, dlaczego Mattias chce, by Ludovico został przy ognisku. Skinęła głową i wszyscy troje na powrót zajęli miejsca na kamieniach. Nie mogła przestać myśleć o tym, że obaj są zabójcami; jej wzrok uparcie wracał ku zakrwawionym pancerzom. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że obaj zabiegali o jej względy – doskonale wyczuwała napięcie, w jakie wprawiała ich ta próba męskości. Czuła się, jakby siedziały obok niej dwa rywalizujące ze sobą psy myśliwskie. Cieszyła się jedynie, że przerwała milczenie; miała nadzieję, że jakkolwiek potoczy się rozmowa, nie będzie musiała rozdzielać ich, gdy skoczą sobie do gardeł.

Ludovico skinął głowę w tę stronę, z której dochodziły odgłosy walki.

– Jesteś ekspertem w sprawie niewiernych, kapitanie Tannhäuser. Ilu jeszcze z tych diabłów będziemy musieli zabić, zanim spakują się i wrócą do domu?

– Śmiałe słowa jak na księdza, który ma w zwyczaju wysyłać swoje sługi, by zabijały za niego.

Ludovico spojrzał na niego z krzywym uśmiechem.

– Pytałem poważnie.

Mattias odpowiedział w tym samym duchu, choć pod maską uprzejmości wciąż czaiła się wściekłość.

– Armie Sulejmana nie zrezygnowały z oblężenia od dwudziestego dziewiątego roku, ale wtedy, pod Wiedniem, pokonała ich przede wszystkim zima. Tu raczej nie możemy liczyć na takiego sprzymierzeńca.

– Możemy natomiast liczyć na miłosierdzie Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

– Wystarczy, że padnie z twoich ust, a już zbrukane jest jego imię – zauważył Mattias. – Nie zbrukałbyś go bardziej, gdybyś je wypowiedział dupą.

Carla była w szoku, ale nie odezwała się. Dlaczego tak go prowokował?

Ludovico nie wyglądał na obruszonego.

– Cieszę się, że bronisz godności naszego Zbawiciela, kapitanie.

– Wiem o słowach i czynach Chrystusa więcej niż tacy jak ty – odparł Mattias. – A to dlatego, że sam czytałem Ewangelie, listy Pawła oraz Dzieje Apostolskie – wyjaśnił, spoglądając na Carlę. – Choć podobno jest to zbrodnia karana śmiercią. Panowie Ludovica zakazali wszak wydawania własnej Świętej Księgi w językach prostych ludzi. Zdumiewający pomysł, chyba wszyscy się zgodzimy, lecz jakże pomocny w pracy Świętej Inkwizycji.

– Bez wskazówek Matki Kościoła prosty człowiek w żaden sposób nie może pojąć świętych tekstów – wyjaśnił Ludovico. – Przez to zaś może dojść do fałszywych wniosków – dodał, patrząc na Carlę. – Nie potrzeba chyba na to większych dowodów niż zło protestantyzmu.

– Chrystus był prostym człowiekiem – odparował Mattias. – A gdyby umiał przewidzieć całe zło, które popełnicie w Jego imieniu, nigdy nie porzuciłby swoich narzędzi i nie odszedł z warsztatu Józefa.

– Jeżeli odwróciłeś się od jedynego prawdziwego Kościoła – odparł Ludovico – to dlaczego walczysz u boku żołnierzy wiary?

– Prawdziwą wiarę żołnierz pokłada w samej walce, nie w sprawie, za którą walczy.

– Podobno na polu bitwy wszyscy wierzą w Boga.

– Możliwe, bo nader chętnie wykrzykują Jego imię. Ale gdybym ja był Bogiem, nie byłoby to dla mnie pochlebstwem, a tym bardziej pocieszeniem. Jak powiedziałby Petrus Grubenius, ich ostatnie błagania o Jego miłosierdzie trudno uznać za solidne dowody Jego istnienia.

– Ach – westchnął Ludovico. – Znowu Grubenius.

– Carla pytała, w jaki sposób zakończył swój żywot.

– A ty jej powiedziałeś – dokończył Ludovico z kamienną twarzą.

Mattias skinął głową.

– Powiedziałem jej wszystko, prócz imienia człowieka, który odpowiada za jego śmierć. Nie musiałem wszakże tego robić, ponieważ serce podpowiedziało jej prawdę bez mojego udziału.

Ludovico spojrzał na Carlę tak, że zrobiło jej się słabo.

– Grubenius był błyskotliwym człowiekiem – rzekł. – Jego wieczna dusza została ocalona tamtego dnia, bo gdyby pozostał na wolności, z pewnością skazałby ją na wiekuiste potępienie. Mattias i ja patrzyliśmy, jak umierał w płomieniach – dodał i spojrzał na Tannhäusera. – Kapitan przewyższał o głowę większość gapiów na placu, więc chyba zapamiętałbym, gdyby protestował.

Carla w napięciu czekała na walkę, która wydawała jej się nieunikniona.

Mattias ani drgnął.

– Prezentował się zbyt godnie – Ludovico znowu zwrócił się ku Carli – bym mógł go nie zauważyć, na pewno sobie wyobrażasz. – Był spokojny, jak zawsze, tylko jego oczy płonęły zazdrością. Sięgnął do kosza po ostatni kawałek chleba, ale nie wziął go do ust. – Wyglądasz mi na zdenerwowaną, Carlo. I na pewno jesteś wyczerpana. Odpoczynek dobrze ci zrobi.

Miał rację, bardzo pragnęła oddalić się od tego miejsca, ale wyczuwała, że jeśli to uczyni, będzie to znak pewnej zmiany w jej postawie. I że o to chodziło Ludoviciemu. Potrząsnęła głową.

– Mamy z Mattiasem wiele spraw do omówienia – odparła.

Celowo użyła imienia, a Ludovico w lot to zauważył.

– Nie wątpię – powiedział, po czym zwrócił się do Tannhäusera. – Carla wspomniała mi, że zamierzacie się pobrać.

Spojrzała z niepokojem na Mattiasa. Nie mówiła mu o nocnej wizycie Ludovica; za bardzo bała się tego, co mógłby uczynić, gdyby się dowiedział. Mattias jednak tylko skinął głową, jakby ich układ był całkiem oczywistą sprawą.

– To prawda, jesteśmy po słowie. – Uśmiechnął się do Carli i ta odrobina ciepła rozwiała jej lęk. – Mam nadzieję, że pobłogosławisz nas i życzysz wszystkiego najlepszego.

– Jak już mówiłem, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, szczęśliwy z ciebie człowiek.

– I cenię sobie tę reputację – odparł Mattias. – A słyszałem, że i twoja uległa tak bardzo potrzebnej poprawie – zostałeś Rycerzem Sprawiedliwości?

Ludovico skinął głową. Po każdej nowej zniewadze Carla zastanawiała się, czy już nadszedł czas starcia.

– Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będzie mi żal de la Valette'a – ciągnął Tannhäuser – ale przyznam, że na wieść o twoim wstąpieniu właśnie tak się poczułem.

– Dlaczego żal?

– Dlatego że ty go zniszczysz. I jego ukochany zakon też.

Ludovico zamrugał ze zdziwieniem.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– A po cóż innego miałbyś wracać na Maltę? Niszczenie to twój zawód, nieprawdaż?

Ludovico obracał w palcach ostatni kawałek chleba.

– Nawet gdybym żywił równie fantastyczną ambicję, jakąż moc do wykonania takiej misji mógłby mieć skromny rycerz?

– A, tak – mruknął Mattias. – Skromny rycerz. Pokorny ksiądz. W kwestii sztuki wojennej de la Valette może być tknięty geniuszem, ale w sztuce polityki jest równie naiwny jak mały chórzysta w sypialni biskupa.

– Nie doceniasz wielkiego mistrza.

– Taką mam nadzieję. Ale nie lekceważę ciebie. De la Valette nie opuścił tej wyspy od lat, a i wcześniej rzadko stawiał nogę na stałym lądzie, nie mówiąc już o odwiedzaniu tego wężowiska, którym jest Rzym, gdzie tobie podobni prowadzą swe obleśne interesy. Nawet Oliver Starkey jest prosty jak struna, a uchodzi za jednego z najlepszych dyplomatów Religii. To są ludzie, którzy dotrzymują słowa, którzy spłacają swoje długi, którzy dochowują przysiąg. – Mattias pochylił się nieznacznie. – Ludzie, którzy nie łamią świętych ślubów. Nie sprowadzają hańby na Odkupiciela. Nie ukrywają własnego zła za stosami, na których palą innych ludzi. Nie porzucają młodych dziewcząt, by same zapłaciły cenę za ich nieumiarkowanie.

Carla obserwowała, jak Ludovico z wolna odwraca głowę i mruży oczy, słuchając tej litanii obelg. Było to pierwsze i jedyne tego wieczoru pęknięcie w surowej fasadzie jego twarzy. Lecz choć szybko zostało naprawione, nie ośmielił się spojrzeć jej w oczy.

– Brat Starkey zapewne byłby zafascynowany tą spiskową teorią – odrzekł po chwili. – Dlaczego go nie oświecisz?

– Uczciwi ludzie mają poważne problemy ze zrozumieniem dwulicowości – odparł Mattias. – Zwłaszcza gdy zachodzi ona na tak wielką skalę. Pochlebiam sobie myślą, że jestem prawie tak szczwany jak ty, ale nie mam tego atutu, którym są mnisze szaty i imponujące doktoraty, a także kieszenie pełne relikwii i bulli papieskich.

– To się dobrze składa – zauważył Ludovico – bo nasze interesy najwyraźniej nie są sprzeczne.

Rzucił piętkę chleba z powrotem do kosza i podniósł z ziemi hełm. Wstał i ukłonił się Carli. Mattias również się podniósł.

– Cieszy mnie świadomość, że nasz syn jednak żyje – powiedział Ludovico. – Nawet jeśli znalazł się w rękach muzułmańskich demonów.

– Mógłby trafić znacznie gorzej – odrzekł Mattias. – Mógłby znaleźć się pod wpływem ojca.

Nieznaczny ruch szerokiej, pokrytej niebieskawym cieniem zarostu szczęki podpowiedział Carli, że cierpliwość Ludovica jest na wyczerpaniu.

– Mimo wszystko – odezwał się mnich, spoglądając na Mattiasa – modlę się o jego szczęśliwy powrót do wyznawców Chrystusa. Poświęcam mu wiele myśli. Wypełnił moje serce substancją, której istnienia nawet nie podejrzewałem, i za to dziękuję Bogu. – Jego spojrzenie było teraz tak szczere, że przez chwilę Carla nawet mu współczuła. – Powiedz mi jeszcze, ale szczerze, jakim człowiekiem jest mój syn?

Ludovico otworzył swoje serce. Mattias postanowił zacisnąć na nim pięść.

– Lista jego zalet zatrzymałaby nas tu do świtu – odrzekł. – Dość powiedzieć, że diabelnie trudno mi uwierzyć, iż wyrósł z twojego nasienia.

Usta Ludovica zacisnęły się z mocą.

Mattias zasalutował mu na pożegnanie:

– As-Salamu alajkum.

– Pax vobiscum.

Spoglądając za Ludovikiem, który kuśtykając, znikał w ciemności nocy, Carla nie mogła opanować odruchu litości. Nigdy nie widziała człowieka tak zagubionego w mroku własnej duszy – być może z wyjątkiem swego ojca.

Mattias rozejrzał się uważnie.

– Anacleto musi być gdzieś w pobliżu. Cud, że mnie nie zastrzelił. Pewnie by to zrobił, gdyby nie twoja obecność.

– Anacleto?

– Prawa ręka Ludovica. Jego cień. Jego nóż w plecy. Człowiek uderzającej urody i podłego charakteru. Przypomina mi sułtańskich zabójców, głuchoniemych eunuchów z seraju. Potrafi poruszać się bezgłośnie. – Mattias wziął Carlę pod ramię. – Wróćmy do szpitala. Będę spokojniejszy, wiedząc, że przynajmniej tę noc spędzisz w bezpiecznym miejscu.

Zgodziła się bez oporu i razem ruszyli przez miasto.

– Tak surowo go potraktowałeś, że bałam się pojedynku – wyznała. – Co chciałeś osiągnąć?

– Nie mam zwyczaju pojedynkować się z kimś, kogo nie szanuję. Takim jak on zwykle podrzynam gardło we śnie. Trzeba jednak przyznać, że przełknął pół tuzina śmiertelnych zniewag i wytrzymał. Poza tym nie jest tchórzem. I właśnie stąd wnoszę, że w jego oczach już jestem trupem. A ty już jesteś jego własnością. Teraz tylko czeka na odpowiedni moment. – Tannhäuser zmarszczył czoło. – Opowiedz mi, Carlo, co zaszło między wami, kiedy mnie tu nie było?

– Zatrzymałam to dla siebie, bo…

– To nie jest istotne.

– Przyszedł do mojego pokoju w oberży w samym środku nocy. – Dostrzegła na twarzy Mattiasa grymas, który utwierdził ją w przekonaniu, że słusznie lękała się wspomnieć o nocnym spotkaniu.

– Gdzie byli Bors i Nicodemus?

– Bors na służbie, Nicodemus spał w kuchni.

Mattias nachmurzył się, ale nic nie powiedział.

– Kroki Ludovica też są bezgłośne – dodała.

– Co ci powiedział?

– Postradał rozum. Mówił, że chce się ze mną ożenić i spłodzić nowe dziecko w miejsce Orlandu.

– Szaleństwo wojny, szaleństwo miłości… W tym przypadku także szaleństwo władzy.

– Całe swoje życie uważa za potworny błąd, chciałby je naprawić poprzez związek ze mną. Chcąc go powstrzymać, powiedziałam mu, że kocham innego, a on od razu wiedział, że mówię o tobie.

– Mam nadzieję, że nie był to wyłącznie podstęp z twojej strony – odrzekł Tannhäuser, szczerząc zęby. – Nie myśl już o Ludovicu. Nie będzie cię więcej niepokoił. Myśl tylko o naszej ucieczce, jeśli zdołam cię przekonać…

– Już mnie przekonałeś.

– To dobrze. Nie mów o tym nikomu, nawet Amparo.

Zatrzymała się, tknięta nagłą myślą o zdradzie. Uliczka była wąska i pusta. Stanęła blisko Mattiasa, by spojrzeć mu w oczy.

– Amparo musi płynąć z nami – powiedziała.

Wyglądał na tak obrażonego, że obleciał ją strach.

– Za kogo ty mnie uważasz?

Zanim zdążyła przeprosić, machnął ręką.

– Prędzej zostawię tu własne zwłoki niż Amparo – obiecał i zaraz umilkł na chwilę, z wyrazem lekkiej dezorientacji na twarzy. – Posłuchaj, musimy sobie coś wyjaśnić. Bardzo kocham Amparo, ale nie tak jak ciebie. Nie mniej. Może nawet bardziej. Kto to może zmierzyć? Mężczyzna, kobieta? Nikogo nie zwodzę i wyznaję ci szczerze, że sam się gubię w tych sprawach. Serce i lędźwie nie zawsze służą ludzkiej woli. A ty i Amparo jesteście naprawdę wyjątkowe. Co jeszcze mogę powiedzieć? W katalogu moich problemów mętlik ten nie zajmuje w tej chwili nazbyt wysokiej pozycji, bo nie jest sprawą najpilniejszą, ale z drugiej strony to właśnie on jest przyczyną pozostałych komplikacji, prawda? Gdyby nie wy dwie, nie byłoby mnie tutaj. A jeśli zgrzeszyłem, to jest to sprawa nic nieznacząca wobec innych moich win. Tak czy inaczej, jeśli przeżyjemy tę awanturę, sprowadzę Orlandu do domu i jeśli wciąż będziesz chciała, weźmiemy ślub i tak będziemy trwać – ty, ja i Amparo, a co ma być, to będzie.

Umilkł, a Carla skinęła głową.

– Aż do tej pory jestem skłonny zostawić sprawy w takim stanie, w jakim są. Morze i tak wzburzone, więc po cóż jeszcze trząść łodzią? Zgodzisz się na to?

Co dawał jej jedną ręką, to drugą odbierał, ale przynajmniej odważył się być sobą i jego bezpośredniość zrobiła na niej wrażenie. Jeśli jestem głupia, pomyślała, niech i tak będzie. Poczuła impuls i niewiele myśląc, uniosła głowę, a on pocałował ją w usta. Przygarnął ją do siebie tak, że musiała stanąć na palcach, i poczuła pod brzuchem jego męskość. Ogarnęła ją przemożna chęć oddania mu się tu, w tej ciemnej uliczce. Inna siła próbowała zapanować nad pożądaniem, ale ciepło jego ust owiało jej szyję, dłonie zacisnęły się na kibici i straciła dech. Usłyszała szelest materiału, gdy wsuwał twarde dłonie pod jej spódnicę. Jego palce przesunęły się po udzie, przyprawiając ją o dreszcze rozkoszy i zawroty głowy. Tylko w jej sercu trwała wojna. Nie zrezygnuję z tego ze strachu ani fałszywej pobożności, pomyślała, ale ani jednego, ani drugiego nie znalazła w swojej duszy i to samo w sobie było jej zwycięstwem. Miała jednak inne, znacznie lepsze powody, by nie konsumować uczuć chyłkiem, w ciemnym zaułku. On był gotów zawieść Amparo – a wracał wprost z pola krwawej bitwy i nie śmiała go osądzać – ona jednak nie miała takiego zamiaru. Poczuła jego palce w wilgotnym miejscu pomiędzy udami – o Boże, o mój dobry Panie! – ale odsunęła je stanowczo i cofnęła się o krok. W buncie przeciw naturalnemu instynktowi położyła rękę na

jego piersi. Zrozumiał natychmiast i choć jego oczy były pełne pożądania, nie naciskał więcej. Odstąpił i odgarnął włosy z czoła.

– Aż do tej pory zostawić sprawy w takim stanie, w jakim są – powiedziała.

– Wybacz mi – odparł chrapliwym głosem. – Wiatr niesie dziś ze sobą szaleństwo. I więcej niż jedna bestia ciągnie jego wóz. – Mattias spojrzał na nią przytomniej i uśmiechnął się smutno. – Przynajmniej w tej sprawie jesteś rozsądniejsza ode mnie. – Spojrzał w stronę wylotu ulicy i szpitalnego placu. – Dobrze, że jesteś prawie w domu – dodał. – A ja mam pilne sprawy, którymi muszę się zająć, i dlatego teraz się pożegnamy.

– Jakie pilne sprawy? – spytała z niejasnym podejrzeniem.

– Wojskowe.

Carla wyczuła w nim tę samą lodowatą pustkę, którą po raz pierwszy dostrzegła na drodze do Syrakuz, zanim zamordował księdza. Widziała też, że nie powie jej nic więcej. Nagle wyszarpnął z rękawa przepoconą chustkę i przycisnął do jej szyi.

– Ubrudziłem cię – rzekł.

Błysnął krzywymi zębami na umorusanej twarzy, a potem już tylko patrzyła, jak oddala się w stronę frontu.

Zastała Amparo śpiącą na wąskim łóżku i z trudem ułożyła się obok niej. Dziewczyna poruszyła się przez sen, a Carla otoczyła ją ramionami. Nie czuła wyrzutów, bo jej serce zbytnio wypełniała miłość. Miłość do wszystkich bliskich jej osób. Dziękowała Bogu za takie towarzystwo. Modliła się do Jezusa o zrozumienie i wybaczenie, choć nie była dokładnie pewna, za co powinna przepraszać. Nie wątpiła, że w otoczeniu tak strasznego zła każda miłość jest dobrem. Miłość Mattiasa do dwu kobiet, nawet miłość Ludovica do niej. Modliła się za Mattiasa i Amparo. Modliła się za Orlandu. Modliła się też, by Bóg uleczył szaleństwo i ból Ludovica.

Wreszcie wyczerpana zapadła w głęboki sen. We śnie jej duch szybował ponad fantastycznymi gwiezdnymi królestwami i przez mistyczne wiry nieznane trzeźwemu umysłowi, a wszystko to napełniało ją zachwytem i tęsknotą za światami, do których nie było powrotu. Niewiele z nich pamiętała, gdy się ocknęła, poza tym, że nie było w nich ani śladu strachu i cierpienia.

I dobrze się stało, nadchodzący dzień miał bowiem przynieść pod dostatkiem jednego i drugiego.

Nocny szturm na mury zakończył się o brzasku, z bardzo ciężkimi stratami. Amparo już nie było, więc Carla zabrała tylko swą torbę z bandażami, igłami i nicią i zeszła na dół, by pomagać potrzebującym najlepiej jak umiała. Mijała dopalające się belki dachów i

samotne dzieci, które przyglądały się jej w niemym oszołomieniu, dokładnie takie, jakie opisywał Tannhäuser. Rycerze i żołnierze – a także wdowy szukające źródła swej rozpaczy – krążyli ulicami półprzytomni, niczym anioły wygnane z raju i zesłane do piekielnego królestwa. Słońce wypełzło na niebo i świeciło z pogardą, jakby chciało jak najlepiej ukazać rozmiary zniszczeń. Sępy spiralnym kursem szybowały bezszelestnie ku ziemi i lądowały, by nieniepokojone żywić się obfitością padliny, niczym odziani w czerń, zgarbieni sędziowie, pogrążeni w dyspucie nad istotą rozpaczy.

Od Lazara usłyszała w przelocie, że nocą brat Ludovico z Langue Włoskiej i jego giermek Anacleto z Crato zostali postrzeleni z muszkietu, gdy Turcy oddali salwę. Obaj żyją i trafili do szpitala włoskiego, lecz Lazaro nie umiał powiedzieć, w jakim są stanie.

Intuicja Carli nie miała żadnych wątpliwości co do tego, co się wydarzyło. Gdy ona szybowała nad dalekimi światami, dosiadając chimery pokoju, Mattias załatwił – dosłownie – swoje sprawy wojskowe. Nie miała jednak okazji zastanawiać się nad tym zbyt długo, ponieważ gdy tylko słońce wyszło zza Monte San Salvatore, Turcy znowu ruszyli do ataku na całej długości frontu.

Działa oblężnicze bluznęły ogniem ze wzgórz. Zagrały bębny i piszczałki, a imamowie rozpoczęli swą pieśń. Przy wtórze złowróżbnych skrzypów i jęków, trzaskania biczów i chóru żałosnych głosów czarnych niewolników, muzułmanie ciągnęli od strony drogi na Marsaxlokk gigantyczną wieżę oblężniczą. Konstrukcja toczyła się wolno po Wielkiej Równinie, a niewolnicy na bieżąco rozkładali przed nią nasmarowane deski, tworząc swoistą drogę do bastionu Prowansji. Za wieżą kroczyła długa kolumna strzelców.

Carla przyglądała się nadjeżdżającemu potworowi tak, jakby był częścią szalonej, nierealnej wizji. Utracone sny ostatniej nocy wydawały jej się fantastycznym spektaklem, ale to, co rozgrywało się na jej oczach na wyschniętym pustkowiu przedpola, czyniło je banalnymi. Spojrzała na twarze obrońców. Widok nadjeżdżającego lewiatana zasiał ziarno strachu w każdej chrześcijańskiej piersi. A jednak wszyscy, mężczyźni i kobiety, podnieśli się z ruin, gdy odezwały się trąbki. Rozprostowali znużone kończyny, rozwinęli sztandary Jana Chrzciciela i raz jeszcze stanęli na zakrwawionych wałach, by bronić Religii przed barbarzyńcami.

Niedziela, 19 sierpnia 1565 - Oberża Angielska – bastion Prowansji

Tannhäuser obudził się, gdy dłoń o grubych palcach zacisnęła się na jego ramieniu. Powróciwszy ze świata wolnego od bólu i erotycznych ograniczeń, w którym miał nadzieję pozostać na zawsze i jeden dzień dłużej, otworzył oczy i zobaczył Borsa.

– Nie – jęknął.

– Tak – odparł Bors.

Anglik podstawił mu pod nos miskę, nad którą unosił się zapach kawy. W ciągu ostatnich tygodni zdołał wytłuc wszystkie należące do Tannhäusera filiżanki z Izmitu. Z oddali dobiegał huk zmasowanej kanonady. Mattias oparł się na jednym łokciu, przyłożył do ust toporny brzeg miski i pociągnął łyk. Mimo niewłaściwego naczynia, smak czarnego płynu był dla niego rozkoszą, ale nie zamierzał się z tym zdradzać.

– Pożałowałeś cukru – zauważył.

– W ogóle nie rozumiem, jak możesz pić tę breję.

– Ma właściwości lecznicze, a ja jestem w potrzebie.

Bors zniknął. Miejmy nadzieję, że nie wróci, pomyślał Tannhäuser. Zerknął na Amparo, która spoglądała na niego pytająco spod prześcieradła. W stanie niezdrowego podniecenia wykradł ją ze szpitala, gdy Carla spała. Tłumaczył to sobie tym, że ich niedawna umowa przewidywała zachowanie status quo. Oczy Amparo patrzyły na niego radośnie i kusząco. Czuł jej dłoń na brzuchu, przesuwającą się wolno w poszukiwaniu, jak się okazało, dorodnej erekcji. Z wielkim żalem uświadomił sobie jednak, że wysiłek jego ciała pójdzie na marne, gdy usłyszał w korytarzu głośny klekot i szczęk metalu. Bors powrócił z jego ekwipunkiem.

– Wzywają nas do wielkiego mistrza – oznajmił.

– Mam serdecznie dosyć widoku i głosu wielkiego mistrza – odparł Tannhäuser. – Mam dość tej wojny. Mam dość Turków. A najbardziej ze wszystkiego mam dość tego, że wiecznie przyłazisz i przeszkadzasz mi w… pożyciu!

Bors parsknął śmiechem.

– Ach, więc tak się to teraz nazywa. – Rechocąc coraz głośniej, rzucił zbroję na podłogę przy łóżku i wyszedł.

Przy wtórze nieludzkich jęków i najstraszliwszych bluźnierstw, Tannhäuser podniósł się z posłania i ubrał. Bolały go wszystkie kości i stawy; czuł się jak stuletni wrak. Amparo uwijała się wokół niego, pomagając jak umiała, ale poważnie utrudniała mu zadanie

– i sobie też – tym, że była zupełnie naga. Zirytowany nieznośnym ciężarem pancerza i wciąż zdolny do czynu, wreszcie zbuntował się przeciwko władzy wielkiego mistrza: ustawił Amparo na klęczkach na skraju siennika i stojąc, wszedł w nią od tyłu. Nie protestowała, choć jej okrzyki i jęki towarzyszące tym manewrom ktoś mniej zorientowany mógł wziąć za sygnały oporu. Tannhäuser usłyszał, że Bors wymownie chrząka za drzwiami, i dla zachowania wszelkich pozorów przyzwoitości zasłonił ręką usta Amparo. Wbiła zęby w jego dłoń, ale jej jęki były teraz znacznie cichsze, choć nie mniej podniecające. Położył drugą rękę na jej piersi i zaparłszy się dobrze, pracował szybko biodrami, aż trysnął nasieniem w jej wnętrzu. W normalnych warunkach nie zrobiłby tego tak prędko, albowiem w folgowaniu żądzom preferował raczej powolne i dokładne niż zbyt pobieżne działanie, ale gdyby wielki mistrz musiał czekać zbyt długo, w oberży mogliby się zjawić wysłannicy znacznie mniej delikatni niż Bors. Wycofał się więc, ku rozczarowaniu Amparo, kapiąc kroplami potu na jej piękne pośladki. Na pocieszenie zostawił jej pocałunek.

– Jesteś skarbem – powiedział, odsuwając jej rękę, wędrującą nieomylnie ku dolnym partiom jego ciała.

Choć instynkt nakazywał mu wrócić do łóżka, dokończył wkładanie zbroi i dociągnął wszystkie paski. Obrzydliwe, lepkie pamiątki po niedawnej bitwie odklejały się przy tym od pancerza i spadały na podłogę. Postanowił, że jeśli zdoła jeszcze znaleźć jakiegoś żywego niewolnika, wypożyczy go i każe mu posprzątać.

– Odwiedzisz dziś Buraqa? – spytał.

– Codziennie to robię – odrzekła. – Tęskni za tobą.

– Przekaż mu uściski. Tylko pamiętaj: trzymaj się bocznych uliczek, bo strzelcy wyborowi nie próżnują.

Zabrawszy pas i miecz, ruszył w stronę drzwi.

– Nie zgiń – poprosiła.

– Postaram się.

– Bo jeśli zginiesz, chyba nie będę chciała żyć.

Spojrzał na jej twarz, co było błędem, bo w tej samej chwili jego serce zaczęło topnieć. Rozczesał palcami jej włosy i natychmiast poczuł się jak świnia, ponieważ nie tak wiele godzin temu w identyczny sposób pieścił Carlę. Za wiele tego było dla prostego żołnierza.

– Nie będę słuchał tych ponurych bajań – odpowiedział. – Słońce świeci, morze jest błękitne, a ty jesteś okazem zdrowia i urody.

Ze smutną miną otoczyła ciało ramionami, całkiem niechcący uwidaczniając fenomenalny przedziałek między piersiami. W zgięciu łokcia dostrzegł rąbek jednego z sutków. Teraz i jemu przestało być wesoło. Czy de la Valette i Turcy nie mogli poczekać ani godziny? Po krótkim odpoczynku był bardziej niż gotowy ukoić jej smutek. Zza drzwi dobiegł jednak zrzędliwy głos.

– Mattias! Wyjmij wreszcie, jeśli nie chcesz dzielić się nią z Algierczykiem!

Tannhäuser postanowił zdobyć się na pogodne rozstanie. Uśmiechnął się, a Amparo odwdzięczyła się tym samym. Carla wspominała mu, że wedle jej najlepszej wiedzy dziewczyna nigdy nikogo innego nie obdarzała uśmiechem, toteż chwile takie jak ta mile łechtały jego próżność.

– Pocałuj mnie – powiedział.

Usłuchała, nie zważając na warstwę nieczystości pokrywającą jego pancerz. Uścisnął jej pośladki na do widzenia i wreszcie oderwał się od jej ciała. Stojący na korytarzu Bors oderwał się natomiast od ściany, o którą się opierał, i podążył za nim ku schodom.

– Myślisz, że chodzi o Ludovica? – spytał.

– Zdawało mi się, że Algierczycy stoją u drzwi – odparł Tannhäuser.

– Pytam poważnie.

– A czy de la Valette przysłał giermka czy straż?

– Giermka, Andreasa.

– No to masz odpowiedź. A jeśli się nie mylę, i tak się wyłgamy. Amparo zaświadczy, że byliśmy razem. Tak czy inaczej, kto zaufałby świadkowi, który widział coś w takim chaosie jak wczorajszy? Postrzelili go tureccy strzelcy wyborowi i to wszystko.

– Obaj przeżyli – odrzekł Bors.

Tannhäuser zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na przyjaciela.

– I Ludo, i jego kulawy pies – dodał Bors. – Nie popisaliśmy się.

– Żaden z nas nie trafił? Przecież widziałem, jak padli.

– Trafiłeś Ludo prosto między łopatki, ale miał na sobie pancerz Negrolego. Ma pęknięte żebra i bóle w plecach, to wszystko.

– A Anacleto? – spytał Tannhäuser, klnąc w duchu mediolańczyka.

– Obrócił się, kiedy padał jego pan. Moja kula trafiła go w twarz i stracił oko – a także swą cudną urodę – ale wszystko wskazuje na to, że przeżyje.

Tannhäuser zasępił się.

– Powinienem był go zasztyletować przy ognisku. – Wiedział, że bałby się walczyć na miecze tak blisko Carli. Przypomniał sobie jednak, jak dzielnie zniosła śmierć

księdza na drodze do Syrakuz, i sklął w duchu własną głupotę. Teraz było za późno. – Nic się nie martw – zwrócił się do Borsa. – De la Valette za bardzo ceni nasze miecze, żeby nas powiesić pod wpływem plotek, jeśli w ogóle się takie pojawią.

– Jeszcze ich nie słyszałem.

– W takim razie Ludovico sam doniesie. Albo zacznie działać. Tak czy owak, to on ma więcej powodów, żeby się nas obawiać, nie na odwrót. – Tannhäuser ruszył dalej, schodami w dół. – A teraz dowiedzmy się, dlaczego nas szukają.

Zastali de la Valette'a i Olivera Starkeya na stanowisku dowodzenia, na głównym placu. Skromny był to sztab: kilka krzeseł, stół, jego słynne mapy i plany, a wszystko to ocienione czerwonym żaglem rozpiętym na drzewcach wbitych w ziemię. Od strony murów dobiegały odgłosy bitwy, po tak długim czasie nie mniej swojskie i nie bardziej absorbujące niż chlupot fal na plaży. Tego dnia po raz pierwszy wielki mistrz wyglądał na wyczerpanego. Miał ziemistą cerę, rzadkie włosy, chude ramiona oraz nabrzmiałe żyły na dłoniach. Rany, które odniósł poprzedniego dnia, sprawiły, że kulał. Kiedy wstał z krzesła, by ich powitać, omal nie usiadł z powrotem. Tannhäuser bardzo się starał kuleć jeszcze efektowniej, po części, by ukryć, że jeszcze przed chwilą dobrze się bawił w łóżku, a po części, by zminimalizować oczekiwania de la Valette'a względem jego osoby. Ukłonił się.

– Wasza ekscelencjo – powiedział.

– Kapitanie – odrzekł wielki mistrz, pochylając głowę. – Obiecana przez ciebie wieża oblężnicza właśnie się pojawiła.

Tannhäuser przeklął w duchu szlachetnego Abbasa, którego piekielna machina okradła go z cudownego poranka w pościeli. Zastanawiał się jednocześnie, jak się spisał wybitny umysł jego dawnego patrona.

– Chodźmy – rzekł de la Valette. – Potrzebuję twojej rady.

Ruszyli we czterech przez ruiny, w kierunku bastionu Prowansji. W murze, który tak niedawno wydawał się nie do ruszenia, widniało teraz więcej przerw niż w uśmiechu żebraka. Jego wysokość wahała się od dawnych czterdziestu stóp do wzrostu człowieka, przy czym w tych najniższych miejscach był to w zasadzie tylko stos gruzu. Tureccy saperzy postarali się, by z solidnego muru kurtynowego pozostały jedynie spękane kikuty ścian, przedzielone zwaliskami kamieni i głębokimi dołami. Całe sekcje umocnień przestały istnieć i nie dało się już iść koroną muru dłużej niż przez sto stóp, nie napotykając kolejnego wyłomu. Bastion Kastylii był zaś już tylko barykadą z resztek muru, po której obu stronach trwały gorączkowe prace nad podwyższaniem wałów. W każdej chwili można było się spodziewać kolejnego ataku.

Turecka strategia w tej kwestii w drugim dniu nieustających szturmów polegała na doprowadzaniu do krótkich, niezbyt intensywnych potyczek, których celem nie było przerwanie obrony, ale wyczerpanie sił obrońców. Nie było więc walki do ostatniej kropli krwi – gazi wycofywali się po krótkim starciu, w doskonałym szyku, tracąc bardzo niewielu ludzi, by zrobić miejsce dla nowego oddziału – i tak w nieskończoność. Była to metoda uporczywie powracającej fali, stopniowo wypłukującej cienkie szeregi chrześcijan. Wszędzie, gdzie pojawiały się wyrwy w umocnieniach, na pomoc żołnierzom śpieszyli skuci parami niewolnicy, a także kobiety i dzieci – wszyscy zgodnie dźwigali kawałki gruzu, by odbudować przynajmniej wał. Harówka ta nie ustawała nawet w nocy, choć szczególnie niebezpieczna była za dnia, pod ogniem muszkietów. Nikomu jednak nie było wolno przerwać pracy. Przeciwwagą dla nieustających jęków i lamentów były modlitwy kapelanów, którzy w nieskończoność odmawiali dziesiątki różańca. Ich głosy niosły elegijną nutę, niczym złota nić wpleciona w tkaninę rozpaczy.

– Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus.

– Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae. Amen.

– Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus.

– Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae. Amen.

De la Valette nie komentował tego spektaklu. Gdy wspinali się po schodach na szczyt muru zewnętrznego opodal bastionu Prowansji, zatrzymał się tylko na chwilę i wskazał na zachód. Tannhäuser odwrócił się. Za pływającym mostem w Porto delle Galere wznosiły się samotnie dymiące mury L'Isoli.

– Del Monte inspiruje obrońców Świętego Michała do cudów odwagi – rzekł de la Valette. – Ale jeśli obrona zostanie przełamana, nie będziemy mogli udzielić im wsparcia.

Zatrzymali się poniżej krawędzi półokrągłego bastionu. Mury zadrżały od niedalekiego uderzenia kuli armatniej. Arquebuceros i rycerze kryli się nieco wyżej, za blankami na szczycie muru, nie ośmielając się nawet wychylić głów. Cenę za taką nieostrożność ukazywały naszpikowane ołowiem ciała leżące w pobliżu. Tuż za murem raz po raz rozlegał się huk salw z muszkietów; stanowisko znajdowało się tak blisko, że widać było nawet smużki dymu unoszące się po każdym strzale. Turecka humbara spadła na chodnik i eksplodowała, ale natychmiast pospieszył do niej skulony Maltańczyk z wiadrem

piasku i zgasił płomień. Sytuacja na murze wyglądała jednoznacznie: obrońcy czekali na śmierć. De la Valette wskazał na ambrazurę na wschodnim końcu bastionu.

– Wyjrzyj – powiedział. – Tylko ostrożnie.

Tannhäuser popełzł chodnikiem i dotarłszy we wskazane miejsce, wyjrzał zza blanki. Choć obecność wieży oblężniczej nie była niespodzianką, jej widok z tak bliskiej odległości napawał przerażeniem. Stała nie więcej niż dwadzieścia stóp od muru i widział tylko górną jedną trzecią jej konstrukcji, zwieńczonej otwartą platformą, na której mieścił się szereg czterech strzelców klęczących za krawędzią krytej metalem bramy. Tuż za nimi czekały jeszcze dwa szeregi po czterech mężczyzn. Pierwsi właśnie oddali salwę i na oczach Tannhäusera wstali, by dwójkami ominąć towarzyszy z obu stron i zejść po drabinkach na niżej położoną galerię, gdzie mogli bezpiecznie przeładować broń. W tym czasie drugi szereg przesunął się nieznacznie do przodu i strzelcy już brali na cel postacie, które wypatrzyli w Il Borgo. Tannhäuser szacował, że z tej pozycji mieli w zasięgu jedną trzecią miasta, w tym robotników pracujących w wyłomie po bastionie Kastylii oraz każdego, kto pojawiłby się na murach aż po bastion Niemiec. Ich ofiarą mógł też być każdy głupiec, który tak jak Tannhäuser postanowiłby przyjrzeć się wieży z bliska. Mattias zobaczył lufę muszkietu zwracającą się w jego stronę i cofnął się za blank, gdy lont uderzył w panewkę. Chwilę później kula huknęła w kamień, obrzucając go odłamkami. Przeczołgał się dalej i tym razem wyjrzał przez ambrazurę. Cała wieża była zabezpieczona przed ostrzałem surowymi skórami wołowymi oraz wielkimi połaciami plecionki kolczej. Tu i ówdzie skóry były osmalone i woń spalonej sierści mieszała się z zapachem prochu. Głosy ze środka wieży wychwalały Allaha i wydawały rozkazy. Nowi strzelcy wspinali się po ulokowanych z tyłu drabinkach, by uzupełnić trzeci szereg na górnej platformie. Byli chętni do walki i dobrze wyszkoleni, a pomysłowy mariaż czynnika ludzkiego i maszyny sprawdzał się znakomicie. Wieża skrzypiała i kołysała się lekko, gdy strzelcy wspinali się po drabinkach lub gdy targał nią odrzut czterech długolufowych muszkietów, ale mocno naprężone liny okrętowe, które łączyły słupy konstrukcji z ziemią, zapewniały jej stabilność. Całość, choć wyglądała upiornie, nosiła oczywiste znamiona inteligencji Abbasa.

Z tego miejsca Tannhäuser mógł przyjrzeć się bliżej frontowej bramie zabezpieczającej strzelców. Była zamocowana na zawiasach dwie platformy niżej, a gdyby ją opuszczono na łańcuchach w przód, mogłaby stanowić pomost szturmowy łączący wieżę z murami. Tymczasem jednak Turcy nie musieli używać jej w ten sposób. Dysponując platformą, z której mogli oddać do tysiąca strzałów na godzinę – i co ważniejsze, ustawioną

tak blisko celu – mogli całkowicie sparaliżować obronę w tej sekcji, ponosząc przy tym śmiesznie małe straty.

Tannhäuser powrócił do de la Valette'a, Starkeya i Borsa czekających na schodach.

– Jest piękna – powiedział.

Wielki mistrz skrzywił się potakująco.

– I bardzo mądrze ustawiona – uzupełnił. – Żadne z naszych dział nie może wziąć jej na cel, a pod ostrzałem nie jesteśmy w stanie przygotować nowych stanowisk. Próbowaliśmy już. Niższe galerie wieży też są pełne strzelców. Kiedy Sieur Polastron próbował urządzić wycieczkę, wystrzelali jego ludzi do nogi praktycznie na samym progu bramy. Nikt nie dotarł do końca mostu zwodzonego. Gdybym zaangażował więcej ludzi, zdobylibyśmy ją prędzej czy później, ale Mustafa wypuściłby na nas kawalerię ze wzgórz. Stracilibyśmy mnóstwo ludzi, a w przeciwieństwie do niego nie możemy sobie na to pozwolić.

– Co z ogniem? – spytał Bors.

– Skóry nie chcą się palić – odparł Starkey. – Turcy stale polewają je morską wodą. I spokojnie pakują kule prosto do miasta, a my nie możemy im odpowiedzieć. Gdyby byli dość cierpliwi, mogliby wystrzelać nas co do jednego przed kolejnym szturmem.

– Mówiłeś, kapitanie, że szykują dwie machiny – przypomniał de la Valette.

– Tak mi się wydaje – przytaknął Tannhäuser. – Ale gdybym był na miejscu Mustafy, patrząc na sukces tej konstrukcji, od razu kazałbym zbudować trzecią – dodał, w zamyśleniu tarmosząc brodę. – Nie widziałem jeszcze jej podstawy.

– Jeździ na sześciu pełnych kołach – odpowiedział mu Starkey. – Najniższa platforma jest mniej więcej dwa razy większa od najwyższej. Cztery główne słupy to maszty zdemontowane z galer. Do tego pomniejsze drzewca, liny, belki poprzeczne i kamienie jako balast. Niższa galeria jest otwarta i nieosłonięta pancerzem, dzięki temu mogą z niej prowadzić zmasowany ostrzał w razie ataku z ziemi – i już to robili.

Tannhäuser nie miał jeszcze do czynienia z podobnymi machinami. Poszukiwał rozwiązania w pamięci, gdzie zgromadził wymieniane przez lata opowieści o tysiącu bitew. Archiwum wspomnień było ogromne, ale nie przychodziła mu do głowy żadna wzmianka o zwalczaniu machin oblężniczych. W końcu jednak skojarzył inne fakty. Wychylił się poza ciąg schodów i spojrzał czterdzieści stóp w dół, na podnóże wewnętrznego muru. Ścianę tworzyły wapienne bryły różnej wielkości, z których największe miały wymiary dwie na trzy stopy, ułożone naprzemiennie, jak cegły.

– Jak gruby jest ten mur u podstawy? – spytał.

– Na przestrzał? Jakieś dwanaście stóp – odparł Starkey.

Pomysł omal nie zgasł w umyśle Mattiasa, ale de la Valette, który uchwycił go w lot, wpatrywał się już w Tannhäusera i widać było, że dokonuje pospiesznych obliczeń.

– Gdy Sulejman najechał Węgry habsburskie w trzydziestym drugim – zaczął Mattias – najtwardsze walki toczył o miasteczko tak nieznaczące, że nie przypominam sobie jego nazwy. Guntz? Nieważne. W każdym razie ośmiuset obrońców powstrzymało tam trzydzieści tysięcy Tatarów i Rumelów. Ponoć w pewnym momencie Madziarzy wybili dziurę we własnych murach, żeby z najbliższej odległości ostrzelać szturmujących z armaty.

Bors i Starkey jednocześnie spojrzeli w dół, na potężne bloki skalne, a potem w górę, na gigantyczną masę muru.

– Na pewno nie była to zbyt potężna ściana – dodał Tannhäuser – a ja nie jestem budowniczym. Ale gdyby możliwe było dyskretne wycięcie tunelu przez ścianę grubości dwunastu stóp i wtoczenie doń szesnastofuntówki, moglibyście podciąć nogi tej machiny i tylko patrzeć, jak pada.

– Ano – mruknął Bors. – O ile wcześniej nie popatrzylibyśmy na upadek całego muru i bastionu na dokładkę.

Starkey już miał wyrazić swoje obiekcje, gdy de la Valette obrócił się na pięcie i zaczął kuśtykać po schodach na dół, z energią, którą przejawiał tylko w chwilach wielkiego zadowolenia. Zatrzymał się jednak po chwili i zwrócił ku Tannhäuserowi.

– Kapitanie, jeśli chodzi o ojca Guillaume'a… – zaczął.

– Nie znam człowieka, wasza ekscelencjo.

– Sam się pozbawiłeś tej przyjemności, kapitanie. Zastrzeliłeś go wczoraj. Był kapelanem Posterunku Kastylii.

Tannhäuser przypomniał sobie niedoszłą dezercję pikinierów i ogarniętego paniką księdza. Wydawało mu się, że od tego czasu minęły tygodnie, ale w rzeczywistości nie upłynęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Przepełniony pokorą już miał wygłosić stosowny wykład na temat chaosu bitewnego, mgieł i dymów oraz nieprzewidywalności broni palnej, gdy de la Valette uniósł rękę.

– Z pewnością gryzie cię sumienie… – zaczął.

– Niesłychanie, wasza ekscelencjo, niesłychanie.

Obaj wiedzieli, że jest to kłamstwo z gatunku najbezczelniejszych.

– Wobec tego możesz je uspokoić – dokończył de la Valette. – Ojciec Guillaume, pokój jego duszy, niestety postradał zmysły. Mądrze postąpiłeś.

– Dziękuję, panie.

– Ale nie popadaj w nadgorliwość. Potrzebujemy wszystkich, nawet naszych księży.

Tannhäuser popatrzył mu głęboko w oczy. Czy była to aluzja do próby zamordowania Ludovica? Nie umiał tego odgadnąć. Rozmowa była skończona, a de la Valette zwrócił się do Starkeya:

– Poślij po mistrza kamieniarskiego i jego ludzi.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku – a także dlatego, że było to cieniste, wygodne miejsce ze świetnym widokiem – Tannhäuser usiadł na najwyższym stopniu schodów i obserwował rozwój wydarzeń.

Maltańscy kamieniarze w skórzanych fartuchach, uzbrojeni w dłuta, łomy i młotki, zebrali się wokół de la Valette'a u podnóża muru i wywiązała się krótka dyskusja na temat najlepszej metody drążenia tunelu na wysokości tureckiej wieży. Ich mistrz pomierzył kamienie w wybranym miejscu i idąc za wskazówkami instynktu, z których nie zamierzał się nikomu tłumaczyć, zaznaczył kredą kolejność, w jakiej miały być usuwane. Zaraz też zabrali się do kucia – flegmatycznie, ale z zadziwiającą wszystkich świadków wydajnością. Cięli kamień i zaprawę jak ciasto i po półgodzinie w kamiennych blokach tworzących zewnętrzną warstwę ściany widniał otwór o poszarpanych krawędziach, w którym zmieściłoby się bark w bark dwóch ludzi. Głębiej znajdowała się zbita masa tłucznia – największe kawałki były wielkości koziego łba. Łomy i szufle poszły w ruch, a w miarę jak usuwano kamienie, cieśle zabezpieczali belkami sklepienie szybko wydłużającego się tunelu.

Wkrótce podprowadzono działo zniesione z pokładu jednej z galer i artylerzyści przygotowali je do strzału. W jego lufie mieściły się czterdziestoośmiofuntowe kule żelazne, ale de la Valette wybrał na początek inną opcję: załadowano wagowo identyczną porcję kul muszkietowych (na każdy funt przypadło dwanaście kul), które kazał najpierw wymieszać szuflą z porcją smalcu. Cieśle ułożyli na podłożu kładkę z grubych desek i już po godzinie od dotarcia do warstwy tłucznia dwaj kamieniarze z młotami weszli do tunelu, by zdemontować bloki zewnętrznej warstwy muru.

Tannhäuser szturchnął siedzącego obok Borsa i obaj sięgnęli po broń, by zająć miejsca przy ambrazurach. Wyjrzał na zewnątrz w samą porę, by zobaczyć, jak jeden ze strzelców tureckich wskazuje ręką w dół i woła głośno na alarm. Jak jeden mąż skierowali muszkiety ku dziurze, która właśnie pojawiła się u podstawy muru, a wtedy Tannhäuser i Bors wstali, oparli broń na blankach i wystrzelili. Dwie porcje mózgu chlusnęły na pozostałych strzelców, którzy padli na plecy pod ciężarem ciał martwych towarzyszy. Zanim

Turcy połapali się w zamieszaniu, tuzin arquebuceros z bastionu Prowansji posłał ku nim salwę ołowiu.

Tannhäuser wychylił głowę pomiędzy blankami.

Z dziury w murze buchnęła kula płonącego tłuszczu, a wraz z nią pół tysiąca kul muszkietowych – prosto w masę nieszczęśników stanowiących załogę dolnej platformy wieży oblężniczej. Wir cuchnącego dymu spowił podstawę konstrukcji, przesłaniając makabryczny mikrokosmos, którego Tannhäuser wolał sobie nie wyobrażać. Zapas prochu i płynu zapalającego zajął się ogniem i seria eksplozji rozrzuciła na wszystkie strony płonące fragmenty ciał. Ponaglani wrzaskami oficerów i nadzorców czarni niewolnicy, którzy dotąd tłoczyli się w panice u podnóża muru, zabrali się do odczepiania lin stabilizujących wieżę. Zachęcani do wysiłku dźgnięciami włóczni i strzelaniem batów, jedni chwycili sznury służące do ciągnięcia konstrukcji, drudzy zaś zabrali się do pchania. Chrześcijańscy strzelcy wyborowi, którzy pojawili się teraz przy ambrazurach, strzelali do nich jak do kaczek. Drewniana budowla skrzypiała przeraźliwie, ale zaczęła się oddalać od muru po drodze z natłuszczonych desek. Niewolnicy ślizgali się w kałużach krwi i smaru, wpadali pod olbrzymie koła i tam tracili ręce czy nogi, lecz ich przeraźliwe krzyki były ledwie słyszalne w wielkim tumulcie.

Przeładowana żołnierzami wieża zdążyła odjechać ledwie na dziesięć stóp, gdy armata w tunelu zagrzmiała ponownie. Artylerzyści Religii nawykli do celowania z pokładu galery kołyszącej się na falach, toteż trafienie z odległości trzydziestu paru stóp w prawie nieruchomą wieżę było dla nich dziecinną igraszką. Kula uderzyła w prawą narożną belkę konstrukcji, na wysokości daszku nad dolną platformą. Deszcz drzazg różnej wielkości sprawił, że do konających po pierwszym strzale dołączyła wyjąca grupa oślepionych i wybebeszonych. Wieża przechyliła się z głośnym skrzypnięciem. Żołnierze zaczęli wyskakiwać z górnych platform, licząc na miękkie lądowanie na konających na ziemi towarzyszach. Dwaj gazi dobyli szabli i rzucili się w stronę tunelu, by unieszkodliwić artylerzystów i samo działo.

Tannhäuser odstąpił od muru, żeby wyczyścić lufę i przeładować broń.

Gdy odmierzał porcję prochu, spojrzał w dół, gdzie artylerzyści nabijali wycofane z tunelu działo. Gdy dwaj gazi z szablami wyskoczyli z dymiącego otworu, maltańscy rzemieślnicy rzucili się na nich z młotkami i wkrótce ich skórzane fartuchy przypominały raczej rzeźnicze niż kamieniarskie. Zaraz też odciągnęli dwa trupy na bok, by działo znowu mogło wjechać po deskach do tunelu.

Solidność konstrukcji sprawiła, że potrzeba było jeszcze pięciu strzałów, aby wreszcie runęła. Podmuch upadającej wieży rozniecił na nowo pożar dolnej platformy i ku niebu wzbiły się potężne płomienie, a triumfalny ryk obrońców skutecznie zagłuszył jęki ostatnich żywych napastników, uwięzionych między belkami. Niewolnicy i żołnierze, którzy jakimś cudem ocaleli z pogromu, pędzili ku wzniesieniom, arquebuceros zaś urządzili sobie zawody w strzelaniu do nich. Tannhäuser obserwował otaczające miasto wzgórza i nie brał udziału w tej zabawie. Radość nie miała trwać długo. Mimo iż w rowie otaczającym mury gniły tysiące ciał, sułtańskie hordy na pobliskich stokach miały się doskonale, a końskie włosie ich proporców powiewało dumnie. Dla Mustafy krew tylu ludzi nie znaczyła więcej niż deszcz użyźniający ziemię padyszacha. Z oddali dobiegł głos imama wyśpiewującego surę:

– Czyż Allah nie sprawił, że ziemia pomieści i żywych, i umarłych?

Fetor dopalających się skór i płonących ciał wywracał Tannhäuserowi żołądek. Od rana nie miał nic w ustach. Co więcej, miał serdecznie dosyć tej potwornej gry. Siły całkiem go opuściły; idąc, powłóczył nogami, a ponury nastrój opanował go bez reszty. Zarzucił strzelbę na ramię i wolno zszedł po schodach. Zobaczył kamieniarzy, który właśnie wchodzili do tunelu, by na powrót zamknąć go i zasypać. Artylerzyści pucowali wyciorem lufę działa, śmiejąc się i dowcipkując. De la Valette popatrzył za odchodzącym Tannhäuserem. Nie pożegnał go ani słowem, ani gestem, a Mattias nawet się z tego cieszył.

Całym sercem pragnął towarzystwa kobiet, Amparo i Carli. Potrzebował łagodności ich spojrzeń i głosów, ich całkowitego braku okrucieństwa, ich czułości, ich miłości. Walczył przecież właśnie po to, by je chronić. Oblężenie trwało tak długo tylko mocą ślepej wiary. Jedynie wiara mogła sprawić, że ludzie byli w stanie przetrwać takie cierpienia. Miłość zaś, która go opętała, była jedyną wiarą, jaką miał.

Bors dogonił go i spojrzał mu w oczy.

– Czegoś taki smutny? Odwaliłeś dobrą robotę i Religia znowu ma u ciebie dług.

– Niech Religia zajmie się swoją religią – odparł Tannhäuser. – Ja zajmę się moją.

Walki trwały przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy, ale tej nocy działa nareszcie umilkły i wydawało się, że świat zastygł ze znużenia. Okropne przeczucie klęski nie odstępowało Tannhäusera i nie pozwalało mu zasnąć. Wstał więc i poszedł do bramy Kalkara, by posłuchać tureckich wartowników czających się w mroku. W takim stanie ducha, w jakim się znajdował, łatwo o nierozwagę, łatwo rzucić kości i przegrać ze znużenia, bez myśli. Tannhäuser musiał jeszcze poczekać z ucieczką: to Turcy powinni poczuć znużenie, nie on. Ich morale pogarszało się systematycznie. Słyszał to w gorączkowych nawoływaniach

imamów, którzy wysyłali wiernych na śmierć. Słyszał to także tego wieczoru, w tonie pieśni muezzina. Ale ilu jeszcze odpartych ataków potrzeba było, by złamać w nich ducha? I czy Religia mogła jeszcze kontynuować opór? Tannhäuser był absolutnie pewny, że nigdy jeszcze nie udało się na wojnie złamać tureckiego ducha.

Konstelacje gwiazd obracały się nad jego głową, zupełnie obojętne na przyziemne sprawy, on zaś zamarzył, by usłyszeć melodię, która nadaje im ruch. Pomyślał jednak, że może dane mu będzie posłuchać czegoś jeszcze lepszego.

Obudził Amparo. Gdy się ubierała, zabrał futerały z instrumentami. Namówiła Carlę do opuszczenia Świętej Infirmerii i razem udali się do Porto delle Galere. Tam kobiety zagrały specjalnie dla niego, pod gołym niebem, na którym nie pojawił się jeszcze szczupły księżyc, a Skorpion osuwał się ku południowemu krańcowi świata. Płakał w ciemności, słuchając ich muzyki, a jego serce znowu było pełne. Odżył w nim duch. Takie chwile są okruchami wieczności, perłami na dnie niezbadanego oceanu. Niech jutro przyniesie, co zechce, myślał. I tak nie istnieje. Tylko chwila obecna liczy się w całej wieczności, a skoro tak, to może się uważać za szczęśliwca – w końcu otacza go nieskończone piękno.

Poniedziałek, 20 sierpnia 1565 - Wzgórze Corradino

Zabrawszy swoją porcję grochu i kawałek chleba, Orlandu pobiegł na skraj płaskiego szczytu wzgórza, żeby popatrzeć na bitwę. Nie on jeden miał taki zwyczaj – trudno było oprzeć się emocjom takiego widowiska, więc i tym razem podziwiał je wraz z całą grupą stajennych. Sandżak Czeder, jeden z najsłynniejszych walczących dowódców Sulejmana, poprowadził osiem tysięcy janczarów do zmasowanego ataku na fort Świętego Michała. W chwili, gdy Orlandu dołączył do swych kolegów, nad szańcami po raz kolejny powiewały tureckie sztandary. Jedwabne płachty widać było mimo gęstego dymu i płomieni, ale w słońcu błyskały też pancerze chrześcijańskich rycerzy. Ich odwaga, podobnie jak dzielność jego maltańskich braci, wyciskała łzy z oczu Orlandu, choć z niemałym podziwem patrzył też na determinację janczarów. Tannhäuser był przecież kiedyś jednym z nich. Teraz zaś stał pewnie gdzieś na murach, po stronie chrześcijan.

Każdy z sipahów posiadał co najmniej dwa zapasowe konie. Zgodnie z tradycją sięgającą czasów Temudżyna, Abbas miał ich aż pięć. Orlandu nie miał prawa zbliżać się do tych ostatnich, były to bowiem najszlachetniejsze rumaki w całej armii, ale opiekował się wieloma mniej cennymi wierzchowcami i uczył się czerpać przyjemność z tego zajęcia. W porównaniu ze skrobaniem galer była to wręcz fraszka. Nie tak dawno nauczono go, jak należy czyścić i przycinać końskie kopyta i teraz uważał się już za fachowca we wszelkich aspektach pracy stajennego. Dotychczas kawaleria nie brała udziału w walkach, z czego nawet się cieszył, bo doskonale rozumiał, po co sipahom zapasowe konie: zwierzęta mogły ucierpieć równie straszliwie jak ludzie. Żałował, że nie ma przy nim Tannhäusera. Za każdym razem, gdy chciał się wypróżnić, wydobywał najpierw złoty pierścień – było to prostsze, niż mu się wydawało – oczyszczał go i wkładał na palec choć na tę chwilę, dopóki nie skończył. Tylko wtedy czuł, że Tannhäuser jest blisko.

Turcy, jak się przekonał, byli porządnymi ludźmi, niemal tak odważnymi jak rycerze maltańscy. Abbas wprost emanował majestatem. Anatolijscy żołnierze, których końmi się opiekował, przynosili mu ciastka z migdałami w nagrodę za dobrą pracę. Oczywiście dostawał czasem i kopniaki, ale nie miało to nic wspólnego z codzienną brutalnością życia w porcie. Pewien stajenny z Rumelii, nieco starszy od niego, spróbował raz zabrać mu ciastko, a Orlandu omal nie roztrzaskał mu czaszki podkową. Od tamtej pory miał święty spokój, a starszy stajenny, Serb, nawet pochwalił go porozumiewawczym mrugnięciem. Usłyszał też od niego słowo dewszirme i zastanawiał się, co może oznaczać.

Na co dzień zaś, zgodnie ze wskazówkami Tannhäusera, nosił się jak mężczyzna i był dumny ze swoich manier. Przyłączał się do muzułmanów, gdy się modlili, i naśladował wszystkie ich gesty. Z czasem polubił nawet zawołania muezzinów. Nocą modlił się do Jezusa i Jana Chrzciciela, błagając, by nie skazywali go na potępienie jako niewiernego. O dziwo jednak, nie czuł się jak oszust ani wtedy, gdy modlił się do Jezusa, ani wtedy, gdy wzywał Allaha.

Jego nowe życie było więc całkiem znośne, zwłaszcza że przecież powtarzał kroki swego mistrza. Stawał się „człowiekiem światowym". O podróży do Stambułu myślał raczej z podnieceniem niż z lękiem. Jeżeli czuł czasem ból albo smutek, to głównie z powodu rzezi trwającej na równinie, która ciągnęła się niemal nieprzerwanie od trzech dni. Pozostali stajenni podobnie jak Orlandu obserwowali bitwę z mieszanymi uczuciami. Żaden z nich nie był rodowitym Turkiem – byli wśród nich przede wszystkim Albańczycy, Trakowie, Bułgarzy, Madziarzy i Serbowie. Wszyscy żywili w głębi duszy mniejszą lub większą nienawiść do Turków i po cichu życzyli zwycięstwa Religii, choć podobnie jak Orlandu nie rozmawiali na ten temat. Jeden z Serbów wskazał na sztandar ze znakiem czerwonej ręki, który łopotał na jednej z drabin opartych o mury Świętego Michała.

– Sandżak Czeder – powiedział młodzik.

Sandżak poprzysiągł, że weźmie fort Świętego Michała albo zginie w walce. Orlandu odmówił bezgłośnie modlitwę za admirała del Monte. Gdzieś z tyłu rozległ się chrapliwy okrzyk i chłopak odwrócił się szybko. Starszy stajenny wzywał ich do pracy. Orlandu po raz ostatni spojrzał na toczącą się w oddali bitwę. Na murach twierdzy roiło się od Turków.

Poniedziałek, 20 sierpnia 1565 - Stajnie wielkiego mistrza – Oberża Angielska

Hiszpanka była nawet pociągająca. Niewielu mężczyzn o wyrafinowanym guście nazwałoby ją ładną, dziwnie bowiem wyglądała i dziwne było jej zachowanie. A jednak miała swoistą aurę, wydawała się nieprzewidywalna, zmysłowa w ruchach, w naturalny sposób kusząca, jak niezbadana puszcza. Wiedział też, że wybrał ją Niemiec, i to było dodatkowym powodem, dla którego wydawała mu się atrakcyjna. Tannhäuser był wszystkim, czym on nie był; antytezą wszystkiego, za co on się uważał i co reprezentował. Był apostatą, przestępcą, libertynem, kompanem niedowiarków, muzułmanów i Żydów, chełpiącym się własnym grzechem. Mimo to Ludovico miał wrażenie, że coś wiąże ich ze sobą, spaja mocą przeciwieństw, że są mrocznym, lustrzanym odbiciem.

Amparo pracowała w szerokim przejściu pośrodku stajni, między dwoma rzędami boksów. Kłaczki suchej trawy i drobiny kurzu tańczyły wokół niej w smugach światła, które wpadało do wnętrza przez wysokie okna. Szczotkowała ogiera należącego do Tannhäusera, wyczesując z jego złocistej sierści drobiny suchego naskórka. Miała na sobie sukienkę niegdyś zieloną jak świeży liść, a teraz, wskutek działania słońca, bliższą kolorem wczesnej jesieni i nieco wystrzępioną na brzegach. Pod nią nie miała nic, jak uliczna dziwka. Na pierwszy rzut oka składała się z samych ścięgien i kości; była smukła jak chart, ale gdy tak intensywnie pracowała, ujawniała się przyjemna krągłość jej pośladków i piersi. Cienki materiał sukni przylegał miejscami do spoconego ciała, a włosy falowały bujnymi lokami – to wystarczyło, by przekonać Ludovica do jej piękna.

Stał w bramie stajni, poza zasięgiem słońca, i przyglądał się jej przez długi czas. Typowe dla stajni wonie działały na niego kojąco po tym, czym musiał oddychać na polu nowej bitwy o fort Świętego Michała. Dziwiło go to, dlaczego końskie łajno mniej drażni jego powonienie niż ludzkie, ale tak właśnie było. Gówna w czasie wojny było jeszcze więcej niż krwi, a Ludovico miał dość i jednego, i drugiego.

Janczarzy atakowali tego ranka już trzeci dzień z rzędu i omal nie zdobyli rozpadającego się fortu. Ludovico, mimo zapierającego dech w piersiach bólu żeber, został wysłany wraz z oddziałem Włochów i Aragończyków na drugą stronę pływającego mostu. Po długich godzinach morderczej walki w potokach ognia ich kontratak zmusił Turków do odwrotu, a dla Sandżaka skończył się śmiercią. Nikt nie ruszył w pościg za uciekającymi. Fort Świętego Michała rozpoczął ten dzień z mniej niż siedmioma setkami ludzi, z których

wszyscy odnieśli wcześniej rany. Co gorsza, z tych, którzy przeżyli bitwę i byli w stanie ustać na nogach, żaden nie miał już serca, by wybiec za mury.

Po takiej przygodzie jakże urocze było obserwowanie ładnej dziewczyny pielęgnującej ogiera – już to było wystarczającym powodem do odwiedzenia stajni, ale Ludovico miał i inny. Pomarszczona sycylijska wiedźma znacznie krótsza od swej miotły zamiatała i tak lśniącą posadzkę stajni. Gdy Ludovico wszedł do środka i spojrzał na nią, ukłoniła się do samej ziemi i potrząsnęła głową. Wskazał palcem na drzwi i uciekła w pośpiechu. Wszedł dalej, a Amparo obejrzała się przez ramię. Znieruchomiała i wyprostowała się na jego widok. Uspokajającym gestem położyła dłoń na grzywie ogiera i znowu zaczęła szczotkować jego bok. Nie wyglądała na wystraszoną, choć nie spojrzała w oczy Ludovica, a tylko na jego pierś. Jej dziwna, asymetryczna twarz nie nosiła ani śladów znużenia, ani lęku, i przyszło mu do głowy, że chyba nikt na całej Malcie nie wygląda już tak jak ona. Zastanawiał się, jaką musi mieć w sobie moc, skoro udało jej się zachować taki spokój. Sam jej widok podnosił go na duchu. Coraz lepiej rozumiał wybór dokonany przez Tannhäusera. Uśmiechnął się i skłonił głowę.

– Witaj, moje dziecko – odezwał się po hiszpańsku.

Dygnęła tak, jakby uważała ten ruch za nienaturalny, nie przestając głaskać konia po karku. Ludovico wyciągnął rękę w stronę jego pyska. Buraq zlizał szorstkim językiem sól z jego palców.

– Ta wojna nie służy zwierzętom – powiedział Ludovico. – Ten ciągły hałas, brak przestrzeni. Wyczuwają też śmierć i smutek.

Dziewczyna w milczeniu przyglądała się, jak ogier liże jego dłoń.

– Amparo, prawda? – Skinęła głową. – A ten koń ma jakieś imię?

– Buraq.

– Ach, tak. Rumak Proroka Mahometa, podobno skrzydlaty. Arabowie uwielbiają takie wymyślne mity. Ale to zwierzę zdaje się zasługiwać na tak zaszczytne imię. Należy do kapitana Tannhäusera?

Skinęła głową, wciąż nie patrząc na jego twarz.

– A ty jesteś jego kochanką.

Poruszyła się niespokojnie.

– Wybacz mi nieuprzejmość. Jestem brat Ludovico. – Skłonił głowę i teraz dopiero zauważył, że jego pancerz spryskany jest świeżą krwią i innymi, mniej przyjemnymi dla oka płynami. – Wybacz mój wygląd, który wraz z Buraqiem uważacie zapewne za odpychający.

Odwróciła się i zaczęła szczotkować szyję ogiera.

Miał prawo poczuć się urażony, ale z niego nie skorzystał.

– Niektórzy żołnierze mówią, że umiesz czytać z dłoni – odezwał się po chwili. – Głęboko wierzą w twój talent.

Szczotkowała dalej.

– Wyczytasz coś z mojej? – spytał. – Zapłacę.

– Nie przyjmuję zapłaty – odparła. – Takich rzeczy się nie sprzedaje.

– Zatem to coś świętego?

Nie odwróciła się, ale odpowiedziała:

– To coś, co nie pochodzi ode mnie, więc nie mnie to sprzedawać.

– Może z innego świata? – indagował.

– Skoro moc działa na tym świecie, to jak może pochodzić z innego?

Nie spodziewał się dialektyki. Miał jednak wrażenie, że dziewczyna po prostu podzieliła się z nim wiedzą, którą uważała za oczywistą.

– Czy to moc Boga? – spytał.

Znieruchomiała. Najwyraźniej wcześniej nie zastanawiała się nad tą kwestią.

– Moc Boga przemawia przez najróżniejsze rzeczy.

– Rzeczy? Może przez kruki, koty, inne zwierzęta?

– A także kamienie, drzewa, morze i niebo nad nami. Naturalnie.

– A przez Kościół?

Wzruszyła ramionami, jakby Kościół uważała za najmarniejsze medium bożej mocy.

– Też.

Ludovico wystawił dłoń. Amparo wsunęła szczotkę pod pachę i szybko, jakby chciała mieć już za sobą przykry obowiązek, chwyciła go za rękę. Koniuszkami palców pogładziła linie i odciski. Jej dotyk był przyjemny. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Niektóre dłonie przemawiają, inne nie – powiedziała i puściła jego rękę. – Twoja dłoń milczy.

Nie mówiła tego, żeby go zbyć; po prostu stwierdzała fakt. Mimo to był zawiedziony. Nawet jeśli nie wierzył w takie sztuczki. Poczuł też, że gardzi tą dziewczyną. To uczucie nadeszło nagle, jak fala mdłości. Zachowanie Amparo było obraźliwe. Kim ona była, ta chuda jak szczapa dziewczyna, ta egzotyczna dziwka; i jaki był jej wkład w obronę miasta? Albo w jakąkolwiek inną pożyteczną działalność? Pracowała w stajni i rozkładała nogi przed swoim panem. Szerzyła przesądy wśród prostych żołnierzy. Ostentacyjnie

wypinała piersi pod tą cienką sukienką. Widywał już takie jak ona, i na szczycie, i na samym dole społecznej drabiny. Kobiety, które usprawiedliwiały swe istnienie posiadaniem otworu pomiędzy nogami i niczym więcej. Które handlowały swoim ciałem albo po to, by żyć, albo dla zaspokojenia swej próżności, albo dla smaku władzy, albo dla tego wynaturzenia fałszywie nazywanego miłością. Były zarazą. Teraz dopiero zauważył, że oczy Amparo są różnobarwne. Jedno szare, drugie brązowe. Trudno o bardziej widomy znak – była czarownicą, klasycznym przypadkiem, wedle wszelkich autorytetów, z Appollonidesem, Kramerem i Sprengerem na czele. Spojrzenie takich oczu mogło nieść ze sobą złe duchy, mogło przenikać przez oczy innych ludzi i docierać do serca, skąd zło przedostawało się do krwi i zarażało narządy wewnętrzne. Sam Arystoteles zaświadczał, że zwierciadło boi się spojrzenia nieczystej kobiety, ponieważ pod jego wpływem staje się mętne.

– Czy to Bóg przemawia w tak dziwny sposób? – spytał. – Czy może diabeł?

– O diable nic nie wiem – odrzekła. – Ale jeśli istnieje, jakiej pomocy potrzebuje ode mnie? I akurat tu?

Sprytna była to odpowiedź i raz jeszcze ubrana w niewinne słowa. Ludovico zamierzał zgłębić jeszcze tę sprawę, ale i tak dziewczyna powiedziała już dość, żeby w razie potrzeby oskarżyć ją o nekromancję, a świadków na pewno by nie zabrakło. Nie wątpił w istnienie czarów. Któż śmiałby wątpić? Zbyt wiele istniało dowodów. Brodawki i szczecina na brodzie starej wiedźmy, krowy nagle tracące mleko – to były argumenty dla prostaków. Zdumiewające doniesienia o lewitacji albo rytualnym pożeraniu dzieci – czyste fantazje. Inkwizycja była równie sceptyczna wobec cudownych mocy jak on sam. A jednak handel wymienny z szatanem istniał i co do tego nikt w Kościele nie miał wątpliwości.

Amparo podjęła przerwaną pracę.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła – powiedział Ludovico.

Odwróciła się ku niemu i tym razem fałszywą maskę niewinności zastąpił na jej obliczu wyraz dzikiej nieufności. Ludovico uświadomił sobie, że nie tylko ani razu nie spojrzała mu w oczy, ale nawet na jego twarz – tak, jakby wiedziała, że jeśli to zrobi, zdradzi przed nim swą prawdziwą naturę. Był już zupełnie pewny, że jej dusza jest skażona, a charakter z natury złośliwy. Jak łatwo dał się oszukać i zignorował fakty. Jak zwodnicza była fascynacja, którą wzbudzała erotyczna strona kobiecej natury. Czy Carla mogła być od niej lepsza? Była może nawet gorsza. Czas pokaże, pomyślał Ludovico. Z jaką łatwością – jednym ciosem – mógłby sprawić, żeby jej twarz stała się symetryczna. Potem mógłby zaciągnąć ją do komórki, rzucić na belę siana, zedrzeć tę lnianą szmatę i zbrukać się

kontaktem z jej ciałem. Miał do tego pełne prawo, uświęcone krwią, którą przelał w bitwie. Nie zamierzał jednak tego uczynić. Panował nad sobą.

– Chodź ze mną – powiedział.

Patrzył na nią tak długo, aż zrozumiała, że odmowa nie wchodzi w rachubę. Wyszła za nim ze stajni i znaleźli się pod murami fortu Świętego Anioła. Anacleto wstał z ławki. Jego ciało było sztywne, z tak wielkim wysiłkiem panował nad bólem. Nie miał prawej kości policzkowej; Ludovico przytrzymywał go, gdy chirurdzy usuwali jej fragmenty wraz z okiem. Płakał, widząc dzielność przyjaciela, który zacisnął zęby na kneblu i nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Resztkę skóry w tej części twarzy pozszywano mu na kształt sakiewki, z której teraz sączyła się żółta ropa. Prawy oczodół był wilgotną czarną dziurą, przesłoniętą tylko okładem z mchu, który wyglądał, jakby wyrósł na ludzkiej czaszce.

– To jest Anacleto – powiedział Ludovico. – Mój przyjaciel. Przyjrzyj się dobrze, jak został okaleczony.

Amparo nie chciała patrzeć. Złapał ją za włosy i siłą uniósł jej głowę. Jęknęła i zamknęła oczy, gdy zobaczyła zmasakrowaną twarz. Anacleto drgnął.

– Przyjrzyj się dobrze, jak został okaleczony – powtórzył Ludovico. – A to dlatego, że najprawdopodobniej to twój kapitan jest sprawcą tego nieszczęścia.

Amparo spróbowała się wyśliznąć. Puścił ją.

– Anacleto potrzebuje opium, by zaleczyć ranę na ciele i duszy. – Za bandycką cenę Ludovico kupił odrobinę narkotyku od maltańskiego łotra, Gullu Cakiego. Nadszedł już ten czas, kiedy złoto miało niewielką wartość, nikt bowiem nie spodziewał się, że będzie miał okazję z niego skorzystać. Pod groźbą Cakie zdradził mu, gdzie może dostać więcej. – Tannhäuser posiada ten lek, którego innym brakuje – ciągnął Ludovico. – Przyniesiesz mi go dziś wieczorem, do Oberży Włoskiej.

– Mam go ukraść? – spytała.

– Twoja sprawa, jak go zdobędziesz. Będę twoim dłużnikiem; docenisz to, jeśli jesteś rozumna. Zrób, jak powiedziałem.

– A jeśli odmówię?

Ludovico wziął ją pod ramię i oddalili się od Anacleta. Pochylił się nad jej uchem i powiedział cicho:

– Tannhäuser zamierza ożenić się z twoją panią.

Amparo nie wyglądała na poruszoną.

– Taka jest ich umowa – odpowiedziała. – Tak ustalili na samym początku.

– Małżeństwo ma być zapłatą?

Amparo skinęła głową, spoglądając na ziemię.

Zatem Carla kłamała, pomyślał Ludovico. W jego sercu pojawiła się nadzieja.

– Nie zmienia to faktu, że teraz Tannhäuser jest zakochany w Carli – powiedział.

– Kocha ją – poprawiła. – Tak jak ja ją kocham.

– Jest mężczyzną. Wiesz o tym lepiej niż inne. – Ludovico zauważył, że ziarno wątpliwości już zaczyna kiełkować. – Sam mi powiedział, że ją kocha. A potem widziano ich razem, w uścisku. Zostałaś zdradzona.

Te słowa przebiły jej serce. Zasłoniła usta obiema rękami i pokręciła głową.

– Spytaj biednego Anacleta. I powiedz mu, że kłamie.

Chciała uciec, ale ją zatrzymał.

– Rozejrzyj się dobrze, a zobaczysz sama. – Teraz dopiero ją puścił. – I zrób, jak powiedziałem. Traktuj spełnienie mojej prośby jako miłosierny uczynek, a Bóg cię poprowadzi, jak we wszystkich innych sprawach.

Tannhäuser siedział w beczce i patrzył w słońce, które chowało się za szczytem Sciberras. Było ciemnoczerwonym dyskiem, przesłoniętym częściowo słupami dymu znad martwej ziemi niczyjej. Przez krótką chwilę próbował wyczytać jakieś znaczenie z tej sceny, ale był na to zbyt otępiały i wolał oddać się raczej bezmyślnemu podziwianiu niż filozofowaniu.

Jego ciało pokrywały otarcia i opuchlizna, przepełniał je ból. Skóra była fantazyjną łataniną żółci i fioletów. Tu i tam sterczały końcówki szwów z owczego jelita; niektóre z nich sam sobie zakładał. Omal nie umarł, kiedy wszedł do beczki: słona woda zalała wszystkie świeże rany. W oczach wciąż jeszcze czuł drobiny prochu i piachu. Ręce wydawały mu się nabrzmiałe jak maczugi, a palce spuchnięte jak bulwy. Gdyby kula z tureckiej armaty wylądowała teraz na jego głowie, nie żałowałby przesadnie, jednak prawdopodobieństwo takiego zdarzenia było raczej marne, gdyż działa oblężnicze milczały, a ich załogi na pewno odczuwały podobne znużenie.

Tego ranka, po kilku krótkich potyczkach, które miały odwrócić uwagę obrońców od zasadniczego planu, Mustafa kazał podprowadzić pod mury drugą wieżę oblężniczą Abbasa. Tym razem Turcy wzmocnili jej dolną część na wypadek ostrzału artyleryjskiego koszami z ziemią i kamieniami, a słupy i poprzeczki połączyli żelaznymi płytami. Dopchali ją aż pod ruinę bastionu Kastylii, a wtedy strzelcy z górnej platformy zmusili obrońców i robotników odnawiających umocnienia do szukania kryjówek w rumowisku i modlitwy. Po kilku godzinach przyglądania się tej smutnej sytuacji, a także pod wpływem widoku mas

żołnierzy szykujących się na wzgórzach do decydującego ataku de la Valette zdecydował się na wdrożenie nowej odmiany taktyki z poprzedniego dnia.

Wykuto tunel w nieuszkodzonej ścianie, na wschód od wyłomu, w miejscu niewidocznym dla strzelców z wieży oblężniczej. Wyruszył specjalny oddział pod dowództwem Rycerza Komandora Claramonta i don Guevareza de Pereiry. Kilkunastu rycerzy z Langue Niemieckiej wysforowało się na czoło tej grupy, która zaatakowała załogę wieży jak stado demonów. Spóźniony ogień tureckich muszkietów mógł już tylko wzniecić iskry na pancerzach dobiegających do celu rycerzy.

Drużyna azebskich piechurów, która strzegła drabin w tylnej części machiny, została przez wojowników z Północy rozniesiona na strzępy w ciągu kilku sekund. Rycerze zaczęli się wspinać na kolejne galerie, masakrując turecką załogę. Cała konstrukcja chwiała się i naprężała liny stabilizujące, gdy odziani w stal mocarze szaleli w jej wnętrzu. Ryki wściekłości i okrzyki bólu mieszały się ze sobą, a odrąbane kończyny i rozprute ciała szybowały w dół karmazynowymi kaskadami, jakby wieża była przybytkiem, w którym trwał barbarzyński karnawał. Gdy rzeź dobiegła końca, niemieccy bracia stanęli triumfalnie na górnej platformie i wznosząc na czubkach mieczów zakrwawione borki oraz potrząsając uciętymi głowami wrogów i garściami ich wnętrzności, wrzeszczeli i tupali jak banda szaleńców, podczas gdy krew ofiar lała się w dół jak po ścianach świątyni barbarzyńców, w której odprawiano okrutne rytuały. Rzucali klątwy i lżyli legiony islamu czekające na wzgórzach, a potem skierowali twarze ku niebu i wychwalali Jezusa Chrystusa, który pozwolił im zaznać tak wielkiej ekstazy.

Gdy rozpoczęto przygotowania do spalenia machiny, Tannhäuser zaproponował, by ją wykorzystać. Ustawiona blisko muru mogłaby pomóc chrześcijańskim strzelcom. Chodziło mu o to, że obserwatorzy mieliby z niej dobry widok na ruchy wojsk tureckich na stokach Monte San Salvatore, ale de la Valette zaadaptował jego plan do własnych celów. Wieżę oczyszczono z trupów, obrócono i przestawiono w inne miejsce, ale zamiast obserwatorów umieszczono na niej dwa działa – w dolnej części – oraz oddział arquebuceros na wszystkich platformach i galeriach. Tannhäuser znalazł się wśród nich.

Ze szczytu wieży oblężniczej roztaczał się nieszczególnie piękny widok na wyschniętą, piekielną równinę usianą poczerniałymi zwłokami, nad którymi kłębiły się muchy. Tureckie okopy na wschodzie tworzyły gęstą sieć i Tannhäuser nie mógł pojąć, jakim cudem Gullu Cakie zdołał go przeprowadzić pomiędzy nimi. Tak czy inaczej, siły sułtana wciąż były nazbyt gęsto rozlokowane i z myślą o dotarciu do ukrytej łodzi należało się wstrzymać. De la Valette miał natomiast już tylko tysiąc pięciuset ludzi zdolnych do

samodzielnego poruszania się. Gdy zaczął się atak, Tannhäuser przykucnął za okutą zasłoną na górnej platformie wieży i w nieznośnym upale strzelał tak długo, aż wyczerpał cały zapas prochu i kul, a jego ramię było sine aż po łokieć. Wtedy dopiero pozwolił sobie na zejście z zalanej krwią machiny.

O wszystkim tym zapominał z rozkoszą, mocząc się w słonej wodzie. Gratulował sobie w duchu tego wynalazku. Gdy stawiał tu tę beczkę, nie miał pojęcia, jak ważna się okaże dla utrzymania go przy zdrowych zmysłach. Może mógłby przeleżeć w wodzie całą noc, patrząc w gwiazdy? Może zasnąłby i utonął, a rankiem znaleziono by go martwego, ale z szerokim uśmiechem na ustach? Kiedy przypomniał sobie, że Nicodemus szykuje na kolację kotlety z polędwicy, postanowił odsunąć od siebie myśli o śmierci. Nagle drgnął, wyczuwając czyjąś obecność. Twarz Amparo pojawiła się nad krawędzią beczki i serce w nim zamarło. Miała zapuchnięte, pełne łez oczy, które spoglądały na niego z wyrzutem. Wiedział już, że odrobina spokoju, którą dał mu ten wieczór po ciężkim dniu, należy do przeszłości. Zdobył się jednak na grymas miłego powitania.

– Amparo – powiedział – co cię tak zasmuciło?

Zwróciła twarz ku niebu. Wyglądała jak wcielenie rozpaczy. Z wysiłkiem, który uznał w duchu za heroiczny, wyciągnął rękę z wody i pogłaskał Amparo po włosach. Cofnęła głowę. Nie widział jej jeszcze w takim stanie, ale rozumiał, że to tylko kwestia czasu, jako że Amparo była kobietą.

– Chcesz mi coś powiedzieć – stwierdził.

– Zakochałeś się w Carli, prawda? – odrzekła, nie patrząc na niego.

Tannhäuser westchnął głęboko. Jak zawsze, gdy wpadał w kłopoty, i tym razem mógł winić tylko siebie. Dziwiło go jedynie to, że w otoczeniu spraw najpoważniejszych sprawy błahe mogą zyskać taką wagę.

– Porozmawiajmy o tym kiedy indziej – zaproponował.

– A więc to prawda.

– Amparo, spędziłem trzy dni na mordowaniu ludzi. Nie winiłbym nikogo, gdyby nazwał to końcem świata. Miej więc litość nad biednym żołnierzem i daj mu choć chwilę spokoju.

Spojrzała na niego i jej oczy napełniły się łzami. Nie mógł żywić nadziei, że jego oczy wygrają z tymi zapłakanymi. Amparo wyciągnęła do niego ręce jak małe dziecko, a wtedy podniósł się na zesztywniałych i drżących nogach i otoczył ją mokrym ramieniem.

– Wystraszył mnie – powiedziała.

Rozdrażnienie Tannhäusera wyparowało w jednej chwili.

– Kto taki? – spytał.

– Brat Ludovico.

Ból minął równie szybko, a ich miejsce zajęła wściekłość. Tannhäuser poczuł, że instynktownie zaciska szczęki, że napręża się skóra na jego głowie, że krew płynie do mózgu wysoką falą.

– Skrzywdził cię?

Potrząsnęła głową bez przekonania. Uniósł jej podbródek i spojrzał w oczy. Wspomnienie strachu, który wzbudził w niej Ludovico, już zniknęło, a jego miejsce zajął niepokój o to, co zobaczyła w oczach Tannhäusera. Bardzo chciał nad sobą zapanować, ale nie mógł. Jeszcze raz pogładził jej włosy i starł łzy z policzków.

– Jesteś moją ukochaną – powiedział.

– Naprawdę? – Jej twarz rozpromieniła się w okamgnieniu.

– I zawsze będziesz. A teraz opowiedz mi, co mówił Ludovico. Opowiedz mi wszystko.

Ludovico Ludovici siedział w Oberży Włoskiej, w pokoju del Montego – oczywiście za zgodą admirała. Na ścianach wisiały portrety dawnych bohaterów Langue oraz tureckie bandery zdobyte podczas licznych bitew morskich. Sztandar z czerwoną ręką, symbol Sandżaka Czedera, stał na honorowym miejscu. Fotel admiralski był odpowiednim miejscem do prowadzenia narady z bajlifami Langue Francuskiej.

Jeszcze nie wypełnił misji, którą powierzył mu Ghislieri. Uczynienie z admirała del Monte wielkiego mistrza nie było jeszcze rzeczą pewną. Jednakże wśród wielu zadań, które zamierzał wykonać, akurat to okazało się prostsze, niż przypuszczał. Przećwiczył dyskusję o kandydaturze del Montego z przywódcami innych Langues. Kastylijczycy, Aragończycy, Niemcy i Owernijczycy już zadeklarowali swoje poparcie. Choć w szeregach Religii roiło się od bohaterów, przywództwo obrony fortu Świętego Michała dało admirałowi ogromną przewagę. Nikt nie cieszył się tak wielkim mirem. A co ważniejsze, po dziewięćdziesięciu dniach brutalnego oblężenia nikomu nie chciało się angażować w polityczne manewry. Ludovico nie przewidywał więc wielkich problemów z przekonaniem Francuzów, choć wrodzony temperament mógł skłonić ich do oporu.

Miał na sobie czarny habit; jego ciało z ulgą pożegnało się ze zbroją. Plecy i żebra bolały go za każdym razem, gdy zmieniał pozycję w fotelu. Kula, która dosięgła go dwie noce wcześniej, uczyniła w pancerzu wgłębienie wielkości kurzego jaja. Przez kilka chwil myślał wtedy, że został zabity, i było to niepokojące doznanie. Nie czuł ani strachu, ani żalu. Zobaczył oczami wyobraźni postać Chrystusa ukrzyżowanego. Szeptem zmówił akt żalu.

Poczuł spokój. I wtedy zobaczył twarz Carli i jego serce wypełniła miłość do niej, a zaraz potem strach. Strach, że jego miłość nigdy nie znajdzie ujścia. Z tą myślą był gotów wkroczyć w wieczność, gdy nagle wierny Anacleto podpełzł do niego i pokazał rozdartą twarz. Ludovico zrozumiał, że to jeszcze nie śmierć.

Myśl o Carli paliła jego wnętrzności jak nigdy niegasnące węgle. Jednak cierpliwość w tej sprawie – jak w większości spraw – mogła mu przynieść bardziej dojrzałe owoce. Niemiec wkrótce miał stracić swoją przewagę, a Carla jeszcze nie zdążyła zbrukać się w jego łożu. Ludovico usłyszał kroki na korytarzu i od razu odgadł, kogo za chwilę zobaczy. Otworzył księgę leżącą na biurku i pochylił się nad nią, udając, że czyta. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Popatrzył na stronicę jeszcze przez moment, zanim uniósł głowę.

– Kapitanie – rzekł – przychodzisz wcześniej, niż się spodziewałem.

Twarz Tannhäusera była rzeźbą z kamienia. Pistolet o długiej lufie sterczał zza jego pasa, tuż obok sztyletu, na rękojeści i pochwie zdobionego klejnotami na turecką modłę. W jego oczach płonęła żądza mordu.

– Amparo musi bardzo w ciebie wierzyć, skoro tak prędko opowiedziała ci o wszystkim – dodał Ludovico.

Anacleto stanął nagle za plecami Tannhäusera, trzymając dłoń na głowicy miecza.

Nie odwracając się, Tannhäuser wycedził:

– Jeśli twój chłopaczek chce się nacieszyć tym okiem, które mu zostało, niech lepiej stąd zniknie.

Ludovico skinął głową i Anacleto wyszedł.

Tannhäuser sięgnął za połę brygantyny i wyjął paczkę owiniętą w nawoskowany papier. Rzucił ją na biurko tak, że przekoziołkowała.

– Ćwiartka opium, z wyrazami uznania – rzekł. – To więcej niż hojna nagroda za udane zastraszenie dziewczyny.

– Jestem wdzięczny…

– Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do którejkolwiek z tych kobiet, jeśli miniesz się z nimi na ulicy, jeśli będziesz je szpiegował z daleka, jeśli któraś z nich obudzi się w środku nocy i wypowie twoje imię, sprawię, że gorzko pożałujesz opuszczenia Rzymu.

– Miejmy nadzieję, że z lepszym skutkiem niż ostatnim razem.

Tannhäuser oparł się o blat biurka. Ludovico poczuł lekkie poruszenie w żołądku.

– To miało być zwykłe morderstwo. Następnym razem będziesz patrzył, jak kąpię się w twojej krwi.

Wydawało się, że Tannhäuser wpatruje się w inkwizytora dłużej, niż trwała poranna bitwa. Ludovico wytrzymał to spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Tannhäuser wyprostował się, odwrócił i ruszył w stronę drzwi.

– Kapitanie – odezwał się Ludovici.

Tannhäuser zatrzymał się i odwrócił.

– Wolałbym nie mieć w tobie wroga.

Tannhäuser zaśmiał się krótko.

– Carla jest tylko jedną z wielu kobiet – ciągnął Ludovico. – Przynajmniej w twoim mniemaniu. Skoro potrzebujesz tytułu, mogę uczynić z ciebie takiego szlachcica, przy którym hrabia wydawać się będzie skromnym sprzedawcą ryb. Niejeden książę zaczynał jako żołnierz. Ojciec Święty jest szczodry dla tych, którzy dobrze mu służą. Podaj mi rękę, człowieku, a daję ci słowo, że będziesz żył dostatnio.

– Mam zostać twoim zausznikiem? – spytał Tannhäuser. – Wolałbym raczej połknąć twoje gówno.

– Uwierz mi, że znalazłbyś się w doborowym towarzystwie.

– Może tamci mają wrażliwsze podniebienia.

– Wątpisz w moją szczerość? – spytał Ludovico.

– Nie. Szczam na nią. – Tannhäuser uniósł palec tuż przed jego nosem, w geście znacznie bardziej obraźliwym niż słowa, które wypowiedział. – Ale przyjmij moją radę: nie bądź na tyle próżny, żeby wątpić w moją.

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł, nie zamknąwszy za sobą drzwi.

Ludovico sięgnął po bryłę opium. Więc jednak nie zwyczajny łotr, pomyślał. Trzyma w zanadrzu własne intrygi. Ludovico wyczuwał je tak, jak marynarz wyczuwa zbliżający się sztorm. Anacleto wszedł do gabinetu. Spojrzenie jego oka padło na paczkę. Ludovico rzucił ją w jego kierunku.

– Idź i znajdź Greka – powiedział. – Przyprowadź go do mnie, kiedy tylko wyjdą Francuzi. – Anacleto spojrzał na niego pytająco. Ludovico skinął głową. – Nicodemusa.

Czwartek, 23 sierpnia 1565 - Wysoka Rada, fort Świętego Anioła

Oliver Starkey rozejrzał się i w niespokojnym blasku świec zobaczył towarzystwo szlachetnych starców, z których każdy doznał ran w bitwie i pogodził się ze śmiercią. Świeże blizny znaczyły ich twarze. Niektórym brakowało palców, trzej stracili dłonie lub ramiona. Rozpacz nie leżała w ich charakterze, mimo niewesołej sytuacji, ale też żaden z pilierów, bajlifów ani Rycerzy Wielkiego Krzyża Wysokiej Rady nie spodziewał się już, by Religia mogła zwyciężyć. Nawet de la Valette, po którego prawicy siedział Starkey, wyglądał na przygnębionego. Przeczucie, że będzie to ostatnie posiedzenie Rady w historii zakonu, było nieomalże namacalne i dlatego bolesna melancholia, niczym bezgłośny tren, zawisła nad salą. W dodatku nigdy więcej świat nie ujrzy takich mężów, pomyślał Starkey, ponieważ ten świat, który ich stworzył, już nie istnieje. To oni byli ostatnimi z prawdziwych.

Tego dnia Turcy przypuścili kolejny zmasowany atak. Nikt z obecnych nie pamiętał już, ile podobnych szturmów udało się przetrwać i odeprzeć. Dni rozlewu krwi, wyczerpania i smutku ciągnęły się w wyobraźni wszystkich jak piekielna wieczność, jakby wojna była normalnym stanem, jakby nigdy nie istniało nic innego niż nędza. Z woli Boga – bo wydarzenia już od dawna nie miały nic wspólnego z wojskową logiką – muzułmańską hordę raz jeszcze udało się przegnać za zroszoną krwią Wielką Równinę. Rada została zwołana zaraz potem, przez większość Rycerzy Wielkiego Krzyża, którzy pragnęli zaprezentować nową, radykalnie zmienioną strategię. Zadanie jej wyłożenia przypadło Claramontowi, Rycerzowi Komandorowi Langue Aragońskiej, który mając lat czterdzieści siedem, był najmłodszy w tym szacownym gronie.

– Bracie Starkey – zagaił Claramont – co nam mówią ostatnie obliczenia?

Starkey nie musiał zaglądać do papierów, które przed nim leżały.

– Dwustu dwudziestu naszych braci pozostaje zdolnych do noszenia broni. Spośród żołnierzy hiszpańskich, wolnych poszukiwaczy przygód oraz milicji maltańskiej – może dziewięciuset. Wszyscy są ranni, niektórzy poważnie. Mamy prawie trzy tysiące rannych, którzy już nie pojawią się na murach.

– A ilu zabitych?

– Dwustu siedemnastu braci rycerzy. Ponad sześć tysięcy Hiszpanów i Maltańczyków. Do tego mniej więcej tysiąc siedmiuset cywilów.

– Według mojej oceny – powiedział Claramont – armia niewiernych wciąż zdolna jest wystawić do walki piętnaście tysięcy wyszkolonych żołnierzy, może więcej.

Starkey nie próbował podważać tych obliczeń. Po dziewięćdziesięciu czterech dniach zabijania Turków stalą, ołowiem, zarazą, kamieniem i ogniem – a były to straty większe, niż marzyło się któremukolwiek z dowódców – wróg wciąż dysponował przytłaczającą przewagą.

– Jakieś nowiny z Sycylii, od Garcii de Toledo? – spytał Claramont.

– Żadnych – odparł Starkey. – W ostatnim liście obiecywał dziesięć tysięcy ludzi przed końcem tego miesiąca.

– O, tak. Tych samych, których obiecywał nam w czerwcu, a potem w lipcu – odparował Claramont.

W sali rozległy się gniewne pomruki.

– Tureckie działa oblężnicze rozpadają się od zbyt intensywnego strzelania, a zapasy prochu są na ukończeniu – Starkey spróbował powalczyć z pesymizmem Francuza. – Kapitan Tannhäuser donosi, że i morale Turków jest coraz niższe. Ich imamowie cytują inne, bardziej ponure wersety. Zaczynają wierzyć, że nie jest życzeniem Allaha, by Malta należała do nich.

– Allah niech będzie przeklęty – odparł Claramont. – Ale to my przypominamy armię duchów. To nasze mury są ledwie stertą kamieni. Ziemia pod nami jest jak plaster miodu pełen tureckich min. Nie mamy problemu z odwagą. Każdy gotów jest raczej zginąć, niż jęczeć w tureckim jarzmie. Jeśli więc wróg chce przejąć tę wyspę, przejmie cmentarzysko. Pytanie tylko, jaką cenę każemy mu zapłacić. Jak długo jeszcze będziemy w stanie bronić Il Borgo i Świętego Michała tysiącem ludzi? Tysiącem rannych ludzi. Czy przetrwamy kolejny zmasowany atak, taki jak dzisiejszy? Kolejne dwa? Kolejnych pięć? Jeszcze tydzień taki jak ostatni? A może ktokolwiek wątpi, że podobne ataki jeszcze nastąpią?

Starkey nie odpowiedział, tylko spojrzał na wielkiego mistrza. De la Valette siedział w milczeniu, z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a jego szare oczy wpatrywały się w nieskończenie daleki punkt, jakby czerpały stamtąd tylko jemu znane moce duchowe.

– Forteca, w której teraz się znajdujemy – kontynuował Claramont – fort Świętego Anioła, jest praktycznie nienaruszona. Otacza ją szeroki kanał od strony lądu, a ze wszystkich innych stron oblewa ją morze. Jej magazyny są do połowy zapełnione ziarnem i peklowanym mięsem. Możemy mieć do dyspozycji czterdzieści tysięcy baryłek wody pitnej. Mamy mnóstwo prochu i kul. Możemy tu sprowadzić nasze święte relikwie – rękę Jana Chrzciciela, Matkę Boską z Philermo, Madonnę z Damaszku – a także archiwa i sztandary, aby pozostały bezpieczne, niezbezczeszczone rękami muzułmanów. Rozciągniętych na murach wytłuką jak kaczki, czy to metodycznie, czy jednym, potężnym atakiem. Ale jeśli

wycofamy wszystkich zdolnych do walki ludzi za mury Świętego Anioła i wysadzimy most do Il Borgo, wystarczy nas tysiąc, by powstrzymać Turków choćby i całą zimę. Czy ktoś zaprzeczy?

Nikt się nie odezwał.

Admirał del Monte wymienił spojrzenia z Ludovikiem, który siedział obok niego, ale obaj milczeli. Starkey popatrzył na de la Valette'a, który zachował kamienną twarz.

Claramont mówił dalej:

– Ważkie przyczyny wojskowe zmuszają nas do przyjęcia jednego wniosku. – Francuz zawahał się. – Musimy opuścić Borgo. A także Świętego Michała i L'Isolę. W tej sprawie mogę już mówić w imieniu całej Wysokiej Rady, ponieważ nikt nie wyraził sprzeciwu.

Claramont usiadł. Zapadła cisza, której – co było rzadkością – nie przerwał żaden z szacownych członków rady. Nietypowe było też napięcie, z jakim wpatrywali się w wielkiego mistrza, czekając na jego decyzję. Wszyscy wiedzieli, że jeśli porzucą zewnętrzne fortyfikacje, porzucą też mieszkańców miasta – ponad dwanaście tysięcy Maltańczyków, w większości kobiet i dzieci, skazując ich na natychmiastową zagładę. De la Valette wreszcie wstał, jedną ręką podpierając się o stół z powodu ran.

– Moi drodzy, szanowni bracia – rzekł. – Wysłuchałem waszej rady z największą uwagą i najwyższym szacunkiem. Ale odrzucam ją.

Członkowie rady zesztywnieli. Niektórzy mimo woli pochylili się w jego stronę.

– Argumenty wojskowe przemawiające za opuszczeniem miasta istotnie są ważkie i słusznie na nie wskazujecie. Być może nawet są to argumenty bezsprzeczne. My wszakże nie jesteśmy tu tylko z przyczyn militarnych.

Tylko jeden człowiek nieznacznie skinął głową. Starkey zauważył, że był to Ludovico.

– Bóg nie bez powodu sprawił, że dotrwaliśmy do tej chwili – ciągnął de la Valette. – Nasza wiara przeżywa teraz ciężką próbę i musimy zadać sobie pytanie: czym jest dla nas Religia? – Potoczył wzrokiem po twarzach zebranych. – Co jest usprawiedliwieniem jej istnienia? Jej esencją? Przyczyną, dla której powstała?

Nikt nie odpowiedział, wszyscy bowiem czuli, że uczyni to wielki mistrz.

– Nie jesteśmy tylko żołnierzami, choć powołanie to samo w sobie może być szlachetne. Jesteśmy rycerzami Szpitala Świętego Jana z Jerozolimy. Szpitalnikami. Obrona pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy była naszym pierwotnym zadaniem. Tuitio fidei et obsequium pauperum. To pierwsza i ostatnia reguła naszego zakonu: obrona wiary i służba

ubogim. Najlepiej więc bronimy wiary nie z bronią w ręku, ale poprzez służbę potrzebującym. W zamian otrzymujemy siłę, która wzmacnia i chroni naszą wiarę. Każdy z was pamięta, jak podczas pasowania na rycerza przysięgał być sługą – niewolnikiem – biednych w Jezusie Chrystusie. Być błogosławionym dla naszych panów, chorych. Czyż oni nie należą do Pana naszego, Jezusa Chrystusa? Czyż nie należy ich traktować – i chronić – tak, jak traktowalibyśmy i chronili samego Pana naszego, Jezusa Chrystusa? – De la Valette mówił cicho, ale z pasją.

Starkey dostrzegł na twarzach starszych rycerzy łzy ściekające ku brodom.

– Znaleźliśmy się pośród lwich legowisk – tłumaczył wielki mistrz. – Czy to jest właściwy moment, żeby porzucić naszych panów, chorych? Zostawić niezliczonych rannych na łasce muzułmańskich diabłów? Skazać naszych dzielnych maltańskich towarzyszy broni, a także ich kobiety i dzieci, na niewolę na tureckich galerach? Czy mamy wyrzec się naszej Świętej Infirmerii w godzinie najtrudniejszej próby? – De la Valette rozejrzał się.

Wielu zbytnio się wstydziło, by spojrzeć mu w oczy.

– Macie słuszność: ta forteca nie pomieści więcej niż tysiąc ludzi. Lecz za jej murami czekają na nas tysiące. Może to być wolą bożą, że nasza Religia zostanie pogrzebana w ruinach i że nasz zakon przestanie istnieć. Tego jednak nie trzeba nam się obawiać, albowiem Bóg, Aniołowie i Święci oczekują naszego przybycia. Jeśli jednak pozostawimy tu chorych i biednych, by zginęli bez naszej opieki, Religia sczeźnie w tej samej chwili – i to nadaremnie. A to dlatego, że bez naszych chorych i biednych jesteśmy niczym. Religia jest niczym. I nawet gdyby wtedy przetrwała, w oczach Boga jej honor byłby splamiony – jeśli nie w oczach ludzi – aż po kres czasu. – De la Valette usiadł.

Niewątpliwie wszyscy dali się przekonać, ale zapanowała niezręczna cisza – zabrakło kogoś, kto przemówiłby w imieniu zebranych.

Wreszcie powstał admirał del Monte. Czyżby ponaglił go Ludovico? Starkey nie zauważył. Tak czy owak, wzrost znaczenia brata Ludovica w szeregach zakonu zdumiewał go niezmiernie, także dlatego, że pozostał człowiekiem nadzwyczaj skromnym. Równie zaskakująca była jego dzielność na polu walki. Lecz najbardziej zadziwiało Starkeya to, że nikomu nie przeszkadzała obecność inkwizytora.

– Jak zawsze – zaczął del Monte – Jego Ekscelencja pokazuje nam prawdziwą naturę naszych obowiązków. Jeżeli zbłądziliśmy, błagajmy Pana o wybaczenie i módlmy się, by pamiętał, że jesteśmy tylko Jego dziećmi. Będziemy bronić Borgo i Maltańczyków do ostatniej kropli krwi. Jakikolwiek spotka ich los, będziemy go dzielić. Wybór między porażką a potępieniem nie jest żadnym wyborem.

Z ulgą członkowie Wysokiej Rady zaczęli po kolei wyrażać poparcie dla wielkiego mistrza – Claramont jako ostatni, ze szczególną skruchą – lecz de la Valette pohamował ich, unosząc rękę ku górze. Zaraz potem spojrzał znacząco na Starkeya, oddając mu prowadzenie obrad.

– Czy są inne sprawy, które rada powinna omówić? – spytał Anglik.

Ludovico wstał. Jego dźwięczny baryton wydawał się zbyt cichy, by dotrzeć choćby do końca stołu, a jednak wypełnił całą komnatę.

– Za pozwoleniem waszej ekscelencji, chciałbym poruszyć dwie sprawy – rzekł. – Pierwsza jest delikatnej natury i modlę się, bym nie wywołał urazy.

– Mów szczerze, bracie Ludovico – odparł de la Valette. – Wskazówki Ojca Świętego zawsze wielce cenimy, a ty jesteś tu jego głosem.

Przytyk ukryty w tej wypowiedzi nie uszedł uwagi Starkeya, a i Ludovico niewątpliwie go zauważył, ale odpowiedział jedynie skromnym ukłonem, zanim przeszedł do rzeczy.

– W sobotniej bitwie wasza ekscelencja odniósł chwalebne rany; jego pogarda śmierci jest rzeczą powszechnie znaną i inspirującą dla nas wszystkich.

Pomruki uznania potwierdziły powszechną opinię o odwadze de la Valette'a.

– Niestety, jest też źródłem naszej troski – dodał Ludovico. – W tych niepewnych dniach śmierć może spotkać każdego z nas w mgnieniu oka. Jak dowiodły wydarzenia owego dnia, strata waszej ekscelencji pozostawiłaby w naszych szeregach pustkę, która mogłaby prowadzić do katastrofy, gdyby nie została natychmiast wypełniona. – Inkwizytor umilkł, spokojnie wpatrując się w twarz de la Valette'a.

Wielki mistrz z równym opanowaniem skinął głową, pozwalając mu mówić dalej.

– Pozwolę więc sobie na śmiałość i zasugeruję, by Wysoka Rada nominowała i zaaprobowała następcę waszej ekscelencji, tak abyśmy w chwili tak tragicznej katastrofy nie zostali pozbawieni przywództwa, które jest podstawą naszej odwagi i morale.

Napięcie wokół stołu było doskonale widoczne. Wszyscy od dawna rozmyślali o tej sprawie, lecz nikt jeszcze nie odważył się o niej wspomnieć.

– Zdaję sobie sprawę, że oznacza to rezygnację z tradycyjnego procesu elekcyjnego – ciągnął Ludovico – lecz w naszej sytuacji strata trzech dni może się okazać stratą nie do odrobienia.

– Zasługujesz na wdzięczność rady za poruszenie tej sprawy, bracie Ludovico – odpowiedział bez wahania de la Valette. – źle się stało, że sam tego nie uczyniłem. Całkowicie popieram twoje argumenty i mam nadzieję, że moi bracia są tego samego zdania.

– Rozejrzał się, szukając przeciwników, ale nie znalazł żadnego. Znowu spojrzał na Ludovica. – Przypuszczam, że masz swojego kandydata.

– Admirała Pietra del Monte z Langue Włoskiej – odparł inkwizytor.

Nikt się nie poruszył. Wszystkie spojrzenia utkwione były w wielkim mistrzu, który z kolei skierował wzrok ku del Montemu.

– Żeglowaliśmy z bratem Pietrem na tym samym pokładzie – rzekł de la Valette. Ciepło i ulga w jego głosie natychmiast rozluźniły napięcie wśród zebranych. – W swej znakomitości i dzielności jego obrona fortu Świętego Michała może być porównana jedynie z bohaterstwem obrony Świętego Elma, a pod względem rozmachu – chyba każdy się z tym zgodzi – nie da się porównać z niczym. Jeśli jest człowiek w chrześcijańskim świecie, który lepiej nadawałby się do tej misji, chciałbym teraz poznać jego imię.

Jeden po drugim członkowie rady udzielali poparcia admirałowi i tak del Monte został namaszczony jako następca de la Valette'a.

Gdy Włoch z właściwą sobie skromnością i w bardzo krótkich słowach dziękował braciom, Starkey zastanawiał się nad subtelnością działań Ludovica. Taka jednomyślność w kwestii elekcji była dotąd nie do pomyślenia. Nawet wyniesienie do godności wielkiego mistrza, choć ostatecznie dokonało się jednogłośnie, wymagało niesłychanie energicznych machinacji, przekupstwa i namawiania, w których zresztą Starkey odegrał kluczową rolę. Teraz zaś wydawało się oczywiste, iż Ludovico popracował na sukces del Montego, i to działając całkowicie bez wiedzy Starkeya, co było sprawą niepokojącą. Dodatkowym dowodem pomysłowości inkwizytora był fakt, iż na swego kandydata wybrał nie tylko faworyta rady, ale także człowieka doskonale odpowiadającego potrzebom Rzymu.

– Bracie Ludovicu, a jaką to mniej delikatną sprawę chciałbyś jeszcze poruszyć? – spytał de la Valette.

Ludovico pochylił się i podniósł z posadzki pękatą skórzaną walizkę. Otworzył ją i wyjął srebrny relikwiarz ozdobiony drogimi kamieniami, który obszedłszy stół, postawił przed wielkim mistrzem.

– Mam nadzieję, że nie zdradziłem zaufania naszego Ojca Świętego w Rzymie, pozwalając sobie na takie opóźnienie. Czekałem z przekazaniem wam tej świętości, aż nadejdzie godzina najtrudniejszej próby.

De la Valette kazał Starkeyowi otworzyć szkatułę. Anglik usłuchał, a kiedy zajrzał do jej wnętrza, zabrakło mu tchu. Na karmazynowej wyściółce z aksamitu spoczywała umocowana złotym sznurkiem rękojeść miecza wraz z dwucalowym kikutem ułamanej głowni. Trzpień i klinga były zardzewiałe i nadgryzione zębem czasu, a z drewnianej

okładziny rękojeści został już tylko przynitowany fragment. Był to niewątpliwie miecz antyczny, rzymski gladius. Serce Starkeya zabiło żywiej, gdy na niego patrzył, ale wolał nie myśleć o tym, czym mogła być ta broń. Spojrzał na Ludovica. Inkwizytor skinął głową.

– To jest miecz, którym Piotr bronił naszego Pana, odcinając ucho rzymskiemu żołnierzowi w ogrodzie oliwnym.

De la Valette odsunął krzesło, opadł na jedno kolano i przeżegnał się, a pozostali członkowie rady poszli za jego przykładem. Po chwili wstał i pochylił się nad szkatułą, a potem odstąpił od stołu, by i inni rycerze mogli z podziwem i błyszczącymi oczami oraz z modlitwą na ustach przyjrzeć się relikwii. Starkey spostrzegł, że de la Valette uważnie przygląda się bratu Ludovicowi, ale ich twarze nie zdradzały żadnych uczuć.

– Jego Świątobliwość raz jeszcze dowiódł swej mądrości – rzekł wielki mistrz. – A ty, bracie, znów okazałeś się jego doskonałym sługą.

Ludovico skłonił głowę i nie odpowiedział.

– Relikwia ta spocznie w kościele Świętego Wawrzyńca, wraz z ręką Jana Chrzciciela – obwieścił de la Valette.

– Z całym szacunkiem, Wasza Ekscelencjo – wtrącił Claramont – ale czy nie powinniśmy przenieść przynajmniej relikwii w bezpieczne mury Świętego Anioła?

De la Valette pokręcił głową.

– To byłby sygnał dla naszych żołnierzy, że spodziewamy się klęski. A wbrew wszystkiemu, co zostało powiedziane, ja klęski nie wieszczę. Z bożą pomocą jeszcze zapędzimy Turków do morza. Ręka świętego Jana Chrzciciela, miecz świętego Piotra oraz obraz Matki Boskiej z Philermo będą opoką naszej siły. Pozostaną tam, gdzie ich miejsce, nawet jeśli nie będzie już nikogo, kto mógłby ich bronić.

Wszyscy zebrani słuchali go teraz z uwagą.

– A wracając do sprawy, która stała się przyczyną dzisiejszego spotkania, wydam jeszcze jeden rozkaz. Jutro cała załoga fortu Świętego Anioła zostanie ewakuowana. Pozostanie tylko drużyna potrzebna do obsługi dział umieszczonych na dachu twierdzy. Wtedy zniszczymy most łączący ją z Il Borgo.

Pełna zdumienia cisza zapadła w sali obrad. Nawet Ludovico spojrzał na wielkiego mistrza spod wysoko uniesionej, czarnej brwi.

– Nie będzie odwrotu – dodał de la Valette. – Niech wszyscy, włącznie z Turkami, zrozumieją, że będziemy walczyć i zginiemy tam, gdzie nasze miejsce: na posterunku.

Piątek, 31 sierpnia 1565 - Il Borgo – Monte San Salvatore

Jeżeli istniał jakikolwiek pożytek z niezliczonych ran, złamań i otarć, to chyba tylko ten, że wobec ogólnego dyskomfortu trudno było zwracać wielką uwagę na każdy uraz z osobna. Ostatni mocny atak z dwudziestego trzeciego sierpnia przyniósł Tannhäuserowi dwa nowe rozcięcia na lewym policzku, wrażenie posiadania sporego zapasu żwiru w kolanie, kolejny złamany palec, kilka pękniętych żeber tuż nad wątrobą, liczne rany cięte na udach – które sam sobie pozszywał – oraz zwichniętą kostkę. Na dodatek dwa razy ogłuszono go w walce i dwa razy budził się na wpół utopiony w ludzkim bagnie, którego najmniej obrzydliwym składnikiem były wymiociny. Mimo to uważał się za szczęściarza, ponieważ większość z tych, którzy utrzymali się przy życiu, kończyła walkę z okaleczeniami i ranami potwornych rozmiarów. Cieszył się, choć niezdolność do wykonania jakiegokolwiek ruchu bez przejmującego bólu sprawiała, że czuł się dwa razy starszy. Opierał się logice i potrzebom ciała dłużej, niż wymagał tego honor, ale wreszcie uległ i przyrządziwszy nową porcję kamieni nieśmiertelności, spędził kolejny tydzień w stanie błogiej obojętności na apokaliptyczne zdarzenia rozgrywające się dokoła.

Kamienie pomagały mu też zwalczyć czarną melancholię, która dręczyła go coraz mocniej. W chwilach przygnębienia nabierał pewności, że już nigdy nie zobaczy Orlandu. Rozsądek podpowiadał wprawdzie, że pozostawienie chłopca z Abbasem było najlepszym rozwiązaniem, lecz mimo to tęsknił. Miewał też napady wyrzutów sumienia, skazał bowiem Orlandu na życie polegające na przelewaniu krwi.

Nie był jednak sam w cierpieniach ciała i duszy. Włócząc się ulicami zrujnowanego miasta, spotykał często ludzi otępiałych i okaleczonych, którzy mamrotali coś do siebie, kryjąc się w gruzach, albo wpatrywali się milcząco w dal, albo rozpaczali nad szczątkami domów, rodzin i własnego życia. Na wpół zrujnowane kościoły pełne były takich ludzi; lamenty nie cichły ani na chwilę. Wydawało się, że kobiety lepiej znoszą oblężenie. Jako że większość mężczyzn zginęła lub odniosła rany, a rzesze niewolników skurczyły się – zwłaszcza po niedawnym, brutalnym stłumieniu ich buntu – do gromadek apatycznych duchów o pustych oczach, to właśnie kobiety wzięły na siebie ciężar odbudowywania murów i wynoszenia zwłok z linii obrony. Jednak i one upadały na duchu, coraz bardziej mechanicznie wykonując codzienny rytuał pobierania racji żywnościowych i noszenia wody ze źródła. Nawet wysiłek zapanowania nad własnym obdartym potomstwem podejmowały z obojętnością potępionych.

Gdy rozlegał się sygnał alarmu, straże wyruszały w miasto na poszukiwanie maruderów, których pędziły ku murom sznurami zdobnymi w supły. Zabitych rycerzy chowano z wszelkimi honorami, jako męczenników, natomiast mniej ważne zwłoki pozostawały wprost na ulicach lub też wrzucano je do morza, jako że brakowało miejsc na groby, a zbiorowe mogiły dawno zostały zapełnione i zasypane. Całe miasto cuchnęło rozkładem. Stada czarnych szczurów paradowały ulicami w biały dzień, przyprawiając o mdłości co bardziej wrażliwych mieszczan. Rozbestwione sępy skolonizowały całe kwartały miasta i skrzeczały oraz trzepotały skrzydłami z oburzeniem, gdy ktoś próbował je odpędzać; zachowywały się tak, jakby to ludzie byli nieproszonymi gośćmi w ich królestwie. Muchy nie dawały spokoju obrońcom i kto wie, czy nienawiść do nich nie była jeszcze większa niż do Turków. Katolicy – z myślą o przyszłym wskrzeszeniu – wciąż lękali się kremacji ciał, ale Tannhäuser przypuszczał, że wkrótce zmienią ton i w mieście zapłoną stosy.

Jedynie Bors zachował niezmącony humor i stał się pocieszeniem dla wszystkich. Zawsze miał w zanadrzu ciekawą historię albo trafną obserwację co do ludzkiej natury i bieżących spraw. I on raczył się kamieniami nieśmiertelności, łykając je jak orzechy, gdy tylko miał okazję, co być może nie pozostało bez wpływu na jego wyborny nastrój. Wiadomości o cudownych pigułach rozeszły się szybko, a wtedy Bors wpadł na pomysł, by zrobić na nich interes, póki ponure słońce świeci nad ruinami miasta. Tak wielki był popyt na kamienie, że wkrótce nawet złoto nie mogło ich kupić – bo było zbyt ciężkie, a przez to niepraktyczne w razie ewakuacji. Wkrótce więc rozpoczęła się wymiana kamieni nieśmiertelności na kamienie szlachetne – głównie szmaragdy i diamenty wydłubywane przez Hiszpanów i Maltańczyków z ozdób i broni zabitych Turków.

Gdy Carla usłyszała o tym lukratywnym przedsięwzięciu, zawstydziła Tannhäusera tak bardzo, że zgodził się oddać dziesięć funtów opium bratu Lazarowi, który przyjął ten dar jak cud boski, oczywiście wierząc, że to zdobyczny towar. Dar dla szpitala wprawił w rozpacz Borsa, lecz Tannhäuser pocieszał go, że w ten sposób zapobiegli konfiskacie całego zapasu opium, bo i taką groźbę usłyszał od Carli. Bors był mistrzem w zaopatrywaniu kuchni w żywność, brandy i wina, które coraz łatwiej było zdobyć, w miarę jak ubywało obrońców miasta. Mieszkańcy Oberży Angielskiej jadali więc dobrze i do syta.

Dla łowców przygód rodem z Italii i Anglii, hiszpańskich tercios oraz rycerzy Langue Niemieckiej niezbyt przywiązanych do ascezy oberża stała się ulubionym miejscem spotkań. W jej ścianach i dachu ziały dziury, a refektarz został częściowo zdemolowany, lecz tylko tu można było znaleźć wesołą kompanię. Tomaso sprowadził Gullu Cakiego i jego ludzi, z którymi można było dyskutować w nieskończoność o przemycie i unikaniu podatków.

Garstka co dzielniejszych dziewcząt z miasta także zaglądała do oberży i wkrótce w cieniu katastrofy rozkwitły gorące romanse.

Najpiękniejsze – i niezapomniane dla wszystkich, którzy w nich uczestniczyli – były te wieczorne spotkania, podczas których udawało się namówić Carlę i Amparo do odkurzenia instrumentów. Grały dla wszystkich zebranych, a ich muzyka, jak przypuszczał Tannhäuser, była dla bywalców cenniejsza niż rubiny. Nawet najtwardsi żołnierze ronili łzy, zasłuchani w delikatne melodie. Czasem jednak zdarzały się i tańce, czasem wspólne śpiewy, zwłaszcza gdy popił sobie Andreas de Muñatones z Asturii, obdarzony pięknym tenorem. Niekiedy też – jakby dla kontrastu, a czasem pod przymusem pistoletowego strzału oddanego w powietrze – Tannhäuser recytował tureckie lamenty i gazele, upierając się, że należy honorować poezję w każdym języku, zwłaszcza w takim miejscu i czasie.

Jak zauważył kiedyś Bors, duch Wyroczni zstąpił za nimi do Hadesu.

Po odparciu przez chrześcijan ataku z dwudziestego trzeciego Turcy lizali rany przez osiem długich dni, nie wyprowadzając ani jednego poważniejszego szturmu. Wojna toczyła się jednak pod ziemią, mameluccy saperzy podwoili bowiem wysiłki, których celem było zniszczenie bastionów. Ryli więc tunele w wapiennej równinie ziemi niczyjej, żołnierze de la Valette'a czołgali się po okolicy z misami wody oraz malutkimi dzwoneczkami, próbując wykryć drobne wibracje gruntu wywoływane pracą górniczych narzędzi. Gdy znaleźli właściwe miejsce, maltańscy saperzy wkopywali w ziemię kontrminy na drodze powstających tuneli, by ogień wypalił je, nim dosięgną murów. W otwartych eksplozjami norach dochodziło do regularnych bitew na łopaty, motyki i noże, a toczyły się one z tak barbarzyńską zawziętością, że opowieści o nich mroziły krew nawet w żyłach Tannhäusera. Turcy zdołali jednak założyć kilka min, których detonacje zrujnowały kolejne fragmenty muru.

Rycerze zakonu jeszcze bardziej spotęgowali chaos panujący w mieście, gdy wysadzili most łączący Il Borgo ze Świętym Aniołem. Ekscentryczny ten czyn przez wiele dni zdumiewał obrońców, którzy w większości uważali go albo za wypadek, albo za akt sabotażu, i za tę zbrodnię ochoczo potopiono w kanale wszystkich niewolników, którzy nosili na miejsce materiały wybuchowe. Gdy okazało się, że zniszczenie mostu było posunięciem strategicznym, którego celem było podniesienie morale, logikę tego rozwiązania potrafiły dostrzec tylko najbardziej wyrafinowane umysły, reszta zaś nie pojmowała korzyści płynącej z tego, że teraz trzeba było codziennie barką wozić tony zapasów z twierdzy do miasta. Rycerze jednak, o czym wszyscy wiedzieli, byli dziwnym ludem, a żaden z nich nie był dziwniejszy od wielkiego mistrza, który wydał rozkaz.

Tannhäuser nie przestawał rozmyślać o logistycznym problemie dotarcia do łodzi ukrytej w Zonrze. W chwilach przygnębienia cały ten plan wydawał mu się infantylną fantazją, którą stworzył sobie w głowie, by nie oszaleć. Bors już nie wspominał o tej sprawie, podobnie jak Carla. Tannhäuser wiedział, że uważają jego zobowiązanie za kwestię honoru i niczego więcej, że już nie biorą go poważnie. Oni jednak nie widzieli tej pięknej, smukłej łodzi, a on tysiące razy patrzył na nią oczami wyobraźni i prawie czuł powiew wiatru we włosach, gdy płynęli kursem na Italię.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia zarządzono obowiązkowy post na pamiątkę ścięcia Jana Chrzciciela. Dla kontrastu – a może dla rekompensaty – w piątek trzydziestego pierwszego wieczorem mury oberży doświadczyły zabawy tak hucznej jak nigdy dotąd. A jako że Bors był mistrzem ceremonii, być może nie widziano takiej uczty na całej Malcie. Całkiem przypadkiem odkryto, że jest i okazja do świętowania, a nawet frywolnego szaleństwa: mijał właśnie setny dzień w paszczy diabłów. Kobiety grały. Brandy i wino lały się strumieniami. Śpiewano ballady. Carla akompaniowała de Muńatonesowi, a potem tańczyli razem i trzeba powiedzieć, że tworzyli na tyle piękną parę, że Tannhäuser musiał rozładować zazdrość i podniecenie spotkaniem z Amparo w ogrodowej beczce. Kochał tę dziewczynę bardziej niż kiedykolwiek, ale nie powiedział jej tego – i znowu nie wiedział dlaczego. Goście raczyli się kamieniami nieśmiertelności i bawili się setnie, ale Mattias czuł już zew i nie mógł nad nim zapanować: w Zonrze czekała na niego łódź.

Kiedy więc nastała północ, a księżyc dawno schował się za zachodnim horyzontem, mimo lekkiego upojenia opium i trunkami Tannhäuser wybrał się na rekonesans, ubrany w czerwoną szatę i żółte buty sierżanta sipahów, ukradzione trupowi.

Wpływ narkotyku okazał się dla niego zbawienny. Gdyby nie on, Tannhäuser nie wytrzymałby wyczerpującego czołgania się na dystansie trzystu kroków, ku stokom San Salvatore. Nie przyszłoby mu też do głowy zażywać odpoczynku – kładł się na plecach kilkakrotnie, wpatrując się z upodobaniem w wirujące gwiazdy. Wielka Niedźwiedzica uciekała na północy, Orion gonił ogon Drogi Mlecznej na wschodzie, a Skorpion znikał już za widnokręgiem. Ale kto był tu łowcą, a kto myśliwym? I jakie to miało znaczenie? Wszystko przecież musi kiedyś przeminąć, dumał z rozrzewnieniem Tannhäuser, i nawet gwiazdy, jak mawiał Petrus Grubenius, pewnego dnia muszą spaść. Przyjemność filozofowania zlała się w jedno z narkotycznym błogostanem. Kiedy więc dotarł do tureckich linii, był już tak pewny siebie i przyjazny całej ludzkości, że po paru minutach siedział z wartownikami przy ognisku, pożywiając się zupą z soczewicy i chlebem.

Wszyscy czterej byli prostymi młodzikami z Anatolii, dzielnymi i kompletnie zdezorientowanymi, jak to zwykle bywa z bardzo młodymi żołnierzami. Słuchał w skupieniu ich ponurych opowieści o tej przeklętej kampanii, o rodzinach i ukochanych, których być może nigdy już nie zobaczą, o niesprzyjającej woli Allaha i o brutalnej obojętności dowódców. Byli nieszczęsnymi wyrzutkami w nieprzyjaznej krainie i gdy Tannhäuser znajdował pocieszenie w widoku pulsujących na niebie gwiazd, oni wpatrywali się jedynie w to marne ognisko, jakby wojna obrabowała ich z resztek duszy i zdrowego umysłu.

Rozmawiali o diabłach zamieszkujących chrześcijańską fortecę, najwyraźniej sprzymierzonych z szatanem, bo czy bez jego wsparcia ludzkie istoty mogłyby walczyć tak zajadle? Nazwisko chrześcijańskiego czarownika, de la Valette'a, wypowiadali z zabobonnym lękiem. Ponoć widziano go, jak w środku nocy wychodził na mury i konferował z demonami. To on ściągnął zarazę, która zdziesiątkowała turecką armię. Jego rycerze byli zjawami, wskrzeszonymi mocą zaklęć i inkantacji. Potrafił fruwać z sępami i krukami. Nie można było go zabić, bo zaprzedał duszę diabłu, a diabeł chroni swoje sługi.

Tannhäuser postanowił ich pocieszyć, bo ujęli go swoją łatwą przyjaźnią, bo trafili tu nie mocą nekromancji, ale – jak wszyscy – za sprawą chciwości władców i możnych, a także dlatego, że przynajmniej w takim gronie wciąż czuł się doświadczonym dowódcą i instynkt oraz poczucie obowiązku nakazywały mu ratować podupadającego w nich ducha.

– De la Valette jest tylko człowiekiem – powiedział. – Wspaniałym i straszliwym zarazem, ale tylko człowiekiem. Podobnie jak jego rycerze. A mieszkańcy miasta, mężczyźni i kobiety, walczą jak diabły wcielone, ponieważ to jest ich dom, ziemia ojców, a my przypłynęliśmy tu, żeby im ją odebrać. Czy nie bronilibyście równie zażarcie swoich domów i rodzin?

Pokiwali głowami, wciąż zapatrzeni w ogień, którego języki wspinały się ku nieograniczonemu mrokowi nocy i natychmiast znikały, jakby chciały pokazać młodym żołnierzom, że są niczym w bezmiarze kosmosu, a ludzkie życie ma podobnie znikome znaczenie.

– Ibrahimie – odezwał się jeden z chłopców, imieniem Daud – czy jutro będzie z nimi koniec? A może z nami?

– Jutro? – powtórzył Tannhäuser.

– Po wielkim ataku – sprecyzował Daud. – Po ostatniej bitwie.

Te słowa otrzeźwiły Mattiasa. Postanowił dowiedzieć się nieco więcej.

– Obiecano nam już wiele ostatnich bitew.

Daud skrzywił się, ale pokiwał głową, przyznając mu rację.

Tannhäuser wskazał na ciemność za siodłem, na zbocza Santa Margharity.

– Służę w Kirmizi Bajrak – powiedział, czując się pewnie, bo od wielu dni widywał czerwone sztandary. – Będziemy wspomagać Lwy Islamu w drugiej fali.

Daud spojrzał na jego pooraną bliznami twarz i połamane palce.

– Widziałeś już najgorsze, przyjacielu.

– Najgorsze? – powtórzył Tannhäuser i pokręcił głową. – Dopóki człowiek żyje, najgorsze jeszcze przed nim. Jakie dostaliście rozkazy?

– Jak dotąd dobry Allah był łaskawy dla nas, tu, nad zatoką – odparł Daud. – Nawet te diabły nie umieją chodzić po wodzie. Ale jutro będziemy walczyć w pierwszej fali.

Anatolijczycy wymienili ponure spojrzenia, a Tannhäuser popatrzył na nich współczująco.

– Wszyscy?

Daud machnął ręką w stronę niewidocznej bryły Monte San Salvatore.

– Wszyscy oprócz artylerzystów.

Serce Tannhäusera zaczęło bić szybciej. Pochylił się i wetknął w żar nadpalony patyk, który zaraz zajął się ogniem.

– Nam oczywiście o niczym nie mówią – powiedział. – Twierdzisz, że pasza chce rzucić do walki nawet rezerwy? Całe rezerwy?

– Już czas – potwierdził Daud.

Rezerwowe pułki stacjonujące na San Salvatore, prócz tego, że chroniły baterie dział, miały też powstrzymać ewentualne posiłki dla chrześcijan, które mogłyby nadejść tą samą drogą – po zboczach nad zatoką Kalkara – którą w lipcu dotarł do twierdzy oddział Ludovica. Lecz i Turcy nie umieli chodzić po wodzie. Skoro rezerwowe oddziały miały uderzyć na Il Borgo, musiały najpierw odejść na południe, zostawiając jedynie artylerzystów, a wtedy droga do Zonry – i łodzi Tannhäusera – byłaby otwarta. Nawet dla czteroosobowej grupki uciekinierów. Tannhäuser wypatrzył Gwiazdę Polarną, a tuż nad grzbietem wzgórza, na północnym wschodzie, rogi Byka. Tam była Zonra. Byk miał ich poprowadzić do domu. Pomyślał o Amparo i uznał, że to potężny omen. Rozprostował ramiona.

– Czas na mnie. Muszę iść – powiedział.

Daud posłał mu spojrzenie skrzywdzonego dziecka.

Tannhäuserowi całkiem niespodziewanie przyszedł do głowy fragment Koranu:

– „W Allahu spoczywa wiedza o końcu świata. To On zsyła deszcz i On wie, co kryje się w łonie. Żadna dusza nie odgadnie, co przyniesie jutro, i żadna dusza nie wie, na jakiej ziemi zginie. Tylko Allah jest wszystkowiedzący i w pełni świadomy”.

Czterej chłopcy skłonili się nabożnie, ale przerażenie ich nie opuściło.

– Braliście już udział w bitwie? – spytał Tannhäuser.

Popatrzył kolejno na siedzących wokół ogniska. Wszyscy czterej potrząsnęli głowami.

– Podczas szturmu trzymajcie się razem i wzajemnie dbajcie o swoje bezpieczeństwo.

Teraz wpatrywali się w niego w skupieniu.

– W zgiełku, dymie, strachu, będziecie myśleć tylko o sobie i może o Allahu, którego chwalmy. To naturalne, ale też śmiertelnie niebezpieczne. Ośmioro oczu to więcej niż dwoje. Cztery szable to więcej niż jedna. Połączcie swoje umiejętności i swoją odwagę. Gdzie pójdzie jeden, tam niech idą wszyscy, byle nie na otwartym polu, bo wtedy będziecie stanowili łatwiejszy cel. – Odczekał chwilę, by zapamiętali jego słowa.

Pokiwali głowami.

– Uważajcie na ich ognie greckie, na spadające z góry obręcze w ogniu. I na kule armatnie – nadlatują z szybkością kobry, ale kto uważa, zdąży uskoczyć. Strzeżcie się chrześcijan w pełnej zbroi; może i nie są diabłami, ale diabelnie trudno ich zabić.

Patrzyli na niego jak na Saladyna. Ich szczere oblicza znowu go wzruszyły. Sięgnął za pazuchę i wyjął pudełko z kamieniami nieśmiertelności. Dlaczego nie, pomyślał. Wyjął dwa z nich i sztyletem, którego ciemne ostrze połyskiwało złowrogo w blasku ognia, podzielił pokryte złotem kulki na pół.

– Niewiele jest zalet atakowania z pierwszą falą – rzekł – ale pamiętajcie o jednej. Waszą rolą jest związać przeciwnika walką – zasadniczo nawet za cenę życia – po to, by druga fala mogła go ostatecznie pokonać. Jeśli dożyjecie do jej nadejścia, wycofajcie się, ale sprytnie, jak kieszonkowcy w tłumie. Bez paniki. Nie biegiem. Z bojową miną. Pomagajcie na przykład rannemu towarzyszowi powrócić do obozu. Nieście go dumnie. Jeśli wam się uda, w najgorszym razie zostaniecie wybatożeni, a w najlepszym – nagrodzeni za odwagę. A teraz pokażcie mi prawe dłonie.

Wyciągnęli ręce przed siebie. Gdyby kazał im wsadzić je w ogień, pewnie zrobiliby to bez wahania. Wręczył każdemu po pół kamienia nieśmiertelności.

– Połknijcie to, stając w szyku na wzgórzu, gdy wasze serca zaczną bić mocniej. Nie wcześniej. Poczujecie smak raju, który pomoże wam zapomnieć o strachu. A jeśli właśnie do raju macie jutro trafić, dzięki tym kamykom droga będzie łatwiejsza.

Zastanawiał się, czy nie warto spytać o Orlandu, bo los chłopaka często zaprzątał jego umysł, ale po tej stronie frontu prawdopodobieństwo, że ktoś go zna, było bardzo nikłe.

Tak czy inaczej mógł być pewny, że kawaleria silahadar nie była w boju od pierwszego dnia oblężenia i nie zanosiło się, by konie miały nazajutrz wspinać się na mury. Tannhäuser wstał.

Pokłonili mu się do samej ziemi, obsypując błogosławieństwami na drogę.

– Nie mówcie nikomu o tym, o czym tu rozprawialiśmy – pouczył. Posłusznie skinęli głowami. – As-Salamu alajkum – pożegnał ich i dodał: – Niech Allah ma was w opiece.

Odchodząc, spoglądał na ogniska na Corradino i coraz bardziej kusiło go, by odszukać Orlandu, a może i usiąść przy jego ognisku, ale doszedł do wniosku, że wystarczająco już kusił los, a do świtu nie zostało mu wiele czasu. Niech się chłopak wyśpi, pomyślał. On sam też potrzebował odpoczynku. Bezpiecznie wrócił do bramy Kalkara, a Bors, który go osłaniał, otworzył przed nim furtę. To jemu pierwszemu, a nie Starkeyowi, Tannhäuser zdał relację i przekazał radosną wiadomość. Bors był jednak sceptyczny.

– Droga na Zonrę ma być otwarta?

– Łódź tylko czeka, abyśmy ją wzięli – zapewnił go Tannhäuser. – Pora spakować opium i klejnoty. Jutro wieczorem wypływamy.

– No to jedyną drobną przeszkodą pozostaje ostatnia bitwa z Mustafą.

– Przeżyłem na tej przeklętej wyspie więcej ostatnich bitew, niż umiem zliczyć. Miej trochę wiary, człowieku, a zobaczysz, że jeśli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla nas ta będzie naprawdę ostatnia.

Sobota, 1 września 1565 - Bastion Niemiec – Święta Infirmeria – Posterunek Kastylii

O świcie, jak zawsze zasygnalizowanym śpiewem muezzina, sto trzeci muzułmański niewolnik zawisł na brudnej linie nad Bramą Prowansalską. Minęło wiele tygodni, odkąd po raz ostatni rytuał ten wzbudził czyjeś zainteresowanie – może z wyjątkiem wieszanych – lecz gdyby go zaprzestano, konsternacja byłaby taka, jakby nad bramą zawisła biała flaga, a nie kolejna ofiara egzekucji. Tego ranka, gdy garnizon szykował się do swej ostatniej bitwy, Tannhäuser raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że ta makabryczna praktyka jest w istocie przejawem geniuszu wielkiego mistrza, z chwilą bowiem, gdy nad wisielcem naprężyła się lina, setki gardeł ryknęły ochrypłym, bojowym okrzykiem.

Gdy szubienicznej tradycji stało się zadość, w kościele Świętego Wawrzyńca zaczęła się msza za wybawienie wyspy. W tym samym czasie kapelani na wielu odcinkach umocnień odprawili mniej uroczyste nabożeństwa dla znużonych żołnierzy. Inni księża uczynili to samo w infirmerii i na zatłoczonym placu przed nią. Nastrój nabożeństw był poważny i uroczysty, jak ostatniego dnia w forcie Świętego Elma, a obrońców i mieszkańców miasta ogarnął dziwny spokój. Nie mieli się już czego bać. Zostało im do wykonania tylko jedno zadanie: umrzeć. Gdy ostatnie amen wzniosło się ku niebu, de la Valette wykonał kolejny genialny ruch.

Srebrny krzyż procesyjny zakonu został wyprowadzony nawą główną kościoła. Tuż za nim niesiono święty obraz Matki Boskiej z Philermo. Wielu wiernych było pewnych, że widzieli w tym momencie najprawdziwsze łzy na bladych policzkach Madonny. Niektórzy mdleli z uniesienia. Drugą relikwią był miecz świętego Piotra, ułożony w otwartej szkatule, tak by przynajmniej niektórzy szczęśliwcy mogli go obejrzeć. Wreszcie oczom zebranych ukazał się najcenniejszy skarb Religii: prawa ręka Jana Chrzciciela, zamknięta w wysadzanym klejnotami relikwiarzu. Gwardia honorowa złożona z przedstawicieli wszystkich Langues zakonu, z wielkim mistrzem na czele, zamykała pochód.

Procesja opuściła świątynię i przeszła zrujnowanymi ulicami, w pobliżu Świętej Infirmerii oraz wzdłuż ścian i bastionów, na których czuwali z rzadka rozstawieni obrońcy miasta. Wszyscy klękali i żegnali się znakiem krzyża, obcując ze świętymi relikwiami; wszyscy też odczuwali moc Jezusa Chrystusa, Matki Boskiej, świętego Piotra i Jana Chrzciciela, która napełniała ich serca. Myśl o zbrukaniu ręki świętego Jana przez muzułmańskie psy wyzwalała w żołnierzach wściekłość i podwajała ich siły. Nim procesja

skierowała się z powrotem ku kościołowi, duch bojowy zdziesiątkowanego garnizonu był równie mocny jak na początku oblężenia.

Tannhäuser spóźnił się na główną ceremonię, gdyż oddawał się znacznie bardziej pierwotnym formom kultu, ale gdy już wyszli z Amparo na poszukiwanie Carli, zdążył jeszcze zobaczyć przechodzącą opodal procesję. Zdumiewało go to, jak głębokie wrażenie wywierają na niektórych te teatralne rytuały. Musiał jednak przyznać, że sama procesja zdziałała tyle, ile posiłki w sile tysiąca ludzi, walczyć bowiem o swoje życie to jedno, a walczyć o prawą rękę człowieka, który ochrzcił Chrystusa – to zupełnie inna sprawa. Ni mniej, ni więcej, tylko o rękę, która zanurzyła Jego głowę w wodach Jordanu. Tannhäuser sam poczuł przypływ zapału do walki i przez chwilę zastanawiał się nawet, czy droga Chrystusowa nie jest aby tą właściwą ścieżką ku Bogu.

Wypatrzył Carlę na placu przyszpitalnym i pomyślał, że sama nadawałaby się na błogosławioną. Właśnie przystawiała puchar wina do ust człowieka, który miał jedynie kikuty ramion owinięte szmatami. Była wychudła i zmęczona, miała splątane i brudne włosy, a jej czarna suknia strzępiła się na potęgę, lecz kiedy odwróciła się ku Mattiasowi i uśmiechnęła się, był gotów przysiąc, że nigdy nie wyglądała piękniej. Poniewczasie dotarło do niego, że popełnia gafę, paradując przed nią z kochanką u boku, ale Carla nie wyglądała na urażoną. Zastanawiał się, czy nie dałoby się utrzymać tego układu i po ślubie, ale doszedł do wniosku, że nawet gdyby było to możliwe, wynikłyby z tego wyłącznie nowe szaleństwa. W porównaniu ze złożonością kochania dwóch kobiet jednocześnie wojna wydawała mu się sprawą bagatelną. Puścił jednak Amparo i przyjął bardziej żołnierską pozę.

Zanim jednak zdążył otworzyć usta, odezwała się Carla:

– Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Potraktował te słowa, a także jej uśmiech jako lekki wyrzut. Odsunął się dyskretnie jeszcze o krok od Amparo i postanowił trochę się wybielić.

– Skoro już pytasz, to powiem ci, że większą część nocy spędziłem, ryzykując zdrowie i życie za linią wroga. Pracowałem nad realizacją naszych planów.

– Naszego najważniejszego planu?

– Tegoż właśnie.

Carla popatrzyła na rannych, a Tannhäuser dostrzegł w tym spojrzeniu nową falę zwątpienia.

– Spośród każdych dziesięciu ludzi, którzy chwycili za broń, żeby ocalić to miasto, dziewięciu nie żyje lub jest blisko śmierci – powiedział. – Służyłaś im z większym

sercem, niż wymagają tego od ciebie honor, odwaga czy nawet sam Bóg. Jeżeli przeżyjemy ten dzień, będziemy mieli szansę przysłużyć się Orlandu. I sobie.

Uśmiechnął się, gdy spojrzała na niego. Skinęła głową.

– Zostań tu i trzymajcie się razem – powiedział Tannhäuser, lekko popychając Amparo w stronę Carli. – Nie włóczcie się nigdzie. Wrócę po zmroku. Bądźcie gotowe.

Tannhäuser dowiedział się, że nie tylko on pracowicie spędził noc. Przed świtem Andreas de Muñatones z Asturii poprowadził rajd podziemny korytarzami i po zaciekłych walkach przy świetle pochodni z tureckimi saperami – mamelukami i lagimci – chrześcijanie zdołali oczyścić tunele z wrogów i min, a w dwóch z nich podłożyli ogień, który strawił drewniane umocnienia stropów. Po ostatniej potyczce maltańscy saperzy wyciągnęli Andreasa z tunelu z oskardem w piersi; zdążyli jeszcze zanieść go do kościoła Świętego Wawrzyńca, gdzie zmarł podczas mszy o świcie.

Tannhäuser i Bors, którzy postanowili dołączyć do rycerzy z Północy, byli świadkami eksplozji kilku innych min, gdy dochodzili do bastionu Niemiec, daleko na wschodnim krańcu murów. Żmudna, wielotygodniowa praca przy odbudowie wewnętrznej ściany na wysokości Bramy Kastylijskiej została zniweczona w jednej chwili. Między bastionami Italii i Prowansji zawalił się wprost do rowu trzydziestostopowy fragment kurtyny, grzebiąc w rumowisku mniej więcej dwudziestu obrońców. Na szczycie wzniesienia Santa Margharita załopotał Sandżak szarif i salwa tureckich dział oświetliła stoki. Gdy dym opadał ku równinie, święta wojna rozpoczęła się na nowo: tysiące gazi gnały przez Wielką Równinę, by poznać werdykt Allaha.

– Allahu Akbar!

Równina była teraz raczej płytkim jeziorem cuchnącej mazi, z wierzchu tylko zeszklonej promieniami słońca. Przez całe lato nie spadła ani kropla deszczu, ale jasnej, właściwej dla tego miejsca glinki nie można było dostrzec spod zaschniętej, czarnej warstwy posoki i wszelkich innych substancji, które wydostawały się z ciał umarłych i umierających. Pyłem, który wzbijał się spod stóp szarżujących gazi, były w rzeczywistości skruszone drobiny wyschniętej krwi ich towarzyszy. Opalizujące w słońcu zielenią i błękitem stada much unosiły się ku niebu, gdy pierwsi z atakujących przewracali się, wpadając po kostki w niewidoczne zagłębienia pełne robactwa. Gdy działa Religii otworzyły ogień, kolejni żołnierze zaczęli padać, potwornie okaleczeni, i wili się w cuchnącej mazi jak jakieś pierwotne istoty. Lecz pozostali biegli. W odległości trzystu stóp dosięgła ich salwa z muszkietów i znów ciała posypały się na ziemię.

Tannhäuser wepchnął do lufy nową kulę i otarł czoło. Zbliżająca się armia już nie była tą nienagannie uformowaną potęgą, która wylądowała w Marsaxlokk. Muzułmańskie okrzyki bojowe brzmiały mało przekonująco, jakby ich źródłem były już tylko resztki złamanego ducha. Żołnierze już nie szturmowali szańców dla swego sułtana, dla łupów, dla honoru ani z nienawiści do Chrystusa, która ożywiała ich poprzednie ataki. Nie biegli już nawet, aby zobaczyć oblicze Boga. Pędzili, ponieważ tak działał zbiorowy impuls, który od zarania dziejów jest przekleństwem ludzkości. Gnali, to samo bowiem czynili towarzysze z szeregu, a czynili to z tą samą bezsensowną odwagą. Tannhäuser nakręcił zamek strzelby i podsypał prochu na panewkę.

Kiedy wstał, żeby oddać strzał, jego wzrok przykuła zbita grupka czterech młodych żołnierzy przesuwająca się ku wyłomowi w Posterunku Kastylii. Gdyby mogli, trzymaliby się za ręce, jak dzieci zagubione na zrujnowanym bazarze. Tannhäuser opuścił broń. Żal ścisnął jego serce, bo zobaczył metalową kulę armatnią, która odbiła się od ziemi i zmierzała w ich kierunku. Teraz i oni ją spostrzegli. Gdyby nie to, że jedni zaczęli ciągnąć drugich, być może uniknęliby tragicznego losu. Uczynili to jednak. Zamarli w ostatniej sekundzie i tylko patrzyli, podobnie jak Tannhäuser, kula zaś uderzyła w nich na wysokości kolan, przebiła się przez ich ciała i pomknęła dalej. Tylko jeden wyrwał się po chwili z kłębowiska oderwanych kończyn, wrzeszcząc równie głośno jak jego zmasakrowani towarzysze, choć nie wyglądał na rannego. Spojrzał w dół i zwymiotował, a potem uniósł ramiona i z szeroko otwartymi ustami popatrzył na wysokie bastiony, jakby poddawał się nie wrogowi, ale potędze znacznie bardziej podłej i nieczułej niż oni.

Tannhäuser rozpoznał Dauda.

Zza sąsiedniego blanku huknął syryjski muszkiet Borsa i głowę Dauda spowiła czerwona mgiełka. Gdy krople opadły, ciało z połową czaszki postało jeszcze krótką chwilę, krwawiące, a potem upadło na drżących konwulsyjnie towarzyszy, potęgując ich i tak nieznośne cierpienie.

Tannhäuser odwrócił głowę. Zobaczył, jak ze zbocza odległego o tysiąc stóp spływa na nieszczęsną równinę druga fala tureckiej piechoty. Popatrzył w bok, wzdłuż murów. W dali, za Porto delle Galere, płomienie i dym znaczyły pozycję oblężonej twierdzy Świętego Michała. Przed wyłomem przy ruinach Kastylii mężny atak pierwszej fali załamał się w płomieniach zapalającej mazi. Nieliczni, którzy dotarli na szczyt rumowiska, zostali zakłuci i posiekani przez rycerzy. Arquebuceros ukryci na szańcach zdążyli przeładować broń i przywitali salwą nową falę atakujących. Na lewym skrzydle orta strzelców tufeków znalazła się w zasięgu strzału i odpowiedziała zmasowanym ogniem długolufowych muszkietów.

Dźwięk rogów był sygnałem do wypuszczenia trzeciej fali piechoty. Tym razem nad równiną załopotały czerwone, żółte i zielone sztandary jajlarów, derwiszów, mameluków i Azebów. Sądząc po bojowych okrzykach, mieli więcej zapału do walki, a byli przy tym tak liczni i tak szybko zwierali szyki, że po przebijających je kulach armatnich ledwie pozostawał ślad.

Oliver Starkey dołączył do Tannhäusera na bastionie Niemiec. Przyprowadził ze sobą całą Langue Angielską – w sile dwóch łowców przygód, katolików Johna Smitha i Edwarda Stanleya. Wszyscy oddali po jednym strzale w stronę tureckich mas, a potem Starkey odstawił muszkiet pod ścianę i dobył miecza. Jawił się teraz jako uosobienie zimnego okrucieństwa, co ostro kontrastowało z jego aparycją intelektualisty. Tannhäuser zauważył z niepokojem, że Niemcy, Szwedzi i Polacy z załogi bastionu także sięgają po miecze i topory.

– Za mną – zwrócił się Starkey do braci. – Do Posterunku Kastylii.

Gdy wszyscy byli gotowi, Starkey spojrzał na Tannhäusera, jakby czekał na komentarz. Mattias wskazał na ruinę wokół Posterunku Kastylii, gdzie tureckie liny, bosaki i broń ręczna błyszczały w promieniach wschodzącego słońca. Druga fala janczarów w kolczugach przedarła się przez płomienie i zatrzymała naprzeciwko niewielkiej formacji chrześcijańskich rycerzy. Zażarta walka toczyła się też u podstawy zdobytej wieży oblężniczej, z której szczytu Maltańczycy i tercios ostrzeliwali się z muszkietów i rozrzucali naczynia z płynem zapalającym.

– Skoro Mustafa wysyła do boju Zirli Nefer w tak wczesnej fazie – rzekł Tannhäuser – najwyraźniej liczy na rychłe zwycięstwo.

– Sprawimy, że się przeliczy – odparł spokojnie Starkey. – Będziemy walczyć wręcz – dodał, zwracając się do może dwudziestu rycerzy Langue Niemieckiej. – Nasi bracia nie utrzymają pozycji bez pomocy. Sformować klin za ich plecami i trzymać się razem. Ruszymy na mój rozkaz. I pamiętajcie: kiedy atak się załamie, nie ścigamy Turków.

Tannhäuser uniósł strzelbę. Kulami mógł co pięć do sześciu minut uśmiercać jednego wroga – znacznie szybciej niż podczas walki wręcz.

– Stąd więcej ich natłukę – powiedział.

Starkey nie zamierzał się kłócić.

– Twoja wola – odrzekł.

– Na rany Chrystusa! – zawołał Bors, wychylając się za parapet.

Tannhäuser poczuł i usłyszał basowy, jakby dochodzący spod ziemi pomruk. Odwrócił się gwałtownie.

Na jego oczach na powierzchni Wielkiej Równiny pojawiły się dwa szerokie i głębokie rowy, z których na szturmujących muzułmanów bluznęły słupy ognia, mocno

wyciągnięte w górę nagłą zmianą ciśnienia. Horda zafalowała i jakby to sam szatan wyciągnął śruby z konstrukcji dachu piekła, najbliższe szeregi żołnierzy zniknęły w płomienistej otchłani.

Tannhäuser pojął natychmiast, że to drewniane podpory i stropy w podziemnych galeriach minerskich, podpalone ostatniej nocy przez Muńatonesa i jego ludzi, musiały się zawalić pod ciężarem atakujących Turków. Niewątpliwie i Starkey rozumiał to doskonale, ale to nie przeszkodziło mu w powołaniu się na bożą łaskę.

– Oto nasz znak! – krzyknął. – Bóg jest jeszcze z nami.

– Za Chrystusa i Jana Chrzciciela! – ryknął Bors.

Tannhäuser spojrzał na niego ze strachem, ale Langue Niemiecka gorliwie podchwyciła okrzyk i już po chwili z klekotem pancerzy oddział ruszył schodami w dół, w ślad za Starkeyem i jego Anglikami. Tannhäuser chwycił za ramię Borsa, który wysunął z pochwy dwuręczny miecz i pokręcił głową.

– Daj spokój, Langue Angielska nie pójdzie do boju beze mnie. – Z tymi słowy Bors popędził za swymi rodakami.

Tannhäuser stłumił narastający w żołądku niepokój. Poczuł dreszcze, bo pot, który lał się strumieniami po jego plecach i piersi, stał się nagle lodowato zimny. Podrzucił strzelbę do ramienia, wymierzył w gąszcz wysokich czepków kłębiący się u wyłomu muru i wypalił. Nie patrząc na rezultat, odstawił strzelbę do pozostałych i wyjął zza pasa rękawice. Czuł strach przed wyczerpującą bitwą, na którą się zanosiło. Spojrzał na wschód, w stronę Monte San Salvatore. Tureckie namioty i okopy były puste. Pozostała tylko artyleria Topchu. O zmroku więc naprawdę mogli pójść spacerkiem ku wolności, słońce jednak dopiero niedawno wyłoniło się zza wzgórz. Gdy wkładał rękawice, jego spojrzenie padło na złotą bransoletę. Paszcze lwów wciąż ryczały. Wiedziony przesądnym impulsem zsunął ozdobę i odczytał arabski napis na wewnętrznej stronie:

„Przybywam na Maltę nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy”.

Perspektywa wydawała się równie daleka jak zwykle, ale było coś pocieszającego w tej sentencji. Włożył bransoletę na rękę i wcisnął dłonie w pancerne rękawice. Dobył miecza i ruszył ku schodom. Chwilę później dołączył do Borsa i pozostałych ludzi Północy tworzących stalowy klin. Bors roześmiał się na ten widok, a Tannhäuser sklął go w odpowiedzi. Na rozkaz Starkeya wspięli się na ruinę bastionu. Ku zgrozie piechurów z Zirli Nefer, którzy walczyli w wyłomie, połączone Langues Angielska i Niemiecka ruszyły w deliryczny bój.

Wkrótce po południu w pomieszczeniu pralni zebrano w wielkim pośpiechu cały personel Świętej Infirmerii. Z ust brata Lazara Carla usłyszała najnowszy rozkaz wielkiego mistrza: wszyscy ranni, którzy są w stanie pokonać taki dystans, mają dołączyć do obrońców na murach i szańcach, i to jak najszybciej.

Jako że do szpitala nie przyjmowano już pacjentów z urazami drobniejszymi niż utrata kończyny lub podobnie drastyczne rany, rozkaz przyjęto z wielkim zdziwieniem. Bladość na twarzy i niepokój w oczach Lazara sugerowały, że sam jest zdumiony, ale miał nieco więcej czasu na przetrawienie nowiny, a to, że usłyszał ją z ust samego de la Valette'a, było gwarancją, że to nie żart. Nikt się nie spodziewał, że którykolwiek z rannych rzuci się w wir walki, ale mieli włożyć hełmy i czerwone płaszcze rycerskie – to było najważniejsze – i pokazać się na murach, by dać Turkom pokaz siły, której tak naprawdę nie było. Setki kobiet i dzieci już walczyły włóczniami na wałach u boku żołnierzy. „Walka do ostatniej kropli krwi" przestała być tylko retorycznym hasłem. Personel szpitala zobowiązano do przygotowania ochotników i odprowadzenia ich na posterunki.

Lazaro poprosił Carlę, by stała przy nim, gdy zachęcał rannych leżących w sali głównej do podjęcia wysiłku; jak powiedział, jej obecność poruszy ich bardziej niż słowa. Skwapliwość, z jaką pacjenci próbowali podnieść się z łóżek, wzruszyła oboje prawie do łez. Gdy powtórzyli apel de la Valette'a leżącym na placu, odzew był równie inspirujący. Lazaro uspokajał najbardziej palących się do czynu, a tymczasem rozpoczęto zbieranie ekwipunku i tworzenie czegoś w rodzaju szyku, chaos zagrażał bowiem całemu przedsięwzięciu. Carla wraz z Amparo znalazła się w grupie poszukujących hełmów i właśnie przy tej pracy, bardziej nawet niż podczas przemowy Lazara, dopadło ją wzruszenie.

Poszły na tyły arsenału i stanęły przed górą porzuconych stalowych hełmów. Były ich tysiące, wszystkie usypane pod ścianą na stertę trzykrotnie wyższą od człowieka, niczym upiorny pomnik zabitych. Wiele z nich było wgiętych i splamionych krwią, a wokół całego stosu kłębiły się muchy, jakby gotowe bronić swego skarbu. W szpitalu Carla obcowała z nieprzerwanym strumieniem rannych, tu jednak zobaczyła dowody śmierci zgromadzone w jednym miejscu, na wielką skalę. Za górą hełmów leżały jeszcze sterty pik i krótkich mieczy. Dwaj mnisi przyciągnęli dwukółkę i pomogli kobietom załadować ją ekwipunkiem aż po brzegi, a potem odprowadzili ją z powrotem na plac. Przygnębiona Amparo chciała pójść za nimi, ale Carla złapała ją za rękę i zatrzymała.

– Amparo, Mattias zamierza opuścić wyspę tej nocy. – Sama nie bardzo wierzyła, że to nastąpi, ale teraz nie było czasu na dyskusje o szczegółach ucieczki.

– Jak? – spytała dziewczyna, unosząc głowę.

– Ukrył na wybrzeżu łódź i przeprowadzi nas przez tureckie linie. Zgodzisz się popłynąć z nami, do Italii i dalej, do domu?

– Z Tannhäuserem? I z tobą? Oczywiście! – Już zaczynała się uśmiechać, ale nagle zmarszczyła czoło. – A co się stanie z Buraqiem?

– Musisz spytać Mattiasa.

– Nie może popłynąć z nami, prawda?

Carla nie miała sumienia pokręcić głową.

– Musisz spytać Mattiasa – powtórzyła.

Amparo odwróciła się i pobiegła w stronę stajni. Carla chciała ją zawołać, ale pomyślała, że tam dziewczyna będzie bezpieczniejsza niż z rannymi na linii pola bitwy. W końcu wiedziała, gdzie jej szukać. Mogła spokojnie wrócić do infirmerii i zająć się szykowaniem dla de la Valette'a kolumny kalekich.

Mimo chęci do walki, większość rannych nie miała szans na dotarcie do linii umocnień, chyba że zostaliby tam dostarczeni na noszach i własnymi ciałami zapełnili wyłomy w murach. Kilku zmarło już pod wpływem wysiłku – padli, gdy próbowali się podnieść, jakby w ich ciałach pękły delikatne błony. Innych pokonały płuca tak zniszczone ogniem i dymem, że nie mieli siły, by wstać. Poważnie poparzeni – a było takich wielu – w ogóle nie byli w stanie się poruszyć. Mimo wszystko udało się znaleźć mniej więcej trzy setki ochotników, którzy mieli szansę dotrzeć na mury. Pomagali sobie nawzajem we wkładaniu płaszczy i dopasowywaniu hełmów. Obwiązywali pasami świeżo opatrzone rany. Z drzewc pik, trzonków łopat i kawałków stolarki ze zniszczonych domów szykowali sobie kule. Podtrzymywali się wzajemnie, a także wspierali na ramionach mnichów i medyków, którzy im towarzyszyli. Czynili to wszystko bez skargi, w niezmąconym spokoju właściwym chłopom i żołnierzom. W zakrwawionych i powyginanych hełmach oraz w karmazynowych płaszczach z białymi krzyżami wyglądali jak zdziesiątkowana armia krzyżowców wskrzeszona z zamorskich grobowców. Albo jak okrutna alegoria Nieskrępowanego Szaleństwa. Młody Maltańczyk oślepiony ogniem złapał Carlę za ramię. Cofnął się natychmiast i błagał o wybaczenie, gdy zrozumiał, że ma przed sobą kobietę. Przypomniał jej się pierwszy pacjent, którym się opiekowała, Angelu, człowiek pozbawiony twarzy i dłoni. Bez słowa wzięła ślepca pod ramię.

Batalion okaleczonych wyruszył w drogę w ślad za Lazarem, który prowadził go w stronę huczących dział. Mnich zaczął śpiewać psalm Dawida wysokim i czystym, nieco drżącym głosem, który przebijał serce Carli. Inny dołączył do niego po chwili, o oktawę niżej,

a potem inni, w kontrapunkcie przy czwartym i piątym tonie. Anielski śpiew podniósł umierających na duchu i poprowadził do ostatniej bitwy.

Maszerowali, a miasto rozpadało się wokół nich. Raz po raz waliły się pod kulami tureckich armat mury domów. Odłamki sypały się na kolumnę, ale nikt nie próbował uciec. Carla widziała grupki starych kobiet, które patrząc na idących, klękały, płakały i lamentowały, przyciskając do pomarszczonych i spękanych ust krzyżyki, paciorki różańców i obrazki świętych. Od czasu do czasu któryś z rannych upadał; niektórzy podnosili się, inni nie, lecz mnisi-szpitalnicy – a teraz, jak ich bracia, także mnisi-wojownicy – nie przerwali ani marszu, ani śpiewu. Nie zatrzymał się też i nie umilkł ich legion, ranni maszerowali bowiem z pieśnią na ustach, by ocalić Religię.

Dotarli wreszcie do pasa nagiej ziemi na granicy tego, co niedawno było miastem, a ich oczom ukazał się widok pandemonium.

Kłęby czarnego dymu unosiły się nad wałami, nad wierzchołkiem wieży oblężniczej, nad stanowiskami dział wysoko na murach, nad deszczem płonących pętli i wreszcie nad pozycjami strzelców. Żółte masy płomieni unosiły się ku niebu znad rowu, widoczne w każdym z wielkich wyłomów w murze obronnym. Na ich tle odcinały się ruchliwe sylwetki walczących rycerzy, rozmazane i drżące w podmuchach gorącego powietrza niczym zmory z koszmarnych snów szaleńca, za każdym ruchem odcinające głowy i kończyny w tłumie szturmujących. Pośród żołnierzy uwijały się maltańskie kobiety, pryskające kroplami potu z długich włosów zwisających spod hełmów. Walczyły krótkimi mieczami i pikami, a także pełzały wzdłuż wałów, ciągnąc za sobą balie wodnistej strawy i od czasu do czasu dobijając nożami rannych muzułmanów, niczym dziewice-wojowniczki z prastarych legend.

Gdzieś w tej ponurej fantasmagorii walczył i Mattias. Tam, przy Posterunku Kastylii, gdzie fontanny krwi pryskały na wszystkie strony i skwierczały na gorących płytach pancerzy niczym smażący się tłuszcz. Tam, gdzie ranni mordowali rannych gołymi rękami i zębami, pełzając po sobie jak zmutowane zwierzęta w dzikiej rui. Gdzie walczący machali płonącymi ramionami w ataku ognistej epilepsji. Gdzie powietrze rozbrzmiewało hukiem wystrzałów, brzękiem stali, wołaniem konających, rykami wściekłości, przekleństwami, groźbami i szalonym śmiechem. Gdzie ponad ogłuszającym amokiem świętej wojny wznosił się śpiew spokojnego chóru Lazara. Gdzie – jak modliła się Carla – Mattias mógł jeszcze być przy życiu.

Na polu bitwy królował chaos, z którego niewiele rozumiała; nie umiała nawet ocenić, kto ma teraz przewagę. Podążyła za wszystkimi, a Lazaro już kierował rannych na

schody wiodące na szczyt ocalałych murów. Rozchodzili się na prawo i lewo, ku Posterunkom Francji, Owernii i Italii. Niektórzy sięgali po arkebuzy, kule i proch. Ci, którzy byli w stanie, nie szli na schody, ale rzucali się w bój i wielu z nich ginęło na oczach Carli. Pozostali stanęli między blankami w swych rycerskich płaszczach i pozwolili, by promienie słońca zabłysły na ich hełmach. Natychmiast przyciągnęli salwę z tureckich muszkietów, lecz choć wielu padło, reszta niezachwianie trwała na posterunku. Jeżeli przyjmując kulę, mogli ocalić któregoś z walczących na dole, ich śmierć nie była daremna.

Carla doprowadziła ślepego młodzieńca na koronę muru i zbiegła po schodach na dół. Nikt by jej nie zatrzymał, gdyby zechciała wrócić do szpitala albo odszukać Amparo, ale poczuła zew bitwy i wiedziała już, że musi się włączyć. Nie pragnęła zabijać, lecz być może po raz pierwszy w życiu poczuła na własnej skórze straszliwy urok wojny. Zobaczyła ceber stojący przy beczce z wodą i pobiegła w jego stronę.

Żałobne nuty muzułmańskich trąb rozbrzmiały w zasnutym dymem zmierzchu i umilkły. Czerwony zachód słońca rzucał długie, ponure cienie na Wielką Równinę. Były to cienie wycofujących się Turków, którzy w chmarach much wlekli się przez równinę z piachu i krwi niczym uciekinierzy z konklawe wariatów. Nie śmieli oglądać się za siebie. Zostawili pod murami i wałami sterty rannych i zabitych, które poruszały się jeszcze na podobieństwo fantastycznych, wieloramiennych istot powalonych chorobą. W dogasającym świetle dnia kobiety pokryte zaschniętą krwią od włosów po brzegi spódnic uwijały się między konającymi, szepcąc mściwie i podrzynając im gardła. Na spękanych szańcach ponad nimi nikt nie świętował; obrońcy, podobni raczej do strachów na wróble niż do ludzi, byli jeszcze zbyt oszołomieni, by rozumieć, że przeżyli.

Rozległ się dźwięk dzwonu na Anioł Pański, tym razem kojarzący się raczej z sygnałem wzywającym winowajców w dniu Sądu Ostatecznego. Wyczerpane niedobitki garnizonu padły na kolana wprost w kałuże krwi. Gryzące opary z dogasających plam ogni greckich unosiły się między żołnierzami i rycerzami. Zdjęli hełmy, rzucili je na ziemię i przeżegnali się, a potem ochrypłymi głosami dołączyli do śpiewających.

– Angelus Domini nuntiavit Mariae, et concepit de Spiritu Sancto.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

– Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego…

– Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus …

Oszczędzając nadwerężone kolano, Tannhäuser wsparł się na mieczu i przyklęknął obok Borsa, bardziej z wyczerpania niż z pobożności, a przypuszczał, że nie jest jedyny. Milczał, Bors zaś modlił się z zamkniętymi oczami.

– A Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami…

– Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum – Tannhäuser zaczął mamrotać wraz z pozostałymi. – Benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus. Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae.

– Módl się za nami, Święta Boża Rodzicielko, abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych…

Modlitwa przynosiła mu pokrzepienie i przynajmniej przez chwilę cieszył się, że przynależy do czegoś większego, że nie jest sam. Zaraz jednak przypomniał sobie, że niewielki jest pożytek z przynależności do długiego rzędu trupów albo do wspólnoty szaleńców. Jego pobyt w twierdzy Religii dobiegł końca. Tej nocy Turcy mieli siedzieć ponuro wokół ognisk i zastanawiać się nad nieprzeniknioną wolą Allaha. Mieli opiekować się rannymi towarzyszami. Mieli jeść i zasypiać w mroku, jak czynią to wszyscy tknięci lękiem i zniechęceniem. A w tej samej ciemności Tannhäuser zamierzał uciekać. Ta myśl dodała sił jego osłabionym kończynom. Angelus dobiegał końca:

– Łaskę Twoją, prosimy Cię, Panie, racz wlać w serca nasze, abyśmy którzy za zwiastowaniem anielskim Wcielenie Chrystusa, Syna Twego, poznali, przez Mękę Jego i Krzyż do chwały zmartwychwstania byli doprowadzeni. Przez Chrystusa Pana naszego.

– Amen.

Bors otworzył oczy i spojrzał na przyjaciela z lekkim zaskoczeniem, jakby zasady rządzące wszechświatem zmieniły się specjalnie po to, by przedłużyć jego ziemską egzystencję. Wyglądał jak wykąpany w ściekach z rzeźni, ale nie odniósł ciężkich ran. Tannhäuser skinął głową. Bors oparł dłoń na jego ramieniu i z trudem podniósł się z ziemi, a potem podał mu rękę i dźwignął w górę. Rozejrzał się po ciemniejącym już, ale wciąż dymiącym polu bitwy. Ci, którzy przeżyli, z wolna wstawali z kolan, wciąż jeszcze ogłupiali po tym, co się wydarzyło, i jakby nie wiedzieli, co robić teraz, gdy wielkie zabijanie dobiegło końca. Niektórzy rozglądali się w poszukiwaniu dowódców, czekając na rozkazy. Inni wpatrywali się milcząco w połacie trupów, jakby spodziewali się, że noc zaraz odbierze im zdolność widzenia. Jeszcze inni klęczeli dalej i płakali – Tannhäuser nie wiedział, czy z ulgi czy ze wstydu.

– Na Boga – odezwał się Bors. – Na Boga. Jeżeli zostało nas zdolnych do walki więcej niż cztery setki, nawracam się na islam i daję obrzezać. Niech nas niebiosa mają w opiece, jeśli Turcy wrócą tu jutro.

Tannhäuser spojrzał na południe, w stronę wzgórz, gdzie nad zniszczonymi armiami wciąż powiewał sztandar Proroka. Sierp księżyca pojawił się na niebie zabarwionym purpurą, jakby kosmos drwił sobie z Osmanów. Tannhäuser odwrócił się i potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żeby wrócili – powiedział. – Prędzej czy później, ale nie jutro.

– Dlaczego nie? Spójrz na nas. Wzięliby miasto jeszcze przed śniadaniem.

– Takie ciosy od losu interpretują tylko w jeden sposób. To nie porażka. To wiadomość od Allaha. Nie rzucą Mu jej z powrotem w twarz. – Tannhäuser ściągnął rękawice i ruszył w kierunku beczki z wodą. Bors podążył za nim. – Poza tym jutro już nas tu nie będzie, a naszym największym zmartwieniem będzie choroba morska.

Przepchnął się przez tłum zebrany wokół beczki, napełnił hełm i wylał sobie całą jego zawartość na głowę. Para uniosła się z jego zbroi. Myśl o tym, że wkrótce na dobre rzuci ją w kąt, poprawiła mu nastrój. Zanotował w pamięci, że musi znaleźć chwilę na kąpiel. Ponownie napełnił hełm i łapczywie pochłonął kilka pint wody. Była tak ciepła, że można w niej było parzyć herbatę, ale nie przeszkadzało mu to, póki była mokra. Oddał resztę Borsowi.

– Nadal chcesz płynąć ze mną? – spytał Tannhäuser.

Bors dopił resztkę wody, oddał mu hełm i otarł usta.

– Nie sądziłem, że kiedyś powiem coś takiego, ale… chyba mam dość. Całym sercem jestem z tobą.

– To dobrze. Nie żegnaj się z nikim. Zbierzemy rzeczy, zgarniemy kobiety i ulatniamy się stąd. O północy zajdzie księżyc, a rogi Byka wskażą nam drogę. Najpierw jednak musimy coś zjeść, bo padam z głodu.

– Tam jest balia – zauważył Bors.

– Dzięki, ale wolę zjeść coś w oberży.

– Jeśli Nicodemus żyje i ma komplet palców.

– Jeśli nie, ty też umiesz gotować – odparł Mattias.

Mimo wszystko jednak spojrzał w stronę balii i zobaczył Carlę. Klęczała obok, z twarzą w dłoniach, ale to musiała być ona. Wyglądała na całą i zdrową. Miał nadzieję, że tak jest. Pospieszył w jej stronę i przykucnął tuż obok.

– Carla?

Opuściła ręce i uniosła głowę. Jej twarz była brudna, ale oczy czyste. Na dłoniach miała rany od linowych uchwytów. Tannhäuser skinął głową w stronę balii.

– Widzę, że to u was rodzinny interes – powiedział.

Spojrzała na balię, nie rozumiejąc żartu. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Ty żyjesz – szepnęła.

– Za dużo mam obowiązków, żeby teraz umierać.

Łzy popłynęły mocnym strumieniem, gdy zarzuciła mu ręce na szyję. Poczuł ból w kolanie i musiał podeprzeć się o krawędź balii, żeby nie upaść. Zacisnął zęby i wstał, czując na ramionach cały jej ciężar. Pogładził jej plecy czułym gestem. Dotyk jej ciała był takim przeżyciem, że omal sam nie uronił łzy.

– No już – mruknął, cokolwiek zdziwiony własną reakcją. – Wszystkich nas poruszył ten dzień.

Czekał cierpliwie, aż przestanie płakać. Skinął głową na Borsa, by zachował stosowny dystans. Wreszcie Carla pozbierała się i ruchem dłoni zmieszała łzy z kurzem pokrywającym jej policzki. Tannhäuser wyciągnął spod policzków morionu czerwoną jedwabną chustkę i otarł jej twarz. Nie sprzeciwiła się.

– Widzę, że zignorowałaś moje rady – powiedział. – Tak, jak się spodziewałem. Poszłaś z rannymi na mury?

Skinęła głową.

– Większość z nich nie żyje.

– Zatem jesteśmy ich dłużnikami i tym bardziej nie powinniśmy się smucić. Gdzie Amparo?

– Kiedy widziałam ją po raz ostatni, szła do stajni, do Buraqa.

– Czy muszę was skuć, żebyście trzymały się razem?

Uśmiechnęła się blado.

– Poszukam jej – dodał. – Ty tymczasem idź z Borsem do oberży. Czeka nas dłuższy spacer; musisz odzyskać siły.

– Naprawdę ruszamy dzisiaj?

– Włóż na drogę czerwoną suknię – odpowiedział tknięty impulsem.

Zamrugała ze zdziwieniem i spojrzała na niego tak, jakby prosił, żeby poszła nago; choć w zasadzie nie było wielkiej różnicy. Chcąc zatrzeć nieco wrażenie ekscentryczności swego życzenia, Tannhäuser dodał:

– I jakiś płaszcz na nocny chłód. I solidne buty, jeśli masz takie. – Wziął Carlę za rękę i poprowadził w stronę miasta. – Możliwe, że nie jestem godzien obietnic Chrystusa, ale słowa danego tobie i twojemu synowi zamierzam dotrzymać.

Niedziela, 2 września 1565 - Brama Kalkara – Guva

Wschodnia część murów, tuż nad zatoką Kalkara, była najmniej narażona na atak, a garnizon został tak przetrzebiony przez ostatnią bitwę, że gdy wyruszyli w drogę ku wolności, brama pozostawała niestrzeżona. Strażnica także była pusta, nie było przy niej nawet strażnika. Dzięki temu, że zgłosili się do służby wartowniczej w znajdującym się powyżej bastionie Anglii, a następnie opuścili posterunek, mogli być pewni, że nieniepokojeni dotrą do samych wzgórz. Wyruszyli po północy, niewiele później, niż Tannhäuser planował, gdy podzielił się z wielkim mistrzem swoimi obserwacjami na temat kondycji wroga i jego planów – dzięki czemu mógł się spodziewać, że nikt nie będzie go szukał z samego rana – i gdy dwugodzinny sen przywrócił nieco sił kobietom. Bors wśliznął się do komory, w której umieszczono korbę mechanizmu, i po cichu uniósł żelazną bronę.

Najtrudniejszym elementem przygotowań do ucieczki było przekonanie Amparo, by zostawiła Buraqa. Tannhäuser obiecał jej, że żadne żywe stworzenie w mieście nie będzie bezpieczniejsze. Piękno ogiera oraz jego mongolska krew były gwarancją, że nikt przy zdrowych zmysłach nie waży się go tknąć, a już na pewno nie Turcy, którzy cenią takie okazy wyżej niż ludzi, czy to chrześcijan czy muzułmanów. Po dłuższej chwili wysłuchiwania jej histerii po prostu oderwał Amparo od Buraqa i zaniósł do oberży. Nie wykazała po drodze wielkich względów dla jego obolałego i poranionego ciała, ale był już na tyle doświadczonym człowiekiem, by wiedzieć, że czułość kobiety jest zjawiskiem nader zmiennym, jeśli nie zupełnie przypadkowym.

Weszli do bramy pod uniesioną broną, a Bors opuścił ją za nimi. Tannhäuser podparł opadającą kratownicę strzelbą, by i Bors zdążył przejść na drugą stronę. Gdy ją wyszarpnął, rozległ się szczęk trybów i przeciwwag, a kolczasta krawędź brony z hukiem opadła na kamienie. Wydawało im się, że dźwięk był głośny, ale z bramy nie mógł roznieść się zbyt daleko. Zamknąwszy bronę, mogli przynajmniej pozwolić sobie na pozostawienie otwartej furty. Spojrzeli po sobie: teraz już nie było odwrotu.

– Alea iacta est – szepnął Bors.

Nietypowy dla niego przejaw klasycznej edukacji sprowokował zdziwione spojrzenie Carli. W blasku pochodni wyglądała na bardzo znużoną, ale przynajmniej twardo panowała nad strachem. Tannhäuser dodał jej otuchy skinieniem głowy. Amparo, pogodzona już z losem Buraqa, traktowała ucieczkę jak niedzielny spacer po promenadzie. Tannhäuser uniósł wyżej pochodnię, której potrzebowali do rozwiązania łamigłówki zamków blokujących

furtę, i płonące drobiny nafty i smoły opadły na bruk. Szeroki tunel w murze obronnym prowadził do zakrętu śmierci, nad którym znajdował się wielki otwór w sklepieniu, umożliwiający łatwe wymordowanie ewentualnych intruzów. Mattias ruszył pierwszy.

Choć całe jego życie było pasmem niebezpieczeństw i krwawych wydarzeń – jak choćby te z ostatniego dnia – Tannhäuser nie przypominał sobie, by kiedykolwiek serce biło mu tak mocno jak teraz. Wydawało mu się, że łomocze jak bęben, i dziwił się, że pozostali go nie słyszą. Właściwie nie widział sensownego powodu do tak wielkiego niepokoju – i to denerwowało go jeszcze bardziej. Zerknął na Borsa, by sprawdzić, czy i jego szósty zmysł reaguje podobnie, ale Anglik wyglądał na spokojnego. Gdy przechodzili pod otworem w stropie, Tannhäuser mimo woli spodziewał się potoków wrzącego oleju, ognia albo strzałów, ale nic takiego się nie stało i jego serce nieco się uspokoiło. Poza dwoma bukłakami wody i sakwami na grzbiecie Borsa, w których upchnęli opium i tyle drogich kamieni, że starczyłoby ich na królewski okup, prawie nie mieli bagaży. Carla, na wyraźne życzenie Mattiasa, niosła w torbie tylko swą czerwoną suknię – tak przynajmniej twierdziła. Tannhäuser – i być może tylko on – zastanawiał się chwilę, czy nie zabrać instrumentów, ale ostatecznie zostawił je, choć z niechęcią. Dotarli korytarzem do zewnętrznej furtki w bramie Kalkara.

Trzymając pochodnię w jednej ręce, Tannhäuser zabrał się z Borsem do otwierania zasuw i podpór zamykających furtę od środka. Byli w połowie roboty, gdy nagle gestem uciszył przyjaciela i nadstawił ucha. Mechanizm brony był dobrze naoliwiony, sami postarali się o to wieczorem, ale teraz nie miał wątpliwości: słyszał cichy skrzyp towarzyszący unoszeniu kraty.

– Możesz skończyć po ciemku? – spytał.

Bors spojrzał na zasuwy.

– Na pewno – odparł i zabrał się do pracy.

W jednej ze ścian Tannhäuser zauważył wnękę dla strażnika. Bezceremonialnie zapędził do niej Carlę z Amparo i kładąc palec na usta, nakazał im milczeć. Odwrócił się i rzucił pochodnię przed siebie. Poszybowała łukiem i sypnęła iskrami, padając na bruk na zakręcie, pod dziurą w sklepieniu. Zdjął z ramienia strzelbę i przyklęknął. Miał też pistolet za pasem i muszkiet Borsa w zasięgu ręki – w sumie trzy strzały. Nie w smak mu było mordowanie wartownika, który przypadkiem znalazłby się w tunelu przecinającym mur; gdyby zachował się rozsądnie, wystarczyłoby go obezwładnić. Zasuwy szczęknęły cicho, a Bors stęknął i uchylił skrzypiącą furtę. Znad zatoki powiało świeżym, morskim powietrzem.

– Zrobione – powiedział cicho Bors.

– Czekaj – odrzekł półgłosem Tannhäuser.

Usłyszał kroki gdzieś blisko, za zakrętem tunelu, i ujrzał ruchomy blask drugiej pochodni.

W plamie światła stanął Nicodemus. Był nieuzbrojony.

Tannhäuser z ulgą opuścił lufę. Nicodemusa mogli zabrać ze sobą. Być może nawet od razu powinni byli o tym pomyśleć. Ale czy szedł za nimi, czy ktoś go zawiadomił o ucieczce? Tannhäuser spojrzał pytająco na Borsa, który stał w ciemności z muszkietem w dłoniach.

– Nie pisnąłem ani słowa – rzekł Anglik, wzruszając ramionami.

Przepytywanie kobiet nie miało teraz sensu.

Nicodemus zatrzymał się przy leżącej na kamieniach pochodni. Spoglądał przed siebie, w mrok.

– Mattias?

– Nicodemus – odpowiedział Tannhäuser po turecku. – Co nowego?

– Zostaliście zdradzeni – odparł Nicodemus.

Tannhäuser poczuł ruch w trzewiach.

– Mam nadzieję, że nie przez ciebie.

– Nie.

– Więc przez kogo?

– Nie wiem.

– Na co czekamy? – spytał Bors, stając przy otwartej furcie.

– Spokojnie – odparł Tannhäuser i znowu zwrócił się do Nicodemusa. – Mów jaśniej.

Nicodemus machnął pochodnią w górę, ku bramie Kalkara wznoszącej się ponad nimi.

– Na murze stoją dwaj ludzie; mają muszkiety i humbara. Musicie się poddać.

Jego gest musiał być sygnałem, przekazanym dalej przez kogoś, kto czekał przy bronie, bo chwilę później garnuszek z płynem zapalającym eksplodował na zewnątrz. Bors zaklął, chowając się przed ogniem, i barkiem docisnął furtę, by zatrzymać płomienie.

– Komu mamy się poddać? – spytał Tannhäuser.

– Bratu Ludovicowi – odrzekł Nicodemus.

Tannhäuser spojrzał na Carlę ukrytą we wnęce. Jej oczy były szeroko otwarte i pełne przerażenia.

Bors zdjął z ramienia sakwy i rzucił je na bruk.

– Ludovico? A iluż on może mieć sprzymierzeńców? Chodź, zajmiemy się nimi. Dziesięć minut i będziemy w drodze.

Znowu usłyszeli kroki, a Nicodemus odwrócił się w stronę nadchodzącego. Był przerażony. Odgłos kroków umilkł. Ktoś zatrzymał się tuż przed zakrętem korytarza.

– Jeżeli będziecie stawiać opór, kobiety nie zostaną oszczędzone. – Basowy głos Ludovica odbił się echem między murami.

– Poddamy się tylko Oliverowi Starkeyowi albo wielkiemu mistrzowi – odparł Tannhäuser. – Nikomu innemu.

– Wielki mistrz nie wie o waszej zdradzie. I powinniście się z tego cieszyć, bo w jego rękach skończylibyście na szubienicy.

– A w twoich?

– Macie szanse zatrzymać nieuczciwie zdobyty majątek i odzyskać wolność, której tak pragniecie.

– W jaki sposób?

– Święte Oficjum nie będzie się targować. Jesteście w mojej władzy.

Tannhäuser wyczuł jakiś ruch i sekundę później dostrzegł lufę muszkietu, która wyłoniła się z dziury w sklepieniu. Ogień buchnął z lufy z porażającym hukiem i Nicodemus padł na ziemię z roztrzaskaną nogą. Nie ruszał się, oszołomiony bólem. Krew płynąca z rany zasyczała w zetknięciu z leżącymi obok pochodniami i w powietrze uniósł się cuchnący dym.

– Grek miał szansę mądrze wybrać przyjaciół, ale zachował się głupio – powiedział Ludovico. – Stanowczo więc zachęcam was do większej rozwagi.

– Tylko pokaż ten swój brudny pysk, łajdaku! – ryknął Bors.

Carla wyszła z wnęki.

– Ludovico – zawołała w głąb tunelu – daj mi słowo, że pozwolisz im wszystkim odejść, a zostanę tu z tobą z własnej woli.

Tannhäuser nie zgłosił sprzeciwu. Gdyby tylko Ludovico przystał na ten warunek, on wróciłby tu jeszcze przed świtem, żeby poderżnąć mu gardło. Mnich jednak nie miał powodu, by się zgodzić.

– Czy mi się zdaje, czy nie słyszę ani słowa sprzeciwu z ust pana młodego? – spytał drwiąco Ludovico.

– Carla marnuje czas, rozmawiając z tobą – odezwał się Tannhäuser. – Daj nam chwilę, to się naradzimy.

– Oczywiście. Ale spieszcie się, biedny Nicodemus cierpi.

Tannhäuser spojrzał na Borsa.

– Walka to samobójstwo – rzekł półgłosem. – A dopóki żyjemy, wszystko jest możliwe.

– A jeśli ten padalec nas pozabija? – warknął Bors.

– Gdyby taki miał zamiar, już by to zrobił. Ma wobec nas inne plany i w tym się kryje nasza szansa.

Różowa blizna na twarzy Borsa wygięła się, gdy wykrzywił usta.

– Po tym, co przeszliśmy, czułbym się głupio, umierając w sali tortur.

– Wiem, że to nie najlepszy moment, żeby mówić „zaufaj mi" – odparł Tannhäuser. – Ale zaufasz?

Bors pokiwał głową.

– A czy kiedyś nie zaufałem?

Tannhäuser odwrócił się, chwycił Carlę za nadgarstki i pociągnął ku sobie. W półmroku jej twarz wydawała się blada.

– Jeśli chcemy się dowiedzieć, jakimi kartami gra Ludovico, swoje musimy wykładać pojedynczo – powiedział. – Ale nie rozpaczaj. Jeśli choć jedna okoliczność nam sprzyja, to ta, że on cię kocha.

Carla nie była pewna, co miał na myśli.

– Nie graj fałszywie. Nie próbuj go przechytrzyć i nie staraj się udaremniać jego intryg i gier. Przegrasz. Po prostu bądź wierna sobie, bez względu na to, jakie groźby będzie rzucał pod naszym adresem, i bez względu na to, jak okrutnie nas potraktuje. – Tannhäuser wyczuł jej strach i mocniej zacisnął dłonie na jej nadgarstkach. – Wynik tej partii zależy od ciebie, rozumiesz?

Carla skinęła głową, wciąż niepewnie, ale Mattias wiedział, że może jej zaufać.

Puścił ją i zwrócił się ku Amparo, która z całej czwórki odczuwała najmniejszy lęk. Podobnie jak tamtej niezwykłej nocy w forcie Świętego Elma, gdy spotkali się przy palenisku w kuźni, wyczuwał i teraz, że nieznane mu okrucieństwa, których doświadczyła w młodości, były tak straszliwe, iż na trwałe uodporniły ją na strach. Zadarła głowę, spojrzała na niego wilgotnymi oczami i jak dawniej miał wrażenie, że widzi tylko jego prawdziwą naturę, a nie to, co sobą reprezentował, ani to, kim się wydawał, ani to, jak postrzegał go świat. Wiedział też, że nikt inny nigdy nie będzie patrzył na niego w taki sposób, że nigdy nie zazna takiej miłości, że to ona jest kobietą jego życia i że dotąd nie śmiał tak o niej myśleć. Objął ją mocno ramionami, wiedząc, że będzie znajdowała pocieszenie we wspomnieniu tej chwili.

– Amparo – rzekł – oni użyją ciebie jako najbrutalniejszej broni. – Carla wydała z siebie stłumiony jęk, ale Tannhäuser zignorował jej reakcję. Słowa, które teraz musiał wypowiedzieć, uwięzły mu w gardle, jeszcze nigdy bowiem nie czuł takiego wstydu. – Ja… nie mogę cię ochronić. Powiedz, że wytrwasz.

Przez chwilę patrzyła na niego jasnymi, krystalicznie czystymi oczami pełnymi miłości, na którą nie zasługiwał.

– Słowik jest szczęśliwy – powiedziała.

Coś ścisnęło go za gardło i musiał użyć całej siły woli, by zapanować nad emocjami, które pojawiły się nie wiadomo skąd. Pocałował ją w usta i roztopiła się w jego ramionach. A potem puścił ją i odwrócił się szybko, by nie zabrakło mu zdecydowania, bo gdyby dobył miecza i pognał korytarzem przed siebie, przyniósłby śmierć tym, których kochał.

– Oddamy broń dopiero w strażnicy, nie wcześniej – zawołał do Ludovica, mając nadzieję, że całkiem panuje nad głosem.

– Niech i tak będzie – zgodził się Ludovico.

– Odwagi – rzekł Tannhäuser, patrząc na swych towarzyszy.

Z bronią gotową do strzału doszli do zakrętu śmierci, ale Ludovica już tam nie było. Tannhäuser i Bors dźwignęli Nicodemusa – oparł się na nich ramionami, a głowa opadała mu w dół z osłabienia – i ruszyli w stronę brony i stojącej opodal strażnicy.

Ze strzelnic w trzech ścianach pozbawionej dachu budowli mierzyło do nich pięć arkebuzów. Jeżeli miało dojść do masakry, to właśnie tu – i właściwie było to nawet lepsze miejsce, pod gwiaździstym niebem, a nie w ciemnym tunelu. Wróg jednak miał inne plany. Tannhäuser i Bors złożyli na bruku wszelką broń. Nicodemus odzyskał przytomność i Bors mógł ponieść go sam, zarzuciwszy jego ramiona na swoje barki. Ruszyli w stronę miasta, które tak niedawno opuścili.

Ludovico i jego sfora otaczali ich ze wszystkich stron. Mnich miał na sobie szatę zakonu i – co doskonale pasowało do szaleństwa czającego się w jego oczach – był nieuzbrojony. Ku hańbie Religii, towarzyszyli mu trzej bracia rycerze. Pierwszego z nich, Brunona Marrę, Tannhäuser kojarzył; drugi również wyglądał mu na Włocha, trzecim był zaś Escobar de Corro, którego poznał kiedyś w Porto delle Galere.

Jeśli chodzi o pozostałych czterech, dwaj – Tasso i Ponti – byli poszukiwaczami przygód z Mesyny, trzeci – niejaki Remigio – był hiszpańskim tercio, a czwarty – Anacleto – prawą ręką Ludovica Ludoviciego.

Fakt, że Anacleto nieustannie wpatrywał się w Amparo, mroził krew w żyłach Tannhäusera. Walczył ze sobą, by nie rzucić się na jednookiego łajdaka i nie zabić go gołymi rękami. Chciał zapytać, przez kogo zostali zdradzeni, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Mnich bez wątpienia sam chciał się z nim podzielić tą wiadomością, tyle że w bardziej odpowiednim momencie. Tannhäuser wyjął z kieszeni list, który Starkey dał mu przed paroma tygodniami i który ukrywał w oberży specjalnie na taką okazję jak ta. Z fantazją jawnie przeczącą znikomej wierze, jaką pokładał w skuteczność tego posunięcia, wręczył pismo Ludoviciemu.

– Oto nasz passe porte do Mdiny, podpisane przez brata Starkeya. To dowód, że nie jesteśmy dezerterami.

Inkwizytor przyjął od niego pismo i nawet nie łamiąc pieczęci, oddał je Anacletowi.

– Przeczytam uważnie w odpowiednim czasie – powiedział.

– Stawiasz się ponad władzą wielkiego mistrza? – spytała Carla.

Ludovico spojrzał na nią i skinął głową.

– W sprawach inkwizycji wielki mistrz nie ma żadnej władzy.

Tannhäuser spojrzał na Carlę ostrzegawczo, wszelkie dyskusje były bowiem daremne, ale zignorowała go. Jej usta pobielały, wykrzywione w grymasie nieskończonej pogardy. Dla Tannhäusera była to zupełna nowość; nie wiedział, że jest zdolna do takiego gniewu.

– Wobec tego powiedz mi, czy jesteśmy aresztowani jako dezerterzy czy jako heretycy – odpowiedziała. – A może przyznasz, że jeśli zaszła tu jakakolwiek zdrada, to tylko z twojej strony?

– Tą sprawą także zajmiemy się w odpowiednim miejscu i czasie – odparł Ludovico. – W tej zaś chwili będzie najlepiej, jeśli nic więcej nie zostanie powiedziane.

Carla najwyraźniej miała zamiar kontynuować bunt.

– Carlo – odezwał się Tannhäuser.

Spojrzała na niego i ugryzła się w język. Ludovico skinął głową na Escobara de Corro, który szturchnął Tannhäusera, nakazując mu oddzielić się od pozostałych. Po chwili dołączyło do nich jeszcze dwóch rycerzy. Tannhäuser posłał Borsowi uspokajające spojrzenie. Nicodemus ponownie stracił przytomność i Hiszpan Remigio musiał pochwycić go z drugiej strony. Dwaj Włosi, którzy wcześniej pozbierali oddaną broń, eskortowali Carlę i Amparo. Ludovico skinął na Anacleta, który wysunął się na czoło, prowadząc grupę ulicą w głąb miasta.

Escobar de Corro popchnął Tannhäusera w przeciwnym kierunku.

Amparo obejrzała się i zatrzymała, a potem zaczęła biec w jego stronę. Anacleto dopadł ją, złapał za nadgarstek i pociągnął do tyłu. W tej samej sekundzie wściekłość, którą Carla próbowała okiełznać, eksplodowała. Siarczysty policzek w okaleczoną część twarzy sprawił, że Anacleto cofnął się z przeraźliwym krzykiem. Bors spojrzał na Tannhäusera, czekając na sygnał do działania, ale Mattias pokręcił głową. Anacleto, cierpiący i rozwścieczony, zaczął wyciągać miecz z pochwy i zrobił krok w stronę Carli. Tannhäuser pchnął barkiem Brunona Marrę, jednocześnie dobywając sztyletu z pochwy u jego pasa, i ruszył z odsieczą.

– Anacleto!

Głos Ludovica, zawsze tak spokojny, sparaliżował Anacleta swą mocą. Stojąc, jak rażony gromem, mierzył Carlę nienawistnym spojrzeniem. Tannhäuser także zatrzymał się w pół kroku, ale wystarczająco blisko, by w razie potrzeby powalić Anacleta, który zdążył już wsunąć miecz na powrót do pochwy. Amparo, zszokowana myślą o tragedii, której omal nie sprowokowała, chwyciła Carlę za rękę. Ludovico spojrzał na Tannhäusera i na sztylet w jego dłoni. Byli na tyle blisko siebie, że mógł zginąć. Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Co teraz, kapitanie? – spytał już całkiem opanowany.

– Dokąd ich zabierasz?

– Będą pod moją jurysdykcją, zamknięci w budynku sądu. Nie musisz się obawiać o ich zdrowie i życie.

– A twoje psy? Potrafisz je trzymać na smyczy?

– Daję ci na to moje słowo.

– Ludovico, proszę cię – odezwała się Carla. – Pozwól nam zostać z Mattiasem.

– Pójdę – rzekł krótko Tannhäuser, obawiając się dalszych dyskusji. – A wy bądźcie silni i nie traćcie ducha. Dokąd mnie zabierają te łotry? – spytał, zwracając się do Ludovica.

– Człowiek twojego pokroju nie może opuścić piekła, nie odwiedziwszy jego najgłębszego kręgu.

– Istotnie, byłoby szkoda – zgodził się Tannhäuser. Twarz mnicha pozostawała nieprzenikniona, ale pewne było, że ma jakiś plan. – I tam się spotkamy? – upewnił się Mattias.

– Tam się spotkamy – przytaknął Ludovico i skinął głową.

– W porządku. – Tannhäuser rzucił sztylet Włochowi, nawet nie patrząc w jego stronę. A potem odwrócił się plecami do Ludovica i zaczął iść.

Trzej rycerze poprowadzili go przez zrujnowane serce miasta. Młodszy, gdy go Tannhäuser o to spytał, przedstawił się uprzejmie jako Pandolfo ze Sieny, za co Escobar de Corro posłał mu surowe spojrzenie. Niewielu mieszkańców pozostało przy życiu, trudy bitwy zaś wszystkim pozostałym dały się we znaki, toteż miasto było ciche i puste jak nigdy dotąd. Stada szczurów zakłócały spokój, z piskiem umykając spod stóp idących, ale był to bodaj jedyny słyszalny dźwięk. Nie spotkali na drodze nikogo prócz matki o pustych oczach, strzegącej dzieci, które spały w ruinach. Gdyby Tannhäuser dostał się do niewoli sam, skorzystałby z okazji i uciekł, jego trzej strażnicy byli bowiem wyczerpani, a przez to dość nieostrożni. Mógł też pozabijać ich wszystkich własną bronią, nim uszli ćwierć mili. Ale czy de la Valette stanąłby po jego stronie? Tannhäuser bardzo w to wątpił. Zabijanie braci zakonnych nie zjednałoby mu sympatii mistrza, a zachowanie inkwizytora z prawnego punktu widzenia było nienaganne. Rozsądek podpowiadał więc, że należy podporządkować się biegowi wydarzeń i czekać.

Wreszcie dotarli do ruiny niedawno zniszczonego mostu nad kanałem. I tu nie zastali żywego ducha. Zeszli na brzeg, gdzie czekała nieduża barka, wskoczyli na pokład i popłynęli po czarnych wodach na drugi brzeg, do fortu Świętego Anioła.

Tannhäuser zanurzył dłoń w fali i poczuł ostry ból, gdy słona woda obmyła świeże rany. Gdyby tylko chciał, Pandolfo i Marra operujący długimi tyczkami mogliby znaleźć się w odmętach w ułamku sekundy, a stalowe pancerze pociągnęłyby ich na dno. De Corra pokonałby w zwarciu. Zachował jednak ten plan w sferze fantazji, a tymczasem barka dotarła do celu i wyskoczyli na brzeg.

Niosąc pochodnie, prowadzili go mrocznymi, opuszczonymi korytarzami i salami fortu. Pozbawiona codziennego rozgardiaszu twierdza żywo przypominała monumentalny grobowiec. Pokonali cały labirynt pomieszczeń, w których surowa, przestronna, odarta z echa nicość pochłaniała odgłosy ich kroków, a wciąż zdawało się, że zmierzają donikąd i nigdy tam nie dotrą. Poza zasięgiem blasku pochodni słychać było osobliwe szepty, niejasne i podejrzane; Marra i Pandolfo coraz częściej wymieniali lękliwe spojrzenia. Tannhäuser wolał panować nad strachem, bo w tej sytuacji był on bezużyteczny. Zeszli po schodach, potem jeszcze raz i po raz trzeci, a Tannhäuser znowu rozważał, czy nie pięknie byłoby dać susa w tę ciemność, a potem pójść za rycerzami i zabić ich wszystkich w tych bezimiennych katakumbach. Zrozumiał już, że dokądkolwiek go prowadzą, jego światem będzie absolutny mrok. Postanowił przyjąć ów mrok do serca, albowiem gdyby go odrzucił, zostałby przezeń wchłonięty. Dotarli do szerokich drzwi nabijanych żelaznymi ćwiekami. Gdy jeden z rycerzy otworzył je kluczem, Tannhäuser wszedł do środka bez zachęty i znalazł się w ciemności.

Powietrze było tu wilgotne i chłodne, z wyczuwalną wonią moczu i wyschniętego kału, czyli dokładnie takie, jakiego można było się spodziewać w lochu tak głęboko położonym i tak przerażającym jak ten. Tannhäuser usłuchał bez oporu, kiedy de Corro rozkazał mu rozebrać się do naga. Gdy to czynił, ukrył w dłoni ostatnie trzy kamienie nieśmiertelności. Po chwili stał już w blasku płomienia. Nie zdjął z nadgarstka lwiej bransolety, spojrzał tylko pytająco i nie wyrazili sprzeciwu. Widział doskonale, że jego spokój mocno irytuje dwóch Włochów i potęguje nienawiść de Corra, dlatego też bez najmniejszego wysiłku posłał temu ostatniemu uśmiech.

Gestem nakazali mu, by wszedł dalej do tej podziemnej pieczary, aż wreszcie zobaczył przed sobą czarny otwór w podłożu. Tam się zatrzymali, a rycerze unieśli pochodnie tak, by mógł zobaczyć, co znajduje się w środku.

Otwór miał dziewięć stóp średnicy i jedenaście stóp głębokości. Miał kształt odwróconego dzwonu, a wykuto go w litej skale, tej samej, na której wznosił się cały fort Świętego Anioła. Gładka perfekcja jego symetrii oraz idealnie okrągły kształt otworu wzbudziły podziw Tannhäusera. Nawet najpotężniejszy i najsprawniejszy człowiek nie zdołałby wydostać się stąd bez pomocy, a doskonały kształt wnętrza z pewnością miał dodatkową moc zastraszania. Tannhäuser omal nie zaklaskał z uznaniem, bez wątpienia miał bowiem przed sobą najdoskonalsze więzienie świata. Taki pomysł i takie wykonanie mogły być wyłącznie dziełem Religii.

Lecz po chwili w drżącym świetle pochodni zobaczył, że ściany dzwonu nie są tak nieskazitelne, jak mu się wydawało. W jego dolnej części dostrzegł na ścianie znaki, równie prymitywne jak te, które pozostały w jaskiniach po dawno wymarłych ludach. Gładkie ściany zostały pokaleczone… właściwie nie wiedział czym. Pierścieniami, paznokciami, może kośćmi lub zębami? Wyryte w skale rysunki były rozrzucone w przypadkowy sposób, jakby stworzył je obłąkany ślepiec. Były tam liczne znaki krzyża, często ogromnych rozmiarów, słowa „Jezus”, „Bóg” i „łaski” wypisane w różnych językach, kreski wyznaczające upływ dni – choć zbyt chaotycznie stawiane, by mogły komuś przynieść pożytek – a także, chyba najbardziej starannie wykonany, wizerunek szubienicy z wisielcem. Były to ostatnie znaki pozostawione na tym świecie przez poprzednich mieszkańców lochu.

De Corro spojrzał na Tannhäusera, a Tannhäuser na niego.

– To jest Guva – rzekł Escobar de Corro. – Loch zarezerwowany dla fałszywych, występnych rycerzy. Kto raz się tu dostanie, może wyjść jedynie na swą egzekucję.

Tannhäuser splunął mu w twarz.

De Corro tak był zdumiony tą zniewagą, że nieświadomie cofnął się o krok, stracił równowagę i omal nie wpadł do kamiennego dzwonu. Gdyby tak się stało, cały spokój, na który silił się Tannhäuser, poszedłby na marne, gdyż musiałby wtedy zabić na miejscu Pandolfa i Marrę. Ci ostatni zaś, z determinacją, której źródłem mógł być jedynie najściślejszy rozkaz wydany przez kogoś, kto wzbudzał w nich lęk, rzucili się na roztrzęsionego Kastylijczyka, aby powstrzymać go przed posiekaniem Tannhäusera na kawałki. Wszystko więc układało się w logiczną całość: nikt inny, tylko Ludovico mógł mieć taki wpływ na tych trzech, to zaś dowodziło niezbicie, iż inkwizytor potrzebował go żywego. I w zasadzie tylko to sprawiło, że Tannhäuser nie pozbawił ich życia.

– Kiedy znów się spotkamy – warknął de Corro – będziemy walczyć na śmierć i życie.

Marra wrzucił do lochu bukłak z wodą, a de Corro wykonał ruch, jakby chciał wepchnąć więźnia w ślad za nim, lecz Tannhäuser nie dał mu tej satysfakcji. Wskoczył do kamiennego dzwonu z własnej woli, jedną ręką przytrzymując się brzegu, by złagodzić upadek. Wylądował bezpiecznie, rozejrzał się i znów, tym razem z bliska, zobaczył rysunek szubienicy. Chwilę później pochodnie zniknęły znad brzegu lochu, a wraz z nimi światło.

Tannhäuser postanowił, że nie straci dobrego humoru. I przynajmniej na jakiś czas miał odpowiednie środki, by wytrwać w tym postanowieniu. Włożył pod język pierwszy z kamieni nieśmiertelności, dwa pozostałe zaś uformował w stożki i wepchnął sobie do uszu, by ich nie zgubić i by były pod ręką. Gorzki posmak opium, cytrusów i złota wypełnił jego usta. Gorycz jakby podniosła go na duchu, choć sam nie wiedział dlaczego. Potem zaś usłyszał huk zamykanych drzwi i w Guvie zapadła absolutna ciemność, a wraz z nią niewiele mniej głęboka cisza.

Część piąta - Skrwawione róże

Czwartek, 6 września 1565 - Budynek sądu – oubliette

Ludovico siedział na tronie wielkiego inkwizytora w sali rozpraw gmachu sądu. To tu oczyszczano dusze i ustalano dalsze losy winnych i niewinnych. Piękno prawa leżało właśnie w jego czystości, w jasności przepisów i celu, w absolutnej wolności od uczuć. W jego królestwie znikały chaos i wątpliwość, ustępując miejsca decyzji, czasem słusznej, a czasem nie. Tak długo, jak długo zachowana była jasność w procesie, wszelkie pomyłki sprawiedliwości były kwestią siły wyższej. Ale czy prawo mogło samo siebie oczyścić z wątpliwości, chaosu i winy?

Był sam. Smugi światła z południowych okien padały na puste ławy, budząc przypadkowe odblaski na gładkiej powierzchni lakierowanej dębiny. Drobiny pyłu wirowały w nich, poruszone strumieniem powietrza, który wpadał do środka przez przestrzelony mur. Właśnie tu, na tronie władzy, Ludovico rozważał własną bezradność. Jego ciało było obolałe od ran. Jego serce zaś cierpiało od urazów głębiej ukrytych, gorzej się gojących i trudniejszych do zniesienia. Prześladował go obraz twarzy Carli, jej oczu. Czy teorie Appollonidesa są prawdziwe? Czy te oczy zdołały go zaczarować? Czy powinien był oddać ją płomieniom i skończyć z tym wszystkim? Żadna choroba i żadna trucizna nie mogły zadać mu większych cierpień. Nie miał nikogo, kto mógłby mu doradzić i komu mógłby się wyspowiadać. W tej sprawie nie miał przyjaciół. Jedyny, którego mądrość, jak przeczuwał, mogła go poprowadzić, został zamknięty w najciemniejszym lochu chrześcijańskiego świata. Jeśli zaś istniało coś takiego jak Guva umysłu, to właśnie w niej uwięziony był Ludovico.

Personel sądu po części ewakuowano, a po części wcielono do garnizonu miasta, toteż Ludovico mógł rządzić się w budynku, jak chciał. Uznał, że najlepiej będzie rozdzielić więźniów. Kobiety umieścił we względnie wygodnych pokojach, a groteskowego angielskiego brutala w piwnicznym lochu. W wirze niepewności, który pochłaniał jego umysł, istniała tylko jedna nadzieja na spokój, choć wyrażona dwoma słowami: cierpliwość i czas. Czekał tygodnie. Czekał lata. Mógł wytrzymać jeszcze kilka dni.

Turcy kontynuowali ostrzał z muszkietów, bombardowania, prace minerskie i niemrawe wycieczki pod mury. Po odparciu wielkiego ataku z drugiego września w mieście

zapanowało zniechęcenie graniczące z rozpaczą, kolejne wielkie zwycięstwo okazało się bowiem tylko jednym z wielu, nie decydującym, jego koszt zaś był tragiczny. Pytanie, które prześladowało dowódców garnizonu, brzmiało następująco: Gdzie są ludzie Garcii de Toledo? Obiecane posiłki były spóźnione już o dwa miesiące. Gdzie są rycerze z dalekich prowincji zakonu, którzy bez wątpienia gromadzili się na Sycylii przez całe lato? A może wicekrólowi naprawdę zależy na tym, by Malta upadła?

Jako że prośby wielkiego mistrza odnosiły znikomy skutek, Ludovico wysłał do Mesyny kilka tygodni wcześniej własnego posłańca, Maltańczyka, jednego z kuzynów Gullu Cakiego. Powierzył mu dwa listy do zaufanego człowieka z wyższych sfer sycylijskiej szlachty. Pierwszy miał być otwarty tylko w przypadku, gdyby Malta upadła bez wsparcia ze strony de Toleda. Zawierał materiały i instrukcje, które doprowadziłyby do zniesławienia i upadku wicekróla. Drugi miał być dostarczony samemu de Toledowi.

Rozpoczynał się szczegółowym wyliczeniem cierpień, których doznali oblężeni, opisem odwagi chrześcijańskich obrońców, a także heroicznej śmierci Federica, syna Garcii de Toledo, w walce z pierwszą machiną oblężniczą. Tylko wola boża mogła wyjaśnić to, jakim cudem Malta broniła się tak długo, fakt ten nie znajdował bowiem wytłumaczenia militarnego. Jeżeli więc de Toledo zamierzał wystąpić przeciwko owej woli, kwestia jego zbawienia również miała zależeć wyłącznie od Boga. Na doczesnym świecie istnieli zaś ludzie tacy jak Michele Ghislieri, którzy czuli się zobowiązani do oddania czci umarłym i potępienia tych, którzy tak haniebnie ich zawiedli. I byłoby rzeczą niezmiernie smutną, gdyby żołnierz o takiej reputacji jak Garcia de Toledo miał dokonać żywota, uchodząc za najpodlejszego tchórza Europy.

Grożenie hiszpańskiemu wicekrólowi było praktyką bez precedensu, ale Ludovico dobrze znał de Toleda. List miał sprowokować dziką furię wicekróla, furia zaś miała skłonić go do działania.

Lecz mimo wiary Ludovica w łaskę opatrzności i własne talenty dyplomatyczne, pomoc wciąż nie nadchodziła. Bez niej zaś nie miał czelności wykonać ostatniego posunięcia zaplanowanej intrygi. Przywództwo wielkiego mistrza było garnizonowi potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. To, czy w przypadku kolejnego tureckiego ataku wydarzy się jeszcze jeden cud, zależało wyłącznie od de la Valette'a. Dopiero po wylądowaniu posiłków mógł Ludovico posunąć sprawy naprzód. Gdyby jednak nie wylądowały, czekała go śmierć wraz z pozostałymi. Jeżeli obawiał się śmierci, to tylko dlatego, że nie pozwoliłaby mu ona skonsumować związku z Carlą, czego pragnął ponad wszystko. Myśl o tym nie dawała mu spokoju, podobnie jak myśl o bliskości Carli. Była tu, czekała w tym samym budynku.

Czekała na jego wizytę, jak wszyscy więźniowie, od niego bowiem zależała ich przyszłość. Lecz on nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Nie wiedział, jak nagiąć ją do swej woli. Wszystkich innych – tak, zawsze, ale nie ją. A skoro nie mógł jej nagiąć, jak mógł wyciąć myśl o niej z własnego umysłu?

Anacleto wszedł do sali. Strupy pokrywały jego oczodół i policzek; ropienie wprawdzie ustało, ale ból jeszcze nie. Krzywda, którą postrzał wyrządził jego wyjątkowej urodzie, nigdy nie miała zostać naprawiona. Widok Anacleta napełnił Ludovica żalem. To ten angielski prostak, towarzysz Tannhäusera, Bors, był winowajcą – chwalił się tym, gdy zamykali go w celi. Anacleto podszedł do tronu niepewnym krokiem. Może nie chwiejnym, ale na pewno mniej sprężystym niż zwykle. Skłonił się.

– Anglik wykrzykuje twoje imię – zameldował. – Tłucze w drzwi celi; strażnik twierdzi, że głową. Własną głową.

– Opróżnił już baryłkę?

– Na to wygląda – odparł Anacleto, wzruszając ramionami.

– Niech tłucze. Co nowego u kobiet?

– Zupełny spokój.

Jedyne oko Anacleta spoglądało na inkwizytora, drżąc nieznacznie, jakby niezrównoważone po stracie brata bliźniaka. źrenica była mikroskopijna. Opium. Stąd ten krok, pomyślał Ludovico. Wyczuwał, że coś jeszcze jest nie w porządku.

– Co jeszcze? – spytał. – Powiedz mi, co cię trapi.

Anacleto pokręcił głową.

– Nic.

– Ból?

Anacleto nie odpowiedział. Umiejętność znoszenia bólu była sprawą honoru.

– Masz dość opium? – spytał Ludovico. – Sakwy Tannhäusera były wypchane tym specyfikiem, a także drogimi kamieniami.

Anacleto skinął głową.

– Posiłki wkrótce tu dotrą – rzekł Ludovico, ściskając jego ramię. – Ja w to wierzę i ty też powinieneś. Wojna się skończy, a i nasza misja jest niemal wykonana. Mniej będzie okropności wokół nas, a wtedy, z bożą pomocą, zmieni się i nasze życie.

– Życie zawsze się zmienia – odparł Anacleto. – A i okropności nigdy nie brakuje. Dlaczego miałbym marzyć, by było inaczej?

– Byłeś zagubiony, kiedy cię znalazłem – odrzekł Ludovico. – I na swój sposób wciąż jesteś. Pozwól, że będę twoim przewodnikiem.

Anacleto ucałował jego dłoń.

– Zawsze – odpowiedział.

– Dobrze – mruknął Ludovico, ale jego umysł zaprzątały już inne sprawy. Objawienie tak jasne, że do tej pory był na nie ślepy. Zagubiony chłopiec. Jego chłopiec. – A jednak zobaczę się z tym Anglikiem – powiedział. – Każ go zaprowadzić do oubliette i unieruchomić.

Bors nie śmiał otworzyć oczu, bo zostawili ją na stołku tuż przed nim, a on już nie mógł znieść jej widoku. Bóg go opuścił. Bo i dlaczego nie? Był parszywym złodziejem. Dołączyłby do naigrawających się z Chrystusa, którzy kazali mu wezwać Ojca na pomoc.

Wystarczyło czterech ludzi, by przeciągnąć go z jednej celi do drugiej i przykuć do ściany, i tylko dwóch z nich wyniesiono bez zmysłów, a może i bez życia. To oznaczało, że opuszczały go także siły. Czy mógł się temu dziwić? Wlał w siebie galony brandy. Galony. Galony zatrutej brandy. Gorzej niż zatrutej. Zbrukanej. Skażonej. Esencji zła, soku wyciśniętego z szaleństwa. Znów ogarnęły go torsje, ale miał już pusty żołądek. Jego brodę i włosy na piersi pokrywała skorupa zaschniętych wymiocin. Teraz już nic nie mogło oczyścić jego krwi. Ani umysłu. Nic prócz śmierci, na którą nie chcieli mu pozwolić. Jeszcze nie chcieli. Czuł, jak pod jego czaszką rozrastają się macki obłędu, jak duszą rozsądek, jak zrywają pęta strachu i jak podkopują mury jego odwagi. Wszystko stracone. Ale co z tego? Nigdy dotąd nie załamywał się stratami. Ani trudnościami, ani biedą, ani bólem. Niech zadadzą mu ból. Niech wreszcie przyniosą rozżarzone żelazo i bicz. Pragnął bólu. Ból przynajmniej wypełniłby jego umysł i miałby się czego chwycić, czegoś zrozumiałego i dobrze znanego, czegoś znacznie bardziej znośnego niż ta trucizna pełzająca w żyłach, żołądku, kręgosłupie. Czegoś, co wyrwałoby chwasty delirium. Nigdy nie przepadał za tym Żydem, to prawda. Ale podziwiał go i stał u jego boku, a także nigdy nie wstydził się tego, że są towarzyszami. Żałował ten, kto w jego obecności ośmielił się Żyda obrazić. Lecz mimo to… Szaleństwo rodzi szaleństwo. Czuł w ustach smak krwi, bo odgryzł nos więziennemu strażnikowi. Czuł w żołądku ludzkie mięso; zresztą nie był to pierwszy raz. Ale coś takiego? Co to właściwie było? Może tylko urojenie zrodzone z trunku i nikczemności jego serca? Otworzył oczy. Wciąż tam była. Blada i pomarszczona jak larwa. Kręcone włosy splątane i sterczące obscenicznie. Zamglone, martwe oczy. To nie było urojenie. Czuł jej makabryczny ciężar we własnych rękach. Sprowadzili ją aż z Mesyny. Kto by pomyślał – przewieźli przez morze, przemycili przez turecką blokadę i przechowali przez całe najkrwawsze ze znanych ludzkości oblężenie – specjalnie na tę chwilę. Na chwilę, która zdarzyła się w jego życiu i na którą w jakimś sensie zasłużył. Znowu opuścił powieki.

Zamek zagrzechotał i huknęła otwierana zasuwa. Znowu dostał torsji i tym razem wypluł odrobinę żółci.

Usłyszał głos Ludovica.

– Zabierz ją.

Tasso, sycylijski bravo, wszedł do celi. Był nieomalże zgięty w pół i obejmował ciało ramieniem. Bors poczęstował go pięścią w wątrobę podczas ostatniego spotkania i czuł wtedy, jak żebra trzaskają niczym przypieczona wieprzowina. Tasso zatrzymał się przed stołkiem w odruchu odrazy. Borsowi nie pozostało już nic poza zwierzęcą wściekłością. Skoczył do przodu tak daleko, jak pozwalał mu na to łańcuch zapięty nas szyi, i ryknął dziko. Tasso cofnął się z przerażeniem, a Bors się roześmiał – do niego, do siebie i do własnego przeznaczenia, a także do pomarszczonej, zakonserwowanej głowy Sabata Svi, która leżała przed nim na stołku.

W szaleństwie było pocieszenie. Zapomnienie. I szybowanie wysoko, jak na skrzydłach orłów.

Gdy go uwięzili, zamknęli go w celi z pudełkiem świec i baryłką na pryczy. Przez noc i przez dzień patrzył na tę baryłkę, bo choć nie był tak szczwanym lisem jak Mattias, rozumiał doskonale, że nie pozostawiono jej tu bez powodu. Wreszcie odkręcił kurek i przekonał się, że to brandy. Ogarnęła go taka radość, że nie myślał już o niczym innym. Upijał się do nieprzytomności i tak mijały godziny i dni. Gdy zasypiał, śnił o chwale, o towarzyszach, o przelewaniu krwi, a potem znowu się upijał i staczał w otchłań, zdawać by się mogło, bez końca – lecz koniec wreszcie nadszedł. Baryłka była pusta, podobnie jak jego żołądek i dusza. A jednak nie do końca pusta. Gdy podniósł ją i przechylił, by osuszyć resztki, coś przesunęło się w jej wnętrzu. Coś ciężkiego i twardego, co uderzyło o drewno jak pestka w tykwę, budząc w jego niezbyt trzeźwym umyśle skojarzenie z odgłosem szaleństwa. Odstawił baryłkę, bo czuł się niezbyt dobrze, i dał jej spokój. Ciekawość jednak jest równie ciężką torturą jak inne, i wreszcie musiał jej ulec. Roztrzaskał baryłkę o kamienną podłogę, a ze środka wytoczyła się głowa Sabata Svi. Ucięta w połowie szyi i zakonserwowana w brandy jak cebulka. Na jej widok wszystko, co dotąd wydawało się Borsowi złem, stało się karłowate. Nawet jego własne okrucieństwo nie umywało się do tego. Nić, która łączyła jego umysł z duszą, pękła i zaczął wyć, wzywając Boga, w którego już nie wierzył.

Tasso podniósł z ziemi zawszony koc, nakrył nim uciętą głowę i wyniósł przy wtórze wariackiego śmiechu Borsa. Potem zaś do celi wszedł Ludovico i Bors przestał się śmieć. Mnich zatrzymał się przed nim i spojrzał na posadzkę u jego stóp, jakby po raz pierwszy dostrzegł tam coś ciekawego. Bors pochylił głowę. Pomiędzy kamienie

wmontowana była klapa. Do desek, z których była zrobiona, przymocowano uchwyt oraz zasuwę grubości kciuka.

– Mówisz po francusku? – spytał Ludovico.

Bors nie odpowiedział.

– To jest oubliette – dodał Ludovico. – Kto tam wejdzie, zostanie zapomniany.

Ludovico pochylił się, otworzył zasuwę i szarpnąwszy za uchwyt, podniósł klapę. Bors skrzywił się, czując cuchnący powiew na twarzy, ale popatrzył w dół. Pod klapą było ciasno jak w trumnie. Nicodemus leżał w głębi, jego twarz miała barwę meduzy, a w półprzymkniętych oczach i nieruchomych ustach kłębiły się robaki.

Smutek i gniew ścisnęły Borsa za gardło. Koniec partyjek tryktraka. Koniec tartaletek z kremem, najlepszych, jakie w życiu próbował. Bors zamknął oczy, czując nagłe zawroty głowy. Znów chciało mu się wymiotować, ale opanował się i przełknął ślinę. Myśl o Mattiasie pomogła. „Trzymaj się gniewu i smutku, bo póki dychamy, możemy jeszcze być górą", tak brzmiała jego rada.

Ludovico z hukiem opuścił klapę ciemnicy i spokojnie usiadł na stołku, opierając dłonie na udach. Było to dziwne, ale Bors nie czuł strachu ani przed nim samym, ani przed jego zbrodniami, ani przed niczym, co jeszcze Ludovico mógł wymyślić i uczynić, ponieważ wrzucając do brandy głowę człowieka, którego Bors nie kochał, ale z którym trzymał – Żyda Sabata Svi – Ludovico prześcignął już sam siebie.

– Borsie z Carlisle – zaczął inkwizytor nader przyjaznym tonem. – Powiedz no mi, gdzie właściwie jest to Carlisle?

A Bors pomyślał: Wybacz mi, Mattiasie, mój przyjacielu, ale w tej grze zwyciężyć nie mogę.

Stara wiedźma przyniosła jej jedzenie i wino, a Anacleto czuwał w tym czasie przy drzwiach, ale nie odpowiedzieli na żadne jej pytanie. Gdy Ludovico wreszcie przyszedł z wizytą, Carla stwierdziła ze zdziwieniem, że prymitywna wdzięczność za dotrzymanie jej towarzystwa przeważa nad wszystkimi innymi uczuciami. Odwróciła się więc, by ukryć to uczucie. Gardziła własną słabością. Gardziła nim, bo wiedział doskonale, że taka będzie jej reakcja. Odwróciła się ku niemu po chwili. Jego oczy wydały jej się głębiej osadzone niż dawniej, jakby cofały się ku nieskończonej nocy; nie odbijał się w nich ani jeden promień światła wpadającego przez okno umieszczone wysoko na ścianie. Cienie oczodołów nie wystarczyły jednak, by ukryć wyzierające z oczu cierpienie. Pod pewnymi względami przypominał jej teraz człowieka, którego niegdyś pokochała. Pod innymi – nie znała go ani trochę.

– Gdzie jest Amparo? – spytała.

– W pobliżu – odparł Ludovico. – Wygody, z których tu korzystasz, choć skromne, nie mają sobie równych w mieście. Amparo cieszy się podobnymi. Widzę, że jesteś zdrowa. Podobno Amparo też.

– Widziałeś ją?

– Nie.

– Ja chcę się z nią zobaczyć.

– Wkrótce.

– Teraz.

– Czy mogę usiąść?

Ludovico wszedł dalej i rozejrzał się po pokoju, umeblowanym jedynie łóżkiem i dwoma krzesłami. Carla nie umiała odgadnąć, do czego zwykle służyło to pomieszczenie. Zauważyła, że Ludovico kuleje i że nie jest to próba wzbudzenia jej współczucia. Wiedziała, że jej życzenie nie zostanie spełnione. Pamiętała radę Mattiasa i nie zamierzała podejmować walki z inkwizytorem. Skinęła głową, a Ludovico usiadł.

– Żałuję, że spotykamy się w takich okolicznościach – powiedział. – Musisz jednak zrozumieć, że podążam stałym kursem i nie mogę się wahać. Niektóre elementy mojego planu dotyczą ciebie, inne zaś nie.

– Co z Tannhäuserem?

– Jego kwatera jest mniej przytulna, ale nie jest źle traktowany. Wszyscy twoi towarzysze mogą przeżyć tę przygodę w dobrym zdrowiu. Po części zależy to od nich, a po części od ciebie.

– Jak rozumiem, przychodzisz tu, żeby grozić mi, że ich zabijesz.

– Przychodzę, żeby naświetlić ci prawdziwą naturę spraw. To, jak się one potoczą, zależy od tego, jak dobrze zagramy swoje role.

– Czy moja rola ma polegać na tym, że zostanę twoją kochanką? Żoną?

– Modliłem się o to i jestem pewien, że ty też.

Pozwoliła, by milczenie było jej odpowiedzią.

– Wierzę, że nasz związek jest wolą Boga – dodał Ludovico. – Wierzę, że zawsze nią był.

– Jak wielu ludzi służących złu, udajesz, że mówisz w imieniu Boga. Wolałabym jednak, żebyś mówił o własnej woli i własnych pragnieniach.

– Pragnę twojego szczęścia. Wiem, że teraz mnie nienawidzisz i z odrazą myślisz o mojej propozycji. Z czasem jednak zrozumiesz, że twoje szczęście nie jest możliwe bez związku z moim.

– Teraz więc przemawiasz i w moim imieniu.

– Nie do twarzy ci z szyderstwem i nie przyniesie ci ono żadnego pożytku.

– Z szyderstwem? – powtórzyła, czując w piersi gniew ciężki jak głaz.

Ludovico przymknął powieki.

– Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo tobą gardzę?

– Próbowałem – odparł inkwizytor. – I nie udało mi się. Ale ten medal ma i drugą stronę: ty nie wyobrażasz sobie, jakie męki zadała mi twoja obecność.

– Oskarżasz mnie, że to ja ciebie dręczę?

– Ja tylko stwierdzam fakt. Nie prosiłem cię, żebyś wracała na Maltę. Próbowałem temu zapobiec.

Zbyt dobrze znane poczucie winy ścisnęło żołądek Carli. Sprowadziła katastrofę na siebie i innych.

– Próbowałem wyleczyć się z tej udręki – ciągnął Ludovico. – Umartwiałem ciało. Rozważałem czyny tak okrutne, że żadna siła nie odkupiłaby mnie w twoich oczach. Wtedy przynajmniej sprawa byłaby rozstrzygnięta, a ja znalazłbym coś na kształt ukojenia.

Carla poczuła strach. Nie miała żadnych wątpliwości, że Ludovico jest zdolny do każdego okrucieństwa.

– I jeśli powstrzymałem się od ich popełnienia – dodał – to tylko dlatego, że nie chciałem zadawać ci więcej cierpienia.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem i objęła się ciasno ramionami, by powstrzymać kolejny.

Ludovico wstał i przysunął drugie krzesło bliżej swojego.

– Proszę, usiądź przy mnie.

Podeszła do krzesła i usiadła, a on zajął miejsce obok. Przez chwilę w milczeniu opierał łokcie na udach i splatał dłonie, nisko pochylając głowę. Jego palce zbielały z wysiłku. Odetchnęła głęboko, a wtedy spojrzał na nią. Głęboko osadzone oczy były jak tunele prowadzące ku czemuś bardzo wynaturzonemu.

– Zadałem sobie pytanie – rzekł – jak mogę odzyskać uczucie kobiety, którą zraniłem tak głęboko i na tak wiele sposobów. Kobiety, której dumę zdeptałem. Której wolność skradłem. Której najlepszych przyjaciół zamknąłem w ciemności i kazałem skuć.

Carla z trudem przełknęła ślinę, czując w gardle smak łez.

– Nie znalazłem odpowiedzi – kontynuował Ludovico. – Sam bowiem jestem skuty w ciemności gęstszej niż inne. Przecinałem już węzły wielu zagadek i rozwiązywałem liczne, ale ta przekracza możliwości mojego geniuszu, najbardziej splątanymi jej wątkami są bowiem moje własne uczucia. Ich moc jest większa niż siła wszelkich więzów i zobowiązań. Wojna sprawiła, że splątały się jeszcze mocniej. Gniew, żal i żądza kierowały każdym moim ruchem. Miłość mnie dusiła tak, że budziłem się nocą przekonany, że wybiła moja ostatnia godzina. I często żałowałem, że to nieprawda. Lecz była to nieprawda. Nawet na polu walki, nawet gdy twój Niemiec strzelił mi w plecy jak morderca, śmierć nie chciała mnie dopaść. Sprawy nie toczą się tak, jak bym chciał, ale tak, jak same tego chcą. I dlatego przychodzę, by oddać się mocy twojego współczucia.

Carla odwróciła głowę, by skupić się na własnych myślach. Tak, modliła się. Mattias kazał jej być wierną samej sobie, bez względu na cenę. Jego słowa były zagadką, nad którą męczyła się dniem i nocą. Co oznaczały? Że pod żadnym pozorem nie może się poddać woli Ludovica? Że wszyscy mają spłonąć na stosie jej honoru, w świecie, który i tak cuchnie poświęceniem i śmiercią? Uznała, że nie o to chodziło Mattiasowi i że to tylko jedna z wielu możliwości. I że Mattias, jak zawsze, naprawdę szczerze powiedział to, co myślał: że powinna być jak najwierniejsza temu, jaka jest we własnej ocenie, a nie w ocenie innych. Spojrzała na Ludovica.

– Nie możesz zostawić nas, abyśmy żyli własnym życiem, i poszukać pocieszenia w Bogu?

– A czy ty je znalazłaś?

– Tak – odparła. – Znalazłam.

– A jednak wróciłaś na Maltę.

– Wbrew twoim oskarżeniom, nie wróciłam po to, żeby cię ranić.

– A jednak wróciłaś.

– Nie odpowiedziałeś mi.

– Nie spałaś z Tannhäuserem – rzekł. – Jeszcze nie.

Skąd mógł to wiedzieć?

Ludovico pokiwał głową.

– Niewiele jest rzeczy, o których nie wiem. Jeszcze mniej jest takich, których nie odważę się uczynić. Nie zostawię cię temu Niemcowi, nawet jeśli miałbym za to zostać przeklęty. Mój grzech już jest śmiertelny. Nie mogę go zmazać. Bóg widzi prawdę w moim sercu i mój brak skruchy. I dlatego też, skoro mam już być przeklęty, niech będę przeklęty za moje czyny, a nie za myśli.

Jeżeli kiedykolwiek wątpiła w jego stanowczą wolę, to w tym momencie przestała.

– Wysłuchaj mnie, Carlo – poprosił. – Nie musisz trwać w odrazie. To, co kiedyś nas połączyło, nie może umrzeć. Wskrzeszenie jest sercem naszej wiary, podobnie jak miłość, a jedno jest podstawą drugiego. Kocham cię. Bardziej niż Boga. Razem odnajdziemy spokój. Amparo pozostanie twoją przyjaciółką. Odnajdziemy nasze dziecko. Z czasem odnajdziesz w sobie czułość, którą miałaś dla mnie przed laty.

– Nasze dziecko?

– Orlandu należy do świty Abbasa Ibn Murada, agi Żółtych Sztandarów. Gdy dotrą tu posiłki z Sycylii, a wśród Turków zapanuje chaos, razem z moimi rycerzami uwolnię naszego syna.

– Zatem i w ten sposób próbujesz skraść rolę Tannhäusera.

Ludovico skrzywił się.

– Nie pozwolę, żeby mój syn został zabrany do Stambułu i zmieniony w niewiernego. Wolałbym raczej, żeby zginął, niż utracił duszę w taki sposób.

Nad ostatnimi słowami Carla wolała się nie zastanawiać.

– To znaczy, że posiłki z Sycylii są w drodze?

– Gdy dotrze tu armia de Toleda, pojedziesz ze mną do Mdiny. Tam dołączę do rycerzy i odzyskam Orlandu.

– A co z Mattiasem?

– Uwolnię go. Pojedzie do Turków i będzie wśród nich szczęśliwy. Zapomni o tobie, tak jak ty zapomnisz o nim. I jeśli nie dasz mi ku temu powodu, nie uczynię nic więcej przeciwko niemu. Jego życie jest więc – tak jak życie Amparo – w twoich rękach. – Ludovico wstał. – Znasz już moją odpowiedź. Teraz daj mi swoją, bo drugi raz nie przyjdę.

Carla także wstała. Podjęła decyzję. Podjęła ją, zanim jeszcze wszedł do tego pokoju, bo przecież nietrudno było przewidzieć jego żądania.

– Jeżeli moja uległość ma ocalić Mattiasa i Amparo, zapłacę tę cenę z własnej woli i do końca, a uczynię to z chęcią.

Ludovico odetchnął głęboko.

– Gdy nadejdzie pomoc – dodała – pojadę z tobą do Mdiny i wszystko ułoży się tak, jak sobie tego życzysz.

Sobota, 8 września 1565 - Budynek sądu

Przychodził do niej kilka razy dziennie. Za każdym razem zdejmował spodnie, rozkładał jej nogi i gwałcił ją na materacu. Były to długotrwałe i brutalne gwałty, bo Anacleto miał problem z dotarciem na szczyt i wydawało się, że winą za to obarcza wyłącznie ją. Był opętany czymś, co bez trudu identyfikowała jako złe, co nadawało jego jedynemu oku dziwny blask. Jego półtwarz wykrzywiała się nad nią, jego oddech śmierdział, a jego palce ściskały ją mocno i zaciekle. Gdy wreszcie eksplodował w jej ciele, krzyczał za każdym razem „Filomeno!" Potem schodził z niej z odrazą, jakby była kupą łajna, ubierał się odwrócony tyłem do niej i wychodził. Tajemnicze imię było jedynym słowem, które wypowiadał.

Amparo znosiła te napaści tak, jak zniosła wiele podobnych w przeszłości. Tannhäuser kazał jej wytrwać i to wystarczyło, by dać jej siłę. Była przygotowana na gorsze rzeczy. Przeżyła gorsze rzeczy. Anacleto na przykład nie był zbyt hojnie obdarzony przez naturę. Gdy słyszała jego kroki za drzwiami, spluwała na palce i zwilżała krocze. Zamykała oczy i poddawała się. Ściskała w dłoni grzebyk z kości słoniowej i srebra, czasem aż do krwi. A gdy Anacleto rzucał się między jej udami, rozmyślała o Tannhäuserze, swej skrwawionej róży. Choć jego kolce przebiły jej serce, sprawił, że zaśpiewała. I to jak zaśpiewała. I wciąż śpiewała. Zaciskała zęby, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku, lecz w królestwie, które nosiła w sobie, bardziej przestronnym i złożonym niż wielki kosmos, który ją otaczał i nad którym panowała tylko jej dusza, śpiewała z miłości. Śpiewała. Śpiewała. Śpiewała. Gdy Anacleto wychodził, zostawiając nasienie wyciekające spomiędzy jej ud, to upokorzenie raniło ją bardziej niż ból w brzuchu i siniaki na ramionach. Ale myjąc się, pamiętała już tylko o tym, że przyjdzie po nią Tannhäuser.

Przyjdzie i zabierze ją stąd. A ona znów dla niego zaśpiewa.

Pomiędzy gwałtami leżała nago na łóżku i wycofywała się w głąb siebie. Sycylijska wiedźma przynosiła jej jedzenie – ta sama wysuszona starucha o pajęczych palcach, którą tygodniami widywała w stajni. Spoglądała na Amparo z obrzydzeniem, a w jej kaprawych oczach tliło się to samo szaleństwo, które widziała w oku Anacleta. Mruczała coś do siebie i spluwała na podłogę, a jej słowa przypominały przekleństwa. Spoglądała na Amparo nienawistnie i wychodziła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Amparo nie jadła wiele. Za dnia czekała, aż światło z wysoko umieszczonego okna wreszcie zgaśnie, bo Anacleto nigdy nie przychodził po zmroku. Nocami patrzyła na gwiazdy przesuwające się z wolna po wąziutkim skrawku nieba, który mogła dostrzec.

Niewiele myślała o swym położeniu. Okrucieństwo było częścią Natury, tak jak zimowe mrozy; czymś, co należało przetrwać i zapomnieć. Nie pozwalała, by wydarzenia raniły ją do głębi serca. Rozmyślała raczej o Nicodemusie i Borsie, którzy zaprzyjaźnili się z nią i dbali o nią bez żadnej widocznej przyczyny. Myślała też o Carli i o ostatnim straszliwym obrazie, który zobaczyła w swoim kamieniu wizji: o powieszonej kobiecie w czerwonej jedwabnej sukni. A potem znów wracała myślą do Tannhäusera, który jak nikt inny w jej życiu sprawił, że czuła się piękna. Czesała włosy swym kościanym grzebykiem, obserwując grę światła na srebrnych arabeskach. Na nowo przeżywała wszystkie godziny, które spędzili razem. Wspominała dotyk jego skóry, błękit oczu i barwę głosu. Uśmiechała się na myśl o jego błazeństwach. I pamiętała każde słowo opowieści o słowiku i róży.

Rozpłakała się.

Drgnęła w grobowej ciemności przedświtu, gdy ze skrzypem otworzyły się drzwi jej więzienia. Lampa oświetliła twarz Anacleta. Amparo poczuła mdłości. Zebrała siły i odwróciła się przodem do niego, żeby nie wykręcał jej ramion. Anacleto uniósł rękę. Trzymał w niej zwitek ciemnej materii, która połyskiwała w blasku ognia jak żywa istota. Była wspaniała, nieomylnie wspaniała. Była czerwona. Była suknią Carli.

Piękną, czerwoną suknią Carli.

Amparo poczuła suchość w ustach i po raz pierwszy ogarnęło ją przerażenie.

Anacleto rzucił jej suknię.

Wylądowała na jej udach i zsunęła się. Amparo wiedziała, że to już koniec, ale dotyk materiału był cudowny. Spojrzała na Anacleta. Nie zobaczyła liny, którą spodziewała się ujrzeć w jego dłoni, ale jego upiorną twarz wykrzywiał grymas czarnej, dziecięcej złości, którego nie widziała nigdy dotąd. Złości wywołanej innymi sprawami, ale skierowanej ku niej. Anacleto wskazał palcem na suknię.

Amparo pokręciła głową.

– Włóż ją – powiedział.

Amparo ścisnęła w dłoni grzebyk z kości słoniowej. Zęby wbiły się głęboko w ciało.

– Nie – odpowiedziała. – Nigdy.

Sobota, 8 września 1565 - Guva

Cisza. Ciemność. Skała.

Czas bez dni. Czas bez nocy.

Bez słońca. Bez gwiazd. Bez wiatru.

Nieobecność w czystej postaci, wymyślona specjalnie po to, by doprowadzić pozbawionych honoru do rozpaczy.

Zhańbieni, którzy mieli nieszczęście poznać od środka niezwykłą geometrię Guvy, umierali z braku nadziei. Treść ich mózgu plątała się i zaciskała jak kłąb szczurzych ogonów. Niczym wyrzutkowie zmuszeni do pożywiania się ludzkim ciałem, myślami i koszmarami, i lękiem pożerali własne umysły.

Lecz z umysłem Mattiasa Tannhäusera rzecz się miała inaczej.

Napełniony mocnym eliksirem wyczerpania, samotności, spokoju i opium, wędrował po dalekich krainach snów, gdzie twarze były uśmiechnięte, wino spływało potokami wśród skał, wszystkie kobiety były przystępne, a mężczyźni łagodni, i gdzie najdziwniejsze zwierzęta włóczyły się swobodnie, nikomu nie czyniąc krzywdy. Wytchnienie od bitwy, od szczęku oręża, od ciężaru towarzyszy – a także od konieczności myślenia i działania w samym jądrze chaosu – działało na niego równie kojąco jak narkotyk. Mocz oddawał często i w małych ilościach, starając się rozprowadzać go po całym dnie dzwonu, by szybciej sechł i nie tworzył jednej dużej kałuży. Stolec wyrzucał na górę, w ciemność poza krawędzią ciemnicy. Godzinami zapierał się o okrągłe ściany rękami i nogami, by przywrócić siłę znużonym mięśniom i ścięgnom. Rozważał zagadki kwintesencji, albowiem z nicości absolutnej brały się wszelkie rzeczy, więc i tym razem mogło tak się zdarzyć. Wspominał też – filozoficznie nieodległe – nauki Jezusa Chrystusa, w których znajdował coraz więcej szlachetnego pierwiastka. Właśnie tu, w Guvie, gdzie granica między nieskończonością wewnątrz a bezmiarem na zewnątrz jego umysłu wydawała się z każdą chwilą węższa, szukał łaski bożej. Wyczuwał ją w pobliżu, tak jak leśna zwierzyna wyczuwa nadejście wiosny, ale nie mógł jej odnaleźć i doszedł do wniosku, że jeszcze nie wyzbył się diabła ze swej duszy. Nie rozmyślał zbyt wiele o losie tych, których kochał, bo nie widział po temu powodu. Uczynił Guvę swoją twierdzą, a samotność zmienił w narzędzie wzmacniające siłę ciała i umysłu. Dużo spał, zwinięty na dnie dzwonu, a gdy wracała mu świadomość, często zmuszał się do powrotu w niebyt snu. Kamień pod jego ciałem był zimny, ale po miesiącach spędzonych w potwornym skwarze nie była to rzecz nieprzyjemna. Owszem, budził się

zesztywniały i z otartymi do krwi plecami, ale taki dyskomfort był niczym w porównaniu z koszmarem bitwy. Dwa razy obudziła go ze snu czyjaś obecność. Światło ledwie pojawiło się nad krawędzią Guvy – lecz i tak wydawało mu się oślepiające – i ktoś nieznany rzucał mu tobołek z chlebem i suszoną rybą. Ludovico zatem nie życzył mu głodowej śmierci, a jedynie złamania ducha izolacją i niepewnością. Czekał go zatem srogi zawód, choć Tannhäuser zanotował w pamięci, że nie powinien zdradzać mu prawdziwego stanu swej duszy.

A gdy wreszcie czarny mnich pojawił się na horyzoncie, uczynił to w sposób teatralny, właściwy ludziom inkwizycji.

Tannhäuser usłyszał, że ktoś przekręca klucz i otwiera drzwi. Dźwięk kroków i klekot zbroi, które nastąpiły chwilę później, rozbrzmiewały głośno w tej ciszy, do której zdążył przywyknąć. Płomień pochodni wyłonił się z bezkształtnej ciemności i zatoczył półokrąg nad krawędzią Guvy. Wreszcie znieruchomiał, jak zawieszony w powietrzu, i Tannhäuser zrozumiał, że umieszczono go w uchwycie przytwierdzonym do muru. Zanim na dobre przywykł do ostrego światła, rozległy się szybkie kroki i jakaś postać przeszła przez krąg światła. Chwilę później przy tej ścianie Guvy, która znajdowała się naprzeciwko wejścia do sali, spuszczono drabinę. Tannhäuser dostrzegł przy tym błysk stalowego hełmu. Ciemna postać okrążyła otwór lochu, a potem jej kroki się oddaliły. Drzwi znowu skrzypnęły, zamknęły się i zapanowała cisza.

Tannhäuser czekał, bo zbytni pośpiech w ucieczce z więzienia wydawał mu się nie na miejscu. Pobyt w ciszy tak wyostrzył jego słuch, że nawet trzask płomienia pochodni wydawał mu się głośny. Słyszał także czyjś oddech, powolny i spokojny, jak jego. Światło padające z góry sprawiło, że czuł się znowu świadomy swojej nagości, barbarzyńskich tatuaży na ramionach i udach oraz blasku złotych lwów na nadgarstku. Z drugiej jednak strony przywykł i do nagości. Wspiął się wreszcie po drabinie, czując na plecach czyjeś spojrzenie. Stanął na krawędzi Guvy i się odwrócił.

Po drugiej stronie otworu stał Ludovico. Choć ciemność za nim była nieprzenikniona, Tannhäuser nie wyczuwał w sali nikogo więcej. W czarnej zbroi od Negrolego Ludovico prezentował się nadzwyczaj godnie. Wypolerowany napierśnik lśnił, jakby to jego emaliowana stal była źródłem światła, a nie pochodnia. Wyglądał na nieuzbrojonego. Tylko połowa jego twarzy była widoczna w blasku ognia. Jego oczy były czarne jak smoła. Jeżeli był zaskoczony wigorem Tannhäusera, to nie dał tego po sobie poznać. Pochylił głowę na powitanie. Tannhäuser usiadł ze skrzyżowanymi nogami na krawędzi Guvy i położył dłonie na kolanach. Odwzajemnił pozdrowienie i przez chwilę w milczeniu patrzyli na siebie ponad pustką lochu.

Mijały minuty. Może nawet wiele minut. Po trudnej do zmierzenia ciszy Guvy to milczenie wydawało się Tannhäuserowi naturalne. Wreszcie przyszło mu do głowy, że być może na miejscu byłoby okazać odrobinę uległości.

– Jaki to dzień? – spytał.

– Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Sobota, ósmy września.

Sześć dni. Wydawało się, że dłużej. Albo krócej.

– Dzień czy noc?

– Dwie godziny do świtu.

– Miasto jeszcze stoi?

– Nie tylko stoi – odparł Ludovico – ale i oblężenie skończone.

Tannhäuser spojrzał na niego bez słowa. Żadna wiadomość nie zdziwiłaby go bardziej, a przecież Ludovico nie miał powodu, by go zwodzić.

– Wczoraj rano prawie dziesięć tysięcy żołnierzy zeszło na ląd w zatoce Mellieha – wyjaśnił Ludovico. – Rozbili obóz na wyżynie Naxxar.

– A Turcy?

– Rozebrali działa oblężnicze i wycofują się w stronę swoich okrętów.

– Mustafa ucieka przed dziesięcioma tysiącami ludzi?

– Nasz wielki mistrz uwolnił muzułmańskiego jeńca, dając mu wcześniej do zrozumienia, że przybyło dwa razy więcej wojska.

Tannhäuser zamyślił się. Religia zwyciężyła, a on próbował uciec z wyspy w chwili, gdy właściwie nie było to już konieczne. Ludovico poruszył się i jego oczy błysnęły lekko, a Tannhäuser pomyślał, że i on dostrzega w tym ironię losu.

– Daję słowo – dodał Ludovico – że nie mogliście wybrać gorszego momentu na ucieczkę.

– Przypuszczam, że nie przyszedłeś tu wyłącznie po to, żeby podzielić się ze mną dobrą nowiną.

Ludovico spojrzał w ciemność za jego plecami i usiadł na krześle stojącym nad krawędzią Guvy.

– Jeśli dobrze zrozumiałem historię twojego życia, jesteś człowiekiem zdolnym porzucić przeszłość, gdy wymagają tego okoliczności. Rodzinę, kraj, religię, sułtana, sprawę. Nawet swą ukochaną Wyrocznię.

Tannhäuser nie umiał zaprzeczyć.

– Nawet Sabata Svi – dodał z uśmiechem Ludovico.

Złowrogi ton tej zniewagi omal nie pchnął go do działania, ale Tannhäuser w porę przypomniał sobie, że lepiej przysłuży się swoim sprawom, jeśli Ludovico będzie go uważał za łajdaka i sługę.

– Wnoszę z tego, że Sabato nie dotarł do Wenecji.

– Nawet nie opuścił Mesyny, za co gratulacje należą się, o ile wiem, niejakiemu Dimitrianosowi. – Ludovico skrzywił się z niesmakiem. – Denuncjowanie Żydów zawsze było popularnym sportem.

Tannhäuser sądził, że jest już całkiem odporny na trwogę i żal. Zamknął oczy. Gdyby było inaczej, okrążyłby teraz tę czeluść i gołymi rękami rozerwał czarnego mnicha na strzępy. Albo ukazał całą głębię rozpaczy. Tyle że ani jedno, ani drugie nie wyszłoby mu na zdrowie.

Ludovico dał mu chwilę na milczącą żałobę.

– Zapomnisz o Żydzie – odezwał się w końcu. – Tak jak musisz zapomnieć o signorze Carli.

– Nasza umowa ślubna była zapłatą za usługę. – Tannhäuser starał się, by jego głos zabrzmiał dostatecznie szorstko. – Miałem chęć zostać hrabią. Nigdy nie chodziło o porywy serca.

– Dla niej to jednak uczucie.

– Kobiety łatwo dają się zauroczyć, zwłaszcza temu, kto je chroni. Jeszcze większy czar roztacza obrońca ich dziecka.

– Miło mi to słyszeć – odparł Ludovico. – Sam doszedłem do identycznych wniosków, choć muszę przyznać, że ty jesteś w tej materii bardziej doświadczony.

– W pewnym sensie i ja byłem mnichem.

– Ale nigdy nie pokochałeś.

– Tej przepaści nie zdążyłem pokonać. Mam słabość do ciała, nie do ducha.

– Ta hiszpańska dziewka, Amparo, też ma do ciebie słabość?

– Jak się czuje?

– Podobnie jak Carla, spędza czas w pełnym komforcie.

– Nie chciałbym, żeby spotkała ją krzywda – ostrzegł Tannhäuser.

– Użyj dobrze rozumu, a nie dotknie jej niczyja ręka prócz twojej.

Tannhäuser miał wrażenie, że nie są to całkiem jasne odpowiedzi, ale też nie wyczuwał w nich kłamstwa. Tak czy inaczej, w tej chwili inkwizytor kontrolował sytuację.

– Dlaczego wróciłeś do Borgo? – spytał Ludovico.

Próbował zbić z tropu Tannhäusera, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Zostawiłem tu małą fortunę w opium i drogich kamieniach. Wystarczyłoby na rozkręcenie solidnego interesu, czy to w Italii, czy w Tunisie, czy w okolicach Stambułu. Poza tym, nie podobała mi się myśl o moich towarzyszach w tureckiej niewoli. Pomyślałem, że mogę im tego oszczędzić.

– Czy Carla mnie nienawidzi? – spytał Ludovico, pochylając się nieco.

– Nigdy mi tego nie powiedziała – odparł Tannhäuser – i nie szukała okazji. Ani zachęty. W jej duszy nie ma takiego miejsca, w którym nienawiść mogłaby się zakorzenić. Jest zdumiona twoim okrucieństwem. Jak dla większości kobiet, tak i dla niej barbarzyństwo jest niezgłębioną zagadką. Wątpię, by była zadowolona, gdybyś mnie wysłał na stos. A co się tyczy ciebie, to powiedziałbym, że więcej jest w Carli smutku, gdy patrzy na człowieka, którego dawniej kochała, a który oddał się złu.

Ludovico skinął głową. Na jakiś czas smutek musiał wystarczyć.

– Przez wszystkie te lata, kiedy miałem do czynienia ze śmiercią, nigdy nikomu nie życzyłem zgonu. Służba Kościołowi i jego bezpieczeństwo wymagały różnych czynów. Czasem jednak, przyznam szczerze, życzyłem śmierci tobie, i to z wielką pasją.

– Ja zaś przyznam się do wzajemności – odparł Tannhäuser.

– Mimo to teraz, gdy spotykamy się twarzą w twarz, stwierdzam, że mój gniew zgasł.

– Jak mawiają Arabowie, lepiej jest mieć mędrca za wroga niż głupca za przyjaciela.

– Przyszedłem, żeby zaproponować ci interes.

– Obawiam się, że niewiele mam na wymianę.

– Chcę, żebyś zabił de la Valette'a – powiedział Ludovico.

Tannhäuser zdołał jakimś cudem nawet nie mrugnąć. To, że taki właśnie cel mógł od początku przyświecać Ludoviciemu, w ogóle nie mieściło się w jego rachubach. Teraz jednak wystarczyła chwila zastanowienia i rzecz stała się oczywista. Zdrada najwyższego gatunku. I morderstwo, najświętsze narzędzie polityki.

– Kiedy? – spytał.

– Natychmiast – odparł Ludovico.

– Zatem to admirał del Monte jest człowiekiem papieża.

– Będzie człowiekiem Ghislieriego, choć jeszcze o tym nie wie. Żadna plama nie ciąży na charakterze admirała, może poza niedostatkiem sprytu.

– Mogę sobie wyobrazić, jak del Monte ugina kark przed papieżem, ale nie przed inkwizytorem.

– Zanim skończy się ten rok, pierścień Rybaka zalśni na palcu Ghislieriego.

Tannhäuser uniósł brew.

– Jeśli twoim planem jest też zabójstwo papieża, to księcia Religii jestem skłonny uznać za pośledną zwierzynę.

– Rzecz wymaga pośpiechu; trzeba działać, póki wynik wojny jest niepewny, a emocje potężne. Będzie to piękny finał tego dramatu. Dzielny wielki mistrz zamordowany w chwili triumfu przez nieznanego tureckiego zabójcę. Do tej roli nadajesz się jak nikt inny. W chwili prostackiej rozpaczy, a także bliskiego triumfu nikt nie ośmieli się wystąpić przeciwko wyznaczonemu następcy de la Valette'a. Del Monte wstąpi na tron Religii, a nazwisko de la Valette'a będzie żyć wiecznie.

– Znakomicie – odpowiedział Tannhäuser.

W rzadko u niego widywanym odruchu próżności Ludovico skłonił głowę.

– A nasz interes? – przypomniał Tannhäuser.

– Jeśli odmówisz, ktoś poderżnie ci gardło w tej sali, a twoje ciało jeszcze przed świtem trafi do morza.

– Zdarzało mi się zawierać transakcje pod mniejszym przymusem – przyznał Tannhäuser. – Ale skoro nasza umowa ma być przypieczętowana ledwie uściskiem dłoni – a może i nie – i wymaga od ciebie, abyś mi zwrócił wolność, musisz wykazać się sporą dozą dobrej wiary.

– Zatem zgadzasz się?

– De la Valette nie jest niewinny. Turcy nazwą mnie zabójcą najstraszniejszego demona, i nie bez powodu. Ale jakie są moje szanse na ujście z życiem?

– Całkiem szczerze pragnę, żebyś przeżył tę przygodę. Jeśli cię zabiją, ujawnienie twojej tożsamości zniweczy mój doskonały plan. Pojawi się zagadka, pytania, śledztwo i mnóstwo innych przeszkód. Wolałbym ich uniknąć.

– W jaki sposób mam go zabić?

– Twoja strzelba jest gotowa do użytku, masz najlepszy proch i stalową kulę.

– A pistolet?

– Jak sobie życzysz. Twój koń będzie osiodłany i gotowy do drogi, Brama Kalkara otwarta na oścież, a bastion nieobsadzony. Gwarantuję ci to słowem honoru. De la Valette, jak zawsze, zachowuje się nierozważnie. Przy ołtarzyku Matki Boskiej z Philermo pokazuje się bez pancerza, doskonale widoczny. Pozostanie w kościele Świętego Wawrzyńca do końca ostatniej laudy. Przyczaisz się w pobliżu, póki jest ciemno. Gdy o świcie wyjdzie z kościoła, zastrzelisz go z odległości stu stóp i zanim podniesie się krzyk, będziesz już za

murami miasta. Jeśli mnie oko nie myli, twój Buraq prześcignie wszystkie wierzchowce tutejszej stajni. Dalej możesz robić, co zechcesz: dołączyć do tureckiej floty w Marsamxett albo odpłynąć swoją łodzią z Zonry.

Celowa wzmianka o łodzi lekko zaniepokoiła Tannhäusera. Bors musiał przeżyć ciężkie chwile. Tymczasem jednak trzeba było puścić te słowa mimo uszu.

– Polecałbym raczej obóz muzułmanów – ciągnął Ludovico. – Jak sam zauważyłeś, przyjmą cię jak bohatera.

– Te obietnice w sprawie bramy i konia…

– Możesz mi ufać. Potrafię wznieść się ponad urazy, zwłaszcza wtedy, gdy odnoszę sukces. Nie interesuje mnie twoja przyszłość wśród niewiernych. Ale jeśli zostaniesz złapany żywcem, czekają cię tortury. Moje słowo zawsze zyska większy posłuch niż twoje, lecz nie o to mi chodzi – nie mogę pozwolić na podejrzenia i dyskusje przed wyborem del Montego na nowego mistrza. Gdybyś więc został pojmany, moi ludzie cię zabiją, tak by wyglądało to na śmierć w ogniu walki. Nie mam jednak pewności, czy tak się to skończy, bo dowiodłeś nieraz, że trudno cię zabić. Dlatego też zależy mi na twojej udanej ucieczce tak samo jak i tobie.

– Dostanę miecz, sztylet i kirys, na wypadek gdybym musiał wywalczyć sobie drogę ucieczki?

– Już na ciebie czekają. Wraz z turecką szatą.

– A opium i drogie kamienie?

Coś zmieniło się w twarzy Ludovica, jakby było to pytanie, na które czekał.

– Czekają w sakwach przy siodle. Pieniądze nie gwarantują lojalności, ale mogą pomóc, nieprawdaż?

– Wizja majątku doda mi skrzydeł – odparł Tannhäuser. – Chcę, żeby Bors odjechał ze mną – dorzucił.

– Nie. – Ton Ludovica nie pozostawiał złudzeń.

– Nie żyje?

– Jest zdrowy na ciele, ale nie na umyśle.

– Wobec tego daj mi słowo, że uwolnisz go, kiedy odjadę.

– Anglik jest jeszcze przy życiu tylko jako możliwy, choć znacznie gorszy, zastępca, na wypadek gdybyś nie przyjął mojej propozycji. Mogę ci obiecać, że zginie szybką śmiercią, nic więcej. – Ludovico rozłożył ręce. – Jeśli złożę jedną fałszywą obietnicę, będziesz mógł wątpić i w inne, które są szczere. Wiesz przecież, że Bors musi zginąć. Prędzej czy później zacząłby gdzieś gadać, pewnie po pierwszym dzbanku wina.

Tannhäuser udał, że długo zastanawia się nad tą sprawą.

– Nie chcę, żeby Bors cierpiał męki wieczne – odezwał się w końcu. – Dasz mu szansę, by pogodził się z Bogiem?

Ludovico wziął te słowa za niechętną zgodę.

– Wyspowiadam go i przyjmie komunię świętą z mojej ręki – obiecał.

– A co z kobietami?

– Kiedy wyjdę z tej komnaty, Carla pojedzie ze mną do Mdiny. Jako że zależy mi na jej łasce i cieszy mnie jej zgoda na małżeństwo ze mną, pozwolę, by Amparo cieszyła się luksusami i najlepszą opieką w naszym domu. Ty zaś nigdy jej nie zobaczysz.

– A Orlandu?

Ludovico przez długą chwilę przyglądał się Tannhäuserowi.

– Mój syn jest mi bardzo drogi. Dla Carli znaczy jeszcze więcej. Bors powiedział mi, że zostawiłeś chłopca w obozie Żółtych Sztandarów. U Abbasa Ibn Murada.

Ludovico czekał na potwierdzenie. Tannhäuser kiwnął głową.

– Kawaleria Mustafy osłania odwrót ku okrętom. Żółte Sztandary odpłyną jako ostatnie. Postaram się, by Orlandu odzyskał wolność.

– Chłopak pracuje w stajni – powiedział Tannhäuser. – Jeśli dojdzie do bitwy, pułk zabierze na pole walki wszystkie konie, by służyły na zmianę dla zabitych. Jeśli Orlandu jest jeszcze wśród Turków, właśnie tam go znajdziesz.

– Dziękuję ci za tę informację.

– Orlandu jest wspaniały. Życzę mu wszystkiego najlepszego.

Ludovico skinął głową.

– I to właśnie jest jeszcze jedna przyczyna, dla której wolałbym, żebyś uciekł do Turków. Jeśli nie zdołam odnaleźć syna, zapłacę niemały okup za jego powrót ze Stambułu. Jest ciałem z mojego ciała – dodał.

Tannhäuser pokiwał głową.

– Zatem zawieramy nad tą czeluścią podwójną umowę.

– Doskonale. – Ludovico podniósł się z krzesła. – Czy mój plan jest całkiem jasny?

Tannhäuser także wstał.

– A jeśli ujawnię to wielkiemu mistrzowi?

– Wtedy del Monte nie zastąpi de la Valette'a, czym byłbym bardzo rozczarowany. Uraziłoby to także moją dumę, ale nie byłoby wielką katastrofą. Ty natomiast musiałbyś się bronić przed zarzutami z ust czterech bohaterskich rycerzy o nieposzlakowanej

opinii. Do skazania cię za dezercję wystarczyłoby samo świadectwo Carli. Pod wpływem tortur przyznałbyś się do wszystkiego, a o zachodzie słońca już dyndałbyś na szubienicy.

– A jeśli, niczego nie uczyniwszy, odjadę przez bramę Kalkara i zniknę?

– Moi ludzie w budynku sądu muszą usłyszeć wieść o śmierci de la Valette'a, zanim słońce wyjdzie zza Monte San Salvatore. Jeśli tak się nie stanie, Amparo umrze zamiast niego. Umrze w nieprzyjemny sposób i w wielkim strachu. De la Valette żyje – Amparo umiera. Wybór należy do ciebie.

– Zaryzykowałbyś nienawiść Carli?

– Carla nigdy by się o tym nie dowiedziała. Dałbym jej do zrozumienia, że pozwoliłem Amparo uciec z wyspy razem z tobą.

Tannhäuser zignorował ucisk w dołku.

– Raz jeszcze gratuluję – powiedział i skinął głową.

– Mam swojego człowieka w świcie de la Valette'a, w kościele – dorzucił Ludovico. – Jakakolwiek zdrada z twojej strony przyspieszy śmierć dziewczyny.

– Zadanie nie jest łatwe – zauważył Tannhäuser. – Kluczem do sukcesu jest dyskrecja. Jeżeli w ciemności usłyszę za sobą kroki twojego rycerza albo dwóch twoich zaufanych będzie mi patrzyło na ręce, nie ręczę za ich życie.

– Obdarzę cię zaufaniem, bo wiem, że go potrzebujesz. Mój człowiek będzie obserwował de la Valette'a, nie ciebie. Swój ekwipunek i ubranie znajdziesz za drzwiami. Barka czeka przy nabrzeżu, a Buraq jest uwiązany przy ruinie mostu.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, udzieliłeś mi rozgrzeszenia – przypomniał Tannhäuser.

Ludovico spojrzał na niego badawczo, jakby szukając śladu drwiny. Nie znalazł go jednak, więc uniósł rękę.

– Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. – Inkwizytor odwrócił się i ruszył w stronę ciemności.

– Powiedz mi – zawołał za nim Tannhäuser – kto nas zdradził przy bramie Kalkara.

Ludovico zatrzymał się i obrócił. Był teraz tylko ciemną sylwetką bez twarzy na tle mroku.

– Twoja dziewczyna, Amparo – odparł.

– Nie wierzę.

– Rozstanie z Buraqiem łamało jej serce, więc opowiedziała mu wszystko, co wiedziała.

Czy Ludovico uśmiechnął się w ciemności? Tannhäuser nie był pewny.

– Podsłuchała ją sycylijska wiedźma.

Sobota, 8 września 1565 – Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - Kościół Zwiastowania – kościół Świętego Wawrzyńca – budynek sądu

Krew zdążyła w nim zawrzeć, zanim w kościele Zwiastowania odnalazł Gullu Cakiego. Łzawe uniesienie panujące w świątyni pomogło mu ochłonąć – i dobrze się stało, ponieważ Tannhäuser zdecydowanie potrzebował krwi zimnej jak śnieg.

Choć wciąż było ciemno, kościół parafialny był wypełniony do ostatniego miejsca i wszystko wskazywało na to, że nic się nie zmieni aż do wieczora. Wyzwolenie z muzułmańskiego oblężenia w dniu religijnego święta wzięte zostało przez wszystkich za oznakę bożego miłosierdzia. Może i mieszkańcy wyspy nie mogli celebrować udanych zbiorów, ale odzyskali wolność na polu bitwy i za to pragnęli szczerze podziękować Chrystusowi i Maryi. Lato dobiegło końca, a oni zostali ocaleni.

Wnętrze kościoła Zwiastowania migotało żółto i czarno w świetle setek świec i zniczy. Pod stacjami Drogi Krzyżowej dymiły niezliczone lampki. Figura Madonny wielkości dziecka przyozdobiona była jedwabnymi kwiatkami. Garść ususzonego jęczmienia i kiść winogron z przydomowego ogrodu na L'Isoli leżały u jej stóp. Tu i ówdzie w tłumie ludzi drżały ze strachu przyozdobione wstążkami kozy. Kosze warzyw i jajek stały przed ołtarzem. Przepchnąwszy się przez tłum, Tannhäuser znalazł Gullu Cakiego pod ścianą, pod płaskorzeźbą wyobrażającą biczowanie Jezusa. Gdy Maltańczyk zobaczył wyraz jego twarzy, klęknął czym prędzej, przeżegnał się i bez słowa podążył za Tannhäuserem w stronę wyjścia. Buraq stał w cieniu, z luźno zwisającymi wodzami.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze cię zobaczę – powiedział Gullu Cakie. – Wielu uważa, że zdezerterowałeś.

– A ty? – spytał Tannhäuser.

Gullu pokręcił głową.

– Ja wiem, że twoja łódź jest jeszcze w Zonrze.

Zaskoczenie Tannhäusera trwało tylko chwilę. Nikt nie posiadał takiej wiedzy o wszelkich intrygach i interesach prowadzonych na Malcie jak Gullu Cakie. Przypuszczalnie wiedział o łodzi od dnia, kiedy Tannhäuser ją ukradł.

– Poza tym ta sycylijska starucha służąca inkwizytorowi przeniosła się do budynku sądu – dodał Cakie.

– Starkey o tym wie?

Gullu pokręcił głową.

– Uważa, że ulotniłeś się z kobietami.

Tannhäuser poczuł się lekko urażony.

– Uważa mnie za dezertera?

Gullu wzruszył ramionami, zbyt zmęczony, by wyjaśniać mu tak oczywiste fakty.

– Chcę, żebyś mu dostarczył wiadomość – rzekł Tannhäuser.

Gullu Cakie był jedną z niewielu osób spoza zakonu, które miały bezpośredni dostęp do najwyższego dowództwa. W zamyśleniu podrapał się po łysym czole.

– Starkeyowi?

– Muszę z nim porozmawiać, i to natychmiast, w sprawie najwyższej wagi.

– Będzie o świcie w Świętym Wawrzyńcu, jak wszyscy, na nabożeństwie. Dlaczego tam nie pójdziesz?

– Nie mogę się tam pokazać. Musimy się spotkać w tajemnicy. Powiedz mu to koniecznie. Znasz wszystkich ludzi Ludovica?

Gullu spojrzał na niego tak, jakby miał się obrazić za to, że Tannhäuser śmie wątpić.

– Wiem, że ma kogoś w otoczeniu de la Valette'a – dodał Tannhäuser. – Kto to może być?

– Pandolfo ze Sieny to prawdziwy wąż w trawie.

– Zatem Pandolfo. Ani on, ani de la Valette nie mogą podejrzewać, że coś się dzieje.

– Tylko głupiec zadziera z inkwizycją – odrzekł Gullu Cakie.

– Głupiec stoi przed tobą, to pewne, ale ty zasłużysz sobie na wdzięczność wielkiego mistrza.

– Zasłużyłem sobie już na całe mnóstwo jego wdzięczności – odparł pochmurno Gullu. – Tylko że wdzięczność jak dotąd nie położyła na moim stole ani jednego bochenka chleba.

– Tu chodzi o życie de la Valette'a.

Gullu zacisnął usta, jakby te słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Wiesz, jak jest z wielkimi mistrzami? Przychodzą, odchodzą, a my sprzątamy ich gówno. Zresztą wojna już się skończyła. – Gullu znów wzruszył ramionami.

– Na moją wdzięczność też zasłużysz. Będę twoim dłużnikiem, na tyle ile zechcesz.

– Tylko że obaj musimy przeżyć, jeśli mam kiedyś odebrać ten dług.

Tannhäuser nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dusza człowiek z ciebie, Gullu. – Uśmiech Tannhäusera zgasł nagle. – Życie Amparo też jest w niebezpieczeństwie. Ludovico ją więzi.

Wyraz twarzy Cakiego zmienił się natychmiast.

– Amparo jest jedną z nas.

– Też tak uważam.

Gullu spojrzał na swoją lśniącą, twardą dłoń.

– Powiedziała mi, że dożyję narodzin prawnuka – powiedział i uniósł głowę, by spojrzeć na Tannhäusera. W jego paciorkowatych oczach nie było już wahania. – Nie pozwolę, żeby przekleństwo padło na taką przepowiednię.

W świetle pochodni krypta pod kościołem Świętego Wawrzyńca wydawała się bardzo dziwnym miejscem. Sarkofagi umieszczone w podłodze ciągnęły się geometrycznym wzorem daleko w mrok, poza krąg światła. Niektóre z komór grobowych były otwarte, kamienne pokrywy leżały obok i można było dostrzec białe całuny pokrywające ciała niedawno zmarłych. Ciszę przerywało brzęczenie much. Zapach kadzidła ginął w znacznie silniejszej woni rozkładu, balsamowanie zwłok było bowiem dawno porzuconym luksusem. Dokładnie nad kryptą znajdowało się prezbiterium i Tannhäuser słyszał nikłe echo chóralnego śpiewu. Mnisi celebrowali jutrznię. Czasu było coraz mniej. Rozległ się stukot kroków i Tannhäuser obrócił się w stronę wejścia. Starkey wszedł w krąg światła i spojrzał na niego z rezerwą, ale bez niechęci.

– Tannhäuser. Tęskniliśmy za tobą.

– Byłem na urlopie – odparł Mattias. – W Guvie.

– W Guvie? – Był to zaiste rzadki widok: Starkey był zszokowany. – Z czyjego rozkazu?

Tannhäuser machnął ręką.

– Ważne jest to, że uknuto spisek na życie wielkiego mistrza. Ja mam być zabójcą.

Starkey nie był uzbrojony i teraz dopiero zwrócił uwagę na fakt, że Tannhäuser jest obwieszony bronią. Jeśli jednak poczuł niepokój, nie okazał tego po sobie.

– Wybranym przez kogo?

– Przez brata Ludovica.

Starkey nie wyglądał na zaskoczonego; jak zawsze trudno było odczytać jego uczucia.

– Przez brata Ludovica – powtórzył cicho. – Mordercę na usługach Ghislieriego.

Tannhäuser streścił pokrótce historię sprzed sześciu dni, przenosząc jedynie scenę zatrzymania z bramy Kalkara do Oberży Angielskiej. Przestawił też propozycję i plan Ludoviciego.

– Masz jakieś dowody tej intrygi? – spytał Starkey.

– Daj mi wolną rękę w rozmowie z Pandolfem, a usłyszysz prawdę na własne uszy.

– Więc i Pandolfo? – Starkey skrzywił się z niesmakiem. – Plan uczynienia z del Montego wielkiego mistrza był śmiały, ale nie spodziewałem się, że Ludovico działa aż z takim rozmachem.

– Czas nagli – przypomniał Tannhäuser.

– Czy del Monte należy do spisku?

– Nie.

– Dzięki Bogu.

– Amparo i Bors są w więzieniu inkwizytora – rzekł Tannhäuser. – Zostaną zamordowani o świcie albo wcześniej, jeśli Pandolfo dowie się o naszej rozmowie.

Starkey złożył dłonie na wysokości ust. Szukał legalnego rozwiązania sprawy.

– Straże atakują budynek sądu. Aresztowania. Procesy. Egzekucje. Hańba dla Langue Włoskiej. Głębokie niesnaski. Cień na naszym zwycięstwie. Otwarty konflikt z inkwizycją, a może i z papieżem. – Starkey z niesmakiem pokręcił głową i spojrzał na Tannhäusera. – To paskudna sprawa, którą trzeba pogrzebać jak najgłębiej.

– Daj mi stosowne pismo, a pogrzebię wszystkich, którzy na to zasłużyli.

– Pismo? – powtórzył Starkey. – Jeśli Ludovico przeżyje, a ty zostaniesz wzięty żywcem, tej rozmowy nigdy nie było. I bądź pewny, że trafisz na szubienicę.

Tannhäuser był lekko zaskoczony, ale zaraz potem pomyślał, że był głupcem, jeśli spodziewał się lojalności. Znał już ich wszystkich. Przecież sam został kiedyś posłany, by zamordować sułtańskiego wnuka. Posłany przez sułtana. Sułtan, papież, Religia. Islam czy Rzym. Wszystkie te kulty pożądały jedynie władzy i poddaństwa ludzi. A ludzie, ci mali ludzie, tacy jak on, jak Gullu Cakie, jak Amparo, byli co najwyżej przydatni do realizacji wielkich planów. De la Valette, Ludovico, papież, Mustafa, Sulejman – wszyscy byli łajdakami, co do jednego. Rzezie, które urządzali poddanym, służyły wyłącznie zaspokojeniu ich nieskończonej próżności. Tannhäuser czuł w sercu, że mógłby zabić ich wszystkich bez mrugnięcia okiem, i wyświadczyłby tym przysługę rodzajowi ludzkiemu. Tyle że nigdy nie brakowało kandydatów na ich miejsce, a ułatwianie im tego było zadaniem dla głupca.

– Oczywiście – powiedział, kiwając głową.

– Ludovico pojechał do Mdiny z oddziałem kawalerii – rzekł Starkey. – Chcą zaatakować Turków podczas odwrotu. Jeżeli zginie w bitwie, ten skandal zginie wraz z nim.

Tannhäuser i jego strzelba znalazły w tym momencie nowego pracodawcę.

– A Bruno Marra? Escobar de Corro?

– Chore, zgniłe konary, które trzeba odciąć od drzewa zakonu – odparł Starkey. – Pojechali ze swym nowym panem do Mdiny.

– Czy signora Carla była z nimi?

– Tego nie wiem.

Tannhäuser oddał mu pochodnię.

– Nie spuszczaj z oczu Pandolfa – powiedział.

– Zostanie wyprowadzony z kościoła i trafi prosto do Guvy.

Tannhäuser odwiódł kurek, sprawdzając, czy broń jest gotowa do strzału. Zarzucił strzelbę na ramię i wyjął pistolet. Przeczyścił lufy i załadował obie podwójną porcją prochu.

– Dlaczego Ludovico ci zaufał? – spytał Starkey.

– Czuł potrzebę uczynienia ze mnie swego psa. – Tannhäuser znów poczuł zimną furię, a także lekkość w kończynach i jasność w umyśle. Wcisnął pistolet za pas. Pomyślał o Gullu Cakiem i spojrzał na Starkeya. – I źle ocenił moich sojuszników.

– Być może także twój charakter – dodał Starkey.

– Nie. Mój charakter rozszyfrował bezbłędnie. Bo gdyby Gullu Cakie nie zechciał mi pomóc, twój wielki mistrz byłby już trupem.

Niebo na zachodzie miało kolor indygo. Kasjopeja siedziała na swym tronie ponad ruiną fortu Świętego Elma. Na południu świecił jasno Syriusz, Psia Gwiazda. Nad kościołem Świętego Wawrzyńca niebo nabierało już barwy bzu. Tam, gdzie stępiony szczyt Salvatore odcinał się nad wschodnim horyzontem, bladozłota korona światła zwiastowała świt. Tannhäuser szedł ulicą w stronę budynku sądu.

Zbudowany z piaskowca miał dwa piętra wysokości i stosowne do swej funkcji zdobienia na portyku. Tureckie działa zostawiły na nim swój ślad, jak na wszystkich innych budynkach w mieście. Tannhäuser domyślał się, z kim przyjdzie mu się zmierzyć: z dwoma mesyńczykami, Tassem i Pontim, oraz z Hiszpanem Remigiem. Byli doświadczonymi żołnierzami – bo któż w Il Borgo nie był? – ale nie spodziewali się jego wizyty. Dobył Biegnącego Wilka i sztyletu o diabelskim ostrzu. Wspiął się po schodach. Podwójne drzwi były szeroko otwarte. W holu, na długim łańcuchu spuszczonym spod sufitu, wisiało coś w rodzaju okrętowej latarni. W jej blasku nie dostrzegł nikogo. Spodziewał się kogoś na warcie,

kogoś, kto da sygnał do zabicia Amparo, gdyby było to konieczne. Zaniepokoił go ten spokój. Wszedł głębiej.

Korytarze prowadziły na prawo i na lewo, a schody na wprost – ku ciemności. Poszukiwania mogły mu zająć więcej czasu, niż się spodziewał. Postanowił wykurzyć szczury z gniazda.

– Wielki mistrz nie żyje! – zawołał głosem dla niepoznaki podniesionym o oktawę.

Czekał. Minęło kilka sekund, zanim rozległ się szybki tupot nóg w korytarzu po lewej. Ukrył się za rogiem i usłyszał stłumione głosy, a potem śmiech. Z korytarza wyłonił się Remigio, a tuż zanim Tasso z Pontim. Tylko ten ostatni miał na piersi kirys, wszyscy natomiast trzymali w rękach miecze. Remigio coś przeżuwał, a Tasso miał serwetę pod brodą, jakby właśnie przerwali śniadanie.

Tannhäuser wepchnął całe ostrze miecza z Pasawy w brzuch Remigia i zakręcił rękojeścią. Ręce Hiszpana spróbowały złapać głownię, ale już jej nie było. Uderzyła po raz drugi, tym razem tnąc jego gardło aż do kręgosłupa. Tannhäuser uskoczył przed padającym ciałem i wymierzył cios w twarz Tassa. Sycylijczyk odruchowo zasłonił się przedramieniem, a klinga przeszła gładko przez obie kości i czubkiem zahaczyła o jego górną wargę. Tannhäuser błyskawicznie cofnął miecz i poprawił sztyletem, tym razem w genitalia Tassa, po czym kopniakiem podciął mu nogi.

Ponti wycofał się na moment, by odrzucić pochwę, ale powrócił w chwili, gdy padał jego kompan. Tannhäuser parował ciosy i musiał przyznać, że kontratak był szybki i zaciekły: w głowę, udo, ramię, głowę i znowu w udo. Cofnął się na środek holu, by wyjść poza zasięg ramienia leżącego Tassa. Pozwolił Pontiemu nabrać rozpędu, a potem zatrzymał go, uderzając wysoko i blokując jelcami jego miecz. Dobili piersiami z brzękiem pancerzy. Tannhäuser miał przewagę masy, ale Ponti był zwinny i próbował chwycić go za gardło, nie zważając na cios czołem, który dosięgnął jego nosa. Mattias zaczął szukać czubkiem sztyletu otworu pod pachą, nad krawędzią kirysu, ale Sycylijczyk przycisnął łokieć do boku i odepchnął jego rękę. Zaraz też porzucił myśl o duszeniu – szyja Tannhäusera była bowiem zbyt gruba dla jego dłoni – i sięgnął między nogi. Tannhäuser dźgnął sztyletem w jego dłoń i zahaczył o własne udo. Wsunął nogę między kolana Pontiego, ugiął lekko za łydką i pchnął mocno biodrem. Mesyńczyk padł na plecy, na oślep wymachując mieczem. Z tyłu nadbiegał ranny Tasso. Tannhäuser uderzył pionowo w dół, mierząc w krocze Pontiego, który jednak zdążył się odsunąć. Ostrze zmieniło bieg i cięło poniżej kolana leżącego, ale nie był to śmiertelny cios. Tannhäuser obrócił się w porę, tnąc mieczem na odlew, by zatrzymać Tassa, i

uskoczył w bok, po drodze trafiając jeszcze głęboko w prawy łokieć Pontiego, który próbował podnieść się na kolana. Tannhäuser znów cofnął się o trzy kroki i stanął, dysząc ciężko.

Popatrzył na Włochów, którzy także odpoczywali, i po namyśle schował sztylet, a wyciągnął lewą ręką pistolet i odwiódł kurek. Nie chciał strzelać, bo jeśli ktoś jeszcze pozostał w budynku, życie Amparo byłoby zagrożone. Ponti chwiał się, tracąc siły z upływu krwi. Prawa ręka zwisała bezwładnie; miecz musiał trzymać w lewej, skaleczonej dłoni. W jego oczach była tylko wściekłość. Tasso był w gorszym stanie. Wpatrywał się w ciemną plamę rozszerzającą się szybko wokół jego krocza. Krew z głęboko rozciętej wargi zalewała mu brodę.

– Uciął mi jaja – stwierdził z niedowierzaniem.

– Chcę Borsa i dziewczyny – powiedział Tannhäuser.

– Anglik jest na dole – odparł Ponti. – Pilnuje go strażnik więzienny. Dziewczyna jest na górze, nie wiemy dokładnie gdzie. Kobiet pilnowała stara Sycylijka.

– Kto w takim razie miał zabić Amparo? – spytał Tannhäuser.

Włosi wymienili zdziwione spojrzenia, jakby nic nie zrozumieli.

– Nie wiemy, o czym mówisz.

– Nie dostaliście takiego rozkazu?

Ich milczące twarze były dostateczną odpowiedzią. Tannhäuser poczuł mdłości.

– Gdzie ta wiedźma?

– Nie wiemy – odparł Ponti.

– Czy to prawda, że wielki mistrz nie żyje? – nie wytrzymał Tasso.

– Nie – odparł Tannhäuser. – Szykuje dla was stryczki. I dla Ludovica.

Ich ramiona opadły; była to rezygnacja ludzi, którzy postawili wszystko na jedną kartę i przegrali.

– Poddajcie się, a będziecie mieli przynajmniej okazję wyspowiadać się przed śmiercią.

Groźba ognia piekielnego wystarczyła, by przekonać Tassa. Rzucił miecz na podłogę.

– Nie pójdę do diabła – rzekł. – Bóg nam jeszcze przebaczy.

Ponti z bojowym okrzykiem i mieczem wzniesionym nad głową rzucił się na Tannhäusera. Ten sparował cios i odskoczył w bok, tnąc gładko przez nadgarstek Włocha, u nasady kciuka. Poprawił ciosem głowicy, powalając go na kolana, a potem pociągnął z półobrotu i jednym ciosem odrąbał Pontiemu głowę.

Wdepnął w kałużę krwi, wracając ku drugiemu z mesyńczyków, który w tym momencie rzucił się w stronę drzwi. Tannhäuser chciał przeciąć mu drogę, lecz obaj zatrzymali się w pół kroku, gdy na progu stanął Gullu Cakie, który jedną ręką wykręcał ramię starej Sycylijki. Kobieta spojrzała na zabitych i na wielkie plamy krwi w holu. Zaczęła wyć z przerażenia. Tasso odwrócił się ku Tannhäuserowi, wyciągając przed siebie puste ręce.

– Litości i księdza dla towarzysza żołnierza – odezwał się błagalnym tonem.

Tannhäuser pchnął go mieczem poniżej żeber, w wątrobę. Ranny spojrzał na niego z wyrzutem, ale klinga nieubłaganie przesunęła się w dół, aż do sprzączki pasa. Tasso upadł u stóp wiedźmy. Tannhäuser schował miecz do pochwy i złapał kobietę za kok siwych włosów.

– Zaprowadź mnie do Amparo.

Bezzębne szczęki zamknęły się w jednej chwili. Twarz Sycylijki była uosobieniem tej złośliwości, która pojawia się niekiedy na pomarszczonych obliczach kobiet u schyłku życia. Jej małe oczy strzelały na boki w śmiertelnym przerażeniu. Tannhäuser pociągnął za sobą wrzeszczącą wiedźmę i pchnął twarzą wprost w wielką, burgundową kałużę krwi Pontiego i Remigia. Kwiknęła dziko, poślizgnęła się i niechcący unurzała jak potępieniec. Spróbowała wstać, znów straciła równowagę, upadła i zaczęła się tarzać we krwi niczym wystraszony pies.

Tannhäuser odwrócił się i podał pistolet Gullu Cakiemu.

– Bors jest gdzieś na dole, pilnuje go strażnik więzienny.

Gullu skinął głową. Przechodząc przez hol, podniósł z podłogi miecz Tassa. Tannhäuser tymczasem wyciągnął wiedźmę ze stygnącej kałuży i pchnął w stronę schodów. Zaczęła wspinać się na górę jak przerażony, czarny pająk, trzęsąc się od płaczu i ze strachu jednocześnie. Wymiotowała przy tym żółcią na swą i tak cuchnącą suknię, ale Tannhäuser nie słyszał w swym sumieniu nawet najcichszego szeptu żalu. U szczytu schodów stała na stojaku lampa. Tannhäuser podniósł ją i popędził staruchę. Uszła kilkanaście kroków i zatrzymała się przed ciężkimi drzwiami. Drżącymi rękami zdjęła z szyi klucz, przekręciła go w zamku i otworzyła drzwi. Zaraz potem padła na kolana i objęła rękami kostki Tannhäusera, jęcząc rozpaczliwie. A Tannhäuser wiedział już, że Ludovico kłamał i że jest już o wiele za późno.

Spojrzał w dół, na sycylijską wiedźmę, której twarz była maską karmazynowych zmarszczek.

– Kto? – spytał.

– Anacleto – zawyła.

Kopniakiem wepchnął ją do pokoju. Zostawiając za sobą mokry ślad, popełzła do kąta i skulona zaczęła żuć pięści nagimi dziąsłami.

Tannhäuser wszedł do środka.

Żółtawe światło wczesnego poranka padało z wysoko umieszczonego okna wprost na łóżko, na którym leżała Amparo. Odstawił lampę i podszedł bliżej. Była naga i zimna, a materiał, którym została uduszona, wciąż zaciskał się na jej szyi. Tannhäuser rozwiązał węzeł. To był jedwab, w kolorze ciemnej czerwieni, jak owoc granatu. Na szyi nie pozostał po nim żaden ślad. Suknia Carli. Ta sama, którą spakowała na jego życzenie. Rzucił ją na podłogę. Zauważył siniaki na ramionach Amparo, niektóre sprzed kilku dni. Wiedział, że była gwałcona – wiele, wiele razy – przez tak długi czas. Wszystkie te odkrycia wprawiły go w stan odrętwienia. Przysiadł na materacu i uniósł w dłoniach jej głowę. Jej włosy wciąż były miękkie i gładkie, a skóra biała jak perły. Usta straciły barwę. Szeroko otwarte oczy, jedno szare, a drugie brązowe, były już zasnute bielmem śmierci. Nie mógł się zmusić do ich zamknięcia. Pogładził jej lewy policzek i powiódł palcem po zniekształconej kości, która w dziwny sposób podkreślała jej osobliwe piękno. Musnął usta. Wśród tylu tysięcy ludzi, którzy zginęli na tej przeklętej wyspie, ona jedna miała prawdziwie czyste serce. Umarła samotnie, gwałtowną śmiercią, nie mając nikogo, kto mógłby ją obronić. Odrętwienie minęło i ogarnęła Tannhäusera straszliwa żałość, a tym razem nie było przy nim Abbasa, który powstrzymałby go od płaczu. Zawiódł ją, nie potrafił obronić. Co gorsza, zawiódł ją i w tym, że zabrakło mu odwagi, by kochać ją tak, jak na to zasługiwała. Kochać tak, jak ona kochała jego, choć na to nie zasługiwał. Kochać tak, jak kochał w skrytości, nie umiejąc nazwać i wyrazić tego uczucia – ani wcześniej, ani teraz. Nie śmiał spojrzeć prosto w twarz takiej miłości. Ukrywał się przed nią jak tchórzliwy kundel. Zrozumiał teraz, jak fałszywa była jego wizja odwagi i jak prawdziwa i niezłomna była odwaga Amparo. Spróbował przypomnieć sobie jej ostatnie słowa, ale nie był w stanie, bo serce pękało w jego piersi, a przez wyrwę, która w nim powstała, napełniało się łaską bożą. Wreszcie nie mógł dłużej pomieścić w sobie niezmierzonego smutku i zapłakał. Tulił do piersi jej głowę i chował twarz w jej włosach i jęczał z nieznośnego bólu. Błagał Jezusa Chrystusa o miłosierdzie. Błagał też ducha Amparo o wybaczenie.

W takim stanie zastał go Gullu Cakie. Tannhäuser poczuł na ramieniu dłoń starego łotra i uniósł głowę. W głębokich bruzdach twarzy Maltańczyka i w jego zmrużonych oczach dostrzegł zamglone odbicie siebie, i Gullu doświadczył bowiem w życiu podobnie bolesnych strat. I choć w żałobie każdy czuje się samotny, poczuł z nim braterską więź. Ostrożnie ułożył Amparo na posłaniu. Jej oczy wciąż były otwarte. Nawet za mgłą śmierci

zdawały się błyszczeć tą odrobiną żywotnej esencji, której nie sposób zabić. Tannhäuser zamknął jej powieki i wstał.

– Spójrz – odezwał się Gullu Cakie.

Wskazał na dłoń Amparo i zaciśnięty w niej grzebyk kupiony na tureckim bazarze. Tannhäuser uwolnił go ze sztywnych palców. Ząbki były splamione krwią.

– Jezus zwyciężył śmierć i ona także tego dokona, bo taka jest Jego obietnica – rzekł Cakie. – Na zawsze zostanie też z tobą, jeśli tego chcesz. Ale życie biegnie naprzód, a ty masz zadanie do wykonania.

Tannhäuser słuchał go ze zgrozą. Był zmęczony, miał tego wszystkiego dość. Smutek nie jest właściwym bagażem dla ruszających w bój. Miał ochotę uciec, najlepiej do Zonry, na łódź. Albo na tureckie okręty. Do butelki i do opium. Lecz gdzieś tam wciąż była Carla. I Orlandu. I Ludovico ze swą parszywą świtą. Tannhäuser wsunął sobie we włosy błyszczący grzebyk i złożył dłonie Amparo na jej piersiach. Raz jeszcze przyjrzał się żółtawym i niebieskawym siniakom na jej smukłych ramionach oraz śladom ugryzień, które profanowały jej piersi. Smutek wycofywał się z wolna do kryjówek gdzieś w głębi duszy, a w jego miejscu – nie bez powodu – pojawiało się i rozrastało z każdą chwilą coś nowego, coś strasznego. Może to i dobrze, pomyślał, bo czeka mnie straszliwe dzieło. Podniósł wymięte prześcieradło, rozpostarł je i zakrył ciało dziewczyny. To był koniec. Amparo odeszła.

Nastał dzień i odezwały się triumfalne dzwony kościoła Świętego Wawrzyńca.

Tannhäuser obrócił się do Gullu Cakiego.

– Jadę na poszukiwanie chłopca, Orlandu. Pojedziesz z nami?

Poszedł za Maltańczykiem na dół, do lochów, ciągnąc za sobą za włosy wrzeszczącą staruchę. Bors był zamknięty w ciasnej dziurze pod podłogą jednej z cel i gdy tylko uchyliła się klapa, wybiegł na zewnątrz i rzucił się na strażnika z tak niesłychaną wściekłością, że Gullu zdążył tylko wyskoczyć na korytarz i szybko zamknąć za sobą drzwi. Teraz, gdy prowadził Tannhäusera w stronę celi, z daleka słyszeli ryk Borsa i stłumione jęki jego ofiary, która chyba dławiła się krwią. Gullu uchylił drzwi, a Bors natychmiast obrócił się ku niemu, zaginając palce jak szpony. Na podłodze za nim leżał konający strażnik: jego oczodoły były puste, a kończyny sterczały w absurdalnych kierunkach i pod zaskakującymi kątami. Klapa oubliette była otwarta.

– Bors – odezwał się Tannhäuser. – Oprzytomniałeś?

Oczy Borsa jakby pojaśniały i przez krótką chwilę Tannhäuser dostrzegł w nich coś łagodnego, coś młodego, co musiało w nich mieszkać, zanim jeszcze wybrał wyboistą drogę życia. A potem Bors – nawet o tym nie wiedząc – wygnał to z siebie na dobre.

– Najzupełniej – oświadczył.

– No to rzuć go do dziury i wychodzimy.

Bors otarł usta i pochwycił zmasakrowanego strażnika jak worek ziemniaków. Cisnął go do otworu głową w dół i dopchnął nogą. Sięgnął po klapę, by zamknąć ciemnicę.

– Ta starucha pilnowała Amparo – odezwał się Tannhäuser. – Amparo nie żyje.

Bors zmrużył oczy, a smutek nieco przyćmił jego wściekłość. Uważał Amparo za swego przyjaciela. On także ją zawiódł. Nie obronił. Tannhäuser pchnął staruchę w jego stronę. Jęczała ze strachu, gdy Bors łapał ją za kark. Tannhäuser wskazał ręką na oubliette i połamanego, jeszcze jęczącego strażnika.

– Niech wiedźma dotrzyma mu towarzystwa.

Sobota, 8 września 1565 – Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - Wielka Równina – grzbiet Naxxar – Zatoka Świętego Pawła

Ludność miasta, cudem uratowana od niechybnej śmierci, oddawała się świętowaniu bez ograniczeń. Kościoły były tak przepełnione, że Te Deum śpiewano i na ulicach, kapłani zaś odprawiali msze także na placu i na rynku. Obrazy Najświętszej Maryi Panny niesiono przy wtórze bicia dzwonów zwycięstwa. Ludzie ściskali się, pozdrawiali i płakali. Wiernym umożliwiono adorację ręki świętego Jana Chrzciciela, przyniesionej specjalnie z zakrystii. Modlitwy zostały wysłuchane, a stoicki heroizm – nagrodzony. Wola boża była nareszcie jasna. Rycerze Religii stali się bohaterami świata i wieczności.

Lecz radości tej nie podzielali trzej jeźdźcy.

Ich konie omijały kule armatnie rozrzucone na ulicach i opuszczone barykady, zmierzając ku Bramie Prowansalskiej. Tannhäuser zadarł głowę w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak z bastionu pod szubienicą spychany jest pechowy, bo ostatni, sto dziesiąty muzułmański niewolnik. Wydawało się, że nawet martwe kamienie sprzeciwiają się temu okrucieństwu, bo niemal w tym samym momencie mury stęknęły i fragment konstrukcji runął wprost do rowu. Być może ktoś zauważył tę zmianę, ale nikt nie przejął się nią ani trochę. Radosnej zabawy nie przerwało nawet echo nawoływań muezzina dobiegające od strony wzgórz.

Brama stała otworem i po chwili byli już na Wielkiej Równinie. Tysiące zapomnianych ciał puchło i rozpływało się w prażącym słońcu. Być może Turcy odeszli z równiny, ale na pewno pozostały na niej roje much, które niebieskawymi wirami kłębiły się nad tą cuchnącą pustynią. Sępy przechadzały się pośród trupów, a obok nich mewy, kruki i wrony krakały radośnie, na swój sposób także świętując zwycięstwo.

Tannhäuser, Bors i Gullu Cakie jechali ramię przy ramieniu, przemierzając upiorny pejzaż niczym trzej jeźdźcy apokalipsy, którym brakowało do towarzystwa jedynie Głodu. Żaden się nie odzywał, bo i nie było o czym mówić; nie było też słów, które opisałyby to, co czuli. Jak okiem sięgnąć otaczał ich kraj spustoszony wojną. Zapadnięte podziemne korytarze minerskie – niektóre jeszcze dymiące – dzieliły równinę na części niczym pamiątki wielkiej naturalnej katastrofy. Wyryte w ziemi okopy na stokach ziały pustką, jakby stworzono je tylko po to, by zadać gwałt wzgórzom. Koryta strumieni były zasypane odpadami ze stanowisk artyleryjskich, zużytymi wyciorami oraz stertami ludzkich odchodów. Zniszczona fasada fortu Świętego Michała po ich prawej stronie ozdobiona była grubymi

pasami zacieków z krwi, sadzy i tłuszczu. Rowy wokół fortecy pełne były zwęglonych szczątków ludzkich, na których ucztowało robactwo. Gdy przejeżdżali przez ruiny Bormuli, stratowane podczas tak wielu nieudanych szturmów, widzieli resztki ekwipunku i broni, a także oczyszczone z mięsa czaszki koni i ludzi oraz na wpół zjedzone przez sępy truchła, a wszystko to rzucone na sterty w wielkiej obfitości. Konie płoszyły się na widok krążących blisko padlinożerców; zwłaszcza Buraq drżał lękliwie, jakby jego wspaniała dusza nie mogła pojąć ogromu śmierci.

Wspięli się na Corradino i wkrótce byli już na równinie Marsa.

Jeszcze niedawno tak żyzna ziemia była teraz usiana tysiącami wygasłych ognisk i cuchnących latryn, a wszystkie dawne studnie były zatrute. Od strony Afryki zawiewał już sirocco, a jego pustynny oddech niósł niezliczone smugi dymu, które unosiły się nad celowo podpalonymi przez Turków resztkami zapasów. Szarpał też poły pustych, porzuconych namiotów i wygrywał na nich gorzkie, surowe nuty na tle słodkawego fetoru rozkładu. Na dalekim skraju opuszczonego obozu widać było setki ceglanych pieców chlebowych ustawionych w geometrycznym szyku, niczym osady karłów lękających się światła słonecznego. Tam, gdzie dawniej znajdował się szpital polowy, teraz już tylko sterty trupów wabiły stada przygarbionych ptaków, a spłowiałe resztki dachów powiewały na podobieństwo bezkostnych strachów na wróble. W całym tym zapomnianym przez Boga krajobrazie nie było już nic ludzkiego, poza trzema jeźdźcami.

Za okaleczonymi stokami Monte Sciberras na północy, nad ruinami fortu Świętego Elma, powiewał biało-szkarłatny sztandar Religii. Ostatnie okręty tureckie opuszczały kotwicowisko i zmierzały na północ, w stronę Zatoki Świętego Pawła. Po wielkiej flocie zostały już tylko dziesiątki płonących galer, brakowało bowiem marynarzy, by obsadzić wszystkie jednostki, i brakowało wojowników udających się w morską podróż. Sama zatoka była czarna, jakby pełna siarki, nie wody, a płonące wraki z widmowej armady kolejno szły na dno, buchając w górę kłębami pary i strzępami płonących żagli, które z wolna opadały na plażę. I choć nikt jeszcze nigdy nie oglądał tak niezwykłych widoków, trzej jeźdźcy nie skomentowali ich ani jednym słowem i nie czuli zdumienia, piekło bowiem nie mogło ich już niczym zaskoczyć.

Jechali dalej, aż wreszcie terra damnata została za ich plecami, a Gullu Cakie poprowadził ich na północ, ku grzbietowi górskiemu Naxxar. Dotarłszy na szczyt, usłyszeli zgiełk bitwy, ostatniej bitwy, jeszcze bardziej niepotrzebnej niż wszystkie poprzednie, a której największym osiągnięciem miało być zasypanie Zatoki Świętego Pawła trupami żołnierzy.

Spotkali tam także dowódcę korpusu, który przybył Malcie z odsieczą, Rycerza Komandora Ascania de la Cornę, a od jednego z jego adiutantów Tannhäuser usłyszał najświeższe nowiny.

Armia turecka – wraz z oddziałami wsparcia wciąż licząca prawie trzydzieści tysięcy ludzi, ale wystraszona wieściami o dwudziestu tysiącach spragnionych walki chrześcijan – spędziła większość ostatniej doby na ewakuacji na galery i inne okręty Pijala. Nad ranem sipahowie zwiadowcy z Sari Bajrak przynieśli informację, że siły przeciwnika liczą w rzeczywistości mniej niż połowę tego, czego się spodziewano. W tym momencie Mustafa uległ jednemu ze swych legendarnych ataków szału. Uparł się, że odzyska choć trochę honoru w całej tej klęsce i z tą myślą kazał wrócić na brzeg Marsamxett dziewięciu tysiącom swych najlepszych ludzi. Na ich czele ruszył ku Naxxar, by wydać bitwę chrześcijanom. Czy chodziło tylko o szał dowódcy czy też nie, zwycięstwo rzeczywiście mogło naprawić morale całej armii, a może nawet doprowadzić do podbicia Malty. Flota Pijala odpłynęła nieco dalej i rzuciła kotwice w Zatoce Świętego Pawła, gdzie niedobitki armii mogły ewakuować się w razie katastrofy.

Katastrofy, ku której Mustafa prowadził swoich ludzi.

Wąwóz między grzbietami Naxxar i Wardidża otwierał się szerzej niecałą milę na północ i przechodził w kotlinę Bingemma sięgającą łagodnym stokiem aż po brzeg zatoki. O świcie hiszpańska piechota de la Corny oraz rycerze zakonu, którzy wraz z nim przybyli z Sycylii, ruszyli z góry do frontalnego ataku na korpus pod wodzą Mustafy. W tym samym czasie jazda de Lugny'ego wyruszyła z Mdiny górską drogą do Mgarr i uderzyła na kolumnę turecką od zachodu. Po godzinie zażartych walk znużeni oblężeniem muzułmanie poszli w rozsypkę i rzucili się do ucieczki w stronę zatoki.

Tannhäuser przyjrzał się terenowi, który mieli przed sobą. Zaniedbana przez całe lato kotlina Bingemma stała się rozległą niecką stratowanej trawy i zbóż. Dawniej była rolniczym sercem wyspy, teraz zaś krwawym cyrkiem zaludnionym pięcioma setkami trupów i gromadą rannych. Tu i ówdzie widać było rzucające się zaciekle, ciężko ranne konie. Nad wszystkim unosiło się drżące, gorące powietrze. Tannhäuser przyglądał się tej ponurej wariacji Gehenny i zastanawiał się, czy Orlandu mógł przeżyć coś takiego.

Jeżeli tak, to teraz zapewne dotarł już do Zatoki Świętego Pawła, która nie była dużo przyjemniejszym miejscem. Była ciemna od ciasno stłoczonych galer, a jej wody pieniły się od ciężkiej pracy wioseł niezliczonych łodzi, którymi przewożono żołnierzy na pokład okrętów. Na plaży kłębiły się tysiące niezdyscyplinowanych ludzi. Na skraju równiny oraz na niskich wzgórzach na południe od punktu zbornego broniła się dzielnie tylna straż tureckich

wojsk, by kupić choć trochę czasu żołnierzom czekającym na łodzie. Wzdłuż tej linii, w gęstych oparach muszkietowego dymu, trwała brutalna walka wręcz. Wśród wbitych w ziemię tureckich sztandarów Tannhäuser rozpoznał Sandżak szarif oraz osobistą chorągiew Mustafy. Uparty stary dowódca i jego galiblerowie – strażnicy Sztandaru Proroka – mieli być ostatnimi, którzy wejdą na pokład okrętu. Po jego prawej stronie bronili się janczarzy z jednostki Zirli Nefer. Algierscy strzelcy Hasima ulokowali się na wzgórzach. Na przeciwległym krańcu frontu, po lewej stronie od pozycji Mustafy i blisko zatoki Salina, powiewały żółte sztandary Sari Bajrak, pułku kawalerii Abbasa.

– Spójrz na nich – mruknął z podziwem Bors. Siedział na koniu, trzymając damasceński muszkiet na kolanach, i Tannhäuser miał wrażenie, że ma na myśli Turków. – To ponury żart, że tylu odważnych ludzi sczeźnie na tej surowej skale.

– Nie przyjechaliśmy tu, żeby próbować się z Turkami – przypomniał mu Mattias.

– Wiem, komu dziś upuścimy krwi – odparł Bors i odwrócił głowę, jakby nie czuł się już tym samym mężczyzną, którym był dawniej. Po chwili znowu spojrzał na przyjaciela. – Wyśpiewałem mu wszystko – wyznał.

– Ja też bym wyśpiewał – odparł Tannhäuser. Słyszał już opowieść o głowie Sabata Svi. – Ale nic się nie stało poza tym, że dzięki twoim słowom sam ukręcił sobie stryczek.

Bors nie wyglądał na pocieszonego. Spojrzał na skrwawioną dolinę i na toczącą się w oddali bitwę.

– Gdzie go znajdziemy?

Tannhäuser spojrzał na Gullu Cakiego, który przyglądał się upadkowi tureckiej dumy z większą przyjemnością niż jego towarzysze.

– Przy Żółtych Sztandarach – odparł, wskazując ręką. Gullu pokiwał głową. – Czy możemy dotrzeć tam w miarę szybko, nie przebijając się przez front? Jeżeli Orlandu jest gdzieś w pobliżu, to właśnie tam.

Gullu spiął konia i ruszył w dół grzbietu. Tannhäuser popatrzył na Borsa.

– Tam też znajdziemy Ludovica.

Bors pojechał śladem Cakiego.

– Bors – zawołał za nim Tannhäuser.

Anglik zatrzymał konia, a Mattias ponaglił Buraqa i po chwili stali obok siebie.

– Usque ad finem – powiedział.

Wyciągnął rękę, a Bors uścisnął ją z mocą.

Pojechali za Gullu na północ, w dół zbocza, ku zatoce Salina. Po prawej stronie mieli morze, które wydawało się białe od odbitego światła. Okręty Pijala patrolowały okolicę, pływając blisko brzegu. Grzbiet zwęził się i zmienił w niskie siodło, a potem w znacznie łagodniejszy stok z niewielkimi pagórkami. Zgiełk bitwy był z każdą chwilą głośniejszy, a dym prochowy coraz mocniej szczypał ich w oczy. Mijali ludzi z potwornymi ranami, z urwanymi kończynami i z pękami strzał w brzuchach, którzy przypełzli aż tu, do suchego koryta strumienia, by skonać. Zatrzymali się nie dalej niż dwieście stóp od walczących i Tannhäuser przez chwilę przyglądał się totalnemu chaosowi bitwy.

Cała armia tercios – musiało ich tam być przynajmniej półtora tysiąca – atakowała turecką linię obrony halabardami i pikami, zaś pięć linii czarnoustych arquebuceros – po dwustu ludzi w każdej, dobrze strzeżonych lasem długiej broni drzewcowej – z doskonałym skutkiem ładowało w nieszczęsnych Turków salwę za salwą, rytmicznie zmieniając pierwszy rząd strzelców na nowych, ze świeżo załadowaną bronią. Konie pozbawione jeźdźców wpadały w panikę i uciekały ku otwartym polom, tratując kopytami rannych. Dzięki zdecydowanej postawie chrześcijańskich pikinierów większość tureckich kawalerzystów zmuszona została do walki pieszej.

Na łagodnym stoku kotliny, dwieście kroków od linii frontu, kilkuset konnych rycerzy uformowało szyk klina. Pochyliwszy lance, ruszyli w stronę lewego skrzydła muzułmańskiej obrony. Hiszpańska piechota już wyczuła potężny tętent kopyt: sargento mayor ryknął na całe gardło, wydając rozkaz, który natychmiast przekazali dalej jego abanderados. Geniusz formacji tercios polegał na ścisłej współpracy między pikinierami a strzelcami. Ujrzawszy niebieskie i zielone chorągiewki sygnałowe, natychmiast zaczęli się rozstępować, oddalając się od linii frontu tak, jakby tworzyli gigantyczne żywe wrota. Nie przestali przy tym zasypywać kulami powstałej w ten sposób przerwy w szyku, póki nie pojawili się w niej rozpędzeni rycerze. Stalowy klin zmiótł Turków i przebił się aż na tyły ich formacji. Podczas gdy jeźdźcy wyhamowali i zabrali się do metodycznego tępienia wszystkich wrogów, którzy nawinęli im się pod miecz, szyk pikinierów – szeroki na stu chłopa i głęboki na sześć szeregów – zamknął się ponownie i wlał w utworzony przez kawalerię wyłom, by zepchnąć niedobitki Sari Bajrak do morza.

Tannhäuser zwrócił się ku Gullu Cakiemu i wyciągnął rękę po jego pistolet.

– Zaczekaj tu. Przez wzgląd na twojego prawnuka.

Mogąc podziwiać z bezpiecznej odległości klęskę Turków, Gullu wyglądał na całkiem usatysfakcjonowanego. Tannhäuser wsadził za pas jego pistolet i dobył miecza, a Bors dmuchnął na lont swego muszkietu. Zjechali ze skarpy w stronę szybko powiększającej

się przerwy w szykach walczących. Ziemia była usiana trupami Turków i konie musiały szukać drogi między nimi z wdziękiem tancerek. Gdy Tannhäuser i Bors objeżdżali tyły pikinierów, zaatakowani z flanki muzułmanie zaczęli wycofywać się z ujścia kotliny. Inspirowani żelazną odwagą Mustafy, który wciąż bronił środka formacji, dość wolno oddalali się ku brzegowi Zatoki Świętego Pawła.

W rozpaczliwej próbie dołączenia do nich ostatni wojownicy Sari Bajrak dosiedli koni i ruszyli wprost w stronę prześwitu między doliną a zatoką Salina, próbując przebić się przez niemal zamknięty pierścień okrążenia. Podczas gdy pikinierzy z każdą chwilą coraz bardziej zawężali im drogę ucieczki, a arquebuceros wciąż zasypywali Turków gradem kul, do walki z niedobitkami Sari Bajrak włączyli się z zapałem konni rycerze. Ziemia stała się grząska od krwi, a sam smak powietrza, przesyconego dymem i pyłem, wystarczał, by zedrzeć gardła walczących. Piszczałki, okrzyki bojowe, palba i rżenie koni, którym walczący podcinali pęciny i rozpruwali brzuchy, wprawiały Buraqa w lękliwe drżenie. Tannhäuser szeptał mu na ucho gazele, próbując go uspokoić. Przyjrzał się dobrze kłębowisku ciał, ale nie rozpoznał nikogo. Zbliżył się nieco i stojąc w strzemionach, raz jeszcze przejechał za plecami żołnierzy. Gdzie w całym tym tumulcie mógł być Orlandu?

Przetrwawszy czyste szaleństwo ostatnich dni fortu Świętego Elma, Orlandu zdołał też przeżyć trudy tureckiego odwrotu. Problem polegał na tym, że fort był ciasną, zamkniętą przestrzenią otoczoną stertami kamieni, bitwa na otwartym polu wymagała zaś ciągłego ruchu, a więc i dobrej orientacji. Powierzono mu opiekę nad trzema zapasowymi wierzchowcami i od ciemnej nocy nie robił nic, tylko ciągnął je za sobą za uzdy. Mimo świetnego wyszkolenia płoszyły się łatwo hałasem i gwałtownością bitwy, toteż sporą część sił pochłaniało mu uspokajanie wystraszonych zwierząt. Bez końca mamrotał pod nosem Szahadę, wierząc, że arabskie słowa wydadzą się koniom znajome. Zasadniczo była to skuteczna strategia, lecz nie udało mu się uniknąć kilku solidnych kopnięć, które co najmniej parę razy mogły kosztować go życie.

Nie wszyscy stajenni mieli tyle szczęścia. Orlandu widział dwóch stratowanych do nieprzytomności i jednego trafionego w twarz kulą z muszkietu. Od niektórych przejmował konie, by uzupełnić swoje stadko, raz po raz podchodzili do niego bowiem wyczerpani kawalerzyści, żeby wyrwać mu z rąk lejce i odjechać na świeżym wierzchowcu. Niektórzy jechali na oklep, inni dźwigali ze sobą siodła. Konie ranione w bitwie cierpiały okrutnie, a ich los wzruszał chłopca chyba nawet bardziej niż jęki i krzyki żołnierzy. Zakrwawione, okaleczone i zdezorientowane zwierzęta padały lub rzucały się do panicznej ucieczki, ciągnąc za sobą żółtawe zwoje wnętrzności.

Orlandu wiele razy zastanawiał się nad ucieczką do Il Borgo, ale nigdy nie nadarzyła się odpowiednia okazja i w końcu dał się ponieść jak patyk na czerwonej fali odpływu. Nie bardzo już wiedział, gdzie jest front, a gdzie tyły, a dezercja mogła skończyć się śmiercią. Sari Bajrak walczyli jak demony spuszczone z łańcuchów, ale ponosili ciężkie straty po każdej salwie muszkietów. Orlandu próbował nie tracić z oczu sztandaru Abbasa, ale wydawało mu się, że znikał na długie godziny za każdym razem, gdy mężny dowódca wyprowadzał szarżę w samo serce chrześcijańskiego szyku.

W tej chwili pułk wydawał się uwięziony na brzegu doliny Salina. Szeroki łuk dymu i walczących żołnierzy wyznaczał kres horyzontu dla Orlandu, który uparcie próbował nie poddać się panice. Tak jak nie poddałby się Tannhäuser. Chłopak prowadził już tylko jednego konia i zasłaniał mu oczy kawałkiem porzuconej chorągwi, nieustannie mrucząc mu do ucha Szahadę: „Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Wysłannikiem". Wszędzie dookoła widział chrześcijańskich rycerzy i wiedział, że jeśli w końcu przerwą obronę, usieką go jak wszystkich innych tureckich żołnierzy. Obejrzał się, popatrzył na lustro wody tak nieodległe, ledwie o sto stóp, i przyszedł mu do głowy plan. Przystanął i ściągnął buty; dotyk chłodnej i jeszcze czystej trawy był nader miły dla zmęczonych stóp. Nie zamierzał porzucać konia, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Gdyby jednak ktoś go zabrał albo bitwa przybrała całkiem niekorzystny obrót, zamierzał pobiec do zatoki i odpłynąć. Nikt nie rzuciłby się za nim. A jeśli byłaby taka potrzeba, mógłby unosić się na wodzie nawet godzinami.

Ledwie wpadł na tę myśl, gdy grupka zaciekle walczących rycerzy przebiła się przez turecką obronę i ruszyła wprost na niego. Prowadził ich wojownik w pięknej, czarnej zbroi, lśniącej w słońcu jak obsydian. Choć dokoła nie brakowało bardziej godnych celów, drużyna wciąż pędziła w jego kierunku, jakby był jedynym Turkiem, którego krew warto było przelać. Orlandu zdarł z głowy hełm, rzucił wodze i schyliwszy się pod końską szyją, pobiegł sprintem ku zatoce. W biegu zrzucił koszulę. Usłyszał za sobą tętent podkutych kopyt i parskanie koni. Zadarł wyżej kolana, bo w tym momencie trafił stopami na miękki piasek i dla równowagi zaczął wymachiwać ramionami. Był już przy pierwszej fali, gdy usłyszał za plecami głęboki głos:

– Orlandu!

Imię dotarło do jego uszu dokładnie w chwili, gdy poczuł wodę pod stopami. Nie zatrzymał się. Fale zwolniły jego bieg; zaczął brodzić zanurzony po kolana.

– Orlandu!

Tym razem zaryzykował i obejrzał się, nie zwalniając kroku.

Czarny rycerz zatrzymał się nad brzegiem zatoki. Trzymał w dłoni miecz obrócony rękojeścią do góry, a wolną ręką przywoływał chłopca do siebie. Twarz, która wyglądała spod uniesionej zasłony, była szczupła, o zdecydowanych rysach, a oczy, równie czarne jak pancerz, były też równie błyszczące. Orlandu nie znał go, ale wiedział, że to na pewno rycerz Religii. Odwrócił się i patrzył na niego, idąc tyłem ku głębszej wodzie. Trzej pozostali rycerze stanęli wachlarzem za plecami czarnego, gotowi bronić go w razie niebezpieczeństwa. A czarny rycerz zawołał znów, tym razem wjeżdżając konno na płyciznę.

– Orlandu! Jestem brat Ludovico z Langue Włoskiej! Przyjechaliśmy po ciebie! Po ciebie, mój chłopcze! Wracaj do matki!

Orlandu zatrzymał się, a woda sięgająca mu do pasa z pluskiem obmywała mu pierś. Czarny rycerz zsiadł z konia. Wydawał się ogromny. Ruszył w stronę Orlandu i zatrzymał się po chwili. Chłopak dostrzegł łzy w jego oczach. Odwrócony miecz znów uniósł się ku niebu.

– Dzięki Ci, Jezu Chryste, mój Panie. – Ludovico opuścił miecz i spojrzał na chłopca. Jakieś potężne uczucia znowu nim owładnęły i nowa fala łez spłynęła po jego policzkach. Wyciągnął rękę w stronę Orlandu. – Chodź do mnie, mój chłopcze, niech cię uściskam.

Orlandu był zbyt zdezorientowany, by nie usłuchać. Wrócił na brzeg i stanął przed swym wybawcą. Rycerz naprawdę był wielki; prawie tak wysoki i barczysty jak Tannhäuser. Stalowe ramię otoczyło chłopca i mocno przycisnęło do szerokiej piersi. Czuł pod policzkiem gorąco pancerza umazanego krwią. Uniósł głowę, spojrzał w mokre oczy i dostrzegł w nich coś, co wcześniej widział tylko w oczach Tannhäusera: miłość.

– Chodź – rzekł Ludovico, zwalniając uścisk. – Siadamy na koń i odjeżdżamy stąd. Wykonaliśmy swoją misję. Sprawy bardziej chwalebne dopiero przed nami.

Ludovico złapał wodze swojego wierzchowca i razem wyszli na plażę. Młody jednooki rycerz przyprowadził tymczasem tego samego konia, którego Orlandu porzucił na skraju bitwy. Ludovico przytrzymał go, by chłopak mógł wskoczyć na grzbiet, a potem sam dosiadł swojego rumaka. Czterej rycerze uformowali ciasny szyk wokół Orlandu, który poczuł w tym momencie dziwne mrowienie na plecach. To, co się działo, musiało być cudem i wciąż nie mógł zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Lecz jeszcze cudowniejsze było to, że Ludovico wydobył z pochwy przytroczonej do siodła zapasowy miecz i podał mu go, wołając:

– Do Mdiny!

Orlandu ścisnął kolanami boki araba i ruszyli razem w stronę niegasnącej bitwy: czterej szlachetni panowie wokół półnagiego chłopca.

Tannhäuser na próżno przyglądał się tłumom walczących. Jak zawsze była to ruchoma panorama, pełna nagłych zrywów i równie niespodziewanych przestojów. Ci, którzy się tu spotkali, byli niewątpliwie jednymi z najsprawniejszych wojowników świata, lecz nikt, ale to nikt nie jest w stanie wymachiwać bronią dłużej niż kilka chwil bez odpoczynku. Tak jeźdźcy, jak i piechurzy zatrzymywali się więc co jakiś czas, chłonąc powietrze rozszerzonymi nozdrzami. Tu i tam widać było rycerzy rażonych nie ciosem, ale nieznośnym gorącem panującym we wnętrzu zbroi. Trójkątny pas lądu oddzielał zatoki Salina i Świętego Pawła. Właśnie tam napierający chrześcijanie zamknęli grupę Turków, lecz w miarę jak posuwali się naprzód, w ich szyku pojawiały się szczeliny. W jednej z nich Tannhäuser wypatrzył Abbasa Ibn Murada, który właśnie został wysadzony z siodła. Koń także upadł na ziemię i próbując się podnieść, mocno poturbował Abbasa kopytami. Ta sama salwa powaliła chorążego pułku i dwóch innych oficerów. Tannhäuser zawrócił Buraqa.

– Mattias!

Obrócił się w siodle i popatrzył w miejsce, które wskazywała mu lufa muszkietu Borsa. Zobaczył grupkę pięciu jeźdźców, która wyrwała się na otwartą przestrzeń na tyłach walczących. Ich konie były spienione, bliskie wyczerpania. Jechali już kotliną, w kierunku wąwozu. Ten, który ich prowadził, miał na sobie przepiękny pancerz mediolańskiej roboty. Trzej pozostali uzupełniali szyk diamentu, pośrodku którego znajdował się Orlandu.

Był półnagi, ale dumny jak paw.

Tannhäuser odwrócił się i znów spojrzał na Abbasa. Dowódca słaniał się na nogach pośród zabitych, trzymając się drzewca żółtego sztandaru. Jakiś rycerz galopował w jego kierunku. Abbas pochylił drzewce i podparł stopą jego tylec, wbijając zakończoną grotem chorągiew głęboko w pierś konia. Odskoczył na bok, by nie znaleźć się pod upadającym zwierzęciem i jeźdźcem i przyklęknął na jedno kolano. Wstał, dobywając szkarłatnej szabli, i ostatkiem sił upadł na leżącego napastnika. Trzydzieści kroków za nim inny rycerz nawrócił i rozpoczął szarżę.

Tannhäuser schował miecz do pochwy i zwrócił się do Borsa.

– Jedź za nimi, ale bez awantur. Dogonię cię.

Bors skinął i ruszył w drogę, Tannhäuser zaś odwiódł kurek pistoletu, złapał krócej wodze i z miejsca pogonił Buraqa do galopu. Stanął w strzemionach i pochylił się, gdy tak pędzili ku przerwie w szykach i widocznemu w niej Abbasowi. Rycerz opuścił już lancę, nadjeżdżając z przeciwka. Stary dowódca podniósł się tymczasem i rozejrzawszy się,

zobaczył ich obu. Uniósł szablę, by przyjąć najpierw szarżę Tannhäusera, lecz ten zsunął spod brody pasek i wyrzucił hełm. Z odległości trzydziestu stóp Abbas nareszcie go rozpoznał. Tannhäuser wymierzył z pistoletu ponad jego głową. Z wysiłkiem wskazującym na ciężkie rany Turek obrócił się w stronę rycerza z lancą. Tannhäuser pochylił się jeszcze mocniej i w tym momencie Buraq przeskoczył nad ciałami leżącymi po lewej stronie Abbasa i nie zwalniając, pognał dalej. Głowa szarżującego rycerza zwróciła się ku nim, lecz na zdziwienie było już za późno: kula wystrzelona z odległości dziesięciu stóp trafiła go prosto w pierś.

Stalowy pocisk przebił napierśnik. Rycerz wypuścił z dłoni lancę i odchylił się gwałtownie do tyłu, podparty łękiem, jego wierzchowiec gnał zaś dalej. Tannhäuser osadził Buraqa w miejscu i nawrócił. Ranny rycerz zdążył już pochylić się do przodu. Obok końskiego łba błysnęło ostrze Abbasa i jeździec runął na ziemię. Koń nie mógł uciec, bo dłoń rycerza zaplątała się w wodze. Abbas uklęknął i wsparł się ciężko na szabli.

Tannhäuser zeskoczył z konia tuż obok niego. Stary dowódca był tak zakrwawiony, że szukanie ran na jego ciele mijało się z celem. Spojrzał w górę.

– Ibrahim.

– Ojcze – odrzekł Tannhäuser. – Nie trać wiary.

Podniósł Abbasa z ziemi i postawił przy boku Buraqa. Pochylił się i zaplótł dłonie, a gdy Turek postawił na nich stopę, rzucił „Teraz razem!" i dźwignął go w górę, na siodło. Abbas pochylił się i objął ramionami szyję Buraqa. Tannhäuser przytrzymał konia za uzdę.

– Módlmy się – powiedział. – Ad-Darijat.

Prowadząc Buraqa w stronę konia rannego rycerza, Tannhäuser zaczął śpiewać, a Abbas dołączył do niego:

– „Na wiatry, które wieją i wieją. I te, które znoszą brzemię deszczu. I te, które z łatwością mkną nad morzem. I te Anioły, które na rozkaz Allaha niosą błogosławieństwo. Zaiste prawdziwą jest obietnica, którą ci dano. Zaiste nadejdzie Dzień Sądu Ostatecznego".

Tannhäuser pochylił się nad rycerzem, który krwawił obficie ustami i nosem, ale uparcie trzymał wodze w zaciśniętej dłoni. Przydepnął jego ramię i szarpnął mocno, aby uwolnić konia. Wskoczył na siodło, a ogier boczył się przez chwilę, ale uległ, gdy ścisnęły go kolana nowego jeźdźca i uspokoiła bliskość Buraqa. Abbas trzymał się kurczowo krótkiej, sterczącej grzywy, a jego usta poruszały się już bezgłośnie. Tannhäuser wziął wodze Buraqa i ruszyli przez wyrwę szyku w kierunku kotliny.

Spojrzał na południe i zobaczył oddziałek pod wodzą Ludovica mniej więcej w połowie drogi do wąwozu. Orlandu był bezpieczny. W pewnej odległości jechali za nimi

Gullu Cakie i Bors. Jako że w dolinie nieustannie trwał ruch – posłańcy de la Corny kursowali w tę i z powrotem, z Il Borgo wciąż docierały posiłki, a ranni rycerze kierowali się pod górę konno lub pieszo – nikogo nie dziwiła ich obecność. Na północy ognisko bitwy przesuwało się ku trawiastym stokom i piaskowcowym półkom wokół Zatoki Świętego Pawła. Jeszcze dalej widać było skupisko łodzi i okrętów, które lada chwila miały wypłynąć w długą drogę do Złotego Rogu.

Tannhäuser popędził konie do kłusa i objechał tyły chrześcijańskiej formacji, którą pozostali przy życiu Sari Bajrak wciąż próbowali powstrzymać. Między tą grupą a głównym skupiskiem bitwy istniała przestrzeń, w której panował znacznie mniejszy tłok – i właśnie tam skierował się Tannhäuser. Jechali samym środkiem pola walki, a było tak, jakby to czary przenosiły ich z jednego snu do innego, ponieważ nikt jakby ich nie dostrzegał i nikt nie spróbował stanąć im na drodze. Konie przestępowały nad niezliczonymi ciałami, wśród których nie było widać ani jednego rannego Turka, kolejne fale chrześcijańskich żołnierzy dobijały bowiem wszystkich. Minęli kolejny wyłom w walczących formacjach i znaleźli się na piaszczystej plaży, na której tłoczyło się piętnaście tysięcy walczących żołnierzy.

Większość Turków pragnęła już tylko dostać się do którejś z łodzi i odpłynąć. Niektóre pojedynki toczyły się jednak i w wodzie, która przy brzegu nabrała czerwonej barwy. Janczarzy siedzący na łodziach wymieniali ogień z liniami strzelców ulokowanymi na górkach. Działa galer strzelały w kierunku chrześcijańskich pikinierów. Bitwa mogła trwać wiele godzin, ale rodziła w zasadzie tylko jedno pytanie: ilu martwych Turków zostanie na plaży. Tannhäuser nie był tym specjalnie zainteresowany. Przecisnęli się jakoś przez tłum – pancerny wierzchowiec rycerski rozpychał się dzielnie, depcząc tych, którzy mieli nieszczęście upaść.

– Agasi sari bajrak! – szczeknął Tannhäuser i szeregi otworzyły się przed nimi, gdy wszyscy zobaczyli zakrwawionego dowódcę jadącego za nim.

Przy brzegu stały w tej chwili trzy łodzie. Tannhäuser zeskoczył z konia i podszedł do Abbasa, który z bólu aż mrużył oczy. Starzec zsunął się z siodła, a Mattias zaniósł go na płytką wodę – na krótką chwilę dziecko stało się ojcem. Na rufie drugiej łodzi wypatrzył Saliha Alego, który, jak się wydawało, kierował załadunkiem, bo wymachiwał pistoletem w stronę tych, którzy daremnie próbowali wejść na pokład.

– Salih! – zawołał Tannhäuser.

Korsarz rozpoznał go natychmiast, a kiedy zobaczył dowódcę na jego ramionach, szeroko otworzył oczy. Tannhäuser stanął przy burcie.

– Opatrzysz rany agi – odezwał się. – Jeśli przeżyje, możesz zyskać fortunę.

Anarchia panująca dokoła nie przeszkodziła korsarzowi rozpoznać niemałego źródła zysku, a może i niemałej chwały, kiedy los rzucał mu taką okazję na kolana. Zasalutował Tannhäuserowi i pomógł mu ułożyć Abbasa w łodzi. Salih wrzasnął na wioślarzy, by wreszcie odbili od brzegu; wiosła zaraz zanurzyły się w wodzie.

Tannhäuser zsunął z nadgarstka złotą bransoletę i włożył ją na ramię Abbasa. Turek otworzył oczy, czując uścisk dłoni Mattiasa.

– „Przybywam na Maltę nie po bogactwo i chwałę, ale po zbawienie duszy" – powiedział.

Abbas odwzajemnił uścisk słabnącymi palcami. Uniósł głowę i spojrzał Tannhäuserowi w oczy. W jego spojrzeniu krył się niewysłowiony ból, a za bólem coś jeszcze: troska o niego.

– Mój synu – szepnął Abbas – czy znalazłeś zbawienie między niewiernymi?

– Znalazłem ciebie – odparł Mattias. – I znalazłem miłość. Dla mnie to wystarczające zbawienie.

– To znaczy, że nie popłyniesz ze mną.

Tannhäuser poczuł ukłucie bólu w sercu.

– Nie, ojcze – odpowiedział z uśmiechem, potrząsając głową. – Nie tym razem.

Abbas odwzajemnił uśmiech.

– Wobec tego tym razem popłynę sam do Złotego Rogu.

– Tylko ciałem. Duchem będę przy tobie. Tak jak ty zawsze byłeś przy moim.

Abbas uścisnął jego rękę po raz ostatni.

– Istawada alajkum Allah – powiedział.

– As-Salamu alajkum, fi imani Allahi – odparł Tannhäuser.

Puścił słabą dłoń i głowa Abbasa opadła na kolana Saliha. Tannhäuser cofnął się, wciąż patrząc, jak łódź odpływa przez fale zdobne w czerwonawą pianę, unosząc na swym dziobie Abbasa Ibn Murada. A potem odwrócił się, dosiadł Buraqa i wrócił na brzeg, by przepchnąć się przez tłum żołnierzy i pozostawić im dokończenie tej rzezi. On sam miał zaś do zakończenia jeszcze jeden spór.

Sobota, 8 września 1565 – Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - Naxxar – wzgórza Corradino

W najwęższym punkcie droga między górami była nieomalże zatkana ciałami. Ranni Turcy, którzy popełzli w tę stronę, najczęściej byli dobijani na miejscu, a dobry tuzin Hiszpanów zajmował się teraz obrabowywaniem trupów ze złota i cennych ozdób. Unieśli głowy, gdy Tannhäuser przejeżdżał obok nich, a ich oblicza były promienne jak twarzyczki dzieci przyłapanych w chwili najlepszej zabawy. Znalazłszy się na równinie za wąwozem, zobaczył w oddali trzy konie bez jeźdźców skubiące zrudziałą trawę i ogarnęło go poczucie osamotnienia. Sirocco podnosił z ziemi tumany pyłu, zacierając obraz zwierząt, które prezentowały się raczej nieszczęśliwie, jak poskładane z przypadkowych części płody czyjejś wyobraźni. Czwarty koń był uwiązany przy drodze, w cieniu uschłego drzewa. Tannhäuser miał wrażenie, że widzi też dwie ludzkie postacie oparte o pień. Ponaglił Buraqa do biegu i z każdym jego krokiem czuł coraz większy niepokój.

Dostrzegł w trawie dwa opancerzone ciała, leżące na wznak w gorącym słońcu. Pierwsze należało do Brunona Marry. Krew płynęła z jego uszu i spod powiek, a wygięty hełm tak głęboko wbił się w jego czaszkę, że trzeba by użyć narzędzi, by go zdjąć. Napierśnik drugiego rycerza wciąż jeszcze unosił się i opadał. Jego ciało nosiło ślady wielu ran, ale najpoważniej wyglądała złamana lanca sterczęca z jego krocza. Był to Escobar de Corro. Tannhäuser zsiadł z konia i dobył miecza, a wtedy Kastylijczyk spojrzał na niego. Jego twarz drżała nieznacznie, bo ze wszystkich sił starał się powstrzymać od krzyku, by nie dać wrogowi tej satysfakcji. W jego twarzy Tannhäuser nie wyczytał niczego, o co warto było spytać, więc poderżnął mu gardło i ruszył pieszo w stronę drzewa.

Gullu Cakie trzymał turecki bukłak przy ustach Borsa, a ten pił łapczywie, a potem wypluł jeszcze trochę na dłoń i przemył twarz. Gullu wyglądał na całego, za co Tannhäuser w duchu podziękował Bogu. Bors zaś siedział z gołą głową, a jego włosy, skręcone i mokre od potu, nie zasłaniały licznych ran i draśnięć na twarzy. Lewe ramię miał na wpół odrąbane na wysokości barku tak, że widać było kawałki kości i luźne ścięgna. Spod kirysu wyciekała mu na kolana krwawa plama. Srebrno-hebanowy muszkiet trzymał pod ręką, tuż przy uchu, jakby zamierzał używać go jako laski w przyszłym życiu.

Tannhäuser przykucnął obok i Bors powitał go uśmiechem.

– Tylko jeden trup z czterech? – spytał Mattias. – Tych parę dni w dziurze musiało cię pozbawić nie tylko siły umysłu, ale i ramienia.

– Gdybyś się nie pojawił, zaliczyłbym trzech – warknął w odpowiedzi Bors.

– Trzech?

– O czarną rękę już nie powinieneś się martwić. Wreszcie wpakowałem mu kulkę w ten przeklęty pancerz od Negrolego. Stalową, na podwójnej porcji prochu, ze stu pięćdziesięciu stóp.

– To wystarczy – zgodził się Tannhäuser.

– Anacleta zostawiłem dla ciebie.

Tannhäuser spojrzał na Gullu Cakiego.

– Śledziłem ich aż do drogi na Mdinę – odezwał się Gullu. – Ludovico nie miał siły na wspinaczkę, więc nawrócili w stronę Borgo.

– Co z chłopcem?

– W porządku – odparł Bors. – Myślę, że go zaskoczyłem – dodał z uśmiechem. – Wszystkich ich zaskoczyłem, sukinsynów. Ale lepiej się pospiesz, bo jeśli Ludovico dotrze do miasta, zdąży zbrukać twoje imię.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał Tannhäuser.

Bors pokręcił głową.

– Nie po tej stronie śmierci. – Uniósł rękę, wskazując na konary niedające cienia. Trzy tłuste kruki przysiadły na jednej gałęzi i przyglądały się światu, przekrzywiając łebki. – Przyleciały, żeby przeprowadzić mojego ducha na drugą stronę. Ale nie opłakuj mnie, bo odzyskałem dumę i pojednałem się z Bogiem. Droga była długa, a u jej kresu mam przed sobą widok bardziej chwalebny, niż na to zasługuję.

Tannhäuser położył dłoń na szyi Borsa i lekko zacisnął palce. Wyobrażał sobie tę chwilę wiele razy. Śmierć najbliższego przyjaciela. A teraz był jej świadkiem i czuł nieznośny smutek, który odbierał mu mowę. Przełknął dławiące go emocje i uśmiechnął się.

– Kiedy wrócisz do Wenecji – odezwał się Bors – spieniężysz nasze dobra i policzysz złoto, oddaj mój udział rodzinie Sabata Svi. Był przeklętym Żydem, to pewne, ale skoro i ja wybieram się do piekła, to będziemy razem pić za ciebie przez całą wieczność. A moje łupy bardziej się przydadzą jego bliskim niż tobie.

Bors zapanował nad skurczem, który ogarnął dolną część jego ciała. Otarł usta, uniósł dłoń i chwycił ramię Tannhäusera. Mimo stanu, w jakim się znajdował, wciąż potrafił ścisnąć z siłą imadła.

– Gullu dowiezie moje truchło do Borgo – dodał. – Dopilnujesz, żebym miał przyzwoity pogrzeb?

Tannhäuser skinął głową. Raz jeszcze uścisnął byczy kark, ale nic nie powiedział, bo wciąż miał związany język.

– A teraz mnie pocałuj, przyjacielu, i jedź wreszcie – rzekł Bors. – Wiesz, że nie lubię długich pożegnań.

Tannhäuser objął dłońmi jego wielką głowę i pocałował w usta.

– Aż do końca – powiedział.

– Do samego – odparł Bors.

Tannhäuser z trudem przełknął ślinę, wstał i ruszył w stronę Buraqa.

– Mattias – zawołał za nim Bors.

Tannhäuser odwrócił się i spojrzał w dzikie, szare oczy człowieka Północy.

– Zostań przy signorze Carli i nie bądź głupcem – powiedział Bors, szczerząc zęby. – Będziecie najpiękniejszą parą możnych od czasu Salomona i królowej Saby. – Wziął głęboki wdech, jakby chciał się roześmiać z własnego dowcipu, jak to miał w zwyczaju, ale w tym momencie coś w nim pękło i nie wypuścił już z płuc powietrza. Jego głowa oparła się o pień drzewa. Tak umarł Bors z Carlisle.

Tannhäuser dosiadł Buraqa i odjechał w tumanie pyłu niesionego wiatrem od wąwozu.

Dwaj rycerze i półnagi chłopiec opuścili skażoną równinę i wjechali ścieżką na wzgórze Corradino, krokiem tak wolnym, że równie dobrze mogliby pełznąć na łokciach i kolanach. Zatrzymali się na szczycie. Mieli wokół siebie opuszczone tureckie okopy, a w nich kości, prymitywne ziemianki, porzucone sprzęty, uszkodzone działo oraz kawałki zwierzęcych i ludzkich żeber obciągnięte jeszcze sztywniejącą skórą. Poniżej rozciągał się pejzaż, którego Orlandu miał nadzieję więcej nie oglądać.

Wielki Port połyskiwał szafirowoniebiesko. Bliźniacze półwyspy L'Isola i Il Borgo wyglądały znajomo, jak zawsze, ale coś jednak się w nich zmieniło. Wielki mur obronny był zniszczony od fortu Świętego Michała po bramę Kalkara, a jego resztki otaczał rów wypełniony teraz niezliczonymi ciałami zabitych. Całe kwartały miasta wyglądały tak, jakby wdeptał je w ziemię rozwścieczony tytan. Potrzaskane skrzydła wiatraków na L'Isoli już się nie obracały, choć mocno wiał sirocco. Lecz mimo wszystko od strony tej nekropolii dobiegał radosny i nieustający dźwięk dzwonów i choć trudno było w to uwierzyć, gdzieś tam pośród ruin ludzie naprawdę świętowali życie, nadzieję i przyszłość.

Orlandu poczuł ucisk w gardle. Muzułmanie zostali wypędzeni, uciekali z brzegów, do których nigdy nie powinni byli przybić. Lecz widok masakry nad Zatoką Świętego Pawła napełniał go nie mniejszym smutkiem niż ten, który czuł, patrząc, jak ginęli

obrońcy Świętego Elma. Zastanawiał się, co powiedziałby na to Tannhäuser, a on pewnie powiedziałby, że to nieważne, że już się wydarzyło i że liczą się tylko te sprawy, które dopiero zaistnieją. Orlandu odwrócił się, by spojrzeć na Ludovica.

Śmiertelnie ranny czarny rycerz był dla niego zagadką. Ludovico z Neapolu. Nigdy o nim nie słyszał, choć przecież zdawało mu się, że znał wszystkich spośród najdzielniejszych braci Religii. Wciąż towarzyszył im też jednooki, cierpiący młodzik, którego Escobar de Corro nazywał Anacletem. Orlandu przypuszczał, że ludzie ci są sprzymierzeńcami Tannhäusera. A potem Bors zaskoczył ich u wylotu wąwozu i omal ich nie pozabijał. Ludovico garbił się w siodle coraz mocniej. Oddychał szybko i płytko. Bardzo cierpiał. Zauważył, że Orlandu go obserwuje, i uniósł głowę.

– Cieszysz się, chłopcze, że wracasz do domu? – spytał.

Jego głos był łagodny, a obsydianowe oczy naprawdę emanowały czymś na kształt miłości.

– Tak, panie – odparł Orlandu. – Na zawsze zostanę twoim dłużnikiem.

Ludovico zdobył się na uśmiech.

– Masz maniery i postawę dorosłego mężczyzny. Od kogo się tego nauczyłeś?

– Od wielkiego kapitana Mattiasa Tannhäusera – wyjaśnił Orlandu.

Ludovico skinął głową, jakby tak właśnie przypuszczał.

– Nie mogłeś sobie wymarzyć lepszego mentora.

Orlandu zdumiał się jeszcze bardziej.

– To znaczy, że go znasz?

– Związała mnie z nim wola boża. A jeśli chodzi o twój dług, to możesz go uważać za spłacony, i to bardzo hojnie.

Uśmiech Ludovica zmienił się w grymas, gdy ból przeszył jego trzewia, zginając go wpół. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, a skurcz minął i po chwili Ludovico znów uniósł głowę.

– Chciałem, żebyś dołączył do matki, signory Carli, w Mdinie, ale ta góra by mnie wykończyła.

Ludovico znów się pochylił.

W umyśle Orlandu pojawiły się pytania, lecz w tym momencie Anacleto popędził konia i wyjął wodze z bezwładnej dłoni Ludovica, by przekazać je chłopcu.

– Zabierz go do szpitala – powiedział. – Znajdź ojca Lazara.

Orlandu skinął głową, a Anacleto zawrócił i pognał konia z powrotem, w dół stoku. Chłopak popatrzył za nim i dostrzegł na zniszczonej wojną równinie Marsa jeźdźca,

który pędził za nimi galopem, wzbudzając tuman kurzu. Jego koń był maści nowiutkiej złotej monety, z ogonem jasnym jak pszenica. Włosy jeźdźca powiewały i błyszczały ognistym brązem w promieniach zachodzącego słońca.

– Tannhäuser – powiedział Orlandu.

Ludovico także go zauważył. Zawołał za swym towarzyszem, jakby chciał go powstrzymać:

– Anacleto!

Wysiłek zgiął go wpół. Anacleto jednak nie usłuchał. Orlandu miał wrażenie, że nad nagą połacią równiny szaleje mroczny gniew, i zapragnął tylko jednego: żeby Tannhäuserowi nic się nie stało. Jednak bez względu na zagadki, które domagały się odpowiedzi, ten dzielny rycerz cierpiał i potrzebował chirurga. Orlandu chciał mu pomóc. Ruszył naprzód, trzymając wodze jego konia.

– Czekaj – rozkazał Ludovico.

– Ale ojciec Lazaro… – zaczął chłopak.

– Nie – przerwał mu Ludovico. – Sztuka medyków już mi nie pomoże. Ale być może zdołam jeszcze odzyskać honor.

Ludovico chwycił wodze, zawrócił konia i ruchem głowy wskazał Orlandu, że ma uczynić to samo. Razem patrzyli, jak Tannhäuser zbliża się na złotym koniu. Anacleto jechał mu na spotkanie z nagim mieczem w dłoni.

– Bóg wie wszystko – rzekł Ludovico. – O sprawach, które są, o sprawach, które były, i o sprawach, które będą. My jednak nie jesteśmy w stanie poznać woli bożej i dlatego każdy człowiek własną ręką musi kreślić mapę swego życia.

Ludovico spojrzał na Orlandu, a Orlandu w jego niezgłębione oczy, w których zobaczył smutek tak ogromny, że zdawał się mieścić w sobie każde zmarnowane uderzenie serca na tej nędznej wyspie.

Ludovico zaczerpnął tchu i mówił dalej:

– Uczeni nazywają ten paradoks Ukrytą Tajemnicą, a na pytania o przyszłość Augustyn odpowiada: Inscrutabilia sunt iudicia Dei.

– Słucham, panie?

– Niezbadane są wyroki Boże.

Ludovico znów odwrócił głowę ku równinie i tak też uczynił Orlandu.

Zobaczyli, jak Tannhäuser zatrzymuje złotego konia, a Anacleto szarżuje wprost na niego. Potem zaś Tannhäuser uniósł ramiona nad głowę i błękitny odblask słońca pojawił się na lufie jego strzelby. Zobaczyli dym i ogień, a Anacleto spadł z konia. Zaraz potem

usłyszeli huk wystrzału i jego echo odbite od usianej kośćmi skarpy. Zobaczyli, jak Tannhäuser ustawia strzelbę pionowo i sypie proch do lufy. Zobaczyli, jak Anacleto przewraca się na brzuch i próbuje klęknąć. Zobaczyli, jak Tannhäuser wkłada do lufy kulę i odkłada strzelbę na uda, by dobyć miecza i podjechać bliżej na swym złotym koniu. Zobaczyli srebrzysty błysk unoszącego się i opadającego ostrza, a Anacleto upadł przed siebie i coś potoczyło się z jego ramion, by znieruchomieć w piachu.

Z osobliwym zadowoleniem, które przyprawiło Orlandu o dreszcz, Ludovico rzekł:

– Właśnie tu kończy się moja mapa. Lecz nawet zapisując na niej ostatnie znaki, człowiek może stać się kimś i nie stać się kimś innym. Być może szczególnie wtedy, gdy zapisuje ostatnie znaki.

Gdy Tannhäuser ujrzał Anacleta zjeżdżającego po zboczu, uświadomił sobie, że nie czuje już ani gniewu, ani nienawiści. Wcześniej wyobrażał sobie, jak rozdziera młodzika na strzępy, kawałek po kawałku, przedłużając jego cierpienie i upokarzając go, zapewniając o rychłej śmierci, ale jeszcze jej nie zadając. Teraz po prostu chciał mieć to już za sobą. Zdjął więc z pleców strzelbę i strzelił do Anacleta, a kula z hukiem przebiła napierśnik zbroi. Przeładował broń, nakręcił kluczykiem zamek, nasypał prochu na panewkę i zamknął ją. Wyjął miecz i przejeżdżając obok klęczącego mordercy, ciął z całej siły, nawet nie patrząc mu w twarz. Potem zaś schował miecz do pochwy, spojrzał w górę i na szczycie wzniesienia, na tle lazurowego nieba, zobaczył ich sylwetki. Mężczyzny i chłopca. Ojca i syna. Tannhäuser wsparł strzelbę na biodrze i wjechał na wierzchołek, żeby zabić jednego w obecności drugiego. Lecz kiedy tam dotarł, przekonał się, że nie czeka go walka.

Nie chodziło o widok dziury po kuli w pancerzu mnicha ani o lśniącą i lepką plamę krwi, która pokrywała jego uda, siodło i bok konia. Chodziło o wyraz jego pobladłej twarzy, o błysk w głębi oczodołów – dają go tylko niektóre gwiazdy i znika on, gdy spojrzy się prosto na nie.

– Poprosiłem Orlandu, żeby zaczekał na nas w Borgo – rzekł Ludovico – ale nie chciał odjechać bez spotkania z tobą.

Tannhäuser spojrzał na chłopca. Po raz pierwszy od czasu, który wydawał mu się prawie wiecznością, poczuł w piersi coś podobnego do szczęścia.

– Zdaje mi się, że nabrałeś ciała podczas tego wygnania wśród barbarzyńców – powiedział.

– Po harówce w Porto delle Galere praca dla Abbasa była jak festa – odparł Orlandu.

Tannhäuser uśmiechnął się, a chłopak wprost tryskał radością. Posmutniał, dopiero gdy spojrzał na Ludovica. Tannhäuser miał wrażenie, że Orlandu nie zdaje sobie sprawy z wrogości między nim a mnichem; a może raczej nie zdawał, póki Bors nie wpakował kuli w brzuch Ludoviciego.

– Brat Ludovico ma rację – rzekł. – Zaczekaj w Borgo.

Rzucił swą strzelbę chłopcu, a ten złapał ją w locie i zachwiał się na nagim końskim grzbiecie. Tannhäuser zsiadł z konia, zawiesiwszy manierkę na szyi, i podał Orlandu wodze.

– Zabierz Buraqa do stajni wielkiego mistrza. Okryj go i wyprowadź, a kiedy ostygnie, daj mu wody. Nie karm, dopóki nie przyjadę. I nie spuszczaj z oczu mojego dobytku – dodał, wskazując na sakwy przy siodle.

– Po takim dniu, jaki Buraq ma za sobą, należy mu się czyszczenie kopyt – odrzekł Orlandu. – I wytarcie oczu i nozdrzy, bo strasznie dużo tam było dymu i kurzu.

– Doskonale – odpowiedział Tannhäuser i spojrzał na Ludovica. – Pojętny jest jak diabeł i bardzo pracowity. Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, konie znał tylko z widzenia.

Ludovico przetrwał kolejny spazm i z uznaniem skinął głową.

– Jest taki, jak mówiłeś, a nawet lepszy – powiedział. – Odważny, dumny, rosły.

Orlandu pękał z dumy. Tannhäuser nie zapomniał jednak, że czwartym członkiem tego kręgu jest śmierć.

– A teraz pożegnaj się ze swoim wybawicielem. I podziękuj mu – przypomniał.

– Już mi podziękował – odrzekł Ludovico.

– Zatem wystarczy do widzenia.

Ludovico zdjął zakrwawioną rękawicę i wyciągnął rękę.

– Podjedź bliżej – rzekł do Orlandu.

Chłopak usłuchał i pochylił głowę, żeby przyjąć błogosławieństwo. Ludovico położył dłoń na jego czole i wydawało się, że ten fizyczny kontakt napawa go wprost niebiańską radością.

– Ego te absolvo a peccatis tuis – mnich uniósł ramię i uczynił znak krzyża – in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Orlandu przeżegnał się. Ku jego zdumieniu, Ludovico wyciągnął rękę – rycerze nigdy nie zdobywali się na podobne uprzejmości wobec takich jak on. Uścisnął ją gorliwie.

– Zawsze czcij matkę swoją – rzekł mnich. – Nie ma mądrzejszego przykazania.

– Tak, panie. Dziękuję – odpowiedział Orlandu i zerknął na Tannhäusera, który skinął głową. – Do zobaczenia.

– Z Bogiem – odparł Ludovico i puścił dłoń chłopca.

Patrzyli z Tannhäuserem, jak Orlandu podąża szlakiem w stronę miasta. Patrzyli, jak przejeżdża przez ruiny Bormuli, przez Wielką Równinę i wreszcie przez Bramę Prowansalską. A potem stali jeszcze przez chwilę w milczeniu, spoglądając na port, na zrujnowane fortece, na zniszczone miasto i wreszcie na popioły i zgliszcza, za które tylu ludzi ze wszystkich zakątków ziemi walczyło i zginęło. Dzwon zwycięstwa wciąż bił. Tannhäuser przypomniał sobie, że mniej więcej z tego samego miejsca słuchał nocą dźwięków violi. Myśl o dwóch kobietach grających razem, o chwilach piękna i uniesienia, które razem tworzyły, o nagiej Amparo płynącej do niego przez oświetloną księżycem zatokę i wreszcie o jej włosach rozwianych wiatrem, pobudziła jej ducha do życia. Bo Gullu Cakie miał rację, że Amparo zawsze będzie w nim żyła. Tannhäuser znów spróbował przypomnieć sobie jej ostatnie słowa, ale pamięć i tym razem go zawiodła.

Od strony Bramy Prowansalskiej zmierzali ku nim dwaj jeźdźcy, a kopyta ich koni wzniecały obłoki krwawego pyłu nad Wielką Równiną. Tannhäuser spojrzał na Ludovica, który kołysał się w siodle, blady, wychudły i delikatny jak widmo.

– Pomogę ci zsiąść – powiedział.

Ludovico skinął głową i położył się na karku wierzchowca. Przełożył nogę nad jego grzbietem i gdy zsunął ciężar ciała na jedną stronę, siły opuściły go do końca. Tannhäuser pochwycił go w porę i podtrzymał w pasie, a choć pancerz kaleczył go w szyję, wolno i ostrożnie położył Ludovica na kamieniach, tuż przy drodze.

– Jesteś dziś drugim człowiekiem, któremu pomagam zejść z konia.

– Mam nadzieję, że pierwszy był w lepszym stanie niż ja.

– Ja też. Nie byle jaką dziurę wywiercił ci Bors w brzuchu swoim strzałem.

Tannhäuser wyjął diabelskie ostrze, które przed trzydziestu laty wykuł własnymi rękami, a Ludovico bez skargi przygotował się na ból. Tannhäuser rozciął jednak tyko paski jego czarnej zbroi. Obserwując jego ruchy, Ludovico poczuł na twarzy mocniejsze porywy wiatru.

– Gorący wiatr – rzekł Tannhäuser. – To sirocco, z pustyń Libii i jeszcze dalszych. Po tym, jak gotowałeś się w pancerzu, wyda ci się jednak świeży jak wiosna.

Uchylił stalową skorupę, jakby to był małż, i zajął się naramiennikami. Uniósł wreszcie potężny napierśnik i odłożył go na bok, zdjął też zakrwawioną wyściółkę. Podczas wszystkich tych zabiegów mnich nawet nie stęknął, choć rana była potężna, a widoczne w niej trzewia już rozpuszczały się we własnych nieczystościach. Na gołą skórę pod wyściółką

Ludovico włożył zwykły, czarny habit świętego Jana, z ośmiorożnym białym krzyżem na piersi.

– Lepiej? – spytał Tannhäuser.

– Wdzięczny jestem.

Tannhäuser odkorkował bukłak i przystawił go do ust Ludovica, a ten pociągnął dwa łyki i skinął głową. Potem i Tannhäuser zaspokoił pragnienie.

– Wielki mistrz żyje? – spytał inkwizytor.

– De la Valette żyje.

– To dobrze. Przynajmniej ten grzech nie obciąży mojej duszy.

Tannhäuser spojrzał na niego uważnie.

– Nie jesteś tym samym człowiekiem, którego spotkałem nad Guvą.

Ludovico wytrzymał spojrzenie.

– Być może miałem mądrego wroga.

– Powiedziałbym, że do takiej zmiany trzeba czegoś więcej.

– Kiedy zobaczyłem Orlandu na polu bitwy… Kiedy zawołałem go po imieniu i odwrócił się, stojąc po pas w wodzie, i po raz pierwszy zobaczyłem jego twarz…. Był taki dzielny, taki…. – Ludovico szukał właściwych słów, a jego ramiona znów opadły na kamienie. Przewrócił oczami i spojrzał w niebo. Mgiełka wzruszenia zasnuła jego czarne oczy. – O Boże. O mój Boże.

W tych słowach krył się żal zbyt monumentalny, by można go było ogarnąć. Tannhäuser zastanawiał się, jakim cudem ów żal nie zabił inkwizytora.

– Trafna odpowiedź – rzekł. – Czy Orlandu wie, kim jesteś?

– Nie.

– Dlaczego mu nie powiedziałeś?

– Zostawiam decyzję Carli.

– Sądzisz, że go okłamie?

Ludovico oddychał płytko, przez lekko rozchylone usta. Nie poruszyły się teraz, ale nowy błysk w jego oczach sugerował uśmiech.

– Być może ma mądrego przyjaciela – powiedział.

– Myślałem, że powiem chłopakowi, jakim byłeś tchórzem i zdrajcą – rzekł Tannhäuser. – Ale nie byłoby to uczciwe, bo który człowiek na tym zdegenerowanym świecie nie jest zdrajcą własnych marzeń i obietnic?

– Powiedz Carli, że żałuję.

– Wiem. I powiem – odparł Mattias.

Ludovico zamrugał niespokojnie.

– Nie chciałem, żeby Amparo zginęła.

Tannhäuser przypatrywał mu się długo, zanim odpowiedział:

– To także wiem.

– Ciekawe, czy Bóg mi przebaczy.

– Chrystus na pewno.

– Nareszcie mówisz o Chrystusie?

Tannhäuser uśmiechnął się.

– Religia, w której jest miejsce i dla dobrego złodzieja, ma wiele atutów dla ludzi takich jak ja.

Ludovico patrzył na niego przez dłuższą chwilę, znowu przeistaczając się w dawnego inkwizytora, poszukującego w duszach ludzkich ukrytej prawdy.

– W takim razie rzeczywiście wiele się zmieniło od czasu Guvy – powiedział.

– Mówiłeś mi w Mesynie, że żal otwiera bramę do łaski bożej. I pytałeś, dlaczego, skoro tak jest, ludzie mieliby unikać żalu.

Ludovico rozejrzał się, jakby szukał śladu tej zapomnianej rozmowy.

– To tylko słowa – odpowiedział. – Uczone słowa.

– Życie sprawia czasem, że słowa stają się ciałem – odparł Tannhäuser.

Ludovico kiwnął głową. Położył dłonie na piersi i odetchnął głęboko pełnym kurzu powietrzem. Wypuścił je ustami i spróbował się uśmiechnąć. Skierował wzrok ku górze i ich spojrzenia spotkały się raz jeszcze nad wielką tonią, która ich dzieliła. Ludovico odchodził w pokoju.

– Miałeś rację – powiedział. – Jest jak wiosna.

Tannhäuser wbił sztylet w jego serce i Ludovico skonał w jednej chwili.

Ostrze hartowane we krwi diabła wreszcie znalazło swój dom. I tam pozostało.

Tannhäuser puścił wysadzaną klejnotami rękojeść. Emocje i jego chwyciły za gardło; nie umiał ich ani nazwać, ani przełknąć. Podniósł Ludovica z ziemi. Choć – jak wszystkich – wypaliły go trudy oblężenia, pozostał silnym mężczyzną. Mattias zaniósł go z trudem do tureckiego okopu i tam ułożył. Okrył go płótnem zerwanym z ruiny namiotu, przykrył kawałkami drewna, a potem przysypał mniejszymi kulami armatnimi i kamieniami. Nie pozostawił żadnych śladów prócz pięknej rękojeści sztyletu wbitego w serce. Wrócił na drogę, zebrał części czarnego pancerza i przytroczył je do konia Ludoviciego. Gdy wreszcie miał wskoczyć na siodło, zza krawędzi płaskiego szczytu wyłonili się dwaj jeźdźcy: wielki

mistrz Jean Parisot de la Valette i jego czcigodny sekretarz Oliver Starkey. Obaj natychmiast spostrzegli czarną zbroję inkwizytora.

– Kapitanie Tannhäuser – odezwał się de la Valette. – Jak minął dzień?

– Ten dzień należy do ciebie, panie.

De la Valette skinął głową i zsiadł z konia. Oszczędzał zranioną nogę, ale mimo to poruszał się ze zdumiewającym wigorem. Dobył miecza. Tannhäuser spojrzał na niego pytająco.

– Mnie też chcecie się pozbyć? – spytał.

De la Valette roześmiał się, a Tannhäuser pomyślał, że nigdy dotąd nie słyszał jego śmiechu. Był to śmiech pirata. I kogoś jeszcze. Kogoś zdolnego posłać na śmierć wszystkie ukochane osoby i to w imię potwornych ideałów. De la Valette pokręcił głową.

– Nie ma lepszego miejsca niż pole bitwy, by pasować kogoś na rycerza – odrzekł.

Tannhäuser nie odezwał się.

– Wiem, że nie klękasz przed wieloma – ciągnął wielki mistrz. – Klękniesz przed księciem Religii?

Tannhäuser ani drgnął.

– Wątpisz, że mam prawo szafować takimi darami? – spytał mistrz.

– Nie – odparł Mattias, wreszcie ocknąwszy się z otępienia. – Nie jestem tylko pewien, co mi z tego przyjdzie. Nie zamierzam składać ślubów, których dotrzymać nie mogę. Zdarzały mi się już takie błędy.

De la Valette był pod wrażeniem jego uczciwości.

– Kiedy zakon chce uhonorować człowieka świeckiego za dobrą służbę, może zaproponować mu habit Kawalera Łaski Magistralnej. Zwykle wymogi co do szlachectwa nie są wtedy respektowane – co oczywiście przyda się w tym przypadku – a do tego rezygnuje się z okresu próbnego. Nie będziesz musiał składać pełnych ślubów, jak my. Mimo to będziesz należał do Religii i gdziekolwiek zbiorą się bracia, będziesz korzystał ze skarbca i kantyny.

– Będę mógł zajmować się handlem? – spytał Tannhäuser po krótkim namyśle.

– Tylko sama Stolica Apostolska ma więcej bogactw niż Religia – odparł Starkey. – Dzięki zwycięstwu nasze dochody mogą być teraz nawet wyższe, choć oczywiście Ojciec Święty nigdy się nie dowie o ile.

– I będę mógł nazywać się kawalerem czy kimś takim?

– Oczywiście – odparł de la Valette i zmrużył oczy w uśmiechu. – Nie będziesz też podlegał cywilnym prawom.

Tannhäuser w porę zacisnął szczęki, by nie rozdziawić ust ze zdumienia. Czy kiedykolwiek wymyślono bardziej pomysłowe bractwo kryminalistów?

– Bracia zakonni nie podlegają zwykłej jurysdykcji? – upewnił się.

– Będziesz odpowiadał tylko przed naszym prawem – odparł de la Valette. – A jako że jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który był w Guvie i przeżył, wierzę, że będziesz go przestrzegał.

Tannhäuser czuł, że mogą go wziąć za niewdzięcznika, ale musiał zapytać:

– A czy wymagać się będzie ode mnie celibatu?

– Nie. Choć serdecznie go polecam, jeśli marzy ci się długie życie.

Tannhäuser opadł na jedno kolano i wyprężył pierś.

– W takim razie, wasza ekscelencjo, bądź łaskaw użyć teraz miecza.

Sobota, 8 września 1565 – Święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny - Mdina

Teraz dopiero, gdy nie widział murów i okopów, gdy wreszcie ucichły strzały i skończyły się mordercze misje dla jednej czy drugiej strony konfliktu, Tannhäuser zdał sobie sprawę z tego, jak mała jest Malta. Podróż z Il Borgo do Mdiny, która jeszcze niedawno wydawała mu się istną odyseją, była kwestią pokonania raptem ośmiu mil. Napełniwszy brzuchy jadłem i winem, dosiedli świeżych koni i ruszyli w stronę wzgórz przy wtórze niemilknących dzwonów. Mijali po drodze grupy rozradowanych ludzi, był to bowiem niejako dzień otwarcia bram więzienia i wszyscy, którzy mogli wreszcie opuścić miasto, dawali upust zadowoleniu. Nastrój nie udzielił się jednak Tannhäuserowi, który nawet nie zwracał uwagi na to, co się działo dokoła. Orlandu jadący obok szybko zauważył ten stan.

– Złościsz się na mnie, panie? – spytał.

Tannhäuser spojrzał na niego. Chłopak prezentował się tak, jakby nigdy lepiej mu się nie powodziło. Jeżeli ktokolwiek wyszedł nietknięty z czteromiesięcznego szaleństwa, to właśnie on. Był zdrów na ciele, bystry na umyśle, a w dodatku – na ile Tannhäuser się orientował – miał sumienie czyste jak łza, nie dopuścił się bowiem żadnych zbrodni ani okrucieństw. Tannhäuser pomyślał nagle, że właściwie to jemu należałoby gratulować za ten cudowny stan rzeczy – i myśl ta nieco poprawiła mu humor.

– Pozwól, chłopcze, że wyłożę ci to tak – odpowiedział. – Gdybym wiedział, ile mnie będzie kosztowało twoje istnienie – ile krwi, potu i łez – to już dwanaście lat temu przypłynąłbym na Maltę, żeby cię udusić w kołysce.

Orlandu cofnął się odruchowo, jak spoliczkowany, a Tannhäuser uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jeżeli mamy iść wspólną drogą – powiedział – musisz się przyzwyczaić do mojego poczucia humoru, zazwyczaj dość wisielczego.

– Czyli nie jesteś na mnie zły?

– A czy dałeś mi powód?

– W takim razie dlaczego chciałbyś udusić mnie w kołysce?

– Kiedy spotkaliśmy się w forcie Świętego Elma, powiedziałem ci, że zafundowałeś mi niezłą potańcówkę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że była to ledwie przygrywka. Teraz, gdy przygoda już dobiega końca, powiem inaczej: gdy patrzę na ciebie, myślę, że to widok wart każdej kropli krwi.

Pomyślał o Amparo. I o Borsie. Nie, nie każdej kropli. Ale chłopak nie ponosił za to winy. I jeżeli nic z tego nie rozumiał, to nie dlatego, że brakło mu przenikliwości. Po prostu szukał prostych odpowiedzi.

– Więc wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak, mój drogi – odparł Tannhäuser. – I możliwe, że jesteś ostatnim prawdziwym przyjacielem, jaki mi pozostał.

– Przykro mi, że zginął ten Anglik, Bors z Carlisle. On też mówił, że jest moim przyjacielem.

– W rzeczy samej, był. Wyobrażam sobie, że jego ostatnia szarża musiała być nie lada widowiskiem.

– O Boże! – wykrzyknął Orlandu, szeroko otwierając oczy. – Sam przeciwko czterem? Czterem rycerzom? To było straszne! I fantastyczne! Ale dlaczego to zrobił?

– Dlatego że to byli fałszywi rycerze, jak zgniłe, niezdrowe konary, i do tego nie tylko wrogowie de la Valette'a, ale i nasi.

– Jak to zgniłe?

– To długa historia na inną okazję – odparł Tannhäuser, spoglądając z powagą na Orlandu. – Zapamiętaj tylko, że wszystko, co wtedy widziałeś, musisz zachować w tajemnicy. Bardzo niewielu ludzi potrafi dochować sekretu, choć to na pozór proste zadanie, ale gwarantuję ci, że ta umiejętność nieraz ci się w życiu przyda.

– Jak udawanie – podchwycił Orlandu.

– Właśnie tak, właśnie tak.

– Ale między sobą przyjaciele nie powinni udawać, prawda? – spytał chłopak.

– Nie powinni – zgodził się Tannhäuser.

– Mówiłeś, że brat Ludovico był fałszywym rycerzem?

Tannhäuser westchnął ciężko.

– Jeśli spojrzeć na tę sprawę z dalszej perspektywy, po prostu był wierny różnym siłom. I bardzo często tak bywa, ludzie bowiem rzadko są zadowoleni z tego, jak się mają sprawy, a próbując poprawić ich stan, zwykle nie tolerują przeciwnych – a czasem tylko odmiennych – idei. Życie jest w tej kwestii bardzo zagadkowe, a ja jestem ostatnim człowiekiem, który rzuciłby kamieniem… Ale pewne jest, że Ludovico był dzielny i żywił bardzo głębokie przekonania. Niestety, z mojego doświadczenia wynika, że przekonania zbyt mocne są bronią obosieczną i bardzo ostrą.

– Powiedział mi, że mam czcić matkę.

Tannhäuser poczuł, że lina, po której stąpa, zaczyna się kołysać.

– Doskonała rada.

– Chciał, żebym pojechał do niej, do Mdiny.

– I ja w jego imieniu chętnie dopilnuję, żeby tak się stało.

– Czy brat Ludovico był moim ojcem? – spytał Orlandu.

Masz ci los, pomyślał Tannhäuser, ściągając wodze Buraqa. Zatrzymał się i schylił nad grzywą, udając, że poprawia coś przy uździe. Było to dziwne, ale dopóki tego nie zrobił, nie zastanawiał się, w jaki sposób powie chłopcu, że ojciec, którego tak pragnął poznać, zginął z jego ręki. Nie przypuszczał też, jak wysoko ceni sobie miłość chłopca. Odwrócił się i spojrzał w brązowe oczy Orlandu, które wpatrywały się w niego w napięciu. Zobaczył w nich tę miłość, tak nagą i szczerą, że omal nie stchórzył. Wszak Ludovico chciał pozostawić decyzję Carli, a nawet byłby zadowolony, gdyby chłopiec nie poznał prawdy. Lecz wstyd Ludovica nie był wstydem Tannhäusera. Tannhäuser miał też własną duszę.

– Tak – odpowiedział. – Brat Ludovico był twoim ojcem.

Orlandu zacisnął usta.

– Ja go zabiłem – dodał Tannhäuser.

Orlandu mrugnął powiekami dwa razy.

– Dlatego, że był fałszywy? – spytał.

– W ostatnich chwilach życia był bardziej szczery niż większość z ludzi.

– Więc dlaczego?

Tannhäuser pomyślał, że to nie najlepszy moment na wyliczanie wszystkich zbrodni Ludovica Ludoviciego. Chłopak musiał je kiedyś poznać, ale nie tego dnia.

– Zabiłem go, ponieważ tak chciał los – odpowiedział krótko.

Orlandu zamyślił się, a Tannhäuser poczuł, że chyba nie docenił chłopca, bo odpowiedź wydała mu się wystarczająca, przynajmniej na jakiś czas. W każdym razie była wystarczająco prawdziwa.

– Jeżeli mój ojciec był złym, zgniłym konarem zakonu – spytał po chwili Orlandu – a ja jestem z jego krwi, to czy ja też będę taki?

– Mówiłem ci już kiedyś, że nie krew się liczy, ale to, w jaki sposób idziemy przez życie. Ty i ja przeszliśmy razem niejedną milę i zapewniam cię, że nie widzę w tobie niczego złego ani zgniłego.

Orlandu znów się zamyślił.

– A przejdziemy razem jeszcze parę mil? – spytał wreszcie.

Tannhäuser poczuł ucisk w sercu i bardzo chciał odpowiedzieć „Aż do końca”, ale nie miał zwyczaju składać obietnic, których mógł nie dotrzymać.

– Zobaczymy – odrzekł.

I uśmiechnął się do chłopca, a chłopiec do niego. Znów było im dobrze.

Nad konturem wzgórz wznosiły się w powietrze rakiety, a dzwon zwycięstwa wciąż szalał. Tannhäuser skinął głową ku drodze.

– Jedźmy już do Mdiny, Carla czeka – powiedział, ale zanim ruszyli, tknęła go jeszcze jedna myśl. – Masz może jeszcze mój pierścień? Ten złoty.

– Oczywiście – odparł Orlandu, kiwając głową.

Tannhäuser wyciągnął rękę.

– To mi go pokaż. Bez złota czuję się półnagi.

Carla siedziała w półmroku salonu w Casa Manduca. Wszyscy świętowali na ulicach, lecz ona czuła się samotna. Don Ignacio już nie żył. Pochowano go w krypcie rodu Manduca w katedrze pod wezwaniem Świętego Pawła. Tylko jeden człowiek uczestniczył w pogrzebie: stary zarządca Ruggiero, który pozostał w domu i teraz opiekował się Carlą. Ruggiero błagał ją najpierw o wybaczenie za czyny, których dopuścił się przed laty. Wybaczyła mu szczerze i z ochotą, zbyt wiele bowiem dzisiejszych dramatów miało swe źródło w zamierzchłej przeszłości. Upadł wtedy do jej kolan i całował po rękach, aż poprosiła, żeby zostawił ją samą. Wybaczyła też swemu ojcu i teraz czuła już tylko smutek na myśl o tym, że odszedł, nie mając przyjaciół, całkiem samotny, choć nie musiało tak być. Ruggiero powiadomił ją, że dom, rolnicze tereny w dolinie Pawles oraz zakład przewozowy i złoto jej ojca stały się jej własnością. Zaskoczyła ją ta wiadomość, ale nie poruszyła.

Dom nie był dla niej przyjaznym miejscem. Duchy ludzi, których życie przebiegło w smutku, wciąż snuły się po korytarzach. Gdy dzień miał się ku końcowi, zeszła do otoczonego murem ogrodu i stanęła w długim już cieniu drzewek pomarańczowych. Był to dzień Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, sobota. Odmawiając pierwszy dziesiątek różańca, rozważała tajemnicę zwiastowania, kiedy archanioł Gabriel objawił się Maryi i powiedział, że będzie w sobie nosiła Boże Dziecię. Była to jedna z radosnych tajemnic i Carla wiedziała, że modlitwa powinna jej pomóc. Uklęknęła na trawie i ucałowała krzyżyk różańca, a potem przeżegnała się i odmówiła Skład Apostolski.

– Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. I w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny. Umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion. Zstąpił do piekieł. Trzeciego dnia zmartwychwstał. Wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga, Ojca wszechmogącego. Skąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych…

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i czyjeś kroki. A potem ciche kaszlnięcie. Przeżegnała się i obejrzała przez ramię. Spodziewała się zobaczyć Ruggiera.

Pod pergolą stał Mattias.

Jej serce omal nie zamarło. Wstała. Zobaczyła, że jego policzki są zapadnięte z wyczerpania. Coś bezimiennego, coś udręczonego czaiło się w jego oczach. Zaczął iść w jej stronę i – jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, w innym ogrodzie, tak bardzo, bardzo dawno temu i daleko stąd – poczuła wilczy zew. Jednak tym razem wybiegła mu na spotkanie, a on otworzył ramiona i wpadła w nie z radością. Tulił ją mocno, a ona próbowała złapać oddech; jej umysł wypełniały pytania, których język nie był jeszcze w stanie wypowiedzieć.

– Ludovico i jego ludzie nie żyją – odezwał się Mattias.

Poczuła wyłącznie ulgę. I wtedy znów spojrzała w oczy Tannhäusera.

– Bors też – dodał. – I Nicodemus – zawahał się. – I Amparo.

Ból przeszył jej serce, a oczy napełniły się łzami, lecz Mattias położył palec na jej ustach.

– Proszę – szepnął. – Będziemy mieli dość czasu, żeby ich opłakiwać. I nie będziemy sami. Nie wiem jak tobie, ale mnie przydałaby się chwila radości. I choć wiele nam odebrano i wiele przeszliśmy, mamy też powód do uśmiechu.

Instynktownie spojrzała ponad jego ramieniem. Wyczuła czyjąś obecność za progiem, w otwartych drzwiach domu. Mattias odwrócił się ku nim, a po policzkach Carli popłynęły łzy, w których mieszały się radość, nadzieja i ból. Otarła twarz.

– Orlandu – zawołał Mattias.

Orlandu wyłonił się z cienia. Szedł ku matce sztywno, z wyprostowanymi ramionami i wysoko uniesioną głową, jakby dostał wyraźne polecenie, jak należy się prezentować. Jego skóra lśniła, a oczy były głębokie i szczere. Carla wiedziała jedno: nigdy jeszcze w swoim życiu nie widziała istoty równie pięknej. Łzy znów napłynęły do jej oczu, gnane uczuciami zbyt licznymi i złożonymi, by potrafiła je nazwać. Tym razem już nie mogła ich powstrzymać.

– Uśmiechnij się, chłopcze – rzekł Mattias. – I pamiętaj o manierach. – Sam też się uśmiechnął. – Bo to jest twoja matka – dodał.

Carla otworzyła ramiona i mocno przytuliła Orlandu.

Niedziela, 9 września 1565 - Hal Saflieni

Grobowce Hal Saflieni wykuto w litej skale, zanim jeszcze ludzie nauczyli się wykorzystywać żelazo czy choćby brąz. Być może nawet wcześniej – bo któż mógł to wiedzieć? – niż Prometeusz wykradł bogom ogień. Wykuto je zatem kością i krzemieniem w czasach, gdy świat mężczyzn był jeszcze młody, gdy Stwórca wszechświata był kobietą i gdy starożytni kamieniarze czcili tylko jedną boginię: tę o pięknie zaokrąglonym brzuchu, boginię wiecznej płodności. Wykuto ją w czasach, gdy wojna była tylko snem i można było się z niej obudzić. Tu, w Hal Saflieni, w komorach głównych i bocznych, a także w licznych niszach i korytarzach, pod sklepieniami znaczonymi czerwoną ochrą spoczywały tysiące szkieletów.

Dla Carli Hal Saflieni było sanktuarium niosącym głęboką, choć nieco tajemniczą pociechę. Choć nie wolno jej było zapuszczać się w to miejsce, coś przyciągało ją tutaj, gdy była dziewczyną. Kiedy coś jej leżało na duszy, klękała przed Wielką Kamienną Matką i czuła mądrość czasu. Księża mówili, że to miejsce pogańskiego kultu i że należy go unikać. Lecz młoda Carla, przychodząc tu, nie miała poczucia, że grzeszy. Modliła się przecież do Najświętszej Maryi Panny, choć w mieście umarłych, a źródłem spokoju były dla niej i Maryja, i Kamienna Matka. Nie odwiedzała tych stron od wielu lat. Tego dnia jednak, gdy zjawiła się w Hal Saflieni, by szukać pociechy, postanowiła, że właśnie tu odda wieczności swą przyjaciółkę.

W Il Borgo, w mroku, na krótko przed świtem, odprawiono jutrznię w kościele Zwiastowania. Choć działania wojenne dobiegły końca, poprzedniego dnia umarło jeszcze wielu ludzi; wielu też miało umrzeć z ran w dniach następnych. Śpiewano psalmy i recytowano nokturny z Księgi Hioba. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Wśród tych, których opłakiwano, byli też Amparo, Nicodemus i Bors. Zbaw mnie, o Panie, od wiekuistej śmierci w tym straszliwym dniu, gdy niebo i ziemia zadrżą, a Ty nadejdziesz, by sądzić świat próbą ognia. Były i laudy, i Miserere, i canticum Ezechiela, i antyfona Jana. Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Potem zaś rozgrzeszono dusze zmarłych na tym świecie i żałobnicy wyszli w półmrok świtu.

Na prośbę Carli Tannhäuser i Orlandu załadowali ciała Borsa i Amparo na dwukołowy wózek. Ciała Nicodemusa nie udało się odnaleźć. Gdy blade jeszcze słońce wyjrzało zza Monte San Salvatore, dociągnęli wózek do nekropolii Hal Saflieni i tam świeże ciała spoczęły wśród prastarych. Na specjalną prośbę Carli towarzyszył im Lazaro, który nie

odmówiłby jej niczego, mimo iż nie podobało mu się to pogańskie otoczenie. Poświęcił dwie nisze skalne, które wybrali, jako że zgodnie z prawem kanonicznym każdy może wybrać sobie miejsce pochówku. Pokropił też wodą święconą ciała zmarłych, odmówili Kyrie i canticum Benedykta i modlili się zgodnie z pogrzebowym rytuałem Kościoła. Lazaro zostawił ich wtedy i oddalił się, odmawiając De profundis, oni zaś zostali we troje w kamiennych katakumbach, by pożegnać przyjaciół w bolesnej ciszy.

Tannhäuser przyniósł z wozu violę da gamba i Carla zaczęła grać.

Grała tak długo, aż ogarnął ją lęk, że pęknie jej serce. Gdy spojrzała na Mattiasa, pomyślała, że jego serce już spotkał ten los. Zrozumiała, że żałoba odebrała go jej, przynajmniej na jakiś czas. Spojrzała też na Orlandu, a on popatrzył na nią. Były w jego oczach siła, ciepło i spokój. Uśmiechnął się do niej, jeszcze nieśmiało, a ona znów zaczęła grać, tym razem z radości, którą w niej rozniecił.

Gdy wracali do Il Borgo, Mattias wyznał jej, że postanowił popłynąć do Wenecji pierwszym statkiem. Jej miłość do niego nie zanikła, przeciwnie, była coraz gorętsza, lecz śmierć Amparo była dla obojga ciężarem – być może dla niego nawet większym – a wspólna żałoba nie jest najlepszym gruntem pod namiętne uczucie. Tannhäuser nie wspomniał ani słowem o umowie, którą zawarli; Carla też tego nie uczyniła. Spytał ją, czy chce pozostać na Malcie. Odpowiedziała, że nie – zamierzała uporządkować sprawy ojca i wrócić do Akwitanii, razem z Orlandu. Mattias rozumiał ją doskonale, rycerze traktowali bowiem teraz wyspę jak swoją własność, a nie czasowe miejsce pobytu, a to oznaczało, że czekał ją los świątyni wojny. Gdy dojeżdżali do bramy Kalkara, zatrzymali się i zsiedli z koni. Tannhäuser zwrócił się do Carli:

– Tamtej nocy, gdy złapali nas przy bramie… – zaczął. – Pamiętasz, jak brzmiały ostatnie słowa Amparo?

– Oczywiście – odrzekła Carla. – Co miały znaczyć?

Dostrzegła ból w jego twarzy.

– Nie pamiętam ich – wyznał. – I strasznie mnie to gnębi.

– „Słowik jest szczęśliwy” – podpowiedziała Carla.

Tannhäuser skinął głową.

– Oczywiście – szepnął i uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały smutne.

– Co miała na myśli?

– To, że jestem jej skrwawioną różą – odparł Tannhäuser.

Carla spojrzała na niego zaintrygowana, oczekując dalszych wyjaśnień.

– To stara arabska historia. Amparo ją podziwiała.

– Mnie też ją opowiesz?

Tannhäuser wziął ją w ramiona i uścisnął tak mocno, że zlękła się, czy jej nie udusi. Czuła przy tym, że podjął decyzję, która rozdarła go na dwoje. Rozluźnił uścisk. Spojrzał na nią i przez ogniste, błękitne węgle jego oczu zobaczyła żal zbyt głęboki, by mogła go pojąć. Poczuła też niespodziewany lęk i dlatego jej głos zadrżał, gdy spytała ponownie:

– Mnie też ją opowiesz?

– Tak – odparł Tannhäuser. – Pewnego dnia.

Epilog - Łaska boża

1566

Hiszpański wicekról Sycylii, Garcia de Toledo, dotarł na Maltę tydzień po zakończeniu oblężenia. Dowody cierpień, których doświadczyli obrońcy wyspy, sprawiły, że uronił łzy żalu, a niektórzy twierdzą, że i wstydu. Oprowadzono go po nasiąkniętej krwią ziemi i przypomniano bohaterskie czyny rycerzy i żołnierzy. Toledo zabrał też z krypty ciało swego syna, Federica, który zginął w walce o pierwszą turecką machinę oblężniczą. Trzy dni później opuścił Maltę i nigdy tam nie powrócił.

Inny los czekał de la Valette'a i jego Religię. Wielki mistrz został okrzyknięty najdzielniejszym człowiekiem chrześcijańskiego świata, najgenialniejszym żołnierzem i mężem stanu, a także opoką Kościoła walczącego. Zaszczyty, które na niego spłynęły, potraktował raczej obojętnie. Nie pojechał do Rzymu, choć obiecywano mu triumf. Nigdy już nie opuścił wyspy, choć zapraszano go do wszystkich pałaców Europy. Uznanie cieszyło go tylko dlatego, że wiązało się z ogromnym napływem złota i młodych kandydatów do służby zakonnej, co dawało nadzieję na odbudowanie potęgi zakonu. Z typowym dla siebie zapałem zabrał się do projektowania i budowy nowej twierdzy na stokach Monte Sciberras, cytadeli potężniejszej niż jakakolwiek inna na świecie, a którą na jego cześć nazwano później La Vallettą. Jego czcigodny sekretarz, Oliver Starkey, pracował wraz z nim dniem i nocą, wzięli bowiem na siebie zadanie niesłychanie ciężkie i złożone. Pochłonięci pracą dla Religii obaj żyli szczęśliwie do końca swoich dni.

Lala Mustafa Pasza i jego dowódcy zostawili na piaskach Malty czterdzieści tysięcy gazi, a wraz z nimi swą reputację. Po sześćdziesięciu ponurych dniach spędzonych na morzu dotarli do Złotego Rogu, gdzie czekał ich gniew sułtana. Ku swemu zdumieniu nie zostali uśmierceni cięciwami przez eunuchów, jako że i Sulejman z pokorą poddał się woli Allaha. Natychmiast zarządził rozpoczęcie przygotowań do nowej inwazji na wyspę już w następnym roku – zamierzał osobiście poprowadzić swą armię do zwycięstwa. Tak się jednak nie stało. Latem 1566 roku siedemdziesięciodwuletni Sulejman umarł na Węgrzech, podczas oblężenia Szegedu. Umarł tak, jak żył: prowadząc wojnę. Jego śmierć była tak wielką katastrofą, że jego osobistych lekarzy powieszono w sułtańskim namiocie, a wiadomość o zgonie władcy ukrywano przed dowódcami przez czterdzieści trzy dni. Zabalsamowane ciało

Sulejmana umieszczono w grobowcu, który zbudował dla niego Sinan, przy meczecie Sulajmanijja w Stambule.

Następcą Sulejmana Wspaniałego był jego jedyny pozostały przy życiu syn, Selim, nie bez powodu nazywany Pijakiem. Tak rozpoczął się powolny zachód słońca Osmanów, albowiem wraz z odejściem Bożego Cienia na Ziemi minęło ono swój punkt zenitu.

W Rzymie dokonano próby zamachu na papieża Piusa IV, Giovanniego Angela de Medici. Niedoszły zabójca był jednym z tych samotnych szaleńców, tak dobrze znanych historykom wszystkich epok. Zmarł w niewoli, zanim zdążył zdradzić ewentualnych wspólników. Wolę bożą jednak trudno odmienić i dlatego Medici padł ze znacznie bardziej okrutnej ręki: zabiła go gorączka rzymska w grudniu 1565 roku. Michele Ghislieri włożył buty Rybaka – tak jak od dawna to planował – i wywołał spore poruszenie wśród swych zwolenników, przybierając imię Piusa V. Pod jego panowaniem inkwizycja rozkwitła na nowo. Ghislieri kontynuował wojny przeciwko muzułmanom i przeciwko protestantom. Intelektualny mrok ogarnął świat katolicki, prowadząc do długotrwałego i niepotrzebnego upadku. Za wszystkie te zbrodnie papież inkwizytor został po latach uznany świętym.

Bohaterscy mieszkańcy Malty mieli przed sobą trudne zadanie odbudowania wyspy po piekle oblężenia. W walkach zginęło siedem tysięcy spośród dwudziestu kilku tysięcy mężczyzn. Ich pola leżały odłogiem, ich domy zmieniły się w ruinę, a spośród tych, którzy przeżyli oblężenie, wielu pozostało kalekami na całe życie. Trwali w cieniu Religii, a ich uczuć względem tego, co się zdarzyło, nie zanotowano, bo choć rycerzy nazywano i nostri, Maltańczycy pozostali la basse plèbe i wystarczyło poprzestać na stwierdzeniu, że ludzie niskiego stanu zrobili to, czego oczekiwali od nich „lepsi".

W sierpniu 1566 roku wnuczka Gullu Cakiego urodziła syna. Idąc za radą patriarchy rodu, nadała dziecku imię Mattie.

Mattias Tannhäuser, Kawaler Łaski Magistralnej Zakonu Świętego Jana z Jerozolimy, nigdy się nie dowiedział, że potomkowi Cakiego nadano imię na jego cześć. Choć przez całe życie obcował ze złem i zmiennym wojennym losem, Maltańska Iliada wtrąciła go w stan głębokiej melancholii, której nie umiał zaleczyć. Opuścił wyspę pierwszą galerą płynącą na Sycylię.

Zanim jednak to uczynił, poddał się rytuałom zakonu i otrzymał habit Łaski Magistralnej. W odruchu szczodrości, którego później żałował, podarował większą część swego zapasu opium Świętej Infirmerii, gdzie wciąż był to specyfik niezmiernie potrzebny. Namówił Starkeya do obietnicy, że gdy Carla zdecyduje się wyruszyć do Francji, będą jej

towarzyszyli dwaj rycerze nieskazitelnego charakteru. Tuż przed wyjazdem przytrafiło mu się jeszcze coś, co napełniło go otuchą w stanie ciężkiego przygnębienia.

Wśród nielicznych jeńców wziętych do niewoli żywcem po rzezi nad Zatoką Świętego Pawła znalazł się milczący Etiopczyk, ten sam, który pielęgnował Mattiasa w różowym namiocie Abbasa Ibn Murada. Tannhäuser znalazł go skutego łańcuchami, stojącego po kolana w bagnie ludzkich szczątków – pracował przy oczyszczaniu ze zwłok rowu otaczającego miasto. Wykupiwszy go, Mattias kazał mu się wykąpać i kupił mu ubranie. Przez cały ten czas Etiopczyk nie odezwał się ani słowem. Wreszcie usiedli w refektarzu Oberży Angielskiej i Tannhäuser przyglądał mu się przez bardzo długą chwilę.

– Niech mnie licho, jeśli wiem, co z tobą zrobić – powiedział.

Miał wrażenie, że Etiopczyk uchwycił sens tej wypowiedzi, wstał bowiem od stołu i wyszedł na ulicę. Spojrzał w gwiazdy i wskazał na błękitny południowy horyzont.

– Dom – powiedział po arabsku.

Tannhäuser zdołał wprosić się na godzinę do tajnej biblioteki map de la Valette'a i tam, najlepiej jak potrafił swymi połamanymi palcami, skopiował zarys wybrzeży Egiptu i terenów leżących dalej na południowy wschód. Pokazał swoje dzieło Etiopczykowi, który rozpoznał linię brzegową Morza Czerwonego. Wierzył, że jeśli przedostanie się przez Egipt, do północnego brzegu morza, dopłynie aż na jego południowy kraniec, skąd przejdzie coś, co nazywał Danakil, i dotrze w góry, z których pochodził. Zdaniem Tannhäusera była to niezwykle śmiała wyprawa i przez chwilę czuł wielką pokusę, by towarzyszyć Etiopczykowi. Chwila nie trwała jednak długo. To była wyprawa na inny czas, może na inne życie – na pewno nie to, które miał przed sobą.

Tannhäuser załadował zapasy na grzbiet muła i wraz z Etiopczykiem objechał Monte San Salvatore. Dotarli do ruin Zonry, gdzie jego łódź wciąż stała w ukryciu. Złożyli ją i zepchnęli na wodę, a potem Tannhäuser – najlepiej jak potrafił – opisał Etiopczykowi drogę do Aleksandrii, posługując się głównie wskazówkami gwiezdnych konstelacji. Dał mu też funt opium na drogę, trochę haczyków i linki oraz turecką szablę i trochę tureckich srebrnych monet, by mógł zapłacić za podróż lądową. Pouczył go też, by w Aleksandrii szukał Mosze Mosseriego i prosił go o radę, powołując się na nazwisko Sabata Svi.

Wszystko to Etiopczyk przyjął jak człowiek, który wie, że dziób jego łodzi poprowadzi Bóg. Na koniec Tannhäuser wręczył mu srebrno-hebanowy muszkiet, którym tak zachwycał się Bors.

– Jeśli ci się nie uda – rzekł na pożegnanie – to na pewno nie z braku właściwego ekwipunku.

Etiopczyk uśmiechnął się, a uśmiech ten był klejnotem, który Mattias przechował w skarbnicy pamięci do końca swoich dni.

Tannhäuser nie znał jego imienia i nie zapytał o nie nawet w ostatniej chwili, wiedział bowiem, że już nigdy się nie zobaczą. Etiopczyk uścisnął go, wsiadł do feluki i postawił łaciński żagiel.

Tannhäuser pozostał na brzegu tak długo, aż czerwona płachta znikła za mgłą horyzontu.

Gdy sam wybrał się wreszcie w podróż, patrzył na nabrzeże, z którego żegnali go Carla i Orlandu. Było to bolesne rozstanie, bo i tym razem nie był pewny, czy nie widzą się po raz ostatni. I czy będzie chciał, by jeszcze się spotkali. To prawda, że nie było w tym wszystkim sensu – bardzo kochał Carlę, jej chłopca zaś obdarzył uczuciem, dla którego słowo „miłość" wydawało się zbyt trywialne. Czuł jednak, że musi wyjechać. Orlandu nie mógł pojąć tego rozstania i wrócił do sprawy „słynnego przedsięwzięcia", w które mieli się razem zaangażować.

– Jeżeli będziesz czcił swoją matkę i nauczysz się czegoś pożytecznego, zapewne pewnego dnia ziści się to marzenie – odpowiedział mu Tannhäuser. – A tymczasem nasze drogi muszą się rozejść, bo mam do załatwienia sprawy daleko na północy.

Carla nie chciała utrudniać mu wyjazdu namowami. Zapanowała nad emocjami, które nią targały. Spróbowała nawet zrozumieć jego potrzebę samotnego podróżowania. Jej potrzeby mogły zaczekać, żywiąc się nadzieją, którą pozwoliła sobie wyrazić słowami, gdy uścisnęli się na pożegnanie.

– Przy głównej drodze z Bordeaux do Perpignan stoi kościół z dzwonnicą w stylu normandzkim, jedyny tego typu w całej okolicy. Zaraz za nim droga się rozwidla. Południowy szlak prowadzi do manoire na wzgórzu, z jedną wieżyczką krytą czerwoną dachówką.

Tannhäuser nie odpowiedział.

– Jeśli pewna umowa… może pewnego dnia… będzie miała zostać sfinalizowana, tam znajdziesz odpowiednią osobę – dodała Carla.

Tym razem Tannhäuser odpowiedział pocałunkiem.

I z taką tylko obietnicą odpłynął.

W Mesynie złożył wizytę Dimitrianosowi.

W Wenecji załatwił sprawy Sabata Svi.

Potem zaś, wiedziony instynktem zbyt pierwotnym, by mógł mu się oprzeć, ruszył dalej na północ, na północ i na wschód. W tej podróży dopiero nauczył się cenić samotność

ponad wszystko. Sypiał w klasztorach, gdzie milczenie było regułą. Unikał towarzystwa kobiet. A gdy nadeszła zima, dotarł wreszcie do wioski, w której się urodził, i oddał się miłości swego ojca.

Całą zimę i wiosnę spędził, pracując w kuźni Kristofera, i więź, którą dawno temu zerwała wojna, została odbudowana na nowo. Wstawał mroźnym świtem, by zmagać się z ogniem i stalą. Stał się ulubieńcem swych nowych sióstr i brata. Towarzyszył ojcu w objazdach okolicznych dworów i rozmawiali o najprostszych sprawach. Dzielili się wspomnieniami – najpierw z bólem, a potem z gorzko-słodką radością – o tych, których obaj kochali i obaj utracili. Razem modlili się też na grobach – które Kristofer wykopał w ziemi własnymi rękami – matki Tannhäusera oraz jego sióstr Gerty i Britty. Mattias zastanawiał się niekiedy, czy Kristofer w ogóle pamięta tajemniczego Turka, który przed laty odwiedził jego kuźnię. Czasem miał wrażenie, że tak i że ów obcy wcale nie był aż tak obcy, a czasem – że nie. Tak czy inaczej, żaden z nich nigdy nie wspomniał o tajemniczym Turku i tak było najlepiej, tamten człowiek był bowiem już tylko duchem, przede wszystkim dla samego Tannhäusera.

W rodzinnym domu odzyskał siłę w sercu i na ciele. Gdy zima odchodziła pomału i wiosna zaczynała się wdzierać do górskiej doliny, wydawało mu się, że nigdy stąd nie odejdzie. I być może właśnie to przekonanie stało się źródłem jego uzdrowienia. Ludzie, wśród których teraz żył, niewiele dbali o jego przeszłość, czyny i sławę. Zależało im tylko na nim samym. Myśl o tym kierowała jego wspomnienia ku Amparo, gdy leżał nocą i patrzył na wędrówkę gwiazd. Wracał też pamięcią do Carli i Orlandu. Myślał i o Ludovicu Ludovicim, tragicznej postaci, mnichu, który postradał zmysły na burzliwym oceanie między władzą a miłością i który przekonał go, że żal jest drogą do łaski – i miał rację.

Tu, w odciętych od świata górach, Tannhäuser zrozumiał wreszcie, że smutek jest nicią, która spoiła w jedną całość całe jego życie i że nie jest to powód do rozpaczy, a tym bardziej do kapitulacji. Tego nauczył go ojciec: że wbrew smutkowi, wbrew najstraszniejszej nawet stracie, życie wciąż trwa i jest jak sztaba surowego żelaza czekająca na ognistą przemianę. Od czasu, gdy Tannhäuser po raz ostatni rozpalił ogień w tej świątyni z jasnego kamienia, w której jego ojciec powoływał do życia przedmioty jeszcze niedawno nieistniejące, upadło wielu królów i papieży, a wiele granic na mapie uległo zmianie. Sztandary powiewały, armie maszerowały, a rzesze ludzi zabijały i były zabijane w imię swego plemienia czy boga. Lecz Ziemia wirowała jak zawsze, a sfery niebieskie tańczyły do własnej muzyki, kosmos pozostawał zaś wspaniale obojętny na próżność i geniusz człowieka.

Wieczna dusza ludzka, jeśli taka istnieje, mieszkała tu, w starym człowieku z młotem i kowadłem, i w kobiecie z dziećmi, które kochał.

Tannhäuser pojął nareszcie, że właśnie w tych pustych przestrzeniach między samotnością a miłością, między żalem a wiarą mógł odnaleźć Chrystusa i łaskę bożą.

Gdy lato pocałowało Alpy i stopiło wszystkie śniegi prócz najwyższych, Tannhäuser spakował swój dobytek, osiodłał Buraqa i pożegnał najbliższych. I choć uronili wiele łez, było to przecież tylko rozstanie ciał, a nie dusz. Znów był w podróży przez kontynent, przez dominia nowych królów. Gdy dni lata stawały się coraz krótsze, dotarł wreszcie do ziemi Franków.

Pewnego jesiennego dnia kawaler Mattias Tannhäuser wyruszył z miasta Bordeaux i drogą na Perpignan wjechał do Akwitanii. I jeździec, i koń mieli za sobą setki mil, które pokonali w ciągu ostatniego roku. Takiego dystansu i tyle czasu potrzeba było na zagojenie ran w duszy Mattiasa. Buraq był w świetnej formie i z właściwą koniom beztroską połykał kolejne mile słonecznej drogi. Tannhäuser polubił miasto, które opuścili – miało świetny port, co samo w sobie było wielkim atutem, a jednocześnie żyło przede wszystkim handlem, nie wojną. Wiedział, że musi popracować nad swym francuskim, na co wcale nie miał ochoty, ale nie była to przeszkoda nie do przebycia. Przede wszystkim zaś zobaczył Ocean Atlantycki, szary i niespokojny bezmiar wód, który niesłychanie poruszył jego wyobraźnię i skłonił do rozmyślania o tym, co może się znajdować na jego drugim brzegu.

Z daleka dostrzegł wieżę normandzkiego kościoła i bez trudu odnalazł drogę, której szukał. Skręcił na południe i trzy mile dalej zobaczył mały manoire na wzgórzu. Miał, naturalnie, wieżyczkę z czerwonym dachem – i dopiero ten detal przyprawił go o szybsze bicie serca.

Na brukowanym podwórzu, przy stodole, spotkał dwóch chłopców tarzających się w końskim łajnie i słomie. Choć jeśli chodzi o ścisłość, to jeden z nich leżał skulony, a drugi częstował go kopniakami – bez śladu litości – w plecy i głowę. Jako że leżący na ziemi był starszy, większy i prosił o litość, Tannhäuser poczuł dumę.

– Orlandu – powiedział – zostaw już tego matoła, niech idzie w swoją drogę.

Orlandu zamarł w połowie kopniaka, odwrócił się gwałtownie i zobaczył złocistego konia. Uniósł głowę i z taką miną, jakby miał przed sobą upiora, popatrzył na jeźdźca.

– Tannhäuser? – spytał, otrząsnąwszy się nieco z szoku.

Na Boga, wyglądał wspaniale. I jak cudownie było znowu go zobaczyć. Tannhäuser z dużym wysiłkiem zadbał o to, by się nie uśmiechnąć. Spojrzał na chłopca surowo.

– Miałem nadzieję, że zastanę cię zajętego nauką łaciny albo geometrii bądź inną poważną czynnością – rzekł. – A ty wolisz tarzać się w łajnie jak parobek.

Orlandu wciąż patrzył na niego z otwartymi ustami, tyle że teraz już rozdarty między zachwytem a wstydem. Zamknął wreszcie usta i znowu je otworzył. Jego kolega zdążył się pozbierać i uciec. Tannhäuser zsiadł z konia i dłużej już nie mógł hamować uczuć.

– Chodź do mnie, mój chłopcze – powiedział, otwierając ramiona. – I opowiadaj, co porabiałeś.

Gdy Orlandu zapanował wreszcie nad podnieceniem i odzyskał zdolność do wykonywania jakichkolwiek poleceń, Tannhäuser rzekł:

– Chyba już czas, żebyś zaanonsował moje przybycie pani tego domu. A potem weź Buraqa i zostaw nas samych do czasu, aż cię zawołam – dodał szybko.

Tannhäuser postanowił usiąść w ogrodzie za château, gdzie mógł cieszyć się urodą dogasającego dnia oraz aromatem owoców i kwiatów. Wyczuwał w tym pięknym zakątku obecność Carli – tę osobliwą aurę opanowania i namiętności, którą zawsze wokół siebie roztaczała. Aurę dobrego wychowania i smaku. Minęło sporo czasu od ich ostatniego spotkania i trochę się lękał – ciepłego przyjęcia ze strony chłopca był zupełnie pewny, ale co do Carli targały nim wątpliwości. Miała dość czasu i spokoju, by zastanowić się dogłębnie nad szaleństwem, jakim byłoby zadawanie się z kimś takim jak on. Możliwe, że urok Carli przyciągnął go tu z drugiego końca kontynentu, ale powątpiewał, czy aby ma w sobie podobny magnetyzm.

Od strony domu dobiegły go dźwięki muzyki. Viola da gamba. Melodia zaczęła się delikatnie, może nawet z wahaniem, a potem dostała skrzydeł i pomknęła wysoko, z majestatyczną swobodą. Tannhäuser poczuł szczęście, być może nawet większe niż kiedykolwiek, ponieważ muzyka była głosem z najdalszych głębin serca Carli, a grała specjalnie dla niego.

Gdy zapadła cisza, wstał, a Carla wyszła do ogrodu, by spotkać się z nim na ścieżce. Była dokładnie tak elegancko – jeśli nie kusząco – ubrana jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Teraz jednak nosiła rozpuszczone włosy sięgające poniżej ramion i wyglądała po prostu kwitnąco. Uśmiechnęła się, jakby wierzyła, że możliwa jest chwila taka jak ta, ale nie spodziewała się jej.

– Nie straciłaś wyczucia – powiedział. – Wciąż cudowna. I jeśli wolno mi zauważyć, i w sztuce, i w aparycji.

Carla pochyliła głowę.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– Jak widzisz – odezwał się wreszcie – znowu nie umiałem oprzeć się twojemu urokowi.

– Mam nadzieję, że tak już pozostanie – odrzekła.

Jej zielone oczy lśniły. Uśmiechnęła się i potrząsnęła włosami. Brakowało mu słów. Co takiego chciał jej powiedzieć? Stali i patrzyli. Milczenie przedłużało się. Wreszcie wyciągnęła ku niemu rękę. Jej dotyk był cudowny; przyprawiał o dreszcz. Ścisnęła jego dłoń i zauważył, że to samo wzruszenie i jej odbiera mowę. Impuls nakazywał mu przycisnąć ją do siebie, zgnieść ustami jej wargi i poddać się instynktom, które tak długo trwały w uśpieniu, a teraz nagle ożyły. Lecz oparł się pożądaniu. Ostatni swój pocałunek skradli z przerażającego świata, a ogień i strach, i szaleństwo nie mogły stać się podstawą tego, co miało ich złączyć. Chciał, żeby ich pierwszy pocałunek w tym innym, delikatniejszym świecie, był zupełnie wolny od cieni przeszłości. A cień jednak istniał – cień niezapomnianej namiętności i ducha, którego musieli wywołać, nim w pełni odzyskają wolność. Ducha osoby, którą oboje kochali i która wciąż kochała ich.

– Obiecałem ci coś i chcę dotrzymać słowa – powiedział Tannhäuser.

Gdy tylko Orlandu zostawił go w ogrodzie, wypatrzył róże – białe i czerwone. Poprowadził Carlę w to miejsce i zatrzymali się obok krzewów.

– Miałem nadzieję, że je tu znajdę – rzekł.

– Więc jednak opowiesz mi tę historię – odparła.

Uśmiechnęła się, a jej zielono-czarne oczy płonęły wewnętrznym światłem. Tannhäuser wiedział już, że zrozumiała. Wiedział też, dlaczego ją kocha i dlaczego to się nigdy nie zmieni. Oboje byli skrwawionymi różami. Wskazał na smukły, biały kwiat.

– W Arabii ludzie mówią, że dawno temu wszystkie róże były białe – powiedział.